

Vikram Seth

PRETENDENT DO RĘKI

TOM 1

Tytuł oryginału A SUITABLE BOY vol. I

*Jakże konieczne jest to, co zbyt...
...*

VOLTAIRE

Drobiazgowość jest matką nudziarstwa

VOLTAIRE

Mamie i Tacie Pamięci siostry Ammy poświęcam

PODZIĘKOWANIE

Mój dług wdzięczności jest bezmierny: Wobec pochlebców i krytyków, Cierpliwych krewnych, ziomków wiernych I nieżyjących polityków. Na jednych złość swą wylewałem, Drugim frazesy podkradałem. Powiadam Wam: zazdrozczę męstwa Ofiarom mego okrucieństwa! Przy tym pochwalić jednak muszę Własną rogatą, dzielną duszę, Iż w biedzie (mogę tego dowieść) Wytrwale przedła tę przypowieść. Więc, czytelniku: nie oszczędzaj! Skocz do księgarni! Kup egzemplarz!

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

Wśród stosów uczonych ksiąg spotyka się chłopak z dziewczyną. Matka wylewa łzy: medal stopiony smutku przyczyną.

Część druga

Uroczą kurtyzana dźwięcznym głosem gości czaruje. A zakochany młodzian papużkę swej lubej kupuje.

Część trzecia

Historyk i anglistka łódką płyną skrycie o brzasku. Matka z niepokoju drży: córka znalazła się w potrzasku!

Część czwarta

O obrotach i rynkach zbytu dwaj kupcy dyskutują. Nieglupi ci, którzy, ot!, u szewca buty dla siebie obstalują.

Część piąta

Padają strzały. Krew się leje. Zamieszki. Ludzie giną. Pyskacz-baba za tę rzeź wrogów swoich obarcza winą.

Część szósta

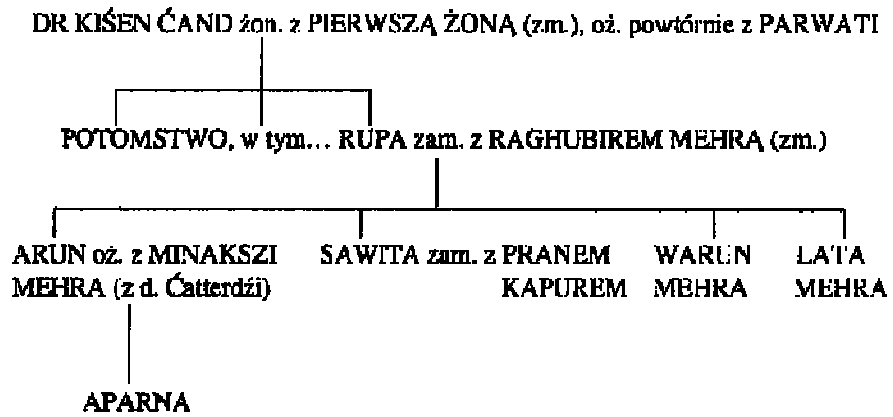
Bobasek w brzuchu kopie, a krwawy radza w furię wpada. Gryzie się ojciec: całe miasto o szusach syna gada.

Część siódma

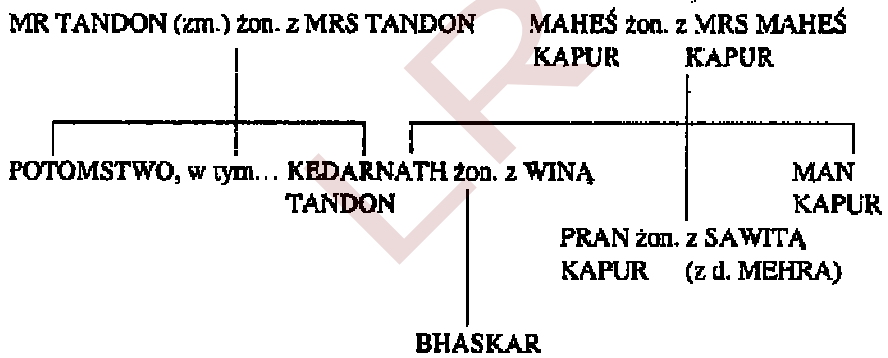
W Kalkucie rozrywek jest moc: tutaj odżyjesz od razu! A ileż uroków ma przechadzka po starym cmentarzu!

Podziękowania

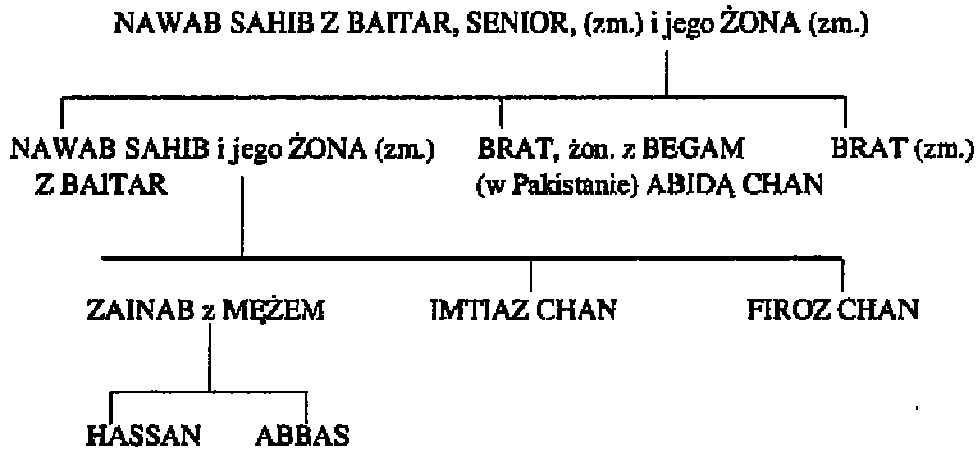
MEHROWIE



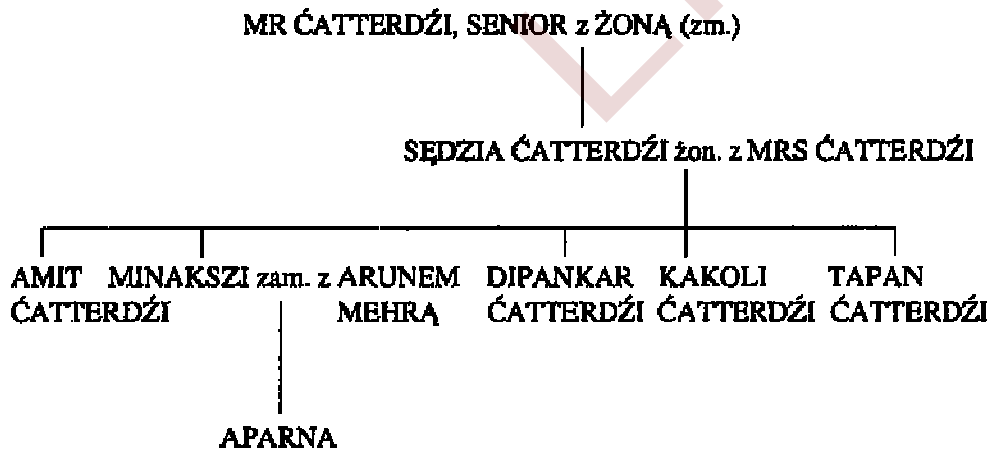
KAPUROWIE



CHANOWIE



ĆATTERDŻOWIE



CZĘŚĆ PIERWSZA

1.1

— Wyjdiesz za mąż za młodzieńca, którego sama dla ciebie wybiorę — oświadczyła stanowczo Mrs Rupa Mehra, zwracając się do swojej młodszej córki.

Lata puściła mimo uszu ten matczy ny dyktat, rozglądając się po wspaniałym, oświetlonym lampionami ogrodzie rezydencji Prem Niwas. Goście weselni zgromadzili się na murawie.

— Hm — rzekła w odpowiedzi.

— Już ja dobrze wiem, co znaczy to twoje „hm” , panno mądralińska, i chcę cię z góry uprzedzić, że sprawa jest przesądzona. Nie pomoże żadne takie „hm” ani inne fanaberie. Ani mi się wa ż przeciwstawiać! Wybij to sobie z głowy. Zrozumiano? Dla twojego własnego dobra. Nikt nie wie tak jak rodzona matka, czego jej dziecku do szczęścia potrzeba. Wszystko na mojej biednej głowie. Sama jedna staram się, jak mogę, żeby ustawić jakoś w życiu całą czwórkę moich dzieci. Nikt nawet palcem nie kiwnie, żeby mi w tym pomóc, odkąd Jego zabrakło. Pod tym względem jestem zdana tylko i wyłącznie na własne siły.

Koniuszek jej nosa zaczerwienił się ostrzegawczo, gdy pomyślała o zmarłym mężu, świętej pamięci Raghubirze Mehrze, który z całą pewnością (co do tego nie miała cienia wątpliwości) radował się z nią dzisiaj pospołu, hen, z wysokości łaskawych niebios. Mrs Rupa Mehra wierzyła, naturalnie, w reinkarnację, ale w chwilach wyjątkowo podniosłych wspominała z rozrzewnieniem jego krzepką sylwetkę i pogodne usposobienie, wyobrażając sobie, że dusza nieboszczyka Raghubira Mehry nie opuściła swojej dawnej, ziemskiej, cielesnej powłoki, którą zamieszkiwała za jego życia. Ledwie przekroczył czterdziestkę, kiedy zwa liło go z nóg nadmierne przemęczenie i zmarło mu się w samym zenicie drugiej wojny światowej. „Osie m lat temu. Osie m lat!” — pomyślała Mrs Rupa Mehra, poddając się melancholii.

— Oj, mamó, mamó! Nie będziesz chyba płakać w dniu ślubu Sawity? — powiedziała Lata, nie tracąc rezonu, czule przygarniając jednak do siebie rozżaloną matkę.

— Gdyby On był teraz tutaj z nami, mogłabym wystąpić dzisiaj w moim jedwabnym, błyszczącym sari, które miałam na sobie, kiedyśmy się pobierali — westchnęła ciężko Mrs Rupa Mehra. — Ale to nie dla wdowy. Jest za strojne. Zbyt jaskrawe.

— Mamó! — zaprotestowała Lata, trochę rozdrażniona emocjonalnym szantażem, którym matka nie omieszkała jej zadreć przy każdej nadarzającej się sposobności. — Ludzie patrzą! Zaraz się tu zejdą z gratulacjami i będą się czuli nieswojo, gdy zobaczą, że cały czas tylko chlipiesz i popłakujesz.

Istotnie wielu gości spieszyło do Mrs Rupy Mehry z uśmiechem, żeby złożyć serdeczne „namaste”; śmietanka towarzyska Brahmpuru, zauważyła matka Laty nie bez satysfakcji.

— A niech patrzą! — odparła buntowniczo, ocierając pospiesznie łzy chusteczką skropioną sówicie wodą kolońską 4711. — Co mogą sobie pomyśleć? Przecież to ślub Sawity. Mam chyba prawo popłakać sobie z radości, że wydaję córkę za męża. Całe życie się dla was poświęcam, ale nikt jakoś tego nie docenia. Wybrałam jej na męża chłopaka jak się patrzy, a nikomu nie mogę, jak się zdaje, dogodzić. Wszyscy tylko kręcą nosem i marudzą.

Lata odnotowała w myślach, że rzeczywiście z czworga rodzeństwa (dwóch braci i dwu sióstr) jedyną osobą, która do tej pory nie wyrzekła ani słowa skargi, była sama słodka Sawita, subtelna i prześliczna, o jasnej, brzo-skwiniowej cerze.

— Bo taki z niego wymoczek, mamó — palnęła Lata nieco bezmyślnie. W odniesieniu do Prana Kapura nawet i to określenie zabrzmiało zresztą jak eufemizm. No, tak. Ale ten chudy, ciemnoskóry i znerwicowany astmatyk miał przecież za chwilę zostać jej szwagrem.

— Wymoczek! Widzieliście ją! No i co z tego, że wymoczek? Wszyscy dzisiaj dbają o linię. To taka moda. Nawet ja musiałam cały dzień odmawiać sobie jedzenia, chociaż przy mojej cukrzycy to czyste szaleństwo. A skoro widać, że Sawita nie ma nic przeciwko temu związkowi, to wszyscy inni też powinni siedzieć cicho. I jeszcze mi podziękować, o! Arun i Warun, ci dwaj

malkontenci, potrafią tylko zrzedzić i gardłować. Jak tacy mądrzy, to dlaczego sami nie wystarali się o męża dla swojej siostry? Pran to uczciwy, kulturalny chłopak. I z odpowiedniej warny: z kszatrijów.

Faktycznie, trzydziestoletni Pran był mężczyzną przyzwoitym, kulturalnym i należał niezaprzeczalnie do odpowiedniej kasty. W sumie Lata nawet go lubiła. Tak się również dziwnie złożyło, że — przynajmniej z widzenia — znała go dłużej i lepiej niż siostra. Lata studiowała anglistykę na uniwersytecie w Brahmपुरze, a Pran Kapur był tam bardzo popularnym wykładowcą. Lata chodziła na jego wykłady z zakresu historii i literatury epoki elżbietańskiej, podczas gdy Sawita, panna młoda, przed ślubem spotkała się z nim tylko raz, na godzinę, a i to pod czujnym okiem swojej przezornej matki.

— A poza tym on, przy naszej Sawicie, jeszcze nabierze ciała. Ja ci to mówię — dorzuciła Mrs Rupa Mehra. — I dlaczego specjalnie wsadzasz mi w takiej chwili szpile? Żebym tylko przypadkiem nie mogła za bardzo się cieszyć tym radosnym wydarzeniem, tak?

A Pran i Sawita będą jeszcze ze sobą bardzo szczęśliwi, sama się przekonasz. Bardzo, bardzo szczęśliwi — powtórzyła z emfazą. — Dziękuję, dziękuję — rozpromieniła się teraz, zwracając się do tych, którzy przyszli się z nią przywitać. — Tak, spełniły się moje marzenia... To chłopak bez zarzutu. I z doskonałej rodziny. Ze strony ministra sahiba to gest iście wspaniałomyślny. A Sawita wprost tryska radością. Proszę się częstować, bardzo proszę: przyrządzili

takie smakowite gulab-dżamany, ale ze względu na cukrzycę mam ttkaz skosztowania choćby jednego. Zabronione. Nawet po zakończeniu weselnych uroczystości. Nie wolno mi również wziąć do ust gadżaku, a temu naprawdę trudno się oprzeć, szczególnie w zimie. Ale proszę, bardzo proszę, częstujcie się, częstujcie. Przepraszam na chwilę, muszę sprawdzić, co się tam dzieje. Zgodnie z zaleceniem astrologów powinni już zaraz zaczynać, a tu masz: ani śladu panny młodej, ani śladu pana młodego! — Popatrzyła na Latę z dezaprobatą. „Z młodszą córką nie pójdzie tak łatwo jak ze starszą”, zawyrokowała w myślach z goryczą.

— Pamiętaj, o czym ci mówiłam — napomniała córkę surowo.

— Hm — chrząknęła Lata w odpowiedzi. — Mamo, chusteczka do nosa wystaje ci spod bluzki.

— O! — zmieszała się Mrs Rupa Mehra, upychając chusteczkę czym prędzej do środka. — I powiedz Arunowi, żeby wreszcie zaczął podchodzić poważnie do swoich obowiązków. Stoi tam tylko w kącie beczynnie, zagadany z tą Minakszi i z tym swoim sfiksowanym kolegą z Kalkuty. Jeszcze do niego nie dotarło, że uczta weselna już się rozpoczęła, a rozbawieni goście delektują się wybornym zestawem potraw i napojów?

„Tą Minakszi” była olśniewająco piękna, acz arogancko wyniosła żona Aruna — i synowa Mrs Rupy Mehry. Jedyne, czym się zasłużyła w ciągu czterech lat małżeństwa, było to, że urodziła ukochaną wnusią Mrs Rupy Mehry, Aparnę, która nawet teraz przebiła się przez tłum i uczepliła sari swojej babci, szarpiąc za rąbek atłasu w kolorze brązowym, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Mrs Rupa Meljra, rozanielona, przytuliła ją zaraz do siebie i powiedziała:

— Aparna, trzymaj się mamusi albo cioci Laty, inaczej możesz się zgubić. I co my wtedy zrobimy?

— A gdzie idziesz? Pójdę z tobą, dobrze? Pójdę z tobą... — marudziła Aparna, która w wieku lat trzech miała, naturalnie, swoje własne zachcianki, sympatie i plany.

— Laleńko, gdyby to tylko ode mnie zależało — odparła Mrs Rupa Mehra. — Ale niestety, muszę sprawdzić, czy Sawita bua jest już gotowa do ceremonii ślubnej. Czas mija, a jej jak nie ma, tak nie ma. — Mrs Rupa Mehra zerknęła jeszcze raz na maleńki, złoty zegareczek, który dostała w prezencie od swego męża przy pierwszym spotkaniu i który chodził niezawodnie już od ćwierć wieku.

— Chcę zobaczyć ciocię Sawitę! — napierała się Aparna aż do uprzykrzenia.

Mrs Rupa Mehra, z miną wyraźnie znękaną, ruchem głowy wskazała dyskretnie na małą.

Lata chwyciła ją w ramiona i uniosła w górę.

— Jak tylko Sawita bua się pokaże, to zaraz pójdziemy przyjrzeć się jej z bliska, dobrze? Przytrzymam cię wysoko, o, tak jak teraz, i obie będziemy

miały dobry widok. Ale w tej chwili mam ochotę na lody. Co ty na to? Chodź, zobaczymy, gdzie by tuje można znaleźć.

Aparna uznała, że to świetny pomysł. Zresztą zazwyczaj podobały się jej pomysły Laty. Na lody w każdym razie nigdy nie może być za zimno. Podeszły razem do bufetu, ręka w rękę: rezolutna trzylatka ze swoją dziewiętnastoletnią ciocią. Kilka płatków róży, przywianych widocznie przez wiatr, musnęło im włosy i spłynęło pod nogi.

— Skoro Sawita się nie uskarża, to i tobie korona z głowy nie spadnie — rzuciła na odchodnym Mrs Rupa Mehra w stronę Laty.

— Przecież nie możemy obie wyjść za mąż za Prana — odpaliła Lata ze śmiechem.

1.2

Honory domu pełnił również ojciec pana młodego, Mr Maheś Kapur, minister finansów w stanie Parwa Pradeś. To właśnie — niesłychane! — w jego obszernej, piaskowej, dwupiętrowej rodzinnej rezydencji w kształcie litery C, Prem Niwas, położonej w najspokojniejszej, pięknie zadrzewionej dzielnicy mieszkalnej historycznego (i raczej przeludnionego) miasta Brahmpur, odbywało się przyjęcie weselne. Już od paru dobrych dni całe Brahmpur trzęsło się z tego powodu od plotek. Ojciec Mrs Rupy Mehry, który miał podejmować u siebie gości, obraził się ni z tego, ni z owego na dwa tygodnie przed ślubem, zamknął swój dom na cztery spusty i zniknął. Mrs Rupa Mehra wpadła w czarną rozpacz. Wtedy interweniował minister sahib („Tu w grę wchodzi zarówno wasze, jak i nasze dobre imię”) i — głuchy na ludzkie gadanie — uparł się, że urządzi wesele u siebie.

Nie było mowy, żeby Mrs Rupa Mehra dołożyła się do związanych z weselem wydatków. Minister sahib nie chciał nawet o tym słyszeć. Nigdy też ani słowem nie wspomniał o posagu. Był niegdyś starym przyjacielem i partnerem do brydża zmarłego męża Mrs Rupy Mehry i bardzo lubił jej córkę Sawitę (choć nigdy nie pamiętał jej imienia). Jako że sam doświadczył mate-

rialnego ubóstwa, potrafił wczuć się w ich położenie. W czasie walki o niepodległość spędził wiele lat w brytyjskich więzieniach, a jego majątek ziemski, jak i zakłady odzieżowe podupadły finansowo, gdyż nie było wówczas nikogo, kto by potrafił dopilnować interesów. Pod jego nieobecność żona wraz z rodziną borykała się długo z przeciwnościami losu.

Obecnie jednak, po powrocie obrotnego, ambitnego i bardzo wpływowego ministra, mieli to już poza sobą. Teraz, w pierwszych tygodniach zimy 1950 roku, Indie były od trzech lat państwem suwerennym. Ale wolność ojczyzny nie szła bynajmniej w parze z wolnością osobistą jednostki. Tak to przynajmniej odczuwał Man, młodszy syn Mr Maheśa Kapura, który takie oto słowa usłyszał właśnie od ojca:

— Skoro twojemu bratu korona z głowy nie spadła, to jak widać i tobie nic takiego z pewnością nie grozi.

— No dobrze już, dobrze, Baodźi — odparł Man z uśmiechem.

Mr Maheś Kapur zwrócił się do niego z marszem na czole.

Młodszy syn wdał się wprawdzie w niego pod względem zamiłowania do wytwornej prezencji, ale jeśli chodzi o podejście do pracy, okazał się zgoła wyrodkiem. Żadnych ambicji. Żadnych życiowych aspiracji.

— Nie można się przez całe życie wałkonić, odgrywając rozpieszczonego fircyka — strofował go ojciec. — A małżeństwo zmusi cię do tego, żebyś się ustatkował i zaczął myśleć poważnie o obowiązkach wobec rodziny. Napisałem do tych ludzi z Benaresu i oczekuję lada dzień przychylniej odpowiedzi.

Manowi ani w głowie było małżeństwo; złapał w tłumie wzrok przyjaciela i pomachał do niego ręką. Ale oto atłasowe sari i biżuteria pań zalśniły migotliwym blaskiem w świetle setek zamocowanych przy żywopłocie malusieńkich, kolorowych lampionów, które właśnie zapaliły się równocześnie. Zabrzmiały piskliwe dźwięki śahnai. Man wsłuchiwał się oczarowany w jęklive tony rytmicznej melodii. Zauważył, że Lata przeciska się przez tłum weselnym gości. „Nawet całkiem niebrzydka dziewczyna ta siostra Sawity”, pomyślał. „Może ciut-ciut za niska i o niezbyt jasnej karnacji, ale mimo to zupełnie do rzeczy. Twarz ma pociągłą, niewinną i ciemną oprawę oczu. Jasny wzrok. I tak ładnie odnosi się do dziecka, które prowadzi za rękę”.

— Dobrze, Baodźi — powiedział Man posłusznie.

— O czym mówiłem? — zażądał odpowiedzi ojciec.

— O małżeństwie — odparł przytomnie Man.

— Dokładniej proszę. Więc co ode mnie na ten temat usłyszałeś? Zaciętość ojca zbiła Mana z tropu.

— Nic do ciebie nie dotarło, bo jednym uchem słuchasz, a drugim wypuszczasz — zagrzemiał Maheś Kapur, czując, że ręka go świerzbi, żeby wytargać syna za uszy. — Nie lepszy jesteś od tych gnuśnych gryzipiórków w Ministerstwie Finansów. Bujasz w obłokach i bimbasz sobie na moje uwagi. Machałeś do Firoza.

Manowi natychmiast zrzędła mina. Nie miał złudzeń — wiedział dobrze, co ojciec o nim sądzi. Jeszcze przed chwilą bawił się wyśmianicie, tymczasem ojciec, swoim zwyczajem, zawzięł się, żeby mu zburzyć szampański nastrój.

— No to załatwione — ciągnął ojciec. — Tylko nie staraj się później udawać, że cię nie uprzedzałem. I nie waż mi się prosić matki o wstawiennictwo. To kobieta o słabej woli i znowu by się dała przekabacić, wmawiając mi w żywe oczy, że nie dojrzałeś jeszcze do obowiązków głowy domu.

— Przyrzekam, że będę pamiętał, Baodźi — zapewnił ojca Man. Jego dobry nastrój prysł, kiedy zrozumiał, że tym razem ojciec nie ustąpi.

— I żebyś mi nie śmiał wierzgać i wybrzydzać przy wyborze twojej narzeczonej. Wybraliśmy dobrze i dla Winy, i dla Prana. Nie chcę słyszeć żadnych protestów.

Man przemilczał tym razem ojcowski wybuch. Zastanawiał się, w jaki sposób poprawić sobie nastrój. Miał na górze, u siebie w pokoju, butelkę scotcha, więc może udałoby mu się wyrwać z Firozem na parę minut, przed rozpoczęciem oficjalnej ceremonii ślubnej, albo niechby nawet i w jej trakcie, żeby się trochę pokrzepić i podnieść na duchu.

Ojciec uśmiechnął się zdawkowo do paru osób, które podeszły do nich z gratulacjami, a potem znowu zwrócił się do Mana:

— Nie chcę już dzisiaj więcej zaprzątać sobie tobą głowy. Bóg mi świadkiem, że i tak mam pełne ręce roboty. No i co się dzieje z Pranem i z tą dziewczyną... jak jej tam?

— Sawita — podpowiedział Man.

— Właśnie, właśnie... Sawita — rzekł ojciec niecierpliwie. — Robi się późno. Mieli wyjść z dwu przeciwległych stron mieszkania i spotkać się tutaj na dzajmala już pięć minut temu. Twoja zabobonna matka zacznie zaraz panikować, jeśli okaże się, że przegapili zaleconą konfigurację gwiazd. Idź i uspokój ją. No, idź! Niechże będzie z ciebie wreszcie jakiś pożytek.

Maheś Kapur powrócił do swych obowiązków gospodarza domu. Spojrzał wilkiem na jednego z kapłanów — mistrzów ceremonii, ale tamten odpowiedział tylko pokornym uśmiechem. Ledwie uniknął zderzenia z trójką rozbrzykanych pędraków, które ścigały się po ogrodzie, jakby to był wiejski wygon. Była to dzieciarnia krewniaków z prowincji. Gdyby się nie usunął w porę, wyrznęłyby go w brzuch i powaliły na ziemię. A nim uszedł dalszych dziesięć kroków, zdążył jeszcze pozdrowić w przelocie profesora literatury (od którego zależał awans zawodowy Prana), dwóch wpływowych członków stanowego parlamentu, z Partii Kongresowej (którzy być może zgodzą się poprzeć go w ustawicznej walce o władzę z ministrem spraw wewnętrznych), sędziego — ostatniego Anglika, który zachował swój urząd w stanowym Sądzie Najwyższym Brahmpuru po odzyskaniu niepodległości, a także swego starego przyjaciela — nawaba sahiba z Bajtaru, jednego z największych posiadaczy ziemskich w całym stanie.

1.3

Lata, do której dotarły urywki rozmowy Mana z ojcem, nie mogła powstrzymać uśmiechu, przechodząc obok niego.

— Widzę, że humor ci dopisuje — zwrócił się do niej Man po angielsku.

Ojciec wygłosił mu swoją tyradę w hindi, matka Lata zaś wyłuszczyła córce swoje racje po angielsku. Man władał dobrze oboma językami.

Latę onieśmielił jego uśmieszek, który uznała za zuchwały. W towarzystwie takich chojraków czuła się zagubiona. „Niech sobie szczyrzy zęby”, pomyślała. „Ja nie mam zamiaru się wysilać na żadne uprzejmości”.

— Owszem — odparła po prostu, prawie nie podnosząc na niego wzroku. Aparna pociągnęła ją za rękaw.

— Teraz jesteśmy prawie rodziną — powiedział Man, wyczuwając chyba jej zakłopotanie. — Za parę minut na pewno zacznie się ceremonia.

— Wiem — przyświadczyła Lata. Tym razem odważyła się rzucić okiem na swego rozmówcę. Zamilkła na chwilę, zmarszczyła brwi, a potem dorzuciła: — Moja matka martwi się, że nie zdążą na czas.

— To samo mój ojciec — powiedział Man.

Lata znowu się uśmiechnęła, ale kiedy Man zapytał ją dlaczego, pokręciła tylko głową w odpowiedzi.

— Cóż — rzekł Man, strzepnąwszy płatek róży ze swego wykwintnego, obcisłego aćkanu. — Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie śmiejiesz się ze mnie.

— W ogóle się nie śmieję — odparła Lata.

— Ale się uśmiechasz. To miałem na myśli.

— Nie śmieję się z ciebie — zapewniła go Lata. — Tylko z siebie samej.

— Brzmi to nadzwyczaj tajemniczo — powiedział Man, nadając swojej twarzy wyraz bezbrzeżnego zaciekawienia.

— I tak już musi, niestety, pozostać. — Wpatrując się w jego sympatyczną fizys, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. — Aparna ma ochotę na lody, a ja muszę je dla niej wyczarować.

— Spróbujcie lodów pistacjowych — poradził im Man. Powiódł oczami za różowym sari Laty. „Ładna dziewczuszka... ma w sobie coś”, pomyślał znowu. „Tylko niezbyt jej dobrze w tym kolorze. Ciemna zieleń albo szafir podkreśliłyby jej urodę... O, taki odcień jak ma na sobie tamta...”. I już po chwili inna sylwetka stała się przedmiotem jego kontemplacji.

Tymczasem Lata wpadła właśnie na swoją przyjaciółkę, Malati, studentkę medycyny, współlokatorkę z akademika. Malati była bardzo towarzyska i nigdy nie traciła kontenansu, nawet przy obcych. Ci natomiast, w momencie kiedy popatrzyli w jej prześliczne, zielone oczy, tracili od razu pewność siebie.

— Z kim rozmawiałaś? Co to za burek? Niezła sztuka — zwróciła się do Lata z ożywieniem.

Wbrew pozorom słowo „burek” nie było wcale w żargonie studenckim uniwersytetu w Brahmpurze określeniem pejoratywnym. Wręcz przeciwnie: tak nazywały dziewczęta swoich najprzystojniejszych kolegów. Był to kalambur, właściwie zniekształcony skrót, który powstał po prostu od nazwy czekolady Cadbury.

— O, to tylko Man, młodszy brat Prana.

— Naprawdę?! Taki przystojny? Bo Pran jest taki... no, może szkaradny to przesada, ale,.. no, wiesz... ciemnoskóry. Nic specjalnego.

— Bo może z każdym mężczyzną jest tak, jak z czekoladowym batonikiem. Im bardziej gorzki i czarny, tym bardziej pożywny.

Malati rozważyła w myślach zawiłą metaforę.

— A zresztą — ciągnęła dalej Lata — moje ciotki już z pięć razy nie omieszkały mi dzisiaj wypomnieć, że sama też nie jestem taka znowu bladolica, wobec czego niełatwo będzie mnie wydać za męża.

— Jak ty w ogóle możesz z nimi wytrzymać? — spytała retorycznie Malati, która została wychowana bez ojca i bez braci, w kręgu bardzo solidarnych, tolerancyjnych kobiet.

— Ja je nawet lubię — odparła Lata. — Na weselu nie obejdzie się bez tego typu spekulacji. To przecież główna rozrywka. Ale prawdziwy ubaw znacznie się dopiero, kiedy wyjdą państwo młodzi. Piękna i Bestia.

— Rzeczywiście, ile razy widziałam go na dziedzińcu uniwersyteckim, wyglądał jak dzika bestia — potwierdziła Malati. — Jak taka umorusana żyrafa.

— Ale masz cięty język! — zaśmiała się Lata. — W każdym razie Pran jest naprawdę bardzo popularnym wykładowcą — powiedziała w jego obronie. — Ja tam go lubię. Będiesz mnie musiała odwiedzać, kiedy wyprowadzę się z akademika i zamieszkać u nich w domu. A ponieważ będzie moim szwagrem, ty również będziesz go musiała polubić. Przyrzeknij, że się postarasz.

— Ani mi się śni — oświadczyła stanowczo Malati. — Zabiera mi ciebie.

— Sama dobrze wiesz, że to nieprawda, Malati — powiedziała Lata. — To moja zapobiegliwa matka pakuje mu mnie na głowę.

— Więc wypowiedz jej raz wreszcie posłuszeństwo! Przekonaj ją, że nie jesteś w stanie się ze mną rozstać.

— Zawsze byłam i będę posłuszna matce — powiedziała Lata.

— A poza tym, kto mi opłaci pokój w akademiku? Ona dysponuje pieniędzmi. Zresztą będzie mi przyjemnie pomieszkać przez jakiś czas z Sawitą. Nie chcę, żebyśmy się od siebie oddaliły. A ty musisz nas koniecznie odwiedzić... musisz nas stale odwiedzać. Inaczej uznam, że lekce sobie ważysz naszą przyjaźń.

Przez chwilę Malati miała minę ogromnie nieszczęśliwą, ale zaraz wzięła się w garść.

— A to kto? — zapytała.

Aparna boczyła się.

— To moja bratanica — wyjaśniła Lata. — Przywitaj się z ciocią Malati, Aparna.

— Dzień dobry — powiedziała Aparna, której cierpliwość była u kresu. — Obiecałaś mi lody pistacjowe.

— Przepraszam bardzo, kochanie — powiedziała Lata. — Oczywiście, już idziemy.

1.4

Wkrótce Malati przepadła w tłumie studenckiej braci, natomiast zanim Lata i Aparna zdołały przebić się dalej, zabiegli im drogę rodzice dziewczynki.

— A! Tutaj jesteś, skarbie! Gdzie się przede mną chowasz? — wykrzyknęła piękna Minakszi, składając pocałunek na czole swojej córeczki. — No, powiedz sam, Arun, czy takie dziecko to nie prawdziwy skarb? I gdzież to się podziewał nasz mały wędrowniczek?

— Poszłam poszukać Dadi — zaczęła Aparna. — W końcu ją znalazłam, ale musiała wrócić do mieszkania po ciocię Sawitę i nie chciała mnie ze sobą zabrać, więc Lata bua obiecała, że pójdziemy po lody, ale nie poszłyśmy, bo...

Znudzona opowieścią, Minakszi zwróciła się teraz do Laty:

— Nie do twarzy ci w tym kolorze, Luts — powiedziała. — Coś tutaj nie gra... czegoś tutaj brakuje... jakiegoś... czegoś...

— *Je ne sais quoi?*^{*1} — odpowiedział uprzejmie kolega jej męża, który stał dotąd obok nich w milczeniu.

— O, właśnie, dziękuję — przytaknęła Minakszi z takim niedoścignionym wdziękiem, że młodzieniec usunął się na jakiś czas w kąt i udawał, że wpatruje się w gwiazdy.

— Nieładnie ci w różowym, Luts — powtórzyła z przekonaniem Minakszi, wyciągając niczym łasiczka długą, śniadą szyję i taksując swoją szwagierkę krytycznym spojrzeniem.

Sama miała na sobie zielono-złote atłasowe sari z Benaresu, z zielonym coli, które odsłaniało jej w pasie więcej ciała niż było tradycyjnie dopuszczalne w konserwatywnym towarzystwie brahmpurskim.

¹ * *Je ne sais quoi* (fr.) — tu: Trudno mi powiedzieć czego. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

— O! — zmieszła się nagle Lata. Wiedziała, że nie potrafi ubrać się ze smakiem, i teraz zdała sobie sprawę, jak nieciekawie musi wyglądać w porównaniu z tym stojącym obok niej rajskim ptakiem.

— Co to za facet, z którym przedtem rozmawiałaś? — spytał szorstko jej brat, Arun, zauważył bowiem (w przeciwieństwie do swojej żony), że Lata zamieniła parę słów z Manem. Dwudziestopięcioletni, wysoki, śniady Arun był inteligentnym i bardzo przystojnym despota, który tyranizował swoje młodsze rodzeństwo, upokarzając je często publicznie. Lubował się w swojej roli głowy rodu, przypominając im, iż po śmierci ojca jemu przypadło w udziale to zaszczytne miano.

— To Man, brat Prana.

— Aha.

W tym jednym słowie brzmiała najsurowsza nagana.

Arun i Minakszi zjawili się w Brahmpurze dopiero rano. Przyjechali nocnym pociągiem z Kalkuty, gdzie Arun pracował jako jeden z nielicznych Hindusów na kierowniczym stanowisku w prestiżowej, zarządzanej głównie przez Europejczyków firmie Bentsen & Pryce. Nie miał ani czasu, ani ochoty, żeby zapoznać się z rodziną — czy, jak się wyrażał, „klanem” — Kapurów. To matka wyswatała Sawitę; on ręki do tego nie przyłożył ani też nie zaakceptował. Rozejrzał się wokoło z niesmakiem. „Jaka tandeta. Co za blichtr”, myślał, spoglądając na kolorowe lampiony przy żywopłocie. No tak, ale czego tu się spodziewać po takich prowincjuszach. Zawsze miał ich w najwyższej pogardzie, a teraz widok tych beznadziejnie głupich, domorosłych polityków w białych furazerkach, rubasznych, bezceremonialnych i tej grandy wsioków, których naściągał tutaj Maheś Kapur, pogłębił jeszcze jego irytację.

Zauważył, że wśród przybyłych gości nie było ani przedstawicieli takich przedsiębiorstw jak Burmah Shell, Imperial Tobacco czy Caltex, ani też dowódcy jednostek wojskowych stacjonujących w Brahmpurze, ignorując fakt, że prawie cała elita intelektualna miasta była obecna na weselu.

— Zaraz widać, że to bufon — zawyrokował Arun. Jego uwagi nie uszło spojrzenie, którym Man obdarzył oddalającą się Latę. Ani też sposób, w jaki ścigał wzrokiem inne kobiety.

Lata uśmiechnęła się, a jej zahukany brat, Warun, który podążał potulnie, wiernie niczym cień za Aninem i Minakszi, odpowiedział również konspiracyjnym uśmiechem. Warun studiował, czy raczej usiłował studiować, matematykę na uniwersytecie w Kalkucie i mieszkał z Arunem i Minakszi w ich maleńkim mieszkanku na parterze. Był wątpy, nieśmiały, nadwrażliwy, o wiecznie rozbieganych oczach, ale dobry, że do rany przyłóż, i Lata bardzo go kochała. Chociaż był od niej o rok starszy, czuła się za niego odpowiedzialna. Warun drżał przed Arunem, jak również — z odmiennych powodów

— przed jego żoną, Minakszi, a nawet, do pewnego stopnia, przed rozpieszczoną Aparną. Jego zainteresowanie matematyką ograniczało się do obliczania na programach wyścigów konnych prawdopodobieństwa wygranej fuksów lub też faworytów. Każdej zimy, w sezonie wyścigowym, rosnące podniecenie Warana doprowadzało starszego brata do białej gorączki. Jego także miał zwyczaj nazywać obelżywie bufonem.

„Kiedy to właśnie ty sam jesteś arcymistrzem bufonady, Arun bhai”, pomyslała Lata. A na głos powiedziała:

— Zrobił na mnie całkiem miłe wrażenie.

— Ta ciocia, która z nami rozmawiała, powiedziała, że to niezła sztuka — wtrąciła swoje trzy grosze Aparna.

— Co ty powiesz, skarbie?! — ożywiła się natychmiast Minakszi. — Który to? Pokaż mi go, Arun.

Ale Mana nie było już w zasięgu wzroku.

— Do pewnego stopnia mam o to sam do siebie pretensję — powiedział Arun tonem, w którym nie było słyhać ani odrobiny skruchy; Arun nie uważał, że kiedykolwiek w czymkolwiek zawinił.

— Trzeba było wziąć całą sprawę w swoje ręce — ciągnął dalej. — Gdybym nie był taki zapracowany, może udałoby mi się zapobiec tej katastrofie. Ale mama wbiła sobie do głowy, że ten cały Kapur to niby taka doskonała partia, i nie było mowy, żeby jej to wyperswadować. Kiedy sobie coś ubrda,

nie da się z nią rozsądnie porozmawiać, bo zaraz histeryzuje i zalewa się łzami.

Fakt, że doktor Pran Kapur wykładał angielski, zmylił Aruna i uśpił jego czujność. I to był błąd, bo teraz okazało się, że wśród tej prowincjonalnej gawiedzi nie można się było doszukać ani jednej anglosaskiej fizjonomii.

— Co za prymityw! — parsknęła Minakszi, podsumowując w ten sposób spostrzeżenia swojego męża. — Co za grajdołek w porównaniu z Kalkutą! Skarbie, masz poplamiony nosek — rzuciła w stronę Aparny, rozglądając się wokół, jakby szukała wzrokiem wymagowanej *ai* — niańki — która posłusznie wytarłaby go jej chusteczką.

— A mnie się tutaj właśnie bardzo podoba — odważył się na wypowiedź Warun, zauważywszy, że docinki tych dwojga sprawiają Lacie przykrość. Wiedział, że lubiła Brahmpur, chociaż nie była to, co tu ukrywać, imponująca metropolia.

— Milcz — warknął Arun opryskliwie. Jak taki szczeniak ma czelność sprzeczać się tu z nim publicznie, podważając jego autorytet! Karygodne zachwalstwo! Trzeba temu natychmiast położyć kres!

Warun miał ochotę się postawić, ale spojrzał tylko na brata spode łba, a potem zaraz spuścił wzrok.

— Przestań mędrkować, skoro nikt cię nie pyta o zdanie — zgromił go znowu Arun.

Warun milczał uparcie, tłumiąc gniew.

— Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Słyszę — odburknął Warun.

— Proszę mi tu nie pyskować!

— Przepraszam, Arun bhai — wybąkał Warun.

Takie słowne utarczki kończyły się nieodmiennie porażką młodszego brata, więc Laty nie zdziwił wcale finał powyższej rozmowy, ale żal jej było Warana i oburzało ją grubiaństwo Aruna. Nie mogła zrozumieć, skąd się w nim brało tyle jadu. Jaki cel miały te wszystkie uszczypliwe docinki? Czy pomiatanie ludźmi sprawiało mu satysfakcję? Zdecydowała, że zaraz po weselu porozmawia na ten temat z Warunem. Musi mu pomóc jak najszybciej uodpor-

nić się na takie apodyktyczne traktowanie. „Pomimo że sama nie wypracowałam żadnych mechanizmów obronnych”, pomyślała Lata.

— No, cóż, Arun bhai — powiedziała z niewinną minką. — Nie warto robić sobie takich wyrzutów poniewczasie. Teraz jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną i będziemy musieli dołożyć wszelkich starań, żeby znosić się jakoś nawzajem.

Wbrew pozorom nie była to jednak wcale taka niewinna uwaga. Lata przycięła w ten sposób swojej bratowej, jako że Jedna wielka, szczęśliwa rodzinka" był to zwrot używany przez Catterdżich, a Minakszi Mehra była z domu Catterdżi. Poznali się z Arunem na jakimś cocktail party, zakochali w sobie na zabój od pierwszego wejrzenia i pobrali niespełna miesiąc później z wielką pompą, ku zgorszeniu obu rodzin. Sędzia Catterdżi, prezes Sądu Najwyższego w Kalkucie, oraz jego żona nie byli zapewne wniebowzięci, że muszą dokooptować Aruna, nie-Bengalczyka, do swojej licznej rodziny, która składała się z pięciorga dzieci (oraz psa, Całuska); ani też Mrs Rupa Mehra nie rozplýwała się w zachwytach nad swoją kapryśną, a w dodatku wyjątkowo przemądrzałą synową, Minakszi (a wręcz przeciwnie, ubolewała nad tym, że syn pierworodny, żrenica jej oka, ożenił się z kimś spoza warny kszatrijów), za to sam Arun zdecydowanie cenił sobie koneksje z klanem Catterdżich. Była to zamożna, wpływowa rodzina, która w swojej przeogromnej rezydencji w Kalkucie wydawała wystawne, a zarazem wykwintne przyjęcia. I chociaż ciągle zwariowana błazenada braci i siostr Minakszi, a także ich improwizowane, rymowane kuplety działały mu czasem na nerwy, imponowała mu panująca w tym domu atmosfera i uważał takie właśnie zachowanie za niezwykle wytworne. Gdzie tym prowincjonalnym złobom, tym całym Kapurom (którzy podają sok z granatu zamiast alkoholu!), z ich kiczowatymi lampionami przy żywopłocie, do wielkiej, szczęśliwej rodziny Catterdżich? Gdzie tej dziurze, która się mieni stolicą stanu, do Kalkuty?

— I co chcesz przez to powiedzieć? — zażądał wyjaśnień Arun. — Myślisz, że gdyby tatuś żył, to dopuściłby do tego małżeństwa?

Arun miał w nosie, że któryś z gości może usłyszeć jego wywody, i Lata, zażenowana, oblała się rumieńcem. Ale ten ostatni, żelazny argument Aruna był nie do zbiccia. Gdyby Raghubir Mehra nie zmarł, ledwie przekroczywszy

czterdziestkę, tylko żył nadal, kontynuując swoją zawrotną karierę w kolejnictwie, byłby już na pewno do tej pory członkiem zarządu kolei państwowych. W 1947 roku, po gromadnym wycofaniu się z rządu indyjskiego Brytyjczyków, zostało wiele wakujących stanowisk. A zresztą, z jego doświadczeniem i zdolnościami, kwalifikowałby się może nawet na naczelnego dyrektora. Jego rodzina nie zaznałaby biedy; nie musiałaby przez całe lata utrzymywać się ze skromnych oszczędności Mrs Rupy Mehry, zdana na łaskę szcudrobliwych przyjaciół i znajomych. Nie musiałaby wreszcie polegać ostatnio wyłącznie na zarobkach najstarszego syna. Mrs Rupa Mehra nie musiałaby wyprzedawać swojej biżuterii ani tym bardziej spieniężyć takiej nieruchomości, jak ich nieduży, ale własny domek w Dardżiling po to, aby dać dzieciom wykształcenie — gdyż to uważała za sprawę najwyższej wagi. Ta pozornie krucha istota przywiązana jakoby do rzeczy materialnych, przechowująca, z ckliwością, pamiątki po ukochanym mężu, okazała się kobietą o niezłomnym charakterze, która — — przeświadczona o słuszności swojej decyzji — bez zmrużenia oka zamieniła kosztowności zapewniające finansową niezależność na niewymierne walory solidnej edukacji w pierwszorzędnej angielskiej szkole średniej z internatem. Tak więc po śmierci ojca Arun i Warun nie przestali uczęszczać do St. George School, a Sawita i Lata nie zostały wypisane z St. Sophia's Convent.

Tutaj, w Brahmpurze, Kapurowie mają może rzeczywiście niezłą pozycję, należą do elity, ale gdyby tatuś żył, cała plejada wyborowych kawalerów — kwiat hinduskiej młodzieży — z najznakomitszych rodów, ubiegałaby się o rękę Sawity, a później Laty. No, przynajmniej on sam, Arun, pokonał jednak piętrzące się przed nim trudności, nie dał się przygnieść losowi i wżenił się w doskonałą rodzinę. Weźmy dla przykładu tego brata Prana, tego, co tak strzela ślipiami, z którym przedtem rozmawiała Lata. Ma podobno jakiś sklep z galanterią w Benaresie. Wielkie mi coś! Natomiast brat Minakszi — o, ten, to co innego. Studiował prawo w Lincoln's Inn, był w Oksfordzie, a w dodatku jest poetą publikującym swoje utwory. Nie ma nawet czego porównywać!

Z głębokiego zamyślenia wyrwała Aruna jego córka, która zagroziła, że jeśli nie dostanie zaraz loda, to w odwecie zacznie krzyczeć.

Wiedziała z doświadczenia, że kiedy się rozwrzeszczy, uda się jej prawdopodobnie postawić na swoim. Wystarczy nawet czasem tylko zagrozić, żeby rodzice zmiękli. Zresztą, czy to raz jedno z nich wydzierało się na drugie? A już bardzo często podnosili głos na służbę.

Lata stropiła się oświadczeniem Aparny.

— To moja wina, kochanie — powiedziała do niej. — Chodź, idziemy, zanim znowu nas coś zatrzyma. Tylko przyrzeknij, że nie będziesz płakać ani krzyczeć. Ze mną nic nie wskórasz takim zachowaniem.

Aparna, która wiedziała, że to prawda, uznała za stosowne zachować milczenie.

Ale w tym właśnie momencie z głębi mieszkania wyłonił się stremowany pan młody, ubrany na biało, z twarzą ciemną, zakrytą zwisającymi girlandami białych kwiatów; wszyscy skupili się przy drzwiach, w których miała ukazać się panna młoda, i Aparna, podniesiona do góry przez ciocię Latę, została zmuszona odłożyć jeszcze raz na później i fety, i odwety.

1.5

Jest to trochę wbrew tradycji, zauważyła w myślach Lata, że Pran nie wjechał w bramę na koniu, poprzedzany przez swego siostrzeńca, i z drużbami zamykającymi orszak weselny. W ten sposób mężczyzna przejmował zazwyczaj zwierzchnictwo nad swoją przyszłą żoną. Jednak Prem Niwas to rezydencja rodziny pana młodego. I z pewnością, gdyby tak przestrzegał wszystkich konwenansów, Arun znalazłby sobie dodatkowy powód do kpinek. W ogóle Lacie trudno było sobie wyobrazić, że mężczyzna pod festonem z tuberoz to jej wykładowca literatury epoki elżbietañskiej. Oto właśnie zawieszał wieniec z ciemnoczerwonych, wonnych róż na szyi jej siostry Sawity, a Sawita — taki sam wieniec na jego szyi. Wyglądała prześlicznie w swoim purpurowym, przetykanym złotą nicią sari i zdawała się bardzo skupiona; Lata przypuszczała, że pewnie jest bliska łez.

Głowę miała przykrytą, a wzrok wbity w ziemię (wedle pouczeń matki, bez wątplenia). Nawet w momencie, kiedy zawieszala wieniec, nie wypadalo patrzeć ostentacyjnie w twarz mężczyzny, z którym miała przeżyć resztę życia.

Po zakończeniu ceremonii powitalnej państwo młodzi wyszli na środek ogrodu, gdzie pod gołym niebem usianym gwiazdami w sprzyjającej konfiguracji wzniesione zostało specjalnie na tę okazję nieduże podium, udekorowane teraz białym kwieciem. Tutaj dwaj kapłani reprezentujący obie rodziny, a także Mrs Rupa Mehra i rodzice pana młodego zasiedli wokół niewielkiego ogniska, aby stać się świadkami zaślubin młodej pary.

Brat Mrs Riipy Mehry, z którym rodzina bardzo rzadko się widywała, już wcześniej wziął na siebie obowiązek mistrza ceremonii przy wymianie wieńców. Arun kipiał z wściekłości, że nie dopuszczono go do żadnych oficjalnych funkcji. Podczas kryzysu spowodowanego niewytłumaczalnym zachowaniem dziadka zasugerował matce, że powinni przenieść wesele do Kalkuty, ale na wszystko było już wtedy za późno i nie chciała w ogóle o tym słyszeć.

Po zakończeniu rytuału tłum gości nie zwracał już więcej uwagi na weselne obrządki. Uroczystości miały trwać przez prawie godzinę, a w tym czasie goście mogli swobodnie pochodzić sobie po ogrodzie Prem Niwas i pogadać ze znajomymi. Wśród śmiechów i wrzawy podniesionych głosów podawano sobie ręce lub też krzyżowano dłonie na czole w geście powitalnym; to tu, to tam panowie przystawali w grupkach, by podyskutować w męskim towarzystwie, panie zaś tworzyły własne kółka; zziębnięci goście ogrzewali się przy rozgrzanych, glinianych piecach koksowych, rozstawionych celowo w różnych punktach ogrodu, a para leciała im z ust przy każdym wypowiedzianym słowie; podziwiali kolorowe lampiony; uśmiechali się i zamierali w bezruchu na (wydawane po angielsku) polecenia zawodowego fotografa; wdychali głęboko zapach kwiatów oraz perfum, a także aromatycznych gorących potraw z przyprawami; politykowali i wymieniali nowinki na temat urodzin, pogrzebów i, oczywiście, co pikantniejszych skandali; pod jasno oświetlonym baldachimem w tyle ogrodu, przy zastawionych suto długich stołach biesiadnych siadali na krzesłach pozbawieni energii, ale nie dobrego apetytu. Służba, jedni w białej liberii, inni w mundurach w kolorze khaki, wnosila kawę, herbatę,

soki owocowe i przekąski dla tych, którzy stali w ogrodzie; misy i talerze nigdy nie były puste, bo wciąż wnoszono nowe dania: samosy, kaćori, laddu, gulab-dżamany, barfi, gadżak i lody, a do tego puri wraz z sześcioma rodzajami jarzyn i warzyw. Znajomi, którzy nie widywali się miesiącami, witali się gromkimi okrzykami; krewni, którzy spotykali się jedynie na weselach i pogrzebach, padali sobie w ramiona ze łzami w oczach i wymieniali najświeższe wiadomości o pociotkach i dziesiątych wodach po kisielu. Ciotka Lata z Kanpuru, przerażona ciemną karnacją pana młodego, rozmawiała z ciotką z Lakhnau o „czarnych wnuczętach Rupy”, jakby te rzeczywiście przysły już na świat. Obie rozplýwały się w zachwytach nad Aparną, która najwyraźniej miała być ostatnią wnuczką Rupy o jasnej, delikatnej karnacji; i nawet kiedy mała wpakowała sobie łyżkę pistacjowych lodów za kremowy kaszmirowy sweterek, nie zaprzestały swoich pochwał. Rozbrykana zgraja wiejskiej dzieciarni z Rudhii szalała po ogrodzie, drąc się wniebogłosy, jakby to było rodzime pastwisko.

I chociaż zamilkły dźwięki tęsknej melodii śahnai, obrzędowe śpiewy zagłuszał całkowicie beztroski gwar prowadzonych głośno rozmów.

Jednakże Lata stanęła w pobliżu i przypatrywała się uważnie z mieszaniną podziwu i konsternacji. Dwaj kapłani, rozebrani do pasa, jeden gruby, drugi raczej szczupły, obaj wyraźnie nieczuli na chłód, prześcigali się w przybieraniu egzaltowanych póz, popisując się znajomością różnorodnych wyszukanych elementów rytuału. I tak monotonnie płynęły słowa sanskrytu, a gwiazdy krążyły nieprzerwanie po swoich orbitach, nie zakłócając pomyślnych konfiguracji astralnych. Jeden z kapłanów, ten pękaty, kazał nawet rodzicom pana młodego coś za sobą powtarzać. Maheś Kapur nasrożył gniewnie oblicze i widać było, że jeszcze chwila, a wybuchnie.

Lata starała się wyobrazić sobie, o czym teraz myśli Sawita. Wydano ją za mąż za człowieka, którego w ogóle nie znała. Jak mogła na to pozwolić? Była taka łagodna, miła i ustepliwa, ale miała przecież chyba własną wolę? Lata, sama skłonna to do euforii, to do psychicznych załamania, ogromnie ją kochała i podziwiała za szlachetność serca i zrównoważenie. Próżność była czarującej Sawicie zupełnie obca — nigdy nie afiszowała się ze swoją urodą. Ale czy nie buntowała się na myśl, że nawet szukając jak najbardziej oględnych epitetów,

nie można by nazwać Prana przystojnym? Czy Sawita naprawdę wierzyła, że matka wie najlepiej? Sawita miała raczej skrytą naturę i trudno było odgadnąć, co naprawdę czuła. Natomiast z Malati można było o wszystkim szczerze porozmawiać i dlatego, odkąd zamieszkały razem w akademiku, to ona właśnie, a nie siostra, została powierniczką Lata. Malati nigdy by się nie zgodziła na takie przyspieszone swaty, choćby się przeciwko niej sprzysięgły wszystkie matki świata.

Za kilka minut Sawita wyzbędzie się dla Prana nawet swojego nazwiska. Nie będzie się już nazywać Mehra, tak jak reszta rodziny, tylko Kapur. Od Aruna, dzięki Bogu, nikt nie żądał podobnych wyrzeczeń. Lata powtórzyła kilka razy w myślach „Sawita Kapur” i doszła do wniosku, że brzmi to wręcz okropnie.

Dym z ogniska — a może pyłek kwiatowy — zadrapał Prana w gardle, tak że zaczął pokasływać, zakrywając usta dłonią. Jego matka szepnęła mu coś do ucha. Sawita również podniosła na niego oczy i obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem. Fakt, Sawita współczuła każdej cierpiącej istocie, ale w jej wzroku Lata wyczytała jakąś szczególną tkliwość, która ją strasznie rozdrażniła. Jak tak można?! W końcu Sawita poznała tego człowieka dopiero przed godziną! O! A teraz on odpowiadał jej równie czułym spojrzeniem. Tego naprawdę już za wiele!

Lata zapomniała, że zaledwie parę minut temu sama broniła Prana przed Malati, a teraz zaczęła się w nim doszukiwać samych minusów.

O, na przykład, „Prem Niwas”, żeby nie szukać daleko, to: „świątynia miłości”. Co za idiotyczna, pretensjonalna nazwa! Lata przyczepiła się do pierwszej lepszej śmieszności, buntując się w duchu przeciwko tak zaaranżowanemu małżeństwu. Za kogo oni się mają? Wmówili sobie, że są pępkiem świata. Niby z jakiej racji uzurpują sobie prawo do filozoficznych komentarzy na ten temat? Obiektywnie rzecz biorąc, scena była rzeczywiście absurdalna: siedmioro ludzi, współczesnych, z krwi i kości, i do tego całkiem niegłupich, siedziało w skupieniu wokół ogniska, intonując pieśni w martwym języku, który tylko troje z nich rozumiało. A mimo to w natłoku myśli jedna nasuwała się wyjątkowo uporczywie: „Kto wie, czy to maleńkie ognisko nie jest w istocie centrum wszechświata?”, zastanawiała się Lata. „Już choćby dlatego, że

pali się tutaj, w samym środeczku tego wonnego ogrodu, który jest w centrum Pasand Bagh, jednej z najładniejszych dzielnic Brahmipuru; a znowu Brahmipur jest stolicą stanu Parwa Pradeś, który leży w samym centrum niziny Gangesu, która znajduje się w samym sercu Indii... i tak dalej, i tak dalej..." — Myśli Laty przemierzały galaktyki, odwołując się do najgłębszych tajników wiedzy i kierując ku niedosięglym kresom wyobraźni. Nawet jeśli nie była to szczególnie odkrywczą myśl, pomogła ona Lacie zapanować nad własną irytacją, a nawet niechęcią wobec Prana.

— Mówże głośniej! Głośśniej! — zasyczał Maheś Kapur do swojej pulchnej żony, której przez to głos uwiązła dobre w gardle. — Gdyby twoja matka mamrotała tak coś do siebie pod nosem na naszym ślubie, to nigdy byśmy się nie pobrali.

Pran odwrócił się i uśmiechem starał się dodać matce odwagi. W tym momencie jego akcje, w oczach Laty, poszły, oczywiście, od razu w górę.

Maheś Kapur najeżył się, ale przez parę minut udało mu się utrzymać emocje na wodzy. Potem jednak znowu wybuchnął:

— Czy ten bełkot nigdy się już nie skończy? — warknął na kapłana reprezentującego jego własną rodzinę.

Kapłan odpowiedział łagodnie w sanskrycie, jakby błogosławił Maheśa Kapura, który z musu — acz nadal odęty i wyraźnie rozjuszony — na jakiś czas jednak zamilkł. Był wściekły z kilku powodów. Po pierwsze kłuł go w oczy widok jego głównego politycznego przeciwnika, ministra spraw wewnętrznych, rozmawiającego w najlepsze z sędziwym i zażywnym szefem rządu stanowego S.S. Śarmą. „O czym tak konferują? Na pewno znowu coś knują. Już ja ich znam”, myślał jadowicie. „To wszystko przez tę kretynkę”, obwinał gniewnie swoją żonę. „Zrzedzi i zrzedzi, i zawsze w końcu postawi na swoim. Uparła się, żeby zaprosić Agarwala, bo akurat nasze córki się przyjaźnią, chociaż wie, że cały wieczór będę miał przez to zepsuty. O, proszę, jak się od razu pokumali. Szef rządu poświęca mu całą swoją uwagę, jakby nikt inny poza nim już nie istniał. I to na moim własnym podwórku!”

Był również zły na Mrs Rupę Mehre. Podjąwszy się urządzenia wesela w swoim domu, Maheś Kapur zapalał chęcią zaproszenia na występ w Prem Niwas prześlicznej szansonistki — słynnej odtwórczyni gazeli. Było to zgod-

ne z tradycją rodzinną, ale Mrs Rupa Mehra — chociaż nie dokładała się wcale do kosztów wesela — sprzeciwiła się temu kategorycznie. Nie życzyła sobie, żeby osoba „tego pokroju” śpiewała pieśni miłosne na ślubie jej córki. Wyrażenie „tego pokroju” oznaczało jednocześnie muzułmankę i kurtyzanę.

Maheś Kapur wypowiadał swoje kwestie byle jak, a kapłan powtarzał je za nim cierpliwie.

— Prędeż, prędeż, jedźmy dalej! — popędzał go Maheś Kapur, wbijając wściekle spojrzenie w płomień ogniska.

Ale oto teraz matka, obsypując Sawitę garścią różanych płatków, przekazywała ją Pranowi i wszystkie trzy kobiety zalały się łzami.

„No nie!”, sztychł w myślach Maheś Kapur. „Chyba zaraz wygaszą ten ogień”. Obrzucił główną winowajczynię, która łkała i zawodziła najgłośniejszym z nich, oskarżycielskim spojrzeniem.

Ale Mrs Rupa Mehra zaniechała nawet upychania chusteczki w rękaw bluzki. Oczy miała podpuchnięte, a nos i policzki czerwone od płaczu. Myślała o swoim ślubie. Przywołane zapachem wody ko-loriskiej 4711 powróciły boleśnie radosne wspomnienia o jej mężu nieboszczyku. Potem zaczęła snuć refleksje na temat własnych dzieci; na temat swojej ukochanej Sawity, która już za moment okrąży to ognisko z Pranem, żeby rozpocząć życie u jego boku. „Oby tylko jej małżeństwo mogło trwać dłużej niż moje”, modliła się Mrs Rupa Mehra. „Żeby mogła włożyć swoje ślubne sari, kiedy będzie wydawać za mąż własną córkę”.

Aż wreszcie, kiedy sięgnęła myślami jeszcze dalej, przypomniał sobie o starszym pokoleniu, o swoim ojcu, z jej oczu znowu trysnęły łzy. Nie miała zielonego pojęcia, o co się mógł obrazić doktor Kiśen Ćand Seth, ten siedemdziesięcioletni już dzisiaj radiolog. Może to jego przyjaciel, Maheś Kapur, uchybił mu jakimś niebaczny słowem lub uczynkiem. Albo też zachowanie własnej córki poczytał za zniewagę. Nie dość, że uchylił się od obowiązków gospodarza, postanowił, że w ogóle nie zjawi się na ślubie swojej wnuczki, i wyjechał obrażony do Delhi „na konferencję kardiologów”, jak utrzymywał. Zabrał ze sobą drugą żonę, tę wredną Parwati, która jako kobieta trzydziesto-pięcioletnia była o pięć lat młodsza od samej Mrs Rupy Mehry.

Całkiem zresztą możliwe, że doktor Kiśen Ćand Seth po prostu sam sobie nie dowierzał. Mógł sądzić, że nie wytrzymałby napięcia, że źle by się to wszystko skończyło, i w gruncie rzeczy uciekł przed taką właśnie ewentualnością. Za dużo było na weselu pokus. Chociaż zawsze był niski i szczupły, lubił sobie dobrze podjąć; ale ze względu na kłopoty z układem trawiennym, połączone z cukrzycą, jego dieta ograniczała się teraz do jajek na miękko, słabiotkiej herbaty, wody sodowej z sokiem cytrynowym oraz herbatników ararutowych.

„Nic mnie to nie obchodzi, czy ludzie patrzą, czy nie; mam mnóstwo powodów do płaczu”, myślała buntowniczo Mrs Rupa Mehra. „Jestem dzisiaj taka szczęśliwa, a jednocześnie serce pęka mi z bólu”. Ale nie miała czasu, żeby się długo nad sobą rozczulać, bo oto młoda para okrążyła ognisko siedem razy (Sawita z głową pokornie spuszczoną i rzęsami mokrymi od łez) — i tak Pran i Sawita stali się mężem i żoną.

Kiedy kapłani zakończyli swoje krótkie rekapitulacyjne mowy, wszyscy się podnieśli. Nowożeńcy zostali odeskortowani do ukwieconej ławy, ustawionej pod drzewem harsingar o aromatycznych, szorstkich liściach i białopomarańczowych kwiatach. I — oczywiście — rodzice, a także wszyscy obecni Mehrowie i Kapurowie zostali zasypani gratulacjami niczym lawiną aksamitnych kwiatów, które spadały na ziemię o poranku.

Mrs Rupa Mehra nie posiadała się z radości. Połykała łapczywie gratulacje niczym zakazane gulab-dżamany. Zerkała trochę niepewnie na swoją młodszą córkę, która, jak się jej zdawało, śmiała się z niej z daleka. Czy może śmiała się ze swojej siostry? Tak czy owak wkrótce sama popłacze się ze szczęścia na własnym weselu. Przekona się, jak to jest!

Potulna matka Prana, komenderowana przez męża-krzykacza, prawdziwie szczęśliwa, udzieliła błogosławieństwa synowi i synowej, a potem, nie mogąc nigdzie znaleźć młodszego syna, Mana, podeszła do córki, Winy, ta zaś objęła ją ramieniem i uściskała serdecznie. Mrs Maheś Kapur, której wzruszenie odebrało chwilowo mowę, to łkała, to uśmiechała się przez łzy w milczeniu. Groźny minister spraw wewnętrznych i jego córka, Prija, dołączyli do nich na parę minut i Mrs Maheś Kapur podziękowała im ciepło za składane życzenia. Prija — która była zameżna i czuła się jak więźniarka w domu swoich te-

ściów, gdzie mieszkała: w starej, przeludnionej dzielnicy Brahmpuru — - uważała z nie ukrywaną melancholią, że ogród wygląda przepięknie. „To fakt”, myślała Mrs Maheś Kapur z cichą dumą: ogród naprawdę wyglądał przepięknie. Kremowe, pachnące gardenie pyszniły się w bujnej trawie, a oprócz tego kwitły już niektóre chryzantemy i róże. I łaska boska, że harsingar obsypany był obficie kwiatami. Nie było to, oczywiście, w żadnej mierze jej zasługą. Mityczni bogowie uważali to drzewo za cenną własność i nie raz o nie walczyli między sobą.

1.6

Jej pan i władca, minister finansów, przyjmował tymczasem gratulacje od szefa rządu stanu Parwa Pradeś, Śri S.S. Śarmy. Śar-madzi był mężczyzną słoniowatym, który wyraźnie utykał na jedną nogę, a nerwowy tik sprawiał, że bez przerwy potrząsał nieświadomie głową, co pogarszało się jeszcze, kiedy — tak jak dzisiaj — czuł się przemęczony. Kierował stanem chytrze, z mieszaniną charyzmy i tolerancji. Lokalne organy władzy zarówno ustawodawczej, jak i wykonawczej, teoretycznie podległe Delhi, ze względu na geograficzny dystans miały w praktyce pełną swobodę działania. Chociaż ani słowem nie zdradził treści swojej rozmowy z ministrem spraw wewnętrznych, nie ukrywał zadowolenia.

Zauważywszy rozwrzeszczaną wiejską dziatwę z Rudhii, zwrócił się nosowym głosem do Maheśa Kapura:

— To co? Widzę, że urabiasz sobie wiejski elektorat na zbliżające się wybory.

Maheś Kapur uśmiechnął się w odpowiedzi. Od 1937 roku zawsze stawał jako kandydat z tego samego miejskiego okręgu wyborczego w samym sercu Brahmpuru — okręgu wyborczego, w którego skład wchodziła duża część Misri Mandi, kolebka przemysłu obuwniczego miasta. Pomimo swoich posia-

dłości ziemskich i znajomości spraw rolnictwa, to on był inicjatorem projektu stanowej ustawy o uwłaszczeniu chłopów i parcelacji wielkich a nieprodukcyjnych magnackich włości: za nic nie mógłby opuścić swojej placówki, żeby stanąć w wyborach jako kandydat wiejskiego okręgu wyborczego. W odpowiedzi wskazał dłonią na swoje ubranie: elegancki czarny aćkan, który miał na sobie, obcisłe kremowe rajtuzy i przepięknie haftowane białe juti z ich wywiniętymi noskami wyglądałyby niestosownie na polu ryżowym.

— Dlaczego? W polityce wszystko jest możliwe — wycodził przez zęby Śarmadzi. — Kiedy ten twój projekt ustawy o parcelacji zamindarów zostanie zatwierdzony przez parlament, staniesz się bohaterem całego regionu. Wszystko przed tobą. Możesz się nawet dochrapać naczelnikostwa. Dlaczego nie? — powtórzył Śarmadzi wspaniałomyślnie, ale z odrobiną niepokoju w głosie. Odwrócił się i jego wzrok padł na nawaba sahiba z Bajtaru, który gładził się po brodzie i rozglądał po ogrodzie z zakłopotaniem.

— Naturalnie, przy okazji stracisz zapewne paru przyjaciół — dorzucił.

Maheś Kapur, który powiódł oczami za jego wzrokiem, nie odwracając przy tym głowy, odparł spokojnie:

— Są zamindarowie i zamindarowie. Nie wszyscy przyjaźnią się tylko z tymi, dzięki którym mogą na czymś skorzystać. Nawab sahib wie, że nie działam z niskich pobudek, tylko dla dobra ogółu. — Zamilkł na chwilę, a potem dorzucił: — Niektórzy z moich krewnych w Rudhii także stracą swoje posiadłości.

Szef rządu wysłuchał grzecznie jego wywodów, pokiwał głową, a potem zatarł zziębnięte dłonie.

— No cóż, to człowiek wielkiej prawości — powiedział dobrotliwie. — Wielkiej prawości. Podobnie jak jego ojciec.

Maheś Kapur nie skomentował tej wypowiedzi. Na ogół Śarmadzi nie wydawał pochopnych sądów, ale tym razem jego ocena robiła wrażenie wyjątkowo nieprzemyślanej. Nie było żadną tajemnicą, że ojciec nawaba sahiba, nieboszczyk nawab sahib z Bajtaru, był aktywnym członkiem Ligi Muzułmańskiej; i chociaż nie dożył utworzenia Pakistanu, temu jednemu celowi poświęcił całe swoje życie.

Wysoki, siwobrody nawab sahib zauważywszy skierowane na siebie spojrzenia, w geście grzecznego pozdrowienia przyłożył do czoła splecione dłonie, potem zaś uśmiechnął się i przechylił głowę w bok, jakby winszował swemu staremu przyjacielowi. Skierowawszy kroki w ich stronę, zwrócił się do Maheśa Kapura z pytaniem:

— Nie widziałeś gdzie przypadkiem Firoza i Imtiaz?

— Nie, nie. Ale nie widziałem również mojego syna, więc przypuszczam, że...

Nawab sahib rozłożył ręce, jakby chciał zademonstrować swoją bezradność. Po chwili powiedział:

— No, to co? Teraz, po Pranie, kolej pewnie na Mana, tak? Oj, coś mi się zdaje, że z nim nie pójdzie ci tak łatwo.

— Nie będzie miał nic do powiedzenia — odparł Maheś Kapur głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Wszcząłem już wstępne negocjacje z rodziną z Benaresu. Man nawet zna jej ojca. Pracują w tej samej branży, w przemyśle odzieżowym. Podjęliśmy kroki w tej sprawie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. No, a twoje bliźniaki? Czekasz na dwie dorodne siostry, żeby wyprawić za jednym zamachem dwa weseliska?

— Zobaczymy, zobaczymy — rzekł nawab sahib, myśląc ze smutkiem o swojej żonie, którą pochował wiele lat temu. — Inszallah, miejmy nadzieję, że już wkrótce wszyscy się jakoś ustatkują.

1.7

— No, to żeby nam się! — rzekł Man, wznosząc kieliszek scotcha w stronę Firoza, który siedział na jego łóżku z własnym kieliszkiem. — Za naszych prawników i za nasze prawodawstwo!

Imtiaz rozsiadł się w wyściełanym fotelu i lustrował w skupieniu butelczynę.

— Dziękuję — powiedział Firoz. — Byle nie za to najnowsze, bardzo proszę!

— Nie panikuj, nie panikuj, projekt ustawy mojego ojca i tak nigdy nie zostanie zatwierdzony przez parlament — odparł Man. — A nawet jeśli, to i tak zawsze będziesz bogatszy ode mnie. Spójrz tylko na mnie — dodał naprawdę ponuro. — Ja muszę zarabiać na życie.

Ponieważ Firoz był prawnikiem, a jego brat lekarzem, nie można ich było zaliczyć do warcholskiej arystokracji.

— A wkrótce — ciągnął Man — jeśli mój ojciec dopnie swego, będę musiał zapracować na dwie osoby. A potem na całą rodzinę. O Boże!

— Jak to? Ojciec chce cię ożenić? — dopytywał się Firoz, częściowo ubawiony, częściowo zde gustowany.

— No cóż, od dzisiaj koniec z wykrętami i unikami — powiedział Man niepoczyszony. — Napij się jeszcze.

— Nie, dziękuję, mam jeszcze pełno — odparł Firoz. Nie stronił od kieliszka, ale miał przy tym zawsze wyrzuty sumienia. Jego ojciec potępiłby go jeszcze surowiej niż ojciec Mana. — No więc, kiedy dostąpisz tej łaski? — zapytał niepewnie.

— Bóg jeden wie. Na razie wszystko jest w stadium pertraktacji — wyjaśnił Man.

— Przechodzi właśnie przez pierwsze czytanie — wtrącił Imtiaz.

Nie wiadomo, dlaczego Mana bardzo to rozbawiło.

— Właśnie, właśnie! Przez pierwsze czytanie! — powtórzył rozweselony. — No cóż, miejmy nadzieję, że trzeciego czytania nie będzie! A nawet jeśli tak, to że prezydent skorzysta z prawa weta. — Zaśmiał się i pociągnął dwa duże łyki. — No, a co z twoim ożenkiem? — zwrócił się do Firoza.

Firoz umknął spojrzeniem — rozglądał się po pokoju. Był on równie goły jak wszystkie inne pokoje w Prem Niwas: wystrojem przypominały biurowe lokale, jakby lada chwila miały się do nich zwalić hordy wyborców i petentów.

— Ha, ha! Dobrze sobie! Z moim ożenkiem?! — rzucił wymijająco.

Man skinął głową energicznie, jakby oczekiwał wyczerpującej odpowiedzi.

— Zejdźmy, proszę, z tego tematu — rzekł Firoz.

— Niby dlaczego? Gdybyś poszedł do ogrodu, zamiast pić tutaj w samotności...

— W samotności! A wy to co?

— Nie przerywaj! — powiedział Man, otaczając go ramieniem.

— Gdybyś poszedł do ogrodu, zaraz by się koło ciebie zakręciły najfajniejsze dziewczęta. I te do wzięcia, i te nie do wzięcia. Z twoim wyglądem, bracie. Z twoim szykiem! Lgnęłyby do ciebie jak pszczoły do kwiatu lotosu. Hej, ty tam, kędzierzawy przystojniaku! Będziesz mój?

Firoz zaczerwienił się po uszy.

— Położyłeś całą metaforę — powiedział. — Mężczyźni to pszczoły, a kobiety to kwiaty lotosu.

Man zacytował zwrotkę z urdyjskiego gazelu o tym, jak myśliwy może się przemienić w łowną zwierzynę, co ogromnie rozbawiło Imtiaz.

— Aaaa! Zamknijcie się już obaj — rzekł Firoz, starając się za wszelką cenę nadać swojej twarzy surowy wyraz; miał dość tych żarcików.

— Idę na dół. Abba będzie zachodził w głowę, gdzie nas licho poniosło. I twój ojciec też. A poza tym musimy się dowiedzieć, czy twój brat jest już oficjalnie żonaty... i czy naprawdę masz teraz prześliczną szwagierkę, która będzie ukrócała twoje wybryki.

— No dobrze już, dobrze. Idziemy na dół! — powiedział Man jowialnie. — Może jednak przyłgną do nas jakieś pszczołki. A jeśli któraś użądli nas w samo serce, to mamy tu na miejscu doktora sahiba, który zaraz znajdzie na to odpowiedni balsam. Prawda, Imtiaz? Wystarczy przyłożyć do rany płatek róży, nie mam racji?

— O ile nie ma przeciwwskazań — odparł Imtiaz najzupełniej poważnie.

— Nie ma absolutnie żadnych przeciwwskazań — zaśmiał się Man i poprowadził ich schodami w dół.

— Śmieję się, śmieję — mruknął Imtiaz — ale niektórzy ludzie są uczuleni nawet na płatki róży. Nawiasem mówiąc, jeden przyczepił ci się właśnie do czapki.

— Co ty powiesz! — zawołał Man. — Skąd się tyle tego bierze?

— Któż to zgadnie? — odpowiedział filozoficznie Firoz, który schodził tuż za nim i delikatnie strzepnął mu z czapki różany ornament.

1.8

Ponieważ nawab sahib pod nieobecność synów czuł się w nieznanym towarzystwie wyraźnie obco, córka Maheśa Kapura, Wina, wciągnęła go do rozmowy w swoim rodzinnym gronie. Zaczęła go wypytywać o najstarszą córkę — Zainab — z którą się przyjaźniła w dzieciństwie, ale która po wyjściu za mąż zniknęła w świecie pardy. Leciwy pan mówił o niej raczej z rezerwą, za to o dwójce jej dzieci z wyraźną rozkoszą. Tylko i wyłącznie jego wnuczeta miały prawo pałętać się po bibliotece nawet wtedy, kiedy akurat tam pracował. Ostatnio jednak wspaniały dwór, Baitar House (do którego z Prem Niwas było zaledwie parę minut drogi spacerkiem), zaczął jakoś podupadać, a biblioteka również przy tym ucierpiała.

— Robactwo wszystko poniszczyło, wiesz — rzekł nawab sahib. — Mole. Potrzebuję pomocy przy katalogowaniu. To gigantyczne zadanie, bardzo znużająca robota, a do tego często wręcz przygnębiająca. Poginęły prawdziwe białe kruki, niektóre wczesne wydania Ghaliba, a także bezcenne manuskrypty naszego poety, Masta. Mój brat wywiózł ze sobą do Pakistanu mnóstwo książek, nie sporządziwszy przy tym uprzednio żadnego inwentarza...

Teściowa Winy, starsza pani Tandon, o zwiędłej, wyniszczonej cerze wzdrygnęła się na dźwięk słowa „Pakistan”. Trzy lata temu cała jej rodzina musiała uciekać z Lahaur, aby uniknąć pożogi, rzezi i koszmarnego terroru; takich doświadczeń nie była w stanie wyrzucić z pamięci. Niegdyś należeli do ludzi zamożnych, do „posiadaczy”, ale stracili prawie wszystko, co posiadali, i poczytywali sobie za łaskę losu fakt, że w ogóle uszli z życiem. Jej syn, Kedarnafh, mąż Winy, nadal nosił na rękach blizny po ataku rebeliantów na jego uchodźczy konwój. Wielu z jego przyjaciół zginęło w krwawych starciach.

„Młodzi”, myślała Mrs Tandon z goryczą, „są bardzo elastyczni”. Jej wnuczek, Bhaskar, był wówczas, oczywiście, dopiero sześciolatkiem pędrakiem;

ale nawet Wina i Kedarnath nie poddawali się goryczy, jakby zostawili po prostu za sobą tę bolesną przeszłość, i po powrocie do rodzinnego miasta Winy, Brahmpuru, Kedarnath ustawił się jakoś pomaleńku, chociaż — niestety — akurat w jednej z najbardziej nieczystych branży handlowych — obuwnictwie. Mrs Tandon nie potrafiła się pogodzić z tą destrukcyjną społeczną degrengoladą. Gotowa już była nawet tolerować rozmowę z nawabem sahibem, chociaż to muzułmanin, ale na samo wspomnienie o podróżach do Pakistanu zrobiło się jej niedobrze. Senne pogaduszki w brahmpurskim ogrodzie bębniły jej teraz w uszach niczym wycie żądnego krwi tłumu na ulicach Lahaur, a światła jarzyły się jak pożary. Po kilka razy na dzień, bezustannie, wracała myślami do swego ojczystego miasta, gdzie kiedyś miała własny dom. Przed tą straszliwą wojenną zawieruchą było tam naprawdę prześlicznie. Zanim doszło do tej potwornej katastrofy, czuła się w swoim domu swojsko i bezpiecznie, aż utraciła go na zawsze.

Nawab sahib niczego nie zauważył, za to rozterka teściowej nie uszła uwagi Winy, która natychmiast zmieniła temat, chociaż mogło to zostać uznane za całkowity brak dobrego wychowania.

— A gdzie jest Bhaskar? — zwróciła się do męża.

— Nie mam pojęcia, gdzie się ta mała żaba zapodziała — odparł Kedarnath. — Ostatnio kręciło się toto koło jedzenia.

— Nie mów tak o nim — zwróciła mu uwagę Wina. — Przecież to twój syn. Jeszcze się to na nim jakoś ujemnie odbije...

— Ja tego nie wymyśliłem, tylko Man. Ale dobrze, nie będę go już tak nazywał, skoro masz obiekcje. — Kedarnath, który lubił być trochę pod pantoflem, odpowiedział na uwagę żony z uśmiechem.

Żeby zażegnać ewentualną sprzeczkę, Wina odciągnęła teściową na bok i rzeczywiście zaczęła szukać syna. Wreszcie udało się im znaleźć Bhaskara. Nie jadł nic, tylko po prostu stał z głową zadartą w górę, wpatrując się z widocznym niekłamanym zachwytem w precyzyjne, geometryczne wzory — czerwone romby, zielone trapezy, żółte kwadraty i niebieskie trójkąty — z których uszyty był wielki, kolorowy, rozpostarty nad stołami z jedzeniem baldachim.

1.9

Wreszcie tłum się przerzedził; wielu gości, ten i ów żując pan, zmierzało już w stronę bramy; obok ławy, gdzie siedzieli przedtem Pran i Sawita, wyrósł wielki kopiec prezentów. Wreszcie zostali tylko młodzi małżonkowie, paru członków rodziny, a także ziewająca służba, z której jedna część zajęta była wnoszeniem na noc do domu co cenniejszych mebli, a druga pakowaniem w kufer prezentów pod baczным okiem Mrs Rupy Mehry.

Nowożeńcy zdawali się zatopieni we własnych myślach. Starali się nie patrzeć na siebie. Mieli spędzić noc w pieczołowicie przygotowanym na tę okazję pokoju w Prem Niwas, a jutro wyjechać na tydzień w podróż poślubną do Simli.

Lata starała się wyobrazić sobie ten pokój państwa młodych. Pewnie pachniał tuberozami; tak przynajmniej utrzymywała głęboko o tym przekonana Malati. „Tuberozy już zawsze będą mi się kojarzyły z Pranem”, myślała Lata. Starła się przykrócić wodze fantazji. Jak to? Więc Sawita wejdzie dzisiaj do łóżka z Pranem? Ohyda.

Nie mogła się w tym dopatrzeć ani odrobiny romantyzmu. „Może będą za bardzo zmęczeni”, pocieszała się w myślach.

— O czym tak rozmyślasz, Lata? — zapytała ją matka.

— O niczym — odparła Lata jak automat.

— Znowu coś tam sobie ukartowałaś w tej swojej głowie. Już ja cię znam.

Lata oblała się rumieńcem.

— Nie chcę wyjść za męż. Nigdy! Nigdy! — wykrzyknęła z emfazą.

Mrs Rupa Mehra ledwie żywa od nadmiaru wzruszeń, rozczulona lawiną gratulacji, przejęta wersetami sanskrytu, krótko mówiąc roztrzęsiona i wyczerpana po weselu, nie miała siły, żeby się wdawać w dyskusje. Co, u licha, wstąpiło w tę dziewczynę? W końcu co dobre dla matki, dla babki i prababki, to dobre i dla niej. Czy ona tego nie rozumie? Ale z Laty zawsze był taki

uparciuch. Jak się zawezmie, to nie ma na nią rady. Niby cicha, a nieustępliwa. I zawsze ma jakieś szalone pomysły; tak jak wtedy, w St. Sophia, wbiła sobie w głowę, że zostanie zakonnica! Ale Mrs Rupa Mehra też na pewno nie da za wygraną! O, nie! Postawi na swoim! Przełamie ten upór, chociaż nie będzie to łatwe zadanie. Co do tego nie miała żadnych złudzeń.

I skąd się to u niej bierze? Przecież nosi takie symboliczne imię: „Lata” — „dzikie wino”, a to jedna z najbardziej przyklepnych roślin. A dlaczego? No bo najpierw miała lgnąć do rodziny, potem do męża. I rzeczywiście, w czasach niemowlęcych paluszki Lata czepiały się matki mocnym uściskiem, który nawet teraz Mrs Rupa Mehra wspominała z niegasnącą czułością. I nagle wyrzuciła z siebie jak natchniona:

— Lata, musisz lgnąć do swego przyszłego męża niczym dzikie wino! Nadaremnie.

— Lgnąć? — powtórzyła Lata. — Lgnąć?

W jej głosie słyhać było taką cichą wzgardę, że matce nie udało się powstrzymać potoku łez. Co za niewdzięczna córka! Jak to boli! I jak trudno przewidzieć, co wyrośnie z takiego niewinnego oseska.

Mrs Rupa Mehra płakała teraz rzewnie to nad jedną córką, to nad drugą. Przytuliła Sawitę do swojej piersi i zawodziła żałośnie na cały głos.

— Pisz do mnie, Sawito, moja ukochana córeńko — zaszłochała.

— Pisz do mnie codziennie z Simli. Pran, jesteś teraz właściwie moim trzecim synem. Dopilnuj, żeby do mnie codziennie pisała. Liczę na ciebie. Niedługo wyjadę do Kalkuty i zostanę zupełnie sama... zupełnie samiuteńka.

Nie było w tym oczywiście ani ździebełka prawdy. Wręcz przeciwnie: cała rodzina — Arun, Warun, Minakszi, Aparna, a także ona sama — gnieździła się w ciasnym mieszkanku Aruna w Sunny Park. Ale Mrs Rupa Mehra była osobą, która podświadomie, za to z niezachwianą pewnością, wierzyła w prymat prawdy subiektywnej nad obiektywną.

Tonga toczyła się, skrzypiąc, po ulicy, a tonga-wallah wyśpiewywał:

— O, serce mi się kraje; o, z piersi wyrwać się chce...
Warun zaczął również podśpiewywać do taktu, najpierw cichutko, pod nosem, potem głośniejsze, ale w końcu zamilkł.

— Nie przerywaj sobie — powiedziała Malati, trącając Latę łokciem w bok. — Masz ładny głos. Jak perski słowik, bulbul. — A Lacie szepnęła na ucho: „Z takim głosem to tylko do baletu”.

Warun parsknął nerwowym śmiechem i natychmiast uznał, że zabrzmiało to nader żałośnie, więc usiłował zatuszować swój chichot, chrząkając ponuro, ale wyszło to w sumie do kitu i miał wrażenie, że zrobił z siebie idiotę. Zielone oczy i sarkazm Malati — bo cóż innego mogło to być, jak nie sarkazm? — onieśmiały go chorobliwie.

Siedzieli w tondze ściśnięci: z przodu, obok woźnicy, Warun, z małym siostrzeńcem Prana, Bhaskarem, a Lata i Malati, obie ubrane w śalwar-kamiz, oraz Aparna w sukieneczce i poplamionym lodami sweterku, plecami do nich, z tyłu. Był słoneczny, zimowy poranek.

Stary tonga-wallah w białym turbanie lubił poganiać konia na szerokich ulicach w tej części miasta, mniej zatłoczonych niż wąziutkie zaułki starej dzielnicy, gdzie trudno się było przebić przez ludzką ciżbę i sznury pojazdów. Cmokał na swoją szkapę, przynaglając ją do pośpiechu.

Teraz Malati też zaczęła nucić popularne przeboje filmowe. Nie zamierzała wcale deprimować Waruna; po prostu przyjemnie było rozmyślać sobie o złamanym sercu w taki śliczny, bezchmurny poranek.

Warun nie dołączył do niej. Ale po jakimś czasie zdobył się na odwagę i rzekł, odwracając się za siebie:

— Masz... prześliczny głos.

Nie kłamał. Malati kochała muzykę, uczęszczała na lekcje śpiewu do Ustada Madżida Chana, jednego z najznakomitszych śpiewaków w północnych Indiach. Kiedy mieszkały razem w akademiku, udało się jej nawet zainteresować Latę klasyczną muzyką hinduską. Lata często łapała się na tym, że podśpiewuje melodię którejś z jej ulubionych rag.

Malati nie zignorowała uwagi Waruna.

- — Naprawdę tak uważasz? — spytała, odwracając się po to, żeby spojrzeć mu głęboko w oczy. — Dziękuję za ten przemiły komplement.

Warun, speszony jej czarującym spojrzeniem, zaniemówił na parę minut. Ale kiedy przejeżdżali obok brahmpurskiego toru wyścigowego, chwycił woźnicę za ramię i krzyknął:

— Stań tutaj!

— Co się stało? — spytała Lata.

— O, nic takiego... nic takiego... Jeśli nam się spieszy, to możemy jechać dalej.

— Nie, dlaczego, nikt nas przecież nie pogania, Warun bhai — powiedziała. — W końcu to tylko wycieczka do zoo. Zrobimy sobie tutaj postój, jeśli chcesz.

Zeskoczyli z dwukółki, a Warun, wyraźnie podekscytowany, podbiegł do białego ogrodzenia i stanął jak wryty.

— To jeden z dwóch torów wyścigowych w Indiach, które biegną w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara — wydusił właściwie sam do siebie, osłupiały ze zdumienia. — Podobno wzorowany na Derby. Drugi taki jest w Lakhnau — dorzucił tonem wyjaśnienia, znalazłszy przypadkowego słuchacza w osobie kilkuletniego Bhaskara, który stanął akurat obok niego.

— A co to za różnica? — spytał rezolutnie Bhaskar. — Przecież dystans i tak zawsze jest ten sam, niezależnie od tego, w którą stronę się biegnie. Prawda?

Warun pominął milczeniem komentarz Bhaskara. Zamyślony, zaczął posuwać się powolutku wzdłuż ogrodzenia, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, aż prawie zarył nogami w ziemię.

Dogoniła go Lata.

— Warun bhai... — zaczęła nieśmiało.

— Eee... Co? Słucham?

— Wiesz, wczoraj wieczorem...

— Wczoraj wieczorem? — Powrót na ziemię, do świata dwunożnych istot ludzkich, kosztował Warana wiele wysiłku. — A co się takiego stało wczoraj wieczorem?

— Nasza siostra wyszła za mąż.

— A... to... Oczywiście, przecież sam to wiem — powiedział. A potem, na dowód przytomności umysłu, dorzucił: — Sawita — jakby pragnął tym zademonstrować, że stoi mocno obiema nogami na ziemi.

— No więc — rzekła Lata — zauważyłam, że Arun bhai znęca się nad tobą psychicznie. Nie pozwól mu tak sobą pomiatać. — Przestała się uśmiechać i patrzyła na niego prawie surowo. — Nienawidzę tego, Warun bhai. Nie mogę patrzeć, jak on się tak na tobie wyżywa. Nie namawiam cię, żebyś go policzkował albo pyskował ordynarnie, nic z tych rzeczy, tylko nie daj sobie zalać sadła za skórę... Bo przecież widzę, że cię to rani.

— Ale nie, nie... to nic takiego — zaproponował niepewnie Warun.

— To, że jest od nas o parę lat starszy, nie daje mu wcale prawa, żeby nas karcił i łąjał jak ojciec, nauczyciel albo jakiś wojskowy kapral.

Warun przytaknął jej bezradnie, wiedząc doskonale, że dopóki mieszka u starszego brata, musi być posłuszny jego woli.

— Tak czy owak, uważam, że powinieneś uwierzyć w siebie i uodpornić się na jego docinki — ciągnęła Lata. — Arun bhai prze poprzez życie jak walec drogowy. Trzeba mu się usuwać z drogi, bo inaczej zgniecie nas doszczętnie, na miazgę. Nawet i mnie dał się we znaki, chociaż nie mieszkam z wami w Kalkucie. Musiałam ci to powiedzieć właśnie teraz, ponieważ w domu prawie nigdy nie mam okazji porozmawiać z tobą na osobności. A jutro już wyjeżdżasz.

Lata wiedziała, co mówi, z własnego doświadczenia, i Warun w duchu przyznawał jej rację. Aruna nietrudno było wyprowadzić z równowagi, a wówczas nie liczył się ze słowami. Kiedy Lata, jeszcze w czasach szkolnych, wbiła sobie do głowy, że chce zostać zakonnice (przekonana święcie, że ma do tego powołanie), Arun, po kilku nieudanych próbach odwiedzenia jej od tego zamiaru, wypalił z grubej rury: „A rób sobie zresztą, jak chcesz. Pociąga cię mnisi habit, uparłaś się, żeby zrujnować sobie życie, to proszę bardzo. Może to i nawet dobrze się składa, bo wątpię, żeby ktokolwiek chciał się z tobą ożenić; wyglądasz jak chodząca Biblia, płaska z przodu i płaska z tyłu”. Lata błogosławiła niebiosą, że nie musi studiować na uniwersytecie w Kalkucie; dzięki temu przez większą część roku nie była narażona na podobne ko-

mentarze Aruna. I chociaż obecnie tamte słowa straciły już aktualność, w sercu Lata do tej pory pozostała bolesna zadra.

— Szkoda, że nie mieszkasz z nami w Kalkucie — rzekł Warun.

— Ale przecież na pewno masz tam swoje własne towarzystwo... — powiedziała Lata.

— No, wiesz, jak to jest. Arun bhai i Minakszi bhabhi często spędzają wieczory poza domem, a ja muszę się wtedy zajmować Aparną — rzekł Warun, uśmiechając się raczej blado. — Ale mnie to nie przeszkadza. Naprawdę — dodał szybko, garbiąc się.

— Warun, tak dalej być nie może — oznajmiła Lata. Ścisnęła go mocno za ramię i powiedziała: — Musisz spotykać się ze swoimi przyjaciółmi, z ludźmi, których naprawdę lubisz i którzy są ci życzliwi, przynajmniej dwa razy w tygodniu! Wymyśl coś. Powiedz im, że wychodzisz na trening, czy coś takiego.

Nieważne, że to kłamstwo. Tym się Lata zupełnie nie przejmowała. Wiedziała tylko, że musi mu jakoś pomóc. Nie była jednak pewna, czy Warun będzie umiał postawić na swoim. Martwiła się o niego. Był taki spięty. Bardziej jeszcze niż parę miesięcy temu, kiedy widzieli się ostatnim razem. Zauważyła to już wczoraj, na weselu.

Nagły, przeciągły gwizd parowej lokomotywy wystraszył biedną szkapinę przy dwukółce.

— Dziwne — rzekł Warun sam do siebie, zaskoczony. Poklepał konia, kiedy wrócili do tongi. — Daleko stąd do dworca? — zapytał woźnicę.

— A gdzie tam daleko! O, tam zara macie, panie, dworzec — rzekł woźnica, wskazując od niechcienia na zabudowany teren leżący po drugiej stronie ładnie utrzymanego ogrodu, który był częścią toru wyścigowego. — Niedaleczko od zoo.

„Ciekaw jestem, czy daje to większe szanse koniom lokalnym”, deliberował w myślach Warun. „Czy inne rzucają się do ucieczki?”

I czy bierze się to pod uwagę przy ustalaniu stawek?”

1.11

Kiedy dotarli do zoo, Bhaskar i Aparna uprosili dorosłych, żeby pozwolono im pojeździć kolejką dla dzieci, która, jak zauważył Bhaskar, również posuwała się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Po przejażdżce tongą Lata i Malati miały ochotę na spacer po parku, ale zostały przełożowane. Tak więc cała piątka, stłoczona ramie przy ramieniu, usadowiła się w niewielkim, czerwonym jak skrzynka pocztowa wagoniku, podczas gdy maleńka, zielona, parowa lokomotywa sapała na torze kolejowym o szerokości jednej stopy. Warun i Malati siedzieli tym razem naprzeciwko siebie, stykając się kolanami. Ta sytuacja bawiła wprawdzie pewną siebie Malati, ale peszyła nieśmiałego Waruna, tak że biedny chłopak nie wiedział, gdzie oczy podziać. Najpierw przyglądał się desperacko żyrafom, a później gapił się na grupkę zadowolonych sztubaków. Niektóre dzieci lizały wielkie szpule różowej cukrowej waty. Na ten widok Aparnie oczy zaczęły wychodzić z orbit, a ślinka pociekła do ust.

Ponieważ Bhaskar miał lat dziewięć, a Aparna była od niego trzy razy młodsza, nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Przyłgnęli zatem do swoich ukochanych dorosłych. Aparna, wychowywana przez rodziców na „młodą damę z wyższych sfer”, zawsze darzyła Latę zaufaniem i w jej towarzystwie nie pozwalała sobie na zwykłe kaprysy. „Panowie” też znaleźli szybko wspólny język, od momentu kiedy Bhaskarowi udało się wciągnąć Waruna w dyskusję na temat obliczania stawek w gonitwach konnych.

Obejrzelili słonia, wielbłąda, australijskiego strusia, nietoperza, brązowego pelikana, czerwonego lisa, a także wszystkie duże drapieżniki z rodziny kotów. Uwagę ich przykuł jednak szczególnie średniej wielkości kocur — nakrapiany w czarne ciapki leopard, który kręcił się niespokojnie po swojej klatce, przemierzając ją wzdłuż i wszerz.

Ale główną atrakcją był pawilon gadów. Dzieci chciały koniecznie zobaczyć gniazdo węży, pełne niemrawych pytonów, oraz szklane tanki z kłębowiskiem jadowitych żmij, a także te, gdzie trzymano kobry i daszniki. No i, oczywiście, zimnokrwiste, opancerzone łuską krokodyle, na których grzbiety

część dzieci ze szkolnej wycieczki rzucała drobne monety; za ich przykładem poszła również gromadka rozbawionych wieśniaków. Byli jednak wśród zwiedzających i tacy, którzy — pochyleni nad balustradą — trzęśli się ze strachu, wydając okrzyki grozy i pokazując sobie palcami leniwie rozwarte w dole zębate paszcze. Na szczęście Warun był w nastroju na taki mrozący krew w żyłach spektakl i zabrał dzieci do środka — bo Lata i Malati odmówiły dalszej eksploracji.

— Jako studentka medycyny mam i tak na co dzień do czynienia z różnymi ohydztwami — wyjaśniła Malati.

— Proszę, nie naigrawaj się tak z Waruna — powiedziała po jakimś czasie Lata.

— O! Aleja wcale nie miałam zamiaru się z niego naigrawać — zaprotestowała Malati. — Przecież słuchałam uważnie, co do mnie mówi. — Zaśmiała się. — Niech się przyzwyczajają; wyjdzie mu to na dobre.

— Hm... Ale on to sobie wszystko bardzo bierze do serca. Mówię ci.

— Strasznie jesteś opiekuńcza w stosunku do swojego starszego brata.

— To nie jest... a, rozumiem... no tak, mój młodszy starszy brat. No cóż, nie mam młodszego brata, więc pewnie dlatego to jemu przypadła w udziale ta rola. Nie, ale poważnie, Malati, naprawdę martwię się o niego. I mama też. Za parę miesięcy kończy studia, a potem co? Nie wybija się w żadnej dziedzinie. A Arun wyżywa się na nim potwornie. Chciałabym, żeby zainteresowała się nim jakaś miła dziewczyna.

— A ja, to co? Niby dlaczego ja nie mogłabym być tą dziewczyną? Muszę przyznać, że nawet ma w sobie coś. Trzeba się litować nad zwierzętami. He, he, he — Malati przedrzeźniała śmiech Waruna.

— Przestań błaznować, Malati, nie wygłupiaj się. Nie wiem, jak by się na to zapatrywał sam Warun, ale moja matka z pewnością dostałaby ataku apopleksji — rzekła Lata.

Lata nie myliła się w tej ocenie. Chociaż i tak, na szczęście, ze względu na warunki geograficzne była to propozycja nie do przyjęcia, to już sama myśl o tym przyprowadziłaby Mrs Rupę Mehrę o palpitację. Nie dość, że Malati Triwedi była jedną z bardzo nielicznych dziewcząt w zdominowanym przez płęć męską Prince of Wales Medical College, to znana była przy tym ze swoich bar-

dzo śmiałych poglądów, z członkostwa w Partii Socjalistycznej, a także z licznych romansów — chociaż pogardzała chłopakami z własnego wydziału i żaden z jej pięciuset kolegów medyków nie dostał jeszcze zaszczytu, aby stać się jej amantem.

— Przesadzasz chyba. Twoja mama bardzo mnie lubi. Czuję to — powiedziała Malati.

— To nie ma nic do rzeczy, sama wiesz — odparła Lata. — To w ogóle cud, że rzeczywiście darzy cię sympatią. Zazwyczaj bierze pod uwagę, kto ma na kogo jaki wpływ. Aż dziw, że się nie boi, że mnie zdemoralizujesz.

Ale Mrs Rupa Mehra patrzyła na to zupełnie inaczej. Z St. Sophii Lata wyłoniła się jak nieopierzone pisklę, a przy Malati nabrała pewności siebie. A poza tym to właśnie Malati udało się przekonać Latę do klasycznej muzyki hinduskiej, którą — w przeciwieństwie do gazeli — Mrs Rupa Mehra uznawała za wartościową. Dziewczęta zostały współlokatorkami tylko dlatego, że uniwersytet wyraził zgodę — w ramach specjalnej umowy — na zakwaterowanie w swoich akademikach nielicznej grupki studentek państwowej wyższej szkoły medycznej, potocznie zwanej nadal „akademią królewską”.

Malati miała w sobie wiele wdzięku, ubierała się konserwatywnie i elegancko i umiała porozmawiać z Mrs Rupą Mehra na każdy temat: od religijnych postów czy też przepisów kulinarnych poczynając, a na genealogii kończąc; znała się więc na rzeczach, do których jej własne, wychowane na modłę zachodnią dzieci nie miały nigdy żadnego zacięcia. Podświadomie Mrs Rupa Mehre imponowało również pochodzenie, wmówiła sobie bowiem, że z jasną karnacją i zielonymi oczyma Malati musi mieć w sobie krew kaszmirską albo sindyjską, chociaż jak dotąd nie udało się jej znaleźć na to żadnych dowodów.

Lata i Malati nigdy właściwie o tym nie rozmawiały, ale łączyło je również poczucie sieroctwa po śmierci ojca.

Malati straciła swego ukochanego ojca, chirurga z Agry, w wieku ośmiu lat. Był wziętym specjalistą z długoletnią praktyką, a do tego bardzo przystojnym mężczyzną, który obracał się w doskonałym towarzystwie. Przez jakiś czas pracował jako lekarz wojskowy, między innymi w Afganistanie; wykładał w Lakhnau w akademii medycznej; miał również prywatną praktykę. I

choć nigdy nie liczył się właściwie z pieniędzmi, zostawił po sobie spory majątek, głównie w nieruchomościach. Co pięć lat pakował manatki i przeniósł się do innego miasta w U. P. — Miratu, Bareilly, Lakhnau, Agry. Gdziekolwiek się osiedlał, budował dom, nie pozbywając się przy tym poprzedniego. Po jego śmierci matka Malati pograżyła się na dwa lata w bezbrzeżnej rozpacz.

W końcu jednak wzięła się w garść, świadoma, że odtąd sama musi stawić czoło przeciwnościom losu. Znalazła zresztą oparcie w bardzo licznej, a przy tym kochającej rodzinie. Była kobietą prostolinijną, rzeczową, zdolną do poświęceń i zawsze kierowała się tym, co w swoim własnym sumieniu uznawała za słuszne, bez względu na doraźne zyski, korzyści materialne albo poklask. Pragnęła również wpoić te zasady swoim dzieciom — to postawiła sobie za cel.

A co to była za rodzina! — prawie same dziewczyny. Najstarsza to prawdziwy urwipoleć. Kiedy zmarł jej ojciec, była już — w wieku lat szesnastu — mężatką i mieszkała z mężem (synem miejscowego ziemianina, pana rozległych włości) oraz dwudziestoosobową służbą w okazałym dworze otoczonym sadem liczący, położonym około dwudziestu mil od Agry, ale nawet po ślubie dużo czasu — po kilka miesięcy w roku — spędzała w rodzinnym domu, w towarzystwie swoich młodszych sióstr. Po tej pierworodnej córce przyszło na świat dwóch chłopców, ale obaj zmarli w dzieciństwie, jeden w wieku lat pięciu, drugi trzech. Po nich zjawiała się Malati, która była o osiem lat młodsza od swojej siostry. I chociaż od wczesnych lat dziecięcych była bardziej zrównoważona niż jej szalona siostrzyca, ona również chowała się, jak przystało na chłopaka. Złożyło się na to wiele czynników: spojrzenie z natury miała zuchwałe, sylwetkę chłopięcą, a w dodatku pod ręką zawsze były chłopięce ubranka po zmarłych braciszkach, z których śmiercią rodzice Malati nie potrafili się pogodzić. Następnie — rok po roku — urodziły się trzy dziewczynki, a potem, tuż przed śmiercią ojca, jeszcze jeden chłopiec.

Tak więc Malati wychowywała się w domu kobiet; nawet jej najmłodszy braciszek, ze względu na swój wiek, był traktowany jak dziewczynka. (Po jakimś czasie, być może przemęczony tym kryzysem tożsamości, i on podążył za swoimi braćmi). Dziewczęta wzrastały w atmosferze nieufności do męż-

czynn, gdyż wielu z tych, z którymi stykała się Malati, byli to ludzie bezwzględni i pazerni. Ale pamięć o ojcu była dla niej świętością. Malati postawiła sobie za cel, że zostanie lekarzem. Chciała iść w ślady ojca, kontynuując tradycję rodzinną.

A kim byli ci mężczyźni, którzy zawiedli jej zaufanie? Jednym z nich był kuzyn, który ograbił je ze wszystkich zgromadzonych przez ojca przedmiotów, zmagazynowanych po jego śmierci w przechowalni. Matka Malati gardziła zbytkiem, ograniczyła więc teraz wydatki do rzeczy niezbędnych do życia. Nie trzeba już było prowadzić dwu kuchni: jednej hinduskiej, a drugiej europejskiej. Przedmioty luksusowe, takie jak porcelanę i eleganckie srebra stołowe, przechowywała w magazynie. Kuzyn przyszedł, wziął od pogrążonej w żałobie kobiety klucze, obiecał, że wszystkim się zajmie i ogołocił cały skład. Matka Malati nie zobaczyła z tego nigdy ani jednej rupii, ale przyjęła niemłą wiadomość ze stoickim spokojem.

— No cóż — powiedziała tylko — ubyło mi w ten sposób parę grzechów.

Drugim kanciarzem był służący, który pełnił rolę pośrednika przy sprzedaży domów. Wszedł w konszachty z agentami nieruchomości, a także kilkoma ewentualnymi kupcami w miastach, gdzie znajdowały się ojcowskie rezydencje, i na własną rękę dobijał z nimi targu. Miał zresztą reputację oszusta.

Młodszy brat jej ojca, który sprowadził sobie do domu w Lakhnau kochankę, płatną tancerkę, i mieszkał z nią na piętrze, podczas gdy jego żona rezydowała na parterze, również bardzo chętnie by ich wykołował, gdyby tylko mógł, przy sprzedaży tej posiadłości. Potrzebował pieniędzy, żeby móc utrzymać tę swoją metresę.

Jeszcze później miały przykre przejścia z pewnym — dwudziestosześcioletnim, więc jeszcze niestarym — nauczycielem akademickim, który prowadził rozwiązły tryb życia. Mieszkał na dole, w wynajętym pokoju, kiedy Malati miała lat piętnaście. Jej matka chciała, żeby córka uczyła się angielskiego, więc, pomimo iż był kawalerem, wysyłała ją do niego na korepetycje, nie przejmując się zgorszeniem ani też plotkami sąsiadów, którzy — oczywiście — od razu wzięli dziewczynę na języki. Jak się jednak okazało, w tym przypadku może to i sąsiedzi mieli właśnie rację, ponieważ uwodziciel zakochał

się do szaleństwa w Malati i poprosił matkę o jej rękę. Ta zaś zapytała, naturalnie, o zdanie w tej sprawie samą Malati, która — zdumiona i zaszokowana — odmówiła nieodwołalnie i kategorycznie.

Zarówno na akademii medycznej w Brahmpurze, jak i wcześniej, w klasie biologiczno-chemicznej w szkole średniej w Agrze, Malati dawała się we znaki ludzka małość: przezwiska takie jak „chłopczyca”, plotki — wszystkie bardzo dalekie od prawdy — raniły ją, a przycichły dopiero wtedy, kiedy sprowokowana bezczelnością pewnego wyjątkowo dokuczliwego hultaja, który złośliwie pociągał za jej delikatne, okręcone wokół szyi ćunni, spoliczkowała zuchwalca, i to w obecności jego koleżków.

Mężczyźni szaleli za nią, ale ona traktowała ich jak powietrze, wcale nie z powodu jakiegoś wyjątkowego uprzedzenia do płci męskiej w ogóle, ale dlatego, że miała bardzo wysokie wymagania. Żaden z jej niedojrzałych — ba! — infantylnych wręcz znajomych, w jej własnym przekonaniu i w opinii żeńskiego klanu Triwedich, nie dorastał do pięt ojcu, którego stawiała na piedestale. Oprócz tego małżeństwo byłoby tylko przeszkodą w jej ambicjach zawodowych, a perspektywa staropanieństwa nie spędzała jej snu z powiek.

Zawsze czymś zajęta, nie trwoniła cennego czasu i już nawet jako dwunastoletnia dziewczynka uchodziła w swojej licznej rodzinie za samotnicę. Uwielbiała czytać i wszyscy wiedzieli, że lepiej się do niej nie odzywać, kiedy jest pogrążona w lekturze. W takich chwilach matka nie nalegała, żeby córka pomagała w kuchni albo przy sprzątanii. „Malati właśnie czyta”, oznajmiała krótko i autorytatywnie, a był to znak, że należy unikać jej pokoju, gdzie leżała lub siedziała w kucki z książką w ręku, pokazując pazury każdemu, kto ośmielił się jej przeszkodzić. W chwilach rozterki chowała się przed ludźmi, zaszywając się w najciemniejszym kącie, gdzie nie sposób jej było odnaleźć. Wszyscy w jej otoczeniu rozumieli wtedy, o co chodzi, i zostawiali ją w spokoju. Kiedy podrosła, zajęła się edukacją młodszego rodzeństwa, podczas gdy jej starsza siostra, urwipoleć, kierowała — czy raczej dyrygowała — nimi we wszystkich innych kwestiach.

Matka Malati nie hołdowała tradycji, a wręcz przeciwnie, pragnęła, aby jej córki wyrosły na kobiety niezależne. Oprócz wiedzy ogólnej, którą zdobywały w hinduskiej szkole średniej, dziewczęta uczęszczały więc również na

prywatne lekcje tańca, muzyki oraz , języka angielskiego, chociaż oznaczało to — w opinii wścibskich sąsiadów — „wycieranie się po cudzych kątach”. A kiedy zaszła taka potrzeba, matka Malati nie wahała się sprowadzić do tego domu kobiet (a było ich sześć) prywatnego korepetytora. Młodzi mężczyźni z zaciekawieniem zadzieraali głowy, wpatrując się w okna na pierwszym piętrze, skąd dobiegał dziarski śpiew pięcioosobowego dziewczęcego chóru. Jeśli dziewczęta zasłużyły sobie na nagrodę, wolno im było iść do sklepu bez przyzwolitki i kupić sobie lody. A kiedy sąsiedzi, zgorszeni takim niesłychanym wyuzdaniem, podnieśli krzyk, że bezwstydnice same włóczą się po Agrze, matka Malati wydała im zezwolenie na samodzielne zakupy po zapadnięciu zmroku, co — w oczach plotkarzy — było jeszcze bardziej karygodne, ale za to z pewnością trudniejsze do wykrycia. Matka Malati postawiła sprawę jasno: wszystkie dziewczęta otrzymają wszechstronne wykształcenie, ale mężów będą musiały znaleźć sobie same.

Wkrótce po przyjeździe do Brahmpuru Malati zakochała się w żonatym muzyku — socjaliście, a po zerwaniu z nim udzielała się nadal w Partii Socjalistycznej. Potem miała jeszcze jeden romans, który także zakończył się gorzkim rozstaniem.

Na ogół Malati tryskała energią, ale raz na parę miesięcy, kiedy zapadała na zdrowiu, jej matka przyjeżdżała z Agry do Brahmpuru, żeby odczynić złe uroki, czego nie zapewniała oczywiście zachodnia medycyna. Ze względu na swoje wyjątkowo wyraziste oczy Malati była szczególnie podatna na działanie nieczystych sił.

Przez jakiś czas poszarzały, zabłocony, różowonogi żuraw z wielką uwagą wodził wzrokiem za Malati i Lata. Potem przymknął swoje okrągłe czerwone oczy, których gałki zasnuły się szarą błonką, i oddalił się z godnością, bez pośpiechu.

— Chodź, zrobimy dzieciom niespodziankę i kupimy im tej cukrowej waty na patyku — powiedziała Lata, kiedy mijaly ulicznego sprzedawcę. — Dlaczego tak długo nie wracają? Malati! Co ci jest? O czym tak myślisz?

— O miłości — odparła Malati.

— Nudy na pudy — powiedziała Lata. — Ja tam nigdy się nie zakocham. Na ciebie to czasem spada jak grom z jasnego nieba, wiem, ale... — Zamilkła,

powracając raz jeszcze myślami, nadal z pewną odrazą, do podróży poślubnej Sawity i Prana, którzy wyjechali razem do Simli. Prawdopodobnie wrócą stamtąd bardzo w sobie zakochani. Brr! Co za ohyda!

— No to wobec tego pogadajmy sobie o seksie.

— Proszę cię, Malati — zaprotestowała Lata, rozglądając się niespokojnie wokoło. — To też mnie zupełnie nie interesuje — dodała, oblewając się rumieńcem.

— No to o małżeństwie. Zastanawiam się, kto się okaże tym twoim szczęśliwym wybrańcem. Nie minie rok i matka wyda cię za mąż. Założę się. A ty, jak potulna owieczka, dasz się w to zrobić, oczywiście.

— Jasne, że tak.

Malati, którą zirytowała ta odpowiedź, pochyliła się i zerwała trzy narcyzy rosnące akurat przy tabliczce z napisem: „Nie zrywać kwiatów”. Jednego zatrzymała sobie, a dwa wręczyła Lacie, która czuła się bardzo nieswojo, dzierżąc w dłoni zakazane trofea nonkonformizmu Malati. Potem Malati kupiła pięć porcji różowej, cukrowej waty na patykach, z których cztery wręczyła Lacie do potrzymania wraz z narcyzami, a sama nadgryzła piąta.

Lata, która nie miała teraz wolnej ręki, wybuchnęła śmiechem.

— To jednak nie myślisz na serio o tym, żeby uczyć kiedyś w jakiejś małej szkółce dla biednych dzieci? — spytała Malati wyraźnie zawiedziona.

Ale właśnie wtedy Lata zauważyła zbliżającego się Waruna z dwójką dzieci i wykrzyknęła: — O, popatrz, wracają! — i nie udzieliła swojej przyjaciółce odpowiedzi na nurtujące ją pytanie.

Aparna miała minę przerażoną i trzymała Waruna kurczowo za rękę. Cała piątka zamilkła na parę minut, zajęta pałaszowaniem cukrowej waty. Skierowali się do wyjścia. Tuż za bramą odziany w łachmany ulicznik popatrzył na nich głodnym wzrokiem, a Lata natychmiast rzuciła mu drobną monetę. Ten zaś wyglądał teraz na zaszokowanego, bo chociaż miał właśnie zacząć żebrać, nigdy jeszcze przedtem tego nie próbował i zrobiło mu się nagle bardzo nieprzyjemnie. Jeden z narcyzów umieszczono w końskiej grzywie, a tonga-wallah znowu zaczął wyśpiewywać o swoim zbolałym sercu.

Tym razem wszyscy podjęli melodię, a przechodnie — kiedy mijała ich rozśpiewana tonga — odwracali ku nim głowy.

Po konfrontacji ze stadkiem krokodyli Warun wrócił do domu całkiem rozluźniony, ale kiedy tylko weszli do mieszkania Prana, które znajdowało się na terenie uniwersytetu i gdzie zatrzymali się Arun, Minakszi oraz Mrs Rupa Mehra, oberwał za to, że odważył się spóźnić o godzinę. Matka i babka Aparny z niepokojem oczekiwały ich powrotu.

— Ty przeklęty idioto! Ty nieodpowiedzialny kretynie! — huknął na niego Arun, nie licząc się ze słowami, w obecności całej rodziny. — Na tobie, jako na mężczyźnie, spoczywa obowiązek dopilnowania, żeby wrócić na czas, i jeśli mówisz dwunasta trzydzieści, to masz dotrzymać słowa, szczególnie kiedy oddaję ci pod opiekę moją córkę. I moją siostrę. Nie próbuj szukać żadnych wykrętów, bo nic ci to nie pomoże, ty matole jeden. A ty — zwrócił się do Laty, pieniać się dalej ze złości — też powinnaś mieć trochę rozumu w tej swojej głowie i nie pozwolić mu się zagapić. Znasz go przecież, wiesz, jaki z niego cymbał.

Warun spuścił głowę, z rozmysłem wlepiając wzrok w ziemię i życząc sobie w duchu, żeby wreszcie nadarzyła się okazja rzucenia starszego brata na pożarcie krokodylom, głową w dół, prosto w rozwartą paszczę największej z największych bestii.

1.12

Lata studiowała w Brahmपुरze między innymi dlatego, że tam mieszkał jej dziadek, doktor Kiśen Cand Seth. Kiedy dziewczyna rozpoczęła studia uniwersyteckie, obiecał solennie swojej córce, Mrs Rupie Mehrze, że zaopiekuje się wnuczką, ale nigdy nie dotrzymał słowa, zajęty to partyjką brydża w Subzipore Club, to swararni ze swoim wrogiem numer jeden, ministrem finansów, lub jakimś innym stanowym politykiem, to znowu amatorami, jako że pałał gorącym uczuciem do swojej młodej żony, Parwati. Stąd też nigdy nie miał czasu, aby dotrzymać złożonej obietnicy. Ponieważ Arun odziedziczył swój despotyczny charakter właśnie po dziadku, być może tak było nawet le-

piej, zwłaszcza że Lata lubiła mieszkać w akademiku. Uważała, że kuratela narwanego dziadka odbiłaby się ujemnie na jej wynikach w nauce.

Zaraz po śmierci Raghubira Mehra, Mrs Rupa Mehra wraz z rodziną wprowadziła się do swojego ojca, który wówczas nie był jeszcze powtórnie żonaty. Ze względu na jej ciężką sytuację materialną wydawało się, że nie ma innego wyjścia; sądziła również, że ojciec pewnie czuje się samotny i potrzebuje kogoś, kto zająłby się prowadzeniem domu. Już po paru miesiącach stało się jednak jasne, jak bardzo przeliczyła się w swoich kalkulacjach. Doktor Kiśen Ćand Seth był człowiekiem, z którym nie sposób było wytrzymać pod jednym dachem. Pomimo niskiego wzrostu był autorytetem, z którym trzeba się było liczyć nie tylko na akademii medycznej (skąd odszedł na emeryturę jako dyrektor), ale i w całym Brahmपुरze. Wszyscy przed nim drżeli, nadskakując mu i wykonując ślepo jego polecenia, oczekiwał więc, że życie rodzinne powinno się toczyć w podobny sposób. Wtrącał się do wszystkiego, narzucał swoje zdanie Mrs Rupa Mehre w sprawach dotyczących jej dzieci. Wyjeżdżał z domu na całe tygodnie, nie zostawiając ani pieniędzy, ani instrukcji dla służby. A przy tym zarzucał swojej córce, której ujmująca powierzchowność i towarzyskie usposobienie zjednywały zawsze wielu przyjaciół, że kocietuje jego znajomych, których do siebie zapraszał.

Te potworne kalumnie tak przygnębiały pogrążoną w żałobie Mrs Rupa Mehre, że jej nastoletni wówczas syn Arun zagroził wreszcie, że pobije dziadka. Wśród krzyków, wrzasków i strumieni łez doktor Kiśen Ćand Seth stukał gniewnie swoją laską o podłogę. Poprzysiągłszy sobie w duchu, że już nigdy, przenigdy tam nie wróci, zapłakana Mrs Rupa Mehra wyprowadziła się od ojca, szukając schronienia u przyjaciół, którzy gotowi byli okazać miłosierdzie samotnej wdowie.

Rok później, znowu w potokach łez, nastąpiło pojednanie. Od tamtej pory raz było lepiej, raz gorzej. Ślub doktora Kiśena Ćanda Seta z Parwati (który ze względu na różnicę wieku zaszokował nie tylko rodzinę w Brahmपुरze, ale całe miasto), podjęcie przez Latę studiów na uniwersytecie w Brahmपुरze, zaręczyny Sawity (które dziadek pomógł zaaranżować), a potem jej ślub (który pomimo jego kompromitującej nieobecności doszedł jednak, chwała Bogu, do skutku) — wszystko to były kamienie milowe przy bardzo wyboistej dro-

dze. Ale Mrs Rupa Mehra zawsze powtarzała sobie, że jednak co rodzina, to rodzina, i że nie można oczekiwać, iż wszystko zawsze będzie toczyć się gładko, bez żadnych zgrzytów.

Od wesela Sawity minęło już teraz kilka dobrych miesięcy. Przeszła zima, a pytony w zoo obudziły się z długiego zimowego snu. Po narcyzach przyszła pora na róże, a kiedy te powiędły, zastąpił je pnący fioletowy powój, którego drobne płatki, niesione wiatrem, kołowały w powietrzu, a potem opadały bezszelestnie na ziemię. Szerokie koryto brunatnomulistego Gangesu płynącego przez Brahmpur z zachodu na wschód — obok smrodliwych kominów garbarni, marmurowych gmachów Barsat Mahal, starej dzielnicy z tłocznymi targowiskami i wąziutkimi uliczkami, świątyń i meczetów, łaźni, krematorium, a potem brahmpurskich fortów, pobielanych filarów Subzipore Club i wreszcie rozległych terenów miasteczka uniwersyteckiego — zwiężało się w lecie wydatnie, ale statki i parowce nadal kursowały regularnie z jednego brzegu na drugi, podobnie jak pociągi pędzące po torach równoległych do rzeki, wyznaczających południową granicę miasta.

Lata wyprowadziła się z akademika i zamieszkała z Sawitą i Pranem, którzy wrócili z górskich wojaży bardzo w sobie zakochani. Malati często odwiedzała Latę i polubiła chudego Prana, którego uprzednio nie darzyła wielką sympatią. Latę również ujmowała jego rzetelność oraz opiekuńczość, więc też nie przygnębił jej specjalnie fakt, że Sawita zaszła w ciążę. Mrs Rupa Mehra pisała do swoich córek z Kalkuty, gdzie mieszkała z Arunem, tasiemcowe epistoły, w których skarżyła się, że na ogół zbyt długo pozostają one bez odpowiedzi.

Chociaż nie wspominała o tym w żadnym ze swoich listów, żeby nie rozłościć córki, Mrs Rupa Mehra starała się — na razie bezskutecznie — znaleźć męża dla Laty w Kalkucie. Pocieszała się tylko, że może do tej pory była jeszcze zbyt przemęczona, że dopiero przecież zaczyna dochodzić do siebie po emocjach związanych ze ślubem Sawity. Ale teraz jedzie wreszcie do Brahmpuru na trzy miesiące, nie do domu ojca, ale córki, który stanie się odtąd również jej drugim domem. Finansowo był to bardzo korzystny układ. Podczas gdy pociąg, wypuszczając kłęby dymu, toczył się po szynach w stronę znajomego Brahmpuru, gdzie udało się jej znaleźć już jednego zięcia, Mrs

Rupa Mehra przyrzekła sobie, że teraz zabierze się do dzieła ze zdwojoną energią i próbując wypełnić tę delikatną, ale jakże ważną misję, w dzień czy dwa po przyjeździe uda się do ojca po poradę.

1.13

Jak się okazało, nie musiała się udawać do doktora Kiśena Ćanda Setha po poradę, albowiem on sam zjawił się następnego dnia w domu Prana Kapura, kipiąc z wściekłości.

Była trzecia po południu, kiedy podjechał na uniwersytet. Żar bił z jasnego nieba. Pran był jeszcze w pracy, Lata na wykładzie o symbolistach, a Sawita akurat wybrała się po zakupy. Mansur, młody kamerdyner, starał się udobruchać doktora Kiśena Ćanda Setha, proponując mu filiżankę kawy, herbaty lub też — do wyboru — szklaneczkę świeżego soku z limony. Nadaremnie! Doktor Kiśen Ćand Seth napadł na niego:

— Jest tam kto? Gdzie ich wszystkich, do pioruna, poniosło? — huknął agresywnie, stukając wściekle o podłogę rzeźbioną laseczką (wyrób kaszmirski), którą podpierał się bardziej dla fasonu niż z konieczności. Niewysoki, szczupły, z twarzą pomarszczoną, wykrzywioną gniewem, miał wygląd złośliwego, zaczepnego pekińczyka. (Mrs Rupa Mehra odziedziczyła urodę po matce). Mansur popędził na pokoje.

— Burri memsahib?! — zawołał, pukając do drzwi Mrs Rupy Mehry.

— Co?... Kto?

— Burri memsahib, pani ojciec chce się z panią natychmiast zobaczyć.

— Ojej, ojej. — Mrs Rupie Mehrze, która właśnie ucięła sobie popołudniową drzemkę, wydawało się, że błogi sen zamienił się nagle w koszmar. — Powiedz mu, że zaraz do niego wyjdę. Zaproponuj mu herbatę.

— Tak jest, memsahib.

Mansur wszedł do pokoju gościnnego. Doktor Seth, ze wzrokiem wlepionym w popielniczkę, warknął na niego:

— No i czego tu jeszcze sterczysz, durniu?

- Będzie tu już za sekundkę, sahib.
- Kto będzie tu już za sekundkę, idioto?!
- Burri memsahib, sahib. Zdrzemnęła się właśnie na chwilę.

To, że Rupa, jego własna, smarkata córka mogła w ogóle kiedykolwiek zostać podniesiona do rangi już nie tylko memsahib, ale burri memsahib, zdziwiło i zirytowało doktora Seta.

Mansur zapytał:

- Czy sahib zechciałby się napić kawy lub herbaty?
- Dopiero co proponowałeś mi nimbu pani.
- Tak jest, sahib.
- Szklankę nimbu pani.
- Tak jest, sahib. W tej sekundzie. — Mansur zaczął się wycofywać w ukłonach.

- Poczekaj tu...
- Czym mogę służyć, sahib?
- Macie tu może ararutowe herbatniki?
- Chyba tak.

Mansur wyszedł do ogródka za domem, żeby zerwać parę owoców limony, a potem powrócił do kuchni, żeby wycisnąć z nich sok.

Doktor Kiśen Ćand Seth rozsiadł się i zabrał do czytania wczorajszego „Statesmana”, pogardziwszy dzisiejszą „Brahmpur Chronicle”, nie mogąc się przy tym nadziwić tępcie domowników.

Mrs Rupa Mehra narzuciła na siebie szybciotko bawełniane, biało-czarne sari i ze swego pokoju przeszła do salonu. Na widok ojca zaczęła rozplątywać się w przeprosinach.

— A dajże mi spokój. Przestań wygadywać głupoty — burknął doktor Kiśen Ćand Seth w hindi, wyraźnie zniecierpliwiony.

- No dobrze, Baodzi.
- Przez cały tydzień nie doczekałem się twojej wizyty, więc sam musiałem się do ciebie wybrać. I co z ciebie za córka?
- Jak to przez cały tydzień? — zaoponowała słabo Mrs Rupa Mehra.
- A tak to, tak to; właśnie przez cały tydzień. Nie przesłyszałaś się, burri memsahib.

Sarkazm ojca był nie mniej bolesny niż jego gniew.

— Ale ja przecież przyjechałam dopiero wczoraj z Kalkuty. To bezwstydnie łągarstwo rozjuszyło doktora Kiśena Canda Setha do reszty i byłby pewnie wybuchnął, gdyby nie to, że w tym właśnie momencie w drzwiach salonu pojawił się Mansur z talerzykiem ararutowych herbatników. W wyrazie twarzy doktora Setha wyczytał rozdrażnienie, zatrzymał się więc, niepewny, czy lepiej się wycofać, czy też postąpić krok naprzód.

— No! Nad czym tak medytujesz? Dawaj to tutaj!

Mansur postawił tackę na małym stolyczku o szklanym blacie i odwrócił się, żeby odejść. Doktor Seth wypił łyk i zawył w furii:

— Łajdak!

Mansur odwrócił się, trzęsąc się z przerażenia. Był zaledwie szesnastoletnim wyrostkiem i tego dnia zastępował swojego ojca, który wyjechał na jakiś czas z Brahmpuru. Bał się histerycznego ojca burri memsahib panicznie. Takiego strachu nie odczuwał jeszcze nigdy i przed nikim — nawet przed nauczycielami w czasie swojego pięcioletniego pobytu w szkole.

— Ty szelmo! Chcesz mnie, widzę, wykończyć!

— Skądże znowu, sahib. Ja...

— Co to jest?

— Nimbu pani, sahib.

Zgrzytając zębami, doktor Seth przygwoździł Mansura nienawistnym spojrzeniem. Kpi sobie z niego ten zuchwalec czy co?

— Sam to widzę, kretynie. Coś ty myślał? Że nie potrafię odróżnić nimbu pani od whisky?

— Sahib... — Mansurowi słowa uwieźły w gardle z przerażenia.

— Co tu wsypałeś?

— Cukier, sahib.

— Ty błźnie! Ja piję nimbu pani z solą, nie z cukrem — ryknął doktor Kiśen Cánd Seth. — Cukier to dla mnie trucizna. Mam cukrzycę, tak jak burri memsahib. Ile razy mam ci to powtarzać, żeby wreszcie coś do ciebie dotarło?

Chłopaka korciło, żeby odpowiedzieć: „Pierwszy raz słyszę”, ale w porę ugryzł się w język. Zazwyczaj doktor Seth pił herbatę, a Mansur przynosił cukier i mleko osobno.

Doktor Kiśen Ćand Seth zastukał laską o podłogę.

— No, jazda! Czego tak na mnie wytrzeszczasz te swoje sowie gały?

— Do usług, sahib. Zaraz przyniosę drugą szklankę nimbu pani.

— A po co mi teraz nimbu pani? Albo dobrze, zrób drugą szklankę.

— Z solą, sahib. — Mansur uśmiechem starał się dodać sobie animuszu.

Miał całkiem miły uśmiech.

— I czego szczerzysz te swoje zębiska jak jaki osioł? — warknął na niego doktor Seth. — Z solą, z solą; pewnie, że z solą, chyba się jasno wyrażam?

— Wedle życzenia, sahib.

— Stój! Poczekaj! Gdzie tak pędzisz, idioto...

— Słucham, sahib.

— I dosyp trochę pieprzu.

Doktor Kiśen Ćand Seth odwrócił się teraz w stronę córki. W jego obecności i ona kulila się ze strachu.

— I co mi za pociecha z takiej córki? Co to w ogóle za córka? — zapytał retorycznie, nie dając jej długo czekać na odpowiedź, — Niewdzięcznica. — Wbił chciwie zęby w ararutowe ciasteczko. — Fu! — dodał z obrzydzeniem. — Śmierdzi stęchlizną.

Mrs Rupa Mehra wiedziała, że lepiej nie protestować. A doktor Kiśen Ćand Seth wyrzekał dalej.

— Wróciła z Kalkuty tydzień temu, a nie odwiedziła mnie jeszcze ani razu. Kogo tak nienawidzisz i unikasz? Mnie czy swojej przybranej matki?

Ponieważ jej macocha, Parwati, była sporo młodsza od niej samej, Mrs Rupa Mehra myślała o niej zazwyczaj przede wszystkim jako o pielęgniarce ojca, a później również i kochance. Chociaż niezbyt zadowolona z tego układu, Mrs Rupa Mehra nie czuła nienawiści do Parwati. Przez prawie trzydzieści lat po śmierci matki jej ojciec żył samotnie, a Parwati zajmowała się nim ofiarnie, więc na pewno dobrze się stało, że znalazł w niej opiekunkę. „Tak czy owak”, myślała Mrs Rupa Mehra, „nie ma na to rady. Najlepiej żyć ze wszystkimi w zgodzie”.

— Ale przecież przyjechałam dopiero wczoraj — powtórzyła błagalnie. Przed chwilą już mu to mówiła, ale najwidoczniej jej nie uwierzył.

— Klituś-bajduś! — rzekł doktor Seth, wzruszając ramionami z niedowierzaniem.

— Pociągiem Brahmpur Mail.

— Miałaś tu być w zeszłym tygodniu. Tak pisałaś w liście.

— Ale nie mogłam załatwić rezerwacji, Baodzi, więc zdecydowałam, że zostanę w Kalkucie jeszcze przez tydzień.

Była to szczerza prawda, chociaż perspektywa spędzenia kilku dodatkowych dni z ukochaną trzyletnią wnuczką Aparną pomogła jej w podjęciu decyzji o odłożeniu wyjazdu.

— Nie słyszałaś nigdy o telegramach?

— Zastanawiałam się, czy ci nie wysłać telegramu, ale nie sądziłam, że to takie istotne. A poza tym to kosztuje...

— Od dnia kiedy zmieniłaś nazwisko na „Mehra”, zrobiła się z ciebie bezczelna krętaczka.

Ta złośliwa uwaga ugodziła Mrs Rupa Mehre w samo serce. W milczeniu spuściła głowę.

— No, masz, weź sobie herbatnika — powiedział jej ojciec pojednawczo.

Mrs Rupa Mehra pokręciła głową.

— No, jedz! Jedzże, głupia! — zbeształ ją doktor Seth po ojcowsku. — Chyba nie przestrzegasz już tych swoich idiotycznych postów? Zdrowie sobie nimi zrujnujesz, zobaczysz!

— Ale przecież dzisiaj właśnie przypada Ekadaszi. — Mrs Rupa Mehra pościła jedenastego dnia każdego dwutygodniowego księżycowego czasokresu, dla uczczenia pamięci swego zmarłego męża.

— A niech ich będzie nawet pięć tych twoich Ekadaszi. To co z tego! — ofuknął ją ojciec, podnosząc głos. — Odkąd wpadłaś w szpony tych Mehrów, zrobiła się z ciebie zdziwaczała dewotka. Kropka w kropkę jak twoja matka. Za dużo jest w tej rodzinie źle dobranych małżeństw.

Tego było już dla Mrs Rupy Mehry naprawdę za wiele. Kombinacja tych uwag, które można było zinterpretować na wiele różnorodnych sposobów, dotknęła ją bardzo boleśnie. Czubek jej nosa zaczerwienił się ostrzegawczo. W rodzinie jej męża nie było ani krętaczy, ani religijnych dewotów. Bracia i siostry Raghubira przyjęli szesnastoletnią młodą mężatkę do swego grona z

otwartymi ramionami, i nawet teraz, w osiem lat po śmierci męża, Mrs Rupa Mehra odwiedzała ich, jak tylko mogła najczęściej, w ramach — jak mówiły jej dzieci — „corocznej transindyjskiej pielgrzymki kolejowej”. Jeśli zrobiła się ostatnio wyjątkowo pobożna (choć nie uważała, żeby to była prawda), to najwyżej przez pamięć dla matki, która zmarła w okresie pierwszej wojny światowej, kiedy w kraju rozszalała się epidemia grypy. Mrs Rupa Mehra była jeszcze wtedy dziewczynką. Stał jej teraz przed oczyma zamglony obraz matki, pierwszej żony doktora Kiśena Ćanda Setha. Jej łagodny, ugodowy charakter kontrastował z jego wybuchową, obrazoburczą naturą. Złośliwa uwaga ojca o ile dobranych małżeństwach znieważała pamięć jej dwu ukończonych, nieżyjących już istot, a jednocześnie wymierzona była przeciwko astmatycznemu Pranowi.

— O, już! Już ją coś ugryzło. Nie bądź taka nietykalska — burknął doktor Kiśen Ćand Seth brutalnie. Uważał kobiety, przynajmniej w ogromnej większości, za beksy. Potrafią tylko skomleć i zawodzić, histeryczki. Po namyśle dorzucił: — Już czas, żeby i Latę wydać za mąż.

Mrs Rupa Mehra natychmiast otrząsnęła się z otępienia.

— Naprawdę tak uważasz? — zapytała. Ojciec potrafił czasem zaskakiwać.

— A na co czekać? Przecież niedługo skończy dwadzieścia lat. To i tak już za późno. Parwati wyszła za mąż dopiero po trzydziestce i zobacz, na co jej przyszło. Trzeba postarać się o odpowiedniego kandydata dla Lata.

— Ja też tak myślę — przyznała mu rację Mrs Rupa Mehra. — Ale co powie na to Lata?

Doktor Kiśen Ćand Seth wykrzywił twarz w lekceważącym grymasie.

— No, dobrze — ciągnęła Mrs Rupa Mehra. — Ale gdzie ja takiego znajdę? Z Sawitą mieliśmy dużo szczęścia.

— Szczęścia?! Szczęścia?! — oburzył się doktor Kiśen Ćand Seth. — Miałabyś akurat dużo szczęścia, gdybym osobiście do tego ręki nie przyłożył. No i co? Jest już w ciąży? Nie mogę się tutaj nic od nikogo dowiedzieć.

— Tak, tak Baodzi.

Doktor Seth rozważył w myślach to „tak, tak”.

— No! To już najwyższy czas. Mam nadzieję, że będę miał prawnuka. — Znowu zamilkł na chwilę, a potem dorzucił: — No i jak się miewa?

— Ma trochę porannych mdłości, to wszystko — pospieszyła z wyjaśnieniem Mrs Rupa Mehra.

— Nie o nią mi chodzi, idiotko! Pytam cię o moją prawnuczkę, córkę Aruna — zniecierpliwiał się doktor Kiśen Ćand Seth.

— O Aparnę? Och, to takie kochane dziecko! Jest ze mną ogromnie zżyta — odparła Mrs Rupa Mehra radośnie. — Arun i Minakshi przesyłają najserdeczniejsze pozdrowienia.

To wyjaśnienie zadowoliło widocznie doktora Seta, bo z satysfakcją wbił zęby w ararutowe ciasteczko.

— Zakalec — skrzywił się. — Maziste jak zakalec.

Mrs Rupa Mehra знаła ojcowskie dziwactwa. W dzieciństwie nie pozwalał jej popijać posiłków wodą, tylko kazał żuć każdy kęs dwadzieścia cztery razy, co miało pomagać w trawieniu. Przykro było patrzeć, że taki wybredny smakosz musi się teraz ograniczać do ararutowych herbatników i jajek na miękko.

— Zobaczą, co się da zrobić dla Laty — ciągnął ojciec, zbierając się do wyjścia. — Jest taki młody rentgenolog w Prince of Wales. Nie pamiętam nazwiska. Gdybyśmy wcześniej poszli po rozum do głowy, to moglibyśmy podłapać młodszego brata Prana i wyprawić podwójne weselisko. Ale teraz już za późno. Zareczyli go podobno z tą dziewczyną z Benaresu. Chociaż może to i nawet lepiej — dodał szybko, przypomniawszy sobie, że są przecież ostatnio skłóceni z ministrem finansów.

— Zostań jeszcze chwilę, Baodźi. Zaraz się wszyscy zejda — zachęcała go Mrs Rupa Mehra.

— „Zostań, zostań” — prychnął doktor Kiśen Ćand Seth, mlaskając przy tym głośno językiem. — A gdzie są ci twoi „wszyscy”, kiedy ich potrzebuję? W przyszłym tygodniu wypadają urodziny twojej przybranej matki. Żeby ci tylko to nie wyleciało z pamięci — dorzucił na odchodnym.

Odwrócił się do niej plecami i wyszedł, a Mrs Rupa Mehra powiodła za nim markotnym spojrzeniem. Po drodze do samochodu zatrzymał się przy klombie czerwonych i żółtych kann w ogrodzie Prana i widać było, że znowu ogarnia go furia. Rośliny rabatowe (do których zaliczał również nagietki, pe-tunie i tropikalne pnącza bugen-willi) doprowadzały go do pasji. Tępił je w Prince of Wales Medical College za czasów swojej dyrektorskiej kadencji. Teraz jednak, po jego odejściu, znowu zaczęły się pojawiać na terenie uczelni. Zamachnął się kaszmirską laseczką, ścinając głowę żółtej kannie. Roztrzęsiona Mrs Rupa Mehra widziała, jak wsiada do swojego starego szarego buicka, bardzo szlachetnej maszyny, która wśród pospólstwa morrisów i austinów, tworzących zatory na krajowych szosach, miała w sobie godność i dostojęństwo radży, pomimo lekkiego wgniecenia z czasów, kiedy Arun (wtedy jeszcze — dziesięć lat temu — uczeń szkoły średniej St. George) wybrał się nią samowolnie na wakacyjną przejażdżkę. Arun był w rodzinie jedynym, który ośmielał się przeciwstawić dziadkowi, nie ponosząc za swoje bunty żadnych konsekwencji. Wręcz przeciwnie, dziadek miał do niego słabość i zdawał się darzyć go wyjątkową czułością. Doktor Kiśen Ćand Seth odjeżdżał bardzo zadowolony ze swojej — jak mu się wydawało — owocnej wizyty. Pozwoliła mu ona snuć rozmaite plany na przyszłość; miał teraz wreszcie o czym rozmyślać.

Natomiast Mrs Rupie Mehrze niełatwo się było otrząsnąć po nie zapowiedzianym ojcowskim nalocie. Poczawszy nagły głód, zaczęła myśleć o swoim podwieczorku. Nie wolno jej było jeść w czasie postu ani ryżu, ani pieczywa, więc wysłała młodego Mansura na targ po banany, które będzie można ubić i podsmażyć. Mansur wyszedł tylnymi drzwiami, żeby zabrać z kuchni kluczyk do roweru i siatkę, a przechodząc koło lady, zauważył wzgardzoną szklanekę nimbu pani. Taki chłodny i kwaśny napój. Pycha!

Czym prędzej wychylił ją duszkiem.

1.14

Wszyscy znajomi wiedzieli, że Mrs Rupa Mehra uwielbia róże, szczególnie te na obrazkach, wobec czego na urodziny otrzymywała zazwyczaj kartki z życzeniami, na których widniały różnokolorowe róże, pojedyncze i w bukietach, kiczowate lub misternie malowane ręką wytrawnego artysty. Tego popołudnia, włożywszy na nos okulary, których zazwyczaj używała do czytania, zasiadła przy biurku w pokoju swoim i Laty, przeglądając stare karty, chociaż było niebezpieczeństwo, że rozklei się przy wspominkach. Trudno. Miała w tym swój cel i musiała podejść do sprawy praktycznie, bez niepotrzebnych sentymentów. No, proszę: czerwone, żółte, nawet niebieskie róże przewiązane wstążeczkami; dwa kociątka i szczeniaczek z miną winowajcy; winogrona, jabłka i róże w koszyczku; pasące się na łące owieczki, z różami na pierwszym planie; róże w cynowym wazoniku — przy nich miseczka pełna malin; fioletowe, pastelowe róże z ząbkowanymi, nieróżanymi liśćmi i maleńkimi cierniami (te były nawet udane): karty urodzinowe z życzeniami od rodziny, bliższych i dalszych znajomych z całego kraju, a nawet z zagranicy. Każda, absolutnie każda budziła tkliwe — „ckliwe”, w opinii jej starszego syna — wspomnienia.

Mrs Rupa Mehra rzuciła okiem na stosy starych noworocznych kart, ale szybko powróciła do kart urodzinowych. Wyjęła ze swojej obszernej czarnej torby maleńkie nożyczki, zastanawiając się, którą z nich trzeba będzie po-

święcić. Mrs Rupa Mehra bardzo rzadko kupowała karty, nawet dla najbliższych i najukochańszych w rodzinie. Oszczędność stała się jej drugą naturą, ale chociaż już od ośmiu lat musiała obywać się bez wielu drobnych luksusów, karty z życzeniami były dla niej świętością. Z nich nie mogła zrezygnować. A ponieważ były bardzo drogie, więc komponowała je sama. Właściwie to wysiłek, który wkładała w każdą nową kompozycję, sprawiał jej nie lada satysfakcję. Mrs Rupa Mehra wyciągnęła teraz z samego spodu największej walizki kasetkę, gdzie trzymała swoje skarby: wycinki z tektury, skrawki wstążki i samoprzylepne złote cyferki, które zawsze były w takich sytuacjach bardzo przydatne. Nożyczki zawisły na chwilę w powietrzu, a potem ciach--ciach i trzy srebrne gwiazdki zostały odcięte od współtowarzyszek i przylepione pożyczonym klejem (był to jedyny z przyborów, którego Mrs Rupa Mehra nie nosiła w torebce, z obawy, że zacznie przeciekać) w trzech rogach na pustej, frontowej stronie białego kawałka brystolu. W czwartym, północno-zachodnim rogu można by teraz nakleić złote cyferki, z datą urodzin albo wiekiem solenizantki.

Ojej, że też zapomniała! O mało nie popełniła strasznej gafy! Właśnie w tym momencie zorientowała się, że lepiej w ogóle nie wspominać o wieku solenizantki. Żona ojca była od niej o całe dziesięć lat młodsza i „35”, szczególnie tak na złoto, kłułoby oskar-życielsko w oczy i mogłoby zostać zrozumiane — zostałyby zrozumiane — jako przytyk, jako prowokacja. Nikt by nie uwierzył w jej szczerą, czyste intencje. Poczytano by to za celową złośliwość. Złote cyferki powędrowały z powrotem do kasetki, a pusty róg wypełniła symetrycznie czwarta, neutralna, srebrna gwiazdka.

Odkładając na później decyzję o doborze odpowiedniego obrazka, Mrs Rupa Mehra zajęła się teraz wyborem stosownego wierszyka. Na karcie z różami w cynowym wazoniku umieszczony był tekst:

*Za radość, którą niesiesz,
Za uśmiech Twój na twarzy,
Za te dary, którymi
Tak hojnie nas obdarzasz.
Za Twoje dobre serce,*

*Za Twoje czułe słowa,
Za to, że zawsze jesteś
Do poświęceń gotowa
— Niech Ci wybija zegar
Same szczęśliwe godziny.
Tego Ci właśnie życzę
Na Twoje urodziny.*

„To odpada. To nie dla Parwati”, zdecydowała Mrs Rupa Mehra. Przeniosła wzrok na kartę z owocami w koszyczku.

*Na torciku świeczki
Palą się dla Ciebie,
Migotliwe, złote
Jak gwiazdki na niebie.
Uściski, całusy
I powinszowania
Są szczerym wyrazem
Naszego oddania.
A ponieważ wszyscy
Bardzo Cię kochamy,
Gorące życzenia
Dzisiaj Ci składamy.*

Chociaż w pierwszej chwili wierszyk ten wydał się Mrs Rucie Mehrze nawet całkiem niezły, po ponownym przeczytaniu doszła do wniosku, że dziesiąta linijka zabrzmiałaby po prostu nieszczerze.

Poza tym musiałyby zmienić „uściski, całusy” na „te serdeczne słowa”; może i jedno, i drugie należały się rzeczywiście Parwati, ale Mrs Rupa Mehra nie miała najmniejszego zamiaru rzucić się jej w objęcia. Od kogo była ta karta? Aha, od Queenie i Pussy Kapadia, dwóch siostr, starych panien, już teraz po czterdziestce, z którymi nie widziała się od lat. Starych panien! Na samą

myśl o tym przeszły jej po plecach ciarki. Mrs Rupa Mehra zamyśliła się na chwilę głęboko, westchnęła, a potem wzięła się z powrotem do dzieła.

Pod szczeniakiem z mordką winowajcy widniał nie rymowany, lapidarny tekst: „Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe”, za to wierszyk pod owieczką był nieco inny w treści, chociaż bardzo podobny w formie do poprzednich:

*Niech Ci szczęśliwa gwiazda
Przyświeca na życia drodze,
Dzisiaj, jutro, pojutrze
— Od święta i na co dzień.
Niech spokój i beztroska
Zawsze w Twym sercu gości,
Niech dzień Ci każdy przynosi
Nowe, wspaniałe radości.
Niech się spełnią najskrytsze
Twoje słodkie marzenia;
Przyjmij te szczere, gorące,
Najserdeczniejsze życzenia.*

Tak! To jest to! Mrs Rupę Mehre zachwycił wizerunek gwiazdy przyświecającej „na życia drodze”. Nie było w tych słowach niepotrzebnej przesady. Żadnych wylewnych uczuć — po prostu życzenia dla drugiej żony ojca. A jednocześnie nie brzmiały one zbyt zimno i zdawkowo. Wyjęła swoje czarno-złote wieczne pióro, które dostała w prezencie od Raghubira, dwadzieścia pięć lat temu, zaraz po urodzeniu się Aruna, a które nadal — pomyślała z uśmiechem — doskonale nadawało się do użytku, i zabrała się do pisania.

Mrs Rupa Mehra, która miała wyrobiony charakter pisma, pisała drobnym maczkiem i to okazało się teraz nie lada utrudnieniem, gdyż nie miała Parwati wiele do powiedzenia, a skoro gwiazdki zostały już przyklejone, musiała jakoś zappełnić pusty kawałek brystolu. Jedyne, co jej pozostawało, to tak rozmieścić rymowany wierszyk, żeby w dole została tylko jedna pusta linijka, w której dopisze najwyżej parę słów od siebie, żeby nie wyglądało to zbyt lek-

ceważąco. Dwa pierwsze czterowiersze rozpięła więc po lewej stronie w skrupulatnie wymierzonych odstępach, tak aby nie wydawały się one zbyt rażąco. Pośrodku kartki wielokropek symulował niedomówienia, a ostatni czterowiersz, kwintesencja całej rymowanki, znalazł się w prawym dolnym rogu.

„Kochana Parwati, moc najserdeczniejszych, z głębi serca płynących życzeń urodzinowych składa Rupa”, zakończyła Mrs Rupa Mehra oklepanym frazesem. Potem, zawstydzona własną bezdusnością, zmieniła „kochana” na „ukochana”. Wprawdzie pierwsze dwie litery wyglądały teraz trochę koślawo, ale tylko bardzo wprawne oko mogłoby zauważyć wprowadzone poprawki.

Teraz przyszła kolej na rzecz najbardziej bolesną: nie wystarczyło już przepisać po prostu jednego z wierszyków, ale trzeba było poświęcić którąś ze starych kart, przeflancować te albo tamte róże. Szkoda jej było jednak pozbyć się ich na zawsze. No to może pies? Pies z mordką winowajcy? Z taką żalną miną? Nie, nie. Poza tym mogłoby to zostać poczytane za jakąś obraźliwą aluzję, chociaż zwierzak wyglądał nawet całkiem sympatycznie. A te owce? O, tak! Mogą być, czemu nie? W sam raz na taką okazję: puszyste, a jednocześnie neutralne, bez żadnych podtekstów. I jakoś nie było jej żal się z nimi rozstać. Mrs Rupa Mehra była wegetarianką, natomiast zarówno jej ojciec, jak i Parwati to były dwie prawdziwie mięsożerne istoty. Różyczki na frontowej stronie starej karty zostały więc na razie ocalone (choć można je będzie kiedyś jeszcze wykorzystać), a dla trzech ostrzyżonych owieczek znalazło się nowe pastwisko.

Przed zalakowaniem koperty Mrs Rupa Mehra wyjęła z torebki podręczny bloczek papieru listowego i skreśliła parę słów do ojca:

Najdroższy Baodzi,

nie potrafię wyrazić słowami, jaką radość sprawiła mi Twoja wczorajsza wizyta. Pran i Sawita byli bardzo zawiedzeni, że nie mieli okazji się z Tobą spotkać, ale cóż: takie już jest życie. Czy mógłbyś wszcząć poszukiwania odpowiedniego kandydata do ręki Laty? Na przykład ten rentgenolog? A może masz jeszcze kogoś na oku? Najlepszy byłby, oczywiście, chłopiec z kszatrijów, ale skoro Arun ożenił się już i tak poza naszą kastą, wezmę pod uwagę

również innych. Nie musi mieć koniecznie jasnej karnacji: jak wiesz, nie możemy być za bardzo wybredni. Wreszcie odpoczęłam trochę po podróży. Uściski.

Twoja zawsze kochająca córka
Rupa

W domu panowała zupełna cisza. Mrs Rupa Mehra poprosiła Mansura o kubek herbaty i zabrała się do pisania następnego listu — tym razem do starszego syna, Aruna. Rozłożyła zielonkawą kartkę z papeterii i opatrzyła ją z pedanterią mikroskopijną datą. Pisała tak:

Mój najukochańszy Arunie,

mam nadzieję, że czujesz się dużo lepiej i że przeszła Ci już ta kolka w krzyżu. A jak z Twoim zębem? Czy przestał Cię wreszcie rwać? Wyjechałam z Kalkuty przygnębiona i podenerwowana, ponieważ przed moim wyjazdem, na dworcu, mieliśmy dla siebie bardzo mało czasu przez te korki na Strand i Howrah Bridge, a także dlatego, że w domu czekała na Ciebie Minakszi. Chciała, żebyś wrócił wcześniej, więc musieliśmy się pożegnać przed odjazdem pociągu. Zawsze jesteś w moim sercu — takich uczuć nie da się wyrazić słowami. Myślałam, że przygotowania do przyjęcia dałoby się odłożyć na jakieś dziesięć minut, ale stało się inaczej. Minakszi wie najlepiej. Zresztą, po co do tego wracać? Chodzi o to, że w rezultacie nie mieliśmy dużo czasu dla siebie na dworcu, co sprawiło mi wielki zawód, dlatego się rozplakałam. Mój kochany Warun, który przyszedł odprowadzić mnie na stację, również musiał odejść, ponieważ przyjechał razem z Tobą samochodem. No cóż, życie wcale nie jest takie proste i nie należy od niego wymagać za wiele. Teraz tylko modlę się za Ciebie, żebyś szybko wrócił do zdrowia i więcej nie chorował. Martwię się o tę Twoją kolkę w krzyżu, bo wiem, że przez to nie możesz grać w golfa, chociaż to Twoje ulubione hobby. Bóg da, że niedługo znowu się spotkamy. Kocham Cię bardzo i życzę Ci szczęścia i sukcesów, na które naprawdę zasługujesz. Tatuś byłby taki dumny z Twojej pracy w Bentsen & Pryce i z

tego, że masz już żonę i dziecko. Gorące pozdrowienia i uściski dla mojej ukochanej wnusi Aparny.

Podróż miałam spokojną, bez większych niespodzianek, ale muszę Ci się do czegoś przyznać: w Burdwanie skusiłam się na misztan. Po prostu nie byłam sobie w stanie odmówić tej przyjemności, bo nagle wzięła mnie chętka na słodycze. Wiem, że gdybyś tam był, to byś mnie za to porządnie zbeształ. Moje współtowarzyszki w przedziale dla pań były bardzo sympatyczne; grałyśmy w remika i w wista i ciekawie nam się rozmawiało. Jedna z nich знаła Miss Pal, którą kiedyś odwiedzaliśmy w Dar-dżiling, tę, co to się zaręczyła z tym kapitanem, który potem zginął na wojnie. Miałam w torebce talię kart, którą dostałam od Waruna na urodziny, i dzięki temu podróż wcale mi się nie dłużyła. Zawsze gdy jadę pociągiem, wspominam sobie nasz własny salonik w wagonie; tak się podróżowało za życia Twojego Tatusia. Proszę, przekaz Warunowi moje najgorętsze pozdrowienia i powiedz mu, żeby się przykładał do nauki, bo jego ojciec zawsze był prymusem.

Sawita wygląda doskonale, a Pran jest idealnym i bardzo troskliwym mężem, tyle tylko, że ciągle dokucza mu astma. Myślę, że ma teraz jakieś kłopoty na swoim wydziale, ale nie lubi o tym z nami rozmawiać. Twój dziadek zjawił się tutaj wczoraj po południu z wizytą; szkoda, że byłam akurat w domu sama, bo może jako lekarz mógłby udzielić Pranowi jakiejś praktycznej porady. Nawiasem mówiąc, w przyszłym tygodniu są urodziny

Twojej babki-macochy, może mógłbyś wysłać jej kartę z życzeniami? Lepiej późno niż wcale.

Rwie mnie ciągle w stopie, ale to nic dziwnego, bo za dwa miesiące przyjdą deszcze monsunowe, a wtedy dopiero odezwą się moje stawy! Niestety, pensja Prana nie jest wysoka, więc nie stać ich na samochód, dlatego mamy ciągły kłopot z transportem. Na ogół jeżdżę autobusem albo tongą, ale zdarza się, że chodzę na piechotę. Jak wiesz, mieszkamy prawie nad samym Gangesem, więc Lata także dużo chodzi i zdaje się, że polubiła te swoje spacery. Spokojnie można dojść aż do dhobi-ghatu, koło uniwersytetu, i nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Czasem tylko trudno się opędzić od małą, które szaleją po parku.

Czy Minakshi oprawiła już te medale Tatusia? Jeden można by nosić jako naszyjnik, a drugi przerobić na wieszak przy małym kardamonowym medalionie. Podoba mi się takie rozwiązanie. W ten sposób zawsze będzie można odczytać to, co jest napisane po obu stronach medalu.

Arun, mój kochany, nie obraż się na mnie za to, co Ci teraz powiem, ale dużo ostatnio rozmyślam o Lacie i wydaje mi się, że powinieneś inaczej się do niej odnosić. Ona jest bardzo nieśmiała, potrzebuje Twojego wsparcia. Pomimo doskonałych wyników w nauce brak jej pewności siebie. Jesteś czasem zbyt gwałtowny, obcesowy; traktujesz ją z góry, a ją ranią Twoje uwagi. Nawet mnie czasami boli to, co mówisz, chociaż wiem, że nie ma w tym złej woli. Ale Lata to bardzo wrażliwa dziewczyna, a teraz jest szczególnie przeczulona — na punkcie swojego przyszłego za-mążpójścia. Napiszę do córki Mr Gaura, Kalpany, która mieszka w Delhi; ona zna mnóstwo różnych ludzi i może pomóc nam znaleźć odpowiedniego kandydata do ręki Laty. Uważam również, że czas, abyś i Ty zajął się trochę tą sprawą. Widziałam w Kalkucie, jak bardzo pochłonięty jesteś pracą, więc nie chciałam zawracać Ci głowy, ale wiesz, jak mi to leży na sercu. Przydałby nam się jeszcze jeden solidny, godny zaufania młody człowiek z dobrej rodziny, nawet niekoniecznie z kszatrijów, chociaż to byłby szczyt marzeń. Zbliżają się wakacje, więc Lata będzie miała teraz więcej czasu. Wiem, że daleko mi do ideału, ale bardzo Was wszystkich kocham i chciałabym, żeby każde z Was ułożyło sobie wreszcie życie.

Kwiecień za pasem — rocznica śmierci Twego Ojca. Zawsze w tym okresie myślę, ile się nacierpiał w chorobie, i ciężko mi na sercu, jakby to nieszczęście spadło na nas dopiero wczoraj, chociaż od tamtej pory minęło już osiem długich lat, wiele wody upłynęło w rzece i tyle się przez ten czas wydarzyło. Wiem, że cierpienie nie jest tylko moim udziałem, ale każdemu najdotkliwiej ciąży na sercu jego własne, a i ja nie mam nadprzyrodzonej siły, żeby wznieść się ponad zwykłe ludzkie duchowe męczarnie i przygniatającą boleść. Ale wierz mi, staram się całym swoim jestestwem znosić je godnie, z podniesionym czołem i, z pomocą boską, jakoś sobie z tym poradzę.

Przy tych słowach Mrs Rupa Mehra dotarła do końca stronicy i zaczęła teraz zapępiać — na skos — wolny skrawek papieru przy nagłówku:

Jak widzisz, miejsca mi już nie starcza, mój kochany Arunie, więc będę kończyć ten list. Nie martw się o mnie; chyba jak na razie ustabilizował mi się poziom cukru we krwi. Pran wysyła mnie jutro rano na badanie do kliniki uniwersyteckiej, a ja uważam na ogół na to, co jem. Pozwoliłam sobie tylko na jedną szklaneczkę nimbu pani, zaraz po przyjeździe, ale to tylko tak, ze zmęczenia.

A na samym brzeżku dopisała:

Muszę teraz jeszcze skreślić parę słów do Kalpany, a potem postawię sobie pasjansa kartami, które dostałam od Waruna. Mnóstwo, mnóstwo uścisków dla Ciebie i Waruna; buziaczki dla mojej maleńkiej słodkiej Aparny i oczywiście również pozdrowienia dla Minakszi.

Twoja zawsze kochająca

Mama

Aby nie wypisać pióra w połowie następnego listu, Mrs Rupa Mehra otworzyła torebkę i wyjęła z niej napoczętą już, owiniętą kilka razy gałgankiem i celofanem buteleczkę niebieskiego atramentu — parkerowskiego QuinkRoyal Washable. Kiedyś wyciekł jej z butelki klej i wszystko się w torbie pozlepiało, więc od tej pory nie nosiła go przy sobie, ale jak dotąd nigdy nie miała żadnych poważnych kłopotów z atramentem.

Mrs Rupa Mehra wyjęła jeszcze jedną kartkę z zielonkawej papeterii, ale zaraz uznała, że rozsądniej będzie posłużyć się tym razem kremową kartką wydartą z brulionu o batystowym grzbiecie:

Najdroższa Kalpano,

zawsze byłaś dla mnie jak własna córka, więc będę pisać, co mi serce dyktuje. Wiesz, że prawie od roku zamartwiam się o Latę. Nie muszę Ci chyba mówić, bo sama się na pewno domyślasz, jak ciężko mi było od śmierci Wujka Raghubira i psychicznie, i materialnie, a Twój Ojciec, serce na dłoni — z którym Wujek przyjaźnił się za życia — nie odmówił mi wsparcia w tej tragicznej sytuacji. I pomimo tych szakali, które ciągle wyją nocą pod Twoimi oknami, zawsze cieszę się na mój wyjazd do Delhi, na spotkanie z Tobą, choć ostatnio, niestety, rzadko mam po temu okazję. A od śmierci Twojej drogiej Matki jesteś dla mnie jak córka.

No, ale cóż, latka lecać i czas już, żeby wydać za mąż Latę, muszę więc znaleźć dla niej odpowiedniego kandydata. Arun też się tym powinien zająć po części, ale znasz go, jest pochłonięty pracą zawodową, a do tego dochodzą obowiązki rodzinne. Warun natomiast jest jeszcze zbyt młody i za bardzo lekkomyślny, żeby można było na niego liczyć pod tym względem. Ty, kochana Kalpano, jesteś starsza o parę lat od Laty, więc mam nadzieję, że będziesz mogła zasugerować jakichś swoich dawnych kolegów ze studiów czy innych znajomych w Delhi, którzy pozostali w stanie kawalerskim. A może Lata mogłaby przyjechać do Delhi w październiku, w święto Diwali, albo w grudniu, w czasie ferii bożonarodzeniowo-noworocznych, tak tylko, żeby się rozejrzeć? Jak sądzisz? To tylko taka sugestia z mojej strony.

A jak się miewa Twój drogi Ojciec? Piszę do Ciebie z Brahmuru, gdzie goszczą mnie Sawita z Pranem. Wszystko układa się naprawdę doskonale, tylko upał zaczyna mi się już teraz porządnie dawać we znaki. A co to będzie w kwietniu, maju i czerwcu? Strach pomyśleć! Szkoda, że nie mogłaś być na ich ślubie, ale skoro Pimmy miała operację ślepej кишки, to oczywiście zrozumiała. Martwiłam się o nią cały czas, ale mam nadzieję, że przyszła już do siebie i że czuje się dużo lepiej. Mnie zdrowie jakoś na razie dopisuje, chwała Bogu, i nawet poziom cukru we krwi utrzymuje się w normie. Skorzystałam z Twojej rady i wyrobiłam sobie nowe okulary, tak że mogę teraz czytać i pisać bez żadnego wysiłku.

Proszę, napisz jak najszybciej na mój brahmurski adres. Zostanę tutaj do końca kwietnia, a może nawet i w maju, aż do ogłoszenia wyników egzaminów Laty.

Zawsze kochająca Mama

(Mrs Rupa Mehra)

PS. Lata czasami upiera się, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Mam nadzieję, że jej to jakoś wyperswadujesz. Wiem, że sparzyłaś się i masz przykre doświadczenia, a za sobą zerwane zaręczyny, i że od tamtej pory zmieniłaś zdanie na temat małżeństw zawieranych we wczesnej młodości, ale chyba to lepiej, że udało Ci się „zakosztować miłości”, chociaż później przyszło Ci ją stracić. Rozumiesz, o co mi chodzi? Oczywiście, z drugiej strony miłość to nie jest tylko jedno nieprzerwane pasmo radości.

PS. Bardziej by mi pasowało przyjechać do Delhi w Diwali niż na Nowy Rok, ponieważ byłby to wtedy po prostu jeden z etapów mojej corocznej podróży po kraju, ale oczywiście nie chcę Ci niczego narzucać, więc dostosuję się do wyznaczonej przez Ciebie daty.

Kochająca Mama

Mrs Rupa Mehra spojrzała na list (i na swój podpis; nalegała, żeby wszyscy młodzi ludzie nazywali ją mamą), złożyła go starannie na cztery i zakleiła w kremowej kopercie. Wydobyła z torebki znaczek, polizała go w zamyśleniu, przykleiła na kopercie i napisała (z pamięci) adres Kalpany, jak również adres Prana na odwrocie. Potem zamknęła oczy i przez parę minut siedziała zupełnie bez ruchu. Było parne popołudnie. Po jakimś czasie wyjęła z torebki talię kart. A kiedy Mansur wszedł, żeby zabrać herbatę i zrobić wspólnie rachunki, zastał ją uśpioną nad pasjanssem.

1.15

Imperial Book Depot była jedną z dwu najlepszych księgarń w mieście, położoną na Nabigandź, tętniącej życiem ulicy, która była ostatnim przyczółkiem nowoczesności u wrót starego, historycznego Brahmopuru, z labiryntem ciasnych, wąziutkich zaułków w przeludnionych osiedlach. Chociaż oddalona od uniwersytetu o parę ładnych mil drogi, cieszyła się wśród studentów większą popularnością niż University and Allied Bookshop, która znajdowała się w sąsiedztwie uniwersytetu. Księgarnia Imperial Book Depot prowadzona była przez dwóch potężnych, otyłych braci, Ja-śwanta i Balwanta, którzy dzięki swojej energii i przedsiębiorczości radzili sobie doskonale pomimo nieznośności języka angielskiego. Zaopatrzenie mieli znakomite, a obsługę pierwszej klasy. Jeśli na przykład danej książki nie było akurat na składzie, to wystarczyło zapisać jej tytuł na odpowiednim formularzu, a oni sprowadzali ją dla klienta.

Dwa razy w tygodniu płacili biedującemu studentowi uniwersytetu za segregowanie na półkach nowo przysłanych książek. A ponieważ mieli ambicję, żeby w ich księgarni można było znaleźć beletrystykę, jak również dzieła naukowe, bez cienia zażenowania łapali krążących po księgarni nauczycieli akademickich, częstowali ich herbatą, podtykali pod nos listę nowości wydawniczych i kazali zaznaczać tytuły, które ich zdaniem księgarnia powinna zamówić.

Ci zaś, szczęśliwi, że studenci będą mieli dostęp do najnowszych publikacji, byli im za to bardzo wdzięczni. Wielu z nich nie lubiło księgarni uniwersyteckiej — University & Allied Bookshop, gdzie klienta traktowano z góry, jako zło konieczne.

Po zajęciach Lata i Malati, obie ubrane skromnie w codzienne śalwar-kamiz, wybrały się na Nabigandź, żeby połączyć po sklepach i wskoczyć na kawę do kawiarni Blue Danube. Pozwalały sobie na taką rozrzutność, w żargonie studenckim zwaną „labą”, mniej więcej raz na tydzień. Oczywiście nie mogły nie wdepnąć do Imperial Book Depot, które działało jak magnes. Rozdziejiły się i każda z nich podeszła do swojej ulubionej sekcji: Malati zaczęła przeglądać powieści, a Lata skierowała się do działu z poezją. Po drodze jednak zatrzymała się przy półce z literaturą naukową, nie dlatego, że się na tym znała, lecz wręcz przeciwnie, dlatego, że była to dla niej czarna magia. Zawsze kiedy brała do ręki książkę z zakresu nauk ścisłych, z podziwem wlepiała wzrok w zawiłe kombinacje różnorodnych symboli i cyfr, ważąc w myślach doniosłość znaczenia tajemniczych słów odnoszących się do pojęć, których zrozumienie przekraczało jej możliwości intelektualne, a które przecież były wyrazem ludzkiej, nieustrudzonej, szlachetnej dążności do zbadania obiektywnej rzeczywistości i, co za tym idzie, do przeanalizowania ontologicznego sensu istnienia. Lubiała to uczucie; na ogół podchodziła do życia na serio, a tego popołudnia była w wyjątkowo poważnym nastroju. Wzięła do ręki pierwszą z brzegu książkę i przeczytała wybrany na chybił trafił paragraf:

Ze wzoru De Moivre'a wynika, że $z^n = w (\cos n + i \sin n)$. Stąd też, jeśli przyjmiemy, że liczba zespolona z opisuje okrąg o promieniu r na przecięciu układu współrzędnych, z^n będzie opisywać n razy okrąg o promieniu r , jako że z opisuje swój okrąg jeden raz. Przypomnijmy również, że r — moduł z oznaczany $|z|$ — określa odległość od punktu O , i że jeśli $z' = x' + iy'$, to odległość pomiędzy z i z' wynosi $|z - z'|$. Powyższe przesłanki pozwolą nam teraz przystąpić do udowodnienia tego twierdzenia.

Nie wiedziała właściwie dokładnie, co ją tak pociągało w tych wywodach. Po prostu miały jakiś niesamowity ciężar gatunkowy; wyczuwało się w nich pewną krzepiącą nieuniknioną. Myślami przeniosła się do Kalkuty, do Wa-

runa i jego studiów matematycznych. Miała nadzieję, że ta krótka rozmowa, którą przeprowadziła z nim zaraz następnego dnia po weselu Sawity, nie poszła na marne. Że jej słowa trafiły do niego i że podniosła go trochę na duchu. Wyrzucała sobie, że za rzadko do niego pisze, chociaż powinna ciągle wspierać go psychicznie, ale teraz, przed sesją egzaminacyjną, nie miała na nic czasu. Nawet dzisiaj wybrała się na tę przechadzkę tylko za namową Malati, która zresztą sama również była potwornie zajęta, może nawet bardziej niż Lata.

Przeczytała tenże ustęp jeszcze raz w ogromnym skupieniu i poczuła tajemną więź z autorem tekstu, jakby dzięki słowom „Przypomnijmy również” oraz „Powyższe przesłanki” została wtajemniczona w arкана bezbrzeżnej, wszechpotężnej wiedzy. Sprawdzalne i sprawdzone, udowodnione, to twierdzenie stanowiło gwarancję, że nawet w tym niepewnym świecie istnieją prawdy pewne, niepodważalne, a to napawało ją optymizmem. Tak, z tą świadomością można było stawić czoło przeciwnościom losu.

Podniosła wzrok znad książki i uśmiechnęła się mimowolnie, a młody mężczyzna, który stał naprzeciw niej, odebrał to jako wyraz sympatii i, chociaż początkowo zaskoczony, odpowiedział również bardzo miłym uśmiechem. Lata przybrała marsową minę i natychmiast spuściła wzrok, jakby się chciała ponownie zagłębić w lekturze. Ale ponieważ była już rozproszona, odłożyła książkę na półkę i przeszła do działu poezji.

Pomimo swych niechętnych uwag na temat miłości, Lata lubiła poezję miłosną, a wiersz Tennysona *Maud* był jednym z jej ulubionych utworów poetyckich. Sięgnęła po wybór wierszy tego dziewiętnastowiecznego angielskiego poety.

Wysoki, młody mężczyzna, o czarnych — jak zdążyła zauważyć Lata — lekko falowanych włosach i ładnych, trochę orlich rysach, miał najwyraźniej bardzo szerokie zainteresowania, od poezji po matematykę abstrakcyjną, ponieważ już parę minut później znalazł się znowu obok Lata, przeglądając antologię w dziale poezji. Lata kilkakrotnie czuła na sobie jego wzrok. Rozdrażniło ją to, więc postanowiła go ignorować, ale kiedy, wbrew sobie, zerknęła na niego ukradkiem, pogrążony był niewinnie w lekturze. Nie mogła się oprzeć pokusie: rzuciła okiem na okładkę książki, którą czytał. Był to *Con-*

temporary Verse wydawnictwa Penguin. Teraz podniósł wzrok znad książki i nie było już odwrotu. Zanim zdążyła spuścić oczy, powiedział:

— Mało kto interesuje się zarówno poezją, jak i matematyką.

— Ach tak? — Lata, nie wiedząc, jak zareagować, popatrzyła na niego surowo.

— Courant i Robbins. Doskonałe dzieło.

— O...? — powiedziała Lata niepewnie. Potem, zorientowawszy się, że młody mężczyzna nawiązywał do podręcznika matematyki, który wzięła na chybił trafił z półki, powiedziała: — Naprawdę? — żeby zamknąć dyskusję.

Ale młody mężczyzna, nie speszony, nie miał zamiaru przerywać rozmowy.

— Tak przynajmniej twierdzi mój ojciec — wyjaśnił. — Może nie jako podręcznik, ale jako wprowadzenie do... jakby tu powiedzieć.. .. kilku gałęzi w tej dziedzinie wiedzy. Wykłada matematykę na uniwersytecie.

Lata odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Malati przysłuchuje się tej rozmowie, ale ta stała przy wejściu, pogrążona w lekturze. W ogóle nikt nie zwracał na nich uwagi; o tej porze dnia, tuż przed sesją, mało było w sklepie ludzi.

— Matematyka wcale mnie nie interesuje — powiedziała Lata stanowczo.

Ta deklaracja w pierwszej chwili zbiła młodego człowieka z tropu, ale szybko wziął się w garść i wyznał szczerze:

— Prawdę powiedziawszy, mnie też nie. Studiuję historię. Nie dawał za wygraną. Latę zaskoczył jego upór, więc powiedziała, patrząc mu prosto w oczy:

— Muszę już iść. Koleżanka na mnie czeka.

Wyczuwała w nim pewną wrażliwość, jakąś wrodzoną delikatność, która kontrastowała z jego śmiałym zachowaniem: jakby ten chłopak z falowaną czupryną nie miał w zwyczaju zaczepiać nieznanomych dziewcząt w księgarniach.

— Przepraszam, że cię zatrzymuję — powiedział, czytając chyba w jej myślach.

— Drobnostka — odparła Lata i już właśnie miała zamiar się oddalić, kiedy spróbował jeszcze raz, z nerwowym uśmiechem:

— A czy mogłabyś mi w takim razie powiedzieć, jak ci na imię?

— Lata — ucięła krótko, nie widząc, jaki związek miało to jego „w takim razie” z tym, co mówił wcześniej.

— A mojego nie chcesz poznać? — Twarz młodego człowieka rozpromieniła się w uśmiechu. Tym razem był to bardzo sympatyczny, szeroki uśmiech.

— Nie. Po co? — odparła Lata, nawet całkiem miło, bez oschłości, i dołączyła do Malati, która trzymała w dłoni parę książek w cienkich papierowych okładkach.

— Kto to taki? — szepnęła Malati konspiracyjnie.

— Jakiś ktoś — rzekła Lata, oglądając się za siebie niespokojnie. — Nie znam go. Podszedł do mnie ot, tak sobie i zaczął mnie zagadywać. Pospiesz się. Idziemy stąd. Konam z głodu. I z pragnienia. Co za upał!

Mężczyzna za kontuarem obrzucił je przyjacielskim spojrzeniem zarezerwowanym dla stałych klientów. Małym palcem dłużył sobie w lewym uchu, usuwając wosk. Pokręcił głową z życzliwą dezaprobatą i w hindi zwrócił się do Malati z wyrzutem:

— Egzaminy za pasem, Malatidźi, äpani nadal kupuje powieści? Dwanaście ann plus jedna rupia cztery anny, to razem dwie rupie. Nie powinienem do tego dopuszczać. Jesteście dla mnie jak córki.

— Gdyby nie nasza rozrzutność, Balwantdźi, szybko by pan zbankrutował. Poświęcamy się: pal sześć nasze egzaminy, byle tylko pan mógł opływać w dostatki — odparła Malati.

— Mów za siebie — wtrąciła Lata. Młody człowiek zniknął jej z pola widzenia. Może zasłoniły go półki z książkami.

— O, to mi się podoba, to mi się podoba — rzekł Balwant, choć trudno było wyczuć, która wypowiedź tak bardzo przypadła mu do gustu.

— Właściwie miałyśmy zamiar napić się tylko kawy... Nie planowałyśmy zakupów w księgarni i dlatego nie mam przy sobie...

— Malati urwała w pół zdania i obdarzyła Balwanta figlarnym uśmiechem.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Zapłaci pani kiedy indziej.

— Balwant machnął lekceważąco ręką. Bracia często udzielali studentom kredytu. Nagabywani, czy nie jest to aby wbrew zasadom zdrowego rozsądku, odpowiadali, że nigdy jeszcze nie zawiedli się na nikim, kto kupuje książki. Nigdy podobno nie stracili na tym żadnych pieniędzy. I rzeczywiście, biznes ich prosperował doskonale. Lata zawsze myślała o nich jako o dwóch ofiarnych kapłanach sprawujących pieczę nad dobrą, zadbaną świątynią. Była to nawet bardzo udana analogia, gdyż obaj bracia otaczali swoje książki prawdziwą czcią.

— Skoro nagle nabrałaś takiego wilczego apetytu, to idziemy prosto do Blue Danube — zdecydowała Malati, kiedy wyszły z księgarni. — A przy okazji powiesz mi dokładnie, jak ci się udało poderwać tego przystojniaka.

— Wcale go nie poderwałam! — zaprzeczyła energicznie Lata.

Malati spojrzała na nią z niedowierzaniem i skwitowała jej zachowanie wiele mówiącym: — Ha! — A potem dodała: — Więc o czym tak długo rozmawialiście?

— O niczym — odparła Lata. — Przysięgam, Malati, po prostu podszedł do mnie i zaczął opowiadać głupstwa, aleja nie dałam się wciągnąć w dyskusję. W ogóle się nie odzywałam. A jeżeli już, to tylko półgębkiem. Przestań robić z muchy słonia.

Szły dalej ulicą Nabigandź.

— Dość wysoki — zauważyła po jakimś czasie Malati. Lata pominęła tę uwagę milczeniem.

— Nawet niezbyt ciemny — głośno myślała Malati.

Lata i ten komentarz puściła mimo uszu. W powieściach ten epitet odnosił się zazwyczaj do koloru włosów, a nie skóry.

— Bardzo przystojny — nie ustępowała Malati.

Lata odwróciła się w stronę swojej przyjaciółki i wydeła pogardliwie wargi, ale zauważyła — ku swemu ogromnemu zdumieniu — że podobał się jej ten opis, a wywody Malati sprawiały dziwną przyjemność.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem — powiedziała lekceważąco Lata, przeglądając się w lusterku umieszczonym w witrynie sklepu z obuwem.

Malati była szczerze zaskoczona gapiostwem Lata.

— Jak to? Rozmawialiście przez piętnaście minut i nie wiesz nawet, jak się nazywa?

— Przesadzasz — broniła się dalej Lata. — Wcale tak długo nie rozmawialiśmy. Ja w ogóle mało się odzywałam. Ale jeśli on ci się tak podoba, wróć do Imperial Book Depot i zapytaj go, jak mu na imię. Akurat byście się do siebie nadawali. Oboje macie dość tupetu, żeby zaczepiać obcych ludzi w sklepie.

— Nie podoba ci się?

Lata milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Nie. Jeśli chcesz wiedzieć, wcale nie. Niby dlaczego miałyby mi się podobać? Nie znam go przecież.

— Mężczyźni też nie mają wcale łatwego zadania — rzekła Malati w zamyśleniu. — Tradycyjnie to oni muszą się wykazać inicjatywą. Powinnyśmy umieć wczuć się jakoś w ich sytuację i być dla nich bardziej wyrozumiałe.

— Proszę, proszę! Co ja słyszę! Obrończyni słabej płci! — parsknęła Lata. — Na myśl by mi nigdy nie przyszło, że doczekam kiedyś takiej chwili.

— Tylko nie zmieniaj tematu — rzekła Malati. — Nie wyglądał mi na nieokrzesanego, a znam się na tym. Miałam już w swoim życiu do czynienia z różnymi typkami.

Lata spiekła raka.

— Miałam wrażenie, że poczyną sobie raczej obcesowo — powiedziała. — Jakbym była jedną z tych...

— Jedną z tych, które co?

— Z tych, z którymi wolno tak sobie poczynać — zakończyła niepewnie Lata. Co by na to powiedziała matka? Oczywiście, oburzyłoby ją jego karygodne zuchwalstwo. Lata wołała w ogóle o tym nie myśleć.

— No, cóż — powiedziała Malati, zniżając nieco głos przed wejściem do Blue Danube. — Jest naprawdę bardzo przystojny.

Usiadły.

— Ma ładne włosy — nie dawała za wygraną Malati, nie odrywając wzroku od karty menu.

— Trzeba coś zamówić — przerwała jej szorstko Lata. Czemu się tak uwzięła? Bez przerwy szafuje tymi dwoma epitetami: „ładny” i „przystojny”.

Zamówiły kawę i ciastka.

— Oczy też ma ładne — odezwała się parę minut później Malati, szczerze ubawiona upartym milczeniem Laty.

Lata natomiast przypomniała sobie nagle, jak się speszył, kiedy popatrzyła mu prosto w oczy.

— Owszem — zgodziła się wielkodusznie. — Ale co z tego? Moje też są ładne. I nie muszę się przeglądać w niczyich innych.

1.16

Podczas gdy jego teściowa stawiała sobie pasjansa, a szwagierka odpierała natarczywe pytania Malati, doktor Pran Kapur, idealny mąż i zięć, toczył za-ciętą walkę na swoim wydziale (choć nigdy nie zwierzał się z tych kłopotów rodzinie).

Na ogół zgodny i tolerancyjny, Pran chorobliwie nie cierpiał szefa katedry anglistyki, profesora Miśry. Profesor O.P. Miśra, zwalisty olbrzym, grubas o ziemistej cerze, był to przebiegły, kuty na cztery nogi spryciarz, który potrafił zawsze tak jakoś wymanewrować, żeby postawić na swoim. Tego właśnie popołudnia wokół owalnego stołu w sali posiedzeń zasiadło czterech członków komitetu do spraw programu nauczania w katedrze anglistyki, a ponieważ dzień był wyjątkowo parny, a przez otwarte okno, z którego widać było zakurzone liście szczodrzeńca nie wpadał najłżejszy choćby powiew, wszystkim było duszno i niewygodnie, ale profesor Miśra pocił się wyjątkowo obficie. Krople potu występowały mu na czoło, osiadały na brwiach i ściekały ciurkiem po obu bokach jego wielkiego, mięsistego nosiska. Usta wydał w ciup i mówił tonem konfidencyjnym, swoim zwykłym, nienaturalnie wysokim falsetem:

— Ciekawe, bardzo ciekawe, doktorze Kapur. A jednak... A jednak w pańskiej argumentacji brak jakiegoś bardzo ważnego ogniwa, które przekona-

łoby nas już dzisiaj o słuszności pańskich interesujących poglądów. No, cóż. Może innym razem. Musi pan jeszcze nad tym popracować.

Już od pół roku, od momentu kiedy dokoptowano go do tego komitetu, Pran Kapur starał się przekonać pozostałych jego członków, że powinni włączyć Jamesa Joyce'a do programu nauczania kursu współczesnej literatury brytyjskiej, i w końcu udało mu się przeforsować pogląd, że dyskusja nad tym powinna stać się jednym z punktów programu obrad komitetu.

Sam właściwie nie wiedział, dlaczego czuł do profesora Miśry taką straszną niechęć. Bez jego rekomendacji — cenionego fachowca na kierowniczym stanowisku — Pran nie otrzymałby prawdopodobnie pracy wykładowcy na uniwersytecie, chociaż zatrudniony został pięć lat temu, jeszcze za czasów poprzednika profesora Miśry. Kiedy rozpoczął pracę na wydziale, profesor Miśra wychodził z siebie, żeby okazać mu swoje względy i zapraszał go nawet do domu na kolację. Mrs Miśra była drobną, załataną, wiecznie zatroskaną osobką i Pran bardzo ją polubił, natomiast pod przykrywką pobłażliwej dobroćliwości jej męża wyczuwał jakiś niebezpieczny fałsz, który kłócił się z falstaffowskim czarem jowialnego grubasa. Miał wrażenie, że zarówno żona, jak i dwaj synowie drżeli przed ojcem jak przed tyranem.

Pran nigdy nie był w stanie pojąć, dlaczego ludzie tak bardzo pragnęli władzy, ale uważał, że nie ma na to rady i nie starał się z tym walczyć. Jego własny ojciec był przecież bardzo ambitny pod tym względem i to nie tylko dlatego, że będąc w rządzie, mógł wcielać w czyn swoje ideologiczne założenia. Imponował mu sam fakt, że jest ministrem finansów, i nie posiadałby się z radości, gdyby mógł zostać szefem rządu stanu Parwa Pradeś albo ministrem w gabinecie premiera Nehru w Delhi. I nic go nie zrażało: ani chroniczny brak czasu, ani przepracowanie, ani wieczne zatargi na wyższych szczeblach. Poświęcał swój spokój wewnętrzny, cichy żywot zwykłego obywatela dla tej jednej idei. To prawda, że mógł mieć dość monotonii po latach spędzonych w więziennej celi, za rządów Brytyjczyków w kraju, i teraz, żądny władzy i zaszczytów, sięgał po nie, skoro były w zasięgu ręki. Każdy z nich, ojciec i syn, miał własną koncepcję szczęścia, obie zaakceptowane przez dwa (drugi i trzeci) dogmaty hinduizmu: jeden pochłonięty do reszty sprawami

świata doczesnego, drugi skoncentrowany na życiu wewnętrznym, z filozoficznym dystansem do ziemskiej egzystencji.

A poza tym Pran był pod każdym względem typowym domatorem. Lubił towarzystwo Sawity i najlepiej czuł się w ciepłe domowego ogniska. Pławił się w rodzinnym szczęściu, cieszył się, że żona troszczy się o niego, i z radością oczekiwał narodzin ich pierwszego dziecka. Nie chciał przyjąć od ojca żadnej pomocy finansowej, chociaż trudno im było związać koniec z końcem. Głódowa pensja akademickiego nauczyciela wynosiła 200 rupii miesięcznie. Kiedy brała go chandra, powtarzał sobie cynicznie, że takie życie to nie życie, tylko wegetacja. Ale złożył niedawno podanie o awans. Gdyby przyznano mu tytuł docenta (bo właśnie utworzyła się przed nim na uczelni taka perspektywa), jego sytuacja materialna poprawiłaby się, wprawdzie bardzo nieznacznie, ale zawsze trochę, a poza tym, oczywiście, byłby to sukces zawodowy. Nie chodziło mu o tytuły — te miał w najwyższej pogardzie — ale zdawał sobie przecież sprawę, że umocniwszy swoją pozycję w katedrze, będzie w stanie więcej zdziałać dla dobra ogółu. Widział konieczność zmian, a te łatwiej będzie inicjować z pozycji docenta, kiedy koledzy będą się bardziej liczyć z jego zdaniem. Uważał zresztą, że w pełni zasługuje na awans, ale wiedział również z doświadczenia, że oprócz zasług przy nominacjach na wyższe stanowiska bierze się pod uwagę i inne kryteria. No cóż — na układy nie ma rady.

Chroniczna choroba, astma, na którą cierpiał od dzieciństwa, nauczyła go cierpliwości. Każde podniecenie mogło spowodować nowy atak: dusił się wtedy, gniołło go w piersiach, tracił siły, starał się więc podchodzić do życia bez emocji. Logicznie. Zasada była wprawdzie prosta, ale w praktyce nie zawsze łatwo było osiągnąć równowagę psychiczną. Uczył się cierpliwości i w końcu wypracował sobie metodę, dzięki której potrafił trzymać swoje emocje na wodzy. Ale profesor O.P. Miśra irytował go do tego stopnia, że w jego towarzystwie Pranowi trudno było zachować zimną krew.

— Profesorze — odezwał się Pran. — Cieszę się, że nasz komitet zdecydował się rozpatrzyć moją propozycję, i wdzięczny jestem, iż wysunięto ją jako drugi punkt naszej dzisiejszej dyskusji. Na poparcie mego wniosku mam bardzo prosty argument. Czytaliście moje uwagi na ten temat, panowie — tu skinął głową w kierunku doktora Gupty i doktora Narajanana — więc na

pewno zgodzicie się ze mną, że nie jest to propozycja wywrotowa. — Pochylił się, żeby rzucić okiem na niebieską odbitkę tekstu z powielacza. — Mam tu przed sobą listę dwudziestu jeden pisarzy, których dzieła stanowią lekturę obowiązkową dla naszych magistrantów. To podstawa dla przyszłych znawców współczesnej literatury brytyjskiej. Ale nie ma wśród nich Joyce'a. Ani też, pozwolę sobie zauważyć, Lawrence'a, chociaż to właśnie ci dwaj pisarze...

— Może jednak — przerwał profesor Miśra, usuwając rzesę, która dostała mu się do oka — może jednak powinniśmy skoncentrować się w tej chwili na Joysie? Lawrence'em zajmiemy się w przyszłym miesiącu... na następnym posiedzeniu, ostatnim przed wakacjami.

— Ale przecież jedno z drugim idzie w parze — rzekł Pran, szukając poparcia u pozostałych członków komitetu.

Doktor Narajanan już właśnie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale profesor Miśra nie dopuścił go do głosu.

— Łamie pan regulamin, doktorze Kapur — zauważył. — Porządek obrad nie przewiduje tego tematu. — Mrugając, uśmiechnął się do Prana przymilnie. Potem rozpląszczył na stole swoje wielkie łapska i powiedział: — Przepraszam za tę dygresję. Przerwałem panu. To bardzo brzydko z mojej strony. Więc...?

Pran przyjrzał się rozczapierzonym białym dłoniom profesora Miśry, którego wielgachne cielsko górowało nad resztą sali, i pomyślał: „Wyglądam na zdrowego człowieka, szczupłego, wysportowanego, a to przecież tylko pozory. Za to ten tłuszcioch, pomimo masywnej budowy, jest naprawdę pełen wigoru. Jeśli chcę przeforsować swoje stanowisko w tej sprawie, muszę trzymać nerwy na wodzy. Tylko spokój może nas uratować”.

Uśmiechnął się do swoich kolegów po fachu i rzekł:

— Joyce to wspaniały pisarz. Wysoce ceniony za granicą. Takie stwierdzenie to już dzisiaj komunał, nic odkrywczego. W Ameryce ciągle wzrasta zainteresowanie jego twórczością. Jestem zdania, że powinien znaleźć się również w naszym programie.

— Doktorze Kapur — zadzwieczał mu nieprzyjemnie w uszach wysoki falset profesora Miśry. — Każdy na tym świecie ma prawo do własnych racji.

Dopiero kiedy wszyscy zgodnie uznają je za słuszne, można mówić o powszechnej wysokiej ocenie czyjejs twórczości. My tu, w Indiach, cenimy sobie przede wszystkim naszą niezależność. Niezależność, o którą biliśmy się od pokoleń i którą wywalczyliśmy sobie krwią poległych synów naszego narodu.

Nie muszę chyba tego przypominać właśnie panu, mój znakomity kolego, który masz szczęście być synem tak znakomitego ojca. Przystańmy na chwilę i zastanówmy się: czy warto tak we wszystkim małpować Amerykanów, którzy chcą nam zrobić wodę z mózgu? Czy warto gonić za przemijającą modą na taki czy inny styl literacki? Jak pan uważa, doktorze Narajanan?

Doktor Narajanan, jeden z wiernych epigonów romantyzmu, zamyślił się głęboko na parę sekund, jakby czytał we własnej duszy, a potem powiedział lojalnie, kiwając potakująco głową:

— Słuszna racja, słuszna racja.

— Tańczymy ciągle, jak nam zagrają, i może dlatego właśnie tak często mylimy krok — przekonywał dalej zebranych profesor Miśra.

— Wsłuchajmy się w rytm, który wybijają nam nasi narodowi dobosze, że pozwolę tu sobie sparafrazować właśnie Amerykanina

— dodał jeszcze na zakończenie.

Pran wbił wzrok w stół i odparł spokojnie:

— Joyce jest wybitnym pisarzem. Mówię o tym z pełnym przekonaniem i nie dlatego, że jest na niego aktualnie moda w Ameryce. — Przypomniał sobie, jak „odkrył” Joyce’a: pożyczył od kolegi *Ulissesa* na miesiąc przed obroną swojej pracy doktorskiej na Alla-habad University i w rezultacie omówił po łebkach własny temat, co mogło okazać się zgubne w skutkach dla jego kariery naukowej.

Nieoczekiwanie doktor Narajanan przyszedł mu w sukurs. Zwrócił się do niego i powiedział:

— *Zmarli* to naprawdę świetne opowiadanie. Czytałem je dwa razy.

Pran popatrzył na niego z wdzięcznością. Profesor Miśra spojrział na łysą czaszkę doktora Narajanana z czułą aprobatą.

— Doskonale, doskonale — powiedział, jakby chwalił małe dziecko. — Ale — i tu ton jego głosu stał się nader ostry — Joyce to nie tylko *Zmarli*. To

również bełkot *Ulissesa*. I jeszcze gorszy bełkot *Finnegans Walce*. I po co mać w głowach naszym studentom? Jeszcze pójdą za jego przykładem i nauczą się pisać niegramatycznie. No, a samo zakończenie *Ulissesa*! Jest naszym obowiązkiem kształtować umysły młodzieży, jakże podatne na złe wpływy.

Wskazywać im szczytne cele. Obawiam się przede wszystkim tego, jak by to odebrały młode dziewczęta, choćby pańska szwagierka, doktorze Kapur. Czy bez zmrużenia oka włożyłby pan książkę taką jak *Ulisses* w jej ręce?

— Jak najbardziej — odparł Pran z wielką prostotą.

Teraz doktor Narayanan ożywił się wyraźnie. Doktor Gupta, specjalista od literatury staroangielskiej, z wielką uwagą przyglądał się własnym paznokciom.

— Cieszę się... Doprawdy cieszę się ogromnie, że są wśród nas tacy prostolinijni, młodzi ludzie... młodzi wykładowcy — tu profesor Miśra skierował wzrok na łasego na zaszczyty i tytuły doktora Gupta — którzy nie wahają się wypowiadać własnego zdania nawet w obecności bardziej doświadczonych i starszych rangą kolegów. Jakież to budujące! To nic, że różnimy się zasadniczo w poglądach; żyjemy przecież w kraju demokratycznym i wolno nam wypowiadać otwarcie, co nam leży na sercu... — Zamilkł na parę sekund, wpatrując się w zakurzonego szczodrzeńca. — Tak. Żyjemy w kraju demokratycznym. Ale nawet w demokracji trzeba czasem podejmować niepopularne decyzje. Każda katedra, na przykład, może mieć tylko jednego kierownika. A kiedy na takim stanowisku jest wakat, tylko jeden z wielu ubiegających się o nie kandydatów może otrzymać awans. Sam pan wie, że nasz program jest już i tak przeładowany. Musimy omówić ze studentami dwudziestu jeden pisarzy. Jeśli dopuścimy Joyce'a, to kto odpadnie?

— Flecker — odparł Pran bez chwili wahania. Profesor Miśra zaśmiał się dobrotliwie.

— Ach, doktorze Kapur, doktorze Kapur... — A potem wyrecytował:

W milczeniu idź; śpiewem nie zagłuszaj martwej ciszy.

Umarł świergotliwy ptak; jego głosu więcej nie usłyszysz.

Pran przybrał maskę obojętności. „Co to za aluzje?“, pomyślał. „Czy on naprawdę wierzy w to, co mówi?“ Głośno zaś powiedział:

— Jeżeli Fletchera... Fleckera... za nic nie da się usunąć, to proponuję wciągnąć na listę Joyce'a jako dwudziestego drugiego pisarza. Z przyjemnością poddam swój wniosek pod głosowanie.

„Niech się wreszcie wypowiedzą albo za, albo przeciw“, myślał Pran. „Specjalnie odwlekają to w nieskończoność, bo głupio im odrzucić Joyce'a. Muszą się jednak liczyć z opinią środowiska akademickiego“.

— Niepotrzebnie pan się tak unosi, doktorze Kapur. Chce pan nas przyprzeć do muru — rzekł profesor Miśra jowialnie. Rozłożył ręce na stole na znak swojej kompletnej bezradności. — Ale przecież nie było wcale mowy o tym, że mamy już dziś podjąć w tej sprawie ostateczną decyzję. Mieliśmy tylko przedyskutować, czy w ogóle warto brać pod uwagę pański projekt.

Pran miał już powyżej uszu tej zabawy w kotka i myszkę, chociaż wiedział, że profesor Miśra nie kłamie. Nie ukrywając złego humoru, powiedział:

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, profesorze, ale ci z nas, którym obce są dyplomatyczne manewry, mogą podejrzewać, iż ten rodzaj argumentacji to po prostu czysta sofistyka.

— Sofistyka! — powtórzył za nim profesor Miśra z zachwytem, najwyraźniej delectując się melodią tego słowa. — Czysta sofistyka...

Dwaj pozostali dyskutanci popatrzyli na Prana z wyrzutem, zgorzzeni jego niesubordynacją.

„Zupełnie jak partyjka brydża z dwoma dziadkami“, pomyślał Pran.

Profesor Miśra zaproponował:

— Napijemy się teraz kawy, odetchniemy troszeczkę, a po przerwie powrócimy do naszej dyskusji już na spokojnie. Co panowie na to?

Na samą wzmiankę o kawie doktor Narajanan nabrał animuszu. Profesor Miśra klasnął w dłonie i w drzwiach pojawił się chudy kamerdyner w wyświechtanej zielonej liberii.

— Kawa gotowa? — spytał profesor Miśra w hindi.

— Tak jest, sahib.

— Doskonale — rzekł krótko profesor Miśra. Chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zaraz wniósł na

tacy dzbanek z kawą, dzbanuszek gorącego mleka, cukierniczkę i cztery kubki. Gestem dłoni profesor Miśra dał mu znać, że ma obsłużyć innych w pierwszej kolejności, co tamten wykonał sprawnie, bez żadnych ceregieli. Następnie podszedł do profesora Miśry. Kiedy profesor wlewał sobie kawę do kubka, służący odsunął tackę z wielkim szacunkiem. Z chwilą gdy uczynił kolejny ruch dłonią, odstawiając dzbanek z kawą, tamten czym prędzej podstawił mu znowu tackę. Profesor Miśra podniósł dzbanuszek z mlekiem i zaczął dolewać je do kawy, a służący odsunął tackę. Powtórzył to jeszcze trzy razy, kiedy profesor Miśra słodził sobie kawę łyżeczką do cukru. Komiczna pantomima. Gdyby to był jakiś inny wydział na obcym uniwersytecie, Prana śmieszyłaby ta służalczość kamerdynera i pańskie kaprysy zaślepionego władzą pyszałka. Ale była to niestety katedra anglistyki na uniwersytecie w Brahm-purze i to właśnie ten człowiek będzie rozpatrywał jego podanie o stanowisko docenta, awans jakże istotny zarówno z punktu widzenia kariery naukowej Prana, jak i rodzinnych finansów.

„A przecież to ten sam człowiek, którego kiedyś nawet bardzo lubiłem. Którego uważałem za jowialnego, rubasznego wujaszka; wylewnego, o nieodpartym uroku. Myślałem: facet, że do rany przyłoż. Więc skąd ta zmiana? Dlaczego teraz widzę w nim tylko podłego obłudnika i nikczemnika?“, myślał Pran, wbijając wzrok we własny kubek. „Ciekaw jestem, czy on mnie nienawidzi? Nie. Właśnie o to chodzi, że nie. Nie ma w nim cienia nienawiści, tylko upór. Nienawiścią nic by nie wskórał, a on zawsze chce postawić na swoim. Dyplomata. Stary wyga. Jak szachista rozgrywający partię na wypaczonej szachownicy. Ma pięćdziesiąt osiem lat, zostały mu tylko dwa lata do emerytury. Pytanie tylko, czy ja przy nim tyle wytrzymam?“ Odezwały się w nim mordercze instynkty, zupełnie obce jego naturze, i zauważył, że drżą mu ręce. „Tyle emocji przez jednego Joyce'a“, dziwił się sobie w myślach. „Dobrze, że nie dostałem ataku dychawicy“. Jako najmłodszy rangą członek komitetu był na zebraniach „skrybą“. Pochylił się i przeczytał to, co napisał w swoim notatniku:

Obecni: prof. O.P. Miśra (kierownik katedry); dr R.B. Gupta; dr T.R. Narayanan; dr Kapur.

1. Odczytanie porządku obrad poprzedniego zebrania. Zatwierdzono.

„Te jałowe dyskusje nigdy do niczego nie prowadzą. Strata czasu”, pomyślał z niechęcią.

Przypomniało mu się parę wersetów z Rabindranatha Tagore, we własnym tłumaczeniu autora na angielski:

*Tam, gdzie wartka myśl nie zbłądzi w wymarłą pustynią
nieprawości;*

Tam, gdzie uczynek dobry i intencja czysta;

Tam nas prowadzisz, Ojczy. Wolność naszym nadrzędnym celem.

Niech naród mój, zbudzony ze snu, powstanie.

Mimo że jego własny ojciec, tu, na ziemi, mało miał dla niego czasu w dzieciństwie i rzadko kiedy się widywali, to jednak zdołał wpoić synowi solidne moralne zasady, dumał dalej Pran. Przeniósł się myślami do domu, do tych czterech pobielanych ścian, gdzie mieszkał z Sawitą, a także z jej siostrą i matką — do rodziny, którą pokochał jak własną i która jego również przyjęła całym sercem do swojego grona. Później zbłądził myślami nad Ganges, który płynął dwa kroki od domu. („Ganges” po angielsku, „Ganga” w języku ojczystym. Ale przyłapał się na tym, że cały czas myśli jednak po angielsku). Potem, wraz z biegiem rzeki, powędrował myślami do Patny, do Kalkuty i pod prąd, obok Benaresu, aż do rozwidlenia w Allahabadzie. Tam skręcił wzdłuż Jamuny w stronę Delhi. „Czy w stolicy też panoszy się takie plugawe kołtuństwo? Czy tam również roi się od wrednych, małoszkowych, ograniczonych umysłowo tumanowi”, zapytywał sam siebie. „Chyba jednak nie wytrzymam dłużej w Brahmpurze. Dlaczego zresztą miałbym się tutaj zagrzebać na całe życie? A Miśra bez wątplenia dałby mi doskonałe referencje, choćby tylko po to, żeby się mnie pozbyć”.

1.17

Ale teraz doktor Gupta śmiał się z jakiegoś dowcipu doktora Narajanana, a profesor Miśra mówił właśnie:

— Jednomyślność... jednomyślność to nasz cel, wzniosły cel... Jak mamy cokolwiek przegłosować, skoro rezultat może być zawsze dwa do dwóch? Pandawów było pięciu, oni mogli sobie głosować, ile chcieli, ale i oni robili wszystko jednomyślnie. Nawet gdy brali sobie żoneczkę, to też wszystko zgodnie, jednomyślnie, he, he, he! A doktor Warma jest niedysponowany — jak zwykle — więc głosuje nas tylko czterech.

Wbrew sobie Pran podziwiał do pewnego stopnia profesora Mi-śrę. Te rozbiegane oczka, ten wielgachny nochal, te usteczka w ciup wzbudzały — nie wiadomo dlaczego — respekt. Statuty uniwersyteckie wymagały, aby komitety do spraw programów nauczania, podobnie jak wszystkie inne komitety na wydziałach tej uczelni, składały się z nieparzystej liczby członków. Ale profesor Miśra, jako kierownik katedry, zawsze jakoś tak wymanewrował, żeby w każdym z nich znalazł się ktoś, kto z powodów zdrowotnych, rodzinnych lub natury zawodowej (np. praca naukowa) nie był w stanie uczestniczyć w posiedzeniach. W ten sposób komitety, gdzie w praktyce liczba obecnych członków była zazwyczaj parzysta, niechętnie podejmowały wiążące decyzje w głosowaniach. A kierownik katedry, mając i tak — z urzędu — kontrolę nad porządkiem obrad, umacniał jeszcze przez to swoją pozycję lidera.

— Myślę, że i tak już poświęciliśmy wystarczająco dużo czasu punktowi drugiemu — rzekł profesor Miśra. — Może powinniśmy zająć się teraz chiazmem i anakolutami? — Miał na myśli swoją własną propozycję, aby z programu teorii literatury i krytyki literackiej usunąć zbyt szczegółową analizę tradycyjnych środków artystycznych. — Pozostaje również problem czasowników posiłkowych, zgłoszony przez naszego najmłodszego rangą kolegę. Chociaż mu-
simy oczywiście poczekać i zobaczyć, czy nasz wydział zgodzi się na ten projekt. A po przedyskutowaniu tych punktów, ponieważ zapada zmrok — cią-

gnął dalej profesor Miśra — proponuję zamknąć zebranie. Punkty pięć, sześć i siedem możemy omówić w przyszłym miesiącu.

Ale Pran nie miał ochoty rezygnować z szansy pozytywnego rozpatrzenia swojego projektu.

— Chyba wszyscy już odpoczęliśmy troszeczkę, więc możemy przystąpić, tym razem na spokojnie, do dyskusji nad Joyce'em. *Ulisses* mógłby rzeczywiście okazać się za trudny dla naszych studentów — powiedział — ale może wobec tego moglibyśmy, na próbę, włączyć do programu *Dublińczyków*? Co na to pozostali członkowie komitetu? Jak pan sądzi, doktorze Gupta?

Doktor Gupta zadarł głowę i popatrzył na wirujący pod sufitem wiatrak. Bez zgody profesora Miśry nie będzie w stanie zapraszać na gościnne wykłady prelegentów z zewnątrz, specjalistów od literatury staroangielskiej. To pociągało za sobą wysokie, często trudne do przewidzenia koszty, a fundusze musiały być zatwierdzone przez kierownika wydziału. Doktor Gupta nie był naiwniakiem i, podobnie jak pozostali zebrani, nie miał cienia wątpliwości, co oznacza to Pranowe „na próbę”. Z sufitu przeniósł wzrok na Prana i powiedział:

— Dlaczego nie...?

Tu zainteresował natychmiast profesor Miśra, który wpadł mu w słowo:

— Nie zapominajmy o jednym... chociaż, prawdę mówiąc, ja sam przedtem o tym nie pomyślałem. Tradycyjnie program kursu współczesnej literatury brytyjskiej ogranicza się do pisarzy przedwojennych, to znaczy tych, którzy zmarli przed drugą wojną światową. — Pran pierwszy raz o tym słyszał i nie potrafił ukryć swojego zdumienia, wobec czego profesor Miśra pospieszył z następującym wyjaśnieniem: — To nie powinno nikogo zaskakiwać. Aby ocenić obiektywnie dorobek współczesnych pisarzy i na tej podstawie podejmować decyzje o włączeniu ich twórczości do naszego programu, potrzeba pewnego dystansu. Proszę mi przypomnieć, doktorze Kapur, kiedy zmarł Joyce?

— W1941 roku — odparł szorstko Pran. Było jasne, że grubaśny wielki waleń sam znał odpowiedź na to pytanie.

— No widzi pan... — rzekł profesor Miśra bezradnie. Powiódł palcem, od góry do dołu, po kartce z porządkiem obrad.

— Eliot, oczywiście, to jeden ze współczesnych i nadal żyjących pisarzy — zagiął go Pran spokojnie, studiując listę lektur obowiązkowych.

Kierownik wydziału, zbity z pantałyku, otworzył lekko usta. Szybko jednak przełknął tę zniewagę, wydymając z niesmakiem wargi i za chwilę, popatrzywszy chytrze na Prana, zawyrokował:

— No tak, ale Eliot... Eliot, oczywiście, to zupełnie inna sprawa. .. W tym przypadku istnieją już obiektywne kryteria... Nawet sam doktor Leavis...

„Profesor Miśra sam wyraźnie maszeruje w takt wybijany przez cudzoziemskiego dobosza”, pomyślał Pran. A głośno powiedział:

— Doktor Leavis, jak wiemy, jest również wielbicielem Lawrences.



— Ale nie o tym tutaj mowa — wykręcił się profesor Miśra. — Lawrence'a, o ile pamiętam, odłożyliśmy do następnego spotkania.

Pran popatrzył przez okno. Ściemniało się i szczerzenie oddychał wreszcie w chłodniejszym, wieczornym powietrzu. Pran nie raczył nawet spojrzeć na profesora Miśrę, ale kontynuował swoje wywody:

— Joyce to wielka indywidualność i nie można go porównywać z Eliotem. Więc jeśli...

— Ależ ten rodzaj argumentacji, mój szanowny młody kolego... — odparł profesor Miśra — ten rodzaj argumentacji, że się tak, za pańskim pozwoleniem, wyrażę, to po prostu czysta sofistyka.

I proszę! Dopiero co w oczy zadano mu kłam, a już to po nim spłynęło jak woda po kacze. Za chwileczkę zacznie cytować Prufrocka.

„Dlaczego my, hinduscy intelektualiści, jesteśmy tak zafascynowani Eliotem?” — Myśli Prana odbiegły od zasadniczego tematu, na który właśnie dyskutowano. „Dlaczego zrobiliśmy z niego taką świętą krowę?” A głośno powiedział:

— Osobiście życzę T.S. Eliotowi długich, owocnych lat życia. Całe szczęście, że jest wśród nas jeszcze wielu żyjących pisarzy dobrej klasy. Joyce zmarł dziesięć lat temu, w 1941 roku. Teraz mamy rok 1951, więc chyba ta tradycja, o której pan wspomniał, profesorze, żeby studiować tylko pisarzy przedwojennych, nie sięga korzeniami do bardzo odległych czasów. Może więc błędem byłoby za bardzo jej hołdować? A gdybyśmy tak postarali się unowocześnić to i owo? Z pewnością jest ona wyrazem naszego szacunku dla zmarłych. Czy raczej, powiedzmy sobie, ukłonem w stronę tych, którzy zyskali rozgłos w poprzednich pokoleniach. Ale jednak dla Eliota uczyniono wyjątek. Proponuję, aby uczynić go również dla Joyce'a. Taki przyjacielski kompromis. — Uśmiechnął się. — Doktorze Narajanan, jest pan za tym? Zechce pan poprzeć *Zmarłych*?

Zanim profesor Miśra zdążył zareagować, doktor Narajanan powiedział, uśmiechając się nieśmiało:

— Tak, no cóż, myślę, że jednak tak.

— Doktorze Gupta? — spytał Pran.

Doktor Gupta nie śmiał spojrzeć profesorowi Miśrze w oczy, ale wreszcie powiedział:

— Zgadzam się z doktorem Narajananem.

Zapadło milczenie. Pran pomyślał: „Nie do wiary! Udało się. Udało się. Nie do wiary! Na to wygląda”. Reszta to już tylko formalność. Rada Akademicka zawsze zatwierdzała decyzje podjęte przez komitety na wydziałach uczelni.

Kierownik katedry przeszedł nad tym do porządku dziennego, jakby nigdy nic. Jego duże, gładkie dłonie przewracały powielane kartki.

— Przejdźmy więc do punktu numer... — zaczął profesor Miśra z uśmiechem. Potem zawahał się i po namyśle dodał: — Ale przedtem chciałbym zaznaczyć, że osobiście ogromnie cenię Joyce'a jako pisarza. Ogromnie. Cieszy mnie...

Nagle do głowy Prana wtargnęła nieproszona myśl — fragment jakiegoś wiersza:

*O, białe dłonie, które tak kochałem,
Gdzie jesteście? Na kogo rzuciłyście czar?*

i — ni z tego, ni z owego — wybuchnął nie kontrolowanym, prawie histerycznym śmiechem. Przez dwadzieścia sekund dusił się ze śmiechu, w końcu zakrztusił się i rozkaszał. Spuścił głowę, a łzy spływały mu strugą po policzkach. Profesor Miśra przeszył go nienawistnym spojrzeniem.

— Przepraszam, bardzo przepraszam — wymamrotał Pran, kiedy przyszedł wreszcie do siebie. Doktor Gupta walił go z całych sił w plecy, co nie było wcale pomocne. — Proszę kontynuować... coś mnie napadło... tak się czasem zdarza... — Ale nie był w stanie znaleźć żadnej innej wymówki.

Przedyskutowano następnie jeszcze dwa kolejne punkty porządku obrad i tym razem nie było żadnej zasadniczej rozbieżności zdań. Zrobiło się zupełnie ciemno, więc postanowiono zakończyć na tym zebranie. Kiedy Pran był już przy wyjściu, profesor Miśra położył mu przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Mój drogi chłopcze, to była bardzo dobra robota. Bardzo dobra robota. — (Pran zatrzęsł się na samo wspomnienie). — Podziwiam pański intelekt, jak również pańską godność i duchową siłę. — („Co on knuje?", zastanawiał się Pran). Profesor Miśra zaś mówił dalej: — Prorektor naprzykrza mi się już od wtorku, żeby w Komitecie uniwersyteckim do spraw socjalnych znalazł się ktoś z mojego wydziału... — („O nie!", pomyślał Pran. „Znowu trzeba będzie spisać na straty jeden dzień w tygodniu"). — ...a ja postanowiłem wytypować pana.

„Typuje się konie na wyścigach", pomyślał Pran. Szli właśnie przez dziedziniec uniwersytecki. W ciemności Pran nie widział wyrazu twarzy profesora Miśry, ale w jego głosie słyszał wyraźną, nie ukrywaną niechęć. Domyślał się, że zaciska wargi i że jego oczy miotają błyskawice. Pran milczał, co — w pojęciu kierownika katedry anglistyki — było oznaką zgody.

— Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo jest pan zajęty, doktorze Kapur. Ma pan przecież tyle dodatkowych zajęć: i klub dyskusyjny, i kółko deklamatorskie, i kółko teatralne... — mówił z przekonaniem profesor Miśra. — Wszystko to są zajęcia, które (i zresztą bardzo słusznie) cieszą się ogromną popularnością wśród studentów i zjednują nam ich sympatię. Ale jest pan właściwie świeżo upieczonym wykładowcą. Tak, tak, co to jest pięć lat, panie kolego? Niech pan tylko spojrzy na mnie. I wie pan co? Ja, stary piernik, dam panu dobrą radę: niech pan ograniczy zajęcia nie związane z pracą naukową. Niech pan się nie przemęcza bez potrzeby. Niech pan nie bierze wszystkiego tak bardzo na serio. Jak to mówił Yeats?

*Mówiła mi, ucz się życia od beztroskich drzew,
-Ale ja, młody i głupi, myślałem, że to grzech.*

Jestem pewien, że pańska czarująca żona przyznałaby mi rację. Niech się pan tak nie rozrywa, zdrowie pan sobie nadwreży. Niech je pan bardziej oszczędza. Na przyszłość. Wie pan, kto jest pana największym wrogiem? Pańska własna ambicja.

„Ale tylko w przenośni", myślał Pran. „Natomiast przez swój upór znalazłem wroga w czcigodnym profesorze Miśrze". I jak się teraz na nim odbije ta

nienawiść profesora? Choćby i w kwestii docentury? Zaszkodzi mu to, czy wręcz przeciwnie: pomoże. „Co myśli o mnie teraz profesor Miśra?”, zastanawiał się Pran. Wyobrażał sobie, że tamten wyrzucał sobie gorzko: „Szkoda, że dopuściłem do tego, żeby taki żółtodziób, bezczelny zarozumialec, mógł się teraz wtrącać do programu nauczania. No, ale trudno, stało się. Przynajmniej nie bruździ mi, powiedzmy, w Komitecie rekrutacji; tam by się dopiero stawiał, kiedy przyjmujemy kogoś po protekcji. Trzeba będzie jakoś tak wymanewrować z tym jego podaniem o awans, żeby mi potem, jako docent, nie krępował swobody ruchów...”

Ale w tym właśnie momencie ich drogi się rozeszły i Pran stracił możliwość zgadywania z reakcji profesora, jakim trybem biegły jego myśli. Rozstali się, wymieniając wyrazy szacunku.

1.18

Minakszi, żona Aruna, umierała z nudów, więc zażądała, aby przyprowadzono jej córkę, Aparnę. Aparna wyglądała naprawdę prześlicznie, jeszcze śliczniej niż zazwyczaj: okrągłutka, czarnowłosa, o jasnej karnacji i dużych, czarownych oczach, równie wyrazistych jak oczy Minakszi, jej matki. Minakszi zadzwoniła dwa razy na niańkę, a potem przeniosła wzrok z elektrycznego dzwonka na książkę, którą trzymała na kolanach. Nie mogła strawić tych *Budden brooków!* Co za nuda! Chyba nie zdoła nawet przebrnąć przez pierwszych pięć stron. Arun na ogół wpatrzony był w nią jak w obrazek, ale od czasu do czasu odbijało mu coś i wtedy nalegał, żeby czytała „ambitne pozycje”. Właściwie zmuszał ją, jakby jego prośba miała być dla niej rozkazem. Czasami, na jakimś wieczorku, w towarzystwie — bardzo wesołym i swobodnym — które, w przekonaniu Minakszi, miało w nosie, podobnie jak ona sama, *Buddenbrooków* i wszystkie inne niemieckie mózgowy wypociny, rzucał niby to mimochodem: „Wspaniała książka, ta powieść Manna. Właśnie ją czytam. Poleciałem ją również Minakszi...” Niektórzy znajomi, szczególnie romantyczny Billy Irani, słuchali w osłupieniu, przenosząc wzrok z Aruna na

Minakszi, a potem szybko zmieniali temat, dzieląc się nowinkami z pracy albo z Calcutta Club, przytaczając towarzyskie skandale, rozprawiając o wyścigach oraz golfie, utyskując na „zgniliznę polityczną”, a także na „tępych biurokratów”, zapominając w try miga o Tomaszu Mannie. Ale Minakszi zawsze czuła się zobowiązana przynajmniej przekartkować poleczone przez Aruna powieści, żeby popisać się przed nim swoim odczytaniem, co sprawiało mu wyraźną przyjemność.

Minakszi myślała o Arunie z ogromną czułością. Jest takim cudownym mężem! Uwielbiała swoje przytulne mieszkanie w Sunny Park, niedaleko od Ballygunge Circular Road, gdzie mieszkali jej rodzice. Szkoda tylko, że tak ciągle skaczą sobie do oczu z Aninem. Arun, w gorącej wodzie kąpany, był potwornie zazdrosny. Wystarczyło, żeby zerknęła tylko przelotnie na Billy'ego, takiego słodkiego romantyka, a w Arunie już wrzało, już się w nim burzyły namiętności. Później, w łóżku — przyznawała sama przed sobą — miało to nawet swoje dobre strony, ale czasami bywało i odwrotnie: Arun wpadał w furję, dąsał się i nie sprawdzał się jako kochanek. Billy Irani miał wprawdzie dziewczynę, Śirin, ale Arunowi nie robiło to żadnej różnicy: i tak podejrzewał Minakszi (zresztą słusznie), że skrycie podkochuje się w jego przyjacielu i że chętnie uciełaby z nim sobie na boku romansik. Śirin wzdychała czasem ciężko, pomiędzy jednym koktajlem a drugim, narzekając, że Billy to flirciarz i niepoprawny gagatek.

Kiedy w odpowiedzi na dzwonek zjawiała się piastunka, aja, Minakszi powiedziała łamanym hindi:

— *Baby lao!* — Wiekowa kobieta, która poruszała się ślamazarnie, odwróciła się, żeby wypełnić polecenie swojej pani i wkrótce Aparna została wprowadzona do pokoju matki. Leżakowała właśnie, i teraz — rozbudzona — ziewała, przecierając oczka małutkimi piąstkami.

— Mamusiu, jestem zaspana! Miriam mnie obudziła. Piastunka Miriam, usłyszawszy swoje imię, obdarzyła dziewczynkę ciepłym, bezzębnym uśmiechem, chociaż nie rozumiała ani słowa po angielsku.

— Wiem, laluniu, mój najdroższy skarbeńku — rzekła Minakszi — ale mamusia chciała się z tobą popieścić, bo okropnie się jej nudziło. Chodź tutaj, daj mi... o właśnie... i jeszcze raz, w drugi policzek.

Aparna miała na sobie jasnofioletową gładką sukieneczkę z falbankami i wyglądała — w opinii matki — absolutnie czarująco. Minakszi przejrzała się w lusterku, które stało na toaletce, i serce w niej urosło na widok takiej pięknej, odbitej w nim pary: mamusi i córeczki.

— Wyglądasz prze-prze-prześlicznie — poinformowała Aparnę. — Chyba sobie zafunduję całą kolekcję malusieńkich dziewczynek. .. i Aparnę, i Bibeke, i Ćarulatę, i...

Aparna zmroziła ją lodowatym spojrzeniem.

— Jeżeli zjawi się w tym domu drugie dziecko, wyrzucę je zaraz do kosza — oświadczyła stanowczo.

— O! — wybąkała Minakszi zaskoczona.

Aparna, wychowując się wśród dorosłych, i to bardzo silnych osobowości, rozwinęła dość wcześnie bogate słownictwo. Ale kto by pomyślał, że trzylatki potrafią wyrażać się tak klarownie, w dodatku w zdaniach warunkowych? Minakszi spojrzała na Aparnę i westchnęła.

— Jesteś naprawdę cudowna. Teraz napijesz się mleczka. — A do piastunki powiedziała: — *Dudh lao. Ek dum!*

Miriam, szur, szur, szur, wyszła, powłócząc nogami, żeby przynieść małej szklanekę mleka.

Minakszi zirytowała niedołężność piastunki, jej zgarbione plecy, i pomyślała: „Naprawdę trzeba wreszcie wynająć kogoś innego na miejsce tego klekota. Jest już zupełnie zgrzybiała i do niczego nieprzydatna”. „Stary klekot” — tak przezywali między sobą z Aninem piastunkę starowinkę i nawet teraz Minakszi zaśmiała się szczerze ubawiona na wspomnienie chwili, kiedy raz, przy śniadaniu, Arun oderwał się od krzyżówki w „Statesmanie” i powiedział:

— O, wygoń wreszcie z kuchni tego bezzębnego klekota. Po prostu obrzydza mi jedzenie.

Od tamtej pory nie mówili o niej inaczej pomiędzy sobą, jak tylko „stary klekot”. No właśnie. „Życie z Arunem pełne jest podobnych, bardzo zabawnych niespodzianek”, myślała Minakszi. Gdyby tylko składało się z samych takich wybornych chwil. Ale niestety, trzeba było również prowadzić dom, a tego Minakszi nienawidziła. W rodzinnym domu wszystko jej zawsze podty-

kano pod nos, więc dopiero po ślubie starsza córka sędziego Catterdżego dowiedziała się, jak trudno sprostać obowiązkom pani domu. Raz, że trzeba było kontrolować służbę (piastunkę, lokaja i kucharza — w jednej osobie, sprzątaczkę oraz ogrodnika, którzy byli dochodzący; na szczęście Arun wziął na siebie odpowiedzialność za szofera, który był opłacany przez jego przedsiębiorstwo). Dwa, że poświęcało się masę czasu na sprawdzanie rachunków i zakupy (nie we wszystkim można przecież było ufać piastunce i lokajowi). Trzy, że wszystko musiało się mieścić w domowym budżecie. To było najtrudniejsze. W domu rodzinnym miała właściwie wszystko, czego dusza zapragnie, i chociaż — z głową pełną romantycznych postanowień — nalegała (wbrew namowom rodziców), że po ślubie staną z mężem na własne nogi, chciała żyć, jak ludzie", życiem cywilizowanym, i nie potrafiła wyrzec się drobnych luksusów, takich jak zagraniczne mydło, zagraniczne masło i tak dalej. Irytowało ją, że cała rodzina Aruna była u niego na garnuszku, i często mu to, wcale niedwuznacznie, wypominała.

— No widzisz — powiedział niedawno Arun w jakiejś rozmowie. — Teraz, kiedy wydaliśmy już za mąż Sawitę, będzie nam jednak troszeczkę lżej. Sama musisz to przyznać, kochanie. Minakszi westchnęła, odpowiadając kupлетem:

*Ciężka, ciężka dola ma,
Mehra tu i Mehra tam.*

Arun sposepniał nagle. Znowu mu przypomniano, że starszy brat Minakszi to poeta. Cała rodzina Catterdżich miała fisia na punkcie rymów. Szczególnie młodsze i starsze rodzeństwo Minakszi, dwóch braci i siostra, którzy często, zamiast odpowiadać ca

łymi zdaniem, układali na poczekaniu, strasznie prymitywne zresztą, kule.

Piastunka przyniosła mleko i wyszła. Minaksi znowu zerknęła niechętnie na *Buddenbrooków*, a potem, zniecierpliwiona, rzuciła Tomasza Manna na łóżko, sama również przeniosła się na nie z krzesła, przymknęła swoje piękne oczy i zasnęła. Aparna usiadła obok niej na łóżku, popijając mleko. Dwadzieścia minut później, znudzona, zaczęła szczypać matkę w piersi.

— Ojej, Aparna! Skarbenku! Dlaczego mnie tak dręczysz? Mamusia chce się zdrzemnąć — prosiła ją Minaksi.

— Nie śpij — szarpała ją dalej Aparna. — Chcę się z tobą pobawić! — W przeciwieństwie do większości dzieci w jej wieku, Aparna nigdy nie używała swego imienia jak monarcha, w trzeciej osobie, chociaż takiej właśnie formy używała jej matka.

— Dzidziuniu. Mamusia jest bardzo zmęczona, czytała książkę i nie chce jej się bawić. W każdym razie nie teraz. Później, gdy tatuś przyjdzie do domu, możesz się z nim pobawić. Albo pobaw się z wujkiem Warunem, kiedy wróci z uniwersytetu. Gdzie ta szklanka?

— A kiedy tatuś wróci?

— Sądzę, że za jakąś godzinę — odparła Minaksi.

— Sądzę, że za jakąś godzinę — powtórzyła rezolutnie Aparna, jakby przypadła jej do gustu ta formułka. — Ja też chcę taki naszyjnik — dodała, pociągając za złoty łańcuszek matki.

Minaksi uściskała swoją córeczkę.

— I przyrzekam, kochanie, że dostaniesz — powiedziała krótko, nie podejmując tego tematu. — A teraz idź i posiedź sobie z Miriam.

— Nie pójdę.

— No, to dobrze, zostań tutaj, jeśli chcesz, ale zachowuj się cichuteńko, kochanie.

Aparna przez chwilę rzeczywiście siedziała cicho. Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na *Buddenbrooków*, na pustą szklankę, na swoją śpiącą matkę, na kołdrę, na lustro, na sufit. Potem powiedziała na próbę:

— Mamusiu?

Nie było odpowiedzi.

— Mamusiu? — Aparna podniosła głos o parę tonów wyżej.

— Hm?

— MAMUSIU! — wrzasnęła Aparna jak opętana.

Minakszi podskoczyła, wyprostowała się na łóżku i potrząsnęła Aparną.

— Chcesz dostać w pupę? — zapytała.

— Nie — odparła z przekonaniem Aparna.

— To co to za krzyki? Czemu się tak wydzierasz? Co chciałaś mi powiedzieć?

— Ciężki miałaś dzień, kochanie? — zapytała Aparna, mając nadzieję, że powtarzając tak uroczo jej własne słowa, wzbudzi w matce choć cień zainteresowania.

— Bardzo ciężki — odparła cierpko Minakszi. — A teraz, kochanie, zabierz tę szklankę i marsz do kuchni! Miriam się tobą zajmie.

— A mogę ci poczesać włoski?

— Nie teraz.

Aparna zeszła niechętnie z łóżka i skierowała się w stronę drzwi. Zastanawiała się w myślach, czy nie zagrozić: „Powiem wszystko tatusiowi!”, chociaż nie bardzo wiedziała, na co by mogła naskarzyć. Tymczasem jej matka znowu zapadła w słodki sen, z kruczoczarnymi włosami rozsypanymi na poduszce. Było parne popołudnie, które sprzyjało marzycielskim snom. Oddychała równo, przez leciutko rozchylone usta, a jej piersi wznosiły się i opadały łagodnie przy każdym odddechu. I śniła o dziarskim Aninie, swoim mężu, atrakcyjnym mężczyźnie, który należał do niej duszą i ciałem, i który miał powrócić do domu za godzinę. A po pewnym czasie zaczęła śnić o Billym Iranim, z którym mieli się spotkać później tego samego wieczoru.

Po powrocie do domu Arun zostawił teczkę w pokoju gościnnym, wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Widząc Minakszi uśpioną, przeszedł się parę razy po pokoju, potem zdjął marynarkę i krawat i położył się obok niej w milczeniu, nie zakłócając jej snu. Ale po pewnym czasie położył jej dłoń na czole, potem pogłaskał ją po twarzy, aż wreszcie dotknął jej piersi. Minakszi otworzyła oczy i powiedziała:

— O! — Przez chwilę zdawała się kompletnie zdezorientowana. Po chwili zapytała: — Która godzina?

— Piąta trzydzieści. Wróciłem wcześniej, tak jak obiecywałem. .. i zobaczyłem, że śpisz.

— Wcześniej nie mogłam zmrużyć oka, kochanie. Aparna mnie budziła co parę minut.

— Co mamy na dziś wieczór w programie?

— Kolacja i dancing z Billym i Śirin.

— Aha, no oczywiście. — Arun zamilkł na chwilę, a potem dorzucił: — Prawdę mówiąc, kochanie, jestem po prostu wykończony. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy tego odwołać.

— No co ty! Ożywisz się zaraz, jak tylko coś wypijesz — powiedziała wesoło Minakszi. — Zerkniesz raz czy dwa na Śirin, to ci się od razu humor poprawi — dodała.

— Pewnie masz rację, kochanie. — Arun przyciągnął ją bliżej do siebie. Miesiąc temu miał kłopoty z krzyżem, ale teraz czuł się już o wiele lepiej.

— A fe! Ty hultaju — rzekła Minakszi, wymykając się z jego objęć. Po chwili dodała: — Stary klekot kradnie nam Ostermilk.

— Co ty powiesz? — odparł Arun obojętnie, ale po chwili przypomniał sobie coś i powiedział zaaferowany: — A wiesz? Odkryłem dzisiaj po dliczeniach, że o mało nie przepłaciliśmy pewnemu miejscowemu przedsiębiorcy... I to na sumę sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Natychmiast, oczywiście, zwróciliśmy się do niego z prośbą o skorygowanie tej jego wyceny... Ale wyobrażasz sobie?

Czy to nie szczyt wszystkiego?... Żadnych zasad moralnych, żadnych skrupułów... Nie mówiąc już o etyce zawodowej. Wpadł kiedyś do mnie do biura i zapewniał mnie, że ze względu na, cytuję jego słowa, „długoletnią współpracę naszych firm”, ma dla mnie bardzo atrakcyjną ofertę. No i widzisz. A dzisiaj dowiaduję się w rozmowie z Jockiem Mackayem, że im też się tak podlizywał, ale wystawił im rachunek na dużo niższą sumę. O sześćdziesiąt tysięcy dolarów niższą niż nam.

— Aha. No i co teraz zrobisz? — spytała Minakszi, czując się w obowiązku okazać zainteresowanie. Wyłączyła się już po paru pierwszych zdaniach, więc nie miała pojęcia, o czym Aran opowiada.

Aran truł tak przez mniej więcej pięć minut, a Minakszi bujała w obłokach. Kiedy zamilkł na chwilę i spojrzał na nią pytająco, zapytała, ziewając trochę po tak nagle przerywanej drzemce:

— No, a twój szef? Co on na to?

— Trudno powiedzieć. Basil Cox z natury nie jest skory do pochwał, nawet kiedy darzy kogoś względami. Zresztą podejrzewam, że w tym przypadku jest trochę wściekły ze względu na opóźnienia, ale jednocześnie szczęśliwy, że zaoszczędziliśmy kupę forsy.

Aran wywnętrzał się przed nią jeszcze przez parę minut, natomiast Minakszi w tym czasie zabrała się do lakierowania paznokci.

Chociaż drzwi do sypialni były zamknięte na zasuwkę, żeby mała nie wtargnęła do pokoju w nieodpowiednim momencie, Aparna zauważyła teczkę ojca, domyśliła się, że wrócił, i domagała się, żeby ją wpuszczono. Arun otworzył drzwi i chwycił ją w objęcia, a potem, przez prawie godzinę, siedzieli oboje nad układanką z obrazkiem żyrafy, którą Aparna wypatrzyła w sklepie z zabawkami tydzień po wycieczce do brahmpurskiego zoo. Składali ją już poprzednio wiele razy, ale dla Aparny była to nadal nowość; jeszcze się nią nie znudziła. Dla Aruna również była to świetna rozrywka. Uwielbiał swoją córeczkę i chwilami przykro mu było, że balowali gdzieś z Minakszi prawie każdego wieczoru. No, ale z drugiej strony trudno zakopać się w domu i zapomnieć o przyjemnościach tylko dlatego, że się ma dziecko. Od czego są w końcu piastunki? I od czego są, powiedzmy sobie, młodsi bracia?

— Mamusia obiecała, że mi kupi naszyjnik.

— Naprawdę, kochanie? — zdziwił się Arun. — Ciekaw tylko jestem za co? Na razie nas na to nie stać.

Aparna, rozczarowana ojcowską ripostą, nadała się i siedziała z tak rozkosznie kapryśną minką, że oboje rodzice wymienili spojrzenia, w których był niemy podziw.

— A właśnie, że mi kupi — upierała się Aparna, stanowczo, ale spokojnie. — Chodź, ułożymy jeszcze raz żyrafę.

— Ale przecież dopiero co ją złożyliśmy — protestował Arun.

LR

— To możemy teraz przynieść inną układankę.

— Zajmij się nią, Minakszi — poprosił Arun.

— O, nie, kochanie, to ty się nią zajmij — odparła jego żona. — Ja muszę się szykować do wyjścia. Aha, i narobiliście bałaganu w sypialni. Nie zostawiajcie tego tak na podłodze.

Tak więc przez jakiś czas Arun i Aparna, przegnani z sypialni, leżeli na dywanie w pokoju gościnnym, głowiąc się tym razem nad jeszcze inną układanką — pomnika Zwycięstwa — podczas gdy Minakszi robiła się na bóstwo. Wzięła kąpiel, włożyła suknię i dobrała do niej odpowiednią biżuterię oraz perfumy.

Po powrocie z uczelni Warun przemknął obok Aruna w milczeniu, zamknął się w swojej klitce i usiadł obłożony książkami. Chyba coś go gryzło, bo nie mógł się skupić na nauce. Kiedy jednak Arun zaczął szykować się do wyjścia, Aparna została oddana pod opiekę Warana i chłopak spędził resztę wieczoru w domu, starając się ją zabawić.

Piękna Minakszi o łabędziej szyi przyciągała wiele spojrzeń, kiedy cała czwórka wchodziła do Firposa na kolację. Arun komplementował Śirin, zapewniając ją, że wygląda wprost urzekająco, a Billy rzucał Minakszi rozmaite, sentymentalne spojrzenia i mówił, że wygląda bosko, więc wieczór zapowiadał się kapitalnie. Później bawili się świetnie na dancingu w 300 Club. Minakszi i Aruna nie było właściwie stać na szastanie pieniędzmi — Billy Irani, niebieski ptak, miał niezależne źródła dochodów — ale oboje uważali, że im się to należy. Przecież wyraźnie byli stworzeni do takiego stylu życia, więc dlaczego mieli odmawiać sobie przyjemności tylko z powodu ograniczonych środków finansowych? Przez cały wieczór wzrok Minakszi przyciągały maleńkie, złote, wiszące kolczyki, bardzo twarzowe, które tak ładnie podkreślały kształt niedużych, delikatnych uszu Śirin.

Był ciepły, letni wieczór. W samochodzie, w drodze powrotnej do domu, Arun poprosił Minakszi:

— Daj mi rękę, kochanie. — A Minakszi, dotknąwszy jego dłoni koniuszkiem długiego, polakierowanego na czerwono paznokcia, powiedziała tylko:

— Masz!

LR

Arun uznał to za przejaw wytwornej kokieterii. Ale Minaksi układała sobie w głowie plan.

Później, kiedy Arun leżał już w łóżku, Minaksi otworzyła swoją szkatułkę (Ćatterdźowie nie uważali, że należy obsypywać córki biżuterią, ale każda dostała tyle, żeby jej wystarczyło na bieżące potrzeby) i wyjęła z niej dwa złote medale, które dostała od Mrs Rupy Mehry w prezencie ślubnym. Matce Aruna ciężko się było rozstać z taką cenną pamiątką po zmarłym mężu, ale ponieważ żadnych innych klejnotów nie miała, więc uznała, że tak chyba jednak wypada. Wierzyła również, że taki gest spotkałby się z mężowską aprobatą. Na jednym medalu grawerowany napis głosił: „Thomasson Engineering College Roorkee. Raghubir Mehra. Inżyn. Cywil. Primus inter pares. 1916”, a na drugim: „fizyka. Primus inter pares. 1916”. Po drugiej stronie na każdym z nich był wizerunek siedzącego na piedestale lwa. Minaksi popatrzyła na medale, zważyła je w dłoniach, a potem przyłożyła chłodne, drogocenne krążki do policzków. Zastanawiała się, ile mogły ważyć. Myślała o złotym łańcuszku, który obiecała Aparnie, i złotych kolczykach, które właściwie obiecała samej sobie. Wiszące kolczyki w delikatnych uszach Śirin miały kształt małych perełek: przyjrzała się im bardzo dokładnie. Przynajmniej będzie jakiś użytek z tych szmirowatych medali.

Kiedy zniecierpliwiony Arun zawołał ją do łóżka, wymamrotała:

— Idę, już idę. — Ale dołączyła do niego dopiero po paru minutach.

— O czym tak myślisz, kochanie? — zapytał z troską. — Czym tak sobie zaprzatnęłaś swoją śliczną główeczkę?

Ale Minaksi czuła instynktownie, że lepiej nie zwierzać się Arunowi ze swoich tajemnych projektów, więc wykręciła się od odpowiedzi, wbijając zęby w płatek jego lewego ucha.

1.19

Następnego ranka, o dziesiątej, Minaksi zadzwoniła do swojej młodszej siostry, Kakoli.

— Kuku, moja koleżanka z Shady Ladies — wiesz, z mojego klubu — chciałyby stopić dyskretnie trochę złota. Może wiesz, gdzie się takie rzeczy robi? Znasz jakiegoś dobrego jubilera?

— Chyba Satram Das albo Lilaram — ziewnęła Kuku, nie całkiem jeszcze przebudzona.

— Nie, nie pójdę na Park Street... ani do żadnego jubilera w tej dzielnicy — rzekła Minakszi z ciężkim westchnieniem. — Muszę iść gdzieś, gdzie mnie nie znają.

— Ty musisz iść gdzieś, gdzie cię nie znają?

Na moment w słuchawce zapadła głucha cisza, ale potem znowu odezwał się w niej głos Minakszi:

— To już trudno, powiem ci całą prawdę. Upatrzyłam sobie takie kolczyki... wyglądają przepięknie... jak maleńkie perełki... i chcę stopić te tandetne, ordynarne medale, które dostałam w prezencie ślubnym od matki Aruna.

— O, nie rób tego! — zaszczębiotała Kakoli przerażona tym wyznaniem siostry.

— Kuku, nie pytam, czy powinnam to zrobić, tylko gdzie.

— No to idź do Sarkara. Nie... Spróbuj u Dźauhriego na Raśbehari Avenue. A czy Arun o tym wie?

— Przecież to był prezent dla mnie — odparła Minakszi. — Arun może stopić swoje kije golfowe i przerobić je na pas ortopedyczny. Nie bronię mu wcale.

Dziwne. Widocznie wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej, bo jubiler również starał się ją odwieść od tego zamiaru.

Minakszi podrapała się w szyję swoim długim, karminowym paznokciem środkowego palca prawej ręki.

— Wiem — powiedziała obojętnie.

— Proszę pani — powiedział Mr Dźauhri po bengalsku, przyglądając się z wielką uwagą medalom zdobytych w nagrodę za celujące wyniki w nauce przez jej teścia — to są bardzo piękne medale. — Zgrubiałymi, ciemnymi palcami, które nie pasowały jakoś wcale do mistrza trudniącego się obróbką

szlachetnych kamieni i metali, dotknął czule wizerunków lwów, a potem powiódł ręką po gładkich obrzeżach medali.

— Proszę pani, o ile wolno mi radzić, może byłoby lepiej, gdyby zamówiła pani te kolczyki i łańcuszek i zapłaciła za nie osobno? Nie ma potrzeby topić tych medali. Taka elegancka i, jak widać, dobrze sytuowana dama z całą pewnością będzie mogła sobie na to pozwolić.

Minakszi popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Znam mniej więcej wagę tych medali, proponuję, żeby stopić jeden, a nie oba — powiedziała lodowato. A potem, zirytowana impertynencją jubiler (taki zwykły sklepikarz w jakimś trzeciorzędym sklepiku, za kogo on się ma?) dodała jeszcze: — Przyszłam tutaj, bo zależy mi na wykonaniu tej roboty; inaczej poszłabym do mojego własnego jubilera. Ile to potrwa, pańskim zdaniem?

Jubiler zaniechał dalszej sprzeczki.

— Około dwóch tygodni — powiedział.

— Aż tak długo?

— No, wie pani, jak to jest. O dobrego, wykwalifikowanego rzemieślnika dzisiaj trudno, a my mamy bardzo wiele zamówień.

— Teraz? W marcu? Przecież skończył się już sezon weselny.

— Mimo to, proszę pani.

— No trudno — powiedziała Minakszi. — Niech tak będzie. — Wyciągnęła rękę po jeden z medali i włożyła go z powrotem do torebki (był to akurat ten z fizyki). Jubiler popatrzył z wyraźnym żalem na inżynierski medal leżący w maleńkim welwetowym futerale na stoliczku. Nie ośmielił się zapytać, kto był uprzednio jego właścicielem, ale kiedy po odważeniu wręczał Minakszi kwit, domyślił się po nazwisku, że musiał swego czasu należeć do jej teścia. Skąd mógł wiedzieć, że Minakszi nigdy nie miała okazji poznać ojca swego męża i wobec tego był on jej zupełnie obojętny?

Kiedy Minakszi zbierała się już do odejścia, jubiler powiedział jeszcze:

— Proszę pani, gdyby jednak zmieniła pani zdanie... Minakszi odwróciła się ku niemu i warknęła:

— Mr Dźauhri, pańskie rady są najzupełniej zbyteczne. Przyszłam tutaj tylko dlatego, że mi pana polecono.

— Naturalnie, proszę pani, naturalnie. Wszystko zależy wyłącznie od pani. Wobec tego za dwa tygodnie. — Mr Dźauhri zasepił się, pochylony nad medalem, ale wreszcie przywołał swego mistrza, złotą rączkę.

Dwa tygodnie później Minakszi wygadała się niechcący przed Aninem ze swojej tajemnicy, w jakiejś codziennej rozmowie, a ten aż posiniał z wściekłości.

Minakszi westchnęła tylko:

— W ogóle nie potrafię z tobą rozmawiać, kiedy się tak pieklisz. Chyba masz w piersiach głąz zamiast serca — powiedziała. — Chodź tutaj, Aparna, kochanie. Tatuś się na nas gniewa. Chodź, pójdziemy sobie razem do drugiego pokoju.

Parę dni później Arun napisał, czy raczej nagryzmolił naprędce, list do swojej matki.

Kochana Mamo,

przepraszam, że nie odpisałem wcześniej na Twój list na temat Laty. Oczywiście, masz rację, szukaj dla niej kogoś. Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele. Solidnych chłopców ze świecą dzisiaj szukać. Wiana coraz wyższe, w dziesiątkach tysięcy, a nawet w setkach. Mimo to sytuacja jeszcze nie całkiem beznadziejna. Spróbujemy, ale sugeruję, żeby Lata przyjechała do Kalkuty w lecie. Zorganizujemy parę spotkań itp. Ale nic nie zdziałamy wbrew jej woli. Warun buja w obłokach, studiuje tylko wtedy, gdy go do tego przymuszam. Dziewczęta go nie interesują, tylko konie. I jakieś idiotyczne piosenki. Aparna w dobrej formie, pyta ciągle o swoją Dadi, więc bądź pewna, że bardzo za tobą tęskni. M. stopiła medal Tatusia (Inż.) na kolczyki i łańcuszek, ale uratowałem Fizykę. To się więcej nie powtórzy, nie ma obawy. A tak wszystko po staremu. Ból w krzyżu trochę ustał. U Catterdżich też nic nowego. Napiszę dłuższy list, kiedy czas pozwoli.

Pozdrowienia i uściski (od nas wszystkich)

Arun

Ten krótki list, pisany w telegraficznym niemal skrócie, niedbałym, pochylonym — pod kątem trzydziestu stopni, z lewa w prawo — pismem Aruna, przyszedł do Brahmpuru pewnego dnia popołudniową pocztą i wylądował w mieszkaniu Prana i Sa wity jak granat. Mrs Rupa Mehra przeczytała go i zanim jeszcze (co nie uszłoby bacznej uwagi jej starszego syna, gdyby przy tym był) koniuszek jej nosa zdążył się zaczerwienić, wybuchnęła niepohamowanym szlochem. Właściwie, mówiąc bez ogródek, była do głębi wstrząśnięta, a miała do tego oczywisty powód. Jak ona śmiała, jej własna synowa, stopić ten medal?! Co za bezduszność, co za okrucieństwo! Nie liczyła się ani trochę z uczuciami swoich bliskich. Nic tak nie wytrąciło Mrs Rupy Mehry z równowagi, i to przez całe lata, jak ten próżny, zimny, wykalkulowany egoizm. Nawet sam ślub Aruna z Minakshi nie był dla niej takim ciosem jak stopienie w jubilerskim tyglu medalu z wygrawerowanym w złocie imieniem jej męża. Mrs Rupa Mehra zawsze stawiała swego męża na piedestale i za życia, i po jego śmierci, dlatego też myśl, że jedna z nielicznych, drogocennych pamiątek po nim, które jednoczyły ją z nim tu, na ziemi, została tak bestialsko — bo jakim innym słowem można nazwać taką okrutną bezduszność? — bestialsko zniszczona, raniła ją boleśnie i dlatego matka Aruna rozplątywała się we łzach: łzach żalu, gniewu, goryczy i bezsilności. Jej mąż był przodownikiem nauki w Roorkee College i zawsze wspominał swoje lata studenckie z czułością i nie bez dumy. Nie był kujonem, a mimo to osiągał na uczelni doskonałe wyniki. Lubili go zarówno koledzy, jak i wykładowcy. Tylko z rysunku miał zawsze niskie oceny. Mrs Rupa Mehra, oglądając obrazki, które malował w pamiętnikach dla dzieci, uważała, że wykładowca tego przedmiotu wziął się na niego, bo sam był jakimś ograniczonym, niesprawiedliwym ignorantem.

Ochłonawszy nieco po pierwszym szoku i skropiwszy skronie wodą kołońską, wyszła do ogrodu. Dzień był ciepły, ale znad rzeki płynął łagodny powiew wiatru. Sawita drzemała w swoim pokoju, a wszyscy inni domownicy byli nieobecni. Mrs Rupa Mehra spojrzała na nie zmiecioną ścieżkę obok klombu żółtych kann. Młoda sprzątaczką rozmawiała z ogrodnikiem w cieniu

morwy. „Muszę jej zwrócić uwagę”, pomyślała Mrs Rupa Mehra na pół przytomnie.

Ojciec Mansura, kuty na cztery nogi stary wyga Matin, wyszedł na werandę z księgą rachunkową w ręku. Mrs Rupa Mehra nie była w nastroju do podliczeń, ale uważała to za swój obowiązek. Osowiała wróciła na werandę, wyjęła z czarnej torby okulary i otworzyła księgę rachunkową.

Sprzątaczką wzięła miotłę i zabrała się do zamiatania zeschniętych liści, gałązek i zwiędłych kwiatów, które spadały z drzew na ścieżkę. Mrs Rupa Mehra popatrzyła bezmyślnie na otwartą księgę z rachunkami.

— Może przyjdę później? — zasugerował Matin.

— Nie, nie. Poczekaj. Zrobię to od ręki. — Wyjęła niebieski ołówek i spojrzała na kolumnę wydatków. Po powrocie Matina ze wsi buchalteria stała się dla Mrs Rupy Mehry bardzo uciążliwym zadaniem: raz, ze względu na jego niekonwencjonalną pisownię w hindi, a dwa, ponieważ w przeciwieństwie do swojego syna Matin był człowiekiem bardzo wprawnym w fałszowaniu ksiąg.

— A to co? — spytała Mrs Rupa Mehra. — Znowu cała puszką ghi?! Co ty sobie wyobrażasz? Nie jesteśmy chyba milionerami? Kiedy zamówiliśmy ostatnią puszkę?

— Będzie gdzieś ze dwa miesiące temu, burri memsahib.

— A Mansur nie kupił przypadkiem drugiej puszką, kiedy ty zrobiłeś sobie urlop i wylegiwałeś się na wsi?

— Być może, burri memsahib. Nie wiem. Nie widziałem.

Mrs Rupa Mehra zaczęła przerzucać kartki księgi rachunkowej, aż dotarła do wpisu uczynionego bardziej czytelnym pismem Mansura.

— Kupił jedną, również czteroseerową, miesiąc temu. Wydał prawie dwadzieścia rupii. I 'co się z nią stało? Nie jesteśmy dużą rodziną. Może gdyby był nas tuzin, tobym się nie zdziwiła, że skończyliśmy całą puszkę w takim zastraszającym tempie.

— Dopiero co wróciłem, więc nic nie wiem — bronił się zawzięcie Matin, zerkając na sprzątaczkę.

— Gdyby cię nie kontrolowano, roztrwonilibyś pieniądze, kupując co tydzień szesnastoseerową puszkę ghi — zbeształa go Mrs Rupa Mehra. — Dowiedz się, co się stało z resztą.

— Dodajemy zawsze ghi do puri i do parathów, i na dal... I na omastę na ćapati i ryż dla sahiba. Tak sobie życzy memsahib... — usprawiedliwiał się dalej Matin.

— A tam, takie gadanie! — przerwała mu Mrs Rupa Mehra. — Dobrze wiem, ile ghi trzeba na to wszystko przeznaczyć. Chcę wiedzieć, gdzie się podziła reszta. To nie pensjonat z utrzymaniem ani nie cukiernia.

— Ma się rozumieć, burri memsahib.

— Chociaż do młodego Mansura jakoś to wcale nie dociera.

Matin zasepił się z wyrazem głębokiej dezaprobaty.

— Wyjada słodycze i wypija nimbu pani, które trzyma się dla gości — ciągnęła oskarżycielsko Mrs Rupa Mehra.

— Porozmawiam z nim, burri memsahib.

— Jeśli chodzi o słodycze, właściwie nie jestem pewna, czy to on — przyznała uczciwie Mrs Rupa Mehra. — Straszny z niego urwis. A ty... ty też o mnie wcale nie dbasz. Nigdy nie przynosisz mi regularnie herbaty. Nikt tutaj o mnie nie dba. U sahiba Aruna w Kalkucie służba przynosi mi herbatę kilka razy dziennie. W tym domu nikt mnie nawet o to nie pyta. Gdybym miała własny dom, byłoby zupełnie inaczej.

Matin, uznawszy, że podliczenia skończone, poszedł po herbatę dla Mrs Rupy Mehry. W kwadrans później Sawita, która wyłoniła się ze swojego pokoju po popołudniowej drzemce, zaspana, ale jak zwykle czarująca, wyszła na werandę i zastała matkę — nad listem od Aruna — we łzach. Mrs Rupa Mehra szlochała:

— Kolczyki! I on mi pisze, że to na kolczyki!

Kiedy Sawita dowiedziała się, co się stało, była oburzona niecnym postępkim Minakszi i ogromnie żał jej było matki.

— Jak ona mogła tak postąpić? — powiedziała rozgniewana.

Sawita była bardzo zrównoważona i na ogół potrafiła panować nad emocjami, ale w głębi duszy była bardzo opiekuńcza i w miarę swoich sił starała

się chronić swoich najbliższych przed cierpieniem. Z natury była właściwie bardzo niezależna i zdecydowana, ale jednocześnie tak subtelna, że tylko ci, którzy naprawdę bardzo dobrze ją znali, wiedzieli, że nie poddawała się biernie losowi, a wręcz przeciwnie — potrafiła nagiąć innych do swojej woli. Objęła matkę, przytuliła ją mocno do siebie i powiedziała:

— Zadziwia mnie postawa Minakszi. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zabezpieczyć drugi medal. Pamiątki po tatusiu to rzecz święta. Co za idiotyczne zachcianki! W głowie się tej dziewczynie przewraca! Nie płacz, mamó. Wysyłam natychmiast list. Albo jeśli chcesz, napiszemy do nich razem.

— Nie, nie. — Mrs Rupa Mehra utkwiała martwo wzrok w pustym kubku po herbacie.

Lata też była zaszokowana wiadomością. Zawsze była tatusiną córeczką, uwielbiała oglądać jego odznaczenia akademickie i była zła, kiedy dostały się one Minakszi. „Co one mogą dla niej znaczyć”, zastanawiała się wówczas Lata, „w porównaniu z tym, co znaczą i zawsze będą znaczyć dla jego córek?” Teraz, niestety, okazało się, że miała rację. W jej oczach Arun także ponosił winę za stopienie medali, bo albo na wszystko pozwalał swojej żonie, albo pobłażał jej wybrykom. A do tego ten nonszalancki, lakoniczny list! Wyglądało, jakby specjalnie w brutalny sposób drażnił się z matką. Latę rozwścieczył również pomysł Aruna, żeby przyjechała na wakacje do Kalkuty i dała się wprowadzić w jego towarzystwo (cel, oczywiście, matrymonialny!). „Ani mi się śni!”, myślała buntowniczo.

Pran wrócił późno z pierwszego posiedzenia komitetu do spraw socjalnych i choć zauważył, że coś się musiało stać, był zbyt zmęczony, żeby wypytywać o szczegóły. Usiadł w swoim ulubionym bujaku, który zabrał ze sobą po przeprowadzce z Prem Niwas, i przez parę minut odpoczywał z książką w ręku. Potem zapytał Sawitę, czy chciałyby się przejść na spacer, i dopiero wtedy dowiedział się o występkę Minakszi. Poprosił Sawitę, żeby pozwoliła mu przeczytać list, który napisała do swojej szwagierki, nie dlatego, że podejrzewał ją o stronnictwo, ale dlatego, że sam nie będąc z rodziny Mehrów, był w stanie spojrzeć na sprawę z większym dystansem i zapobiec pogłębieniu konfliktu. Lepiej nie rozdrapywać ran i nie używać słów, których nie da się

później odwołać, skoro i tak — wiadomo — co się stało, to się nie odstanie. Rodzinne swary, czy to na tle majątkowym, czy też emocjonalnym, to wyjątkowo przykra sprawa i dla ogólnego dobra należy im zapobiegać.

Sawita bardzo chętnie pokazała mężowi list, który spotkał się z jego całkowitą aprobatą. Czytając go, Pran kiwał od czasu do czasu głową, komentując poważnie:

— Dobrze powiedziane — jakby sprawdzał pisemne kolokwium któregoś ze swoich studentów. — Delikatnie, ale w samo sedno! To się nazywa kobieca dyplomacja. — dodał tym razem tonem nieco żartobliwym. Popatrzył na swoją żonę z zaciekawieniem. — Sam dopilnuję, żeby poleciał jutrzejszą pocztą.

Wieczorem zjawiała się z wizytą Malati. Lata opowiedziała jej o medalach, a Malati opisywała w sposób niezwykle plastyczny niektóre eksperymenty przeprowadzane przez studentów na akademii medycznej, co napawało Mrs Rupę Mehre takim wstrętem, że na pewien czas zapomniała o swoim zmarciu.

Przy kolacji Sawita zauważyła po raz pierwszy, że jej mąż nie jest Malati zupełnie obojętny. Widać to było po sposobie jej zachowania. Przy pierwszym daniu — zupie — zerkała na niego ukradkiem znad talerza, a przy drugim unikała jego spojrzenia. Wcale to nie zaniepokoiło Sawity. Przeciwnie, uważała to za rzecz całkowicie naturalną i zupełnie nieszkodliwą, ponieważ w jej przekonaniu nikt nie był w stanie oprzeć się urokowi Prana. Pran natomiast — to było również jasne — pozostawał w słodkiej nieświadomości. Opowiadał o przedstawieniu, które wyreżyserował na coroczną akademię, na zakończenie ubiegłego roku akademickiego. Był to *Juliusz Cezar*, owszem, nic odkrywczego; ze względu na męską obsadę był to utwór, który zawsze cieszył się wzięciem w studenckich kółkach teatralnych, gdyż rodzice rzadko pozwalali dziewczętom występować na scenie... a poza tym bardzo aktualny ze względu na patriotyczne podteksty, problematykę walki o władzę i analizę politycznej przemocy.

„O święta, święta naiwności!”, myślała Sawita z rozczeniem. „Jest taki mądry, taki inteligentny, a taki niezyciowy. I chyba właśnie dlatego tak bar-

dzo, bardzo kochany". Przymknęła na chwilę oczy, żeby zmówić modlitwę za zdrowie męża, własne oraz ich nie narodzonego jeszcze dziecka.

LR

CZĘŚĆ DRUGA

2.1

W święto Holi Man obudził się rano z uśmiechem na ustach. Wypił nie tylko jeden, ale kilka kieliszków thandai z dodatkiem bhangu i wkrótce porządnie zaszumiało mu w głowie. Miał wrażenie, że wzbija się w powietrze jak latawiec. Sufit osuwał się na podłogę — a może to on szybował ku niemu? Jak przez mgłę widział swoich dwóch najlepszych przyjaciół, Firoza i Imtiaza, którzy zjawili się w Prem Niwas wraz z ojcem, nawabem sahibem, żeby złożyć świąteczne życzenia jego rodzinie. Wyszedł im na spotkanie, z zamiarem złożenia gościom podobnych życzeń, ale nie mógł z siebie wykrztusić ani słowa, chichocząc spazmatycznie. To, że rozmazali mu odrobinę farby na twarzy, rozśmieszyło go jeszcze bardziej, a kiedy usadzono go w kącie, zaczął się skręcać ze śmiechu, tak że aż łzy spływały mu strumieniami po policzkach. Sufit zawirował i odpłynął na dobre, a ściany tańczyły wokół niego, rozchybotane. Co za niesamowite uczucie! Ni z tego, ni z owego skoczył na równe nogi i otoczywszy Firoza i Imtiaza ramionami, zaczął popychać ich przed sobą w stronę drzwi.

— Dokąd się wybieramy? — spytał Firoz podejrzliwie.

— Do Prana — odparł Man. — Czyż nie godzi się świętować Holi ze świeżo upieczoną szwagierką? — Zagarnął kilka paczek kolorowego proszku i wsadził je do kieszeni swojej kurty.

— W takim stanie lepiej nie siadaj za kierownicą, zwłaszcza że to samochód twojego ojca — ostrzegał go Firoz.

— Przejedziemy się tongą — powiedział zgodnie Man, gestykując żywo, podniecony. Potem, obejmując Firoza za szyję, dorzucił: — Ale najpierw napij się trochę thandai. No, pij, chłopie, pij! Zaraz nabierzesz animuszu.

Mieli dużo szczęścia, ponieważ tego ranka z rzadka tylko można było zobaczyć na ulicy tongę, a jednak udało im się złapać jedną na Cornwallis Road, ulicy wiodącej w stronę uniwersytetu. Koń, wystraszony ulicznym tłokiem, piskiem i wrzaskiem rozkrzyczanych, umorusanych, błaznujących uczestników świątecznej parady, narowił się raz po raz, wierzgając niespokojnie kopytami. Przed domem Prana wyskoczyli z tongi, zapłacili woźnicy podwójną taryfę i pomazali mu czoło na różowo, konia zaś upstrzyli zieloną farbą. Pan domu wyszedł im na spotkanie i zaprosił towarzystwo do ogrodu. Przy drzwiach werandy stała wielka balia wypełniona różową farbą, a przy niej leżał stos miedzianych, długich na stopę rozpylaczy. Sam Pran miał twarz i włosy zapaćkane żółtym i różowym proszkiem, a jego kurta-padżama ociekała wodą.

— Chcę się widzieć z moją bhabhi! — rozdarł się Man na całe gardło.

— Nie wyjdę! — zarzekała się Sawita z wnętrza domu.

— W porządku! — wrzasnął znowu Man. — W takim razie ja wejdę do środka.

— O, nie, ani mi się waź! — zaprotestowała Sawita. — Chyba że masz dla mnie sari.

— Dostaniesz sari, ale najpierw należy mi się danina: pozwól się dotknąć — powiedział Man.

— Ale śmieszne — zachnęła się Sawita. — Możesz wyczyniać, co ci się żywnie podoba z moim mężem, skoro ci w głowie takie figle. W końcu od tego jest Holi. Ale przyrzeknij, że mnie popudrujesz tylko symbolicznie.

— Tylko ciut-ciut! Ociupinkę! Daję słowo! — zaklinał się Man. — A potem jeszcze tylko ciut-ciuteńkę na buziuńkę twojej siostrzyczki-ślicznotki... I tyle... Nie będę się więcej dopraszał... dopiero w przyszłym roku.

Sawita uchyliła ostrożnie drzwi, śmiejąc się nerwowo, zakłopotana, wciąż nieufna, gotowa do ucieczki. Miała na sobie stary, wypłowiały śalwar-kamiz i wyglądała jak z obrazka.

W lewej ręce Man trzymał paczkę proszku. Teraz rozprowadził szczyptę na czole swojej szwagierki, a ona sięgnęła ręką do torebki, żeby się odwzajemnić.

— I troszeńkę na oba policzki... — ciągnął Man, rozmazując jeszcze więcej proszku na jej twarzy.

— Dziękuję, to wystarczy — broniła się Sawita. — Dziękuję. Wesołego Holi!

— I jeszcze odrobinę tutaj... — Man nie ustępował, wcierając jej proszek w szyję, ramiona i plecy. Przycisnął ją do siebie prawie lubieżnie, kiedy starała się wyrwać, żeby uciec.

— Ach, ty łotrze! Już nigdy więcej ci nie zaufam! — krzyknęła Sawita, skonfundowana. — Puść mnie, puść mnie, proszę, przestań już, nie... Man... proszę... nie w moim stanie...

— Ach, to tak! Więc w twoich oczach jestem łotrem?! — pożalił się Man, wyciągając rękę po kubek i zanurzając go w balii.

— Nie, nie, nie... — tłumaczyła Sawita, śmiejąc się i płacząc na przemian. — Nie to miałam na myśli. Pran, proszę, powiedz mu... pomóż mi — zwróciła się do swego męża błagalnie. Mrs Rupa Mehra wyjrzała zatrwożona przez okno. — Wszystko, tylko nie ta mokra farba, Man, proszę! — krzyknęła Sawita rozdzierającym głosem.

Ale głuchy na jej prośby Man wylał jej na głowę trzy czy cztery kubki zimnej różowej wody i wtarł wilgotny proszek w kamiz na jej piersiach, zanosząc się przy tym cały czas od śmiechu.

Lata również przyglądała się tej scenie przez okno, zdumiona i zdegustowana bezczelnym atakiem Mana, który — pod pretekstem, iż czyni zadość tradycji — pozwalał sobie na takie rozpustne wybryki. Miała wrażenie, że czuje na sobie dotyk Mana i strumień lodowatej, zabarwionej wody. Ciarki jej przeszły po plecach i wzdrygnęła się ze wstrętem. Usłyszała, zaskoczona, własne głośne westchnienie, którym ściągnęła na siebie badawcze spojrzenie

stojącej obok matki, ale nie odważyła się wyjść na zewnątrz, gdzie Man rozrabiał nadal, nieposkromiony.

— Przestań! — wykrzyknęła Sawita, tym razem do głębi oburzona. — A z was co za tchórze! Dlaczego stoicie jak te słupy? Dlaczego nikt nie spieszy mi z pomocą? Upił się bhangiem, widzę to przecież: wystarczy spojrzeć mu w oczy...

Wreszcie Firozowi i Pranowi udało się odwrócić uwagę Mana: spryskali go wodą z balii, a on uciekł do ogrodu. Ponieważ ledwo trzymał się na nogach, potknął się i upadł w sam środek klombu żółtych kann, skąd wyściubił głowę, zaintonował po pijacku: „Hej, biesiadnicy, oto Holi w krainie Bradź!”, po czym schował się w kwieciu, znikając z pola widzenia. Chwilę później, niczym kukółka w ściennym zegarze, wynurzył się stamtąd ponownie, wyśpiewując te same słowa, a następnie dał nura w kwiaty. Pałając żądzą odwetu, Sawita napełniła nieduży mosiężny dzbanek zabarwioną wodą i zeszła po schodach do ogrodu. Zakradła się na palcach do klombu z żółtymi kannami. Właśnie w tym momencie Man wysunął głowę z kwietnej kryjówki, z zamiarem powtórzenia swego refrenu, i zauważył Sawitę dzierżącą w dłoniach mosiężny dzban wody, ale było już za późno. Sawita z furją chlusnęła mu wodą w twarz, resztę zaś zawartości naczynia wylała mu na piersi. Zachichotała, widząc, że osłupiał ze zdziwienia. Man usiadł na klombie i zawodził:

— Nie kocha mnie moja bhabhi... nie kocha mnie...

— Pewnie, że nie. Bo i z jakiej racji?

Man, niepokieszony, zalewał się łzami, a kiedy Firoz starał się podnieść go na nogi, przylgnął do niego i zaszlochał:

— Jesteś moim jedynym przyjacielem. Gdzie są słodycze?

Teraz, kiedy Man nie stanowił już zagrożenia, Lata ośmieliła się wyjść z pokoju i przez jakiś czas, wraz z Pranem, Firozem i Sawitą, świętowała wesołość Holi. W końcu nawet Mrs Rupa Mehra, wciągnięta w ich zabawę, została naznaczona farbą.

Ale nawet w trakcie tych niewinnych igraszek Lata zastanawiała się, jakby się czuła, gdyby to ona, na oczach wszystkich, padła ofiarą nieobyczajnych zakusów Mana. Co za tupet! A co gorsza, jest przecież zaręczony! Nigdy przedtem nie spotkała się z podobnym zachowaniem; a w dodatku Pran

przyjmował to ze stoickim spokojem, jakby nigdy nic. „Dziwna rodzina ci Kapurowie”, myślała.

Tymczasem Intiaz, który tak jak i Man upił się bhangiem zmieszonym z thandai, siedział na schodkach, uśmiechając się sam do siebie, i bez przerwy to mamrotał, to podśpiewywał pod nosem jedno słowo, które brzmiało jak „kardioida”. Chwilami wydawało się, że zadaje sam sobie jakieś ważne pytanie, głębokie, a jednocześnie całkowicie retoryczne. Od czasu do czasu dotykał w zamyśleniu małego, czarnego pieprzyka na policzku.

Na ulicy pojawiła się grupka około dwudziestu studentów, wymalowanych nie do rozpoznania. Było wśród nich nawet kilka dziewcząt, między innymi fioletowoskóra obecnie (choć tylko przejściowo) i, na szczęście, nadal zielonooka Malati. Żartownisie wymusili na profesorze Miśrze, który mieszkał w sąsiedztwie, żeby się do nich dołączył. Jemu nie udało się zginąć w tłumie — zdradzało go masywne, wielorybie cielsko. Poza tym na twarzy miał bardzo niewiele farby.

— Co za zaszczyt, co za zaszczyt — powtarzał zakłopotany Pran. — Ale to przecież ja powinienem dzisiaj złożyć panu profesorowi wizytę... A tymczasem pan profesor zechciał się pofatygować...

— Ale co tam, ale co tam. Nie bawmy się w takie ceregiele — uspokajał go profesor Miśra, układając wargi w ciup i mrużąc oczy. — No, a gdzie jest pańska czarująca żoneczka? Chciałbym jej złożyć uszanowanie.

— Dzień dobry, profesorze Miśra. Jak to miło z pańskiej strony, że zechciał nas pan odwiedzić w święto Holi — rzekła Sawita, podchodząc do niego ze szczyptą proszku w dłoni. — Witajcie! Miło was wszystkich zobaczyć. Malati! Zastanawialiśmy się właśnie, co się z tobą dzieje. To już prawie południe. Witajcie, witajcie...

Profesor pochylił się troszeczkę, aby pozwolić Sawicie rozprowadzić nieco farby na swoim wysokim czole.

Tymczasem Man, który opierał się żałośnie na ramieniu Firoza, upuścił teraz kanę, którą miętosił dotąd w dłoni, i postąpił naprzód w stronę profesora z szerokim, przyjacielskim uśmiechem.

— Ooo! A oto profesor Miśra we własnej osobie, jak rozumiem — powiedział na powitanie z nie ukrywanym zachwytem. — Cała przyjemność po

mojej stronie! Nieczęsto ma człowiek okazję stanąć oko w oko z taką wyjątkowo nędzną kreaturą! — Uściskał go ciepło, cmokając z satysfakcją językiem. — Zakała społeczeństwa to właśnie pan, jeśli się nie mylę? — upewnił się entuzjastycznie.

— Faktycznie, co za wredna morda! Jakie przebiegłe ślepie! — wybełkotał, nie ukrywając ani swej głębokiej odrazy, ani też najszczerzego podziwu.

Na te słowa profesor Miśra zaniemówił.

— Man! — Pran, zaszokowany, starał się przywołać młodszego brata do porządku.

— Prawdziwie zakazana gęba! — Z rosnącym uznaniem Man potwierdził swoje spostrzeżenia ze wstępnej lustracji.

Profesor Miśra przeszył go nienawistnym spojrzeniem.

— Więc to jest właśnie Moby Dick, wielki biały waleń we własnej osobie! — kontynuował z uczuciem Man. — Tak mówi zawsze o panu mój brat. Teraz już rozumiem dlaczego. No, co tam, wskakuj pan do kąpielni! — zachęcił gorąco profesora, wskazując balię pełną różowej wody.

— Nie, nie, chyba raczej... — bronił się słabo profesor Miśra.

— Imtiaz, chodź no tutaj, pomóż mi! — zawołał Man.

— Kardioda — wymamrotał Imtiaz, wyrażając tym samym gotowość współdziałania. Chwycili profesora Miśrę z obu stron pod pachy i zaciągnęli go siłą do balii.

— Nie, nie! Jeszcze dostanę zapalenia płuc! — profesor Miśra, który nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, protestował głośno, oburzony.

— Co ty na to, panie doktorze? — skonsultował się z Imtiazem Man.

— Nie ma żadnych przeciwwskazań — zapewnił go Imtiaz i obaj wpełnęli osłupiałego profesora do balii. Chlapnął z łomotem, rozbryzgując wokół kałuże wody. Przyglądając się mu, Man śmiał się jak opętany, do rozpuku, a Imtiaz wtórował mu pod nosem, szczerząc dobrotliwie zęby. Pran usiadł na schodkach, wtulając głowę w ramiona. Wszyscy zamarli w bezruchu, zaszokowani.

Wreszcie profesor Miśra, przemoczony do suchej nitki, upokorzony, wygramolił się z balii i przystanął na werandzie, szcękając zębami z zimna i z

wściekłości. Potem popatrzył na zgromadzonych jak osaczony dziki knur, potruczał schodkami w dół, ociekając wodą, i wyszedł z ogrodu. Pran zaniemówił z przerażenia. Nie był nawet w stanie prosić go o wybaczenie. Sapiąc z gniewu, opasły kolos, upačkany różową farbą, skierował się w stronę bramy, a potem znikł za rogiem ulicy.

Man rozejrzał się tryumfalnie wokoło, szukając powszechnej aprobaty. Sawita unikała jego wzroku, a wszyscy inni również pospuszczali głowy i milczeli ponuro. Man odniósł dziwne wrażenie, że — pomimo swoich najlepszych intencji — znowu wpakował się w jakąś potworną kabałę.

2.2

Ubrany w świeżą, czystą kurtę-padżamę, po długiej kąpieli w wannie, odprężony, pod dobrą datą po kilku kieliszkach bhangu, rozleniwiony ciepłem letniego popołudnia, Man położył się spać w swoim pokoju w Prem Niwas. Miał naprawdę niesamowity sen: śniło mu się, że czeka właśnie na pociąg do Benaresu, żeby spotkać się ze swoją narzeczoną, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli go nie złapie, zostanie aresztowany, chociaż nie było jasne, pod jakim zarzutem. Duża grupa policjantów — co najmniej tuzin posterunkowych, ale i wyżsi rangą, po samego głównego inspektora stanu Parwa Pradeś — otoczyła go zwartym kordonem. Wraz z tłumem zachlapanych błotem wieśniaków i mniej więcej dwudziestoosobową gromadką studentek w eleganckich, odświętnych strojach, zapędzony został do przedziału, ale ponieważ zostawił coś na stacji, prosił, żeby pozwolono mu wrócić po swoją zgubę. Nikt go jednak nie słuchał, co wytrąciło go z równowagi. Zrozpaczony, upadł policjantom i konduktorom do nóg i na kolanach błagał ich, żeby pozwolili mu odejść: musiał odnaleźć coś, czego zapomniał ze sobą zabrać. Może zostawił to w domu, a może na innym peronie... Wszystko jedno... Musiał to mieć koniecznie przy sobie! Pójdzie tylko, znajdzie to i zaraz wróci. Ale teraz dróżnik dał gwizdkiem sygnał do odjazdu i wepchnięto go z powrotem do pociągu. Niektóre z kobiet szydziły z niego głośno, co pogłębiało jego rozterkę. „Pro-

sze, pozwólcie mi wyjść", nalegał uparcie, ale pociąg opuścił już stację i nabierał rozpędu. Spojrzał w górę i zobaczył mały czerwono-biały napis: „Hamulec bezpieczeństwa. W razie potrzeby pociągnąć za łańcuch. Za nieuzasadnione użycie grozi kara grzywny w wysokości 50 rupii". Jednym susem znalazł się na siedzeniu. Widząc, do czego zmierza, wieśniacy starali się go powstrzymać, ale wyrwał się im, chwycił za łańcuch i pociągnął zań z całej siły. Bez rezultatu. Pociąg nabierał rozpędu, a kobiety natrząsały się z niego otwarcie i bezlitośnie. „Zapomniałem czegoś", tłumaczył zdesperowany, wskazując w stronę stacji, którą dawno już zostawili za sobą, jakby miał nadzieję, że maszynista da się jakoś przebłagać i zatrzyma się na jego usilne prośby. Wyjął z kieszeni portfel i błagał konduktora: „O, tu jest 50 rupii. Tylko proszę zatrzymać ten pociąg. Błagam... proszę go zawrócić. Niech mnie wsadzą do więzienia. Co mi tam!" Ale konduktor kontrolował spokojnie bilety i opędzał się od Mana jak od uprzykrzonej muchy.

Man przebudził się zlany potem i odetchnął z ulgą na widok znajomych mebli w Prem Niwas. Wszystko w jego pokoju zdawało mu się teraz bardzo drogie sercu: i wyściełane krzesło, i wiatrak pod sufitem, i czerwony dywanik, i nawet kilka (pięć czy sześć) powieści sensacyjnych.

Obmył twarz i starał się wyrzucić z pamięci męczące senne majaki, ale spojrzawszy w lustro, zobaczył w swoich oczach przerażenie i obraz kobiet ze snu żywo do niego powrócił. „Dlaczego tak się ze mnie śmiały?", zastanawiał się. „Skąd ta jadowitość...? Przecież to tylko sen", myślał dalej, pocieszając się i starając się dodać sam sobie otuchy. Ale chociaż starał się otrzeźwić, spryskując twarz zimną wodą, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że był to sen symboliczny, którego metaforyka wymykała się jednak jego wyobraźni. Zamknął oczy, żeby przypomnieć sobie niektóre fragmenty snu, ale wszystko mu się myliło; pozostało jedynie to uczucie, że zgubił coś i że nie jest w stanie tego odnaleźć. Nie mógł sobie przypomnieć ani twarzy kobiet, ani wieśniaków, ani kolejarzy, ani też policjantów. „Co ja takiego zgubiłem?", zachodził w głowę. „Dlaczego się tak ze mnie nabijali?"

Z drugiego pokoju dobiegły go nawoływania ojca:

— Man, Man... nie śpisz już? Goście zaczną się schodzić na koncert za pół godziny.

Nie odpowiedział, tylko przyjrzał się sobie w lusterku. „Całkiem niezła fizys”, pomyślał. „Rysy wyraziste, cera świeża, oczy błyszczące. Tylko te przedzione włosy, o tu, przy samych skroniach...” Co za krzyżująca niesprawiedliwość — zacząć łysieć w wieku lat dwudziestu pięciu! Parę minut później w pokoju Mana zjawił się służący z poleceniem, że ma on natychmiast stawić się na dziedzińcu na rozmowę z ojcem. Od niego też dowiedział się, że jego siostra Wina z rodziną zdążyła już przyjść i wyjść jeszcze przed rozpoczęciem przyjęcia, i że weszła nawet do pokoju Mana, ale widząc, że zasnął, nie pozwoliła Bhaskarowi, swojemu synkowi, przeszkodzić mu w popołudniowej drzemce.

Man nachmurzył się, ziewnął i podszedł do szafy w ścianie, gdzie trzymał swoje ubrania. Miał w nosie koncert, przyjęcie i gości. Jedyne, czego pragnął, to położyć się znowu do łóżka i zasnąć głębokim snem, tym razem bez sennych majaków. Tak zazwyczaj spędzał w Benaresie popołudnie, po porannych ekscesach Holi, lecząc kaca po przepiciu bhangiem. Tymczasem na dole zaczęli się schodzić goście. Zmienili ubrania i prawie nikt nie miał na sobie śladów porannych igraszek, poza przypadkową czerwoną plamką na włosach albo za paznokciem. Nastrój jednak był nadal świąteczny, a goście — jedni podochoceni bhangiem, drudzy perspektywą interesującego wieczoru — w doskonałych humorach, rozluźnieni i roześmiani. Jak sięgnąć pamięcią, koncerty z okazji Holi odbywały się dorocznie w Prem Niwas, jeszcze za czasów dziadka, a potem ojca Maheśa Kapura, ten zaś kontynuował tradycję rodzinną, z wyjątkiem tych lat, które spędził w więzieniu — wspominali teraz z leżką w oku stali bywalcy owej sławetnej imprezy.

Tego wieczoru, podobnie jak przez ostatnie dwa lata, zaproszoną solistką była Saida Bai Firozabadi, która mieszkała niedaleko Prem Niwas i pochodziła z rodziny znanych szansonistek i kurtyzan. Miała bardzo czysty, dźwięczny, melodyjny głos, a dzięki barwnej, uczuciowej interpretacji wykonywanych przez siebie utworów zyskała sławę znakomitej pieśniarki daleko poza granicami Brahmipuru, więc też często — pomimo iż przekroczyła już trzydziestkę — zapraszano ją na recitale do Bombaju, a nawet i do Kalkuty.

Chociaż gospodarz domu, Maheś Kapur, jak również cicha, schowana w cieniu męża gospodyni znani byli ze swej gościnności, wielu zaproszonych

zjawilo się w Prem Niwas nie ze względu na wystawne przyjęcie, ale po to, aby posłuchać Saidu Bai. Man, który spędził dwa ostatnie święta Holi w Benaresie, słyszał o niej, oczywiście, ale nigdy przedtem nie był na jej koncercie.

Na dziedzińcu, który otoczony był półkolistym, pobielanym budynkiem, gdzie z przestrzennych korytarzy wchodziło się do rozlicznych izb mieszkalnych, a który z drugiej, niewygiętej strony, sąsiedował z ogrodem, rozłożono białe płachty i maty, a po brzegach ustawiono rządkiem rośliny w doniczkach. Nie było mikrofonu ani podium, które oddzielałoby artystów od widowni. Nie było również krzeseł, tylko wałki i poduszki do podparcia. Pierwsi goście zgromadzili się na dziedzińcu, popijając owocowe soki albo thandai, gryząc kebaby i orzeszki albo też zajadając się słodyczami, które przyrządzano tradycyjnie w święto Holi. Maheś Kapur również wyszedł na dwór, żeby powitać gości, oczekując z niecierpliwością Mana, który powinien go teraz odciążyć. On sam miał ochotę porozmawiać wreszcie ze znajomymi, zamiast wymieniać zdawkowe uprzejmości. „Jeśli nie zejdzie z góry za pięć minut”, mówił do siebie w myślach Maheś Kapur, „to sam do niego pójde i tak nim porządnie potrząsnę, że mu się zaraz odechce tego wylegiwania. I co z niego za pożytek? Równie dobrze mógłby być w Benaresie; nie zauważyłbym żadnej różnicy. Gdzie się ten nicpoń podziewa? Saida Bai będzie tu niezadługo. Wysłano już po nią samochód”.

2.3

Rzeczywiście, samochód po Saidę Bai i jej muzyków wysłano już dobre pół godziny temu i Maheś Kapur zaczynał się niepokoić. Większość gości usadowiła się na widowni, ale niektórzy stali jeszcze obok, zatopieni w rozmowach. Nie było dla nikogo tajemnicą, że Saida Bai potrafiła przyjąć angaż na jakiś koncert, a potem ulotnić się bez słowa wyjaśnienia, pod wpływem nagłej zachcianki, spragniona towarzystwa któregoś z dawnych lub nowych amantów, stęskniona za krewnymi lub też po prostu dla kaprysu, żeby pośpiewać sobie w grupie najbliższych przyjaciół. Kierowała się często impulsem, nie zważając na to, że takie zachowanie może się odbić ujemnie na jej karierze. I tak by się też pewnie stało, gdyby nie jej wyjątkowo ujmujący sposób bycia, a także czysty, prześliczny głos. Do pewnego stopnia, dzięki tym nieodpowiedzialnym wybrykom, zdołała nawet wytworzyć wokół siebie aurę tajemniczości. Zależy, jak się do tego ustosunkować. Tym razem Maheś Kapur mógł przymknąć oko na jej szusy, ponieważ wśród widowni przeszedł oto szmer uznania i na dziedziniec wkroczyła Saida Bai w towarzystwie swoich trzech muzyków.

Wyglądała zachwycająco. Byłaby przedmiotem powszechnej adoracji, nawet gdyby przez cały wieczór nie wydobyła z siebie głosu, a tylko przechadzała się wśród zebranych, przystając tu i ówdzie, żeby przyjrzeć się z bliska któremuś z przystojnych młodzieńców albo tej czy innej wyjątkowo urodzivej (choć „nowoczesnej”) kobiecie, obdarzając znajomych łaskawym spojrzeniem i uśmiechając się do nich przychylnie. Ale wkrótce znalazła się na dziedzińcu, od strony ogrodu, i usiadła przy fisharmonii, którą służący Maheśa Kapura przyniósł z samochodu. Ponieważ palla jej sari ześlizgiwała się z głowy, nasunęła ją trochę bardziej na czoło; był to uroczy gest, który powtórzyła jeszcze wiele razy tego wieczoru, w trosce o to, aby nie siedzieć w miejscu publicznym z odkrytą głową. Muzycy, z których jeden grał na tabli, drugi na sarangi, a trzeci na strunowej tanpurze, rozsiedli się obok niej i zaczęli stroić instrumenty, a ona uderzała w czarne klawisze upięścienioną dłonią prawej ręki, łagodnie tłocząc powietrze w miech równie upięścienioną dłonią

lewej ręki. Jej akompaniator przy tabli napinał skórzane rzemyki na bębenu po prawej stronie za pomocą maleńkiego srebrnego młoteczka, drugi zaś dostrajał sarangi, brzdąkając próbnie parę fraz na strunach. Nowo przybyli goście zajęli miejsca na widowni obok tych, którzy usadowili się tam już wcześniej. Obok dorosłych — ojców lub wujków — siedziało wielu młodziutkich chłopaczków, wśród nich nawet sześcioletnie dzieci. Wszyscy byli podnieceni, panowała atmosfera oczekiwania. Z rąk do rąk podawano sobie płytkie misy wypełnione płatkami róż oraz jaśminu. Ci, którzy podobnie jak Imtiaz, byli nadal nieco podochoceni bhangiem, zatrzymywali je na dłużej, wdychając z rozkoszą ich słodką woń.

Na górze, na balkonie, dwie raczej staroświeckie damy patrzyły w dół przez szpary w trzcinowej macie i rozprawiły na temat stroju Saidu Bai, jej biżuterii, cery, manier, przodków, a także umiejętności wokalnych.

— Nawet niebrzydkie to sari, no, ale nic takiego znowu nadzwyczajnego. Jedwab, jak zwykle, benareski. Dzisiaj czerwone, w zeszłym roku było zielone. To „stój!”, to znowu „droga wolna”.

— A te wzory zari na materiale!

— Okropnie krzykliwe! Gryzą się kolorystycznie. Ale cóż, to już pewnie wymogi takiej profesji. Biedulka...

— No, no, nie przesadzajmy. Nie taka znowu „biedulka”. Popatrz tylko na te klejnoty, na ten ciężki złoty naszyjnik... I te szkiełka! Zaraz widać, że to misterna ręczna robota...

— Za długi, jak na mój gust...

— ...zresztą, nieważne, mówią, że dostała go w prezencie od Sitagarhów.

— O!

— Tak samo jak niejeden z tych pierścieni, o ile wiem. To protegowana nawaba z Sitagarh. Podobno jest wielkim amatorem muzyki.

— Jak i pań, które zajmują się jej rozpowszechnianiem?

— A jakżeby inaczej. O, teraz wita się z Maheśdźi i z tym jego synalkiem, z tym pyszałkiem, no, jak mu tam... z Manem. Ten zawsze zadziera nosa. A teraz... o!... No, nie!... Czyżby to był sam gubernator?

— Tak, tak, wszyscy oni jednakowi, ci nasi politycy. Niby to nawołują do życia w prostocie, wychwalają zalety szarej codzienności, ale sami zapraszają, o, kobiety takiego pokroju i jeszcze im płacą, żeby zabawiały gości.

— No, ale w końcu to nie jakaś tam tancereczka czy coś w tym stylu.

— Ale dobrze wiadomo, z czego żyje.

— A twój mąż? Przecież on też przyszedł dzisiaj tutaj.

— Ach! Mój mąż...!

I tu obie damy, jedna — żona laryngologa, druga — zasobnego i wpływowego pośrednika w przemyśle obuwniczym, popatrzyły na siebie z oburzeniem, zdegustowane do głębi frywolnością męskich obyczajów.

— O, a teraz mizdzy się do gubernatora. A popatrz, jak on się uśmiecha! Taki tłusty kurdupel, ale podobno wyjątkowo obrotny spryciarz.

— *Aré*, a zresztą jakie on ma obowiązki? Przetnie parę wstążek tu i tam i żyje sobie w luksusach w rządowej rezydencji, za państwowe pieniądze. Cb ona do niego mówi? Nie słyszałaś przypadkiem?

— Nie.

— Jak tylko potrząśnie głową, to ten brylancik w kolczyku na nosie świeci się jak samochodowy reflektor.

— A co to za samochód! Niejednego przewiózł już pasażera, oj, niejednego.

— Dlaczego mówisz w czasie przeszłym? Przecież ma dopiero trzydzieści pięć lat. Nie odstawiaj jej za wcześnie do lamusa. Jeszcze sobie dziewczyna pohula przez dobre parę lat, ja ci to mówię. A te wszystkie pierścienie! Nic dziwnego, że jak tylko się z kimś spotka, zaraz składa ręce do adab.

— Chyba prawie same brylanty i szafiry, chociaż nie widzę dobrze z daleka. A ten brylant na jej prawej dłoni... Jaki ogromny!

— Nie, nie, to nie brylant, tylko biały... biały co?... Nie pamiętam. Chciałam powiedzieć biały szafir, ale to nie szafir. Ktoś mi mówił, że to jeszcze droższe niż brylant, tylko nie mogę sobie przypomnieć nazwy.

— Po co jej błyszczące szklane paciorki przy tych wszystkich drogocennych złotych łańcuchach? Wyglądają tak tandetnie!

— Nie bez powodu nazywają ją Firozabadi. Może i jej przodkowie — te wszystkie prapraprababki — nie pochodzą z Firozabadu, ale za to te klejnoty na pewno. Popatrz, popatrz, jak strzela oczyma do tych młodych chłopaków!

— Bezwstydnica!

— O, a ten biedny chłopak nie wie, gdzie oczy podziąć.

— A kto to taki?

— Młodszy syn doktora Durraniego, Haszim. Ma osiemnaście lat.

— Hm...

— Bardzo przystojny. Spójrz, jak się czerwieni.

— I co z tego, że się czerwieni?! Oni wszyscy robią wrażenie niewiniątek, ci młodzi muzułmanie, ale tak naprawdę to lubieżni rozpustnicy, tyle ci powiem. Kiedy mieszkaliśmy w Karaczi...

Ale w tym właśnie momencie Saida Bai Firozabadi, wymieniwszy uprzejmości z paroma znajomymi na widowni, powiedziała coś przyciszonym głosem do swoich akompaniatorów, włożyła w usta trochę panu i wepchnęła go językiem pod prawy policzek, a potem odchrząknęła dwa razy, żeby przeczyścić gardło, i rozpoczęła swój recitał.

2.4

Zaledwie otworzyła usta i zanuciła czystym głosem parę tonów pierwszej pieśni, kiedy zewsząd rozległy się „ochy” i „achy” i inne pochlebne komentarze publiczności, które wywołały uśmiech na twarzy Saidy Bai. Zdawała się naprawdę piękna, chociaż większość zgromadzonych mężczyzn miałaby trudności z uzasadnieniem tego twierdzenia. Kobiety siedzące na balkonach byłyby pewnie bardziej spostrzegawcze. Twarz miała miłą, ale jej rysy nie były szczególnie regularne. Miała natomiast maniery dystygowanej kurtyzany: umiała połączyć bezpośredniość z wyrafinowaną sztuką dyplomacji i, oczarować zalotnym skinieniem głowy, zachwycić głębokim badawczym spojrzeniem, okazać zainteresowanie tym, którzy ją pociągali, przyciągnąć ich uwagę błyskiem kolczyka w nosie. Poza tym znała doskonale poezję urdyjską,

szczególnie gazele, co uchodziło, nawet w kręgach koneserów, za przejaw nie lada znawstwa. Ale ani te wszystkie niewątpliwe zalety, ani eleganckie stroje, ani biżuteria, ani nawet wyjątkowy, wrodzony talent i gruntowne wykształcenie muzyczne nie zjednywały jej tylu wielbicieli, ile pewna ledwie uchwytna melancholia w głosie. Skąd się brała, nikt tego nie wiedział na pewno, chociaż po Brahmpurze krążyły oczywiście pogłoski na temat jej przeszłości. Nawet kobiety przyznawały, że owa melancholia to nie tylko jakaś celowa sztuczka przebiegłej kokoty. Była w niej śmiałość, ale jednocześnie prawie dziecięca kruchość, i to właśnie połączenie dwóch, zdawałoby się przeciwstawnych cech, dodawało jej nieodpartego uroku.

Ponieważ był to dzień świąteczny, zaczęła swój recital od paru tradycyjnych pieśni Holi. Saida Bai Firozabadi była wprawdzie muzułmanką, ale śpiewała tak prześlicznie, tak radośnie, z takim wdziękiem i tak przekonywająco o igraszkach młodego Krysny, który bawi się w Holi z mamkami w wiosce swojego ojczyma, jakby rzeczywiście sama miała ten obraz przed oczami. Wszyscy — nawet nieletnie wyrostki na widowni — wpatrywali się w nią oczarowani. Dla Sawity było to pierwsze święto Holi w domu teściów i przyszła tu właściwie z obowiązku, nie dla przyjemności, ale teraz i ona zaczęła się bawić doskonale.

Mrs Rupa Mehra, która uważała, że jako wdowie w statecznym wieku nie wypada jej rozsiadać się na widowni, ale jednocześnie zatroskana o Latę, ubłagała Prana, żeby ten nie spuszczał jej młodszej córki z oka, a sama wycofała się na górę. Zerkała teraz w dół przez szparę w trzcinowej macie i mówiła do Mrs Maheś Kapur:

— Za moich czasów kobiety nie miały wstępu na takie koncerty.

Ta cierpka uwaga — jawny zarzut — musiała zranić biedną, cichą i potwornie zahukaną panią domu, która sama wcześniej zgłosiła mężowi podobne zastrzeżenia, ale ten zlekceważył jej uwagi, oznajmiając z irytacją, że czasy się zmieniają.

Na ruchliwym dziedzińcu nadal przybywało gości, a Saida Bai, w trakcie recitalu, pozdrawiała nowo przybyłych gestem dłoni, przerywając tym samym swój akompaniament na fisharmonii. Ale smętne, rzewne dźwięki sarangi stanowiły wystarczający podkład dla jej głosu, a pieśniarka często zwracała się

w stronę muzyka, wyrażając spojrzeniem uznanie dla jego artystycznego kunsztu improwizacji czy też mistrzostwa techniki. Głównie jednak skupiała uwagę na młodym Haszimie Durranim, który siedział w pierwszym rzędzie, czerwieniąc się po uszy, kiedy tylko, przerywając śpiew, zwracała się do niego z jakąś uszczypliwą uwagą albo ni z tego, ni z owego robiła pod jego adresem aluzje w specjalnie dobranych do tego celu zwrotkach. Wiadomo było powszechnie, że Saida Bai zawsze lubiła upatrzeć sobie na widowni jednego słuchacza i od początku do końca koncertu do niego kierować wszystkie swoje wyznania; to on, na ten jeden wieczór, stawał się katem, zabójcą i myśliwym — krótko mówiąc, bohaterem jej tęsknych gazeli.

Saida Bai przepadała szczególnie za gazelami Mira i Ghaliba, ale nie gardziła również Vali Dakkanim ani też Mastem, którego poezja nie była może najwyższych lotów, ale jednak cieszyła się ogromnym powodzeniem u miejscowej publiczności, ponieważ tragiczne losy rzuciły jej autora i do Brahmpuru, gdzie spędził wiele, wiele lat, debiutując zresztą właśnie w Barsat Mahal. Recytował swoje utwory na dworze lokalnego mecenasa sztuki, bezdietnego nawaba z Brahmpuru, zanim jeszcze Brytyjczycy zagarnęli jego ubogie, podupadłe zarówno finansowo, jak i administracyjnie królestwo. Zaczęła więc od Masta, a zachwycona publiczność przyjęła owacyjnie już wstępne takty pierwszego gazela.

— „Nie schylam karku, a przecież rozdarte moje szaty...” — śpiewała, przymykając oczy.

Nie schylam karku, a przecież rozdarte moje szaty.

Tutaj, i nigdzie więcej ciernie pod stopami.

— Ach! — westchnął żałośnie opasły jegomość, sędzia Mahefwari, kiwając się jak w transie w takt melodii. Saida Bai nie przerywała swojej pieśni:

Myśliwy sidła zastawił — mojaż to wina? — pytam;

Wyznaję swój błąd ze skruchą... A jego nikt nie gani.

Tutaj Saida spojrzała na biednego osiemnastolatka słodko, tkliwie, a jednocześnie oskarżycielsko. Natychmiast wbił wzrok w ziemię, a siedzący obok kolega dał mu kuksańca w bok i powtórzył rozbawiony, rozkoszując się własnym okrucieństwem: „Twojaż to wina, pytam?”, co Haszima tym bardziej jeszcze zażenowało.

Lata popatrzyła na chłopaka ze współczuciem, coraz bardziej zafascynowana osobowością Saidy Bai. „Co ona w sobie takiego ma?”, myślała z rosnącym podziwem, a jednocześnie z pewnym niepokojem. „Bawi się ich kosztem, a oni z ręki by jej jedli. Zupełnie bezsilni wobec czaru, który wokół siebie roztacza, potrafią się najwyżej uśmiechać blado albo wzdychać ciężko w odpowiedzi. A już najgorszy z nich wszystkich jest Man!” Lata lubiła na ogół muzykę poważną, ale teraz zauważyła z niemałym zdziwieniem, że — podobnie jak Sawicie — przypadły jej do gustu sentymentalne gazele i że udziela się jej niecodzienny, romantyczny nastrój, jaki zapanował dzisiaj w Prem Niwas. Jak to dobrze, że matka poszła na górę!

Wyciągając ramię w stronę zasłuchanej widowni, Saida Bai śpiewała dalej:

*By wytrzymać wzgardliwy wzrok, odwagi mi trzeba
— Każdy pobożny człek cnotliwie od karczmy stroni.*

„Brawo, brawo!”, skandował siedzący w ostatnim rzędzie Imtiaz, wydzierając się na całe gardło. Saida Bai obdarzyła go czarującym uśmiechem, ale potem uniosła lekko brew, jakby zdumiewały ją jego maniery. Opanowała się jednak i nie przerywała melodii:

*Bezsenną spędziłem noc, a teraz, o poranku
Smaga mnie wiatr wiosenny, skąpany w kwiatów woni.
Nieświadom ludzi, świata, idą przed siebie, wprost
Do Nieba zamkniętych Bram zaklęta moc mnie goni.*

„Zaklęta moc mnie goni”, zawtórował jej dwudziestokilkuosobowy chór głosów.

Saida Bai wynagrodziła zapał wielbicieli swego talentu delikatnym skinieniem głowy. Ale następna zwrotka była jeszcze śmielsza niż poprzednia:

Na klaczkach składam Ci cześć,

Miłości, rozmodlony;

Któż mnie zrozumie? Ach!

Któż za mnie łzę uрони?

Na widowni rozległy się ciężkie westchnienia wzruszonych do głębi słuchaczy. Głos pieśniarki załamał się przy słowie „rozmodlony”. Nawet jeśli zakrawało to na bluźnierstwo, trzeba by nie mieć serca, żeby potępić, zamiast współczuć doli zbolełego liryka.

Oślepia mnie słońca blask, a przecie jednak widzą

Płaszcz włosów, włosów gąszcz, kształtny zarys twojej skroni.

Man, poruszony do głębi żywiołową interpretacją ostatniego dwuwiersza, wyciągnął bezradnie ramiona w stronę Saidy Bai, a ona odkaszlnęła, żeby przeczyścić gardło, i rzuciła mu wiele mówiące spojrzenie, które wstrząsnęło nim do tego stopnia, że aż chwycił go dreszcz i cały oblał się potem. Nie mógł z siebie wydobyć więcej ani słowa, tylko bębnił palcami w takt melodii po głowie siedzącego obok siedmiolatka, krewniaka z prowincji.

— Co mam jeszcze zaśpiewać? Proszę mi poradzić, Maheśdzi. Może ma pan jakieś specjalne życzenie? — Saida Bai zwróciła się z pytaniem do jego ojca. — Publiczność w pana domu jest zawsze najwyższej klasy. Tak wyrobiona, że moja skromna osoba jest tutaj właściwie zupełnie zbędna. Ledwie zanucę dwa słowa, a wy, panowie, kończycie gazela.

Natychmiast rozległy się głośne protesty: „Gdzie tam!”, „Ależ skąd!” i „Jesteśmy tylko twoim echem, Saido Bai”.

— Wiem sama, panowie — mówiła teraz Saida Bai — że nie ma w tym ziarnka mojej zasługi. Mogę być tutaj z wami dziś wieczór tylko za sprawą

boskiej Opatrzności i waszej własnej szczodroblewości. Widzę, że pański syn, Maheśdzi, podobnie jak pan, docenia moje niegodne starania. Widocznie to dziedziczne. Znamy się od lat. Moja matka zaznała wiele dobrodziejstw od pańskiego ojca, a pan z kolei niejedną raz wyświadczył mi przysługę.

— Przeciwnie, to pani robi mi łaskę swoją tutaj obecnością — odparł szarmancko Maheś Kapur.

Te słowa wprawiły Latę w osłupienie, a Man, zauważywszy jej reakcję, mrugnął do niej szelmowsko, co tym razem wywołało na jej twarzy uśmiech. Odkąd zostali ze sobą spowinowaceni, czuła się dużo swobodniej w jego towarzystwie. Przypomniła sobie jego poranne wybryki i jej wargi zadrgały znowu w uśmiechu. Na zawsze już pozostanie jej w pamięci obraz profesora Miśry, różowiutkiego jak bobasek, gramolącego się niezdarnie z balii i ociekającego wodą. Będzie o tym myślała na każdym jego wykładzie.

— Ale niektórzy młodzi ludzie są tak milczący — kontynuowała Saida Bai — że sami mogliby być bożkami w świątyniach. Być może tak często otwierali sobie żyły, że nie zostało w nich ani trochę krwi. *Hann?* — Tu zaśmiała się perliście.

I czemuż serce mam mu oddać swoje? — zacytowała — *Że się przyodział w kolorowe szaty?*

Młody Haszim obrzucił wzrokiem winowajcy swoją turkusową, wyszywaną kurtę. A Saida Bai bezlitośnie wymierzyła w niego następną zwrotkę:

Wytworny, piękny, nosi się jak książę.

Mamże wychwalać jego szyk i krasę?

Ponieważ poezja urdyjska, podobnie jak wcześniejsza poezja perska i arabska, adresowana była w większości do młodych mężczyzn, Saida Bai nie miała kłopotu z wyborem figlarnych, uszczypliwych aluzji w odniesieniu do męskiego ubioru czy też sposobu bycia, a jej gesty i mimika wykazywały bez żadnych wątpliwości, w kogo są wymierzone. Haszim płonął ze wstydu, za-

czerwieniony po uszy, zagryzając wargi, ale ona miała nieprzebrany zapas ostrych strzał w swoim poetyckim kołczanie. Znowu rzuciła mu szydercze spojrzenie i wyrecytowała:

Karmin twych ust... słodki nektar twoich warg.

Nie dziw, że zwą cię Amrit Lal, o panie!

Przyjaciele Haszima zwijali się teraz ze śmiechu, ale Saida Bai musiała zauważyć, że chłopak jest już u kresu wytrzymałości i że nie zniesie dłużej tych figlarnych miłosnych wyznań, więc też wspaniałomyślnie dała mu chwilę wytchnienia. Teraz publiczność ożywiła się i zaczęto zasypywać Saidę Bai prośbami o coraz to nowe gazele. Po głębokich, tajemniczych strofach Ghaliba, w których — pomimo znakomitej reputacji odtwórczyni prostej poezji miłosnej — rozkochana była Saida Bai, ktoś na widowni zaproponował jedną ze swoich ulubionych i mniej skomplikowanych piosenek: „Minął czas rzewnych rozstań i spotkań radosnych”.

Saida Bai przystała na tę propozycję i zwróciła się półgłosem do swoich muzyków, którzy grali na dwóch akompaniujących jej instrumentach: na tabli i na sarangi. Ze strun sarangi popłynęły pierwsze powolne takty melancholijnego, nostalgicznego gazela, napisanego przez Ghaliba nie w starości, ale w kwiecie wieku, kiedy był niewiele starszy niż obecnie ich wykonawczynie. Ale w głosie Saidu Bai tyle było przemieszanej z goryczą słodyczy, że nawet ci najstarsi na widowni ulegli czarowi sentymentalnej pieśni i wykonującej ją pieśniarki. A kiedy zaśpiewali jej do wtóru, powtarzając słowa znajomej zwrotki, nie zrobili tego demonstracyjnie, żeby popisać się przed sąsiadami pamięcią, ale z rzeczywistej potrzeby serca. Nawiązany kontakt z publicznością natchnął Saidę Bai takim żarem uczuć, że nawet ostatnia, symboliczna, zazwyczaj najmniej popularna zwrotka, w której Ghalib powraca do swoich metafizycznych rozważań, zabrzmiała tym razem jak manifest namiętności.

Tym to właśnie brawurowym popisem wokalnym Saida Bai okręciła sobie słuchaczy wokół palca. Ci, którzy zamierzali wyjść przed jedenastą, siedzieli jak zaczarowani i ani się obejrzel, jak wybiła północ.

Siedmioletni krewniak usnął Manowi na kolanach. Inne dzieci też pokładały się ze zmęczenia, aż w końcu służba rozlokowała je w sypialniach Prem Niwas. Man, który był bardzo kochliwy i uwielbiał pogrążyć się w słodkich marzeniach, sięgnął po orzech nerkowca i w zamyśleniu włożył go sobie do ust. Porwały go gazele Saidu Bai, szczególnie zaś ten ostatni, i wiedział już, że traci dla niej głowę. Jak teraz z tego wybrnąć? Poczul w sercu ukłucie zażdrości, kiedy kolejny wiersz zadedykowała ponownie Haszimowi, starając się wciągnąć chłopaka do zabawy. Ponieważ nie udało się jej go rozkręcić słowami:

*I tulipan, i róża ustępują twej krasie
— Porównać je do ciebie, byłoby zniewagą*

(kręcił się w miejscu, jakby miał zamiar zerwać się lada chwila do ucieczki), spróbowała jeszcze śmielszej aluzji:

*Swą urodą świat cały zawojować potrafisz;
Cień smutku zmącił twoją twarz — lecz czar nie prysnął.*

To przyniosło wreszcie zamierzony efekt. Była to podwójna gra słów. Pierwszy kalambur był zupełnie niewinny: słowo „alam” mogło oznaczać zarówno „świat”, jak i „czar”. Drugi natomiast został użyty z premedytacją. Słowo „cień” brzmiało tak samo jak „list”, a Haszim, który miał na twarzy maleńkie znamię, niczym sinawy cień, starał się dać wszystkim do zrozumienia, że on osobiście rozumie „khat” jako „list”, ale wyraźnie widać było po nim zmieszanie. Rozejrzał się wokoło, szukając wsparcia u swego ojca, jako że koledzy byli całkiem nieczuli na jego niedolę. Nie tylko nie okazywali mu wcale współczucia, ale sami również prześcigali się w ciętych docinkach i żartobliwych komentarzach. Niestety, ojciec, doktor Durrani, nie pospieszył mu z pomocą, ponieważ wyczerpany drzemał sobie smacznie w ostatnim rzędzie.

Jeden z przyjaciół

pogładził Haszima delikatnie dłonią po policzku i westchnął melancholijnie. Rumieniąc się, Haszim wstał, opuścił dziedziniec i poszedł się przejść po ogrodzie. Ledwo się ruszył, a Saida Bai znalazła nową zaczepkę, także zaczerpniętą z Ghaliba:

Na samą wzmiankę o niej wstał i opuścił salą...

Haszim, tłumiąc łzy, złożył Saidzie Bai uszanowanie grzecznym adab i opuścił dziedziniec. Lacie było go nawet troszeczkę żal, ale wkrótce sama musiała opuścić towarzystwo wraz z Pranem i Sawitą. Wychodziła w milczeniu, lecz jej oczy płonęły z podniecenia.

2.5

Man natomiast nie litował się wcale nad swoim rywalem, którego uznał za mięczaka. Złożywszy pieśniarce wyrazy najgłębszego szacunku, postąpił na przód i, rozdając na prawo i lewo ukłony, usiadł na miejscu Haszima. Saida Bai, zadowolona, że znalazła na resztę wieczoru tak ujmującego, choć bardziej dojrzałego ochotnika do tej figlarnej zabawy, uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

*Przysięgnij wierność dozgonną, dochowaj wiary,
Albowiem na niej się opiera miłość, miły mój.*

Na co Man odpowiedział śmiało, bez zastanowienia:

*Wszedł Dagh i usiadł — nie po to, żeby wstawać.
Są inni, co odejdą ale to nie on!*

Widownia nagrodziła jego refleks śmiechem pełnym aprobaty, ale ostatnie słowo należało do Saidu Bai, która odparła tekstem wybranego przez Mana poety:

Dagh się rozgląda i strzela oczami.

Powinie mu się noga — wpadnie wreszcie w sidła.

Spontaniczna publiczność przyjęła tę wspaniałą ripostę hucznymi brawami. Sam Man był również w siódmym niebie, ciesząc się, iż udało się jej przebić atutem jego asa. Saida Bai Firozabadi, która powiedziałaaby raczej, że przebiła dziesiątką jego dziewiątkę, wybuchnęła śmiechem; wtórowali jej dwaj akompaniatorzy, grubas przy tabli i chudzielec, który szarpał struny sarangi, a z nimi wszyscy zgromadzeni na dziedzińcu goście. Wreszcie Saida Bai wznosząc ręce, uciszyła publiczność i powiedziała:

— Te brawa należą się nie tylko mnie, ale i temu młodzieńcowi, który jak widać, potrafi sypać conceptami.

Man odparł z udaną skruchą:

— Ach, Saido begam, miałem czelność dowcipkować z tobą, ale na nic się zdały moje trudy.

Publiczność znowu wybuchnęła śmiechem, a Saida Bai Firozabadi nagrodziła ten cytat z Mira prześlicznym wykonaniem tegoż właśnie gazela:

Na nic się zdały moje trudy, nic mej boleści nie uleczy.

Serce! Tyś winne mej słabości! Młodość ma przeszła bezpowrotnie.

Przez długie lata łzy ronilem, z wiekiem zamknąłem wreszcie oczy;

Sen przyszedł po bezsennych nocach... o świcie. Oto los człowieka.

Zauroczony wdziękiem i erudycją Man nie spuszczał z niej wzroku. W ekstazie wyobrażał sobie, jakby to było cudownie leżeć do świtu u jej boku i słyszeć jej czuły szept w bezsenne noce.

*Nam się zarzuca wywrotowy czyn i myśl;
nam, którzyśmy bez winy.
Oszczerstwem dziś nasz honor splamić chcą ci,
co hołdują samowoli.*

*Ten świat zna cienie, ale zna i blask;
nie mnie ferować tu wyroki.
Żyją w cierpieniu noc i dzień,
jak zbieg, samotny w mej niedoli.*

*Krew muzułmańska w żyłach płynie mu,
a Mir, z braminem pojednany,
W pogańskich świątyni mury wszedł.
Dlaczego tak? Nie pytaj, bo to boli.*

I tak, przy muzyce, upływała ta noc pełna niewinnych żartów i wesołych dwuznaczyków. Zrobiło się bardzo późno, a z setki słuchaczy został najwyżej tuzin. Ale Saida Bai tak wczuwała się w interpretację każdego gazela, że ci najwytrwalsi siedzieli jak zaczarowani. Skupili się wokół niej, przez co nastrój stał się bardziej intymny, a Man sam nie był pewien, co go bardziej urzekło: jej głos czy jej uroda. Od czasu do czasu Saida Bai przerywała koncert na pogawędkę z wiernymi słuchaczami. Odprawiła swoich muzyków, którym ze zmęczenia kleiły się powieki, i przygrywała sobie na fisharmonii, a jej śpiew zauroczył zgromadzonych. Dopiero przed świtem ziewnęła i zaczęła zbierać się do wyjścia.

Man popatrzył na nią wzrokiem, w którym była zarówno wesołość, jak i tęsknota.

— Sprowadzę samochód — zaproponował.

— A ja tymczasem przejdę się po ogrodzie — rzekła Saida Bai. — To naprawdę najpiękniejsza pora nocy. To — tu wskazała na swoją fisharmonię — i resztę rzeczy może pan odesłać mi do domu jutro rano. A więc — cią-

gnęła, zwracając się do pięcio- czy sześćoosobowej grupki wiernych słuchaczy, którzy zostali jeszcze na dziedzińcu:

A Mir opuścił bałwochwalców progi i rzekł — Bóg da...

LPR

Man dokończył za nią: — .. że się spotkamy.

Spojrzał na nią, oczekując aprobaty, ale ona nie patrzyła już wtedy na niego, ponieważ odwróciła się i skierowała w stronę ogrodu.

Saida Bai Firozabadi poczuła nagle, że ma już „tego wszystkiego” dość (ale czego, tak naprawdę?) i przeszła się dla relaksu spacerkiem po ogrodzie Prem Niwas. Dotknęła dłonią połyskliwych liści grejpfruta. Z harsingara opadły już wszystkie kwiaty, za to dzakaran-da dopiero teraz gubiła swoje w ciemnościach nocy. Saida Bai spojrzała w górę i uśmiechnęła się do siebie ze smutkiem. Nic nie mąciło nocnej ciszy. Zewsząd ziało pustką: ani stróża w okolicy, ani nawet psa. Przypomniała sobie parę wersetów z drugorzędnego poety (ale jej ulubieńca), Minai, i wyrecytowała je na głos do siebie:

Wygasty blask łojowych świec

Wypłoszył ciem gromady.

Rozstania czas wypisał gwiazd

Srebrzystych migot blady...

Zakaszła parę razy, ponieważ ochłodziło się teraz, przed świtem, i otuliła się mocniej szalem, czekając, aż ktoś odwiezie ją do domu, który znajdował się w tej samej dzielnicy, Pasand Bagh, tylko parę minut spacerkiem od Prem Niwas.

2.6

W niedzielę, nazajutrz po koncercie Saidy Bai, nadal panował świąteczny, pogodny nastrój Holi i Man nie mógł przestać o niej myśleć.

Kręcił się po domu półprzytomny. Po południu osobiście dopilnował, żeby odesłano do jej domu fisharmonię, i miał wielką ochotę wskoczyć do samochodu i pojechać do niej w odwiedziny, ale rozumiał, że nie była to najodpowiedniejsza pora na amory, a poza tym nie był pewny, czy Saida Bai chciała-

by się z nim zno wu zobaczyć. Ostatecznie nie widział wczoraj z jej strony cienia zachęty.

Man nie miał właściwie nic do roboty, żadnych obowiązków, i w tym właśnie tkwił cały szkopuł. W Benaresie zawsze był przynajmniej czymś zajęty: tam miał swój sklep, musiał doglądać biznesu. Tutaj natomiast, w Brahmpurze, gnuśniał, ale wcale go to nie martwiło. Książki nie były jego życiową pasją, za to uwielbiał włóczyć się z kolegami. „A może by się tak wybrać do Firoza?“, pomyślał.

Potem jednak, przypomniawszy sobie gazete Masta, wskoczył do, tongi i kazał się zawieźć woźnicy do Barsat Mahal. Minęło dziesięć lat, odkąd był tam po raz ostatni, i przypadł mu dzisiaj do gustu pomysł takiej wycieczki.

Tonga przejechała przez zielone, pięknie zadrzewione osiedle, tak zwaną „kolonię“ we wschodniej części Brahmpuru i toczyła się teraz po Nabigandź, handlowej ulicy, która stanowiła ogniwo łączące przestronny ład nowoczesnych arterii z chaosem i ciasnotą zabytkowych zaułków starej dzielnicy. Dalej, od zachodu, nad samym Gangesem, w bardzo malowniczym punkcie, wznosiły się imponujące budowle Barsat Mahal.

Nabigandź było to bardzo modne centrum handlowe, gdzie co wieczór zbierała się arystokracja finansowa i śmietanka towarzyska Brahmpuru. Ale o tej porze, po południu, nie było tu zbyt tłoczno: nieliczni spacerowicze i kupujący wymijali bez trudu sunące niespiesznie auta, skrzypiące tongi oraz rozklekotane rowery. Szyldy zawierały angielskie reklamy ekskluzywnych sklepików, a ceny były równie nieprzystępne dla przeciętnego śmiertelnika, jak cudzoziemskie napisy. Dobre księgarnie, między innymi Imperial Book Depot, eleganckie, świetnie zaopatrzone domy towarowe takie jak Dowling & Snapp (zarządzany teraz przez Hindusów), zakłady krawieckie wysokiej klasy, na przykład Magourian's, gdzie ubierał się Firoz (tam szyte były wszystkie jego garnitury i aćkany), sklep z obuwem Praha, luksusowi jubilerzy, restauracje, kawiarnie (wśród nich Red Fox, Chez Yasmeen i Blue Danube), a prócz tego dwie sale kinowe — Manorma Talkies, które pokazywało filmy hinduskie, oraz Rialto (preferujące produkcje hollywoodzkie i wytwórni Ealing): każde z tych miejsc odegrało mniejszą lub większą rolę w takim czy innym romansie Mana. Ale dzisiaj, przejeżdżając obok w skrzypiącej ton-dze, Man

nie wracał myślami do spędzonych tu niegdyś chwil. Tonga skręciła w wąziutką uliczkę, a potem w jeszcze węższą i wjechali teraz w zupełnie inny świat.

Tonga z trudem przedzierała się przez zaprzężone w woły furmanki, ryk-sze, rowery oraz tłumy pieszych, którzy nie trzymali się chodnika, ale przepychali środkiem jezdni, wędrując od ulicznego cyrulika, gdzie się mogli ogolić i wyczyścić sobie uszy, do lokalnego wróżbity, wśród zbląkanego bydła, kieszonkowców i prze-poconych tragarzy niosących na plecach ciężkie paki makułatury, szklane płyty albo miedziane czy stalowe rury, wykrzykujących co sił w płucach: „Z drogi! Uwaga! Z drogi!”, obok ubogich straganów z herbatą i zieleniaków; zatrzymując się, żeby się pogapić na zręcznego kuglarza, który popisывał się sztuczkami tresowanych małp, lub przed sklepem tekstylnym albo z wyrobami z mosiądzu (którego właściciel, wrzeszcząc jak najęty i gestykulując przesadnie, starał się zwabić do siebie niezdecydowanych klientów); omijając żebraków starych i całkiem młodych, cichych i zaczepnych, trędowatych, kalekich i ślepych, których mrowie obiegnie Nabigandź dopiero o zmroku (napastując swoje ofiary w kolejkach przed kinem, zręcznie unikając przemęczonych, niemrawych — i nielicznych — policjantów w mundurach w kolorze khaki). Minęli niewielką bramę, która prowadziła na dziedzińiec Tinny Tots (English Medium) School, szkoły średniej z wykładowym językiem angielskim, mieszczącej się w budynku przekształconym z haweli magnata, który zbankrutował. Chłopcy na posyłki, odziani w łachmany, biegali w tę i w tę ze sprawunkami (jeden z nich rozpychając się w tłoku, balansując tandetną blaszaną tacką z sześcioma małymi szklaneczkami herbaty o podejrzanej raczej czystości), kobiety — jedno zasłonięte burką, drugie przyodziane w jaskrawe sari — sunęły ulicą w towarzystwie mężczyzn lub samotnie, a dwóch młodych ludzi, wyglądających na studentów, którzy kręcili się obok stoiska z przekąskami, porozumiewało się, gestykulując zamasyście i wrzeszcząc na całe gardło, albo z przyzwyczajenia, albo żeby się dobrze zrozumieć; małpki trajkotały nieprzerwanie w gałęziach wielkiego figowca o drżących, szeleszczących liściach i starały się obłupić nieostrożnych klientów, którzy — obładowani zakupami — opuszczali dobrze strzeżone stragany z owocami; wychudzone, kopane przez przechodniów psy warczały nienawist-

nie, koty-szkie-lety, które obrzucano kamieniami, darły się wniebogłosy, kruki krakały złowieszczco, a nad tym całym zbiorowiskiem zwierząt i ludzi unosiły się chmary much, siadając na kopcach łąjna, gnijących śmieci i na cukierkach w otwartych słojach w kramiku ze słodyczami (gdzie w wielkich, głębokich rondlach skwierczały smakowite dżalebi, smażone na tłustym ghi), a także na twarzach nie przykrytych burką kobiet w sari, i na końskich chrapach, a biedne zwierzę z klapkami na oczach opędzało się od intruzów, potrząsając niecierpliwie grzywą, przeciskając się przez starą dzielnicę w stronę Barsat Mahal.

Z zamyślenia wyrwał Mana widok stojącego przy ulicznym stoisku Firoza. Zatrzymał natychmiast tongę i zeskoczył na ziemię.

— Firoz! Sto lat, chłopie! Właśnie o tobie myślałem. No, może jakieś pół godziny temu!

Firoz wyjaśnił, że włóczy się ot tak, bez celu i postanowił kupić sobie laseczkę.

— A po co ci laska? Dla ojca?

— Nie. Dla mnie.

— Człowieku! Opamiętajże się! Daleko ci jeszcze do trzydziestki, a chcesz się podpierać laseczką? No, to ty, bracie, długo chyba jednak nie pociągniesz, powiadam ci — perorował Man.

Nie zwracając uwagi na te wywody, Firoz wypróbował kilka lasek i, wybrawszy jedną, która zdawała mu się najbardziej odpowiednia, kupił ją natychmiast, wcale się nie targując.

— No, a ty co porabiasz? — zwrócił się teraz do Mana. — Jesteś w drodze do Tarbuz ka Bazar, czy co? — zapytał.

— Świntuch! — skarcił go wesoło Man. Na Tarbuz ka Bazar wystawały prostytutki i uliczne szansonistki-nierządnicze.

— Oj, przepraszam. Zupełnie wyleciało mi z pamięci! — rzekł Firoz chytrze. — Po co miałbyś się sycić zwykłą dynią, skoro zasmakowały ci brzoskwinie Samarkandy? Man naburmuszył się na te słowa.

— I co słyhać u Saidy Bai? — znęcał się nad nim bezlitośnie Firoz, który siedząc na tyłach widowni, bawił się poprzedniego wieczoru doskonale. Chociaż wyszedł jeszcze przed północą, miał dość czasu, żeby się zoriento-

wać, co się święci. Wyczuł, że pomimo swoich zaręczyn, Man ostrzy sobie zęby na nowy romansik. Znał go i rozumiał tak dobrze jak nikt inny.

— A skąd mam wiedzieć? — odburknął ponuro Man. — Nie pozwoliła mi się nawet odprowadzić do domu. Co ma być, to będzie. Trudno powiedzieć, co z tego wyniknie.

„Coś z nim nie tak”, zaniepokoił się Firoz. Rzadko widywał przyjaciela w stanie takiego załamania.

— Gdzie się teraz wybierasz? — zwrócił się do niego z zapytaniem.

— Do Barsat Mahal.

— Czy chcesz powiedzieć, że masz już wszystkiego dość i zamierzasz z tym skończyć raz na zawsze? — dopytywał się Firoz. Taras Barsat Mahal wychodził na Ganges, przyciągając zawiedzionych w miłości nieszczęśników. Samobójstwa zdarzały się tam kilka razy do roku.

— No właśnie, skończyć z tym raz na zawsze — warknął Man zniecierpliwiony indagacją przyjaciela. — A teraz powiedz mi, jak ty to widzisz i co mi radzisz?

Na to Firoz parsknął śmiechem.

— No, no! Nie do wiary! Powtórz to jeszcze raz — powiedział. — Oto Man Kapur, któremu do nóg padają najdorodniejsze dziewice o nieposzlakowanej reputacji, którego oblegają niczym pszczoły kwiat lotosu panny z najlepszych, najszacowniejszych domów, ten fircyk z Brahmpuru szuka porady w sprawach sercowych u ascetycznego Firoza, rycerza bez skazy. Bo nie chodzi ci chyba o poradę prawną?

— Jak nie przestaniesz... — zagroził gderliwie Man. Ale nagle coś sobie przypomniał. Stuknął się w głowę i zapytał: — Firoz, dlaczego Saide Bai nazywają Firozabadi? Myślałem, że pochodzi z tych stron.

— Z tego co wiem, jej przodkowie rzeczywiście pochodzą z Firozabad. Ale to już zamierzchłe czasy. Właściwie to jej matka, Mohsina Bai, zamieszkała na Tarbuz ka Bazar i Saida wychowała się w tej części miasta. — Przy tych słowach wskazał swoją laseczką w kierunku siedliska rozpusty i bezwstydu. — No, ale Saida Bai nie chce, żeby wypominano jej niechlubną przeszłość. Dorobiła się, mieszka w Pasand Bagh, oddycha tym samym po-

wietrzem co ty i ja... Wiadomo, wolałaby, żeby o tamtym wszystkim zapomniano.

Man zadumał się przez chwilę.

— A skąd ty tyle wiesz na jej temat? — zapytał podejrzliwie.

— Ja? Prawie nic — odparł Firoz, odganiając dłonią natrętną muchę. — Takie krążą plotki, tyle wiem. Czy się chce, czy nie chce, zawsze coś tam się człowiekowi obije o uszy. — A potem, wprawiając Mana w jeszcze większe osłupienie, oznajmił: — No, ale muszę już lecieć. Mój ojciec zaprosił na kolację jakiegoś nudziarza i nalega, żebym go poznał. — Wskoczył do tongi Mana. — Po co masz się pchać tongą przez starą dzielnicę? Tu za ciasno. Na piechotę dużo wygodniej. — Iz tymi słowami na ustach odjechał.

Man włóczył się bez celu, z głową zaprzątniętą przez jakiś czas tym, co usłyszał od Firoza. Szybko jednak zapomniał o całej rozmowie i zaczął podśpiewywać pod nosem fragment gazela, który utkwiał mu w pamięci. Przystanął, żeby kupić pan (wolał ostrzejszy gatunek ciemnozielonego desi panu niż jaśniejsze liście benareskiego betelu), przedarł się na drugą stronę ulicy, wymijając rowery, ryksze, taczki, i znalazł się w Misri Mandi, obok straganu z warzywami, niedaleko miejsca, gdzie mieszkała jego siostra Wina.

Dręczony wyrzutami sumienia, że spał jeszcze, kiedy przyszła do Prem Niwas wczoraj po południu, Man zdecydował na poczekaniu, że przy okazji wpadnie do niej z wizytą, co pozwoli mu również spotkać się ze szwagrem, Kedarnathem, oraz siostrzeńcem-pupil-kiem, Bhaskarem, do którego był bardzo przywiązany i któremu często dawał do rozwiązania arytmetyczne łami-główki.

Im bardziej oddalał się od centrum handlowego Misri Mandi, tym węższe, cichsze i bardziej cieniste stawały się uliczki, chociaż nadal roilo się tu od ludzi, z których jedni spieszyli gdzieś przed siebie, drudzy pałętali się bez celu, a jeszcze inni grali w szachy na murku przy świątyni Radhakryshny. Zauważył, że jej ściany nadal zachlapane były kolorową farbą Holi. Było tu chłodniej, słońce przestało prażyć nad samą głową, a muchy wydawały się mniej dokuczliwe; za to o mało nie został obsikany przez krowę. Na szczęście odskoczył w ostatniej chwili, skręcił w wąziuteńki zaułek i stanął przed domem swojej siostry.

Był to kiszgowaty, trzypiętrowy budynek o płaskim dachu, z okratowaną lukarną ponad schodami, co pozwalało światłu penetrować wewnątrz aż do parteru. Na każdym piętrze mieściła się jedna izba z przedsionkiem. Drzwi nie były zaryglowane, więc Man wszedł do środka i od razu natknął się na starszą Mrs Tandon, teściową Winy, która pitrasiała coś w rondelku. Starsza Mrs Tandon nie podzielała muzycznych zainteresowań młodszej i dlatego właśnie cała rodzina musiała wrócić wcześniej poprzedniego wieczoru, przed koncertem Saidu Bai. Na widok teściowej siostry jak zwykle ciarki przeszły Manowi po plecach, ale przywitał się jak najuprzejmiej, chociaż w pośpiechu, po czym wszedł schodami na górę. Winę i Kedarnatha zastał na dachu.

Grali w ćaupar w cieniu altanki i słychać było, że się o coś wyklócają.

2.7

Wina, o ładne parę lat starsza od Mana, figurę miała po matce: była niska i trochę przysadzista. Kiedy Man wspinał się na dach, mówiła coś podniesionym głosem, a jej pucołowata, zazwyczaj pogodna twarz miała żaloszny wyraz, ale na widok brata zaraz się rozpromieniła. Potem jednak coś sobie przypomniała i ponownie się zasmuciła.

— Aha, więc przyszedłeś się teraz kajać za grzechy! Znakomicie! Najwyższy czas. Wszyscy byliśmy wczoraj na ciebie strasznie wściekli. Jak ci nie wstyd? Wylegujesz się godzinami w betach, chociaż wiesz, że mieliśmy przyjść do Prem Niwas. I co mi po takim braciszku?

— Myślałem, że może zostanieie na koncercie — bronił się Man.

— Klituś-bajduś — odpaliła Wina, kręcąc głową z niedowierzaniem. — Już ci wierzę, że byłeś pogrążony w takich właśnie rozważaniach, chrapiąc sobie jednocześnie w najlepsze w pościeli. I, naturalnie, nie miało to nic a nic wspólnego z bhangiem. Po prostu wyleciało ci z głowy, że musimy zabrać mamę Kedarnatha do domu jeszcze przed koncertem. Dobrze, że przynajmniej Pran przyszedł wcześniej, więc mieliśmy okazję spotkać się z Sawitą, Latą, no i z jego teściową...

— O, Pran, Pran, Pran, zawsze tylko Pran — powiedział Man niechętnie.
— Z niego zawsze robicie bohatera, a ze mnie jakiegoś typa spod ciemnej gwiazdy.

— Nie przesadzaj, nikt się tu na tobie celowo nie wyżywa — rzekła Wina, która nadal widziała w Manie kilkuletniego chłopczyka strzelającego z procy do gołębi w ogrodzie i głoszącego wszem wobec, iż jest łucznikiem z *Mahabharaty*. — Tyle tylko, że poczucia odpowiedzialności nie masz w sobie ani na lekarstwo.

— No dobrze już, dobrze. To teraz powiedz, o co się tak sprzeczaście, kiedy tu wchodziłem po schodach? — zapytał Man, przypomniawszy sobie niedawne uwagi ojca i usiłując zmienić teraz temat rozmowy. — I gdzie jest Bhaskar?

— Bawi się z kolegami. Puszczają razem latawce. On też był bardzo zadowolony. Chciał cię nawet obudzić. O, już wiem! Żeby się zrehabilitować, zostaniesz dzisiaj u nas na kolacji.

— Aaa... eee... — zająknął się Man, niepewny, czy wieczorem nie zaryzykuje złożenia wizyty Saidzie Bai. Odkaszlnął, żeby ukryć zmieszanie. — Lepiej powiedzcie, o co się tak wyklócaliście?

— O nic się nie wyklócaliśmy — odparł dobrotliwy Kedarnath z uśmiechem. Nie tak znowu dawno stuknęła mu trzydziestka, a już siwiał: po podziale Indii zaczynał wszystko od zera i przez te zmartwienia wyglądał staro jak na swój wiek. Ten wiecznie zafrasowany optymista był, w przeciwieństwie do Mana — o ile można się tak wyrazić — solidny do przesady. Harował dniami i nocami jako hurtownik, to w rozjazdach na południu kraju, reklamując wyroby swojej firmy i przyjmując zamówienia, to znów u siebie w sklepie, w Misri Mandi. Do późnego wieczoru pertraktował z dostawcami, skupując kosze butów od lokalnych rzemieślników. Natomiast po południu miał zazwyczaj trochę czasu dla siebie i dla rodziny.

— Nie, nie, wcale się nie kłócimy — przysłała mu w sukurs Wina. — Gramy w ćaupar i przekrzykujemy się przy każdym posunięciu. — Rzuciła kostki, muszelki kauri, jeszcze raz, przesunęła pionek na planszy o torze w kształcie krzyża i podliczyła swoje punkty.

— Tere-fere — odparł Man z niedowierzaniem.

Usiadł obok na dywaniku i popatrzył na bujne rośliny doniczkowe, które Wina dostała w prezencie od matki, Mrs Maheś Kapur, na zagospodarowanie w nowym domu. Z jednej strony tarasu suszyło się kilka sari Winy i wszędzie widać było kolorowe plamki — dowód, że i tu świętowano Holi. Stąd, ponad dachami domów, kopułami świątyń, wierzchołkami wież i minaretów, można było sięgnąć wzrokiem hen, aż do dworca kolejowego, który znajdował się już w „nowoczesnej” części Brahmuru. Kilka papierowych latawców, różowych, zielonych i żółtych, w barwach Holi, szybowало po bezchmurnym niebie.

— Chcesz się czegoś napić? — zaproponowała Wina, żeby zmienić czym prędzej temat rozmowy. — Przyniosę ci szklankę szербetu. A może wolisz herbatę? Przepraszam — dodała tonem usprawiedliwienia — ale nie mamy, niestety, thandai.

— Nie, dziękuję... Ale się nie wykręcaj. Powiedz mi, o co się poprzytkaliście? — nie ustępował Man. — Zaraz, może sam się domyśle. O, już wiem! Kedarnath chce sobie wziąć drugą żonę i, naturalnie, oczekuje twojego przyzwolenia.

— Nie wygłupiaj się — odparła cierpko Wina. — Ja chcę drugiego dziecka i, naturalnie, oczekuję — tu wskazała palcem na swojego męża — jego przyzwolenia. Och! — Ugryzła się w język zażenowana, że się tak głupio wygadała, zerkając spod oka na Kedarnatha. — Przepraszam... Nie miałam zamiaru... Zresztą, to mój brat... Możemy chyba poprosić go o poradę?

— To dlaczego nie chcesz udać się po taką poradę do mojej matki? — odpalił Kedarnath.

— Ha! Więc o to chodzi! To teraz wreszcie wszystko wiem — wtrącił Man jowialnie. — A po co wam drugie dziecko? Bhaskar już wam nie wystarcza?

— Nie możemy sobie pozwolić na drugie dziecko — powiedział Kedarnath, przymykając oczy, co zawsze drażniło jakoś Winę. — Przynajmniej jeszcze nie teraz. Moja firma dopiero co zaczyna się rozkręcać... Sam zresztą wiesz, jak to jest. A w dodatku szewcy grożą strajkiem. — Otworzył oczy. — A Bhaskar to wyjątkowo inteligentne dziecko, musi otrzymać jak najlepsze wykształcenie. A dobre szkoły nie są tanie.

— Oczywiście — wtrąciła złośliwie Wina. — Byłoby dużo lepiej, gdyby urodził się cymbałem, no, ale cóż, niestety...

— Ha, ha, bardzo zabawne, boki zrywać — odgryzł się Kedarnath. — Na dwa dni przed Holi sama narzekała, jak to trudno jest związać koniec z końcem. Ceny lecą w górę: i czynsz, i wyżywienie, i w ogóle wszystko. Do tego dochodzą jej lekcje muzyki, lekarstwa dla mojej matki i specjalne podręczniki matematyki - czne dla Bhaskara... no i moje papierosy. Sama wtedy mówiła, że musimy liczyć się z pieniędzmi, a teraz nagle zachciewa się jej drugiego dziecka, bo każde ziarnko ryżu dla niego przeznaczone już zostało nazwane jego imieniem. Oto kobieca logika! Wychowywała się w rodzinie z trojgiem dzieci, więc myśli, że trójka potomstwa to mus. A z czego będziemy żyć, jeśli wszystkie okażą się takie inteligentne jak Bhaskar?

Kedarnath, który na ogół był uległym pantoflarzem, tym razem ostro stawiał się swojej żonie.

— Z reguły tylko pierwsze dziecko odznacza się taką wyjątkową inteligent-cją — zapewniła go Wina. — Następne będą równie głupie jak Pran i Man, masz moje słowo. — Wyciągnęła rękę po swój pionek.

Kedarnath uśmiechnął się i dłońmi, na których znać było jeszcze ślady blizn, rzucił na tablicę muszelki kauri. Był człowiekiem bardzo kulturalnym i w każdej innej sytuacji zająłby się Manem i poświęcił mu całą swoją uwagę. Ale co ćaupar to ćaupar: jak już człowiek do niego zasiądzie, to trudno tak nagle przerwać grę w połowie i przestawić się na towarzyskie pogaduszki. Wciąga jeszcze bardziej niż szachy. W Misri Mandi kolacje stygły nietknięte, goście odchodzili wynudzeni, a wierzycciele zgrzytając ze złości zębami, ale żaden z uczestników nie potrafił oderwać się od zabawy. Starsza Mrs Tandon wyrzuciła kiedyś płócienną planszę i muszelki — współwi-nowajców tego grzesznego nałogu — do pustej studni w sąsiedniej uliczce, ale pomimo stanu rodzinnych finansów, który był zdecydowanie opłakany, znalazły się środki na zakupienie następnego kompletu, a para uparciuchów przeniosła się na dach, chociaż słońce paliło tutaj niemiłosiernie. Schodzili w ten sposób z oczu matce Kedarnatha, która ze względu na dolegliwości gastryczne oraz artretyzm miała trudności ze wspinaniem się po schodach. W Lahaur, ze względu na inny rozkład tamtejszej obszernej rezydencji, jak i dzięki swojej pozycji

matrony z licznej, zamożnej rodziny, pewna siebie, rządziła w domu silną ręką, nawet despotycznie, ale jej świat zawalił się po tragicznych wydarzeniach związanych z podziałem Indii.

Ich rozmowę przerwały krzyki z tarasu obok. Sąsiadka Winy i Kedarnatha — potężne babsko w średnim wieku — odziana w szkarłatne bawełniane sari, wrzeszczała jak opętana na niewidzialnego przeciwnika w dole na ulicy.

— A to krwio pijcy! A to zbóje! Nie dają mi ani chwili wytchnienia. Ani usiąść w spokoju nie mogę, ani się położyć, ani nic. Ciągłe tylko bum, bum, bum. Odbijają te piłki o ścianę i szarpiają mi nerwy. Bo tu wszystko rozlega się echem po całym domu. Wy przeklęte łobuzy! Wy nieroby! Nędznicy! Co to za hołota! Własnych bachorów nie umieją utrzymać w ryzach!

Zauważywszy Winę i Kedarnatha, przelazła przez niski wyłom w murze na styku obu dachów i podeszła do zgromadzonych. Zarówno jej wysoki, piśkliwy głos, jak i wielkie zębiska, a także olbrzymie, mięsiste, obwisłe piersi wywarły na Manie nieodparte wrażenie.

Wina dokonała obustronnej prezentacji, po czym herod-baba odezwała się do Mana z uśmiechem, który napełnił go lękiem:

— Aha, to ten, co się tak broni przed ożenkiem?

— To właśnie ten — przyznała Wina. Nie wspominała o nie dawnych zaręczynach Mana z dziewczyną z Benaresu, żeby nie zapeszać.

— Ale miałas go, zdaje się, przedstawić jakiejś pannie... jak jej tam... niech no sobie przypomnę... no tej, co to przyjechała z Allahabadu w odwiedziny do swojego brata?

Tu Man żywo zaoponował:

— Każdy sobie wszystko tłumaczy wedle własnego widzimisię Człowiek mówi jedno, a ludziska i tak się upierają przy swoim.

— Kiedy nie ma w tym nic dziwnego. To zupełnie naturalne — powiedziała kobieta zaczepnie. — Jak się zejdzie dwoje młodych, to wiadomo...

— To była naprawdę przepiękna dziewczyna — powiedziała Wina. — Miała takie duże, sarnie oczy...

— I nos też miała kształny. Nie taki jak u jej brata... Boże broń — dodała wścibska sąsiadka.

— Rzeczywiście, ładny miała nosek. Taki nieduży, delikatny I była jak sarenka. Taka nieśmiała, drżąca.

Kedarnath, uznawszy że nic tu po nim, skoro i tak nie uda mu się skończyć tej kolejki ćaupara, podniósł się i zszedł do mieszkania. Nie znosił wizyt wszędobylskiej sąsiadki. Odkąd jej mąż zainstalował w domu telefon, zaczęła jeszcze bardziej zadzierać nosa, a usta prawie się jej nie zamykały.

— Jak mam panią tytułować? — zwrócił się do niej Man.

— Bhabhi. Po prostu bhabhi — zaproponowała Wina.

— No, to co? Podobała ci się? — dopytywała się korpulentna jejmość.

— Czemu nie...

— Czemu nie? — powtórzyła tamta, delektując się tą wykrętną odpowiedzią.

— Miałem na myśli: czemu nie, mogę się zwracać do pani per bhabhi.

— Spryciarz z niego — zauważyła Wina.

— Trafił swój na swego — zapewniła ją sąsiadka. — Powinieneś tu częściej bywać, obracać się w towarzystwie młodych, poznać miłe panny — zwróciła się do Mana. — Życie na tych nowych osiedlach nie ma żadnego uroku. Powiem wam coś: po czterech godzinach pobytu w Pasand Bagh czy Civil Lines czuję się zupełnie wypluta. Dopiero kiedy wracam tutaj, na nasze uliczki, nabieram z powrotem wigoru. Tutaj wszyscy się znają i naprawdę troszczą się o siebie nawzajem: niech tylko ktoś zachoruje, a już cała dzielnica dopytuje się o jego zdrowie. No, ale kto wie. Może z tobą nie pójdzie tak łatwo. Znajdź sobie wysoką dziewczynę; taką, żeby się wyróżniała z tłumu wzrostem...

— Pod tym względem naprawdę wszystko mi jedno — zaśmiał się Man.
— Wzrost nie gra roli.

— Więc wszystko ci jedno? Wszystko ci jedno, czy będzie niska, czy wysoka, gruba czy szczupła, ładna czy brzydka, o ciemnej czy o jasnej karnacji?

— Znowu ja swoje, a pani swoje — powiedział Man, rzucając okiem w stronę tarasu. — Nawiasem mówiąc, bardzo pomysłowo suszy pani swoje pranie. Dobry sposób, trzeba przyznać.

Kobieta ryknęła tubalnym śmiechem. Nie można jej było posądzić o to, że stara się w ten sposób ukryć swoje zażenowanie: rechotała wyraźnie szczerze ubawiona uwagą Mana. Popatrzyła na konstrukcję stalowych prętów zamontowanych na szczycie zbiornika z wodą.

— Na moim tarasie jest bardzo mało miejsca, więc nie ma gdzie tego umocować — wyjaśniła. — Tu, po waszej stronie, jest przynajmniej gdzie porozwieszać te wszystkie sznury... Wiesz co? — zwróciła się znowu do Mana, zmieniając temat. — W małżeństwie nigdy nic nie wiadomo. Czytałam kiedyś w „Star-Gazer”, że jakaś kobieta z Madrasu, szczęśliwa mężatka z dwojgiem dzieci, zakochała się do szaleństwa w Dalipie Kumarze po obejrzeniu

Hal’cal.

Była na tym filmie aż pięć razy. W głowie się nie mieści! Pięć razy! Postradała biedaczka zmysły. Rzuciła wszystko i tak jak stała, pojechała do Bombaju, nie mając nawet jego adresu. Wreszcie dowiedziała się, gdzie mieszka, za po-

średnictwem któregoś z tych pism dla kinomanów, pojechała do niego taksówką, stanęła przed nim, twarzą w twarz, i zaczęła mu czynić jakieś szalenie miłosne wyznania. W końcu dał jej sto rupii, żeby miała na drogę powrotną do domu; i wyrzucił ją za drzwi. Ale i tak wróciła.

— Straciła głowę dla Dalipa Kumara? — wtrąciła Wina, ściągając z namysłem brwi. — A do mnie to wcale nie przemawia. Pewnie sam to wszystko wymyślił. Dla reklamy.

— Na pewno nie! A widziałas go w *Didarl*? Tam dopiero pokazał, co potrafi! To wielki aktor. A poza tym pisali w „Star-Gazer”, że to taki miły, przystępny człowiek. On się nie musi uganiać za sławą. Musisz uprzedzić Kedar-natha, żeby się miał na baczności, kiedy jest w Madrasie. Ciągłe tam jeździ, a tamtejsze kobiety to flirciary i kokietki. A do tego dzikuski... Podobno nawet przy praniu swoich najlepszych, jedwabnych sari wcale się nie patyczkują, tylko zanurzają je w wodę pod kranem i chlup, chlup... o tak, na łapu-capu i po krzyku. Jakby to były jakieś ścierki. Pomywaczki! A niech to...! Mleko mi...! — wykrzyknęła nagle przerażona. — I co ja powiem mężowi, jak... — I niczym wielkie, czerwone widziadło zniknęła po drugiej stronie przegrody.

Teraz Man wybuchnął gromkim śmiechem.

— No, na mnie też już czas — oznajmił siostrze. — Jak na dziś wystarczy mi taka dawka życia w historycznej dzielnicy Brahm-puru, z daleka od nowych osiedli. Nabieram tu aż za dużo wigoru.

— Nie puszczę cię — powiedziała Wina stanowczo, a zarazem przymilnie. — Dopiero co przyszedłeś. Wczoraj spędziłeś całe rano z Pranem, Sawitą, Latą i czcigodnym profesorem. Słyszałam, że świętowałeś z nimi Holi. Więc dzisiaj możesz spędzić popołudnie razem za nami. Bhaskar będzie nie-pocieszony, kiedy się dowie, że tu byłeś, a on nie mógł się z tobą zobaczyć. Żebyś go widział wczoraj, to moje czarne diablątko.

— Będzie dzisiaj w sklepie? — spytał Man, trochę pokaszując.

— Chyba tak. Fascynują go ostatnio figury geometryczne utworzone z pudełek do butów. Dziwne dziecko — rzekła Wina.

— Zobaczę się z nim w drodze powrotnej.

— W drodze powrotnej skąd? — zainteresowała się Wina. — Więc jak to? Nie przyjdiesz do nas na kolację?

— Postaram się... daję słowo — zapewnił ją ochryłym głosem Man.

— Gardło cię boli? — zapytała Wina. — Na pewno poszedłeś późno spać, przyznaj się. Ciekawa jestem, o której. A może to od tych świątecznych kąpieli Holi? Dam ci trochę dżaśandy, to zaraz ci przejdzie.

— Za nic w świecie! Nie wezmę do ust tego świństwa! Sama je sobie zazywaj, jeśli chcesz. Profilaktycznie! — zaprotestował żywiłowo Man.

— No to powiedz, jak się udał koncert? I co myślisz o pierwszej damie gazeli w naszym mieście? — chciała wiedzieć Wina.

Man wzruszył ramionami tak obojętnie, że zaraz wzbudziło to w niej poważne podejrzenia.

— Tylko uważaj, Man — ostrzegła go zaniepokojona.

Znając dobrze swoją siostrę, Man wiedziała że nie ma się co wypierać. Poza tym Wina i tak niedługo dowie się od kogoś o tym publicznym flircie.

— Ale nie jedziesz chyba teraz do niej? — spytała ostro Wina.

— Niech Bóg broni! Pewnie, że nie — rzekł Man.

— Właśnie, właśnie... niech Bóg broni. To gdzie się w takim razie wybierasz?

— Do Barsat Mahal — odparł Man. — Pamiętasz? Jako dzieci jeździliśmy tam często na pikniki. Pojedź ze mną, co? Całymi dniami siedzisz w domu i tylko grasz w ćaupar.

— Aha, więc myślisz, że całymi dniami się wałkonię, bo nie mam nic innego do roboty, tak? To teraz ci powiem: pracuję równie ciężko jak Ammadźi. Albo prawie. Aha, coś mi się jeszcze przypomniało. Zauważyłam wczoraj, że ścięli cały czubek tego pięknego drzewa nim, na które się kiedyś zawsze wspinałeś, żeby się dostać do okna na piętrze. Teraz ogród w Prem Niwas wygląda tak goło.

— Strasznie ją to zdenerwowało — powiedział Man, myśląc o matce. — Rada Miejska wydała polecenie, żeby je trochę podciąć od samej góry, bo inaczej nie można by się było pozbyć gniazda sępów, ale wynajęli kontrahenta, który naciął drzewa, ile się dało, a potem ulotnił się ze swoim łupem. Ale znasz Ammadźi. Powiedziała tylko: „Tak się nie robi”, i tyle.

— Gdyby Baodzi chciał się tym zająć, byłoby zupełnie inaczej. Nie uszłoby to na sucho takiemu łachudrze. Dostałby porządnego łupnia za to, że obłupił bezlitośnie takie piękne drzewo — powiedziała Wina. — Tutaj mamy tak mało zieleni, że człowiek naprawdę zaczyna doceniać każdy najmniejszy, najbardziej rachityczny pęd. Na weselu Prana moja przyjaciółka Prija powiedziała do mnie: „Wydaje mi się, że mnie wypuszczono z klatki”. Ogród wyglądał naprawdę prześlicznie, a ona, biedaczka, nie ma nawet jednej roślinki na tarasie. I nie pozwalają jej ruszyć się z domu. „Wniosą cię na palankinie, wyniosą na marach”: tak się właśnie traktuje w jej domu synowe. — Wina spochmurniała, patrząc ponad dachami domów w kierunku sąsiedniej dzielnicy, gdzie mieszkała jej przyjaciółka. Nagle coś ją tknęło. — Aha, powiedz mi jeszcze: czy Baodzi mówił coś wczoraj wieczorem na temat awansu Prana? Czy gubernator będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie? Pełni przecież jednocześnie funkcję rektora uniwersytetu?

— Nic o tym nie wiem — odparł Man.

— Hm — powiedziała Wina z niesmakiem. — Jak go znam, to taka myśl zaświtała mu pewnie w głowie, ale zaraz ją w sobie stłamsił, uznając, że to się nie godzi. Nawet gdy czekaliśmy w nieskończoność na odszkodowanie za firmę, którą straciliśmy w Lahaur, to nie przyłożył ręki, żeby przyspieszyć sprawę. Chociaż Ammadzi pracowała z poświęceniem dzień i noc w obozach dla uchodźców. Czasami wydaje mi się, że poza polityką nic go w ogóle nie obchodzi. Prija twierdzi, że jej ojciec jest równie okropny. No, to dobrze. Wobec tegoósmiej. Na kolację będzie dziś twój ulubiony przysmak: alu paratha. Specjalnie dla ciebie.

— Ja nie pozwolę sobą dyrygować jak ten twój Kedarnath — powiedział Man z uśmiechem.

— To sobie idź! — rzekła Wina, potrząsając głową. — Mógłbyś mieszkać równie dobrze w Lahaur, bo i tak rzadkim jesteś u nas gościem.

Man chrząknął, a potem westchnął pojednawczo.

— Męża mam w domu na ćwierć etatu, bo jest w ciągłych rozjazdach, a braci: każdego na jedną ósmą — ciągnęła Wina. Złożyła planszę ćaupara i włożyła ją do pudełka. — To kiedy wracasz do Benaresu, żeby się wreszcie zająć jakąś uczciwą pracą?

— Do Benaresu? — Man uśmiechnął się z takim niedowierzaniem, jakby go wysyłała na księżyc, wobec czego Wina postanowiła zakończyć na tym dochodzenie.

2.8

Zanim Man dotarł wreszcie do Barsat Mahal, zapadł wieczór, a w okolicy mało było ludzi. Bramą wejściową o łukowym sklepieniu wszedł do okalającego pałac, ogrodzonego murem parku, który teraz zarośnięty był zeschlą trawą i rachitycznymi krzewami. Pod rozłożystym drzewem nim pasło się kilka antylop, które na jego widok oddaliły się bez pośpiechu.

Wokół budynku był jeszcze jeden mur, niższy od pierwszego, którego łukowa brama była mniej okazała, ale za to bardziej misternie wykonana niż poprzednia. Jasna, marmurowa fasada wysadzana była klockami z czarnego marmuru, które układały się w geometryczne wzory albo litery, a te z kolei w całe wersety z Koranu. Podobnie jak mur zewnętrzny, tak i ten wewnętrzny murek biegł wzdłuż trzech boków prostokąta. Czwarty bok stanowiła kamienna platforma, zabezpieczona tylko balustradą, która schodziła prosto do koryta Gangesu.

Mały, ale prześwietny pałac-cacuszko i słynny ogród położone były nad samą rzeką. Ogród był prawdziwym arcydziełem zarówno pod względem geometrycznej precyzji, jak i sztuki ogrodniczej. Prawdopodobnie projekty jego założycieli dwieście lat wcześniej różniły się od współczesnych rozwiązań, więc — może prócz jaśminu i ciemnej, karminowej, wonnej indyjskiej róży — zasadzono tu w ostatnich czasach wiele nowych gatunków roślin. Kwiaty zwieszały główki, przemęczone całodzienną spiekotą, ale bujne traw-

niki, troskliwie doglądane i podlewane bardzo szczerze, rozłożyste drzewa nim rozmieszczone w równych odstępach na całym należącym do pałacu terenie i wąskie szlaczki z piaskowca, okalające ośmiokątne albo kwadratowe klomby i trawniki, stanowiły oazę ciszy i spokoju w gwałnym, zabieganym i zatłoczonym mieście. Najpiękniejszy ze wszystkich był nieduży, ale zgrabniutki pałac wypoczynkowy nawabów z Brahmपुरu — misterne puzderko z białego marmuru — wybudowany w samym środku ogrodu, gdzie w założeniu architektonicznym umiar podkreślał jeszcze ekstrawagancki przepych belwederu.

Za czasów nawabów po tym parku kroczyły majestatyczne pawie, których skrzeczące głosy wносиły zamęt w przedstawienia wydawane na cześć stojących u progu bankructwa snobów, nierobów, abderytów, sybarytów i moralnych degeneratów. Czasami były to występy płatnych tancerek, innym razem naprawdę artystyczne koncerty chajał w wykonaniu nadwornych muzyków, to znowu konkursy poetyckie lub prawykonania gazeli prosto spod pióra mistrza Masta.

Myśl o Maście sprawiła, że Man przypomniał sobie znowu czarowny nastrój poprzedniego wieczoru: przejrzyste wersety gazeli, delikatne rysy twarzy Saidy Bai, jej przekorne żarciki (w których on osobiście, obok naturalnej pogody ducha dostrzegał również wielką tkliwość), ów wdzięczny ruch dłoni, którym poprawiała sobie sari w obawie, że się jej ześlizgnie z głowy, okazane mu zainteresowanie — rozpamiętywał z lubością te słodkie chwile, spacerując po pałacowym tarasie, daleki od myśli o samobójstwie. Wdychał orzeźwiający powiew wiatru znad rzeki i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że czeka go nowa, ekscytująca przygoda miłosna. Zastanawiał się nawet, czy nie zapukać do drzwi Saidy Bai jeszcze dziś wieczorem, i poczuł nagły przypływ niewytłumaczalnej radości.

Nad migotliwą wodą Gangesu zwieszała się ciężko rozgrzana do czerwoności wieczorną zorzą kopuła nieba. Na drugim brzegu piaszczysta równina rozciągała się aż po linię horyzontu.

Patrząc na rzekę, przypomniał sobie przepowiednię, którą usłyszał od matki swojej narzeczonej. Ta pobożna matrona była przekonana, że któregoś roku, w święto Ganga Daśahra, posłuszna rzeka zacznie wzbierać i zaleje w

końcu, o wyznaczonej godzinie, jeden ze stopni ghatów w jej rodzinnym Benaresie. Man jak zwykle zasepił się na samo wspomnienie swojej narzeczonej, a także zaaranżowanych przez ojca zaręczyn. Zrobił tak, jak zapowiedział, a Man, żeby mu się nie narazić, biernie poddał się jego woli i dał się w to wciągnąć bez jednego słowa protestu. No i stało się! Co za przekleństwo! Teraz, wcześniej czy później, będzie musiał się z nią ożenić. Man nic do niej nie czuł; ledwie się przecież widzieli parę razy, a i to zawsze w obecności członków rodziny, i nie chciał wcale o niej myśleć. Dużo przyjemniej było pomarzyć sobie o Samii, która mieszkała teraz z rodzicami w Pakistanie, ale która chciała za wszelką cenę wrócić do Brahmpuru tylko po to, żeby się z nim zobaczyć. Albo o Sarli, córce byłego głównego inspektora policji. Zresztą każda, dosłownie każda jego dawna, nawet najbardziej przelotna flama pozostawała mu droga już na zawsze. Żadna nowa namiętność, choćby nie wiem jak żarliwa, nie wypierała z jego serca poprzednich miłości. Miał do nich wszystkich ogromny sentyment, a jego serce było mocniej na wspomnienie każdej z nich.

2.9

Było już ciemno, kiedy Man znalazł się na powrót w ścisiku i zgiełku miasta, ciągle niepewny, czy powinien spróbować szczęścia u Saisy Bai. Już od paru minut włóczył się po Misri Mandi. Tutaj niedziela nie była dniem wolnym od pracy. Bazar z butami tętnił ruchem i gwarem. Jasno oświetlony sklep Kedarnatha Tandona był nadal otwarty, tak zresztą jak i wszystkie inne sklepy mieszczące się tuż przy głównej ulicy w arkadach nazywanych Brahmpurским Bazarem Obuwniczym. Szewcy zwani „koszykowymi” biegali od sklepu do sklepu z koszami na głowach, oferując swoje wyroby hurtownikom: aby kupić żywność, a także skórę i inne konieczne do pracy na jutro materiały, musieli sprzedać buty, które uszyli w rodzinnym warsztacie w ciągu dnia. Wychudzeni, nędznie przyodziani, robili wrażenie zdesperowanych. Należeli głównie do kasty „niedotykalnych”, dżatawów, pariasów, ale było wśród nich

również pana nisko urodzonych muzułmanów, z których wielu pozostało w Brahmpurze po podziale Indii. Progi sklepów wznosiły się mniej więcej trzy stopy nad poziomem ulicy, co pozwalało dostawcom umieszczać kosze na przykrytej chodnikiem podłodze, skąd kupcy wybierali buty do kontroli jakościowej. Na przykład Kedarnath mógł wyjąć z pod stawionego do oględzin kosza parę butów. Jeśli odrzucił dostawę, sprzedawca musiał biec do następnego hurtownika, niekiedy zmuszony, by okrążyć w ciągu jednego wieczoru wszystkie arkady. Kedarnath mógł mu również zaoferować niższą cenę, którą szewc mógł zaakceptować albo nie. Innym jeszcze sposobem na zaoszczędzenie funduszy, które miał do swojej dyspozycji Kedarnath, były

rachunki kredytowe. Polegało to na tym, że hurtownik zgadzał się na wyznaczoną przez dostawcę cenę, ale oferował mniej gotówki, kompensując różnicę tzw. bonem, który można było wykorzystać u agenta udzielającego rabatu przy zakupie surowców. Po dokonaniu transakcji trzeba było jeszcze zaopatrzyć się w niezbędne do produkcji obuwia materiały na następny dzień, wobec czego „koszykowi” zmuszeni byli sprzedać swoje wyroby możliwie jak najwcześniej, nawet jeśli tracili na tym w ostatecznym rozrachunku.

Man nie mógł się w tym skomplikowanym systemie połapać, Cały obrót zależał tu od rozbudowanej i efektywnej sieci kredyto-wej, funkcjonującej wyłącznie na podstawie obiegowych bonów bez udziału jakiegokolwiek banku. Zresztą, nie miał wcale potrzeby zgłębiać tajemnic tutejszych stosunków handlowych. Firmy włókiennicze w Benaresie działały na zupełnie odmiennych zasadach. Wdepnął tu tylko na towarzyską pogawędkę i kubek herbaty, a przede wszystkim, żeby spotkać się ze swoim dziewięcioletnim siostrzeńcem. Bhaskar, ubrany tak jak ojciec w białą kurtkę-padżamę, bosonogi, siedział na rozłożonej u progu sklepu płachcie materiału. Od czasu do czasu Kedarnath odwracał się do syna i prosił, żeby ten mu coś przeliczył — raz pragnąc w ten sposób rozerwać jakoś dzieciaka, to znowu ponieważ naprawdę potrzebował jego pomocy. Bhaskar czuł się tutaj w swoim żywiole: przede wszystkim pobyt w sklepie dawał mu możliwość przeliczania taryf rabatowych oraz cen towarów na zamówienia wysyłkowe; a już szczególnie fascynowały go konfiguracje poukładanych w stosy pudełek do butów. Trudno go

było zapędzić do łóżka: starał się jak najdłużej zostać z ojcem w sklepie i Wina musiała czasami wysyłać po niego kilka razy, zanim wrócił wreszcie wieczorem do domu.

— I jak się dzisiaj miewa nasza żabuchna? — spytał Man, chwytając Bhaskara za nos. — Nie śpi toto jeszcze, jak widzę. Jakiś ty dzisiaj wypucowany, czyściutki w tym nieskazitelnie białym ubraniu. Ho, ho!

— Jakbyś go zobaczył wczoraj rano, tobyś się przestraszył — powiedział Kedarnath. — Tylko ślepiami świecił, taki był cały umorusany.

Bhaskarowi zapłonęły oczy.

— A co mi przyniosłeś? — nagabywał Mana. — Wczoraj zaspaleś, to dzisiaj musisz mi dać fant.

— Synku... — strofował go łagodnie ojciec.

— Nic — przyznał zawstydzony Man. — Ale powiedz mi, co byś chciał? No, już! Raz, dwa, trzy...

Bhaskar zmarszczył brwi w głębokim zamyśleniu.

Obok przeszli właśnie dwaj mężczyźni pogrążeni w rozmowie na temat planowanego strajku „koszykowych”. Czyjeś radio wyło na cały regulator, a policjant wrzeszczał jak najęty. Pomocnik sklepowy przyniósł z rynku dwie szklanki herbaty i Man, dmuchając i dmuchając, po dłuższej chwili upił wreszcie łyk.

— I jak tam? Wszystko w porządku? — zwrócił się do Kedarnatha. — Nie mieliśmy nawet okazji pogadać sobie dzisiaj po południu.

Kedarnath wzruszył najpierw ramionami, a potem kiwnął głową bez przekonania.

— W porządku. Ale tobie chyba coś jest? Czym się tak trujesz?

— Ja? Niczym! Zupełnie niczym — zaprotestował Man. — Za to słyszę, że „koszykowi” grożą strajkiem? Co się tu wyrabia?

— Hm, no wiesz... — rzekł w odpowiedzi Kedarnath. Zdawał sobie sprawę, jaki zamęt wywoła ten strajk, i nie miał w tej chwili ochoty ani o tym myśleć, ani tym bardziej rozwodzić się na ten temat. Przygładził siwiejące włosy gestem, który zdradza frasunek, i przymknął oczy.

— Jeszcze myślę — odezwał się ni z tego, ni z owego Bhaskar. — Myślenie ma kolosalną przyszłość — zażartował Man. — Ale wobec tego, bę-

dziesz mi musiał powiedzieć o swojej decyzji następnym razem. Albo możesz mi wysłać pocztówkę...

— Niech tak będzie — odparł zrezygnowany Bhaskar.

— To na razie, pa.

— Pa! A! Man mamu! Czy wiesz, wujku, że jak jest taki, o, trójkąt i dorysuje mu się na bokach kwadraty, o tak, a potem doda jeszcze dwa kwadraty, to otrzymuje się, o taki, kwadrat? — gestykulował Bhaskar. — Za każdym razem — podkreślił.

— Wiem, wiem — odparł Man, a w duchu pomyślał: „Łebski chłopak z tego Bhaskara”.

Bhaskar przez chwilę miał zawiedzioną minę, ale szybko się rozpogodził.

— A powiedzieć ci dlaczego? — zapytał Mana.

— Nie teraz. Muszę już iść. Dać ci zadanie do rozwiązania, zanim sobie pójdę?

Bhaskara kusilo, żeby się odciąć i powiedzieć: „Nie teraz”, ale zmienił zdanie.

— To daj — powiedział.

— Ile jest 256 razy 512? — spytał Man, który miał już w myślach przygotowaną odpowiedź.

— Takie łatwe — odparł pogardliwie Bhaskar. — Wymyśl coś innego.

— Ile to jest, skoroś taki mądry?

— Jeden lakh trzydzieści jeden tysięcy siedemdziesiąt dwa.

— Hm. A ile jest 400 razy 400?

Bhaskar odwrócił się obrażony.

— No dobrze, dobrze — rzekł pojednawczo Man. — Ile jest 789 razy 987?

— Siedem lakhów siedemdziesiąt osiem tysięcy siedemset czterdzieści trzy — rzekł Bhaskar już po paru sekundach.

— Wierzę ci na słowo — powiedział Man. Przyszło mu nagle na myśl, że może jednak rozsądniej będzie nie narzucać się dziś wieczorem Saidzie Bai, która znana była ze swoich zmiennych humorów.

— A nie chcesz sprawdzić?

— Nie, geniuszku. Muszę już iść. — Zmierzwił swojemu siostrzeńcowi czuprynę, skinął głową szwagrowi i wyszedł na główną ulicę Misri Mandi. Tam wynajął tongę ze szczerym zamiarem natychmiastowego powrotu do domu.

Po drodze zmienił jednak plany jeszcze raz i pojechał prosto do Saidy Bai.

Przy bramie wjazdowej strażnik w turbanie koloru khaki zmierzył go od stóp do głów i oznajmił, że Saidy Bai nie ma w domu. Man pomyślał najpierw, że wobec tego najlepiej będzie zostawić jej wiadomość, ale tu pojawił się nie lada problem. W jakim języku ma pisać? Saida Bai na pewno nie potrafiła czytać ani po angielsku, ani w hindi, natomiast Man nie znał języka urdu. Dał strażnikowi rupię napiwku i powiedział:

— Proszę, powiedz jej, że przyszedłem złożyć uszanowanie. Strażnik zasalutował prawą ręką i powiedział:

— A jak pańska godność?

Man już miał zamiar podać mu swoje nazwisko, ale w tym właśnie momencie wpadł na lepszy pomysł.

— Powiedz jej, że jestem tym, który żyje w świątyni miłości — powiedział. Był to bardzo niezgrabny kalambur, oparty na znaczeniu słów Prem Niwas.

Strażnik obojętnie skinął głową.

Man popatrzył na maleńki, dwukondygnacyjny, cukierkowo-różowy budynek. W środku paliło się światło, ale to oczywiście nie było żadną wskazówką. Z ciężkim sercem, zawiedziony, odwrócił się i skierował najpierw w stronę domu. Ale potem, jak zwykle kiedy był znudzony albo nie w humorze, postanowił poszukać ukojenia w towarzystwie przyjaciół. Kazał woźnicy zawieźć się do domu nawaba sahiba w Bajtarze. Tam poinformowano go, że obaj bracia, Firoz i Imtiaz, wrócą do domu dopiero późnym wieczorem, wobec czego postanowił złożyć wizytę Pranowi. Brat nie był zachwycony ceremonią zanurzania wielkiego walenia w balii i Man uznał, że należy załagodzić

jakoś sytuację. Pran to porządny gość, ale mdły i bez odrobiny polotu. Nie potrafił ani zakochać się tak na umór, bez pamięci, ani cierpieć równie głęboko jak on sam. Na myśl o własnych burzliwych rozterkach Man poczuł w sercu nagły przyływ nieujarzmionej radości.

2.10

Następnie Man udał się raz jeszcze do zaniedbywanej ostatnio, niestety, rezydencji w Bajtarze, gawędził do późna z Firozem i Imtiazem i końcu został u nich aż do rana.

Nazajutrz Imtiaz wyszedł z domu bardzo wcześnie, wezwany do chorego, ziewając i przeklinając na czym świat stoi swój cholerny fach.

Firoz, który miał do załatwienia jakąś pilną sprawę z klientem, zamknął się na parę godzin w ojcowskiej bibliotece, a ściślej mówiąc w tej części, która służyła mu za kancelarię, po czym wyłonił się stamtąd, pogwizdując z zadowoleniem, w sam raz na późne śniadanie.

Man, który nie chciał siadać do stołu sam, czekał na niego w swojej sypialni, przeglądając „Brahmpur Chronicle” i ziewając raz po raz. Miał lekko kaca.

Zjawił się przed nim stary sługa nawaba sahiba i z dyktowanym etykietą szacunkiem poinformował go, że młodszy sahib — *chote sahib* — siada właśnie do śniadania i zapytał, czy Man sahib zechciałby przyłączyć się do niego? Mówił w urdu, a każde jego słowo było starannie wyważone.

Man odpowiedział skinieniem głowy. Po chwili zauważył, że staruszek nie rusza się z miejsca i spogląda na niego wyczekująco. Tym razem Man rzucił mu pytające spojrzenie.

— Czym jeszcze mogę panu służyć, Man sahib? — przerwał wreszcie milczenie stary sługa, który musiał już mieć po siedemdziesiątce, wedle oceny Mana, ale trzymał się jeszcze znakomicie. „No, no”, myślał Man, „dziadek musi być w niezłej formie, skoro tak lata w tę i we w tę po tych schodach i to

po kilka razy na dzień". Zastanawiał się też, dlaczego nigdy go przedtem nie widział w domu nawaba sahiba.

— Niczego mi nie trzeba — rzekł Man w odpowiedzi. — Możesz odejść. Zaraz zejść na dół. — Ale kiedy starzec podniósł do czoła zamkniętą dłoń, gestem, który oznaczał uszanowanie i odwrócił się do wyjścia, Man zatrzymał go słowami: — Ale, ale, poczekaj jeszcze chwilę...

Starzec odwrócił się z powrotem w jego stronę, czekając na polecenie.

— Pewnie jesteś w służbie u nawaba sahiba już od lat... Mam rację? — zapytał go Man.

— To prawda, huzur. Od wielu, wielu lat służę już jego rodzinie. Większą część życia spędziłem, pracując w Baitar Fort, ale teraz, na stare lata, zostałem przeniesiony tutaj, bo takie było życzenie nawaba sahiba.

Mana uderzyła prostota, a zarazem cicha дума, z jaką starzec określał siebie mianem *purana khidmatgar* (mówił to bez cienia uniżoności). Uśmiechnął się na myśl, że on sam przykleił mu — słowo w słowo — taką samą etykietkę.

Widząc, że Man nie przerywa milczenia, starzec dorzucił następujące wyjaśnienie:

— Zgłosiłem się do służby w wieku może dziesięciu lat, czy coś koło tego. Pochodzę z wioski Rajpur, która leży w majątku ziemskim nawaba sahiba. Zarabiałem wtedy jedną rupię na miesiąc i jak na moje potrzeby, było to aż zanadto. Ale przez tę wojnę, huzur, wszystko tak podrożało, że ludziska głodują, chociaż niby dostają więcej pieniędzy. Potem ten podział kraju, tyle nieszczęścia i wyjazd brata nawaba sahiba do Pakistanu... a teraz jeszcze nowe prawa... uwłaszczenie... to zagraża dziedzicznej własności... Nikt nie jest pewny... — zawahał się, szukając w myślach stosownego słowa, ale z braku inspiracji powtórzył tylko — ...nikt nie jest pewny jutra, Man sahib.

Man potrząsnął głową z nadzieją, że pozbędzie się w ten sposób łupania w skroniach i powiedział:

— Znajdzie się tutaj gdzieś przypadkiem jakaś aspiryna?

Fakt, że może się jednak jeszcze na coś przydać, sprawił starców wyraźną przyjemność. Odparł pospiesznie:

— Chyba tak, huzur. Zaraz panu przyniosę parę tabletek.

— O, to doskonale — powiedział Man. Ale zaraz zmienił zdanie doszedłszy do wniosku, że nie powinien pozwalać starcowi się przemęczać. — Albo nie, wiesz co, nie musisz ich wcale wnosić tu na górę. Po prostu zostaw ze dwie tabletki na moim talerzu. Zażyję je przy śniadaniu. Aha, i jeszcze przy okazji powiedz mi — ciągnął dalej, widząc oczyma wyobraźni dwa małeńkie, okrągłe krążki na brzegu talerza — dlaczego właściwie nazywają Firoza chote sahib skoro to brat bliźniak Imtiaza?

Starzec spojrział za okno na rozłożyste konary magnolii, którą posadzono kilka dni po urodzeniu się bliźniaków. Odkaszała parę razy i wytłumaczył:

— Chote sahib, to jest Firoz sahib, urodził się siedem minut po bare sahibie.

— Aha. — Mana całkowicie zadowolono to krótkie wyjaśnienie ale starzec dopełnił je komentarzem:

— Dlatego i z rysów, i z postury jest delikatniejszy od bare sahiba.

Man milczał, medytując nad tym zaiste nowatorskim ujęciem teorii ewolucji.

— Twarz ma taką gładką... to po matce — powiedział starzec, a potem nagle zamilkł, jakby ugryzł się w język, świadom, że zagalopował się w swoich wywodach.

Man przypomniał sobie, że begam sahiba, żona nawaba z Bajta-ru, matka jego dwóch synów i córki, przez całe swoje życie przestrzegła ściśle pardy. Zastanawiał się, skąd służący mógł znać jej wygląd, ale wyczuł zażenowanie starca, więc się nie dopytywał. „Być może widział ją gdzieś na fotografii albo powtarza, co służba między sobą gadała”, tłumaczył sobie.

— Tak przynajmniej słyszałem od ludzi — asekurował się starzec. Po-tem zawahał się i dorzucił jeszcze: — To była bardzo dobra kobieta, pokój

niech będzie jej duszy. Była dobra dla nas wszystkich. Kobieta o żelaznej woli.

Mana intrygowały te nieśmiałe niedyskrecje skorego do zwierzeń starca na temat rodziny, której poświęcił przecież całe swoje życie, ale ponieważ pomimo bólu głowy głód dawał mu się już wyraźnie we znaki, zdecydował, że nie czas na takie pogawędki, i powiedział:

— Możesz już iść. Powiedz choćby sahibowi, że będę na dole za jakieś... no, powiedzmy... siedem minut.

Jeśli starca zdziwiła pedanteria, z jaką Man sahib mierzył czas, to w każdym razie nie dał tego zupełnie po sobie poznać. Skinął głową i odwrócił się w stronę drzwi, ale przed samym wyjściem Man zatrzymał go jeszcze słowami:

— A jak na ciebie wołają?

— Ghulam Rasul, huzur — odparł stary sługa.

Man kiwnął głową na znak, że nie ma więcej pytań, i tamten wyszedł.

2.11

— Dobrze spałeś? — spytał Firoz Mana z uśmiechem na powitanie.

— Znakomicie. Za to ty zerwałeś się bladym świtem.

— Wcale nie wcześniej niż zazwyczaj, mój kochany. Najlepiej pracuje mi się przed śniadaniem. Jak nie klienci, to przegląd sądowych akt. Za to ty się nadmiernie nie przemęczasz z tego, co widzę. — Man wlepił wzrok w dwa malutkie krążki leżące na brzegu jego talerza, a ponieważ się nie odezwał, Firoz dodał jeszcze: — Nie znam się wprawdzie nic a nic na handlu tekstyliami, ale...

Man jęknął głucho.

— Czy to pogadanka umoralniająca? — zapytał podejrzliwie.

— I owszem — zaśmiał się Firoz. — Ja jestem na nogach już od dwóch godzin i dopiero teraz pozwoliłem sobie na chwilę wytchnienia.

— Ale ja mam kaca — pozalił się Man. — Okaż choć trochę serca, człowieku.

— No dobra — zgodził się Firoz, rumieniąc się lekko. — Niech ci będzie. Przyrzekam, że od tej pory będę się z tobą obchodził jak z jajkiem. — Popatrzył na zegar na ścianie. — Późno już. Czekają na mnie w klubie jeździeckim. Wiesz co, Man, chcesz czy nie chcesz, ale któregoś dnia musisz się wreszcie nauczyć grać w polo. Sam tego dopilnuję. — Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

— Niezły pomysł — ucieszył się Man. — To by mi nawet bardzo pasowało.

Wniesiono omlet. Wystygł po drodze z kuchni do jadalni, ponieważ w rezydencji Bajtar z jednego pomieszczenia do drugiego było dosyć daleko. Man przyglądał mu się przez chwilę z niechęcią, a potem nadgryzł gniewnie suchą grzanekę. Nie odczuwał już wcale głodu. Połknął obie aspiryny.

Tymczasem Firoz dotarł właśnie do drzwi, gdzie spotkał się oko w oko z prywatnym sekretarzem swego ojca, Murtazem Alim, który wyklócał się przy wejściu z jakimś młodym nieznanym mężczyzną. Młody człowiek chciał się koniecznie zobaczyć z nawabem sahibem, Murtaz Ali zaś, niewiele od niego starszy, starał się za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Tłumaczył mu z powagą, flegmatycznie (takie zachowanie leżało w jego naturze), że to niemożliwe. Młody człowiek ubrany był raczej biednie, w białą kurtę uszytą z samodziału, za to wysławiał się w urdu bardzo poprawnie. Miał dobrą dykcję i nie robił błędów gramatycznych. Mówił:

— Przyszedłem, ponieważ jestem z nim na dzisiaj umówiony. Coś w jego wymizerowanej twarzy — może stanowczość i determinacja — uderzyło Firoza tak, że postanowił interweniować.

— O co chodzi? — zapytał.
Murtaz Ali odwrócił się i rzekł:

— Ćhote sahib, ten człowiek nalega, żeby zobaczyć się z pana ojcem. Chce się zgłosić do pracy w bibliotece. Twierdzi, że jest umówiony.

— A ty nic nie wiesz na ten temat? — dopytywał się Firoz.

Murtaz Ali pokręcił przecząco głową.

— Niestety, nic a nic, choć sahib.
Tu wtrącił się młody człowiek:

— Odbyłem daleką podróż specjalnie po to, żeby spotkać się tu punktualnie o dziesiątej z nawabem sahibem, bo tak mi kazał. Ten przyjazd kosztował mnie wiele zachodu i wyrzeczeń.

Nie bez współczucia Firoz upewnił się jeszcze raz:

— Nie pomylił się pan co do daty?

— Na pewno nie.

— Gdyby mój ojciec chciał, żeby oderwano go dzisiaj od pracy, to wydałby stosowne polecenie — wyjaśnił Firoz uprzejmie. — Problem, widzi pan, polega na tym, że siedząc w bibliotece, ojciec zupełnie odrywa się od rzeczywistości. Będzie pan musiał niestety poczekać, aż wyjdzie. A może mógłby pan przyjść trochę później?

Wargi młodego człowieka zadrżały ze zdenerwowania. Widać było, że szarpia nim sprzeczne emocje. Nie ulegało wątpliwości, że zależało mu na posadzie, która stałaby się źródłem dochodów, a mimo to kiedy otworzył usta, przemówiła przez niego urażona ambicja:

— Nie mam zamiaru ganiać tak po próznicy w tę i we w tę — powiedział dobitnie, chociaż spokojnie.

Firoza zaskoczyła ta odpowiedź. To już nie stanowczość, tylko tupet świadczący o braku podstawowych zasad kultury. Mógłby przecież starać się go przekonać słowami: „-Proszę się wczuć w moją sytuację, nawab-zada. Nie byłoby mi to na rękę, gdyby...” Zresztą, tyle jest różnych podobnych utartych grzecznościowych zwrotów. A ten nie, tylko prosto z mostu: „Nie mam zamiaru...”

— Pańska sprawa — odparł Firoz obojętnie, wzruszając ramionami. — A teraz proszę mi wybaczyć, że pana pożegnam. Spiesz mi się. — Wchodząc do samochodu, zmarszczył surowo brwi.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Man rozmawiał pod bramą jej domu ze strażnikiem, Saida Bai zabawiała jednego ze swoich stałych, długoletnich klientów, radzę Marhu (księżstewka w stanie Madhija Pradeś) — grubianina, brutala i aroganta. Radża przyjechał do Brahmpuru parę dni wcześniej, częściowo po to, żeby wy badać, jak się sprawują zarządcy w jego brahmpurskich posiadłościach, a częściowo w celu przyspieszenia prac przy budowie nowej świątyni Śiwy wznoszonej właśnie w sąsiedztwie meczetu Alamgiri na staromiejskim placu, który był jego własnością. Radża znał Brahmpur jeszcze ze swoich czasów studenckich. Dwadzieścia lat temu, w czasach gdy Saida Bai mieszkała z matką na Tarbuz ka Bazar, w dzielnicy o reputacji siedliska rozpusty, radża bywał częstym gościem w lupanarze Mohsiny Bai.

W tych czasach matka Saidy Bai wynajmowała pokój na piętrze, w kamienicy, gdzie współlokatorkami były jeszcze trzy inne kurtyzany, z których najstarsza pełniła funkcję burdelmamy. Zaszczyt ten należał się jej z urzędu, jako właścicielce kamienicy. To tam właśnie Saida Bai spędziła dzieciństwo. Jej matce nie podobał się jednak ten układ, a rosnąca fama i wzięcie urodziwej córki pozwoliły jej się wkrótce usamodzielnąć. W wieku lat mniej więcej siedemnastu Saida Bai zwróciła na siebie uwagę maharadży wielkiego dominium w Radżastanie, późniejszego nawaba z Sitagarh, i odtąd wszystko poszło jak z płatka.

Po pewnym czasie Saida Bai mogła już sobie pozwolić na zakup własnego domu w Pasand Bagh, do którego wprowadziła się wraz z matką i młodszą siostrą i gdzie mieszkała do dzisiaj. Mohsina Bai miała lat dwadzieścia, kiedy urodziła się Saida; piętnaście lat później przyszła na świat jej młodsza siostra. Wszystkie trzy — każda na swój sposób — były kobietami o olśniewającej urodzie. Matka była gładka, a jednocześnie nieugięta niczym mosiądz, starsza córka urzekała spokojnym blaskiem srebra, a najmłodsza z nich wrażliwa, wychowywana w cieplarnianych warunkach, nosząca imię od rajskiego źródła Tasnim, była żywa i ruchliwa jak rtęć. Matka i starsza siostra nie chciały, żeby poszła w ich ślady, więc obie sprawowały nad nią pieczę.

Przed dwoma laty Saida Bai straciła matkę. Był to dla niej wielki cios. Co jakiś czas szła na cmentarz i kładła się twarzą do ziemi na grobie matki, wy-

plakując oczy. Saida Bai mieszkała teraz w swojej rezydencji w Pasand Bagh wraz z siostrą Tasnim oraz dwiema służącymi: pokojówką i kucharką. Nocą przy bramie pełnił wartę flegmatyczny strażnik. Tego wieczoru Saida Bai nie oczekiwała żadnych gości. Odpoczywała w towarzystwie swoich akompaniatorów i zabawiała się ploteczkami przy muzyce.

Muzyk, który grał na sarangi, był skrajnym przeciwieństwem swojego kolegi akompaniującego Saidzie Bai na tabli. Obaj mieli wprawdzie po dwadzieścia pięć lat i obaj byli utalentowani i ambitni; lubili się nawzajem i byli związani uczuciowo z Saidą Bai, a także zależni od niej pod względem materialnym. Ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Pierwszy z nich, Iszak Chan, prawdziwy wirtuoz, ale przy tym okropny szyderca, potrafił — zatraciwszy się w muzyce — wydobyć ze strun sarangi (i to bez żadnego, zdawało się, wysiłku) doskonałe, harmonijne dźwięki; był ciągle jeszcze kawalerem. Natomiast drugi, do którego z powodu tuszy przyłgnał przydomek Motu Ćand, był to jowialny grubasek i już — w tak młodym wieku — ojciec czworga dzieci. Ze względu na wyłupiaste oczy i mięsiste wargi przypominał trochę zziąjanego buldoga. Na ogół ruchy miał apatyczne, ale ożywiał się zawsze, bębniąc z zacięciem w swoją tabłę. Rozmawiali o jednym z najsłynniejszych odtwórców klasycznej pieśni hinduskiej, niedoścignionym i bardzo wyniosłym ustadzie Madźidzie Chanie, który mieszkał w historycznej części miasta, niedaleko starego domu, gdzie wychowywała się Saida Bai.

— No dobrze, to wielki artysta, ale dlaczego odnosi się do nas, maluczkich, z taką pogardą? — pytał Motu Ćand, odchylając się z wysiłkiem do tyłu, ponieważ wypasione brzuszysko tamowało mu oddech w piersiach. — Wzniósł się na wyżyny, to i dobrze, ale siedzi tam teraz z głową w chmurach jak Siwa na Kajlaśe i łypie na nas trzecim okiem, miotając niszczycielskie płomienie. I dlaczego? Tego nie mogę zrozumieć, Saido begam.

— Ludzie wielcy są poza zasięgiem naszej krytyki. Nie nam wydawać o nich sądy — powiedział Iszak Chan. Lewą ręką pogładził swoje sarangi i dorzucił: — Popatrzcie tylko na to sarangi: to taki szlachetny instrument. A jednak wielmożny Madźid Chan brzydził się nim i nigdy nie pozwala sobie na nim akompaniować.

Saida Bai przytaknęła skinieniem głowy; Motu Ćand również wyraźnie solidaryzował się z jego stanowiskiem.

— To wspaniały instrument, o niezrównanej rozpiętości dźwięków — powiedział z przekonaniem.

— Ty kłamczuchu — odparł Iszak Chan z krzywym uśmiechem — Już nie udawaj, że tak wysoko cenisz ten instrument. Z czego się go wyrabia?

— Jak to z czego? No, przecież z drewna — rzekł Motu Ćand pochylając się z wysiłkiem do przodu.

— A to dopiero kawał zapaśnika — zaśmiała się Saida Bai. Trzeba go zaraz nakarmić. Damy mu trochę laddu. — Przywołał służącą i wysłała ją po słodycze.

Iszak starał się za wszelką cenę zagiąć bezbronnego Motu Canda atakując go bezlitośnie.

— Z drewna, z drewna! — przedrzeźniał teraz swojego przyjaciela. — No, a z czego jeszcze?

— Z czego jeszcze... ? — powtórzył ze zdumieniem Motu Ćand nie rozumiejąc, do czego zmierza Iszak. — Chan sahib... sam dobrze wiesz, że jako instrument strunowy składa się również ze strun oczywiście. ...

— A z czego wyrabia się te struny? No, powiedz, z czego — nacierał na niego prowokacyjnie Iszak.

— A! — mruknął wreszcie Motu Ćand, zorientowawszy się, o co mu chodzi. Iszak, równy facet, był strasznie zادیorny. Wyraźnie lubował się w zadreczaniu swojego przyjaciela, powziąwszy uprzednio niezłomne postanowienie, że go pognębi w tej dyskusji.

— Z trzewi zwierzęcych! — wykrzyknął tryumfalnie Iszak. — Tego używa się do wyrobu strun: zwierzęcych jelit. Nie muszę cię zresztą uświadamiać, bo o tym wiesz. A górna część sarangi pokryta jest garbowaną skórą. Skórą ściągniętą ze zdechłego zwierzęcia. Ciekaw jestem, co by na to powiedzieli ci twoi bramini z Brahmpuru, gdyby mieli dotknąć takiego plugastwa? Nie odważyliby się pokalać nim sobie rąk, oj nie, nie.

Motu Ćand stropił się najpierw, ale potem odparował:

— Ale ja nie jestem braminem, jak sam dobrze wiesz... — bronił się żarcie.

— Przestań się z nim drażnić — Saida Bai upomniała Iszaka Chana.

— Ja? Ja się wcale z nim nie drażnię. Za bardzo lubię tłuszciocha, żeby miał go niepotrzebnie denerwować — powiedział Iszak Chan.

Łgał oczywiście w żywe oczy. Ponieważ Motu Ćand był człowiekiem wyjątkowo zrównoważonym, Iszaka Chana korciło zawsze, żeby go jakoś podjudzić i wytrącić z równowagi. Ale tym razem Motu Ćand nie dał się sprowokować, a tylko odparł ze stoickim spokojem:

— Jak to miło z twojej strony, Chan sahib. Ale wiesz, jak to jest. Nawet nam, niegodnym ignorantom, zdarzają się czasem przebłyski inteligencji. Dla mnie, na przykład, nie jest wcale ważne, z jakich materiałów konstruuje się sarangi, ale jaki to daje efekt. Palce wytrawnego artysty potrafią wydobyć z tych trzewi i z tej skóry niebiańskie, czarowne brzmienia. — Na jego twarz wypłynął uśmiech, który był świadectwem pełnego ukontentowania. — W końcu my sami to też nic innego jak skóra i trzewia. A jednak... — zmarszczył czoło, starając się sprecyzować swoje myśli — a jednak dłonie tego Jednego Jedynego, który... Jednego Jedynego...

Ale w tym właśnie momencie zjawiała się pokojówka, a Motu Ćand na widok tacki ze słodyczami przerwał natychmiast swoje teologiczne wywody. Sięgnął po kuleczkę laddu, równie okrągłutką jak on sam, i pulchnymi palcami włożył ją sobie w całości do ust.

Po jakimś czasie Saida Bai przerwała milczenie:

— Ale przecież nie mieliśmy dyskutować na temat tego Jednego Jedyne-go, hen tam w niebiesiech — przy tych słowach uniosła w górę dłoń — ale tego Jednego Jedynego po stronie zachodniej. — Tu wskazała w kierunku starej dzielnicy.

— Bez różnicy — machnął ręką Iszak Chan. — Możemy się pomodlić jednocześnie i tu, i tam: i w górę, i na zachód. Jestem pewien, że ustad Madźid Chan nie miałby nam wcale tego za złe, gdybyśmy któregoś wieczoru przez pomyłkę skierowali ku niemu nasze modły. A zresztą, czemu nie? — zakończył wykrętnie. — Składając hołd wielkiej Sztuce, Sztuce przez duże S, skła-

dara

jednocześnie hołd samemu Bogu. — Spojrzał na Motu Ćanda, szukając u niego poparcia dla swojej filozofii, ale ten siedział nadąsany z pełnymi ustami, delektując się słodkim laddu.

W drzwiach znowu ukazała się pokojówka, tym razem oznamiając:

— Jakie zamieszanie pod bramą!

— Zamieszanie! Bibbo? — zapytała Saida Bai, zaciekawiona raczej niż zaniepokojona wiadomością.

Pokojówka spojrzała jej śmiało prosto w oczy i powiedziała:

— Ano, wygląda na to, że jakiś młody człowiek wyklóca się ze strażnikiem.

— Ty bezwstydnico! I co to za buńczuczna mina? — powiedziała Saida Bai zupełnie bez złości. — Hm — ciągnęła — no, a jak on wygląda?

— A skądże ja mogłabym to wiedzieć? — wykręcała się pokojówka.

— Przestań się zgrywać, Bibbo. Wygląda na faceta z klasą?

— Owszem, nawet niczego sobie — przyznała pokojówka. — Ale w mroku trudno było dokładnie mu się przyjrzeć. Ulica jest źle oświetlona.

— Zawołaj strażnika — powiedziała Saida Bai. — No, idź. Wszyscyśmy tutaj sami swoi — dodała, widząc wahanie pokojówki.

— No, a co z nim? Z tym facetem? — spytała pokojówka.

— Jeśli rzeczywiście ma klasę, jak utrzymujesz, Bibbo, to poczeka na zewnątrz.

— Tak jest, begam sahiba — powiedziała pokojówka i poszła, wykonać polecenie.

— Kto to może być? — zastanawiała się głośno Saida Bai, a potem zamilkła na jakiś czas.

Strażnik wszedł do mieszkania, zostawił swoją lancę przy głównym wejściu, po czym wdrapał się z wysiłkiem po schodach na galerię. Stał w drzwiach pokoju, gdzie siedzieli goście Saidy, i zasalutował. W turbanie i mundurze koloru khaki, ciężkich buciorach, z sumiastymi wąsiskami nie pasował zupełnie do tego otoczenia, gdzie wszędzie znać było kobiecą dłoń, ale mimo to wcale nie wyglądał na speszonego.

— Kim jest ten mężczyzna i czego chce? — zapytała Saida Bai.

— Nalega, żeby się z panią zobaczyć — odparł strażnik flegmatycznie.

— Domyślam się... ale jak się nazywa?

— Tego właśnie nie chciał mi powiedzieć, begam sahiba. Nie mogę się od niego opędzić. Jest strasznie nachalny. Wczoraj też tu był i zostawił dla pani wiadomość, ale postanowiłem nic nie mówić, bo prawił takie impertynencje...

Oczy Saidy Bai zapłonęły gniewem.

— Postanowiłeś mi nic nie mówić?!

— Nie mogłem przy radży sahibie — odparł strażnik niewzruszony.

— Hm. A co to była za wiadomość?

— Przedstawił się tylko jako ten, co żyje w świątyni miłości — powiedział strażnik spokojnie.

Ponieważ określił miłość innym słowem niż Man, położył cały dowcip i kalambur z „Prem Niwas” stał się nie do rozszyfrowania.

— Ten, który żyje w świątyni miłości? Co to może oznaczać? — Saida Bai zwróciła się teraz do Motu i Iszaka, tamci zaś wymienili zdziwione spojrzenia. Na twarzy Iszaka Chana błąkał się pogardliwy uśmieszek.

— Tyle jest osłów na tym świecie — westchnęła Saida Bai, ale trudno było wyczuć, kogo miała na myśli. — Dlaczego nic nie napisał? Tak się dokładnie wyraził? Ani to zabawne, ani sensowne.

Strażnik pogrzebał znowu w pamięci i tym razem przekazał dokładniej treść swojej rozmowy z Manem poprzedniego wieczoru. Wszyscy — cała ich muzykalna trójka — natychmiast rozwiązali zagadkę, kiedy tylko usłyszeli słowa „prem” i „niwas”, które powtórzył teraz sumiennie strażnik.

— Aha! — powiedziała Saida Bai rozbawiona. — Chyba mam wielbi-cieła. Co wy na to? Wpuścimy go? Dlaczego nie?

Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Zresztą z jakiej racji? Strażnik zszedł na dół z zaproszeniem dla niespodziewanego gościa, a Bibbo, z polecenia Saidy Bai, przykazała Tasnim, żeby nie wychodziła ze swego pokoju.

2.13

Man, którego pożerała przy bramie zgryzota, nie mógł wprost uwierzyć własnym uszom, kiedy usłyszał, że zostanie przyjęty i to już w tej chwili. Prawdziwy uśmiech losu. W przyływie wdzięczności wcisnął strażnikowi w dłoń całą rupię. Strażnik podprowadził go do drzwi mieszkania, a pokojówka wskazała drogę do pokoju.

Kiedy kroki Mana dały się już słyszeć na galerii za drzwiami, pokoju, Saída Bai zawołała:

— Proszę, niech pan wejdzie, Dagh sahib! Niech się pan rozgości. Swoim przybyciem przydał pan blasku naszemu spotkaniu.

Man przystanął na chwilę w drzwiach i popatrzył na Saide Bai z radosnym uśmiechem, na co i jej twarz się rozjaśniła. Był ubrany skromnie, ale nienaganie w wykrochmaloną kurtę-padżamę. Stroju dopełniała elegancka biała bawełniana czapeczka, której haft dopasowany był kolorystycznie do haftowanej w ćikan kurty, oraz białe dżuti z miękkiej skórki, z noskami w szpic.

— Czym pan przyjechał?

— Przyszedłem na piechotę.

— Nie szkoda było panu niszczyć takiego eleganckiego ubrania w tym kurzu?

— To niedaleko, tylko parę minut drogi — odparł Man z prostotą.

— Proszę, niech pan usiądzie.

Man usiadł po turecku na wyściełanej białym materiałem podłodze.

Saída Bai zabrała się do przyrządzania panu. Man przyglądał się jej w zamysleniu.

— Byłem tu również wczoraj, ale szczęście mi nie dopisało.

— Słyszałam właśnie — odparła Saída Bai. — Ten dureń, mój stróż, odprawił pana z kwitkiem. No cóż, nie wszystkich nas matka natura obdarowała przenikliwością umysłu...

— Ale za to dzisiaj mi się poszczęściło — rzekł Man, stwierdzając fakt zupełnie oczywisty.

— „Wszedł Dagh i usiadł...” — rzekła Saida Bai z uśmiechem. Głowę miała pochyloną, zajęta smarowaniem liści panu białą, lepką mazią.

— „Nie po to, żeby wstawać” — dokończył za nią Man.

Ponieważ wzrok miała spuszczonej, mógł się na nią napatrzeć do woli. Zanim wszedł, przykryła głowę sari, ale jej szyja i ramiona były odsłonięte i Man nie mógł nie zauważyć, jak gładką, delikatną miała skórę, a kiedy skłaniała głowę, pochylona nad swoją pracą, wydawała się Manowi wyjątkowo ponętna.

Zwinąwszy dwa listki panu, podała mu je nadziane na maleńkie srebrne wykałaczki zakończone ozdobnymi chwaścikami. Wziął je od niej i włożył sobie do ust, mile zaskoczony smakiem orzecha kokosowego, który Saida Bai dodawała zazwyczaj, przyrządzając pan u siebie w domu.

— Widzę, że nosi pan czapkę a la Gandhi. To bardzo oryginalny styl — powiedziała Saida Bai, włożywszy do ust parę skrętów. Nie poczęstowała nimi ani Iszaka, ani Motu Canda. Zresztą tamci dwaj rozplłynęli się w tle, jakby w ogóle nie istnieli.

Nerwowym gestem Man dotknął z boku swojej wyszywanej czapki, niepewny, czy powinien ją zdjąć teraz z głowy.

— O, nie, nie, Dagh sahib, proszę się nie kłopotać. Wie pan, nie jesteśmy w kościele — powiedziała Saida Bai, przyglądając mu się z uwagą, a potem dodała: — Pańska biała czapka przywiodła mi na myśl inne, które widuję ciągle tu i ówdzie w Brahmpurze. Głowy, na których siedzą, wynoszą się ostatnio ponad szary tłum.

— Czy to wymówka? Nic nie poradzę, że urodziłem się w takiej, a nie innej rodzinie.

— Oczywiście — odparła Saida Bai. — Zresztą, nie pana ojca miałam tutaj na myśli. On jest od dawna cenionym mecenasem sztuki. Chodziło mi o innych parlamentarzystów z Partii Kongresowej.

— Może następnym razem, kiedy przyjdę do pani z wizytą; nałożę czapkę w innym kolorze — powiedział Man.

Saida Bai uniosła brew w wyrazie zdziwienia.

— O ile oczywiście zechce mnie pani jeszcze przyjąć kiedyś u siebie — dodał Man pokornie.

Saida Bai pomyślała: „Co za dobrze ułożony młody człowiek”. Dała znak Motu Ćandowi, żeby przyniósł fisharmonię, która leżała w kącie pokoju. A do Mana powiedziała:

— Czego by pan chciał posłuchać, Hazrat Dagħ? Pańska prośba będzie dla nas rozkazem.

— Czegokolwiek — odparł Man, ignorując dyskretną kpinę.

— Byle nie gazeli — rzekła Saida Bai, przyciskając guziczki na fisharmonii i podając ton dwóm muzykom, którzy stroili swoje instrumenty, table i sarangi.

— A dlaczego nie? — zapytał Man rozczarowany.

— Gazele śpiewa się na publicznych koncertach lub też prywatnie, dla jednej ukochanej osoby — rzekła Saida Bai. — Zaśpiewam coś, z czego słynie moja rodzina i czego nauczył mnie mój ustad.

Zaczęła od thumri, ragi w stylu Pilu: „Dlaczego milczysz? Dlaczego słów ci brak?”, a twarz Mana rozpogodziła się natychmiast na dźwięk jej głosu. Wpatrywał się w nią, odurzony zapachem jej perfum, oddając się marzeniom, przepojony szczęściem.

Po dwóch czy trzech thumri i jednej dadrze Saida Bai dała do zrozumienia, że jest zmęczona i Man wyczuł, że powinien odejść. Robił to niechętnie, ale nie dał tego po sobie poznać, pożegnawszy się z wielką kurtuazją. Na dole wcisnął strażnikowi w dłoń pięć-rupiowy banknot.

Radość dodała mu skrzydeł. „Kiedyś jeszcze zaśpiewa specjalnie dla mnie swoje ukochane gazele”, obiecywał sobie. „Na pewno. Na pewno”.

2.14

W niedzielę rano niebo było jasne i czyste. Na cotygodniowym ptasim jarmarku wrzało życie. Tysiące ptaków siedziało, trzepocząc skrzydełkami w metalowych albo wiklinowych klatkach. Były wśród nich zadziorne majny, łakome kuropatwy, gołębie pocztowe, a także długoogoniaste gadające papuzki. Cały chodnik zajęty był przez handlarzy, a kupujący oraz przechodnie,

tacy jak Iszak, musieli przeciskać się w tłoku środkiem jezdni, potrącani przez ryksze i rowery, wymijające tu i ówdzie zbląkane tongi.

Jedno z ulicznych stoisk oferowało bogaty wybór książek o ptakach. Iszak wziął do ręki cienką broszurkę zapisaną tłustym drukiem, której tytuł sugerował, że zawiera ona informacje o sowach i magicznych zaklęciach. Przekartkował ją bez pośpiechu, zachodząc w głowę, jak ten nieszczęsny ptak mógłby być wykorzystany do podobnie nieczystych celów. Okazało się, że był to wydany w urdu podręcznik dla adeptów hinduskiej czarnej magii *Sowia tantra*. Na pierwszej stronie jeden z podtytułów głosił:

Jak znaleźć zatrudnienie

Oto niezawodny środek:

Wyrwać parę piór z ogona sowy i kruka i spalić je razem na popiół, używając drzewa mango na podpałkę. Przed rozmową kwalifikacyjną namaścić tym popiołem czoło w miejscu znamienia kastowego. Skutek gwarantowany!

Iszak zmarszczył brwi i czytał dalej:

Jak uczynić niewiastę posłuszną swojej woli

Jeśli pragniesz trwale podporządkować sobie niewiastę, tak żeby nie dała się nigdy zauroczyć innemu mężczyźnie, zastosuj poniższy preparat:

Zmieszaj krew z sowy, nietoperza i jakiegokolwiek dzikiego ptaka, w równych proporcjach. Wysmaruj tą miksturą penis przed stosunkiem płciowym. To ci zapewni dożgonną wierność twojej wybranki.

Iszaka mdliło z obrzydzenia. „Ach, ci Hindusi!”, pomyślał. W przypiływie złego humoru kupił tę książkę, uznawszy, że przyda się jako źródło inspiracji w słownych potyczkach z Motu Ćandem.

— Mam jeszcze jedną. O sępach — doradzał sprytny sprzedawca. Ale Iszak nie dał się na to nabrać.

— Ta mi wystarczy — powiedział i pomaszerował dalej.

Zatrzymał się przy stoisku, gdzie w okrągłej wyplatanej klatce leżały skulone, niczym w więziennej celi, jedna przy drugiej, szarozielone, ledwie opierzone, drżące pecynki.

— Ach! — wykrzyknął na ich widok.

Sprzedawca w białej czapce natychmiast wyrobił sobie o nim zdanie, zerknąwszy na tytuł książki, którą Iszak trzymał w ręku, a uznawszy jego okrzyk za przejaw zainteresowania, przystąpił do ataku:

— To nie są zwykłe papugi, huzur, tylko górskie. Jak to mówią angielscy sahibowie: aleksandryjskie. Rzadki gatunek.

Anglicy wynieśli się już przeszło trzy lata temu, ale Iszak powstrzymał się od komentarza.

— Sam to widzę — powiedział tylko.

— Zaraz się domyśliłem, że mam do czynienia z klientem, który zna się na rzeczy — rzekł przymilnie chytry sprzedawca. — A może ten tu ptaszek przypadłby panu do gustu, co? Tylko dwie rupie.

A głos ma jak aniołek.

— Raczej jak anielica — odburknął zimno Iszak.

Sprzedawca natychmiast zmienił taktykę.

— O, proszę mi wybaczyć — zaskomlał służalczo. — Na ogół przychodzą tu same ciemniaki. Nie mają w tej dziedzinie żadnego rozeznania. Niech pan weźmie tego, huzur. Polecam go panu. — Tym razem wziął do ręki papużkę z większą głową, samca. — To wspaniały okaz. Trudno mi się będzie z nim rozstać, ale czego się nie robi dla takich jak pan koneserów.

Iszak przytrzymał ptaka przez chwilę w dłoni, a potem włożył z powrotem do klatki. Sprzedawca potrząsnął głową, a w końcu powiedział:

— Cóż więc jeszcze mogę zaoferować takiemu znawcy jak pan? Może ptaszka z okręgu Rudhii albo też z podnóży Horśany? Są bardziej gadatliwe niż majny.

Iszak odparł po prostu:

— Zaraz. Niech się rozejrzę.

Mężczyzna wyszedł na zaplecze sklepu i otworzył klatkę, w której siedziały stłoczone trzy maleńkie, nieopierzone pisklęta. Iszak oszacował je wzrokiem w milczeniu, a potem zechciał przyjrzeć im się z bliska.

Pomyślał o ogoniastych papużkach, z którymi miał do tej pory do czynienia, i jego twarz rozjaśnił uśmiech. Jedna z nich, należąca do jego ciotki, prawdziwej miłośniczki skrzydlatego bractwa, miała już w tej chwili lat siedemnaście i ciągle chowała się znakomicie.

— Wezmę tę tutaj — powiedział do sprzedawcy. — Tylko bez kantów. Nie muszę już chyba podkreślać, że znam się na cenach.

Targowali się zawzięcie przez jakiś czas. Dopóki pieniądze nie przeszły z rąk do rąk, sprzedawca miał minę naburmuszoną, ale kiedy dobili wreszcie targu i Iszak był już przy wyjściu, mężczyzna powiedział z żalem w głosie:

— Jeśli pan będzie kiedyś tędy przechodził, to proszę wstąpić na minutkę i powiedzieć mi, jak się chowa.

— Jak na ciebie wołają? — zapytał Iszak.

— Muhammad Ismail, huzur. A pańska godność, za pozwoleniem?

— Iszak Chan.

— Toś pan swojak! — rozpromienił się sprzedawca. — Proszę o mnie nie zapominać i zawsze przychodzić do mnie po ptaszki.

— Dobrze — zgodził się Iszak na odczepne i odszedł pospiesznie. Wiedział, że na widok ślicznego ptaszka uraduje się serce Tasnim.

2.15

Po powrocie do domu Iszak zjadł obiad i nakarmił ptaszka odrobiną mąki rozmiękczonej w wodzie. Później, owinąwszy papużkę w chusteczkę do nosa, udał się do mieszkania Saidy Bai. Tryskał radością. Od czasu do czasu popatrywał z dumą na swój zakup, wyliczając w myślach zalety swoich ulubionych ogoniastych papużek Aleksandryjskich. Inteligentne ptaki. A ten — co za wspaniały okaz. Idąc w kierunku Nabigandź, o mało nie zderzył się z dwukołowym wózkiem z owocami.

Około czwartej zjawił się w domu Saidy Bai i powiedział Tasnim, że przyniósł jej coś w prezencie. Ale chciał, żeby zgadła, co to może być.

— Dlaczego się ze mną droczysz, Iszak bhai? — powiedziała, patrząc na niego swoim wielkimi, przepięknymi oczami. — Powiedz mi, co to jest. No, powiedz, proszę.

Iszak przyjrzał się jej i pomyślał, że rzeczywiście można by ją porównać do gazeli. Wysoka, szczupła, o delikatnych rysach, nie przypominała zbytnio swojej starszej siostry. Oczy miała błyszczące i tkliwe. Pełna werwy, robiła wrażenie spłoszonej, jakby zawsze gotowa była do ucieczki.

— A dlaczego z takim uporem zwracasz się do mnie per „bhai”? — zapytał.

— Bo jesteś dla mnie jak rodzony brat — powiedziała Tasnim.

— Żałuję, że nie mam brata. Naprawdę. No i widzisz, to się teraz potwierdza, bo przyniosłeś mi coś w prezencie. Tylko mów szybko, co to jest, bo nie mogę wytrzymać tego napięcia. Czy to coś z biżuterii?

— O, nie... przy twojej urodzie to zupełnie zbyteczne — powiedział Iszak z uśmiechem.

— Cii, nie mów tak — skarciła go Tasnim, marszcząc czoło. — Jeszcze cię Apa usłyszy i dopiero będzie bieda

— Masz. Trzymaj... — Iszak podał jej coś, co wyglądało jak owinięta w chusteczkę mięciutka kuleczka angory.

— Kłębek wełny! Chcesz, żebym ci zaczęła robić na drutach skarpetki, czy co? Ani mi się śni. Znam ciekawsze zajęcia.

— Jakie na przykład?

— No, na przykład... — zaczęła Tasnim, ale potem zamilkła. Przejrzała się skonfundowana w wielkim zwierciadle, które wisiało na ścianie. Co tak naprawdę miała do roboty? Czasami pomagała kucharce, rozmawiała z siostrą, czytała powieści, plotkowała z pokojówką, snuła marzenia na temat swojej przyszłości. Ale zanim zdążyła rozważyć to wszystko gruntownie w myślach, kłębuszek poruszył się i w jej oczach zapaliły się ogniki radości.

— Wiec, jak sama widzisz... — powiedział Iszak — masz teraz mysz.

— Nie zgrywaj się — odparła Tasnim nadąsana. — Przecież widzę, że to ptaszek. Nie jestem naiwnym dzieckiem, jeśli chcesz wiedzieć.

— Pozwolę sobie przypomnieć, że nie jestem tak naprawdę twoim bratem — odciął się Iszak. Odwinał papużkę i oboje przyglądali się jej teraz z bliska. Potem położył ją na stole obok czerwonego fajansowego wazonu. Nieopierzone ciało wyglądało raczej odpychająco.

— Jakie to śliczne — powiedziała Tasnim.

— Kupiłem ją dziś rano. Spędziłem kilka godzin, zanim udało mi się wybrać taką, która nadawałaby się na prezent dla ciebie.

Tasnim popatrzyła znowu na ptaszka, potem wyciągnęła rękę i pogładziła go bardzo delikatnie. Zaczynał dopiero obrastać w pierze — w zielonym odzieniu — ale pomimo to był całkiem mięciutki.

— Papużka?

— Tak. Ale nie taka sobie zwyczajna. Górską papużką. Będzie gadała tak jak majna.

Gadająca majna Mohsiny Bai zdechła zaraz po śmierci swojej pani. Tasnim, przyzwyczajona do ptaszka, przeżyła boleśnie jego stratę. To, że Iszak podarował jej nie drugą majnę, ale inny rodzaj papużki, świadczyło o delikatności jego uczuć, a prezent sprawił jej tym większą przyjemność.

— Jak się nazywa?

Iszak parsknął śmiechem.

— A po co wymyślać jej jakieś imiona? To samiec, więc „on” wystarczy w zupełności. Przecież to nie rasowy koń. Nie trzeba zarażaj nazywać go Bucfałem albo Rachszem.

Przez chwilę oboje stali w milczeniu, przyglądając się pisklęciu, a kiedy wyciągnęli jednocześnie dłonie, żeby je pogłaskać, Tasnim natychmiast cofnęła swoją rękę.

— Masz, pogłaszcz go — powiedział Iszak. — Ja go i tak miałem przez cały dzień.

— A jadł już coś?

— Trochę mąki rozmoczonej w wodzie — powiedział Iszak.

— Skąd oni biorą takie nieopierzone pisklęta? — zastanawiała się głośno Tasnim.

Spotkali się wzrokiem i Iszak, rzuciwszy okiem na żółty szal, który miała zarzucony na głowę, usłyszał swój własny głos, który udzielał odpowiedzi na jej pytanie:

— O, wybiera się je z gniazda za młodu... inaczej nigdy nie nauczyłyby się mówić... Najlepsze są samce... Ten będzie miał kiedyś prześliczny różowoczerwony pierścień wokół szyi... Poza tym samce są dużo zdolniejsze. A najgadatliwsze są te z podnóży gór, wiesz? Były w klatce trzy z tego samego gniazda. Musiałem się porządnie nagłowić, zanim podjąłem decyzję...

— To znaczy, że miał rodzeństwo, ale ich rozdzielono? — weszła mu w słowo Tasnim.

— Nie ma innego wyjścia — odparł Iszak. — Tylko w pojedynkę uczą się imitować ludzką mowę.

— Co za okrucieństwo — powiedziała ze smutkiem Tasnim, a jej oczy zaszczyły łzami.

— Ale przecież ktoś już wyjął go z gniazda, zanim jeszcze ja go kupiłem — bronił się Iszak, zmartwiony, że sprawił jej ból. — Nie można go zanieść z powrotem, rodzice by go nie rozpoznali i wygonili z gniazda. — Położył obie dłonie na jej drobnych rączkach (tym razem nie cofnęła ich od razu) i dorzucił: — Musisz mu to teraz jakoś zrekompensować. Wszystko zależy od ciebie. Wyłóż mu gniazdko ścinkami materiału, w tej klatce, gdzie twoja mama trzymała kiedyś swoją majnę. Jeśli nie będzie się w niej dobrze czuł, przyniosę mu inną. Przez kilka pierwszych dni karm go odrobiną czystej mąki rozmiękczonej w wodzie. Albo zamocz wieczorem szczyptę dalu i niech tak postoi przez całą noc...

Tasnim delikatnie wyciągnęła rączkę spod dłoni Iszaka. Biedna, kochana ptaszyna! W niewoli! Może najwyżej przenieść się z jednej klatki do drugiej. A ona sama, zamknięta w czterech ścianach, też nie zazna nigdy swobody. Starsza o piętnaście lat siostra, kobieta z życiowym doświadczeniem, wyswatają pewnie niezadługo. Wszystko, co ją czeka, to znowu jakieś cztery ściany...

— Szkoda, że nie mogę poszybować w niebo jak ptak... — zaczęła, ale zaraz zamilkła zażenowana.

Iszak popatrzył na nią poważnie.

— I bardzo dobrze, że to niemożliwe, Tasnim. Wyobrażasz sobie, jakie by to było zamieszanie? Policja drogowa i tak ma pełne ręce roboty. Pomyśl tylko o tych strasznych korkach na Ćauk... A co by to było dopiero, gdyby tak wszyscy mogli fruwać, gdzie im się podoba!

Tasnim starała się zachować powagę.

— Ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby ptaki mogły się poruszać tylko na dwóch nogach, tak jak my — ciągnął swoje rozważania Iszak. — Wyobraź sobie, jak by wyglądały, spacerując wieczorem w tę i we w tę po Nabigandź, podpierając się laseczkami.

Tym razem oboje parsknęli śmiechem, zachwyceni tym wymysłem nie z tej ziemi, i zaśmiewali się tak, że łzy spływały im po policzkach. Wreszcie Iszak otarł oczy wierzchem dłoni, a Tasnim osuszyła twarz żółtą dupatą. Ich śmiech rozlegał się echem po całym domu.

Pisklątko siedziało zupełnie bez ruchu na blacie stolika obok czerwonego fajansowego wazonu; tylko małeńka grdyka ruszała się miarowo.

Saida Bai, zbudzona ze snu, weszła do pokoju, popatrzyła na nich ze zdziwieniem i zapytała raczej surowo:

— Co się tu dzieje? Iszak...? Czy nie można się już w tym domu spokojnie po południu zdrzemnąć na chwileczkę?

Potem jej wzrok spoczął na pisklęciu i prychnęła zirytowana:

— O, nie! Nie chcę tutaj żadnego ptaszyska. Już i tak miałam dosyć zachodu z tą nieszczęsną majną mojej matki. — Zamilkła na chwilę, a potem dodała: — Chcecie, żeby mi robił konkurencję, czy co? Pozbądźcie się go. I to natychmiast.

2.16

Nikt się nie odezwał. Wreszcie Saida Bai przerwała milczenie:

— Iszak, a co cię tu sprowadza o tak wczesnej porze?

Iszak popatrzył na nią skruszony. Tasnim spuściła wzrok, tłumiąc szloch.

Papuzka poruszyła się nieśmiało. Saida Bai, przenosząc wzrok z jednego winowajcy na drugiego, zapytała nagle:

— A gdzie jest twoje sarangi, Iszak?

Iszak zorientował się, że zapomniał swojego instrumentu. Zaczerwienił się po uszy.

— Zapomniałem. Myślałem tylko o papuzce.

— I co teraz będzie?

— Oczywiście zaraz je przyniosę...

— Radża Marhu będzie tu dzisiaj wieczorem. Przysłał mi przez gońca wiadomość.

— Już idę. Już mnie nie ma — powiedział Iszak. A potem, popatrując na Tasnim, dorzucił: — Mam zabrać papuzkę?

— Trudno... — powiedziała Saida Bai. — Niech zostanie, skoro już tu jest. Przynies tylko sarangi. I nie przepadnij na cały dzień.

Iszak wyszedł pośpiesznie z mieszkania.

Tasnim, która była bliska łez, popatrzyła na swoją siostrę z wdzięcznością. Jednak Saida Bai była nieobecna myślami. Zamieszanie z papugą wyrwało ją z dziwnego, nieprzyjemnego snu, w którym nawiedziło ją wspomnienie o śmierci matki. Stały jej przed oczami lata własnej młodości i po wyjściu Iszaka opadły ją nagle lęki i wyrzuty sumienia.

Widząc, że jej siostra nagle posmutniała, Tasnim ujęła ją za rękę.

— Co się stało, Apa? — spytała, zwracając się do niej, tak jak zwykle, pieszczotliwie, a zarazem z ogromnym szacunkiem.

Saida Bai rozplakała się i przytuliła do siebie Tasnim. Ucałowała ją w czoło, w policzki i powiedziała:

— Tylko ciebie jedną mam na świecie. Tylko ty się dla mnie liczysz — powiedziała. — Niech cię Bóg ma w swojej opiece... Niech ci się w życiu poszczęści...

Tasnim uściskała ją i zapytała:

— Ale dlaczego płaczesz, Apa? Co ci jest? Dlaczego jesteś taka przygnębiona? Czy myślałaś o grobie Ammi-dżan?

— To nic, to nic — odparła prędko Saida Bai i odwróciła się w drugą stronę. — Idź teraz do pokoju Ammi-dżan i wypoleruj klatkę, która tam dalej

stoi, a potem przynieś ją tutaj. I zamocz trochę ćani ki dalu, żeby ta okruszyna miała coś na później do zjedzenia.

Tasnim poszła najpierw do kuchni. Saida Bai usiadła ciężko, nadal pod wrażeniem sennego koszmaru. Potem wzięła maleńką papużkę w obie ręce, żeby ją ogrzać. W takiej właśnie pozycji zastała ją pokojówka, która przysłała zaanonsować posłańca z domu nawaba sahiba. Czekał pod bramą.

Saida Bai wzięła się w garść. Otarła oczy i powiedziała:

— Niech wejdzie.

Ale na widok przystojnego, uśmiechniętego Firoza, który wszedł, trzymając nonszalancko laseczkę w prawej dłoni, zaparło jej dech w piersiach.

— To pan? — wymamrotała speszona.

— We własnej osobie — odpowiedział Firoz. — Oto koperta, którą przesyła pani mój ojciec.

— Tak późno...? To znaczy... zazwyczaj wysyła kogoś rano... i dlatego się zdziwiłam... — wybąkała niepewnie Saida Bai, starając się zebrać myśli.

— Proszę, niech pan usiądzie.

Do tej pory kopertę doręczał co miesiąc któryś ze służących nawaba sahiba. Tak się złożyło — przypomniała sobie Saida Bai — że ostatnio, dwa razy pod rząd, było to akurat, kiedy skończył się jej okres. I w tym miesiącu też tak wypadło. No proszę.

Z zamyślenia wyrwały ją słowa Firoza:

— Wpadłem akurat na sekretarza mego ojca, który był właśnie w drodze do pani...

— Ach, tak — odparła Saida Bai, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania.

Firoz zastanawiał się, dlaczego jego widok tak bardzo ją zbulwerował. Ileś tam lat temu musiało być coś pomiędzy nawabem sahibem i matką Saidy Bai, a ojciec po prostu nadal wysyłał co miesiąc jakąś drobną sumkę, żeby pomóc rodzinie. Z pewnością nie mogło to jej aż tak wytrącić z równowagi. Potem zorientował się, że musiała już być podenerwowana przed jego przyjściem. Widocznie chodziło o coś innego.

„Przyszedłem nie w porę”, pomyślał i już właśnie zaczął zbierać się do odejścia, kiedy do pokoju weszła Tasnim z mosiężną klatki na ptaki. Na jego widok stanęła jak wryta.

Przyglądali się sobie przez chwilę w milczeniu. Tasnim uznała Firoza za jednego z wielu przystojnych wielbicieli swojej siostry, ale uderzyła ją jego wyjątkowa uroda. Spuściła szybko wzrok, a potem znowu podniosła na niego oczy.

Usta miała na wpół otwarte i stała tam w swojej żółtej dupacie z klatką w prawej dłoni, popatrując na niego oniesmielona. On zaś oniemiały z wrażenia, także nie spuszczał z niej wzroku.

— Czy miałem już zaszczyt kiedyś panią poznać? — spytał prawie szeptem, z bijącym sercem.

Tasnim miała już właśnie zamiar odpowiedzieć na jego pytanie kiedy wtrąciła się Saida Bai:

— Moja siostra nosi parde, kiedy wychodzi z domu. A nawab sahib nigdy przedtem nie zaszczycił moich skromnych progów, więc na pewno nie było okazji do spotkania. Tasnim, odstaw tę klatkę i wracaj do lekcji. Masz do zrobienia kilka ćwiczeń z arabskiego. Jak myślisz, po co opłacam ci nauczyciela?

— Ale... — zaczęła Tasnim.

— Wracaj natychmiast do swojego pokoju. Ja się zajmę ptakiem Zamoczyłaś już dal?

— Ale ja...

— Wracaj, i to natychmiast. Chcesz, żeby ptak umarł z głodu?

Kiedy oszołomiona Tasnim wyszła z pokoju, Firoz gorączkowo starał się pozbierać myśli. Zaszło mu w gardle. Czuł się dziwnie poruszony. „Jeśli

nawet nie spotkaliśmy się nigdy przedtem", myślał, „to na pewno znaleźliśmy się dobrze w jakimś poprzednim wcieleniu". Ta myśl nie dawała mu spokoju, tym bardziej że była sprzeczna z religią, którą wyznawał. Dziewczyna z klątką w dłoni wywarła na nim piorunujące wrażenie.

Wymieniwszy parę grzecznościowych frazesów z Saidą Bai, która słuchała go jednym uchem (i vice versa), wyszedł na zewnątrz.

Przez parę minut Saida Bai siedziała jak przykuta do sofy, nie ruszając się z miejsca, delikatnie kołysząc w dłoni papużkę. Wyglądało, że ptaszek zasnął, więc owinęła go w skrawek materiału, żeby nie zmarzł, i posadziła obok czerwonego fajansowego wazonu. Dobięł ją głos muezina zwołującego wiernych na wieczorną modlitwę, więc nakryła głowę.

W całym kraju, ba!, na całym świecie, od świtu do nocy, gdy słońce sunie ze wschodu na zachód po niebie, ludzie klękają pobożnie do modlitwy na chwałę Allaha. Pięć razy dziennie — przy każdym namazie — schylają się pokornie głowy wiernych na całej kuli ziemskiej. A wszystkie twarze za sprawą magnetycznej nadprzyrodzonej siły kierują się w jedną stronę: ku boskiej siedzibie w Mekce. Saida Bai podniosła się i weszła do pokoju, gdzie odprawiała rytuał ablucji. Tam osunęła się na kolana i rozpoczęła swoją modlitwę:

*W imię Boga Miłosiernego,
Litościwego Chwała Bogu,
Panu Światów, Miłosiernemu,
Litościwemu, Królowi Dnia Sądu.
Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.
Prowadź nas drogą prostą
drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami,
nie zaś tych, na których jesteś zagniewany,
i nie tych, którzy błądzą*².*

² * *Koran, Sura I Otwierająca (Al-Fatiha)*, tłum. Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

Modliła się gorliwie na klęczkach, a potem leżąc twarzą do ziemi na podłodze, ale jedna natrętna myśl, werset ze Świętej Księgi, nie dawał jej tego dnia spokoju:

Bóg zna to, co utrzymujecie w tajemnicy

i to, co głosicie jawnie^{*3}.

2.17

Służąca Saidy Bai, Bibbo, bardzo ładna dziewczyna, wyczuwając przygnębienie swojej pani, chciała ją jakoś rozweselić, więc zaczęła paplać o radży Marhu, który miał przyjść z wizytą tego wieczoru. Ale był to pomysł chybiony, gdyż rozmowa o radży nie sprawiała Saidzie Bai przyjemności. Ten potężny kolos, tyran i zwyrodnialec, który polował z zamiłowaniem na tygrysy, miał dziwaczne zchcianki seksualne, pomimo iż szczycił się ostatnio mianem budowniczego świątyni. Przyjechał właśnie, żeby położyć kamień węgielny pod świątynię *Siwy*, której był zarazem projektodawcą i fundatorem. Świątynia miała stanąć w centrum starej dzielnicy, tuż obok wielkiego meczetu wzniesionego z rozkazu cesarza Aurangzeba dwa i pół wieku temu na ruinach wcześniejszej świątyni Siwy. Gdyby to zależało od radży Marhu, fundamenty jgo świątyni stanęłyby na gruzach samego meczetu.

Biorąc pod uwagę jego rodowód, aż dziw, że kilka lat temu zaproponował Saidzie Bai — muzułmance — małżeństwo, nie żądając nawet, żeby wyrzekała się swoich religijnych przekonań. Po prostu zupełnie stracił dla niej głowę. Ale ją myśl o małżeństwie z tym człowiekiem napawała takim obrzydzeniem, że postawiła mu warunki nie do przyjęcia. Wszyscy potencjalni spadkobiercy jego pierwszej żony mieliby zostać wydziedziczeni, a tytuł radży i

³ * *Koran, Sura I Otwierająca...*, op.cit.

cały Marh miałyby przypaść w udziale najstarszemu synowi Saidy zrodzonemu (ewentualnie) z tego związku. Saida Bai postawiła radży takie żądania, pomimo iż zarówno rani Marhu, jak i dowager rani odnosiły się do niej bardzo serdecznie, kiedy — na zlecenie radży — przyjechała do jego posiadłości, by koncertować podczas uroczystości weselnych jego siostry. Lubiała obie rani i spodziewała się, że Jej żądania zostaną odrzucone. Stało się jednak inaczej. Cieleśne tądze wzięły górę nad rozumem i radża zgodził się na wszystkie postawione warunki. Z tej matni Saida Bai wydobyła się tylko dzięki pomocy usłużnych lekarzy, którzy zaświadczyli, że jest ciężko chora i że przeprowadzka z Brahmpuru do Marhu z całą pewnością by ją zabiła.

Przez pewien czas radża, który wyglądem przypominał ciężkiego bawołu, zionął nienawiścią i żądzą krwawego odwetu. Węszył podstęp i wpadł w dziłki, pijacki szal. Nosił się z zamiarem wynajęcia płatnych morderców, żeby pozbyć się Saidy Bai. Powstrzymywała go tylko świadomość, że gdyby Brytyjczycy odkryli kiedykolwiek prawdę, usunęliby go natychmiast ze stanowiska. Taki los spotkał Już niejednego radżę, a nawet maharadżę, zaplątanego w podobne skandale i zabójstwa.

Bibbo nie znała dokładnie całej sprawy, obito się jej tylko kiedyś o uszy, że ileś tam lat temu radża oświadczył się swojej kochance. Kiedy zjawiała się przed nią pokojówka, Saida Bai przemawiała właśnie do pisklęcia, gdyż uważała, że im wcześniej zaczyna się taki trening, tym lepsze później są rezultaty.

— Czy przygotować coś jeszcze w związku z przyjazdem radży, sahiba? — zapytała Bibbo.

— A po co? Nie ma żadnej potrzeby — powiedziała Saida Bai.

— A może przynieść girlandę z nagietków...

— Bibbo! Czyś ty oszalała?

— No, żeby miał dla siebie na paszę.

Saida Bai nie potrafiła ukryć uśmiechu, Bibbo zaś przekomarzała się z nią dalej:

— Kiedy przeprowadzamy się do Marhu, rani sahiba?

— O, naprawdę... zamknij się wreszcie.

— Dla władzy...

— Władze są w Delhi. Stamtąd zarządza się całym krajem — powiedziała Saida Bai. — Posłuchaj mnie, Bibbo: nie poślubiałabym korony, tylko bawołu, który ją nosi. Idź już sobie. Przerwałaś nam lekcję. Przez ciebie papużka będzie miała zaległości w nauce.

A kiedy pokojówka zaczęła zbierać się do wyjścia, dodała jeszcze

— Aha, przynieś mi trochę cukru i sprawdź, czy dał, który zamoczyłaś wcześniej, jest już miękki. Pewnie jeszcze nie.

Po wyjściu Bibbo Saida Bai powróciła do przerwanej lekcji przemawiając łagodnie do papużki, która siedziała skulona w małym, czystym gniazdku wyściełanym skrawkami materiału w mosiężnej klatce należącej niegdyś do majny Mohsiny Bai.

— Musisz nauczyć się zawczasu dobrych manier, Mijan Mitthu — zwróciła się Saida Bai ze smutkiem do papużki — albo źle się to dla ciebie skończy. Nie chcę drugiego takiego ptaszyska jak ta wulgarna majna. Jak to mówią: żeby zostać mistrzem kaligrafii trzeba wpierw przyswoić sobie dobrze alif-be-pe-te. No i co? Będziesz się starać? — Jak było do przewidzenia, mała nieopierzona kuleczka pozostawiła jej pytanie bez odpowiedzi. — A teraz przyjrzyj mi się — ciągnęła Saida Bai. — Nadal czuję się młoda, chociaż przyznaję, że z tobą nie mogłabym iść pod tym względem w zawody; Siedzę w domu i czekam na tego obleśnego typa, który ma już grubo po pięćdziesiątce, beka i dłubie w nosie, i który przylezie tu dziś wieczorem zalany w sztok. A do tego zażąda, żebym śpiewała mu romantyczne pieśni miłosne. Wszyscy myślą, że jestem uosobieniem namiętności, Mijan Mitthu, ale tak naprawdę nigdy nie zaznałam prawdziwego szczęścia. Nie mogę powiedzieć, żeby staruchy, którym skóra na policzkach zwisa grubymi fałdami jak u tych byków, co włóczą się stadami po Ćauk, wydawały mi się szczególnie pociągające.

Papużka otworzyła leciutko dziobek.

— Mijan Mitthu — powiedziała Saida Bai.

Papużka wstrząsnęła się, kręcąc nieproporcjonalnie dużą główką.

— Mijan Mitthu — powtórzyła Saida Bai, mając nadzieję, że sylaby te wyryją się papużce w pamięci.

Papużka zamknęła dziobek.

— Dlaczego to ja zawsze muszę kogoś zabawiać? — pożałowała się Saida Bai. — Wolałabym, żeby znalazł się wreszcie ktoś, kto rozproszy mój smutek, kto mnie rozweseli. Ktoś młody i przystojny. — Uśmiechnęła się na myśl o Manie. — Co ty na to, ptaszyno Mijan Mitthu? — zwierzała się dalej Saida Bai. — Oj, przepraszam, przecież nie miałaś jeszcze okazji poznać Da-gha sahiba. Wprowadziłaś się tu dopiero dzisiaj. Musisz być głodny, mój ma-leńki. Pewnie dlatego milczysz tak uparcie. To zupełnie zrozumiałe: nie da się śpiewać bhadżanów z pustym żołądkiem. Przepraszam, że w tym lokalu obsługa jest taka powolna, ale Bibbo to taki roztrzepany, postrzelony trzpiot.

Tymczasem Bibbo zjawiała się właśnie z karmą dla ptaka.

Doświadczona kucharka zdecydowała, że nie wystarczy po prostu zamoczyć kilku ździebełek dalu; trzeba go jeszcze zagotować i ostudzić. Weszła teraz do pokoju razem z Bibbo, żeby zobaczyć, jak wygląda ten jej nowy podopieczny.

Przyszedł również Iszak Chan ze swoim sarangi, starając się opanować zmieszanie, a za nim Motu Ćand, którego serce z miejsca podbiło nieopierzona pisklątko.

Następnie dołączyła do nich również Tasnim. Odłożyła powieść, w której była zaczytana, podeszła do papużki i kilka razy powtórzyła słodko: „Mijan Mitthu, Mijan Mitthu”, co sprawiło Iszakowi nieopisaną radość. Dobrze, że przynajmniej ptaszek od niego był jej tak drogi.

Aż wreszcie zaanonsowano przybycie radży Marhu.

2.18

Wkraczając do mieszkania Saidy Bai, Jego Wysokość radża Marhu był mniej pijany niż zazwyczaj, ale szybko nadrobił zaległości. Przyniósł ze sobą butelkę swojej ulubionej whisky Black Dog. To natychmiast przypomniało

Saidzie Bai o jego prostactwie i rozpasaniu, które napawały ją obrzydzeniem: podniecał się mianowicie ogromnie na widok kopulujących psów*. Podczas pobytu Saidy Bai w Marhu dwa razy kazał psom pokryć sukę w okresie ciecзки. Było to preludium do jego własnych wyczynów seksualnych: zaraz potem wwalił się całym ciężarem swego spasionego cielska na Saidę Bai.

Było to parę lat przed wyzwoleniem. Saida Bai nie mogła się wtedy jeszcze wyrwać od razu z Marhu, pomimo wstrętu jaki czuła do tego zdegenerowanego despoty. Na własnych włościach radża, temperowany w swoich zapędach tylko przez zde gustowanych, oburzonych, ale jednocześnie bardzo dyplomatycznych brytyjskich rezydentów, miał pełnię władzy.

W czasach studenckich w Brahmपुरze radża cieszył się w swoim środowisku nawet całkiem dobrą opinią; stoczył się dopiero po powrocie do Marhu. Teraz z kolei jego syn, którego starały się uchronić przed podobną moralną degrengoladą rani i dowager rani, studiował na Uniwersytecie Brahmपुरskim. Ale i on zapewne, wyrwawszy się spod opiekuńczych matczynych skrzydeł i zakosztowawszy pełnej swobody w rodzinnym feudalnym Marhu, wyrośnie na brutalnego tępaka, gnuśnego rozpustnika i niegodziwego gru-bianina.

W czasie swego pobytu w stolicy Parwa Pradeś ojciec nie widywał się w ogóle z synem, odwiedzał natomiast regularnie miejscowe kurtyzany i prostytutki. Dzisiaj ponownie przyszła kolej na Saidę Bai. Radża wtoczył się do mieszkania wystrojony, w atłasowym turbanie, z rubinami i brylantami w uszach, wnosząc ze sobą zapach piżma. Z miejsca rzucił na stół, który stał przy drzwiach w pokoju na górze (gdzie Saida Bai zabawiała swoich klientów), maleńki jedwabny woreczek z zapłatą w wysokości pięciuset rupii. Wy-

* *Black Dog* (dog) — czarna pies
ciągnął się na białym materiale rozłożonym na podłodze, oparł łokciem na wałku i rozejrzał za szkłem. Z otwartej butelki do kieliszków, które stały na niskim stolyczku obok tabli i fisharmonii, nalano whisky. Muzycy pozostali na parterze.

— Od dawna już nie widziały cię moje oczy, panie — powiedziała Saida Bai, sącząc gorzką whisky, która wcale jej nie smakowała (nie dając jednak tego po sobie poznać).

Radża, zajęty piciem, nie raczył odpowiedzieć choćby zdawkową formułką grzecznościową.

— Nie łatwiej cię dziś zobaczyć niż księżyc w czasie Idu.

I ten żart radża zbył ponurym burknięciem. Dopiero po paru kieliszkach rozruszał się, zaczął sypać komplementami, a potem popchnął ją brutalnie, bez dalszych ceregieli, ku drzwiom, które wiodły do sypialni.

Wyszli stamtąd po półgodzinie i dopiero wtedy zawezwano muzyków. Widać było, że Saida Bai czuje się osłabiona.

Radża kazał jej śpiewać dobrze sobie znane gazele, a ona potrafiła rutynowo tak modulować swój głos, że rozdzierające melodie brzmiały nie inaczej niż w każdym poprzednim wykonaniu. Nerwowo obracała w dłoni swój kieliszek. Tymczasem radża opróżnił już trzecią butelkę whisky, a oczy poczerwieniały mu z przepicia. Od czasu do czasu pokrzykiwał: „wah! wah!”, „brawo! brawo!”, klaskał, przytupywał, charczał albo po prostu gapił się na Saidę Bai z otwartymi ustami, drapiąc się jednocześnie w kroczo.

2.19

Podczas gdy na piętrze odbywał się koncert gazeli, Man był właśnie w drodze do Saidy Bai, ale z ulicy nie słyszał ani rozmów, ani dźwięków muzyki. Powiedział strażnikowi, że chciałby zobaczyć się z Saidą Bai, na co tamten skłamał bez zmrużenia oka, że jest niedysponowana.

— O! — zmartwił się szczerze Man. — Wobec tego proszę mnie zaraz wpuścić. Może jej czegoś potrzeba? Może trzeba będzie posłać po lekarza.

— Begam sahiba nikogo dzisiaj nie przyjmuje.

— Ale ja przyniosłem jej coś w podarunku — powiedział Man.

W lewej dłoni trzymał grubą księgę. Prawą rękę włożył do kieszeni i wyciągnął portfel. — Proszę, dopilnuj, żeby to do niej na pewno dotarło.

— Dopilnuję, huzur — zapewnił go strażnik, ściskając w dłoni pięciopięciowy banknot.

— No, to... — powiedział Man i, zerknąwszy raz jeszcze z żalem na różowy budynek, oddalił się niechętnie, powłócząc nogami.

Parę minut później strażnik wręczył B ibbo książkę przy drzwiach frontowych mieszkania.

— Prezent dla mnie? — zapytała Bibbo zalotnie.

Strażnik spojrział na nią tak lodowato, że odechciało się jej żartów.

— Nie. Powiedz begam sahibie, że to od tego młodego człowieka, co był tutaj parę dni temu.

— Tego, przez którego tak ci się dostało od begam sahiby?

— Akurat mi się dostało — odburknął strażnik obojętnie, odwrócił się i już za chwilę znowu stał na swoim posterunku przy bramie.

Bibbo zachichotała i zamknęła za nim drzwi. Przez jakiś czas wertowała kartki grubej księgi. Było to przepiękne albumowe wydanie, gdzie oprócz tekstu było mnóstwo ilustracji, na których widniały postaci kobiet i mężczyzn o rozmarzonych spojrzeniach, na tle romantycznych krajobrazów. Jedna z reprodukcji chwyciła ją szczególnie za serce. Był to wizerunek kobiety w czarnej sukni, klęczącej przy grobie. Oczy miała zamknięte, a za jej plecami, w tle, za wysokim murem, niebo usiane było gwiazdami. Na pierwszym planie sterczało krzywe, karłowate, bezlistne drzewko, które oplatało korzeniami wielkie głązy. Bibbo stała przez chwilę w zamyśleniu, a potem, zapomniawszy zupełnie o radży Marhu, zamknęła książkę i zaniósła ją Saidzie Bai na górę.

Niczym iskra po przyciętym lonce książka przeszła od bramy do drzwi wejściowych, przez korytarz, schodami na górę, wzdłuż galerii, aż do pokoju, gdzie Saida Bai zabawiała radżę. Na jego widok Bibbo zrobiła w tył zwrot, ale zanim zdołała wycofać się cichaczem z galerii, Saida Bai zauważyła ją, przerwała melodię i powiedziała:

— No, co tam, Bibbo? O co chodzi? Możesz wejść.

— Nie, nie, Saida begam. Przyjdę później.

— I co jest z tą dziewczyną? Najpierw przerywa mi, a potem: „Nie, nie, Saida begam. Przyjdę później”. Co tam trzymasz w ręku?

— Nic, Saida sahiba.

— Pokaż, co to za „nic” — powiedziała Saida Bai.

Bibbo weszła przerażona, wykrztusiła z siebie „salam” i wręczyła jej książkę. Na okładce złotymi literami na brązowym tle napisane było w urdu: *Utwory poetyckie Ghaliba. Album dzieł Chughtaia*.

Nie było to zwykle wydanie tomiku wierszy Ghaliba. Zaintrygowana Saida Bai otworzyła album. Przerzuciła parę kartek. Książka zawierała krótkie słowo wstępne, esej pióra artysty malarza Chughtaia, pełny zbiór poezji Ghaliba oraz krótką notę w języku angielskim; każdy wiersz był przy tym zilustrowany reprodukcją któregoś z najwspanialszych obrazów szkoły perskiej. „Ten tekst na ostatniej stronie to pewnie wstęp”, pomyślała Saida Bai, którą bardzo bawiło to, że angielskie książki czytało się zawsze od końca.

Zachwycona prześlicznie wydanym albumem położyła go na fisharmonii i zaczęła przeglądać ilustracje.

— Kto to przysłał? — zapytała, kiedy zauważyła, że nie ma dedykacji. Z radości zapomniała zupełnie o radży, który kipiał ze złości i zazdrości.

Bibbo rozejrzała się bezradnie po pokoju, szukając inspiracji, i wreszcie powiedziała wymijająco:

— Strażnik doręczył...

Wyczuwała wściekłość radży, lękała się jego gniewu i nie chciała, żeby jej pani zdradziła się gestem lub spojrzeniem, jaką sympatią darzy ofiarodawcę. Dlatego też nie chciała ujawnić jego nazwiska. Poza tym wiedziała dobrze, że mściwy radża szukałby odwetu, a Bibbo, chociaż psotna i figlarna, nie życzyła źle Manowi. Przeciwnie, prawdę mówiąc, sprzyjała mu z całego serca.

Tymczasem Saida Bai, pochylona nad książką, wpatrywała się w jeden z obrazów przedstawiający staruszkę, młodą dziewczynę i chłopaka, którzy modlili się przy oknie o zachodzie słońca, podczas gdy na niebo wzeszedł już sierp księżycy.

— Domyślam się — powiedziała teraz. — Ale kto ją przysłał? — Podniosła wzrok na Bibbo i zmarszczyła brwi.

Przyparta do muru Bibbo szukała sposobu, żeby zasugerować jakoś swojej pani imię ofiarodawcy, nie ujawniając przy tym przed radżą jego tożsamości.

Za plecami kolosa wskazała plamkę na macie, tam gdzie radża rozlał trochę whisky. Głośno zaś powiedziała:

— Nie wiem. Nie przedstawił się. Czy mogę odejść?

— Idź, idź... Co za kretynka... — powiedziała Saida Bai, zniecierpliwiona wykrętami pokojówki.

Ale radży Marhu tego było już za wiele. Nie po to płacił, żeby mu tak bezczelnie przerywano dobrą zabawę. Fuknął gniewnie i pochylił się wprzód, żeby wyrwać Saidzie Bai książkę z ręki. Gdyby nie uchyliła się gwałtownie w ostatniej chwili, dopiąłby swego.

Sapiąc ze złości, warknął na nią:

— Kto ci to dał? Jak się nazywa? Zapłaci mi jeszcze za to! Drogo mi za to zapłaci! I co? Czy ta wystawa dzieł sztuki miała być dzisiaj w programie?

— Nie, nie — zapewniła go Saida Bai. — Przepraszam za ten nietakt. Proszę wybaczyć tej głupiej dziewczynie. To prostytutka. Ona nie ma rozeznania, co wypada, a co nie wypada. Nie zna etykiety... — A potem, żeby go jakoś udobruchać, dodała jeszcze:

— Ale spójrz tylko, panie, na ten obraz. Czy to nie piękne... ? Te ręce wzniesione w modlitwie... ten zachód słońca... biała kopuła i minaret meczetu...

Trafiła fatalnie. Na te słowa, sapiąc i fukając ze złości, radża wydarł kartkę z ilustracją, którą mu pokazywała. Saida Bai zamarła w bezruchu z przerażenia.

— Grać! — ryknął radża w stronę Motu i Iszaka. A do Saidy Bai wycedził z nienawiścią, potrząsając pięścią: — Śpiewaj! Skończ tamtego gazela...! Albo nie! Zaczynaj od nowa. I nie zapominaj, kogo masz zabawiać dziś wieczór.

Saida Bai włożyła podartą kartkę do środka, zamknęła album i usiadła przy fisharmonii. Potem, przymknąwszy oczy, zaczęła znowu śpiewać pieśni miłosne. Jej głos drżał i nie wkładała wcale serca w ich wykonanie. Myślała o czym innym. Wszystko się w niej gotowało i zbierało się jej na płacz. Gdyby mogła, rozszarpałaby radżę gołymi rękami; chlusnęłaby mu whisky prosto w te wylupiaсте gały, rozharatała mu ten wstrętny pysk i wyrzuciła za drzwi. Była jednak mądra, przezorna, zbyt doświadczona życiowo, żeby zdobyć się na

tak szaleńczy wybryk. Wiedziała, że jest bezsilna wobec jego chamstwa. Żeby oderwać się od tych myśli, zaczęła zastanawiać się nad pantomimą Bibbo. Co mogły oznaczać te jej gesty?

„Whisky? Trunek? Podłoga? Materiał?” — pytała sama siebie.

I nagle doznała olśnienia. „Dagh”! To znaczy plama! O to chodziło sprytniej Bibbo! Teraz śpiewały już nie tylko usta, ale i dusza Saidy Bai. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się, popatrując na plamę od whisky. „Jakby tu naszczał czarny pies”, pomyślała z obrzydzeniem. Bystra dziewczyna! Trzeba ją będzie koniecznie jakoś wynagrodzić”.

Pomyślała o Manie. Był to jedyny mężczyzna całkowicie jej powolny i który w dodatku bardzo się jej podobał. A może obeszła się z nim zbyt obcesowo... ? Może zachowywała się zbyt wyniośle, za bardzo na dystans, zauważywszy jego zadurzenie.

Śpiewała teraz z takim żarem, że wprawiła w zdumienie obu swoich akompaniatorów: Iszaka Chana i Motu Ćanda.

Skutek tego był jednak i taki, że słodkie dźwięki uspiły wreszcie radzę ordynusa i już za chwilę rozległo się jego głośne chrapanie.

2.20

Następnego wieczoru czekała Mana przyjemna niespodzianka. Kiedy przyszedł dowiedzieć się o zdrowie Saidy Bai, usłyszał od strażnika, że może wejść na górę. Wedle życzenia begam sahiby. Man był tym bardziej mile zaskoczony, że nie uprzedził jej o swojej wizycie.

Korytarzem dotarł do schodów wiodących na piętro i przystanął na szczycie, żeby przejrzeć się w lustrze. Z zadowoleniem wystawił sobie bardzo pozytywną ocenę i półgłosem pozdrowił swoje odbicie: „*Adab arz, Dagħ sahib*”. Złożył też sobie uszanowanie, przykładając do czoła zwiniętą dłoń. Ubrany był jak zwykle nienagannie w wykrochmaloną kurte-padżamę, a na głowie miał tę samą czapkę, która wcześniej przyciągnęła uwagę Saidy Bai.

Kiedy znalazł się na galerii nad obszernym holem, zatrzymał się. Nic nie maćilo ciszy: ani dźwięki muzyki, ani ludzkie głosy. Z tego wniosek, że Saida Bai będzie sama. To dobry znak. Serce zabiło mu mocniej w piersi w oczekiwaniu na dalsze miłe niespodzianki.

Widocznie usłyszała jego kroki, bo odłożyła książkę, którą czytała. Sądząc po okładce, była to jakaś powieść, raczej niezbyt gruba. Podniosła się na przywitanie.

Kiedy stanął w drzwiach, powiedziała:

— Dagh sahib, Dagh sahib! I po cóż te prezenty? Naprawdę, nie trzeba...

Man zauważył, że wyglądała na zmęczoną. Miała na sobie to samo czerwone atlasowe sari, w które ubrana była w Prem Niwas. Uśmiechnął się i powiedział:

— Każdy przedmiot ma na tej ziemi sobie tylko należne miejsce. Książka zawsze stara się trafić do rąk prawdziwego konesera, niczym bezradna ćma, która ciągnie do światła świecy i ginie w jego blasku.

— Tak, Man sahib, ale książki wybiera się zawsze starannie. Książki się szanuje — powiedziała Saida Bai, pomijając jego grzecznościową, a jednocześnie pełną galanterii uwagę i zwracając się do niego czule po imieniu. I znowu niespodzianka. Nigdy przedtem nie pozwalała sobie na taką poufałość.

— Miał pan pewnie tę książkę u siebie w bibliotece przez całe lata. Nie powinien się pan z nią rozstawać.

Man rzeczywiście miał tę książkę u siebie w bibliotece, ale nie w Brahm-purze, tylko w Benaresie. Kiedy sobie o niej przypomniał, pomyślał natychmiast o Saidzie Bai i po jakimś czasie znalazł wreszcie używany egzemplarz, w doskonałym stanie, u antykwariusza na Ćauk. Ale z radości, że zwróciła się do niego tak pieszczotliwie, nie wyjaśnił jej tego, tylko powiedział:

— Ja nie potrafię przeczytać nawet tych wierszy, które umiem na pamięć. Nie znam języka urdu. Ale czy pani się one podobały?

— Ogromnie — powiedziała Saida, zniżając głos. — Na ogół dostaję w prezencie biżuterię, różne błyskotki, ale pański podarunek uradował moje serce i oczy. Ale dlaczego stoimy? Proszę usiąść.

Man usiadł. W pokoju unosił się delikatny aromat róż, podobnie jak w czasie jego poprzedniej wizyty, ale tym razem pomieszany z wonią piżma, co pobudziło go seksualnie. Zakręciło mu się w głowie.

— Czy napiłby się pan może whisky, Dagh sahib? — zapytała Saida Bai. — Przepraszam, ale w tej chwili mamy w domu tylko ten jeden gatunek — dodała, wskazując na niepełną butelkę Black Doga.

— Ależ to świetna whisky, Saida begam — zapewnił ją Man.

— Już od pewnego czasu nie kupujemy nic innego — odparła, podając mu kieliszek.

Przez jakiś czas Man siedział w milczeniu, podparty na długim, okrągłym wałku, popijając whisky. Potem powiedział:

— Często zastanawiałem się nad treścią wierszy, z których Chughtai czerpał inspirację do swoich malowideł, ale nie znałem nikogo, kto by mi je mógł przeczytać. Jest na przykład taki obraz, który zawsze mnie bardzo intrygował. Mogę go opisać z zamkniętymi oczami. Jest to pejzaż w tonacji brązowopomarańczowej, z wynurzającym się z wody uschniętym drzewem na pierwszym planie. W tle widać unoszący się na powierzchni wody kwiat lotosu, a na nim maleńką, dymiącą lampkę oliwną. Wie pani, który to? Gdzieś na samym początku książki. Na ochronnej bibułce jest jedno jedyne słowo: „Życie!” Jedno jedyne słowo po angielsku, a pod spodem cały wiersz w urdu. Dziwne. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciała mi go pani przeczytać i przetłumaczyć.

Saida sięgnęła po książkę. Usiadła po jego lewej stronie i przeglądając wspinała się strona po stronie, prosiła Boga, żeby Man nie natknął się na podartą kartkę, którą posklejała pieczołowicie poprzedniego wieczoru. Angielskie podpisy były rzeczywiście dziwnie zwięzłe. Rzuciwszy okiem na „Zukochanym”, „Po brzegi” i „Daremne czuwanie”, Man dotarł wreszcie do obrazu zatytułowanego „Życie!”

— To ten — powiedział, wskazując na niego palcem i oboje z Saidą Bai pochylili się nad zagadkowym malowidłem. — Motyw lampy często pojawia się w twórczości Ghaliba. Ciekaw jestem, który to z jego wierszy.

Saida Bai uniosła ochronną bibułę zakrywającą obraz i ich dłonie spotkały się na chwilę. Z lekkim, ledwie dosłyszalnym westchnieniem Saida Bai przebiegła wzrokiem po tekście w urdu, a potem przeczytała na głos:

*Czas pędzi co koń wyskoczy,
nie ściągając lejców.
Gdzież jest kres tej podróży?*

Man parsknął śmiechem.

— No tak! — powiedział. — Dostałem dobrą nauczkę: nigdy nie należy wyciągać pochopnych wniosków na podstawie nie sprawdzonych domysłów.

Przeczytali jeszcze parę innych wierszy, a potem Saida Bai powiedziała:

— Kiedy przeglądałam ten album dzisiaj rano, cały czas nurtowało mnie jedno pytanie: o czym jest ten angielski tekst na samym końcu książki.

„Na samym początku, z mojego punktu widzenia”, pomyślał Man z uśmiechem na twarzy. Głośno zaś powiedział:

— To pewnie tłumaczenie tej noty w urdu po drugiej stronie. Ale może sami powinniśmy się przekonać?

— Dobra myśl — powiedziała Saida Bai. — Ale wobec tego zamieńmy się może miejscami. Proszę się przesiąść z tej strony, po mojej lewej ręce. W ten sposób łatwiej będzie panu czytać tekst angielski, a mnie — tłumaczenie w urdu. Każde z nas będzie miało zatem prywatnego korepetytora — dodała z lekkim uśmiechem.

Bliskość Saidu Bai, chociaż tak upragniona, przedstawiała dla Mana nie-mały problem. Od kilku dobrych minut był bardzo podniecony seksualnie i teraz, zanim podniósł się ze swojego miejsca, musiał poprawić ubranie, żeby to jakoś ukryć. Ale kiedy siadał z powrotem, odniósł wrażenie, że Saida Bai musiała to zauważyć i że bardzo ją to rozbawiło. „Prawdziwy z niej sitam-zarif”, pomyślał. „Śmieje się! Tyran! Okrutnica”.

— A więc, ustad sahib, do roboty! Czas na pierwszą lekcję — powiedziała, unosząc lekko brwi.

— Dobrze — odparł Man, nie patrząc na nią, ale świadom bliskości jej ciała. — Pierwszy esej po angielsku to szkic o malarstwie Chunghtaia, pióra niejakiego Jamesa Cousinsa.

— O! — powiedziała Saida Bai. — A tekst w urdu to przedmowa, w której sam artysta wyjaśnia, jak doszło do powstania tej książki.

— Potem jest jeszcze słowo wstępne — ciągnął Man — autorstwa poety Iqbal, które odnosi się do całej książki.

— Naprawdę? A u mnie — powiedziała Saida Bai — jest długi artykuł krytyczny, znowu napisany przez samego Chughtaia. Coś w rodzaju manifestu artystycznego.

— No właśnie... Zapomniałem już, o czym pisał w swoim słowie wstępnym Iqbal — ożywił się Man, zaabsorbowany lekturą książki. — Co za puste frazesy. I co za megalomania! Więcej się rozwodzi na temat własnego dorobku literackiego niż na temat twórczości Chughtaia. Wzmiankuje tylko protekcjonalnie, że to taki młody i utalentowany artysta, a poza tym bez przerwy odsyła czytelnika do swoich poprzednich publikacji. „Tupowiedziałem to, a tam powiedziałem tamto”. To wręcz żenujące!

Zamilkł oburzony.

— Dagh sahib — powiedziała Saida Bai. — Za bardzo się pan roznamiętnia.

Man zerknął na nią zaskoczony taką odważną aluzją. „Śmiało sobie poczyna”, pomyślał, przekonany, że w środku dusiła się ze śmiechu.

— Może sentymentalny gazel zdoła ostudzić nieco pańskie podniecenie — podkpiwała sobie dalej Saida Bai.

— Może. Spróbować nie zaszkodzi. Zobaczmy, jak to na mnie podziała — powiedział Man, przypominając sobie, co powiedziała mu kiedyś o gazelach.

— Wobec tego przywołam moich muzyków — zaproponowała Saida Bai.

— Nie — powiedział Man, chwytając ją za rękę. — Tylko my dwoje i fisharmonia. To wystarczy w zupełności.

— Przydałaby się nam przynajmniej tabla.

— Moje serce będzie wybijać nam rytm — powiedział Man.

Saida Bai skinęła leciutko głową na znak zgody, a Man miał wrażenie, że serce wyrwie mu się zaraz z piersi.

— Czy mógłby pan z łaski swojej podać mi fisharmonię? — poprosiła chytrze.

Man odchrząknął zażenowany, ale nie ruszył się z miejsca.

— Kieliszek ma pan zupełnie pusty — zauważyła jeszcze Saida Bai.

Tym razem Man przewyciężył się, wstał, sięgnął po fisharmonię i nalał sobie kolejnego drinka. Saida Bai zanuciła coś cicho sama do siebie i powiedziała:

— Dobrze. Już wiem, co zaśpiewam.
Zaczęła od enigmatycznej strofy:

*Gdzie czerwone plamy tulipanów płoną jak światła lamp
Bezcenne jest każde ziarnko piasku w ogrodzie — żyzny pył.*

Przy słowie „dagh” Saida Bai zerknęła na Mana z rozbawieniem. Następny dwuwiersz nie zawierał żadnych aluzji, ale trzeci znowu był celowo dobrany:

*Sercowe rozterki słowika budzą w wonnej róży śmiech,
Szaleństwem jest miłość. Szaleństwem nasz romans był.*

Chyba widać było jego zmieszanie, ponieważ Saida Bai, popatrując na niego filuternie, odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się wesoło i perliście. Jej biała, gładka szyja była teraz odkryta i Man, niepewny czy śmiała się z niego, czy do niego, kompletnie się zapomniał. Bez zastanowienia pochylił się w przód i, odsuwając fisharmonię, która stała na zawadzie, pocałował ją w kark, a ona, w odurzeniu, oddawała mu chciwie pocałunki.

— Nie teraz, nie teraz, Dagh sahib — wyszeptała zadyszana.

— Teraz... teraz... — nalegał Man.

— Lepiej przejdźmy do drugiego pokoju — powiedziała Saida Bai. — Znowu musiałam przez pana przerwać gazela.

— Znowu? Jak to znowu? A kiedy jeszcze tak się stało? — dopytywał się Man.

— Odpowiem innym razem — rzekła wykrętnie Saida Bai i pociągnęła go za sobą do sypialni.

LR

CZĘŚĆ TRZECIA

3.1

W domu Prana w niedzielę siadano do śniadania zazwyczaj nieco później niż w dni powszednie. Przyniesiono właśnie „Brahmpur Chronicle” i Pran wsadził nos w dodatek niedzielny. Sawita usiadła obok niego, chrupiąc swoją grzanekę, a drugą smarując masłem dla męża. Do pokoju wkroczyła Mrs Rupa Mehra i zapytała wyraźnie zaniepokojona:

— Nie widzieliście gdzieś przypadkiem Laty?

Pran znad gazety potrząsnął przecząco głową.

— Nie, mamó — odparła Sawita.

— Chyba nic się jej nie mogło stać? — powiedziała Mrs Rupa Mehra, jakby tym pytaniem pragnęła rozwiać swoje obawy. Rzuciła okiem na zastawiony stół i zwróciła się ostro do Matina: — A gdzie moja przyprawa korzenna? Znowu o mnie zapomniałeś! Jak zwykle! Nikt się tu ze mną nie liczy, w tym domu...

— A co by się jej mogło stać tutaj u nas, w Brahmpurze, mamó? — odezwał się Pran. — To nie Kalkuta.

— A właśnie, że w Kalkucie jest bardzo bezpiecznie — zaproponowała energicznie Mrs Rupa Mehra. Zabolęła ją krytyka miasta, w którym wzrastała jej jedyna, ukochana wnusia. — Pomimo że to takie ogromne skupisko ludzi, nawet młoda dziewczyna może spokojnie wyjść sama na ulicę o każdej porze dnia. Wszyscy są tam tacy pomocni i życzliwi...

— Serce ci się już wyrywa do Aruna, mamó — powiedziała Sawita. — Po prostu tęsknisz za swoim pupilkiem. Już my to wiemy.

— Pupilkiem! Widzieliście ją! — oburzyła się Mrs Rupa Mehra. — Przestań mi tak dogryzać. Nigdy żadnego z was nie wyróżniałam. Nigdy! Kocham was wszystkich jednakowo.

Zadzwoił telefon.

— Ja odbiorę — powiedział od niechcienia Pran. — To pewnie do mnie. Ktoś z klubu dyskusyjnego. I po co ja się zawsze dam zrobić w jakąś pracę społeczną? Po kiego licha się tak udzielałam?

— Z próżności — odrzekła trzeźwo Sawita. — Lubisz być podziwiany. Imponuje ci rola bożyszczą młodzieży. Nie możesz bez tego żyć.

Pran odebrał telefon, Sawita z matką zaś kończyły w milczeniu śniadanie. Jednak z tonu głosu męża Sawita wywnioskowała od razu, że coś jest nie tak. Pran miał minę przerażoną i zerkał raz po raz z niepokojem w stronę Mrs Rupy Mehry.

— Mamo... — powiedział cicho, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa więcej.

— Lata... — wyszeptała Mrs Rupa Mehra, czytając z jego twarzy. — Co jej jest? Miała wypadek... ?

— Nie... — powiedział Pran.

— Chwała Bogu.

— Uciekła... — wymamrotał Pran.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Mrs Rupa Mehra.

— Z kim? — zapytała Sawita, która z przerażenia zamarła w bezruchu z grzanką w ręku.

— Z Manem — rzekł Pran, kręcąc głową, jakby nie dowierzał własnym uszom. — Jak oni... — zaczął, ale zaniemówił z wrażenia.

— O mój Boże — powiedziały Sawita i jej matka prawie równocześnie.

Przez parę sekund wszyscy milczeli oszołomieni.

— Zadzwoił do ojca ze stacji kolejowej — powiedział wreszcie Pran, potrząsając cały czas głową. — Tylko dlaczego nie przyszedł porozmawiać o tym najpierw ze mną? Znalazłby we mnie poplecznika. Wprawdzie jest zaręczony, ale... oprócz tego jednego jedyne „ale” sam bym się opowiedział za tym związkiem...

— Sam byś się opowiedział za tym związkiem... ? — wyszeptała zaszkokowana Mrs Rupa Mehra. Koniuszek jej nosa poczerwieniał, po policzkach spłynęły dwie wielkie łzy, łzy żalu i bezsilności, a ręce złożyły się do modlitwy.

— Twój brat wyobraża sobie pewnie, że jest dla Laty wymarzoną partią — oburzyła się na męża Sawita. — Ale ty... ? Ty... ? Jak ty w ogóle możesz mówić takie rzeczy? Jak możesz sądzić, że my...

— O, moje biedne dziecko, moje biedne dziecko... Lata... — szlochała Mrs Rupa Mehra.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich Lata.

— Słucham, mammo. Wołałaś mnie? — Zaskoczona dramatyczną sceną, podeszła do matki, żeby ją pocieszyć. — Co się stało? — zapytała, popatrując na zebranych. — O co chodzi? Chyba nie o drugi medal... mam nadzieję... ?

— Powiedz, że to kłamstwo, oszczerstwo, podłe oszczerstwo... — zawodziła Mrs Rupa Mehra. — Jak mogłaś tak postąpić? I to z kim? Z takim Manem! Jak możesz zadawać taki straszny ból rodzonej matce? — Nagle coś ją tknęło: — Ale... jak to... ? To chyba niemożliwe? Na stacji kolejowej?

— Nie byłam na żadnej stacji kolejowej — zapewniła ją Lata. — Co tu się dzieje, mammo? Pran powiedział mi, że będziecie mieli dzisiaj rano długie posiedzenie dotyczące mojej przyszłości... różnych planów... — Tu zmarszczyła lekko brwi. — Powiedział, że przysłuchując się tej rozmowie, czułabym się pewnie skrępowana, więc poradził, żebym przyszła trochę później na śniadanie. No to się nie spieszyłam. Co w tym złego? Co was tak strasznie zbulwersowało?

Sawita spojrzała na Prana z wyrzutem. Widać było, że tłumi w sobie gniew, na co on ziewnął tylko leniwie i powiedział, stukając palcem w nagłówek gazety.

— Dałyście się nabrać! Zapominalskie! Jaki jest dzisiaj dzień?

Był pierwszy kwietnia.

Mrs Rupa Mehra przestała już wprawdzie płakać, ale nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Sawita przeszła męża i siostrę wzrokiem pełnym potępienia i powiedziała surowo:

— Mammo, to tylko prima aprilis. To wymysł Prana i Laty. Trzymają się ich takie głupie żarty.

— Nie mnie — zaprotestowała szybko Lata, zaczynając wreszcie rozumieć, co zaszło podczas jej nieobecności. Parsknęła śmiechem. Potem usiadła, przyglądając się z uwagą całej trójce.

— Wiesz co, Pran... naprawdę — powiedziała Sawita, wyraźnie zdeglustowana. Potem zaś zwróciła się do swojej siostry: — Nie ma się z czego tak cieszyć.

— Właśnie — poparła ją Mrs Rupa Mehra. — I to w dodatku w czasie sesji egzaminacyjnej... To się odbije na twoich stopniach... Tyle pieniędzy wyrzuconych w błoto, a ta się jeszcze śmieje!

— Hej, hej, głowa do góry! Rozchmurzcie się! Lata się nam jeszcze za mąż nie wydała... Niech ręka boska broni — powiedział Pran bez cienia skruchy i znowu wsadził nos w gazetę. Sam też się śmiał, ale po cichu, do siebie.

Sawita i Mrs Rupa Mehra przesztyletowały morderczym wzrokiem tytułową stronicę „Brahmpur Chronicle”. Nagle Sawicie przyszła do głowy potworna myśl.

— Przecież mogłam przez to poronić — powiedziała.

— O, nie — odparł Pran, zupełnie beztrąsko. — Ty jesteś silna. To ja jestem taki mięczak. A poza tym miałem jak najlepsze intencje; chciałem wam urozmaicić niedzielny poranek. Zawsze narzekasz, że ci się nudzi w niedzielę.

— Obejdzie się bez podobnych spektakli. To już wolę się trochę ponudzić. Może byś nas przynajmniej przeprosił za te wygłupy?

— Skoro nalegasz — powiedział Pran ugodowo. W duszy cieszył się, że psikus udał się znakomicie, chociaż wyrzucał sobie trochę, że doprowadził teściową do łez. Za to Lacie dowcip wyraźnie przypadł do gustu. — Przepraszam, mamó. Przepraszam, kochanie.

— No, należą nam się te przeprosiny — powiedziała nadąsana Sawita. — Przepróż także Latę.

— Lata, błagam o wybaczenie — rzekł Pran, zaśmiewając się na cały głos. — Ale, ale! Musisz być strasznie głodna! Powiedz Matinowi, żeby ci przyniósł z kuchni jajko. Chociaż właściwie to nie wiem, za co mam przeproszać — ciągnął Pran, przekreślając tym samym uprzedni przejaw dobrej woli. — Te primaaprilisowe wygłupy nie sprawiają mi żadnej przyjemności. Ale wżeniłem się w rodzinę o zachodnich tradycjach, więc pomyślałem sobie, no cóż, Pran, musisz zademonstrować teraz swoją wartość, bo pomyślą sobie, żeś

jakiś prosty chłopiec-roztropek, i już nigdy więcej nie będziesz śmiało spojrzeć w oczy Arunowi Mehrze.

— Przestań się czepiać mojego brata — powiedziała Sawita. — Od dnia ślubu robisz pod jego adresem uszczypliwe uwagi. Twój też nie jest wcale lepszy. Ten... gagatek.

Przez chwilę Pran rozważał w myślach jej komentarz. To fakt: ludzie zaczęli już mówić o Manie.

— Ojej, kochanie, wybac mi — powiedział głosem, w którym tym razem słychać było szczerą skruchę. — Jak się mogę zrehabilitować?

— Zabierz nas dzisiaj do kina — powiedziała natychmiast Sawita. — Na jakiś film hinduski... Właśnie chcę ci udowodnić, jak bardzo wynarodowiłam się pod wpływem zachodniej kultury. — Sawita lubiła filmy hinduskie (szczególnie te łzawe, sentymentalne); wiedziała również, że Pran ich w większości nie cierpi.

— Na film hinduski? — skrzywił się Pran z niesmakiem. — Myślałem, że dziwaczne gusta kobiet ciężarnych ograniczają się tylko do jedzenia i picia.

— Doskonale. Wobec tego załatwione — odparła Sawita. — Więc na co pójdziemy?

— Przepraszam, ale to niemożliwe — wykręcał się Pran. — Mam dzisiaj wieczorem ten konkurs w klubie dyskusyjnym.

— Może być poranek — powiedziała Sawita, strząsając energicznie z grzanki roztopione masło.

— Dobrze, już dobrze. Sam się w to wpakowałem — skapitulował Pran. Przerzucił stronicę gazety. — Co byście powiedziały na *Sangraarril*. W Odeonie. „Arcydzieło dziesiątej Muzy... Wielki sukces kasowy... Tylko dla dorosłych”. Z Aśokiem Kumarem... Na jego widok mamie serce zaczyna bić mocniej w piersiach.

— Dlaczego mi dokuczasz? — zapytała Mrs Rupa Mehra zupełnie bez gniewu. — Rzeczywiście, to aktor wielkiej klasy. Tylko wiesz, te wszystkie filmy dla dorosłych... wydaje mi się, że...

— Dobrze — powiedział Pran. — Wobec tego następny. Nie... nie ma seansu popołudniowego. Hm, hm... O, tu jest coś, co się nieźle zapowiada.

Kaale Badal. Wielka epopeja romantyczna. Historia miłości. Mina, Śjam, Gulab, Dżiwan i tak dalej, i tak dalej, a nawet cudowne dziecko ekranu: Tabasum. W sam raz dla ciebie w twoim obecnym stanie — rzucił w stronę Sawity.

— Nie. Obsada mi się nie podoba.

— Co za dziwna rodzina — powiedział Pran. — Najpierw chcą obejrzeć jakiś film, a potem odrzucają wszystkie propozycje.

— Czytaj dalej — powiedziała Sawita stanowczo.

— Wedle rozkazu, memsahib — odparł Pran. — Jest jeszcze *Hal'cal*. Premiera. Nargis...

— Lubię ją — rzekła Mrs Rupa Mehra. — Ma takie wyraziste rysy.

— Dalip Kumar...

— Ach! — westchnęła Mrs Rupa Mehra.

— Opanuj się, mamó — upomniął ją Pran. — Sitara, Jaqub, K.N. Singh i Dżiwan. „Niezapomniana opowieść. Porywająca muzyka. Parada gwiazd. Film, który nie ma sobie równych w trzydziestoletniej historii hinduskiej kinematografii”. Co wy na to?

— Gdzie go grają?

— W Majestic. „Świeżo po renowacji. Luksusowe wnętrza. Pełny komfort. Klimatyzacja. Regulowana temperatura”.

— Brzmi to bardzo obiecująco — powiedziała Mrs Rupa Mehra z ostrożnym optymizmem, jakby ważyła wszystkie za i przeciw w wyborze kandydata na męża dla swojej młodszej córki.

— Ale poczekajcie! Tu jest dopiero coś! — powiedział Pran entuzjastycznie. — Reklama taka ogromna, że ją w ogóle przeoczyłem. *Didar*. Wszedł na ekrany kin pięć tygodni temu. Wyświetlają go w... zaraz, zaraz... gdzie to jest?... aha, w nie mniej komfortowym kinie Manorama Talkies, które jest także klimatyzowane. Piszą tak: „Wyborowa obsada. Tragiczna miłość i melodyjne romanse

dostarczą widzom niezapomnianych wzruszeń. Nargis, Aśok Kumar...”

Zamilkł na chwilę, jakby oczekując od teściowej żywiołowego aplauzu.

— Zawsze się ze mną droczyłeś, Pran — powiedziała wesoło Mrs Rupa Mehra, zapomniawszy zupełnie o swoich łzach.

— To jeszcze nie wszystko: Nimi, Dalip Kumar (no, no, a to nam się szczęśliwie trafiło, prawda, mamó?)... Jaqub, cudowne dziecko Tabassum (hurra!, los na loterii!). Przeboje z super musicalu, które już podchwyciła ulica. Okrzyknięty przez publiczność klejnotem narodowej kinematografii. Wszędzie zbiera rześiste brawa. Film jakich mało, z polotem. Wstrząsający! Bezkonkurencyjny! Wspaniała muzyka. *Didar* produkcji Filmkaru". I co? Jak się na to zapatrujecie? — Trzy pary oczu patrzyły na niego z największym zdumieniem. — Zamurowało was! — powiedział Pran z wycięsko. — Już po raz drugi dzisiaj rano!

3.2

Tego popołudnia całą czwórką wybrali się do Manorama Tal-kies, ażeby doświadczyć niezapomnianych wzruszeń. Wykupili najlepsze miejsca na balkonie, z dala od stłoczonej w dole gawiedzi, zaopatrując się równocześnie w tabliczkę czekolady Cadbury, którą spałaszowały prawie w całości Lata i Sawita. Mrs Rupa Mehra, ze względu na cukrzycę, musiała się zadowolić jedną jedyną kosteczką, a Pran nie miał wcale ochoty na więcej. Pran i Lata mieli oczy prawie zupełnie suche, Sawita pociągała nosem, a Mrs Rupa Mehra szlochała żałośnie. Film był naprawdę bardzo smutny, romanse wyjątkowo tęskne i trudno było powiedzieć, czy roztkliwiła się tak nad losem nieszczęsnego niewidomego śpiewaka, czy też tragiczna historia miłości wycisnęła jej z oczu łzy. I byłaby to dla wszystkich rzeczywiście nader udana wyprawa, gdyby nie skandaliczne zachowanie mężczyzny siedzącego w jednym z tylnych rzędów, który — ilekroć na ekranie pojawił się niewidomy Dalip Kumar — wybuchał spazmatycznym łkaniem, postukując raz po raz laską na znak protestu przeciwko okrutnemu losowi albo, być może, przygany dla reżysera. W końcu Pran nie mógł już tego dłużej znieść, odwrócił się i wykrzyknął:

— Proszę pana! Czy mógłby pan przestać stukać... — Zamilkł nagle, zorientowawszy się, że winowajcą jest ojciec Mrs Rupy Mehry. — O, mój Boże

— powiedział do Sawity. — To twój dziadek. Przepraszam pana najmocniej. Proszę się na mnie nie gniewać za to, co powiedziałem. Mama jest z nami, to znaczy Mrs Rupa Mehra. Przepraszam najmocniej. Przyszliśmy tutaj z Latą i z Sawitą. Mam nadzieję, że spotkamy się wszyscy zaraz po projekcji.

Teraz z kolei współwidywcy zaczęli uciszać Prana, a on odwrócił się z powrotem w stronę ekranu, potrząsając bezradnie głową. Cała reszta towarzystwa była zresztą niemniej przerażona. Natomiast scysja ta nie wywarła najwidoczniej najmniejszego wrażenia na doktorze Kiśenie Ćandzie Secie, ponieważ przez następne pół godziny, do końca projekcji, szlochał równie głośno i bez żenady jak poprzednio.

„Ale jak to się stało, że nie spotkaliśmy się podczas przerwy?“, zapytywał sam siebie Pran. „I czy on nas też nie widział? Przecież siedzi cały czas tuż za nami“.

Pran nie mógł wiedzieć, że doktor Kiśen Ćand Seth był głuchy na wszelkie zewnętrzne wizualne, a także słuchowe bodźce, kiedy pochłaniała go akcja na ekranie. Natomiast do końca pozostało zagadką, w jaki sposób minęli się w czasie przerwy, szczególnie że doktorowi Kiśenowi Ćandowi Sethowi towarzyszyła małżonka.

Po projekcji, wypchnięci z sali przez tłum widzów, spotkali się wreszcie wszyscy w holu. Doktor Kiśen Ćand Seth nadal zalewał się łzami, inni zaś ocierali oczy chusteczkami do nosa.

Parwati i Mrs Rupa Mehra starały się usilnie, acz bezskutecznie, dowieść, że są — a jakże — w jak najlepszej komitywie. Parwati miała lat trzydzieści pięć i była kobietą silną, twardą i grubokościstą, o śniadej, przepalanej słońcem cerze. Do ludzi była ustosunkowana podobnie jak do swoich schorowanych ekspacjentów: jakby chciała wykrzyknąć całemu światu, że już nigdy nikomu za żadne skarby nie opróżni więcej kaczki. Tego dnia miała na sobie wzorzyste sari z żorzety. I chociaż wzorki w kształcie sosnowych szyszek były różowe, usta miała pociągnięte pomarańczową szminką.

Pomimo iż gryzące się kolory aż kłuły w oczy, Mrs Rupa Mehra robiła wszystko, żeby tego nie dostrzegać i usprawiedliwiała się gorąco, że osobiście nie złożyła Parwati życzeń urodzinowych.

— Ale świetnie, że wpadliśmy tutaj na siebie — dodała uprzejmie.

— Prawda? — potwierdziła Parwati. — Właśnie dopiero parę dni temu mówiłam Rybce...

Ale sens reszty tej wypowiedzi umknął Mrs Rupie Mehrze, która uznała takie bezceremonialne poufałości za upokarzające dla ojca. Spojrzała na niego, ale zdawało się, że nic z tej rozmowy do niego nie dotarło, tak zatopiony był we własnych rozmyślaniach.

Parę minut później doktor Kiśen Ćand Seth ocknął się wreszcie z rozmazania i oznajmił:

— Idziemy do domu.

— A może przedtem wstąpilibyście do nas na herbatę? — zaproponował Pran.

— Nie, nie, dzisiaj to zupełnie niemożliwe. Innym razem. No, dobrze. To powiedz ojcu, że czekamy na niego jutro wieczorem. Niech wpadnie na brydża. O siódmej trzydzieści. Punktualnie! Wedle kodeksu postępowania lekarzy, nie polityków.

— O! — powiedział Pran z uśmiechem. — Z przyjemnością mu to powtórzę. Jak to dobrze, że się wreszcie pojednaliście i przekreśliście dawne spory i waśnie.

Ledwie otworzył usta i wypowiedział te pojednawcze słowa, doktor Kiśen Ćand Seth zorientował się, że się zagalopował w swoich uprzejmościach. Dawne spory i waśnie nie zostały wcale przekreślone. Tyle tylko, że — pochłonięty filmowym melodramatem, gdzie starzy przyjaciele nie szczędzili sobie gorzkich wyrzutów — zapomniał zupełnie, że jest pogniwany z Maheśem Kapurem. Uratował go refleks Parwati, która — widząc jego irytację — powiedziała czym prędzej:

— Tak, mój mąż postanowił puścić spory w niepamięć. Powiedz ojcu, że cieszymy się na to spotkanie.

Popatrzyła na doktora Setna, szukając u niego aprobaty; ten zaś burknął coś niewyraźnie pod nosem, ale uznał, że lepiej to na razie przemilczeć. Nagle coś innego przykuło jego uwagę.

— Kiedy? — zapytał, wskazując rączką laski na brzuch Sawity.

— W sierpniu albo we wrześniu, tak nam przynajmniej powiedziano — odrzekł Pran wymijająco, jakby w obawie, że doktor Kiśen Ćand Seth zechce interweniować nawet i w tej sprawie.

Doktor Kiśen Ćand Seth zwrócił się teraz do Laty:

— Co z tobą? Dlaczego nie wychodzisz za mąż? Mój rentgenolog nie przypadł ci do gustu?

Lata spojrzała na niego, starając się ukryć zdziwienie. Stała w pąsach.

— Nie przedstawiłaś jej jeszcze temu rentgenologowi — wtrąciła szybko Mrs Rupa Mehra. — A teraz już sesja egzaminacyjna za pasem.

— Jaki rentgenolog? — spytała Lata. — Czy to znowu jakiś primaaprilisowy żart?

— Aha, ten rentgenolog, żebym nie zapomniał. Zadzwoń do mnie jutro — zwrócił się doktor Kiśen Ćand Seth do swojej córki. — Przypomnij mi, Parwati. No, ale na nas już czas. Muszę obejrzeć ten film jeszcze raz w przyszłym tygodniu. Bardzo smutny — powiedział z wyraźną dezaprobatą.

Wracając do swego szarego buicka, doktor Kiśen Ćand Seth zauważył samochód zaparkowany niezgodnie z przepisami ruchu drogowego. Natychmiast zawezwął do siebie policjanta kierującego ruchem na skrzyżowaniu. Ten zaś — rozpoznawszy w pieklącym się histeryku postrach miasta, doktora Seta, który dał się już nie raz dobrze we znaki zarówno strażnikom, jak i burzycielom społecznego porządku w Brahmpurze — opuścił skrzyżowanie, nie zważając na potencjalnie katastrofalne konsekwencje tego czynu, i podbiegł do doktora-satrapy, żeby spisać numer rejestracyjny nieszczęsnego auta. Że brak przykuśtykał obok, prosząc o jałmużnę. Doktor Kiśen Ćand Seth popatrzył na niego z wściekłością i przyłożył mu brutalnie po nogach laską. Razem z Parwati wsiadł do samochodu, a policjant wstrzymał dla nich ruch na skrzyżowaniu.

3.3

- Proszę nie rozmawiać — powiedział surowo egzaminator.
- Chciałem tylko pożyczyć linijkę, proszę pana.
- Nie wolno. Najwyżej za moim pośrednictwem.
- Dobrze, proszę pana.

Chłopak usiadł i skupił się znowu nad swoim zestawem egzaminacyjnym.

Na szybie okiennej tłukła się, bzykając głośno, mucha. Z okna sali egzaminacyjnej widać było czerwoną koronę drzewa gulmohar, które rosło w dole, u stóp kamiennych schodków. Pod sufitem kręciły się leniwie wiatraki. Rzędy rąk, rzędy głów, atrament kap... kap... kap... i słowa, słowa, słowa, i coraz więcej słów... Ktoś wstał, żeby napić się wody z glinianego dzbana stojącego przy drzwiach wyjściowych. Ktoś inny oparł się plecami o krzesło i westchnął boleśnie. Lata przerwała pisanie jakieś pół godziny temu i od tej pory gapiała się tylko bezmyślnie, niewidzącym wzrokiem, w nie zapisane kartki papieru. Dygotała na całym ciele. W ogóle nie mogła się skoncentrować na pytaniach, które miała przed sobą. Dyszała ciężko, a na czoło wystąpiły jej krople potu. Siedziała pomiędzy dwiema dziewczętami, które, pogrążone w pracy, w ogóle nie zwracały na nią uwagi. Skąd się tu wzięły? Nie chodziły z nią na wykłady z literatury angielskiej. Przynajmniej Lata nie знаła ich nawet z widzenia.

„O co tu chodzi, w tych pytaniach?“, zastanawiała się w myślach. „Nic do mnie nie dociera. A przecież wcześniej udało mi się nawet rozwinąć parę tematów. Czy bohaterowie szekspirowskich tragedii zasługują na swój los? A kto w ogóle zasługuje na swój los?“ Rozejrzała się wokoło. „Co mnie dzisiaj napadło? Na ogół jestem odporna na egzaminacyjne stresy. Nie mam ani miesiączki, ani migreny, więc co mi jest? I co na to wszystko powie mama... ?“

Przeniosła się teraz myślami do swojego pokoju w mieszkaniu Prana. Oczyma wyobraźni zobaczyła trzy walizki, w których mieścił się cały dobytek matki. Niezbędne akcesoria jej corocznej transindyjskiej pielgrzymki kolejowej leżały w kącie, a na nich, niczym dumny, majestatyczny czarny łąbędź rozpierała się jej wielka torba. Obok leżały nieduże, ciemnozielone egzemplarze *Bhagawadgity*, a przy nich stała szklanka ze sztuczną szczęką, któ-

ra matka nosiła od dziesięciu lat, to jest od czasu bardzo niefortunnego wypadku samochodowego.

„Co by sobie o mnie pomyślał teraz mój ojciec?“, dumiała dalej Lata. „...Zawsze był przecież prymusem, zawsze przodował w nauce... zdobywał złote medale... Na pewno zawiódłby się na mnie... Jaki wstyd...! Umarł właśnie w kwietniu. Wtedy też kwitły gulmohary... Muszę się jakoś skupić. Muszę się skoncentrować. Coś jest ze mną nie tak, ale nie mogę wpaść w panikę. Muszę trochę odetchnąć i wszystko wróci do normy“.

Znowu pograżyła się w zadumie. Mucha bzyczała nieprzerwanie.

— Proszę nie podśpiewywać. Proszę zachować milczenie.

Lata zorientowała się, zdumiona, że to ona właśnie nuciała sobie coś pod nosem i że obie sąsiadki przeniosły na nią wzrok znad pulpitów. Na twarzy jednej z nich malowało się zdziwienie, a na drugiej irytacja. Lata pochyliła głowę nad własnym zestawem egzaminacyjnym. Kartki poliniowane w poprzek na jasnoniebiesko... Co za bezsens... „No, jeśli za pierwszym razem powinie ci się noga...“, zadźwięczały jej w uszach słowa matki.

Szybko przeczytała ponownie poprzednie pytanie i to, co napisała w odpowiedzi... Kompletne bzdury...

, Juliusz Cezar pojawia się po raz ostatni w akcie trzecim dramatu, którego jest przecież tytułowym bohaterem. Z faktu tego wnioskować należy, iż...“

Lata podparła głowę rękami.

— Dobrze się pani czuje?

Podniosła głowę i ujrzała nad sobą zatroskaną twarz młodego wykładowcy z katedry filozofii, który tego dnia nadzorował akurat przy egzaminach studentów anglistyki.

— Dziękuję, nic mi nie jest.

— Na pewno? — upewnił się tamten szeptem.

Lata skinęła głową w odpowiedzi.

Podniosła pióro i zaczęła pisać coś w swoim zeszycie egzaminacyjnym. Parę minut później usłyszała znów jego głos. Tym razem zwracał się do wszystkich na sali:

— Do końca egzaminu zostało jeszcze pół godziny.

Lata zorientowała się, że medytując tak nad własnym losem, zmarnowała co najmniej godzinę z egzaminu, który w sumie miał trwać trzy. Do tej pory udało się jej odpowiedzieć zaledwie na dwa pytania. Przerażona zaczęła odpowiadać na pozostałe dwa, które wybrała na chybił trafił, bazgrząc bezlitośnie, w panice, tylko na pół świadoma tego, co pisze. Szumiało jej w głowie, jakby ta natrętna mucha dostała się jej pod czaszkę. Na widok własnych gryzmołów, które wyglądały gorzej niż kulfony Aruna, omal znowu nie oderwała się od pisania.

— Pięć minut do końca.

Lata pisała nadal jak w transie, prawie bez zastanowienia.

— Proszę odłożyć pióra.

Lata nie przerywała pisania, skrzypiąc stalówką po poliniowanej kartce.

— Proszę kończyć. Czas minął.

Lata odłożyła pióro i ukryła twarz w dłoniach.

— Proszę złożyć zestawy egzaminacyjne na stole przy drzwiach wejściowych. Proszę sprawdzić, czy numery na okładce są poprawnie wypisane. Ci z państwa, którzy mają brudnopisy, proszę umieścić je pod spodem jako załączniki. I proszę zachować milczenie, aż do opuszczenia sali.

Lata oddała swoją pracę. Po drodze do wyjścia na parę sekund oparła prawą rękę na zimnym, glinianym dzbanie. Sama nie wiedziała, co ją opętało.

3.4

Po wyjściu na zewnątrz Lata stała przez chwilę w bezruchu. Słońce zalewało blaskiem kamienne schodki. Na środkowym palcu, z boku, miała granatową plamę od atramentu. Przyjrzała się jej niechętnie, marszcząc brwi. Była bliska łez.

Na stopniach gromadzili się w grupkach inni studenci anglistyki, dzieląc się wrażeniami z egzaminu, rozpracowując metodycznie pytanie po pytaniu, jakby dokonywali sekcji zwłok. Zabiegiem tym kierowała żywołowo pulch-

na, sympatyczna dziewczyna, odliczająca na palcach wszystkie punkty, na które odpowiedziała poprawnie.

— Wiem, że ten egzamin naprawdę dobrze mi poszedł — mówiła. — Szczególnie pytania dotyczące *Króla Leara*. Myślę, że odpowiedź twierdząca była poprawna.

Inni popatrywali na nią albo pocieszeni, albo z nosami na kwintę. Wszyscy byli absolutnie zgodni co do tego, że pytania były w większości zbyt trudne. Chyba po to, żeby podnieść poprzeczkę. Zupełnie niepotrzebnie. Grupka studentów katedry historii stała nieopodal, dyskutując na temat ich egzaminu, który odbywał się jednocześnie w tym samym budynku. Był wśród nich ten młody chłopak, który zwrócił na siebie uwagę Laty w Imperial Book Depot, a który teraz miał minę nieco zafrasowaną. Już od kilku miesięcy brał czynny udział w zajęciach pozaprogramowych — szczególnie pasjonował go krykiet — a to odbiło się na jego wynikach w nauce.

Lata podeszła do ławki pod drzewem gulmohar i usiadła, żeby ochłonać po tych wszystkich egzaminacyjnych emocjach. W domu, przy obiedzie, zasypia ją pytaniami o to, jak jej poszło. Spuściła wzrok i popatrzyła na rozsypane pod nogami czerwone płatki kwiatów. W głowie dalej słyszała bzykanie muchy.

Młody chłopak, chociaż zajęty był rozmową z kolegami, zauważył jednak, jak schodziła po schodkach, a kiedy usiadła na ostatniej ławce pod drzewem, postanowił zamienić z nią parę słów. Powiedział kolegom, że musi iść do domu na obiad, bo ojciec na niego czeka, i pospieszył ścieżką w kierunku drzewa gulmohar. Znalazłszy się przy ławeczce, zatrzymał się, udając zaskoczenie.

— O, cześć! — wykrzyknął, jakby dopiero teraz ją zauważył.

Lata podniosła głowę, a przekonawszy się, że to on, zapłonila się z zakłopotania. Jakoś nie miała ochoty, żeby widział ją tak bardzo zdenerwowaną.

— Nie wiem, czy mnie sobie przypominasz? — spytał.

— Owszem — odparła Lata, zdziwiona jego zuchwalstwem. Chyba dała mu niedwuznacznie do zrozumienia swoim zachowaniem, że nie bawi jej w tej chwili jego towarzystwo? A ten mimo wszystko stara się nawiązać z nią

rozmowę. Nie powiedziała nic więcej, a on też nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

— Spotkaliśmy się kiedyś w księgarni — przerwał wreszcie milczenie.

— Pamiętam — rzekła Lata. A potem dodała czym prędzej: — Proszę, zostaw mnie samą. Nie mam teraz ochoty na towarzyskie pogawędki.

— Nie poszło ci na egzaminie, tak?

— Hm.

— Nie przejmuj się — powiedział, aby ją pocieszyć. — Jakoś to przebolejesz. A zresztą, czas goi rany. Za pięć lat wszystko to będzie już dla ciebie zupełnie nieważne.

Na takie dictum Lata zareagowała gniewem. Miała w nosie tę jego chłopską filozofię. Co on sobie wyobraża? Za kogo się ma, u licha? Dlaczego się po prostu nie ulotni... jak ta przeklęta, natrętna mucha?

— Mówię tak, ponieważ jeden ze studentów mego ojca usiłował raz popełnić samobójstwo, przekonany, że oblał egzamin. Na szczęście mu się nie udało, bo kiedy ogłoszono wyniki, okazało się, że był najlepszy.

— Jak to? Z matematyki? Myślał, że oblał egzamin z matematyki, chociaż zdał tak doskonale? — spytała Lata, zainteresowana nagle, wbrew własnej woli, tym, co mówił jej pocieszyciel. — Przecież w każdym zadaniu jest tylko jedno prawidłowe rozwiązanie. Rozumiem historia albo angielski, ale...

— Tak czy owak, jest to myśl ogromnie krzepiąca — powiedział młody człowiek, zadowolony, że pamiętała parę szczegółów na jego temat. — Pewnie nam obojgu poszło lepiej, niż sądzimy.

— To tobie też się nie za bardzo dzisiaj powiodło?

— Mnie też — odparł z prostotą.

Lacie trudno było jakoś w to uwierzyć, ponieważ wcale nie sprawiał wrażenia zafrasowanego.

Przez parę sekund milczeli oboje. Obok ławki przemaszerowało kilku jego kolegów, którzy bardzo taktownie odwrócili głowy, udając, że go nie widzą. Wiedział jednak dobrze, że przy najbliższej okazji będą starali się wyciągnąć z niego wszystkie szczegóły na temat tej wielkiej namiętności.

— Nie rozpaczaj tak... — mówił dalej. — Na sześć egzaminów zawsze jeden musi być trochę trudniejszy. Chcesz suchą chusteczkę?

— Nie, dziękuję. — Popatrzyła na niego, a potem odwróciła wzrok.

— Kiedy stałem tam, podłamany — powiedział, wskazując na tarasik, dokąd prowadziły kamienne schodki — zauważyłem, że miałaś bardzo nieszczęśliwą minę. Pomyślałem, że pewnie czujesz się jeszcze bardziej podle niż ja i zaraz jakoś nabrałem animuszu. Mogę usiąść?

— Lepiej nie — powiedziała Lata. A potem, uświadomiwszy sobie, jak niegrzecznie musiały zabrzmieć te słowa, dorzuciła: — A właściwie to bardzo proszę. Tyle że na mnie już czas. Mam nadzieję, że twoje obawy co do egzaminu okażą się nieuzasadnione.

— A ja mam nadzieję, że się już wkrótce rozluźnisz i że przejdzie ci to przygnębienie — powiedział młody człowiek, siadając obok. — Czy nasza rozmowa podniosła cię na duchu?

— Ani trochę — odparła Lata z rozbrajającą szczerością.

— O? — Młody człowiek wydawał się zbity z tropu. — W każdym razie, pamiętaj — mówił jednak dalej — tyle jest na świecie rzeczy ważniejszych niż egzaminy. — Oparł się plecami o ławkę, przyglądając się czerwopomarańczowym kwiatom.

— Tak uważasz? A jakie to rzeczy? — spytała Lata.

— Na przykład przyjaźń — powiedział dziwnie surowo.

— Naprawdę? — Lata uśmiechnęła się mimo woli.

— Naprawdę — zapewnił ją gorliwie. — Rozmowa z tobą podniosła mnie na duchu.

Nadal miał bardzo poważną minę.

Lata podniosła się z ławki, gotowa do odejścia.

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli przejdę się z tobą kawałek? — zapytał, również wstając.

— Zabronić ci nie mogę — odparła Lata. — Indie to teraz wolny kraj.

— Dobrze, w takim razie zostanę tu na ławce, rozkoszując się marzeniami o tobie — powiedział melodramatycznie, siadając z powrotem. — A szczególnie o tej uroczej, zwodniczej plamie od atramentu, którą masz pod nosem. Od Holi minęło już parę dobrych dni.

Lata prychnęła zniecierpliwiona i oddaliła się czym prędzej, świadoma, że chłopak odprowadzają wzrokiem. Żeby pokryć własne zmieszanie, wytarła

kciukiem plamę na środkowym palcu. Była zbulwersowana, zła i na niego, i na siebie, głównie za to, że na myśl o tym przypadkowym spotkaniu rozpierała ją taka szaleńcza, niewytłumaczalna, dzika radość. Jakkolwiek by było, te sercowe rozterki oderwały jej myśli od ponurych (ba!, fatalnych!) prognoz na temat wyników tego pechowego egzaminu z historii teatru i zapragnęła teraz przyjrzeć się sobie w lusterku.

3.5

Kilka godzin później, po południu, Lata i Malati wybrały się z grupką koleżanek (same dziewczyny, oczywiście) do gaiku dżaka-randowego, gdzie wstęp miały tradycyjnie tylko dziewczęta. Lubiły się tam uczyć, rozsiadłszy się na trawie. Szły teraz razem pogrążone w rozmowie, trzymając się za ręce. Malati dźwigała pod pachą niesamowicie opasłe tomisko — podręcznik medycyny.

Dzień był upalny. Z drzew spływały na ziemię delikatne płatki różowoliowych kwiatów. Upewniwszy się, że nikt ich nie podsłuchuje, Malati spytała ze źle ukrywanym rozbawieniem:

— Nad czym tak dumasz głęboko? — A kiedy Lata spojrzała na nią pytająco, Malati nalegała nieustępliwie: — Nie, nie, nie udawaj niewiniątka, bo ci się to na nic nie zda. Widzę przecież, że coś cię gnębi. Prawdę mówiąc, wiem nawet, co to jest. Mam swój wywiad.

Lata odparła:

— Wiem, co masz na myśli, ale to nieprawda. Malati prześwidrowała ją wzrokiem i odpaliła:

— To całe chrześcijańskie wychowanie w St. Sophia nie wyszło ci wcale na dobre, Lata. Gorzej, miało na ciebie zgubny wpływ. Zrobiło z ciebie potworną kłamczuchę. Co ja mówię! Źle się wyraziłam. Chciałam powiedzieć, że kiedy kłamiesz, robisz to potwornie nieudolnie.

— Dobrze, to co mi miałaś zamiar powiedzieć? — zapytała Lata.

— Wyleciało mi teraz z pamięci — odparła Malati.

— No, mów, mów — prosiła Lata. — Przestań się ze mną droczyć. Jak myślisz, po co oderwałam się od książek? Nie bądź okrutna i nie szukaj wykrętów. I tak już jest niewesoło.

— Dlaczego? — spytała Malati. — Zakochałaś się wreszcie? No! Najwyższy czas! Wiosna się kończy.

— Wcale nie — odparła ze złością Lata. — Oszalałaś?

— Nie — zapewniła ją Malati.

— To po co się głupio pytasz?

— Słyszałam, że podszedł do ciebie jak stary znajomy, kiedy siedziałaś na ławce po egzaminie — powiedziała Malati. — Z tego wywnioskowałam, że musieliście się widywać od tamtego spotkania w Imperial Book Depot.

Wszystko wskazywało na to, że był to ten sam chłopak (Malati, która pękała teraz z dumy, że nie zawiodły ją przecucia w tej kwestii, otrzymała szczegółowy rysopis od jednego ze swoich konfidentów).

Lata popatrzyła na swoją przyjaciółkę wilkiem, bez uśmiechu. „Plotki rozchodzą się w zastraszającym tempie”, pomyślała, „a Malati nadstawia uszu i chłonie każdy szczegół”.

— W ogóle się nie widywaliśmy. Nie wiem, kto ci naopowiadał tych bzdur, Malati. Wolałabym, żebyśmy porozmawiały na tematy aktualne albo o muzyce, albo w każdym razie o czymś rozsądnym. Weźmy choćby socjalizm. Widziałam chłopaka dopiero dwa razy w życiu i nie wiem nawet, jak się nazywa. Daj mi ten swój podręcznik i chodź, usiądziemy, o tutaj. Muszę przeczytać ze dwa paragrafy czegoś, czego nie rozumiem, bo to mi zawsze przynosi szczęście.

— Nie wiesz nawet, jak się nazywa? — spytała Malati, patrząc teraz na Latę, jakby to ona oszalała. — Biedny chłopak! A on wie, jak ty się nazywasz?

— Chyba mu powiedziałam wtedy w księgarni. Tak, na pewno. Bo potem on mnie zapytał, czy chciałabym wiedzieć, jak on się nazywa, a ja powiedziałam, że nie.

— A teraz żałujesz — pokiwała głową Malati, przyglądając się jej badawczo.

Lata pominęła tę uwagę milczeniem. Usiadła i oparła się o pień dzakarandy.

— A on pewnie naprawdę chciał ci się przedstawić — powiedziała Malati, siadając obok.

— Pewnie tak — zaśmiała się Lata. — Nie da się ukryć.

— Szkoda mi słonia... — rzekła Malati.

— Jakiego znowu słonia?

— No, wiesz... „Nie rób z muchy słonia” — przedrzeźniała Malati Latę.

Lata spiekła raka.

— Podoba ci się? — spytała Malati. — Tylko nie kłam, bo i tak zaraz po tobie poznam.

Lata zawahała się. Pomimo tego niewytłumaczalnego zamroczenia umysłu, którego doznała podczas egzaminu z historii teatru, po powrocie do domu udało się jej rozmawiać z matką nawet w miarę spokojnie i rzeczowo. Wreszcie przerwała milczenie:

— Widział, jaka byłam roztrzęsiona po egzaminie. Na pewno nie było mu łatwo podejść do mnie i zacząć rozmowę, szczególnie że... no, wiesz... dałam mu właściwie wtedy w księgarni kosza.

— No, nie wiem — powiedziała Malati, wzruszając ramionami. — Chłopakom brak na ogół kindersztuby. Może się z kimś założył, że cię zaczepi? Ciągle się tak zakładają o jakieś głupstwa... Tak jak wtedy, kiedy przypuścili szturm na żeński akademik w dzień Holi. A potem się puszą, uważając się za wielkich bohaterów.

— Ale on taki nie jest — zaprotestowała żywo Lata. — Jest dobrze wychowany. A co do bohaterstwa, to jednak podjął ryzyko, wiedząc, że może się sparzyć. A to wymaga odwagi.

— Odwagi? Jakiej tam odwagi! — odparła pogardliwie Malati, która prowokowała swoją przyjaciółkę, bawiąc się przy tym doskonale. — Chłopakom nie w głowie amory. Po prostu lubią się chełpić swoim zuchwalstwem. O, nawet teraz, po drodze do gaiku, kiedy szłyśmy sobie razem wszystkie cztery, zauważyłam dwóch takich palantów na rowerach. Specjalnie deptali nam po piętach. Żaden nie miał odwagi, żeby się do nas odezwać, ale gdzieżby się taki przyznał do tchórzostwa! O, nie! Odetchnęli z ulgą, kiedy weszłyśmy do gaiku. Dzięki temu udało się im wycofać z tych podchodów z honorem.

Lata milczała. Położyła się na trawie i spoglądała w niebo przez gałęzie dzakarandy. Myślała o tej plamie na nosie, którą zmyła dopiero przed obiadem.

— Czasami podchodzą do ciebie całą gromadą — ciągnęła Malati bezli-
tośnie — i szczerzą, jeden na drugiego, zębiska, bo normalnie się do ciebie taki palant uśmiechnąć nie potrafi. Dopiero jak się przestraszą konkurencji któregoś ze swoich koleśków podrywaczy, decydują się wreszcie na ten desperacki krok i rozpoczynają rozmowę. A zagrywki mają, że pożał się Boże. Żadnych oryginalnych pomysłów, tylko stare, wyświechtane: „Możesz mi po- życzyc swoje notatki?” Nawet „namaste” ledwie im przechodzi przez gardło. A tak nawiasem mówiąc, jakiej sztuczki użył pan Trąbalski?

Lata dała jej kopniaka w łydkę.

— Oj, przepraszam... chciałam powiedzieć: królewicz z bajki.

— No, właśnie... jak on to powiedział... — zastanawiała się Lata, zapomniawszy prawie o obecności Malati. Całkiem wyleciało jej z pamięci, jak zaczęła się ta ich rozmowa, chociaż od tamtej pory minęło zaledwie parę godzin. Pozostała jednak świadomość, że początkowa niechęć, z jaką przyjęła zalecanki młodego człowieka, przemieniła się stopniowo jakimś cudem w ci-
chę sympatię. Znalazła jednak w tym przystojnym nieznanym bratnią du-

szę: zrozumiał, że była skołowana i zrozpaczona. On jeden współczuł jej niedoli i starał się ją jakoś pocieszyć.

LR

3.6

Parę dni później Lacie i Malati udało się dostać bilety na koncert w imponującym Bharatendu Auditorium (drugiej co do wielkości sali koncertowej w mieście), gdzie jednym z wykonawców był słynny ustad Madźid Chan.

Dołączyła do nich również Hema, wysoka, tyczkowata i zawsze pogodna dziewczyna, która mieszkała z niezliczoną liczbą ciotecznych rodzeństwa — obojga płci — w domu niedaleko Nabigandi. Nad całą tą czeredą ścisłą kura-tele sprawował starszawy powinowaty, do którego wszyscy zwracali się per „Taudźi”. Nic więc dziwnego, że ów Taudźi miał zawsze pełne ręce roboty — to właśnie na niego jako na jedynego mieszkańca miasta uniwersyteckiego w rodzinie (i to bardzo licznej) spadała odpowiedzialność za zdrowie, bezpieczeństwo i reputację młodych krewniaczek. A do tego jeszcze musiał ukrócać zapędy skorych do łobuzerki chłopaków. Często przeklinał swój los, odgrażając się, że niech tylko zajdą mu kiedyś za skórę, a on już ich wszystkich odprawi, marsz!, z powrotem do domu. O! On im jeszcze pokaże! Ale jego żona, którą cała ta zgraja nazywała „Taidźi”, miała bardzo miękkie serce. I choć w dzieciństwie sama trzymana była krótko, chciała zapewnić młodym krewniakom, czy to w prostej linii, czy po pociotkach, szczęśliwsze dzieciństwo. Korzystały na tym szczególnie dziewczęta, które inaczej nie zaznałyby żadnej swobody.

Tak więc tego wieczoru Hemie i jej kuzynkom udało się uprosić Taudźiego, żeby podwiózł je na koncert swoim olbrzymim, brązowym packardem. Po drodze pojechały jeszcze po parę najbliższych koleżanek.

Przy Bharatendu Auditorium z packarda wygramoliło się jedenaście dziewcząt, a wśród nich Lata i Malati. Aż dziw, że nie pogniotły w tym ścisisku swoich tęczowo kolorowych sari. Przed wejściem do budynku, kiedy tylko Taudźi zniknął im z oczu, pomogły sobie nawzajem przygładzić rozwichrzone fryzury, upinając we włosach kwiaty, niepomne na surowy zakaz, który ich opiekun wydał im na pożegnanie:

— Kwiaty? Kwiaty we włosach? Kto to widział?! Czego się wam zachciewa? Latają tylko jak te rozpustnice na jakieś trzeciorzędne imprezy. I to

w czasie sesji egzaminacyjnej! Ludzie was wezmą na języki! Kto się będzie chciał z wami ożenić?

Wreszcie rozpaplane dzierlatki weszły razem do środka. Ponieważ nie udało się im znaleźć miejsc obok siebie, podzieliły się na dwu-, trzyosobowe grupki i usiadły osobno, dalej jednak wniebowzięte, podniecone. Pod sufitem kręciło się kilka wiatraków, ale spiekota na dworze sprawiała, że i na sali było bardzo gorąco. Lata i jej najserdeczniejsza przyjaciółka używały programów jako wachlarzy, czekając na rozpoczęcie koncertu. Obie uznały później zgodnie, że pierwsza część, recital pewnego bardzo znanego sitarzysty, była nudna nie do strawienia. W przerwie Lata i Malati stały właśnie przy schodach w holu, kiedy pojawił się przed nimi pan Trąbalski.

Malati zauważyła pierwsza, że się do nich zbliża; dała Lacie kuksańca w bok i, wskazując głową w jego stronę, powiedziała:

— Spotkanie numer trzy. Już mnie nie ma.

— Malati, zaczekaj! Proszę, nie zostawiaj mnie samej! — prosiła ją Lata z duszą na ramieniu.

Ale Malati odwróciła się na pięcie i poradziła jej na odchodnym:

— Przestań być wreszcie taką zahukaną szarą myszką. Pokaż pazury, jak przystało na tygrysicę.

Młody człowiek podszedł do Lata całkiem śmiało.

— Nie przeszkadzam? — spytał cichym głosem, tak że jego słowa zginęły w ogólnym rozgwarze.

Lata dała mu do zrozumienia, że nie dosłyszała, co powiedział, a on uznał, że pozwoliła mu stanąć przy sobie.

— Chciałem się upewnić, że nie będę przeszkadzał, jeśli się do ciebie dołączę?

— Przeszkadzał? A w czym? — spytała Lata. — Przecież nie jestem wcale zajęta. — Serce biło jej mocno w piersiach.

— Robiłaś wrażenie zatopionej w marzeniach.

— Nie byłam wcale zatopiona w marzeniach — zaprzeczyła Lata energicznie, starając się ukryć zażenowanie i uporządkować kłębiące się pod czaszką myśli. Przypomniała sobie uwagę Malati o tym, że nie potrafi zręcznie kłamać, i krew nabiegła jej do twarzy.

— Strasznie tam duszno — powiedział młody człowiek. — Zresztą tutaj też.

Lata przytaknęła skinieniem głowy. „Ani ze mnie myszka, ani tygrysica”, pomyślała, „tylko nasrożony jeżozwierz”.

— Piękna muzyka — powiedział.

— Rzeczywiście — odparła Lata, pomimo że wcale tak nie myślała. Mrowie przechodziło jej po skórze, kiedy stał tak blisko. Poza tym obawiała się, że ktoś ze znajomych może ją zobaczyć w towarzystwie młodego mężczyzny. Miała wrażenie, że gdyby rozejrzała się dobrze wokoło, zauważyłaby w tłumie kogoś, kto się jej bacznie przygląda. Ale ponieważ już dwa razy potraktowała go tak ozięble, powzięła mocne postanowienie, że tym razem go nie odtrąci. Jednak była zbyt nieśmiała, zbyt skrepowana, żeby podtrzymać tę rozmowę. Ponieważ trudno jej było spojrzeć mu w oczy, spuściła wzrok.

Młody człowiek mówił:

— ...choć oczywiście nie bywam tam zbyt często. A ty?

Skonsternowana, że nie usłyszała albo po prostu nie zarejestrowała tego, co mówił, Lata pominęła to pytanie milczeniem.

— Bardzo jesteś małomówna — zauważył.

— Z natury jestem małomówna — odparła. — W ten sposób się uzupełniamy.

— Wcale nie — powiedział młody człowiek, uśmiechając się blado. — Słyszałem, jak z tymi twoimi przyjaciółkami trajkotałyście niczym stadko sroczek, przed koncertem, kiedy nasz maestro nastrojał swój sitar.

— Chcesz powiedzieć, że kobiety są bardziej gadatliwe niż mężczyźni? — zapytała surowo Lata, podnosząc na niego wzrok.

— Właśnie to miałem na myśli — odparł młody człowiek trochę nonszalancko, zadowolony, że wreszcie się do niego odezwała. — To fakt niezaprzeczalny. Opowiedzieć ci w związku z tym legendę o Akbarze i Birbalu?

— Skąd mam wiedzieć, czy mnie zaciekawia? — powiedziała Lata. — Przekonam się dopiero, jak mi ją opowiesz.

— To może przy następnym spotkaniu?

Lata przyjęła tę sugestię zupełnie beznamiętnie.

— Nie wątpię, że do niego dojdzie — powiedziała. — Ciągłe wpadamy na siebie przypadkiem.

— I czy mamy pozwolić, żeby dalej rządził naszym losem przypadek? — zapytał młody człowiek. — Prawdę mówiąc, kiedy tak się wam przyglądałem, tobie i twoim koleżankom, widziałem prawie wyłącznie ciebie. Jeszcze kiedy stałaś przy wejściu, pomyślałem, że wyglądasz ślicznie w tym prostym zielonym sari, z białą różą we włosach.

Słowo „prawie” nie bardzo się Lacie podobało, ale reszta brzmiała upojnie, więc uśmiechnęła się do niego.

Odpowiedział również uśmiechem, ale potem nagle przeszedł do konkre-
tów:

— W Brahmpurskim Towarzystwie Miłośników Literatury o piątej po południu, w piątek, jest spotkanie. U staruszka Naurodźego, Hastings Road 20. Powinno być interesujące. Wstęp wolny, wszyscy będą mile widziani. Zdaje się, że ze względu na nadchodzące dla studentów wakacje chcą zwerbować słuchaczy spoza stałego grona.

„Wakacje. Więc kto wie, czy się jeszcze spotkamy”, zmartwiła się Lata. Powiedziała jednak tylko:

— O, wiem już, o co cię miałam zapytać.

— No o co? — Młody człowiek popatrzył na nią wyczekująco. — Mów, nie krepuj się.

— Jak się nazywasz?

Twarz młodego człowieka rozpromienił radosny uśmiech.

— Aha! — powiedział. — A już myślałem, że nigdy mnie o to nie zapytasz. Mam na imię Kabir, ale od niedawna moi znajomi zaczęli nazywać mnie Galahad.

— A to dlaczego? — spytała Lata zaskoczona.

— Ponieważ uważają, że zajmuję się ratowaniem panienek z opresji.

— Nie byłam w takiej znowu opresji, żebym potrzebowała ratunku.

— Ja to wiem i ty to wiesz — roześmiał się Kabir — ale tym wariatom nie przemówisz do rozumu.

— Znam ten ból. Moje koleżanki są dokładnie takie same — powiedziała Lata nielojalnie. Ale co tam! W końcu Malati opuściła ją w krytycznej chwili.

— A może powiedzielibyśmy sobie również nazwiska? — zaproponował młody człowiek, starając się wykorzystać dobrą passę.

Wiedziona może jakimś instynktem samozachowawczym Lata odmówiła jego prośbie. Podobał się jej i miała nadzieję, że jeszcze się z nim zobaczy. Ale co będzie, jeśli za chwilę poprosi o jej adres? Na samą myśl o indagacjach Mrs Rupy Mehry przeszły jej po plecach ciarki.

— Lepiej nie — powiedziała raczej szorstko, a następnie, żeby to jakoś zatuszować, sama zadała pytanie: — Masz rodzeństwo?

— Tak, młodszego brata.

— Żadnej siostry? — Lata uśmiechnęła się, chociaż sama nie wiedziała właściwie dlaczego.

— Do zeszłego roku miałem młodszą siostrę.

— O... jak mi przykro... — powiedziała Lata skonsternowana. — Jakie to musiało być dla ciebie okropne... i dla twoich rodziców.

— No tak, mój ojciec strasznie rozpaczał — powiedział cicho Kabir. — Ale wygląda na to, że zaczął się już recital ustada Madżida Chana. Idziemy?

Wzruszenie, a nawet tkliwość zalały serce Laty, tak że ledwie usłyszała, co do niej mówił. Jednak posłusznie weszła za nim na salę, gdzie wspaniały wirtuoz rozpoczął już swój koncert mistrzowskim wykonaniem pierwszego utworu w programie: ragi *Śri*. Rozstali się, zajmując swoje miejsca, i zasiedli, żeby wysłuchać koncertu.

3.7

W każdej innej sytuacji Lata chłonęłaby czarowne dźwięki muzyki ustada Madżida Chana. Malati siedziała obok jak urzeczona. Ale po spotkaniu z Kabirem Lata była tak rozkojarzona, że mogłaby równie dobrze wsłuchiwać się w ciszę. Było jej lekko na sercu i uśmiechnęła się na myśl o róży w swoich włosach. W chwilę później, przypomniawszy sobie koniec ich rozmowy, zaczęła sobie wyrzucać własną oziębłość. Zastanawiała się, co miał na myśli, mówiąc: „No, tak, mój ojciec strasznie rozpaczał”. Czy nie miał matki? Może już nie żyła? Ich sytuacja rodzinna byłaby wobec tego analogiczna. Ale może matka, z jakichś względów, w ogóle nie utrzymywała kontaktów z rodziną? Może nie wiedziała nawet o śmierci swojej córki? Albo było jej to najzupełniej obojętne? Latę przeszedł dreszcz zgrozy. „Dlaczego myślę o takich okropnościach?” Może zresztą wyciągnęła zbyt pochopne wnioski z tego wyznania Kabira, że do zeszłego roku miał młodszą siostrę? Ale nie. Przecież tak wyraźnie posmutniał przy tych słowach. I taki był przy końcu spięty, że sam już chciał wracać na salę. Biedny chłopak.

Kulturalna Malati taktownie ani jej nie szturchała, ani nawet nie patrzyła w jej stronę i wkrótce Lata również zatopiła się w muzyce.

3.8

Kiedy Lata zobaczyła go następnym razem, Kabir nie był ani spięty, ani zasmucony. Wręcz przeciwnie. Szła właśnie przez dziedziniec uniwersytecki z książką w ręku i tekturową teczką pod pachą, kiedy zauważyła go przed sobą. Włókł się z kolegą, noga za nogą, ścieżką, która prowadziła na boisko. Obaj mieli na sobie kostiumy do krykieta i rozmawiali swobodnie, z ożywieniem, a Kabir wymachiwał przy tym od niechcienia kijem krykietowym. Lata była zbyt daleko za nimi, żeby usłyszeć, o czym rozmawiali, ale zauważyła, że w pewnej chwili Kabir odrzucił głowę w tył i wybuchnął szczerym, beztro-

skim śmiechem. Był bardzo przystojny, a poranne słońce podkreślało jeszcze jego urodę, i Lata, która miała właściwie zamiar skrócić do biblioteki, zamiast tego zupełnie bezwiednie podążyła za nim. Sama się dziwiła, kiedy zorientowała się, dokąd idzie, ale nie robiła sobie wcale wymówek. „A dlaczego nie?“, pomyślała buntowniczo. „Skoro on zaczął mnie już trzy razy, wolno mi chyba pójść jeden raz za nim. Chociaż myślałam, że sezon krykietowy już się skończył. Nie wiedziałam, że jest jakiś mecz w samym środku sesji egzaminacyjnej”.

Tymczasem Kabir i jego kolega wybrali się na trening przy siatkach, żeby odetchnąć trochę od nauki. Był to jego sposób na zrobienie sobie przerwy w nauce. Po drugiej stronie boiska, gdzie rozstawiono siatki treningowe, rosła mała grupka bambusów. Lata usiadła w cieniu i — nie zauważona przez młodych krykiecistów — przyglądała się im obu, jak na zmianę to rzucali kulą, to uderzali w nią kijem krykietowym. Nawet entuzjazm Prana nie przekonał jej do tej gry, więc nie znała się na niej zupełnie, ale oczarował ją widok Kabira ubranego od stóp do głów na biało, w koszuli rozpiętej pod szyją, bez czapki, z rozwianymi na wietrze włosami. Wodziła za nim wzrokiem, kiedy biegł, żeby zaserwować, albo stał przy kresce, odbijając kulę kijem z wielką wprawą i wyczuciem. Kabir miał mniej więcej sześć stóp wzrostu, może o jakiś cal czy dwa mniej; był szczupły, wysportowany, cerę miał jasną, prawie brzoskwińową, nos orli, a włosy czarne, falowane. Lata spędziła tam co najmniej pół godziny. Nie była pewna, bo straciła rachubę czasu. Wsłuchując się w odgłos uderzeń kija o kulę, w poszum lekkiego wietrzyka w gałęziach bambusów, w świergot wróbli i świstanie majn, a przede wszystkim w beztrocki śmiech młodych krykiecistów i w strzępki ich rozmowy, które do niej docierały, zapomniała o całym świecie i nieprędko powróciła do rzeczywistości.

Wreszcie ocknęła się i pomyślała: „Zachowuję się jak zauroczona pasterka. Jeszcze chwila, a uwierzę, że przy wyczynach sportowych Kabira krykiecisty błędnie nawet wirtuozeria Kryszny flecisty”. Rozśmieszyło ją to porównanie. Wreszcie wstała, otrzepała śalwar-kamiz z suchych liści, które się doń przylepiły i, nadal przez nikogo nie zauważona, wróciła ścieżką, którą przyszła.

— Musisz koniecznie dowiedzieć się, kto to jest — powiedziała tego popołudnia do Malati, obrywając listeczki z gałązki, którą drapała się bezmyślnie po ramieniu.

— Niby kto taki? — droczyła się z nią Malati, zachwycona takim obrotem sprawy.

Lata jęknęła rozdrażniona.

— Przecież powiedziałabym ci o nim parę rzeczy od razu po koncercie. Tylko że mi nie pozwoliłaś — wypomniała jej Malati.

— No, co na przykład? — zapytała Lata z nadzieją w głosie.

— Na wstępie dwa podstawowe fakty — rzekła Malati zwo-
dniczo. — Nazywa się Kabir i gra w krykieta.

— To już sama wiem — odburknęła Lata z wyrzutem. — Ale nic poza tym. Nic więcej nie wiesz na jego temat?

— Nie — odparła Malati. Zastanawiała się, czy nie wymyślić jakichś rodzinnych powiązań z przestępczym półświatkiem, ale doszła do wniosku, że byłaby to zbyt okrutna zabawa.

— To dlaczego powiedziałaś: „na wstępie”? Wiesz coś jeszcze?

— Nic a nic — westchnęła bezradnie Malati. — Właśnie miałam zamiar zadać parę zasadniczych pytań agentowi mojego wywiadu, kiedy rozpoczęła się druga część koncertu i już nie zdążyłam.

— Ale jak będziesz chciała, to się dowiesz więcej, przecież cię znam.

Wzruszająca była ta niezachwiana wiara Laty w talenty wywiadowcze przyjaciółki, sama Malati nie podzielała jej jednak do końca. Znała rzeczywiście mnóstwo ludzi, ale był to koniec roku akademickiego i wielu studentów — a w tym również i wyżej wymieniony konfident z Bharatendu Auditorium — wyjechało już z Brahmpuru na wakacje; Malati także szykowała się do wyjazdu do Agry.

— Zaraz, zaraz, po nitce do kłębka. Trzeba się zastanowić, od czego zacząć. Agencja Detektywistyczna Triwedi liczy na twoją współpracę, bo czas ucieka. Przypomnij sobie, co ci powiedział na swój temat. Każdy szczegół może być na wagę złota.

Lata starała się wygrzebać z pamięci wszystko, o czym mówił, ale bezowocnie.

— Nic nie pamiętam — skapitulowała wreszcie. — O, poczekaj, jego ojciec jest wykładowcą matematyki.

— Na Uniwersytecie Brahmpurskim? — zapytała Malati.

— Tego nie wiem — odparła Lata. — Aha, i jeszcze coś. Chyba interesuje się literaturą. Chciał, żebym poszła jutro na spotkanie w Towarzystwie Miłośników Literatury.

— W czym problem? Idź i sama go o wszystko wypytaj — powiedziała Malati, która wyznawała zasadę „do odważnych świat należy”. — Na przykład, czy czyści zęby szczoteczką firmy Kolynos. „Czar uśmiechu Kolynos!”

— Za nic w świecie — powiedziała Lata tak stanowczo, że Malati po prostu zamurowało.

— Zakochałaś się w nim, czy co?! — zapytała prosto z mostu. — Przecież nie wiesz nawet, kto zacz... ani z jakiej pochodzi rodziny... Nie wiesz nawet, jak się nazywa. A to podstawa.

— Podstawa, podstawa — burknęła Lata. — Są ważniejsze rzeczy niż te twoje „podstawy”.

— O, tak — ironizowała Malati. — Wiesz na przykład, że ma takie piękne, białe zęby i wspaniałą czarną czuprynę. „Oderwała się kompletnie od rzeczywistości. Rozmarzona, całym swym jestestwem czuła przy sobie jego obecność. Jego muskularne ciało było tuż obok niej, na wyciągnięcie ręki. Był dla niej wszystkim, całym światem. Poza nim nie istniało nic: żyła dla niego, poprzez niego; żyła, żeby żyć u jego boku, w jego cieniu. Wiecznie, nierozłącznie, do ostatniego tchnienia”. Wczuвам się w to nawet, wiesz?

— Jak będziesz opowiadać takie głupoty... — powiedziała Lata, czując, jak ognie biją jej na policzki.

— No, już dobrze, dobrze — rzekła Malati, zaśmiewając się. — Do wiem się o nim tyle, ile mi się uda.

Wpadła właśnie na pomysł, żeby poczytać sprawozdania z meczów krykietowych w gazetkach uniwersyteckich, poszperać w kancelarii uniwersyteckiej, a także wypytać się o niego w katedrze matematyki.

Głośno zaś powiedziała:

— No, dobra, zajmę się panem Trąbalskim. Mucha nie siada! Ale słowo daję, Lata: patrząc na ciebie, nikt by się nie domyślił, że masz przed sobą jeszcze jeden egzamin. Miłość dobrze ci robi. Musisz się częściej zakochiwać.

— Dzięki za dobrą radę — powiedziała Lata bez entuzjazmu. — Jak już zostaniesz lekarzem, niewątpliwie będziesz zalecała podobną kurację swoim pacjentom.

3.9

Następnego dnia, o piątej, Lata zjawiała się pod numerem dwudziestym na Hastings Road. Tego ranka miała właśnie swój ostatni egzamin. Była przekonana, że nie poszedł jej zbyt dobrze, ale myśl o Kabirze dodawała jej otuchy, pomagając zapanować nad nerwami. Teraz szukała go wzrokiem w piętnastoosobowej grupie mężczyzn i kobiet zgromadzonych w salonie sędziwego Mr Naurodźego, gdzie już od niepamiętnych czasów odbywały się spotkania Brahmurskie-go Towarzystwa Miłośników Literatury. Ale Kabir albo jeszcze nie przyszedł, albo zmienił plany i postanowił w ogóle podarować sobie to spotkanie.

Pokój zastawiony był krzesłami obitymi kwiecistą tapicerką, na których leżały równie wzorzyste pękate jaśki.

Mr Naurodźi, chudzielec niskiego wzrostu, o łagodnym usposobieniu, z równiutko przystrzyżoną siwą kocią bródką, przewodniczył posiedzeniu, wyelegantowany, w szykownym popielatym garniturze. Wypatrzywszy wśród gości nowo przybyłą nieznajomą, przedstawił się Lacie i przywitał się z nią serdecznie. Inni, rozmawiając w grupkach, na stojąco albo usadowieni na krzesłach, w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Czując się początkowo nieswojo, wyjrzała przez okno. W środku maleńkiego, ładnie utrzymanego ogródka stał słoneczny zegar. A co będzie, jeśli Kabir wcale się tu dzisiaj nie pojawi? Ze wszystkich sił odpychała od siebie tę natrętną myśl. Bo przecież tak bardzo cieszyła się na to spotkanie...

—

Dzień

dobry,

Kabir.

No, nareszcie!

— Dzień dobry, Mr Naurodzi.

Na dźwięk jego niskiego, miłego głosu Lata odwróciła się i obdarzyła go takim radosnym uśmiechem, że przyłożył splecione ręce do czoła i cofnął się o parę kroków.

Lata nie wiedziała, jak zareagować na te jego wygłupy, których na szczęście nikt inny nie zauważył. Mr Naurodzi zasiadł teraz przy dużym, owalnym stole po drugiej stronie pokoju i chrząkał lekko, żeby przywołać zebranych do porządku. Lata i Kabir usiedli na pustej sofie obok ściany najbardziej oddalonej od stołu. Zanim zdołali cokolwiek do siebie powiedzieć, mężczyzna w średnim wieku, o okrągłej, puciołowatej, wesołej twarzy i jasnych oczach podał im plik kartek chyba z odbitymi przez kalkę wierszami.

— Makhidżani — powiedział wielce zagadkowo.

Mr Naurodzi przepłukał gardło łykiem wody z jednej ze stojących przed nim na stole trzech szklanek i odezwał się niezbyt głośno, tak że Lata i Kabir ze swojego miejsca ledwie słyszeli, o czym mówi:

— Drodzy członkowie oraz przyjaciele Brahmurskiego Towarzystwa Miłośników Literatury. Zgromadziliśmy się tutaj dzisiaj na tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym ósmym posiedzeniu naszego Towarzystwa. Uważam spotkanie za otwarte. — Tu wyjrzał przez okno z melancholią w oku, przetarł okulary chusteczką do nosa, a potem ciągnął dalej: — Pamiętam, jak pewnego razu naszym honorowym gościem był Edmund Blunden, który powiedział w swoim przemówieniu. .. pamiętam to po dziś dzień... powiedział w swoim przemówieniu. ..

— Mr Naurodzi zamilkł na chwilę, odkaszlnął i spojrzał na kartkę, którą miał przed sobą. Jego skóra wydawała się równie wiotka jak papier. Potem mówił dalej: — Taaak, tysiąc sześćset dziewięćdziesiąte ósme spotkanie. Członkowie Towarzystwa recytować dziś będą własne utwory. Widzę, że rozdano już odbitki. W przyszłym tygodniu będziemy mieli okazję wysłuchać wykładu profesora O.P. Miśry z katedry anglistyki, pod tytułem: „Eliot: Co pokaże czas?”

Lata, pomimo pamiętnej różowej kąpieli profesora Miśry w balii, lubiła jego wykłady, więc zainteresowała się teraz szczerze, chociaż tytuł wydał się jej nadzwyczaj tajemniczy.

— Troje poetów recytować dziś będzie swoje utwory — mówił dalej Mr Naurodzi — po czym, mam nadzieję, zostaną państwo z nami na herbacie. Szkoda tylko, że — jak widzę — mój znakomity młody kolega, Mr Śorabdzi, nie znalazł dzisiaj dla nas czasu i nie zjawił się na spotkaniu — dodał tonem lekkiej wymówki.

Pięćdziesięciosiedmioletni Mr Śorabdzi, podobnie jak Mr Naurodzi, pars, był prorektorem na Uniwersytecie Brahmpurskim i uczęszczał na liczne spotkania literackie, zarówno wewnątrz-, jak i poza-universyteckie, ale zawsze jakoś udawało mu się wykręcić od obecności na spotkaniach, na których amatorzy popisywali się swoim twórczym dorobkiem.

Mr Naurodzi uśmiechnął się nieśmiało.

— Poeci, którzy zaprezentują nam dzisiaj swoje utwory, to doktor Wikas Makhidżani, Mrs Suprija Dżośi...

— Srimati Suprija Dżośi — przerwał mu gromki, kobiecy głos.

Piersiasta Mrs Dżośi podniosła się, żeby poprawić prowadzącego.

— Eee... tak... właśnie... utalentowana poetka Śrimati Suprija Dżośi i, oczywiście, ja sam, Mr R.P. Naurodzi. Ponieważ siedzę już przy stole, pozwolę sobie, jako przewodniczący, przeczytać w pierwszej kolejności własne wiersze. Będzie to niejako przystawka do głównego dania, których to specjalów zakosztują państwo nieco później. A więc: *bon appetit*. — Tu wydał z siebie ni to zduszony chichot, ni to smętne westchnienie, przełknął ślinę i pociągnął ze szklanki łyk wody. — Pierwszy wiersz, który chciałbym państwu zaprezentować, zatytułowany jest *Ogień namiętności*.

Ogień namiętności trawi mnie,

Niegasnący nigdy żar. Jesienny wicher w polu dmie:

Ogień namiętności trawi mnie. A wiosna piosnką budzi się

Miłosną, roztaczając czar...

Ogień namiętności trawi mnie, Niegasnący nigdy żar.

Przy ostatnich słowach wiersza Mr Naurodzi mężnie walczył ze łzami. Skierował wzrok na zegar słoneczny w ogrodzie za oknem i, biorąc się w garść, powiedział:

— To był triolet. A teraz przeczytam państwu balladę pod tytułem *Wygasły płomień*.

Przeczytał jeszcze trzy inne wiersze, wszystkie w podobnym stylu, spuszczać nieco z tonu przy każdej kolejnej recytacji, aż wreszcie zamilkł, jakby wypalił się do cna. Następnie wstał jak ktoś, kto znalazł się oto u kresu nieskończonej, wyczerpującej podróży, po czym usiadł na wyściełanym krześle obok stołu prezydialnego.

W czasie krótkiej przerwy przed następną recytacją Kabir i Lata popatrzyli na siebie pytająco. Oboje starali się za wszelką cenę zdusić w sobie śmiech, ale porozumiewawcze spojrzenia tylko to utrudniały.

Na szczęście mężczyzna o puciołowatej, wesołej twarzy, który wcześniej rozdawał kartki z wybranymi na ten dzień wierszami, podbiegł teraz żwawo do stołu prezydialnego, powiedział krótko: „Makhidżani”, po czym usiadł.

Po tej błyskawicznej prezentacji rozpromienił się, jeszcze bardziej wniebowzięty niż uprzednio. W pobożnym niemal skupieniu, niczym w błogostanie, przerzucił plik papierów, a potem uśmiechnął się do Mr Naurodżego, który skulił się na krześle jak nastroszony wróbel szukający pod strzechą schronienia przed burzą. Swego czasu Mr Naurodzi starał się odwieść doktora Makhidżaniego od zamiaru publicznego występu, ale spotkał się z takim gniewem tego dobrotliwego skądinąd człowieczyny, że nie miał innego wyjścia: musiał ustąpić. Jednakże przeczytawszy wcześniej zaproponowane na dzisiejsze spotkanie poematy, żałował, że bankiet nie zakończył się na przystawkach.

— *Hymn do Matki Indii* — powiedział doktor Makhidżani lakonicznie, a potem znowu się rozpromienił, powiódłszy wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Pochylił się do przodu z werwą godną krzepkiego kowala i odczytał swój poemat, włączając w to numery zwrotek, które wyklepywał niby podkowy.

*1. Jako dziecię przy piersi matczynej,
Twojej miłości żądnym w każdej dobie.
Czyś w łachmanach, czy w szatach,
Jedyna, Ja, poeta, hołd dziś składam Tobie.*

*2. Lekarz w serca wsłuchuje się bicie,
Z własnym sercem ściśniętym z rozpacz.
Gdzież jest ten, co przywróci mi życie?
Czy mi, Matko, mą niemoc wybaczysz?*

*3. Tyś przez wiatr wysmagana i burze,
Lecz swych synów z rąk śmierci wydzierasz.
Tyś ich słodką Sawitri, ich stróżem,
Ty im bramy Wolności otwierasz.*

*4. Ty kształtujesz ich cnotliwe dusze,
Od stolicy po Kaszmiru ziemie.
Gdzie w Gangesu wodach giną susze,
Ku zwycięstwu wiesziesz swoje plemię.*

*5. Ach, boleję, Matko, nad Twą mąką,
Gdyś w kajdanach legła, zaprzędana.
Przyplaciliśmy poddańczość klęską!
Krwia najeźdźców dziś hańba zmazana!*

Przy powyższych słowach wzruszenie ścisnęło doktora Makhi-dżaniego za gardło, ale na szczęście już następna zwrotka przyniosła mu ukojenie.

*6. Niejeden w walce wstawił się nasz brat,
Mlekiem Twym matczynym wykarmiony.*

*I bohaterów narodowych kwiat
W przyszłość wie dzie kraj nasz odrodzony.*

Zwracając się do Mr Naurodżego, który siedział jak na szpilkach, doktor Makhidżani oddał teraz cześć jednemu z ojców hinduskiego ruchu niepodległościowego, który nosił tak samo brzmiące nazwisko.

*7. Dadabhai Naurodżi w Parlamencie
Przemawia jako poseł z Finsbury.
Wolnej Ojczyzny głosi poczęcie,
Pomny na Twe niedawne tortury.*

W tym momencie Lata i Kabir wymienili spojrzenia, w których przestrach mieszał się z rozbawieniem.

*8. „Prawnie należy mi się ziemia ta!
Próżne lamenty twe, B.G. Tilak!
W forcie Mandalay smutna doła twa.
W piekle tym spędzisz sześć niedobrych lat.*

9. Śmiały *Bengalczykwznosigniewniedłoń,*
*Nad losem Matki wylewając łzy.
I po kryjomu czyści nocą broń,
Lecz biały wróg z pogrózek jego drwi.*

Przy tych sugestywnych opisach głos doktora Makhidżaniego zadrżał wolą walki. Końcowe zwrotki poświęcone były bohaterom niedalekiej przeszłości oraz wybitnym osobistościom współczesnej sceny politycznej.

*26. Wyprzątnął nam dom Mahatma Gandhi.
Precz nieprawościom! Wszeteczeństwu precz!
Sam pełen winy, czoło chylę przed Nim. Bacność!*

W pokorze oddaję mu cześć.

Przy tych słowach doktor Makhidżani stanął na baczność na znak szacunku i wyrecytował trzy ostatnie zwrotki.

*27. Gdy Brytyjczycy wycofali się
Premierem został nasz Dżawaharlal.
Rozświetlił nasze noce, nasze dni,
Rozstawił w całym świecie wolny kraj.*

*28 W jedności siła!, rzekł swym ziomkom.
Wraz, Wszyscy stawili się na jego zew.
Czy hindus to, czy sikh, czy dżinista czy pars
— Porozumienie zastąpiło gniew.*

*29. Kowalem swego losu każdy z nas,
Na włościach swoich każdy radzajest.
Braterstwo! Wolność — najjaśniejsza z gwiazd!
Makhidżani Ci, Matko, składa cześć.*

Posłuszny tradycji poezji urdyjskiej i hinduskiej, przejęty do głębi własnym wystąpieniem bard umieścił swe nazwisko w ostatniej zwrotce. Teraz usiadł rozpromieniony, ocierając pot z czoła.

Kabir pisał coś z zacięciem na kartce, a kiedy skończył i podał ją Lacie, ich dłonie spotkały się przypadkowo. Zelektryzowało ją to dotknięcie, chociaż dusiła się ze śmiechu. To on pierwszy, po paru sekundach, cofnął dłoń, a ona przeczytała to, co napisał.

*Pragnieniem moim ulotnić się jest
Ze świątyni Liry; okaż względy
I prośbę moją pod uwagę weź. Nie zwlekajmy!
Zwiewajmy w te pędy!*

Jakkolwiek powyższy czterowiersz nie dorównywał oczywiście wzniosłym strofom doktora Makhidżaniego, treść jego była całkowicie zrozumiała. Jak na komendę Lata i Kabir podnieśli się z sofy i zanim niepokieszony doktor Makhidżani zdołał ich powstrzymać, wymknęli się czym prędzej z pokoju.

Na ulicy, na świeżym powietrzu, dali upust swojej wesołości i przez parę minut zaśmiewali się szaleńczo, cytując na przemian urywki z patriotycznego hymnu doktora Makhidżaniego. Kiedy się wreszcie trochę opanowali, Kabir zaproponował:

— A może byśmy tak wstąpili gdzieś na kawę? Na przykład do Blue Danube?

Lata, obawiając się, że może ją tam wyśledzić ktoś ze znajomych i, co gorsza, donieść o tym Mrs Rupie Mehrze, pokręciła głową odmownie:

— Nie mogę. Słowo daję. — I dodała ze szczyptą autoironii: — Muszę wracać do domu. Do matki.

Kabir nie mógł oderwać od niej oczu.

— Ale przecież wszystkie egzaminy masz już za sobą — powiedział. — Musisz to jakoś uczcić. Mnie zostały jeszcze w tej sesji dwa.

— Bardzo bym chciała. Ale musiałam się porządnie nagłowić, żeby się wymknąć na to spotkanie. Już to było przejawem niesubordynacji.

— Może przynajmniej umówmy się tutaj znowu w przyszłym tygodniu. Na Eliota. — Kabir pokłonił się jej nisko, zamiatając błazeńsko dłonią po chodniku niczym gogusiowaty dworzanin, co wywołało uśmiech na jej twarzy.

— A będziesz jeszcze wtedy w Brahmpurze? — upewniła się zdziwiona. — Chociaż to wakacje?

— Jasne, że tak — odparł Kabir. — Przecież mieszkam tutaj na stałe.

Nie miał wcale ochoty się z nią rozstać, ale wreszcie, uznawszy, że nie ma sensu przeciągać pożegnania, wsiadł na rower i powiedział:

— Do zobaczenia w następny piątek... A kto wie, może jeszcze wcześniej? Jesteś pewna, że nie mógłbym cię nigdzie podrzucić na moim rowerze?

Mogę zabrać pasażera. Zawsze wyglądasz prześlicznie. Nawet kiedy masz nosek umorusany!

LR

Lata zarumieniła się, rozglądając się wokoło z niepokojem.

— Nie, naprawdę muszę już iść. Do widzenia — powiedziała. — I... i dziękuję.

3.10

Po powrocie do domu Lata poszła prosto do swojego pokoju, starając się zejść z oczu matce i siostrze. Położyła się na łóżku i wpatrywała w sufit, podobnie jak parę dni temu, kiedy leżała na trawie i spoglądała w niebo przez gałęzie dzakarandy. Raz po raz powracała myślami do tej chwili, kiedy Kabir podawał jej kartkę ze swoją zabawną rymowanką i ich dłonie zetknęły się przypadkowo.

Na dzwonek telefonu podczas kolacji podniosła się z miejsca, żeby go odebrać, jako że siedziała akurat najbliżej aparatu.

— Słucham? — powiedziała, podnosząc słuchawkę.

— Cześć... To ty, Lata? — Usłyszała głos Malati.

— Tak — odparła radośnie.

— Dowiedziałam się paru rzeczy. Wyjeżdżam dziś wieczorem na dwa tygodnie, więc postanowiłam ci powiedzieć od razu. Sama jesteś? — zapytała Malati ostrożnie, badając grunt.

— Nie — odparła krótko Lata.

— A mogłabyś się wyrwać z domu za jakieś pół godziny?

— Chyba nie — powiedziała Lata.

— Złe wieści — powiedziała Malati poważnie. — Lepiej nie zwracaj sobie nim głowy.

Lata milczała.

— Jesteś tam jeszcze? — spytała zaniepokojona Malati.

— Hm — mruknęła Lata, zerkając nieufnie na pozostałą trójkę zgromadzonych przy kolacji. — Mów.

— No więc, jest członkiem uniwersyteckiej drużyny krykieta — powiedziała Malati, nie kwapiąc się, żeby od razu zakomunikować przyjaciółce okropną nowinę. — Jest jego zdjęcie z drużyną w gazetce uniwersyteckiej.

— Tak? — powiedziała Lata. — I co z tego?

— Lata! — wyrzuciła wreszcie z siebie Malati, bez dalszego owijania w bawełnę. — Nazywa się Durrani.

„Więc co z tego?“, pomyślała Lata. „To znaczy, że co? Może jest sindhijczykiem albo coś takiego? Jak na przykład... no, kto?... Cétwani albo Adwani... albo... albo choćby i Makhidźani?“

— To muzułmanin — powiedziała Malati, wytrącając ją z zamyślenia. — Jesteś tam jeszcze?

Lata utkwiała wzrok w martwym punkcie. Sawita odłożyła nóż i widelec i popatrzyła na siostrę z niepokojem. Malati kontynuowała:

— Nie masz szans. Twoja rodzina stanie przeciwko niemu murem. Zapomnij o nim. Powiedz sobie: trudno, przepadło. Nie raz się człowiek w życiu sparzy. I będziesz miała nauczkę: zawsze, od razu na wstępie, pytaj o nazwisko kogoś, kto ma takie nic nie mówiące imię... Dlaczego się nie odzywasz? Słuchasz mnie?

— Tak — powiedziała Lata poruszona.

Setki pytań cisnęły się jej na język i właśnie teraz szczególnie potrzebowała porady swojej przyjaciółki, a także jej współczucia i moralnego wsparcia. Powiedziała powoli, z udaną obojętnością:

— Muszę już kończyć. Jemy właśnie kolację. Malati powiedziała:

— Do głowy by mi to nie przyszło... po prostu zupełnie nie przyszłoby mi to do głowy... Ale że i ty się nie połapałaś... No, wiesz, z takim imieniem... Chociaż z drugiej strony, każdy Kabir, którego znam, to hindus... Kabir Bhandare, Kabir Sondhi...

— Nie połapałam się. I mnie nie przyszłoby to do głowy — powtórzyła za nią Lata. — Dzięki, Malu. — Zdrobienie to, którego czasami używała, było wyrazem ich przyjaźni i zażyłości. — Dzięki za... za... no, wiesz za co...

— Tak mi przykro. Co za pech!

— To nic, to nic. Nie przejmuj się. Do zobaczenia po twoim przyjeździe.

— Poczytaj coś P.G. Wodehouse'a — poradziła jej Malati na pożegnaniu. — Pa.

— Pa — rzekła Lata i odłożyła słuchawkę.

Wróciła do stołu, ale nie mogła nic więcej przełknąć. Mrs Rupa Mehra natychmiast starała się dowiedzieć, co się stało. Sawita postanowiła na razie nic nie mówić. Pran popatrywał na nią podejrzliwie.

— To nic wielkiego — powiedziała Lata, zerkając na pełną niepokoju twarz matki.

Po kolacji poszła do swojej sypialni. Nie mogła znieść rozmowy z rodziną, drażniły ją nadawane w radiu wiadomości. Położyła się na łóżku, wtuliła głowę w poduszkę i wybuchła płaczem. Łkała prawie bezgłośnie, powtarzając jego imię. Wyrzucała mu jego przewinienie z gniewem, który był jednocześnie miłością.

3.11

Przestrogi Malati były całkiem zbyteczne. Lata sama dobrze wiedziała, że to sytuacja bez wyjścia. Wyobrażała sobie, jakie przerażenie wzbudziłaby w matce wiadomość, że jej córka zadaje się z muzułmaninem, na jakie moralne cierpienia by ją to naraziło.

Każdy chłopak stanowił, według niej, zagrożenie, ale coś takiego przechodziło zupełnie jej wyobrażenia. Taki wstyd! Taka hańba! Serce by jej chyba pękło z bólu, zapłakałaby się na śmierć. Lata już słyszała jej skargi: „Za co spadła na mnie taka straszliwa kara? Cóż takiego uczyniłam w moim poprzednim wcieleniu?” Byłaby niepokieszona i przeżyła resztę swoich dni w rozpacz, że jej ukochane dziecko dostało się w „ich” łapy. Muzułmanin... Nie!, to słowo nie przeszłoby jej nawet przez gardło.

Dniało już. Ze swego łóżka Lata obserwowała ukradkiem matkę, która, jak co rano, odczytywała sobie po cichu dwa rozdziały z *Gity*. *Gita* zalecała równowagę ducha, spokój, rozsądek, dystans do spraw przyziemnych, choćby i tych najbardziej kłopotliwych i denerwujących. Mrs Rupa Mehra nie stosowa-

ła się jednak do zaleceń *Gity* w praktyce; nie leżało to w jej naturze. Samo czytanie sprawiało jej przyjemność, ale nie wyciągała z niego żadnej nauki. Nie byłaby sobą, gdyby pewnego dnia zaczęła podchodzić do życia bez emocji.

Lata miała nadzieję, że matka tłumaczy sobie jej trudną do ukrycia rozterkę podnieceniem w oczekiwaniu na wyniki egzaminów, choć nie uszły jej bacznej uwagi zatroskane spojrzenia Mrs Rupy Mehry.

„Że też Malati musiała wyjechać akurat teraz”, myślała rozżalona Lata.

Że też musiała go poznać. Że też ich dłonie się spotkały... Że też...

„Gdybym tylko mogła przestać zachowywać się jak idiotka”, mówiła sobie Lata. Malati zawsze utrzymywała, że to zakochani chłopcy zachowywali się jak kretyni, słuchając do znudzenia sentymentalnych gazeli i wzdychając po kątach cierpiętnicze. Zobaczy się z nim dopiero za tydzień. Za tydzień! Choć może to i nawet lepiej, bo gdyby mogła się z nim skontaktować wcześniej, zupełnie nie wiedziałyby, jaką przyjąć wobec niego postawę. A tak ma przynajmniej jeszcze trochę czasu na przemyślenie wszystkiego.

Przypomniała sobie, jak beztrósco zaśmiewali się wczoraj na ulicy pod domem Mr Naurodźego i znowu łzy napłynęły jej do oczu. Łzy gniewu i rozżalenia. Podeszła do półki z książkami Prana i, za radą okrutnie czasami szczerzej, ale zawsze życzliwej i życiowo mądrej Malati, sięgnęła po pierwszą pozycję P.G. Wodehouse'a, która nawinęła się jej pod rękę: *Świnie mają skrzydła*.

— Nic ci nie jest? — zapytała zatroskana Sawita.

— Nie, nic — odparła Lata. — A jak maleństwo? Kopało znowu wczoraj?

— Chyba nie. Przynajmniej nic nie czułam. Przespałam spokojniutko całą noc.

— Powinni je nosić mężczyźni — powiedziała Lata ni w pięć, ni w dziewięć. — Idę na spacer nad rzekę. — Uznała, całkiem słusznie, że Sawita w swoim stanie nie będzie chciała się wspinać po stromej ścieżce, która prowadziła z miasteczka uniwersyteckiego na nadrzeczną plażę.

Zdjęła pantofle i włożyła sandaalki, które były dużo wygodniejsze. Schodząc po gliniastym, rozmokłym, stromym zboczu na brzeg Gangesu, zauwa-

żyła gromadkę małych figlujących w gałęziach figowca, którego konary splatały się, tworząc jakby baldachim. Pomiedzy pnie wciśnięta była maleńka, pomalowana na pomarańczowo figurka bożka. Na ogół małpy cieszyły się na widok Laty, ponieważ, gdy tylko pamiętała, przynosiła im owoce i orzechy, ale dzisiaj, z głową zaprzątniętą zmartwieniem, zapomniała zupełnie o swoich podopiecznych, a one nie omieszkały okazać jej dezaprobaty. Kilka mniejszych szarpało ją za łokcie, domagając się spodziewanych smakołyków, a jeden duży, groźny samiec wyszczerzył nawet na nią gniewnie zęby; na szczęście tylko z daleka.

To jednak pozwoliło jej odsunąć od siebie na chwilę złe myśli. Zaczęła idealizować świat zwierzęcy, który wydawał się jej — prawdopodobnie zupełnie bezpodstawnie — o wiele prostszy niż świat homo sapiens. Chociaż była już w połowie drogi nad rzekę, wróciła do domu i wzięła z kuchni dwie papierowe torby: jedną pełną orzeszków ziemnych, a drugą mausami. Wiedziała, że największym przysmakiem małek były pomarańcze, ale w lecie można było dostać tylko słodkie limony o grubych, zielonych skórkach.

Na szczęście małpy nie były tego dnia zbyt wybredne, a wręcz przeciwnie — wydawały się całkowicie usatysfakcjonowane. Nie zdążyła nawet jeszcze zawołać do nich „aa, aa!”, czego nauczyła się od pewnego sędziwego świętego męża, sadhu, a obiegiły ją ze wszystkich stron, wypatrzywszy sprytnie papierowe torby. Czepiały się jej, starając się wyrwać z rąk smakołyki i tuląc się do niej przymilnie. Skakały po drzewach w podnieceniu, piszcząc cieniutko albo warcząc gardłowo, w zależności od wieku i postury, zwieszając się z gałęzi i nadziemnych korzeni na ogonach i wyciągając po prośbie łapy. Jeden pazerny grubianin, kto wie czy nie ten, który szczyrzył na nią poprzednio zębiska, wypchał sobie orzeszkami ziemnymi policzki, żeby zagarnąć jak najwięcej. Lata rozsypała trochę zapasów po ziemi, ale głównie karmiła je z ręki. Dwie najmniejsze małpki domagały się swojej doli, tarmosząc Latę beczere-monialnie za ramię, żeby przyciągnąć jej uwagę, a kiedy zaciskała dłoń, żeby się z nimi podroczyć, otwierały ją delikatnie, nie zębami, tylko palcami.

Największe zuchwalce nie pozwoliły jej nawet obrać mausami. Trzy soczyste owoce znalazły się w mgnieniu oka w posiadaniu trzech okazałych osobników, tak że tym razem nie udało się jej porozdzielać przysmaków

zgodnie z zasadami demokracji. Jeden z rabusiów uciekł ze swoim łupem w dół po zboczu, po czym usiadł na wystającym z ziemi korzeniu. Dopiero tam wziął się do jedzenia, obierając owoc do połowy i wygryzając ze środka miąższ. Drugi, mniej wybredny, zjadł wszystko razem ze skórką.

Zaśmiewając się, Lata zamachnęła się z całej siły torbą z resztkami orzeszków, tak że ta wylądowała na gałęzi figowca, skąd spadła i utknęła na jednym z dolnych konarów drzewa. Jeden z samców wypiął na Latę różowe pośladki, wdrapując się po pniu, żeby zagarnąć smakowity kąsek. Co jakiś czas odwracał się, szczerząc groźnie zęby na rywali, którzy również wdrapowali się po grubych pędach figowca. Wreszcie złapał całą torbę i wspiął się wyżej, żeby nacieszyć się zdobyczą. Ale torba nagle — trach! — pękła i wypadły z niej wszystkie orzechy. Widząc to, młode, chude małpiątko przeskoczyło w podnieceniu z jednej gałęzi na drugą, ześlizgnęło się, straciło równowagę, rąbnęło się w głowę i spadło na ziemię. Potem uciekło, popiskując.

Zamiast przejść się spacerkiem nad rzekę, tak jak planowała, Lata usiadła teraz na sterczącym z ziemi korzeniu, gdzie przed chwilą łakomy samiec pałaszował swoje mausami, i starała się skupić na treści książki, którą miała przed oczami. Nie mogła się jednak skoncentrować, więc wstała, zawróciła ścieżką pod górę i udała się do biblioteki.

Przejrzała najnowsze wydanie gazetki uniwersyteckiej, czytając z wielkim zainteresowaniem nazwiska pod zdjęciem drużyny i całe sprawozdania z meczów krykieta, które kiedyś pominełaby z pogardą. Autor sprawozdań, podpisany inicjałami S.K., posługiwał się stylem urzędowym, choć jednocześnie pisał całkiem obrazowo. Zamiast używać w swoich artykułach imion, na przykład Achileś i Kabir, operował nazwiskami. Donosił więc, że Mr Mittal i Mr Durrani spisali się doskonale, zdobywając siedem bramek.

Z jego relacji wynikało, że Kabir miał dobry serw i był całkiem niezły w obronie. Chociaż jako bramkarz wyraźnie nie był geniuszem (plasował się na dość niskiej pozycji), parę razy wyratował swoją drużynę z opresji, stając się opoką w obliczu zagrożenia. I musiał szybko biegać, ponieważ czasami podczas meczu robił trzy okrażenia, a raz nawet zdarzyło mu się przebiec cztery. S.K. pisał o tym, jak następuje:

Niżej podpisany sprawozdawca nigdy przedtem nie widział nic podobnego. Fakt, że boisko, szczególnie przy granicach pola gry, tonęło w wodzie, skapane w potokach porannej ulewy, i że odległość od środkowej bramki po stronie współzawodników jest wyjątkowo duża. Temu nie da się zaprzeczyć. Nie ulega również wątpliwości, że w linii ataku drużyny przeciwnika powstało zamieszanie i że jeden z nich po prostu poślizgnął się i upadł w pościgu za kulą. Te mało znaczące szczegóły pójdą wkrótce w zapomnienie, ale widok dwóch młodych sportowców, którzy lotem błyskawicy przebiegli cztery razy, tak!, cztery razy pomiędzy kreskami z prędkością godną rutynowanych sprinterów, wrył się z pewnością na trwałe w pamięć brahmpurczyków. Na oczach zdumionych widzów panowie Durrani i Mittal dokonali cudu, gdyż nie dopuścili, żeby kula wyszła na aut. Sami przy tym trzymali się również w granicach pola gry, co świadczy o tym, że nie podejmowali „dla szpanu” przesadnego, nieuzasadnionego ryzyka.

Lata czytała z zapartym tchem i przeżywała każdy mecz, jakby sama była jednym z zawodników, przed którym stoi niełatwe zadanie wymagające zarówno inteligentnego, jak i nowatorskiego rozwiązania. A im więcej czytała, tym bardziej jej serce wyrywało się do Kabira — i tego, którego znała, i tego, którego ukazał jej w swoich analitycznych opisach tajemniczy sprawozdawca sportowy S.K.

„Mr Durrani”, pomyślała, „żyjemy w świecie, który nam nie sprzyja. To cała nasza wina”.

Skoro Kabir mieszkał na stałe w Brahmpurze, to jego ojciec wykładał prawdopodobnie na Uniwersytecie Brahmpurskim. Lata odkryła w sobie nagle, ni z tego, ni z owego, żyłkę detektywa i z zapalem przewertowała stronicę opasłego tomiska Kalendarza Uniwersytetu Brahmpurskiego, gdzie pod hasłem „Wydział Nauk Ścisłych: katedra matematyki” znalazła dokładnie to, czego szukała. Doktor Durrani nie kierował wprawdzie tą katedrą, ale w opinii Lata dwudziestu profesorów równać by się z nim nie miało prawa, gdyż przy jego nazwisku widniały trzy magiczne literki, które wskazywały, że był członkiem Królewskiego Towarzystwa Naukowego.

No, ale co z Mrs Durrani? Te dwa ostatnie słowa Lata wypowiedziała na głos, jakby ważyła ich znaczenie. Gdzie się ona podziewa? I kim jest brat, no i siostra, którą Kabir miał „do zeszłego roku”? Przez kilka ostatnich dni wielokrotnie powracała myślami do tych nie znanych sobie istot i tych paru zastanawiających szczegółów. W czasie tej wesołej pogawędki przed domem Mr Naurodżego wyleciały jej zupełnie z pamięci, ale nawet gdyby sobie wtedy o nich przypomniała, nie ośmieliłaby się wypytywać Kabira o takie rzeczy. No, a teraz, oczywiście, było już i tak za późno. Blask słońca opromienił na chwilę jej życie, ale musiała się usunąć w cień, jeśli nie chciała stracić własnej rodziny.

Po wyjściu z biblioteki starała się ukoić skołatany umysł. Zrozumiała teraz, że nie będzie mogła pójść na piątkowe spotkanie Brahmpurskiego Towarzystwa Miłośników Literatury.

„Lata, co pokaże czas?“, powiedziała sama do siebie, parsknęła sarkastycznym śmiechem, a potem wybuchnęła płaczem.

„Przestań!“, pomyślała. „Bo znowu jak spod ziemi wyrośnie jakiś nowy Galahad, żeby cię wyratować z opresji“. I ponownie parsknęła śmiechem, ale był to śmiech, który nie zabliznił żadnych ran, a tylko spotęgował ból.

3.12

Następnej soboty Kabir zastąpił jej drogę prawie pod samym domem. Wyszła akurat na spacer, a on przyjechał na rowerze i czekał na nią, oparty o drzewo. Wyglądał jak kawalerzysta. Minę miał ponurą. Na jego widok serce stanęło jej w gardle.

Nie było mowy, żeby mogła uniknąć spotkania, więc starała się robić dobrą minę do złej gry.

— O, cześć, Kabir.

— Cześć. Myślałem, że już nigdy nie wyjdiesz z domu.

— A skąd wiesz, gdzie mieszkam?

— Operacja wywiadowcza. Zabawiłem się w detektywa — odparł bez uśmiechu.

— Ale kto ci powiedział? — dopytywała się Lata, pełna skrupułów na myśl o własnej „działalności wywiadowczej”.

— Nieważne — powiedział Kabir, wzruszając ramionami.

Lata popatrzyła na niego ze smutkiem.

— Już po egzaminach? — spytała głosem, który zdradzał odrobinę czułości.

— Już po. Wczoraj miałem ostatni. — Nie podjął tematu.

Z miną winowajcy Lata unikała jego spojrzenia, utkwiwszy wzrok w szprychach roweru. Chciała mu rzucić prosto w twarz dręczące ją pytania: „Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? Dlaczego nie przedstawiłeś mi się już wtedy, w księgarni? Trzeba mi było powiedzieć od razu. Gdybym wiedziała, nie zaangażowałabym się uczuciowo. Nie byłabym tak głupia”. Ale w końcu widzieli się zaledwie parę razy, znali się dopiero od niedawna. Jak mogła mu robić podobne wyrzuty? Czy odwzajemniał jej uczucie? Lubił ją, tego była pewna. No tak, lubił... Ale tylko tyle... ?

Zanim zdążyła się znowu odezwać, zapytał prosto z mostu:

— Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj na spotkanie?

— Nie mogłam — odparła bezradnie.

— Przestań miętosić w palcach róg tej dupatty. Pognieciesz ją.

— Przepraszam. — Lata popatrzyła na swoje ręce ze zdziwieniem.

— Czekałem na ciebie. Przyszedłem specjalnie wcześniej. Przesiedziałem cały wykład. Wreszcie tak zgłodniałem, że zacząłem łamać sobie zęby na ciasteczkach wypieku Mrs Naurodzi. Ohyda! Twarde jak kamienie.

— O, nigdy jakoś nie pomyślałam o Mrs Naurodzi. — Lata szukała wymówki, żeby zmienić temat. — A zastanawiałam się, jakaż to muza była źródłem natchnienia dla poematu... jak to było? Zaraz, zaraz... *Ogień namiętności*, o! I co ona na to? A jak wygląda?

— Lata — powiedział Kabir markotnie — zaraz mnie zapytasz, czy podobał mi się wykład profesora Miśry. Owszem, podobał mi się, ale co z tego? Mrs Naurodzi jest różowiotka i pękata, ale co z tego? Dlaczego cię tam nie było?

— Bo nie mogłam wyrwać się z domu — powiedziała cicho Lata. Byłoby dużo lepiej, gdyby mogła się unieść gniewem; łatwiej by jej było wówczas odpierać jego ataki. Tymczasem paraliżowała ją nieśmiałość.

— Więc teraz chodź ze mną na kawę do uniwersyteckiej kawiarenki.

— Nie mogę — odparła stanowczo, a on pokręcił głową z niedowierzaniem. — Naprawdę nie mogę — powtórzyła. — Proszę cię, pozwól mi odejść.

— Przecież cię nie zatrzymuję — powiedział z udaną obojętnością.

Lata popatrzyła na niego i westchnęła:

— Nie możemy tu przecież tak stać bez końca.

Kabir nie dał się nabrać na takie wykrety.

— To stańmy gdzieś indziej. Chodźmy na spacer do parku Curzona.

— Byle nie tam! — zaprotestowała energicznie Lata. Był to ulubiony deptak brahmpurczyków. Całe miasto wylegało tam na popołudniowe spaceru.

— To gdzie, wobec tego?

Zatrzymali się wreszcie przy figowcach na zboczu prowadzącym na nadrzeczną plażę. Kabir przywiązał rower do drzewa na końcu ścieżki. Małpy pochowały się i nie było ich jakoś w ogóle widać tego dnia. Mieli przed sobą Ganges, który przesłaniały im tylko poruszone leciutkim wietrzykiem liście w spletanych gałęziach drzew. Fale szerokiej, mulistej rzeki migotały w słońcu. Lata i Kabir usiedli obok siebie na wystającym z ziemi korzeniu, nie zamieniwszy ani słowa.

— Jak tu ładnie — powiedziała wreszcie Lata.

Kabir przytaknął skinieniem głowy, ale minę miał wciąż nadaśa-ną, a gdyby się odezwał, w jego głosie na pewno byłaby gorycz.

Pomimo przestróg Malati, Lata chciała jak najdłużej nacieszyć się jego obecnością. Czuła, że gdyby zaczął się teraz zbierać do odejścia, starałaby się go zatrzymać. Był w podłym nastroju, milczący, przygaszony, a jednak chciała być blisko niego.

Ze wzrokiem utkwionym w rzece Kabir powiedział z wielkim zapalem, jakby zapomniał nagle o swoim przygnębieniu:

— Chodź, popływamy sobie łódką.

Lata pomyślała o jeziorku Windermere, obok Sądu Najwyższego, gdzie czasem organizowano studenckie pikniki dla ich wydziału. Brahmpurczycy, całe ich tłumy, głównie małżeństwa z dziećmi, umawiali się tam ze znajomymi i wynajmowali wspólnie łódki.

— Wszyscy się tam schodzą, nad Windermere — zaproponowała Lata. — Ktoś by nas zaraz wyśledził.

— Ale ja wcale nie miałem na myśli Windermere. Dużo lepiej się pływa po Gangesie. Nigdy nie mogłem tego pojąć, że ludzie pchają się nad taką sadzawkę, kiedy mają pod nosem najwspanialszą rzekę na całej ziemi. Tam dopiero warto chwycić za wiosła albo rozwinąć żagle. Moglibyśmy popłynąć Gangesem do Barsat Mahal. Wieczorem widok jest wprost niesamowity. Każemy wiosłarzowi zatrzymać łódkę na środku rzeki i zobaczysz, jak się Barsat Mahal odbija w wodzie. — Popatrzył na nią, jakby oczekiwał aprobaty.

Lata nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy. Kabir wyczuwał jej skrepowanie i rozterkę, ale nie potrafił ich sobie wytłumaczyć.

— Dlaczego tak się na mnie boczysz? Czym ci się naraziłem? — zapytał. — Może powiedziałem coś, co cię zabolalo?

Lata potrząsnęła głową przecząco.

— To o co chodzi?

Ni z tego, ni z owego przypomniała sobie o jego poczwórnym sprincie. Znowu zamiast odpowiedzieć, potrząsnęła głową.

— Czas goi rany. Za pięć lat wszystko to będzie już dla ciebie zupełnie nieważne — powiedziała.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Kabir zdezorientowany.

— Cytuję twoje własne słowa.

— Moje własne słowa? — zapytał Kabir szczerze zdumiony. — A kiedy ci to powiedziałem,?

— Na ławeczce, na uniwerku, kiedy mnie ratowałeś z opresji. Naprawdę nie mogę się z tobą nigdzie wybrać, Kabir. Naprawdę nie mogę — powtórzyła Lata z naciskiem. — Zrozum to! Nie wiem nawet, jak możesz mi sugerować takie rzeczy! Nie ma mowy, żebym mogła pływać sobie łódką o północy wedle własnego widzimisię. Co ty sobie wyobrażasz?! — Ach! Wreszcie ten upragniony gniew!

Kabir już miał zamiar odpowiedzieć równie zaczepnie, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Milczał przez jakiś czas, a potem powiedział nad podziw spokojnie:

— Nie będę cię przekonywał, że żyję od spotkania do spotkania. Zresztą pewnie sama o tym wiesz. Zamiast o północy, spotkajmy się więc o świcie. Zawsze zamartwiasz się, że ktoś cię może zobaczyć w moim towarzystwie. Rano nie ma obawy, wtedy na pewno na nikogo się nie natkniemy. Jeśli nie chcesz przyjść sama, to weź ze sobą koleżankę. Albo nawet piętnaście. Chcę ci tylko pokazać, jak Barsat Mahal odbija się w wodzie. Jeśli naprawdę o nic się na mnie nie gniewasz, to musisz koniecznie przyjść.

— O świcie... — powiedziała Lata, głośno myśląc. — To by się może nawet dało zorganizować... Bez obawy...

— Bez obawy? — zapytał Kabir urażony. — Jak to? Nie dowierzasz mi? — Lata milczała, a Kabir ciągnął: — Wcale ci na mnie nie zależy? — I ta uwaga pozostała bez odpowiedzi. — Posłuchaj — przekonywał ją Kabir. — Gdyby się ktoś wypytywał, powiesz, że była to po prostu wycieczka szkoleniowa. W biały dzień. Z koleżanką. Z całą grupą koleżanek. Przybliżę wam historię Barsat Mahal. Nawab sahib z Bajtaru udostępnił mi swoje zbiory i to właśnie w jego bibliotece dowiedziałem się zadziwiających rzeczy na ten temat. Ja będę wykładowcą, a wy moimi słuchaczkami: „Pojechał z nami młody student historii... Jak mu tam było? Zaraz, zaraz... zupełnie wyleciało mi z pamięci... Omówił parę interesujących szczegółów, wskazał co ciekawsze miejsca... Dostarczył zupełnie niezłego komentarza. .. Nawet całkiem sympatyczny gość". Lata uśmiechnęła się smutno.

Czując, że wreszcie przebił się przez jakąś niewidzialną skorupę, Kabir powiedział:

— Spotkam się z wami tutaj, w tym miejscu, w poniedziałek rano, punktualnie o szóstej. Włóż sweter, będzie wiało od rzeki. — I dorzucił nieudolną rymowaną a la Makhidżani.

*Do Windermere nie jedź, panno Lato,
Spotkaj się ze mną nad Gangesu brzegiem;*

*A słodkich wspomnień dostarczę ci za to,
Gdzie w grupie krasnych dziewic — on, mąż jeden.*

Tym razem Lata roześmiała się radośnie.

— Przyrzeknij mi, że na pewno przyjdiesz — napierał Kabir.

— No, dobrze. Masz moje słowo. — Lata potrząsnęła głową na znak, że skapitulowała, ubolewając w duszy nad słabością własnego charakteru (choć Kabir zinterpretował ten gest, zupełnie niesłusznie, jako przejaw niezdecydowania).

3.13

Taka wyprawa z grupą piętnastu koleżanek? Gdzie się tam będą pałętały? O, nie! Lacie wcale nie uśmiechała się podobna perspektywa. Zresztą, skąd by miała aż tyle naraz wytrzasnąć? Jedna zupełnie wystarczy. Ponieważ Malati nie było niestety akurat w Brahmpurze, Lata postanowiła namówić na wycieczkę Heme. Hema odniosła się do projektu entuzjastycznie („Jakie to romantyczne!”) i natychmiast wyraziła zgodę na udział w konspiracji. Przyrzekła, że nie piśnie o tym nikomu ani słóweczka, ale nie wytrzymała i zwierzyła się, w największym sekrecie, jednej ze swoich bardzo licznych kuzynek, zaklinając ją na wszystkie świętości, żeby dochowała tajemnicy, pod groźbą, że w razie zdrady w życiu się do niej nie odezwie, a ta z kolei wypaplała wszystko swojej powiernicy pod równie zobowiązującą przysięgą. W ciągu jednego dnia owa alarmująca wiadomość dotarła do uszu Taidzi, która uznała, że co za dużo, to niezdrowo, i że nawet jej własna pobłażliwość musi mieć jakieś granice, po czym surowo zakazała Hemie ruszyć się choćby na krok z domu. Kto to słyszał, żeby kołysać się z jakimiś chłopaczyskami w łódce na Gangesie bladym świtem?! Strach pomyśleć, jak by się to mogło skończyć! Już ona do tego nie dopuści! Tak odniosła się do projektu z gruntu łagodna Taidzi, która w dodatku nie wiedziała nawet, że ten zuchwalec to muzułmanin. Hema, w pąsach-dąsach, lejąc łzy, zadzwoniła do Laty, żeby powiedzieć o wpadce, do-

piero w niedzielę wieczorem. Lata kładła się do łóżka w wielkiej rozterce, ale raz podjąwszy decyzję, przespała w miarę spokojnie całą noc.

Tym razem musiała dotrzymać słowa. Oczami wyobraźni widziała już, jak Kabir po próżnicy czeka na nią zziębnięty przy figowcach, z sercem tłukącym się w piersiach z niepokoju, bez najskromniejszej pożywki, choćby tylko w postaci ciasteczek wypieku Mrs Naurodzi, odliczając, jedna po drugiej, długie minuty. Nazajutrz wstała za kwadrans szósta, ubrała się w try mi-ga, zarzuciła na siebie luźny szary sweter, który kiedyś należał do jej ojca, skłamała matce, że idzie na długi spacer w obrębie miasteczka uniwersyteckiego, i poszła na spotkanie z Kabirem w wyznaczonym miejscu.

Czekał już na nią. Było zupełnie widno, a park budził się do życia kaskadą ptasich treli. Poszli ścieżką w dół, nad rzekę.

— Nie poznałbym cię w tym przebraniu, gdybym nie wiedział, że to ty — powiedział tonem najwyższej pochwały, wskazując na jej sweter.

— Za to ty nic się nie zmieniłeś od ostatniego razu. — W głosie Laty również słyhać było aprobatę. — Długo już tu na mnie czekasz?

Pokręcił przecząco głową.

Poskarżyła się, jakiej jej Hema napytała biedy.

— Ale chyba mi nie uciekniesz tylko dlatego, że nie masz przyzwoitki? — upewnił się jeszcze.

— Nie — odrzekła stanowczo Lata. Tym razem nie pozwoli się zastraszyć. Będzie równie dzielna jak Malati. Nie miała czasu tego ranka na roztrząsanie wszystkich za i przeciw i w ogóle nie chciała się nawet nad tym głęboko zastanawiać. Pomimo wczorajszej wewnętrznej szarpaniny jej oczy nie były wcale podkrążone, a twarz wyglądała świeżo i gładko.

Idąc wciąż piaszczystym brzegiem rzeki, dotarli wreszcie do miejsca, gdzie kilku praczy, stojąc w wodzie po kolana, tłukło mokrą bielizną o kamienne schodki. Obok, przy wiodącej pod górę wąskiej ścieżynce, parę znużonych osiołków przebierało niecierpliwie nogami, uginając się pod ciężarem tobołków z brudną odzieżą. Widząc zbliżających się nieznajomych, pies któregoś z praczy zaskowyczał przeciągle, ostrzegawczo.

— Jesteś pewien, że uda się nam wynająć łódkę?

— O, tak, zawsze się kogoś znajdzie. Nigdy jeszcze nie miałem z tym żadnych kłopotów.

Lata poczuła w sercu ostre, bolesne ukłucie. Jak to? Więc to już nie pierwszy raz? Kabir chciał przez to powiedzieć tylko, że często bywał nad Gangesem o świcie, ale Lata nie mogła czytać w jego myślach.

— O, tu jest jedna — powiedział Kabir. Na środku rzeki kołysało się nieduże czółno. W kwietniu poziom wody nie był wysoki, a cicha rzeka robiła wrażenie ospałej. Kabir złożył dłonie w trąbkę i zawołał do wiosłarza:

— *Aré, mallah!*

Tamten jednak nie pospieszył wcale na wezwanie.

— O co chodzi? — odkrzyknął w hindi, z silną brahmpurską wymową, nadając czasownikowi „*hai*” swoisty akcent.

— Chcemy popłynąć do Barsat Mahal, żeby zobaczyć w wodzie jego odbicie. Da się zrobić?

— Czemu nie!

— A za ile?

— Dwie rupie. — Zbliżał się teraz do brzegu w swoim starym, płytkim wraku.

Kabir rozzłościł się nie na żarty.

— Co za zdzierstwo! — powiedział gniewnie. — Jak ci nie wstyd!

— Normalna stawka, sahib — odparł tamten flegmatycznie.

— Akurat! Nie jestem przyjezdny! Nie dam się wykiwać!

— Och — powiedziała Lata z westchnieniem. — Po co się kłócić o takie drobnostki...? — Ale urwała w pół zdania, zorientowawszy się, że Kabir będzie pewnie nalegał, żeby za nią zapłacić, a i jemu w domu się najwidoczniej nie przelewało.

Kabir wyklócał się dalej zawzięcie, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć odgłosy tłuczenia bielizny o schodki ghatu.

— Przyszliśmy na ten świat nagusieńcy, z pustymi rękami i tak samo z niego odejdziemy. To grzech tak zerować na ludziach z samego rana! Po co ci tyle forsy? Do grobu jej ze sobą nie zabierzesz!

Przewoźnik, zaintrygowany być może tym filozoficznym wywodem, zmiękł wreszcie i powiedział:

— No dobrze, sahib. Ile pan może zapłacić? Jakoś się dogadamy.

Skierował Kabira do miejsca, o paręset jardów dalej, gdzie łódka mogła przybić do brzegu. Ale kiedy Lata i Kabir dobrnęli tam nareszcie, już go nie było.

— Odplynał — wykrztusiła z siebie Lata. — Może uda nam się znaleźć kogoś innego?

Kabir pokręcił głową. Powiedział:

— Nie trzeba. Wróci. Wszystko ustalone.

I rzeczywiście, przewoźnik odplynał pod prąd, potem dobił do brzegu po drugiej stronie rzeki, zabrał coś stamtąd i powiosłował z powrotem.

— Umiecie pływać? — zapytał.

— Ja tak — odparł Kabir, po czym zwrócił się pytająco w stronę Laty.

— Ale ja nie — rzekła Lata.

Kabir nie ukrywał zaskoczenia.

— Nigdy nie miałam okazji, żeby się nauczyć — wyjaśniła Lata. — Mieszkałam w Dardżiling, a potem w Mauri.

— Zaufam twoim umiejętnościom wiosłarskim — zwrócił się Kabir do ciemnoskórego, zarośniętego przewoźnika, ubranego w koszulę i lungi z weł-

nianym bundi okrywającym jego klatkę piersiową. — W razie wywrotki ratuj się sam, a ja już się nią zajmę.

— Zgoda — odparł przewoźnik.

— No, to za ile?

— A ile pan dasz, to dasz...

— Nie — zaprotestował stanowczo Kabir. — Ustalimy cenę z góry. Lubię czyste interesy.

— W porządku — zgodził się przewoźnik. — No, to ile pan chce zapłacić?

— Rupię i cztery anny.

— Niech tak będzie.

Kabir wskoczył do łódki, a potem podał rękę Lacie i pomógł jej wejść na pokład. Uścisk miał mocny i poczuła, że przy nim nic jej na pewno nie grozi. Zarumieniła się uszczęśliwiona. Wypuścił jej rękę ze swojej dłoni dopiero po chwili, zgadując, że będzie ją chciała cofnąć.

Nad rzeką unosiła się biała mgła. Kabir i Lata usiedli obok siebie, naprzeciwko wiosłującego przewoźnika. Do dhobi-ghatów było już teraz ponad dwieście jardów, ale nadal bębnił im w uszach głuchy dźwięk tłuczonych o schody ubrań. Zarysy sylwetek i budynków na brzegu rozpląwały się we mgle.

— Ach! — powiedział Kabir z westchnieniem. — Jak wspaniale płynąć tak środkiem rzeki we mgle. To rzadkie zjawisko o tej porze roku. Przypominają mi się wakacje spędzone w Simli. Człowiek zapomina o całym świecie. Znikają wszystkie problemy. Zacieśniają się więzi rodzinne.

— Co roku jeździsz w góry na wakacje? — spytała Lata.

Szkołę średnią, St. Sophia, ukończyła w Masuri, ale teraz nie mogłyby sobie pozwolić z matką na wynajęcie domku letniskowego w górskim uzdrowisku.

— Co roku — odrzekł Kabir. — Na ogół w każde wakacje jedziemy do innej miejscowości wypoczynkowej: do Almory, Nainital, Ranikhet, Masuri, Simli, a nawet Dardżiling. Mój ojciec by od tego nie odstąpił. Twierdzi, że świeże powietrze „klaruje mu mózgowicę”. To takie jego ulubione powiedzonko. Kiedyś po górskiej wspinaczce oznajmił, że taka dawka matematycz-

nego natchnienia wystarczy mu już na całe życie. Ale oczywiście w następnym roku znowu pojechaliśmy w góry, tak jak zwykle.

— No a ty? — zapytała Lata.

— Co ja? — spytał Kabir, wyraźnie poruszony jakimś wspomnieniem.

— Ty też lubisz jeździć w góry? Wybierasz się tam również w tym roku na wakacje?

— Nie wiem jeszcze, jak będzie w tym roku. Ale lubię tam jeździć. To tak jak z pływaniami.

— Z pływaniami? — spytała Lata, zanurzając rękę w wodzie. Ale Kabir widocznie kalkulował coś sobie w głowie, bo nagle zwrócił się do przewoźnika z zapytaniem:

— Ile na ogół bierzesz od miejscowych za przejazdkę od dhobi-ghatu do Barsat Mahal?

— Cztery anny na głowę.

— Wobec tego powinniśmy ci zapłacić najwyżej rupię, biorąc pod uwagę, że połowę drogi płyniesz z prądem. A ja płacę rupię i cztery anny, więc w sumie nic na tym nie tracisz.

Wioślarz oniemiał chwilowo ze zdziwienia, ale potem odparł rezolutnie:

— No, niech tam! Ja nie narzekam.

Tymczasem mgła się rozplynęła i na brzegu rzeki wyrósł przed ich oczami wielki szary gmach fortu brahmpurskiego otoczony piaszczystym pasem. Stamtąd w dół, na piaszczyste wybrzeże, schodziła wielka, usypana z ziemi rampa, a na jej szczycie górowało dumnie wielkie drzewo figowe, pipal, którego liście szeleściły w porannym wietrzyku.

— Co miałeś na myśli, mówiąc: „To tak jak z pływaniami”?

— Ano właśnie — Kabir ocknął się z zamyślenia. — Człowiek przenosi się jakby w zupełnie inny wymiar, wiesz? Trzeba zmodyfikować wszystkie ruchy, a w rezultacie i wszystkie myśli. Poszedłem raz jeździć na toboganie w Gulmarg i pamiętam, że oderwałem się zupełnie od rzeczywistości. Tylko świeże, czyste powietrze, śnieżne zasy i ten... szszuuu... niesamowity pęd zdawały się zupełnie realne. Co za uczucie! Monotonia terenów równinnych ściąga człowieka brutalnie na ziemię. Tu nie ma gdzie doznawać takich uniesień. No, chyba że się pływa po rzece... tak jak dzisiaj.

— Tak samo jest z muzyką, prawda? — powiedziała Lata, adresując to pytanie nie tylko do niego, ale i do siebie samej.

— Hm, taaak, chyba taaak — zastanawiał się Kabir. — Nie, właściwie to jednak nie — zdecydował nareszcie.

Chodziło mu o taki stan umysłu, który osiąga się pod wpływem fizycznego wysiłku.

— Ale — powiedziała Lata, podążając za tokiem własnych myśli — muzyka naprawdę tak właśnie na mnie oddziały wuje. Wystarczy, że zabrzdąkam na tampusze i zaraz wpadam w trans. Nawet jeśli nie zaśpiewam ani jednej nuty. Czasami przez piętnaście minut siedzę jak zaklęta i trudno mi jest powrócić do rzeczywistości. Kiedy chcę zapomnieć o wszystkich życiowych kłopotach, uciekam w świat muzyki. A to w ogóle cud, że nie minęłam się z moim powołaniem, bo zaczęłam lekcje śpiewu dopiero w zeszłym roku, za namową Malati. Mama jest zupełnie pozbawiona słuchu. W dzieciństwie nieraz prosiłam ją, żeby pozwoliła śpiewać kołysanki mojej piastunce.

Kabir uśmiechał się. Objął ją ramieniem, a ona nie protestowała, ponieważ nie było w tym geście nic zdrożnego.

— Dlaczego się nie odzywasz? — zapytała.

— Bo miałem nadzieję, że opowiesz mi jeszcze coś o sobie. To coś nowego, na ogół nie jesteś skora do takich wynurzeń. Czasami wydaje mi się, że prawie nic o tobie nie wiem. Kto to jest, na przykład, ta Malati?

— Prawie nic? — zdziwiła się Lata, której nagle przypomniały się jej własne „knowania” z Malati. — Pomimo tej całej planowej operacji wywiadowczej?

— Kropla w morzu — odparł Kabir pogardliwie. — Powiedz mi coś o sobie.

— Co to za zachcianki? Wyrażaj się mniej ogólnikowo. Od czego mam zacząć?

— Od samiuteńkiego początku. I nie zatrzymuj się, aż dotrzesz do końca.

— No cóż — powiedziała Lata. — Wobec tego z samego rana będziesz musiał wysłuchać niejednej opowieści o nadzwyczaj pasjonujących epizodach mojego żywota.

— Doskonale! — roześmiał się Kabir.

— Tyle tylko, że w moim życiu nie dzieje się nic nadzwyczaj pasjonującego. Ot, zwykła codzienna monotonia.

— Zaczynaj więc od rodziny — podpowiedział jej Kabir.

I Lata zaczęła opowiadać o swojej rodzinie; o ukochanym ojcu, który nawet teraz, z zaświatów, roztaczał nad nią troskliwą opiekę (ten tutaj szary sweter najlepszym tego dowodem); o płaczliwej, zaczytanej w *Bhagawadgicie* matce, którą wiecznie miotały burzliwe uczucia; o Arunie i Minakszi, i Aparnie, i Warunie w Kalkucie; no i oczywiście o Pranie i Sawicie, i ich nie narodzonym jeszcze dziecku. Opowiadając tak, Lata nie czuła się wcale skrępowana. Przysunęła się nawet trochę bliżej do Kabira. Dziwne, ale pomimo wszystkich swoich wewnętrznych zahamowań nie wątpiła w szczerść jego uczuć.

Minęli fort na piaszczystej parceli, a także ghaty krematorium, później mi-gnęły im przed oczami świątynie w starej dzielnicy i minarety meczetu Alamgiri, aż wreszcie podплыli do łagodnego zakola na rzece, skąd widać już było wyraźnie, najpierw z boku, a potem na wprost, misterne budowle Barsat Mahal.

Mulista woda nie była zmacona, a jej powierzchnia wyglądała jak matowa szyba. Przewoźnik skierował łódkę na sam środek rzeki, a potem ustawił ją akurat na wprost frontowej ściany Barsat Mahal, zanurzył w wodzie długi bosak, który zabrał wcześniej z przeciwległego brzegu, i zatrzymał łódkę. Potem zwrócił się do Laty i Kabira z następującymi słowami:

— Pięć minut postoj. Nacieszcie oczy tym widokiem, bo to niezapomniane przeżycie.

I miał rację: obraz ten pozostał już na zawsze w ich pamięci. Barsat Mahal, dawna siedziba rządu, siedlisko intryg i rozpusty, azyl sekretnych roman-sów, a jednocześnie symbol świetności i chwały, a później degrengolady, ukazał się ich oczom jako wcielenie idealnego, absolutnego piękna. Wznosił

się ponad roziskrzoną rzeką, odbity w srebrzystej, niezmaconej wodzie. Wokół nich panowała wielka cisza, którą wszyscy troje uszanowali milczeniem.

3.14

Po jakimś czasie, nie czekając na niczyje polecenie, przewoźnik wyciągnął bosak z błota na dnie rzeki. Płynął nadal pod prąd, wzdłuż frontowej ściany Barsat Mahal. Rzeka zwężała się nieco w tym miejscu, ze względu na piaszczystą mierzeję wgryzającą się prawie w sam środek koryta z przeciwległego brzegu. Stąd widać było kominy warsztatów obuwniczych, garbarni oraz budynki młyna. Kabir przeciągnął się, ziewnął i zdjął rękę z ramienia Laty.

— Zakręcę zaraz i będziemy wracać — powiedział przewoźnik. Kabir skinął głową na znak przyzwolenia. — Teraz będzie mi łatwiej — powiedział przewoźnik, robiąc obrót — bo będziemy płynąć z nurtem rzeki. Dobrze, że jeszcze nie jest zbyt gorąco. — Sterując od czasu do czasu uderzeniem wiosła, pozwolił łódce płynąć swobodnie w dół rzeki. — Ulubione miejsce samobójców — zauważył niefrasobliwie, wskazując palcem na potężną, wznoszącą się nad samą wodą, boczną ścianę Barsat Mahal. — W zeszłym tygodniu też się ktoś tam zabił. Ten upał tak ludziom w głowach maści. Szaleńcy, szaleńcy — machnął ręką w stronę brzegu. Widocznie w jego pojęciu musiało być naprawdę coś nie w porządku z tymi, którzy spędzali życie na lądzie.

Kiedy znowu przepływali obok Barsat Mahal, Kabir wyjął z kieszeni małą książeczkę zatytułowaną *Praktyczny przewodnik po Brahmpurze* i zaczął czytać z niego na głos:

Chociaż Fatima Dżan była nie pierwszą, a dopiero trzecią żoną nawaba Chuśwakta, to właśnie dla niej wybudował on ten majestatyczny pałac, Barsat Mahal. Tak urzekła go jej uroda, kobiecy wdzięk, szlachetność serca, a także błyskotliwość umysłu, że na nią jedną przelał wszystkie swoje uczucia. Zako-

chani w sobie sercem i duszą stali się nierozłączni i prywatnie, i podczas oficjalnych dworskich ceremonii. Tak więc to kunsztowne marmurowe cacko, monumentalne arcydzieło architektury, było darem miłości, świątynią namiętności i rozkoszy. Fatima urodziła swemu mężowi syna, słabowite dziecko, podczas jednej z licznych wypraw nawaba Chuśwakta, w których mu towarzyszyła. Niestety, ze względu na jakieś powikłania marniała w oczach. A on, bezradny, blady z przerażenia, patrzył na jej konanie. I stało się! 23 kwietnia 1735 roku Fatima Dian zamknęła oczy, nie dożywszy nawet swych trzydziestych trzecich urodzin, a ukochany jej pogrzyżył się w żałobie.

— Naprawdę tak było? — zaśmiewając się, spytała z niedowierzaniem Lata.

— Słowo w słowo — odparł Kabir. — Zaufaj badaczowi dziejów. — I czytał dalej:

Odchodził od zmysłów, przekonany, że śmierć jedynie może uwolnić go od tej boleści, ale jego godzina jeszcze nie wybiła... Na dworze dokładano wszelkich starań, aby jak najszybciej zagrzebał swoją żalność w niepamięci, ale serce jego długo jeszcze krwawiło z rozpacz. W każdy piątek szedł na grób swojej lubej żony, na piechotę, i tam, w miejscu, gdzie spoczęły jej śmiertelne szczątki, czytał na głos Fatihe.

— Proszę — rzekła błagalnie Lata. — Przestań wreszcie! Obrzydzisz mi Barsat Mahal!

Ale Kabir czytał dalej z prawdziwą satysfakcją:

Po jej śmierci w pałacu zapanowała żałobna pustka. Nawaba przestał cieszyć widok tęczy w akwariach. Wpadł, w rozpustę i z zimnym okrucieństwem wieszał w specjalnie na ten cel wybudowanej komórce nieposłusznych dworzan i oporne odaliski, a ich ciała topić kazał w nurtach rzeki. Serce jego nie

znało miłosierdzia ani dla lekkomyślnego młokosa, ani dla białogłowy. Stojąc ponad prawem, wyzywał się na swoich ofiarach, wymierzając okrutne kary.

Kryształowa woda w fontannach nadal tryskała obficie, zraszając marmurowe podłogi. Piękno w tych rajskich komnatach było niezemskie, ale cóż mu teraz mogło przyjść z tego przepychu? Cóż mogły znaczyć dlań teraz najurodziwsze dziewice, skoro zgasły na zawsze oczy tej, którą umiłował? Wreszcie, 14 stycznia, wydał ostatnie tchnienie, wpatrzony w portret swojej ukochanej Fatimy Dian.

— Ale w którym to było roku? — zapytała Lata.

— *Praktyczny przewodnik po Brahmpurze* tego nie podaje, jeżeli mnie pamięć nie myli, ale służę wyjaśnieniem. Był to rok 1766. Przewodnik nie wzmiankuje również wcale, skąd pochodzi nazwa „Barsat Mahal”.

— A ty nie znalazłeś nigdzie nic na ten temat? — spytała Lata. — Czy to przez te fontanny...? — zastanawiała się głośno.

— Właściwie to nazwa „Barsat Mahal” wywodzi się z poematu Masta — popisywał się swoją wiedzą Kabir. — Kiedyś brzmiało to po prostu „Fatima Mahal”. Ale podczas jednego ze swoich wieczorów autorskich Mast porównał strugi monsunowych deszczów do łez owdowiałego Chuśwakta. Ta metafora przyjęła się i weszła w powszechne użycie.

— Aaa, rozumiem — powiedziała Lata, przymykając oczy. Kabir zaś wyjaśniał dalej:

— Oprócz tego następcy nawaba, między innymi ten jego cherlawy syn, przebywali w części wypoczynkowej pałacu głównie w czasie pory deszczowej, kiedy powaga prac urzędowych ustępowała miejsca rozrywce i swawoli. I tak zaginęła dawna nazwa, Fatima Mahal, a rozpowszechniła się nowa: Barsat Mahal.

— Poczekaj, ale miałeś mi jeszcze opowiedzieć jakąś anegdotkę o Akbarze i Birbalu! — przypomniała sobie Lata.

— O Akbarze i Birbalu? — zdziwił się Kabir.

— Nie dzisiaj. Na koncercie.

— A, już wiem! — powiedział Kabir. — Rzeczywiście, było coś takiego... Ale którą z nich miałem ci opowiedzieć? Jest ich tyle... o czym wtedy mówiliśmy?

„Jak to się dzieje,” pomyślała Lata, „że ja pamiętam tak dobrze każdy szczegół, a on nie?”

— Widziałeś mnie wcześniej z koleżankami i potem podśmiewałeś się z naszego paplania.

— Ano właśnie! — rozpromienił się Kabir, odtwarzając w pamięci tamto spotkanie. — A więc tak: znudzony Akbar zawiązywał raz do siebie swoich dworaków, żeby opowiadali mu jakieś niesamowite historie, ale nie zmyślane czy zasłyszane, tylko prawdziwe przygody, których sami doświadczyli. Obiecał przy tym suto wynagrodzić gawędziarza, któremu uda się prześcignąć innych w rewelacjach. I tak to posłuszni dworzanie, od ministrów po skromniejsze płotki, starali się odgrzebać w pamięci jakieś niesłychane zdarzenia. Każdy z nich widział rzeczy osobliwe: jeden słonia, który uciekał w popłochu przed mrówką, drugi statek szybujący po niebie; ten spotkał szejka, co wzrokiem penetrował ziemię, odnajdując zakopane w jej czeluściach klejnoty, tamten natknął się kiedyś na trzygłowego bawołu. I tak dalej, baję, baję. Kiedy przyszła kolej na Birbala, ten milczał początkowo, ale wreszcie przyznał, że i on widział coś niesamowitego. Tego dnia mianowicie, wyznał, zdążając do pałacu, minął grupę może pięćdziesięciu kobiet siedzących pod drzewem w absolutnej ciszy, bez słowa. I wszyscy dworzanie przyznali jednomyślnie, że to Birbalowi należy się obiecana nagroda. — Tu Kabir odrzucił głowę w tył i roześmiał się na cały głos.

Lata nie była wcale zachwycona i już właśnie miała zamiar dać wyraz swojemu oburzeniu, kiedy pomyślała o Mrs Rupie Mehrze, zupełnie niezdolnej do milczenia, w żadnej — ani drażliwej, ani tragicznej, ani też radosnej sytuacji. I w zdrowiu, i w chorobie, w przedziale kolejowym czy na koncercie — jej usta się nigdy nie zamykały.

— Zawsze powiesz coś takiego, że zaczynam myśleć o mojej matce — powiedziała, prawie z wyrzutem, Lata.

— Naprawdę? Bardzo przepraszam. To efekt niezamierzony — odrzekł i znowu objął ją ramieniem.

Zamilkł, pogrążony w rozmyślaniach na temat własnej rodziny. Lata również się nie odzywała. Przypomniła się jej ten pechowy egzamin z historii teatru; nadal ją to jednak nurtowało.

Zbliżali się do miasta. Przewoźnik trzymał się blisko brzegu. Na rzece więcej było teraz łódek; słychać było plusk wiosł i pokrzykiwania dokonujących porannej ablucji brahmpurczyków, którzy obmywali się, pokaszując, przepłukując gardła i oczyszczając nosy. Kruki krakały ponad ich głowami, z głośników rozbrzmiewały sakralne pieśni, a ponad całą tą natrętną kakofonią dźwięków rozlegało się bicie dzwonów oraz grzechot konch w świątyniach.

Na tym odcinku rzeka płynęła z zachodu na wschód, a w oddali — poza miasteczkiem uniwersyteckim — słońce, które stało już dość wysoko na niebie, odbijało się w lustrze wody. Na falach unosiła się girlanda uwita z złotych nagietków, w ghatach krematorium paliły się stosy, a z fortu dobiegały ostre komendy musztry. I tak, płynąc z prądem, usłyszeli ponownie głuchy huk tłuczonej o kamienie bielizny, a także porykiwania osłów.

Kiedy łódka przybiła do brzegu, Kabir zaofiarował przewoźnikowi dwie rupie, ale tamten odmówił z wielkopańskim gestem.

— Dobilim targu, niech tak zostanie. Wynajmie mnie pan znowu następnym razem.

Żal ścisnął Latę za serce, kiedy łódka zatrzymała się przy brzegu.

Przypomniała sobie, jak Kabir opowiadał o ekstazie, w jaką wprawiał go wysiłek fizyczny: pływanie lub jazda na saneczkach. Wydawało mu się wtedy, że przenosi się w inny wymiar. Ona sama miała wrażenie, że odetchnęła wolnością, ale wiedziała, że wkrótce opadnie podniecenie, które odczuwała, kołysząc się w łódce, odgradzona od reszty świata poranną ciszą. Ale kiedy Kabir pomógł jej wysiąść na brzeg, nie cofnęła dłoni i szli razem nad brzegiem rzeki, trzymając się za ręce, z rzadka tylko przerywając milczenie, ku figowcom i maleńkiej świętej figurynce.

Wspinaczka w pantofelkach okazała się dla Laty trudniejsza niż spacer z boczem w dół, ale Kabir wspierał ją swoim ramieniem.

„Jest delikatny”, pomyślała, „ale przy tym naprawdę bardzo silny”. Sama się dziwiła, że podczas wycieczki nie rozmawiali prawie wcale o studiach, egzaminach, wykładowcach ani nawet o krykocie albo planach na przyszłość, jakby świat, który zostawili za tym wzniesieniem, przestał zupełnie istnieć. Błogosławiła przezorność ciotki Henry, Taidzi.

Usiedli na wystającym, poskręcany korzeniu figowca-bliźnia-ka. Lata nie bardzo wiedziała, jak zainicjować rozmowę, aż wreszcie usłyszała swój własny głos:

— Kabir, interesujesz się polityką?

Spojrzał na nią, zdumiony tym niespodziewanym pytaniem, i powiedział po prostu:

— Nie.

A potem ją pocałował.

Serce załomotało w niej jak oszalałe. Odpowiedziała na pocałunek pocałunkiem, oszołomiona, zaskoczona własną nierozwagą i brawurą, ale przy tym niewypowiedzianie szczęśliwa.

Kiedy jednak ochłonęła, ogarnął ją znowu gniew, gniew żalu i bezsilności.

— Kocham cię — powiedział Kabir. A ponieważ nie odpowiadała, zapytał: — A ty? Nic mi nie powiesz?

— Ja też cię kocham — powiedziała Lata, stwierdzając fakt jak najzupełniej dla niej oczywisty, który jej zdaniem powinien być równie oczywisty i dla niego. — Ale co z tego? Na nic się to nie zda, więc cofnij to wyznanie. — Kabir osłupiał ze zdumienia i zanim zdążył ochłonąć, żeby odpowiedzieć na to nieoczekiwane oświadczenie, Lata zapytała oskarżycielsko: — Kabir, dlaczego nie podałeś mi swojego nazwiska?

— Nazywam się Durrani. — Prostota, z jaką wypowiedział te słowa, świadczyła jawnie o tym, że nie doceniał powagi sytuacji.

— Wiem.

— Wiesz? — zdziwił się Kabir. — Chciałem ci się przedstawić na koncercie, ale to ty nie chciałaś...

Lata uśmiechnęła się do siebie; miał bardzo selektywną pamięć. Potem znowu spoważniała.

— Jesteś muzułmaninem — wyszeptała.

— Co z tego? Niby dlaczego to takie ważne? Czy to stąd te twoje dąsy i humory? — W jego głosie brzmiała nutka rozbawienia.

— Jeszcze się pytasz?! — Lata nie mogła pojąć takiej ignorancji. — Przecież to jest właśnie najważniejsze! Nie wyobrażasz sobie chyba, jaką wagę przywiązuje się do tego w mojej rodzinie! — „Czy tylko tak udawał”, zastanawiała się Lata, „czy rzeczywiście jemu nie robiło to żadnej różnicy”? Przystąpiła do ataku: — A twój ojciec? Jemu też wszystko jedno?

— Jak najbardziej. Chyba jakoś udało się nam wyjść bez szwanku w czasie Podziału. I przedtem też. Czego nie można powiedzieć o wielu innych rodzinach muzułmańskich. Ojciec ma w głowie tylko swoje całki i podziałki. Zresztą, czy to ważne, jakim atramentem zapisze się dane równanie: czerwonym czy zielonym? I tak na jedno wychodzi.

Lata przewiązała w pasie swój obszerny szary sweter i podeszli na szczyt wzniesienia. Umówili się na spotkanie w tym samym miejscu, o tej samej porze, ale dopiero za trzy dni, ponieważ przedtem Kabir musiał w czymś tam pomóc ojcu. Odczepił rower z łańcucha i, rozejrzawszy się na boki, znowu ją pocałował. Na odchodnym Lata zapytała go jeszcze:

— Całowałeś się już kiedyś przedtem?

— Co za pytanie! — powiedział wyraźnie rozbawiony. Popatrzyła mu w oczy, ale nie powtórzyła pytania.

— To znaczy... w ogóle... kiedykolwiek? — zapytał. — Nie. Chyba nie. Nie na poważnie — rzucił na pożegnanie. I odjechał.

3.15

Parę godzin później Mrs Rupa Mehra siedziała z obydwoma córkami, haftując różyczkę na maciupieńkiej chusteczce dla przyszłego wnuka. Spodziewała się, że teraz, po ukochanej Aparnie, kolej na męskiego potomka w rodzinie, ale pomna na mądre porzekadło: „Nie mów hop, póki nie przeskoczysz”, nie chciała kusić losu, więc ostrożnie, żeby nie zapeszyć, wyszywała

różyczkę żółtym, a nie niebieskim jedwabiem, na białym, neutralnym tle, uznawszy, że białe na białym za bardzo by się rozmazywało.

Rafi Ahmad Kidwai, federalny minister łączności, oznajmił właśnie, że opłaty pocztowe pójdą w górę, co rozsierdziło Mrs Rupę Mehre, ponieważ obfita korespondencja stanowiła jedną z wielkich a nielicznych radości jej życia. Uznała więc tę decyzję za celowy, złośliwy atak na jej swobody obywatelskie. Rafi sahib był człowiekiem o szerokich horyzontach, dalekim od jakiegokolwiek religijnego sekciarstwa, a przy tym wyjątkowo liberalnym, tolerancyjnym i bez żadnych, najmniejszych choćby narodowościowych uprzedzeń, ale jako wyznawca Allaha, który w dodatku naraził się jej teraz tą nie spodziewaną podwyżką, stał się w jej oczach wcieleniem wszelkiego zła i Mrs Rupa Mehra poczuła, że musi oddać wet za wet.

— Nehru za bardzo się z nimi patyczkuje — powiedziała naburmuszona. — Ciagle tylko pertraktuje z tym całym Azadem Kidwai. Co on sobie wyobraża? Kim on ma w końcu być: premierem Indii czy Pakistanu? A tamtym oczywiście w to graj i zaraz zaczynają się panoszyć.

Na ogół Lata i Sawita pozwalały matce się wygadać, ale tym razem Sawita zaprotestowała:

— Wcale się z tobą nie zgadzam, mamó. Stoi na czele Indii, nie tylko Hindusów. To właśnie bardzo dobrze o nim świadczy, że ma w gabinecie dwóch muzułmanów.

— Nie odgrywaj takiej intelektualistki — warknęła w odpowiedzi Mrs Rupa Mehra, która na ogół szanowała inteligencję i wykształcenie.

Dodatkowym ciosem dla Mrs Rupy Mehry było to, że — pomimo usilnych próśb kobiet z jej pokolenia w rodzinie — Maheś Kapur nie zezwolił jak na razie na recytację Ramćaritmanas w Prem Niwas, z okazji święta Ramnawami. Gnębiły go tarcia religijne spotęgowane zatargiem o świątynię Siwy w Ćauk, nie mówiąc już o tym, że wielu muzułmanów, bogatych właścicieli ziemskich, utraciłoby swoje posiadłości na mocy ustawy o uwłaszczeniu, której projekt przedłożył w stanowym parlamencie nie kto inny, tylko on sam, Maheś Kapur. Nie chciał więc teraz zaogniać jeszcze sytuacji.

— Już ja ich dawno przejrzałam, tych muzułmanów — burknęła ponuro pod nosem Mrs Rupa Mehra, zapominając o wujku Szafim i Talacie Khalim, starych przyjaciółach rodziny.

Lata rzuciła jej wrogie spojrzenie, ale nie odezwała się ani słowem. Sawita zerknęła na Latę, ale również zachowała milczenie.

— Tylko nie przewracaj mi tu oczami — ostro rzekła do młodszej córki Mrs Rupa Mehra. — Tyle lat przeżyłam, że wiem, co mówię. Z doświadczenia. A co ty możesz wiedzieć na temat życia?

Lata podniosła się z bujanego fotela Prana i oznajmiła:

— Idę się pouczyć.

— Pouczyć? — zaprotestowała nadal wojowniczo nastawiona Mrs Rupa Mehra. — A niby po co masz się teraz uczyć? Przecież już po egzaminach. Co to? Będiesz się uczyć na przyszły rok? Nie ślęcz tak ciągle nad tymi książkami. Rozerwij się trochę. O, usiądź tu i porozmawiaj ze mną. Albo idź na spacer. Dobrze ci to zrobi na cerę.

— Byłam na spacerze dzisiaj rano — powiedziała Lata. — Ciągle tylko chodzę na spacer.

— Co z ciebie za rogata dusza — powiedziała Mrs Rupa Mehra.

Przez twarz Lata przemknął cień uśmiechu. „I owszem”, przyznała matce w myślach rację i udała się do swojego pokoju.

Sawita, która przysłuchiwała się tej słownej potyczce, domyśliła się, że coś musiało gnębić Latę, inaczej takie zwykłe matczyne zrządzenie nie wyprowadziłoby jej z równowagi. No i ten telefon od Malati, który tak poruszył jej młodszą siostrę... Jedno z drugim w połączeniu... No tak! Sawita czuła, że coś się święci. Nie wiedziała jeszcze dokładnie co, gdyż nie wszystkie wartości w tym równaniu były znane, ale niepokoili ją owe niewiadome. Martwiła się o Latę, która wyraźnie się czymś zadręczała, ale dusiła to wszystko w sobie, nie zwierając się ze swoich trosk nikomu, teraz, kiedy Malati, jej najlepsza przyjaciółka i powierniczka, wyjechała na wakacje. Sawita czekała na okazję, żeby porozmawiać z Latą w cztery oczy, co nie było wcale takie łatwe, ale wreszcie udało się jej zostać z siostrą sam na sam, i, nie zasypiając gruszek w popiele, zagaiła:

— Mogę usiąść przy tobie na chwilę?

Lata leżała w swoim pokoju na łóżku, z głową podpartą rękami, zaczytana. Przez następne trzy dni, dni rozstania, czas będzie się dłużył w nieskończoność, trzeba go więc jakoś wypełnić. Lektura Wodehouse'a wydawała się jej świetnym lekarstwem na nudę. Skończyła właśnie *Świnie mają skrzydła* i zabrała się do czytania *Galahada w Blandings*, uznawszy tę pozycję za szczególnie na czasie, teraz, kiedy była zakochana z wzajemnością w Kabirze. Nie była więc wcale zachwycona wtargnięciem Sawity. Siostra nie siostra, ale przeszkodziła jej w rozmyślaniach, była więc w tej chwili niepożądanym intruzem. Mimo to na pytanie Sawity odpowiedziała przyzwalającym skinieniem głowy.

— Co czytasz? — zapytała Sawka.

Lata pokazała jej okładkę książki, tak żeby Sawita sama sobie mogła przeczytać tytuł, a potem znowu zabrała się do lektury.

— Czuję się dzisiaj trochę przygnębiona — powiedziała Sawita.

— O! — Lata szybko podniosła wzrok znad kartek powieści. — Może po prostu masz okres?

Sawita wybuchnęła śmiechem.

— Co ty! Przecież jestem w ciąży. — Popatrzyła na Latę ze zdziwieniem. — To nie wiesz, że okres wtedy zanika? — Sawicie zdawało się, że musiała o tym wiedzieć już od niepamiętnych czasów (to przecież oczywiste!), chociaż całkiem możliwe, że wcale tak nie było.

— Nie — odparła krótko Lata. Dziwne, że jakoś nigdy nie mówiły na ten temat z Malati, chociaż rozmawiały o bardzo wielu sprawach, a sama Malati była kopalnią wiedzy. Ale to, że Sawita nie musiała zmagać się z dwoma przypadłościami naraz, wydawało się jej jak najbardziej sprawiedliwe. — To co ci jest?

— O, nic takiego, sama nie wiem, co mi właściwie dolega. Po prostu czasem... ostatnio nawet bardzo często... wpadam w taki nastrój... Może to zdrowie Prana. — Czule objęła Latę ramieniem.

Lata wiedziała, że Sawita nie była skłonna do narzekań, popatrzyła więc na siostrę z troską w oczach i spytała:

— Kochasz Prana?

Wydało jej się to nagle ogromnie ważne.

— No pewnie, że tak — odparła Sawita zdumiona.

— Ale dlaczego „no pewnie”, Didi?

— Nie wiem — odparła Sawita. — Kocham go. Dobrze mi z nim. Przy nim czuję się bezpieczna. Martwię się o niego. I czasami martwię się o jego maleństwo.

— Nim się nie przejmuj — powiedziała z przekonaniem Lata. — To twarda sztuka. Przecież kopie z taką siłą.

Znowu się położyła, usiłując powrócić do przerwanej lektury, ale nie mogła się skoncentrować nawet na Wodehousie. Po chwili milczenia spytała:

— Cieszysz się, że jesteś w ciąży?

— Bardzo — odparła Sawita, a jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

— Z mężczyzną, którego ci narzucano... którego w ogóle nie znałaś przed ślubem?

— Nie mów tak o Pranie. Jak możesz traktować go jak kogoś zupełnie obcego? — zapytała Sawita z wyrzutem. Zaboląły ją słowa Lata. — Czasami jesteś strasznie dziwna, Lata. Czy ty go nie lubisz?

— Lubię — odparła Lata, krzywiąc się przy tym wbrew własnej woli — ale ja nie muszę z nim żyć tak jak ty. To dla mnie nie do pojęcia, że... no, wiesz... zdecydowano za ciebie, że tak ma być i już... A przecież gdyby cię od niego odpychało...

Chodziło jej o to, że Pran był taki nieurodzivy, a zalety duchowe nie mogły chyba zrekompensować braku fizycznych walorów... We współżyciu potrzebny jest również... No właśnie, co jeszcze jest potrzebne we współżyciu? Może przynajmniej jakiś feblik...

— Dlaczego mnie tak o to wypytujesz? — spytała Sawita, gładząc swoją siostrę pieszczotliwie po głowie.

— No, wiesz, wkrótce sama stanę przed podobnym dylematem.

— Zakochałaś się?

Lata drgnęła na te słowa, a chociaż starała się opanować ten nagły odruch, Sawita otrzymała odpowiedź na swoje pytanie i w pół godziny dowiedziała się wszystkich szczegółów na temat potajemnych spotkań Laty z Kabirem. Lacie od razu ulżyło: wreszcie mogła porozmawiać o tych sprawach z kimś, kto jąkochał i rozumiał. Wywnętrzała się przed Sawitą z najskrytszych pragnień, kreśląc przed nią wizję swego przyszłego idyllicznego szczęścia. Sawita zorientowała się w jednej chwili, jak płonne to były nadzieje, ale nie przerzywała Lacie. Jednak widząc jej rosnące podniecenie, posmutniała.

— Ale co mam zrobić? — Lata szukała teraz u niej wsparcia i porady.

— Co zrobić? — powtórzyła mechanicznie Sawita, która miała już w myślach gotową odpowiedź: zostawić Kabira, i to natychmiast, zanim uczucie się pogłębi. Ale znając przekorę Laty, uznała, że lepiej powstrzymać się od podobnej sugestii.

— Może powiedzieć o wszystkim mamie? — zastanawiała się głośno Lata.

— Coś ty! Nie próbuj nawet! — wykrzyknęła przerażona Sawita, która wiedziała, jak ciężko matka przeżyłaby taką wiadomość.

— Tylko ty też nie mów o tym nikomu, Didi. Absolutnie nikomu — poprosiła ją Lata.

— Ale ja nie mam nigdy żadnych sekretów przed Pranem — powiedziała Sawita.

— Jednakże tego mu nie mów. Błagam! — rzekła płaczliwie Lata. — Sama wiesz, że takie plotki roznoszą się lotem błyskawicy. Jesteś moją siostrą, a jego znasz gdzieś dopiero od roku. — Lata poczuła, że nieopatrznie coś palnęła, ale cóż, słowo się rzekło... Zrobiło jej się głupio i przykro, że tak niełojalnie wyraziła się o Pranie, za którym teraz przecież przepadała. Powinna była ująć to jakoś delikatniej.

Sawita skinęła głową, trochę naburmuszona.

Czuła, że powinna pomóc siostrze, ochronić ją przed rozczarowaniem, dlatego pomimo wrodzonej niechęci do podobnych intryg, zapytała:

— A może dobrze by było, gdybyś przedstawiła mi Kabira?

— Zapytam go — powiedziała Lata. Kabir nie będzie miał chyba nic przeciwko temu, ale z drugiej strony nie odniesie się zapewne do pomysłu Sawity zbyt entuzjastycznie. Sama też nie chciała go jeszcze na razie przedstawiać rodzinie. Czuła, że to pomieszałoby im tylko szyki, przysporzyło dodatkowych trudności, a przy tym rozwiałby się jakoś czar ich potajemnej wycieczki po rzece.

— Tylko uważaj na siebie, Lata — ostrzegła ją Sawita. — Wiesz, jak to jest: może być bardzo przystojny i z bardzo porządnej rodziny, ale w gruncie rzeczy...

Urwała w pół zdania i później Lata starała się sama dopasować różne możliwe zakończenia.

3.16

Pod wieczór, kiedy upał trochę zelżał, Sawita udała się w odwiedziny do swojej teściowej, którą ogromnie polubiła. Mrs Maheś Kapur była właśnie w ogrodzie i ucieszyła się na widok Sawity, której nie widziała już od tygodnia, ale jednocześnie zaniepokoiła, czy aby takie kolebanie się w tondze nie zaszkodzi jej brzemiennej synowej. Wypytywała Sawitę o jej własne zdrowie i o zdrowie Prana; narzekała, że tak rzadko ją odwiedza; upewniła się, że Mrs Rupa Mehra wybiera się do Prem Niwas na jutrzejsze spotkanie; a wreszcie spytała, czy któryś z braci Sawity jest może w mieście. Zdziwiona tym pytaniem Sawita odpowiedziała, że nie, a Mrs Maheś Kapur podreptała w głąb ogrodu.

Ogród wyglądał raczej sucho, pomimo iż podlewano go regularnie, ale drzewo gulmohar stało w pełnym rozkwicie, rozsypując wokół wyjątkowo ognistoczerwone (a nie rudawopomarańczowe) płatki. „Wszystko jakoś nabiera mocy w Prem Niwas”, pomyślała Sawita. Rośliny nie usatysfakcjonują swej cichej, ale wymagającej pani dopóty, dopóki nie zaprezentują się w pełnej krasie — i, o dziwo, nawet one zdawały się to rozumieć.

Już od paru dni Mrs Maheś Kapur toczyła walkę ze swoim starszym ogrodnikiem, Gadźradźem. Wprawdzie zgodni byli co do tego, które z sadzonek przeplancować, z których gatunków roślin pozbierać nasiona, które krzaczki poprzycinać i kiedy poprzესadzać młode chryzantemy do większych doniczek, ale zrodził się między nimi zacięty spór o nowy trawnik, a że obie strony były nieprzejednane, więc też różnica zdań nie wróżyła nic dobrego.

Tego roku Mrs Maheś Kapur zaproponowała, aby — w ramach eksperymentu — tylko część trawnika zniwelować przed zasiewem, co mali, przyzwyczajony do konserwatywnych poleceń swojej pra-codawczyni, uznał za pomysł dziki i zupełnie niedorzeczny. Zrządził, że nie da się ani porządnie kosić, ani podlewać takiego trawnika; że deszczową porą potworzą się w nim błotniste kałuże; że całemu domostwu grozi plaga żywiących się wodnymi żukami czapli; i że piękno leży w symetrii i prostocie, więc też sędziów konkursu „kolorowe ogródki” zrazi z pewnością taki brak estetycznego — jak to się mówi — wyczucia i umiaru.

Mrs Maheś Kapur argumentowała z kolei, że od frontu trawnik będzie nadal równy i płaski, a boczne wzniesienie niewysokie; że taki niziutki pagórek można przecież podlewać węzem, a kosić zagraniczną maszyną, którą ona sama zobowiązuje się pożyczyć od znajomej (skoro nie da się tam wjechać tą wielgachną, tępą kosiarką — z Urzędu Robót Publicznych — zaprzęzoną w białego, powolnego wołu); że sędziowie konkursu „kolorowe ogródki” wydają swój werdykt w lutym i tyle, ona zaś chce się rozkoszować pięknem natury przez okrągły rok; że ani symetria, ani prostota nie mają nic wspólnego z niwelacją i że zaproponowała ten eksperyment właśnie ze względu na czaple i bajorka.

Pewnego dnia, pod koniec grudnia, kilka miesięcy po ślubie Sawity, spadł nagle gwałtowny, ulewny deszcz. Harsingar — nadal w pełnym rozkwicie — rozsiewał wokół zapach miodu, krzewy różane obsypane były kwieciami, pierwsze pączki ozdobnej smagliczki i puszystych goździków zaczęły rozwijać się w ogrodzie, a włóchatolistne nasturcje wschodziły mężnie na nowo pomimo spustoszenia, jakie uczyniły w ich szeregach kuropatwy, wydziubując łodygi aż do samych korzeni, po przeciwnej zaś stronie ogrodu pięły się w górę krzewy kosmosu — równie włóchatolistne, ale dużo mniej ozdobne. Na

dworze było ponuro, wietrznie i zimno, a słońce nie wychodziło zza chmur przez dwa dni, ale za to w ogrodzie zaroilo się od ptactwa: przyczłapały czaple, zleciały się majny i kuropatwy; tropikalne długonogie drozdy szczebiotały piskliwie w małych grupkach (w każdej grupce po siedem szarych, pulchniutkich kuleczek); przyfrunęły dudki i papugi, które kolorami upierzenia przypominały Mrs Maheś Kapur barwy sztandaru Partii Kongresowej, a także dwie czubate czajki, samiec i samiczka, oraz para sępów, która zagnieżdziła się w gałęziach nimu i zносиła doń w dziobach giętkie, długie witki.

Pomimo opisów ich wielkiego bohaterstwa w *Ramajanie*, Mrs Maheś Kapur nigdy jakoś nie mogła przekonać się do sępów. Za to niezmiernie ucieszył ją widok trzech okrągłutkich, ubabranych w błocie czapli. Obserwowała je, jak stały prawie zupełnie nieruchomo, każda przy własnym bajorku, zapatrzona w mętną wodę, a potem odchodziły bez pośpiechu, stąpając powoli, noga za nogą, z wielkim rozmysłem, rozkoszując się grząskim, podmokłym gruntem. Niestety, pierwsze promienie słońca wysuszały prawie natychmiast płyciutkie bajorka na płaskim trawniku, dlatego też gościnną Mrs Maheś Kapur, która chętnie widziałaby przy domu jeszcze więcej czapli, postanowiła pomóc trochę losowi i stworzyć im w swoim ogrodzie dobre warunki.

Wyjaśniała to teraz swojej synowej, pociągając nosem, ponieważ — uczulona na pyłek kwiatowy z drzewa nim — cierpiała na katar sienny. Sawita zauważyła w myślach, że Mrs Maheś Kapur, pomimo swojej nadmiernej tuzszy, sama wyglądem przypomina trochę czaplę. Na ogół nijaka i zaniedbana, przygarbiona i ciemnoskóra, potrafiła czasem całkiem nieoczekiwanie rozwinąć skrzydła do lotu.

Sawitę rozbawiło to porównanie i uśmiechnęła się do siebie, a Mrs Maheś Kapur odpowiedziała na ten uśmiech uśmiechem, nie dociekając wcale, co jej synowa widzi w tym wszystkim zabawnego.

„Absolutne przeciwieństwo mamy”, pomyślała Sawita, przechadzając się z teściową po ogrodzie. Uderzało ją podobieństwo między Mrs Maheś Kapur i Pranem, a już energiczna Wina to wypisz wymaluj matka, tylko kilkanaście lat młodsza. Za to zachodziła w głowę, w kogo mógł się wrodzić ten gagatek Man. Że też los spletał tej zwawej, ale przy tym wyjątkowo cierplivej kobiecie takiego figla!

3.17

Nazajutrz rano trzy dostojne matrony spotkały się w Prem Niwas na ploteczki. Jako samdhina — „współleściowa” — skoligacona przez małżeństwa swoich dzieci zarówno z Mrs Rupą Mehra, jak i starszą Mrs Tandon, łagodna i ustepliwa pani domu, nie owdowiała jeszcze w przeciwieństwie do dwóch pozostałych seniorek rodu, Mrs Maheś Kapur była doprawdy idealną gospodynią.

Mrs Rupa Mehra była z natury bardzo towarzyska, a spotkanie w takim gronie stanowiło jej ulubioną rozrywkę. Najpierw panie napiły się herbaty, a potem — wynosząc pod niebiosa kulinarne zdolności gospodyni — skosztowały matthri i pikli z owoców mango własnego wyrobu Mrs Maheś Kapur. Jej przepis na marynaty został szczegółowo przeanalizowany i porównany z siedmioma czy nawet ośmioma innymi konkurencyjnymi recepturami. Mrs Rupie Mehrze zasmakowały również matthri.

— Pyszne! — zawyrokowała, delektując się rarytasem. — Chrupiące i kruche, ale nie łamliwe.

— Mam kłopoty z trawieniem, więc muszę uważać na jedzenie — rzekła Mrs Tandon, częstując się następnym matthri.

— No cóż, starość nie radość... — Mrs Rupa Mehra pokiwała głową ze zrozumieniem, wczuwając się w sytuację. Lubiła się postarzać w towarzystwie osób poważniejszych wiekiem, chociaż sama ledwie dobijała czterdziestu pięciu lat. A zresztą, owdowiawszy wiele lat temu, miała wrażenie, że doświadczyła już w swoim życiu tyle, ile inni doświadczają dopiero w późnej starości.

Cała rozmowa, przeplatana z rzadka angielszczyzną, odbywała się w zasadzie w hindi. Na przykład mówiąc o swoim mężu, Mrs Maheś Kapur często używała zwrotu „minister sahib”, a czasami, w hindł, nazywała go nawet „ojcem Prana”. Jego imię „Maheś” nie przeszłoby jej po prostu przez gardło i

nawet „mój mąż” brzmiało — jej zdaniem — raczej niestosownie, ale za to zaimiek wskazujący „ten” wydawał się całkiem odpowiedni.

Porównywały tegoroczne ceny warzyw z cenami sprzed roku, a Mrs Maheś Kapur zwierzyła się, że minister sahib na ogół bardziej troszczy się o projekt ustawy niż o to, co ma na talerzu, ale czasami denerwowało go, jeśli potrawy były przesolone lub nie dosolone albo też nadmiernie pikantne. Za to uwielbiał gorzką karełę, która im bardziej gorzka, tym bardziej mu właśnie smakowała.

Mrs Rupa Mehra odnalazła w Mrs Tandon — wdowie, jak i ona sama — pokrewną duszę. Nawet przypadkowe towarzyszkę podróży z przedziałów w pociągach traktowała jak dobre znajome i przez lata utrzymywała z nimi korespondencję, a cóż dopiero z teściową teściowej ! Toż to przecież prawie jak rodzona siostra. Poza tym obie niezadowolone były ze swoich synowych. Mrs Rupa Mehra żaliła się na Minakszi, powracając do historii stopionego (bez cienia delikatności) medalu, którą opowiedziała im już zresztą parę tygodni wcześniej. Z tym że, oczywiście, starsza Mrs Tandon nie mogła pożalić się w obecności Mrs Maheś Kapur na Winę, chociaż wiele jej miała do zarzucenia, choćby już tylko to zdrotne zainteresowanie muzyką niesakralną. Co za deprawacja!

Następnie tematem rozmowy stały się wnuczeta: Bhaskar, Aparna, a także nie narodzone jeszcze dziecko Sawity zasłużyło tutaj na wzmiankę.

— No i jak będzie z Ramnawami? Czy minister sahib nie zamierza zmienić swojej decyzji? — dopytywała się Mrs Tandon, chyba najbardziej pobożna w tym gronie.

— Uf! No i co mogę na to poradzić? Jest potwornie uparty — odrzekła Mrs Maheś Kapur. — A ostatnio tyle ma na głowie, że wybucha gniewem, jak tylko wymknie mi się jakieś nieopatrzne słowo. W ogóle o niczym innym nie myślę, tak się o niego martwię, chociaż często mam ostatnio jakieś bóleści. Sama nawet nie wiem, co mi dolega. — Uśmiechnęła się. — Powiem wam szczerze — ciągnęła, zniżając głos prawie do szeptu — że boję się nawet do niego odezwać. Powiedziałam mu raz: „No, dobrze, jeśli nie zgadzasz się na recytację całego Ramćaritmanas, to pozwól nam może zaprosić kapłana, niechby nam wolno było przynajmniej wysłuchać urywków, na przykład

Sandar Kanda", a ten mi na to: „Ach te baby! Puszczą kiedyś całe miasto z dymem! Rób, jak chcesz!", i wyleciał z pokoju jak oparzony. — Mrs Rupa Mehra i Mrs Tandon na znak sympatii i zrozumienia jednocześnie ciężko westchnęły. — Potem wyszedł do ogrodu i chodził w kółko wielkimi krokami, w takim upale... Toż to się można wykończyć. Ile roślin mi zmarniało na tym słońcu! Mówię mu: „Moglibyśmy zaprosić przyszłych teściów Mana z Benaresu. Niechby tu sobie przyjechali i nacieszyli się tym razem z nami, bo oni też lubią recytacje. A przy okazji może jakoś scemen-towałoby się ten związek. Man zrobił się ostatnio taki... taki — szukała w myślach odpowiedniego słowa — taki nieposkromiony... — przerwała roztrzęsiona.

W Brahmपुरze roiło się od plotek na temat romansu Mana z Sайдą Bai.

— A co on na to? — zapytała zaintrygowana Mrs Rupa Mehra.

— Machnął tylko ręką i powiedział: „A tam, te wasze babskie knowania i konspiracje!"

Starsza Mrs Tandon ze zgrozą pokręciła głową i wtrąciła zaperzona:

— Kiedy syn Zaidi dostał pracę w administracji państwowej, jego żona zaprosiła do siebie do domu trzydzieści innych kobiet i czytały na głos Koran... Jak to oni nazywają? To ich „para", czy jak to tam? — Skrzywiła się z niesmakiem przy tych słowach. — Każda jedna. Wszystkie po kolei...

— Naprawdę? — Mrs Rupa Mehre oburzyła taka jawna niesprawiedliwość. — To może ja porozmawiam z ministrem sahibem? — Miała nadzieję, że może ona wywrze na niego jakiś wpływ.

— Lepiej nie — zaproponowała energicznie Mrs Maheś Kapur, starając się zapobiec starciu pomiędzy tymi dwiema bardzo silnymi osobowościami. — To się na nic nie zda. Raz, kiedy próbowałam zaapelować do jego sumienia, odburknął tylko: „Jak ci tak na tym zależy, zwróć się z prośbą do tego swojego idola, ministra spraw wewnętrznych — tamten tylko czeka na takie prowokacje; dla niego to woda na młyn". Nie chciałam go już potem więcej drażnić.

Wszystkie trzy ubolewały przez chwilę nad ogólnym upadkiem moralności spowodowanym niedowiarstwem.

Starsza Mrs Tandon powiedziała:

— Ludzie się pokazują teraz w świątyni najwyżej od święta: przychodzą na bhadźan, pośpiewają pieśni, wysłuchają recytacji czy kazania i może od czasu do czasu zapalą lampki ofiarne, ale mało kto przestrzega religijnych ob-
rządków w domu.

— Święta prawda — zawtórowały jej współtowarzyszki, a starsza Mrs Tandon rozwodziła się dalej:

— Dobrze, że przynajmniej niedługo złączą u nas w sąsiedztwie święto-
wać Ramlilę. Bhaskar będzie się mógł wcielić w któregoś z małpich wojow-
ników. Na główne, poważniejsze role jest niestety jeszcze za młody.

— Lata uwielbiała kiedyś małpy — zauważyła Mrs Rupa Mehra, odbie-
gając nieco od tematu. Starsza Mrs Tandon i Mrs Maheś Kapur wymieniły
porozumiewawcze spojrzenia, co nie uszło uwagi Mrs Rupy Mehry, która na-
tychmiast wyrwała się z zamyślenia i zapytała, przyglądając się im z niepoko-
jem: — O co chodzi? Co takiego? Coś nie tak?

— Bo widzisz... rozmawialiśmy właśnie o tym... zanim tu przyszedłaś,
wiesz, tylko tak... — zaczęła starsza Mrs Tandon ostrożnie.

— Chodzi o Latę? — spytała Mrs Rupa Mehra, czytając zarówno z tonu
jej głosu, jak i z wyrazu twarzy. Teściowe zerknęły raz jeszcze jedna na dru-
gą, a potem pokiwały głowami. — Szybko, mówcie — ponaglała je Mrs Ru-
pa Mehra na dobre wystraszona.

— Bo wiesz — zaczęła niepewnie Mrs Maheś Kapur — musisz chyba
bardziej uważać na swoją córkę, bo widziano ją na spacerze z chłopakiem,
nad Gangesem, obok dhobi-ghatu, wczoraj rano.

— Z jakim chłopakiem?

— Tego nie wiem. Ale trzymali się za ręce.

— A kto ich widział?

— Po co bym miała to przed tobą ukrywać? — powiedziała Mrs
Maheś Kapur ze współczuciem. — Szwagier Awtara bhai. Rozpoznał Latę,
ale nie wiedział, co to za chłopak. Powiedziałam mu, że to pewnie jeden z
twoich synów, ale wiem od Sawity, że obaj są nadal w Kalkucie.

Koniuszek nosa Mrs Rupy Mehry zaczerwienił się z żalości i upokorzenia. Dwie łzy spływały jej po policzkach i sięgnęła ręką do swojej wielkiej, czarnej torby po haftowaną chusteczkę.

— Wczoraj rano? — upewniła się drżącym głosem.

Starła się przypomnieć sobie, gdzie była wtedy Lata. Tak to jest: człowiek ufa własnym dzieciom, pozwala im latać po mieście, chodzić wszędzie na spacer i taka za to zapłata. Co za niewdzięczność!

— Tak mi powiedział — potwierdziła Mrs Maheś Kapur bardzo ostrożnie. — Napij się herbaty. Nie panikuj. Dziewczęta oglądają dzisiaj ciągle te nowoczesne filmy o miłości i tak się to na nich później odbija, ale Lata to porządna dziewczyna. Po prostu z nią porozmawiaj.

Jednakże Mrs Rupa Mehra nie była już teraz w stanie zapanować nad nerwami; wypła czym prędzej herbatę, słodząc ją przez pomyłkę cukrem, posiedziała jeszcze przez jakiś czas, a potem pobiegła prosto do domu.

3.18

Mrs Rupa Mehra wbiegła do mieszkania zadyszana.

— Moja córka... moja córka...! — zawodziła głośno.

Płakała w tondze przez całą drogę. Woźnica, tonga-wallah, zatroskany widokiem tak gustownie ubranej, a tak przy tym zrozpaczonej damy, starał się podtrzymywać — jednostronnie — rozmowę, udając, że nic nie zauważył, ale zarówno jej haftowana, jak i zapasowa chusteczka mokre były od łez. Pojawiła się Sawita.

—

Słucham, mammo.

Przeraziła się na widok matki.

— Nie ty — zachlipała żalośnie Mrs Rupa Mehra. — Gdzie jest ta bezwstydnica Lata?

Sawita domyśliła się, że matka coś wykryła. Ale co? I ile? Przytuliła się instynktownie do matki, żeby ją uspokoić.

— Mamo, usiądź, uspokój się, napij się herbaty — mówiła łagodnie Sawita, prowadząc roztrzęsioną Mrs Rupę Mehrę do jej ulubionego fotela.

— Herbaty! Herbaty! Tylko we mnie bez przerwy wlewają tę herbatę! — powiedziała buntowniczo Mrs Rupa Mehra, zanosząc się od płaczu.

Sawita wyszła i poprosiła Matina, żeby przyniósł im herbaty.

— Gdzie ona jest? Co teraz z nami będzie? Kto się teraz z nią ożeni?

— Mamo, nie przesadzaj — rzekła Sawita, starając się uspokoić matkę.

— To się i tak samo przecież niedługo rozwieje.

Mrs Rupa Mehra podniosła w jednej chwili głowę i spojrzała na nią oskarżycielsko.

— Aha! Więc wiedziałaś! Wiedziałaś i nic mi o tym nie powiedziałaś! Musiałam się o wszystkim dowiedzieć od obcych! — Podwójna zdrada! To nowe odkrycie ugodziło Mrs Rupę Mehrę w samo serce.

Sawita otoczyła matkę ramieniem i podała jej suchą chusteczkę do nosa. Milczała przez parę minut, a potem powiedziała:

— Nie płacz, mamo. Nie płacz. Co ci takiego powiedziano?

— O, moja biedna Lata... Czy on jest przynajmniej z dobrej rodziny? A ja tak właśnie czułam, że coś się święci. O mój Boże! Co by na to powiedział wasz ojciec, gdyby jeszcze żył? Moje dziecko! Moja córka!

— Mamo, jego ojciec wykłada matematykę na uniwersytecie. To porządny chłopak. A Lata jest bardzo rozsądną dziewczyną.

Matin przyniósł herbatę i przyjrząwszy się scenie z miną pełną szacunku i błyskiem zainteresowania w oku, zawrócił do kuchni.

Chwilę później do pokoju weszła Lata. Wróciła właśnie z bananowego gajku, gdzie siedziała przez jakiś czas samotnie, zaczytana w Wodehousie i zatopiona we własnych myślach.

Zaskoczona nieoczekiwanym zamieszaniem zatrzymała się w drzwiach.

— Gdzie byłaś, moja panno? — zażądała odpowiedzi Mrs Rupa Mehra głosem drżącym z gniewu.

— Nnna... na spacerze — zająknęła się Lata.

— Na spacerze?! Na spacerze?! — Mrs Rupa Mehra podniosła głos prawie do krzyku. — Ja ci zaraz pokażę spacer!

Lata zeszywniała z przerażenia i rzuciła okiem na Sawitę, która pokręciła przecząco głową i dyskretnym ruchem dłoni starała się dać siostrze do zrozumienia, że to nie ona zdradziła jej tajemnicę.

— Kto to jest? — spytała Mrs Rupa Mehra tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Chodź no tutaj. Raz dwa, podejdź bliżej.

Lata popatrzyła na Sawitę, a Sawita pokręciła tylko bezradnie głową.

— Znajomy — powiedziała Lata, podchodząc do matki.

— Patrzcie ją! Po prostu znajomy! To ze znajomymi chodzi się, trzymając się za ręce? To tak cię wychowałam? Was wszystkich... tyle...

— Mamo, usiądź proszę — rzekła Sawita, ponieważ Mrs Rupa Mehra podniosła się z fotela.

— Kto ci powiedział? — zapytała Lata. — Taidzi Hemy?

— Taidzi Hemy? Taidzi Hemy? To ona też maczała w tym palce? — krzyczała rozjuszona Mrs Rupa Mehra, poderwawszy się z fotela. — Pozwala tym swoim dziewczyskom latać po nocach z kwiatami we włosach, gdzie im się tylko żywnie podoba. Kto mi powiedział? Kto mi powiedział? Jeszcze się mnie pyta, ta chamica! Nikt mi nie musiał o tym donosić, całe miasto aż trzęsie się od plotek. Wszyscy już wiedzą. Do tej pory wszyscy myśleli, że jesteś porządną dziewczyną. Ale teraz wezmą cię na języki. Zszargałaś sobie opinię... Wszystko skończone... — załkała boleściwie.

— Mamo, sama zawsze mówisz, że Malati to taka miła dziewczyna — powiedziała Lata na swoją obronę. — A ona ma przecież takich znajomych... dobrze o tym wiesz... Wszyscy o tym wiedzą...

— Zamknij się! Przestań pyskować, bo ci sama przymknę tę niewyparzoną gębę. Włóczy się taka bezwstydnie koło dhobi-ghatu... bez cienia honoru... bez ambicji.

— Ale Malati...

— Malati! Malati! A co mnie obchodzi ta twoja Malati. Tamta się kształci na lekarza i ropuchom brzuchy rozpruwa... — Mrs Rupa Mehra znowu podniosła głos. — To na nią się zapatrujesz? Dlatego okłamujesz własną matkę? Nigdy już nie pozwolę ci wychodzić na żadne spaceru! Skończyło się! Będziesz siedzieć w domu. Słyszysz mnie?!

— Tak, mamu — powiedziała Lata, przypominając sobie, trochę zawstydzona, że rzeczywiście okłamała matkę po to, żeby móc się spotkać z Kabirem. Czar prysnął. Rozwiały się piękne marzenia. Czuła się przygnębiona i załamana.

— Jak się nazywa?

— Kabir — powiedziała Lata, blednąc z przerażenia.

— A nazwisko?

Lata stała bez ruchu, w milczeniu. Po policzkach spływały jej łzy, ale Mrs Rupa Mehra nie była w tej chwili w stanie zdobyć się na współczucie. Te „idiotyczne histerie” rozjuszyły ją tylko jeszcze bardziej: wyciągnęła rękę i z całej siły wytargała Latę za ucho, aż dziewczynie zabrakło w piersiach tchu.

— Chyba musi mieć jakieś nazwisko, co? No więc, jakie? Kabir Lal, Kabir Mehra... Herbata mi przez ciebie wystygnie! No, jakie? Mów! A może wyleciało ci już z głowy?

Lata przymknęła oczy.

— Kabir Durrani — powiedziała, czekając, aż się ziemia pod nią zapadnie.

Efekt był natychmiastowy. Usłyszawszy te trzy mordercze sylaby, Mrs Rupa Mehra skrzyżowała dłonie na piersiach, otworzyła — zaszokowana — usta, rozejrzała się nie widzącym wzrokiem po pokoju i opadła bez sił na poduszkę fotela.

Sawita natychmiast podbiegła do niej z bijącym sercem.

Mrs Rupa Mehra uczepliła się rozpaczliwie resztek nadziei.

— Czy to pars? — zapytała szeptem, prawie błagalnie.

Była to odpychająca ewentualność, ale jeszcze nie katastroficzna. Ale z twarzy Sawity wyczytała w jednej chwili całą prawdę.

— Muzułmanin! — jęknęła Mrs Rupa Mehra, potwierdzając tym swoje najgorsze przypuszczenia. — Cóż ja takiego uczyniłam w poprzednim wcie-

leniu, że taki los zgotowałam mojej ukochanej córce? — Sawita stała cały czas obok matki, trzymając ją za rękę. Mrs Rupa Mehra utkwiała wzrok w martwym punkcie, a jej ręka zdawała się całkowicie bezwładna. Nagle, uświadomiwszy sobie brzemienność Sawity, zaczęła wyobrażać sobie jeszcze inne możliwe okropności. Podniosła się ponownie z fotela. — Nigdy! Przenigdy! Przenigdy... — powiedziała.

Tymczasem Lata, wyczarowawszy jakoś w myślach obraz Kabi-ra, nabrała nieco odwagi. Przestała płakać, otworzyła oczy i spojrzała na matkę prawie zuchwale.

— Nigdy, przenigdy, za nic... za żadne skarby świata... Ci nikczemni dranie... ci okrutni, wyuzdani...

— Jak Talat Khala? — zapytała bez ogródek Lata. — Jak wuj Szafi? Jak nawab sahib z Bajtaru? Jak Firoz i Imtiaz?

— Chcesz za niego wyjść za mąż?! — wykrzyknęła w furii Mrs Rupa Mehra.

— Tak! — rzekła Lata, unosząc się coraz bardziej gniewem.

— Ożeni się z tobą, a po roku powie: „Talak, talak, talak” i zostaniesz na bruku. Ty głupia, krnąbrna dziewczyno! Powinnaś się pod ziemię zapaść ze wstydu.

— A właśnie, że się pobierzemy — rzekła Lata, podejmując decyzję za oboje.

— Będiesz siedziała pod kluczem, tak jak wtedy, kiedy chciałaś zostać zakonnica.

Sawita starała się wstawić za Lata.

— Idź do swojego pokoju! — powiedziała Mrs Rupa Mehra, wskazując jej drzwi. — To się odbije na twoim zdrowiu. — I Sawita, chociaż była u siebie w domu, potulnie wykonała polecenie.

— Szkoda, że nie zostałam zakonnica — powiedziała Lata. — Pamiętam, jak tatuś mówił nam, żebyśmy zawsze szli za głosem serca.

— Jeszcze mi pyskujesz?! — krzyknęła na nią Mrs Rupa Mehra, rozwścieczona wzmianką o tatusiu. — To masz za to! O! Masz!

Wymierzyła córce dwa siarczyste policzki i natychmiast wybuchnęła płaczem.

3.19

Mrs Rupa Mehra nie była bardziej uprzedzona do muzułmanów niż większość kobiet z jej pokolenia należących do wyższej kasty w Indiach w tym okresie. Tak jak to zauważyła Lata — tyle że zupełnie nie w porę — miała nawet dobrych znajomych tego wyznania, choć żaden z nich nie był oczywiście religijnym fanatykiem. Nawab sahib był wśród nich najbardziej prawowierny, no ale był on tylko znajomym znajomych, a nie bliskim przyjacielem.

Im dłużej Mrs Rupa Mehra o tym rozmyślała, tym bardziej wpadała w przygnębienie. Nawet hindus z nieodpowiedniej kasty to plama na honorze rodziny, ale coś takiego... to wprost nie do pomyślenia! Co innego utrzymywać stosunki towarzyskie z muzułmanami, a co innego wydać w ich łapska własną córkę i zanieczyścić krew przyszłego potomstwa.

Do kogo się miała zwrócić w tej czarnej godzinie? Kiedy Pran przyszedł do domu na obiad i usłyszał, co się święci, zasugerował łagodnie, żeby poznali chłopca, co doprowadziło Mrs Rupa Mehre do ostateczności. Pran postanowił się w to więcej nie wtrącać i przeczekać, aż cała awantura umrze śmiercią naturalną. Nie czuł się wcale urażony, że Sawita nie zdradziła przed nim sekretu swojej siostry, a ona kochała go za to jeszcze bardziej. Starła się uspokoić matkę, pocieszyć Latę i żeby nie zaognić sytuacji, trzymać je od siebie z daleka, przynajmniej przez jeden dzień.

Lata rozejrzała się po sypialni z obrzydzeniem. Co ona tutaj jeszcze w ogóle robi w tym domu, przy matce, skoro sercem jest zupełnie gdzie indziej; gdziekolwiek, byle nie tu: na łódce, w góralskiej chacie, w Blandings Castle, gdziekolwiek, gdziekolwiek u boku ukochanego Kabira. Nic jej tutaj nie zatrzyma. Chociaż wszystko się teraz wydało, spotka się z nim jutro, dokładnie tak jak było umówione, i niech się dzieje, co chce. Prawdziwa miłość wymaga czasem poświęceń, powtarzała sobie na pocieszenie.

Mrs Rijpa Mehra napisała do Aruna na pocztowym blankiecie list, który zamierzała wysłać drogą lądową do Kalkuty. Łzy kapały jej na zapisaną kartkę, rozmazując atrament. W post scriptum dopisała wyjaśnienie: „Zabrudziłam ten list własnymi łzami, ale co mam zrobić? Serce pęka mi z bólu i tylko

w Bogu pokładam nadzieję: On jeden pomoże mi znaleźć wyjście z tej sytuacji, jeśli taka Jego wola". Ponieważ opłaty pocztowe poszły w górę, dokleiła dodatkowy znaczek na blankiecie, który był opłacony z góry.

Połykając wstyd, z duszą na ramieniu, postanowiła udać się po poradę do swojego ojca. Ojciec z pewnością na nią naskoczy, zanim pospieszy jej na ratunek. Sam ożenił się wprawdzie z tym tępym babsztylem, młodszym od siebie o połowę, ale i tak było to małżeństwo doskonałe w porównaniu z tym, co groziło teraz Lacie.

Dokładnie tak jak przewidywała, doktor Kiśen Ćand Seth zbeształ ją w obecności jędzowatej Parwati, wymyślając jej, że nie nadaje się na matkę, ale potem dorzucił, że w dzisiejszych czasach ze świecą szukać takich, co mają głowę na karku. O, dla przykładu, dopiero co w zeszłym tygodniu powiedział do pacjenta w szpitalu: „I po co ci, głupcze, ta cała operacja. I tak szlag cię trafi za jakieś dziesięć, piętnaście dni. A wyrzucaj pan forszę w błoto, skoro ci odbiło: jeszcze szybciej wylądujesz na tamtym świecie". A tamten idiota dostał ataku hysterii. W dzisiejszych czasach ludzie nie potrafią słuchać dobrych rad. Dzieci też nie umieją utrzymać w korbach, dlatego takie zepsucie szerzy się na całym świecie.

— Popatrz tylko na Maheśa Kapura! — dorzucił z satysfakcją. Mrs Rupa Mehra przyznała mu rację skinieniem głowy. — A ty jesteś jeszcze gorsza. — Tu Mrs Rupa Mehra zalała się łzami. — Rozpuściłaś najstarszego jak dziadowski bicz — aż zakrztusił się na wspomnienie przejażdżki Aruna jego samochodem — a teraz nie możesz dać sobie rady z tą smarkulą. I dobrze ci tak. Masz to, na co zasłużyłaś. A potem przylatujesz do mnie po poradę, kiedy napytasz sobie takiej biedy, że nie wiadomo, jak z tego wybrnąć. — Jego córka słuchała reprimendy w milczeniu. — A ci twoi ukochani Ćatterdżowie są kropka w kropkę tacy sami. — Zadając jej ból, odczuwał niewypowiedzianą rozkosz. — Znarowiły się te ich bachory, bo im ciągle popuszczali. Doszły mnie o tym słuchy z Kalkuty. — To nasunęło mu na myśl pewne możliwe rozwiązanie.

Udało mu się pognebić Mrs Rupa Mehre, więc teraz powiedział jej łaskawie, co ma robić, i nakazał natychmiast wykonać swoje polecenie.

Mrs Rupa Mehra wróciła do domu, włożyła do torebki trochę pieniędzy i bez zwłoki udała się na dworzec kolejowy, gdzie wykupiła dwa bilety na najbliższy pociąg do Kalkuty, który odchodził z Brahmpur Junction Railway Station następnego dnia wieczorem.

Zamiast wysłać list do Aruna, nadała telegram.

Sawita na próżno starała się odwieść matkę od tego zamiaru.

— Przynajmniej poczekaj do maja, kiedy zostaną ogłoszone wyniki egzaminów — przekonywała. — Lata będzie się tym niepotrzebnie cały czas zadrećcać.

Mrs Rupa Mehra odparła w odpowiedzi, że żadne wyniki egzaminów nie pomogą, kiedy dziewczyna raz spaczy sobie charakter, i że poza tym można je zawsze przesłać pocztą. Już ona dobrze wie, czym Lata się tak zadrećca. Perswadowała jej chytrze, że będąc przy nadziei, Sawita potrzebuje spokoju — „Tak, właśnie spokoju”, powtarzała w kółko Mrs Rupa Mehra — i wobec tego nie powinna się przysłuchiwać awanturom, które — oczywiście — od czasu do czasu wybuchają w rodzinie.

Lata zasznurowała usta i nie odezwała się ani słowem, kiedy matka kazała spakować rzeczy i przygotować się do podróży.

— Jutro wieczorem wyjeżdżamy do Kalkuty. Pociągiem o szóstej dwadzieścia dwie. Bez dyskusji. Ani mi się waż pokazywać tu swoje humory — zagroziła jej Mrs Rupa Mehra.

Lata zacięła się w milczeniu, nie okazując żadnych emocji. Spakowała się starannie. Zjadła nawet coś na kolację, a potem usiadła na dachu, rozmyślając o Kabirze.

Kładąc się do łóżka, nie powiedziała nawet Mrs Rupa Mehre, która leżała w łóżku obok, nie mogąc zmrużyć oka, dobranoc. Mrs Rupa Mehra przechodziła męczarnie, ale serce Lata nie było w tej chwili zdolne do współczucia. Usnęła bardzo szybko i przyśnił się jej, między innymi, osioł jednego z praczy — z twarzą doktora Makhidźanego — który żując czarną torbę Mrs Rupy Mehry, spałaszował przy okazji wszystkie srebrne gwiazdki.

3.20

Obudziła się i leżała przez jakiś czas bez ruchu. Było nadal ciemno. Umówili się z Kabirem o szóstej. Poszła do łazienki, zamknęła się od środka, a potem wymknęła tylnymi drzwiami do ogrodu. Nie odważyła się zabrać ze sobą swetra, ponieważ wzbudziłoby to na pewno podejrzenia matki. Nie było właściwie zbyt zimno, ale ona drżała na całym ciele.

Zeszła po skalistym zboczu, a potem dalej błotnistą ścieżką w dół. Kabir czekał już na nią, siedząc na wystającym z ziemi korzeniu w banianowym gajku. Wstał, kiedy usłyszał, że się zbliża. Jego włosy były zmierzwiłone i widać było, że jest jeszcze zaspany. Ziewnął nawet, kiedy zbliżała się ku niemu. W świetle jutrzeńki jego rysy wydawały się jeszcze bardziej wyraziste niż wtedy, kiedy odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem w drodze na pole krykiotowe. Był naprawdę bardzo przystojny.

Zauważył, że jest spięta i podminowana, ale nie robiła wrażenia nieszczęśliwej. Pocałowali się. Potem Kabir powiedział:

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Dobrze spałaś?

— Dziękuję, doskonale — odparła Lata. — Śnił mi się osioł.

— A nie ja?

— Nie.

— A ja miałem jakieś nieprzyjemne majaki — powiedział Kabir — ale teraz już nic z tego nie pamiętam.

— Lubię sobie pospać — stwierdziła Lata. — Mogę spać po dziewięć albo i dziesięć godzin na dobę.

— Co ty? Ale czy nie jest ci zimno? Włóż to. — Kabir zdjął sweter i podał go Lacie.

— Nie mogłam się doczekać tego spotkania — powiedziała Lata.

— Lata? — rzekł Kabir. — Coś się stało, prawda? Co ci jest?

Oczy jej zaszły mgłą.

— Nic — odparła Lata, połykając łyżę. — Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy.

LPR

— Dlaczego?

— Dziś wieczorem wyjeżdżam do Kalkuty. Moja matka skądś się o nas dowiedziała. Kiedy usłyszała, jak się nazywasz, dostała ataku hysterii... Mówiłam ci, jaka jest moja rodzina.

Kabir usiadł na pniu i powiedział:

— O, nie!

Lata również usiadła.

— Dalej mnie kochasz? — zapytała po chwili.

— Co za pytanie! — powiedział Kabir, śmiejąc się gorzko. — Co się z tobą dzieje?

— Pamiętasz, co mi powiedziałaś ostatnim razem: że się kochamy i że tylko to się liczy?

— Tak — potwierdził Kabir jeszcze raz. — Tylko to.

— No to wyjeźdźmy...

— Wyjeźdźmy? — spytał smutno Kabir. — Ale dokąd?

— Wszystko jedno gdzie... może w góry... Naprawdę wszystko jedno...

— Wyjechać i zostawić tak wszystko za sobą?

— Wszystko. Nic mnie to nie obchodzi. Spakowałam nawet trochę rzeczy.

Ten pragmatyzm rozczerzył go, nie zaniepokoił. Uśmiechnął się i powiedział:

— Lata, nie mamy szans. Nie możemy tak nagle wyjechać. Poczekajmy i zobaczymy, jak się sprawy ułożą. Coś wymyślimy. Zobacysz!

— Myślałam, że żyjesz od spotkania do spotkania.

Kabir objął ją ramieniem.

— Bo to prawda. Jednakże nie możemy sami o wszystkim decydować. Wiem, że nie będzie ci się to podobało, ale...

— Ale jednak zrobisz po swojemu, tak? Ile jeszcze będziemy musieli czekać?

— Myślę, że jakieś dwa lata. Najpierw muszę skończyć studia. Potem złożę podanie do Cambridge... albo może będę się starał dostać do służby dyplomatycznej. Muszę przystąpić do egzaminu...

— Ach! — Serce ścisnęło się jej w piersi z rozpacz.

Zamilkł, świadomy, jak egoistycznie musiały zabrzmieć jego wywody.

— Przez ten czas wydadzą mnie już za mąż — powiedziała Lata, ukrywając twarz w dłoniach. — Nie jesteś dziewczyną. Nie rozumiesz. Być może matka nie pozwoli mi nigdy wrócić do Brahmपुरu.

Przypomniała sobie ostatnie dwie linijki rymowanki, którą Kabir ułożył na spotkaniu u Mr Naurodziego:

I prośbą moją pod uwagę wet

Nie zwlekajmy! Zwiewajmy w te pady!

Wstała. Nie starała się nawet ukryć łez.

— Idę — powiedziała.

— Lata, proszę, nie odchodź jeszcze. Wysłuchaj mnie — prosił ją Kabir. — Kiedy będziemy mogli jeszcze ze sobą porozmawiać? To nasza ostatnia szansa...

Wchodziła szybko ścieżką pod górę, starając się teraz uciec od niego jak najdalej.

— Lata, opamiętaj się!

Nie przystanęła na szczycie. Kabir podążał za nią w milczeniu. Nie chciała go widzieć, odtrąciłaby go, gdyby starał się ją zatrzymać. Może nawet zraniłaby go jakąś bolesną uwagą.

W połowie drogi do domu rosły krzaki wonnego kamini, niektóre z nich wielkości sporego drzewa. Powietrze nasycone było ich zapachem. Maleńkie pączki otwierały główki w ciemnoliściastych gałęziach, a cała ziemia wokół usłana była bielutkimi płatkami. Kiedy przechodzili obok, Kabir potrząsnął gałęzią i deszcz wonnych, delikatnych płatków spadł jej na głowę. Udała, że nic nie widzi.

Szli w milczeniu. Wreszcie Lata odwróciła się:

— Tam, w szlafroku, chodzi mąż mojej siostry — powiedziała. — Szukają mnie. Idź już. Nikt nas jeszcze nie zauważył.

— Wiem. Znam przecież doktora Kapura. Porozmawiam z nim... Postaram się ich przekonać...

— Nie przebiegniesz codziennie sprintem trzy razy pomiędzy kreskami
— rzekła Lata. — Nawet ty.

LPR

Kabir stanął jak wryty. Tak osłupiał, że na chwilę zapomniał, co się stało. Lata poszła, nie oglądając się za siebie.

Nie chciała go już nigdy w życiu widzieć na oczy.

W domu Mrs Rupa Mehra odchodziła od zmysłów, Pran chodził w kółko ponury, a Sawita tonęła we łzach. Lata odmówiła odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

Tego wieczoru Mrs Rupa Mehra i Lata wyjechały do Kalkuty. Mrs Rupa Mehra wyrzekała przez cały czas na Latę, że to przez jej skandaliczne wybryki musi opuścić Brahmpur przed Ramnawami, narażając się przy tym na niepotrzebne wydatki.

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, ustąpiła wreszcie i siedziała, o dziwo, bez słowa, nie nawiązując rozmowy z pasażerami w przedziale.

Lata milczała. Dopóki się zupełnie nie ściemniło, wyglądała przez okno pociągu, złamana i upokorzona. Miała dość wszystkiego: i matki, i Kabira, i tej całej życiowej szarpaniny.



CZĘŚĆ CZWARTA

4.1

W czasie kiedy Lata przeżywała swoje pierwsze miłosne perypetie, w starej dzielnicy rozgrywały się wydarzenia, które, jak się później okazało, miały niebagatelny wpływ na losy bohaterów tej opowieści. Tak się złożyło, że do tych doniosłych przemian przyczyniła się siostra Prana, Wina, wraz z rodziną.

Bhaskar przywitał się z matką pocałunkiem, na który ta odpowiedziała gorącym uściskiem, pomimo iż chłopiec był przeziębiony, po czym pobiegł z powrotem na swoje miejsce, tam gdzie siedział przed jej przyjściem, na niewielką sofę, pomiędzy ojca a jego gościa, i natychmiast wrócił do przerwanej rozmowy na temat liczb do potęgi dziesiątej.

Kedarnath Tandon popatrzył na synka z czułością, ale — chociaż był dumny z jego nieprzeciętnych zdolności — nie zwracał właściwie uwagi na to, co mały mówił. Gościem ojca w ich domu w Misri Mandi był Hareś Channa, którego przedstawił mu wspólny znajomy z branży obuwniczej i który wolałby, prawdę powiedziawszy, porozmawiać na tematy zawodowe, takie jak jakość skór czy na przykład rozwój rzemiosła obuwniczego w Brahmpurze, ale uznał, że lepiej dać się synowi gospodarza wygadać do woli, szczególnie że ten zapaleniec Bhaskar doznał tego dnia zawodu: nastawił się na puszczenie latawców, ale nie pozwolono mu wyjść z domu, więc potrzebował jakiejś rekompensaty, w tym wypadku mieli to być wyrozumiali, uważni słuchacze. Hareś starał się skoncentrować na jego paplaninie.

— Widzi pan, bo to jest tak, Hareś ćaća. Najpierw ma pan dziesięć, to jest tylko dziesięć, czyli dziesięć do potęgi pierwszej. Potem ma pan sto, czyli dziesięć razy dziesięć albo inaczej dziesięć do potęgi drugiej. Potem ma pan tysiąc, czyli trzecią potęgę. Potem ma pan dziesięć tysięcy, czyli dziesięć do potęgi czwartej... Ale właśnie tu zaczyna się problem, rozumie mnie pan? Nie mamy na to specjalnej nazwy, a powinniśmy. Pomnożone przez dziesięć, to jest dziesięć do potęgi piątej, daje nam lakh. Potem mamy dziesięć do potęgi szóstej, to jest milion, dziesięć do potęgi siódmej daje nam krore, a potem

znowu dochodzimy do potęgi, na którą nie mamy nazwy, to znaczy dziesięć do potęgi ósmej. Powinniśmy mieć i na to jakieś specjalne określenie. Dziesięć do potęgi dziewiątej to miliard, a potem przychodzi dziesięć do potęgi dziesiątej. Jak to się dzieje, że ani po angielsku, ani w hindi nie mamy nazwy na taką ważną liczbę jak dziesięć do potęgi dziesiątej? Zadziwiające! Nie uważa pan, Hareś ćaća? — kontynuował, wpatrując się w twarz Hareśa błyszczącymi z podniecenia oczami.

— Ale wiesz co — rzekł Hareś, odgrzebując w pamięci jakiś okruch dawnej wiedzy, który mógłby okazać się interesujący dla dociekliwego Bhaskara — wydaje mi się, że istnieje specjalne określenie na dziesięć tysięcy. Chińscy garbarze, którzy pracują dla mnie w Kalkucie i z którymi robię interesy, powiedzieli mi kiedyś, że w swoich obliczeniach używają liczby dziesięć tysięcy jako standardowej wartości. Nie pamiętam, jaki to wyraz, ale wiem, że tak jak dla nas lakh jest jedną z podstawowych jednostek mierniczych, tak dla nich taką główną, okrągłą liczbą jest właśnie dziesięć tysięcy.

Bhaskar był wniebowzięty.

— Ojejku, Hareś ćaća, musi pan koniecznie zapytać ich, co to za nazwa — powiedział. — Musi się pan dowiedzieć, jak to brzmi. Strasznie mi to potrzebne — powiedział z przekonaniem. W jego oczach migotały ogniki mistycznej ekscytacji, a żabia twarz pałała świeżo rozbudzoną ciekawością.

— Dobrze. To wiesz co? Jak tylko wrócę do Kanpuru, popytam znajomych. Może się dowiem, co to za wyraz, i wtedy zaraz wyślę ci list. Co ty na to? Kto wie, może i nawet mają specjalne określenie na dziesięć do potęgi ósmej?

— Naprawdę pan tak myśli? — Głośne westchnienie zdradzało, jak ogromną pokładał w tym nowym przymierzu nadzieję. Radował się tak, jak cieszyłby się filatelista, otrzymawszy nieoczekiwanie w prezencie dwa brakujące w kolekcji znaczki. — A kiedy będzie pan wracał do Kanpuru?

Wina, która wniosła właśnie do pokoju herbatę w filiżankach, skarciła Bhaskara za takie niegościnne zachowanie i spytała Hareśa, ile sypie łyżeczek cukru.

Hareś zauważył natychmiast, że jeszcze parę minut temu głowę miała odkrytą, ale teraz, po powrocie z kuchni, przykryła ją sari. Domyślił się, i słusz-

nie, że zrobiła to na żądanie swojej teściowej. „Kobieta z werwą”, pomyślał. „Ma to wypisane na twarzy”. Była od niego nieco starsza i raczej korpulentna, ale energiczna, a wyraz pewnego niepokoju w oczach uwydatniał dodatkowo tę cechę jej osobowości.

Winie natomiast gość jej męża od razu spodobał się z wyglądu. Był przystojny: niewysoki, dobrze zbudowany, ale i nie krępy, o jasnej cerze, z twarzą raczej kwadratową, nie owalną. Oczu może nie miał dużych, ale ich śmiałe, szczere spojrzenie przypadło jej do serca, gdyż świadczyło — jej zdaniem — o prawości charakteru. Zwróciła również uwagę na jedwabną koszulę i agatowe spinki do mankietów. „Szykownie się nosi”, pomyślała.

— Dobrze, Bhaskar. Idź już teraz, porozmawiaj trochę z babcią — rzekła Wina. — Tatuś ma z panem wiele ważnych spraw do omówienia.

Bhaskar nie skapitulował od razu, czekał, co powie na to jego tata, stał więc prawie nieruchomo, popatrując na obu mężczyzn, w oczekiwaniu na ojcowski wyrok.

— Słuchaj mamy — powiedział Kedarnath, który wyczuł to nieme pytanie, chociaż siedział na sofie z zamkniętymi oczami.

Hareś uśmiechnął się, ale nie odezwał się ani słowem. Bhaskar odszedł z nosem spuszczonej na kwintę, pokonany.

— Proszę się nie przejmować. Na razie stroi fochy, ale mu to przejdzie — grzecznie zapewniła gościa Wina. — Lubi brać udział we wszystkim, co się dzieje w domu. Nigdy nie gramy przy nim z Kedarnathem w ćaupar, bo nalega, żeby się do nas dołączyć, a potem zawsze wygrywa, co nas niestety wyprowadza z równowagi.

— To zupełnie zrozumiałe — powiedział Hareś z galanterią.

— Nie ma tu nikogo, z kim mógłby porozmawiać o matematyce, więc czasami zamyka się w sobie. W tym cały problem. W szkole nauczyciele wcale nie zachwycają się jego geniuszem, raczej martwią się o niego. Czasami, kiedy na klasówce z matematyki nie podoba mu się jakieś pytanie, celowo robi błędy w obliczeniach. Tak mi się przynajmniej wydaje. Raz, już dawno temu... był wtedy jeszcze malutki... Man, to znaczy mój brat, zapytał go, ile jest siedemnaście minus sześć. Otrzymał poprawną odpowiedź, jedenaście, ale kazał mu od tego odjąć jeszcze sześć, potem od pięciu znowu sześć. A Bha-

skar uderzył w płacz. „Nie chcę tak, nie chcę tak!”, powtarzał. „Man mamu oszukuje!”, zawodził. „Powiedzcie mu...!” I potem nie odzywał się do niego prawie przez tydzień.

— No, może przez jakiś dzień albo dwa — sprecyzował Kedarnath. — Ale to było, zanim się dowiedział o liczbach ujemnych. Jak tylko się nauczył, całymi dniami odejmował liczby większe od mniejszych i napierał się, żeby mu dawać wciąż nowe przykłady do rozwiązania. I taaak... No, ale w interesach, panie, teraz u nas kłapa i jak tak dalej pójdzie, Bhaskar będzie miał nieograniczone możliwości, żeby ćwiczyć się w liczbach ujemnych.

— Aha, no właśnie, póki pamiętam — zwróciła się Wina do męża z niepokojem w głosie. — Badźadź był tu dzisiaj rano, ale ponieważ cię nie zastał, powiedział, że wpadnie jeszcze raz około trzeciej.

Z wyrazu ich twarzy Hareś domyślił się, że Badźadź to pewnie jeden z wierzycieli.

— Kiedy strajk się skończy, wszystko wróci do normy — powiedział Kedarnath tonem usprawiedliwienia. — Na razie moje finanse są w opłakanym stanie.

— Problem polega na tym — powiedziała Wina — że nikt nikomu nie ufa w tych niepewnych czasach. Wszyscy stali się podejrzliwi, wszędzie tylko węższą podstęp. A miejscowi przywódcy zaostrzają jeszcze konflikty. Ponieważ mój ojciec jest bardzo zajęty w parlamencie, no i u siebie w ministerstwie, Kedarnath pomaga mu, jak może, utrzymywać stały kontakt z wyborcami, więc wie pan, ludzie często przychodzą do niego ze swoimi kłopotami. Ale ostatnio, kiedy Kedarnath starał się pośredniczyć w pertraktacjach, to chociaż... wiem, że nie powinnam o tym mówić i że Kedarnath nie lubi poruszać tego tematu, ale to święta prawda... chociaż cenią go i szanują i sojusznicy, i nawet przeciwnicy, szewcy starali się poderwać jego autorytet tylko dlatego, że jest kupcem.

— No, to jest niezupełnie tak — powiedział Kedarnath, ale postanowił odłożyć wyjaśnienie na później, kiedy zostaną z Haresem sam na sam. Znowu przymknął oczy, co zaniepokoiło Hareśa.

— Proszę się nie przejmować. Nie zasnął, nie jest znudzony ani nawet nie modli się przed obiadem. — Jej mąż otworzył szybko oczy. — Już tak

ma w zwyczaju — wyjaśniła. — Nawet na naszym weselu... tylko że wtedy trudno to było zauważyć pod tymi wszystkimi girlandami.

Podniosła się, żeby sprawdzić, czy ryż już gotowy. Podała obiad i dopiero kiedy obaj mężczyźni się posilili, starsza Mrs Tandon dołączyła do nich na chwilę, żeby zamienić parę słów. Usłyszawszy, że Hareś Channa pochodzi z Delhi, zapytała, z których jest Channów: tych z Nil Darwaza czy tych z Lakhi Kothi, a kiedy Hareś powiedział, że z Nil Darwaza, wspomniała, że była tam raz, jeszcze jako mała dziewczynka.

Hareś opisał, co się tam teraz zmieniło, opowiedział trochę o sobie, chwalił smaczne, chociaż niewyszukane wegetariańskie potrawy, które przygotowały obie kobiety, i zupełnie zawojował serce starszej pani.

— Mój syn bardzo dużo podróżuje — zwierzyła się Hareśowi — a w podróży nikt go porządnie nie odżywia. Nawet tutaj, gdyby nie ja...

— Właśnie — powiedziała Wina, chcąc uciąć jak najprędzej te wywody. — Wiadomo, że mężczyznę trzeba karmić jak niemowlaka. Kedarnath... to znaczy ojciec Bhaskara... — poprawiła się, widząc gromiące spojrzenie swojej teściowej — uważa, że nikt tak nie gotuje jak jego mama. Gdyby jeszcze mężczyznom można było śpiewać kołysanki przed snem...

Hareśowi udało się powstrzymać uśmiech, chociaż w oczach zamigotały mu ogniki rozbawienia.

— Ciekawa jestem, czy Bhaskar będzie tęsknił za moją kuchnią... Kiedy się już ożeni... — ciągnęła Wina. — Pewnie nie.

Kedarnath ujął ją za rękę.

— Nie, naprawdę... — powiedział z delikatną wymówką.

Hareś zauważył, że jego dłoń pokryta była bliznami.

— Co takiego powiedziałam? — spytała niewinnie Wina, ale szybko zmieniła temat. Doceniała szlachetność charakteru swojego męża, tę jego prawie czasem przesadną uczciwość i nie chciała, żeby źle o niej myślał. — Wiesz co — zwróciła się teraz do niego — obsesyjne zainteresowanie Bhaskara matematyką to chyba moja wina. Ja nazwałam go tak na cześć słońca, a rok później ktoś mi powiedział, że jeden z naszych matematyków miał na imię Bhaskar, i teraz nasz Bhaskar nie może żyć bez tych swoich obliczeń. Imiona mają dziwną moc. Mojego ojca nie było w mieście, kiedy się urodzi-

łam, i moja mama dała mi imię Wina, sądząc, że mu się będzie podobało, bo bardzo lubi muzykę. W rezultacie mam obsesję na punkcie muzyki i tak jak on nie mogę bez niej żyć.

— Naprawdę? — zainteresował się Hareś, — I rzeczywiście gra pani na winie?

— Nie. Ale śpiewam. — Wina rozpromieniła się przy tych słowach. — Śpiewam. To całe moje życie.

Starsza Mrs Tandon wstała i wyszła z pokoju.

Po pewnym czasie Wina, wzruszając ramionami, podążyła za nią.

LR

4.2

Kiedy mężczyźni zostali sami, Hareś — którego wysłali pracodawcy, Przedsiębiorstwo Wyrobów Skórzanych i Obuwniczych Cawnpore do Brahmuru na parę dni po zakup niektórych materiałów — zwrócił się do Kedarnatha i powiedział:

— Przechadzałem się po bazarach już dobre parę razy, odkąd tu jestem, więc wiem mniej więcej, co się tam dzieje i na co się zanoszą. Ale pomimo całej tej gonitwy są rzeczy, których nadal nie rozumiem. Na przykład na czym polega ten wasz system kredytowy? Te bony i promesy, i tak dalej? I dlaczego drobni rzemieślnicy zgodzili się na strajk? Przecież na pewno ponoszą duże straty. No i nie jest to dobre dla kupców takich jak pan, którzy zaopatrują się u nich.

— Cóż — powiedział Kedarnath, przyglądając lekko siwiejące włosy dłonią. — Jeśli chodzi o te bony, to na początku też nie mogłem się w tym zupełnie połapać. Tak jak wspominałem, byliśmy zmuszeni opuścić Lahaur w czasie Podziału i zresztą nie od razu po wyjeździe zająłem się handlem w branży obuwniczej. Wie pan, przejeżdżałem nawet przez Agrę i Kanpur w drodze do Brahmuru, i ma pan rację, system kanpurski różni się od tutejszego. Był pan kiedyś w Agrze?

— Tak — odparł Hareś. — Byłem. Ale dawno temu. Zanim jeszcze podjąłem pracę w przemyśle obuwniczym.

— No więc, system w Agrze jest podobny do naszego. — Tu Kedarnath opisał go w skrócie.

Kupcy, którzy wiecznie mieli za mało gotówki, płacili szewcom częściowo w bonach opatrzonych późniejszą datą. Szewcy mogli otrzymać gotówkę na zakup surowców, jedynie dyskontując te bony przy innych transakcjach. Od lat już uważali, że dają się kupcom wykorzystywać, udzielając im w ten sposób kredytu, a ostatnio niezadowolenie rosło. W końcu, kiedy cech kupiecki zaczął forsować propozycję zastąpienia gotówki bonami, szewcy podnieśli bunt.

— I, naturalnie, ma pan rację — dodał Kedarnath. — Nikt na tym strajku nie wygra. Sami będą przymierać głodem, a nas doprowadzą do ruiny.

— Przypuszczam, że z ich punktu widzenia — powiedział Hareś, głośno myśląc — dzięki bonom wy bogaciecie się ich kosztem.

Nie było w jego głosie ani cienia nagany. Po prostu jako wnikliwy pragmatyk starał się przeanalizować i fakty, i opinie. Kedaraath udzielił mu dalszych wyjaśnień.

— Tak właśnie twierdzą, rzeczywiście — przyznał Hareśowi rację. — Tylko że sami również na tym korzystają, poszerzając rynek zbytu. A poza tym przecież ich zarobki nie ograniczają się tylko do bonów. Nadal dostają do ręki głównie gotówkę. Wszyscy teraz huzia na kupców, jakby to oni byli przyczyną wszelkiego zła, a tymczasem każda ze stron ma swoje racje. Dobrze, że przynajmniej minister spraw wewnętrznych L.N. Agarwal pochodzi z kupieckiej rodziny. Część tej dzielnicy leży w obrębie jego okręgu wyborczego, a on nas nie potępia, rozumie nasz punkt widzenia. To polityczny przeciwnik ojca mojej żony — i prywatnie też się nie mogą ścierpieć — ale na handlu zna się dużo lepiej niż mój teść. Od dawna już powtarzam to Winie, chociaż to nie po jej myśli.

— Czy mógłby mnie pan oprowadzić po Misri Mandi dzisiaj po południu? — zapytał Hareś. — To mi pozwoli zorientować się lepiej w sytuacji.

„Ciekawe”, myślał Hareś, „że ci dwaj zaciekli wrogowie, obaj z tekami ministrów i obaj bardzo wpływowi, reprezentują akurat dwa sąsiadujące okręgi wyborcze”.

Hareś widział po jego minie, że Kedarnath waha się, czy przyjąć propozycję. Rzetelna wiedza Hareśa z zakresu produkcji obuwia, a także jego przedsiębiorczość oraz zmysł organizatorski ogromnie zaimponowały Kedarnathowi. Poza tym zdarzało się, że duże zakłady, takie jak Przedsiębiorstwo Skórzane i Obuwnicze Cawnpore, otrzymywały drobne zamówienia ze sklepów z butami, na — powiedzmy — pięć tysięcy par jakiegoś określonego rodzaju obuwia, a że nie opłacało się im przestawiać całej produkcji, aby wykonać takie zamówienie, potrzebowały czasem dostawców, więc zastanawiał się, czy nie wystąpić wobec tego z propozycją współpracy.

Gdyby mógł wysłać im do Kanpuru dobrej jakości buty miejscowej produkcji, to obie strony dobrze by na tym wyszły. „Opłacałoby się spróbować”, kalkulował w myślach.

Niestety, czasy były bardzo niepewne, wszyscy borykali się z trudnościami, gotówki na rynku było mało, i po takiej lustracji Hareś odniesie na pewno wrażenie, że nie ma co się wplątywać w tym Brahmpurze w jakieś podejrzaną umowę.

Ale drobna grzeczność, jaką wyświadczył Hareś jego synowi, i szacunek, z jakim odnosił się do matki, przechyliły szalę na jego korzyść.

— No dobrze — powiedział Kedarnath. — Ale pójdziemy tam dopiero pod wieczór, jak już się handel dobrze rozkręci... o tyle, o ile możliwe przy tym strajku. Brahmpurski Bazar Obuwniczy, gdzie mam swój sklep, jest otwierany o szóstej. Ale tymczasem mam inną propozycję. Zaprowadzę pana tam, gdzie szyją buty. W Anglii pan tego nie zobaczy... ani nawet w takich dużych zakładach jak Przedsiębiorstwo Skórzane i Obuwnicze w Kanpurze.

Hareś chętnie na to przystał.

Przez zakratowaną lukarnę wpadały do mieszkania promienie słońca i schodząc po schodach, Hareś myślał o tym, że rozkładem przypomina ono rezydencję jego przybranego ojca w Nil Darwaza, choć oczywiście jest dużo mniejsze.

Na rogu alejki, w miejscu, gdzie przechodziła w szerszą i bardziej zatłoczoną ulicę, było stoisko z panem.

— Zwykły czy słodki? — spytał Kedarnath.

— Zwykły. Z tytoniem.

Hareś siedł przez jakiś czas w milczeniu obok Kedarnatha, żując pan. Będzie go mógł potem wypluć do wąskiego rynsztoka, który biegł akurat wzdłuż ulicy, ale na razie, lekko odurzony tytoniem, odprężony, przeciskając się w tłoku, ogłuszony hałasem rozmów i pokrzykiwań oraz dźwiękiem dwoneczków przy rowerach, krowich dzwonków, jak również dzwonów świątyni Radhakryshny, znowu przeniósł się myślami do alejki w starej dzielnicy w Delhi, gdzie stał dom jego przybranego ojca. To tam się wychował po śmierci rodziców.

Kedarnath, który zaopatrzył się w zwykły pan, również mało co się do niego odzywał. Myślał o tym, że zaraz zaprowadzi tego młodego człowieka w jedwabnej koszuli do jednej z najuboższych dzielnic miasta, gdzie szewcy, dżatawowie, żyli w skrajnej nędzy, harując od świtu do nocy, i zastanawiał się, jak tamten na to zareaguje. Przypomniawszy sobie, jak bieda zajrzała mu w oczy, gdy stracił wszystko, co miał, w Lahaur, w 1947 roku, i jak ciężko od tej pory pracował, żeby wydostać Winę i Bhaskara z ubóstwa. A teraz, przez ten strajk, znowu groziła mu ruina. Ani trochę nie wątpił w geniusz swego syna i chciał go posłać do najlepszych szkół, takich jak Doon, a potem może nawet do Oksfordu albo Cambridge. Ale czasy były ciężkie. Czy będzie go na to stać? Solidne wykształcenie, na jakie zasługiwał Bhaskar, lekcje śpiewu Winy, za którymi przepadała, to wszystko kosztuje krocie. Czy w ogóle będą mieli środki, żeby opłacić skromny czynsz za mieszkanie? Te wszystkie przeciwności losu postarzały go przedwcześnie.

„Ale taka jest cena poświęcenia”, mówił sobie. „Kocham ich i nie mogę przeliczać, ile siwych włosów kosztuje mnie dobrobyt mojej żony i dziecka”.

4.3

Szli najpierw szeroką aleją, jeszcze szerszą niż poprzednia, a potem skręcili w wąską, skwarną, zakurzoną ulicę. Jednym z punktów orientacyjnych Ćauk, ludnej dzielnicy położonej na pagórkowatym terenie, był ogromny, różowy, trzypiętrowy budynek — Kotwali, czyli miejski posterunek policji — największy w Parwa Pradeś, drugim zaś, tylko o sto jardów dalej, piękny, surowy meczet Alam-giri, na zlecenie cesarza Aurangzeba wybudowany w centrum miasta na ruinach wielkiej świątyni Siwy.

Późne pisma Mughala oraz brytyjskie archiwa potwierdzają, że było to miejsce licznych starć pomiędzy wyznawcami hinduizmu i islamu. Do dziś nie wiadomo dokładnie, co ściągnęło na miasto gniew cesarza, bo chociaż był zagorzałym fanatykiem religijnym, najmniej tolerancyjnym spośród wszystkich wielkich cesarzy swojej dynastii, słynącym z okrucieństwa i politycz-

nych nadużyć, to rejon brahmpurski względnie mało ucierpiał w czasie jego panowania. Ponowne nałożenie pogłównego na innowierców, podatek, który uchylił jego pradziadek Akbar, zubożył oczywiście brahmpurczyków, podobnie jak i innych poddanych w cesarstwie, ale żeby zrównać z ziemią całą świątynię... Musiała po temu istnieć jakaś wyjątkowa przyczyna, na przykład wykrycie, że stała się ośrodkiem politycznego albo nawet zbrojnego oporu. Zwolennicy Aurangzeba utrzymywali, że oskarżanie go o fanatyzm było w większości nieuzasadnione albo przynajmniej bardzo przesadzone, jako że był równie bezwzględny wobec szytów, jak i wobec hindusów, ale nienawiść do despoty, który 250 lat wcześniej ośmielił się zburzyć miejsce święte dla wszystkich wierzących hindusów — świątynię Siwy (tego skądinąd słynnego burzyciela) — przetrwała w społeczeństwie brahmpurskim przez pokolenia.

Wedle miejscowych podań, wielka linga Siwy została nocą, po kryjomu, wyniesiona z sanktuarium świątyni przez kapłanów tak zwanej świątyni Candraćur i zakopana, ale nie na dnie jakiejś głębokiej studni, jak to się na ogół w tamtych czasach robiło, tylko pod stosunkowo cienką warstwą piachu nad brzegiem Gangesu, niedaleko krematorium. Nikt nie wie, jak zdołano przetransportować tam tę potężną, kamienną statwę. Podobno lokalizację kryjówki znali kolejni główni kapłani świątyni Candraćur, przekazując ustnie tajemnicę swoim następcom przez całe dziesięć pokoleń. Żaden z rekwizytów kultu religijnego hindusów nie wzbudzał w bogobożnych teologach islamu takiego obrzydzenia jak powszechnie otaczany czcią fallus, linga Siwy. Zgorszeni, zacięcie i gorliwie niszczyli jego posągi, z głębokim przekonaniem o słuszności własnego postępowania. Dopóki istniała groźba ponownych prześladowań ze strony muzułmanów, kapłani nie zdradzali nikomu swojego sekretu, ale po odzyskaniu niepodległości przez Indie i po Podziale kapłan dawno już zniszczonej od tamtej pory świątyni Candraćur, który żył w nędzy w chacie obok krematoryjnego ghatu, uznał, że niebezpieczeństwo minęło i że czas wreszcie wyjść z ukrycia. Podjął starania, aby odbudowano jego świątynię i aby przywrócono na dawne miejsce lingę Siwy. Początkowo pracownicy katedry archeologii nie dawali wiary jego opowieściom i nie chcieli słuchać instrukcji, jak znaleźć lingę Siwy. Pogłoski o miejscu kryjówki były nie udokumentowane, a poza tym nawet gdyby okazały się prawdziwe, koryto Gangesu przesuw-

nęło się od tamtego czasu i piaski zmieniły położenie, a trudno było liczyć na dokładność ustnie przekazywanych przez lata wersetów mantry zawierających niezbędne do podjęcia prac wykopaliskowych wskazówki. Kto wie zresztą, czy nie ostrzeżono biurokratów z katedry archeologii o potencjalnie katastrofalnych konsekwencjach tego typu przedsięwzięcia, a ci zdecydowali, że dopóki linga Siwy leży sobie spokojnie w swojej kryjówce pod ziemią, nie zagraża porządkowi publicznemu, ale niech tylko znajdzie się z powrotem na piedestale w swoim dawnym sanktuarium, może się stać pretekstem do rozruchów; dlatego też pewnie, między innymi, nie udzielili kapłanowi żadnej pomocy.

Kiedy znaleźli się obok meczetu o czerwonych ścianach, Hareś, jako przyjezdny, zapytał, dlaczego nad główną bramą wejściową wywieszono czarne flagi, a Kedarnath wyjaśnił rzeczowo, że wciągnięto je dopiero w zeszłym tygodniu, kiedy rząd wydał zezwolenie na budowę, drzwi w drzwi, nowej świątyni Siwy. Mówił o tym ze stoickim spokojem, zadziwiającym u człowieka, który stracił w La-haur dom, majątek i właściwie wszystkie środki do życia. Nie wyglądało na to, że żywi do mahometan jakąkolwiek urazę, raczej wyczuwało się w jego głosie, że ma już po prostu dość zaślepienia i swarów na tle religijnym. Ta beznamietność doprowadzała do furii jego matkę.

— Niektórzy miejscowi pudżarini uważają, że nad Gangesem zakopana jest linga Siwy — powiedział Kedarnath. — Podobno pochodzi ze świątyni wielkiego Siwy, Candraćur, którą, jak mówią, Aurangzeb zrównał z ziemią. W filarach meczetu widać odłamki rzeźb hinduskich, więc pewnie rzeczywiście wybudowano go na gruzach jakiejś świątyni, Bóg wie, jak dawno temu. Niech pan uważa, gdzie pan idzie!

Hareś omal nie poślizgnął się na psim łajnie. Miał na nogach eleganckie trzewiki z niewyprawnej skóry, więc wdzięczny był za to ostrzeżenie. Odskończył zręcznie w bok, a Kedarnath uśmiechnął się z uznaniem.

— Tak czy owak — opowiadał dalej — budynek, który stoi, czy raczej stał, od zachodniej strony meczetu należy do rady Marhu. Kazał go wyburzyć i teraz buduje tam świątynię. Nową świątynię Candraćur. Idiota! Ponieważ nie może rozwalić meczetu i postawić jej na dawnym miejscu, chce umieścić lingę obok, w sanktuarium, bo go to ogromnie bawi, że pięć razy

dziennie muzułmanie będą kłonić głowy w kierunku lingi Siwy. Nie ma co, świętny żart.

Zauważywszy wolną rykszę, Kedarnath przywołał ją, a kiedy wsiedli, powiedział:

— Do Rawidaspuru — a potem wrócił do przerwane go tematu rozmowy: — Wie pan, uważamy się za taki łagodny, pobożny naród, ale pomimo tych pięknych domniemanych zalet potrafimy innych zmieszać z błotem, nie uważa pan? Nie rozumiem takich ludzi jak radża Marhu. Po prostu ich nie rozumiem. Ubrdał sobie chyba, że jest drugim Ganeśą i że jego życiowa misja to stanąć na czele oddziałów Siwy i poprowadzić je do zwycięstwa nad nieczystymi siłami. A z drugiej strony łajdaczy się z muzułmańskimi prostytutkami po całym mieście. Zaraz po tym, jak położył kamień węgielny pod świątynię, zginęło dwóch ludzi, ale co to go może obchodzić? U siebie, w swoim stanie, kiedy miał pełnię władzy, musiał już pewnie wymordować dwadzieścia razy tyle. W każdym razie jeden z tych zabitych to mahometanin, więc mułlowie wywiesili czarne flagi nad bramą meczetu. A kiedy pan się przyjrzy dokładniej, zauważy pan, że kilka mniejszych zatknięto także na minaretach.

Hareś odwrócił się, ale nagle ryksza, która nabierała szybkości z górki, zderzyła się z samochodem i zatrzymała gwałtownie. Samochód utknął w korku ulicznym, więc jechał bardzo wolno i na szczęście nic się nikomu nie stało, ale wygięło się parę szprych w rowerze. Chudy rykszarz, który na pierwszy rzut oka robił wrażenie nieśmiałego, zeskoczył z roweru, rzucił okiem na przednie koło i zaczął walić wściekle pięścią w okno samochodu.

— Dawać mi tu zaraz pieniądze! *Phataphat!* Za poniesione szkody! — wydzierał się.

Kierowcę w liberii i pasażerki — dwie panie w średnim wieku — zdziwiło to żądanie. Wreszcie, ochłonawszy z wrażenia, kierowca wystawił głowę przez okno i odkrzyknął:

— Niby dlaczego? To ty w nas wałnąłeś. Twoja ryksza stoczyła się z górki. Trzeba było zahamować. My się nie ruszaliśmy. Ty się będziesz rzucał pod koła, a ja mam może płacić potem za twój pogrzeb?! Dobrze sobie!

— Forsa! Raz-dwa! No już, od ręki! Trzy rupie za trzy szprychy!

— pieklił się dalej bezczelny rykszarz, a ponieważ kierowca odwrócił twarz w drugą stronę, rozjuszył się jeszcze bardziej: — Kurwa twoja mać! Na co jeszcze czekasz? Jak nie pokryjesz straty, rozwalę ci tę twoją landarę — zagroził jak bandyta.

Kierowca, który w innych okolicznościach bluzgnąłby pewnie stekiem wyzwisk w odpowiedzi, musiał się liczyć przy swoich (i tak już podenerwowanych) pracodawczyniach ze słowami, więc zasznurował usta.

Wyminął ich drugi rykszarz, który jeszcze podjudzał:

— Hej! Nie daj się, bracie! Dobra nasza!

Wokół zgromadził się już tłumek gapiów.

— Zapłać mu i jedźmy stąd — rzekła jedna z siedzących z tyłu pasażerek. — Nie mam sił targować się w taki upał.

— Trzy rupie — zażądał znowu rykszarz.

Hareś miał właśnie zamiar wyskoczyć z rykszy, żeby nie dopuścić do takiego rozboju, kiedy kierowca samochodu rzucił nagle rykszarzowi monetę wartości ośmiu ann i w bezradnej wściekłości zawołał:

— A bierz to i spieprzaj!

Kiedy samochód odjechał, a tłum się rozproszył, rykszarz zaczął sobie pogwizdywać z uciechy. Pochylił się, w try miga wyprostował dwie pogięte szprychy i po chwili znowu byli w drodze.

4.4

— Byłem przedtem u Dżagata Rama tylko parę razy, więc będę się musiał popytać, gdzie to jest, gdy dojedziemy do Rawidaspuru — powiedział Kedarnath.

— U Dżagata Rama? — zapytał Hareś, nadal zły na rykszarza za incydent ze szprychami.

— To ten szewc, dżatawa, którego zakład jedziemy obejrzeć. Kiedyś był jednym z koszykowych... Mówiłem już o nich panu, prawda? Chodzą po

sklepach z butami w Misri Mandi, starając się sprzedać swój towar komukolwiek.

— A teraz?

— O, teraz ma swój własny zakład. To solidna firma. Wie pan, można na nim polegać, w przeciwieństwie do większości szewców, którzy jak tylko są przez jakiś czas przy forsie, nie dotrzymują ani terminów, ani obietnic. I zna się na rzeczy. A poza tym nie pije; no, przynajmniej nie przesadza. Żeby go wypróbować, składałem u niego drobne zamówienia, na parę tuzinów par butów na początek, i zawsze byłem zadowolony, więc zacząłem zamawiać regularnie. No, a teraz to on sam już zatrudnia dwóch czy trzech pomocników, oprócz członków własnej rodziny. Obaj dobrze wychodzimy na tej współpracy. Może pan zechce porównać, czy jakościowo jego wyroby dorównują produkcji w PWSOC. Jeśli tak...

Kedarnath zawiesił głos, nie dokończywszy zdania, a Hareś skinął głową i uśmiechnął się do niego krzepiąco. Po chwili milczenia Hareś zauważył:

— W alejach było trochę chłodniej, ale tutaj straszna spiekota. I jaki smród! Gorzej niż w garbarni. Co to jest? Gdzie teraz jesteśmy? W Rawidaspurze?

— Nie, jeszcze nie. Musimy najpierw przejechać przez tory kolejowe. Nie cuchnie tam tak jak tutaj. Ale rzeczywiście, wie pan, gdzieś tu wyprawiają skóry. Nie w prawdziwej garbarni, jak ta nad Gangesem, tylko...

— To może powinniśmy się tam rozejrzeć — powiedział Hareś z zainteresowaniem.

— Po co? Nic tam nie ma ciekawego do oglądania — zaprotestował Kedarnath, zatykając nos.

— A był pan tam już kiedyś?

— A skądże!

Hareś parsknął śmiechem.

— Stań tutaj! — krzyknął do rykszarza.

Kedarnath skapitulował. Pomimo protestów wysiadł z rykszy i obaj, mijając niskie, pleśniejące rudery i kierując się po prostu węchem, udali się krętym, śliskim, cuchnącym traktem do glinianek, gdzie wyprawiano skóry.

Wydeptana droga doprowadziła ich na duży plac, gdzie wydrążone w ziemi, okrągłe glinianki wydalają smrodliwe, duszące wyziewy, a wokół stały stare, walące się baraki. Słońce prażyło na nich z góry, a w tym upale smród stawał się jeszcze bardziej nie do zniesienia. Hareśa mdliło, a Kedarnath omal nie zwymiotował z obrzydzenia. Niektóre doły wypełnione były białym płynem, inne brązowym garbnikiem. Ciemni, wychudzeni mężczyźni, ubrani tylko w lungi, pochylali się nad dolami, ściągając z niewygarbowanych skór sierść i tłuszcz. W jednym z dołów młody robociarz zmagął się z wielką, niewygarbowaną skórą. Warchlak chleptał czarną, błotnistą wodę ze ścieku, a dwoje rozczochranych dzieci bawiło się w brudnym piachu obok dołów. Na widok nieznanym przerwały zabawę i gapiły się na nich z otwartymi ustami.

— Trzeba mi było powiedzieć, że chce pan zobaczyć cały proces od początku, to bym pana zaprowadził tam, gdzie obdziera się ze skóry zdechłe bawoły i zostawia ścierwo na pożarcie sępom — powiedział, krzywiąc się, Kedarnath. — Znam takie miejsce, przy nie wykończonym objeździe.

Hareś, w poczuciu winy, że wymusił na Kedarnacie tę eskapadę, pokręcił tylko głową. Zajrzał do pierwszej z brzegu budy, gdzie nie było nic oprócz starej, bezużytecznej skalpownicy. Hareś wszedł do środka, żeby przyjrzeć się jej z bliska. W następnym baraku, z wydrążoną weWnętrz glinianką, stała równie stara i bezużyteczna maszyna do dwojenia skór. Trzech młodych ludzi wcierało czarną maź w rozciągniętą na ziemi nie wyprawioną skórę bawołu. Obok nich piętrzyła się sterta białych zasolonych baranich skór. Na widok Hareśa i Kedarnatha przerwali robotę, żeby przyjrzeć się nieznanym.

Nikt się nie odzywał: ani dzieci, ani trzej młodzi garbarze, ani też nieznanymi przybysze.

W końcu przerwał milczenie Kedarnath.

— *Bhai* — powiedział, zwróciwszy się do jednego z młodych ludzi. — Chcielibyśmy zobaczyć, jak wyprawia się skóry. Możecie nam pokazać, jak się to robi?

Mężczyzna przyjrzał mu się bacznie, a potem przeniósł wzrok na Hareśa, który w swojej jedwabnej, kremowej koszulce, eleganckich trzewikach, z teczką, wyglądał na biznesmena.

— Skąd jesteście? — zapytał zaczepnie.

— Z miasta. Idziemy do Rawidaspuru. Mam tam swojego kontrahenta.

Rawidaspur było dzielnicą zamieszkaną głównie przez szewców, ale jeśli Kedarnath wyobrażał sobie, że napomknąwszy o swoich powiązaniach z rzemiosłem, przekona do siebie młodych garbarzy i pozyska ich zaufanie, to się grubo mylił. Nawet wśród ćamarów, tych z rzemieślników, którzy pracowali w skórnictwie, istniała ścisła hierarchia. Szewcy tacy jak Dżagat Ram, do którego wybierali się z wizytą, patrzyli z góry na skalpowników i garbarzy, a ci, ponieważ traktowano ich pogardliwie, żywili niechęć do szewców.

— Nie mamy tam czego szukać — powiedział krótko jeden z młodych mężczyzn.

— Skąd pochodzi ta maź? — zapytał Hareś po chwili milczenia.

— Z Brahmpuru — odparł młody człowiek, odmawiając szczegółowych wyjaśnień.

Znowu nikt się nie odzywał.

Potem zjawił się przed nimi starzec z mokrymi rękami ociekającymi jakimś ciemnym, lepkiem płynem. Stał w drzwiach baraku i przyglądał się im nieufnie.

— Hej, wy tam! W tej gliniance... *pani* — powiedział, przechodząc z angielskiego na ojczystą gwara. Głos miał skrzeczący i widać było, że jest pijany. Podniósł z ziemi kawałek szorstkiej, zabarwionej na czerwono skóry i powiedział: — Lepsze to niż wiśniowa skóra z Japonii. Wicie, gdzie to jest? Biłem się z nimi i dałem im porządnego łupnia. Albo lakierowanie skór... Sam to potrafię, jeszcze lepiej niż Kitajcy. Znam się na tym, mam to w małym palcu: wiem wszycko na temat pap i na temat masali. — Kedarnath przeląkł się i starał się wycofać z baraku, ale dziadek rozłożył szeroko ręce i stanął okrzakiem w drzwiach, zagradzając mu drogę odwrotu. — Nie ruszysz się stąd! Po coś tu przyłoz? Czego tu wieszysz? Kto ci za to płaci? Rząd? Policja? Bank? — Złapał się za uszy, żeby okazać mu swoją wzgardę, a potem znowu przeszedł na angielski: — Nie, *bilkul*. Nie, nie, nie!

Bijący z glinianek fetor i lęk, który Kedarnath czuł przez cały czas, pogłębiał jeszcze jego desperację. Stał z marsem na czole, pocąc się z niepokoju i upału.

— Przepuść nas. Musimy się dostać do Rawidaspuru — powiedział. Starzec zbliżył się i wyciągnął do niego brudną, lepka dłoń.

— Połóż tu piniążka! — powiedział. — Suszy mnie... Nie zapłacisz, nie pokażę ci moich glinianek. Kto was tu prosił? Idziecie bez nasz plac. My dżatawów nie lubim. Żrą mięsiwo z bawołów. Tfu! — wypluł te słowa z obrzydzeniem. — My czasem ubijemy kozę albo barana.

Kedarnath cofnął się. Hareś także zaczął się denerwować.

Dziadek poczuł, że załazł mu za skórę, więc zmienił taktykę. Chciwy, chełpliwy, a zarazem podejrzliwy, żeby go przechytrzyć, stał się nagle bardzo usłużny i poprowadził ich nad glinianki.

— Nic nie dostajem od rządu — wyszeptał konspiracyjnie. — A pieniądze potrzebne w każdej rodzinie: na zakup materiałów i odczynników. A od rządu ni mamy żadnej pomocy. Ale wyście hindusy, bracia moi — powiedział ironicznie. — Przynieście mi butelczynę dobrego trunku... a dam wam próbki najlepszych barwników... Zbawienny środek. — Zaśmiał się z własnego dowcipu. — Popatrzcie tylko! — Wskazał na czerwonawy płyn w dole.

Jeden z młodych ludzi, niski mężczyzna, ślepy na jedno oko, powiedział:

— Nie pozwalają nam wykorzystać surowców ani sprowadzić odczynników. Na to trza mieć licencję... zezwolenie. Trzymają nas pod batem. Powiedźcie tym swoim kumplom w rządzie, żeby zwolnili nas od opłat i dali trochę pieniędzy na życie. Spójrzcie na nasze dzieci. Spójrzcie, o... — Gestem wskazał na dziecko, które załatwiało się na kupie śmieci.

Te slumsy budziły w Kedarnacie odrazę. Powiedział cicho:

— Nie jesteśmy z ministerstwa.

Młody człowiek zirytował się nagle. Zacisnął wargi i wycedził:

— To skąd jesteście? — Zadrzała mu powieka nad niewidzącym okiem. — Czego się tu pętacie? Czego od nas chcecie?

Kedarnath czuł, że Hareś zaraz wybuchnie. Widać było, że jest zuchwały i nieustraszony, ale zdaniem Kedarnatha lepiej było nie nadstawiać karku. Wiedział, że taka słowna utarczka łatwo może przemienić się w bójkę, więc położył rękę na ramieniu Hareśa, dając mu sygnał do odwrotu. Hareś zabłocił sobie buty w chlupiącej, mazistej glinie.

Młody człowiek deptał im cały czas po piętach i przez chwilę zdawało się, że ma zamiar złapać Kedarnatha za ramię.

— Nie pokazujcie mi się tu więcej, bo was zara poznam — zagroził. — Krwiopijcy!, Wypruwają z nas żyły, wyzyskiwacze! Na skórze można dzisiaj dobrze zarobić, lepiej niż na srebrze albo złocie... Inaczej byście tutaj nie przyszli, w takie smrody.

— Nie, nie... — rzekł pijany starzec agresywnie — *bilkul* nie!

Hareś i Kedarnath skręcili w boczną, równie błotnistą i smrodliwą drogę. Zaraz na początku, jeszcze w obrębie pola, gdzie wykopane były garbarskie glinianki, Hareś zauważył duży, czerwony, płaski głaz. Na nim siedemnastoletni może wyrostek rozłożył kawałek wystrzyżonej baraniej skóry, prawie zupełnie oczyszczonej z tłuszczu. Nożem do odmięśniania, połec po połciu, odkrawał z niej resztki mięsa pochłonięty tą robotą bez reszty. Zafascynowany — pomimo wcześniejszych nieprzyjemnych doświadczeń — Hareś zauważył natychmiast, jak porządnie odmięśnione były leżące obok w stertach skóry. Maszyna nigdy by ich tak nie wyczyściła. Nie mógł się jednak zatrzymać na pogawędkę, popędzany przez Kedarnatha.

Garbarze zostawili ich wreszcie w spokoju, a Hareś i Kedarnath, pokryci kurzem, przepoceni, weszli na śliski, wydeptany trakt, który doprowadził ich z powrotem do rykszy. Przedtem zatykali tutaj nosy z obrzydzeniem, ale teraz — w porównaniu z wyziewami z glinianek — powietrze na ulicy wydawało się im wręcz orzeźwiające.

4.5

Stali przez piętnaście minut przy przejeździe kolejowym, w strasznym upale, bo spóźniony, długachny pociąg towarowy włókł się po torach jak ślimak. Na ulicach podmiejskiego Rawidaspu nie było takich tłumów jak w samym sercu Brahmpuru, w starej dzielnicy, gdzie mieszkał Kedarnath, ale rzucał się w oczy brud, a pod ścianami domów płynęły ciurkiem ścieki. Starając się nie wdepnąć w wałające się na ulicy nieczystości, mijali zapchlone

psy, porykujące, umazane w błocie świnie, aż wreszcie po drewnianej, rozklekotanej kładce nad otwartym ściekiem dotarli do warsztatu Dżagata Rama, który znajdował się w małym, na pół ceglanym, na pół glinianym, równoległo-bocznym budynku bez jednego okienka. Na noc sprzątano izbę po pracy i spało tu sześcioro dzieci Dżagata. Nad warsztatem, gdzie ściany były z cegieł, a dach pokryty falistą blachą, dobudował sypialnię dla siebie i żony.

W warsztacie mrok rozjaśniał snop światła wpadający do środka przez otwarte drzwi oraz kilka gołych, słabiuteńkich żarówek. Pracowała w nim duża grupa mężczyzn i nieletnich wyrostków, ubranych w lungi, prócz jednego, który miał na sobie kurtę-padżamę, i samego Dżagata Rama, który nosił koszulę i spodnie. Siedzieli na podłodze po turecku, przy dużych, kamiennych, kwadratowych blatach, na których rozłożone były wszystkie niezbędne materiały. Pracowali w skupieniu, pochyleni nad robotą, tnąc, klejąc, mizdrując, przycinając, składając, wyklepując, ale od czasu do czasu któryś przerywał milczenie, a to uwagą dotyczącą pracy, a to wzmianką na jakiś inny, bardziej osobisty temat i po izbie przebiegał szmer rozmów zagłuszanych uderzeniami młotków i szczękaniem noży oraz pedałowej zszywarki firmy Singer.

Dżagat Ram zdziwił się na widok Kedarnatha i Hareśa, ponieważ spodziewał się innych gości. Szarpnął bezwiednie wąsa.

— Witajcie — powiedział spokojnie. — Wejdźcie do środka. Co was tu sprowadza? Mówiłem przecież, że dotrzymamy terminu zamówienia pomimo strajku — dodał, zwracając się do Kedarnatha i spekulując w myślach na temat przyczyny niespodziewanej wizyty.

Mała, może pięcioletnia dziewczynka, córka Dżagata Rama, usiadła na schodkach i zaczęła podśpiewywać:

„Lovely walé aa gayé.! Lovely walé aa gayé! ”,

klaszcząc przy tym w dłonie.

Teraz z kolei zdziwił się Kedarnath, a po jego minie widać było, że nie jest zachwycony. Skonsternowany ojciec poprawił córkę:

— Ci panowie nie są z Lovely, Mira... Idź i powiedz matce, że chcemy się napić herbaty. — Następnie odwrócił się do Kedarnatha i powiedział: — Właściwie to spodziewałem się kogoś z Lovely. — Nie kwapił się jednak z udzieleniem bardziej szczegółowych wyjaśnień.

Kedarnath skinął na to głową. Sklep obuwniczy Lovely, jeden z najnowszych na Nabigandź, miał doskonały wybór damskiego obuwia. Widocznie jego kierownik, zamiast sprowadzać towar z Bombaju, gdzie produkowano większość damskiego obuwia, szukał dojścia do miejscowych rzemieślników, pukając do drzwi, do których Kedarnath wolałby sam zastukać lub przynajmniej występować w roli pośrednika. Starając się jednak nie okazać, że jest zaniepokojony, powiedział:

— To jest Mr Hareś Channa, który pochodzi z Delhi, ale pracuje dla PWSOC w Kanpurze. Studiował obuwnictwo w Anglii. Przyprowadziłem go tutaj, żeby mu pokazać, jak nasi miejscowi rzemieślnicy, używając bardzo prostych narzędzi, produkują doskonałe obuwie.

Dżagat skinął głową, mile połączony.

Przy drzwiach wejściowych warsztatu stał mały drewniany taboret i Dżagat Ram podsunął go Kedarnathowi, a ten z kolei ustąpił miejsca Hareśowi, ale Hareś grzecznie odmówił. Usiadł natomiast na jednym z kamiennych blatów, przy którym nikt nie pracował. Rzemieślnicy zeszywnieli, zaszokowani. Wpatrywali się w niego z taką wyraźną, nie ukrywaną niechęcią, że Hareś natychmiast wstał, a zorientowawszy się, że popełnił gafę, zwrócił się do Dżagata Rama z zapytaniem:

— O co chodzi? Nie wolno na nich siadać?

Początkowo Dżagat również boczył się na Hareśa, ale ujęła go jego bezpośredniość. Przekonawszy się, że naprawdę nie miał zamiaru nikogo obrazić, wyjaśnił uprzejmie:

— Dla rzemieślnika jego blat to „rozi”, czyli „miejsce pracy”; nie siada się na nim. — Nie wspomniał już nawet, że każdy z pracowników szorował codziennie swoje „rozi”, tak żeby było nieskazitelnie czyste, a czasem nawet, z rana, przed pracą, zmawiał przy nim krótką modlitwę. Teraz zwrócił się do swojego syna: — Wstawaj. Niech sobie Hareś sahib usiądzie.

Pomimo że Hareś protestował, iż wolałby nikomu nie przeszkadzać w pracy, piętnastoleni wyrostek wstał z krzesła obok zszywarki i ustąpił mu miejsca. Najmłodszy syn Dżagata Rama, który miał lat siedem, wszedł z trzema kubkami herbaty.

Kubki były małe, z grubego fajansu, wyszczerbione po brzegach, ale czyste. Rozmawiali o tym i owym, o strajku w Misri Mandi, o ostrzeżeniach miejscowej gazety, że Barsat Mahal niszczy od dymów z garbarni i fabryki obuwia Praha, o nowych municypalnych podatkach od utargu i o różnych znanych brahmpurskich osobistościach.

Wreszcie Hareś zaczął się niecierpliwić, ponieważ nie potrafił długo siedzieć bezczynnie. Wstał i zaczął się rozglądać po warsztacie, przyglądając się pracy rzemieślników. Szyli właśnie partię damskich pantofelków, całkiem ładnych, z czarno-zielonymi splatanymi skórzanymi paseczkami.

Wprawa rzemieślników zadziwiła Hareśa. Używając prymitywnych właściwie narzędzi: dłuta, noża, szydła i młotka, szyli buty, których nie powstydziliby się kierownictwo jego przedsiębiorstwa w Kanpurze. Głośno wyraził swe uznanie, podkreślając, że w tak niełatwych warunkach pracy produkują naprawdę doskonały towar, co ostatecznie przekonało ich do niego.

Jeden z rzemieślników, młodszy brat Dżagata Rama, sympatyczny mężczyzna z puciołowatą twarzą, zapytał, czy mógłby obejrzeć trzewiki — brązowe półbuty — które Hareś miał na nogach. Hareś zdjął je, zastrzegając, że nie są, niestety, zbyt czyste. Właściwie były teraz zachłapane i oblepione błotem, ale mimo to podawano je sobie z rąk do rąk, podziwiając jakość wyrobu.

Dżagat Ram przesyłabizował z wysiłkiem napis na etykiecie: „Saxone”.

— Saksena z Anglii — powiedział z niejaką dumą.

— Widzę, że szyjecie i męskie buty — powiedział Hareś, który zauważył w najciemniejszym kącie izdebki całą kolekcję kopyt szewskich męskiego formatu zwisających spod sufitu niczym winogrona.

— Pewnie, że tak — odparł na to z wesołym uśmiechem brat Dżagata Rama. — Ale w damskim obuwiu jest mniejsza konkurencja, dlatego to się nam bardziej opłaca.

— Niekoniecznie — powiedział Hareś, wyjmując błyskawicznie z teczki, ku najwyższemu zdumieniu wszystkich obecnych, nie wyłączając Kedar-natha, plik tekturowych wykrojów. — Niech mi pan powie, Dżagat Ram, uszyliby mi pańscy ludzie, na podstawie tych wykrojów, takie półbuty? Co? Jak pan myśli?

— Jak to nie? ! — brzmiała natychmiastowa odpowiedź Dżagata Rama.

— Ale niech się pan zastanowi — powiedział na to Hareś, pomimo że ucieszył się z tej śmiałej, szybkiej odpowiedzi. On sam lubił mierzyć siły na zamiary, a przez to oczekiwał podobnej postawy od innych.

Dżagat studiował wycięte z cienkiej tekturki wzory z wielkim zainteresowaniem, wyobrażając sobie od razu cały but: jego kształt, podeszwy, cholewki i obcasy, każdy szczegół. Był to rozmiar siódmy trzewików z niską, sznurowaną cholewką.

— A jaka to firma? — zapytał zdziwiony, marszcząc brwi. — Pana buty są trochę inne niż te na wykrojach.

— Przedsiębiorstwo Wyrobów Skórzanych i Obuwniczych Cawnpore. I jeśli wykona pan dobrą robotę, to może nawiążemy z panem współpracę.

Dżagat Ram, choć wyraźnie zaskoczony i zainteresowany propozycją Hareśa, przez jakiś czas egzaminował wykroje w milczeniu.

Zadowolony, że udało mu się zaskoczyć obecnych tekturowymi wykrojami, Hareś powiedział:

— Proszę je sobie zatrzymać. Widzę, że kopyta, które tam wiszą, nie są standardowe, więc jutro wyślę panu parę standardowych, na rozmiar siódmy. Przywiozłem kilka par do Brahmuru. Ale czego jeszcze będzie pan potrzebował oprócz kopyt? Trzy stopy kwadratowe skóry... cielecej skóry... powiedzmy, w brązowym kolorze...

— I skórę na podbicie — przypomniał mu Dżagat Ram.

— Dobra. I również trzy stopy kwadratowe wołowej skóry... To mogę dostać na mieście.

— I skórę na zelówki i wyściółkę? — podpowiedział Dżagat Ram.

— Nie. To taniocha. Skórę na wyściółkę i zelówki można dostać wszędzie. Sami się tym zajmijcie. Dam wam dwadzieścia rupii na wszystkie wydatki i na pokrycie kosztów robocizny... Materiał na obcasy też możecie kupić sami, ale przywiozłem ze sobą kilka zakładek i parę nosków dobrej jakości, bo z tym zawsze są problemy. I również trochę dratwy... ale zostawiłem wszystko u kolegi, u którego się zatrzymałem.

Kedarnathowi zaimponowała przedsiębiorczość Hareśa. Obrotny gość! Nie otworzył oczu, ale uniósł brwi ze zdziwienia, usłyszawszy, że ten przygotował się na różne ewentualności, chociaż wysłano go do Brahmuru tylko na

zakup materiałów. Zaniepokoił się przy tym, że zostanie pominięty w rozmowach pomiędzy Dżagatem Ra-mem i Hareśm, szczególnie że ten ostatni przetraktował już ze sklepem Lovely za jego plecami.

— Na kiedy buty będą gotowe, jeśli przywiozę wam materiały jutro rano?
— zapytał Hareś.

— Chyba za jakie pięć dni — odrzekł Dżagat Ram.

Hareś zniecierpliwiał się.

— Pięć dni! Nie ma mowy! Muszę wracać do Kanpuru. Z górą trzy! Co wy na to?

— Buty muszą posiedzieć na kopycie przez trzy doby. Krócej się nie da — rzekł Dżagat Ram. — Sam pan to dobrze wie, inaczej się rozpadną.

Teraz, kiedy obaj stali, górował nad Hareśm wzrostem. Ale Hareśa, który nie miał kompleksów (choć bywały chwile, że wolałby być wyższy), wcale to nie deprymowało. W końcu to on składał zamówienie, a nie odwrotnie.

— Cztery — powiedział krótko.

— Jeśli przyśle pan skórę dziś wieczorem, tak żebyśmy mogli zacząć ciąć z samego rana...

— Załatwione — zgodził się Hareś. — Dam wam na to cztery dni. Jutro sam przywiozę resztę materiałów i zobaczę przy okazji, jak wam idzie. Ale teraz na nas już czas.

— Jeszcze chwileczkę, Hareś sahib — zatrzymał go Dżagat Ram, kiedy już mieli wychodzić. — Dobrze by było, żebym miał parę butów, które mam podrobić, na wzór.

— Właśnie — powiedział Kedarnath z uśmiechem. — Dlaczego nie nosi pan butów własnej firmy? Po co pan propaguje te angielskie wyroby? Zrzuć je pan czym prędzej z nóg, a ja każę pana zanieść do rykszy.

— Niestety, to już taki nawyk — odparł Hareś z uśmiechem, chociaż wiedział doskonale, że sam sobie wmówił te „nawyki” i że nikogo nie oszuka podobną wymówką. Lubił się nosić elegancko, lubił dobre obuwie i bolał nad tym, że wyroby z jego przedsiębiorstwa nie dorównywały jakościowo zagranicznej konkurencji, której wysoki standard nauczył się cenić w czasie zawodowej praktyki. — Ale dobrze. Postaram się wam jakoś dostarczyć parę ta-

kich butów na wzór — powiedział, wskazując na tekturowe wykroje, które dzierżył w dłoni Dźagat Ram.

Parę butów z Kanpuru, z jęczyzkiem i niską cholewką podarował koledze, jeszcze z czasów szkolnych, u którego się zatrzymał. Chyba pożyczy mu swój prezent na te cztery dni. Nie czuł się wcale zażenowany, że będzie musiał prosić o taką przysługę. W sprawach zawodowych nigdy nie odczuwał podobnych skrupułów. Zresztą, w ogóle z natury był bardzo pewny siebie.

Hareś rozmyślał o tym wszystkim w drodze powrotnej do rykszy. Interes dobrze się zapowiadał. Wreszcie się coś ruszyło. Początkowo Brahmpur wydawał mu się prowincjonalną miejsciną, ale teraz sprawy przybierały nieoczekiwany i bardzo interesujący obrót.

Wyjął z kieszeni skrawek papieru i zanotował po angielsku:

Zadania:

1. Misri Mandi — wybadać rynek.
2. Zakupić skóry.
3. Wysłać skóry do Rawidaspuru.
4. Kolacja u Sunila; pożyczyć od niego buty.
5. Zawieźć materiały do Rawidaspuru (jutro rano).
6. Wysłać telegram do Kanpuru (powrót z opóźnieniem).

Raz jeszcze przebiegł wzrokiem spisany plan zadań i zauważył, że trudno będzie dostarczyć skóry do warsztatu Dźagata Rama, ponieważ nikt tutaj nie trafi, szczególnie po ciemku. Już miał zamiar powierzyć tę misję rykszarzowi (niech się rozejrzy, gdzie to jest, i przyjedzie wieczorem z dostawą), kiedy wpadł mu do głowy o wiele lepszy pomysł. Zawrócił i umówił się z Dźagatem Ramem, że ten wyśle kogoś do sklepu Kedarnatha Tandona na Brahmpurskim Bazarze Obuwniczym w Misri Mandi. O dziewiątej. Zabierze skóry do Rawidaspuru, a jutro z samego rana — do roboty!

Była dziesiąta wieczorem. W mieszkaniu Sunila Patwardhana, niedaleko uniwersytetu, zgromadziła się grupka młodych ludzi, rozochoconych mieszaniną różnych trunków. Hareś był wśród nich.

Sunil Patwardhan był wykładowcą matematyki na Uniwersytecie Brahm-purskim i kolegą Hareśa ze St. Stephen's College w Delhi. Nie widzieli się już od lat, straciwszy ze sobą kontakt po wyjeździe Hareśa do Anglii na kurs obuwniczy, ale wiedzieli trochę o sobie nawzajem od wspólnych znajomych.

Pomimo swego ścisłego umysłu Sunil uchodził w St. Stephen's College za świetnego faceta i dobrego kumpla. Był potężny, tęgi i wysoki, spokojny, ale energiczny, dowcipny (choć może nie błyskotliwy), a przy tym odcytany. Potrafił sypać cytatami z Szekspira albo śpiewać w urdu gazele, miał więc powodzenie wśród kobiet. Lubił też sobie popić i w czasach szkolnych starał się wciągnąć w to Hareśa, ale bezskutecznie, jako że ten był wtedy jeszcze abstynentem.

Za szkolnych czasów Sunil Patwardhan uważał, że nie należy się przemęczać i że rozwikłanie jednej interesującej matematycznej łamigłówki raz na dwa tygodnie zupełnie wystarcza dla gimnastyki umysłu. Nie przykładał się do nauki, a mimo to stopnie miał zawsze celujące. Teraz, jako wykładowca, był dla swoich studentów wyjątkowo pobłażliwy, ponieważ sam nie znosił nakazów i rygoru.

Ucieszył się ogromnie ze spotkania z Hareśem po tylu latach, chociaż ten (starym zwyczajem) nie zawiadomił go o swoim przyjeździe w sprawach służbowych do Brahm-puru, tylko wylądował na progu jego mieszkania dwa czy trzy dni temu, postawił walizki w salonie, uciał sobie z kolegą półgodziną pogawędkę i pognał na miasto, tłumacząc się mętnie — zdaniem Sunila — koniecznością zakupu uszczelki*⁴ i białoskórnik.

— Masz. Przywiozłem ci coś w prezencie — dodał na odchodnym, stawiając na stole w salonie ogromne tekturowe pudło.

Sunil, zajrzawszy do środka, nie posiadał się z radości.

⁴ * Uszczelka — tu: rodzaj skóry.

— Wiem, że to twój ulubiony fason — powiedział Hareś.

— Ale jak zapamiętałeś mój rozmiar?

Hareś roześmiał się i wyjaśnił:

— Dla mnie stopa ludzka to jak marka samochodu. Po prostu pamiętam i kształt, i rozmiary... Sam nie wiem, dlaczego. Ty masz, bracie, dwa rolls-royce'y.

Sunil przypomniał sobie, jak jeszcze w szkole Hareś, jak zwykle pewny siebie, założył się z kolegami, że rozpozna z daleka marki wszystkich samochodów zaparkowanych przed college'em z okazji jakiejś oficjalnej uroczystości; a było ich około pięćdziesięciu. Tamci, a wśród nich również on sam, Sunil, chcieli przytrzeć mu nosa, ale nie udało się. Pamięć wzrokową miał idealną, więc aż dziw, że z angielskiego należał do słabeuszy i że nie powiodło mu się na egzaminie z poezji, gdyż poplątał cytaty.

„Bóg jeden wie”, myślał Sunil, „jak to się stało, że wylądował w obuwnictwie, ale widocznie mu to odpowiada. Nic by z tego dobrego nie wyszło ani dla niego, ani dla reszty świata, gdyby został wykładowcą uniwersyteckim tak jak ja. Tylko po kiego licha wybrał sobie angielski jako przedmiot dodatkowy?”

— Dobrze, skoro cię tu przyniosło, to sobie pohulamy — powiedział Sunil. — Jak za dawnych lat. Skrzyknjemy chłopaków, starych kumpli z St. Stephen's, których zmienne koleje losu rzuciły do Brahmpuru, a do tego paru moich co fajniejszych kumpli z uniwerku i urządzimy sobie niezłą bibkę.

Hareś przyrzekł, że się dołączy, jeśli czas mu na to pozwoli, a Sunil zagroził, że go przeklnie po wszystkie czasy, jeżeli się nie zjawi. No więc zjawił się, ale rozprawiał teraz bez przerwy, entuzjastycznie, o tym, czego dokonał w ciągu dnia.

— Zejdź już wreszcie z tego tematu, Hareś. Przestań głądzić o ćamarach i uszczelkach! — powiedział Sunil. — Co to kogo może obchodzić? Lepiej powiedz, co się dzieje z tą sikhijką, za którą latałeś w czasach, kiedy jeszcze wrzała w tobie, bracie, krew.

— Jak to! Przecież to nie była żadna sardami, tylko niezastąpiona Kalpana Gaur — wtrącił się do rozmowy młody historyk. Pochylił głowę na lewe

ramię z miną bałwochwalcy, naśladowując tęskne spojrzenia, które podczas lekcji o Byronie z drugiego końca klasy rzucała Hareśowi Kalpana Gaur. Kalpana była jedną z nielicznych dziewcząt w St. Stephen's College.

— A tam! — powiedział Sunil autorytatywnie, machnąwszy lekceważąco ręką w stronę swojego przedmówcy. — Co ty tam wiesz! Kalpana Gaur latała za nim, a on latał za sardami. Wyśpiewywał jej pod oknem serenady i wysyłał listy przez pośrednika. Ale jej rodzina, sikhowie, była przeciwna temu związkowi. Nie chcieli wydać swojej ukochanej córki za Lalę. Powiem więcej...

— Upaja się brzmieniem własnego głosu — powiedział Hareś.

— Możliwe — odpalił Sunil. — Ale ty zdzierasz swój zupełnie niepotrzebnie. Widzisz: trzeba się było zalecać nie do córeczki, tylko do babci i do mamusi.

— Dzięki za dobrą radę. Jestem niezmiernie zobowiązany — odciął się Hareś.

— Więc jak? Nadal się z nią widujesz? Jak jej tam było...?

Hareś nie pospieszył z wyjaśnieniem. Nie miał zamiaru zwierzać się tej bandzie błaznów — choćby życzyli mu jak najlepiej — że po tylu latach nadal był w niej zakochany i że oprócz zakładek i wałówek woził w walizce jej zdjęcie oprawione w srebrne ramki.

— Ściągaj te buty — powiedział do Sunila. — Potrzebne mi są.

— O ty świni! — wrzasnął cienko Sunil. — Tylko dlatego, że odważyłem się napomknąć o najświętszej ze świętości...

— Ściągaj je, ośle! — warknął na niego Hareś. — Przecież ci ich nie zjem. Oddam ci je za parę dni.

— A po co ci one?

— Nie będę ci tłumaczył, bo się zanudzisz na śmierć. No, dawaj je tu.

— Jak to?! Teraz?!

— A co? Później o nich zapomnę. Jeszcze parę drinków i będzie po mnie, a ty na pewno walniesz się w nich na łóżko.

— Dobra — rzekł Sunil, posłusznie ściągając buty.

— O to, to! To mi się podoba — powiedział Hareś. — Skarłowaciałeś teraz o cal, więc wreszcie możemy rozmawiać prawie jak równy z równym.

O! Ale co za skarpetki, patrzcie no! — dodał, kiedy jaskrawoczerwone bawełniane skarpetki Sunila ukazały się w pełnej krasie.

— *Wah, wah!* — rozległy się zewsząd pełne zachwytu okrzyki.

— A nóżki w kostkach jakie zgrabne! — wygłupiał się dalej Hareś. — Wiecie co? Można by się zabawić...

— Zapalić kandelabry — dorzucił ktoś inny ochoczo.

— I przynieść szmaragdowe puchary.

— Skropić wszystko różanym olejkiem.

— Rozłożyć białe prześcieradło na podłodze i pobierać opłatę przy wejściu!

Młody historyk afektowanym tonem zawodowego konferansjera poinformował słuchaczy:

— A teraz wystąpi specjalnie dla państwa słynna kurtyzana Sunil Patwardhan! W pięknym tańcu kathak nasz pan Krysna idzie w płas z pasteczkami. „Pójdźcie tu!”, wabi je do siebie. „Nie macie się czego lękać”.

— Tam-ta-ram, tup-tup! — zanucił do taktu fizyk, który miał już dobrze w czubie.

— Jaka kurtyzana, ty łobuzie! Artystka!

— Artystka! — powtórzył historyk z naciskiem.

— No, chodźże tu wreszcie, Sunil. Czekamy na ciebie.

I Sunil, posłuszny żądaniom współbiesiadników, ruszył w tan z niedźwiedzim wdziękiem, a oni zwijali się ze śmiechu. Uśmiechał się zalotnie, wykręcając piruety, kołysząc z boku na bok opasłym kadłubem. Sunął w rytm pseudokathaka po pokoju, siejąc spustoszenie: zrzucając z półek książki i wytrącając obecnym drinki z dłoni. W końcu tak się wczuł w swoją rolę, że po pierwszym przedstawieniu, gdzie wcielił się zarówno w Krysnę, jak i w młodziutkie pasterki, zaimprovizował następną scenkę, parodiując bezlitośnie prorektora Uniwersytetu Brahmpurskiego. Tu prorektor, cieszący się złą sławą obleśny uwodziciel, witał z lubieżnym uśmiechem poetkę Sarodżini Naidu, która przyjechała jako gość honorowy na uroczystości zakończenia roku akademickiego. Konając ze śmiechu, niektórzy widzowie błagali go, żeby wreszcie przestał, a inni, również ledwie żywi, dopraszali się, żeby nie ustawał w płasach.

4.7

W tym właśnie momencie w drzwiach pokoju stanął wysoki, siwowłosy, nobliwy mężczyzna — doktor Durrani, wyraźnie zaskoczony tym raczej niecodziennym widowiskiem. Sunil zamarł na chwilę w bezruchu, ale potem postąpił parę kroków naprzód, żeby powitać niespodziewanego gościa.

Zdumienie doktora Durraniego byłoby zapewne dużo większe, gdyby nie to, że umysł miał zaprzątnięty czymś zupełnie innym. Postanowił mianowicie podejść do młodszego kolegi i przedyskutować z nim jakiś nurtujący go matematyczny problem. Prawdę mówiąc, to właśnie Sunil podsunął mu pewną bardzo interesującą myśl.

— Eee... przychodzę nie w porę... prawda? — zapytał z typową dla niego denerwującą flegmą.

— Dlaczego... eee... Niezupełnie... — odpowiedział Sunil. Lubił doktora Durraniego, który jako bardzo znany naukowiec, jeden z dwóch członków Królewskiego Towarzystwa Naukowego, jakimi szczycił się Uniwersytet Brahmpurski, wzbudzał w nim wielki respekt.

Doktor Durrani nie zauważył nawet, że Sunil przedrzeźniał jego sposób mówienia, Sunil zaś, nadal w transie, przejęty swoją rolą imitatora, przyłapał się na tym dopiero po fakcie.

— Eee... więc... tego... Patwardhan... boję się, że się może... no... tego... narzucam? — kontynuował doktor Durrani. Twarz miał kanciastą, kwadratową, regularne rysy i białego wąsa, a przy każdym „eee...” mrużył oczy, marszczył czoło i poruszał brwiami.

— Nie, nie, panie doktorze, ależ skąd. Proszę się do nas dołączyć. — Sunil wprowadził doktora Durraniego do pokoju, żeby przedstawić go swoim gościom. Z wyglądu doktor Durrani był absolutnym przeciwieństwem Sunila Patwardhana, pomimo że obaj byli słusznego wzrostu.

— No, jeśli jest pan pewny... wie pan... że... tego... że panu nie przeszkadzam. Bo widzi pan — ciągnął doktor Durrani, bardziej płynnie, choć nadal

flegmatycznie — już od rana nurtuje mnie kwestia... jakby to powiedzieć... tego... superdziałań. I... hm... widzi pan... eee... tego... pomyślałem, że na podstawie takich obliczeń możemy dojść do wielu bardzo zaskakujących łańcuchowych rozwiązań: widzi pan... tak... tego...

Doktor Durrani był tak szczerze przejęty swoimi magicznymi liczbami i tak tolerancyjny w stosunku do młodych birbantów, że ci z kolei nie mieli mu wcale za złe tego nieoczekiwanego wtargnięcia, chociaż jakkolwiek by było, popsuł im w końcu doskonałą zabawę.

— Niech pan posłucha, Patwardhan. — Doktor Durrani odnosił się do wszystkich z lekkim dystansem. — Nie chodzi tylko o takie proste... eee... szeregi w działaniach łącznych trzeciego stopnia, jak 1, 3, 6, 10, 15. To prosta sprawa... Ale można przecież posunąć się dużo, dużo dalej. Na przykład działanie łączne trzeciego stopnia dałoby wynik 1, 2, 9, 262144, a potem 5 do potęgi 262144. A to oczywiście prowadzi nas zaledwie do piątego członu w tym... tego... w trzecim tego typu działaniu. Więc w którym miejscu przestanie to wzrastać? — Widać było po jego minie, że jest równocześnie podniecony, jak i zdesperowany.

— A! — powiedział Sunil, który, zamroczony whisky, nie mógł się w tym wszystkim połapać.

— Oczywiście... tego... to całkiem jasne. Nie powinienem panu tym zawracać głowy, ale pomyślałem sobie... eee... — rozejrzał się po pokoju, a potem wlepił wzrok w zegar z kukułką na ścianie — że wymaguję pana trochę, chociaż to taki banalny temat. A teraz niech pan weźmie 1, 4, 216, 72576 i tak dalej. I co? Zaskakuje to pana?

— Eee... — wybąkał niepewnie Sunil.

— Aha! — powiedział doktor Durrani wyraźnie usatysfakcjonowany. — Wiedziałem, że nie! — Popatrzył z uznaniem na swojego młodszego kolegę, którego często w ten sposób „maglował”. — No, no', no! A chce pan wiedzieć, jak do tego doszedłem?

— Naturalnie — zapewnił go Sunil.

— Zainspirowała mnie pańska... eee... bardzo spostrzegawcza uwaga.

— O?!

— Tak! To, co pan powiedział a propos lematu Pergolesiego. „Myśl rozgałęzi się w drzewo”. Genialne spostrzeżenie. Jakoś nigdy przedtem na to nie wpadłem.

— Nie...? — bąknął nieśmiało Sunil.

Hareś mrugnął do niego, ale Sunil zmarszczył groźnie brwi. Drwiny z doktora Durraniego uważał za rzecz niedopuszczalną.

— I wie pan... eee... wcześniej tego nie dostrzegałem, ale... tego, no... rzeczywiście — zapewnił go dobrodusznie doktor Durrani, mrużąc swoje głęboko osadzone oczy tak, że prawie zniknęły, a on wyglądał przy tym, jakby rysował w myślach matematyczne wykresy — to się rozgałęzia w drzewo i to takie, którego nie da się poprzycinać.

Oczywiście wyobraźni widział rozrastający się dziko, a co gorsza bez dozoru, górujący nad płaską okolicą olbrzymi banian i mówił dalej, coraz bardziej podniecony i zdesperowany:

— Bo przecież niezależnie od metody obliczeń, czy to będzie typ 1, czy typ 2, nie można jej... tego... eee... stosować na każdym... tego... etapie. Można nieco podciąć gałęzie, wybierając jeden specyficzny zestaw typów, ale takie rozwiązanie jest zbyt arbitralne. Natomiast inaczej nie będzie... tego... no... spójnego algorytmu. Więc powstaje takie oto pytanie: jak by to można uogólnić przy działaniach wyższego stopnia?

Doktor Durrani, który na ogół chodził przygarbiony, wyprostował teraz plecy. Było jasne, iż powaga sytuacji wymagała podjęcia natychmiastowych działań ratowniczych.

— I do jakich doszedł pan wniosków? — zapytał Sunil z wahaniem.

— Właściwie na tym koniec. Żadnych wniosków. Oczywiście... tego, no... zależność pomiędzy superdziałaniem $n + 1$ jest taka sama jak pomiędzy n i $n - 1$. To wiadomo. Ale teraz: czy to poddziałanie, to samo... tego, no... że się tak wyrażę podsuperdziałanie — uśmiechnął się przy użyciu tej terminologii — czy mogłoby to... czyby to...

Urwał w pół zdania, zaaferowany, szukając u obecnych odpowiedzi na to fundamentalne pytanie.

— Proszę zostać z nami na kolacji — powiedział gościnnie Sunil. — To dom otwarty. A może drinka...?

— O, nie, nie... eee... nie — odparł grzecznie doktor Durrani. — Wy, młodzi, musicie się zabawić. Proszę się mną nie przejmować.

Hareś, pomyślawszy nagle o Bhaskarze, podszedł do doktora Durraniego i powiedział:

— Przepraszam pana, ale znam pewnego bardzo zdolnego młodego człowieka, który nie posiadałby się z radości, gdyby mógł zostać panu przedstawiony... A mam nadzieję, że satysfakcja ze spotkania byłaby obopólna.

Doktor Durrani spojrzał pytająco na Hareśa, ale się nie odezwał. „Co tu w ogóle mają do rzeczy jacyś młodzi ludzie?“, zastanawiał się w myślach. (Czy w ogóle ludzie, ściślej mówiąc).

— Parę dni temu mówił mi o dziesiątych potęgach — wyjaśnił Hareś — i żałował, że ani w angielskim, ani w hindi nie ma specjalnej nazwy na dziesięć do potęgi czwartej i dziesięć do potęgi ósmej.

— No, tak, rzeczywiście wielka szkoda — przyznał mu rację doktor Durrani, kiwając głową ze zrozumieniem. — Chociaż oczywiście w rachunkach Al-Biruniego można znaleźć...

— On uważa, że należy jakoś temu zaradzić...

— A w jakim wieku jest ten młody człowiek? — zainteresował się teraz doktor Durrani.

— Ma dziewięć lat.

Doktor Durrani przygarbił się raz jeszcze, żeby zniżyć się do poziomu Hareśa.

— Aha — powiedział. — Cóż... tego, no... Niech go pan do mnie przyśle. Wie pan gdzie... tego, no... mieszkam. — I odwrócił się do wyjścia.

Ponieważ doktor Durrani i Hareś widzieli się po raz pierwszy w życiu, było to mało prawdopodobne. Mimo to Hareś podziękował mu, zadowolony, że może uda mu się doprowadzić do spotkania dwu pokrewnych dusz. Nie krępował się prosić o taką przysługę, gdyż myśl, że być może narzuca się wielkiemu uczonemu, zabierając jego cenny czas, ani przez chwilę nie powstała mu w głowie.

4.8

Pran, który wpadł trochę później, nie był wprawdzie kumplem z dawnych lat, ale zaproszony został przez Sunila jako kolega akademicki i przyjaciel. Przyszedł już po wyjściu doktora Durraniego, którego znał z widzenia, i nie usłyszał historii o Bhaskarze. Tak jak reszta rodziny, bał się do pewnego stopnia swojego siostrzeńca, choć ten pod wieloma względami był taki jak inne dzieci: puszczał latawce, chodził na wagary i kochał swoje babcie.

— Dlaczego aż tak się spóźniłeś? — zapytał Sunil trochę agresywnie. — A gdzie Sawita? Mieliliśmy nadzieję, że jej obecność przytemperuje nieco grubiańskie wyskoki nieokrzeszańców w tym towarzystwie. A może kazałeś jej dreptać za sobą w odległości dziesięciu kroków? Nie, nigdzie jej nie widzę. Więc co? Nie chciała nas krępować czy jak?

— Odpowiem na dwa w miarę rozsądne pytania — rzekł Pran. — Pierwsze: Sawita poczuła się zmęczona i wołała zostać w domu. Drugie: spóźniłem się, bo zjadłem przed przyjściem kolację. Znam twoje gospodarstwo: kolację podadzą tu przed północą (jeśli w ogóle sobie o tym przypominisz) i będzie pewnie niejadalna. Zazwyczaj musieliśmy dokupić gdzieś po drodze do domu kababy na ulicznym stoisku, żeby się najeść do syta. Ożeń się wreszcie, Sunil, dobrze ci radzę. Przynajmniej zapanowałby w tym domu ład. I byłoby komu zacerować ci te ohydne skarpetki. Nawiasem mówiąc: dlaczego latasz na bosaka?

Sunil westchnął ciężko.

— To przez Hareśa. Twierdzi, że potrzebne mu dwie pary butów. „Co twoje, to i moje...” O, tam stoją, w kącie, i wiem, że nie ujrzą ich więcej moje oczy. O, ale wy się jeszcze nie znacie — dodał nagle Sunil, przechodząc teraz na hindi. — Hareś Channa — Pran Kapur. Obaj studiowaliście literaturę angielską i jeden z was wybił się w tej dziedzinie, a drugi już na zawsze pozostanie miernotą.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

— A dlaczego potrzebne są panu dwie pary butów? — zapytał Pran z uśmiechem.

— Sunil to mistrz enigmy, gada zagadkami — rzekł Hareś. — A sprawa jest w gruncie rzeczy bardzo prosta: używam ich jako wzorca, żeby uszyć drugą parę.

— Dla siebie?

— O, nie, nie. Pracuję dla PWSOC. Przyjechałem do Brahmpuru służbowo, tylko na parę dni.

Hareśowi wydawało się, że skrót, których używał, są powszechnie znane.

— PWSOC? — powtórzył pytająco Pran.

— Przedsiębiorstwo Wyrobów Skórzanych i Obuwniczych Cawnpore.

— Aha, więc pracuje pan w branży obuwniczej — rzekł Pran.

— Mało ma to wspólnego z literaturą angielską, prawda?

— „Szydłem zarabiam na życie” — odparł żartobliwie Hareś, przekręcając jak zwykle cytat i nie kwapiąc się z wyjaśnieniem, co ma na myśli.

— Mój szwagier też pracuje w tej branży — powiedział Pran. — Może się znacie. Ma sklep na Brahmpurskim Bazarze Obuwniczym.

— Możliwe — odparł Hareś. — Chociaż ze względu na strajk niektórzy pozamykali swoje stoiska. A jak się nazywa?

— Kedarnath Tandon.

— Kedarnath Tandon! Ależ oczywiście, że go znam. Zabrał mnie ze sobą tu i tam, oprowadził po mieście... — Hareś miał minę wielce ukontentowaną.

— Właściwie to właśnie przez niego Sunil stracił swoje buty. Więc pan jest jego szwagrem... przepraszam, bratem Winy. Młodszym czy starszym?

Tu Sunil Patwardhan znowu wtrącił się do rozmowy.

— Starszym — powiedział. — Młodszy, Man, też otrzymał zaproszenie na dziś wieczór, ale ma ostatnio o tej porze inne, ciekawsze zajęcia.

— Więc co to za okazja? — spytał Pran surowo, bez uśmiechu.

— Dlaczego nas do siebie zaprosiłeś? Przecież to nie twoje urodziny?

— Nie. I nie zmieniaj tematu. Albo właściwie, niech ci będzie, bo muszę cię o coś zapytać, doktorze Kapur. Dlaczego znęćacie się nad studentami? To znaczy ty i te żyły z komitetu... Co to za komitet? Aha, komitet do spraw studenckich. Bezwzględnie obeszlście się z tymi młokosami, którzy chcieli sobie poswawolić pod dobrą datą w czasie Holi. Ukaraliście jednego z moich najlepszych studentów za niewinność...

— Za niewinność?! — wykrzyknął Pran, oburzony. — Skąpali te dziewczyny w roztworze z czerwonej i niebieskiej farby od stóp do głów. Dobrze, że nie złapały zapalenia płuc. A poza tym łapska im wędrowały gdzie nie trzeba przy wcieraniu proszku...

— Ale żeby zaraz wyrzucać chłopaków z akademika, a w dodatku jeszcze grozić im relegowaniem ze studiów!

— I to ma być dowód naszej bezwzględności?

— Jasne, że tak. Po co ich dodatkowo denerwować w czasie sesji egzaminacyjnej?

— Szkoda, że nie byli tacy pilni w święto Holi. Mogli się uczyć, zamiast złopać bhang, napadać na żeński akademik i zamykać przełożoną w świetlicy.

— Żal ci tej wrednej jędzy?! Tej okrutnicy?! — powiedział Sunil z niechęcią, a potem wybuchnął śmiechem na wspomnienie uwięzionej przełożonej walącej ze złości pięścią w stół bilardowy. Przełożona, całkiem niebrzydka kobieta, postrach żeńskiego akademika, trzymała swoje podopieczne krótko i chociaż sama mocno się malowała, nie lubiła wymalowanych studentek.

— Przestań, Sunil. To całkiem atrakcyjna kobieta... Pewnie się w niej podkochujesz... Coś mi się tak wydaje...

Sunil prychnął z niechęcią na taki niedorzeczny pomysł.

— Pewnie to ona zażądała, żeby ich wszystkich natychmiast wyrzucić ze studiów. Albo zesłać na wygnanie. Albo posadzić na krześle elektrycznym, jak tych ruskich szpiegów w Ameryce nie tak dawno temu. Sęk w tym, że ludziska mają krótką pamięć i jak tylko znajdą się po tej stronie barykady, zapominają o własnych sztubackich psikusach.

— No, a ty co byś zrobił na jej miejscu? — spytał Pran. — Albo choćby na naszym? Rodzice dziewcząt zaraz podnieśliby krzyk, gdyby z naszej strony nie było żadnej reakcji. A poza tym, niezależnie od potencjalnych reperkusji, uważam, że kara nie była wcale taka drakońska. Niektórzy członkowie komitetu chcieli natychmiast wylać ich ze studiów.

— Kto? Prorektor?

— No... było paru członków... — odparł Pran wymijająco.

— Nie rób z tego wielkiej tajemnicy! Tu przecież sami swoi — rzekł Sunil, otaczając chude plecy Prana swoim szerokim ramieniem.

— Nie, nie, naprawdę, Sunil. I tak już za dużo powiedziałem.

— Ty, oczywiście, starałeś się złagodzić wyrok.

Pran przyjął przyjacielskie prześmiewki z najwyższą powagą.

— I owszem. Rzeczywiście, sugerowałem, żeby nie karać zbyt surowo. Wiesz, jak to jest, czasami takie gołowąsy posuwają się w żartach za daleko, jak choćby Man, kiedy zapragnął pobawić się w Holi z Moby Dickiem.

Historia nieszczęsnej kąpieli profesora Miśry rozeszła się migiem po całym uniwersytecie.

— Właśnie — wtrącił się ni stąd, ni zowąd do rozmowy młody fizyk. — -1 co z tą twoją docenturą?

Pran westchnął bezradnie.

— Nic — powiedział.

— Jak to „nic”? Przecież nie obsadzili jeszcze tego stanowiska.

— Wiem — powiedział Pran. — Ogłaszają, że podania od zainteresowanych będą nadal uwzględniane. Ale nie podają daty, kiedy ma się zebrać komisja rekrutacyjna.

— Skandal! — oburzył się młody fizyk. — Skontaktuję się w tej sprawie z „Brahmpur Chronicie”.

— Dobra myśl! — poparł go Sunil entuzjastycznie. — Z dostępnych nam źródeł wynika, iż pomimo trudności kadrowych, z którymi boryka się już od lat katedra anglistyki na naszym renomowanym uniwersytecie, oraz istnienia kandydata na stanowisko docenta w osobie miejscowego, wysoko kwalifikowanego wykładowcy, do dziś nie zostało ono obsadzone...

— Nie, nie, bardzo was proszę... — mitygował ich Pran, którego zaniepokoiły te projekty. — Nie uprzedzajmy faktów. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Lepiej nie mieszać w to prasy...

Sunil przez chwilę zdawał się rozważać coś w myślach w wielkim skupieniu.

— Dobrze już, dobrze, napij się! — powiedział nagle. — Gdzie twój kieliszek?

— Najpierw gęba mu się nie zamyka przez pół godziny, zapomina o podstawowych zasadach gościnności, a potem pyta się, gdzie mój kieliszek. Po-

proszę whisky... z wodą... — powiedział Pran, tym razem już mniej nerwowo.

Później rozmowa zeszła na inne tematy: komentowano miejscowe wydarzenia, ubolewano nad fatalną formą hinduskich krykieci-stów („Wątpię, czy wygramy kiedykolwiek mistrzostwa”, powiedział pesymistycznie Pran), roztrząsano stosunki polityczne w Parwa Pradeś oraz na arenie międzynarodowej, podśmiewano się z nawyków poszczególnych nauczycieli i wykładowców zarówno z Uniwersytetu Brahmurskiego, jak i St. Stephen's College w Delhi. Tu wyżywali się absolwenci tej szacownej instytucji, którzy powtarzali surowo zgodnym chórkim: „Łopata wam to włożę do głowy, gamonie. U mnie w klasie nie będę tolerował żadnych wykrętów...”

Podano kolację, która, jak przewidział Pran, nie była obfita. Dobroduszny Sunil, który potrafił jeździć po głowie przyjaciółom, sam dawał się wykorzystywać haniebnie swojemu staremu służącemu. Ten był do swego pana bardzo przywiązany (bo służył mu od kołyski), co jednak wcale nie przeszkadzało mu wymigiwać się od pracy.

Przy kolacji podjęto kwestię sytuacji politycznej i gospodarczej w kraju. Ponieważ podochoceni whisky rozmówcy zapalali się w dyskusji, trudno by tu było przytoczyć jej przebieg w szczegółach, ale toczyła się ona mniej więcej tak:

— Dlaczego Nehru został premierem Indii? Bo miał poparcie Gandhiego. To żadna tajemnica. Wygłasza tylko te swoje tasiemcowe przemówienia, ale co robi, do cholery?! Jest taki chwiejny. Zobaczcie, nawet w Partii Kongresowej, gdzie Tandon i jego poplecznicy przypierają go do muru, wszystkiemu przyklaskuje, a my musimy...

— A co ma robić? To nie dyktatura.

— Nie przerywaj. Pozwól mi skończyć. Przyjdzie twoja kolej, to się będziesz mógł wygadać do woli. Więc co on zdziałał, ten twój cały Nehru? Konkretnie, co? Zaproszony jako gość honorowy na zebranie jakiegoś stowarzyszenia, głosi patetycznie w przemówieniu: „Wydaje nam się często, iż toniemy w ciemnościach”. Frazesy! W jakich ciemnościach?! Co on sobie ubrdał w tej swojej głowie? Może i jest przystojny i reprezentacyjny z tą czerwoną różą w butonierce, ale nam jest potrzebny człowiek czynu, a nie

marzyciel. Jako premier powinien ująć ster rządów w swoje ręce, ale brak mu siły przebicia.

— No, ale...

— No, ale co?

— Dobra, dobra. Spróbuj tylko kierować takim wielkim krajem. To się łatwo mówi, ale jak tu wykarmić cały naród? Jak przemówić do rozsądku hindusom żadnym muzułmańskiej krwi?

— I vice versa.

— Zgoda, i vice versa. A spróbuj tylko rozparcelować posiadłości zamindarów, kiedy obszarnicy bronią zazdrośnie swoich przywilejów!

— Przecież on się w to wcale nie angażuje. Reforma rolna leży w gestii rządów stanowych, a nie premiera. Nehru tylko gardłuje, ale spytaj Prana, kto jest projektodawcą ustawy o uwłaszczeniu i kto będzie ją wcielał w życie. Niech ci powie!

— Fakt. Nie kto inny, tylko mój własny ojciec — przyznał Pran. — Matka mówi, że przesiaduje w ministerstwie do późna w nocy, przychodzi do domu po dwunastej, kompletnie wyczerpany, a potem czyta do rana, przygotowując się do debaty w parlamencie. I tak dzień po dniu. — Zaśmiał się krótko i pokręcił głową. — Matka się zamartwia, mówi, że zdrowie na tym straci. Każda nowa klauzula (a jest ich mnóstwo), to jej zdaniem nowy wrzód na żołądku. A teraz, kiedy ta ustawa o uwłaszczeniu została odrzucona w Biharze jako niezgodna z konstytucją, wszystkich ogarnęła istna panika. Jakby mało jeszcze było tych zamieszek w Ćauk.

— A co? Znowu były jakieś rozruchy? — spytał ktoś, żądny najświeższych wiadomości na ten temat.

— Radża Marhu i ta jego przeklęta świątynia Siwy — wtrącił się do rozmowy Hareś. Chociaż był zamiejscowy, wiedział sporo na ten temat od Kedarnatha.

— Przestań bluźnić — powiedział szorstko historyk.

— To nie żadne bluźnierstwo; tyle krwi już się przez tę przeklętą świątynię przelało.

— Jak śmiesz się tak wyrażać o świątyni Siwy?! To taki z ciebie hindus?! Przypatrz się sobie z bliska. Może umknęło to twojej uwagi, ale Brytyjczycy

już dawno sobie poszli, więc przestań się tu puszyć i wywyższać. Przeklęta świątynia, przekłęci tubylcy... Nie raz już słyszeliśmy ten refren!

— O Boże! Sunil, daj mi się czegoś napić! — zwrócił się Hareś do swojego przyjaciela.

Po kolacji temperatura dyskusji to rosła, to opadała. Rozmówcy kontynuowali spory, wikłając się w wywodach, szukając sojuszników wśród słuchaczy. Pran odciągnął na bok Sunila i zapytał niby od niechcenia:

— Ten facet, Hareś... powiedz mi coś na jego temat. Żonaty jest? Albo zaręczony... albo coś takiego?

— Coś takiego.

— Słucham? — Pran zmarszczył brwi ze zdziwienia.

— Nie jest ani żonaty, ani zaręczony — rzekł Sunil — ale na pewno jest „coś takiego”.

— Sunil, przestań się ze mną bawić w ciuciubabkę. To już północ.

— Trzeba się było nie spóźniać, tobyś się o nim dowiedział paru interesujących szczegółów. Przed twoim przyjściem rozmawialiśmy dość długo na temat jego sardami, Simran Kaur, w której jest nadal zadurzony. Ha! No, popatrz tylko! A jeszcze przed godziną nie mogłem sobie przypomnieć ani jej imienia, ani nazwiska! Po szkole chodziła o nim taka rymowanka:

*Lata za nim Gaur, on lata za Kaur,
Cnoty swej pilnował, ale przeholował!*

Nie ręczę za prawdziwość informacji w drugiej linijce. Ale po jego minie widać było wyraźnie, że dalej jest w niej zakochany. I trudno się dziwić. Widziałem ją raz: jest prześliczna.

Tu Sunil Patwardhan wyrecytował kuplet w urdu na cześć burzy jej czarnych włosów,

— Rozumiem, rozumiem — pokiwał głową Pran.

— Ale po co chcesz wiedzieć?

— Nic takiego — wzruszył ramionami Pran. — Wygląda na faceta, który wie, czego chce, więc po prostu byłem ciekaw...

Wkrótce potem goście zaczęli zbierać się do wyjścia, a Sunil zasugerował, żeby wybrali się całą grupą do starej dzielnicy, „żeby sprawdzić, czy tam nie ma nas”.

— Dziś, o północnej porze — zaintonował śpiewnie a la Nehru — gdy reszta świata pogrążona jest we śnie, Brahmpur obudzi się do życia w wolnym kraju. — Odprowadzając gości do drzwi, posmutniał nagle. — Dobranoc! — powiedział prawie szeptem, a potem dodał z melancholią w głosie: — Dobranoc, słodkie dziewice, dobranoc, dobranoc. — A kiedy drzwi się zamknęły za ostatnim z gości, wymamrotał pod nosem, dość bełkotliwie, słowa, którymi Nehru zwykł był kończyć swoje przemówienia: „Bracia i siostry: *Jai Hind!*”

Natomiast Pran wracał do domu pełen animuszu. Bawił się świetnie u Sunila. Dobrze było oderwać się od pracy i od szarej — musiał to przyznać — codzienności w gronie rodzinnym, z żoną, teściową i szwagierką.

„Jaka szkoda”, myślał, „że oddał już serce komu innemu”. Pomimo dyletanctwa Hareśa w zakresie literatury angielskiej Pran polubił go bardzo podczas rozmowy i zastanawiał się, czy byłby z niego dobry kandydat na męża dla Laty. Od czasu tej rozmowy telefonicznej przy kolacji parę dni temu zupełnie jej nie poznawał. Ale nie mógł nawet porozmawiać na ten temat z Sawitą. „Czasami”, myślał Pran, „czuję się w domu jak wścibski intruz, który wsadza nos w nie swoje, Mehrowskie sprawy”.

4.9

Hareś obudził się o świcie z łupaniem w głowie, ale zwał się z łóżka i pojechał rykszą do Rawidaspuru. Wziął ze sobą kopyta szewskie oraz inne przyobiecane materiały, jak i buty, które wyciągnął od Sunila. Ulicami, wśród lepianek pokrytych strzechą, snuli się nędzarze w łachmanach. Jakiś chłopiec ciągnął kawałek drewna na sznurku, a drugi usiłował uderzyć w nie kijem. Przechodząc przez chwiejną kładkę, Hareś zauważył, że nad czarną, mazistą

wodą otwartego ścieku, gdzie ludzie dokonywali porannych ablucji, unosi się gęsta, biaława para. „Jak oni mogą tak żyć?“, zastanawiał się w myślach.

Druty elektryczne zaplątane były w gałęzie drzew albo zwieszały się smętnie z rozklekotanych słupów. Mieszkańcy paru domów podłączyli się nielegalnie do tego skąpego źródła prądu, zarzucając własny przewód na drut, ale w większości chatynek mrok rozświetlały prowizoryczne lampy sklecone z puszek napęcznionych naftą, z których wydzielał się czarny dym. A że łatwo je było strącić dziecku, psu albo cielęciu, nierzadko wybuchały tu pożary, które pochłaniały również sąsiednie lepianki, niszcząc cały zgromadzony pod strzechą dobytek, w tym cenne kartki żywnościowe. Hareś nie mógł się nadszydzić takiemu marnotrawstwu i z dezaprobatą kręcił głową.

Dotarł wreszcie do warsztatu, gdzie zastał siedzącego na schodkach w towarzystwie córki Dżagata Rama, który jednak nie pracował nad jego zamówieniem, tylko strugał z drewna jakąś zabawkę (chyba kota). Zirykowało to Hareśa. Na widok gościa Dżagat Ram odłożył na bok nie skończonego kota i wyraźnie zaskoczony wstał, żeby się przywitać.

— Wcześniej pan przyszedł.

— Wcześniej — powiedział Hareś szorstko. — I co to? Widzę, że ci się nie spieszy. Ja ze swej strony robię, co mogę, żeby ci dostarczyć na czas wszystkie materiały, ale nie będę się plątał w żadne interesy z kimś, na kim nie można polegać.

Dżagat Ram szarpnął węża i powiedział z iskierką wyzwania w oku:

— Ja... chciałbym powiedzieć, że... — zaczął. — Dlaczego pan od razu nie zapyta? To znaczy... Co pan myśli, że jestem z tych, którzy nie dotrzymują słowa? — Wstał, wszedł do środka i sięgnął po kawałki ładnej, czerwonej skórki skrojone według wykroju, który zostawił mu Hareś. Hareś oglądał je ze wszystkich stron, a on mówił dalej: — Nie wysztancowałem ich jeszcze według wzoru... ale pomyślałem, że zamiast powierzyć tę robotę krajczemu, sam je wykroję. Jestem na nogach już od świtu.

— Dobrze, dobrze — rzekł Hareś, kiwając głową, nieco udobruchany. — Pokaż mi resztę tej skóry, którą ci zostawiłem.

Dżagat Ram przywiózł ją do warsztatu poprzedniego wieczoru. Teraz raczej niechętnie zdjął ją z jednej z ceglanych półek wmurowanych w ścianę

maleńkiej izdebki. Został jej jeszcze po wykrojeniu spory kawałek. Hareś znowu przeegzaminował ją wzrokiem, a potem podał z powrotem szewcowi, ten zaś odetchnął z wyraźną ulgą. Nie przerywając milczenia, w zadumie przyglądał dłonią siwego wąsa.

— Pierwszorzędna robota! — powiedział Hareś z prawdziwym uznaniem.

Dżagat Ram nie marudził z robotą, a przy tym kroił bardzo oszczędnie. Miał do tego smykałkę. Nawet wykwalifikowani szewcy o długoletniej praktyce rzadko byli obdarzeni takim intuicyjnym, mistrzowskim wyczuciem formy jak ten prosty rzemieślnik. Zresztą, można się tego już było domyślić wcześniej po jego komentarzu, kiedy, ledwie rzuciwszy okiem na tekturowe wykroje, potrafił wyobrazić sobie cały but.

— A gdzie to się podziała twoja córka?

Tu Dżagat Ram pozwolił sobie na lekki uśmiech.

— Spóźniła się dzisiaj do szkoły.

— I co? Miałaś wczoraj gości z Lovely Shoe Shop? — spytał Hareś.

— Hmm, niby tak — odparł Dżagat Ram, ale nie rozwijał tematu.

Ponieważ Lovely Shoe Shop nie stanowił dla niego żadnej konkurencji, Hareś nie pytał więcej. Pomyślał, że Dżagat Ram nie chce pewnie mówić o swoich interesach przy koledze Kedarnatha.

— No to już — powiedział Hareś. — Masz teraz wszystko, czego potrzebujesz. — Wyjął z teczki dratwę, kopyta, buty i inne obiecane materiały. Dżagat Ram z podziwem obracał w dłoniach przywiezione przez Hareśa kopyta, Hareś zaś mówił dalej: — Za trzy dni, o drugiej po południu, będę tutaj z powrotem i mam nadzieję, że buty będą już na mnie czekały. Wykupiłem bilet na pociąg do Kanpuru na szóstą trzydzieści wieczorem. Jeśli robota będzie dobrze wykonana, to chyba będę mógł u ciebie złożyć zamówienie, a jeśli nie, to koniec, bo na pewno nie odłożę przez to wyjazdu.

— To może byśmy tak nawiązali bezpośrednią współpracę, jeśli wszystko dobrze pójdzie — zaproponował Dżagat Ram, ale Hareś pokręcił odmownie głową i powiedział:

—Poznałem cię przez Kedarnatha i przez niego będę składał zamówienia.

Dżagat Ram kiwnął głową zrezygnowany i odprowadził Hareśa do drzwi. Widać nigdy się człowiek nie odpędzi od tych krwiopijców, pośredników. Czy to muzułmanie, czy Pendżabczy, co za różnica? No, ale jednak to Kedarnath pierwszy dał mu szansę i w porównaniu z innymi nie był jeszcze taki zły. Żyłować żyłował, ale nie tak do ostatka.

— Dobrze — powiedział Hareś. — Doskonale. No, mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Muszę lecieć.

I oddalił się swoim zwawym krokiem błotnistymi ulicami Rawi-daspuru. Dzisiaj miał na sobie zwykłe czarne trzewiki. Obok białej kapliczki, prawie w szczerym polu, zobaczył grupkę małych, brudnych obdartusów, którzy grali na pieniądze w karty. W jednym z nich rozpoznał najmłodszego syna Dżagata Rama i obruszył się na ten widok, nie dlatego, że potępił moralną degrengoladę, tylko z czystej frustracji, że takie rzeczy dzieją się na tym świecie. Brud, smród i ubóstwo! Warcholstwo! Analfabetyzm! A przecież ludzka przedsiębiorczość to niewyczerpany majątek, jeśli sieją umie wykorzystać. Trzeba tylko dać tym nędzarzom możliwości. Gdyby to od niego zależało, gdyby miał na to dostateczne fundusze oraz siłę roboczą, postawiłby tę okolicę na nogi w sześć miesięcy. Kanalizacja, woda pitna, elektryczność, chodniki, poczucie obywatelskiej przynależności — wszystko to jest osiągalne, jeśli podejmie się odpowiednie decyzje na odpowiednim szczeblu. No i jeśli ma się środki, żeby realizować te zadania. Hareś zawsze lubił wiedzieć z góry, czym dysponuje, i planować, punkt po punkcie, kolejne przedsięwzięcia. Spisywał zawsze te dane na kartce i zły był na siebie, jeśli pominął coś przez pomyłkę. Wszystko musiało być u niego dopięte na ostatni guzik.

„A, no właśnie”, przypomniał sobie nagle. „A syn Kedarnatha... jak mu tam... Bhaskar... to co? Powinienem być już wczoraj wieczorem zapytać Sunila o adres doktora Durraniego”. Zmarszczył brwi, wyrzucając sobie niedbalstwo.

Tak więc po obiedzie wziął ze sobą Bhaskara i pojechał tongą do Sunila. „Doktor Durrani przyszedł chyba wtedy na piechotę, więc nie może mieszkać zbyt daleko”, rozmyślał po drodze Hareś.

Bhaskar siedział obok niego w milczeniu, co cieszyło Hareśa, ponieważ nie miał ochoty na rozmowę, więc ograniczył się do krótkiego wyjaśnienia, dokąd jadą.

Wierny, choć gnuśny, służący Sunila pokazał im, w którym domu mieszka doktor Durrani, i okazało się, że to tylko parę kroków dalej. Hareś zapłacił woźnicy i podążył za Bhaskarem.

4.10

Otworzył im drzwi wysoki, przystojny młodzieniec w białym stroju do krykieta.

— Chcielibyśmy się zobaczyć z doktorem Durranim — powiedział Hareś. — Jak pan sądzi, czy nie jest zbyt zajęty?

— Zaraz sprawdzę — powiedział młody mężczyzna niskim, nieco szorstkim, ale przyjemnym głosem. — Proszę wejść. — Chwilę później wyłonił się znowu i powiedział: — Mój ojciec będzie do pańskiej dyspozycji za minutę. Chciał się dowiedzieć, kto przyszedł, a ja się zorientowałem, że nie zapytałem. Przepraszam, powinienem się był najpierw sam przedstawić. Mam na imię Kabir.

Zarówno uroda, jak i dobre maniere młodego mężczyzny zjednały mu natychmiast sympatię Hareśa. Wyciągnął rękę na powitanie, uśmiechnął się, unosząc tylko z lekka kąciki ust, przedstawił się, a potem dorzucił:

— A to jest Bhaskar, syn mojego znajomego.

Wydawało się, że coś zaniepokoiło młodego człowieka, ale mimo to starał się, jak mógł, podtrzymać rozmowę.

— Cześć, Bhaskar — zwrócił się do swojego małego gościa. — Ile masz lat?

Pomimo banalności pytania Bhaskar nie obruszył się, tylko odparł grzecznie:

— Dziewięć.

Nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodziło. Po pewnym czasie Kabir powiedział:

— Ciekaw jestem, co zatrzymuje mojego ojca. — I wyszedł z pokoju.

Wchodząc do salonu, doktor Durrani zdziwił się na widok gości. Zauważywszy Bhaskara, zapytał Hareśa:

— Czy chciałby się pan zobaczyć... eee... tego... z którymś z moich synów?

Bhaskara zaskoczyło zachowanie doktora Durraniego, niezwykle, jego zdaniem, jak na dorosłą osobę. Przyjrzał się gospodarzowi z zainteresowaniem i spodobały mu się jego kanciaste rysy, a przede wszystkim równe, sumiaste, siwiejące wąsiska. Hareś wstał na powitanie i powiedział:

— Nie, doktorze Durrani. Przyszliśmy się zobaczyć z panem. Nie wiem, czy mnie pan pamięta... poznaliśmy się na przyjęciu u Sunila...

— U Sunila? — Doktor Durrani zmrużył oczy i uniósł wysoko brwi, wyraźnie zaskoczony tym stwierdzeniem. — Sunil... Sunil... — Widać było, że waży coś w myślach skrupulatnie i że ma już odpowiedź na końcu języka. — Patwardhan! — powiedział wreszcie z wyrazem zadowolenia na twarzy, jakby odkrył właśnie jakąś głęboką prawdę. Rozwagał tę nową przesłankę z podobną skrupulatnością, w milczeniu.

Hareś postanowił przyspieszyć proces. Wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Doktorze Durrani, powiedział pan, żebyśmy wpadli zobaczyć się z panem. To jest mój przyjaciel Bhaskar, wybitnie uzdolniony, chociaż bardzo jeszcze młody matematyk, o którym panu opowiadałem. Chciałem go panu przedstawić.

To wyjaśnienie zadowoliło widać całkowicie doktora Durraniego, bo zwrócił się teraz do Bhaskara z zapytaniem, ile jest dwa razy dwa, ten zaś, ku zdziwieniu Hareśa, choć na ogół buntował się przy dużo trudniejszych zadaniach, niegodnych jego zdaniem umysłowego wysiłku, tym razem wcale się jakoś nie obraził, tylko zaryzykował:

— Cztery?

Doktor Durrani milczał. Zdawało się, że zastanawiał się głęboko nad tą odpowiedzią. Hareś poczuł się dziwnie nieswojo.

— Dobrze. Niech go pan tutaj zostawi na jakiś czas — rzekł wreszcie doktor Durrani.

— To może odbiorę go o czwartej? — zaproponował Hareś.

— Mniej więcej — odparł doktor Durrani.

Kiedy doktor Durrani i Bhaskar zostali sami, chłopiec zapytał:

— Czy to była poprawna odpowiedź?

— Mniej więcej — powiedział doktor Durrani. — Widzisz — mówił dalej, sięgając po mausami, które stały w misce na stole — to tak samo jak tego, no... tak samo jak z sumą kątów... eee... w trójkącie. Ile to się równa? Uczyli cię tego w szkole?

— 180 stopni — rzekł Bhaskar.

— No tak, mniej więcej — rzekł doktor Durrani. — Pozornie przy najmniej. Ale pozornie na przykład... tego, no... mausami...

Przez pewien czas przyglądał się zielonemu cytrusowi, medytując nad jakimś sobie tylko znanym zagadnieniem. Kiedy owoc spełnił już swoje zadanie, doktor Durrani popatrzył na niego ze zdziwieniem, jakby nie bardzo wiedział, jak znalazł się w jego ręku. Obrął go, ściągnął z trudem grubą skórę i włożył sobie kawałek do ust.

— Może się poczęstujesz? — zapytał Bhaskara rzeczowo.

— Tak, dziękuję — powiedział Bhaskar i wyciągnął obie dłonie po pazurek mausami, jakby miał zamiar przyjąć poświęconą ofiarę ze świątyni.

Godzinę później, po powrocie, Hareś odniósł wrażenie, że im przeszkadza i że nie jest wcale mile widziany. Doktor Durrani i Bhaskar siedzieli razem przy stole, na którym wały się teraz, między innymi, cząstki mausami i skórki, mnóstwo wykałaczek, poukładanych w różnych konfiguracjach, przewrócona do góry dnem popielniczka, ścinki papieru powiązane w jakieś dziwne supelki oraz fioletowy latawiec. Sam blat stołu zaś zapisany był od góry do dołu żółtą kredą i widniały na nim różnorakie równania.

Przed wyjściem Bhaskar zabrał ze stołu poskręcane z gazety pętelki, a także dokładnie szesnaście wykałaczek. Wziął również ze sobą fioletowy latawiec. Żaden z matematyków nie podziękował drugiemu za współpracę. W drodze powrotnej do Misri Mandi, w tondze, Hareś starał się wybadać Bhaskara:

— No i co? Zrozumiałeś wszystkie równania?

— Nie — odparł Bhaskar niefrasobliwie, sądząc najwyraźniej, iż nie miało to w zasadzie znaczenia.

Chociaż po powrocie do domu Bhaskar milczał jak zakłęty, matka poznała od razu po jego minie, że bawił się doskonale i że wiele się nauczył podczas tego spotkania. Wzięła od niego przyniesione rzeczy i kazała mu umyć lepkie ręce. Potem, prawie ze łzami w oczach, Wina zwróciła się do Hareśa:

— Dziękuję serdecznie za pańską uczynność, Hareś bhai. Widzę, ile to dla niego znaczy.

— Naprawdę? — odparł Hareś z uśmiechem. — A po czym to pani poznaje?

4.11

Tymczasem nowiuteńka para butów tkwiła na kopytach w warsztacie Dżagata Rama. Dwa dni później, o umówionej godzinie, Hareś przyszedł po odbiór butów i po kopyta. Córeczka Dżagata Rama rozpoznała go i klasnęła w dłonie na powitanie. Podśpiewywała sobie najpierw wesoło przy zabawie, a teraz zabawiała piosenką Hareśa. Piosenka brzmiała tak:

Ram Ram Shah,—Ram Ram Szach,

Alu ka rasa —Kartoflany sos do pieczeni,

Mendaki ki chatni — Sos z przyprawami, z żabimi udkami —

Aa gaya nasha! —Wypij, upijesz się!

Hareś przyjrzał się butom wprawnym okiem. Dobra robota. Prostym ścięciem, przy użyciu prostej maszyny, cholewki uszyte były starannie — żadnych wybrzuszeń ani zmarszczek. Wykończenie też było świetne, pod kolor skóry. Hareś był bardzo zadowolony. Miał zawsze wysokie wymagania, ale teraz wynagrodził Dżagata Rama dodatkową zapłatą: dał mu półtora raza więcej niż było umówione.

— Skontaktuję się z tobą — obiecał.

— No, mam nadzieję, Hareś sahib — odparł Dżagat Ram. — Jaka szkoda, że pan już dziś wyjeżdża.

— Niestety, muszę.

— I tylko po to przedłużył pan swój pobyt w Brahmपुरze?

— Tylko po to. Inaczej wyjechałbym dwa dni temu.

— No, to mam nadzieję, że im się tam spodobają te trzewiki, w tym PW-SOC.

I na tym się rozstali. Hareś załatwił parę spraw na mieście, kupił kilka drobiazgów, wrócił do mieszkania Sunila, oddał mu buty, spakował się, pożegnał i pojechał tongą na dworzec, żeby złapać pociąg do Kanpuru. Po drodze wstąpił jeszcze do Kedarnatha, żeby mu podziękować za gościnę.

— Mam nadzieję — powiedział Hareś, żegnając się z nim uściskiem dłoni — że już w niedalekiej przyszłości będę mógł się okazać pomocny.

— Już się nam pan przysłużył. Tak mi powiedziała Wina.

— Ale chodzi mi o sprawy handlowe.

— A! No, i ja również mam taką nadzieję — odparł na to Kedarnath. — Sam także jestem do pańskich usług...

Uścisnęli sobie dłonie.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł nagle Hareś. — Właściwie miałem już o to zapytać pana parę dni temu... Skąd ma pan te blizny na dłoniach? Najpierw myślałem, że może ręka się panu wkręciła w maszynę, ale nie, bo wtedy miałby pan rany i po wewnętrznej stronie, i po zewnętrznej.

Kedarnath milczał przez parę chwil, jakby przestawiał się na inny tok myślenia, a potem powiedział:

— Zostałem ranny w czasie Podziału. — Zamilkł na chwilę, a potem dorzucił w formie wyjaśnienia: — Musieliśmy uciekać z Lahaur i tak się złożyło, że znalazło się dla mnie miejsce w konwoju wojskowych ciężarówek. Przydzielono nas do pierwszej ciężarówki... mnie i mojego młodszego brata. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że coś się może stać. A jednak... no cóż... to był pułk Baluchi. Zatrzymali się tuż przed mostem Rawi, a tam napadła na nas z lancami banda muzułmańskich zbirów, którzy schowali się w składzie drewna i zaczęli nas wyrzynać. Mój młodszy brat ma całe plecy w bliznach, a

mnie zostały ślady na dłoniach i na nadgarstku... Zasłaniałem się rękami, wie pan... Przez miesiąc leżałem potem w szpitalu.

Na twarzy Hareśa malowało się przerażenie, ale Kedarnath, przymykając oczy, ciągnął zupełnie spokojnie:

— W dwie minuty zginęło tam dwadzieścia czy trzydzieści osób... czyjś ojciec, czyjaś córka... Mieliśmy szczęście, że z drugiej strony zbliżał się akur rat pułk Gurkhów. Zobaczyli, co się dzieje, i zaczęli strzelać. Bandyci rozpierzchli się w popłochu, a ja ocalałem i mogę to panu opowiedzieć jako naczynny świadek.

— A gdzie była wtedy pańska rodzina? — zapytał Hareś. — W którejś z ciężarówek?

— Nie... Wysłałem ich wcześniej do Brahmpuru pociągiem. Bhaskar miał wtedy dopiero sześć lat. Co prawda w pociągach też nie było wcale tak bezpiecznie. Zresztą, sam pan wie.

Hareś poczuł się dziwnie skrępowany, chociaż nieśmiałość nie leżała w jego naturze. Powiedział:

— Przepraszam, że się tak wypytuję.

— Nic nie szkodzi. Widocznie Opatrzność jakoś wtedy nad nami czuwała. Pewien kupiec, mahometanin, który był właścicielem mojego sklepu, tu w Brahmpurze... Ale dość o tym... Pomimo tych wszystkich nieprzyjemnych historii, nadal tęsknię za Lahaur — odparł Kedarnath. — Ale niech pan lepiej ucieka, bo spóźni się pan na pociąg.

Na dworcu Brahmpur Junction panował jak zwykle ogłuszający hałas. Zafalowani, rozgadani ludzie przeciskali się spieszenie w tłumie, w smrodliwym, przesyconym wonią nieświeżych ryb powietrzu. W kłębach pary sykk parowozów mieszał się z gwizdem nadjeżdżających pociągów, nawoływaniem straganiarzy i brzęczeniem wszechobecnych much. Hareś czuł się zupełnie wyczerpany. Pomimo dość późnej godziny nadal było bardzo gorąco. Dotknął agatowej spinki przy mankiecie i zdziwił się, że była całkiem chłodna.

W tłumie zauważył młodą dziewczynę w lekkim, niebieskim bawełnianym sari, stojącą obok swojej matki. Wykładowca angielskiego, którego poznał na imprezie u Sunila, wsadzał je do pociągu do Kalkuty. Matka była do Hareśa

zwrócona plecami, więc nie mógł się jej dokładnie przyjrzeć, za to córka od razu przypadła mu do gustu. Nie była to klasyczna piękność i nie porwała go za serce tak jak ta na fotografii, którą nosił przy sobie, ale przyciągnęła jego uwagę wyrazistością spojrzenia. Zatrzymał się na moment, żeby się jej przyjrzeć. Widać było, że stara się zdusić w sobie jakąś wielką żalność, dużo głębszą i bardziej bolesną niż zwykły smutek przy pożegnaniu na peronie. W pierwszej chwili miał ochotę podejść bliżej i przypomnieć się młodemu wykładowcy, ale chmura smutku, prawie rozpacz, na czole dziewczyny powstrzymała go od tego kroku. Wiedział również, że jego pociąg rusza już za parę minut, a poza tym, nie będąc wysoki, musiał pilnować, żeby nie zgubić w tłumie tragarza, który szedł przodem, niosąc jego bagaż.



CZEŚĆ PIĄTA

5.1

Są zamieszki wywołane celowym podżeganiem i takie, które wybuchają spontanicznie. Nikt się wprawdzie nie spodziewał, że rozruchy w Misri Mandi mogą przemienić się w krwawą rewoltę, a jednak kilka dni po wyjeździe Hareśa, w samym sercu Misri Mandi, tam właśnie między innymi, gdzie znajdował się sklep Kedarnatha, skierowano dodatkowe oddziały uzbrojonej policji.

Poprzedniego wieczoru w taniej knajpie przy błotnistej, nie wybrukowanej ulicy, która prowadziła ze starej dzielnicy w stronę garbarni, doszło do bójki. Ze względu na strajk ludzie mieli wprawdzie mniej pieniędzy, ale za to więcej czasu, więc też właściciel spelunki, kalari, nie narzekał na brak klientów. Schodzili się tu głównie dżatawowie, ale i przedstawiciele innych kast byli stałymi bywalcami szynku. Przy kieliszku zacierały się społeczne różnice, bo czy to w końcu takie ważne, kto siedzi obok przy kulawym stole? Pili, zaśmiewali się rubasznie, płakali, a potem zataczając się, wychodzili na zewnątrz chwiejnym krokiem, to śpiewając głośno, to znowu przeklinając. Przysięgali sobie dożgonne braterstwo, zwierzali się z najtajniejszych sekretów i żalili na złośliwy los, przekonani, że cały świat się na nich uwziął. Subiekt z jednego ze sklepów w Misri Mandi był w wyjątkowo podłym humorze, ponieważ akurat zadarł ze swoim teściem. Zalewał robaka w pojedynkę i coraz bardziej zapalał się w gniewie. Podśluchał niechcący, jak tuż za plecami ktoś wychwalał spryt i przedsiębiorczość jego pracodawcy, i zacisnął pięści. Odwrócił się raptownie, żeby się przyjrzeć winowajcy, przewrócił drewnianą ławę, na której siedział, i upadł na podłogę.

Trzej mężczyźni przy sąsiednim stole zarechotali chrapliwie. Byli to dżatawowie, którzy go znali z bazaru. To on wyciągał im swego czasu buty z koszyków, kiedy pędzili z towarem wieczorami od sklepu do sklepu w Misri Mandi. Jego pracodawca, kupiec, brzydził się dotykać butów, ponieważ uważał, że się tym skała. Dżatawowie wiedzieli, że kryzys handlowy w Misri

Mandi odbijał się niekorzystnie przede wszystkim na tych spośród kupców, którzy za bardzo polegali na wymianie bonów. Wiedzieli również doskonale, że sami tracili na tym jeszcze więcej, ale jak inaczej zmusić mocarnego zdziercę, żeby wreszcie zgiął przed nimi kark? A tu, proszę, sam — i to dosłownie — padał przed nimi na kolana.

Miejscowy samogon uderzył im do głowy, a nie było ich już stać na pakory i inne zakąski, które złagodziłyby działanie alkoholu. Śmieli się do rozpu-

— Patrzcie no, ale to boksuje powietrze! — szydził jeden.

— Żeby mógł, toby walił co innego! He, he! — naigrawał się drugi.

— Tylko mu to, jak słyszałem, nie wychodzi. Dlatego podobno ma z żonieczką na pieńku...

— Fujara! — wyśmiewał się pierwszy pogardliwie, machnąwszy w stronę leżącego ręką, gestem kupca, który odrzuca cały koszyk z obuwem, uznawszy jedną parę butów za wybrakowaną.

Bełkotali po pijanemu, ni w pięć, ni w dziewięć, a w oczach mieli wzgardę. Mężczyzna, który upadł, rzucił się na nich z pięściami, a oni nie pozostali mu dłużni. Parę osób (w tym również właściciel knajpy, kalari) starało się ich rozdzielić, ale większość otoczyła ich kołem, skandując głośno, podjudzając zaperzonych do walki. Dla nich była to po prostu doskonała rozrywka. Tamci czterej upadli na podłogę, młócąc gdzie popadnie.

W rezultacie mężczyzna, który rozpoczął awanturę, został pobity do nieprzytomności, a wszyscy odnieśli poważne rany. Jednemu, który wył z bólu, krew ciekła spod powieki. Tej nocy przestał widzieć na jedno oko.

Zaraz po tej bijatyce tłum rozjuszonych szewców zgromadził się na bazarze obuwniczym Gowind, gdzie znajdował się sklep, w którym pracował zamieszany w awanturę subiekt. Sklep był zamknięty, ale demonstranci wznosili gniewne okrzyki, grożąc, że puszcza go z dymem. Jeden z kupców starał się przemówić im do rozsądku, ale tłum odpowiedział na to jeszcze większą agresją. Widząc, co się dzieje, paru policjantów pobiegło na dzielnicową komendę policji po posiłki. Teraz zjawilo się dziesięciu funkcjonariuszy uzbrojonych w krótkie, okute kije bambusowe, zwane lathi. Zaczęli okładać nimi zgromadzonych i wkrótce tłum się rozpierzchnął.

Władze na wszystkich szczeblach dowiedziały się o wydarzeniach w Misri Mandi błyskawicznie. Od dzielnicowego po nadinspektora policji stanu Parwa Pradeś, od podsekretarza stanu do ministra spraw wewnętrznych: każdy otrzymał odmienne relacje z powyższych zajęć i każdy odmiennie oceniał sytuację. Były również różnorakie sugestie co do tego, jak teraz zareagować na te wypadki, i czy, w samej rzeczy, w ogóle jakoś zareagować.

Obowiązki szefa rządu, którego akurat nie było w mieście, pełnił tymczasowo minister spraw wewnętrznych, ponieważ ochrona porządku i bezpieczeństwa publicznego podlegała jego kompetencji. Jako minister skarbu Maheś Kapur nie miał z tym wszystkim wprawdzie bezpośredniej styczności, ale i do niego dotarły wieści o rozruchach, jako że część Misri Mandi leżała w jego okręgu wyborczym. Pobiegł tam czym prędzej, żeby porozmawiać z nadinspektorem policji i z komisarzem okręgowym. Obaj uważali, że sprawa wkrótce przycichnie, jeśli nie będzie dalszych prowokacji. Za to minister spraw wewnętrznych, L.N. Agarwal, którego część okręgu wyborczego leżała również w Misri Mandi, nie uważał za stosowne udać się na miejsce wypadków. Dowiedział się paru szczegółów telefonicznie i na tej podstawie doszedł do wniosku, że demonstracja siły będzie na takie rozróby najwłaściwszą odpowiedzią.

Przekłęci dżatawowie! Dość już tych bzdurnych, bezpodstawnych skarg! Dość tego strajku. Buntownicy! Burzyciele porządku! Handel przez nich w mieście upada. Ciekawe, kto za tym stoi? To na pewno sprawka związkowców. Grozili teraz, że zatarasują wejście na bazar obuwniczy Gowind od strony głównej ulicy Misri Mandi. I tak już wielu kupców ledwie wiązało koniec z końcem, a pikiety wykończyłyby ich do reszty. L.N. Agarwal, który sam pochodził z rodziny kupieckiej, miał wśród handlarzy wielu dobrych znajomych. To ich dotacje zasilaly fundusze jego kampanii wyborczych. Teraz otrzymał trzy rozpaczliwe telefony i postanowił położyć temu wreszcie kres. Przyszedł czas, żeby wcielić słowa w czyn. Tu chodziło w końcu o porządek i bezpieczeństwo, tak, bez-pie-czeń-stwo publiczne. Tak też z pewnością podchodziłby do tego świętej pamięci Sardar Patel, człowiek z żelaza, jeden jedyny prawdziwy mąż stanu w Indiach.

Ale jak on postąpiłby teraz na jego miejscu? Co by zrobił? Okrągła czaszka i surowa twarz jego politycznego mentora, nieżyjącego już od czterech miesięcy, stały mu na chwilę przed oczami. Siedział przez jakiś czas zatopiony w myślach, a potem kazał swojemu sekretarzowi połączyć się z komisarzem okręgowym.

Komisarz okręgowy, młody jeszcze człowiek, w wieku lat może trzydziestu pięciu, odpowiadał bezpośrednio za cywilną administrację Okręgu Brahmurskiego i razem z nadinspektorem policji dbał o ochronę porządku i bezpieczeństwa publicznego.

Sekretarz poszedł wykonać polecenie, ale po chwili wrócił i powiedział:

— Przepraszam, panie ministrze, komisarz udał się na miejsce wypadków w roli rozjemcy...

— Podaj no mi ten telefon — powiedział chłodno minister spraw wewnętrznych. Sekretarz podał mu słuchawkę drżącymi rękoma.

— Jak to kto?! Gdzie?! Mówi Agarwal. A-gar-wal! Tak, bezpośrednie instrukcje... Nic mnie to nie obchodzi. Daj mi tu zaraz Dajala... Tak, zadzwoń do mnie za dziesięć minut... Przecież jest tam nadinspektor policji. To wam nie wystarcza?... Tu nie cyrk.

Odłożył słuchawkę i przygładził palcem kosmyki włosów, które okalały jego łysą głowę niczym podkowa.

Po jakimś czasie wyciągnął rękę, jakby chciał znowu podnieść słuchawkę, ale się rozmyślił i skoncentrował uwagę na teczce z urzędowymi aktami.

Dziesięć minut później otrzymał telefon od Krysza Dajala, młodego komisarza okręgowego. Minister spraw wewnętrznych polecił mu, żeby ustawił swoich ludzi przy wejściu na bazar obuwniczy Gowind i bezzwłocznie rozpedził strajkujących. Miał zapobiec ewentualnym pikietom najpierw przez odczytanie paragrafu 144 kodeksu karnego, a gdyby to nie pomogło, zdusić opór siłą.

Połączenie było bardzo złe, a rozkaz przerażająco złowieszczy. Krysza Dajal powiedział głosem stanowczym, ale przy tym pełnym niepokoju:

— Panie ministrze, z całym szacunkiem, czy mogę zasugerować inne rozwiązanie? Przywódcy demonstracji gotowi są do rozmów...

— Aha! Więc mamy i prowodyrów? To nie jakiś spontaniczny zryw!

— Spontaniczny, panie ministrze. Ale są przywódcy.

L.N. Agarwal pomyślał z niechęcią, że właśnie takie pieski jak ten tutaj, ten cały Kryszań Dajal... to oni zamykali takich jak on w brytyjskich więzieniach. Powiedział oschle:

— Pan raczy żartować, nieprawdaż?

— Nie, panie ministrze, ja...

— Proszę wypełnić polecenie. To stan wyjątkowy. Omówiłem już wszystko z szefem kancelarii. O ile wiem, jest tam około trzystu demonstrantów. Proszę rozstawić swoich ludzi wzdłuż głównej ulicy Misri Mandi. Niech się tym zajmie nadinspektor. Ustawcie ich również przy wejściu na Brahm-purski Bazar Obuwniczy, na Gowind i w innych punktach newralgicznych. Proszę postępować zgodnie z rozkazem.

Zapadło milczenie i minister spraw wewnętrznych miał właśnie zamiar odłożyć słuchawkę, kiedy komisarz okręgowy dodał jeszcze:

— Panie ministrze, nie znajdziemy chyba w tak krótkim czasie wystarczających posiłków. Przy placu budowy świątyni Siwy stacjonuje już grupa policjantów gotowych do akcji w razie jakichś rozruchów. Sytuacja jest bardzo napięta, panie ministrze. Minister skarbu uważa, że...

— Teraz też tam są? Bo dziś rano na pewno ich tam nie było — przerwał mu L.N. Agarwal spokojnie, ale oschle.

— Nie, panie ministrze, ale trzymamy ich w pogotowiu w głównej komendzie policji w Ćauk, na wypadek, gdyby zaistniała rzeczywista potrzeba. To tylko dwa kroki od świątyni.

W czasie wojny Kryszań Dajal służył w armii, ale lekceważący ton tej rozmowy, która przybrała prawie formę dochodzenia, i chłód, z jakim minister wydawał swoje bezlitosne rozkazy, zaszokowały nawet tego doświadczonego wojaka.

— Bóg będzie czuwał nad świątynią Siwy. Jestem w stałym kontakcie z członkami komitetu odbudowy i doskonale orientuję się w sytuacji. Co pan sobie wyobraża? — Rozzłościła go uwaga Dajala o „rzeczywistej potrzebie”, którą uznał za przytyk, a także wzmianka o Maheśu Kapurze, jego politycznym wrogu numer jeden, i (o ironio losu!), pośle okręgu wyborczego, który sąsiadował z jego własnym.

— Tak jest, panie ministrze — rzekł Kryszań Dajal, czerwieniąc się po uszy, czego na szczęście minister spraw wewnętrznych nie mógł zobaczyć w tych okolicznościach. — A czy mógłby mi pan jeszcze powiedzieć, na jak długo mamy tam rozlokować posiłki?

— Do odwołania — odparł krótko minister spraw wewnętrznych i odłożył słuchawkę, żeby uniknąć dalszych dyskusji z tym impertynentem. Żeby taki gnojek, o dwadzieścia lat od niego młodszy i w dodatku jego podwładny, śmiał przybierać taki zuchwały ton. Nawpuszczali tyle tego chamstwa do służby w administracji państwowej i teraz się to panoszy. Myśli taki jeden z drugim, że zarządzanie krajem do niego właśnie należy. Wszystkich ich się nie da, niestety, wytrzebić, ale muszą przynajmniej znać swoje miejsce.

5.2

W piątek, w czasie popołudniowego nabożeństwa, imam meczetu Alamgiri — niski, tęgi mężczyzna — wygłosił kazanie. Oddech miał krótki, co nie przeszkadzało mu w oratorskim uniesieniu wołać wielkim głosem. Przeciwnie, to właśnie ów przyspieszony przydech dodawał jego przemówieniom ognia. Budowa świątyni Siwy została zatwierdzona. Urzędnicy w administracji stanowej, od najniższego pionka po samego gubernatora, głusi byli na prośby imama. Proces wszczęty przeciwko radży Marhu o tytuł własności do gruntów przylegających do meczetu toczył się aktualnie przed sądem najniższej instancji, nie udało się jednak uzyskać nakazu natychmiastowego zaprzestania robót przy budowie świątyni. Sprawa się odwlekała i wyglądało na to, iż nakaz taki nigdy nie zostanie wydany. Imam patrzył z rozpaczą, jak tuż pod nosem wyrasta mu kupa gnoju.

Jego wierni niecierpliwili się, rozdrażnieni i podminowani. Mury wznoszonej na zachód od meczetu świątyni rosły z każdym dniem, już od miesiąca, ku świętemu oburzeniu mahometan, stanowiących pokaźną grupę mieszkańców Brahmuru, którzy upatrywali w tym cichą zмовę i złą wolę domorosłych polityków. Teraz, po modlitwie, którą rozpoczęło się nabożeństwo, w

pierwszym takim przemówieniu od wielu, wielu lat, zamiast pouczać swoich słuchaczy o nakazach pobożnej moralności, czystości obyczajów i świątobliwej ofiarności, imam w płomiennych słowach wezwał ich do czynnego oporu. Dał tym upust swojej rozpaczycy i frustracji, a ziarna gniewu padały na podatny grunt. Tu w grę wchodziło przetrwanie wiary muzułmańskiej: barbarzyńcy stali u bram. Modlili się bałwochwalczo do malowideł i kamieni, pogrążając się w grzechu i nieświadomości. Ale zresztą, niechby i gnili sobie w tym siedlisku sprośności i wszeteczeństwa. Wszelako Bóg patrzy z nieba i widzi dobrze, co się dzieje: dotarli już pod same mury meczetu, żeby tutaj uprawiać swoje haniebne praktyki. Teren, na którym kafirzy zamierzali postawić... a właściwie jak to „zamierzali”?... na którym już stawiali ściany tej swojej pogańskiej świątyni — był terenem spornym. Spornym w oczach Boga i spornym w oczach każdej myślącej istoty. Ale nie w oczach bestii, co dmuchają tylko w konchy, oddając cześć organom ciała, których sama nazwa nie przeszłaby cnotliwemu człowiekowi przez gardło. Czy wyznawcy islamu, zgromadzeni tu dziś w obliczu Boga, słyszeli, w jaki sposób ma się odbyć poświęcenie lingi Siwy? Otóż pomazane od stóp do głów popiołem dzikusy mają odtańczyć, nago, przed tym swoim bałwanem jakieś obrzędowe wykrętasy. Nago! Bezwstydniczy! Zaprawdę, przyrównać ich należy do nieszczęsnych potępieńców z miasta Sodomy, którzy drwili sobie z przestróg Pana miłosiernego, a wszechmogącego.

...Bóg niewiernym drogi nie wskazuje.

Albowiem serce ich otepiało,

a uszy dotknęła głuchota,

oczy swe przymrużyli,

żeby oczami nie widzieli

i uszami nie słyszeli, i sercem nie rozumieli,

i nie nawrócili się.

Tym to Królestwo Niebieskie niechybnie zostanie odebrane.

Otaczali giaurzy świętą czcią setki różnych cztero- i pięciogłowych bożków, straszycieli o głowach słoni, a teraz, dorwawszy się do władzy na tej

świętej ziemi, chcieli zmusić również bogobojnych mahometan, aby i oni — zwróciwszy oczy ku zachodowi w modlitwie do Kaaby — oglądali te same sprośne bałwany i chylili przed nimi głowy.

— Ale my — mówił dalej imam — którym przyszło żyć w czasach wałki, w czasach winy. i w czasach wzgardy, my, którzy przywykliśmy znośić za naszą wiarę najsrozsze męki, my, którzy przelewaliśmy za nią własną krew, przypomnijmy sobie tylko, jaki to los czeka bałwochwalców:

*I wynaleźli sobie w miejsce
Boga bożyszczą, co ich zwodzi z drogi,
którą im wyznaczył.
Powiadam wam: „ Radujcie się.
Oto bowiem zapłata wasza obfita jest w niebie,
a z nich każdy ogniem będzie osolony ”.*

Cisza zaległa w meczecie Alamgiri po tych słowach, gdy wierni z trwogą w sercu oczekiwali na dalsze przykazania.

— Ale nawet teraz — zagrzmiał znowu imam, unosząc się gniewem i dysząc przy tym z wysiłku — nawet teraz, dokładnie w tym momencie, kiedy zwracam się do was, bracia i siostry, z tymi słowami, któż wie, czy nie knują po kryjomu spisku, dmuchając w konchy, żeby zagłuszyć wezwanie do modlitwy. Tak, to obskuranci, ale przebiegli obskuranci: pozbywają się już nawet wyznawców islamu z policji, żeby obezwładnić naszą wspólnotę religijną. Będą nas wtedy mogli zaatakować i ujarzmić. Oto niezbity dowód, iż w jarzmie wroga żyjemy, nie pod skrzydłami obrońcy. Apelowaliśmy już nie raz do ich poczucia sprawiedliwości. I z jakim skutkiem? Zatrzaśnięto nam przed nosem drzwi, do których pukaliśmy, niosąc nasze skargi. Sam minister spraw wewnętrznych współpracuje po cichu z komitetem odbudowy świątyni, którego poduszczycielem jest rozpustny bawół z Marhu! Bliskość takiego pluga-stwa zbezczęściłaby to miejsce uświęcone przez Boga. Nie pozwólmy na to! Nie pozwólmy! Lecz bezbronni wobec miecza nieprzyjaciół na hinduskiej ziemi jakże mamy dochodzić swoich praw? Jedno nam pozostało: nasza nie-

ugiętość, czynny — tu nabrał powietrza do płuc i huknął potężnym głosem: — czynny opór!... we własnej obronie. Musimy się bronić, bronić naszych rodzin! Bronić tych paru stóp wybrukowanej ziemi nadanej nam przed wiekami! Ziemi, gdzie rozkładamy nasze maty, kolanami wygładzone, we łzach wznosząc dłonie do Pana Boga naszego, wszechmogącego, jak to czynili, z dziada pradziada, ojcowie nasi i jak czynić będą dzieci naszych dzieci, jeśli taka będzie Jego wola. Odwagi! Bóg was nie opuści.

*Alboż czyście nie słyszeli,
jak Bóg rozprawił się z możnowładcami,
którym równych nie było na tej ziemi,
a wynosili się ponad innych,
pławiąc się w zbytkach i rozpuście?
Karę im, Panie, wymierzyłeś surową a sprawiedliwą.
Zaiste, patrzysz z góry na nasze uczynki.*

O Panie, nie opuszczaj krzewicieli wiary proroka Mahometa, pokój niech będzie jego duszy. Niechże wolno nam będzie iść za przykładem. Odbierz siły tym, którzy w wiarę Mahometa godzą. Chwała niech będzie Bogu jedynemu, Panu wszelkiego stworzenia.

Pękaty imam zstąpił z mównicy i poprowadził modlitwę wiernych. Tego wieczoru doszło do lokalnych rozruchów.

5.3

Zgodnie z zarządzeniem ministra spraw wewnętrznych, większość jednostek policji rozstawiona została w newralgicznych punktach w Misri Mandi. W komendzie głównej policji w Ćauk zostało tego wieczoru zaledwie kilku policjantów. Kiedy z meczetu Alamgiri rozległo się wezwanie do wieczornej modlitwy, czy to przez przypadek (los bywa czasem złośliwy), czy też w wyniku prowokacji, powietrze przeszył jednocześnie grzechot konchy. Normalnie skończyłoby się zapewne na gniewnym wzruszeniu ramion, ale nie dzisiaj.

Nikt nie wie, w jaki sposób grupka mężczyzn, którzy zgromadzili się w wąskiej uliczce, w sąsiadującej z Ćauk muzułmańskiej dzielnicy Brahmpuru, przemieniła się w rozbastwioną tłuszcę. Początkowo szli pojedynczo albo małymi grupkami w stronę meczetu na wieczorne nabożeństwo, a potem, przyspieszając kroku, pozbijali się w większe gromadki, rozprawiając w podnieceniu o obmierzłym dźwięku konchy, który dobiegł ich uszu. Po południowym kazaniu na nic się zdały głosy tych nielicznych, którzy radzili, aby zachować spokój. Paru nadgorliwców z komitetu Alamgiri Masidźid Hifaazat podburzało tłum jęczącymi okrzykami, paru innych domorosłych fanatyków i twarogłowych zapalając się w gniewie, siało zamęt wśród demonstrantów, a w miarę jak, z alei w aleję, rósł stan liczebny zgromadzenia, wzrastało również podniecenie i tłum przeobraził się w rozjuszoną tłuszcę, żądną krwi. Groźne okrzyki: „Allah-u-Ak-bar” dało się słyszeć aż na komendzie policji w Ćauk. Paru z tych, którzy dołączyli do tłumy, uzbroiło się w kije. Jeden czy dwu miało przy sobie noże. Nie szli już teraz do meczetu, ale w stronę sąsiadującej z nim, nie wykończonej świątyni, tego siedliska rozpusty, które należało zrównać z ziemią.

Godzinę wcześniej — ponieważ nadinspektor policji zajęty był w Misri Mandi — młody komisarz okręgowy, Kryszań Dajal, udał się osobiście na komendę główną policji w Ćauk, która mieściła się w dużym, pomalowanym na różowo budynku. Chciał się upewnić, czy wszystko jest tam w porządku. Był to piątek, a w piątek napięcie zwykle rosło. Kiedy usłyszał o kazaniu imama, zapytał kotwala — tak nazywano zastępcę komendanta miasta — jaki ma plan działania w razie rozruchów.

Brahmpurski kotwal, próżniak i łapownik, który chciał tylko, żeby się do niego nie wtrącano, odpowiedział na to niefrasobliwie:

— - Nie będzie żadnych rozruchów, panie komisarzu. Niech się pan nie przejmie. Dostałem telefon od samego Agarwala sahiba. Chce, żebym dołączył zaraz do nadinspektora policji w Misri Mandi, więc muszę już iść, za pozwoleniem, oczywiście. — I, zakrzętnąwszy się wokół biurka, wybiegł czym prędzej z budynku, biorąc ze sobą dwóch niższych rangą oficerów i tym samym zostawiając kotwali pod dowództwem komisarza okręgowego. Przed wyjściem dorzucił jeszcze uspokajająco: — Zaraz tu przyślę komendanta

dzielnicy. Niech pan wraca do domu, panie komisarzu — zakończył przymilnie. — Późno już. Spokój, cisza, nie ma się czego obawiać. Udało nam się na szczęście zaradzić jakoś sytuacji po kłopotach, jakie były z meczetem w przeszłości.

Zostawiony z grupą około dwunastu posterunkowych, Kryszań Dajal postanowił poczekać na komendanta. Żona przyzwyczaiła się już do tego, że wracał do domu o różnych dziwnych porach, więc na pewno będzie na niego czekała. Nie musiał nawet zawiadamić jej telefonicznie. Właściwie to nie spodziewał się żadnych rozruchów, ale ze względu na napiętą sytuację wolał nie kusić losu, który potrafi być złośliwy. Uważał, że minister spraw wewnętrznych mylnie przyznał Misri Mandi priorytet nad Ćauk, ale nie do niego, zwykłego komisarza, należała ocena słuszności decyzji podejmowanych przez najbardziej wpływowego, zaraz po szefie rządu, polityka w stanie Parwa Pradeś.

Siedział tak, pogrążony w niewesołych raczej myślach, nie oczekując jednak żadnych poważniejszych zajść, kiedy usłyszał, podobnie jak reszta policjantów z komendy głównej policji w Ćauk, jednocześnie grzechot konchy oraz wezwanie muezina do modlitwy. To go trochę zaniepokoiło, jak przyznał podczas dochodzenia prowadzonego — zgodnie z regulaminem po wydaniu odgórnie rozkazu strzelania — przez starszego rangą oficera, ale nie zanadto, gdyż sprawozdania, które otrzymał z kazania imama, nie zawierały żadnych proroczych aluzji co do konchy. Potem rozległ się głuchy pomruk podniesionych głosów i okrzyków i zanim zdołał odróżnić poszczególne słowa, zorientował się w ich treści. Wiedział, skąd dochodził rozgwar, i natychmiast wyczuł jego ton. Postawił jednego z policjantów na czatach, na ostatnim, trzecim piętrze budynku, bo chociaż tłum nie był jeszcze widoczny zza kamienic w labiryncie ulic, można było mniej więcej ustalić jego położenie, albowiem głowy ciekawskich gapiów wychylały się z okien w tamtą stronę. Okrzyki: „Allah-u-Akbar! Allah-u-Akbar!” zbliżały się z każdą chwilą i wreszcie komisarz kazał swojej grupce dwunastu podwładnych ustawić się zwartym szeregiem pod murami nie wykończonej świątyni Siwy z bronią gotową do strzału. Przyszło mu na myśl, że pomimo wojskowej zaprawy brak mu wiedzy taktycznej w warunkach wewnętrznych zaburzeń. Jak stawić czoło przeważają-

cej, dzikiej sile wroga? W imię służbowego obowiązku wystawia swoich ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiało chyba istnieć jakieś lepsze rozwiązanie?

Grupka posterunkowych, którymi przyszło mu dowodzić tego wieczoru, składała się wyłącznie z muzułmanów (niektórzy byli Radżputami, ale również tego samego wyznania). Przed Podziałem, w wyniku chytrej polityki kolonialistów pod hasłem: „Dziel i rządź”, do policji rekrutowano głównie muzułmanów: w ten sposób hinduskich (w większości) członków Partii Kongresowej katowali policjanci muzułmanie, co ułatwiało sprawę Brytyjczykom. Nawet masowy exodus mahometan do Pakistanu w 1947 roku nie przywrócił równowagi. Czy można od nich wymagać, żeby strzelali do współwyznawców islamu?

Kryszan Dajal wyznawał na ogół zasadę, że o ile w praktyce nie zawsze trzeba było uciekać się do drastycznych środków ostatecznych, pokaz siły był jednak czasem nieodzowny. Ostro nakazał policjantom strzelać na komendę. Sam również ustawił się obok nich, z pistoletem w dłoni, choć w głębi duszy po raz pierwszy w życiu czuł się całkowicie bezradny. Powtarzał sobie na pocieszenie, że niegłupi oficer, wraz z grupą absolutnie oddanych mu ludzi, jest w stanie wykaraskać się prawie z każdej opresji, ale w tym przypadku niepokoiło go bardzo owo „prawie” i miał poważne wątpliwości co do „absolutnie”. Dziki motłoch rozniesie ich na strzępy. Na razie rebelianci byli jeszcze o parę ulic dalej, ale wkrótce ukażą się na zakręcie, maszerując prosto na świątynię. Nie odstraszy ich taka garstka policjantów. Jeden z posterunkowych przybiegł właśnie z meldunkiem, że tłum, w sile tysiąca uzbrojonych po zęby ludzi, zbliża się bardzo szybko i że dotrze do nich za jakieś dwie, trzy minuty.

Nagle młody komisarz okręgowy całkiem jasno zdał sobie sprawę z tego, że oto już za kilka chwil będzie może musiał pożegnać się z życiem — czy pociągnie za spust, czy też nie — i pomyślał o żonie, o rodzicach, a w końcu o starszawym dyrektorze szkoły, który pewnego razu odebrał mu przyniesiony na lekcję niebieski pistolet--zabawkę. Sprowadziły go na ziemię słowa komendanta posterunku w Čauk, który mówił z niepokojem w głosie:

— Sahib! Sahib!

— Tak... Tak, słucham?

— Sahib, czy w razie konieczności ma pan zamiar strzelać?

Komendant był mahometaninem, więc musiało mu się to wydawać zaiste nader dziwne, iż ma umierać, strzelając do współbraci w wierze muzułmańskiej, w obronie nie wykończonych hinduskiej świątyni, znienawidzonej w jego własnym, jak i w każdym innym brahmpurskim meczecie.

— A co? — warknął Kryszań Dajal i dorzucił surowo: — Mam powtórzyć rozkaz?

— Sahib, jeśli wolno mi coś doradzić... — powiedział prędko komendant posterunku w Ćauk. — Nie powinniśmy stać tutaj bez osłony, bo nas stratuja. Lepiej czekać na nich w pogotowiu i wypalić jednocześnie, jak się tylko pojawią na zakręcie obok świątyni, zanim zdążą się przekonać, ilu nas jest. Będą zdezorientowani i najpewniej się rozpierzną.

Komisarz okręgowy rzekł do niego z podziwem:

— Powinieneś przejąć ode mnie dowództwo.

Potem zwrócił się do innych, którzy" mieli wystraszone miny, i kazał im ustawić się — i to biegiem! — po obu stronach ulicy, jakieś dwadzieścia stóp przed zakrętem. Tłum był tuż-tuż. Kryszań Dajal słyszał wycia i złowrogie pogroźki. Ziemia drżała pod stopami. Tupot nóg...

W ostatnim momencie dał sygnał do wystrzału.

— Gotowi? Ładuj broń. Pal!

Trzynastu ludzi pociągnęło jednocześnie za spust.

Rozpędzona zgraja — setki, setki ludzi — zatrzymała się, zawahała i zawróciła, rzuciwszy się w obliczu zagrożenia do ucieczki. Trzydzieści sekund i po wszystkim! Niesamowite. Na ulicy zostały dwie ofiary: młody chłopak postrzelony w kark, konający, a może nawet już nieżywy, i starzec z siwą brodą, stratowany — kiedy upadł — przez pierzchający w popłochu tłum. Był ciężko, możliwe że śmiertelnie, ranny. Tu i tam walały się buty oraz kije. Plamy z krwi na ulicy świadczyły o tym, że było więcej rannych, jeżeli nie zabitych. Przyjaciele lub członkowie ich rodzin powlekli pewnie zwłoki pod progi pobliskich mieszkań. Nikt nie miał ochoty zadzierać z policją.

Komisarz okręgowy popatrzył na swoich ludzi. Paru dygotało na całym ciele, większość jednak nie posiadała się z radości. Żaden nie był ranny. Spojrzał na komendanta i obaj — z ulgą — wybuchnęli śmiechem, ale szybko

zamilkli. Z sąsiednich domów dochodził ich przytłumiony lament kobiet. Poza tym wszystko pograżyło się w ciszy albo raczej zastygło w bezruchu.

5.4

Nazajutrz L.N. Agarwal wybrał się w odwiedzin do swojej zameężnej jedynaczki, Priji, żeby zobaczyć się z nią i z jej mężem, a jednocześnie oderwać od zakulisowych gier w parlamencie, gdzie wszyscy powariowali, a już szczególnie członkowie jego własnej frakcji, zdjęci lękiem po strzelaninie w Ćauk. Ich pesymizm udzielał się i jemu.

Córka L.N. Agarwala mieszkała w starej dzielnicy Darwaza, stosunkowo niedaleko swojej przyjaciółki z lat dzieciństwa, Winy Tandon, której dom znajdował się w Misri Mandi. Prija mieszkała pod jednym dachem z całym klanem rodzinnym jej męża, w skład którego wchodził jego bracia, ich żony oraz dzieci. Jej mężem był Ram Wilas Gojal, prawnik występujący przeważnie w procesach karnych, nie w cywilnych, i zazwyczaj w Sądzie Rejonowym, rzadziej w Najwyższym. Był to człowiek łagodny, milczek o złotym sercu i łagodnej twarzy, który mało interesował się polityką. Prawo oraz mały biznes na boku wystarczały mu w zupełności do szczęścia. Harmonia w rodzinie, a także codzienna rutyna dawały mu przyjemne poczucie bezpieczeństwa, które dodatkowo zagwarantować miało małżeństwo z Priją.

Priję Gojal natomiast wręcz rozpierała energia. Co rano, zimą czy latem, chodziła zamasyście po dachu w tę i z powrotem. Był to bardzo długi dach, ponieważ krył trzy bliźniacze, trzykondygnacyjne, wąskie budynki. Właściwie cały ten kompleks funkcjonował jako jeden długi dom i tak też był traktowany przez rodzinę i przez sąsiadów. W okolicy nazywano go rezydencją Rai Bahadura, ponieważ dziadek Rama Wilasa Gojale, osiemdziesięcioosmioletni już teraz starzec, który otrzymał powyższy tytuł od Brytyjczyków, kupił i odbudował tę posiadłość przed pół wiekiem.

Na parterze znajdowały się liczne spiżarnie, komórki i służbówka. Na pierwszym piętrze mieszkali dziadek (sędziwy Rai Bahadur), ojciec, siostra

oraz macocha Wilasa Rama. Wspólna kuchnia była również na tym piętrze, a także pudża (którą niezbyt pobożna czy nawet bezbożna Prija rzadko odwiedzała). Ostatnie piętro należało do trzech braci z rodzinami. Ram Wilas, średni syn, zajmował dwa pokoje na ostatnim piętrze środkowego budynku. Nad nimi był już tylko dach ze sznurami na bieliznę i zbiornikami na wodę.

Chodząc po dachu w tę i w tę, Prija Gohal czuła się jak uwięziona w klatce tygrysyca. Popatrywała z utęsknieniem w stronę maleńkiego domku, który znajdował się w odległości tylko kilku minut drogi na piechotę, ale ledwie był widoczny spoza innych gmachów tej gęsto zabudowanej dzielnicy, a w którym mieszkała jej przyjaciółka z dzieciństwa, Wina Tandon. Prija wiedziała, że Wina nie była już teraz zamożna, ale za to mogła robić, co się jej żywnie podobało: chodziła sama na spacer, na bazar i brała lekcje muzyki. Prija natomiast we własnym domu miała związane ręce. Okryłaby hańbą całą rodzinę Rai Bahadura, gdyby zobaczono ją, broń Boże, na bazarze. Nie miało to najmniejszego znaczenia, że przekroczyła już trzydzistkę i była matką dwojga dzieci: dziesięcioletniej dziewczynki i ośmioletniego chłopczyka. Ram Wilas, na ogół wyrozumiały i ustępliwy, nie chciał nawet o tym słyszeć: to urągałoby zasadom przyzwoitości, jego zdaniem. A poza tym sprawiłoby wielki zawód ojcu, macosze, dziadkowi oraz braciom, a Ram Wilas wierzył głęboko w konieczność stosowania się do norm moralnych rodzinnego klanu.

Tymczasem Prija nienawidziła życia w klanie rodzinnym Goja-lów z Szahi Darwaza. Nigdy przedtem tak nie mieszkała, ponieważ rodzeństwo jej ojca, Lakszmi Narajana Agarwala, wymarło jeszcze w dzieciństwie, a on sam miał tylko jedną córkę. Ciężko przeżył śmierć żony i ślubował, że, za przykładem Gandhiego, zachowa seksualną wstrzeźliwość. Był człowiekiem o spartańskich nawykach i pomimo swego stanowiska zajmował tylko dwa nieduże pokoiki w hotelu dla członków parlamentu.

— W małżeństwie trzeba się dotrzeć, więc najtrudniej jest na początku — pocieszano Priję. Ale jej zdaniem z każdym rokiem było coraz gorzej. W przeciwieństwie do Winy i wielu innych zameżnych kobiet nie miała rodzinnego domu, gdzie mogłaby spędzać wraz z dziećmi przynajmniej jeden miesiąc w roku, pod troskliwą opieką ojca, a szczególnie matki. Nie miała już nawet dziadków, u których się wychowywała w czasie, kiedy jej ojciec był w

więzieniu. Ojciec kochał ogromnie swoją jedynaczkę i poniekąd tym trudniej było się jej przystosować do wymogów życia w klanie rodzinnym Gojalów, ponieważ nauczyła się kochać swobodę i niezależność. Ale teraz, żyjąc jak eremita, L.N. Agarwal nie był w stanie zapewnić jej schronienia.

Oszalałaby chyba, gdyby nie mężowska dobra wola. Nie rozumiał jej wprawdzie, ale starał się być pobłażliwy. Ułatwiał jej życie, na ile to było możliwe, i nigdy nie podnosił na nią głosu. Lubiła również starego Rai Bahadura, dziadka Rama. Miał w sobie coś. Reszta rodziny, a szczególnie teściowa, siostra męża oraz żona starszego brata robiły, co mogły, żeby zaraz po ślubie zatruć jej życie, i nie znosiła ich z całej duszy. Ale musiała je tolerować dzień w dzień, od rana do wieczora, z wyjątkiem tych paru chwil, które spędzała sama, spacerując po dachu, gdzie nie pozwolono jej nawet założyć ogródka, pod pretekstem, że to ściągnęłoby pod sam dom hordy małp. Macocha Rama Wilasa starała się nawet odciągnąć ją od tych codziennych spacerów („Pomyśl tylko, Prijo, co na to sąsiedzi”), ale w tym przypadku Prija postawiła na swoim. Szwagierki, którym podobno tupiała rano nad głowami, doniosły na nią macosze, ale widocznie stara wiedźma wyczuła, że przeciągnęła strunę, bo więcej o tym nie wspomniała, a Prija postanowiła nie przyjmować do wiadomości zakamuflowanych aluzji.

L.N. Agarwal zjawił się ubrany jak zwykle nienagannie, w wykrochmalonej (choć nie przesadnie szykownej) koszuli, dhoti i furażerze „kongresówce”, spod której wymykało się parę cienkich kosmyków siwych włosów okalających jego łysinę. Uzbrojony był w laskę, którą trzymał w pogotowiu, żeby odgonić się od małp zadomowionych w okolicy. Odprawił rykszarza przy lokalnym placu targowym i skręcił z głównej ulicy w wąziutki zaułek, który wiódł na nieduże podwórko, gdzie rósł rozłożysty pipal. Dom Rai Bahadura zajmował całą jedną stronę podwórka.

Drzwi wejściowe przy schodkach były zamknięte ze względu na małpy, więc zapukał w nie laską, a z balkonów na wyższych piętrach, przy balustradach z kutego z żelaza, wychyliło się zaraz parę głów. Twarz Priji rozpromieniła się na jego widok; szybko upięła rozpuszczone włosy w koczek i zbiegła na dół, żeby otworzyć drzwi. Ojciec uściskał ją i weszli razem na górę.

— A gdzie to się podział nasz wakil sahib? — zapytał w hindi. Często mówił o swoim zięciu „mecenas”, chociaż mogło to być mylące, ponieważ ten sam tytuł należny był zarówno ojcu, jak i dziadkowi Rama Wilasa.

— A był tutaj dopiero co, przed chwilą — powiedziała Prija i podniosła się, żeby go poszukać.

— Poczekaj, nie spiesz się — powiedział do niej czule ojciec. — Napij się najpierw herbaty.

Przez parę minut minister spraw wewnętrznych rozkoszował się domowymi pieleszami: dobrze zaparzoną herbatą (nie ohydną lurą, którą podawano w hotelu dla członków parlamentu) oraz słodyczami i kaćauri własnej roboty (może nawet sama Prija pracowała nad ich wypiekiem). Spędził parę minut z wnukiem i wnuczką, którzy, pomimo upału, woleli jednak bawić się ze swoimi rówieśnikami na dachu albo na dole, na podwórku (jego wnuczka była mistrzynią podwórkowego krykieta), i porozmawiał z córką, którą rzadko widywał i za którą bardzo tęsknił.

W przeciwieństwie do innych teściów nie krępował się wcale i chętnie przyjmował poczęstunek w domu swojego zięcia. Czuł się tutaj zupełnie swobodnie. Rozmawiał z Priją o swoim zdrowiu, wnuczętach, ich postępach w nauce oraz charakterach, a także o matce Priji, na której wspomnienie oboje posmutnieli. Dowiedział się o wybrykach i błazeństwach służby w domu Gojalów i usłyszał, że wakil sahib za bardzo się przepracowuje.

Podczas tej rozmowy inni domownicy zaglądali do pokoju przez otwarte drzwi i wchodzili, żeby się przywitać. Był wśród nich ojciec Rama Wilasa, człowiek o słabym charakterze, który siedział pod pantoflem swojej drugiej żony. Wkrótce wszyscy przewinęli się przez pokój Priji, oprócz Rai Bahadura, który nie lubił wchodzić po schodach.

— A gdzież to się podział wakil sahib? — ponowił pytanie L.N. Agarwal.

Ktoś odpowiedział, że jest na dole, u Rai Bahadura:

— Wie, że pan przyszedł, i powiedział, że wpadnie, jak tylko będzie wolny.

— To może ja zejść do niego i przy okazji złożę uszanowanie Rai Bahadurovi. — Z tymi słowami L.N. Agarwal podniósł się i zszedł na pierwsze piętro.

Na dole dziadek z wnuczkiem rozmawiali w dużym pokoju, który Rai Bahadur zarezerwował dla siebie głównie dlatego, że był przywiązany do pięknych kafelków w pawie oka, które dekorowały kominek. L.N. Agarwal jako przedstawiciel średniego pokolenia złożył im swoje uszanowanie i przyjął z kolei wyrazy szacunku od nich.

— Napijesz się z nami herbaty?

— Dziękuję, piłem już na dole.

— A odkąd to przywódcy mas pracujących ograniczają swoją konsumpcję herbaty? — zaskrzeczał ostro Rai Bahadur. Użył słowa „netalog”, które miało mniej więcej ten sam pół żartobliwy, pół poważny wydźwięk co „wakil sahib”. — No, to teraz powiedz mi, co tam wyprawiacie w Čauk. Co to za rąbanina?

Nie była to ze strony Rai Bahadura przygana, taki miał po prostu sposób mówienia, ale zdaniem L.N. Agarwala obeszłoby się bez podobnych indagacji. I tak w poniedziałek czekała go zażarta walka w parlamencie, gdzie będzie się musiał porządnie nagimnastykować, żeby odeprzeć ataki swoich politycznych przeciwników. Teraz wolałby uciąć sobie ze swoim ustepliwym zięciem spokojną pogawędkę, żeby oderwać się choć na chwilę od codziennej udreki.

— A, nic takiego — machnął lekceważąco ręką. — Wszystko samo wróci do normy.

— Słyszałem, że zginęło dwudziestu muzułmanów — powiedział stary Rai Bahadur rzeczowo.

— Gruba przesada — odparł L.N. Agarwal. — Może paru. Trzymamy rękę na pulsie. — Zamilkł na chwilę, uświadomiwszy sobie jeszcze raz z niechęcią, że źle ocenił sytuację. — Trudno w tym mieście utrzymać jaki taki ład. Zawsze się tu kotłuje — powiedział jakby tonem usprawiedliwienia. — A to dlatego, że ludziom brak dyscypliny; trzeba na nich kija... albo serii z karabinu... to dopiero nauczą się posłuszeństwa.

— Ale za Brytyjczyków nie było takiego chuligaństwa — zaskrzeczał znowu starzec.

Minister spraw wewnętrznych nie dał się sprowokować. Zresztą być może nie była to celowa przymówka.

— No cóż, tak to już jest — powiedział tylko.

— Córka Maheśa Kapura była tutaj parę dni temu — oznajmił ni z tego, ni z owego Rai Bahadur.

No, to już na pewno nie była taka sobie niewinna uwaga. A może jednak? Być może Rai Bahadur podążał po prostu za tokiem swoich myśli.

— To bardzo miła dziewczyna — powiedział L.N. Agarwal ugodowo. Przeciągnął ręką po łysinie i dodał spokojnie: — Dam sobie radę. Zaprowadzę w tym mieście porządek. Twardy jestem. Chociażby wrzało w takim Ćauk, w Misri Mandi czy w dwudziestu innych miejscach... mnie to nie przeraża. Tylko polityka, politycy...

Tu Rai Bahadur pozwolił sobie na uśmiech, przy którym jego starcza twarz wyglądała, jakby się pruća wzdłuż wyżłobionych głęboko bruzdek.

L.N. Agarwal potrząsnął głową, a potem mówił dalej:

— Łazili za mną w parlamencie do drugiej nad ranem jak kurczęta wokół matki-kwoki. Panikarze! Trzęsą się teraz, co też na to wszystko powie Śarmadzi po powrocie. Tylko wyjechał z miasta na parę dni i proszę, co tu się wyprawia! Czy to wzmocni frakcję Maheśa Kapura? W Misri Mandi muszą się liczyć z dżatawami, a w Ćauk z muzułmanami, bo to przecież nasi wyborcy. Czy ich aby przypadkiem do siebie nie zraziliśmy? Ile nam przez to przepadnie głosów? W końcu wybory powszechne już za pasem, za parę miesięcy. Jeden z tych dżentelmenów jęczał mi cały czas nad uchem, dopytując się, czy konflikt się jeszcze zaostrzy. Proszę, co za nagła przemiana! Na ogół to ich zupełnie nie obchodzi.

— Co im mówisz, kiedy cię tak nagabują? — zapytał Rai Bahadur. Jego synowa, arcywiedźma z pieklą rodem (w opinii nieszczęśliwej Priji), przyniosła właśnie herbatę. Napełniła filiżanki, prześwidrowała ich wzrokiem, zamieniła parę słów i wyszła.

Wątek rozmowy urwał się na chwilę, ale Rai Bahadur, przypomniawszy sobie być może przesłuchania świadków, z których słyszał w czasach swojej świetności, naprowadził ją zręcznie z powrotem na przerwany temat.

— O, nic! — powiedział L.N. Agarwal całkiem spokojnie. — Mówię im coś na odczepnego, inaczej nie daliby mi zmrużyć oka.

— Jak to „nic”?

— Nic specjalnego. Że wszystko się samo unormuje; że co się stało, to się nie odstanie; że społeczeństwu potrzebne są rządy silnej ręki; i że do wyborów powszechnych nadal jeszcze daleko. I tyle. — L.N. Agarwal upił trochę herbaty z filiżanki, a potem mówił dalej: — Rzecz w tym, że są w tym kraju sprawy większej wagi, które wymagają natychmiastowej interwencji. Trzeba naród wyżywić, to podstawa. W Biharze ludzie przymierają głodem. A niech tylko przyjdą monsuny, nas to samo tutaj czeka. Co tam tacy muzułmanie, czy w kraju, czy za granicą! Mogą podskakiwać: z tym damy sobie radę. Gdyby nie ten mięczak Nehru, już dawno ukróciłibyśmy tę ich samowolę. A teraz znowu stawiają się dżatawowie, ci... — przy tych słowach wykrzywił twarz z niesmakiem — ci niedotykalni, ze społecznych nizin. Ale czas pokaże, czas pokaże...

Podczas całej tej rozmowy Ram Wilas Gojal siedział w milczeniu, kiwając od czasu do czasu głową albo marszcząc lekko brwi.

„To właśnie lubię u mojego zięcia”, pomyślał L.N. Agarwal. „Nie jest głupi, ale trzyma język za zębami”. Z zadowoleniem potwierdził w myślach po raz nie wiadomo który, że wybrał córcę dobrego męża. Prija potrafi być zaczepna, ale on nie da się sprowokować.

5.5

Tymczasem na górze Prija rozmawiała z Wina, która wpadła do niej z wizytą. Ale nie były to zwykłe odwiedziny. Wina przyszła szukać u niej ratunku. Zastała w domu Kedarnatha z przymkniętymi oczami i twarzą ukrytą w dłoniach, choć zazwyczaj nie poddawał się depresji i patrzył w przyszłość z

ostrożnym optymizmem. Nie chciał jej nic powiedzieć, ale w końcu przyznał się, że stoi u progu bankructwa. Przez strajki, pikiety i patrole policyjne w Ćauk nastąpił już nie tylko zastój w interesach, ale kompletny krach w hurtowym handlu na bazarze z butami. Codziennie przychodziły do spłaty nowe bony, a on nie miał gotówki, żeby uregulować rachunki. Jego główni dłużnicy, dwa duże domy towarowe w Bombaju, wstrzymały po prostu zapłaty za wcześniejsze dostawy, w obawie, że nie będzie w stanie wywiązać się z umowy na złożone przez nich zamówienia. Dostawy Dźagata Rama i innych rzemieślników szyjących na obstalunek to tylko kropla w morzu. Żeby dotrzymać warunków licznych umów, które zawarł z kontrahentami z całego kraju, potrzebował koszykowych, a ci nie ośmielali się pojawić ostatnio w Misri Mandi.

Ale najbardziej palącym problemem było spłacenie bonów, których termin płatności właśnie się zbliżał. Kedarnath nie miał nikogo, do kogo by się mógł zwrócić o pomoc. Jego znajomi kupcy również nie mieli gotówki, a za żadne skarby nie kłopotaliby swoimi sprawami teścia. Szalał z niepokoju. Postara się raz jeszcze porozmawiać z wierzycielami: z lichwiarzami, którzy udzielali pożyczek i otrzymywali w zastaw jego bony oraz z ich plenipotentami, którzy ściągali należne sumy, kiedy nadchodził termin płatności. Będzie się starał ich przekonać, że nikomu nie wyjdzie to na dobre, jeśli zapędzi się drobnych kupców w kozi róg. Wkrótce wszystko wróci do normy, a on przecież nie jest niewypłacalny, tylko po prostu brak mu tymczasowo gotówki. Ale mówiąc to, dobrze wiedział, jaką otrzyma na te argumenty odpowiedź. Przynależność do danego zawodu zobowiązuje, ale pieniądź nie zna takich ograniczeń: dzisiaj się go inwestuje w obuwnictwie, a jutro, dajmy na to, w przemyśle chłodniczym. Nie trzeba się przy tym przekwalifikować, tylko zważyć ryzyko i cynicznie zderzyć z dłużnika jak najwyższy procent.

Wina nie przyszła do Priji prosić o pomoc finansową, tylko żeby się jej poradzić, jak najlepiej sprzedać biżuterię, którą dostała od matki w prezencie ślubnym, i żeby się przy okazji wypłakać na jej ramieniu. Przyniosła ze sobą to, co jej zostało po tej straszliwej ucieczce całej rodziny z Lahaur. Każdy najmniejszy klejnocik był jej sercu bardzo drogi i rozplakała się wreszcie na myśl, że będzie się musiała z nimi rozstać. Prosiła tylko, żeby utrzymać to w

tajemnicy przed mężem, a także, przynajmniej przez parę tygodni, przed rodzicami.

Wina wyrzuciła to wszystko z siebie jednym tchem, ponieważ trudno było w tym domu porozmawiać na osobności: w każdej chwili ktoś mógł wejść do pokoju Priji.

— Mój ojciec jest tutaj — powiedziała Prija. — Na dole. Jak zwykle politykuje.

— Nikt nie zdoła zburzyć naszej przyjaźni. Nigdy, nigdy! — powiedziała nagle Wina i znowu wybuchnęła płaczem.

Prija przytuliła do siebie przyjaciółkę, powiedziała jej, żeby nie traciła odwagi, i zaproponowała krótki spacer po dachu.

— Co ty? W tym upale? Oszalałaś?

— A dlaczego nie? Mamy do wyboru: albo udar słoneczny, albo wścibstwo teściowej. Zgadnij, co wolę.

— Boję się twoich małąp — kręciła nosem Wina, która zawsze miała w rezerwie dodatkowe argumenty. — Wdają się w bójki, a potem przeskakują na twój dach z dachu fabryki dalej. Powinni zmienić nazwę Szahi Darwaza na Brama Hanumana.

— Nie udawaj. Nie jesteś taka strachliwa — powiedziała Prija. — Prawdę mówiąc, zazdroścę ci. Chodzisz sobie, gdzie chcesz, kiedy chcesz. A spójrz tylko na mnie. Popatrz na te rygle w drzwiach. Małąpy nie mogą się dostać do środka, a ja nie mogę się wydostać na zewnątrz.

— O, nie! — powiedziała Wina. — Naprawdę nie masz mi czego zazdrościć.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. — - A jak tam Bhaskar? — zapytała Prija. Na pulchnej twarzy Winy pojawił się uśmiech, chociaż może nieco smutniejszy niż zazwyczaj.

— Dobrze się chowa, nie gorzej niż twoja parka w każdym razie. Uparł się, żebym go ze sobą zabrała. Grają teraz w krykieta na podwórku. Wygląda na to, że ten pipal wcale im nie przeszkadza... Żałuj, że nie masz brata albo siostry, Prija — powiedziała nagle Wina, powracając myślami do czasów własnego dzieciństwa.

Przyjaciółki wyszły na balkon, pochyliły się nad kutą z żelaza balustradą i popatrzyły w dół, gdzie ich trzy pociechy grały w podwórkowego krykieta z dwojgiem innych dzieci. Dziesięcioletnia córka Priji była z nich zdecydowanie najlepsza. Świetnie serwowała i spisywała się doskonale w obronie. Na ogół udawało się jej nawet wyminąć rozłożysty pipal, który innym przysparzał mnóstwo trudności.

— Może zostaniesz na lunch? — zapytała Prija.

— Nie mogę — powiedziała Wina, wiedząc, że w domu czekają na nią i mąż, i teściowa. — Może jutro.

— Dobrze, jutro.

Wina zostawiła torbę z biżuterią u Priji, która zamknęła ją w stalowym almirahu. Wina przyglądała się jej, kiedy tak stała obok sejfu, i powiedziała:

— Przybrałaś na wadze.

— Zawsze byłam gruba — powiedziała Prija. — A ponieważ siedzę tu całymi dniami beczynn timer jak schwymany w klatkę ptak, utylam jeszcze bardziej.

— Nonsens — powiedziała jej przyjaciółka. — Ani nie jesteś gruba, ani w ogóle nigdy gruba nie byłaś. A spacer po dachu to co? Skończyły się?

— Nie, nie — odparła Prija. — Ale któregoś dnia rzucę się stamtąd na ulicę.

— No, jak będziesz opowiadać takie rzeczy, to zaraz sobie pójdę — zagroziła Wina i podniosła się do wyjścia.

— Błagam, nie idź jeszcze. Przy tobie trochę się rozerwałam — powiedziała Prija. — Życzę ci jak najgorzej, bo kiedy masz zmartwienia, częściej się u mnie pojawiaasz. Gdyby nie ten Podział, nigdy byś już nie wróciła do Brahmpuru. — Wina parsknęła śmiechem. — No, chodź — mówiła dalej Prija. — Wyjdziemy. Zawsze ktoś się czai i podsłuchuje z balkonu. Nienawidzę tego domu. Czuję się tu potwornie nieszczęśliwa i muszę ci o tym opowiedzieć, bo inaczej chyba oszaleję. — Roześmiała się i pociągnęła Winę za rękę. — Wstawaj. Każę Bablu przynieść nam coś zimnego do picia, żebyśmy się w tym słońcu nie usmażyły.

Bablu, który przekroczył już pięćdziesiątkę, a służył u Gojalów od dzieciństwa, dziwaczał coraz bardziej z roku na rok: ostatnio połykał ukradkiem lekarstwa przeznaczone dla innych domowników.

Siedziały na dachu w cieniu zbiornika na wodę i chichotały niczym dwie niefrasobliwe pensjonarki.

— Szkoda, że nie mieszkamy bliżej siebie — powiedziała czarnulka Prija, potrząsając włosami, które umyła i natłuściła rano. — Wtedy, rzucając się z mojego dachu, zleciałabym prościuteńko na twój.

— Nie, nie! Nie możemy mieszkać zbyt blisko siebie — zaproponowała, zaśmiewając się, Wina. — To by było nie do wytrzymania. Wyobrażasz sobie?! Wiedźma i bazyliszek zlatywałyby się na popołudniowy sabat, wyrzekając na swoje synowe. „O, ta bezwstydnica, urok rzuciła na mojego synaczka! Siedzą na dachu i bez przerwy tylko grają w ćaupar. Spali mi go na węgiel, jawnoгрzesznica. Wyśpiewuje na dachu, że słychać ją w całej okolicy, a jak coś ugotuje, to mam zaraz wzdęcia. Chce, żebym pękła; będzie skakać do góry z uciechy, kiedy pożegnam się z tym światem”.

Prija zachichotała.

— Nie masz racji — powiedziała. — Byłoby cudownie. Nasze kuchnie byłyby drzwi w drzwi i warzywa, które idą pod nóż, wtórowałyby nam, ubolewając nad wspólną niedolą. „Bazyliszek mnie wrzuca do wrzątka, o druhu, Ziemiaku! Opowiedz wszystkim, jak skończyłam marnie. Żegnaj, żegnaj i na zawsze zachowaj mnie w swojej pamięci”. „O Dynio, moja najwierniejsza przyjaciółko, za dwa dni i mnie arcywiedźma posieka i upitrasi. Łzy nad tobą leją, bo nie będę mógł nawet uczestniczyć w twojej ćautha. O, wybacz mi, wybacz”.

Wina znowu wybuchnęła śmiechem.

— Właściwie to żal mi trochę bazyliszka — powiedziała. — Nacierpiała się w czasie Podziału. Ale dla mnie zawsze była wredna, jeszcze w Lahaur, nawet już po urodzeniu Bhaskara. Każda moja radość staje jej kością w gardle. My takie nie będziemy jako teściowe. Będziemy się starały osłodzić życie naszym synowym.

— Mnie tam wcale nie żal arcywiedźmy — powiedziała Prija z odrazą. — I zdecydowanie odegram się za to wszystko na mojej własnej synowej.

Będę zatruwać jej życie od rana do wieczora, żeby ją kompletnie pognębić. Kobietom jest do twarzy z tym wyrazem melancholii w oczach, nie uważasz? — Potrząsnęła głową, a jej czarne, grube włosy kołysały się z boku na bok. Utkwiła wzrok w martwym punkcie. — Nie cierpię tego domu — dorzuciła. — Lepiej być małpą i bić się na dachu fabryki dalu niż synową w domu Rai Bahadura. Gdybym była małpą, biegałabym sobie na bazar i kradła banany. Zaczepiałabym bezdomne kundły i warczała na nietoperze. Poleciałabym na Tarbuz ka Bazar i podszcypywała tyłki wszystkich co ładniejszych prostytutek. Mogłabym przynajmniej... Ale wiesz, co te małpy wyprawiają?

— Nie. No, to mów — powiedziała Wina.

— Więc słuchaj. Bablu, któremu i tak już brak piątej klepki, a w dodatku idiocieje z każdym dniem, wyniósł z pokoju Rai Bahadura zegary szafkowe, budziki i położył je na parapecie. No i zaraz dorwały się do nich małpy. Patrzymy, a te — były trzy — już siedzą w gałęziach pipalu, każda z nich z budzikiem w łapach i mruczą głośno: „Mmmmm, mmmmm”, jakby chciały powiedzieć: „Cośmy znalazły, to nasze. I co wy na to?” Wiedźma wyszła na dwór, rozeznała się w sytuacji, a że nie mieliśmy akurat ziarna w torebkach, którym na ogół je przekupujemy, więc wyniosła parę mausami, bananów i marchewek. Żeby je zwabić, przemawiała do nich słodziuteńko: „Tu-ś, tu-ś, skarbeńki, przysięgam na wszystkie świętości, że dostaniecie zaraz te przysmaki...” A one, oczywiście, zlazły zaraz z drzewa bardzo ostrożnie, każda z budzikiem pod pachą. Zabrały się do jedzenia, najpierw jedną ręką, o tak, a potem położyły zegary na ziemi i opychały się obiema łapami. Wtedy wiedźma chwyciła za kij i łup, łup, przegoniła je spod domu. Porządnie je wygrzmociła, bluzgając przy tym stekiem takich wyzwisk, że — trudno — zmuszona byłam ją podziwiać. Metoda kija i marchewki. Nie tak się mówi po angielsku? W każdym razie wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ale te cwaniary, to znaczy małpy w naszej dzielnicy, wiedzą dobrze, za co mogą zażądać okupu, a za co nie.

Na dachu pojawił się teraz Bablu, który wszedł po schodach, niosąc w jednej dłoni, szczipione czterema brudnymi palcami, cztery szklaneczki nimbu pani wypełnione prawie po brzegi.

— Na! — powiedział, stawiając je przed Winą i Priją. — Mata, pijta. Jak będziecie tak siedziały w słońcu, dostaniecie zapalenia płuc. — Potem zniknął.

— I co? Bez zmian? — zapytała Wina.

— Bez zmian. A właściwie coraz gorzej — odparła Prija. — Wszystko po staremu. Szczęściem wakil sahib chrapie, świszczy tak jak zawsze, aż się łóżko pod nami trzęsie. Czasami, w nocy, wydaje mi się, że go to pochłonie i że nic po nim nie pozostanie, tylko to rzeżenie: jedyne, nad czym będę mogła sobie zapłakać. Ale co tu się wyprawia w tych czterech ścianach! Ojejku! Żebyś ty wiedziała! — dorzuciła pochmurnie. — Tylko wolę nie mówić za dużo na ten temat. Błogosławieństwo boskie, że nie jesteś taka bogata, Wina, mówię ci. Czego to ludzie nie zrobią dla pieniędzy! I na co to wszystko idzie? Nie na naukę, nie na książki, nie na lekcje muzyki, nie na sztukę... tylko wiesz na co? Na biżuterię. Te wredne babska obwieszają się złotem przy każdej okazji. A żebyś wiedziała, jak się przy tym nawzajem lustrują. O Wina! — powiedziała, uświadomiwszy sobie nagle popełnioną gafę. — Ja tak miałem tym jęzorem... Przepraszam. Buzia na kłódkę!

— Coś ty! Dobrze mi się z tobą plotkuje — zapewniła ją Wina. — Ale posłuchaj, jak tu przyjdzie następnym razem wasz jubiler, będziesz mu miała okazję dać te rzeczy do oszacowania? Te drobiazgi... ale przede wszystkim nawratan? Będziesz z nim mogła zostać na chwileczkę sam na sam, tak żeby nie dowiedziała się o tym twoja teściowa? Nie chcę sama iść do jubilera, bo na pewno mnie oszuka. Ale ty się na tym znasz.

Prija skinęła głową.

— Postaram się — obiecała. Prześliczny nawratan widziała ostatnio na szyi Winy na weselu Prana i Sawity. Miał kształt półkolisty i składał się z dziewięciu szlachetnych kamieni (topazu, białego szafiru, szmaragdu, niebieskiego szafiru, rubinu, brylancika, perły, kociego oka i koralu), osadzonych w kwadratowych, złotych przegródkach, wykończonych misternie ozdobnym szkliwem, po bokach, a także z tyłu, przy zapięciu, które nie było przecież i tak widoczne. Było to gustowne połączenie, a ciężka kolia nie wyglądała na przeładowaną; wręcz przeciwnie, był to wyrób zarówno solidny, jak i kunsztowny, majstersztyk sztuki złotniczej w najlepszej hinduskiej tradycji. Dla

Winy miał on jednak również ogromną wartość sentymentalną: ze wszystkich podarunków od matki ten właśnie był jej sercu najdroższy.

— Jaka szkoda, że nasi ojcowie są tak źle do siebie nastawieni — powiedziała ni z tego, ni z owego Prija. — Co to, w końcu, za różnica, kto zostanie następnym szefem rządu?

Wina przytaknęła skinieniem głowy, popijając nimbu pani.

— A Man? Co u niego słyhać? — zapytała Prija. Plotkowały teraz na temat Mana, Saily Bai oraz córki nawaba sahiba, zastanawiając się, czy gorzej jej jest w pardzie niż Priji w domu Rai Bahadura. Potem pogadały o Sawicie, jej ciąży, i nie pominęły nawet Mrs Rupy Mehry, wspominając, jak demoralizuje swoje samdhiny — współleściowe — ucząc je gry w remika.

Zapomniały o całym świecie. Ale nagle na szczycie schodów ukazała się przygarbiona sylwetka i duża głowa Bablu..

— O mój Boże! — powiedziała Prija z przerażeniem. — Mam dyżur w kuchni. Teraz moja kolej. Zagadałyśmy się i zupełnie wyleciało mi to z głowy. Teściowa się piekli. Skończyła właśnie pichcić swoje żarcie w dhoti mokrym po kąpieli i wrzeszczy, żebym przyszła. Muszę uciekać. Robi to, jak twierdzi, dla higieny, chociaż zupełnie jakoś jej nie przeszkadza, że po domu latają karaluchy wielkości słonia, a szczury nadgryzają ci włosy, jak zostawisz je na noc natłuszczone. O Wina, zostań na lunch, bardzo proszę. Tak rzadko się widzimy!

— Naprawdę nie mogę — powiedziała Wina. — Śpioch ma bardzo delikatne podniebienie. Podobnie jak Świstak, podejrzewam.

— Nie, nie, na szczęście nie jest taki wybredny — powiedziała Prija, marszcząc brwi. — Znosi moje fochy i humorki. Ale nie mogę się ruszyć z domu! Nie mogę się ruszyć z domu! Najwyżej na jakieś wesele i czasem do świątyni albo na odpust; a wiesz, co o tym myślę. Oszalałabym do reszty, gdyby nie był dla mnie taki dobry. Tu, w sąsiedztwie, liczy się żonom kości dla rozrywki. To ma być ostateczny dowód męskości, uważasz, wlepić babie parę batów, ale Ram Wilas ani razu jeszcze nie podniósł na mnie ręki. I nawet do więdźmy, chociaż to tylko jego macocha, odnosi się zawsze z największym szacunkiem, aż mnie krew zalewa. Podobno nawet świadkowie przed sądem składają mu prawdziwe zeznania, bo jest dla nich taki uprzedza-

jąco grzeczny. Jeśli nie możesz zostać dzisiaj, to przyjdź jutro. Przyrzeknij mi jeszcze raz.

Co też Wina uczyniła i obie przyjaciółki zeszły z dachu do pokoju na ostatnim piętrze, gdzie siedzący na łóżku syn i córka Priji poinformowali Winę, że Bhaskar poszedł już do domu.

— Jak to? Sam poszedł? — spytała Wina zdjęta lękiem.

— Ma dziewięć lat, a to tylko pięć minut drogi — powiedział rezolutnie chłopiec.

— Jak ty się odzywasz do starszych! — zgromiła go matka. — Wstyd!

— Lecę — powiedziała pospiesznie Wina.

Na schodach spotkała się z L.N. Agarwalem, który szedł akurat na górę. Schody były wąskie i strome, więc oparła się o ścianę, żeby mógł swobodnie przejść, i pozdrowiła go grzecznym „namaste”. Odpowiedział słowami: „*Jeeti raho, beti*” i wszedł na górę.

Lecz — jakkolwiek nazwał ją „córka” — Wina wyczuwała, iż widzi w niej przede wszystkim nieodrodne dziecko swojego parlamentarnego rywala, Maheśa Kapura.

5.6

— Czy rządowi znany jest fakt, iż w ubiegłym tygodniu policja brahm-purska rozpendziła demonstrację dżatawów na bazarze obuwniczym Gowind, biczując jej uczestników lathi?

Minister spraw wewnętrznych, Śri L.N. Agarwal, podniósł się ze swojego miejsca i powiedział:

— Nie biczowano demonstrantów lathi.

— W każdym razie rozpendzono demonstrację przy użyciu lathi, o ile mi wiadomo. Czy rządowi znany jest incydent, o którym tu wspomniałem?

Minister spraw wewnętrznych ogarnął wzrokiem ogromną, kolistą salę i rzekł spokojnie, bez zajknięcia:

— Nikt w zasadzie nie biczował demonstrantów. Policja zmuszona była użyć giętkich różg, grubych na jeden cal, kiedy rozbestwiony tłum obrzucił kamieniami i sterroryzował niewinnych przechodniów oraz jednego z policjantów i kiedy stało się jasne, że te rozruchy zagrażają bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu.

Przeszył wzrokiem interpelanta, ciemnoskórego Rama Dhana, niskiego, dziobatego mężczyznę po czterdziestce, który — z rękami skrzyżowanymi na piersiach — zadawał swoje pytania w hindi, językiem poprawnym, ale z silnymi naleciałościami typowymi dla wymowy regionu brahmpurskiego.

— Czy to prawda — nie ustępował pytający — że tego samego wieczoru policja pobiła grupę dżatawów pikietujących pokojowo przy wejściu na bazar Gowind?

Śri Ram Dhan był niezależnym członkiem parlamentu, reprezentującym kasty niższe, i wypowiedział słowo „dżatawowie” z naciskiem. Na sali dało się słyszeć pomruk oburzenia, ale przewodniczący przywołał obradujących do porządku. Minister spraw wewnętrznych powstał i powiedział znowu bez wahania:

— Nie, nieprawda. Policja, sprowokowana przez napierający tłum, musiała się bronić, w rezultacie czego trzech ludzi zostało rannych. Insynuacje czcigodnego pana posła jakoby policja celowo uwzięła się na członków jednej kasty i starała się ich szykanować, są bezpodstawne, krzywdzące i niesprawiedliwe. Tak, niesprawiedliwe! Niech mi będzie wolno tutaj zapewnić, iż policja podjęłaby identyczne działania, gdyby doszło do starć z członkami innych kast.

Śri Ram Dhan czepiał się jednak dalej jak pijawka:

— I czy to prawda, że podczas tych zajęć czcigodny pan minister spraw wewnętrznych utrzymywał stały kontakt z najwyższymi rangą funkcjonariuszami służby bezpieczeństwa w mieście, a szczególnie z komisarzem okręgowym oraz nadinspektorem policji?

— Tak. — Wycedziwszy z siebie tę jedną sylabę, L.N. Agarwal popatrzył w sufit (skąd przez matową szybę kopuły wpadało do wnętrza sali światło dzienne), jakby chciał zebrać w sobie wszystkie siły, żeby nie stracić cierpliwości.

— Czy, zanim doszło do tego haniebnego ataku na nieuzbrojonych rebeliantów, władze dzielnicowe stosowały się do ministerialnych zaleceń? Jeśli tak, jakie to były zalecenia? A jeśli nie, to dlaczego się do nich nie zastosowano?

Minister spraw wewnętrznych sapnął głośno, bardziej ze złości niż ze zmęczenia, i znowu podniósł się ze swojego miejsca.

— Pragnę zakwestionować tu raz jeszcze — powiedział — powyższe supozycje, jakoby policja a-ta-ko-wa-ła nieuzbrojonych demonstrantów. Ani to nie był atak, ani też tłum nie był nieuzbrojony. Policja od-pie-ra-ła atak, cytuję pańskie własne słowa, panie pośle, re-be-lian-tów, którzy rzucali w przedstawicieli władzy kamieniami, Ponieważ widzę, że pytanie to opatrzone jest gwiazdką, musiało zatem wpłynąć wcześniej do laski, co sugeruje, iż pan poseł orientuje się doskonale, jak wyglądała sytuacja.

— Chciałbym usłyszeć odpowiedź pana ministra na moje pytanie — odparł zaczepnie Ram Dhan, gestykulując żywo i zaciskając pięści.

— Sądziłem, że już ją pan otrzymał — odparł na to L.N. Agarwal. Zamilkł na chwilę, a potem ciągnął, jakby recytując z pamięci: — Nie zawsze można przewidzieć, jak się rozwinie sytuacja w terenie, więc trudno jest opracować z góry jakiś plan taktyczny na każdą okoliczność. Władze dzielnicowe muszą mieć pewną swobodę działania.

Jednakże Ram Dhan przypierał go do muru.

— Wobec tego, skoro, jak pan minister sam przyznaje, nie wydano w tym przypadku żadnych dyrektyw, czy powiadomiono przynajmniej pana ministra o zakładanym przebiegu akcji? Czy działano za cichym przyzwoleniem pana ministra albo szefa rządu?

Znowu powstał minister spraw wewnętrznych. Tym razem patrzył pod nogi, na ciemną wykładzinę, która pokrywała podłogę.

— Żadne posunięcie nie było z góry zaplanowane. Wszystkie decyzje podejmowano na miejscu, na gorąco. Tego wymagała, w tej niewesołej sytuacji, konieczność. Zaprzeczam kategorycznie, jakoby ode mnie wyszły jakiegokolwiek zarządzenia w tej sprawie. Któryś krzyknął z sali:

— A od szefa rządu?

Przewodniczący Izby Ustawodawczej, ubrany w kurtkę-padżamę i dhoti, światły, ale niezbyt stanowczy człowiek, popatrzył z wysokości swojego podium, nad którym górował stanowy herb — wielki pipal — i powiedział:

— Interpelacje poselskie oznaczone gwiazdką adresowane są w tym porządku obrad bezpośrednio do ministra spraw wewnętrznych i on jeden zobowiązany jest udzielać na nie odpowiedzi.

Zawrzało na sali. Ktoś ryknął:

— Skoro czcigodny szef rządu powrócił już ze swoich wojaży po kraju, to może zechciałby, z łaski swojej, wypowiedzieć się w tej sprawie, chociaż rzeczywiście regulamin obrad tego nie wymaga. Ręczę, że jego autorytet w oczach posłów nie ucierpiałby na tym.

Szef rządu, Śri S.S. Śarma, podniósł się bez pomocy łaski, oparł lewą ręką o poręcz ciemnej, drewnianej ławy i rozejrzał po sali. Zajmował miejsce centralne w półkolistej sali, pomiędzy ministrem spraw wewnętrznych L.N. Agarwalem a ministrem skarbu Mahe-śem Kapurem. Zwrócił się w stronę przewodniczącego Izby i powiedział nosowo, tonem prawie ojcowskim, kiwając przy tym z lekka głową:

— Chętnie bym się przychylił, panie przewodniczący, do powyższej prośby, ale nie mam nic do dodania. Podejmowane przez policję działania operacyjne, niezależnie od tego, jak je będziemy chcieli nazwać, podlegają kompetencji ministra, który odpowiada za swój resort. — Tu nastąpiła krótka przerwa w wypowiedzi szefa rządu i przez chwilę nie było wiadomo, czy to wszystko, czy też może ma on zamiar dodać coś jeszcze. Wreszcie zakończył zwięźle: — I którego decyzje, naturalnie, popieram.

Ale jeszcze zanim usiadł, Rahm Dhan przystąpił znowu do ataku. — Bardzo jestem zobowiązany czcigodnemu szefowi naszego rządu stanowego za to oświadczenie. Ale czy mam przez to rozumieć, iż popierając decyzje ministra spraw wewnętrznych, aprobuje pan również poczynania władz dzielnicowych?

Zanim szef rządu zdążył otworzyć usta, minister spraw wewnętrznych poderwał się ze swojego fotela i powiedział:

— Sądzę, że stanowisko nasze w tej sprawie jest zupełnie jasne. W tym przypadku nie wydano odgórnych zaleceń. Natychmiast po

starciach z policją zostało wszczęte dochodzenie. Komisarz okręgowy zbadał sprawę bardzo dokładnie i w podsumowaniu sprawozdania stwierdził, iż nie nadużyto siły, lecz podjęto kroki niezbędne do opanowania sytuacji. Pragnę tu, w imieniu własnym oraz rządu, wyrazić żal, że taka sytuacja w ogóle zaistniała, ale nie mam podstaw, aby kwestionować rzetelność konkluzji komisarza okręgowego w tej sprawie. Wszystkie zainteresowane strony przyznają zgodnie, że w obliczu zagrożenia władze okazały zarówno wielki takt, jak i powściągliwość.

Teraz wstał jeden z członków Partii Socjalistycznej i zapytał:

— Czy to prawda, że pod presją środowiska kupieckiego, banii, którego interesy reprezentuje czcigodny minister spraw wewnętrznych. .. — tu odezwały się gniewne głosy protestu z ław rządowych — ...dajcie mi skończyć... że to pod ich wpływem pan minister wysłał znaczne posiłki... mam na myśli dodatkowe jednostki policji.. . do Misri Mandi?

— Muszę unieważnić to pytanie — powiedział przewodniczący Izby.

— Wobec tego — mówił dalej poseł Partii Socjalistycznej — czy byłby pan uprzejmy poinformować nas, panie ministrze, dlaczego postanowił pan tam użyć policji jako straszaka?

Minister spraw wewnętrznych przygładził kosmyk siwych włosów, który wymykał mu się spod czapki, i powiedział:

— Po gruntownym przeanalizowaniu sytuacji rząd, kierując się wyłącznie własną opinią w tej sprawie, podjął powyższą decyzję. I była to słuszna decyzja. Wreszcie jest spokój w Misri Mandi.

Znowu zapanowała na sali wrzawa. Gromki śmiech mieszał się z okrzykami oburzenia oraz głosami poważnych dyskutantów. Zewsząd rozlegały się krzyki:

— Spokój?! Jaki spokój?!

— Hańba!

— Jak można było powierzyć takie ważne zadanie jakiemuś komisarzynie, a choćby i okręgowemu?

— A meczet? Meczet to co?

I tak dalej.

— Spokój! Proszę o spokój! — starał się przekrzyknąć wszystkich wyraźnie zirytowany przewodniczący.

Jeszcze jeden poseł podniósł się i powiedział:

— Czy rząd byłby skłonny w przyszłości powołać do życia nowy niezależny urząd do rozpatrywania podobnych spraw?

— Odbieram panu głos — powiedział przewodniczący, potrząsając głową niczym wróbel. — Zgodnie z regulaminem obrad interpelacje poselskie nie powinny zawierać wniosków o zmiany w przepisach prawnych. Proszę nie przekraczać swoich uprawnień.

I tak przesłuchanie — bo w tym krzyżowym ogniu pytań minister spraw wewnętrznych, L.N. Agarwal, czuł się nie lepiej niż podsądny na ławie oskarżonych — dobiegło nareszcie końca. A według porządku obrad miał tylko odpowiedzieć na pięć pytań! Zaniepokoiły go raczej niż pokrzepiły wywody szefa rządu, S.S. Śarmy. Czyżby szczwany lis robił teraz uniki i starał się zwalić całą winę za wydarzenia w Misri Mandi na swojego zastępcę? Usiadł spocony, chociaż wiedział, że za chwilę znowu będzie się musiał podnieść. I chociaż chełpił się tym, że zawsze, w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji potrafi zachować zimną krew, wiedział, że zaraz znajdzie się ponownie pod ostrzałem pytań, a wcale mu się to nie uśmiechało.

5.7

Begam Abida Chan (żona młodszego brata nawaba z Bajtaru, działaczka Partii Demokratycznej, partii, która broniła interesów posiadaczy ziemskich, starając się zablokować w parlamencie anty-magnacki projekt ustawy o uwłaszczeniu), ubrana w ciemnogrnatowe, prawie czarne sari, które podkreślało dodatkowo jasność jej cery, podniosła się bez pośpiechu. Zanim jeszcze otworzyła usta, było widać, że kipi z wściekłości, a jej oczy miały błyskawice. Słysnęła z buty i chociaż sama była szyitką, występowała w imieniu wszystkich muzułmanów w nowych, niepodległych (fakt, że nieco przy tym okrojonych) Indiach. Po Podziale zarówno jej mąż, jak i ojciec, którzy udzie-

lali się w Lidze Muzułmańskiej jeszcze przed wyzwoleniem, wyjechali do Pakistanu, ale ona, pomimo przestróg i wyrzutów zgorszonej rodziny, postanowiła nie ruszać się z miejsca.

— I co bym tam robiła? Nic bym nie wskórała, wałkoniąc się od świtu do nocy. Tu u siebie, w Brahmpurze, mam przynajmniej pole do działania — przekonywała krytykantów.

A tego ranka miała, w rzeczy samej, pole do popisu. Świdrując nienawistnie wzrokiem swojego oponenta, którego uważała za pętaka niegodnego miana homo sapiens, napadła na niego bez pardonu, z miażdżącym oskarżeniem:

— Czcigodny panie ministrze, czy wiadomo panu, iż przynajmniej pięć osób poniosło śmierć z ręki pańskich ludzi w wyniku piątkowej strzelaniny w Čauk?

Minister spraw wewnętrznych, który nie cierpiał jej od dawien dawna, warknął w odpowiedzi:

— Pierwsze słyszę.

Wbrew parlamentarnej tradycji nie opatrzył powyższej deklaracji żadnym komentarzem, bo niby z jakiej racji miałyby tej wyblakłej jędzy ułatwiać życie.

Begam Abida Chan odbiegła teraz od pytań zawartych w porządku obrad (a zaznaczonych w wykazie gwiazdką) i zasyczała:

— Czy raczyliby nas pan, panie ministrze, poinformować w takim razie, co jest mu wiadomo?

— Anuluje to pytanie — wymamrotał przewodniczący.

— Ile było wobec tego w Čauk ofiar w ludziach, według danych, którymi dysponuje pan minister? — nie ustępowała begam Abida Chan.

— Jedna — odparł sucho L.N. Agarwal.

To bezwstydné łgarstwo do reszty rozwścieczyło begam Abidę Chan.

— Jedna?! — zapiszczała. — Jedna?!

— Jedna — upierał się przy swoim minister spraw wewnętrznych, kiwając w powietrzu palcem wskazującym prawej ręki jak idiota, który nie potrafi zliczyć do trzech.

Begam Abida Chan zawołała w odpowiedzi zaciętrzewiona:

— Więc niech mi będzie wolno poinformować pana ministra, że jest ich co najmniej pięć! Mam na to niezbite dowody. Czterech zabitych, cztery

świadczenia zgonu... Oto ich kopie. A ponadto dwóm innym wkrótce prawdopodobnie...

— W kwestii formalnej, panie przewodniczący — zwrócił się L.N. Agarwal do przewodniczącego, nie zważając na jej słowa. — W tej części obrad, jeśli się nie mylę, posłowie winni składać interpelacje z zamiarem uzyskania od ministrów odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Odkąd to wolno im wygłaszać referaty?

Głucha na jego złośliwe uwagi begam Abida Chan mówiła dalej jadownicie:

— ...dwóm innym, z łaski nadgorliwców pana ministra, przypadnie w udziale zaszczyt otrzymani a równie zachwycającego świadectwa. Chciałabym przedłożyć te dokumenty... a raczej ich odbitki... do wglądu w parlamencie.

— Niestety, nie jest to zgodne z regulaminem — zaprotestował przewodniczący.

Podnosząc głos i wymachując plikiem dokumentów, begam Abida Chan zawołała:

— Dlaczego członkowie parlamentu nie mieliby do nich wglądu, skoro i tak dysponują już nimi stanowe gazety? Kiedy bezdusznie przelewa się krew niewinnych ludzi, właściwie chłopców...

— Pani posłanko, odbieram pani głos. Ta sesja przeznaczona jest na poselskie interpelacje, nie na przemówienia — powiedział przewodniczący, stukając laską w pulpit.

Przywołana do porządku begam Abida Chan zwróciła się znowu do L.N. Agarwala:

— Czy czcigodny minister raczyłby nam wyjaśnić, skąd zaczerpnął informację o rzekomo jednej tylko ofierze starć z policją?

— Komisarz okręgowy, naoczny świadek wydarzeń, przedłożył sprawozdanie z przebiegu akcji.

— „Naoczny świadek”? Co pan przez to rozumie? Ten „naoczny świadek” wydał rozkaz strzelania do tłumu. Czyż nie tak?

L.N. Agarwal:

— Komisarz okręgowy, oficer z długoletnim doświadczeniem w służbie bezpieczeństwa, podjął decyzję, którą uznał w danych okolicznościach za stosowną. I, jak pani posłance zapewne wiadomo, wkrótce, pod kierunkiem starszego rangą oficera, zostanie przeprowadzone w tej sprawie dochodzenie, jak zawsze, kiedy wydano rozkaz strzelania. Zanim zaczniemy na ten temat spekulować, proponuję poczekać na sprawozdanie z dochodzenia.

— Spekulować?! — zawyła begam Abida Chan. — Spekulować?! I pan to nazywa spekulowaniem? Szanowny panie ministrze — podkreśliła słowo *maananiya*: „szanowny” — jak panu nie wstyd?! Na własne oczy widziałam ciała dwóch zabitych. Jak pan śmie nazywać to spekulowaniem?! Z pewnością nie czekałby pan na żadne sprawozdania, gdyby to krew współwyznawców pana ministra płynęła ulicami tego miasta. Poparcie, jakiego udziela pan minister tej destrukcyjnej organizacji, Linga Rakśak Samiti, która stawia sobie za cel profanację naszej religii, nie jest dla nikogo tajemnicą...

Po tej przemowie, niezgodnej przecież z regulaminem obrad, znowu zawrzało na sali. L.N. Agarwal, straciwszy panowanie nad sobą, szarpał raz po raz prawą ręką, wygiętą niczym pazur, kosmyki siwych włosów, za każdym razem kiedy padało ironiczne słowo „szanowny”, i widać było, że gdyby mógł, ukatrupiłby swoją przeciwniczkę wzrokiem.

Przewodniczący bezskutecznie próbował powstrzymać lawinę oskarżeń.

— Pani posłanko, zgodnie z moim wykazem pozostały pani jeszcze tylko trzy oznaczone gwiazdką pytania.

— Dziękuję panu za przypomnienie, panie przewodniczący — odrzekła begam Abida Chan. — Powrócę do nich jeszcze. A właściwie to zadam jedno z nich już teraz, bo trafia w sedno sprawy. Proszę nam powiedzieć, czcigodny panie ministrze, czy zgodnie z paragrafem 144 kodeksu karnego próbowano rozproszyć tłum bez użycia siły? Czy odczytano im notę ostrzegawczą, zanim wydany został rozkaz strzelania? Jeżeli tak, to kiedy? Jeżeli nie, to dlaczego nie? Wijąc się w bezsilnej złości, L.N. Agarwal powiedział opryskliwie:

— Nie. Nie było na to czasu. Burzyciele, którzy wszczynają zamieszki z pobudek religijnych i napadają na świątynie... albo, rzecz jasna, na meczety... muszą się liczyć z konsekwencjami swych haniebnych czynów.

Begam Abida Chan wrzasnęła ile sił w płucach:

— Zamieszki?! Zamieszki?! A na jakiej podstawie szanowny pan minister wysnuł podobne przypuszczenia? Skąd ta pewność, że to miały być zamieszki? Zbliżała się pora wieczornej modlitwy. Wierni szli w stronę meczetu

...

— Wszystkie sprawozdania wykazują niezbitcie, że parli naprzód, wykrzykując fanatyczne pogroźki, i że byli uzbrojeni — odparł minister spraw wewnętrznych.

Na sali podniosła się wrzawa.

Któryś z członków Partii Socjalistycznej wykrzyknął:

— A czy czcigodny pan minister sam był przy tym?!

Na co odkrzyknął jeden z członków Partii Kongresowej:

— Trudno, żeby był wszechobecny!

— Ale to rozbój! — wydierał się jeszcze ktoś inny. — Strzelali prosto do ludzi!

— Muszę państwu przypomnieć, że to pan minister zobowiązany jest odpowiadać na pytania — starał się ich przekrzyczeć przewodniczący.

— Dziękuję panu, panie przewodniczący... — zaczął minister spraw wewnętrznych. Ale ku swemu najwyższemu zdumieniu, a zarazem przerażeniu, zobaczył, że powstał teraz jego kolega partyjny, Abdus Salam, doradca ministerialny przy urzędzie ministra skarbu, mahometanin, i zapytał prosto z mostu:

— Ale jak to się stało, że taka bezsprzecznie ryzykowna decyzja, decyzja strzelania do ludności cywilnej, podjęta została bez uprzedniego ostrzeżenia czy też wybadania intencji tłumu?

Wystąpienie Abdusa Salama zaszokowało zebranych. Trudno było właściwie powiedzieć, do kogo się zwracał z tym pytaniem, ponieważ wzrok miał utkwiony w nieokreślonym punkcie, gdzieś na prawo od imponującego herbu stanu Parwa Pradeś, który znajdował się ponad fotelem przewodniczącego. Wyglądało, jakby po prostu głośno myślał. Ten młody człowiek, wykształcony, ceniony autorytet w dziedzinie prawa własności ziemskiej, był jednym z głównych architektów projektu ustawy o uwłaszczeniu. Wszystkich zaskoczyło jego poparcie dla przedstawicielki Partii Demokratycznej reprezentującej

interesy zamindarów. Sam Maheś Kapur, zdziwiony niespodziewanym atakiem swojego doradcy, odwrócił się z marszem na czole, okazując swoje niezadowolenie. Szef rządu spod oka spoglądał na pytającego, a L.N. Agarwal, upokorzony, kipiał z wściekłości. Wielu posłów powstało ze swoich miejsc, wymachując kartkami z regulaminem obrad, i w ogóle nie można się było połapać, co kto mówi. Głos przewodniczącego zginął w ogólnej wrzawie, a na sali zapanowała absolutna anarchia.

Przewodniczący wielokrotnie stukał laską w pulpit, zanim udało mu się zaprowadzić jaki taki porządek. Wreszcie, otrząsnąwszy się nieco z szoku, podniósł się ponownie minister spraw wewnętrznych i zapytał:

— Panie przewodniczący, czy doradca ministra skarbu ma prawo zadawać pytania przedstawicielom rządu?

Rozglądając się naokoło, zaskoczony wzburzeniem, jakie niechcący wywołał, Abdus Salam powiedział:

— Wycofuję moje pytanie.

Ale zaraz zewsząd rozległy się krzyki:

— Nie, nie!

— Jak tak można?!

Oraz:

— Skoro pan się chce wycofać, ja je zadam!

Przewodniczący westchnął ciężko i zawyrokował:

— Regulamin tego nie zabrania. Każdy poseł ma prawo wnoszenia interpelacji.

— Więc jak to się stało? — dopytywał się któryś z posłów. — Jak do tego doszło? Czy czcigodny pan minister mógłby nam to wreszcie wyjaśnić?

— Nie słyszałem pytania — powiedział L.N. Agarwal. — Ale i tak, o ile się nie mylę, zostało wycofane.

— Pytam, podobnie jak mój przedmówca, dlaczego nikt nie starał się wybadać sytuacji i dowiedzieć, jakie były rzeczywiste intencje tłumu? Skąd komisarz okręgowy wiedział, że to była rebelia? — powtórzył pytanie jeszcze jeden z posłów.

— Zgłaszam wniosek o przełożenie obrad! — wykrzyknął inny, a trzeci zawołał:

— Pan przewodniczący ma to już u siebie odnotowane!

Głos begam Abidy Chan wybił się raz jeszcze ponad tę wrzawę:

— Nie mniejsza to przemoc niż terror Podziału. Zginął młody człowiek, który nie był nawet uczestnikiem demonstracji. Może raczyłby nam pan wyjaśnić, panie ministrze, jak to się stało?

Usiadła i prześwidrowała go nienawistnym spojrzeniem.

— Aha! De-mon-stra-cji? — wycedził tryumfalnie L.N. Agarwal.

Begam Abida Chan zerwała się znowu na równe nogi i wykręciła się sprytnie:

— Nie szedł z tłumem. Zbliżała się pora wieczornej modlitwy, temu nie może pan zaprzeczyć. To policja zademonstrowała w tym przypadku swoje okrucieństwo. Powtarzam: okrucieństwo. Przestańmy się bawić w semantykę, trzymajmy się faktów.

Widząc, że wredne babsko znowu wyrywa się do gadania, minister spraw wewnętrznych zatrzęsł się z gniewu i poprzysiągł jej w duszy zemstę. Nastąpiła mu na odcisk, ubliżyła mu i upokorzyła przed Izbą Ustawodawczą. Ale dosyć tego! Postanowił, że — - niech się dzieje, co chce — odpłaci jej i tej całej klice nawaba sahiba z Bajtaru pięknym za nadobne. Muzułmanie to zaślepieni fanatycy, każdy z nich. Co oni wiedzą o cierpieniach kraju, który wspaniałomyślnie udziela im gościny? Trzeba im wreszcie pokazać, kto tu rządzi.

— Nie mogę odpowiadać na wszystkie pytania jednocześnie — warknął nienawistnie L.N. Agarwal.

— Pierwszeństwo mają dodatkowe pytania czcigodnego posła, który złożył interpelacje — oznajmił przewodniczący.

Begam Abida Chan uśmiechnęła się ponuro. Minister spraw wewnętrznych powiedział:

— Musimy poczekać na sprawozdanie. Relacje naocznych świadków, którymi dysponuje rząd, nie zawierają żadnej informacji ani o tym, że strzelano do młodego człowieka nie zaangażowanego w zajścia uliczne, ani o odniesionych przez niego ranach, ani o jego śmierci.

Teraz powstał ponownie Abdus Salam, a zewsząd rozległy się zaraz wro-
gie okrzyki: — Siadaj!

— Hańba!

— Zdrada!

— Dlaczego ma siadać?

— Co macie do ukrycia?

— Opluwasz własną partię! Jak ci nie wstyd?!

Ale w tej niezwykłej sytuacji nawet jego przeciwnicy ciekawi byli, co ma
do powiedzenia.

Kiedy okrzyki wreszcie nieco przycichły, Abdus Salam, nadal z wyrazem
zdziwienia na twarzy, powiedział:

— Podczas tej całej dyskusji zastanawiałem się, dlaczego... dlaczego w
rejonie świątyni nie stacjonowały posiłkowe oddziały policji... Gdyby ich stan
liczebny był dostateczny, nie doszłoby może do tej desperackiej strzelaniny.

Minister spraw wewnętrznych nabrał powietrza w płuca. „Wszyscy mi się
przyglądają”, pomyślał. „Muszę się mieć na baczności”.

— Do kogo adresowane jest to dodatkowe pytanie? Do ministra spraw
wewnętrznych? — zapytał przewodniczący.

— Tak jest, panie przewodniczący — powiedział nagle bardzo stanow-
czo Abdus Salam. — Nie wycofam tego pytania. Czy pan minister mógłby
nam, proszę, wyjaśnić, dlaczego w kotwali albo w rejonie świątyni nie stacjo-
nowały posiłkowe jednostki policji? Dlaczego na miejscu, w tak newralgicz-
nym punkcie miasta, było tylko dwunastu posterunkowych ze służby porząd-
kowej? I to już po piątkowym kazaniu w meczecie Alamgiri, którego treść nie
była obca decydom?

Tego pytania L.N. Agarwal bał się najbardziej, a ponieważ padło z ust par-
tyjnego kolegi, i to w dodatku doradcy ministra skarbu, tym bardziej go urazi-
ło i rozwścieczyło. Poczuli się całkowicie bezbronni. Czy w ten sposób Maheś
Kapur starał się podważyć jego autorytet? Popatrzył na szefa rządu, ale ten
czekał na jego odpowiedź z wyrazem twarzy, który był zupełnie nieprzenik-
niony. L.N. Agarwal zdał sobie nagle sprawę, że już od dłuższego czasu stoi
przy pulpicie z pełnym pęcherzem. Koniecznie musi się stąd wydostać i to jak
najszybciej. Uciekał się do rozmaitych wykrętów, których nie powstydziliby

się sam szef rządu, ale niestety mniej skutecznie niż ten mistrz parlamentarnych uników. Teraz jednak na niczym już mu tak naprawdę nie zależało. Uznał, że to zмова muzułmanów i tak zwanych świeckich hindusów. Specjalnie się spiknęli, żeby go utracić, i wciągnęli w to jeszcze członków jego własnej partii.

Przeszywszy nienawistnym spojrzeniem najpierw Abdusa Salama, a potem begam Abidę Chan, powiedział:

— Mogę raz jeszcze tylko powtórzyć: poczekajmy na wyniki dochodzenia.

Któryś z posłów zapytał:

— Dlaczego przerwano tak wiele oddziałów policji do Misri Mandi dla postrachu, kiedy faktycznie należało je trzymać w pogotowiu w Ćauk?

— Poczekajmy na wyniki dochodzenia — powtórzył minister spraw wewnętrznych, rozglądając się hardo po sali, jakby czekał na dalsze indykcje.

Begam Abida Chan przyjęła jego wyzwanie.

— Czy rząd wszczął już postępowanie dyscyplinarne przeciwko komisarzowi okręgowemu odpowiedzialnemu za wydanie rozkazu strzelania do bezbronnej ludności cywilnej? — spytała zaczepnie.

— Nie było takiej potrzeby.

— A jeśli w wyniku tego dochodzenia, na które tak wszyscy czekamy, okaże się, że złamane zostały przepisy prawne i że doszło do nadużycia siły, rząd podejmie w tej sprawie jakieś kroki?

— Czas pokaże. Prawdopodobnie tak.

— Konkretnie, jakie?

— Niezbędne. I stosowne.

— Czy rząd podejmował już przedtem takie kroki w podobnych sytuacjach? — Owszem.

— Jakie?

— Niezbędne i stosowne.

Begam Abida Chan popatrzyła na niego, jakby zobaczyła przed sobą padalca, który — choć zraniony — stara się jeszcze uniknąć ostatecznego ciosu, kręcąc głową na boki. No, ale ona jeszcze z nim nie skończyła.

— Czy pan minister byłby uprzejmy wyjawić nam, w jakich to dzielnicach miasta wprowadzono zakaz posiadania białej broni? Czy został on wprowadzony ze względu na niedawną strzelaninę? I dlaczego nie wydano podobnego zarządzenia wcześniej?

Minister spraw wewnętrznych wlepił wzrok w herb stanowy, ogromne drzewo pipal, i powiedział:

— Czcigodna posłanka ma na myśli, jak sędzę, szable, sztylety, siekiery i tak dalej... ?

— Policja wrywała kobietom nawet noże kuchenne — powiedziała drwiąco begam Abida Chan. — No więc, w jakich to dzielnicach?

— Ćauk, Hazrat Mahal i Captaingandź — odparł L.N. Agarwal.

— Ale nie Misri Mandi?

— Nie.

— Chociaż tam właśnie skierowano posiłkowe oddziały policji? — nacierała na niego begam Abida Chan.

— Skierowano dodatkowe oddziały policji tam, gdzie istniało rzeczywiste zagrożenie — zaczął L.N. Agarwal, ale urwał w pół zdania, zauważywszy, że wpadł we własne sidła.

— A więc szanowny pan minister przyznaje jednak, że... — rzuciła tryumfalnie begam Abida Chan, z roziskrzonym z radości wzrokiem.

— Rząd zachowuje w tej chwili stanowisko neutralne... Dochodzenie powinno naświetlić tę sprawę, poczekajmy więc na sprawozdanie — odpalił minister spraw wewnętrznych, skręcając się ze złości, że wymusiła na nim takie nieopatrzne wyznanie.

Begam Abida Chan uśmiechnęła się pogardliwie, uznawszy, iż ten faszysta — ta kanalia żadna muzułmańskiej krwi, zdemaskował się już publicznie. Nie warto dalej dokręcać śruby. Spuściła więc trochę z tonu.

— Dlaczego wprowadzono zakaz posiadania białej broni?

— Profilaktycznie. Żeby nie dopuścić do rozruchów i rozlewu krwi.

— Rozruchów?

— Wzniecanych przez rebeliantów! — wykrzyknął w bezsilnej złości.

— Jak długo rząd ma zamiar utrzymać ten zakaz? — zapytała begam Abida Chan, śmiejąc mu się właściwie prosto w nos.

- Do odwołania.
- To znaczy do kiedy, konkretnie?
- Dopóki będzie tego wymagała sytuacja.

Begam Abida Chan usiadła z gracją, zakończywszy swoje przesłuchanie.

Następnie złożono wniosek o odroczenie obrad, aby przedyskutować przyczyny i skutki strzelaniny w Ćauk, ale przewodniczący — do którego należała decyzja w tej sprawie — uchylił go bardzo zręcznie, powołując się na fakt, iż zgody na to udziela się na ogół w zupełnie wyjątkowych okolicznościach, w okresie kryzysu politycznego lub nagłego zagrożenia, kiedy niezwłocznie należy rozstrzygnąć jakąś sporną kwestię. A co do rozruchów w Ćauk, to nawet jeśli rzeczywiście — wbrew jego osobistej opinii — był to temat tak wielkiej wagi, to już wcześniej, dzięki zaciekłości i uporowi tej wygadanej manipulantki, stał się przedmiotem burzliwej debaty.

Zgodnie z zaleceniem przewodniczącego skupiono się teraz na kolejnych punktach porządku obrad: najpierw odczytane zostały projekty ustaw przegłosowanych w stanowym parlamencie i zatwierdzonych przez stanowego gubernatora albo prezydenta państwa, a następnie rozpoczęła się ponownie dyskusja nad projektem ustawy o uwłaszczeniu: najważniejszy temat tego posiedzenia.

L.N. Agarwal nie brał już jednak udziału w tej debacie. Kiedy tylko przewodniczący odrzucił wniosek o przełożenie obrad, wymknął się z sali, nie głównym wyjściem, tylko bokiem, pomiędzy rzędami ław, ku kolistej galerii, chyłkiem, pod ścianą wyłożoną ciemną, drewnianą boazerią. Jego ruchy zdradzały napięcie i roz drażnienie. Podświadomie miętosił w dłoniach kartkę z porządkiem obrad. Wielu posłów starało się go zatrzymać, wyrażając sympatię, ale potraktował ich jak powietrze. Prawie na ślepo dotarł wreszcie do wyjścia i natychmiast popędził do toalety.

L.N. Agarwal odwiązał sznurówki swojej padzamy i stanął przy pisuarze, ale ze zdenerwowania miał trudności z oddaniem moczu.

Chociaż wpatrywał się w długą, wyłożoną białymi kafelkami ścianę, widział przed sobą nadal wypełnioną salę i przed oczyma stawał mu raz po raz obraz begam Abidy Chan z przyklejonym do ust ironicznym uśmiechem, poorana, myśląca twarz Abdusa Salama, marsowa (z jakiegoż to powodu?) mina Maheśa Kapura oraz pozornie dobroduszne rysy szefa rządu, który przysłuchiwał się jego nieudolnym wykrętom z wyraźnym politowaniem.

W toalecie nie było nikogo oprócz dwóch sprzątaczy, którzy — jak się zorientował L.N. Agarwal, kiedy trochę ochłonał ze złości — narzekali na trudności z zakupem podstawowych artykułów żywnościowych, nawet w sklepach, gdzie wymieniało się rządowe kartki na żywność. Nie krępowali się wcale obecnością wpływowego ministra spraw wewnętrznych, rozmawiając całkiem swobodnie i nie przemęczając się bynajmniej w pracy. Przysłuchując się ich narzekaniom, L.N. Agarwal przeniósł się jakby w całkowicie inny świat. Z wyżyn swoich ambicji, namiętności, animozji i ideałów ściągnięty został na ziemię, zmuszony do konfrontacji z codziennymi, życiowymi problemami ludzi prostych, którzy nie należeli do jego sfery. Zawstydził się trochę sam przed sobą.

Jeden ze sprzątaczy opowiadał teraz drugiemu o filmie, który widział niedawno w kinie. Tak się złożyło, że był to *Didar*.

— Ten ślepiec, którego grał Dalip Kumar... Łzy mi ciekły ciurkiem po policzkach, jak go słuchałem... Zawsze ma na twarzy ten ciepły, spokojny uśmiech, nawet wtedy, kiedy śpiewa najsmutniejsze piosenki... Bardzo sympatyczny facet. Popatrz no, uprzyjemnia ludziom życie... nawet jako ślepy...

Zaczął nucić melodię z filmu: „Niech w pamięci pozostaną dzieciństwa słodkie dni...” Drugi mężczyzna zawtórował mu, chociaż nie widział jeszcze *Didara*, gdyż piosenka — odkąd tylko film wszedł na ekrany kin — stała się krajowym przebojem i nie schodziła ludziom z ust.

Potem powiedział:

— Nargis wyglądała prześlicznie na afiszach. Wybierałem się do kina wczoraj wieczorem, ale żona zabiera mi całą forszę, jak tylko dostaję wypłatę.

Pierwszy mężczyzna roześmiał się na to:

— Gdyby ci pozwoliła trzymać kasę, to z wypłaty zobaczyłaby najwyżej puste koperty i puste butelczyny.

Drugi mężczyzna starał się wyczarować w myślach obraz swojej uwielbianej bogini i powiedział melancholijnie:

— No to powiedz, jak wyglądała. Dobrze grała? Co za różnica... ta sprzedajna tancereczka Nimmi czy Pimmi, czy jak jej tam... a Nargis... Kobieta z klasą. Prawdziwa arystokratka. Wdzięczna, delikatna.

Pierwszy mężczyzna zachnął się na to i odburknął:

— Pfi! Ja tam już wolę Nimmi. Nie wyobrażam sobie życia z tą Nargis. Taka chuda szkapa, a podgrywa nie wiadomo kogo. I niby jaka to między nimi różnica? Nie wiesz? Też z niej była kiedyś lepsza kokota.

To oświadczenie najwyraźniej zaszokowało drugiego mężczyznę.

— Nargis?! — wykrzyknął.

— Tak, tak, właśnie ta twoja Nargis. A co ty sobie myślisz? Niby jak się, twoim zdaniem, dostała do filmu?

Zaśmiał się rubasznie i zaczął sobie znowu podśpiewywać pod nosem. Drugi mężczyzna zamilkł i zabrał się do szorowania podłogi. Przysłuchując się tak rozmowie dwóch sprzątaczy o Nargis, L.N. Agarwal powędrował myślami do innej jeszcze „lepszej kokoty”, Saidu Bai, i do plotek — od których trzęsło się już całe miasto — o jej romansie z synem Maheśa Kapura. „I dobrze mu tak!”, pomyślał mściwie. Maheś, ten elegancik, bogato haftowane kurty wykrochmalone ma zawsze na sztywno, a tu, proszę, jego synalek czołga się u nóg zwykłych prostytutek.

Chociaż ochłonał już nieco ze złości, powrócił teraz w świat politycznej rywalizacji. Idąc kolistym korytarzem, do gabinetu, zdał sobie nagle sprawę z tego, że jak tylko się tam pojawi, dopadnie go tłum roztrzęsionych zwolenników, pozbawiając nawet tej odrobiny spokoju, który udało mu się osiągnąć przez ostatnie parę minut.

— Lepiej pójdę do biblioteki — wymamrotał sam do siebie.

Na górze usiadł w chłodnym, cichym kąciku biblioteki parlamentarnej, zdjął z głowy czapkę i podparł brodę rękami. Przy długich, drewnianych stołach siedziało paru innych zaczytanych parlamentarzystów. Podnieśli wzrok znad gazet i książek, skinęli głową na powitanie i powrócili do przerwanej

lektury. L.N. Agarwal przymknął oczy i starał się otrząsnąć z przygnębienia. Nie będzie miał siły odpiierać nowych ataków w Izbie Ustawodawczej, dopóki nie weźmie się w garść. Ale zamiast kojącej pustki, w którą starał się oblec skołowany umysł, zobaczył przed oczami zimną biel gładkiej ściany w pisuarze. Nie mógł się jakoś opędzić od myśli o tej żmii, begam Abidzie Chan, i znowu zapłonął gniewem na wspomnienie poniżenia, jakiego przez nią doświadczył. Jaka różnica pomiędzy tą bezczelną bezwstydnicą (która kurzyła po kryjomu, a publicznie wyjeżdżała z tym swoim niewyparzonym pyskiem i zamiast towarzyszyć mężowi do Pakistanu, została w Parwa Pradeś, specjalnie, żeby tu narozrabiać), a jego nieboszczką żoną, matką Priji, która — dzięki swej ofiarności — przez całe lata była osłodą jego życia!

„Hm, ciekaw jestem, czy dałoby się podciągnąć tytuł własności rezydencji Bajtar pod mienie wysiedleńców, skoro mąż tej jędzy mieszka teraz na stałe w Pakistanie”, zastanawiał się L.N. Agarwal. „Pogadam o tym z komisarzem specjalnym. Policji wyda się nakaz konfiskaty majątku i tyle. No, zobaczymy, co się da zrobić w tej sprawie”.

Posiedział tak jeszcze, zatopiony we własnych myślach, przez jakieś dziesięć minut, a potem wstał, skinął głową w stronę zaczytanych parlamentarzystów i zszedł piętro niżej, do swojego gabinetu.

Siedziało tam już kilku posłów, a wkrótce ściągnęli i inni, dowiedziawszy się o tym nie zapowiedzianym posiedzeniu. Po L.N. Agarwalu wcale nie było widać napięcia. Uśmiechnięty jak zwykle otworzył zebranie, uciszając swych podminowanych stronników, i natychmiast natchnął ich optymizmem, nakreślając plan dalszego działania. Jednego z posłów, który wyraził ubolewanie, że oba te nieszczęścia, i w Čauk, i w Misri Mandi spadły na przywódcę ich frakcji jednocześnie, zaskoczył komentarzem:

— No, widzi pan. Najlepszy dowód, że z dobrego człowieka nie będzie dobrego polityka. Niech pan tylko pomyśli: jak już się panu zdarzy wywołać skandal, to co pan będzie wołał? Żeby wyborcy o tym pamiętali czy raczej zapomnieli?

Nie ulegało wątpliwości, iż prawidłowa odpowiedź brzmiała: „zapomnieli” i z taką też pospieszył nieco skonfundowany parlamentarzysta.

— Jak najszybciej? — indagował dalej L.N. Agarwal.

— Jak najszybciej, panie ministrze — potwierdził tamten.

— No, widzi pan. Więc jak już wywoływać skandale, to wszystkie za jednym zamachem. Nastroje niezadowolenia szybko miną, ludziska nie zapiekają się tak w gniewie. A jak już wszystko przycichnie, to się okaże, że wyszło się zwycięsko z dwu albo i trzech na pięć stoczonych bitew. Pamięć ludzka jest bardzo krótka. Za parę dni tych paru rebeliantów i w ogóle cała ta strzelanina w Ćauk pójdzie w zapomnienie.

Parlamentarzysta skinął głową na znak zgody, choć widać było, że nie jest całkiem przekonany co do słuszności tych wywodów.

— Trzeba ludzi nauczyć posłuchu — mówił dalej L.N. Agarwal. — Niech wiedzą, kto tu rządzi. Brytyjczycy rozumieli przynajmniej, że w parze z postrachem idzie posłuszeństwo. Dlatego nie wahali się strzelać z armat do powstańców w 1857 roku. Zresztą każdy musi kiedyś umrzeć... a lepsza już śmierć od kuli niż z niedożywienia. — Sam L.N. Agarwal nie stał, naturalnie, przed podobnym dylematem, ale zebrało mu się akurat na filozoficzne wnużenia. — Wiecie co? W sumie to nawet bardzo proste. Rujnują nas dwie rzeczy: pustki w sklepach oraz zepsucie moralne. Tak, tak... ten nasz rząd w Delhi... co tu dużo mówić... jest zupełnie do niczego.

— Teraz, po śmierci Sardara Patela, nikomu nie uda się poskromić Panditdźi — zauważył jeden młody, ale bardzo konserwatywny poseł.

— Ale nawet przedtem Nehru nikogo nie słuchał — machnął lekceważąco ręką L.N. Agarwal. — Oprócz tego swojego kamrata, Maulany Azada, muzułmanina oczywiście.

Szarpnął kosmyk siwych włosów, a potem zwrócił się do swojego sekretarza:

— Połącz mnie telefonicznie z komisarzem specjalnym.

— Komisarzem specjalnym... do spraw posiadłości nieprzyjacielskich, panie ministrze?

Bardzo spokojnie, patrząc swojemu rozkojarzonemu sekretarzowi prosto w oczy, minister spraw wewnętrznych wycodził:

— Na miłość boską! Rusz tą swoją mózgownicą. Wojna się już chyba skończyła, nie zauważyłeś? Z komisarzem specjalnym do spraw posiadłości wysiedleńców. Chcę z nim zamienić parę słów, mniej więcej za kwadrans. —

Potem powrócił do przerwanych wywodów: — Zobaczcie tylko, co się dzieje wokół nas. Żebrzemy o żywność u Amerykanów, kupujemy, na co nas tylko stać, od Rosjan i Chińczyków, a ludzie umierają z głodu, ot, za miedzą, w sąsiednim stanie. W zeszłym roku chłopci bezrolni wynajmowali się po pięć rupii od łebka! A zamiast dać rolnikom i rzemieślnikom wolną rękę, pozwolić im na rozszerzenie produkcji, magazynowanie w spichlerzach nadwyżek i skuteczne ich rozprowadzanie, Delhi narzuca nam kontrolę cen, rządowe sklepy, kartki żywnościowe i inne idiotyczne, komunistyczne pomysły. Wszystko szwankuje, łącznie z dystrybucją. Ci tam, na najwższych szczeblach, serca mają może i miękkie, ale przy tym umysły skapciałe.

— Ale intencje Panditdźi ma kryształowe — wystąpił ktoś w obronie premiera.

— A tam! I co komu po tych jego kryształowych intencjach — wzruszył pogardliwie ramionami L.N. Agarwal. — Miał kryształowe intencje, kiedy oddawał wrogom Pakistan. I potem, kiedy scedował im pół Kaszmiru. Dobrze, że Patel ratował, co się dało, bo inaczej nic by nie zostało z tego kraju. Dżawaharlal Nehru jedzie właśnie cały czas na tych swoich kryształowych intencjach. Dzięki tym kryształowym intencjom zyskał poparcie Gandhiego i za to samo naiwne pospólstwo otacza go takim uwielbieniem. Niech nas Bóg broni przed takimi, co zawsze mają tylko kryształowe intencje. Skrobie te swoje wzniosłe epistoły do szefów rządów w każdym stanie. I po co to? Wcałe ich tym do siebie nie przekonał. — Potrząsnął głową i mówił dalej: — A wiecie, o czym pisze? Rozwodzi się w nich na temat Korei albo dymisji generała MacArthura. A nam co do tego? Co nas może obchodzić jakiś tam generał MacArthur? Ale oczywiście nasz szlachetny premier, człek wielkiego serca, dźwiga wszystkie cierpienia tego świata na własnych barkach. Chciałby wspierać pokrzywdzonych w Nepalu, w Egipcie i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. No i oczekuje, że wszyscy pobiegną za jego przykładem. Ale nie ma zielonego pojęcia o zarządzaniu. Za to, o tak, chętnie rozprawia o tym, jak zaradzić kryzysowi żywnościowemu; gdyby mógł, wszędzie potworzyłby komisje i komitety. Nie rozumie ani naszych tradycji, ani religii, a ten jego świetlany projekt Kodeksu Hinduskiego doprowadzi tylko do rozpadu rodziny i upadku drogich nam, wszystkim Hindusom, wartości moralnych...

L.N. Agarwal przemawiałby tak dalej, gdyby nie zjawił się jego sekretarz, anonsując:

— Panie ministrze, komisarz specjalny przy telefonie.

— Doskonale — powiedział L.N. Agarwal i machnął ręką w stronę zgromadzonych w gabinecie słuchaczy, co jak wiedzieli, było sygnałem do odejścia. — Zobaczymy się jeszcze w stołówce.

Po wyjściu swoich sojuszników minister spraw wewnętrznych rozmawiał przez jakieś cztery minuty z komisarzem specjalnym do spraw posiadłości wysiedleńców. Mówił tonem urzędowym i wyłożył swoje życzenia jasno i skrupulatnie. Później przez parę minut siedział przy biurku, zastanawiając się, czy czasami czegoś nie pominął albo może wyraził się niejednoznacznie, ale doszedł do wniosku, że załatwił wszystko jak należy.

Wreszcie podniósł się i poczłapał, znużony, do stołówki. Dawniej żona wysyłała mu na obiad przekąski — proste, ale smakowite, starannie przyrządzone potrawy; teraz znalazł się na łasce nieznajomych kucharzy w parlamentarnej garkuchni. Czy aby nie za dużo tych wyrzeczeń?

Idąc kolistym korytarzem, powrócił myślami do ogromnej sali, którą korytarz okręzał: jakże trywialne wydawały się te zaciekle, stronnice spory prowadzone pod jej wysoką kopułą w porównaniu ze splendorem i majestatem tego miejsca. Lecz pomimo tych wnikliwych obserwacji udało mu się zapamiętać tylko na moment o upokorzeniu, jakiego doznał rano, i nie odstąpił od niecnego zamiaru, który uknuł w myślach parę minut temu.

5.9

Tymczasem w Urzędzie Skarbowym Maheś Kapur niecierpliwił się, czekając na swojego doradcę, po którego wysłał gońca mniej więcej pięć minut temu. Był sam, ponieważ na jego polecenie wszyscy współpracownicy pobiegli po różnorakie dokumenty i księgi prawnicze.

— No, nareszcie! — powiedział, kiedy Abdus Salam zjawił się w gabinecie.

Abdus Salam złożył mu swoje adab z wielkim, może nawet nieco przesadnym szacunkiem (co zakrawało na ironię) i zapytał, czym może służyć.

— O tym za chwilę. Najpierw niech mi pan powie, co pan wyrabia.

— Ja? — zapytał skonfundowany Abdus Salam.

— Pan, pan, właśnie pan. Dziś rano. Na sali obrad. Rozważkowałem pan szanownego ministra spraw wewnętrznych na cienki placek.

— Zapytałem tylko...

— Wiem dobrze, o co pan zapytał — przerwał mu minister skarbu z uśmiechem. — Ale po co? To bym chciał wiedzieć.

— Zastanawiałem się, dlaczego policja...

— Na głowę pan chyba upadł! — powiedział Maheś Kapur z sympatią.

— Lakszmi Narajan Agarwal myśli teraz, że to ja pana napuściłem. Nie rozumie pan tego?

— Pan?

— Ja, ja! Nie kto inny, tylko ja. — Maheś Kapur był w doskonałym humorze, myśląc z satysfakcją o klęsce swojego rywala. — On by mnie pogiębił przy pierwszej okazji... więc sądzi, że ja to sobie z panem ukartowałem. Niech mi pan powie — mówił dalej — poszedł na obiad do stołówki?

— Tak.

— A szef rządu też tam był? I co mówił?

— Nie, nie widziałem sahiba Śarmy, więc chyba go tam nie było.

Oczyma wyobraźni Maheś Kapur zobaczył S.S. Śarmę w domu, przy obiedzie, siedzącego — zgodnie z tradycją — na podłodze, z odkrytym torsem, przepasanego jedynie świętym sznurem.

— Tak też myślałem — powiedział z niejakim żalem. — No i jak się zachowywał?

— To znaczy kto? Agarwal sahib? Normalnie, moim zdaniem. Całkiem spokojnie.

— Uff. Trudno coś z pana wydusić — powiedział Maheś Kapur zniecierpliwiony. — Zresztą, nieważne. W każdym razie myślałem o tym trochę. Niech się pan więcej nie wrywa ze swoimi uwagami, bo to godzi zarówno w Agarwala, jak i we mnie. Musimy być teraz solidarni.

— Dobrze, panie ministrze.

— Nawiasem mówiąc, gdzie się podziała ta banda nieudaczników? — Maheś Kapur rozejrzał się po kancelarii Urzędu Skarbowego. — Wysłałem ich godzinę temu — przesadził tutaj nieco — no i proszę! Jeszcze ich nie ma. Gdzie etyka zawodowa? Strata czasu. Nie dziwota, że nie najlepiej się w tym kraju dzieje... Tak? No, co tam? Proszę wejść, proszę wejść — powiedział w odpowiedzi na delikatne pukanie do drzwi.

Był to posłaniec z obiadem. Wyjmując z pudełka lekki lunch, Maheś Kapur pomyślał przez chwilę o swojej żonie, która, pomimo własnych niedomagań, zawsze starała się mu dogodzić. Brahmpurski kwiecień był dla niej prawdziwą męczarnią ze względu na katar sienny. Miała uczulenie na kwiaty drzewa nim, a z każdym rokiem odczuwała jego objawy coraz dotkliwiej. Czasami, kiedy drzewa nim były w rozkwicie, dostawała napadów duszności, podobnie jak Pran z powodu astmy.

Ostatnio zaś zamartwiała się dodatkowo romansem ich młodszego syna z Saidą Bai. Maheś Kapur mniej się tym frasował, ponieważ nie domyślał się, jak głębokie było to Manowe zadurzenie. On cierpiał za miliony, nie miał więc czasu, żeby się angażować w takie przyziemne rodzinne dramaty. Wcześniej czy później trzeba będzie przywołać Mana do porządku, myślał, ale na razie miał na głowie ważniejsze sprawy.

— Proszę się poczęstować. Na pewno oderwałem pana od obiadu — powiedział Maheś Kapur do Abdusa Salama.

— Dziękuję, panie ministrze, już jadłem. A co z naszym projektem ustawy? Posuwa się jakoś naprzód pana zdaniem?

— Hm, w zasadzie tak... przynajmniej na forum parlamentarnym, nie sądzi pan? Komisja ustawodawcza wprowadziła tylko drobne poprawki, więc powinien przejść, w tej wersji zmodyfikowanej, bez specjalnych trudności. No, ale oczywiście nigdy nic nie wiadomo. — Maheś Kapur otworzył pudełko z lunchem. — A, wspaniale! — ucieszył się. — Marynaty z kalafiora... Tylko, widzi pan, co będzie później, jak już ustawa wejdzie w życie? To mnie najbardziej niepokoi.

— Od strony prawnej chyba jesteśmy kryci — powiedział Abdus Salam. — Została gruntownie przemyślana. Pod tym względem trudno się będzie do czegokolwiek przyczepić.

— Tak pan uważa, Salam? A co z biharską ustawą o uwłaszczeniu obaloną przez Sąd Najwyższy w Patnie? — przypomniał mu Maheś Kapur.

— Nadmierny pesymizm, panie ministrze. Przecież brahmpurski Sąd Najwyższy nie musi brać przykładu z Sądu Najwyższego w Patnie. Jedyne orzeczenia Trybunału w Delhi mają w naszym stanie moc prawną.

— Teoretycznie tak — rzekł Maheś Kapur, marszcząc czoło. — Ale w praktyce każdy precedens wpływa na decyzje naszych rodzimych jurystów. Musimy jeszcze ten nasz projekt doszlifować, nawet teraz, tuż przed głosowaniem, żeby wytrącić opozycji oręż z ręki. Szczególnie w kwestii wypłaty zróżnicowanych odszkodowań.

Na chwilę zapadło milczenie. Wprawdzie minister miał głęboki szacunek dla swojego młodszego, kulturalnego i gruntownie wykształconego kolegi, ale nie spodziewał się po nim cudów i nie sądził, że ten na oczekaniu wpadnie na jakieś genialne rozwiązanie. Ale znając jego intelektualne możliwości i doświadczenie w dziedzinie prawa konstytucyjnego, wierzył, że z czasem coś wymyśli. I nie pomylił się, bo już po chwili Abdus Salam powiedział:

— Zaraz, zaraz, panie ministrze. Dopiero parę dni temu chodził mi po głowie pewien pomysł, ale muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Minister skarbu popatrzył na niego prawie z rozbawieniem i odparł:

— No to niech mi pan przyniesie ogólny zarys swoich idei dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem? — przeraził się Abdus Salam.

— Dziś wieczorem — potwierdził Maheś Kapur. — Nie ma na co czekać. Drugie czytanie już za pasem, więc jeśli da się coś jeszcze zrobić w tej sprawie, trzeba to zrobić od ręki.

— Wobec tego idę natychmiast do biblioteki — powiedział Abdus Salam, nadal wyraźnie oszołomiony. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze i dorzucił: — Może mógłbym poprosić szefa kancelarii, żeby przysłał mi do pomocy paru swoich ludzi? Nie od razu, może pod wieczór. A nie będzie mnie pan potrzebował na sali obrad w czasie dyskusji nad projektem?

— Nie, tamto jast dużo ważniejsze — odparł minister, wstając, żeby umyć ręce. — A poza tym dosyć pan już, jak na jeden dzień, narozrabiał publicznie w parlamencie.

Myjąc ręce, Maheś Kapur pomyślał o swoim starym przyjacielu, nawabie z Bajtaru: będzie jednym z tych, w których najbardziej uderzy ustawa o uwłaszczeniu. Jeśli zostanie ona zatwierdzona przez parlament, to dobra ziemskie wokół Bajtaru, w okręgu Rudhii, które prawdopodobnie stanowiły trzy czwarte jego dochodu, przejdą na własność stanu Parwa Pradeś, a on sam otrzyma bardzo skromne odszkodowanie. Dzierżawcy będą mieli prawo wykupu gruntów, które uprawiają, a jeśli wybiorą dzierżawę, to opłaty za użytkowanie ziemi wpływać będą nie do kasy nawaba sahiba, ale bezpośrednio do skarbu stanu Parwa Pradeś. Maheś Kapur przekonany był jednak o słuszności swoich decyzji politycznych. Chociaż jego własny okręg wyborczy był okręgiem miejskim, miał okazję przekonać się osobiście - — w okresie pobytu na własnej fermie w okręgu Rudhii — jak zgubny był dla rolnictwa feudalny system zamindarski. Obszarnicy nie byli zainteresowani modernizacją produkcji, a wskutek niskiej wydajności gospodarstw na wsi panował głód. Ubodzy, bezsilni wieśniacy harowali pod batem wszechwładnych ekonomów. Jeśli więc nawet paru szlachetnych ludzi, takich jak nawab sahib, ucierpi w wyniku tych przemian, trudno, tego wymaga dobro ogółu; zyskają na tym miliony drobnych dzierżawców.

Umywszy dłonie, Maheś Kapur wytarł je do sucha, skreślił parę słów na kartce do szefa kancelarii i udał się na salę obrad.

5.10

Rodowa rezydencja Bajtar, gdzie mieszkali nawab sahib i jego synowie, była jednym z najokazalszych budynków w Brahmpurze. Ciekawskich gości fascynowało jej ponure piękno: długa, jasnożółta fasada, ciemnozielone okiennice, arkady, wysokie sufity, ogromne zwierciadła, niezwykle solidne, surowe meble, kandelabry, olejne portrety zamieszkujących tu niegdyś arystokratycznych przodków i rozwieszzone w korytarzach oprawione w ramy fotografie upamiętniające wizyty różnych wysokich brytyjskich urzędników. Ostatnimi czasy, po wyjeździe dawnych mieszkańców do Pakistanu, niektóre

komnaty pałacu, opustoszałe, pokryte grubą warstwą kurzu, zdawały się gotowe do rozbiórki.

Swego czasu mieszkała tu również, wraz ze swoim mężem, młodszym bratem nawaba sahiba, begam Abida Chan, która dusiła się w przeznaczonych dla kobiet kwaterach i nigdy nie pogodziła się ze swoim losem, aż wreszcie, po latach walki, przemówiła mężowi do rozsądku i wyprosiła u niego pozwolenie na bardziej bezpośredni kontakt ze światem zewnętrznym. Szybko też zaangażowała się w życie społeczne i polityczne kraju. Po Podziale mąż begam Abidy Chan, jeden z jego najzagorzalszych zwolenników, niespokojny duch, zorientował się, że nie ma czego szukać w Brahmpurze, toteż wyjechał stamtąd, najpierw do Karaczi, a później do Iraku, gdzie postanowił się osiedlić na parę lat. Obawiał się bowiem, iż pobyt w Pakistanie może się okazać zgubny w skutkach dla jego hinduskich posiadłości oraz majątku żony, a poza tym, będąc człowiekiem wyjątkowo religijnym, traktował to jako rodzaj pielgrzymki i zwiedzał przy okazji miejsca święte dla szyitów. Odwiedził Indie jakieś trzy lata temu, ale nie zwierzał się nikomu ze swoich planów na przyszłość, co — ponieważ był bezdzietny — nie miało może rzeczywiście większego znaczenia.

Kwestia własności była tutaj niezupełnie jasna. W przeciwieństwie do Marhu, Bajtar nie był samorządnym księstwem, gdzie sukcesja przechodziła z ojca na najstarszego syna, lecz po prostu wielkim majątkiem ziemskim, leżącym w obrębie brytyjskich Indii, a podlegającym muzułmańskim prawom cywilnym i spadkowym. Podział włości po śmierci dziedzica lub rozpadzie rodziny był dopuszczalny, ale w praktyce nie stosowano go od pokoleń; wszyscy w końcu instalowali się na stałe w labiryncie brahmpurskiego pałacu albo w Baitar Fort, na prowincji, gdzie żyli może nie w wielkiej przyjaźni, ale całkiem zgodnie. A ze względu na ciągły ruch i przewijających się przezeń gości, święta, obrzędy i uroczystości zarówno w męskich, jak i w żeńskich kwaterach pałac brahmpurski zdawał się niegdyś stale tętnić życiem.

Ale wraz z Podziałem zaszły w nim poważne zmiany. Przestał być nagle ośrodkiem życia kulturalnego i rozrywki. Opustoszał. Krewniacy powyjeżdżali do Karaczi albo do Lahaur. Z trzech braci jeden zmarł, drugi się wyprowadził, a na miejscu pozostał tylko dobroduszny wdowiec, nawab sahib, który

spędzał coraz więcej czasu zamknięty w swojej bibliotece, zaczytany w poezji perskiej, historii starożytnego Rzymu albo też pochłonięty lekturą jakiejś innej książki, która wpadła mu akurat w oko tego właśnie dnia. Nad majątkiem ziemskim Bajtar, głównym źródłem jego dochodów, nadzór sprawował sprytny ekonom — munszi — który wolał, żeby pan dziedzic nie wtrącał się w jego pokątne interesy. Nad sprawami nie związanymi z zarządzaniem majątkiem ziemskim czuwał natomiast osobisty sekretarz nawaba sahiba.

Z biegiem lat, po śmierci żony, nawab sahib stał się mniej towarzyski. Myślał coraz częściej o śmierci i chciał spędzać jak najwięcej czasu ze swoimi synami, ale ci, teraz po dwudziestce, chociaż odnosili się do ojca z czułością, zajęci byli własnymi sprawami. Firoz był prawnikiem, a Imtiaz lekarzem. Kariera zawodowa, przyjaciele, miłostki (o których nawab sahib niewiele wiedział) — wszystko to pochłaniało im większość czasu. A jego ukochana córka, Zainab, oraz wnuki, rzadko tylko — raz na kilka miesięcy — przyjeżdżały w odwiedziny, o ile pozwolił im na to mąż i ojciec.

Czasami nawet brak mu było towarzystwa Abidy, kobiety, której tupet i nieskromność potępiał w głębi duszy. Begam Abida Chan, posłanka do parlamentu, nie chciała się podporządkować wymogom życia w zenanie i, przedkładając swobodę nad pałacowe wygody, zamieszkała w małym domku niedaleko parlamentu. Przekonana, iż w walce o słuszne i piękne — w jej pojęciu — ideały musi być agresywna, a jeśli trzeba to i nieskromna, uważała nawaba sahiba za nieudolnego oferwę. Prawdę mówiąc, nie miała również wysokiego mniemania o swoim mężu, którego oskarżała o tchórzostwo. Jej zdaniem wpadł w panikę i uciekł z Brahmpuru w czasie Podziału, a teraz włóczył się po Bliskim Wschodzie w religijnym zaślepieniu. I chociaż wybrała się nawet ostatnio do Bajtaru, żeby spotkać się ze swoją ukochaną bratanicą, Zainab, drażniła ją parda, którą musiała tam zachowywać, jak też krytyczne komentarze kobiet z zenany na temat jej stylu życia i konduity, więc też długo tam nie zabawiła.

Zresztą, niby co to była ta cała zenana? Mauzoleum tradycji, wygasłych miłości i rodzinnych dziejów. Z całej tej niegdyś licznej i gwarnej gromadki pozostały tylko dwie stare ciotki nawaba sahiba i wdowa po jego drugim bracie, nikt więcej. W rezydencji Bajtar nie było dzieci, z wyjątkiem tych, które

przyjeżdżały w odwiedziny: małych wnuków nawaba sahiba, z których jeden miał lat sześć, a drugi trzy. Uwielbiali przyjeżdżać do Bajtaru i do Brahmpuru, ponieważ w wielkim, starym dworze czekało na nich zawsze mnóstwo atrakcji, takich na przykład jak prześlizgujące się pod drzwiami zaryglowanych i pustych pokoi mangusty, i ponieważ wszyscy ich tutaj rozpieszczali: Firoz mamu i Imtiaz mamu, i „stare sługi”, aż po kucharzy. A poza tym ich mamusia ożywiała się tutaj i robiła wrażenie dużo szczęśliwszej niż w domu.

*

Nawab sahib nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano, kiedy pogrążony był w lekturze, ale dla swoich wnuków robił zawsze wyjątek. Hassan i Abbas mogli wyczyniać w domu, co im się żywnie podobało. Zawsze go potrafili rozweselić, w jakimkolwiek by był nastroju, i nawet kiedy szukał ucieczki od codzienności w historycznych eposach, nie miał im wcale za złe, jeśli sprowadzali go na ziemię, starając się za wszelką cenę zwrócić na siebie jego uwagę i odciągnąć od lektury. Podobnie jak reszta domu, biblioteka niszczała z każdym rokiem. Wspaniałe zbiory, gromadzone najpierw przez jego ojca, a uzupełniane później regularnie przez trzech braci, z których każdy miał inne gusta i zainteresowania, umieszczona była w godnej siebie wspaniałej, widnej sali o ogromnych oknach i przytulnych niszach. Ubrany w świeżo wykrochmaloną kurtę-padżamę, pogryzioną chyba przez mole (choć, jak im się udało po wygryzać takie idealnie kwadratowe dziurki?), nawab sahib siedział tego ranka w jednej z nisz, przy okrągłym stole, zaczytany w *Zapiskach na marginesie lorda Macaulaya*, w opracowaniu siostrzeńca autora, G.O. Trevellyana.

Komentarze Macaulaya na temat Szekspira, Platona i Cicerona były zarówno cięte, jak i wnikliwe, a redaktor uznał najwyraźniej, iż marginesowe notatki jego słynnego wuja zasługują na publikację.

Pisał z nie ukrywanym zachwytem: „Z całym szacunkiem dla poezji Cyce-rona, Macaulay ogłędnie dzielił ją na złą i nieco lepszą”, co wywołało uśmiech na twarzy nawaba sahiba.

„Ale, w końcu”, rozmyślał nawab sahib, „co jest warte poświęcenia, a co nie? To schyłek naszej ery, ery zamindarów. Czy mam strawić resztę życia, zwalczając mole, które lęgną się między kartami ksiąg? Albo wdając się w bezsensowne spory polityków? Albo wyklócając z dzierżawcami? Z własnym zięciem? Z Abidą? Świat idzie naprzód; nie mam sił, żeby się temu przeciwstawiać. Każdy z nas otrzymuje swój maleńki przydział życia, a potem obraca się w proch. Może gdybym miał takiego słynnego wuja, to też spędziłbym parę lat, wyszukując, a potem publikując jego zapiski na marginesie”.

Wreszcie zamyślił się nad losem pałacu Bajtar, który ustawa o uwłaszczeniu niechybnie doprowadzi do ruiny, kiedy dochody z majątku przestaną wpływać do kasy. Już teraz podobno trudno było wydebić od dzierżawców ustalony czynsz gruntowy. Narzekali, jak powiadał munszi, na ciężkie czasy, ale tak naprawdę wykorzystywali zmiany zachodzące w stosunkach własnościowych na wsi. A najgłośniej odzywali się ci, których nawab sahib zawsze traktował łaskawie — ba!, których nie raz wynagradzał, i to hojnie. Widocznie nie mogli mu wybaczyć tego, że potrafił być wielkoduszny. Co się stanie, kiedy go zabraknie? Przyszło mu na myśl, że chociaż całe życie parał się literaturą urdyjską, sam nigdy nie napisał żadnego utworu, nawet jednego dwuwiersza, który miałby szansę przejść do potomności. Poza Brahmpurem traktuje się Masta z lekceważeniem, ale nawet jego najzgorzalsi krytycy potrafią wyrecytować z pamięci strofy gazeli, które wyszły spod jego pióra. Nagle drgnął, uświadomiwszy sobie, że nie wydano dotąd żadnego opracowania poezji Masta. W snopie światła, które padało na stół, tańczyły drobnuteńkie pyłki kurzu. Nawab sahib utkwiał w nich wzrok i dalej snuł w myślach refleksje: „A może tym się właśnie teraz powinienem zająć, skoro i tak nie mam nic lepszego do roboty? Dałoby mi to wiele satysfakcji”.

Powrócił do przerwanej lektury Macaulaya, delektując się jego bezlitośnie wnikliwą analizą osobowości Cycerona, tego parwenu-sza, marionetki w rękach magnaterii, który pomimo swej obłudy, pychy i podłości był jednak bez wątpienia człowiekiem „wielkim”. Uwagę nawaba sahiba, który często ostatnio rozmyślał o śmierci, przykuł następujący komentarz Macaulaya: „Pewien jestem, że skazany jest po wsze czasy na towarzystwo zdrajców z Triumwiratu”.

Pomimo iż książka posypana była białym proszkiem ochronnym, z jej grzbietu wypełznął mól i wślizgnął się w snop światła na okrągłym stole. Nawab sahib przyglądał mu się przez chwilę, a potem pomyślał o młodym człowieku, który już miesiąc temu z takim entuzjazmem zgodził się do pracy w bibliotece, obiecując, że przyjedzie do Bajtaru, ale wszelki śluch po nim zaginął. Co się z nim mogło stać? Zamknął książkę, potrząsnął nią, a potem otworzył ponownie na chybił trafił i czytał dalej, jakby ten nowy ustęp był bezpośrednią kontynuacją przerwanoego uprzednio rozdziału:

Za prawdziwą perłę wśród zgromadzonych przez siebie pism uważał odpowiedź Cezara na list Cyncerona, w którym ten wyraża wdzięczność za miłosierdzie, jakie zwycięzca okazał swoim politycznym przeciwnikom zdruzgotanym po upadku Corfinium. Jedno zdanie szczególnie sobie Macaulay upodobał, uznawszy je za kwintesencję życiowej mądrości:

„Rad, że zwycięsko wyszedł z tej utarczki, cieszę się przecie i dlatego jeszcze, iż moja decyzja zyskała aprobatę w twoich oczach, panie; zaprawdę, nie spędzą mi snu z powiek trwoga, że ci, którym darowałem i wolność, i życie przeciw mnie znowu niechybnie zbrojnie powstaną; bo też wartość swoją znam, a im ni przymiotów ducha, ni rozumu nie zazdroszczę”.

Nawab sahib przeczytał to zdanie kilka razy. Zatrudnił kiedyś prywatnego korepetytora, żeby się poduczyć łaciny, ale nie poczynił w tej dziedzinie zadowalających postępów. Domyślał się jednak, że skoro nawet po angielsku słowa te miały fenomenalną moc, w oryginale ich wydźwięk moralny musiał być o wiele głębszy. Medytował tak nad stylem, jak również znaczeniem cytatu i dopiero dziesięć minut później ostre szarpnięcie za poję padzamy wyrwało go z zamyślenia.

To młodszy z wnuków, Abbas, uczeplił się go obiema rączkami. Nawab sahib nie zauważył jego wtargnięcia i teraz zwrócił się ku niemu zaskoczony, ale jednocześnie uradowany. Za plecami Abbasa stał jego sześciolatek brat, Hassan, a za nim stary sługa, Ghulam Rasul.

Sługa poinformował nawaba sahiba, że w małym pokoju przylegającym do kwatery córka czeka już na niego z obiadem. Przeprosił również, że pozwolił chłopcom wślizgnąć się do biblioteki, podczas kiedy nawab sahib porażony był w lekturze.

— Ale, sahib, napierali się i nie mogłem im tego wybić z głowy. Nawab sahib skinął głową ze zrozumieniem i bez żalu oderwał się od Macaulaya i Cyncerona, poświęcając od tej chwili całą swoją uwagę Hassanowi i Abbasowi.

— Gdzie będziemy dzisiaj jedli, Nana-dżan? Przy stole czy na podłodze?
— zapytał Hassan.

— Nie ma nikogo obcego... więc chyba na dywanie — odparł dziadek.

— O, to dobrze — odetchnął z ulgą Hassan, który nie lubił, kiedy nogi dyndały mu wysoko ponad podłogą.

— A co jest w tym pokoju, Nana-dżan? — zapytał trzyletni Abbas, kiedy przechodzili korytarzem obok pokoju z wielkim mosiężnym zamkiem.

— Jak to co? Mangusty — odparł jego starszy brat ze znajomością rzeczy.

— Ale co jest w środku? — nalegał Abbas.

— Chyba dywany — wyjaśnił nawab sahib. — To taki skład. — A potem, zwracając się do Ghulama Rasula, zapytał: — Co tam jest?

— Sahib, jeśli się nie mylę, nikt nie zaglądał do tego pokoju już od paru lat. Inwentarz znajduje się u Murtazy Alego. Powiem mu, żeby go panu przedstawił.

— Nie, nie, nie trzeba. — Nawab sahib pogładził się po brodzie, usiłując przypomnieć sobie, czyj to był kiedyś pokój (o dziwo, wyleciało mu to zupełnie z pamięci). — Najważniejsze, żeby wszystko było spisane w rejestrze — powiedział.

— Nana-dżan, opowiedz nam historię o duchach! — zawołał Hassan, szarpiąc dziadka za poję padzamy prawą ręką.

— O duchach — zawtórował mu Abbas, który na ogół zgadzał się z pomysłami starszego brata, nawet jeśli nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodziło. — Historię o duchach.

— Wykluczone — powiedział nawab sahib. — Jeszcze się wystraszycie i potem nie będziecie jeść obiadu. Znam tylko mrozące krew w żyłach opowieści.

— Nie wystraszymy się — zapewnił go Hassan.

— Nie wystraszymy — poparł go znowu Abbas.

Doszli wreszcie do niewielkiej izby, gdzie córka nawaba czekała na nich z obiadem. Nawab sahib uśmiechnął się na jej widok, nalał z dzbana do miednicy trochę zimnej wody i umył ręce, a potem opłukał również dłonie wnuków. Następnie usadził ich na podłodze, każdego przy własnym niewielkim, zastawionym jadłem thali.

— Zgadnij, o co mnie molestują twoi synowie — zwrócił się nawab sahib do córki.

Zainab skarciła swoje pociechy za złe zachowanie.

— O nic — powiedział Hassan naburmuszony.

— O nic — powtórzył za bratem jak echo Abbas słodkim, dziecięcym głosem.

Zainab popatrzyła na ojca z czułością, wspominając, jak dawniej, w czasach swojego dzieciństwa, ona również czepiała się jego rąk, wypraszając u dobrotliwego taty łaski, których odmówiłaby z pewnością stanowcza matka. Siedział na dywaniku przy srebrnym thali, równie prosto jak za dawnych lat, ale zapadłe policzki i maleńkie, wygryzione przez mole kwadratowe dziurki na nieskazitelnie wykrochmalonej kurcie przepęłniły jej serce nagłą czułością. Od śmierci matki minęło dziesięć lat — jej własne dzieci, Hassan i Abbas, znały ją tylko z fotografii i opowiadań — ale owdowiały ojciec posunął się w latach, jakby od tamtej pory upłynęło dwa razy więcej czasu.

— O co cię molestują, Abba-dżan? — zapytała Zainab z uśmiechem.

— Chcą, żebym im opowiedział historię o duchach — rzekł nawab sahib. — Tak samo jak dawniej ty, pamiętasz?

— Ale ja nigdy nie domagałam się takich rzeczy przy obiedzie — rzekła Zainab. A potem zwróciła się do dzieci: — O duchach? Nie ma mowy! Ab-

bas, przestań grymasić przy jedzeniu. Jak będziecie grzeczni, to może opowiemy wam bajkę na dobranoc.

— Nie na dobranoc! Teraz! — odął się jeszcze bardziej Hassan.

— Hassan! — powiedziała jego matka ostrzegawczo.

— Teraz, teraz! — rozbeczał się na dobre Hassan.

Nawab sahib, zatroskany nieposłuszeństwem swoich wnuków, zwrócił im uwagę, że nie powinni się tak odzywać do matki. Grzeczne dzieci, podkreślił z naciskiem, tak się nie zachowują.

— Mam nadzieję, że przynajmniej słuchają ojca. — Była to pod ich adresem bardzo łagodna wymówka, ale tymczasem zauważył, że na te słowa w oczach córki zakręciły się łzy.

— O co chodzi? O co chodzi? — pytał bez zastanowienia, przytulając ją do siebie, ale po chwili zorientował się, że nie powinien pytać o to przy dzieciach. Zresztą, już wcześniej doszły go słuchy, że w małżeństwie córki nie wszystko układa się najlepiej.

— Nic, nic, Abba-dżan. Po prostu jestem trochę zmęczona.

Nie wypuszczał jej z objęć, dopóki się nie uspokoiła, a dzieci, które początkowo zdawały się zaskoczone reakcją matki, szybko zapomniały o tym nieprzyjemnym epizodzie, zajęte pałaszowaniem swoich ulubionych przysmaków. Ona sama zaś zabrała się do karmienia maluchów, szczególnie młodszego, Abbasa, który rozbabrał na talerzu cały nan. Serce nawaba sahiba ścisnęło się z żalu, kiedy tak patrzył z miłością na tę trójkę. Zainab była drobna, podobnie jak matka, i po niej też odziedziczyła wiele gestów i mimikę. Jej pieszczoty, a także upomnienia, przypominały mu podstępny, którymi kiedyś jego żona starała się nakłonić Firoza i Imtiazę do jedzenia.

Jak na zawołanie w drzwiach pokoju pojawił się Firoz. I Zainab, i dzieciaki ucieszyły się ogromnie na jego widok.

— Firoz mamu, Firoz mamu! — przekrzykiwali się chłopcy. — Gdzie byłeś? Dlaczego nie jadłeś z nami obiadu?

Najwyraźniej jednak Firoz nie był w nastroju do zabawy. Strapiony, położył rękę na głowie Hassana i powiedział:

— Abba-dżan, twój munszi chce się z tobą koniecznie zobaczyć. Przyjechał aż z Bajtaru.

— A po co? — zapytał niechętnie nawab sahib, niezadowolony, że intruz zabierze mu cenny czas, kiedy on wolałby się cieszyć towarzystwem córki.

— Chce, żebyś pojechał z nim na wieś, do majątku. Podobno zanosi się tam na jakąś rozróbę.

— Na jaką znowu rozróbę? — burknął nawab sahib, który nie lubił tłuc się godzinami dżipem po wertepach, szczególnie w kwietniu, przy takim upale.

— Lepiej sam z nim pogadaj — powiedział Firoz. — Ten twój munszi... Dobrze wiesz, co o nim myślę. Jeśli uznasz, że powinienem pojechać z tobą albo zamiast ciebie, to nie ma sprawy. Pozałatwiałem, co miałem do załatwienia. Aha, umówiłem się wprawdzie z jednym klientów, ale jego sprawa będzie rozpatrywana w sądzie dopiero za jakiś czas, więc mogę to przełożyć.

Nawab sahib wstał z ciężkim westchnieniem, umył ręce i wyszedł z pokoju.

W poczekalni dowiedział się od munszi, z którym rozmawiał bardzo oschle, że chodziło właściwie o dwie sprawy. Pierwsza, najważniejsza, to pieniądze. Trudno było ostatnio wyegzekwować od chłopów należności za dzierżawę. Nawab sahib nie lubił przymusu, natomiast munszi rozprawiał się z opieszałymi płatnikami, nasyłając na nich miejscowych zbirów. Tak czy owak, dochody z dzierżawy topniały i munszi uważał, że jedynie sam pan dziedzic, we własnej osobie, może jeszcze zaradzić sytuacji. Na ogół cwaniak wolał trzymać go z daleka od zarządzania własnym majątkiem, ale w obliczu zagrożenia odstąpił od tej zasady i przyprowadził nawet ze sobą miejscowego gospodarza, który potwierdził jego relację i w imieniu swoim oraz innych okolicznych właścicieli ziemskich również poprosił nawaba sahiba o pomoc.

Po krótkiej dyskusji, w której munszi wyłuszczył również drugą sprawę, dotyczącą lokalnej madrasy, czyli szkoły, nawab sahib powiedział:

— Mam jeszcze dzisiaj po południu parę rzeczy do załatwienia. Ale porozmawiam o tym z synem. Proszę, poczekajcie tu na mnie, panowie.

Firoz poradził, żeby ojciec pojechał jednak do Bajtaru, choćby po to, żeby sprawdzić, czy munszi nie okrada go na prawo i lewo. Zaoferował, że wybierze się razem z nim i przy okazji przejrzy rachunki. Być może będą się tam

musieli zatrzymać na noc albo nawet i dwie, więc lepiej będzie, jak pojedą we dwóch. Zainab, której nawab sahib nie chciał zostawiać samej w domu, przyjęła wiadomość o wyjeździe ojca spokojnie, chociaż smutno jej było się z nim rozstawać.

— Przecież wrócisz już jutro albo pojutrze, Abba-dżan, a ja zostanę tu jeszcze przez cały tydzień. A jutro wraca Imtiaz, więc wszystko będzie dobrze. Nie martw się o mnie, Abba-dżan, dam sobie radę. Przecież jestem u siebie w domu: spędziłam tu większość życia. — Uśmiechnęła się. — To, że jestem mężatką, niczego nie zmienia; potrafię o siebie dbać. Będę miała więcej czasu na plotki w zenanie, i — w zastępstwie — opowiem dzieciom historię o duchach.

Pomimo niepokoju, jaki odczuwał (właściwie bez żadnej wyraźnej przyczyny), nawab sahib posłuchał dobrej rady i godzinę później był już w drodze do Bajtaru. Przed wyjazdem uściskał mocno córkę, ale z wnukami się nie pożegnał, ponieważ leżakowali właśnie, jak zwykle po obiedzie.

5.12

Nadszedł wieczór. Pałac Bajtar pograżył się w mroku. Wyglądało, jakby nikt już od dawna w nim nie mieszkał; i rzeczywiście, połowa domu stała pusta, nie było więc też potrzeby zapalać w tej części światła. Służba nie wносиła tu, jak za dawnych lat, ani lamp, ani świec; nikt też nie włączał elektryczności. Tego właśnie wieczoru nawet okna pokoi nawaba sahiba, Firoza i Imtiazza oraz przeznaczonej dla gości sypialni były zupełnie ciemne, tak że z ulicy dom zdawał się kompletnie opustoszały, tym bardziej że kwatery zenany, w których trwała codzienna krzątanina i skąd dochodziły głośne rozmowy, znajdowały się z tyłu domu, od strony dziedzińca.

Nie było jeszcze całkiem ciemno. Malcy poszli spać. Cały poprzedni dzień spędzili w podróży do Brahmuru, a potem podnieceni nie chcieli się położyć aż do dziesiątej. Ale dzisiaj, o dziwo, dosyć szybko pogodzili się z wyjazdem

dziadziusia i przed snem wysłuchali historii o duchach, którą opowiedziała im mama.

Zainab wolałaby usiąść z książką w rękę, ale postanowiła spędzić wieczór w towarzystwie owdowiałych ciotek. Wszystkie te kobiety, które znała od dzieciństwa, całe swoje życie — odkąd ukończyły lat piętnaście — spędziły podporządkowane pardzie, najpierw w domu ojców, a potem mężów. Podobnie zresztą jak i ona, chociaż Zainab uważała, że ze względu na swoje wykształcenie lepiej od nich orientuje się w sprawach szerokiego świata. W przeciwieństwie do Abidy Chan, która dusiła się w tej atmosferze pobożności, myślowych dogmatów i przyziemnych pogaduszek, one przystosowały się bez trudu do życia w zenanie; obce im były troski o rację stanu, interesowały je natomiast wydarzenia z życia krewnych i znajomych, święta, posiłki, przedmioty codziennego użytku, ozdobne bibeloty — i właściwie nic poza tym. Zresztą, nie były przecież kompletnie odcięte od świata, ale widziały go przez pryzmat spraw rodzinnych, codziennych — inaczej niż ludzie obcy w towarzystwie. Informacje, które otrzymywały z drugiej ręki — a także te, których same udzielały — wymagały wnikliwej, dogłębnej interpretacji. Zainab szanowała wartości moralne, w których została wychowana; przedkładała subtelność, elegancję oraz konwenanse swojej klasy ponad przemijające mody świata zewnętrznego. Jej ciotki, uważała, żyły pełnią życia, chociaż w odosobnieniu. Nie zbywało im wcale na przenikliwości i rozwadze tylko dlatego, że od młodości widywały jedynie mężczyzn ze swojej rodziny i znały wyłącznie swoje cztery kąty. Lubiła je, lubiła z nimi rozmawiać i wiedziała, że cieszyły się, kiedy mogły ją — rzadko niestety — zobaczyć. Ale tym razem wolałaby uniknąć wspólnego plotkowania, ponieważ wiedziała, że zaczną ją wypytywać o rzeczy, które sprawią jej ból. Każda wzmianka o mężu będzie jej przypominała, że ją zdradza (o czym dowiedziała się dopiero niedawno i co zraniło ją dotkliwie). Wezmą ją na spytki na najbardziej intymne tematy, a ona będzie musiała przed nimi udawać, że wszystko jest w porządku.

Zainab siedziała właśnie z nimi od paru minut, kiedy do pokoju wpadły dwie roztrzęsione służące i bez wstępnych grzeczności wyrzuciły z siebie:

— Policją... policja dobija się do drzwi...

A potem wybuchnęły płaczem, płacząc się w wyjaśnieniach, tak że trudno się było czegokolwiek od nich dowiedzieć.

Wreszcie Zainab udało się uspokoić nieco jedną z nich i wydobyć z niej, o co chodzi policji.

— Chcą zająć dom — wykrztusiła z siebie dziewczyna i ponownie zalała się łzami.

Zaskoczone kobiety popatrzyły z przerażeniem na rozdygotaną dziewczynę, która wycierała oczy rękawem.

— *Hai, hai!* — zakrzyknęła jedna z ciotek w żalosnej rozpacz. — I co teraz zrobimy? Nikogo nie ma w domu.

Zainab, sama również oszołomiona takim obrotem sprawy, zaczęła się zastanawiać, co uczyniłaby jej matka, gdyby nie było nikogo w domu... to znaczy, gdyby nie było w domu żadnego mężczyzny. Potem, wzięwszy się w garść, zaczęła szybko wypytywać służącą:

— A gdzie oni są, ci policjanci? Weszli już do środka? I gdzie jest Murtaza Ali? Dlaczego chcą zająć dom? Munki, usiądź i przestań histeryzować, bo nie rozumiem, co do mnie mówisz. — Potrząsała biedną dziewczyną raz po raz, pocieszając ją jednocześnie, ale udało się jej dowiedzieć tylko tyle, że młody Murtaza Ali, osobisty sekretarz ojca, stał na trawniku przy wjeździe do pałacu, rozpaczliwie starając się odwieść policjantów od wykonania rozkazu. Fakt, że oficer dowodzący grupą policjantów był sikhem, dodatkowo przeraził i tak już wystraszoną służącą.

— Munki, posłuchaj — powiedziała Zainab. — Muszę pomówić z Murtazą.

— Ale...

— Niech Ghulam Rasul albo jakiś inny służący powie Murtazie Alemu, że chcę z nim porozmawiać, i to jak najszybciej. Idź, musisz to jakoś zorganizować.

Ciotki popatrzyły na nią zaszokowane.

— Aha, i zanieś Rasulowi tę karteczkę. Niech ją poda komendantowi, czy jak tam się nazywa ten ich dowódca.

A na karteczce Zainab napisała po angielsku:

Szanowny Panie Komendancie,

mojego ojca, nawaba z Bajtaru, nie ma w tej chwili w domu, a ponieważ — zgodnie z prawem — żadne postępowanie wykonawcze nie może być podjęte bez jego wiedzy, proszę, aby wstrzymał pan to najście. Chciałabym porozmawiać jak najprędzej z Mr Murtazą Alim, osobistym sekretarzem mojego ojca, i proszę, aby zechciał pan łaskawie umożliwić mi to spotkanie. Pragnę również podkreślić, że zbliża się pora wieczornej modlitwy i że nagle wtargnięcie do tej rodowej rezydencji, kiedy jej domownicy oddają cześć Panu Bogu, z pewnością nie przysporzy panu szacunku ludzi dobrej woli.

Z poważaniem Zainab Chan

Munni zabrała karteczkę i wyszła z pokoju, dalej pochlipując, ale nieco pocieszona. Unikając spojrzeń swoich ciotek, Zainab kazała drugiej dziewczynie, która także nieco się wreszcie uspokoiła, sprawdzić, czy Hassan i Abbas nie obudzili się czasem przez to całe zamieszanie.

5.13

Przeczytawszy karteczkę Zainab, zastępca nadinspektora policji (który dowodził oddziałem policjantów skierowanym do Bajtaru z rozkazem zajęcia rezydencji) zaczerwienił się po uszy, wzruszył ramionami, zamienił jeszcze parę słów z osobistym sekretarzem nawaba sahiba i — zerknąwszy prędko na zegarek — powiedział:

— Dobrze, no, niech będzie: pół godziny.

Nie zamierzał odstąpić od wykonania rozkazu, który był jasny, niedwuznaczny, ale ponieważ „stanowczość popłaca, bezwzględność się mści” (to była jego życiowa dewiza), więc też uznał, że półgodzinna zwłoka nikomu w tym przypadku nie zaszkodzi.

Zainab kazała dwóm młodym służącym otworzyć drzwi, które oddzielały zenanę od mardany, i zawiesić w poprzek prześcieradło. Potem pomimo okrzyków zgorszenia w stylu „tobas” i tym podobnych, którymi ciotki starały się odwieść ją od tego zamiaru, kazała Munki przekazać Murtazie Alemu przez jednego ze służących, że może już stanąć po drugiej stronie prześcieradła. Młody człowiek, któremu nie śniło się nawet, że kiedykolwiek w życiu będzie zmuszony zbliżyć się do tych drzwi, zatrzymał się teraz obok zażenowany, z rumieńcem na twarzy.

— Murtaza sahib — zaczęła cicho mówić Zainab w urdu, językiem starannym, ale prostym, niewyszukanym. — Przede wszystkim chcielibyśmy pana przeprosić, że narażamy pana na takie nieprzyjemności. Zapewniamy pana, że i dla nas niełatwa to decyzja. Wiemy, że jest pan bardzo uczciwym, przyzwoitym człowiekiem i rozumiemy pańskie skrepowanie. Ale w tej sytuacji nie widzimy innego wyjścia. Uznaliśmy, że to ostatnia deska ratunku, proszę mi więc wybaczyć i nie myśleć o mnie źle z tego powodu.

Podświadomie używała raczej pierwszej osoby liczby mnogiej zamiast pojedynczej, do której była przyzwyczajona. W języku potocznym obie formy były do przyjęcia, ale ponieważ w liczbie mnogiej nie było różnicy pomiędzy rodzajem męskim i żeńskim, rozładowywało to troszeczkę — chociaż tylko troszeczkę — napięcie spowodowane tą nieoczekiwaną naradą, która odby-

wała się z konieczności na granicy pomiędzy mardaną i zenaną, co tak zaszkodziło konserwatywnym ciotki. Oprócz tego liczby mnogiej używała zazwyczaj osoba stojąca wyżej w hierarchii społecznej, tak że z podtekstu tej rozmowy wyczytać można było od razu, kto podejmować będzie ostatecznie wszystkie decyzje, co pozwoliło Zainab pokryć nieco własne zmieszanie i wydawać polecenia rzeczowo i otwarcie.

Jako kulturalny młody człowiek Murtaza Ali mówił stylem bardziej kwiecistym:

— Nie masz mnie pani za co przepraszać, wierzaj mi. Przykro mi tylko, że przypadło mi w udziale takie nieprzyjemne zadanie i że nie mogę ci, pani, przynieść weselszych wiadomości.

— Czy mógłby pan wobec tego wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi? Co tu robi policja?... Tu, w domu mojego ojca? I czy to prawda, że chcą zająć dom? Na jakiej podstawie?

— Begam sahiba, sam nie wiem, od czego zacząć. Policja chce zająć dom. Mieli zamiar wtargnąć tu bezzwłocznie, ale zastępca nadinspektora przeczytał pani list i postanowił dać nam trochę czasu. Ale tylko pół godziny. Mają nakaz. Zgodnie z poleceniem wydanym przez komisarza do spraw wysiedleńców oraz ministra spraw wewnętrznych chcą nałożyć sekwestr na dom, to znaczy na te jego części, które nie są aktualnie zamieszkane, pod pretekstem, że dawni właściciele wyprowadzili się na stałe do Pakistanu.

— Zamierzają wtargnąć również do zenany? — zapytała Zainab, starając się opanować drżenie głosu.

— Tego nie wiem, niestety, begam sahiba. Powiedział: „Wszystkie części, które nie są aktualnie zamieszkane”.

— A skąd on wie, że jest tyle wolnego miejsca? — zapytała Zainab.

— Niestety, begam sahiba, to żadna tajemnica; wszyscy o tym wiedzą. Wmawiałem mu, że to nieprawda, ale w oknach wszędzie ciemno, więc mi nie uwierzył. Tym bardziej że ani nawaba sahiba, ani nawabzadów nie ma akurat w domu.

Zainab milczała przez chwilę. Potem powiedziała:

— Murtaza sahib. Nie pozwolę ograbić się z tego, co należało do mojej rodziny od pokoleń. Musimy skontaktować się natychmiast z Abidą ćaci. Ona

nie dopuści do takiego rozboju. I z ministrem skarbu, Kapurem sahibem, który jest starym przyjacielem rodziny. Proszę to dla nas zrobić. Tu, w zenanie, nie ma telefonu.

— Naturalnie. Uczynię to bez zwłoki. Modłę się tylko w duszy, żebym się mógł dodzwonić.

— Niestety, chyba będzie pan musiał dziś wieczorem odstąpić od tradycji. Wygląda na to, że nie będzie miał pan czasu na modlitwę — powiedziała Zainab z uśmiechem, który dało się słyszeć w jej głosie.

— Cóż, nie ma innej rady — odparł Murtaza Ali zdziwiony, że i on zdobył się w takiej nieprzyjemnej chwili na uśmiech. — Pójdę już, żeby porozumieć się jak najprędzej z ministrem skarbu.

— Niech pan wyśle po niego samochód... Albo nie, chwileczkę... — rzekła Zainab. — Samochód może się nam przydać. Proszę dopilnować, żeby był gotowy w razie potrzeby. — Zamyśliła się na sekundę, która wydawała się Murtazie Alemu nieskończenie długa, a potem zapytała: — Kto ma klucze do pałacu? To znaczy do pustych komnat?

— Klucze od zenany są u...

— Nie, to nieważne. Okna tych pokoi nie wychodzą na ulicę... Kto ma klucze do pokoi w mardanie?

— To zależy. Część z nich jest u mnie, część u Ghulama Rasula, a niektóre nawab sahib wziął chyba ze sobą do Bajtaru.

— Więc proszę posłuchać — powiedziała Zainab spokojnie. — Czas ucieka. Niech pan każe wszystkim służącym, lokajom i pokojówkom zapalić wszystkie świece, kaganki, lampy... co się da. Trzeba oświetlić każdy pokój, którego okna wychodzą na ulicę... Rozumie pan?... Każdy bez wyjątku. Nawet te, do których na ogół nie wolno wchodzić służbie bez zezwolenia. I nawet jeśli trzeba będzie wyważyć zamki albo i całe drzwi...

Murtaza Ali nie zaoponował. Zrozumiał błyskawicznie — i chwalała mu za to — że nie ma innego wyjścia. W drastycznych sytuacjach trzeba uciekać się do nie mniej drastycznych środków.

— Z ulicy musi wyglądać, że dom jest w pełni zamieszkały, nawet jeśli zastępca nadinspektora ma powody podejrzewać, że jest inaczej. Może uzna to za dostateczny powód, żeby się wycofać z honorem.

— Sam wszystkiego dopilnuję, begam sahiba — powiedział Murtaza Ali, podziwiając w duszy pomysłowość i odwagę tej kobiety o aksamitnym głosie, której nigdy nie widział i nigdy na pewno nie zobaczy.

— Znam ten dom od podszewki — mówiła dalej Zainab. — W przeciwieństwie do moich ciotek urodziłam się tutaj i wychowałam. I chociaż teraz nie wychodzę poza obręb zenany, pamiętam dobrze, co gdzie jest. A rozkład domu przecież się nie zmienił. Mamy bardzo mało czasu, pomogę więc przy oświetlaniu komnat. Wiem, że mój ojciec to zrozumie, a opinie innych na ten temat są mi zupełnie obojętne.

— Nie, nie, błagam panią, proszę tego nie robić, begam sahiba — zaklinał ją rozpaczliwie Murtaza Ali z przerażeniem w głosie. — Może uda się pani znaleźć jakieś lampy czy świece w zenanie. Nietrudno będzie je przenieść na tę stronę. Ale proszę nie opuszczać zenany. Sam się wszystkim zajmę. Polecenia pani zostaną starannie wykonane. Niech Bóg czuwa nad pani domem i rodziną, begam sahiba. — Iz tymi słowami wyszedł.

Zainab zatrzymała przy sobie Munni, drugą zaś dziewczynę wysłała po lampy. Kazała jej pozapalać wszystkie, jakie tylko znajdzie, i zanieść je do mardany. Potem wróciła do swojego pokoju i usiadła przy uśpionych maluchach. „Nie pozwolę, żeby wasz świat legł nagle w gruzach. Będę bronić waszej spuścizny i historii waszego rodu”, myślała, głaszcząc po głowie młodszego synka. Hassan, z którego na ogół był wielki ponurak, uśmiechał się błogo przez sen, przytulony do młodszego brata. W sąsiednim pokoju ciotki modliły się na głos chórem.

Zainab zamknęła oczy, odmówiła fatihę i usiadła wyczerpana. Potem przypomniała sobie jakąś dawną rozmowę z ojcem, zamyśliła się nad jego słowami, a po chwili zaczęła pisać na brudno następny list.

Kazała Munni obudzić chłopców i ubrać ich jak najszybciej w wyjściowe ubranka (Abbasa w maleńką, białą kurtkę, a Hassana w białą angarkę) oraz haftowane czapeczki.

Kwadrans później, nie otrzymawszy żadnej wiadomości od Murtazy Alego, wysłała po niego służącą, a kiedy zjawił się na jej wezwanie, zapytała:

— Wszystko gotowe?

— Tak, begam sahiba. Dom wygląda teraz na zamieszkany, we wszystkich oknach palą się światła.

— A co z Kapurem sahibem?

— Niestety, nie udało mi się porozumieć z nim ani telefonicznie, ani za pośrednictwem Mrs Maheś Kapur. Prawdopodobnie, pomimo późnej godziny, pracuje u siebie w ministerstwie. Ale telefon w jego biurze nie odpowiada.

— A Abida ćaci?

— Jej telefon jest chyba zepsuty. Skreśliłem do niej parę słów i właśnie dopiero co skończyłem. Dlatego to tak długo trwało. Przepraszam za tę opieszałość.

— Murtaza Ali, i tak pan już zdziałał cuda. Chciałabym teraz przeczytać panu list, który napisałam. Może trzeba będzie wnieść jakieś poprawki. Bardzo proszę o radę.

Czytanie nie zajęło wiele czasu, ponieważ list był króciutki, długości zaledwie ośmiu linijek. Murtaza Ali poprosił parę razy o dodatkowe wyjaśnienia i zaproponował drobne zmiany, które Zai-nab wprowadziła do brudnopisu, a potem przepisała cały list na czysto.

— Hassan i Abbas — powiedziała do swoich synów, którzy nadal przecierali zaspane oczka, nie bardzo rozumiejąc, co to za dziwna, zupełnie nowa, nieoczekiwana zabawa. — Murtaza sahib zabierze was teraz ze sobą. Musicie go słuchać, dobrze? Wasz Nana-dżan będzie z was bardzo, bardzo dumny, kiedy wróci, i ja tak samo. I Imtiaz mamu, i Firoz mamu też. — Dała każdemu na drogę buziaczka i oddała ich w ręce Murtazy Alego, po drugiej stronie zasłony.

— Niech sami wręczą mu ten list — powiedziała Zainab. — Proszęjechać natychmiast samochodem. Nie wiem, jak panu dziękować za wszystko, co pan dla nas zrobił. Gdyby pana tutaj nie było, byłibyśmy już na pewno zgubieni.

— Nie wiem czy w ogóle będę kiedykolwiek w stanie odwdzięczyć się pani ojcu za jego dobroć, begam sahiba — odparł Murtaza Ali. — Postaram się wrócić z chłopcami nie później niż za godzinę.

I wyszedł, prowadząc za ręce swoich podopiecznych. Początkowo był tak spięty, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa, ale kiedy zbliżali się do bramy wjazdowej, gdzie stali policjanci, powiedział do chłopców:

— Hassan, Abbas, nie zapomnijcie tylko pozdrowić sahiba nadinspektora grzecznym adab.

— *Adab arz*, panie nadinspektorze — powiedział Hassan z głębokim ukłonem.

Abbas popatrzył na brata i wszystko powtórzył za nim wiernie, słowo w słowo, tyle że w jego wykonaniu brzmiało to mniej więcej tak:

— *Adab arz*, panie dinsekoże.

— Wnukowie nawaba sahiba — wyjaśnił Murtaza Ali.

Zastępca nadinspektora policji odpowiedział na to nieco krzywym uśmiechem.

— Przykro mi, ale czas minął — zwrócił się do Murtazy Alego. — Dom wygląda teraz wprawdzie na zamieszkały, ale wedle naszych informacji jest inaczej. Przeprowadzimy rewizję. Musimy wykonać rozkaz, który przyszedł od samego ministra spraw wewnętrznych.

— Rozumiem to doskonale, panie nadinspektorze — odparł Murtaza Ali.

— Proszę jednak dać nam trochę więcej czasu. Chłopcy muszą doręczyć list, zanim podjęte zostaną dalsze kroki w tej sprawie.

Zastępca nadinspektora pokręcił odmownie głową. Uniósł dłoń na znak, że dosyć tego, i powiedział:

— Instrukcje Agarwaldzi były niedwuznaczne: nie będzie rozpatrywał żadnych petycji. Zwłoka nic tu nie pomoże. Przykro mi. Zresztą zawsze można tę decyzję zakwestionować lub złożyć apelację.

— List jest do szefa rządu.

Policjant zdrewniał na chwilę, a potem wymamrotał zaskoczony, a jednocześnie zirytowany:

— Co to znaczy? Co jest w tym liście?

Na co Murtaza Ali odpowiedział surowo:

— Skąd mogę wiedzieć? Nie czytuję prywatnej korespondencji córki nawaba sahiba z Bajtaru do szefa rządu stanu Parwa Pradeś. Oczywiście, chodzi na pewno o nakaz zajęcia pałacu, ale nie mnie spekulować na ten temat.

Muszę już iść. Zabieram tych małych posłańców samochodem do domu Sar-
madzi, zanim stracą dach nad głową. Mam nadzieję, że poczeka pan, panie
nadinspektorze, na mój powrót. Niech się pan zbytnio nie spieszy, to moja ra-
da.

Zupełnie już teraz skołowanemu zastępcy nadinspektora odjęło na moment
mowę. Wiedział, że musi czekać, bo nie ma innego wyjścia.

Tymczasem Murtaza Ali zabrał ze sobą chłopców i odjechał samochodem
nawaba sahiba.

Niestety, ledwie wyjechali z bramę rezydencji Bajtar, samochód zatrzymał
się gwałtownie i nie chciał ruszyć z miejsca. Murtaza Ali kazał kierowcy za-
czekać na siebie z Hassanem, a sam wrócił do domu z maluchem Abbasem.
Tam zostawił go pod opieką jednego ze służących, wsiadł na rower i wrócił
do samochodu. Potem wsadził Hassana — który, o dziwo, wcale nie prote-
stował — na ramę i znikli obaj w ciemnościach nocy.

5.14

Piętnaście minut później byli już pod domem szefa rządu. Tam wprowa-
dzono ich natychmiast do jego biura, gdzie pracował nadal pomimo nocnej
pory.

Przywitali się i usiedli na zaproszenie gospodarza. Murtaza Ali był zlany
potem, ponieważ pedałowal z całych sił, żeby nie tracić czasu. Za to Hassan,
którego pilnował jak oka w głowie, wprawdzie jeszcze nieco zaspany, wyglą-
dał świeżo i całkiem dziarsko w swojej eleganckiej białej angarce.

— A cóż to panów do mnie sprowadza? — zapytał szef rządu, kręcąc
(najwidoczniej ze zmęczenia) głową z boku na bok i przenosząc wzrok z sze-
ścioletniego chłopczyka na młodego, trzydziestoletniego mężczyznę, osobi-
stego sekretarza nawaba sahiba.

Murtaza Ali nigdy przedtem nie spotkał się osobiście z szefem rządu stanu
Parwa Pradeś. Ponieważ nie miał pojęcia, od czego zacząć, powiedział po
prostu:

— Ekscelencjo, ten list wyjaśni panu wszystko.

Szef rządu przeczytał list tylko raz, ale powoli, bardzo dokładnie. Potem zwrócił się gniewnie do swojego sekretarza:

— Połącz mnie natychmiast z Agarwalem!

Mówił przez nos, ale tonem władczym, nie znoszącym sprzeciwu. Czeka-
jąc na połączenie, zganił Murtazę Alego, że wyciągnął „biedne dziecko” z
łóżka „w środku nocy”. Ale wyraźnie zrobiło to na nim wrażenie.

„Dopiero by mnie zbeształ, gdybym oprócz Hassana przywiózł ze sobą i
Abbasa”, pomyślał teraz Murtaza Ali.

Otrzymawszy połączenie, szef rządu zamienił parę słów z ministrem spraw
wewnętrznych. W jego głosie słyhać było irytację.

— Agarwal, co to za hece z rezydencją Bajtar? — zapytał szef rządu. Po
chwili zaś powiedział: — Nic mnie to nie obchodzi. Wiem dobrze, jakie
uprawnienia ma komisarz do spraw posiadłości wysiedleńców. Nie pozwolę
na takie wybryki. Co to za samowola? Proszę to natychmiast odwołać. — I
znowu po jakimś czasie niecierpliwie: — Nie nad ranem, tylko teraz. Zaraz!
Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby natychmiast opuścili pałac Bajtar.
Jeśli trzeba coś podpisać, zrób to od ręki. — A zanim odłożył słuchawkę, do-
dał jeszcze: — I zadzwoń do mnie za pół godziny.

Na tym skończyła się rozmowa. Szef rządu rzucił raz jeszcze okiem na list
Zainab i potrząsając nerwowo głową, zwrócił się tym razem bezpośrednio do
Hassana:

— Idź do domu i nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

5.15

Begam Abida Chan (Partia Demokratyczna): — Nie wiem, co czcigodny
pan poseł ma na myśli. Czy pan poseł sugeruje, że mamy uwierzyć ministrom
na słowo? To chyba będzie niemożliwe, wzięwszy pod uwagę dotychczasowe
poczynania rządu. Czy pan poseł wie, co się stało niedawno w mieście, a ści-
ślej mówiąc w rezydencji Bajtar, gdzie z polecenia jednego z ministrów tego

rządu banda uzbrojonych po zęby policjantów napadłaby niechybnie na bezbronne mieszkanki zenany, gdyby nie łaska boska...

Przewodniczący: — Pragnę przypomnieć pani posłance, iż ta sprawa nie ma nic wspólnego z projektem ustawy o uwłaszczeniu, który jest w tej chwili rozpatrywany. Zgodnie z regulaminem pani posłanka powinna powstrzymać się od dygresji nie związanych z tematem dyskusji.

Begam Abida Chan: — Ogromnie jestem panu przewodniczącemu wdzięczna za to słuszne napomnienie. Naturalnie, posłowie nie powinni łamać regulaminu obrad. Ale Bóg również patrzy na nas z góry i — z całym szacunkiem dla tej szacownej instytucji, jaką jest nasz parlament — On również ma własny regulamin, którego nie wolno łamać. Zobaczmy jeszcze, które z praw zatryumfuje: prawo ludzkie czy prawo boskie. Jakiej sprawiedliwości mają oczekiwać zamindarowie na wsi, gdzie trudno jest upominać się o swoje krzywdy, skoro nawet tu, w mieście, pod okiem czcigodnych posłów, najszlachetniejsze rody w całym stanie nie mogą liczyć na ochronę?

Przewodniczący: — To moje ostatnie upomnienie. Jeśli pani posłanka nie powstrzyma się od dalszych dygresji, odbiorę jej głos.

Begam Abida Chan: — Dziękuję panu przewodniczącemu za cierpliwość. Nie będę już dłużej zanudzać zgromadzonych swoimi uwagami. Powiem jeszcze tylko, że sposób, w jaki ten projekt został nakreślony, zmodyfikowany, przepchnięty przez Radę, potem przez Izbę Ustawodawczą, a następnie raz jeszcze całkowicie zmodyfikowany, to jaskrawy dowód braku dobrej woli ze strony decydentów. I nie tylko dobrej woli, ale i praworządności, a nawet zwykłej ludzkiej uczciwości. Mieszkańcy tego stanu długo tego nie zapomną.

Rząd wykorzystał bezczelnie swoją liczebną przewagę, aby przeforsować w komisji ustawodawczej niegodziwe poprawki. Cały ten proces woła o pomstę do nieba. Nawet ja, która niejedno już w swoim życiu przeżyłam i widziałam, doznałam straszliwego szoku. Postanowiono wypłacić zamindarom odszkodowanie. To minimum: mniej już nie można było zrobić, żeby jakoś zrekompensować im krzywdę, skoro odbiera się im środki do życia, które zapewnione mieli od pokoleń. Ale — jak się dowiadujemy — połowa z tej więcej niż skromnej sumy zostanie wypłacona w bardzo niepewnych obligacjach rządowych. A my mamy potulnie zaakceptować tę grabież.

Jeden z posłów: — Pani posłanka ma wszelkie prawo odrzucić rządową ofertę. Skarb stanu chętnie przechowa dla pani te obligacje.

Begam Abida Chan: — I nawet to marne „wyrównanie” ma być odwrotnie proporcjonalne do stanu posiadania właściciela, a to oznacza, że im zamożniejszy ziemianin, im więcej polega na nim ludzi — zarządcy, krewni, czeladź, muzycy...

Jeden z posłów: — Oprawcy, zbóje, darmożjady, kurtyzany...

Begam Abida Chan: — ...tym mniejszy otrzyma przydział za majątek, który dzisiaj prawnie do niego należy. I co poczną ci biedacy? Gdzie się podzieją? Rząd uchyla się od odpowiedzialności za ich los. Działa „pod publiczność”, podlizując się masom, przekupując maluczkich, a wszystko z myślą o wyborach powszechnych, które odbędą się już za parę miesięcy. Taka jest prawda. Taka jest prawda, choćby minister skarbu nie wiem jak się zarzekał. Minister skarbu, jego doradca prawny albo i sam szef rządu stanu Parwa Pradeś. Przerazili się, że Sąd Najwyższy w Brahmपुरze odrzuci propozycję takiego systemu wypłacania odszkodowań, więc jaki znaleźli na to sposób? Wczoraj, późnym wieczorem, pod koniec drugiego czytania, aby uprawomocnić ten szalbierski system płatniczy, który sprzeniewierza się zasadzie równości wszystkich obywateli wobec prawa, podzielili rekompensatę na dwie części: powszechną, przysługującą wszystkim zamindarom, bez względu na stan majątkowy, oraz tak zwaną koncesję normalizacyjną wypłacaną w zależności od aktualnych dochodów właściciela. Nawet dziecko mogłoby z łatwością przejrzeć ich podstępne, nieczne zamiary. Czy naprawdę myślą, że Sąd Najwyższy tego nie zauważy? Za pomocą prawniczego żargonu ministrowi skarbu i jego doradcy udało się zaliczyć trzy czwarte pieniędzy przeznaczonych na odszkodowania do innej kategorii, o bardzo długiej i dumnie brzmiącej nazwie. To pozwoli na dyskryminację zamożnych właścicieli ziemskich. Ale my czynnie zwalczać będziemy tę krzyczącą niesprawiedliwość...

Jeden z posłów: — Czynnie i hałaśliwie...

Przewodniczący: — Proszę o spokój. Proszę nie przerywać bez potrzeby przemówień posłów, którzy zabierają głos w dyskusji.

Begam Abida Chan: — Ale czy warto zdzierać sobie struny głosowe na tej sali, wśród tych, co tak grubiańsko wyszydząją każde wystąpienie w obro-

nie praw obywatelskich? Oskarża się nas o próżniactwo i rozpasanie, ale to przede wszystkim synowie panów ministrów, proszę mi wierzyć, uprawiają taki styl życia. Klasa ludzi, których domy od dawna były i są ogniskiem kultury, ma teraz zostać wywłaszczona. Mecenas sztuki, koneserzy muzyki, arystokraci stojący na straży dobrych obyczajów puszczeni zostaną z torbami. Odtąd będą musieli żebrac o chleb. Ale z godnością odziedziczoną po naszych przodkach stawimy czoło przeciwnościom losu. Ten los jest teraz w waszych rękach, panowie posłowie. To wy możecie zatwierdzić ten projekt albo pozwolić na jeszcze jedno bezcelowe czytanie. Prezydent może podpisać go na ślepo. Ale Trybunał Konstytucyjny przyzna nam rację. Podobnie jak w sąsiednim stanie, Biharze, ta zgubna ustawa zostanie odrzucona. A my będziemy walczyć o sprawiedliwość, tak, przed Sądem Najwyższym, w prasie i podczas kampanii wyborczej, czynnie i — owszem — nawet hałaśliwie.

Śri Dewakinandan Rai {Partia Socjalistyczna}: — Cóż za niezwykle poruszająca przemowa! Trudno mi wprawdzie jakoś w to uwierzyć, iż pani posłanka będzie musiała żebrac o chleb na ulicach Brahmpuru, no, ale kto wie: może rzeczywiście nie starczy jej na ciastka z kremem, chociaż i w to bardzo wątpię. Gdyby to jednak ode mnie zależało i ona, i cała jej klasa musiałaby na ten chleb zapracować. Tego właśnie wymaga sprawiedliwość i tylko w ten sposób uda się wyprowadzić gospodarke tego stanu z kryzysu. Zgadzam się całkowicie z moją przedmówczynią, że rządowy projekt ustawy o uwłaszczeniu to przedwyborczy chwyt Partii Kongresowej, która skupia władzę w swoich rękach. Ale my, członkowie Partii Socjalistycznej, uważamy, że jest to projekt zbyt ostrożny i jałowy. Potrzebna jest nam radykalna reforma rolna, a nie jakieś połowiczne rozwiązania.

Z jakiej racji rząd ma wypłacać obszarnikom odszkodowania? Niby za co? Za to, że od stuleci ciemnieżyli chłopów, którzy tyrali w pocie czoła, żeby panowie mogli sobie, z Bożej łaski (zauważyłem, że czcigodna posłanka często przywołuje na pomoc Boga, świadoma, widać, jak wątle są jej argumenty), napychać i tak już opasłe brzuszyska? Za to, że cała banda nierobów w tym stanie obżera się ghi, kiedy rolnik, dzierżawca, chłop bezrolny, robotnik ledwie może wykarmić swoje wygłodniałe dzieci? Dlaczego rząd opróżnia skarb stanowy? Dlaczego obciążamy nasze dzieci długami, oferując obligacje gnu-

śnym, rozpustnym zamindarom, taluądarom i innym obszarnikom? Zamiast tego powinni być wywłaszczeni w trybie przyspieszonym, bez żadnej rekompensaty. Przypomnijmy sobie tylko, jak weszli w posiadanie tych majątków! Zdradzili własny naród w czasie powstania sipajów i za to zostali suto wynagrodzeni przez Brytyjczyków! Czy za to, panie przewodniczący, czy za to właśnie należy się im odszkodowanie? Zamiast wyrzucać pieniądze w błoto, darowując ciemężycielom, rząd powinien przeznaczyć je na budowę dróg, szkół, mieszkań dla bezrolnych; na meliorację gruntów, na ośrodki zdrowia, na rozwój kółek rolniczych. A tymczasem oddaje je zdemoralizowanym, przyzwyczajonym do luksusów bogaczom, którzy zawsze opływali w zbytki.

Mirza Amanat Hussejn Chan (Partia Demokratyczna): — W kwestii formalnej, panie przewodniczący. Dlaczego mamy wysłuchiwać tych nie związanych z tematem dygresji?

Przewodniczący: — Te uwagi nie są wcale nie na temat. Pan poseł analizuje stosunki pomiędzy dzierżawcami, zamindarami i rządem. To jest właśnie kwestia, którą mamy przedyskutować. Niezależnie od naszych osobistych poglądów w tej sprawie wypowiedź pana posła jest jak najbardziej zgodna z regulaminem.

Śri Dewakinandan Rai: — Dziękuję, panie przewodniczący.

Kiedy my tu siedzimy sobie w chłodnej sali obrad, spierając się co do kwestii formalnych i zgodności wypowiedzi posłów z regulaminem, nagi chłop zgina kark w słonecznej spiekocie. Hańba, że ustanawiamy prawa, które nie polepszą jego doli, a wręcz przeciwnie, pozbawią go resztek nadziei. Hańba, że ustanawiamy prawa chroniące kapitalistycznych wyzyskiwaczy. Dlaczego wieśniak ma płacić za ziemię, która mu się prawnie — z natury rzeczy (jak kto woli) od Boga — należy, bo to on ją uprawia w trudzie? A teraz z pieniędzy zarobionych ciężko jego własną krwawicą rząd ma zamiar wypłacać wysokie odszkodowania zamindarom! Zapomnijmy o odszkodowaniach, a nie będzie potrzeby obarczać wieśniaków „ceną wykupu”. Wykreślmy to pojęcie z naszego słownika, a wypłacenie odszkodowań stanie się próżną mrzonką. Postulowałem to dwa lata temu, kiedy projekt ustawy wpłynął po raz pierwszy do parlamentu, i ponownie w zeszłym tygodniu podczas drugiego czytania. Ale teraz już za późno na radykalne zmiany. Cóż mi więc pozostanie?

staje? Minister skarbu i jego poplecznicy zawarli diabelski pakt z obszarnikami, zamydlając ludziom oczy. I o to ich oskarżam! Ale poczekajmy! Już wkrótce ludzie zrozumieją, że zostali oszukani. Ten skompromitowany rząd politycznych tchórzy i nieudaczników przepadnie z kretesem w wyborach powszechnych. Zwycięży wola ludu! Ludowi przywódcy pochodzący z ludu i dla niego pracujący dojdą do władzy! I skończą się sojusze z wrogami klasowymi proletariatu miast i wsi.

5.16

Nawab sahib od dłuższego czasu przysłuchiwał się przemówieniu Śri Dewakinandana Rai z galerii publicznej, chociaż znalazłoby się dla niego miejsce na balkonie gubernatora, gdyby sobie tego zażyczył. Wrócił z Bajtaru poprzedniego dnia, otrzymawszy pilną wiadomość z Brahmpuru. Był zaszokowany i rozgoryczony tym, co się stało, i przerażony, że córka musiała właściwie zupełnie sama poradzić sobie w wyjątkowo trudnej sytuacji. Troska o nią przytłumiła nawet poczucie dumy, że tak wspaniale wywiązała się z tego zadania, co rozbawiło nawet nieco Zainab. Długo tulił do siebie to ją, to swoich wnuków, a łzy spływały mu po policzkach. Hassana zaintrygowało zachowanie dziadka, ale mały Abbas przyjął to za rzecz najzupełniej naturalną i nawet bardzo mu się wszystko podobało: czuł, że ich obecność sprawia dziadziusiowi ogromną radość. Firoz pieniał się ze złości i dopiero pogodny Imtiaz, który zjawił się późnym popołudniem, rozładował nieco sytuację.

Nawab sahib był równie zły na L.N. Agarwała, jak i na swoją agresywną szwagierkę, wiedząc, że — pośrednio — to jej zawdzięcza ten niespodziewany najazd. A w dodatku, kiedy najgorsze już mieli za sobą, zbagatelizowała (co za tupet!) całe zajście, wychwalając tylko pod niebiosa odwagę i dyplomację Zainab. Nawab sahib spoglądał w dół na salę, gdzie odbywały się obrady, i zauważył, że L.N. Agarwał rozmawia bardzo uprzejmie z ministrem skarbu, który podszedł do niego z jakąś sprawą. Konferowali obaj przez jakiś

czas, prawdopodobnie na temat krytycznego głosowania nad kontrowersyjnym projektem ustawy o uwłaszczeniu, zaplanowanego na popołudnie.

Nawab sahib nie miał jeszcze okazji porozmawiać po powrocie ze swoim przyjacielem, Mahešem Kapurem, ani też podziękować z głębi serca szefowi rządu za jego wielkoduszność. Postanowił to zrobić po zakończeniu dzisiejszej sesji Zgromadzenia. Ale nie był to jedyny powód jego wizyty w parlamencie. Podobnie jak jego współziomkowie (galeria pełna była ludzi) zdawał sobie sprawę, iż jest to wydarzenie epokowe. Dla takich jak on ta ustawa to początek końca, zapowiedź nieuchronnej degrengolady. No, chyba że odrzuci ją Sąd Najwyższy.

„No cóż”, myślał zrezygnowany, „widocznie tak być musi”. Nie idealizował swojej klasy; znał dobrze jej przywary. Nie brakuje wśród magnatów i ludzi przyzwoitych, ale większość to kanalie, a do tego idioci. Pamiętał, że dwanaście lat temu, gdy przedkładano gubernatorowi petycję Stowarzyszenia Zamindarów, jedna trzecia sygnatariuszy używała odcisku kciuka zamiast podpisu.

Być może gdyby nie doszło do Podziału, ziemianom udałoby się zachować — drogą pertraktacji — swoje przywileje. W zjednoczonych, ale niestabilnych Indiach lobbystom różnych grup łatwiej byłoby wywierać nacisk na władzę. Książęta, tacy na przykład jak radża Marhu, również używaliby swoich wpływów, żeby zachować status quo, i pewnie utrzymaliby swoją pozycję, a także tytuły. „W głowie się kręci od tego gdybania”, myślał nawab sahib, „a przecież to już i tak nie ma teraz żadnego znaczenia. Tamten świat należy do przeszłości”.

Od czasu aneksji Brahmpuru przez Brytyjczyków we wczesnych latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku nawabowie z Bajtaru nie mieli się właściwie czym poszczycić; w przeciwieństwie do wielu innych arystokratycznych rodów na przestrzeni wieków nie położyli dla kraju żadnych zasług. Brytyjczycy chętnie pozwalali zamindarom bogacić się na dzierżawie, zadowolając się w praktyce niewygórowanym podatkiem dochodowym, ale jeśli chodzi o zarządzanie stanem, dowierzali tylko własnym urzędnikom, kształconym i mianowanym w Anglii i stamtąd też sprowadzanym. Najpierw byli to wyłącznie biali Europejczycy, a potem zastąpili ich ciemnoskórzy krajowcy,

ale wychowani w tym samym duchu, więc w zasadzie nie robiło to żadnej różnicy. Nawab sahib przyznawał, że oprócz dyskryminacji rasowej w grę wchodziła również kwestia kompetencji. Większość zamindarów (w tym również, niestety, może i on sam) miała tylko mgliste pojęcie o zarządzaniu. Nawet we własnych posiadłościach dawali się okradać swoim munszi i lichwiarzom. Nie interesowało ich z reguły, jak powiększyć majątek, tylko jak go roztrwonić. Bardzo niewielu inwestowało kapitał w jakiegokolwiek gałęzie przemysłu albo nieruchomości w mieście. Niektórzy oczywiście patronowali sztuce. Inni, tak jak premier Pakistanu, Liaquat Ali Chan, serdeczny przyjaciel ojca nawaba sahiba, wydawali masę pieniędzy, żeby utrzymać się przy władzy. Ale większość książąt i ziemian przehułała po prostu swoje fortuny. Polowania, wino, kobiety albo opium... pławili się w luksusach, na niczym im nie zbywało. Nawab sahib starał się odgonić natrętne myśli, ale na próżno. Przypomniawszy sobie jednego z możnowładców, którego życiową namiętnością były psy. Od świtu do nocy chodził przy nich i tylko nimi się zajmował. Nic poza tym go nie interesowało. Inny był narkomanem, uzależnionym od opium. Sprowadzał sobie do łóżka kobiety, ale często zasypiał, zanim jeszcze zdążył ruszyć do akcji.

Ocknąwszy się z zamyślenia, nawab sahib zaczął znowu przysłuchiwać się debacie. L.N. Agarwal wtrącił jakąś żartobliwą uwagę, z której zaśmiewał się nawet Maheś Kapur. Nawab sahib wpatrywał się w łysą głowę okoloną kępkami siwych włosów i zastanawiał się, jakie myśli kłębiły się pod tą czaszką. Jak mógł ten człowiek z zimną krwią, a nawet z pełną satysfakcją, przysporzyć tyle zmartwienia i jemu samemu, i tym, których kochał? Skąd ta mściwość? Co by osiągnął, pozbawiając dachu nad głową krewnych swojej politycznej oponentki?

Było teraz około pół do piątej. O tym, czy ustawa o uwłaszczeniu wejdzie w życie, miało rozstrzygnąć głosowanie, i to już za niecałe pół godziny. Posłowie wygłaszali podsumowujące przemówienia i nawab sahib przysłuchiwał się z niesmakiem wypowiedzi swojej szwagierki, która robiła z zamindarów pokrzywdzonych, świętych męczenników.

Begam Abida Chan: — Już od ponad godziny rząd raczy nas obrzydliwą autoreklamą. Sądziłam, że będę mogła poprzestać na tym, co mówiłam poprzednio, ale są rzeczy, których nie wolno mi przemilczeć. Powinniśmy w zasadzie oddać głos tym ludziom, których skazujecie na zagładę. Mam tu na myśli zamindarów, bo to im odmawiacie sprawiedliwości, ich okradacie z należnej prawem boskim własności, im odbieracie wszelkie środki do życia. Wszyscy członkowie rządu nauczyli się śpiewać na jedną nutę, od ministra skarbu po takiego czy innego z jego służalców i od godziny powtarzają w kółko jedno i to samo, jakby się im zacięła płyta w gramofonie. A nie jest to bynajmniej melodia miła dla ucha: usypia tylko, nie koi ani nie rozrzewnia. Przedstawiciele rządu nie kierują się rozsądkiem. Nie przemawia przez nich dobra wola. Wykorzystują przewagę liczebną dla swoich brudnych politycznych machinacji. Ale co tu dużo mówić.

Właściwie to do pewnego stopnia nawet mi ich żal. Zbłądzili, ugrzęźli w bagnie i teraz za wszelką cenę starają się stamtąd wydostać. Krótkowzroczni, nie potrafią patrzeć jasno w przyszłość. Jak to mówią: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”. Oto moja przestroga zaadresowana do Partii Kongresowej: „Nie przechwalajcie się na wyrost, bo nie wiecie, jakie nieszczęścia możecie swoim postępowaniem ściągnąć na ten kraj”. Trzy lata minęły, odkąd odzyskaliśmy niepodległość, a rozejrzyjcie się tylko wokoło: biedota przymiera głodem. Ilu z tych nędzarzy nie ma nawet co włożyć na grzbiet! Hu nie ma dachu nad głową! Obiecywaliście złote góry, raj na ziemi. Przymierzaliście ludziom życie w krainie mlekiem i miodem płynącej. I co? Podjudzaliście ich przeciwko zaminda-rom, wmawiając naiwnym prostaczkom, że cierpią tylko z winy swoich panów. Sami się wkrótce przekonają, żeście ich wystrychnęli na dudka. Wywłaszczacie osiemset tysięcy ludzi. Chcecie tutaj wprowadzić komunę!

A zatem proszę: pod jakimż to względem wasz system jest lepszy od naszego? Nie dajecie chłopom ziemi, dzierżawicie ją, dokładnie tak samo jak my. Ale czy oni was coś obchodzą? My żyliśmy razem z dziada pradziada niczym jedna wielka rodzina. Kochali nas, tak jak i my kochaliśmy ich. Znaliśmy ich przywary, a oni znali nasze. Zadowalali się tym, co dostali od nas, a my z kolei nie żądaliśmy wiele od nich. To wy stanęliście pomiędzy nami. To

wy pozrywaliście więzy, które łączyły nas od wieków. Tryumfujecie, ale zobaczymy jeszcze, komu wyjdzie na zdrowie taka amputacja. Oskarżacie nas o zbrodnie. Mówicie o nas: „wyzyskiwacze”. A jaką pewnością mogą mieć ci biedacy, że wy będziecie chociaż trochę lepsi? Będą musieli włożyć się po urzędach, dawać w łapę przekupnym ważniakom na stanowiskach — a ci dopiero wyprują im żyły! — żeby załatwić jakąkolwiek sprawę, podczas kiedy do nas zawsze mieli bezpośredni dostęp.

Co do odszkodowania, dość już dzisiaj powiedziałam na ten temat. Ale czy to nie rozbój wejść do czyjegoś sklepu i zażądać towaru po zaniżonej cenie, a kiedy właściciel odmówi sprzedaży, wynieść co się da wbrew jego woli? I wreszcie, kiedy poprosi o obiecane wynagrodzenie, rzucić mu pod nogi jedną rupię z obietnicą, że resztę otrzyma w spłatach przez dwadzieścia lat?

Ale na darmo staracie się nas zniesławić. Nie uda się wam nas załamać. To my, zamindarowie, doprowadziliśmy ten stan do rozkwitu. To nam kultura tego regionu zawdzięcza swój specyficzny styl. Nasze osiągnięcia są ponadczasowe. Uniwersytety, gimnazja, szkoły, prądy muzyczne, malarskie, literackie — wszystko to istnieje tylko dzięki nam. Po co tu przyjeżdżają cudzoziemcy? Żeby obejrzeć arcydzieła architektury: Barsat Mahal, Szahi Darwaza, Imambaras, ogrody i pałace, które wzięliście po nas w spadku. Inni oczu od nich oderwać nie mogą — wy odwracacie głowy ze wstrętem. „Zgnilizna”, mówicie, zatykając nosy. Jak wam nie wstyd? Jak wam nie wstyd odsądzać nas od czci i wiary? Ograbiać tych, dzięki którym powstały te klejnoty? Żałować im pieniędzy na odszkodowania? Na restaurację budynków, które są dziedzictwem tego miasta i tego stanu? Cóż za zachłanność! Cóż za małostkowość! Postawa godna zaiste najwyżej wiejskiego sklepikarza z kasty baniów: dusigrosza i odrzyskóry...

Minister spraw wewnętrznych (Śri L.N. Agarwal): — I kogóż to szanowna posłanka tak tutaj piętnuje? Chyba nie moją klasę? Chociaż ostatnio weszło to, jak widzę, w modę. Szczególnie na tej sali.

Begam Abida Chan: — Mistrzowi intrygi i sofizmu nie muszą chyba tłumaczyć takich oczywistości... nieprawdaż? Nie mam zamiaru wdawać się z panem w jałowe spory, panie ministrze. Dzisiaj pokumał się pan z ministrem skarbu, żeby pognać klasę, która stała się kozłem ofiarnym w tej rozgrywce.

Ale zobaczymy jeszcze, ile warte są takie sojusze! Ukorzycie się jeszcze kiedyś, szukając wsparcia, ale nikt go wam nie udzieli. Przypomnicie sobie ten dzień i moje słowa. Przyjdzie czas, że pożałujecie swojej bezwzględności i obłudy...

Następnie głos zabrał przedstawiciel Partii Socjalistycznej, a po jego strasznie długim i ognistym przemówieniu dyskusję podsumował szef rządu, S.S. Śarma, w pięciominutowym przemówieniu, dziękując architektom ustawy, szczególnie Maheśowi Kapurowi, ministrowi skarbu, i Abdusowi Salamowi, jego doradcy prawnemu, za ogromny wkład pracy. Zachęcał ziemian do kooperacji i pokojowej współpracy z dawnymi dzierżawcami po wejściu w życie ustawy o uwłaszczeniu. Podkreślił, że oto nadarza się doskonała okazja, aby arystokracja zademonstrowała swoją wielkoduszność. Przekonywał łagodnie, że braterstwo wszystkich ludzi to najszczytniejszy ideał. Tego właśnie nauczał Gandhi: służba ojczyźnie — oto ich obywatelski obowiązek. W końcu Maheś Kapur, inicjator i twórca projektu ustawy o uwłaszczeniu, z braku czasu podsumował debatę w paru słowach:

Minister skarbu (Śri Maheś Kapur): — Panie przewodniczący, miałem nadzieję, że mój szanowny kolega, zagorzały socjalista, który mówił tak wzruszająco o równości i bezklasowym społeczeństwie, krytykując z pasją rządowy projekt ustawy o uwłaszczeniu jako niesprawiedliwy i bezużyteczny, okaże się człowiekiem sprawiedliwym i, w imię równości, która podobno jest mu tak droga, pozwoli mi się wypowiedzieć pod koniec ostatniego dnia obrad. Gdyby jego przemówienie trwało nieco krócej, ja nie musiałbym się zmieścić w dwóch minutach. Jego zdaniem mój projekt to spisek kontrrewolucjonistów, którzy zwalczają społeczny postęp. Przekonamy się już za parę minut, jak będzie głosować wobec tego jego stronnictwo. Niewiele mam już zresztą do dodania. Chciałbym tu przede wszystkim wyrazić głęboką nadzieję, iż właściciele ziemscy wezmą sobie do serca słowa szanownego szefa rządu stanu Parwa Pradeś i raz jeszcze — chociaż uczynił to już mój dostojny przedmówca — podziękować moim kolegom, z lewa i z prawa, za poparcie dla mojego projektu. Wdzięczny jestem również za pomoc, której udzielili mi

pracownicy ministerstwa skarbu i Urzędu Skarbowego oraz Stanowych Zakładów Drukarskich i ministerstwa sprawiedliwości, szczególnie ci z wydziału, gdzie naszkicowano cały projekt. Dziękuję im w imieniu własnym i chyba również wszystkich mieszkańców stanu Parwa Pradeś, za miesiące — ba, lata! — bardzo owocnej współpracy.

Przewodniczący: — Niniejszym poddaję następujący wniosek pod głosowanie: by Izba Ustawodawcza stanu Parwa Pradeś zatwierdziła projekt ustawy o uwłaszczeniu, zaakceptowany przez Zgromadzenie w roku 1948, zmodyfikowany przez komisję ustawodawczą, a następnie raz jeszcze przez Zgromadzenie.

Wniosek przeszedł znaczną większością głosów dzięki przewadze liczebnej, jaką miała w Izbie Partia Kongresowa. Pomimo iż bierność parlamentu mogła stać się zarzewiem buntu, a może nawet upragnionej rewolucji, za wnioskiem głosowali również członkowie Partii Socjalistycznej. Tak im nakazywało sumienie: uznali ostatecznie, że lepsze jednak to niż zupełnie nic. Dołączyły się do nich mniejsze partie oraz niezależni. Partia Demokratyczna — tak jak przewidywano — głosowała jednomyślnie przeciwko powyższemu wnioskowi.

Begam Abida Chan: — Panie przewodniczący, chciałabym jeszcze dorzucić parę słów na zakończenie, jeśli można...

Przewodniczący: — O ile wypowiedź nie przekroczy jednej minuty.

Begam Abida Chan: — Chciałabym przede wszystkim, w imieniu własnym i całej Partii Demokratycznej, podziękować szanownemu szefowi rządu stanu Parwa Pradeś za jego cenną radę. Rzeczywiście, jest rzeczą niezwyklej wagi, aby stosunki zamindarów z dzierżawcami układały się jak najlepiej. Pragnę tu jednak zarazem podkreślić, iż my zawsze, tak czy owak, żyliśmy jak jedna wielka rodzina, na długo przed jego pouczającym przemówieniem i na długo przed tym żalosnym głosowaniem za projektem ustawy o uwłaszczeniu, który wkrótce stanie się przyczyną powszechnego ubóstwa i bezrobocia, który doprowadzi gospodarke i kulturę naszego stanu do ruiny i który w niczym nie poprawi bytu tych...

Minister skarbu (Śri Maheś Kapur): — Panie przewodniczący, jakim prawem wygłasza się teraz tutaj przemówienia?

Przewodniczący: — Posłanka ma tylko minutę na złożenie krótkiego oświadczenia. Pani posłanko, proszę...

Begam Abida Chan: — Ponieważ o wyniku głosowania zadecydowała tyrania większości, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko opuścić tę salę na znak protestu przeciwko krzywdzie, jaka nas tutaj spotkała. Konstytucja dopuszcza taką formę protestu, wobec czego wzywam członków mojej partii, by odpowiedzieli buntem na tę zniewagę!

Członkowie Partii Demokratycznej opuścili salę. Ponieważ obrady się kończyły, był to gest bezsilności, chociaż nad wyraz symboliczny. Rozległo się parę gwizdów i okrzyków: „Hańba!”, ale większość obecnych trwała w milczeniu. Maheś Kapur zebrał swoje notatki, podniósł głowę, spojrzął w niebo przez szybę kopuły, westchnął ciężko, a potem rozejrzał się po pustoszejącej sali. Spotkał się wzrokiem z siedzącym jeszcze na galerii nawabem sahibem. Dostyc przyjaźnie pozdrowili się skinieniem głowy, chociaż drastyczność sytuacji — bo nie była to w zasadzie ironia losu — nie uszła przy tym ich uwagi. Nie chcieli na razie ze sobą rozmawiać, pod tym względem również rozumieli się doskonale. Maheś Kapur pochylił się więc ponownie nad plikiem swoich dokumentów, a nawab sahib, gładząc się po głowie w zamyśleniu, wyszedł z galerii i udał się do gabinetu szefa rządu.

CZĘŚĆ SZÓSTA

6.1

Zjawiwszy się w Haridas College of Music, ustad Madźid Chan skinął głową z roztargnieniem w kierunku paru swoich kolegów, podobnie jak on wykładowców muzyki, a zbliżając się do zamkniętych drzwi swojej pracowni — gdzie walały się porozrzucane w nieładzie trzy pary ćappalów i jedna para butów — skrzywił się z niesmakiem na widok dwóch tancerzy kathaka, którzy w drodze na salę gimnastyczną (mieszczącą się na parterze) pobrzękiwali pękami bransolet noszonymi na nogach ponad kostką. Zdyszany i rozdrażniony, że spóźnił się o całe trzy kwadranse, ustad Madźid Chan westchnął ciężko na głos: „*Ya Allah*”, zrzucił z nóg peśawari ćappale i wszedł do pracowni.

Było to ciemne pomieszczenie, raczej nijakie, bezstylowe niczym wysokie, prostokątne pudło. Światło dzienne wkradało się tam jedynie przez małeńki lufcik pod sufitem, na przeciwległej do drzwi wejściowych ścianie. Na półkach regału, który stał po lewej stronie, spoczywało kilka tanpur, a na podłodze rozłożony był gładki, jasnoniebieski, bawełniany dywanik — nie lada zdobycz, gdyż na rynku można było na ogół dostać tylko wzorzyste dywany, zazwyczaj jaskrawe i kwieciste. Ale on uparł się, że u siebie w pracowni musi mieć dywan gładki, żeby nic nie rozpraszało uwagi (muzyka wymaga koncentracji), i — o dziwo — administracja szkoły poszła mu na rękę i zakupiła taki, jakiego sobie zażyczył.

Na dywanie, tuż na wprost drzwi wejściowych, siedział niski, zażywny młody mężczyzna, którego ustad Madźid Chan widział po raz pierwszy w życiu. Na widok maestra mężczyzna poderwał się na równe nogi. Plecami do wchodzącego siedział drugi młody mężczyzna oraz dwie młode kobiety. Kiedy drzwi się otworzyły, odwrócili się w jego stronę, a przekonawszy się, że to on, również powstali z szacunkiem na powitanie. Jedna z kobiet — a była to

Malati Triwedi — pochyliła się tak nisko, że czołem dotknęła jego stóp. Połechtano to mile jego próżność, ale kiedy powstała, powiedział do niej mimo to z wyrzutem:

— Aha! Kogo widzę! No, to co, postanowiła pani znowu do nas dołączyć, tak? Teraz, w czasie wakacji, mogę liczyć na więcej studentów. Wszyscy niby tacy oddani muzyce, ale tylko w słowach. Niech tylko przyjdzie sesja egzaminacyjna, a oni myk do jamy jak te lisy.

Potem, zdziwiony widokiem nowej twarzy, ustad Madźid Chan zwrócił się surowo do nieznanego:

— Czym mogę służyć?

Tak się złożyło, że był to Motu Ćand, który zazwyczaj akompaniował Sa-idzie Bai na tabli.

Z łagodnym uśmiechem na ustach grubasek powiedział uprzejmie:

— Co ze mnie za impertynent. Proszę mi wybaczyć, ustad sahib. Jestem tutaj w zastępstwie. Mąż siostry mojej żony nie czuje się zbyt dobrze, więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zajmę dzisiaj jego miejsce przy tabli.

— A imienia żadnego to pan nie ma?

— Cóż, nazywają mnie Motu Ćand, ale w zasadzie...

— Hm! — powiedział ustad Madźid Chan, a potem usiadł i zaczął stroić tanpurę, którą zdjął uprzednio z półki. Jego uczniowie również usiedli, ale Motu Ćand dalej stał na baczność.

— A... niech pan usiądzie — burknął ustad Madźid Chan z irytacją w głosie, pochylony nad tanpurą, nie raczywszy nawet zerknąć na Motu Ćanda.

Ustad Madźid podniósł na chwilę wzrok znad tanpury, zastanawiając się, któremu z uczniów poświęcić pierwsze piętnaście minut lekcji. W zasadzie powinien zacząć od chłopaka, ale ponieważ jasny promyk słońca oświetlał akurat wesołą twarz Malati, dla kaprysu postanowił dać jej dzisiaj pierwszeństwo. Wstała więc, zdjęła z półki niedużą tanpurę i zaczęła ją stroić. Mo tu Ćand zabrzdakał również na swojej tabli, żeby nadać jej właściwy ton.

— Czego się ostatnio uczyliśmy...? Ragi *Bhajrawal* — zapytał ustad Madźid Chan.

— Nie, ustad sahib — przypomniała mu Malati, uderzając delikatnie w struny tanpury, którą położyła przed sobą na dywaniku wierzchem do góry.
— *Ramkali*.

Ustad Madźid Chan odchrząknął najpierw („hm, hm, hm"), a potem zaintonował parę powolnych fraz ragi, które Malati powtarzała wiernie za nim. Pozostali uczniowie przysłuchiwali się z uwagą. Następnie ustad zanucił wyższym głosem. Na dany przez mistrza znak Motu Ćand zagrał na tabli melodię w rytmie na cztery czwarte, a ustad zaczął śpiewać utwór muzyczny, którego uczyła się Malati. Malati starała się usilnie skoncentrować całą swoją uwagę na muzycznym ćwiczeniu, ale przeszkodziło jej w tym wejście dwóch następnych uczennic, które zanim usiadły, złożyły ustadowi Madźidowi Chanowi głęboki ukłon.

To wyraźnie wprawiło go w jeszcze lepszy nastrój; w pewnym momencie przerwał swoją pieśń i rzucił w stronę Malati:

— Więc naprawdę chce pani zostać lekarzem? — Potem zaś, odwracając się od niej, dodał ironicznie: — Z takim głosem więcej serc pani złamie, niż wyleczy. Ale jeśli chce pani wybić się ponad przeciętność, to nie może pani spychać sztuki na poślednie miejsce. — Znowu zwrócił się ku niej i powiedział: — W muzyce konieczna jest koncentracja, podobnie jak w chirurgii. Nie można sobie nagle wyjść w środku operacji i wrócić za miesiąc, wedle swego widzimi się.

— Rozumiem to doskonale, ustad sahib. — Przy tych słowach po twarzy Malati Triwedi przemknął cień uśmiechu.

— Kobieta lekarzem! — rzekł ustad Madźid Chan z niesmakiem, jakby sam do siebie, w zadumie. — Dobrze, dobrze, lepiej nie traćmy czasu. Na czym skończyliśmy?

Tupot nóg w sali na górze zagłuszył jego słowa. To tancerze bharata-natja zaczęły swoje próby. Ci — w przeciwieństwie do wykonawców kathaka — nie brzęczeli wprawdzie bransoletami, ponieważ obywali się bez nich na próbach, ale za to stukali w podłogę obcasami i zelówkami z taką werwą, tuż nad głowami ustada Madźi-da Chana i jego uczniów, że nadrabiali ten brak co najmniej w dwójnasób. Ustad Madźid Chan ściągnął gniewnie brwi i przerwał zniecierpliwioną lekcję, której udzielał Malati.

Teraz przyszła kolej na chłopaka. Miał dobry głos i przygotowywał się sumiennie do każdej lekcji, a mimo to ustad Madżid odnosił się do niego raczej szorstko. Być może wyprowadzało go z równowagi tupotanie, które co jakiś czas dobiegało z góry. Chłopiec wyszedł zaraz po skończonej lekcji.

Tymczasem do pokoju weszła Wina Tandon. Usiadła, starając się skupić na muzyce, ale widać było, że coś ją gnębi; miała to wypisane na twarzy. Usadowiła się obok Malati, którą знаła z lekcji śpiewu, a także prywatnie, przez Latę. Motu Ćand, który zwrócony był do nich twarzą, pomyślał, iż stanowiły bardzo interesujący kontrast: Malati, o alabastrowej cerze, regularnych rysach, kasztanowych włosach i zielonych, roześmianych oczach, a przy niej Wina, pulch-, na, smągła brunetka, o oczach czarnych jak węgielki, żywych wprawdzie, ale przy tym pełnych smutku.

Następnie przyszła kolej na wesołą, ale nieśmiałą Bengalkę w średnim wieku, z którą ustad Madżid Chan lubił się droczyć, przedrzeźniając jej wymowę. Zazwyczaj przychodziła wieczorami i ostatnio uczyła się ragi *Malkaus*, ale w jej ustach brzmiało to jak „Malkosz”, co niezmiernie bawiło ustada Madżida Chana.

— Aha, więc dzisiaj przyszła pani rano — powiedział do niej. — No i jak mamy się uczyć Malkosza rano?

— Mój mąż tak sobie zażyczył — wyjaśniła Bengalka.

— Jak to? Małżeństwo ważniejsze niż sztuka? — skarcił ją ustad.

— Niezupełnie — odparła, ze wzrokiem wbitym w ziemię, biedna, nieuleczalnie nieśmiała Bengalka. Miała troje dzieci i była bardzo dobrą matką, ale krytyczne słowa ustada całkowicie zbijały ją z tropu.

— Co to znaczy: „niezupełnie”?

— Właściwie mój mąż wolałby, żebym się nauczyła śpiewać pieśni Tagore. On nie lubi muzyki poważnej.

— Hmmm! — rzekł w odpowiedzi ustad Madżid Chan. Z miejsca wyrobił sobie o jej mężu niepochlebną opinię: tylko jakiś prostak może woleć przesłodzone melodie Rabindranatha Tagore od klasycznego piękna muzyki khjal. — Więc teraz pewnie każe pani śpiewać „gojola” — zwrócił się do nieśmiałej Bengalki łagodnie, ale z nie ukrywaną pogardą, przedrzeźniając przy tym znowu okrutnie jej wymowę.

Zawstydzona Bengalka odgrodziła się od tych kpinek murem milczenia, ale Malati i Wina popatrzyły na siebie rozbawione.

Natomiast ustad Madźid, podsumowując poprzednią lekcję, powiedział:

— Chłopiec ma dobry słuch i przyjemny głos, a przy tym jest bardzo pilny. Ale zawodzi jak kościelny chórzysta. Być może to wpływ muzyki zachodniej, której się kiedyś uczył. To nawet, w swoim rodzaju, bardzo dobra tradycja — przyznał tolerancyjnie, ale zaraz dorzucił: — Tylko że nie sposób się tego potem oduczyć. Głos się wypacza i nie ma na to żadnej rady. Hm. — Odchrząknął znowu i zwrócił się do Bengalki: — Proszę nastroić tanpure na „ma”. Będziemy się uczyć tego pani Malkosza. Czemu nie? Nie wolno zarzucać nauki, choćby to nawet była niewłaściwa pora na ragę. W końcu jak nastawić jogurt z rana, to się zetnie do wieczora i można go wtedy zjeść.

Pomimo napięcia Bengalka dobrze wywiązała się z zadania. Ustad pozwolił jej nawet trochę improwizować i powtórzył kilka razy: „Brawo!” na zachętę. Prawdę powiedziawszy, w sercu Bengalki muzyka zajmowała zdecydowanie pierwsze miejsce, przed mężem, a nawet przed trzema synami, których wychowywała doskonale, jednak nie była w stanie poświęcić się całkowicie swojej pasji — tak się jej akurat w życiu układało. Ustad był ze swojej bengalskiej uczennicy bardzo zadowolony; do tego stopnia, że przedłużył tego dnia lekcję. Po jej zakończeniu Bengalka nie wyszła od razu, tylko usiadła z boku, żeby przysłuchiwać się ćwiczeniom pozostałych uczniów.

Następna była lekcja Winy Tandon. Miała śpiewać ragę *Bhajra-wa*, do której tanpure trzeba było przestroić na „pa”. Ale tak zamartwiała się o męża i syna, że z roztargnienia zaczęła uderzać w jej struny, nie zmieniając tonacji.

— Jakiej ragi pani się uczy? — zapytał zdezorientowany w pierwszej chwili ustad Madźid. — Wydawało mi się, że *Bhajrawy*...

— Tak, gurudzi — rzekła Wina, sama również skonfundowana.

— Gurudzi? — Głos ustada Madźida Chana zdradzał najwyższe zdumienie, które wzięło górę nad oburzeniem. Wina była jedną z jego ulubionych uczennic i zupełnie nie mógł zrozumieć, co ją napadło.

— Ustad sahib — poprawiła się szybko Wina. Sama również była zaszokowana, że zwracając się do swojego nauczyciela mahometanina, użyła tytułu przysługującego nauczycielowi hinduskiemu.

Ustad Madźid powiedział do niej:

— Skoro ma pani zamiar śpiewać *Bhajrawę*, to może warto by jednak przestroić tanpure?

— O! — Wina popatrzyła oskarżycielsko na instrument, jakby ten celowo płatał jej takie figle.

Kiedy tanpura uzyskała wreszcie odpowiednią tonację, ustad zaśpiewał parę fraz powolnej alapy, a Wina powtarzała za nim, ale tak nieudolnie, że w pewnym momencie powiedział do niej ostro:

— Proszę się dobrze wsłuchać. Najpierw proszę się dobrze wsłuchać, a potem dopiero powtarzać za mną. Powtarzać potrafi nawet papuga, ale dobry słuch to dziewięćdziesiąt pięć procent sukcesu. A może coś panią trapi? — Wina uważała, że nie czas to i nie miejsce na zwierzenia, milczała więc, a ustad Madźid Chan mówił dalej: — Proszę nastroić tanpure. Chcę się dobrze wsłuchać. Powinna pani jeść migdały na śniadanie. To panią zaraz wzmocni. Dobrze, skoncentrujmy się na kompozycji *Jago Mohan Pjare* — dorzucił zniecierpliwiony.

Motu Ćand zaczął wybijać im do wtóru takt na tabli, a oni podjęli melodię. Słowa tej znanej pieśni ukończyły nieco wzburzone myśli Winy. Nabrała pewności siebie, a jej żywa interpretacja utworu przypadła do gustu ustadowi Madźidowi. Po pewnym czasie Malati opuściła salę, a zaraz po niej podniosła się do wyjścia Bengalka. Słowo „gojol” przemknęło ustadowi Madźidowi przez myśl i nagle uświadomił sobie, skąd słyszał o Motu Ćandzie. Czy to nie jest przypadkiem jeden z akompaniatorów Saidu Bai, tej ładaczniczki, utrzymanki nikczemnego radży Marhu, która profanuje świętość muzyki? To z kolei przypomniało mu jeszcze o czymś innym; zwrócił się nagle w stronę Winy i powiedział:

— Skoro pani ojciec, minister skarbu, wziął się, żeby nas puścić z torbami, to może przynajmniej stanąłby w obronie naszej religii.

Wina urwała w pół słowa i popatrzyła na niego ze zdumieniem. „Puścić z torbami”? Domyśliła się, że chodziło mu o wywłaszczenie obszarników. Ale co takiego, zdaniem ustada sahiba, mogło zagrażać jego religii? To doprawdy stanowiło dla niej zagadkę.

— Niech mu to pani powie — nalegał ustad Madźid Chan.

— Dobrze, ustad sahib — zgodziła się potulnie Wina.

— Członkowie Partii Kongresowej pozbędą się w końcu Nehru, odsuną od władzy Maulana Azada i Rafiego sahiba. A nasz czcigodny szef rządu i minister spraw wewnętrznych wcześniej czy później utracą również pani ojca. Ale dopóki jest jeszcze w stanie coś zdziałać na arenie politycznej, niech nas weźmie w obronę, bo na nikogo innego nie możemy liczyć. Jak tylko te ich bhadżany zaczną zagłuszać nasze modlitwy, źle się to może skończyć... oj, bardzo źle.

Wina domyślała się, że była to aluzja do wznoszonej w Ćauk, niedaleko domu ustada Madżida Chana, świątyni Siwy.

Ustad zanucił jeszcze coś pod nosem, a potem powiedział jakby sam do siebie:

— Coraz gorzej się dzieje w tym rejonie miasta. Co to się teraz wyprawia w Misri Mandi! Jakby nie dosyć jeszcze było wybryków tego szaleńca z Marhu. Zadziwiające — ciągnął — cała okolica strajkuje, do roboty nikt się nie kwapi. Oponenci wykrzykują tylko te swoje slogany i wygrażają sobie nawzajem. Drobni szewcy pyskują i głodują, sklepikarze biedują, poszczą i pyskują, w sklepach nie ma butów, a w Misri Mandi — bezrobocie i beznadzieja. I kto ma z tego jakiś pożytek? Ale wszyscy się zaparli i nie ustępują. Czy którykolwiek z nich godny jest miana „człowieka”, z krwi i kości Syna Bożego, którego Pan nasz i Stwórca obdarzył duszą i pomyślunkiem?

Ustad zakończył swoje wywody lekceważącym machnięciem ręki, dając tym samym do zrozumienia, że wszystko to, co myślał na temat ludzkiej natury, się potwierdza.

Zauważywszy, że Wina jeszcze bardziej posmutniała, stropił się i powiedział samokrytycznie:

— Ale po co ja to pani opowiadam? Pani mąż lepiej się w tych sprawach orientuje niż ja. Aha... to dlatego jest pani taka rozkojarzona... oczywiście... oczywiście.

Wina, wzruszona wprawdzie tym przejawem współczucia ze strony nieczulego na ogół ustada Madiida Chana, trwała jednak w milczeniu, strojąc swoją tanpure. Powrócili do przerwanej lekcji, ale było jasne, że nie jest w stanie skoncentrować się ani na radze, której się uczyła, ani na rytmicznych

tanach, które miała ćwiczyć w następnej kolejności. W pewnym momencie ustad zwrócił się do niej:

— Jaką nutę pani śpiewa przy słowie „ga”? Czy jest pani pewna, że to właściwa nuta? Przytłaczają panią troski. Powinna pani zostawić złe myśli na zewnątrz, za drzwiami, obok butów.

Zaczął śpiewać pełne frazy tanów, a Motu Ćand, upojony porywającym pięknem muzyki, dał się ponieść fantazji i zaimprovizował na tabli po mistrzowsku bardzo przyjemną dla ucha kompozycję. Ustad przestał nagle śpiewać, odwrócił się w jego stronę i powiedział szyderczo:

— Proszę sobie nie przeszkadzać. Proszę kontynuować, gurudzi. Akompaniator uśmiechnął się zażenowany.

— Ależ nie. Doprawdy, bardzo proszę. Co za udana solówka — ironizował dalej ustad Madżid Chan.

Uśmiech Motu Ćanda stał się jeszcze bardziej niewesoły.

— Potrafi pan wystukać na tej swojej tabli normalną thekę? Zwykły, niewyszukany rytm? Parę prostych fraz? Może mi pan to zagrać? Czy też, obdarzony takim talentem, uważałby pan taką prośbę za uchybienie?

Motu popatrzył na ustada Madżida Chana skruszony i powiedział:

— Śpiewał pan tak pięknie, że się zapomniałem, ustad sahib. Przyrzekam, że to się już więcej nie powtórzy.

Ustad Madżid zgromił go wzrokiem, ale przekonawszy się, że nie było w jego wyznaniu nawet cienia impertynencji, nie powrócił więcej do tematu.

Zaraz po skończonej lekcji Wina podniosła się do wyjścia. Zwykle zostawała dłużej, ale tego dnia było to zupełnie niemożliwe. Bhaskar miał gorączkę i wymagał jej opieki; Kedarnath potrzebował moralnego wsparcia. A w dodatku teściowa zrobiła jej rano bolesną wymówkę, że tyle czasu spędza w Haridas College of Music.

Ustad zerknął na zegarek. Do południowej modlitwy została jeszcze cała godzina. Pomyślał o wezwaniach do modlitwy, które słyszał każdego rana, najpierw z najbliższego meczetu, a potem kolejno, w nierównomiernych odstępach, z innych meczetów z całego miasta. Najbardziej lubił formułę, która pojawiała się dwukrotnie, ale tylko w porannym wezwaniu: „Modlitwa cenniejsza niż sen”.

Muzyka również była dla niego rodzajem modlitwy i niekiedy zrywał się bardzo wcześnie, jeszcze przed świtem, aby śpiewać *halit* albo inne ragi przeznaczone na tę porę dnia. Potem pierwsze słowa azanu, „Allah-u-Akbar — Bóg jest wielki”, przecinały chłodne powietrze, a on leżał, wyężając słuch, w oczekiwaniu na słowa, które przy ganiały śpiochom. Uśmiechał się przy nich zawsze. Była to jedna z najprzyjemniejszych chwil w ciągu dnia.

Gdyby wybudowano świątynię Siwy, głos muezina nawołującego do modlitwy zagłuszyłby grzechot konchy. To byłoby nie do zniesienia. Zdecydowanie trzeba temu jakoś zapobiec. Z pewnością tak wpływowy minister jak Maheś Kapur — któremu członkowie jego własnej partii zarzucali, podobnie jak premierowi Jawaharła-lowi Nehru, zbyt dobrą komitywę z muzułmanami (obaj uważani byli niemal za honorowych mahometan) — mógłby coś zrobić w tej sprawie. W zamyśleniu ustał nucić słowa pieśni, której uczył córkę ministra — *Jago Mohan Pjare* — i natychmiast zapomniał o całym świecie. Zapomniał, gdzie jest; zapomniał, że czekają na niego uczniowie. I zupełnie się nad tym nie zastanawiał, że zaadresowane są one do mrocznego boga Kryszny (zachęcają go, by obudził się wraz z nadejściem poranka) i że *Bhajrawa* — tytuł ragi, którą właśnie śpiewał — to przydomek samego wielkiego boga Siwy.

6.2

Już od paru dni Iszak Chan, młody sarangista Saidu Bai, robił, co mógł, żeby pomóc mężowi swojej siostry, również sarangiście, przenieść się z Ali India Radio Lakhnau do Ali India Radio Brahmpur.

Również tego ranka próbował szczęścia — wybrał się do kancelarii AIR, żeby porozmawiać z asystentem kierownika programów muzycznych, ale na próżno. Czuł się zawiedziony, ponieważ nie dopuszczono go do dyrektora stacji, nie mógł więc osobiście przedłożyć mu swojej sprawy. Za to nie przebierając w słowach, przedstawił swój punkt widzenia dwóm kolegom muzykom, z którymi się tam spotkał. Po wyjściu z budynku schowali się przed

upalnym słońcem w cieniu rozłożystego drzewa nim. Rozmawiali, przeskakując z tematu na temat i popatrując na kwitnące kanny. Jeden z nich miał z sobą radio na baterie, prawdziwy cud techniki, więc włączyli i ustawili na jedyną stację, którą mogli odbierać bez zakłóceń, to znaczy własną.

Z odbiornika dobiegł ich głos niezrównanego ustada Madżida Chana, który właśnie zaczął śpiewać ragę *Mija-ki-Todu* jedynie przy akompaniamencie tabli i własnej tanpury. Na dźwięk tej przepięknej muzyki, posępnej, wzniosłej, majestatycznej przestali plotkować i siedzieli na trawniku w milczeniu, zasłuchani. Nawet dudek z ognistym czubkiem przestał na chwilę dziobać w klombie kwiatów.

Swoim zwyczajem ustad Madżid Chan rozpoczął ragę nie arytmiczną alapą, lecz czystą, melodyjną, powolną frazą. Kwadrans później przeszedł w szybsze tempo i wkrótce — niestety — zakończył swój występ. Na antenie nadawano teraz program dla dzieci.

Iszak Chan zgasił radio i popadł w głęboką zadumę. Siedział nieruchomo, niczym w transie.

Po jakimś czasie podnieśli się i poszli do stołówki dla pracowników AIR.

Koledzy Iszaka Chana, podobnie jak jego szwagier, byli etatowymi pracownikami rozgłośni pobierającymi stałą pensję, natomiast on zatrudniany był tylko dorywczo jako akompaniator.

W niedużej stołówce roiło się od ludzi. Wśród muzyków, redaktorów i kierowników programów uwijali się kelnerzy, paru posłańców podpierało ściany. Przytulnie tu było, chociaż gwarnie i tłoczno. Stołówka słynęła z przepysznych samosów i dobrej, mocnej herbaty. Zwrócona w stronę drzwi wejściowych tablica obwieszczała, że nie udziela się kredytów, ale ponieważ muzykom zawsze brakowało pieniędzy, nigdy ich nie odmawiano.

Wszystkie miej sca przy stolikach były pozajmowane. Tylko przy jednym, po drugiej stronie sali, pod ścianą, tam gdzie popijając herbatę, siedział zatopiony we własnych myślach ustad Madżid, stało parę wolnych krzeseł. Ponieważ był artystą wybitnym, do którego rangi daleko było innym muzykom, nawet tym kategorii A, nikt się do niego nie przysiadał. Egalitaryzm wśród artystycznej braci był tylko pozorny. W rzeczywistości podziały były bardzo głębokie. Na przykład wykonawcy kategorii B nie kolegowali się zazwyczaj z

tymi w randze B plus czy też A, a będąc często uczniami jednych albo drugich, zwracali się do nich zawsze z ogromnym szacunkiem.

Iszak Chan rozejrzał się po sali, a zobaczywszy pięć wolnych krzeseł ustawionych wokół stołu ustada Madżida Chana, skierował się w tamtą stronę. Jego dwaj przyjaciele podążyli za nim z lekkim wahaniem.

W tym czasie zwolniło się akurat parę innych stolików; niektórzy stołownicy spieszyli się, ponieważ ich programy miały wkrótce wejść na antenę. Pomimo to Iszak Chan podszedł prosto do stolika ustada Madżida Chana.

— Czy moglibyśmy się przysiąść? — zapytał grzecznie.

Iszak i jego przyjaciele usiedli na wprost wielkiego artysty, ale on, zatopiony we własnych myślach, zdawał się zupełnie nieświadomy ich obecności. Popijał wolno herbatę z kubka, który trzymał oburącz, jakby chciał sobie ogrzać dłonie, chociaż było bardzo ciepło. Obok niego, z prawej i lewej strony, stały nadal dwa wolne krzesła.

Iszak usiadł na wprost mistrza, przypatrując się jego szlachetnym rysom. Nie rozwaga statecznego wieku, lecz jakieś błogie wspomnienie lub przelotna myśl nadawały jego twarzy wyraz pewnej łagodności.

Iszak, na którym króciutka raga *Todi* w wykonaniu ustada Madżida Chana wywarła ogromne wrażenie, chciał za wszelką cenę wyrazić mu swoje uznanie. Ustada Madżid Chan nie był wysokim mężczyzną, ale siedząc sztywno wyprostowany na scenie, w swoim długim czarnym aćkanie (cud, że zapięty tak ciasno pod samą szyją nie zduszał mu głosu), albo nawet tylko przy stole, popijając herbatę, wzbudzał szacunek, a nawet lęk, i sprawiał wrażenie mężczyzny o słusznym wzroście. W tej chwili sprawiał wrażenie prawie nieprzystępnego.

„Gdyby tylko się do mnie odezwał”, myślał Iszak, „powiedziałbym mu, co czułem, słuchając jego pieśni. Musiał zauważyć, że się do niego dosiedliśmy. A poza tym znał przecież mojego ojca”. Raziło go u mistrza wiele rzeczy, ale teraz, po wysłuchaniu tej wspaniałej ragi, postrzegał je jako nic nie znaczące błahostki.

Zamówili herbatę. Radiostacja była instytucją państwową, niemniej jednak obsługa w stołówce była szybka i sprawna. Trzej przyjaciele wdali się w dys-

kusję, a ustad Madżid nadal popijał swoją herbatę w milczeniu, oderwany od rzeczywistości.

Pomimo swego nieco sarkastycznego usposobienia Iszak, zawsze chętny do pomocy, był chłopakiem powszechnie lubianym i miał sporą grupkę serdecznych przyjaciół. Po śmierci ojca wraz z siostrą przejął na siebie obowiązki żywiciela rodziny, łożąc na utrzymanie młodszych braci. Dlatego też, między innymi, przeprowadzka siostry z rodziną z Lakhnau do Brahmpuru była sprawą najwyższej wagi.

Jeden z kolegów Iszaka, który grał na tabli, zasugerował teraz, że szwagier Iszaka i Rafik, jeszcze inny sarangista, który bardzo chciał się przenieść do Lakhnau, powinni zamienić się miejscami.

— Ale Rafik jest wykonawcą kategorii B plus. A twój brat jaką ma rangę?
— zapytał Iszaka jego kolega.

— B.

— Dyrektor stacji nie będzie chciał stracić artysty kategorii B plus w zamian za B. Ale mimo wszystko spróbować można.

Iszak podniósł kubek do ust, krzywiąc się przy tym lekko, i pociągnął łyk herbaty.

— Chyba że tymczasem uzyska wyższą kategorię — kontynuował jego przyjaciel. — Zgoda, system jest zupełnie idiotyczny. Jak można ocenić czyjeś umiejętności na podstawie jednego nagrania? Przesłuchają raz taśmę w Delhi i zaszufiadkują człowieka. Ale co robić? Tak już jest i nie ma na to rady.

— Przesada — odparł Iszak, myśląc o swoim ojcu, który w ostatnich latach życia dochrapał się kategorii A — nie jest to system najgorszy. Przy najmniej zapobiega kumoterstwu... i zapewnia pewien poziom artystyczny.

— Poziom artystyczny! — Trzej koledzy podnieśli głowy zaskoczeni. To ustad Madżid Chan wtrącił się do ich rozmowy. Wypowiedział te słowa z pogardą wyraźnie głęboko zakorzenioną w jego sercu. — Nie należy umizgać się do publiczności.

Iszak popatrzył na ustada Madżida Chana głęboko poruszony. Wierny pamięci swego ojca zdobył się na odwagę i odpowiedział:

— Chan sahib, w przypadku artysty pańskiej miary ocena kwalifikacji jest oczywiście zupełnie zbędna. Ale reszta z nas... — Tu głos mu się załamał.

Ustad Madżid, który nie znosił sprzeciwu choćby i w tak zawoalowanej formie, zacisnął wargi i siedział przez jakiś czas w milczeniu, jakby układał sobie coś w myślach. Wreszcie powiedział:

— Nie powinien pan mieć żadnych trudności z przeniesieniem. Sarangista to zwykły grajek, nie musi zaraz być wirtuozem. Nie musi wypracować sobie własnego stylu, bo nie ma takiej potrzeby. Akompaniuje soliście i tyle. To żadna sztuka. Więcej, powiedziałbym nawet, że taki akompaniament psuje tylko efekt wykonania, słyca wartość utworu. — I dodał lodowatym tonem: — Pomogę panu, jeśli pan chce. Porozmawiam z dyrektorem radiostacji. Wie, że jestem obiektywny, bo sam nie potrzebuję sarangisty. Czy to Rafik, czy mąż pańskiej siostry... co za różnica?

Iszak pobladł. Zapomniał o tym, gdzie jest i do kogo mówi. Popatrzył Madżidowi Chanowi prosto w oczy i powiedział cierpko:

— Cóż, ja, „zwykły grajek”, zniosę jakoś tę zniewagę, bo słowa takie padły z ust wybitnego artysty. Czuję się zaszczycony, że w ogóle raczył mnie pan zauważyć. Ale rzeczywiście, ze względu na swoje pochodzenie na pewno zna się pan doskonale na rzeczy. Proszę nam więc wyjaśnić dokładnie, Chan sahib, z jakiej to przyczyny uważa pan ten instrument za całkowicie bezużyteczny?

Nie było tajemnicą, że ustad Madżid Chan pochodził ze starej rodziny sarangistów, ale robił wszystko, żeby odciąć się od tej kompromitującej tradycji, która przechodziła z pokolenia na pokolenie. To stało się ambicją jego życia. W przeszłości sarangiści zwykle przygrywali prostytutkom i kurtyzanom, a on, jako wokalista, między innymi dla dobra swoich dzieci, córki i syna, pragnął, by go utożsamiano z tak zwanymi kalawantami, to jest kastą muzyków wyższej klasy.

Ale nie udało mu się pozbyć piętna potomka sarangistów i żadna z rodzin kalawanckich nie chciała wżenić się w rodzinę Madżida Chana. Głęboko przeżył to rozczarowanie — jedno z najboleśniejszych w życiu. Fakt, że jego muzyka skończy się kiedyś razem z nim, ponieważ nie znalazł dotąd godnego

następcy, sprawił mu również ciężki zawód. Jego syn był zupełnie niemuzykalny, słyszeć zaś nawet nie chciał, żeby utalentowana córka została śpiewaczką. Nie taką wybrał dla niej przyszłość.

Ustad Madżid Chan przełknął ślinę, ale nic nie powiedział.

W odczuciu Iszaka Madżid Chan, pomimo swego niezaprzeczalnego geniuszu, był zwykłym zdrajcą, który w pogardzie dla rodzinnych tradycji wyparł się swoich przodków, choć to oni dali mu życie.

— I dlaczegoż to — mówił dalej zjadliwie, zacierzewiony, głuchy na prośby przyjaciół, którzy starali się go poskromić — dlaczegoż to Chan sahib nie zaszczyci nas jakimś wyjaśnieniem? I w tej dziedzinie, ze względu na swoje pochodzenie, jest pan niewątpliwie ekspertem, choć nie lubi się pan ponoć do tego przyznawać. Więc może nas pan jednak oświeci? Sława pańskiego ojca i dziadka jeszcze nie przebrzmiała.

— Iszak, znałem twojego ojca i znałem twojego dziadka. Obaj mieli poszanowanie dla dobrych obyczajów i wiedzieli, jak się należy zachowywać.

— Palce mieli zgrubiałe, z odciskami, ale nie uważali tego za ujmę na honorze.

Na sali przycichło. Stołownicy przy sąsiednich stolikach zamilkli, przysłuchując się tej słownej utarczce. Było niestety całkiem jasne, że Iszak dał się sprowokować, a teraz przeszedł do ataku, pragnąc zranić i upokorzyć ustada Madżida Chana. Wszyscy zastygli w bezruchu z przerażenia.

Ustad Madżid Chan wycodził jadowicie przez zaciśnięte zęby:

— Wierzaj mi, synu, obaj czuliby się upokorzeni, gdyby wiedzieli, że ich potomek frymarczy honorem, flirtując z siostrą swojej pracodawczyni, która uprawia nierząd za pieniądze przy jego aż nadto gorliwej współpracy. — Zerknął na zegarek i podniósł się z krzesła. Za dziesięć minut miał kolejny występ. A na końcu dodał jeszcze, jakby mówił sam do siebie, z najwyższą prostotą i szczerością: — Burdel to nie świątynia sztuki. Muzyki nie wolno wulgaryzować, bo to modlitwa.

I zanim Iszak zdążył otworzyć usta, ruszył w kierunku wyjścia. Chłopak poderwał się z miejsca i zamroczony gniewem, omal nie rzucił się na niego z pięściami. Na szczęście powstrzymali go dwaj koledzy, którzy nie pozwolili pognać za ustadem Madżidem Chanem. Chcąc zapobiec następnej scysji,

przyłączyli się do nich inni spośród obecnych, ci, którzy znali i lubili Iszaka, i nie chcieli, żeby napytał sobie jeszcze większej biedy.

— Iszak bhai, wystarczy! Co zostało powiedziane, tego się nie da cofnąć.

— Musisz to przełknąć i tyle. Od starszych trzeba przyjąć słowa krytyki, nawet jeśli to nam nie w smak.

— Wpakujesz się w jeszcze gorszą kabałę. Pomyśl o swoich braciach. Jeśli poleci na skargę do sahiba dyrektora...

— Iszak bhai, ile razy ci mówiłem, żebyś trzymał język za zębami!

— Posłuchaj, musisz go natychmiast przeprosić. Ale Iszak powtarzał bez ładu i składu:

— Nigdy... nigdy... nigdy go nie przeproszę... przysięgam... I pomyśleć, że taki człowiek obraża pamięć naszych przodków, moich i swoich własnych... A wszyscy się przed nim płaszczą... Oczywiście, Chan sahib, damy panu dwadzieścia pięć minut na pańską audycję... Naturalnie, Chan sahib, sam pan zdecyduje, jaką zaśpiewać ragę... Na miłość boską... Miya Tansen, gdyby żył, popłakałby się, słuchając tej jego dzisiejszej ragi... Że też Bóg obdarzył go takim geniuszem...

— Spokój, Iszak, spokój — powiedział jeden ze starszych sitarzystów. Iszak odwrócił się ku niemu ze łzami bólu i gniewu w oczach:

— Czy ożeniłby pan swego syna z jego córką? Albo wydał córkę za męża za jego syna? Jakim prawem nas poucza? Wygłasza kazania, jak jaki mułła, na temat modlitwy i poświęcenia... chociaż sam spędził pół żywota na Tarbuzka Bazar...

Ludzie zaczęli się odwracać od Iszaka z politowaniem i konsternacją. Wielu z tych, którzy mu sprzyjali, opuściło stołówkę, aby spróbować udobruchać obrażonego mistrza, który — aby nie zawieść wielbicieli swojego talentu — musiał zrobić wszystko, by nie poniosły go w ostatniej chwili nerwy.

— Chan sahib, chłopak gadał, co mu ślina na język przyniosła.

Ustad Madżid Chan, który był już prawie przy drzwiach studia, w ogóle się nie odzywał.

— Chan sahib, to gorączka, bo jeszcze żółtodziób. Proszę rnu okazać swoją wielkoduszność i nie brać tego, co mówił, na serio. To tylko takie gadanie.

Ustad Madżid Chan popatrzył na orędownika i powiedział:

— Jeśli pies obsika mi aćkan, to chyba jeszcze nie oznacza, że jestem drzewem?

Sitarzysta pokręcił głową i powiedział:

— Wiem, jak bardzo to wszystko nie w porę... Nie mógł gorzej trafić: tuż przed pana występem, ustad sahib...

Ale ustad Madżid Chan zaśpiewał *Hindol* przepięknie, czyściuteńko i z uczuciem. Porywająco.

6.3

Minęło już parę dni, odkąd Saida Bai uratowała Manowi życie, powstrzymując go — jak sam zapewniał — od samobójstwa. Naturalnie taka ewentualność była mało prawdopodobna, czego też nie omieszkał zauważyć jego przyjaciel Firoz, kiedy Man skarżył się mu, że usycha z nieszczęśliwej miłości. Znając Mana, wiedział dobrze, że ten szczęściarz i wesołek nie zadrasnąłby się nawet przy goleniu w dowód namiętności do swojej wybranki. Ale Man czuł, że Saida Bai, pomimo swej silnej, władczej osobowości, miała do niego jednego wielką słabość; i chociaż — wiedział to — nie wierzyła ani przez chwilę, iż w razie miłosnego zawodu targnąłby się na życie, pochlebiały jej jednak trochę — tego był również pewny — te lamenty. Zapewniał ją, że bez niej nie przeżyłby dnia ani godziny. Cóż, słowa mają dziwną moc, a on, w momencie gdy je wypowiadał, sam wierzył niemal w ich prawdziwość. Na jakiś czas wszystkie dawne miłostki przestały dla niego istnieć. Nie liczył się w tej chwili co najmniej tuzin „dziewcząt z dobrych brahmpurskich rodzin”, w których był kiedyś zakochany (i to na ogół z wzajemnością). Saida Bai — przynajmniej na razie — stała się dla niego wszystkim.

A kiedy została jego kochanką, zupełnie oszalał na jej punkcie. Uzależnił się od niej jak od bhangu (źródła nie kończących się rodzinnych konfliktów): zdawało mu się, że w żaden sposób nie jest w stanie zaspokoić pragnienia. Częściowo sprawiała to jej wyrafinowana technika, biegłość, rzec by można,

w sztuce kochania. Ale główną bronią Saidy Bai była nakhra, której nauczyła się od matki i innych kurtyzan w czasach młodości na Tarbuz ka Bazar, a którą doprowadziła do perfekcji. Jak nikt inny potrafiła przybierać nada-sane minki, żeby okazać swoje niezadowolenie. Jednym gestem, słóweczkiem, łezką, która szklila się w oku, potrafiła dać do zrozumienia, że być może — tylko być może — sprawił jej jakąś wielką przykrość albo zranił ją boleśnie. W takich chwilach Man tracił dla niej głowę. Niech się dzieje, co chce, on w jej obronie stawia czoło okrutnemu, bezlitosnemu światu. Kładł głowę na jej ramieniu, obsypując pocałunkami jej szyję i spoglądając raz po raz w oczy, póki nie spostrzegł, że nastrój się jej poprawia. A kiedy smutny uśmiech, który go tak zniewolił podczas koncertu Holi w Prem Niwas, wypływał wreszcie na jej usta, ogarniało go szaleńcze pożądanie. Saida Bai wiedziała o tym doskonale i obdarzała go swoim promiennym uśmiechem tylko wtedy, kiedy sama miała ochotę na pieszczoty.

Oprawiła w ramki jedną z reprodukcji wyciętą z antologii poezji Ghaliba, którą dostała w prezencie od Mana. Ale chociaż narepero-wała na tyle, na ile się dało, stronicę zniszczoną przez radzę Marhu, pomna na krewki temperament Mana nie odważyła się jej zawiesić na ścianie. Wybrała inną, *Idyllą perską*. Obraz ten przedstawiał młodą kobietę ubraną w jasnopomarańczowe szaty, która, trzymając w swych smukłych dłoniach instrument muzyczny przypominający sitar, siedziała na małym, jasnopomarańczowym dywaniku w otwartych drzwiach, zwrócona twarzą w stronę ogrodu rozciągającego się poza ostrołukiem- Rysy kobiety — w przeciwieństwie do pociągających, ale nie klasycznych rysów twarzy Saidy Bai — były delikatne i wyraziste. A spiczasty instrument, który trzymała w dłoniach, w przeciwieństwie do ciężkiej, ale dźwięcznej fisharmonii Saidy Bai — zdawał się tak wążutki na tej stylizowanej ilustracji, że nie sposób byłoby na nim zagrać. Man nie przejął się, że książka z wyrwaną stronicą jest uszkodzona, wobec czego traci na wartości. Wręcz przeciwnie, radość Saidy Bai z prezentu udzielała się i jemu. Leżąc w jej pokoju, wpatrywał się często w obraz, a serce zalewała mu fala ciepła równie tajemnicza jak ogród za ostrołukiem. I rozkoszując się wspomnieniem jej gorących pocałunków lub też żując z zadowoleniem delikatny pan o smaku orzechów kokosowych, który mu właśnie ofiarowała na czubku maleńkiej,

ozdobnej szpileczki, miał wrażenie, że on sam, hojnie obdarzony tkliwością jej pieśczoć, wkracza przy wtórze muzyki w bramy rajskiego ogrodu, wprawdzie nie materialnego, ale jakże rzeczywistego.

— Jakie to niesamowite — powiedział Man głośno, raczej marzycielsko — że nasi rodzice też musieli... zupełnie tak jak my...

Saidę Bai raziły takie niesmaczne uwagi. Sprawy łóżkowe małżeństwa Kapurów czy w ogóle czyjekolwiek zupełnie jej nie interesowały. Nie знаła własnego ojca: jej matka, Mohsina Bai, utrzymywała zawsze, że sama tego nie wie. Poza tym ciepło czy też zwykłe codzienne troski życia rodzinnego nie były dla niej przedmiotem najmilszych rozważań. Brahmpurskie plotkary oskarżały ją o to, że zastawiając podstępnie sidła na nieszczęsnych, naiwnych mężczyzn, rozbija długoletnie małżeństwa. Powiedziała do Mana raczej ostro:

— W moim domu nie muszę sobie wyobrażać takich rzeczy. To jego wielka zaleta.

Man stropił się wyraźnie, a Saida Bai, która żywiła do niego głębokie, serdeczne uczucia i wiedziała, że gadał na ogół, co mu ślina na język przyniosła, starała się go teraz rozweselić:

— A, Dagh sahib! Wygląda na to, że cię to trapi. Czy wolałbyś być owocem niepokalanego poczęcia?

— Chyba tak — przyznał ponuro Man. — Czasami wolałbym w ogóle nie mieć ojca.

— O! — wybąkała zaskoczona Saida Bai.

— Mój ojciec — wyjaśnił Man — zupełnie mnie lekceważy. Kiedy otworzyłem sklep tekstylny w Benaresie, Baodźi z góry założył, że splajtuje. A teraz znowu, kiedy jednak postawiłem na swoim, uważa, że nie powinienem się stamtąd ruszać. Niby dlaczego?

Saida Bai pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi.

— I po kiego licha miałbym się żenić? — ciągnął swe łóżkowe wywody Man, otaczając Saidę Bai ramieniem i dotykając jej policzka lewą ręką. — Po co mi to, na co mi to?

— Przynajmniej mogłabym wtedy śpiewać na twoim weselu — powiedziała z uśmiechem Saida Bai. — Twój ojciec na pewno by mnie poprosił. I na przyjęciach z okazji narodzin twoich dzieci.

I z okazji mundanu. A potem, oczywiście, na ich weselach. — Zamilkła na parę sekund. — Ale tego już nie dożyję — dodała. — Czasami sama sobie zadaję pytanie, co ty we mnie widzisz. W takiej podstarzałej paniusi... ?

Mana szczerze oburzyła ta uwaga. Powiedział podniesionym głosem:

— Jak możesz w ogóle mówić takie rzeczy? Chcesz mnie specjalnie zderwować? Nikt nigdy nie znaczył dla mnie tyle co, ty. Ta dziewczyna w Benaresie, którą widziałem dwa razy w życiu, zawsze z obstawą, jest mi najzupełniej obojętna... a wszyscy chcą, żebym się z nią żenił tylko dlatego, że tak sobie życzą ojciec z matką.

Saida Bai odwróciła się i położyła mu głowę na ramieniu.

— Ale przecież musisz się kiedyś ożenić — powiedziała. — Nie możesz sprawić swoim rodzicom zawodu.

— Tamta mi się wcale nie podoba — powiedział Man wyraźnie zbuntowany.

— To tylko kwestia czasu — pocieszyła go Saida Bai.

— Jak się ożenię, to nie będę mógł się z tobą więcej widywać — powiedział Man.

— O? — odparła Saida Bai w taki sposób, że pytanie, zamiast skłaniać do odpowiedzi, sugerowało koniec rozmowy.

6.4

Po pewnym czasie przenieśli się do drugiego pokoju. Saida Bai kazała przynieść sobie papużkę, do której bardzo się przywiązała. Iszak Chan wniósł klatkę i zaczęły się spory na temat tego, kiedy ptaszek zacznie wreszcie mówić. Saida Bai uważała, że już za parę miesięcy, ale Iszak był innego zdania.

— Mój dziadek miał papużkę, samca, który nie mówił nic przez cały pierwszy rok, za to potem dziób mu się nie zamykał przez resztę życia.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałam — powiedziała Saida Bai lekceważąco. — Ale co ty wyprawiasz z tą klatką? Trzymaj ją porządnie.

— Trzymam, trzymam — powiedział pojednawczo Iszak, stawiając klatkę na stole i rozcierając lewą dłonią prawy nadgarstek.

Prawdę powiedziawszy, miał bóle w stawach, a w dodatku od paru tygodni czuł się z każdym dniem gorzej.

— Grasz całkiem dobrze — stwierdziła Saida Bai, głaszcząc papużkę po maleńkim dziobku. — To chyba nic groźnego. Nie wybierasz się czasem na wieś do rodziny na jakieś weselisko? Może chcesz wyjechać z miasta, aż ta sprawa z awanturą w radiostacji przycichnie? Całe miasto aż się trzęsie od plotek...

Jeśli wzmianka o tym przykrym zajściu i nieprzyjemnych insynuacjach dotknęła boleśnie Iszaka, zupełnie nie dał tego po sobie poznać. Saida Bai kazała mu zawołać Motu Canda i wszyscy troje urządzili dla Mana koncert. Iszak, pociągając smyczkiem po strunach, przygryzał od czasu do czasu dolną wargę, ale się nie skarżył.

Saida Bai siedziała na perskim dywanie, trzymając przed sobą fisharmonię. Głowę miała przykrytą sari i palcami lewej ręki wodziła po podwójnym, grubym sznurze pereł, który okalał jej smukłą szyję. Potem, nucąc pod nosem, położyła lewą rękę na miechu fisharmonii i zagrała parę nut ragi *Pilu*. Jednak sama nie mogła się zdecydować, co ma ochotę zaśpiewać, i po jakimś czasie, niezbyt pewna własnego nastroju, zanuciła na próbę parę innych rag. Wreszcie zapytała Mana delikatnie:

— A ty co chciałbyś usłyszeć? — Po raz pierwszy zwracając się do niego, użyła słowa „tum” („ty”), które brzmiało bardziej intymnie niż „ap”: forma, którą preferowała do tej pory. Man popatrzył na nią z uśmiechem. — A więc? — ponagliła go Saida Bai po upływie minuty.

— Więc co, Saido Bai? — rzekł Man.

— Więc co byś chciał usłyszeć? — Znowu użyła „tum” zamiast „ap”, a Manowi po prostu zakręciło się w głowie ze szczęścia. Przyszedł mu na myśl zasłyszany niegdyś kuplet:

*Przestrzega Saki etykiety, kochankom wino swym serwując,
Do tego mówiąc po imieniu, tamtego panem tytułując.*

— Naprawdę jest mi wszystko jedno — powiedział Man. — Cokolwiek. Jak pani serce podpowiada.

Man nie zdobył się jeszcze na odwagę, żeby zwracać się do Saidu Bai per ty lub po prostu po imieniu. Tylko w chwilach namiętności, kiedy sam nie wiedział, co mówi, wyrwało mu się parę razy zażyłe „tum”. „Być może”, myślał, „powiedziała tak przez roztargnienie i poczuje się urażona, jeśli pozwolę sobie na taką zuchwałość”.

Tymczasem Saida Bai dąsała się o coś zupełnie innego.

— Chcę, żebyś mi pomógł w wyborze, a ty nie potrafisz mnie wyreczyć — powiedziała. — Moje serce jest w tej chwili zupełnie skołowane, podpowiada mi dwadzieścia całkiem różnych rzeczy. Słyszysz przecież, że przeskakuję z rągi na ragę. — A potem odwróciła się od Mana i powiedziała: — Motu, co mam zaśpiewać?

— Wedle twego uznania, Saido begam — odparł pogodnie Motu.

— Ty idioto! Moi wielbiciele na koncertach życie by oddali za możliwość takiego wyboru, a ty się tylko uśmiechasz głupkowato i nic nie potrafisz wymyślić oprócz: „Wedle twego uznania, Saido begam”. Jaki mam zaśpiewać gazel? No, już! Decyduj się! Albo może thumri zamiast gazel a?

— Nie, gazel będzie najlepszy, Saido Bai — zapewnił ją Motu Ćand i zasugerował *To tylko serce, nie kamień, nie głaz* Ghaliba.

Po wykonaniu tej pieśni Saida Bai zwróciła się w stronę Mana i powiedziała:

— Musisz mi wpisać dedykację do książki.

— Po angielsku? — zapytał Man.

— Zadziwiające! — powiedziała Saida Bai. — Wielki poeta Dagh okazuje się analfabetą w ojczystym języku! Musimy jakoś temu zaradzić.

— Nauczę się urdu! — powiedział Man entuzjastycznie.

Motu Ćand i Iszak Chan wymienili spojrzenia. Man był wyraźnie bardziej zadurzony, niż sądzili do tej pory. Saida Bai roześmiała się i zapytała figlarnie:

— Naprawdę?

Potem kazała Iszakowi przywołać pokojówkę, Bibbo, na którą była dzisiaj zła z jakiegoś powodu. Bibbo chyba o tym wiedziała, ale wcale się nie przejmowała. Weszła, szczerząc zęby w uśmiechu, co dodatkowo rozwścieczyło Saidę Bai.

— I czego szczerzysz te zębiska? — warknęła opryskliwie. — Specjalnie chcesz mnie wyprowadzić z równowagi. A poza tym zapomniałaś powiedzieć kucharce, że wczorajszy dal dla ptaka był za twardy. To papuga, a nie tygrys, kretynko! Przestań wreszcie wietrzyć te zębiska i powiedz mi, o której tu będzie Abdur Raszid. O której ma lekcję arabskiego z Tasnim?

Saida Bai nie obawiała się wspominać o Tasnim w obecności Mana. Była go zupełnie pewna.

Bibbo przybrała skruszoną minkę i powiedziała:

— Jak pani wiadomo, Saido Bai, lekcja się już zaczęła.

— Jak mi wiadomo? Jak mi wiadomo? — piekliła się dalej Saida Bai. — Nic mi o tym nie wiadomo! Co za krnąbrne stworzenie — dodała gderliwie. — Powiedz mu, żeby tu zaraz przyszedł.

Parę minut później Bibbo wróciła, ale sama.

— No i...? — zapytała Saida Bai.

— Nie chce przyjść — rzekła Bibbo.

— Jak to: „Nie chce przyjść”? A kto mu płaci za te lekcje? A może wejście na górę, do tego pokoju, uwłaczałoby jego godności? Proszę, jaki ważniak, bo studiuje na uniwersytecie. Dlaczego nie chce przyjść?

— Nie wiem, begam sahiba — odparła po prostu Bibbo.

— To się dowiedz. Jemu chcę podwyższyć zarobki, a nie sobie. Pięć minut później Bibbo wróciła z szerokim uśmiechem na twarzy i powiedziała:

— Wściekły był, że znowu przerwałam mu lekcję. Przerabiają właśnie z Tasnim jakiś bardzo zawiły ustęp z Koranu i powiedział mi, że przedkłada słowo boże nad doczesne ziemskie zarobki. Ale przyjdzie po skończonej lekcji.

— Właściwie to nie jestem zupełnie pewny, czy rzeczywiście chcę się uczyć urdu — powiedział Man, który pożałował teraz swojego zapалу. Nie

chciał się zbytnio przeciążać nauką. Zaskoczyło go również, że wszystko potoczyło się w takim zawrotnym tempie.

Zawsze obiecywał sobie, że nauczy się grać w polo (pod wpływem Firoza, który lubił narzucać znajomym własny, wielkopański styl życia), że się ustakuje (żeby przypodobać się Winie, która jedyna spośród członków rodziny potrafiła mu czasem dobrze natrzeć uszu) albo że pod żadnym pozorem nie będzie więcej udzielał lekcji pływania wielorybom (Pran zawsze uważał go za lekkoducha i nigdy tego nie pochwalał). Ale były to postanowienia, których nie zamierzał tak naprawdę wprowadzać w życie.

Tymczasem młody nauczyciel arabskiego stał już właśnie w drzwiach, onieśmielony, ale przy tym jakby zde gustowany. Pozdrowił towarzystwo grzecznym adab i czekał na polecenia.

— Raszid, mój młody przyjaciel pragnie się uczyć urdu. Chciałabym, żebyś przejął nad nim pieczę. Czy podjąłbyś się tego zadania? — zapytała Saida Bai prosto z mostu.

Młody człowiek skinął głową niezbyt ochoczo.

— Na tych samych warunkach, co lekcje z Tasnim — dorzuciła Saida Bai, która lubiła załatwiać sprawy natury praktycznej od ręki.

— W porządku — odparł Raszid. Cedził słowa, jakby nadal miał im za złe, że przeszkodzili mu w lekcji. — A z kim mam przyjemność?

— Ach, bardzo przepraszam — powiedziała Saida Bai. — Pozwól, że ci przedstawię Dagha sahiba, którego świat zna do tej pory głównie jako syna ministra Maheśa Kapura. A jego starszy brat wykłada na uczelni, tam gdzie pan studiuje.

Młody człowiek ściągnął brwi, jakby zastanawiał się nad czymś głęboko, a potem, przenosząc wzrok na Mana, powiedział:

— To dla mnie zaszczyt. Chętnie podejmę się pracy z synem Maheśa Kapura. Przepraszam, ale już jestem nieco spóźniony na następną lekcję. Jakie godziny najbardziej by panu odpowiadały?

— O, z tym nie będzie żadnego problemu — rzekła Saida Bai z czułym uśmiechem. — Dagh sahib nie może się skarżyć na brak czasu.

6.5

Pewnego wieczoru Pran, zmęczony sprawdzaniem prac egzaminacyjnych, spał głęboko, kiedy obudził go lekki wstrząs. Dostał kopniaka. Jego żona spała obok, przytulona do niego.

— Sawita, Sawita... Kopnęło mnie! Nasze maleństwo mnie kopnęło! Słyszysz? — mówił Pran ogromnie podniecony, potrząsając żonę za ramię.

Sawita otworzyła na chwilę niechętnie jedno oko, a upewniwszy się z ulgą, że mąż leży obok niej (wyczuwała pod palcami jego chude, kościste ciało), uśmiechnęła się do siebie w ciemności i znowu zapadła w sen.

— Nie śpisz? — zapytał Pran.

— Au... — powiedziała na to Sawita. — Mmm.

— Ale naprawdę mnie kopnęło! — powtórzył Pran niezadowolony, że go ignoruje.

— Co? — zapytała sennie Sawita.

— Maleństwo.

— Jakie maleństwo?

— Nasze maleństwo.

— Co zrobiło nasze maleństwo?

— Kopnęło mnie.

Sawita usiadła i z czułością pocałowała Prana w czoło, jakby on sam był także dzieckiem.

— Niemożliwe. Przyśniło ci się. Kładź się spać. I mnie też pozwól zasnąć. I maleństwu.

— Kopnęło mnie — upierał się Pran trochę naburmuszony.

— Niemożliwe — powiedział Sawita, kładąc się znowu obok niego. — Poczulałabym to.

— A jednak tak. Ni mniej, ni więcej, tylko tyle: kopnęło mnie. Ty pewnie już teraz w ogóle nie czujesz tych kopniaków, bo się przyzwyczaiłaś. Ale kopnęło ci w brzuchu, na pewno, bo aż mnie obudziło — obstawał przy swoim Pran.

— Dobrze — powiedziała Sawita. — Niech ci będzie. Pewnie wiedziało, że cię dręczą koszmary na temat tego chiasmu i ana... czy jak tam...

— Anakoluta.

— Właśnie. Za to ja miałam przyjemne sny, więc nie chciało mi przeszkadzać.

— Wspaniałe maleństwo — powiedział Pran z zadowoleniem.

— Nasze maleństwo. — Pran zasłużył sobie na jeszcze jednego całusa.

Przez chwilę leżeli w milczeniu, ale potem, kiedy Pran zasypiał ponownie, Sawita powiedziała:

— Jest bardzo niesforne.

— Tak? — wymamrotał sennie Pran, na pół przytomny.

Ale Sawita, całkiem już wyrwana ze snu, nie miała zamiaru przerywać teraz rozmowy.

— Jak sądzisz? W kogo on się wrodzi? — zapytała. — W Mana?

— Dlaczego „on”?

— Bo czuję jakoś, że to chłopiec — powiedziała Sawita z przekonaniem.

— A pod jakim względem ma się wrodzić w Mana? — zapytał Pran, który przypomniał sobie właśnie, że na prośbę matki miał porozmawiać z bratem na temat jego przyszłości, a szczególnie na temat „tej kobiety”, Saidy Bai, której imię nigdy nie przeszło matce przez gardło.

— Pod względem urody. Czy wyrośnie na przystojnego bawidamka?

— Możliwe — powiedział Pran, myśląc o czymś zupełnie innym.

— Czy na intelektualistę jak jego tata?

— Czemu nie? — Pran włączył się znowu z zapalem do rozmowy. — Znam gorszych. Żeby tylko nie odziedziczył po tacie astmy.

— A co będzie, jak się wda w dziadka choleryka?

— Nie, nie. Nie kopnął mnie ze złości. Chciał nas tylko poinformować w środku nocy, że wszystko jest w porządku. Albo może, tak jak mówiłaś, wyrwał mnie z jakiegoś koszmarnego snu.

— Albo będzie buńczuczny i przemądrzały jak Arun?

— Wybacz, Sawito — powiedział Pran. — Ale jeśli wda się w twego brata, to się go wyrzeknę. Ale zresztą przedtem on się nas wyrzeknie. Jeśli rzeczywiście jest taki jak Arun, to pewnie myśli sobie teraz: „Co za okropna

obsługa w tym lokalu; muszę porozmawiać z kierownikiem: karmienie powinno zawsze odbywać się o określonej godzinie. A temperatura płynu owo-dniowego na tym krytym basenie powinna być stale regulowana. Tak się robi w macicach pięciogwiazdkowych. Ale zresztą, czego się tu spodziewać? To przecież Indie. Wszystko tu jest do niczego. Krajowcy powinni nauczyć się wreszcie dyscypliny". Może to dlatego mnie kopnął.

Sawita parsknęła śmiechem.

— Nie znasz Aruna tak naprawdę — rzekła w odpowiedzi. Pran chrząknął tylko, ale nie zaprzeczył. — Zresztą — mówiła dalej Sawita — może się wrodzi w którąś z kobiet z rodziny. Może będzie taki jak twoja albo moja matka. — Ta myśl przypadła jej do gustu.

Pran zmarszczył z wysiłkiem czoło, ale o drugiej nad ranem jego wyobraźnia pracowała mniej sprawnie niż Sawity.

— Chcesz się czegoś napić? — zapytał.

— Nie... hm... szklankę wody.

Pran usiadł na łóżku, odkaslnął, zapalił nocną lampkę na stoliku i nalał jej z termosu szklankę zimnej wody.

— Proszę, kochanie — powiedział, patrząc na nią z czułością, ale bez uśmiechu. Wyglądała prześlicznie. Ogarnęło go pożądanie, którego — wiedział — nie będzie mógł zaspokoić.

— O co chodzi? — zapytała zaniepokojona Sawita. — Coś jest nie tak. Słyszę to w twoim głosie.

Pran uśmiechnął się i pogładził ją dłonią po włosach.

— Wszystko w porządku.

— Martwię się o ciebie.

— Nie ma o co — skłamał Pran.

— Masz za mało świeżego powietrza i przeciążasz płuca. Wolałabym, żebyś był pisarzem, a nie wykładowcą. — Sawita piła chłodną wodę z rozkoszą, małymi łydkami.

— Dobra rada — rzekł Pran. — Ale ty też masz za mało ruchu. Powinnaś więcej chodzić, nawet w okresie ciąży.

— Wiem — powiedziała Sawita, ziewając. — Czytam właśnie książkę, którą dostałam od mamy.

— Dobrze, dobranoc, kochanie. Daj mi tę szklanę.

Zgasił światło i położył się w ciemnościach, nie zamykając oczu. „Nigdy nie myślałem, że będę taki szczęśliwy”, mówił sobie. „Zastanawiam się nad tym ciągle, a czar jakoś nie pryska. Ale jak to długo potrwa? A przecież nie żyję już tylko dla siebie, ale również dla żony i dziecka. Muszę o siebie zadbać. Muszę zadbać o te moje beznadziejne płuca. Nie powinienem się przepracowywać. I muszę szybko usnąć”.

I rzeczywiście, pięć minut później pogrążył się znowu we śnie.

6.6

Następnego ranka przyszedł list z Kalkuty. Pisany był drobnym maczkiem, tak typowym dla Mrs Rupy Mehry, a brzmiał, jak następuje:

Kochane Dzieci,

dopiero niedawno otrzymałam od Was długo oczekiwany list i nie muszę chyba pisać, jak bardzo mnie on ucieszył. Nie spodziewałam się listu od Ciebie, Pran, ponieważ wiem, że jesteś zapracowany i trudno Ci znaleźć czas na pisanie listów, więc tym miłsza była niespodzianka.

Pewna jestem, że pomimo piętrzących się wciąż trudności, docenią Cię wreszcie, drogi Pranie, na wydziale, i spełnią się w ten sposób Twoje marzenia. Cierpliwości! Tego nauczyło mnie życie. Trzeba tylko zakasać rękawy i nie załamywać rąk. Na resztę nie mamy żadnego wpływu. Chwała Bogu, że moja ukochana Sawita ma takiego dobrego męża. Żeby tylko zdrowie mu dopisywało.

Maleństwo pewnie kopie coraz mocniej i często popłakuję sobie, że nie mogę być tam teraz z Tobą, moja najdroższa Sawito. Tak bardzo chciałabym dzielić z Tobą codziennie Twoją radość.

Pamiętam, jak kopałaś, kiedy byłam z Tobą w ciąży. Ale nigdy nie kopałaś mocno. Tatuś, Panie świeć nad jego duszą, nie mógł nawet tego wyczuć, kiedy kładł mi rękę na brzuchu. A teraz Ty już niedługo sama będziesz matką! Ciągle o Tobie myślę. Czasami Arun mi wyrzuca, że liczą się dla mnie „tylko Lata i Sawita”, ale to nieprawda. Żadnego z moich dzieci nie wyróżniam. Kocham wszystkich czworo jednakowo i troszczę się tak samo o synów, jak o córki. Waran ma w tym roku na uczelni mnóstwo kłopotów i bardzo się w związku z tym o niego martwię.

Aparna to prawdziwy skarb. Jest bardzo przywiązana do swojej babci. Często zostaję z nią wieczorami, bo Arun i Minak-szi prowadzą ożywione życie towarzyskie. Wiem, że Arun musi wyrobić sobie w pracy pozycję i kontakty towarzyskie są pod tym względem zupełnie niezbędne. Zresztą to mi wcale nie przeszkadza, lubię się bawić z Aparną. Czytam, kiedy tylko czas mi na to pozwala. Warun wraca z uczelni późnym wieczorem. Kiedyś się nią zajmował — i bardzo dobrze: nie do nianiek należy wychowywanie dzieci; źle to wpływa na rozwój maluchów. Teraz ja przejęłam te obowiązki i Aparna ogromnie się do mnie przywiązała. Wczoraj powiedziała[^] do matki, która szykowała się do wyjścia (na kolację): „Idźcie sobie, idźcie; mam to w nosie. Dadi ze mną zostanie, więc nic tikpo was”. Cytuję jej słowa. Pękałam z dumy, że potrafi mówić tak składnie, ma przecież dopiero trzy latka. Uczę ją, żeby nie mówiła do mnie „babciu”, tylko „Dadi”, ale Minakszi uważa, że powinna się uczyć poprawnej, angielskiej wymowy, bo jak podrośnie, to będzie już na to za późno.

Minakszi ma swoje humorki i jak ją coś ugryzie, to świdruje mnie wzrokiem, a ja czuję, moja droga Sawito, że jej w tym domu zawadzam. Zawsze w takich chwilach przyrzekam sobie, że następnym razem odpłacę jej pięknym za nadobne i wytrzymam jej spojrzenie, ale zamiast tego zaczynam płakać. Taki już mam charakter i nic na to nie poradzę. Arun mówi wtedy do mnie: „Mamo, przestań histeryzować. Zawsze wszystko wyolbrzymiasz”. Staram się więc nie płakać, ale kiedy pomyślę o medalach Twojego Tatusia, łzy same cisną mi się do oczu.

Lata spędza ostatnio mnóstwo czasu z rodziną Minakszi. Zyskała sobie chyba sympatię ojca Minakszi, sędziego Catterdżego, a siostra Minakszi, Ka-

koli, również ją bardzo lubi. Za to trzech bracia Minakszi, Amit, Dipankar i Tapan Catterdżowie, to, moim zdaniem, jakieś dziwaki. Amit namawia Latę, żeby zaczęła uczyć się bengalskiego, bo to jedyny cywilizowany język w Indiach. On sam, jak wam wiadomo, pisze swoje książki po angielsku, więc jakim prawem twierdzi, że tylko bengalski jest cywilizowany, a hindi już nie? Nie wiem, ale ci Catterdżowie to jakaś strasznie dziwna rodzina. Mają w salonie pianino, ale wieczorami ojciec chodzi po domu w dhoti. Kakoli bierze lekcje śpiewu i ma w swoim repertuarze pieśni Rabindranatha Tagore, a także wielu zachodnich kompozytorów, ale mnie tam jej głos wcale się nie podoba. A poza tym ma w Kalkucie reputację emancypantki. Czasami nie mogę wprost uwierzyć, że mój Arun wżenił się w taką rodzinę, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo dzięki temu mam moją ukochaną Aparnę.

Zaraz po przyjeździe do Kalkuty Lata zupełnie nie była sobą. Obawiam się, że czuła do mnie wielki żal, a poza tym zamartwiała się o wyniki egzaminów. Jak tylko ogłoszą wyniki, to je nam natychmiast wyślijcie, najlepiej telegramem, nieważne, czy będą dobre, czy też słabe. A to wszystko, moim zdaniem, przez tego K., którego poznała w Brahmpurze i który — jak widać — wyraźnie miał na nią zgubny wpływ. Czasami odpowiadała mi tylko półgębkiem, a czasem wtrącała uszczypliwe uwagi, ale czy możecie sobie wyobrazić, jak by się to wszystko skończyło, gdybym nie interweniowała? Byłam zdana na własne siły, Arun wcale się tym nie interesował, ale teraz poprosiłam go, żeby przedstawił Latę swoim współpracownikom i znajomym. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Gdybym znalazła dla niej takiego męża jak Pran, to już mogłabym spokojnie zamknąć na wieki oczy. Tatuś też byłby spokojny o przyszłość Sawity, gdyby miał Cię okazję poznać, Pran.

Wreszcie tak mnie kiedyś ubodło to jej zachowanie, że powiedziałam do niej: „Może za czasów Gandhiego trzeba było rzeczywiście bojkotować Brytyjczyków, ale ja jestem twoją matką, uparta dziewczyno. Dlaczego to robisz?” A ona: „Nie wiem, o czym mówisz”. Powiedziała to tonem tak lodowatym, że serce ścisnęło mi się w piersi z bólu. Modlę się tylko teraz, moja najdroższa Sawito, żeby Twoja córka (jeśli urodzi się dziewczynka, chociaż tak prawdę powiedziawszy, czas już na chłopca w rodzinie) nie odnosiła się kie-

dyś tak wrogo do Ciebie. Ale czasami, kiedy zapomni, że się na mnie gniewa, potrafi być bardzo czuła i kochana; dopóki sobie znowu nie przypomni.

Niech Was Bóg Wszechmogący ma zawsze w swojej opiece. Życzę Wam zdrowia i wszelkiej pomyślności, a także spełnienia wszystkich marzeń. Spotkamy się, daj Boże, gdy nadejdzie pora deszczowa.

Pozdrowienia, uściski i całusy dla Was obojga od nas wszystkich: ode mnie, Aruna, Waruna, Laty, Aparny oraz Minakszi. Nie martwcie się o mnie. Poziom cukru utrzymuje mi się w normie.

Wasza zawsze kochająca Mama

PS. Proszę, pozdrówcie ode mnie Mana, Winę, Kedarnatha, a także Bhaskara, matkę Kedarnatha oraz Twoich Rodziców, Pran (mam nadzieję, że kwiaty nim są teraz trochę mniej dokuczliwe), jak również mojego ojca i Parwati, no i oczywiście nie narodzone jeszcze Maleństwo. Przekażcie ode mnie salam Man-surowi i Matinowi oraz całej służbie. W Kalkucie jest po prostu gorąco, ale w Brahmpurze musi być jeszcze gorzej. W Twoim stanie, Sawito, lepiej nie wychodzić za dużo na słońce, przebywaj jak najwięcej w chłodnych pomieszczeniach, a przede wszystkim oszczędzaj się fizycznie. Musisz dużo wypoczywać. Pozwól sobie na lenistwo. Mówię Ci, moja najdroższa Sawito: po urodzeniu dziecka i tak będziesz miała pełne ręce roboty, więc się teraz nie przemęczaj.

6.7

Wzmianka o kwitnących drzewach nim przypomniała Pranowi, że już od kilku dni nie widział się z matką. Tego roku katar sienny dawał się Mrs Maheś Kapur wyjątkowo we znaki, tak że często miała trudności z oddychaniem. Nawet jej mąż, który na ogół zupełnie lekceważył podobne przypadłości, jakby cierpiący sami zgotowali sobie taki los, zmuszony był zainteresować się stanem zdrowia swojej żony. Pran natomiast, bezradny, wczuwając się w jej

położenie (wiedział z własnego doświadczenia, jak to męczy, kiedy nie można złapać tchu), był zły na ojca, że zatrzymuje ją w mieście, bo potrzebna mu w domu gospodyni.

— A gdzie ją wyślę? Za granicę? — mówił Maheś Kapur. — Pokaż mi jedno miejsce w tym kraju, gdzie nie rosną drzewa nim.

— Może w góry... albo na południe.

— Przestań fantazjować. A kto się tam nią zajmie? Mam może zrezygnować z pracy, czy co?

Trudno było znaleźć na to kontrargumenty. Maheś Kapur zawsze lekceważył cielesne cierpienia i niedomagania bliźnich, a przed każdym porodem swojej żony uciekał po prostu z miasta. Nie mógł znieść „tej całej krzątaniny, rozgardiaszu i zamieszania”.

Stan zdrowia Mrs Maheś Kapur pogarszały jeszcze inne zgrzyoty. Zamarzwała się romansem Mana z Saidą Bai. Szalał pb Brahmpurze, zamiast pilnować interesów w Benaresie. Kiedy rodzice jego narzeczonej starali się, za pośrednictwem jednego z krewnych, zasięgnąć informacji na temat planowanej daty ślubu, Mrs Maheś Kapur ubłagała Prana, żeby porozmawiał ze swoim młodszym bratem. Pran powiedział jej, że nie ma na niego żadnego wpływu.

— On słucha tylko Winy — stwierdził. — Ale zresztą i tak potem robi po swojemu.

Widząc jednak przygnębienie matki, zgodził się na rozmowę z Manem. Lecz później odkładał to z dnia na dzień.

„Dobrze”, powiedział tym razem do siebie. „Pogadam z nim dzisiaj. Przy okazji wpadnę z wizytą do Prem Niwas”.

Było już zbyt gorąco na spacer, więc pojechali tongą. Sawita siedziała w milczeniu z tajemniczym (zdaniem Prana) uśmiechem na twarzy. W rzeczywistości cieszyła się po prostu na spotkanie z teściową, którą bardzo lubiła, ponieważ świetnie im się rozmawiało o liliach, sępach i trawnikach oraz o drzewach nim.

Man spał jeszcze, kiedy dotarli do Prem Niwas. Pran zostawił Sawitę z Mrs Maheś Kapur, która tym razem wyglądała nieco lepiej, a sam poszedł

obudzić brata. Man spał z twarzą wtuloną w poduszkę. Wiatrak na suficie kręcił się na pełnych obrotach, ale w pokoju było mimo to bardzo gorąco.

— Wstawaj, pobudka! — zawołał Pran.

— Eee! — powiedział Man, starając się zasłonić oczy od światła.

— Wstawaj! Muszę z tobą pogadać.

— Co? A o czym? Dobra, dobra. Pozwól mi tylko przemyć oczy.

Man zwlókł się z łóżka, potrząsnął kilka razy głową, przyjrzał się dokładnie swojej twarzy w lustrze, a kiedy brat się odwrócił, pozdrowił sam siebie z wielkim szacunkiem grzecznym adab. Pochlapał się trochę wodą i z powrotem wyciągnął na łóżku, ale tym razem na wznak.

— Kto cię tu przysłał? — spytał Man. Potem, przypomniawszy sobie przerwany sen, powiedział z żalem: — Miałem cudowny sen. Śniło mi się, że idę sobie w Barsat Mahal z młodą kobietą... No, może nie taką bardzo młodą... ale cerę miała nadal bardzo gładką...

Pran nie mógł powstrzymać uśmiechu, co zirytowało Mana.

— Widzę, że cię to nic nie obchodzi — powiedział oskarżycielsko.

— Masz rację.

— To po co przyszedłeś, bhai sahib? Usiądź na łóżku, będzie ci wygodniej. Aha! — przypomniał sobie. — Chciałeś ze mną porozmawiać. A kto cię w to wrobił?

— Dlaczego zaraz sądzisz, że ktoś mnie w to musiał wrobić?

— Już cię znam. Z reguły nie słuchasz z własnej woli braterską radą, a widzę po twojej minie, że czeka mnie pogadanka. Dobrze, dobrze, mów. Pewnie chodzi o Saidę Bai,

— Zgadłeś.

— O czym tu dużo mówić? — spytał Man z wisielczym humorem. — Zakochałem się w niej po uszy. Ale nie wiem, czy ona odwzajemnia moje uczucia.

— Ty idioto — rzekł Pran z czułością.

— Przestań się ze mnie nabijać. Nie znoszę tego. Jestem w rozpacz — zadeklarował Man, usilnie starając się w to uwierzyć. — Ale nikt tego nie traktuje poważnie. Nawet Firoz mówi...

— I ma rację. Nie jesteś wcale w rozpaczy. Naprawdę wierzysz, że ktoś taki jest zdolny do miłości?

— A dlaczego nie? — zdziwił się Man.

Przypomniał sobie wczorajsze pieszczoty Saidy Bai i wróciło seksualne podniecenie.

— Bo w tej profesji nie ma miejsca na sentymenty — odparł Pran. — Gdyby się w tobie zakochała, ucierpiałyby na tym jej dochody... a nawet reputacja! Więc się nie zakocha. To twarda sztuka. Nawet ślepy by to zobaczył. Widziałem ją trzy razy pod rząd na koncertach Holi.

— Po prostu nie znasz jej, Pran — powiedział jego brat żarliwie. Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku godzin Pran usłyszał, że kogoś nie zna i nie rozumie, więc tym razem zachnął się zniecierpliwiony.

— Posłuchaj, robisz z siebie kompletnego idiotę. Kobiety tego pokroju potrafią udawać miłość i przywiązanie, bo mają w tym praktykę. I żerują potem na naiwniakach, którzy tracą dla nich głowy i pieniądze. A Saidy Bai słynie z takich właśnie sztuczek. Nie mów, że nigdy o tym nie słyszałeś.

Man przewrócił się na brzuch i wcisnął twarz w poduszkę.

Pran nie lubił przybierać tonu mentora nawet w rozmowach z tym nygusem. „No nic, spełniłem prośbę Ammadzi: misja zakończona”, pomyślał. „Jeśli będę mu dalej wiercił dziurę w brzuchu, mogę go najwyżej zrazić, a to mi-jałoby się z celem”.

Zmierzwił czuprynę brata i powiedział:

— Nie wpadłeś aby w jakieś finansowe tarapaty?

Spod poduszki dobiegł go przytłumiony nieco głos Mana:

— No, wiesz, łatwo nie jest. Nie należę do klientów ani nic takiego, ale nie mogę iść tak po prostu z pustymi rękami. Więc musiałem kupić parę prezentów, no, wiesz...

Pran milczał. Nie. Nie wiedział. Ale potem upewnił się jeszcze:

— Nie dobrałeś się czasem do forsy, którą przywiozłeś z Benaresu jako kapitał inwestycyjny? Wiesz, jak by na to zareagował Baodzi. Strach pomyśleć...

— Nie — odparł Man naburmuszony. Odwrócił się znowu i wlepił wzrok w wiatrak na suficie. — Wiesz, Baodzi zbeształ mnie wprawdzie parę

dni temu, i to nawet dosyć ostro... ale jestem pewien, że tak naprawdę nie ma nic przeciwko Saidzie Bai. W końcu sam też w młodości używał życia... a poza tym zapraszał ją nieraz na koncerty do Prem Ni was.

Pran nic nie powiedział. Był przekonany, że ojciec nie pochwała tych amatorów.

Man mówił dalej:

— A parę dni temu poprosiłem go o pieniądze „na drobne wydatki” i wcale mi nie żałował.

Pran pomyślał, że ile razy ojciec pracował nad projektem nowej ustawy albo kiedy miał na głowie jakieś inne sprawy służbowe, spławiał natrętów, którzy odrywali go od pracy. Po prostu ich przekupywał, byle mu tylko nie zawracali głowy.

— Więc jak widzisz — ciągnął swoje wywody Man — nie ma się czym przejmować. — A rozgrzeszywszy w ten sposób swoje sumienie, zapytał: — Ale gdzie jest moja śliczna bhabhi? Jej pozwoliłbym się zbesztać, nie ma sprawy.

— Na dole.

— Też się na mnie gniewa?

— Ja się wcale właściwie na ciebie nie gniewam, Man — rzekł Pran. — No dobra. Ubieraj się i schodź na dół. Czeka, żeby się z tobą zobaczyć.

— A co z docenturą? — spytał Man.

Pran machnął ręką zrezygnowany.

— Aha, a profesor Miśra dalej jest na ciebie zły?

Pran odparł chmurnie:

— Twój szlachetny czyn z pewnością wrył mu się trwale w pamięć. To nie jest człowiek, który wybacza swoim winowajcom. Czy wiesz, że gdybyś był jednym z moich podopiecznych, musiałbym, jako członek komitetu do spraw studenckich, domagać się, aby cię wyrzucono z uczelni za takie wybryki?

— Ale wiesz co, ci twoi studenci to nawet całkiem interesująca zgraja — powiedział Man z aprobatą. A po pewnym czasie dodał z radosnym uśmiechem na twarzy: — Wiesz, jak mnie ona nazywa? Dagh sahib.

— Naprawdę? — odparł Pran. — Wzruszające. No, to zobaczymy się na dole za parę minut.

6.8

Pewnego wieczoru Firoz, wracając z pracy w sądzie, a będąc w drodze na poligon (gdzie grał w polo i jeździł konno), zauważył sekretarza swojego ojca, Murtazę Alego, który jechał na rowerze ulicą, dzierżąc w dłoni niedużą, białą kopertę. Firoz zatrzymał samochód i przywołał go.

— Dokąd jedziesz? — -zapytał.

— Niedaleko. W granicach Pasand Bagh.

— A do kogo?

— Do Saidu Bai Firozabadi — odparł Murtaza Ali raczej niechętnie.

— To dla niej ta koperta?

— Tak.

— Daj mi ją. Mogę ją podrzucić, bo to akurat po drodze. — Firoz popatrzył na zegarek. — Nie jest jeszcze tak bardzo późno.

Wyciągnął rękę po przesyłkę, ale Murtaza Ali schował ją za siebie.

— To żaden kłopot, Chote sahib — powiedział z uśmiechem. — Nie chcę pana obarczać dodatkową robotą. Dobrze panu w tych nowych bryczesach.

— Drobiazg. Daj mi to. — Firoz znowu wyciągnął rękę po paczuszkę. „Dobra okazja”, pomyślał, „żeby zobaczyć się raz jeszcze z tą śliczną Tasnim”.

— Przepraszam bardzo, Chote sahib, ale nawab sahib przykazał mi, że bym dostarczył to osobiście.

— Bzdura! — powiedział Firoz tonem wyższości. — Przecież dostarczyłem poprzednią paczkę. Sam mi ją dałeś, bo mi było wtedy po drodze. Zaoszczędziłem ci czasu i kłopotów. Dzisiaj też cię w tym mogę wyręczyć.

— Chote sahib, to doprawdy nic wielkiego. Proszę nie nalegać.

— Eee tam, chłopie, dawaj mi tę paczkę.

— Nie mogę.

— Jak to nie możesz? — zapytał Firoz głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— Widzi pan, nawab sahib rozgniewał się na mnie bardzo, kiedy zrobiłem to ostatnim razem. Zapowiedział mi, żeby to się więcej nie powtórzyło. Przepraszam za mój tupet, ale nie chcę się narażać na jego gniew. I tak już mu podpadłem ostatnim razem.

Zdziwiony Firoz odparł:

— Rozumiem.

Skąd ta pruderia u ojca? Skąd te fomy? Dlaczego ojciec wpadł w furję o takie głupstwo? To zupełnie popsuło mu nastrój, chociaż cieszył się przedtem na swoją partyjkę polo. Wiedział, że kontakty z kurtyzanami nie przynoszą nikomu chluby, ale jeden list? Co w tym złego? Chyba że jeszcze coś się za tym kryje.

— A co tak rozgniewało mojego ojca? — zapytał po chwili zastanowienia. — To, że nie dostarczyłeś tej paczki osobiście, czy to, że ja cię w tym wyręczyłem?

— Tego nie wiem, Chote sahib. Sam tego nie rozumiem. — Murtaza Ali stał nadal grzecznie przy rowerze, ściskając mocno kopertę, jakby w obawie, że Firoz, chcąc postawić jednak na swoim, będzie się starał wyrwać mu ją z ręki.

— No nic — powiedział wreszcie Firoz i skinąwszy grzecznie głową w stronę Murtazy Alego, odjechał na poligon.

Dzień był pochmurny. Po obu stronach Kitchener Road kwitły ogniste gulmohary, nasycając chłodne wieczorne powietrze mdławym, słodkawym zapachem (przypominającym zapach pelargonii) i rozsypując po ulicy wachlarzowate płatki. Firoz postanowił porozmawiać z ojcem natychmiast po powrocie do domu, co pomogło mu zapomnieć, przynajmniej chwilowo, o całej sprawie.

Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Tasnim. Pamiętał, jak krew w nim zawrzała. Miał poczucie, że ją już kiedyś widział, może „nie w tym wcieleniu”, tylko którymś poprzednim. Ale po pewnym czasie, znalazłszy się na boisku wśród znajomych zabudowań i wśród zawodników, wdychając znajomy

zapach końskiego łajna, ochłonał z gorączki. Pierwsze miejsce zajęło w jego myślach polo, a Tasnim powędrowała na dalszy plan.

Firoz umówił się z Manem na trening. Przynależ, że go nauczy gry w polo i rozglądał się teraz wszędzie za swoim przyjacielem. Tak Bogiem a prawdą, Man zgodził się na to niechętnie, pod presją.

— To wspaniały sport — Firoz przekonywał Mana entuzjastycznie. — Zobaczysz, że cię wciągnie. Masz za dużo wolnego czasu. — A chwyciwszy go za ramię, dorzucił: — Sflaczałe, ty wałkoniu. Weź się wreszcie za siebie.

Ale nie widział nigdzie Mana, więc tylko popatrywał raz po raz na zegarek, niecierpliwiąc się, bo zapadał już zmrok.

6.9

Parę minut później Man podjechał do niego na koniu, na powitanie zaważdiacko zrzucił z głowy jeździecką czapkę i zeskoczył z konia.

— Gdzie byłeś? — zapytał Firoz. — Tutaj przestrzega się przepisów. Trzeba być punktualnym. Ktoś się nam wpakuje na konia treningowego, jeżeli się spóźnimy ponad dziesięć minut. A swoją drogą: skąd wytrzasnąłeś tego konia? Na ogół trzeba poświadczenia kóregoś z członków klubu, żeby ktoś obcy mógł się przejechać.

— A tak się jakoś złożyło — odparł beztrósko Man. — Uciałem sobie pogawędkę z jednym ze stajennych, a on osiodłał dla mnie tego gniadosza.

Firoz przyznał w myślach, że dzięki swojej niefrasobliwej naturze jego przyjaciel często potrafił wybrnąć z takich właśnie nieprzewidzianych sytuacji. Stajenny myślał pewnie, że Man jest pełnoprawnym członkiem klubu.

Kiedy Man wdrapał się wreszcie na drewnianego konia i usiadł na nim okrakiem, Firoz rozpoczął pierwszą lekcję. Włożył mu do ręki lekki kijek bambusowy, po czym kazał mu się zamierzyć i zamachnąć nim parę razy na próbę.

Manowi, któremu było na twardym koniu bardzo niewygodnie, wcale nie podobała się ta zabawa.

— Żadna przyjemność — powiedział już po paru minutach.

— A czego ty się spodziewałeś po pięciu minutach? — odparł Firoz flegmatycznie. — Nic nie przynosi zadowolenia w tak krótkim czasie... Źle trzymasz ten kij... O tak, teraz dobrze... Zamachnij się... dobrze!... Używaj przedramienia, jakby to było przedłużenie kija.

— Znam przynajmniej jedną rzecz, która przynosi zadowolenie już w pierwszych pięciu minutach — powiedział Man, uśmiechając się głupkowato. Uniósł kij i zachwiał się, tracąc równowagę.

Firoz zlustrował posturę Mana chłodnym okiem.

— Mam na myśli te rzeczy, do których potrzebna jest sztuka i praktyka — powiedział.

— Do tego też potrzebna jest sztuka i praktyka — drażnił się z nim Man.

— Nie wydziczaj się — ofuknął go Firoz, który traktował każdy trening bardzo poważnie. — Nie ruszaj się i popatrz na mnie. Widzisz, że ta linia poprzeczna, od ramienia do ramienia, biegnie równolegle do kręgosłupa konia. Staraj się ustawić w takiej pozycji.

Man spróbował, ale krępowało mu to ruchy.

— Więc twoim zdaniem tylko pracą dochodzi się do perfekcji? — zapytał. — Sztuka to trud i znój? Tak też twierdzi, wyobraź sobie, ten facet, który mnie uczy urdu. — Wepchnął kij bambusowy pod udo i przetarł czoło wierzchem prawej dłoni.

— Ejże, ejże, Man — rzekł Firoz. — Nie udawaj, że się tak strasznie przemęczyłeś w ciągu tych pięciu minut. Czas, żebyś popróbował teraz z piłką.

— Wiesz co? Powiem ci prawdę: jestem potwo-o-ornie zmęczony — powiedział błagalnie Man. — Ręka mnie boli. O tu, w nadgarstku. I łokcie, i ramiona.

Firoz uśmiechnął się tylko na zachętę i położył piłkę na trawie.

Man zamachnął się kijem, ale spudłował. Spróbował jeszcze raz i znowu chybił.

— Wiesz co — wykręcał się. — Nie jestem dzisiaj w nastroju. Myślami jestem gdzie indziej.

Ignorując te wymówki, Firoz poradził:

— Skoncentruj się. Nie spuszczaaj oka z piłki... Nie patrz na mnie, nie martw się, gdzie się piłka potoczy... Przestań kreślić w myślach obraz Saidy Bai.

Na szczęście ta uwaga nie zdeprimowała Mana i nawet musnął piłkę metalowym czubkiem kija.

— Nie układa mi się najlepiej z Saidą Bai — zwierzył się Firozowi. — Wczoraj pogniewała się na mnie, nie wiem dlaczego.

— A o co poszło? — spytał Firoz bez odrobiny współczucia.

— Siedzieliśmy sobie razem i gadali, a tu akurat do pokoju weszła jej siostra. Spojrzała na tego ptaka w klatce... to chyba jakaś papuga... taka ogonia-sta... i stwierdziła, że papuga wygląda mizernie. Uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem, że coś nas łączy: oboje mianowicie pobieramy lekcje urdu u tego samego nauczyciela. A Saida Bai wpadła w furję, zaczęła się ciskać. Grom z jasnego nieba. Minęło pół godziny, zanim zdołałem ją udobruchać. — Widać było, że Man się rozprasza.

— Hm — chrząknął niepewnie Firoz, przypomniawszy sobie, jak szorstko Saida Bai odnosiła się do młodszej siostry tego dnia, kiedy przyszedł, żeby doręczyć ojcowską kopertę.

Parę minut później, po kolejnych uderzeniach w piłkę Man powrócił do tematu.

— Wyglądało to na zwykłą zazdrość. Ale dlaczego taka zachwycająca kobieta miałaby być zazdrosna o własną siostrę?

Saida Bai nie wydawała się wcale Firozowi „zachwycająca”, za to jej siostra urzekła go swoją urodą. Nie dziwiłby się, gdyby Saida Bai była zazdrosna o jej młodość i dziewczęcy wdzięk.

— To chyba dobry znak — powiedział do Mana z uśmiechem, który igrał na jego urodziwej, młodzieńczej twarzy. — Czym się tak przejmujesz? Typowa reakcja kobiety.

— Więc uważasz, że zazdrość to dobry znak? — upewnił się

Man, który sam był skory do zazdrości. — Ale musi być ktoś, o kogo warto być zazdrosnym. Widziałeś kiedyś jej młodszą siostrę? Gdzie jej do Saidy Bai!

Po chwili milczenia Firoz powiedział lakonicznie:

— Widziałem ją raz. Ładna dziewczyna. — Ale nie udzielił na ten temat dodatkowych wyjaśnień.

Man, pochłonięty myślami o Saidzie Bai, wałnął w piłkę kijem nieudolnie, po wierzchu.

— Czasem myślę, że ta papuga więcej dla niej znaczy niż ja — poskarżył się pochmurnie. — Nigdy się na nią nie gniewa. Dłużej nie pociągnę, jestem wykończony.

Miał na myśli starcia z piłką, a nie sercowe kłopoty. Sapał jak miech z wysiłku, co wyraźnie cieszyło Firoza.

— A jak twoja ręka po tym ostatnim uderzeniu? — zapytał przyjaciela.

— Myślałem, że mi odpadnie — przyznał Man. — Ile mam jeszcze ćwiczyć?

— Do skutku — odparł Firoz bezlitośnie. — Fascynujące! Popelniasz wszystkie błędy typowe dla początkujących. Przed chwilą wałnąłeś w piłkę z całej siły od góry. Nie rób tego: staraj się ją podbić od spodu. Inaczej tylko wepchniesz ją w ziemię. Nic tym nie wskórasz: raz, że nigdy nie nabierze w ten sposób rozpędu, dwa, że nadszarpniesz sobie ramię. I to bardzo boleśnie, jak się już pewnie o tym przekonałeś.

— Jak wam się z Imtiazem udało nauczyć urdu? — zapytał Man. — To taki trudny język. Mnie idzie jak z kamienia. Tyle tam różnych zakrętasów.

— Mieliśmy prywatnego nauczyciela, starego maulwi, który przychodził na lekcje do nas do domu — odparł Firoz. — Moja matka chciała również, żebyśmy znali perski i arabski, ale tylko wysiłki Zainab zostały uwieńczone sukcesem.

— Właśnie, a co z Zainab? — zapytał Man. Zdał sobie sprawę, że odkąd zniknęła w świecie pardy, przestał się z nią widywać już od wielu lat, pomimo iż w dzieciństwie był jej pupilkiem. Więcej, uratowała mu nawet życie, kiedy się topił w wieku sześciu lat. Była od niego o sześć lat starsza i przepadał za

nią. „Wątpię, czy ją kiedykolwiek jeszcze w życiu zobaczę”, pomyślał. „To okropne. I bardzo dziwne”.

— Nic siłą, wszystko sposobem — poradził mu Firoz. — Tego cię twoja instruktorka jeszcze nie nauczyła?

Man zamierzył się w żartach kijem na Firoza.

Czasu zostało im już niewiele. Za dziesięć minut zupełnie się ściemni, a poza tym widać było, że Mana nudzi suchy trening na drewnianym koniu.

— No, ostatnie uderzenie - — powiedział Firoz.

Man wycelowwał w piłkę, zamachnął się z boku i miękko, ale z mocą uderzył fachowo w sam środek piłki. Bach! Piłka wydała cudowny, drewniany dźwięk i przeleciała nad siatką po linii parabolicznej.

To zaskoczyło zarówno Mana, jak i Firoza.

— Udało się! — zawołał Man bardzo z siebie zadowolony.

— Więcej szczęścia niż rozumu — powiedział Firoz. — Zobaczymy, jak ci pójdzie jutro. A teraz przeniesiemy się na prawdziwego kucyka. Chcę zobaczyć, czy potrafisz ściągać cugle jedną ręką. W dodatku lewą.

— A może poczekajmy z tym do jutra — zaproponował Man. Czuł się jak paralytyk: plecy miał powyginane, ręce mu zeszywniały, dosyć już miał tej nauki. — Moglibyśmy zamiast tego po prostu się przejechać...

— Nigdy się niczego porządnie nie nauczysz, jeśli nie wyrobisz w sobie dyscypliny; nieważne czy to polo, czy urdu — odrzekł Firoz. — Będiesz trzymał wodze w jednej ręce i tyle, to nic trudnego. Dokładnie to samo, co nauczyć się jeździć konno... albo kaligrafować alif-be-pe-te. Zacznieś dzisiaj, będzie ci łatwiej jutro.

— Ale dzisiaj mi się nie chce — bronił się Man. — Zresztą i tak jest już ciemno, więc co to za przyjemność? Dobrze, już dobrze, wedle rozkazu, panie komendancie. Ty tu rządzisz.

Zsiadł z drewnianego konia i otoczył swego przyjaciela ramieniem, a potem obaj udali się do stajni.

— Szkopuł w tym — powiedział Man zupełnie bez związku — że mój nauczyciel urdu chce, żebym umiał pięknie kaligrafować i poprawnie wymawiać w tym języku słowa, a ja chcę tylko czytać poezję miłosną.

— Aha, więc to wszystko jego wina, tak? — droczył się z nim wesoło Firoz, zasłaniając się na wszelki wypadek kijem. Znowu humor mu się poprawił: w towarzystwie Mana zawsze jakoś się odprężał.

— A co? Czy moje własne predylekcje się nie liczą?

— Owszem, owszem — powiedział Firoz. — Gdybyś wiedział, co dla ciebie dobre, zgodziłbym się z tobą całkowicie.

6.10

Firoz zamierzał porozmawiać z ojcem zaraz po powrocie do domu. Ochłonał już nieco po rozmowie z Murtazą Alim, złość mu przeszła, ale nadal nurtowało go pytanie, co się za tym wszystkim kryje. Podejrzewał, że prywatny sekretarz przeinaczył słowa ojca, wyolbrzymiając w ten sposób cały problem. Dlaczego ojciec miałby mu wydać takie dziwne polecenie? I czy zakaz dotyczył również Imtiazza? A jeśli tak, to skąd ta konspiracja? O co się ojciec lękał? Jak mogli mu zaszkodzić jego synowie? „Być może”, myślał Firoz, „powinienem go uspokoić”.

Ponieważ nie zastał ojca w gabinecie, uznał, że pewnie poszedł do zenany porozmawiać z Zainab, i postanowił im nie przeszkadzać. I dobrze zrobił, ponieważ Zainab zwierzała się właśnie ojcu ze swoich najbardziej intymnych zmartwień i obecność osób postronnych, nawet ukochanego brata, byłaby w tej sytuacji niepożądana. Oznaczałaby po prostu natychmiastowy koniec ich rozmowy.

Biedna Zainab, która okazała tyle samozaparcia podczas oblężenia Baitar House, siedziała teraz obok ojca, zalewając się łzami.

— Tak — przyznał łagodnie ojciec. — Doszły mnie słuchy, że prowadzi rozwiązy tryb życia, ale nie wiedziałem, czy dać wiarę tym pogłoskom.

Zainab milczała przez chwilę, a potem, ukrywając twarz w dłoniach, powiedziała:

— A jednak to prawda, Abba-dżan. To wszystko prawda. Nawab sahib pogładził ją z czułością po włosach. Przypomni

sobie, że jako czteroletnia dziewczynka wdrapywała mu się na kolana, kiedy tylko miała jakieś zmartwienie. Bolało go jej cierpienie. I to jego własny, niewierny zięć zranił ją tak głęboko. Spojrzał wstecz na swoje małżeństwo: przez długie lata prawie nie znał swojej zaradnej, łagodnej żony, która dopiero po urodzeniu trojga dzieci, i właściwie pod sam koniec ich małżeństwa, zdołała podbić jego serce. Do Zainab powiedział jednak tylko:

— Bądź cierpliwa, tak jak twoja matka. On się jeszcze opamięta.

Zainab nie dała tego po sobie poznać żadnym gestem ani spojrzeniem, ale uderzyło ją, że ojciec wspomniał w tym kontekście o matce. Po jakimś czasie dodał, jakby mówił sam do siebie:

— Ja sam doceniłem jej wartość dopiero w późnych latach naszego małżeństwa. Świeć, Panie, nad jej duszą.

Od wielu już lat nawab sahib odwiedzał grób swojej żony tak często, jak tylko to było możliwe, aby tam czytać fatihę. I rzeczywiście, starsza begam sahiba była wyjątkową kobietą. Pogodziła się z tym, co wiedziała o niespokojnych latach młodości nawaba sahiba, sprawnie kierowała majątkiem spoza ścian swojego odosobnienia, przetrwała późniejsze fazy pobożności swego męża (nie tak wybujałej, na szczęście, jak jego młodszego brata), wychowała swoje dzieci i pomagała w wychowywaniu bratanków i siostrzenic, z dyscypliną i kulturą. W zenanie cieszyła się wielkim szacunkiem i uznaniem. Dużo czytała i medytowała.

Prawdę mówiąc, to może właśnie dzięki książkom, które pożyczala swojej szwagierce, w niespokojnym sercu Abidy-indywidualist-ki wykiełkowały ziarna oporu. Chociaż matka Zainab nie myślała o opuszczeniu zenany, Abida nie wytrzymałaby tam, gdyby nie jej obecność. I zresztą rzeczywiście zaraz po jej śmierci, prośbą, groźbą, perswazją i podstępem wymusiła na mężu i jego starszym bracie, nawabie sahibie, zgodę na opuszczenie tego, jak mawiała, więzienia. Abida, postrach parlamentu (przez swój cięty język i nieprzejednanie), pogardzała nawabem sahibem, którego uważała za mięczaka i niedołęgę, i który — jej zdaniem — zamknął żonie drogę ucieczki z pardy. Za to bardzo przywiązana była do jego dzieci: Zainab przypominała z charakteru matkę; Imtiaz miał jej uśmiech, mimikę i poczucie humoru, a Firoz odziedziczył po niej podłużny kształt czaszki, urodę i rysy twarzy.

Służąca wprowadziła teraz Hassana i Abbasa, a Zainab przez łzy pocałowała ich na dobranoc.

Hassan, który miał minę raczej ponurą, spytał:

— Dlaczego płaczesz, Ammi-dżan?

Matka, uśmiechając się, przytuliła go do siebie i powiedziała:

— To nic wielkiego, kochanie. Nie martw się.

Następnie Hassan zażądał stanowczo, żeby dziadek opowiedział im obiecaną wcześniej historię o duchach, a nawab sahib chętnie wywiązał się z zadania. Opowiadając chłopcom fascynującą i krwawą bajkę (która wciągnęła nawet trzyletniego Abbasa), myślał o wielu innych opowieściach związanych z tym domem, zasłyszanych w dzieciństwie od służby oraz członków rodziny. Cała ta długa tradycja omal nie runęła w gruzy parę dni temu. Łaska boska, że tak się nie stało. Albo po prostu czysty przypadek. Nikt nie był w stanie przewidzieć ataku ani też mu zapobiec. „Wszyscy jesteśmy zdani na własne siły”, myślał nawab sahib. „Dzięki Bogu rzadko się nad tym zastanawiamy”.

I pomyślał o swoim starym przyjacielu, Maheśu Kapurze: uderzyło go, że w ciężkich chwilach nawet ci, którzy chcieliby pomóc, mogą mieć związane ręce; lub też wolą się nie angażować dla własnej wygody.

6.11

Maheś Kapur także rozmyślał o swoim starym przyjacielu z poczuciem winy. Wiadomość o oblężeniu Baitar House nie dotarła do niego tego wieczoru, kiedy policja, z polecenia L.N. Agarwala, starała się zająć rezydencję nawaba sahiba. Goniec wysłany przez Mrs Maheś Kapur nie mógł go nigdzie znaleźć.

W przeciwieństwie do majątków ziemskich, które z chwilą wejścia w życie ustawy o uwłaszczeniu miały ulec parcelacji, nieruchomości miejskie nie były objęte nowymi przepisami. Przepadek mienia groził tylko wtedy, jeśli dobra te znalazły się w rejestrze komisarza do spraw posiadłości wysiedleńców. Ale Maheśowi Kapurowi do głowy nigdy nawet nie przyszło, że rezydencja Baitar, jeden z najokazalszych budynków w Brahmपुरze — więcej!

— punkt orientacyjny miasta — mogłaby paść ofiarą powyższej legislacji. W końcu nawab mieszkał tam nadal na stałe, jego szwagierka, begam Abida Chan była wpływowym członkiem parlamentu, a ogrody i podwórzec frontowy domu były zadbane, chociaż wewnątrz większość pokoi świeciła pustkami. Wyrzucał sobie teraz, że ze względu na nawał pracy nie pomyślał o potencjalnym zagrożeniu. Powinien był poradzić swojemu przyjacielowi, żeby dla pozoru zagospodarował nie zamieszkane komnaty. I żałował, że nie mógł wstawić się za poszkodowanym u szefa rządu wtedy właśnie, kiedy nawab najbardziej potrzebował wstawiennictwa.

Interwencja Zainab okazała się, na szczęście, wystarczająca. Sam Maheś Kapur nie mógłby osiągnąć nic więcej. Poruszony listem, który dostarczył Hassan, S.S. Śarma szczerze oburzył się postępowaniem ministra spraw wewnętrznych.

W liście tym Zainab nawiązała do pewnego wydarzenia, o którym dowiedziała się już kilka lat temu od nawaba sahiba, a które utkwiło jej w pamięci. S.S. Śarma mianowicie, dawny premier Protektoratu (jak nazywano ten urząd przed odzyskaniem niepodległości), trzymany był w 1942 roku przez Brytyjczyków w więzieniu (za przynależność do konspiracyjnej organizacji „Precz z Indii”), w kompletnej izolacji. W tym to właśnie okresie ojciec nawaba sahiba dowiedział się, że żona S.S. Sarmy jest chora, i pospieszył jej z pomocą. Zajął lekarza, lekarstwa i odwiedził parę razy w domu. Może był to tylko drobny gest, ale mało kto podówczas, niezależnie od nastawienia do kolonialistów, odważał się im narażać, a kontakty z rodzinami wywrotowców były przez Brytyjczyków źle widziane. S.S. Śarma sprawował urząd premiera, kiedy zatwierdzona została w 1938 roku ustawa o dzierżawie gruntów w prowincjach Protektoratu, którą ojciec nawaba sahiba uważał, zresztą słusznie, za prelude do bardziej radykalnych reform.

Mimo to zwykła ludzka solidarność, jak również swego rodzaju podziw dla politycznego oponenta skłoniły ojca nawaba sahiba do podania jego żonie ręki w potrzebie. Śarma zachował w duszy głęboką wdzięczność za okazaną jego rodzinie dobroć, toteż kiedy Hassan, sześćioletni prawnuk dobroczyńcy, zjawił się u niego z listem, bardzo się tym wszystkim przejął.

Maheś Kapur nie wiedział nic o kulisach tej sprawy (żadna ze stron nie chciała tego, oczywiście, rozgłaszać), toteż zdziwił się, usłyszawszy o szybkiej i niedwuznacznej interwencji premiera. Tym bardziej też wyrzucał sobie własną nieudolność. A kiedy, po przegłosowaniu w parlamencie projektu ustawy o uwłaszczeniu, spotkał się wzrokiem z nawabem sahibem, nie mógł się zdobyć na słowa współczucia ani na wyjaśnienia lub przeprosiny. Co nim kierowało? Poczucie wstydu za własną bezradność? Czy też może zwykłe zażenowanie wynikające z faktu, iż jego polityczny sukces w parlamencie godzi w interesy nawaba sahiba nie mniej niż nagonka ministra spraw wewnętrznych?

Czas nie zaleczył tej rany i Maheś Kapur postanowił wreszcie: „Pójdę się z nim zobaczyć w Baitar House dziś wieczorem. Dłużej nie mogę już zwlekać”.

6.12

Tymczasem rano czekały na niego inne obowiązki. Na werandzie biegnącej wokół Prem Niwas roilo się od ludzi. Niektórzy nawet kręcili się po podwórku i zapuszczali aż do ogrodu. Sekretarz Maheśa Kapura oraz jego asystenci pilnowali, na ile mogli, porządku i kierowali petentów z okręgu wyborczego starej dzielnicy, jak również z innych okolic, do maleńkiego gabinetu w domu ministra.

Maheś Kapur zasiadł przy stole w rogu gabinetu, na ławkach zaś przy ścianach zgromadzili się kupcy, rolnicy, mniej znaczący politycy: słowem interesanci różnego autoramentu. Przy stole, na wprost Maheśa Kapura, siedział na krześle starszy mężczyzna, nauczyciel. Ten stary bojownik o wolność, który spędził wiele lat w więzieniu za panowania Brytyjczyków i widział, jak jego rodzina stoczyła się na dno ubóstwa, był młodszy od ministra, ale wyglądał od niego poważniej. Ukończył studia i złożył pracę dyplomową w 1921 roku, a z takimi kwalifikacjami w owych czasach mógłby zrobić karierę w administracji państwowej i wysłużyć sobie dobrą emeryturę. Ale pod koniec lat dwudziestych rzucił wszystko i przyłączył się do Gandhiego, i za ten mło-

dzieńczy zryw drogo później zapłacił. Kiedy był w więzieniu, jego żona i dzieci przymierały głodem, żywiąc się odpadkami ze śmietników. Liczył, że ta ofiarność nie pójdzie na marne i że po odzyskaniu niepodległości spełnią się jego młodzieńcze ideały, poprawią się warunki życia ludności. Gorzko się rozczarował. Widział szerzącą się jak zaraza korupcję, która paraliżowała system dystrybucji racji żywnościowych i rządowe zlecenia. Nawet policja i politycy niższej rangi z Partii Kongresowej byli w to zamieszani. Takiego bezholowia nie było za Brytyjczyków! Ale kiedy w imieniu miejscowej ludności udał się do szefa rządu, S.S. Sarmy, z prośbą o ukaranie wskazanych łapowników, wybitny mąż stanu uśmiechnął się ze smutkiem i powiedział:

— Panie profesorze, w pańskim zawodzie pan sobie rąk nie pokala, bo to święte powołanie. Ale w polityce jest inaczej: tu jak w kopalni, człowiek musi sobie ubrudzić ręce. Nie można tak od razu wszystkiego potępiać.

Mężczyzna przekonywał teraz Maheśa Kapura, że Partia Kongresowa kieruje się dzisiaj w swojej polityce wyrachowaniem, a jej rządy są nie mniej despotyczne niż rządy Brytyjczyków. Wstyd i hańba!

— Co pan robi w tej partii darmozjadów i kanciarzy, Kapur, sahib, tego nie mogę po prostu zrozumieć. — W jego wymowie słychać było naleciałości regionu allahabadzkiego, nie brahmpurskiego. — Dlaczego pan z niej nie wystąpi?

Stary nauczyciel wiedział dobrze, że wszyscy w gabinecie ministra' słyszą, o czym mówi, ale wcale go to nie krępowało. Maheś Kapur popatrzył mu prosto w oczy i odpowiedział również w hindi:

— Panie profesorze, czasy Gandhiego należą już do przeszłości. Widziałem go u szczytu władzy i potem, gdy tracił grunt pod nogami, kiedy nie był już w stanie zapobiec podziałowi tego kraju. Ale w swej wielkiej mądrości rozumiał, że ani jego władza, ani wpływ na innych nie są absolutne. Powiedział kiedyś, że płynie tylko z nurtem wydarzeń.

Przez parę sekund starszy człowiek się nie odzywał, a kiedy wreszcie przemówił, wargi mu drżały:

— Panie ministrze! Co to znaczy?!

Zwracał się teraz do niego oficjalnie, co nie uszło uwagi Maheśa Kapura, który zawstydził się własnym unikiem.

— Moje własne cierpienia bledną przy pańskiej ofiarności, panie profesorze — zaczął znowu. — Widzę, co się dzieje, i gorzko nad tym boleję. Ale obawiam się, że mniej mógłbym działać jako bezpartyjny niż jako członek Partii Kongresowej.

Nauczyciel powiedział półgłosem, jakby sam do siebie:

— A Gandhi przewidział, co się stanie, jeśli Partia Kongresowa utrzyma się przy władzy po wyzwoleniu. Dlatego też uważał, że powinna zostać rozwiązana, a jej członkowie powinni poświęcić się pracy społecznej.

Maheś Kapur rzucił natychmiast w odpowiedzi:

— Gdybyśmy wszyscy tak uczynili, zapanowałyby w tym kraju bezprawie. Trzeba było obsadzić stanowiska na wszystkich szczeblach administracji państwowej ludźmi, którzy mieli w tej pracy doświadczenie z lat trzydziestych. Ma pan rację, krytykując nadużycia władzy. Ale gdyby ludzie naszego pokroju umywali ręce od tej brudnej roboty, to może pan sobie chyba wyobrazić, jakie męty dorwałyby się do władzy. Kiedyś człowiek nie mógł się dorobić na polityce. Pan siedział w więzieniu, pańskie dzieci przymierały głodem. Ale teraz to lukratywna gra i naturalnie pełno jest spryciarzy, którzy chcą się przyłączyć. Jeśli my się usuniemy, oni się wkreślą: proste! Proszę tylko popatrzeć. — Tu ściszył głos, żeby nikt poza rozmówcą go nie usłyszał, i wskazując ręką na petentów zgromadzonych w gabinecie, na werandzie i na trawnikach, powiedział: — Nawet się pan nie domyśla, ilu z nich chce, że bym poparł ich kandydatury na posłów Partii Kongresowej w zbliżających się wyborach. A przecież wiem, równie dobrze jak pan, że za panowania Brytyjczyków uciekaliby gdzie pieprz rośnie, nie ośmielając się przyjąć takiego zaszczytu.

— Nie sugerowałem, żeby się pan zupełnie wycofał z polityki, Kapur sahib — powiedział nauczyciel. — Myślałem, że mógłby pan pomóc w uformowaniu nowej partii. Pandit Nehru ma wątpliwości, czy Partia Kongresowa jest odpowiednią platformą dla wprowadzenia koniecznych reform: to żadna tajemnica. Wszyscy wiedzą, że nie popierał Tandondzi, który został przewodniczącym Partii Kongresowej za sprawą podejrzanych machinacji. Wszyscy też wiedzą, jakim się pan u niego cieszy poważaniem. Powinien pan pojechać do Delhi i starać się go przekonać, żeby wystąpił z Partii Kongresowej. To

pański obowiązek. Gdyby Pandit Nehru i inne niezadowolone z obecnych układów frakcje oderwały się od Partii Kongresowej, to nowo powstała partia miałaby szansę na wygraną w następnych wyborach. Wierzę w to głęboko; gdybym w to nie wierzył, oszalałbym z rozpaczy.

Maheś Kapur pokiwał głową, a potem powiedział:

— Zastanowię się nad tym, panie profesorze. Przyrzekam. Zresztą, nie będę ukrywał: myślałem już o tym wcześniej i to nie raz. Ale trzeba najpierw wybadać sytuację, wybrać stosowny moment, więc na razie wszystko musi zostać po staremu.

Nauczyciel skinął głową, wstał i skierował się ku wyjściu. Jednak po jego minie widać było, jak bardzo jest zawiedziony.

6.13

Wiele jeszcze innych osób, pojedynczo, zespołowo lub nawet — rzecz by można — gromadnie, rozmawiało z Maheśem Kapurem przed południem. Z kuchni donoszono bez przerwy kubki świeżej herbaty, a zabierano z powrotem puste. Minister nadal był pełen wigoru, chociaż nadeszła pora obiadowa, a on nic jeszcze nie miał w ustach. Służącego, wysłanego przez Mrs Maheś Kapur, odprawił lekceważącym machnięciem ręki. Mrs Maheś Kapur nie śniłoby się nawet zasiąść do obiadu samej, bez męża, ale nie myślała o własnym głodzie. Martwiła się o niego: powinien już coś zjeść, chociaż zapomina o tym z przepracowania.

Maheś Kapur wysłuchiwał swoich rozmówców z zadziwiającą — jak na niego — cierpliwością. Jedni szukali jego poparcia dla swoich poselskich mandatów, drudzy prosili o jeszcze inne przysługi. Byli wśród nich politycy, od kryształowo uczciwych po szalbierzy, konserwatywni i postępowi, intryganci, pośrednicy, pełnomocnicy, lobbyści, parlamentarzyści stanowi oraz inni koledzy i współpracownicy, miejscowi biznesmeni (bogaci, ale przyodziani jedynie w dho-ti), którzy zabiegali o rządowe zlecenia albo starali się zasięgnąć informacji, lub też tacy, którzy chcieli się po prostu pochwalić, że zostali

przyjęci przez ministra skarbu; jednostki szlachetne i nikczemnicy, szczęśliwcy i przegrani (tych było więcej); ci, co chcieli tylko złożyć swoje uszanowanie, ponieważ akurat byli w mieście, oraz ciekawscy, którzy gapili się na wszystko z otwartymi ustami, nie słuchając, co się do nich mówi; jedni usiłowali przeciągnąć go na lewo, a inni na prawo; członkowie Partii Kongresowej, socjaliści, komuniści, hinduscy fundamentaliści, starzy członkowie Ligi Muzułmańskiej, którzy chcieli mieć swoich reprezentantów w rządzie oraz członkowie delegacji z Rudhii, którzy dali upust swojemu oburzeniu, wnosząc skargę na kontrowersyjnego miejscowego urzędnika. Jak to napisał (z własnego doświadczenia u schyłku lat trzydziestych) ówczesny gubernator na temat stosunków z ludowymi władzami poszczególnych regionów: „Małostkowi, zaściankowi działacze lokalni lecieli na skargę do polityków stanowych, z pominięciem hierarchii administracji państwowej, wyklócając się o każde najdrobniejsze głupstwo, choćby ich pretensje były zupełnie nieuzasadnione”.

Maheś Kapur słuchał i tłumaczył, jednał i sędziował, łagodził konflikty i rozstrzygał spory, wydawał głośno polecenia oraz czytał odbitki nowych list wyborczych (na zbliżające się wybory powszechne), które musiały być sprawdzone i oficjalnie zatwierdzone. Złościł się otwarcie na jednych, a do innych uśmiechał krzywo. Czasami ziewał bez skrępowania, ale gdy do gabinetu wszedł znany adwokat, podniósł się na przywitanie i kazał mu podać herbatę w eleganckiej filiżance.

O dziewiątej tłumaczył — jak potrafił najdokładniej — zaniepokojonym rolnikom poszczególne punkty specjalnej klauzuli projektu hinduskiego kodeksu cywilnego (który był właśnie rozpatrywany przez parlament w Delhi), dotyczącej prawa spadkowego. Tym nie podobało się wcale, że w przypadku nagłej śmierci (gdyby nie było testamentu), ziemię po nich dziedziczyć będą zarówno córki (a więc zięciowie), jak i synowie.

O dziesiątej powiedział do adwokata, swojego dobrego znajomego:

— Czy wiesz, że ten łajdak przyszedł tu, do mojego gabinetu z plikiem banknotów, nakłaniając mnie, żebym wprowadził poprawki do projektu ustawy o uwłaszczeniu? Wedle jego widzimisię, oczywiście. Ale nie ze mną takie numery. Korciło mnie, żeby go przymknąć, nie zważając na jego tytuły. W

Marhu robił kiedyś, co chciał, ale teraz musi się liczyć z władzami stanu Parwa Pradeś. Naturalnie on i jego poplecznicy złożą w Sądzie Najwyższym apelację. My jednak będziemy na to przygotowani. I tu właśnie potrzebuję twojej rady.

O jedenastej przekonywał:

— Zatarg o meczet i świątynię to jeszcze najmniejsze zmartwienie. Ale jak się będą układały w przyszłości stosunki pomiędzy wyznawcami tych dwóch religii w Brahmपुरze: oto problem! Trudno się dziwić, że jedni drugim nie dowierzają. Pytanie teraz, jak temu zaradzić! Zna pan moje zdanie na ten temat. Od dawna jestem z tym miastem związany. Ale Partia Kongresowa ma w dziedzinie współpracy hindusko-muzułmańskiej długoletnie tradycje. To jest partia, z którą warto trzymać. A co do poselskich mandatów, to gwarantuję, że muzułmanie będą mieli w parlamencie swoich przedstawicieli. Nie mają przydzielonych specjalnych mandatów ani osobnych okręgów wyborczych, ale to właśnie jest dla nich korzystne, sam się pan wkrótce przekona, maułwi sahib. Owszem, pierwszeństwo będą mieli muzułmanie-narodowcy, zasłużeni działacze partyjni, ale znajdzie się i miejsce dla innych. Postaram się tego dopilnować.

W południe mówił:

— Co za elegancki sygnet, Damodardzi. Ile kosztował? Tysiąc dwieście rupii? Oczywiście, przyjemnie jest pogadać ze starym przyjacielem, ale jak pan widzi, jestem zawałony robotą... — Tu jedną ręką wskazał na stos papierów na swoim biurku, a drugą machnął w stronę zgromadzonej na zewnątrz ciżby.

O pierwszej irytował się:

— Chce pan powiedzieć, że biczowanie demonstrantów lathi było całkowicie uzasadnione? Czy wie pan, w jakich ci ludzie żyją warunkach? I masz pan czelność wmawiać mi tutaj, że powinno się ich ukarać jeszcze surowiej? Niech pan pomówi z ministrem spraw wewnętrznych, w nim pan znajdzie chętnego słuchacza. Przepraszam, ale sam pan widzi, ile ludzi czeka...

O drugiej zapewniał:

— No tak, sędzę, że liczą się trochę ze mną. Zobaczę, co się da zrobić. Niech pan powie chłopakowi, żeby przyszedł do mnie w przyszłym tygodniu. Oczywiście, wszystko zależeć będzie od wyników jego egzaminów. Nie, nie, proszę mi nie dziękować... Zresztą, to jeszcze za wcześnie.

O trzeciej mówił, zniżając głos:

— Widzisz, to jest tak: Agarwal ma za sobą w parlamencie setkę ludzi, ja z osiemdziesięciu. Reszta to nie zrzeszeni, będą popierać silniejszego. Nie mam jednak zamiaru rywalizować z Śarmadżim. Chyba że Panditdźi powoła go na stanowisko ministra w Delhi, wtedy oczywiście wypłynie kwestia przywództwa. Ale masz rację: nie należy tej sprawy zaniedbywać. Trzeba dotrzeć do ludzi.

O trzeciej piętnaście do gabinetu weszła Mrs Kapur. Asystentom grzecznie zwróciła uwagę, że powinni pilnować harmonogramu zajęć, natomiast męża ubłagała, żeby zjadł coś, a potem położył się chociaż na chwileczkę. Dokuczał jej katar sienny, więc pociągała nosem, nie mogąc złapać powietrza. Maheś Kapur nie warknął na nią tym razem, tylko za jej radą udał się na odpoczynek. Tłum zaczął się powoli przersedzać; zawiedzeni petenci opuszczali progi Prem Ni-was, które teraz zaczynało znowu przypominać normalny dom, a nie jarmark, przychodnię czy salę obrad.

Po obiedzie Maheś Kapur uciał sobie krótką drzemkę, a Mrs Maheś Kapur wreszcie sama mogła się najeść.

6.14

Po skończonej sjeście Maheś Kapur poprosił żonę, żeby przeczytała mu wyjątki z przemówień poświęconych debacie nad pierwszą wersją projektu ustawy o uwłaszczeniu w Radzie Ustawodawczej Parlamentu stanu Parwa Pradeś. Ponieważ naj nowsza, zmodyfikowana wersja miała znowu zostać poddana pod dyskusję w tej Izbie, chciał się zorientować, jakie obiekcje mogą zgłaszać i tym razem senatorowie.

Już od paru lat Maheś Kapur miał trudności z czytaniem najnowszych tekstów, ponieważ niektórzy posłowie lubowali się ostatnio w redagowaniu swoich przemówień w języku hindi, sięgając często do sanskrytu (czego już nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł zrozumieć), a Maheś Kapur nie znał dobrze pisowni hindi, czyli dewanagari. W czasach jego młodości chłopcy uczyli się czytać i pisać w urdu albo po arabsku. W latach trzydziestych przemówienia spisywano po angielsku, w urdu i hindi — w zależności od języka, w jakim wygłaszał je dany mówca. Jego własne przemówienia, jak zresztą wiele innych, spisywane były, na przykład, w urdu. Bez problemu czytał oczywiście angielskie zapisy, ale rzadko zaglądał do zapisów w hindi, ponieważ ciężko mu było się przez nie przegryźć. Teraz, po odzyskaniu niepodległości, spisywano wszystko w urzędowym języku stanu, którym w Parwa Pradeś był hindi. Nawet przemówienia wygłaszane w urdu ukazywały się drukiem w tłumaczeniu na hindi, a angielski mógł być używany — i to tylko w zupełnie wyjątkowych okolicznościach — za specjalnym zezwoleniem przewodniczącego Izby. Dlatego też Maheś Kapur często prosił żonę, żeby mu czytała fragmenty obrad na głos. Pod wpływem niepodległościowej organizacji hinduskiej Arja Samadź, studiując teksty starożytne, jak i bardziej współczesne, nauczyła się — podobnie jak wiele innych kobiet z jej pokolenia — czytać i pisać zarówno w sanskrycie, jak i w hindi.

Trochę w tym było próżności, a trochę dyplomacji, że prosił o pomoc żonę, a nie swoich asystentów: minister nie chciał się ujawniać ze swoją ignorancją. I chociaż pomimo konspiracji jego asystenci i tak o tym wiedzieli, potrafili zachować dyskrecję.

Mrs Maheś Kapur czytała głosem monotonnym, jakby intonowała religijne śpiewy. Głowę oraz część twarzy miała przykrytą pallą sari i nie patrzyła na swego męża. Co jakiś czas przerywała czytanie, żeby zaczerpnąć powietrza, ponieważ miała trudności z oddychaniem, a Maheś Kapur mówił wtedy z irytacją:

— No, dalej, dalej!

Bez słowa skargi powracała do przerwanej lektury.

Od czasu do czasu — zazwyczaj kiedy dobiegała do końca jednej debaty lub gdy sięgała po nowy tom — wspominała o sprawach nie związanych z

polityką, które leżały jej na sercu. Ponieważ jej mąż miał zwykle wiele zajęć, była to jedna z nielicznych okazji, kiedy mogła z nim pomówić sam na sam. Przypomniała mu teraz ostrożnie, że już od dawna nie widział się ze swoim starym przyjacielem i partnerem do brydża, doktorem Kiśenem Ćandem Sethem.

— Sam to wiem — warknął na nią Maheś Kapur niecierpliwie. — No, dalej, dalej, od strony trzysta trzeciej.

Stwierdziwszy, że jej słowa nie padły na podatny grunt, Mrs Maheś Kapur zamilkła na chwilę.

Kiedy nadarzyła się kolejna okazja, napomknęła, że chciałaby — już w najbliższym czasie — zorganizować w domu recytację Ram-ćaritmanas. Byłoby to z pożytkiem dla całej rodziny: dla Mana, dla Winy, Kedarnatha i Bha-skara, dla Sawity i jej nie narodzonego jeszcze maleństwa, i wpłynęłoby korzystnie na pracę i zdrowie Prana. Wprawdzie najlepiej byłoby urządzić wspólne recytacje w ciągu dziewięciu dni poprzedzających urodziny Ramy albo w sam dzień urodzin, a na to już, niestety, za późno (i obie samdhiny bardzo są tym rozczarowane), ale przynajmniej teraz, kiedy nie jest aż tak zajęty...

Wskazując palcem na tom przemówień, Maheś Kapur wrzasnął na nią z wściekłością:

— Najpierw recytuj, co ci każe! Czego jej się zachciewa! Wszystkiego jej mało...

(Powinna być, naturalnie, dozgonnie wdzięczna niebiosom, że dostała go za męża).

— Ale obiecałeś...

— Cicho! Przestań mi tu kwękać. Nie mam czasu na wasze babskie intrygi. Na żadne recytacje w moim domu nie pozwolę. Jestem uznawany za świeckiego polityka, a w tej mieścinie dosyć jest bigoterii. Nie będę dął ze wszystkimi w śehnai. Zresztą, nie jestem hipokrytą. Nie będę popierał świętoszków, którzy poszczą i chcą wprowadzić zakaz ubijania bydła. Stawiają tylko te swoje świątynie, a to w Somnath, a to w Ćauk... Bóg wie po co.

— Ale sam pan prezydent pojedzie do Somnath na otwarcie nowej świątyni...

— Pan prezydent może sobie robić, co mu się żywnie podoba — warknął opryskliwie Maheś Kapur. — Radžendra babu nie musi się martwić o swój stołek ani ścierać się w parlamencie, a ja tak.

Mrs Maheś Kapur przeczekwała ten wybuch, ale potem spróbowała jeszcze raz:

— Minęło już wprawdzie dziewięć nocy Ramnawami, ale dziewięć nocy Daśahra jeszcze przed nami. Może wobec tego w październiku. ..

Zacząła posapywać z przejęcia, a on powiedział tym razem nieco łagodniej:

— Spokój, spokój. Zobaczymy, co się da zrobić, jak przyjdzie czas.

„No, przynajmniej jest jakaś nadzieja, chociaż wszystko jeszcze palcem na wodzie pisane”, myślała Mrs Maheś. Kapur. Nie podjęła więcej tego tematu, przekonana, że zrobiła w tej sprawie tyle, ile mogła. Uważała, że jej mąż popełniał błąd, odcinając się od religijnych tradycji (które nadawały życiu sens) i obnosząc się ze swoją fanatyczną wręcz świeckością. Ale, naturalnie, nigdy mu tego nie powiedziała.

W czasie kolejnej przerwy Mrs Maheś Kapur powiedziała niepewnie:

— Dostałam list.

Mr Maheś Kapur syknął zniecierpliwiony, że zawraca mu głowę przyziemnymi głupstwami.

— Dobrze, dobrze. Co masz mi do powiedzenia? Jaki mnie czeka cios?

— Wiedział z doświadczenia, że żona zaczynała zawsze te urywkowe rozmowy od tematów błahych, a kończyła na tych najwyższej życiowej wagi.

— Z Benaresu — powiedziała tylko Mrs Maheś Kapur.

— Hm — chrząknął Maheś Kapur.

— Przesyłają wszystkim najserdeczniejsze pozdrowienia — dorzuciła jego żona.

— Przestań kluczyć. O co im chodzi? Na pewno zrozumieli nareszcie, że ich córka nie umywa się do naszego junaka i chcą zerwać zaręczyny.

Mrs Maheś Kapur udała dyplomatycznie, że nie zauważyła ironii, i powiedziała:

— Wręcz przeciwnie. Chcą ustalić jak najszybciej datę ślubu... a ja nie wiem, co im mam odpowiedzieć. Chyba wiedzą o... o tej sprawie i dlatego się niepokoją. Czytam to między wierszami.

— Uff! — prychnął Maheś Kapur ze złością. — Dlaczego wszyscy muszą mi to przypominać? Słyszę o tym w parlamentarnej stołówce i w gabinecie. Wszyscy strzepią sobie języki na tym kretynie. Nawet dzisiaj rano parę osób zaczęło mnie o to wypytywać, jakby nie było na tym świecie ważniejszych problemów.

Ale Mrs Maheś Kapur nalegała:

— Właśnie o to chodzi. Wstyd nawet spojrzeć ludziom w oczy. Dla naszej rodziny to sprawa najwyższej wagi. A dla Mana też to wcale nie jest dobre, że traci tyle czasu i pieniędzy. Przyjechał tutaj niby służbowo, a co załatwił? Bardzo cię proszę, pomów z nim o tym.

— To ty z nim pomów — ofuknął ją brutalnie Maheś Kapur. — Przez całe życie go rozpieszczałaś.

Po policzku Mrs Maheś Kapur spłynęła łza. Milczała przez jakiś czas, potem jednak wzięła się w garść i powiedziała:

— Jak cię widzą, tak cię piszą. Nic dla ciebie nie znaczy opinia publiczna? Syn nierób, który zadaje się... z kimś takim, a resztę czasu spędza, wylegując się w betach, wpatrzony w wiatrak na suficie. Powinien się wreszcie zabrać do jakiejś uczciwej pracy. Ale mnie on nie usłucha. Co dla niego znaczą matczyne przestrogi?

— Dobrze, dobrze — powiedział Maheś Kapur, zamykając oczy. Pomyślał, że kompetentny asystent prowadzi biznes w Benaresie doskonale, lepiej od Mana. Ale co zrobić z tym hultajem?

Około ósmej wieczorem, wsiadając do samochodu, który miał go zabrać do Baitar House, coś sobie przypomniał i kazał kierowcy poczekać jeszcze chwilę. Potem wysłał służącego, żeby sprawdził, czy Man jest w domu, a kiedy się dowiedział, że śpi, powiedział:

— Obudź zaraz tego nicponia, każ mu się ubrać i zejść natychmiast na dół. Jedziemy z wizytą do nawaba sahiba z Bajtaru.

Man zszedł naburmuszony. W dzień ćwiczył wytrwale na koniu treningowym, a wieczorem obiecywał sobie inny trening (w tym również intelektualny), u Saidy Bai.

— Baodzi? — powiedział pytająco.

— Wsiadaj do samochodu. Jedziemy do Baitar House.

— Mam z tobą jechać? — spytał Man.

— Tak.

— W porządku. — Man wsiadł do samochodu. Zrozumiał, że się nie wykręci.

— Zakładam, że nie masz nic lepszego do roboty — powiedział uszczypliwie ojciec.

— Nie... właściwie nic.

— Musisz więcej przebywać z dorosłymi — rzekł surowo Mr Maheś Kapur.

Prawdę mówiąc, sam lubił towarzystwo tego wesołka, a potrzebując moralnego wsparcia, pomyślał, iż dobrze go będzie mieć przy sobie podczas przeprosin. Ale Manowi wcale nie było w tym momencie wesoło. Myślał o Saidzie Bai. Będzie przecież na niego czekała. Jak by tu jej dać znać, że go ojciec uprowadził?

6.15

Jednak kiedy wjechali na dziedziniec Baitar House, rozruszał się trochę na myśl, że będzie się mógł zobaczyć przy okazji z Firozem, który powinien być o tej porze w domu, bo nie wspomniał w czasie treningu, że wychodzi na kolację.

Poproszono ich do poczekalni. Stary sługa powiedział, że nawab sahib jest w bibliotece i że zostanie poinformowany o przybyciu ministra. Po jakichś dziesięciu minutach Maheś Kapur podniósł się ze starej skórzanej sofy i zaczął chodzić w kółko, gdyż znudziło mu się wyginanie kciuków i wpatrywanie w fotografie myśliwych, Europejczyków, z upolowanymi tygrysami u stóp.

Parę minut później jego cierpliwość się wyczerpała. Wziął ze sobą Mana i ruszył ciemnym korytarzem o bardzo wysokim sklepieniu w stronę biblioteki. Ghulam Rasul starał się go powstrzymać, ale bezskutecznie. Murtaza Ali, który kręcił się koło biblioteki, został również odepchnięty. Minister skarbu podszedł wielkimi krokami do drzwi biblioteki i otworzył je na oścież, a Man podreptał posłusznie za nim.

W pierwszej chwili oślepił go jaskrawy strumień światła: zarówno żyrandol pod sufitem, jak i mniejsze, stojące lampki oświetlały jasno salę. A pośrodku, przy wielkim, okrągłym stole zawalonym papierami, siedzieli, wertygując oprawione w skórę bawolą księgi prawnicze, trzech inni ojcowie z synami: nawab sahib z Bajtaru obok Firoza, radża koło Radżkumara z Marhu oraz dwaj zasuszeni okularnicy, B plus B, jak nazywano w Brahmpurze znaną rodzinę adwokatów Bannerdżich.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zażenowany tym nagłym wtargnięciem.

Tępy radża Marhu warknął:

— O wilku mowa.

Firoz, pomimo krępującej sytuacji, ucieszył się na widok Mana i podszedł do niego natychmiast, żeby uścisnąć mu dłoń. Man otoczył go ramieniem i powiedział:

— Ostrożnie. Urwiesz mi rękę. I tak ledwie mogę nią ruszyć po treningu.

Radżkumar, który miał słabość do młodych mężczyzn, popatrzył na dwóch przyjaciół z prawdziwym zachwytem. Nudził go zawily żargon projektu ustawy o uwłaszczeniu.

P.N. Bannerdżi zerknął na swojego syna, S.N. Bannerdżego, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem, że trzeba było się spotkać u nas w kancelarii?”

Nawab czuł się nieswojo, że został przyłapany na gorącym uczynku, gdy spiskował przeciwko projektowi Maheśa Kapura z człowiekiem, którego normalnie by unikał. Maheś Kapur zaś zorientował się natychmiast, jaką popełnił gafę. Swoim niespodziewanym wtargnięciem przerwał roboczą naradę, on: intruz, partyjniak, reformator — w ich oczach radykał ekstremista, wróg numer jeden. Pomimo to przełamał lody w gronie seniorów: podszedł do nawaba sahiba i uścisnął mu dłoń na przywitanie. Nie powiedział nic, tylko

skinął leciutko głową. Bez zbędnych słów, bez przeprosin nawab sahib zrozumiał w jednej chwili, że przyjaciel zrobiłby, co tylko w jego mocy, aby pomóc mu w potrzebie, ale po prostu nie wiedział nic o oblężeniu Baitar House.

Ciszę przerwał rechot radży Marhu:

— Aha, więc przyszedł pan nas szpiegować! Pochlebia nam to. Nie jakiś tam pacholek, tylko sam pan minister we własnej osobie.

Maheś Kapur odparł spokojnie:

— Nie oślepiła mnie pod domem pańska złota tabliczka rejestracyjna, więc nie miałem pojęcia, że tu pana zastanę. Wnioskuje, że przyjechał pan rykszą.

— Przed wyjściem policzę wszystkie moje złote tabliczki — ironizował radża Marhu.

— Proszę wziąć do pomocy mego syna. Potrafi zliczyć do dwóch — odpalił Maheś Kapur.

Radża Marhu poczerwieniał.

— Czy to było ukartowane? — zażądał odpowiedzi od nawaba sahiba. Myślał, że to może jakiś spisek muzułmanów i ich sympatyków, żeby go poniżyć i ośmieszyć.

Nawab sahib odzyskał wreszcie mowę.

— Nie, Wasza Wysokość, nie było. I przepraszam wszystkich tu obecnych, a szczególnie pana, Mr Bannerdzi; nie powinienem był nalegać, żebyśmy spotkali się tutaj.

Ponieważ w walce o wspólną sprawę zbliżył się, chcąc nie chcąc, do radży Marhu, nawab sahib miał nadzieję, że zapraszając radżę i jego syna do swojego domu, będzie miał okazję pomówić z nim na temat świątyni Siwy w Čauk, a przynajmniej położyć podwaliny pod późniejsze ewentualne negocjacje. Stosunki pomiędzy hindusami a mahometanami w Brahmpurze były bardzo napięte, więc nawab sahib postanowił się przełamać i pomimo odrazy, jaką czuł do tego rozpustnika, zaprosić go do współpracy.

Starszy z Bannerdżich, zde gustowany tym całym zajściem, powiedział, siłując się na uprzejmość:

— Wydaje mi się, że zarysowaliśmy już mniej więcej plan działania, więc możemy zakończyć dzisiejsze posiedzenie. Sporządzą pisemne spra-

wozdanie z naszej narady i postaram się przekonać ojca, żeby reprezentował nas w Sądzie Najwyższym, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Mówiąc o swoim ojcu, miał na myśli genialnego, błyskotliwego adwokata G.N. Bannerdżego, którego sława była niemal legendarna. Jeśli zmodyfikowany projekt zatwierdzony zostanie w Izbie Wyższej Parlamentu (wskutek czego nowa ustawa wejdzie w życie), to można ją będzie zaskarżyć do brahmpurskiego Sądu Najwyższego. To znacznie zwiększyłoby ich szansę na wygraną: gdyby ustawę uznano za niezgodną z konstytucją, zostałyby automatycznie obalona.

Bannerdżowie pierwsi podnieśli się do wyjścia. Młodszy Bannerdzi, mniej więcej w wieku Firoza, był już wziętym prawnikiem i miał własną kancelarię. Był inteligentny, sumienny, pracowity, a starzy klienci rodziny zapewniali mu stały dochód. Firoza uważał za romantyka, który nie nadaje się do pracy w adwokaturze. Firoz ze swej strony podziwiał jego inteligencję, ale miał go za pozera, nieodrodnego syna swego dwulicowego ojca. Natomiast dziadek jego, słynny G.N. Bannerdzi, pozerem na pewno nie był. Chociaż był już po siedemdziesiątce, poczynał sobie równie śmiało na sali sądowej, jak i w alkowie. Inkasował bajońskie sumy (niektórzy uważali, że to zdzierstwo), ale przepuszczał majątek na kobiety i pomimo swoich astronomicznych zarobków, ciągle żył ponad stan.

Zahukany przez ojca, Radźkumar z Marhu był to nawet całkiem sympatyczny i przystojny młody człowiek, ale o wyjątkowo słabej woli. Firoz nienawidził „czarnego diabła” radży, gburą i wroga mahometan, który paradował w szatach z brylantowymi guzami, a w uszach nosił brylantowe kolczyki. Duma rodowa nie pozwalała mu się spoufalać z Radźkumarem. Za to Man, który był zawsze do wszystkich przyjaźnie nastawiony (chyba że już zupełnie nie dało się kogoś lubić), zawojował kompletnie młodego Radźkumara i umówił się z nim w tygodniu na spotkanie. Radźkumar nudził się ostatnio, więc zasugerował wspólne wypad.

Tymczasem radża Marhu, nawab sahib i Maheś Kapur stali obok siebie w świetle żyrandola. Maheś Kapur zerknął niechcący na porozwalane na stole papierzyska, ale przypomniawszy sobie szyderstwa radży, szybko odwrócił wzrok.

— Ależ nie, nie, niech się pan nie kępuje, panie ministrze — zadrwił znowu radża Marhu. — Niech pan sobie poczyta. A w zamian za to proszę nam powiedzieć, kiedy ma pan zamiar przywłaszczyć sobie naszą ziemię.

— Przywłaszczyć sobie?

Z jednego z tomów wypełznął mól, a radża zgniótł go kciukiem.

— Miałem oczywiście na myśli Urząd Skarbowy wspaniałego stanu Parwa Pradeś.

— Wszystko w swoim czasie.

— Mówi pan teraz jak ten pański kumpel Agarwal w parlamencie. Maheś Kapur nic nie odpowiedział. Nawab sahib zaproponował:

— Może przejdziemy do salonu?

Radża Marhu nie ruszył się z miejsca, ale powiedział, kierując swoje słowa zarówno do ministra skarbu, jak i do nawaba sahiba:

— Nie robię tego dla siebie. Popieram zamindarów, chociaż sam nic na tym nie skorzystam. Politycy... takie jak pan karaluchy... mogą mi nakichać. Mnie nie ubędzie. Wasze prawa mnie nie dotyczą.

— Nie? — wycedził Maheś Kapur. — Małpy mają własne prawa?

— Jako hindus wie pan chyba, że to właśnie armia małp pokonała armię demonów — pospieszył radża Marhu z ripostą.

— A jakich cudów teraz się pan spodziewa? — Maheś Kapur nie mógł się powstrzymać od tego pytania.

— Chroni mnie artykuł 362 Konstytucji — odparł radża Marhu tryumfalnie, dając dowód, że radzi sobie nieźle z arytmetyką. — To nasze ziemie. Nasze własne, panie ministrze. Przyłączyliśmy się do Indii na pewnych warunkach. Dostaliśmy gwarancje. Podpisaliśmy traktaty. Nikt nam tego nie odbierze: żadne sądy, żadne trybunały.

Było rzeczą powszechnie znaną, iż radża Marhu, podpisując w biurze surowego ministra spraw wewnętrznych Indii, Sardara Patela, układ o przyłączeniu księstwa Marh do Indii, był pijany w sztok i zrosił ten historyczny (i przez to jakże unikalny) dokument łzami. Zamazał przy tym własny podpis i bełkotał coś bez ładu i składu.

— Zobaczymy — rzekł Maheś Kapur. — Zobaczymy. Charakter Wąszej Wysokości nie przeszkadzał G.N. Bannerdzemu bronić pana w sądzie w przeszłości, więc bez wątpienia może pan i teraz liczyć na jego usługi.

Ta niejasna aluzja wywołała efekt piorunujący.

Rycząc z wściekłości, radża Marhu zamierzył się nagle z całej siły na Maheśa Kapura, ale na szczęście potknął się o nogę krzesła i upadł w lewo na blat stołu. Chwyając z trudem oddech, podniósł twarz znad porozwalanych papierów i ksiąg prawniczych, ale zniszczył jedną kartkę wolumenu.

Chyba doznał szoku, bo przez sekundę wpatrywał się nieprzytomnie w wyrwaną stronicę. Korzystając z zamieszania, Firoz poprowadził go za ramię do salonu. Radżkumar pospieszył za ojcem — i było już po wszystkim.

Niepewny reakcji Maheśa Kapura, nawab sahib powstrzymał go na wszelki wypadek gestem dłoni. Maheś Kapur powiedział:

— Przepraszam. Ogromnie przepraszam.

Ale obaj wiedzieli, że przeprasza za swoją bezradność w czasie oblężenia Baitar House, a nie za incydent z radżą Marhu. Wreszcie Maheś Kapur powiedział do syna:

— No, czas już na nas. Idziemy.

Na zewnątrz, przy wjeździe, stała z boku wielka, czarna lancia radży. Na złotej tablicy rejestracyjnej widniał napis „MARHI”.

W samochodzie, w drodze powrotnej do Prem Niwas, każdy z nich pogryził się we własnych myślach. Maheś Kapur odetchnął wreszcie z ulgą, że udało mu się zapewnić starego przyjaciela o swojej lojalności. Fakt, że wybrał niestosowny moment, ale czuł, że nawab sahib był mimo wszystko wzruszony, kiedy uścisnęli sobie ręce.

Nawab sahib zadzwoni pewnie do niego jutro, żeby przeprosić za ten nieprzyjemny incydent, ale nie będzie starał się nic wyjaśnić. Nieprzyjemna sprawa. Coś złego wisi w powietrzu. Zawiązała się koalicja złożona z dawnych nieprzyjaciół, której celem jest zniweczyć jego wysiłki i nie dopuścić do wprowadzenia w życie ustawy o uwłaszczeniu. Nie wiadomo jeszcze wprawdzie, jak długo przetrwa, ale widać, że konserwatyści się pokumali. Co za prywata! Ciekawe, jakie luki w tym projekcie znaleźli ci ich prawnicy.

Man natomiast cieszył się ze spotkania z przyjacielem. Wiedział, że nie uda mu się chyba wyrwać spod ojcowskiej kurateli tego wieczoru i napomknął o tym Firozowi, a ten przyrzekł skontaktować się z Sайдą Bai — jeśli zajdzie potrzeba, to nawet osobiście — żeby ją poinformować o uprowadzeniu Daghah sahiba.

6.16

— Nie! Proszę się skupić! Proszę się nie rozpraszać!

W głosie mówiącego słychać było troskę, a zarazem nutkę pogardy. Pragnął wyraźnie, żeby zadanie wykonane zostało poprawnie. Litery powinny być zgrabne; wstyd sadzić takie kulfony! Na pewno chciał dobrze dla Mana. Man zmarszczył brwi, potem raz jeszcze, z wysiłkiem, napisał literę „mim”.

— Buja pan w obłokach, zamiast się skoncentrować na ćwiczeniu — powiedział Raszyd. — Strata czasu. Jestem tutaj po to, żeby panu pomóc.

— Dobrze, dobrze — uciał Man, nie inaczej niż zwykł to czynić jego ojciec. Spróbował ponownie. Alfabet urdu był bardzo trudny, dziwaczny, nie z tej ziemi. W przeciwieństwie do sensownych alfabetów, takich jak hindi czy angielski, brakowało mu logiki. — Nie potrafię. W książce wygląda to fo-remnie, ale żeby to napisać...

— Cierpliwości! Proszę spróbować jeszcze raz. — Raszyd wziął bambusowe pióro, zanurzył je w kałamarzu i niebieskim atramentem wykaligrafował zgrabną literę „mim”. Potem dopisał jeszcze jedną, identyczną. Nie do uwie-rzenia!

— A w ogóle co to za różnica? — spytał Man ze wzrokiem wbitym w pulpit ławki, przy której siedział po turecku na podłodze.

— Chcę czytać i pisać w urdu, a nie ćwiczyć się w kaligrafii. Czy musimy to dłużej męczyć? — Zauważył w myślach, że próbuje się wymigać, tak jak to robił w dzieciństwie.

Raszyd natomiast przemawiał *ex cathedra*, pomimo iż obaj byli prawie w równym wieku.

— Jest pan moim uczniem i chcę, żeby od początku nauczył się pan poprawnej wymowy. Więc co by pan chciał teraz przeczytać? — spytał z lekkim uśmiechem, choć odpowiedź Mana nie była trudna do przewidzenia.

— Gazele — rzekł bez wahania. — *Mir, Ghalib, Dagh...*

— No... dobrze... — Raszid zamilkł na chwilę. Ma uczyć Mana gazeli tuż przed lekcją z Tasnim, podczas której będą czytać fragmenty ze Świętej Księgi? Przeraziła go taka perspektywa.

— No, więc co? — zapytał Man. — Może zaczniemy od zaraz?

— Z raczkującego niemowlaka nie da się zrobić w jednej chwili maratończyka — odpowiedział Raszid wykrętnie, aby pokryć zmieszanie. Grał na zwłokę. — Wszystko w swoim czasie. A na razie proszę jeszcze poćwiczyć to „mim”.

Man odłożył pióro i wstał. Wiedział, że Saida Bai płaci Raszido-wi, i czuł, że Raszid potrzebuje tych pieniędzy. Właściwie to nie miał nic przeciwko swojemu nauczycielowi; cenił go nawet za sumiennosc. Ale nie chciał, żeby traktował go jak smarkacza. W dodatku droga do celu wydawała się bardzo daleka: rzeczywiście, stawiał dopiero pierwsze kroki. Jeżeli będą się poruszać w tym tempie, miną lata, zanim uda mu się przeczytać nawet te gazele, które znał na pamięć od dziecka. A kiedy skleci ten pierwszy wymarzony list miłośny? Za kilkadziesiąt lat? Jednak Saida Bai chciała właśnie, żeby trochę pocierpiał, poświęcając codziennie pół godziny na lekcje z Raszidem, i tym bardziej garnął się do niej potem w oczekiwaniu nagrody.

„Ale wszystko jest jakoś strasznie pogmatwane”, myślał Man. Miała swoje humorki i czasami chciała się z nim widzieć, a czasami nie. Nigdy nie wiedział, czego oczekiwać, a przez to nie potrafił się skupić. To na jej życzenie musiał siedzieć w tym chłodnym pokoju na parterze, w domu swojej kochanki, pochylony nad zeszytem z „alifami” (a było ich z sześćdziesiąt), „żalami” (może czterdzieści) oraz nieforemnymi „mimami” (około dwudziestki), nasłuchując, czy dobiegnie go z galerii przez uchylone drzwi parę taktów czarownej melodii, nuconej przy akompaniamencie sarangi, thumri lub fisharmonii.

Man w ogóle nigdy nie lubił być sam, nawet kiedy miał doskonały humor, ale jeśli wieczorem, po skończonej lekcji, Bibbo albo Iszak przychodzili z

wiadomością, że Saida Bai woli zostać sama, wpadał po prostu w czarną rozpacz. Wtedy, o ile nie zastał w domu Firoza i Imtiaz, a atmosfera w Prem Niwas była jak zwykle napięta, życie rodzinne zdawało się zaś beznadziejne i nie do zniesienia, Man topił swoje żale w kieliszku, w towarzystwie nowych przyjaciół, Radźku-mara z Marhu i jego kamratów.

— Jeśli nie jest pan dzisiaj w nastroju... — Głos Raszida zabrzmiał całkiem łagodnie, chociaż wyraz jego wilczej twarzy był raczej surowy.

— Nie, nie, ależ skądże. Możemy kontynuować. To tylko kwestia samokontroli. — Man usiadł z powrotem na podłodze.

— Tu ma pan rację — powiedział Raszid, tym razem znowu raczej szorstko. Z całą pewnością samokontrola potrzebna była Manowi bardziej niż wszystkie „mimy” razem wzięte. „Z kim się pan zadaje?”, chciał zapytać Mana, żeby otworzyć mu oczy. „Poniża się pan, bywając w takim domu”.

Być może dało się to wyczytać z jego twarzy. Tak czy owak Man nagle postanowił mu się zwierzyć.

— Widzi pan, to jest tak... — zaczął. — Nie mam silnej woli i kiedy wpadam w złe towarzystwo... — zawahał się. „Co ja, na Boga, wygaduję?” Raszid i tak tego nie zrozumie, a nawet jeśli, co go to może obchodzić? Ale Raszid chyba rozumiał.

— Teraz jestem człowiekiem odpowiedzialnym — rzekł. — Ale kiedy byłem młodszy, szukałem zaczepki. Celowo wdawałem się w bójki. Mój dziadek, człek powszechnie szanowany, nie żałował pięści, więc myślałem, że tak trzeba. Było nas pięciu czy sześciu i szukaliśmy guza. Podchodziliśmy do jakiegoś biednego gimnazjalisty i buch go w twarz! Sam bym się nie odważył, ale z całą grupą to inna sprawa. Na szczęście wyrosłem z tego. Teraz słucham, co mi podpowiada inny głos. Umiem być sam, analizować różne rzeczy... Chociaż często oddala mnie to od mojego środowiska.

Brzmiało to, zdaniem Mana, jak rada anioła stróża (anioła, który cudem zdołał podnieść się z upadku). Oczyma wyobraźni zobaczył Radźkumara i Raszida walczących o jego duszę. Jeden, nęcąc partyjką pokera, starał się go przeciągnąć w kierunku piekła, drugi zaś pędził go skrzydłem w kierunku raju. Nagryzmolił następnego „mima”, a potem zapytał:

— A pana dziadek żyje jeszcze?

— O, tak — rzekł Raszid, z marsem na czole. — Siada na przyzbie w cieniu, czyta całymi dniami Koran i przegania wiejskie dzieciaki, kiedy mu przeszkadzają. A wkrótce będzie się starał również przegnać państwowych urzędników, ponieważ nie podobają mu się plany pańskiego ojca.

— Pochodzi pan z rodziny zamindarów? — zapytał Man zdziwiony.

Raszid odparł po chwili namysłu:

— Mój dziadek był kiedyś zamindarem. Potem podzielił majątek pomiędzy swoich synów. Ojciec i wuj kontynuują te rodzinne tradycje. Ale ja... — Zamilkł na chwilę. Popatrzył na zapisaną przez Mana stronicę, a potem mówił dalej, nie dokończywszy poprzedniego zdania. — Zresztą, nie mnie wydawać na ten temat sądy. Naturalnie, oni bronią starego systemu. Ale ja mieszkałem na wiosce prawie całe swoje życie i wiem, jak to wygląda. Zamindarowie (wszyscy zamindarowie, nie wyłączając mojej rodziny, która pod tym względem niczym się nie wyróżnia) utrzymują się z wyzysku biedoty. I w takim duchu wychowują swoich synów. — Tu Raszid zamilkł na chwilę i wykrzywił usta. — A jeśli ci — podjął swoje wywody — starają się wydostać z tego bagna... coś zmienić, zmodernizować. .. utrudniają im celowo życie. Rozprawiają bez przerwy o honorze rodziny, ale pojmują w sposób egoistyczny: ile im się uda dla swoich zagarnąć. — Znowu zamilkł na jakiś czas, a potem dorzucił jeszcze: — Niektórzy zamindarowie, i to ci cieszący się powszechnym szacunkiem, są tak nieuczciwi, że nie dotrzymują nawet danego słowa. Pewnie trudno będzie panu w to uwierzyć, ale zaoferowano mi tu, w Brahm-purze, pracę kuratora biblioteki u jednego z takich wielmożów, ale kiedy, zgodnie z umową, poszedłem do jego wspaniałej rezydencji, powiedziano mi... zresztą to nieważne. Chodzi o to, że feudalizm nie jest dobry dla chłopów ani dla gospodarki rolnej; nie jest dobry dla kraju i dopóki nie zostanie zniesiony... — To zdanie pozostało również nieskończone. Raszid uciskał palcami skronie, jakby chciał tym masażem rozpedzić ból.

Odbiegli daleko od tematu „mimów”, ale Man słuchał młodego nauczyciela z uwagą i zrozumieniem. Raszid mówił, jakby chciał zrzucić z serca gnio-tący go od dawna ciężar. A dopiero parę minut temu wydawał się Manowi uosobieniem opiekuńczości, rzetelności i umiarkowania.

Ktoś zapukał do drzwi i Raszid szybko się wyprostował. Do pokoju weszli Iszak i Motu Ćand.

— Proszę nam wybaczyć, Kapur sahib.

— Ależ to nic wielkiego. Proszę, wejdźcie, panowie — powiedział Man. — Moja lekcja skończona. Kolej na siostrę begam sahiby: nie mogę pozbawiać jej lekcji arabskiego. — Powstał z podłogi. — Do zobaczenia jutro. Nie pozna pan jutro moich „mimów” — zapewnił Raszida gorąco. — Będą idealne. A więc? — skinął głową w stronę muzyków. — Jaki wyrok?

Po minie Motu Ćanda poznał, co go czeka. Iszak Chan wymamrotał:

— Przykro mi, Kapur sahib, ale niestety, dziś wieczór... To znaczy, begam sahiba prosiła mnie, żebym pana poinformował...

— Dobrze, dobrze — powiedział Man, zirytowany i dotknięty. — W porządku. Proszę złożyć begam sahibie moje uszanowanie. Do jutra.

— Jest po prostu niedysponowana. — Iszak ani nie lubił kłamać, ani nie potrafił.

— Rozumiem — rzekł Man, który byłby bardzo zaniepokojony, gdyby uwierzył w tę jej niedyspozycję. — Mam nadzieję, że szybko wydobrzeje. — Przy drzwiach odwrócił się jeszcze i dodał: — Gdybym sądził, że się tym wykuruje, przepisałbym jej całą linijkę „mimów”; kazałbym jej zażywać jednego co godzina, a przed pójściem spać potrójną dawkę.

Motu Ćand spojrział na Iszaka pytająco, ale twarz Iszaka również wyrażała najwyższe zdumienie.

— Taką mi wypisała receptę — powiedział Man. — I jak panowie widzą, zdrów jestem jak ryba. Nazwijmy to: hart ducha. Jakoś udało mi się uniknąć niedomogi z równym powodzeniem, jak begam sahibie udaje się unikać mnie.

6.17

Raszid zbierał właśnie swoje książki, kiedy Iszak Chan, który nadal stał w drzwiach, wyrzucił z siebie:

— Tasnim jest również niedysponowana.

Motu Ćand zerknął z ukosa na swojego przyjaciela. Raszid, odwrócony do nich plecami, zeszywniał. Usłyszał wymówkę, jakiej Iszak Chan użył w rozmowie z Manem. A fakt, że Iszak godził się na poniżającą funkcję posłańca Saidu Bai, zraził go jeszcze bardziej do sarangisty. Czy występował teraz w roli posłańca Tasnim?

— Dlaczego pan tak sądzi? — spytał, odwracając się powoli. Na dźwięk jego głosu Iszak Chan zaczerwienił się po same uszy.

— W każdym razie lekcje z panem nigdy nie wychodzą jej na dobre — odparł zaczepnie. Istotnie, Tasnim często tonęła we łzach po lekcjach z Raszidem.

— Ma skłonności do płaczu — rzekł Raszid surowiej, niż zamierzał. — Ale to dość inteligentna dziewczyna i robi postępy. Jeśli jej opiekunka ma jakiegokolwiek obiekcje co do moich metod nauczania, może o tym ze mną porozmawiać... albo poinformować mnie na piśmie.

— Może by pan zaczął traktować ją nieco łagodniej, panie profesorze? — zaproponował Iszak zjadliwie. — To wrażliwa dziewczyna. I tak nie zrobi z niej pan mułły ani hafiza.

A jednak musiał przyznać w duchu, że pomimo łez Tasnim przykładała się wyjątkowo sumiennie do nauki arabskiego. Spędzała nad książkami mnóstwo czasu i miała go coraz mniej dla innych. Zrzuciła nawet czytanie powieści miłosnych, żeby poświęcić się studiom nad Koranem. To ogromnie bolało Iszaka. No, a jeśli ten młody nauczyciel zacznie się rzeczywiście odnosić do niej łagodniej ... co z tego może wyniknąć?

Raszid pozbierał książki i papiery i powiedział jakby sam do siebie:

— Nie wymagam od niej więcej niż od... — Miał zamiar powiedzieć „od siebie”, ale się zreflektował: — Niż od innych. Trzeba się nauczyć kontrolować własne emocje. A bez wysiłku niczego się nie osiągnie — dorzucił z goryczą. Oczy Iszaka miały błyskawice. Motu Ćand położył mu dłoń na ramieniu.

— Poza tym Tasnim bywa leniwa.

— Znalazł w niej pan sporo słabości, panie profesorze.

Raszid ściągnął brwi.

— W dodatku zajmuje się ciągle tą przygłupią papugą. A to ją karmi, a to się z nią bawi. To przebrzydłe ptaszysko rywalizuje ze studiami nad Świętą Księgą. Profanacja.

Iszak oniemiał ze zdumienia. Raszid minął go i wyszedł z pokoju.

— Dlaczego się go tak czepiałeś, Iszak bhai? — zapytał chwilę później Motu Ćand.

— Ja się go czepiałem? Ja? To on się mnie czepiał, nie ja jego. Ta ostatnia przymówka...

— Przecież nie wiedział, że papuga to prezent od ciebie...

— Jak to nie? Wszyscy o tym wiedzą.

— Ale nie on. Nasz zacny Raszid nie interesuje się takimi rzeczami. Co cię napadło? Dlaczego tak się wszystkich ostatnio czepiasz?

Aluzja do zajścia w stołówce nie uszła uwagi Iszaka, ale wolał udawać, że nie rozumie. Powiedział wykrętnie:

— Uznałeś tę książkę o sowach za zaczepkę? A spróbowałeś z niej jakichś przepisów? Ile ci się udało zwabić kobiet, Motu? I co? Żona się cieszy, że nabrałeś wigoru?

Ale Motu Ćand nie skapitulował.

— Dobrze wiesz, o czym mówię — powiedział. — Posłuchaj, Iszak, nic nie wskórasz, skacząc ludziom do oczu. Dopiero co...

— To te moje łapska! — wykrzyknął Iszak, unosząc dłonie i przypatrując się im z nienawiścią. — To te wstrętne łapska. Ostatnia godzina na górze to była po prostu tortura.

— Ale grałeś znakomicie...

— Co się ze mną stanie? I z moimi młodszymi braćmi? Gdzie znajdę zatrudnienie? Nikt mi przecież nie będzie płacił dla pięknych oczu. I nawet mój szwagier nie będzie mógł się teraz przenieść do Brahmpuru, żeby nam trochę pomóc. Jak ja się pokażę w studio? Kogo poproszę o wstawiennictwo?

— Jakoś to będzie, Iszak bhai. Nie przejmuj się tak bardzo. Ja ci pomogę...

Tu się zagalopował. Motu Ćand sam miał do wyżywienia czworo drobiazgu.

— Każdy występ to dla mnie prawdziwa męczarnia — powiedział Iszak Chan do siebie, potrząsając głową. — Każdy występ i każda próba. Rwie mnie w stawach przy najmniejszym wysiłku. Muzyka nie sprawia mi już żadnej przyjemności. Nie mogę jej słuchać nawet po pracy, dla relaksu. Co by powiedział mój ojciec, słysząc ode mnie takie rzeczy?

6.18

— Begam sahiba wyraziła się jasno — powiedział strażnik. — Nie chce nikogo widzieć dziś wieczorem.

— Ale dlaczego? — nalegał Man. — Dlaczego?

— Tego nie wiem — odparł strażnik obojętnie.

— To proszę, dowiedz się — powiedział Man, wciskając mężczyźnie w rękę banknot dwurupiowy.

Strażnik wziął od niego banknot i powiedział:

— Jest niedysponowana.

— A dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś? — spytał z wyrzutem Man. — Wobec tego koniecznie muszę wejść do niej na górę. Na pewno mnie potrzebuje. Na pewno będzie chciała się ze mną zobaczyć.

— Nie — powiedział strażnik, stając murem w bramie. — Nie będzie chciała się z panem zobaczyć.

Była to, zdaniem Mana, bezczelna odzywka.

— Słuchaj — powiedział — musisz mnie wpuścić. Usiłował odepchnąć strażnika, ale ten się zaparł i zaczęli się szamotać.

Z wnętrza domu dały się słyszeć głosy i wyłoniła się Bibbo. Kiedy zobaczyła, co się dzieje, zakryła usta dłonią. Potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

— Ful Singh, proszę natychmiast przestać! Dagh sahib, proszę. .. proszę... Co na to powie begam sahiba?

Na te słowa Man ochłonął nieco i otrzepał swoją kurtę, wyraźnie zażenowany. Strażnik zachował zimną krew. Nie wyglądał na przejętego tą potyczką. Zresztą żaden z nich nie był ranny.

— Bibbo, czy jest bardzo chora? Bardzo źle się czuje? Cierpiał za nią, a ból był niemalże fizyczny.

— Bardzo chora? — zdziwiła się Bibbo. — A kto jest bardzo chory?

— Saida Bai, oczywiście.

— A gdzie tam ona chora! — rzekła Bibbo ze śmiechem. Potem, wymieniwszy ze strażnikiem porozumiewawcze spojrzenie, dodała całkiem poważnie: — To znaczy, czuła się doskonale pół godziny temu, ale potem złapała ją kolka... o tu, w okolicy serca. Nie może się z nikim zobaczyć... ani z panem, ani z nikim innym.

— Kto z nią jest? — zapytał Man zaczepnie.

— Nikt... to znaczy... tak jak już mówiłam... nikt.

— Ktoś z nią jest! — zawył Man agresywnie, czując w sercu ukłucie zazdrości.

— Dagh sahib — powiedziała Bibbo, nie bez sympatii — nie przystoi panu takie zachowanie.

— Jakie? — chciał wiedzieć Man.

— Zazdrośnika. Begam sahiba ma wielu starych przyjaciół... wielbiciele... Nie może ich przecież tak nagle odtrącić. Od nich zależy dobrobyt tego domu.

— A może gniewa się na mnie?

— Gniewa? Za co miałyby się na pana gniewać? — zapytała Bibbo obojętnie.

— Bo nie przyszedłem tego wieczoru, kiedy byliśmy umówieni — powiedział Man. — Staralem się... tylko nie mogłem się wyrwać.

— Na pana się chyba nie gniewa — rzekła Bibbo. — Ale była zła na pańskiego posłańca.

— Na Firoza? — spytał Man, zdziwiony.

— Tak, na nawabzadę.

— Wyjaśnił, co się stało? — zapytał Man. Zdał sobie nagle sprawę z tego, że Firoz, który umiał czytać i pisać w urdu, mógł się porozumiewać z Sайдą Bai pisemnie. Znowu poczuł w sercu ukłucie zazdrości.

— Chyba tak — powiedziała Bibbo raczej wymijająco.

— To dlaczego była na niego zła? — spytał Man.

Bibbo zaśmiała się perliście i powiedziała, wzruszając ramionami:

— Skąd mogę wiedzieć? Muszę już wracać.

I zostawiła roztrzęsionego Mana na chodniku.

Prawdę mówiąc, Saida Bai nie była zachwycona wizytą Firoza i miała Manowi za złe, że go wysłał. Ale przykro jej było równocześnie, kiedy się dowiedziała, że nie przyjdzie na umówione spotkanie.

To ją jeszcze bardziej rozzłościło. Nie mogła sobie, oczywiście, pozwolić, żeby przywiązać się zbytnio do tego młodego lekkoducha, wartogłowa i pędziwiatra. Musiała zarabiać na życie, a on — choć w miły sposób — jednak jej w tym przeszkadzał. Doszła do wniosku, że dobrze byłoby odsunąć go od siebie na jakiś czas. A ponieważ tego wieczoru zabawiała właśnie klienta, kazała strażnikowi odprawiać niespodziewanych gości, a przede wszystkim Mana.

Kiedy Bibbo opowiedziała jej później, co się stało, Saida Bai wybuchnęła gniewem. Jak on śmiał wtrącać się w jej sprawy zawodowe! Nie miał prawa tak się jej narzucać! Nie miał prawa dopytywać się, z kim się widuje! Ale później powiedziała do papużki kilka razy: „Dagh sahib, Dagh sahib”, głosem, który początkowo zdradzał wielką namietność, a później, stopniowo, zalotność, czułość, obojętność, irytację, a w końcu gniew. Dla papużki była to prawdziwa szkoła uczuć: mało który z jej skrzydlatych kompanów mógł się poszczycić takim wykształceniem.

Man odszedł, zastanawiając się, co ze sobą zrobić. Myślał obsesyjnie o Saidzie Bai, ale jednocześnie szukał zapomnienia: gdzie by się tu zabawić, żeby utulić żal? Przypomniawszy sobie, że i tak miał zamiar spotkać się z Radźkumarem z Marhu, więc udał się na stację przy uniwersytecie, wynajmowaną przez Radźkumara wraz z sześcioma czy siedmioma innymi studentami, z których czterech nie wyjechało jeszcze z Brahmpuru na wakacje. Byli to bo-

gaci książećta oraz syn zasobnego obszarnika i nigdy nie brakowało im pieniędzy. Większość z nich miała miesięcznie „na drobne wydatki” po dwieście rupii, co równało się niemalże pensji Prana, tak więc patrzyli na swoich niezamożnych wykładowców z wielkopańską pogardą.

Radźkumar i jego kompani spędzali ze sobą dużo czasu: razem jadali i grali w karty. Na życie każdy z nich wydawał co miesiąc piętnaście rupii (mieli własnego kucharza), a na dziewczynki dodatkowe dwadzieścia. Opłacali sobie śliczną dziewiętnastoletnią tancereczkę, która mieszkała z matką niedaleko uniwersytetu. Rupwati często zabawiała młodych ludzi, a później zwykle jeden z nich zostawał z nią sam na sam. W ten sposób każdy miał ją dla siebie raz na dwa tygodnie. W pozostałe wieczory Rupwati mogła się spotykać z którymkolwiek z nich albo wziąć sobie wolny wieczór, ale miała wyraźnie powiedziane, że nie wolno jej przyjmować innych klientów. Matka zawsze witała chłopców z otwartymi ramionami; cieszyły ją ich wizyty i powtarzała często, że bez nich — prawdziwych dobroczyńców — marny byłby jej (i córki) los.

Po półgodzinie i kilku kieliszkach whisky Man wylał przed Radźkumarem swoje żale, a ten zaproponował, żeby wybrali się do Rupwati. Manowi humor od razu się poprawił, wzięli więc butelkę whisky i ruszyli w stronę jej domu, ale po drodze Radźkumar przypomniał sobie nagle, że miała tego wieczoru wychodne i że nie będą tam mile widziani.

— Już wiem! — powiedział wreszcie Radźkumar, zatrzymując tongę i wciągając do niej Mana. — Pojedziemy na Tarbuz ka Bazar.

Man, nadal przygnębiony, nie mógł się zdobyć na to, żeby odrzucić propozycję.

Jednak kiedy w tondze Radźkumar położył mu dłoń na kolanie i powiódł nią wyżej, pod pachwinę, Man strzepnął ją, zażenowany, ze śmiechem.

Radźkumar wcale się za to na niego nie obraził i już parę minut później, przekazując sobie z ręki do ręki butelczynę, znowu rozmawiali jak starzy przyjaciele.

— Wprawdzie to dla mnie ogromne ryzyko, ale zrobię to w imię przyjaźni — powiedział Radźkumar.

Man zachichotał.

— Nie rób tego więcej, bo mnie łachoczesz.

Teraz znowu zaśmiał się Radźkumar.

— Nie o tym mówię — wyjaśnił. — Chodzi mi o nasz wypad na Tarbuz ka Bazar.

— Tak? A dlaczego?

— Ponieważ „każdemu studentowi, którego spotka się w niepożądanym miejscu, grozi natychmiastowe wydalenie z uczelni”.

Radźkumar zacytował jedną z zawiłych reguł Kodeksu Praw i Obowiązków Studentów Uniwersytetu Brahmpurskiego. Była to wprowadzie niezbyt ściśle sprecyzowana formułka, ale brzmiała tak cudownie drakońsko, że Radźkumar i jego przyjaciele nauczyli się jej na pamięć i często śpiewali chóralnie w rytm mantry *Gajatri* przed wyjściem na hazard, hulanki lub harce w podrzędnych burdelach.

6.19

Wreszcie dotarli do starej dzielnicy, gdzie przeciskali się wąziutkimi zaułkami ku Tarbuz ka Bazar. Man zaczął się łamać.

— Może kiedy indziej...? — zaczął.

— Mają tam wyśmienite birjani — rzekł Radźkumar na zachętę,

— Gdzie?

— U Tahminy Bai. Byłem tam parę razy, kiedy nie mogłem się zobaczyć z Rupwati.

Man spuścił głowę na piersi i usnął. Radźkumar obudził go, kiedy znaleźli się na Tarbuz ka Bazar.

— Stąd musimy iść na piechotę.

— A to nie za daleko?

— Nie, nie. To tuż za rogiem.

Zsiedli z tongi, zapłacili woźnicy i weszli ręką w rękę w boczną alejkę. Potem Radźkumar pociągnął zawianego Mana na górę po jakichś schodach.

Ale kiedy dotarli do szczytu schodów, ogłuszył ich straszny hałas, później zaś, u wylotu korytarza, natknęli się na dziwną scenę.

Pulchna, ładna Tahmina Bai, o wielkich, rozmarzonych oczach chichotała rozanielona, podczas gdy zażywny jegomość w średnim wieku — poborca podatkowy — śpiewał falsetem sprośne piosenki, wybijając sobie rytm na tabli. Wzrok miał mętny jak po narkotykach. Dwóch rozchelstanych niższych urzędników rozwalało się obok, podśpiewując bełkotliwie do wtóru. Jeden z nich trzymał głowę na kolanach Tahminy Bai.

Radźkumar i Man mieli już zamiar się wycofać, kiedy dopadła ich w korytarzu burdelmama. Znała Radźkumara i zapewniła go, że pozbędzie się zaraz tej hołoty.

Przez ten czas nasi dwaj dziarscy chłopcy zaopatrzyli się w pan w ulicznym kiosku, a potem wrócili na górę. Tahmina Bai czekała już na nich z błogim uśmiechem na ustach, tym razem sama, bez obstawy.

Najpierw zaśpiewała thumri, a potem, widząc, że czas ucieka, nadąsała się, obrażona.

— Zaśpiewaj coś jeszcze — powiedział Radźkumar, szturchając Mana, żeby i on przyłączył się do tej błagalnej prośby.

— Zaśśpiewwwaj — wybełkotał posłusznie Man.

— Ani mi się śni. Nie doceniacie mojego głosu. — Wbiła wzrok w ziemię i wydeła wargi.

— Przynajmniej bądź tak łaskawa i uracz nas jakąś poezją.

Na te słowa Tahmina Bai parsknęła niepohamowanym śmiechem. Usta jej drżały w konwulsjach. Radźkumar osłupiał. Łyknął raz jeszcze z butelki i spojrzał na nią pytająco.

— O... ha, ha, ha... to takie śmieszne... ha, ha... „Bądź łaskawa... uracz nas jakąś poezją...”

Tahmina Bai nie dąsała się już, ale ryczała po prostu ze śmiechu, chwytając się za boki, posapując i wycierając zalane łzami oczy.

A kiedy wreszcie nieco ochłoneła, opowiedziała im zabawną dykteryjkę.

— Pewnego dnia kumple poety Akbara Allahabadiego zaciągnęli go w Benaresie do burdelu. A że wypił przedtem sporo, tak samo jak wy, więc przed wejściem na górę oparł się o ścianę, żeby się wysiusiać. A tymczasem

rozpoznała go pewna kurtyzana, która była na jednym z jego recitali poetyckich. Wychyliła się przez okno i powiedziała... — Tu Tahmina Bai zachichotała, a potem znowu zaniósła się śmiechem. — ...powiedziała: „Akbar sahib był tak łaskaw i uraczył nas swoją poezją”.

Tahmina Bai trzęsła się dalej ze śmiechu, a Man, zamroczony alkoholem, dołączył do niej, sam właściwie nie wiedząc czemu. Ale Tahmina Bai nie skończyła jeszcze swojej opowiadki.

— A kiedy poeta to usłyszał, na poczekaniu ułożył taki dwuwiersz:

*Do tworzenia poezji Akbara któż nakłoni,
Gdy kałamarz na górze, chociaż pióro w dłoni?*



Znowu zaczęła się zaśmiewać jak szalona, a potem powiedziała do Mana, że chciałaby mu coś pokazać w drugim pokoju. Pociągnęła go za sobą, a Radzkumar raz jeszcze łyknął sobie z butelki.

Po paru minutach Man wrócił rozchełstany i wyraźnie zde gustowany, ale Tahmina Bai, wydymając słodko usteczka, zwróciła się tym razem do Radzkumara:

— A teraz kolej na ciebie.

— Nie, nie — zaprotestował Radzkumar. — Ja już... nie jestem w nastroju... Zbieramy się, Man.

Tahmina obraziła się na nich i powiedziała:

— Jeden lepszy od drugiego. Po co mnie tu nachodzicie?

Radzkumar wstał, objął Mana ramieniem i obaj chwiejnym krokiem ruszyli w stronę drzwi. W korytarzu dobiegły ich jeszcze jej słowa:

— Przynajmniej spróbujcie jeszcze trochę birjani przed wyjściem. Będzie gotowe za parę minut... — A ponieważ nie usłyszała od nich żadnej odpowiedzi, dorzuciła złośliwie: — To wam doda wigoru. Żaden z was nie uraczył mnie swoją poezją!

Tu ponownie ryknęła śmiechem, który rozbrzmiewał echem na schodach i w dole, na ulicy.

6.20

Nic właściwie pomiędzy nimi nie zaszło, ale Man miał wyrzuty sumienia, że poszedł się zabawić z szansonistką tego pokroju co Tahmina Bai. Chciał natychmiast pognać do Saidy Bai i błagać ją o przebaczenie, ale Radzkumar przekonał go, żeby poszedł do domu. Zawiózł go pod samą bramę Prem Niwas i tam zostawił.

Mrs Maheś Kapur nie spała jeszcze. Kiedy zobaczyła, że jej syn chwieje się na nogach, zamroczony alkoholem, serce zamarło jej w piersiach. Bała się o niego, chociaż nigdy mu tego nie powiedziała. Gdyby go ojciec zobaczył w takim stanie, chyba by dostał ataku apopleksji.

Zaprowadzony do swojego pokoju, Man padł na łóżko i usnął.

Następnego dnia, skruszony, poszedł się zobaczyć z Saidą Bai, a ona ucieszyła się z tej wizyty. Spędzili razem wieczór, ale uprzedziła go, że przez dwa następne dni będzie zajęta, i poprosiła, żeby nie miał jej tego za złe.

Man jednak wziął to sobie bardzo do serca. Był chorobliwie zazdrosny i pragnął jej namiętnie, a tymczasem okazało się, że przez dwa dni nie będzie mógł zaspokoić tego pragnienia. Zastanawiał się, czym się jej tak naraził. Nawet gdyby widywał się z nią każdego wieczoru, czas do spotkania dłużyłby mu się niesamowicie. Ale tak, zarówno dni, jak i noce również były nie do zniesienia puste i ponure.

Ćwiczył trochę grę w polo z Firozem, ale w ciągu dnia, a czasem nawet i wieczorami Firoz był zajęty w biurze albo w domu. W przeciwieństwie do B.B. juniora Firoz nie uważał gry w polo za stratę czasu. Wybór na bazarze drewnianego młotka na długiej rękojeści wydawał mu się również całkiem pożytecznym zajęciem nie uwłaczającym godności syna nawaba. Jednak w porównaniu z Manem Firoz robił wrażenie tytana pracy.

Man usiłował go w tym naśladować: zaczął się starać o zamówienia i kupić trochę towarów dla swojego sklepu w Benaresie, ale nudziło go to wszystko śmiertelnie. Parę razy wpadł do swojego brata Prana i siostry Winy, ale swoim ustabilizowanym życiem rodzinnym zdawali się przyganiać jego nierozwadze. Wina złażała go porządnie i powiedziała, że daje zły przykład Bhaskarowi, a starsza pani Tandon patrzyła na niego podejrzliwie i z jeszcze większą niechęcią niż zazwyczaj. Kedarnath jednak poklepał Mana po ramieniu, jakby chciał mu zrekompensować chłód matki.

Wyczerpawszy wszystkie inne możliwości, Man coraz częściej spędzał czas w towarzystwie Radżkumara i jego kompanii. I chociaż nie dał się już więcej zaciągnąć na Tarbuz ka Bazar, pił, grał w karty i przepuszczał pieniądze przeznaczone na rozwój biznesu. Młodzi hazardziści zbierali się głównie w akademikach albo w melinach na mieście. Grali na ogół w pokera, czasem w wista, bo na to była ostatnio moda w środowisku studenckim w Brahmpurze. Nękały ich wprawdzie wyrzuty sumienia, ale zalewali robaka scotchem. Man nieustannie myślał o Saidzie Bai i nie chciał się nawet spotkać z prześliczną Rupwati, za co został potępiony przez swoich kompanów, którzy

przepowiadali, że wyjdzie z wprawy, jeśli będzie zachowywał seksualną wstrzemięźliwość.

Pewnego dnia Man, z sercem pełnym miłości i tęsknoty, przechadzał się samotnie po Nabigandź, kiedy spotkał się oko w oko z jedną ze swoich dawnych sympatii. Była już teraz mężatką, ale nadal żywiła dla Mana głębokie uczucie. Man również bardzo ją lubił. Jej mąż, który miał raczej niespotykane przezwisko „Gołąb”, zaproponował, żeby wstąpili razem na kawę do pobliskiej kawiarenki Red Fox. Ale Man, który normalnie od razu chętnie by na to przystał, odwrócił wzrok i powiedział posepnie, że mu się spieszy.

— Dlaczego twój dawny wielbiciel tak się dziwnie dzisiaj zachowuje? — spytał jej mąż z uśmiechem.

— Nie wiem — odparła nie mniej zdziwiona. — Chyba się nie odkochał?

— Możliwe... ale mało prawdopodobne. Man Kapur z zasady nigdy się nie odkochuje.

I nie przedłużając tej rozmowy, weszli do kawiarni Red Fox.

6.21

Podjrzliwość Mrs Tandon nie ograniczała się do konduity Mana. Ostatnio ta szacowna dama, która zawsze trzymała rękę na pulsie, zauważyła, że Wina nie nosi biżuterii, którą dostała od rodziców, chociaż nadal nakłada kosztowności ofiarowane jej przez teściów. Oczywiście Mrs Tandon zaraz doniosła Kedarnathowi o swoim odkryciu.

Kedarnath nie zwrócił nawet na to uwagi, ale ponieważ matka nie dawała mu spokoju, zapytał wreszcie żonę, co się stało z jej nawratanem.

Wina zaczerwieniła się po uszy.

— Pożyczyłam go Priji na wzór — skłamała. — Widziała go u mnie na weselu Prana i tak się jej spodobał, że postanowiła sobie sprawić podobny.

Ale Wina była z natury prawdomówna i kłamstwo wkrótce się wydało. Okazało się, że pieniądze, które dawał jej Kedarnath, nie starczały na utrzy-

manie. Kedarnath, który nie znał się na sprawach gospodarstwa domowego, po prostu tego nie zauważył. Wina miała nadzieję, że prosząc go o mniej pieniędzy na codzienne wydatki, odciąży, przynajmniej częściowo, jego finanse w przedsiębiorstwie. Teraz zrozumiał, że starała się zastawić i sprzedać swoją biżuterię.

Kedarnath dowiedział się również, że wydatki na szkołę Bhaskara — opłaty administracyjne, zakup książek i zeszytów — pokrywane były z pieniędzy Mrs Maheś Kapur przeznaczonych na gospodarstwo. W ten sposób matka wspomagała córkę.

— Nie możemy na to pozwolić — powiedział Kedarnath. — Twój ojciec pomógł nam już dosyć trzy lata temu.

— A dlaczego nie? — zapytała Wina. — To prezent Nani dla Bhaskara. Co w tym złego? Przecież nie łoży na nasze utrzymanie.

— Co się dzisiaj dzieje z moją Wina? — spytał Kedarnath, uśmiechając się ze smutkiem.

Ale Wina była akurat nastawiona wojowniczo.

— Nigdy mi nic nie mówisz — wybuchnęła — a potem siedzisz, przy-
mykając oczy, z głową ukrytą w dłoniach. I co ja mam sobie myśleć? Jak mo-
gę temu zaradzić? Ciągłe jesteś poza domem, a ja płaczę wtedy po nocach.
Lepiej by chyba było mieć męża pijaka, byleby spał we własnym łóżku.

— Uspokój się. Gdzie ta biżuteria?

— U Priji. Powiedziała, że da ją do oszacowania.

— Nie sprzedała jej jeszcze?

— Nie.

— To ją odbierz.

— Nie.

— Odbierz ją, Wina. Zastawiasz prezent od swojej matki. Nie igraj z ogniem.

— I ty też. Tu chodzi o przyszłość Bhaskara.

Kedarnath przymknął na chwilę oczy.

— Nie znasz się na handlu — powiedział.

— Ale wiem, że nie możesz zapożyczać się w nieskończoność.

— Pożyczka to zwykła rzecz. Tylko tą drogą można dojść dzisiaj do majątku.

— Ale my i tak już nigdy nie będziemy bogaci — wyrzuciła z siebie Wina. — To nie Lahaur. Powinniśmy zabezpieczyć przynajmniej to, co mamy.

Kedarnath milczał przez chwilę. Potem powiedział:

— Odbierz biżuterię. Zobaczysz, będzie dobrze. Naprawdę, przysięgam. Na dniach przyjdzie zamówienie od Hareśa na trzewiki, a wtedy wszystko wróci do normy.

Wina nie wyglądała na przekonaną.

— Już od dawna wszystko ma się samo ułożyć, ale nic się jakoś nie układa.

— Przesadzasz. Przecież sklepy z Bombaju uregulowały wreszcie ze mną swoje rachunki. A to już coś, jak na początek. Nie wierzysz mi? Wiesz przecież, że nie umiem kłamać, więc nawet bym nie próbował. Naprawdę coś się zmienia na lepsze. Idź zaraz i odbierz ten nawratan.

— Najpierw pokaż mi pieniądze.

Kedarnath wybuchnął śmiechem. Wina wybuchnęła płaczem.

— Gdzie jest Bhaskar? — zapytał, kiedy się trochę uspokoiła.

— U doktora Durraniego.

— To dobrze. Chyba zostanie tam jeszcze przez parę godzin, więc będziemy mieć czas na partyjkę ćaupara.

Wina przetarła oczy chusteczką.

— Na dachu za gorąco. Twoja matka się przerazi, że się spalisz na węgiel.

— Wobec tego zagramy tu, w tym pokoju — powiedział Kedarnath stanowczo.

Wina odebrała biżuterię jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem. Prija nie była w stanie dać jej do oszacowania, ponieważ podczas ostatniej wizyty gadatliwego jubilera wiedźma nie odstępowała go ani na krok. Prija uznała, że w tym wypadku dyskrecja ważniejsza była niż pośpiech.

Wina obejrzała z czułością każdy kamień nawratanu.

Wieczorem Kedamath zaniósł go na przechowanie do Prem Niwas.

— A po kiego licha? — burknął Maheś Kapur. — Nie zawracaj mi głowy takimi głupstwami.

— Baodźi, chcę mieć pewność, że jest w bezpiecznym miejscu. Inaczej Wina, w przypiływie rozpaczy, kierując się jak najszlachetniejszymi pobudkami, może go znowu zastawić.

— Zastawić?

— Zastawić albo sprzedać.

— No, nie! Co się tu wyprawia? Czy wszystkie moje dzieci powariowały? Wysłuchawszy krótkiej relacji Kedarnatha z ostatnich paru dni, Maheś Kapur zapytał:

— Jak tam twoje interesy? Rozkręciło się trochę po tym strajku?

— Nie mogę powiedzieć, że handel kwitnie, ale jeszcze jestem wypłacalny.

— Mogę cię zatrudnić jako zarządcę u siebie na farmie.

— To nie dla mnie, ale dziękuję, Baodźi. No, muszę wracać. Bazar już chyba otwarty. — Potem, przypomniawszy sobie coś jeszcze, dorzucił: — A poza tym, kto by ci pomagał w twoim okręgu wyborczym, Baodźi, gdybym się wyprowadził z Misri Mandi?

— To prawda. No dobrze. W porządku. Dobrze, że ci się spieszy, bo ja mam też mnóstwo roboty — powiedział niegościnnie Maheś Kapur. — Wszystkie te akta muszą być gotowe jutro rano. Będę pracował całą noc. Połóż to gdzieś tutaj.

— Gdzie... na tych teczkach, Baodźi? — Na zawałonym papierami stole nie było już miejsca na nawratan.

— Chyba że mi go zawieszysz na szyi. Połóż go tutaj, na tej różowej teczce z napisem: „Struktura świadczeń socjalnych. Program rządu stanowego”. Kedarnath, nie rób takiej przerażonej miny. Nie bój się, tu nie zginie. Dopilnuję, żeby matka Winy schowała go w bezpiecznym miejscu.

Tego wieczoru Man stracił w karty ponad dwieście rupii. Grał w wista z kumplami Radźkumara z Marhu i popełniał kardynalne błędy — za późno wykladał własne karty i za późno żądał odkrywki od innych. Gubił go ten łatwy optymizm, a także wyraz twarzy, który zdradzał wszystkie emocje, tak że jego partnerzy od razu domyślali się, jakie ma karty. Przegrał ponad dziesięć rupii przy każdym robrze, a kiedy miał w rękę trzy króle, wygrał tylko cztery rupie.

Im więcej pił, tym więcej przegrywał, i vice versa.

Ile razy miał w rękę damę (czyli „begam”), myślał z ukłuciem w sercu o begam sahibie, która rzadko ostatnio pozwalała mu się ze sobą widywać. Wyczuwał, że nawet kiedy byli razem, im bardziej się starał, tym mniej cieszyła się jego obecnością, chociaż nadal była czuła i namiętna.

Kiedy był już kompletnie spłukany, wymamrotał niewyraźnie, że czas na niego.

— Zostań na noc... Pójdiesz do domu rano — zasugerował Radźkumar.

Ale Man powiedział tylko:

— Nie, nie — i wyszedł.

Powlókł się do Saidy Bai, recytując po drodze poezje i podśpiewując sobie pod nosem.

Było po północy. Strażnik, widząc, w jakim jest stanie, poprosił go, żeby poszedł do domu. Ignorując go, Man zaczął wyśpiewywać do Saidy Bai:

To tylko serce, nie kamień, nie głaz — nie dziw, że z bólu pąka.

Choć płaczę, stęskniony, i dzień, i noc — na próżno ta udręka.

— Kapur sahib, pobudzi pan wszystkich na ulicy — przywołał go do porządku strażnik. Nie czuł do niego urazy za tę bójkę parę dni temu.

Zjawiła się również Bibbo i skarciła Mana delikatnie:

— Bardzo proszę, niechże pan idzie do siebie, Dagħ sahib. To szanujący się dom. Begam sahiba pytała, kto tak wyśpiewuje, i bardzo się rozgniewała, kiedy się dowiedziała, że to pan. Wydaje mi się, że bardzo pana lubi, ale nie

zobaczy się z panem jutro, i podkreśliła, że nigdy nie przyjmie pana w takim stanie. Przepraszam za tupet, Dagħ sahib, ale powtarzam tylko jej słowa.

— Chodźmy, Dagħ sahib — powiedział strażnik spokojnie i poprowadził Mana delikatnie, ale stanowczo w stronę Prem Ni was.

— Masz, to dla ciebie... równy z ciebie gość... — powiedział Man, wkładając ręce do kieszeni. Przetrzęsnał je kilkakrotnie, ale były zupełnie puste.

— Wpisz ten napiwek na mój rachunek — zasugerował.

— Dobrze, sahib — powiedział strażnik i zawrócił tam, skąd przyszedł.

6.23

Pijany, splukany i markotny Man podreptał z powrotem do Prem Niwas. Niestety matka — o dziwo — czekała na niego. Czuł się podle z tego powodu, chociaż był tylko na pół przytomny. Na jego widok zalała się łzami. I tak była już zdenerwowana tą sprawą z nawratanem.

— Man, synu ukochany, co cię napadło?! Co ona zrobiła z moim dzieckiem?! Czy wiesz, co ludzie gadają? Dowiedzieli się już o tym nawet w Benaresie!

— Kto się o tym dowiedział w Benaresie? — spytał Man z wielkim zainteresowaniem.

— Kto w Benaresie?! I on się jeszcze pyta! — jęknęła Mrs Maheś Kapur i rozszłochała się na dobre. Czuć było od niego whisky.

Man objął ją opiekuńczo ramieniem i powiedział, żeby poszła spać. Ona zaś poprosiła go, żeby poszedł do swego pokoju schodami od ogrodu, ponieważ ojciec, pomimo późnej pory, nadal pracuje w swoim w gabinecie i lepiej mu nie przeszkadzać.

Ale Man nie posłuchał jej rady i zaczął się wdrapywać na górę głównymi schodami.

— Kto to? Kto to? To ty, Man? — dobiegł go gniewny głos ojca.

— Tak, Baodźi — odparł Man, wspinając się dalej po schodach.

— Słyszałeś mnie? — zawołał ojciec głosem, który rozległ się echem po całym Prem Niwas.

— Tak, Baodzi. — Man zatrzymał się w pół drogi.

— To chodź tu natychmiast.

— Dobrze, Baodzi. — Potykając się, Man zszedł po schodach do gabinetu ojca. Usiadł na krześle po drugiej stronie stolika, przy którym siedział ojciec. Oprócz nich w gabinecie było tylko parę maleńkich gekonów, które łąziły po suficie podczas ich rozmowy.

— Wstawaj! Kto ci pozwolił usiąść?

Man starał się podnieść, ale nadaremnie. Spróbował jeszcze raz i pochylił się przez stół w stronę ojca. Oczy mu błyszczały. Przeraziły go stopy papierów na stole i szklanka wody, którą ojciec miał pod ręką.

Maheś Kapur zacisnął wargi i wstał z krzesła. Wyglądał groźnie. Przełożył teczkę z aktami z prawej ręki do lewej. Zamierzył się na Mana — chciał go spoliczkować — ale w tym momencie do gabinetu wpadła Mrs Maheś Kapur i zawołała błagalnie:

— Nie... nie!... Proszę!... Nie bij go!

Prosiła tak żałośnie, że dał się przebłagać. Tymczasem Man zamknął oczy i upadł z powrotem na krzesło. Zaczął zasypiać.

Ojciec, rozwścieczony, obszedł stół i zaczął potrząsać swoim dwudziesto-pięcioletnim synem, jakby go chciał wypatroszyć.

— Baodzi! — powiedział Man, którego to obudziło i rozbawiło, więc roześmiał się na cały głos.

Maheś Kapur podniósł prawą rękę i uderzył go w twarz. Man odsapnął, wlepił w ojca wzrok i chwycił się za policzek.

Mrs Kapur, zanosząc się od płaczu, opadła na stojącą pod ścianą ławę.

— A teraz posłuchaj, Man, posłuchaj, jeśli nie chcesz jeszcze raz oberwać — powiedział ojciec, wściekły, że doprowadził swoją żonę do łez. — Nie obchodzi mnie, ile będziesz pamiętał z tego jutro rano, ale nie będę czekał, aż wytrzeźwiejesz. Rozumiesz? — Podniósł głos i powtórzył: — Rozumiesz?

Man przytaknął skinieniem głowy. Powieki mu opadały, ale starał się nie zamykać oczu. Padał z nóg, był tak śpiący, że ledwie słyszał, co do niego mówiono. Co za męka! Męka? Ale kto przechodzi takie straszne męki?

— Czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądasz?! Przyjrzyj się sobie w lusterku! Rozczochrany, rozmamłany, oczy szkliste, kieszenie powywracane... Całą kurtę masz zalaną whisky.

Man potrząsnął głową, potem bezwiednie zwiesił ją na piersi. Chciał uciec od tej gniewnej twarzy, tych krzyków, tej całej męki. Ziewnął.

Maheś Kapur podniósł szklanke i chlusnął synowi wodą w twarz. Zachlapał przy tym jakieś papiery, ale nawet na nie nie spojrzał. Man zakasłał, zakrztusił się i natychmiast się wyprostował. Jego matka ukryła twarz w dłoniach i znowu się rozplakała.

— Co zrobiłeś z pieniędzmi?! Odpowiadaj! — wrzasnął na syna Maheś Kapur.

— Jakimi pieniędzmi? — spytał Man, przyglądając się strużce wody, która spływała po jego kurcie, akurat w miejscu, gdzie widniała duża plama po whisky.

— Z pieniędzmi przeznaczonymi na rozwój twojego biznesu.

Man wzruszył ramionami i ściągnął brwi, starając się usilnie przypomnieć sobie, co z nimi zrobił.

— A z pieniędzmi na drobne wydatki, które dostałeś ode mnie? — dopytywał się gniewnie ojciec.

Man ściągnął brwi jeszcze mocniej, ale znowu wzruszył ramionami.

— Nie pamiętasz? To ja ci powiem! Przepuściłeś je na tę dziwkę.

— Maheś Kapur nigdy by się tak nie wyraził o Saidzie Bai, gdyby nie został doprowadzony do ostateczności.

Mrs Kapur zatkała sobie uszy, a jej mąż, widząc to, prychnął zirytowany. „Zaraz się zaczniesz klepać po ustach, jak te małpiszony Gandhiego”, pomyślał.

Man zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, a potem, podnosząc wzrok na ojca, stwierdził:

— Nie. Kupowałem jej tylko drobne prezenty. Nigdy nie prosiła o nic więcej... — Zastanawiał się, co się stało z tymi pieniędzmi.

— Wobec tego przepiłeś je i przerznąłeś w karty. — Ojciec popatrzył na niego z obrzydzeniem.

Ano właśnie, przypomniał sobie Man i odetchnął z ulgą. Zadowolony, że rozwiązał zagadkę, która zdawała się wcześniej nie do rozwiązania, powiedział radośnie:

— O to, to, Baodzi. Przepiłem... i przerznąłem w karty... Po-o-o-szło! — A potem zawstydził się, uświadomiwszy sobie znaczenie powyższych słów.

— Ty bezwstydniku! Ty łachudro!... Gorszy jesteś niż ci rozpustnicy, zamindarzy. Ale ja na to nie pozwolę! Nie będę tego tolerował pod moim dachem! — ryknął Maheś Kapur. Huknął w stół różową teczką z aktami. — Nie pozwolę! Precz mi stąd! Rujnujesz zdrowie matki i własne życie. Rujnujesz moją karierę polityczną! Szargasz sobie opinię i imię naszej rodziny. Przehulałeś pieniądze, które ode mnie dostałeś... Przepuściłeś wszystko na wódkę i kurwy! Łajdaczysz się, bo nic innego nie potrafisz. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę się wstydził za własnego syna. Popatrz tylko na swojego szwagra. Ten się dopiero boryka z trudnościami! A jednak nigdy nie żebrze o pieniądze. Nie wyciąga łapy po forszę „na drobne wydatki”. A twoja narzeczoną? Znaleźliśmy ci przyzwoitą dziewczynę z dobrej rodziny, swatamy cię, a ty latasz za tą jawnogrzesznicą, SaidąBai!

— Ale ją ją kocham — powiedział Man.

— Kochasz?! — ryknął ojciec, nie wierząc własnym uszom. Krew go zalała. — Marsz do łóżka! To ostatnia twoja noc w tym domu. Jutro masz się wyprowadzić. Wynos się! Jedź sobie do Bena-resu... Idź, gdzie cię oczy poniosą... byle z dala od Brahmpuru. Wynocha!

Mrs Maheś Kapur błagała męża, żeby złagodził wyrok, ale nadaremnie. Man spojrzał w sufit na rozbiegane gekony, a potem nagle powiedział zdecydowanie:

— Dobrze. Dobranoc! Dobranoc! Jutro się wyprowadzę z tego domu.

I poszedł do swojego pokoju, pamiętając nawet, żeby ściągnąć buty przed wejściem do łóżka. A potem zaraz zasnął.

6.24

Następnego ranka obudził się ze strasznym bólem głowy, który jednak — o dziwo — ustąpił parę godzin później. Przypomniawszy sobie nocną awanturę z ojcem. Przeczekał do jego wyjścia, a potem poszedł zapytać matkę, o czym ze sobą rozmawiali. Mrs Kapur odchodziła od zmysłów: jej mąż nie mógł usnąć ze zdenerwowania i do białego świtu nawet nie zmrużył oka. Ale nie był również w stanie skupić się na pracy, a to rozjątrzyło go jeszcze bardziej. Nie chciał nawet słyszeć o pojednaniu z synem. Mrs Maheś Kapur zrozumiała, że tym razem Man przeholował i będzie się musiał wyprowadzić. Przytulając syna do siebie, powiedziała:

— Jedź do Benaresu, zabierz się do pracy, zachowuj się rozsądnie, postaraj się przypodobać ojcu.

Man nie palił się, żeby skorzystać z jej dobrych rad, ale zapewnił matkę, że nie będzie już przysparzał więcej kłopotów w Prem Niwas. Kazał służącemu spakować walizki. Zdecydował, że zamieszka na jakiś czas z Firozem albo może z Pranem, a jeśli i to nie wypali, z Radźkumarem i jego przyjaciółmi albo, w ostateczności, gdzieś indziej w Brahmpurze. Nie, na pewno nie wyjedzie z tego pięknego miasta i nie porzuci kobiety, którą kocha, tylko dlatego, że tak się podoba ojcu, który zawsze wszystko potępia i suszy mu o byle co głowę.

— Może poproszę sekretarza ojca, żeby ci wykupił bilet do Benaresu? — zaproponowała Mrs Maheś Kapur.

— Nie, w razie czego wykupię bilet na stacji.

Ogolił się, wykapał, włożył wykrochmaloną białą kurtkę-padżamę i udał się nieco zażenowany w stronę domu Saidu Bai. Jeśli był tak urżnięty, jak twierdziła jego matka, to pewnie narozrabiał pod domem Saidu Bai. (Miał niejasne wrażenie, że poszedł tam poprzedniego wieczoru po popijawie).

Zjawił się pod domem Saidu Bai. Wpuszczono go do środka. Wyglądało na to, że nawet go tam oczekiwano.

Po drodze na górę przyjrzał się sobie w lustrze — tym razem samokrytycznie. Zdjął z głowy białą, haftowaną czapeczkę i zatrzymał wzrok na łysie-

jących skroniach. Potem nałożył ją z powrotem, myśląc z goryczą, że być może Saida Bai nie lubi tej łysiny. „Ale co mogę na to poradzić?“, mówił sobie rozgoryczony.

Usłyszawszy jego kroki w korytarzu, Saida Bai zawołała serdecznie:

— Wejdz, wejdz proszę, Dagh sahib! Krok masz dzisiaj pewny. Miejmy nadzieję, że i twoje serce bije pewnie w piersiach.

Saida Bai zastanawiała się w nocy, co zrobić z Manem. Owszem, był drogi jej sercu, ale poświęcała mu zbyt dużo czasu i energii. Poza tym jego zadurzenie graniczyło z obsesją, a to było już naprawdę ponad jej siły.

Przejęła się, usłyszawszy, że został wyrzucony z domu. Już od wielu lat w Prem Niwas odbywały się regularnie jej recitale, głównie podczas Holi, a raz nawet w Daśahra. Zależało jej, żeby nie stracić zarobków, a równocześnie przykro jej było, że młody wielbiciel pokłócił się z ojcem.

— Więc gdzie masz zamiar teraz pojechać? — zapytała.

— Jak to gdzie? Nigdzie! — wykrzyknął Man. — Mój ojciec zawsze chce wszystkimi dyrygować. Wydaje mu się, że skoro może pozbawić setki tysięcy obszarników ich dziedzictwa, to wolno mu również pomiatać własnym synem. Nie będę słuchał jego głupich nakazów. Zostanę w Brahmपुरze... u znajomych. — Nagle wpadła mu do głowy świetna myśl: — A może tutaj?

— *Toba, toba!* — wykrzyknęła Saida Bai, zatykając uszy.

— Dlaczego miałbym się z panią rozstać? Dlaczego miałbym wyjechać z miasta, w którym pani mieszka? — Pochylił się ku niej i chwycił ją namiętnie w ramiona. — A poza tym twoja kucharka robi takie przepyszne sami kababy — dorzucił.

Saida Bai przyjęła zapach Mana z wielką rezerwą. Przez chwilę zastanawiała się nad czymś głęboko, a potem powiedziała:

— Już wiem! Już wiem, co zrobimy, Dagh sahib!

— Hm — powiedział Man, całując ją nadal żarliwie.

— Wolnego, wolnego, Dagh sahib. Posłuchaj. Siedź spokojnie — rzekła Saida Bai kokieteryjnie. — Chcesz się do mnie zbliżyć, prawda? I chcesz mnie lepiej poznać?

— Oczywiście, że tak.

— A dlaczego, Dagh sahib?

— Jak to, dlaczego? — spytał Man ze zdziwieniem.

— No, właśnie, powiedz mi, dlaczego? — nalegała Saida Bai.

— Ponieważ panią kocham.

— Miłość, miłość... Miłość to pułapka. Z najlepszych przyjaciół robi śmiertelnych wrogów...

Man nie był w nastroju do takich filozoficznych rozważań. Nagle coś go tknęło. Zapytał z przerażeniem w głosie:

— Czy i pani chce, żebym wyjechał?

Saida Bai milczała. Potem naciągnęła na głowę sari, które zsunęło się jej z czoła, a jej czarne jak węgielki oczy zdawały się czytać w duszy Mana.

— Dagh sahib, Dagh sahib! — skarciła go delikatnie.

Skruszony Man zwiesił nisko głowę.

— Bałem się po prostu, że chciała pani sprawdzić, czy nasza miłość przetrwałaby rozstanie — powiedział.

— To byłoby dla mnie równie bolesne, jak dla pana — powiedziała do niego ze smutkiem. — Nie, miałam zupełnie inny pomysł.

Zamilkła, a potem zagrała parę taktów na fisharmonii i wyjaśniła:

— Pana nauczyciel urdu, Raszid, wyjeżdża za parę dni do swojej wioski. Zostanie tam przez miesiąc. Nie mogę znaleźć zastępstwa ani na lekcje Tasnim, ani pana, a mam wrażenie, że aby mnie naprawdę zrozumieć, wczuć się w moją muzykę i dzielić moją namiętność, musi się pan nauczyć języka poezji, którą śpiewam, języka gazeli, języka moich myśli.

— O tak, tak — wyszeptał Man, oczarowany.

— Więc musi pan wyjechać na jakiś czas... może na miesiąc... na wieś. Ze swoim nauczycielem urdu...

— Co?! — wykrzyknął Man, który odczuł to jak policzek.

Saida Bai miała minę tak nieszczęśliwą, że parę minut później to Man pocieszał ją i podnosił na duchu. Przygryzając dolną wargę, szeptała, że nie wie, jak zniesie to rozstanie... ale że nie widzi innego wyjścia. Man zapewnił ją, że i jego zdaniem jest to jedyne rozsądne rozwiązanie. W razie czego, gdyby nie udało mu się znaleźć noclegu, prześpi się pod gołym niebem, ale za to bę-

dzie mówił, myślał i pisał w jej rodzimym języku. Przyśle listy pisane w niebiańskim języku urdu. Nawet ojciec będzie z niego dumny.

— Przekonał mnie pan, Dagh sahib — powiedziała Saida Bai z namysłem. — Widzę, iż nie ma innej rady.

Man odniósł wrażenie, że papużka, która była z nimi w pokoju, rzuca mu ironiczne spojrzenia. Sposepniał.

— A kiedy Raszid wyjeżdża? — zapytał.

— Jutro.

Man pobladł na twarzy.

— To znaczy, że mamy tylko dzisiejszy wieczór dla siebie! — wykrzyknął z rozdartym sercem. Odeszła go cała odwaga. — Nie, nie mogę wyjechać... nie mogę tak pani zostawić.

— Dagh sahib, skoro nie jest pan wierny własnym przekonaniom, jaką mogę mieć pewność, że dochowa pan wierności mnie?

— Wobec tego muszę zostać na noc. Przecież to nasz ostatni wieczór przed moim wyjazdem. Nie zobaczymy się przez cały miesiąc!

Cały miesiąc! Jakże okrutnie brzmiały te słowa! Nie mógł się z tym pogodzić. Buntował się w duszy przeciwko takiej niesprawiedliwości.

— Niestety, to niemożliwe — powiedziała Saida Bai, która mając zmysł praktyczny, myślała o swoich zobowiązaniach.

— Wobec tego nigdzie nie wyjeżdżam — zbuntował się Man. — Nie mogę. Nie ma mowy. Zresztą, nie zapytałem jeszcze Raszida o zdanie w tej sprawie.

— Raszid będzie zaszczycony, udzielając panu gościny. Bardzo szanuje pańskiego ojca. Z pewnością uważa go za doskonałego drwala. No i, oczywiście, ma dla pana wiele uznania. Widocznie imponują mu pańskie zdolności kaligraficzne.

— Muszę się z panią zobaczyć dziś wieczór — nalegał Man. — Muszę. Jakiego znowu drwala? — zapytał, marszcząc brwi.

Saida Bai westchnęła ciężko.

— Niełatwo jest ściąć wielki banian, Dagh sahib, szczególnie taki, który zapuścił w ziemi korzenie przed setkami laty. Ale siekiera pańskiego ojca

karczuje już zacięcie ostatnie kłacze. Wkrótce wyrwie je z ziemi, a spod karpy wypełzną żmije, termity zaś spali się wraz z butwiejącym drewnem. Ale co stanie się z ptakami, które śpiewały w jego konarach? I z małpami, które tam trajkotały? Proszę mi odpowiedzieć na to pytanie, Dagħ sahib. Tak się dzisiaj mają te sprawy. — Potem, widząc, że Man spochmurniał, dodała znowu z westchnieniem: — Niech pan przyjdzie o pierwszej w nocy. Uprzedzę pańskiego przyjaciela, a mojego strażnika, żeby powitał pana z honorami należnymi szachinszachowi.

Man podejrzewał, że się z niego nabijała. Ale pocieszył się natychmiast na myśl o obiecany spotkaniu, chociaż wiedział, że było to na osłodę gorzkiej pigułki, którą kazała mu przełknąć.

— Naturalnie, nie mogę niczego obiecywać — asekurowała się Saida Bai. — Jeśli powie panu, że już śpię, proszę nie robić scen i nie budzić sąsiadów.

Teraz z kolei westchnął Man:

*Gdy Mir wylewa łzy w wielkiej pokorze,
Nie dziw, że nikt w sąsiedztwie spać nie może.*

Na szczęście jednak wszystko dobrze poszło. Abdur Raszid zgodził się *zabrać* ze sobą Mana i uczyć go tam nadal urdu. Maheś Kapur, który obawiał się trochę, że Man może wypowiedzieć mu posłuszeństwo i nie ruszyć się z Brahmpuru, był również bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Pał sześć, że jego syn nie wyjechał do Benaresu. Maheś Kapur wiedział (o czym Man nie miał pojęcia), że jego zakład prosperuje doskonale bez właściciela. Zmartwiona perspektywą rozstania z synem Mrs Maheś Kapur cieszyła się jednak, że rozsądny, surowy nauczyciel będzie miał na niego oko i że wyjazd odciągnie Mana od „tych rzeczy”. Ten zaś otrzymał na odjezdnym okup w postaci upajającej, namiętnej nocy z Sайдą Bai, a ona sama odetchnęła z ulgą o poranku, chociaż żegnała się z nim nie bez żalu.

Parę godzin później dwaj młodzi ludzie siedzieli w jednym z wagonów wąskotorowej kolejki, która skakała po szynach, sunąc niespiesznie zakolem

w stronę Rudhii i rodzinnej wioski Raszida. Man milczał ponuro, wściekły, że dał się tak wykołować i ojcu, i kochance, a Raszid wyglądał przez okno, szczęśliwy, że może się wreszcie wyrwać z przeludnionego miasta na wieś, gdzie w otwartej przestrzeni będzie mógł wreszcie oddychać pełną piersią.

6.25

Dopiero po wyjeździe Raszida Tasnim zorientowała się, jak bardzo polubiła lekcje arabskiego. Inne obowiązki, związane z prowadzeniem domu, nie rozszerzały horyzontów. Ale dzięki swemu młodemu, a jednocześnie bardzo wymagającemu nauczycielowi, który zwracał uwagę na poprawność gramatyczną i nie pozwalał jej robić uników, kiedy piętrzyły się przed nią trudności, odkryła w sobie zalety, o których dotychczas nie wiedziała: sumienność i pracowitość. Podziwiała go też, ponieważ przebijał się przez życie sam, bez pomocy rodziny. A kiedy nie pobiegł w te pędy na wezwanie jej siostry, tylko skończył najpierw omawiać fragment Koranu, który właśnie przerabiali, za imponował jej swoimi zasadami.

Nigdy jednak nie zdradziła się ani słowem ze swoimi uczuciami. Raszid zachowywał dystans, jak przystało na rzetelnego pedagoga. Uważał, żeby ich dłonie nigdy się nie spotkały niechcący nad książką, co w normalnych warunkach byłoby rzeczą zupełnie niemożliwą — mogliby najwyżej cofnąć je jak najszybciej, aby uniknąć bliższego fizycznego kontaktu.

Teraz, gdy dowiedziała się, że nie zobaczy go przez miesiąc, przepełnił ją smutek, którego nie dałoby się wytłumaczyć tymczasową przerwą w nauce arabskiego. Iszak Chan, wyczuwając jej nastrój, a także jego przyczynę, starał się ją rozweselić.

— Tasnim...

— Słucham, Iszak bhai — odparła Tasnim raczej apatycznie.

— Dlaczego upierasz się przy tym „bhai”? — spytał Iszak. Tasnim nie odpowiadała.

— Dobrze, nazywaj mnie bratem, jeśli chcesz, ale rozchmurz się wreszcie.

— Nie mogę — powiedziała Tasnim. — Jest mi smutno.

— Biedactwo. Nie bój się, wróci — powiedział Iszak, starając się nie dać poznać po sobie nic poza współczuciem.

— O, nie chodzi mi wcale o niego — powiedziała szybko Tasnim. — Przykro mi tylko, że znowu nie będę miała nic pożytecznego do roboty. Czym się mogę zająć? Czytaniem romansów i pichceniem w kuchni? Niczego się w ten sposób nie nauczę...

— No, to sama zacznij uczyć — zasugerował Iszak Chan, siląc się na wesołość.

— A kogo?

— Miję Mitthu. Naucz ją wreszcie mówić. Już czas najwyższy, żeby zaczęła się kształcić.

Tasnim ożywiła się nieco, chociaż nie na długo. Powiedziała:

— Apa przywłaszczyła sobie moją papużkę. Klatka stoi w jej pokoju, a nie w moim. — Westchnęła. — Zdaje się — wymamrotała pod nosem — że nie mam tu nic swojego. Wszystkim muszę się z nią dzielić.

— Przyniosę tu klatkę — zaproponował szarmancko Iszak Chan.

— Nie, nie! Nie trzeba — zaprotestowała Tasnim. — Twoje ręce...

— No, nie jestem jeszcze inwalidą.

— Ale cię strasznie bolą. Masz to wypisane na twarzy, kiedy ćwiczysz.

— Co z tego? — wzruszył ramionami Iszak Chan. — Muszę ćwiczyć i muszę grać.

— Dlaczego nie pójdziesz z tym do lekarza?

— Samo przejdzie.

— Ale dobrze by było, żeby je ktoś obejrzał.

— Dobrze — powiedział Iszak z uśmiechem. — Zrobię to, skoro mnie prosisz.

Czasami, akompaniując Saidzie Bai, szczególnie przy szybkich, rytmicznych utworach, Iszak z trudem powstrzymywał łzy. I chociaż w prawej ręce dzierżył smyczek, a lewą szarpał struny, bóle w stawach obu rąk stawały się coraz silniejsze. A ponieważ zarabiał na utrzymanie swoje (i młodszych braci)

pracą rąk, bardzo go to niepokoiło. Po zejściu w stołówce Iszak nie ośmielił się prosić o audiencję u dyrektora rozgłośni, który musiał być teraz bardzo źle do niego nastawiony, szczególnie jeśli sam wielki artysta wyraził swoje oburzenie. Sprawa przeniesienia szwagra była więc pogrzebana.

Iszak pamiętał ojcowskie nakazy: „Ćwicz przynajmniej po cztery godziny dziennie. Gryziپیórki w biurach ślęczą nad swoimi papierzyskami jeszcze dłużej. Sztuka wymaga poświęcenia”. Czasami w środku rozmowy ojciec Iszaka brał jego lewą rękę i oglądał ją uważnie. Jeśli palce Iszaka były poranione od przyciskania strun, mówił: „Dobrze”. Jeśli nie, kontynuował rozmowę, jakby nigdy nic, wyczuwało się jednak, że jest zawiedziony. Ostatnio przez ten dotkliwy ból w nadgarstkach Iszak nie był w stanie ćwiczyć więcej niż godzinę lub dwie dziennie. Ale jak tylko ból ustępował, nadrabiał zaległości.

Wykonywanie zwykłych codziennych czynności również nie przychodziło mu łatwo: przy podnoszeniu klatki, otwieraniu drzwi czy nawet mieszaniu herbaty ból dawał mu się we znaki, a Iszak nie miał z kim o tym porozmawiać. Gdyby się zwierzył ze swoich kłopotów Saidzie Bai, zaczęłyby się rozglądać za nowym sarangistą. Nie mógłby jej nawet za to winić.

— Za dużo ćwiczysz i to cię zabiją — powiedziała cicho Tasnim. Powinieneś więcej odpoczywać... używać jakichś maści...

— Chciałbym bardzo... Taka tortura nie sprawia mi żadnej przyjemności...

— Powinieneś brać lekarstwa. Zaniedbujesz się. To szaleństwo — mówiła dalej Tasnim.

— Więc idź i przynieś mi coś — odparł nagle Iszak wyjątkowo szorstko.

— Wszyscy współczują, wszyscy radzą, ale nikt się nie kwapi, żeby mi pomóc. No, idź, czego tu jeszcze sterczysz?

A potem zamilkł, przerażony własnym wybuchem. Zakrył oczy prawą ręką, bojąc się spojrzeć na Tasnim. Wyobrażał sobie zaskoczenie malujące się na jej twarzy. W jej sarnich oczach kręciły się pewnie łzy. „Jeśli ten ból tak mnie znieczulił na cierpienia innych”, pomyślał, „to rzeczywiście czas, żeby się wziąć wreszcie w garść. Muszę wypocząć, nawet jeśli wylecę przez to z pracy”.

A głośno powiedział, starając się zapanować nad nerwami:

— Tasnim, będziesz musiała mi pomóc. Pomów z siostrą i powiedz jej, czego ja nie mogę. — Westchnął i dorzucił: — Ja pomówię z nią później. Nie mogę znaleźć innej pracy w moim obecnym stanie. Musi mnie zatrzymać, nawet jeśli nie będę mógł grać przez jakiś czas.

— Dobrze — powiedziała Tasnim.

Usłyszał w jej głosie drzenie. Widocznie, tak jak podejrzewał, płakała.

— Proszę, nie bierz mi za złe tego, co powiedziałem — kontynuował Iszak. — Nie jestem dzisiaj sobą. Muszę wypocząć. — Pokręcił głową.

Tasnim położyła mu rękę na ramieniu. Znieruchomiał i, nawet kiedy go puściła, w ogóle nie zareagował.

— Porozmawiam zaraz z Apą — powiedziała.

— Dobrze. Albo nie. Poczekaj chwilę.

— A o czym będziemy rozmawiać? — spytała Tasnim.

— O niczym — odparł Iszak. Podniósł wzrok i spojrzał w jej zapłakane oczy. Potem znowu zwiesił głowę i poprosił: — Możesz mi podać pióro?

Tasnim podała mu drewniane pióro z szerokim, rozdwojonym bambusowym ostrzem, którego używała do kaligrafii podczas lekcji z Raszidem. Wychodziły spod niego szerokie, prawie dziecinne litery, a kropki miały kształt małych rombów.

Przyglądała się Iszakowi, a on zastanawiał się nad czymś głęboko. Potem, przysunąwszy do siebie duży arkusz papieru w linie, który służył jej do ćwiczeń, zapisał z widocznym wysiłkiem parę linijek i podał jej bez słowa prześlakniętą atramentem kartkę.

Ręce, przez które z bólu płaczę,

Kiedyż znów w zdrowiu was obaczę?

Czy mi przebaczyć potraficie?

Przyjaźni naszej przyświadczycie ?

Forsować was się nie odważę,

Na męki więcej was nie skazę

Przed każdą pracą was o zdanie spytam.

Na wasze zaufanie

Pracować będę wciąż z ochotą.

Zdobędę waszą miłość cnotą.

Przyglądał się, jak wodziła zamglonym wzrokiem z prawa w lewo i zauważył z bolesną niemal radością rumieniec, którym okryły się jej policzki, kiedy czytała ostatnią linijkę końcowego dwuwiersza.

6.26

Tasnim zastała swoją siostrę w sypialni. Saida Bai siedziała przed lustrem, malując powieki kajalem.

Każdy z nas przed lustrem, z daleka od ludzkich oczu, robi czasem miny, których nie odważyłby się prezentować publicznie. Jedni wydymają wargi, drudzy unoszą brwi, a jeszcze inni wpatrują się butnie w czubek własnego nosa. Wyraz twarzy Saidy Bai przed lustrem zmieniał się (podobnie jak jej przemowy do papużki), w zależności od nastroju: czasami składała kokieteryjnie usteczka w ciup, innym razem marszczyła gniewnie czoło. Kiedy do pokoju weszła Tasnim, poruszała właśnie lekko głową z boku na bok, przyglądając się sobie marzycielsko. Nikt by się nie domyślił, że rozczesując czarne, grube włosy, znalazła jeden siwy, a teraz szuka innych.

Na toaletce, wśród fiolek, flaszeczek i flakoników leżało srebrne pudeczko z panem, którego laseczkę, przyprawioną pachnącym tytoniem (z domieszką innych ziół), znanym jako kimam, Saida Bai właśnie żuła. Spotkały się wzrokiem w lusterku i Saida Bai pomyślała nagle, że się starzeje i że za pięć lat będzie miała ich trzydzieści pięć.

Z jej twarzy zniknął wyraz melancholii. Patrzyła teraz we własne fiołkowe oczy obojętnie, a potem uśmiechnęła się ciepło na powitanie, myśląc o gościu, którego zaprosiła dzisiaj na kolację.

— O co chodzi, Tasnim? Coś się stało? — pytała, sepleniąc nieco, ze względu na pan.

— Apa — powiedziała nerwowo Tasnim — chodzi o Iszaka.

— A co? Znowu ci dokucza? — spytała Saida Bai surowo, opacznie interpretując nerwowość Tasnim. — Porozmawiam z nim. Przyślij go tutaj zaraz.

— Nie, nie, Apa, nie w tym rzecz — powiedziała Tasnim i podała siostrze wiersz Iszaka.

Po przeczytaniu Saida Bai odłożyła kartkę i zaczęła się bawić szminką, jedyną, jaka leżała na toalecie. Nigdy właściwie nie używała szminki, ponieważ wargi miała naturalnie karminowe, a pan podkreślał jeszcze tę czerwień, ale dostała ją od znajomego, który miał przyjść tego wieczoru i do którego była nawet przywiązana.

— Co o tym myślisz, Apa? — spytała Tasnim. — Powiedz coś.

— Niezła rymowanka, ale straszne gryzmoły — odparła Saida Bai. — Ale co to znaczy? Czy chodzi mu o ręce? Chyba nie?

— Strasznie rwie go w stawach. Boi się, że go odprawisz, jeśli się do tego przyzna.

Saida, przypomniawszy sobie z uśmiechem, jak udało się jej odprawić Mana, milczała. Miała właśnie zamiar pokropić nadgarstki kropelką perfum, kiedy do pokoju wpadła z impetem Bibbo.

— Ojej, ojej, co się tu dzieje? — wykrzyknęła Saida Bai. — Wynoś się stąd, ty krnąbrna dziewucho! Daj mi spokój. Nakarmiłaś papużkę?

— Nakarmiłam, nakarmiłam — odparła hardo Bibbo. — Ale wieczorem trzeba nakarmić panią i pani gościa. Muszę powiedzieć kucharce, co ma ugotować.

Saida Bai popatrzyła na nią surowo w lustrze.

— Ty chamico, źle kiedyś skończysz, zobaczysz. Odkąd zgodziłaś się do mnie na służbę, uczę cię, jak się masz zachowywać, ale nic do ciebie nie dociera! — Bibbo starała się udawać skrucę, ale bez większego powodzenia. Saida Bai ciągnęła: — Sprawdź, co rośnie w warzywniku, i wróć tutaj za pięć minut.

Kiedy Bibbo wyszła z pokoju, Saida Bai zwróciła się do Tasnim:

— Więc wysłał cię z tą misją, tak?

— Nie — zaprzeczyła Tasnim. — Sama przyszedłam. Pomyślałam, że potrzebuje pomocy.

— Pewna jesteś, że nie nabroił?

Tasnim potaknęła skinieniem głowy.

— Więc niech napisze dla mnie parę gazeli — powiedziała Saida Bai po chwili milczenia. — Muszę go jakoś zatrudnić. Przynajmniej tymczasowo. — Nałożyła kropelkę perfum. — Chyba z pisaniem nie będzie miał trudności?

— Nie — zapewniła ją uszczęśliwiona Tasnim.

— To załatwione — rzekła Saida Bai.

Ale w myślach planowała już stałe zastępstwo. Wiedziała, że nie będzie w stanie utrzymać go w nieskończoność, ani też do chwili, kiedy wreszcie, może kiedyś, wydobreje.

— Dzięki, Apa, dzięki. — Tasnim szeroko się uśmiechała.

— Nie dziękuj — powiedziała Saida Bai z irytacją. — Zawsze dźwigam na własnych barkach wszystkie troski tego świata. Teraz, do powrotu Iszaka bhaj, będę musiała znaleźć sobie sarangistę, a tobie potrzebny jest nauczyciel arabskiego...

— O, nie, nie, to zupełnie zbyteczne — odparła szybko Tasnim.

— Co to znaczy „zupełnie zbyteczne”? — Saida Bai odwróciła się w jej stronę, patrząc tym razem na siostrę, a nie na jej odbicie w lustrze. — Myślałam, że lubisz lekcje arabskiego.

Do pokoju znowu wpadła Bibbo. Saida Bai popatrzyła na nią ze złością i wykrzyknęła:

— Kazałam ci wrócić za pięć minut! O co teraz chodzi?

— Wiem już, co rośnie w warzywniku — powiedziała radośnie Bibbo.

— Dobrze, dobrze — skapitulowała Saida Bai. — Więc co tam mamy oprócz chwastów? Czy weszła już karela?

— Jest karela i dynia...

— No, to powiedz kucharce, żeby zrobiła kababy, tak jak zawsze... śami kababy... do tego jakieś jarzyny... i baranina z karelą.

Tasnim skrzywiła się nieznacznie, co nie uszło uwagi Saidu Bai.

— Jeśli karela jest zbyt gorzka jak na twój gust, to nie musisz jej jeść — powiedziała wyraźnie zniecierpliwiona. — Nikt cię nie będzie zmuszał. Haruję jak dziki osioł, żeby ci niczego nie brakowało, a ty ciągle tylko kręcisz na wszystko nosem. Aha, i... no, właśnie. .. — powiedziała, zwracając się znowu do Bibbo. — Na deser zrobmy może phirni.

— Ale nie ma już dużo cukru — przeraziła się Bibbo. — Tylko resztki z racji żywnościowych.

— To dokup na czarnym rynku — powiedziała Saida Bai. — Bilgrami sahib bardzo lubi phirni.

Potem odprawiła zarówno Bibbo, jak i Tasnim, żeby spokojnie dokończyć toaletę.

Gość, którego oczekiwała tego wieczoru, starszy od niej o jakieś dziesięć lat, przystojny i kulturalny lekarz internista, był jej starym dobrym znajomym. Nie był żonaty i oświadczył się jej już parę razy. Kiedyś należał do jej klientów, lecz teraz uważała go za przyjaciela. Nie była w nim zakochana, ale ceniła jego oddanie. Nie widziała się z nim już od trzech miesięcy i dlatego zaprosiła go do siebie tego wieczoru. Na pewno znowu się jej oświadczy, a to ją rozweseli. Odmówi mu, oczywiście, on zaś nie weźmie sobie tego „kosza” zbyt do serca.

Rozejrzała się po pokoju i jej wzrok padł na oprawiony w ramkę wizerunek kobiety siedzącej w arkadzie i wpatrzonyj w tajemniczy ogród.

„Teraz”, myślała, „Dagh sahib jest już pewnie na miejscu. Nie chciałam go właściwie odprawić, ale tak jakoś wyszło. On też nie miał ochoty wyjeżdżać, ale mnie posłuchał. Widocznie tak być musiało. Dobrze nam to zrobi”.

Dagh sahib miał jednak na ten temat zupełnie inne zdanie.

6.27

Iszak Chan czekał na ustada Madżida Chana za rogiem. Kiedy mistrz wyszedł z domu z siatką w ręku i pomaszerował dostojnie przed siebie, Iszak ru-

szyl za nim, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości. Ustad Madżid skrecił w ulicę wiodącą do meczetu, w stronę Tarbuz ka Bazar, a potem na miejscowy targ warzywniczy, który był prawie pusty. Chodził od straganu do straganu, sprawdzając, co się opłaca kupić. Na szczęście pełno jeszcze było pomidorów i to po całkiem przyzwoitych cenach, szczególnie jak na sam koniec sezonu. Szkoda tylko, że to już ostatki szpinaku, jednego z jego ulubionych warzyw. Znikły już też właściwie kalafiory, marchew i kapusta; trzeba się będzie z nimi pożegnać aż do następnej zimy. Te resztki, które wały się jeszcze na straganach, były suche, nieświeże, bardzo drogie, a w dodatku zupełnie bez smaku.

Takimi to myślami zaprzątnięty był maestro tego ranka, kiedy usłyszał za sobą pełen szacunku głos:

— *Adab arz*, ustad sahib.

Wyrwany z zamyślenia ustad Madżid Chan odwrócił głowę i zobaczył za sobą Iszaka. Przypomniał sobie od razu o nieprzyjemnej scysji w stołówce. Nasrożył się, podniósł z lady parę pomidorów i zapytał o cenę.

— Chciałbym pana o coś poprosić — odezwał się znowu Iszak Chan.

— Doprawdy? — odparł mistrz z nie ukrywaną pogardą. O ile dobrze pamiętał, zaoferował temu szczeniakowi pomoc w jakiejś błahej sprawie i od tego właśnie zaczęła się cała awantura.

— Chciałbym również najmocniej pana przeprosić.

— Proszę nie zawracać mi głowy.

— Czekałem na pana przed domem. Potrzebuję pana pomocy. Jestem w potwornych tarapatach. Muszę zarabiać na życie, żeby utrzymać siebie i młodszych braci, a nie mogę dostać żadnej pracy. Po tamtym zajściu Ali India Radio przestało się do mnie w ogóle zgłaszać. Nie mam nawet dorywczych zarobków. — Maestro wzruszył ramionami. — Błagam pana, ustad sahib, niezależnie od tego, co pan o mnie myśli, proszę nie rujnować mojej rodziny. Znał pan mojego dziadka i ojca. Zapędziłem się wtedy, wierny ich pamięci. Proszę mi wybaczyć, jeśli popełniłem błąd.

— „Jeśli”?

— Popełniłem błąd. Nie wiem, co mnie wtedy napadło.

— To nie moja sprawa. Proszę mnie zostawić w spokoju.

— Ustad sahib, od tego czasu nie mogę znaleźć żadnej pracy, a moja siostra i jej mąż nie słyszeli nic na temat ewentualnego przeniesienia z Lakhnau. Nie śmiem mówić o tym z dyrektorem.

— Ale ma pan czelność mnie o to nagabywać. Depcze mi pan po piętach...

— Bo bardzo chcę z panem porozmawiać. Pan to może zrozumieć... jest pan przecież muzykiem... podobnie jak ja. — Ustad skrzywił się z niechęcią.

— A ostatnio mam kłopot z rękami. Poszedłem z tym do lekarza, ale...

— Słyszałem — powiedział maestro sucho, nie podejmując jednak tego tematu.

— Moja pracodawczyni powiedziała wyraźnie, że nie będzie mnie utrzymywać w nieskończoność, dla mojego własnego dobra.

— Twoja pracodawczyni! — powtórzył wielki śpiewak z nie ukrywanym obrzydzeniem. I już miał zamiar oddalić się bez słowa, kiedy dodał jeszcze: — Idź, chłopcze, podziękuj za to Panu Bogu i proś o Jego miłosierdzie.

— Bardzo pana proszę... — powiedział Iszak z rozpaczą.

— Nie rozmawiałem o tym w ogóle z dyrektorem rozgłośni. Tamten wybryk kładę na karb niedoświadczenia. A może była to chwilowa utrata władz umysłowych. Jeśli straciłeś pracę, to nie z mojej winy. A poza tym, co mogę zaradzić na twoje ręce? Zawsze się chwalisz, że tak dużo ćwiczysz. To ćwicz trochę mniej: oto moja rada.

To samo radziła mu Tasnim. Iszak Chan skinął głową zrozpaczony. Nie było żadnej nadziei, a ponieważ i tak już musiał się przełamać i z tej rozpaczki zapomnieć o urażonej dumie, pomyślał, że nie ma nic do stracenia. Przeprosił mistrza, bo uważał to za konieczne, a teraz powiedział:

— I jeszcze jedna rzecz... jeśli wolno... Od dawna chciałem przeprosić za mój niewybaczalny postępek. Ale tego ranka, ustad sahib, zdobyłem się na odwagę, żeby przysiąc się do pańskiego stolika w stołówce tylko dlatego, że słuchałem wcześniej pańskiego *Todi*. — Maestro, który lustrował warzywa, odwrócił się lekko ku niemu. — Siedziałem z przyjaciółmi pod drzewem nim, na terenie radiostacji. Byliśmy oczarowani. Pragnąłem wyrazić swój zachwyt, ale potem wszystko się poplątało i poniosły mnie nerwy.

Gdyby chciał powiedzieć coś więcej w ramach przeprosin, musiałby wspomnieć o swoim ojcu, którego, w jego przekonaniu, ustad Madźid Chan znieważył; wołał więc na tym skończyć.

Ustad Madźid Chan skinął głową prawie niezauważalnie, na znak, że rozumie. Popatrzył na ręce Iszaka, zauważył głębokie bruzdy na opuszkach palców i przez chwilę wydawało mu się, że zapomniał z domu siatki, do której mógłby teraz wrzucić swoje zakupy.

— Więc podobało ci się moje *Todi* — powiedział.

— Niebiańskie dźwięki — potwierdził Iszak Chan. — Sam wielki Tansen nie mógłby przejść koło tego obojętnie. To było porywające wykonanie. Ale od tej pory nie byłem już w stanie słuchać pańskiej muzyki.

Maestro zmarszczył brwi, ale nie raczył zapytać Iszaka, co oznaczała ta ostatnia uwaga.

— Będę ćwiczył *Todi* dziś rano — powiedział ustad Chan. — Możesz iść ze mną do domu, jeśli chcesz.

Iszak Chan oniemiał ze zdumienia. Otworzyły się przed nim bramy raj. Zapomniał o swoich rękach, o swej dumie, o tragicznej sytuacji finansowej, która zmusiła go do tej rozmowy z ustadem Madźidem Chanem. Jak we śnie przysłuchiwał się dalszej rozmowie ustada ze straganiarzem.

— Po ile te tutaj?

— Dwie i pół anny za pao — odparł sprzedawca warzyw.

— Za Subzipur można je dostać za półtorej anny.

— Bhai sahib, tu nie Subzipur, tylko Ćauk.

— Straszna drożyzna.

— A, bo w zeszłym roku urodziło się nam dziecko i od tego czasu moje ceny poszły w górę. — Sprzedawca warzyw, siedzący spokojnie na ziemi na kawałku jutowej maty, podniósł wzrok na ustada.

Ustad Madźid Chan nie odpowiedział na żarciki sprzedawcy uśmiechem.

— Dwie anny za pao, nie więcej.

— Muszę zarabiać na życie, Sir. Z nieba mi pieniądze nie spadną.

— Dobrze... dobrze... — I ustad Madźid rzucił mu parę monet. Po zopatrzeniu się w imbir i chili ustad postanowił zakupić parę tind.

— Proszę wybrać nieduże.

— Jak pan sobie życzy, Sir.

— A te pomidory... jakie skapciałe.

— Jak to skapciałe, proszę pana?

— A to co? Zobacz sam... — Ustad podniósł parę pomidorów z wagi. — O! Zamień je. — Poszperał wśród rozłożonych produktów. — Połóż te zamiast tamtych.

— Twardziutkie takie, że wytrzymałyby tydzień... ale jak pan sobie życzy, Sir.

— I odważ je porządnie — warknął ustad. — Jeśli będziesz dokładał ciężarków na jedną szalę, to ja będę dokładał pomidorów na drugą, aż się przechyli w moją stronę.

Nagle jego uwagę zwróciły kalafiory, które wyglądały względnie świeżo, w odróżnieniu od przywędłych ostatków sezonu. Ale kiedy sprzedawca warzyw wymienił cenę, oburzył się:

— Boga chyba w sercu nie masz!

— I tak już obniżyłem cenę specjalnie dla pana.

— Specjalnie dla mnie! Akurat! Wszyscy tyle płacą, ty draniu! Mnie nie oszukasz! Specjalnie dla mnie! Widzieliście go...

— Ale to wyjątkowy gatunek kalafiorów... Można je podsmażyć bez tłuszczu.

Po twarzy Iszaka przemknął uśmiech, ale ustad Madźid Chan powiedział tylko do miejscowego dowcipnisia:

— Ha! Daj mi tego.

Iszak zaproponował:

— Pomogę panu, ustad sahib.

Ustad sahib podał Iszakowi siatkę z warzywami, zapomniawszy o jego dłoniach. Po drodze do domu nic nie mówił. Przy drzwiach ustad Madźid powiedział głośno:

— Nie jestem sam.

Przez jakiś czas słyhać było zza drzwi podniecone kobiece głosy, a potem tupot nóg świadczący o tym, że domownicy opuszczały w popłochu pokój. Weszli do środka. W kącie pokoju stała tanpura. Ustad Madźid kazał Iszakowi położyć warzywa i poczekać na niego. Iszak stał dalej, ale rozglądał się wokoło. Pokój umeblowany był niegustownie i pełno w nim było tanich bibelotów. Co za kontrast w porównaniu ze stylowym salonem Saidu Bai!

Ustad Madźid wrócił, przemywszy twarz i ręce. Kazał Iszakowi usiąść i stroić przez jakiś czas tanpurę. Kiedy wreszcie brzmiała czysto, zaczął wykonywać ragę *Todi*.

Nikt nie podawał mu rytmu na tabli, ale ustad Madźid Chan wczuwał się w nastrój utworu całym swoim jestestwem. Dał się ponieść dźwiękom jak może nigdy przedtem. Zazwyczaj zaczynał swoje koncerty rytmiczną kompozycją cykliczną, mniej ekspresyjną niż ten luźny alap, któremu przysłuchiwał się teraz oczarowany Iszak. Zastłuchany chłopak przymknął oczy i zapomniał o całym świecie. Czarowne dźwięki muzyki wprowadziły go, na te kilka minut, w inny wymiar. Stracił zupełnie rachubę czasu.

Wreszcie z rozmarzenia wyrwał go głos ustada Madźida Chana:

— No, to teraz spróbuj ty.

Otworzył oczy. Maestro siedział na podłodze wyprostowany. Wskazał ręką na tanpurę, która leżała obok niego.

Iszak przyciągnął ją do siebie i uderzył parę razy w struny. O dziwo, nie sprawiło mu to wcale bólu. Tanpura nastrojona była idealnie: tonika, w luźnym połączeniu z dominantą, zabrzmiałaby urzekająco. Sądził, że maestro będzie ćwiczył dalej.

— A teraz powtarzaj po mnie — usłyszał głos ustada Madźida Chana.

Iszak dosłownie oniemiał ze zdumienia. Ustad zaśpiewał jedną frazę.

— No? Co się dzieje? Śpiewaj! — ponaglił go surowo ustad, tonem głosu tak dobrze znanym uczniom Haridas College of Music.

Iszak powtórzył po nim posłusznie.

Ustad zaśpiewał kolejne frazy i następne, i tak dalej, najpierw krótkie, a potem coraz dłuższe i trudniejsze. Iszak starał się powtarzać jak najdokładniej, najpierw z wahaniem, ale z czasem pewniej i czyściej, wczuwając się w melodykę zastłyszanych fraz.

— Sarangiści mają dobry słuch i potrafią wiernie odtwarzać dźwięki — powiedział ustad z namysłem. — Ale ty masz chyba wyjątkowy dar do tego.

Iszak wypuścił z rąk tanpure, tak go zaskoczył ten komentarz.

Ustad milczał przez chwilę. W pokoju słychać było jedynie tykanie tan-detnego zegara. Ustad przyjrzał mu się, jakby go po raz pierwszy w życiu zauważył, a potem zwrócił się w stronę Iszaka.

Być może, ale tylko być może, miał przed sobą ucznia, którego szukał już od lat, któremu będzie mógł przekazać tajniki swojej sztuki. Ten chłopak miał wiele atutów, przede wszystkim muzyka była jego namiętnością, miał obycie sceniczne i niezły głos (podczas gdy syn ustada Madżida rechotał jak ropucha), a do tego bardzo dobre wyczucie melodyki. Mistrza uderzyła również oryginalność jego interpretacji. Rozumiał i czuł muzykę, potrafił odnaleźć w niej głębię uczuć. Ale czy ma umysł twórczy... talent... albo przynajmniej załazek talentu? Czas pokaże. Miną miesiące, może nawet lata, zanim można będzie odpowiedzieć na to pytanie.

— Przyjdź jutro, ale wcześniej, o siódmej rano — powiedział ustad Madżid Chan na zakończenie. Iszak skinął lekko głową i podniósł się do wyjścia.

CZĘŚĆ SIÓDMA

7.1

Lata wypatrzyła kopertę na tacy. Służący Aruna przyniósł pocztę tuż przed śniadaniem i położył plik listów na stole w jadalni. Z wrażenia zaparło jej dech w piersiach. Rozejrzała się trwożliwie po pokoju, ale na szczęście oprócz niej jeszcze nie było tam nikogo. W tym domu każdy przychodził na śniadanie, kiedy chciał.

Lata знаła charakter pisma Kabira z rymowanki, którą napisał do niej na zebraniu Brahmpurskiego Towarzystwa Miłośników Literatury. Nie spodziewała się od niego żadnej wiadomości i nie miała pojęcia, jak zdobył jej kalkucki adres. Nie chciała, żeby do niej pisał. Nie chciała mieć wiadomości od niego, nie chciała o nim słyszeć. Teraz, z perspektywy czasu, wydawało się jej, że była szczęśliwa, zanim go poznała. Oczywiście, zawsze miała swoje drobne zmartwienia: niepokoila się o wyniki egzaminów, trapiła częstymi scysjami z matką albo z którąś z koleżanek, dręczyła tym ciągłym gadaniem na temat zamążpójścia; ale nigdy, nigdy przedtem nie czuła się tak potwornie nieszczęśliwa jak teraz, podczas tych wakacji (zresztą, co to za wakacje!), wymuszonych niespodziewanie przez matkę.

Na tacy leżał nożyk do papieru. Lata podniosła go odruchowo, ale potem zawahała się. Za chwilę do pokoju może wkroczyć matka. Zaraz się zacznie wypytywać, od kogo ten list i o czym pisze nadawca. Odłożyła nożyk i zabrała z tacki list.

Pierwszy zjawił się Arun. Miał na sobie białą, wykrochmaloną na sztywno koszulę i czerwono-czarny, pasiasty krawat. W jednej ręce trzymał marynarkę, a w drugiej gazetę, „Statesman”. Zawiesił marynarkę na oparciu krzesła, przyszykował sobie krzyżówkę do rozwiązania, przywitał się serdecznie z Lata i przewertował pocztę.

Lata wymknęła się do maleńkiego saloniku, który przylegał do jadalni, i schowała list w grubym tomisku mitologii egipskiej, wiedząc, że nikt tej księ-

gi i tak nigdy nie czytał. Potem wróciła do jadalni i usiadła przy stole, podśpiewując pod nosem ragę *Todi*. Arun ściągnął gniewnie brwi, a Lata natychmiast zamilkła. Służący przyniósł jej sadzone jajko.

Teraz Arun zaczął sobie pogwizdywać *Trzy monety w fontannie* i zabrał się do rozwiązywania krzyżówki, którą zaczął wypełniać już wcześniej, w łazience. Następnie otworzył parę listów, przejrzał je pobieżnie i powiedział:

— Kiedy ten idiota przyniesie mi wreszcie jajko? Spóźnię się przez niego do pracy.

Sięgnął po grzanekę i posmarował ją masłem. Wszedł Warun. Miał na sobie podartą kurtkę-padżamę, w której najwyraźniej spał.

— Dzień dobry, dzień dobry — przywitał obecnych.

W jego głosie słyhać było wahanie, jakby miał coś na sumieniu. Usiadł, a kiedy służący i kucharz w jednej osobie, Hanif, przyniósł Arunowi jajko, poprosił o omlet. Potem jednak zmienił zdanie i zamówił jajecznicę. Czekaając na swoje śniadanie, sięgnął po grzanekę z tacki i posmarował ją masłem.

— Jest specjalny nóż do masła. Jeszcze się tego nie nauczyłeś? — warknął Arun ze swego eksponowanego miejsca u szczytu stołu.

Smarując grzanekę, Warun wyskrobał masło z maselniczki własnym nożem. Pomiął uwagę milczeniem.

— Słyszałeś, co powiedziałem?

— Tak, Arun bhai.

— Wobec tego może byłbyś tak łaskaw i dał mi znak, przynajmniej gestem dłoni lub skinieniem głowy; że dotarły do ciebie moje słowa.

— Dobrze.

— Wyobraź sobie, że trzeba wiedzieć, jak się zachować przy stole, czy to ci się podoba, czy nie.

Warun skrzywił się z niechęcią, a Lata zerknęła na niego ze współczuciem.

— Nie każdy chce wyjadać z maselniczki okruchy twojej grzanki.

— Dobrze, dobrze — odburknął Warun zniecierpliwiony. Był to słaby protest i szybko też się z nim uporano.

Arun odłożył nóż i widelec, zgromił go wzrokiem i czekał, nic nie mówiąc.

— Przepraszam, Arun bhai — powiedział Warun potulnie. Nie mógł się zdecydować, czy nałożyć sobie marmolady, czy też, miodu, ale teraz zdecydował się na marmoladę, obawiając się nowej reprimendy, gdyby zdarzyło mu się użyć niewłaściwie łyżki do miodu. Rozsmarowując marmoladę, popatrzył na Latę, a ona odpowiedziała typowym dla niej ostatnio półuśmiechem. Warun również się do niej uśmiechnął, ale krzywo, jakby sam nie bardzo wiedział, czy ma się smucić, czy raczej cieszyć. Ten grymas doprowadzał do pasji jego starszego brata, utwierdzając go w przekonaniu, że Warun to przypadek zupełnie beznadziejny. Warun zdał właśnie końcowy egzamin dyplomowy z matematyki z wynikiem dobrym i kiedy zaanonsował tę wiadomość rodzinie, miał na twarzy taki właśnie uśmiech.

Ku wściekłości Aruna, zaraz po tej sesji egzaminacyjnej Warun, zamiast zabrać się do jakiejś uczciwej pracy i dokładać do utrzymania rodziny, rozchorował się i nawet teraz jeszcze pokasływał, gdyż nadal czuł się osłabiony. Arun przyrzekł sobie, że w przyszłym tygodniu odbędzie z młodszym bratem poważną rozmowę o tym, że, świat nic mu nie jest dłużny, a wręcz przeciwnie, czas, aby i on zaczął finansowo wspierać rodzinę. Co by Tatuś powiedział na to, gdyby żył?

Teraz do jadalni wkroczyła Minakszi z Aparną.

—A gdzie Dadi? — zapytała Aparna, rozglądając się po pokoje w poszukiwaniu Mrs Rupy Mehry.

— Babcia zaraz tu będzie, lalenko — powiedziała Minakszi. — Prawdopodobnie czyta *Wedy* — dorzuciła mgliście.

Mrs Rupa Mehra, która każdego ranka o świcie odczytywała rozdział albo dwa z *Gity*, ubierała się właśnie w swojej sypialni.

Wchodząc, czuła się świeża i odprężona, ale kiedy jej wzrok padł na złoty łańcuszek Aparny, który Minakszi bezmyślnie zawiesiła córce na szyi, uśmiech zgasł jej na ustach. Minakszi, w wyśmienitym humorze, nie zauważyła, że coś się święci, ale Aparna wyczuła nastrój babci i parę minut później zapytała:

— Dlaczego jesteś taka smutna, Dadi?

Mrs Rupa Mehra przełknęła kawałek smażonego pomidora z grzanką i powiedziała:

— Nie jestem wcale smutna, kochanie.

— Gniewasz się na mnie? — zapytała znowu Aparna.

— Nie, słoneczko, nie na ciebie.

— To na kogo?

— Najwyżej na samą siebie. — Nie patrzyła na łańcuszek ze stopionego medalu, tylko zerkała na Latę, która martwym wzrokiem wpatrywała się w okno wychodzące na maleńki ogródek. Była jeszcze bardziej apatyczna niż zazwyczaj i Mrs Rupa Mehra przyrzekła sobie, że wyciągnie tę wariatkę z przygnębienia. No, jutro wyprawi Latę na przyjęcie do Catterdżich, choćby i wbrew jej własnej woli.

Za oknem rozległ się klakson samochodu. Warun drgnął.

— Powiniennem wyrzucić tego idiotę na zbity pysk — powiedział Arun, mając na myśli swojego szofera. — Ale rzeczywiście, zawsze daje mi znać, kiedy czas się zbierać do biura. Do widzenia, kochanie. — Łyknął jeszcze trochę kawy i pocałował Minakszi. — Odeślę samochód za pół godziny. Do widzenia, Brzydulo. — Pocałował Aparnę i przytulił się do jej policzka. — Pa, mamó. No, to do widzenia wszystkim. Nie zapomnijcie tylko, że Basil Cox przychodzi dzisiaj na kolację.

Z marynarką w jednej ręce, a teczką w drugiej wyszedł na zewnątrz i pomaszerował wielkimi krokami do małego niebieskiego austina. Nigdy nie było wiadomo, aż do ostatniej chwili, czy Arun zabierze ze sobą gazetę do biura. Żyjąc z Arunem pod jednym dachem, trzeba się było przyzwyczaić do tych nagłych odchyłeń od utartych zachowań, podobnie jak do jego zmiennych nastrojów wahających się od furii poprzez grzeczną, ale lodowatą obojętność po wielką czułość. Ku ogólnej radości zostawił dziś gazetę w domu.

Zazwyczaj Lata starała się dopaść do niej przed Warunem, ale dzisiaj zupełnie nie zareagowała, co bardzo rozczarowało jej brata. Po wyjściu Aruna wszyscy się jakoś natychmiast odprężyli. Teraz Aparna znalazła się w centrum uwagi. Matka starała się ją karmić, ale robiła to tak niesprawnie, że wreszcie przywołała na pomoc Starego Klekota. Warun czytał na głos najważniejsze wiadomości, a ona słuchała, umiejętnie udając zrozumienie i zainteresowanie.

Lata tymczasem pochłonięta była własnymi myślami. Zastanawiała się, jak znajdzie czas i miejsce, aby przeczytać list w tym ciasnym mieszkaniu, gdzie

niepodobna było zaszyć się w jakimś cichym kącie, z dala od oczu i uszu innych domowników. Cieszyła się, że przynajmniej udało się jej przechwycić list, który był wyłącznie jej własnością. (Mrs Rupa Mehra miałaby całkiem inny pogląd na tę sprawę). Ale wlepiając tęsknie wzrok w bujną zieleń usianego kwiatami trawniczka, który rozciągał się za oknem, myślała o tym wszystkim z drżeniem w sercu. Dręczyły ją złe przeczucia.

7.2

Tymczasem jednak trzeba było rozpocząć przygotowania do kolacji. Basil Cox, który miał przyjść ze swoją żoną Patricią, był kierownikiem wydziału Aruna w Bentsen & Pryce. Hanif wysłany został na Jagubazar, gdzie miał kupić dwa kurczaki, rybę i jarzyny, podczas gdy Minakszi, w towarzystwie Laty i Mrs Rupy Mehry, pojechała na Nowy Targ samochodem, który Arun właśnie odesłał z biura.

Minakszi zrobiła zapasy na dwa tygodnie: w Baboralley zaopatrzyła się w mąkę pszenną, dżem i marmoladę Chivers oraz syrop Lyle's Golden, masło (Anchor Butter), kawę, herbatę, ser i cukier rafinowany („Nie ten brunatny, który dają na kartki”), w sklepie Middleton Row kupiła parę bochenków chleba („Ten na targu jest nie do zjedzenia, Luts”), w garmażerii na Free School Street trochę salami („Salami z Keventers smakuje jak trawa; moja noga więcej tam nie postanie”), a u Shaw Brothers pół tuzina butelek piwa Beck. Lata chodziła za nią wszędzie jak cień, chociaż Mrs Rupa Mehra nie weszła ani do garmażerii, ani do sklepu z alkoholem. Szokowała ją rozrzutność i lekko-myślność Minakszi, która wiele rzeczy kupowała pod wpływem kaprysu („O, Arunowi na pewno będzie to smakowało; tak, wezmę dwa”, mówiła Minakszi, kiedyjakiś sklepikarz wtykał jej coś, co mogłoby przypaść madame do gustu). Wszystkie zakupy pakowano do wielkiego kosza, który niósł na głowie młodociany obdartus, a wreszcie umieszczono je w samochodzie. Zaczepiana przez żebraków, Minakszi traktowała ich jak powietrze.

Pieniła się ze złości, kiedy Lata oznajmiła, że chce wstąpić na kwadrans do księgarni na Park Street, a potem nie mogła się nadziwić, że jej młoda szwagierka nic tam ostatecznie nie kupiła. Natomiast Mrs Rupa Mehra z przyjemnością wertowała stronicę nowiutkich książek.

Po powrocie do domu Minakszi zastała kucharza w furii. Nie miał pojęcia, ile czego dodać do sufletu i na jakim ogniu wędzić hilse. Uważał, że znajomość tego typu szczegółów jest obowiązkiem pani domu. Aparna burczała i stroiła fochy, ponieważ matka poświęcała jej zbyt mało uwagi. Tu cierpliwość Minakszi, która i tak spóźniona była na cotygodniową partyjkę kanasty w kole pań, wyczerpała się ostatecznie. Niby dlaczego miałyby rezygnować z tej drobnej przyjemności przez jakiegoś tam Basila Coksa? Sama też wpadła w furie i wydzierała się na Aparnę, na Starego Klekota i na kucharza. Warun zamknął się w swoim pokoiku i przykrył głowę poduszką.

— Nie powinnaś się tak denerwować o byle głupstwo — powiedziała Mrs Rupa Mehra bez odrobiny współczucia.

Minakszi odwróciła się w jej stronę rozdrażniona i powiedziała zgryźliwie:

— Dziękuję za dobrą radę, mamó. Co mam zrobić, twoim zdaniem? Zrezygnować z kanasty?

— Wcale tego nie sugerowałam, Minakszi. Gdzieżbym śmiała — odparła równie cierpko Mrs Rupa Mehra. — Nie musisz rezygnować z kanasty. Tylko nie pokrzykuj tak na Aparnę, bo się to na niej odbije.

Usłyszawszy słowa babki, Aparna przysunęła się do niej bliżej. Minakszi prychnęła zniecierpliwiona. Co za beznadziejna sytuacja! Przecież ten kucharz to kompletny gamoń! A Arun wścieknie się, jeśli będzie jakaś wpadka tego wieczoru. Zresztą rzeczywiście to bardzo ważne dla jego kariery... Ale co ona może na to poradzić? Czy sama ma się zabrać do krojenia wędzonej hilsy? Hanif, ten idiota, potrafił wprawdzie upiec kurczaka, ale miał swoje wybryki i czasami zdarzało mu się przypalić głupią jajecznicę. Minakszi rozejrzała się po pokoju w dzikiej rozpacz.

— Zapytaj matkę, może pożycz ci swojego kucharza, Mughę — doznała nagle olśnienia Lata.

Minakszi popatrzyła na Latę z wdzięcznością i podziwem.

— Genialna myśl, Luts! Godna samego Einsteina! — wykrzyknęła radośnie i natychmiast zadzwoniła do matki. Mrs Catterdzi pospieszyła córce z pomocą. Miała dwóch kucharzy: jednego specjalistę od kuchni bengalskiej, a drugiego od europejskiej. Kucharz bengalski miał za zadanie przygotować tego wieczoru kolację w domu Catterdżich, natomiast eksperta od sztuki kulinarnej Zachodu, który pochodził z Citagong, wyprawiono w try miga do Sunny Park. Minakszi tymczasem poszła w południe na partyjkę kanasty do Shady Ladies i zapomniała o zgryzotach, które nękały ją na tym łożu padole.

Parę godzin później, po powrocie do domu, zastała piekło. Gramofon był, nastawiony na cały regulator, a kury gdakały na alarm. Kucharz Mugh oznajmił wyniośle, że nie jest przyzwyczajony do pracy w takiej ciasnej kuchni i że nie życzy sobie, aby nim pomiatało: otóż kucharz i służący w jednej osobie odnosi się do niego po chamsku, ryby są nieświeże, a zakupione na targu kury za stare na wykwintne danie. Poza tym do sufletu potrzebny jest specjalny soczek cytrynowy, którego — o zgrozo — Minakszi nie dostarczyła, co było z jej strony niewybaczalnym uchybieniem. Hanif tymczasem popatrywał spod łba i o mało nie wymówił służby. Ścisnął w dłoni skrzeczącego kurczaka i perorował:

— Proszę tylko pomacać, o tu, pod piersią, memsahib. Kurczaczek jak się patrzy, młodziuteńki. I czego się tu taki rządzi? I to w mojej własnej kuchni? Za kogo on się ma? Ciągłe tylko powtarza: „Pracuję dla pana sędziego Catterdżego. Pracuję dla pana sędziego Catterdżego”.

— Nie, nie, wierzę ci na słowo! — wykrzyknęła Minakszi, zdjęta wstrętem. Wzdrygnęła się i schowała dłoń z polakierowanymi na czerwono paznokciami za plecy, podczas kiedy kucharz odgarniał kurze pióra, żeby udowodnić jej swoją rację.

Mrs Rupa Mehra, która cieszyła się w duchu z niepowodzeń synowej, nie chciała jednak zaprzepaścić szansy ukochanego syna na szybki awans. Pragnęła, żeby wypadł jak najlepiej w oczach szefa, a że miała do służby „podejście”, w mig pogodziła zwaśnionych kucharzy. Kiedy zaś w domu zapanował znowu względny spokój, poszła do salonu, żeby postawić pasjansa.

Mniej więcej pół godziny wcześniej Warun nastawił gramofon i słuchał w kółko tej samej piosenki — piosenki z hinduskiego filmu *Czarowne oczy twe*,

której nikt, nawet sentymentalna Mrs Rupa Mehra, nie mógł znieść za n-tym razem. Przed powrotem Minakszi podśpiewywał, marzycielsko i melancholijnie, wraz z płytą na 78 obrotów. Teraz przestał wprawdzie śpiewać, ale dalej nastawiał do znudzenia tę samą płytę, nucąc sobie pod nosem znajomą melodię. Wyrzucając starte igły do małego pojemniczka, który mieścił się z boku aparatu, rozmyślał ponuro nad ulotnością i bezcelowością własnego żywota.

Lata zdjęła z półki książkę z mitologią egipską i właśnie miała wyjść do ogrodu, kiedy matka zatrzymała ją słowami:

— Gdzie idziesz, Lata?

— Do ogrodu, mamó.

— W taki upał?! Opamiętaj się, dziewczyno!

— Uszy mi puchną od tego wycia. Nie mogę się skoncentrować.

— Każę mu to zaraz wyłączyć. Cereę sobie zniszczysz na słońcu. Warun, zgaśże to wreszcie! — Musiała powtórzyć swoje polecenie parę razy, zanim usłyszał, co do niego mówiła.

Lata skierowała się z książką w ręce do sypialni.

— Posiedź ze mną, córeczko — poprosiła Mrs Rupa Mehra.

— Mamó, proszę, pozwól mi odejść.

— Unikasz mnie już od dłuższego czasu — powiedziała Mrs Rupa Mehra z wyrzutem. — Nawet kiedy przekazałam ci wiadomość o wynikach egzaminów, pocałowałaś mnie tylko z przymusu.

— Nie unikam cię wcale, mamó — odparła Lata.

— Nie zapieraj się. Unikasz mnie. Czuję to... o, tutaj. — Mrs Rupa Mehra dotknęła dłonią piersi, wskazując serce.

— Więc niech ci będzie, mamó: unikam cię. A teraz pozwól mi poczytać.

— A co czytasz? Pokaż mi.

Lata odłożyła książkę na półkę i powiedziała:

— Dobrze, mamó, nie będę czytać. Porozmawiamy sobie. Zadowolona teraz jesteś?

— A o czym chcesz ze mną porozmawiać, kochanie? — spytała Mrs Rupa Mehra troskliwie.

— Przecież to nie ja chcę z tobą rozmawiać. To ty chcesz rozmawiać ze mną — przypomniała jej Lata.

— A idź sobie! Idź i czytaj tę swoją idiotyczną książkę! — wykrzyknęła Mrs Rupa Mehra, której cierpliwość zupełnie się w tym momencie wyczerpała. — Haruję jak dziki osioł, a nikt mnie w tym domu nie docenia. Ja się tu nie liczę. Gdy się wszystko wali, wtedy matka musi to jakoś naprawić. Ręce sobie dla ciebie urabiałam całe życie, tyrałam jak niewolnica, a ty tak mi się dzisiaj odpłacasz! Nie zależy ci na mnie. Do grobu mnie wpędzisz... ale nic cię to nie obchodzi. Dopiero jak mnie spalą na stosie pogrzebowym, docenisz co to matka. — Łzy płynęły jej po policzkach, kiedy nakrywała treflową dziewiątkę dziesiątką karo.

Innym razem, choćby z obowiązku, Lata prawdopodobnie starałaby się pocieszyć matkę, ale tak ją zdenerwował i zdegrustował ten nagły emocjonalny szantaż, że nie powiedziała ani słowa. Przeczekała parę minut, a potem znowu zdjęła z półki książkę i wyszła do ogrodu.

— Będzie padać i zniszczysz książkę — ostrzegła ją Mrs Rupa Mehra. — Naucz się szanować pieniądze.

„A guzik”, pomyślała buntowniczo Lata. „Niech nas deszcz przemoczy do suchej nitki: i mnie, i tę książkę, i całą jej zawartość”.

7.3

Na szczęście w zielonym ogródku przy domu nie było żywej duszy.

Mali, który zatrudniony był tylko na pół etatu, skończył już pracę tego dnia i tylko z bananowca popatrywał rozumnie rozkrakany kruk. Kwitły akksamitne storczyki. Lata usiadła na zbitej z desek zielonej ławce w cieniu wysokiej magnolii. Zieleń była soczysta, splukana deszczem, nie tak jak w Brahmपुरze, gdzie każdy listek pokryty był kurzem, a każde źdźbło trawy wysuszone na popiół.

Lata popatrzyła na kopertę podstemplowaną w Brahmपुरze, na której stanowcza dłoń wypisała jej imię, a pod nim adres, bez dopisku „u państwa” takich a takich.

Wyjęła spinkę i przecięła nią kopertę. List nie był długi — tylko jednostronicowy. Spodziewała się przeprosin, wyjaśnień, usprawiedliwień — ale się pomyliła.

Zaskoczył ją ton listu Kabira, w którym pod datą i adresem nadawcy znajdowały się rozważania następującej treści:

Najdroższa Lato,

czy muszę Ci powtarzać, że Cię Kocham? Mam nadzieję, że w to nie wątpisz? Proszę, powiedz mi, co się stało. O co w tym wszystkim chodzi? Nie chciałbym, żeby to się tak skończyło między nami.

Nie jestem w stanie skupić się na niczym: wciąż tylko myślę o Tobie, ale zły jestem na siebie, że muszę się do tego przyznać. Podobnie jak przedtem i teraz nie mógłbym uciec z Tobą do jakiegoś wymyślanego rajku na ziemi. Jak w ogóle mogłaś tego ode mnie oczekiwać? Przypuśćmy jednak, że zgodziłbym się na Twój szaleńczy plan. I co wtedy? Sama na pewno znalazłabyś dwadzieścia różnych powodów, dla których jego realizacja byłaby zupełnie niemożliwa. Może jednak powinienem był się na to zgodzić, żeby Ci sprawić przyjemność i udowodnić, jak mi na Tobie zależy. Ale ja nie mam ochoty wyzbyć się dla Ciebie, rozumu: fakt, aż tak mi na Tobie nie zależy. Nie jestem z tych, co tracą zmysły — mam trzeźwy stosunek do życia.

Kochana Lato, taka mądra z Ciebie dziewczyna, więc dlaczego nie podchodzisz do tego z dystansem? Kocham Cię. Naprawdę należą mi się Twoje przeprosiny.

Aha, no i gratulacje! — chociaż mnie osobiście Twoje wyniki egzaminów wcale tak znowu nie zaskoczyły. Na pewno szalejesz z radości. Widzisz! No i po co było przesiadywać na ławkach, tonąc we łzach? Nie rób tego więcej, bo znowu ktoś się napatoczy, i będzie się starał wyratować Cię z opresji, a z obcymi lepiej się nie zadawać! Jeśli Cię kiedyś złapie chandra, to pomyśl sobie, o mnie: co by było, gdybym schodził z boiska spłakany za każdym razem, kiedy nie uda mi się uzbierać setki?

Dwa dni temu wynająłem łódkę i popłynąłem Gangesem do Barsat Mahal, ale ta przejażdżka nie sprawiła mi żadnej radości, ponieważ nie mogłem się ani na chwilę otrząsnąć z przygnębienia, tak że uprzedziłem się do tego miej-

sca. Staralem się wyrzucić Cię z mojej pamięci, ale na próżno. Poczułem duchową więź, z nawabem Chuśwaktem, chociaż nie ronilem łez rześzystych w fale wonnej wody.

Nawet mój roztargniony ojciec, który zazwyczaj chodzi z głową w chmurach, widzi, że coś jest ze mną nie tak. Wczoraj powiedział mi: „Co ci jest, Kabir? Nie chodzi przecież o wyniki egzaminów, więc to pewnie jakieś sprawy sercowe... Jakaś dziewczyna czy coś takiego”. Ja też myślę, że to „jakaś dziewczyna czy coś takiego”.

Masz teraz mój adres, więc może napisz do mnie, co? Od czasu Twojego wyjazdu czuję się podle i nie mogę się na niczym skoncentrować. Wiem, że nie mogłaś do mnie wcześniej napisać, nawet gdybyś chciała, bo nie miałaś adresu. No, ale teraz już masz. Więc proszę, napisz. Twoje milczenie zrozumieć jedno znacznie i pewnie będę musiał wybrać się na spotkanie TML w mieszkaniu Mr Naurodźego, żeby odczytać moje własne ckliwo-łzawe wierszyki.

Zawsze kochający i oddany Ci, Lato
Kabir

7.4

Przez długi czas Lata siedziała jak zaklęta. Nie mogła wyrwać się z zamyślenia. Dopiero gdy trochę ochłonęła, przeczytała list po raz wtóry. Jednak pomimo kłębiących się w niej burzliwych, a zarazem sprzecznych uczuć nie uroniła ani jednej łzy. Było w tym liście parę uwag, które sprawiły, że poczuła się oszukana, odarta z wszelkich złudzeń. Spodziewała się przeprosin za ból, który jej sprawił... Zawiodła się. Były wprawdzie wyznania miłości, ale nie tak szalęńcze, jakby sobie tego życzyła. No i ta nutka ironii, która przewijała się przez cały list... Gdyby chciał się przed nią wytłumaczyć, usprawiedliwić, to właśnie teraz miał do tego doskonałą sposobność, nawet jeśli rzeczywiście nie dała mu szansy przy ostatnim spotkaniu. A tymczasem najwyraźniej trak-

tował wszystko z przymrużeniem oka, podczas kiedy dla niej była to sprawa życia i śmierci.

Niewiele też napisał o sobie. Prawie wcale. A przecież łaknęła każdej o nim wiadomości. Chciała wiedzieć wszystko. Przede wszystkim, jak mu poszły egzaminy. Chyba nie tak źle, sądząc po tej uwadze jego ojca. Z drugiej strony jednak można było jego słowa zinterpretować zupełnie inaczej, więc kto wie? W końcu nawet gdyby Kabir ledwie, ledwie przeszedł, jego ojciec mógł uważać, że po ogłoszeniu wyników nie ma już powodu do takich zmiennych czy może ponurych nastrojów. No i w jaki sposób zdobył jej adres? Chyba nie od Prana i Sawity? A może od Malati? Tylko że Kabir nie znał — zdaje się — Malati.

Nie poczuwał się do żadnej odpowiedzialności za to, że zranił jej uczucia — to było całkiem jasne. Jego zdaniem to raczej ona powinna go błagać o przebaczenie. Niby to chwalił jej inteligencję, ale zwracał się do niej jak do jakiegoś półgłówka. Lata miała wrażenie, że starał się ją rozweselić, do niczego się przy tym nie zobowiązując. A na osłodę zapewnił ją parę razy o swojej „miłości”. Co to za „miłość”?

Dzień, kiedy poszła za nim na boisko i podpatrzyła, jak trenuje krykieta, utkwił jej w pamięci głębiej nawet niż pocałunki. Wpadła wtedy w trans. Szła za nim jak urzeczona. Koszulę miał rozpiętą pod szyją. W bambusach szumiał lekki wietrzyk. Skrzeczały kłótlive majny. Było ciepło i słonecznie.

Przeczytała list jeszcze raz. Teraz dopiero się rozplakała pomimo jego rady, żeby tego unikała. Potem zaczęła czytać bezmyślnie jakiś urywek z mitologii egipskiej, ale nic z tego do niej nie docierało.

Z otumanienia wyrwał ją głos Waruna stojącego parę kroków dalej

— Wracaj, Lata. Mama zaczyna się już niecierpliwić.

Lata wzięła się w garść i skinęła głową.

— Coś się stało? — zapytał, zauważywszy ślady łez na jej twarzy. — Pokłóciłyście się czy co?

Lata potrząsnęła głową.

Zerknąwszy w dół na książkę, Warun zauważył list i natychmiast; zorientował się, kto był jego nadawcą.

— Zabiję drania — zagroził bez przekonania.

— Nic to nie pomoże — rzekła Lata z gniewem, który wziął teraz górę nad przygnębieniem. — Tylko nie mów nic mamie, Warun bhai bardzo cię proszę. Obie byśmy zwariowały.

7.5

Arun wrócił z pracy w wyśmienitym humorze. Miał bardzo dobry dzień w biurze, a przeczucie podpowiadało mu, że wieczór również uda się znakomicie. Minakshi, uporawszy się z domowymi kłopotami, ochłonęła i przestała biegać nerwowo po mieszkaniu. Arun nigdy by się nie domyślił, jaka była jeszcze parę godzin temu roztrzęsiona ponieważ teraz zachowywała się z wytworną rezerwą. Cmoknęła go na przywitanie, roześmiała się perliście i poszła się przebrać. Aparna szalała ze szczęścia na widok ojca i zasypywała go pocałunkami, ale nie udało się jej wciągnąć go do zabawy.

Arun zauważył, że Lata wygląda na zasepioną, ale to było u niej ostatnio na porządku dziennym. Z mamą zaś zawsze trudno było cokolwiek przewidzieć. Robiła wrażenie zniecierpliwionej, prawdopodobnie dlatego, że nie podano jej na czas herbaty. No, a ten niechluj Warun jak zwykle łypał okiem spode łba. I dlaczego jego brat wyrósł na takiego nieudacznika, zastanawiał się Arun. Bez gustu to, bez cienia inicjatywy... ubrany zawsze w tę samą znośną kurtkę--padzame, która była tak wygnieciona, jakby w niej spał całą noc.

— Zgaś to wreszcie! — wrzasnął, wchodząc do salonu, ogłuszony wyciem gramofonu. — Bębni i bębni w kółko jedno i to samo. Oszaleć można!

Zastraszony przez brata despotę Warun podnosił od czasu do czasu głowę, zazwyczaj po to, żeby mu ją ścięto. Nie od razu odrastała następna głowa, ale tego dnia tak się właśnie stało. Warun przyciszył wprawdzie muzykę, ale wewnętrznie płonął gniewem. Tłamszony psychicznie przez Aruna od wczesnego dzieciństwa nienawidził przemocy i wypowiadał posłuszeństwo każdej władzy. Kiedyś, dając wyraz swym antyimperialistycznym przekonaniom, a także, być może, pod wpływem ksenofobii, nabazgrał wyraz „świnia” na tytułowych stronicach dwóch Biblii w St. George School, za co dyrektor szkoły,

Anglik, spuścił mu porządne manto. Na dokładkę w domu Arun zwymyślał go od najgorszych za taką bezdenną głupotę, wytykając mu przy okazji wszystkie przeszłe przewinienia, a Warun wysłuchał go potulnie, chociaż w duchu zżymał się na takie traktowanie. Ale już wtedy, osłaniając się na wszelki wypadek przed ewentualnym ciosem krzepkiego brata, Warun mówił sobie w myślach: „Płaszcz się tylko przed Brytyjczykami. Świnia! Świnia!” Miał to, widać, wypisane na twarzy, bo Arun rzeczywiście wymierzył mu policzek.

W czasie wojny Arun słuchał w radiu przemówień Churchilla i powtarzał pod nosem niewolniczo za Brytyjczykami: „Ech, ten stary, dobry Winnie!” Churchill nie znosił Hindusów i wcale się z tym nie krył. O Gandhim, któremu nie dorastał do pięt, wyrażał się zawsze z pogardą, czym zasłużył sobie na dozgonną nienawiść Waruna.

— Idź się natychmiast przebrać. Zrzuć z siebie tę wymiętą piżamę. Basil Cox będzie tu już za godzinę. Co on sobie o mnie pomyśli? Że prowadzę jakąś trzeciorzędą daramszalę?

— Włożę czyste ubranie — zapewnił go ponuro Warun.

— Ubierz się po ludzku, w normalne rzeczy — rzekł Arun głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— Po ludzku! — przedrzeźniał go pod nosem ironicznie Warun.

— Co powiedziałaś? — wycedził Arun ostrzegawczo.

— Nic — odburknął Warun, patrząc na niego spode łba.

— Przestańcie się wreszcie spierać. To się odbija na moim zdrowiu — poprosiła błagalnie Mrs Rupa Mehra.

— Mamo, ty się w to nie wtrącaj — odparł szorstko Arun. Wskazał palcem w stronę maleńkiej sypialni Waruna, wielkości niedużej spizarki: — Masz się natychmiast przebrać! Marsz!

— Właśnie miałem zamiar — odburknął Warun, wycofując się z salonu.

— Kretyn! — warknął do siebie Arun. A potem, zwracając się do Laty, powiedział prawie czule: — No więc, o co chodzi? Dlaczego masz taką minę?

— Nic mi nie jest, Arun bhai — odpowiedziała Lata z uśmiechem. — Sama też chyba pójde się uszykować.

Arun również poszedł się przebrać. Kwadrans przed spodziewanym przybyciem Basila Coksa i jego żony wyszedł i zobaczył, że wszyscy, oprócz Waruna, byli już ubrani i gotowi. Minakshi wyłoniła się z kuchni, gdzie nadzorowała jeszcze ostatnie przygotowania. Stół zastawiony został na siedem osób. Wyciągnięto najlepsze szkło, sztucce oraz zastawę. Kwiaty ułożono w prześliczny, dekoracyjny bukiet; przystawki, których spróbowano, smakowały wyśmienicie; z barku wyjęto whisky, sherry i campari, a Aparnę położono do łóżka.

— No i gdzie go teraz poniosło? — zwrócił się zaczepnie z za pytaniem do trzech kobiet Arun.

— Nie wyszedł jeszcze. Musi być w swoim pokoju — powiedziała Mrs Rupa Mehra. — Wolałabym, żebyś tak na niego nie pokrzykiwał.

— Niech się wreszcie nauczy, jak się ma zachowywać w cywilizowanym domu. To nie jest jakiś bal przebierańców. Ma się tu ubierać po ludzku.

Warun wyłonił się parę minut później. Miał na sobie czystą kurtek-padżamę, wprawdzie trochę podartą i brakowało przy niej jednego guzika. Ogolił się z grubsza po kąpieli i uważał, że prezentuje się zupełnie nieźle.

Arun nie podzielał jego pochlebnej samooceny. Poczzerwieniał na twarzy. Warun cieszył się w duchu, że brata krew zalewa, chociaż była to radość pomieszana z lękiem.

Przez chwilę Arun był tak wściekły, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Potem wybuchnął.

— Ty skończony ośle! — zaryczał. — Chcesz nas wszystkich skompromitować?

Warun spojrzał na niego i zapytał złośliwie:

— Niby czym? Tym, że chodzę w tradycyjnym stroju hinduskim? Mogę chyba nosić to, co mi się podoba? Mama, Lata i Minakshi bhabhi noszą sari, a nie sukienki. Z jakiej racji mam naśladować białasów i to jeszcze we własnym domu?

— Przestań się stawiać, do cholery. Mam w nosie twoje poglądy na ten temat. W moim domu będziesz robił tak, jak ci każę. Przebierz się w koszulę i krawat, bo inaczej...

— Bo inaczej co, Arun bhai? — powiedział butnie Warun, delektując się wściekłością starszego brata tyrana. — Nie pozwolisz mi zasiąść do kolacji z twoim Colinem Boksem? Wielka mi strata! I tak wolałbym spędzić czas z moimi przyjaciółmi, zamiast padać plackiem przed tym starym prykiem i mizdrzyć się do jego paniusi.

— Minakszi, powiedz Hanifowi, żeby zabrał jedno nakrycie — wycedził przez zęby Arun.

Minakszi zawahała się.

— Słyszałaś, co powiedziałem? — spytał Arun ostrzegawczo. Minakszi wstała, żeby wykonać polecenie.

— A teraz wynoś się! — wrzasnął Arun. — Idź, nażryj się w towarzystwie tych twoich moczymordów, co chłają szamszu od rana do nocy. I nie waż mi się pokazać wieczorem w domu! Uprzedzam cię, nie pozwalaj sobie za dużo, bo ukroćę tę samowolę. Dopóki mieszkasz u mnie, musisz stosować się do moich wymagań. Warun popatrzył niepewnie na matkę, szukając wsparcia.

— Zrób, co ci każe, kochanie. Dobrze ci w spodniach i koszuli, dużo lepiej niż w tej kurcie-padźmie. A poza tym brakuje guzika. Ci cudzoziemcy tego nie rozumieją. To zwierzchnik Aruna, musimy zrobić dobre wrażenie.

— Nic mu to nie pomoże. Choćby się odział w złote szaty... — warknął Arun grubiańsko. — Nie chcę, żeby podzegał złośliwie Basila Coksa, a on to potrafi. Oj, naprawdę, mamó, przestań znowu urządzać histerie. Widzisz, ty skończony idioto, wszystkich wyprowadziłeś z równowagi...

Arun skierował te słowa do Waruna, ale on wymknął się już wcześniej z mieszkania.

7.6

Chociaż Arun nie ochłonał jeszcze ze złości i wszystko się w nim nadal gotowało, nadrabiał miną. Zmusił się do uśmiechu i nawet objął matkę ramieniem. Minakszi zauważyła w myślach, że nakrycie owalnego stołu wyglądało

teraz bardziej symetrycznie, ale z drugiej strony, po odejściu Waruna będzie jeszcze większa przewaga kobiet. No, ale w końcu to nie jakiś wielki bankiet, tylko małe przyjęcie w gronie rodzinnym z Cokсами.

Basil Cox z żoną zjawili się punktualnie i Minakszi zabawiła ich przez jakiś czas rozmową, przeplatając komentarze na temat pogody („Strasznie parno, prawda? Co za duchota. Ostatnie dni były zupełnie nie do wytrzymania. W końcu to przecież Kalkuta”) wybuchami perlistego śmiechu. Poprosiła o sherry i popijała je drobnymi łyżkami, z wyrazem melancholii w oczach. Podobnie jak Arun i Basil Cox, poczęstowała się papierosem.

Basil Cox, okularnik, był mężczyzną w średnim wieku, pod czterdziestkę, rumianym, krzepkim i bystrym. Natomiast Patricia Cox była — w przeciwieństwie do olśniewającej Minakszi — szarą, drobną, nieciekawą kobietą. Nie paliła, za to piła sporo, jakby szukając w kieliszku zapomnienia. Źle się czuła w Kalkucie, nudziło ją miejscowe towarzystwo, a proszonych kolacji nie znosiła jeszcze bardziej niż wystawnych przyjęć, ponieważ czuła się zobowiązana podtrzymywać taktownie rozmowę, a z natury nie była szczególnie towarzyska.

Lata miała przed sobą mały kieliszek sherry, a Mrs Rupa Mehra nimbu pani.

Hanif, który wyglądał bardzo wytwornie w swojej wykrochmalonej libe-rii, wniósł na tacy przystawki: plasterki sera i salami oraz pokrojone w małe kwadraciki kromki chleba przybrane szparagami. Obsłużył wszystkich elegancko, nie dając po sobie poznać niezadowolenia, chociaż nadal czuł się urażony i hamował się tylko dlatego, że goście wyglądali na „wielkie państwo” i wobec tego chciał się im pokazać z jak najlepszej strony, co zresztą udawało mu się znakomicie.

Aran jak zwykle umiejętnie zaczął roztaczać swój czar, popisując się wiedzą ogólną, rozprawiając na różne tematy: mówił o sztukach wystawianych ostatnio w Londynie, o znaczących dziełach literackich, które ukazały się właśnie na półkach księgarskich, wspomniął o perskim kryzysie naftowym oraz o konflikcie koreańskim. Nareszcie Czerwoni byli w odwrocie i teraz właśnie nadarzała się doskonała okazja, żeby Amerykanie wykorzystali swoją

przewagę, tylko że pewnie ci idioci znowu się zbłązną, jak zazwyczaj. Cóż, niestety, nie ma na to rady.

Ten uprzejmy, towarzyski, interesujący, błyskotliwy, a chwilami nawet nieśmiały Arun w niczym nie przypominał rodzinnego tyrana sprzed półgodziny i oczywiście zupełnie zawojował Basila Coksa. Aran był dobrym, wydajnym pracownikiem, ale Cox nie miał do tej pory pojęcia, jaki był przy tym czytany i wszechstronny. Bił na głowę nawet większość jego znajomych Anglików.

Patricia Cox zauważyła w uszach Minakszi prześliczne, maleńkie kolczyki-gruszeczki.

— Co za misterna robota! — zachwycała się. — Kto to robił?

Minakszi obiecała, że zabierze ją do jubilera, który je wykonał.

Rzuciła okiem w stronę Mrs Rupy Mehry, ale zauważyła z ulgą, że ta przysłuchiwała się wniebowzięta rozmowie Aruna z Basilem Coksem.

Tego wieczoru, w sypialni, szykując się na spotkanie, Minakszi zawahała się przez chwilę, zanim zawiesiła w uszach swoje nowe, złote kolczyki, ale potem powiedziała sobie: „A co tam! Wcześniej czy później mama będzie musiała się z tym pogodzić i już. Takie jest życie. Nie mogę się ciągle z nią obchodzić jak z jajkiem”.

Kolacja poszła gładko. Na pierwsze danie była zupa, następnie, podano wędzoną hilkę, pieczonego kurczaka oraz suflet w sosie cytrynowym. Basil Cox starał się włączyć do rozmowy Latę i Mrs Rupę Mehre, ale one odpowiadały tylko grzecznie na pytania, nie inicjując ani też nie podtrzymując rozmowy. Lata była myślami daleko. Powróciła raptem do rzeczywistości, słysząc porady Mina-kszi, jak przyrządzić wędzoną hilkę.

— To wspaniały, stary, tradycyjny przepis, znany w naszej rodzinie od pokoleń. Wędzi się ją w specjalnym koszyczku nad rozpalonym węglem aż do momentu, kiedy mięso zaczyna odchodzić od kości. A hilkę strasznie trudno jest oddzielić od kości.

— Delicje — rzekł z uznaniem Basil Cox.

— Oczywiście wszystko zależy od rodzaju podpałki. W tym tkwi prawdziwy sekret — ciągnęła swoje wywody Minakszi ze znajomością rzeczy, choć tak naprawdę dowiedziała się tych fascynujących szczegółów dopiero

przed wieczorem i to tylko przez upór kucharza Mughy, który nalegał, aby dostarczono mu odpowiednich składników. — Do ognia dorzucamy dmuchany ryż i ciemny, nie rafinowany cukier albo cukier palmowy, który tutaj nazywamy „gur” (wymawiała to do rymu z „ser”).

Lata przysłuchiwała się z podziwem tej paplaninie.

— Oczywiście, każda dziewczyna w rodzinie uczy się tych rzeczy od najwcześniejszych lat.

Po raz pierwszy w oczach Patricii zamigotała iskiereczka zainteresowania, ale już przy suflecie Mrs Cox popadła znowu w apatię.

Po kolacji, kawie i likierze Arun przyniósł cygara. Rozmawiali trochę z Basilem o sprawach służbowych. Arun nie podjąłby sam tego tematu, ale Basil, uznawszy go za dżentelmena w każdym calu, chciał poznać jego opinię na temat jednego ze współpracowników.

— Tak między nami mówiąc, wie pan... tylko proszę tego nie powtarzać... zacząłem wątpić ostatnio w jego zdrowy rozsądek — powiedział konspiracyjnie.

Arun powiódł palcem po brzegu kieliszka z likierem, westchnął nieznacznie i potwierdził opinię swojego zwierzchnika, ilustrując swoje stanowisko paroma wymownymi przykładami.

— No, proszę! To ciekawe, że zgadzamy się w tej ocenie — powiedział Basil Cox.

Arun, rozluźniony, wpatrywał się z zadowoleniem w sine kłębki dymu, które doskonale wpływały na jego samopoczucie, kiedy zza drzwi wejściowych rozległy się bełkotliwe, fałszywe tony *Czarow-nych oczu twych*, a potem zgrzytanie klucza w zamku. Waran, podochocony szamszu — tanią, ale mocną wódką chińską, jedyną, na jaką go było stać — powrócił w domowe pielesze.

Arun podskoczył jak oparzony. Zerwał się z krzesła, żeby przepędzić Warana, zanim ten wejdzie do salonu, ale było już za późno.

Warun, chwiejąc się na nogach, lekko pochylony, pozdrowił wszystkich zadzierzyście. Zionęło od niego wódką. Cmoknął w policzek Mrs Rupe Mehre, która cofnęła się o krok. Zadrżał lekko na widok Minakszi, której przepęł-

nione panicznym lękiem oczy wyglądały jeszcze bardziej urzekająco niż zazwyczaj, a potem przywitał się z gośćmi:

— Serwus, Mr Box... Mrs Box... eee.... to jest, tego, padam do nóżek, Mrs — poprawił się szarmancko. Ukłonił się, wkręcając palec w dziurkę po brakującym guziku.

— Chyba nie miałem jeszcze... hmm... przyjemności... — rzekł Basil Cox wyraźnie zbity z tropu.

— To jest, hm... tego... — plątał się Arun, czerwony jak burak z wściekłości i zażenowania. — Właściwie to jest... tego... cóż... to jest mój brat, Warun. Jest trochę... hm... przepraszam na chwilę. — Prawie siłą wyprowadził zdezorientowanego Warana z pokoju i zamknął w jego klitce, sycząc ostrzegawczo: — Więcej ani mru-mru, bo cię zaduszę własnymi rękami.

Po powrocie do salonu stał się znowu czarujący.

— No... tak jak mówiłem, zdarzają mu się czasem takie... hm... wysoki. Sami to państwo rozumieją: czarna owca, jak to mówią... Jak to w rodzinie... W gruncie rzeczy porządny z niego facet, nie jakiś łobuz ani nic takiego, no ale...

— Widać, że wrócił z jakiejś popijawy — zauważyła entuzjastycznie Patricia Cox.

— Tak nas los, niestety, pokarał — tłumaczył się gęsto Arun. — Trudne dzieciństwo, brak ojcowskiej ręki... no, wiadomo. Już taki jest... tego... oryginał. Upiera się przy tych swoich dziwacznych ubraniach.

— Mocny trunek! Ale od niego jechało! Dziwny zapach... — zastanawiała się głośno Patricia Cox. — Czy to rodzaj whisky? Sama bym się chętnie napiła. Czy może mi pan powiedzieć, co to jest?

— Szamszu. Niestety...

— Szamszu? — powtórzyła z wielkim zainteresowaniem Mrs Cox, delectując się na razie samą nazwą. — Wiesz, co to jest szamszu, Basil? — Pałała ciekawością. Ożywiona, nie robiła teraz wcale wrażenia cichej szarej myszy.

— Nie mam pojęcia, kochanie — odrzekł jej mąż.

— To chińska wódka — powiedział Arun z dezaprobatą — pędzona, o ile się nie mylę, z ryżu.

— A można to będzie dostać w Shaw Brothers? — dopytywała się Patricia Cox.

— Raczej wątpię. Najwyżej w chińskiej dzielnicy... — odparł usłużnie Arun.

I rzeczywiście, Warun i jego kumple kupili szamszu w jakiejś melinie w chińskiej dzielnicy, po osiem ann za porcję.

— To musi być szatan, a nie wódka — powtórzyła z podziwem Patricia Cox. — No, proszę, i całkiem niespodziewanie dowiedziałam się dwóch ciekawych rzeczy: jak uwędzić hilsę i w ogóle o istnieniu szamszu! Jak to nigdy nie wiadomo... — zwierzała się dalej. — Na ogół nudzę się jak mops.

„Nudzi się jak mops?“, pomyślał z niedowierzaniem Arun. Ale teraz z pokojem obok dobiegły ich popisy wokalne Waruna.

— Niezwykle interesujący młody człowiek — powiedziała z przekonaniem Patricia Cox. — Naprawdę to pana brat? A co on tak wyśpiewuje? I dlaczego nie był z nami przy kolacji? Muszą państwo wszyscy przyjść do nas kiedyś na kolację. I to już w najbliższym czasie, prawda, kochanie? — zwróciła się do męża, który milczał, nie dzieląc jej entuzjazmu. Ale Patricia Cox postanowiła zrozumieć jego milczenie jako oznakę zgody. — Już dawno się tak świetnie nie bawiłam. Co za udany wieczór. I proszę koniecznie przynieść butelkę szamszu.

„Boże broń!“, wzdrygnął się w myślach Basil Cox.

„Boże broń!“, wzdrygnął się w myślach Arun.

7.7

Sędzia Catterdzi oczekiwał w swoim w domu, w Ballygunge, gości. Kilka razy w roku organizował takie spotkania improwizowane w ostatniej chwili. Grono gości było bardzo zróżnicowane z dwóch powodów: po pierwsze, sędzia miał szerokie znajomości, które ze względu na swoją bezpośredniość zawierał tu i tam, a po drugie, wszyscy członkowie rodziny — jego żona oraz dzieci — korzystając z okazji, zapraszali na nie swoich przyjaciół. Tylko ma-

łoletni Tapan, który właśnie spędzał w domu wakacje, nie mógł na razie przeprowadzić na przyjęcie, gdzie podawano alkohol, własnego towarzystwa.

Dyscyplina nie leżała w naturze sędziego Catterdżego, ale udało mu się spłodzić pięcioro dzieci w zadziwiającym porządku: na przemian to chłopiec, to dziewczynka. Najpierw przyszedł na świat Amit, potem Minakszi (zameż-
na z Arunem Mehra), następnie Di-pankar, Kakoli, a na samym końcu Tapan. Żadne z nich nie pracowało, ale każde miało jakieś hobby. Amit pisał poezje, Minakszi grała w kanastę, Dipankar poszukiwał sensu istnienia, Kakoli wi-
siała na telefonie, a najmłodszy, Tapan, który miał lat dopiero dwanaście czy trzynaście, chodził do ekskluzywnej szkoły z internatem, Jheel.

Amit, poeta, studiował prawo w Oksfordzie, ale otrzymawszy dyplom, nie uwieńczył sukcesu specjalizacją adwokacką, którą powinien był uzyskać bez trudności na Lincoln's Inn, dawnej uczelni ojca. A ten gorąco pragnął, by naj-
starszy syn poszedł w jego ślady. Pozwolił ojcu łożyć na swoje utrzymanie i nawet zdał parę egzaminów, ale stracił zainteresowanie nauką. Jednak dzięki temu, że wygrał parę studenckich konkursów poetyckich, opublikował kilka opowiadań w różnorodnych magazynach literackich oraz wydał (nagrodzony w Anglii, a wobec tego wysławiany w Kalkucie) tomik poezji, mieszkał wygodnie kątem u rodziców, nie plamiąc rąk żadną uczciwą pracą.

W tej chwili rozmawiał właśnie ze swoimi dwiema siostrami oraz z Latą.

— Ilu osób się spodziewamy mniej więcej? — spytał Amit.

— Nie wiem — odparła Kakoli. — Chyba około pięćdziesięciu. Amit nie ukrywał rozbawienia.

— Pięćdziesięciu! To najwyżej połowa twoich znajomych, Kuku. Powiedzmy ze stu pięćdziesięciu?

— Uwielbiam takie wielkie przyjęcia — powiedziała Minakszi, nie ukrywając podniecenia.

— Ja też — poparła ją Kakoli, przeglądając się w dużym zwierciadle zawieszonym w holu.

— Pewnie przyjdą tylko znajomi mamy, Tapan, no i paru moich przyjaciół — droczył się z nimi Amit, wymieniając troje najmniej towarzyskich członków rodziny.

— Ha, ha, ha, baldzo śmiesne — powiedziała śpiewnie Kakoli, która no-
siła pasujące do niej jak ulał imię ptaka śpiewaka.

— Idź na górę do swojego pokoju, Amit — rzekła Minakszi — i usiądź
na sofie z książką w ręku. Poczytaj sobie na przykład Jane Austen, a ja zawo-
łam cię, jak już kolacja będzie gotowa. Albo nie: lepiej wyślemy ci twoją por-
cję na górę. W ten sposób unikniesz natrętnych wielbicieli.

— To dziwak — powiedziała Kakoli do Laty. — Jediną kobietą w jego
życiu jest Jane Austen.

— Ale co drugi bhadralok z Kalkuty chciałby go wyswatać ze swoją cór-
ką — dodała Minakszi. — Uważają go za intelektualistę, rozumiesz.

Kakoli wyrecytowała:

Amit Catterdzi, kasek nie lada:

Do stóp mu pada dziewic gromada.

Minakszi dorzuciła:

Czemuż, ach!, czemuż schwytać się nie da?

Żenić się nie chce — w tym cała bieda!

A Kakoli zakończyła lirycznie:

Bystry, wytworny, piórem wstawiony:

Pod każdym względem mąż wymarzony!

...a potem zachichotała. Lata zwróciła się do Amita:

— Że też pozwalasz im tak wchodzić sobie na głowę!

— Masz na myśli te ich wierszydła? Te wypociny? — spytał Amit.

— Nabijają się z ciebie — powiedziała Lata.

— Nie szkodzi. Spływa to po mnie jak woda po kacze — odparł Amit.

Lata, która nigdy wcześniej nie słyszała tego powiedzenia, wyglądała na
zdziwioną, ale Kakoli stwierdziła:

— Czerpie inspirację z Biswasa.

— Z Biswasa?

— Z Biswasa babu, starego kancelisty naszego ojca. Nadal przychodzi do biura parę razy w tygodniu. Trochę pomaga, ale głównie zajmuje się udzielaniem nam życiowych rad. Odradzał Minakszi małżeństwo z twoim bratem — wyjaśniła Kakoli.

W rzeczywistości nie tylko Biswas był przeciwny temu związkowi. Zamożnych rodziców Minakszi nie martwiło szczególnie to, że ich córka wyszła za mąż za kogoś spoza swojego środowiska. Arun Mehra nie był z pochodzenia braminem ani nawet Bengalczykiem. Wiedzieli, że w jego rodzinie się nie przelewa, ale — trzeba im tu oddać sprawiedliwość — nie uprzedzili się przez to do niego. Obawiali się tylko — zwyczajnie, jak to rodzice — że Minakszi, nie przyzwyczajonej do wyrzeczeń, trudno będzie się pogodzić z obniżeniem stopy życiowej. Ale mimo to nie zarzucali córki prezentami. Jakkolwiek sędzia Catterdzi nie uważał swojego zięcia za bratnią duszę, nie chciał podważać jego autorytetu jako głowy rodziny i jej żywiciela.

— Ale co ma kaczka do Biswasa babu albo Biswas babu do kaczki? — zapytała Lata, która bawiła się, ale jednocześnie gubiła w zawilościach lingwistycznych (jak i interpersonalnych) rodziny Minakszi.

— O, to jedno z jego ulubionych powiedzonek. To brzydko ze strony Aruna, że nie wyjaśnia obcym tego typu aluzji, które zakorzeniły się w naszej rodzinie.

— Lata wcale nie jest obca — zaprotestował Amit. — Nie powinniśmy traktować jej jak kogoś obcego. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy bardzo przywiązani do Biswasa babu, a on odpłaca nam takim samym przywiązaniem. Zaczynał pracę jeszcze w kancelarii dziadka.

— I teraz rozpacza, że nie będzie mógł prowadzić kancelarii wnuka — rzekła Minakszi. — Dezercja Amita zaboląła go chyba jeszcze bardziej niż ojca. Nie mógł się doczekać, kiedy Amit zrobi specjalizację.

— Mogę zawsze otworzyć własną praktykę adwokacką — powiedział Amit. — W Kalkucie wystarczy dyplom wyższej uczelni.

— Ale nie przyjmą cię do Zrzeszenia Adwokatów.

— Pfi, wielkie mi rzeczy! — odpalił pogardliwie Amit. — Chciałbym redagować jakieś piśmiectwo literackie, napisać parę do-brych wierszy i do tego może parę powieści. A potem mogę spokojnie zgrzybieć i wślizgnąć się ukradkiem do potomności. Napijesz się czegoś? Może sherry?

— O! Ja bym się chętnie napiła sherry — wtrąciła Kakoli.

— To sama sobie weź, Kuku, a ja obsłużę Latę.

— O, ho, ho! — powiedziała Kakoli. Popatrzyła na jasnoniebieskie, płócienne sari Lata, ozdobione delikatnym haftem ćikan, i powiedziała: — Wiesz co, Lata, dobrze by ci było w różowym.

— Nie, to za mocne — powiedziała Lata do Amita, mając na myśli sherry. Może poproszę... a zresztą, co mi tam?! Niech będzie małe sherry.

Amit podszedł do barku z uśmiechem i powiedział:

— Poproszę dwa kieliszki sherry.

— Wytrawne, półwytrawne czy słodkie, Sir? — zapytał Tapan.

Tapan był beniaminkiem całej rodziny, przez wszystkich kochanym i rozpieszczanym. Pozwalano mu nawet od czasu do czasu na łyżeczek sherry. Tego wieczoru pełnił rolę barmana.

— Jedno słodkie, a drugie wytrawne — powiedział grzecznie Amit. — Nie widziałeś przypadkiem Dipankara? — zwrócił się do Tapan z pytaniem.

— Jest chyba w swoim pokoju, Amit da — rzekł Tapan. — Zawołać go?

Amit poklepał brata po ramieniu.

— Nie, nie, zostań przy barze — powiedział. — Dobra robota, braciszku. Spisujesz się tu znakomicie. Sam zobaczę, gdzie się podziewa.

Dipankar, ich średni brat, był romantykiem. Studiował ekonomię, ale spędzał większość czasu, czytając wszystko, co dotyczyło poety--patrioty Śri Aurobindo, w którego miernej poezji mistycznej — ku zgorszeniu Amita — był właśnie zatopiony. Dipankar miał bardzo chwiejny charakter i Amit wiedział, że najlepiej po prostu sprowadzić go na ziemię, bo inaczej nie będzie w stanie podjąć żadnej sensownej decyzji. Każda najprostsza decyzja urastała w jego duszy do wielkości moralnego dylematu. Ile łyżeczek cukru wsypać do herba-

ty: jedną czy dwie? Kiedy zejść na dół: teraz czy za kwadrans? Co z sobą poznać: cieszyć się komfortem życia w Ballygunge czy też, za przykładem Śri Aurobinda, wyrzec się wszelkich cielesnych przyjemności? Każdy wybór był dla niego prawdziwą psychiczną torturą. Miał już za sobą kilka młodzieńczych romansów, ale żaden nie przetrwał próby czasu, gdyż dziewczęta o silnych, władczych osobowościach, które do pewnego momentu podejmowały za niego wszystkie decyzje, zrywały z nim nieodmiennie zniechęcone jego niezdecydowaniem („A może to jeszcze nie ta?"). Ulegał im, dopóki przy nim były, a potem znowu używał wolności.

Przy śniadaniu Dipankar robił czasem filozoficzne uwagi w stylu: „Nicość. Wszystko to Nicość", tym samym wytwarzając wokół jajecznicy atmosferę tajemniczości.

Dipankar siedział właśnie na macie przeznaczonej do modlitwy, z fisharmonią w dłoni, śpiewając fałszywie jedną z pieśni Rabindra-natha Tagore.

— Lepiej, żebyś zszedł zaraz na dół — powiedział Amit po bengalsku.
— Goście zaczynają się już schodzić.

— Idę, idę — zapewnił go Dipankar. — Pozwól mi tylko dokończyć tę jedną pieśń i zaraz... zaraz zejść. Słowo daję.

— Poczekam — powiedział krótko Amit.

— Wracaj do gości, Dada. Nie rób sobie kłopotu. Naprawdę. Ale Amit nie ustąpił.

— To żaden kłopot — powiedział. I po odśpiewaniu utworu Tagore, nie przejmując się w najmniejszym stopniu niedoskonałością swojego wykonania (bo w końcu cóż to za różnica, w obliczu Nicości?), Dipankar dał się sprowadzić na dół po marmurowych schodach z balustradą z teku.

7.8

— A gdzie Całusek? — spytał Amit w połowie drogi.

— O! — odparł z roztargnieniem Dipankar. — Nie wiem.

— Może kogoś ugryźć.

— To prawda — przyznał mu rację, raczej obojętnie, Dipankar.

Całusek nie był gościnnym zwierzakiem. W ciągu ostatnich dziesięciu lat, odkąd zamieszkał z rodziną Catterdżich, ugryzł Biś-wasa babu, wiele dzieci, które przychodziły się bawić z dziećmi Catterdżich, niejednego jurystę (ci zbierali się u Catterdżich na narady w czasach, kiedy sędzia nie był jeszcze sędzią, tylko adwokatem), pewnego kierownika (średniego kalibru), lekarza, którzy przyszedł z wizytą do chorego, oraz — naturalnie — mnóstwo elektryków i listonoszy.

Ofiarą Całuska padł również niedawno urzędnik państwowy, który zbierał formularze spisu ludności ostatniej dekady.

Jedynym stworzeniem, przed którym Całusek odczuwał respekt, był kot ojca sędziego Catterdżego, Pierzynka, który mieszkał w domu obok i był tak drapieżny, że na spacer prowadzano go na smyczy.

— Powinieneś go był przywiązać — powiedział Amit.

Dipankar zmarszczył czoło w zamyśleniu. Snuł właśnie refleksje na temat filozofii życiowej Śri Aurobinda.

— Może go nawet przywiązałem — rzekł bez przekonania.

— Lepiej sprawdźmy — powiedział trzeźwo Amit. — Tak na wszelki wypadek.

Była to słuszna decyzja. Całusek rzadko warczał, nie zdradzając tym samym swojej kryjówki, a Dipankar nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go przywiązał, o ile to w ogóle zrobił. Pies mógł nadal biegać po ogrodzie, terroryzując gości, którzy wchodzili na werandę.

Znaleźli Całuska w sypialni, która w czasie przyjęcia zamieniła się w przechowalnię torebek i innych akcesoriów. Siedział przyczajony obok nocnego stolika, wpatrując się w nich czarnymi, lśniąco-czarnymi ślepkami. Była to nie-duża psinka, czarna, w białe łatki na piersiach i łapach. Catterdżowie kupili go jako apso, ale okazał się kundlem, głównie z domieszką teriera tybetańskiego.

Ktoś, ale chyba nie Dipankar, bo nie mógł sobie nic takiego przypomnieć, przywiązał go smyczą do nogi łóżka. Amit i Dipankar zbliżyli się do Całuska, który na ogół nie atakował członków rodziny, ale dzisiaj był wyjątkowo rozdrażniony.

Nie warczał, tylko obserwował ich bacznie, a kiedy uznał, że nadarzyła się po temu odpowiednia okazja, rzucił się na nich z nienacką, ujadając i szczerząc groźnie zęby. Całe szczęście, że przywiązany był smyczą i nie mógł się wyrwać. Catterdźowie wiedzieli instynktownie, kiedy odskoczyć, żeby uniknąć pogryzienia, ale gościom trudno by się było pewnie zorientować tak szybko w sytuacji.

— Lepiej go stąd zabierzmy — powiedział Amit. Ściślej mówiąc, Całusek należał do Dipankara i to on powinien wobec tego nadzorować swego pupilka, ale właściwie wszyscy traktowali go jak domownika, jak szósty bok sześciokąta.

— Ałe po co? Dobrze mu tutaj — zaprotestował Dipankar. — To przecież żyjące stworzenie. Tylko drażni go to całe zamieszanie.

— Ugryzie kogoś — ostrzegł go Amit. — Zważ na moje słowa.

— Hm... To może wywiesimy na drzwiach kartkę z napisem: „Uwaga, zły pies”? — zaproponował Dipankar.

— Nie, trzeba go stąd zabrać. Zamknij go w swoim pokoju.

— Nie mogę — odparł Dipankar. — Nie znosi siedzieć na górze, kiedy wszyscy są na dole. W końcu, do pewnego stopnia, to piesek salonowy.

Amit pomyślał, że w życiu nie widział drugiego tak pukniętego „pieska salonowego”. On również uważał, że potok ludzi, który zawsze zalewał rezydencję Catterdźich, źle wpływał -na psychikę zwierzaka. Kakoli ciągle sprowadzała tłumy nowych znajomych. Teraz też weszła do pokoju z koleżanką.

— Aha, to tutaj jesteś, Dipankar da! Zastanawialiśmy się wszyscy, co się z tobą stało. Znasz Nirę? Nira, nie znasz moich braci, prawda? Amit i Dipankar. Tak, tak, połóż ją na łóżku, tam będzie całkiem bezpieczna. A łazienka jest tam. — Całusek przygotowywał się do ataku. — Uważaj na psa!... Nie jest groźny, ale ma swoje humorki. Mamy swoje humorki, prawda, Całuseńku? Biedaczysko, porzucone samo w sypialni.

Całusku, włos się. jeży!

Dom pełen dwunożnych zwierzy!

— zaśpiewała Kakoli, a potem znikła.

— Zabieramy go na górę — powiedział Amit. — No, chodź!

Dipankar więcej się nie opierał. Całusek zawarczał ostrzegawczo, ale go ugłaskali i zanieśli na górę. Tam Dipankar brzdąknął parę razy kojąco na fis-harmonii, a potem obaj zeszli ponownie na dół.

Goście byli już prawie w komplecie i przyjęcie się rozkręciło. W imponującym salonie z imponującym fortepianem i pod zwieszającymi się z sufitu imponującymi żyrandolami przewijały się tłumy wystrojonych gości. Kobiety szczebiotały zalotnie, lustrując się nawzajem i prawiąc sobie komplementy, a mężczyźni puszyli się, rozprawiając głośno o swoich sukcesach. Brytyjczycy ocierali się o Hindusów, Bengalczyki gawędzili z nie-Bengalczykami: przemieszani starzy i młodzi. Tu zamigotał naszyjnik i błyszczące sari, tam przyciągało wzrok sztywno wykrochmalone i wyprasowane ręcznie (bez jednej zmarszczki) dhoti z Śantipuri obszyte po brzegach złotą nicią; gdzie indziej przemknęła w tłumie jasnokremowa kurta z surowego jedwabiu, ze złotymi guzami, albo szyfonowe sari w takim czy innym pastelowym odcieniu; białe, płócienne sari oblamowane czerwoną krajką oraz sari zwane dhakai z kolorową plecionką na białym lub białą na szarym tle (te ostatnie uważane za szczyt elegancji), konkurowały z długimi sukniami bez rękawów (czasem nawet z głębokim dekoltem) z cieniutkiego, kwiecistego perkalu, mięciutkiego atłasu lub sztywnej, białej organdy w cętki; muszki wyglądały sztywnie przy białych dwurzędówkach, czarnych spodniach i lakierkach (Derby lub Oxford), w których odbijało się światło z żyrandoli). Ach, co za szyk, szych, szął! Co za splendor! Ach, co za stylowi ludzie.

Arun, który uznał, że za gorąco na smoking, ubrany był jednak w strój galowy: przepasał się jednobarwną, brązową szarfą przetykaną błyszczącą nicią i przypiął muszkę do kompletu. Zatopiony był właśnie w bardzo poważnej rozmowie z Jockiem Mackayem, wesołym starym kawalerem po czterdziestce, który był jednym z dyrektorów agencji menedżerskiej McKibbin & Ross.

Minakshi miała na sobie jaskrawe, pomarańczowe sari z francuskiego szyfonu oraz szafirowe coli bez pleców, związane w talii i pod szyją wążutkami tasiemeczkami. Wyglądała bardzo ponętnie z odkrytym brzuchem i zapiętą pod szyją szafirowo-pomarańczową obręczą dżajpurską, pokrytą matowym

szkliwem oraz z bransoletami do kompletu na nadgarstkach. Pomimo słusznego wzrostu na nogach miała wysokie szpilki, a włosy zaczesane w kok. Długie, wiszące kolczyki sięgały jej prawie do ramion, pomarańczowa tika na czole była wielkości oczu, ale najbardziej zabójczy był uwodzicielski uśmiech.

Podeszła do Amita, roztaczając wokół siebie upajającą woń Shocking Schiaparelli.

Ale zanim Amit zdążył się z nią przywitać, zagarnęła go wojownicza nieznajoma niewiasta w średnim wieku, o dużych, wylupiastych oczach.

— Zachwyciła mnie pańska ostatnia książka, chociaż nie powiem, żebym dużo z niej zrozumiała. — Czekwała na odpowiedź.

— Ooo! Aaa... A to dziękuję — wybąkał Amit zaskoczony.

— Tylko tyle ma mi pan do powiedzenia? — spytała kobieta wyraźnie rozczarowana. — Myślałam, że poeci są bardziej rozmowni. Jestem starą dobrą znajomą pańskiej matki, chociaż nie widziałyśmy się przez całe lata — dodała ni w pięć, ni w dziewięć. — Jesteśmy w drodze powrotnej do Santiniketanu.

— Aha, rozumiem — rzekł uprzejmie Amit. Chociaż babsztyl ani go ziębił, ani parzył, trwał dzielnie na posterunku, nie ruszając się z miejsca. Uważał, że wypada coś powiedzieć. — Właściwie, to ostatnio nie jestem już poetą. Teraz piszę powieść — wyjaśnił ogólnikowo.

— Ale! To żadna wymówka! — zawołała kobieta. A potem dodała: — No, to proszę mi powiedzieć, o czym ma być ta powieść. A może to tajemnica zawodowa sławnego Amita Catterdżego?

— Nie, nie, to żaden sekret — odparł Amit, chociaż nienawidził rozmów na temat bieżącej pracy. — To historia pewnego lichwiarza, który bogaci się w czasie, kiedy w Bengalu panuje głód. Jak pani wie, rodzina mojej matki pochodzi ze wschodniego Bengalu...

— Dobrze, że pisze pan o własnym kraju — powiedziała z aprobatą kobieta — chociaż otrzymał pan tyle różnych nagród za granicą. A często bywa pan w Indiach?

Amit zauważył, że jego siostry podeszły teraz bliżej i przysłuchiwały się tej rozmowie.

— Po powrocie z Anglii mieszkam tu właściwie na stałe. Kręcę się tak w tę i we w tę...

— W tę i we w tę... — powiedziała kobieta, jakby nie dowierzając własnym uszom.

— Tam i z powrotem — odpowiedziała usłudźnie Minakszi.

— Tu i tam — zawtórowała jej Kakoli, która nie potrafiła się pohamować.

Kobieta zmarszczyła brwi.

— Tam i siam — dodała Minakszi.

— W przód i w tył — dopowiedziała jeszcze Kakoli.

A potem obie siostry zachichotały, pomachały do kogoś, kto musiał znajdować się w drugim końcu ogromnego salonu, i znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Amit uśmiechnął się przepraszająco, ale to nie udobruchało wcale jego rozmówczyni. Żarty sobie z niej stroją ci młodzi Catterdżowie czy co?

Zwróciła się gniewnie do Amita:

— Mam po uszy tych pańskich książek.

Amit powiedział pojednawczo:

— Hm, no tak... to zrozumiałe...

— Nie chcę więcej o panu słyszeć.

— Gdybym był na pani miej scu, czułbym się dokładnie tak samo — zapewnił ją Amit.

Kobieta znowu się naburmuszyła. Wkrótce jednak ochłoneła trochę i powiedziała:

— Napiałabym się czegoś.

A zauważywszy kręcącego się w pobliżu męża, podała mu pusty kieliszek, na brzeżku którego widniały ślady czerwonej szminki.

— Aha, proszę, niech mi pan powie, jak pan pisze?

— To znaczy...? — zaczął Amit.

— To znaczy, czy to głównie wena, czy ciężka praca?

— No... — odparł Amit — potrzebna jest oczywiście wena...

— O, no i proszę! Wiedziałam! Zawsze mówiłam, że to natchnienie. Ale jak pan napisał ten wiersz o pannie młodej? Przecież nie jest pan żonaty...

W jej głosie słychać było dezaprobatę. Amit odparł po namyśle:

— Po prostu...

— A jak długo zajmuje panu pisanie jednej książki? Już się nie mogę doczekać następnej.

— I ja też — powiedział Amit.

— Mam parę świetnych pomysłów na powieści — powiedziała kobieta.

— Kiedy mieszkałam w Śantiniketanie, Gurudewa... no, wie pan... nasz Rabindranath był moim duchowym przewodnikiem...

— Aha... — przytaknął Amit.

— Domyślam się, że szybko to panu idzie, z pańską wprawą... Ale to wielki wysiłek umysłowy. Ja nie mogłabym zostać pisarką. Do tego potrzebny jest specjalny dar. Dar od Boga.

— Rzeczywiście, mam wrażenie...

Ale tamta weszła mu w słowo:

— Kiedyś pisałam wiersze. Po angielsku, tak jak pan. Chociaż mam ciotkę poetkę, która pisze po bengalsku. To uczennica samego Robi babu. Wcale nie zmyślam. A czy zawsze pisze pan do rymu?

— Tak.

— A ja nie. Ja pisałam nowocześnie. Byłam młoda, mieszkałam w Dardżiling. Pisałam o przyrodzie, nie o miłości. Nie znałam jeszcze wtedy Mihira. Wie pan, mojego męża. Przepisałam te wiersze na maszynie. Pokazałam je Mihirowi. Raz pogryzły mnie komary i spędziłam całą noc w szpitalu. Ułożyłam o tym wiersz. Ale on powiedział: „To nie do rymu”.

Popatrzyła z wyrzutem na swego męża, który niczym zdobywca pucharu kręcił się obok z napelnionym kieliszkiem.

— Tak powiedział pani mąż?

— Tak. A potem odeszła mi jakoś ochota. Nie wiem dlaczego.

— Widzi pan, zabił pan poetę — powiedział Amit oskarżycielsko do jej zdumionego męża, który wyglądał na całkiem przyzwoitego faceta. — No dobrze, chodźmy — zwrócił się teraz do Laty, która przysłuchiwała się przez pewien czas rozmowie. — Muszę cię przedstawić kilku osobom, tak jak obiecywałem. Przepraszam na chwilę.

Amit nic takiego nie obiecywał, ale był to dobry wykręt, żeby elegancko wycofać się z rozmowy.

7.9

— No, to kogo ci mam przedstawić? — zwrócił się Amit do Lata zapytaniem.

— Nikogo — odrzekła Lata.

— Nikogo? — powtórzył Amit wyraźnie rozbawiony.

— Kogokolwiek. O, przedstaw mnie tej kobiecie w czerwono-białym płóciennym sari.

— Tej siwej pani ostrzyżonej na chłopczycę? Tej, która pokrzykuje na Dipankara i mojego dziadka?

— Tak.

— To Ila Ćattopadhjaj. Doktor Ila Ćattopadhjaj. Jest z nami skoligacona. Duchowa ekshibicjonistka. Nigdy nie tai swoich poglądów. Będzie ci się podobała.

Lata nie miała pewności, czy rzeczywiście pociągają „duchowy ekshibicjonizm”, ale z wyglądu kobieta zdawała się jej całkiem sympatyczna. Doktor Ila Ćattopadhjaj, ubrana w wymięte sari, perorowała o czymś z wielką pasją, zwrócona do Dipankara, wymachując mu przed nosem palcem.

— Czy możemy się włączyć do rozmowy?

— Co za pytanie! Jasne, że tak. Przestań błaznować, Amit — powiedziała doktor Ila Ćattopadhjaj.

— To jest Lata, siostra Aruna.

— Ach, tak? Bardzo mi miło — powiedziała doktor Ila Ćattopadhjaj, lustrując ją przez chwilę z uwagą. — Jestem pewna, że nie jest tak nadęta, jak ten jej braciszek-pyszałek. Staram się właśnie wytłumaczyć Dipankarowi, że studia ekonomiczne to strata czasu. Kompletnie bezprzyszłościowy kierunek. Powinien studiować matematykę. Nie uważasz?

— Zgadzam się — potwierdził Amit.

Doktor Ila Ćattopadhjaj zwróciła się teraz do Laty:

— Amit zawsze przyznaje mi rację. Dlatego wcale nie liczę się z jego opinią.

— Ila Kaki w ogóle nigdy nie liczy się z niczyją opinią — bronił się Amit.

— To prawda. A wiesz dlaczego? Wszystko przez twojego dziadka.

— Przeze mnie?

— I owszem — odparła doktor Ila Ćattopadhjaj. — Powiedziałeś mi kiedyś, wiele lat temu, że do czterdziestki przejmowałeś się tym, co sobie ludzie o tobie pomyślą. A potem doszedłeś do wniosku, że ważniejsze jest to, co ty sam myślisz na temat innych ludzi.

— Ja ci tak powiedziałem? — zapytał zdumiony starzec.

— Ty, ty, nikt inny. Może już nie pamiętasz. Ja też kiedyś zamartwiałam się tym, jak mnie inni widzą. Strasznie mi to zatruwało życie, więc postanowiłam przyjąć twoją filozofię. A młoda byłam, Nie miałam wtedy jeszcze nawet trzydziestki! Naprawdę już tego nie pamiętasz? Pod naciskiem rodziny męża zastanawiałam się, czy nie zrezygnować z kariery zawodowej. Ale ta twoja uwaga otworzyła mi oczy.

— Niektóre rzeczy ostatnimi czasy zupełnie wylatują mi z pamięci — powiedział Mr Ćatterdzi senior — chociaż znowu do innych wspomnień często powracam myślami. No, ale cieszę się, że ta nasza rozmowa miała na ciebie takie... taki zbawienny wpływ. Czy wiesz, że parę dni temu usiłowałem sobie przypomnieć, jak miał na imię mój poprzedni kot... I nic. Zapomniałem i tyle.

— Biplob — podpowiedział Amit.

— Oczywiście, i w końcu udało mi się to jakoś odgrzebać w pamięci. Przyjaźniłem się z wtedy z Subhasem Bose... no, w każdym razie znałem jego rodzinę... stąd takie nietypowe imię... No, oczywiście, jako sędzia... z moją pozycją... wiadomo... Było w tym raczej nieco... tego...

Amit odczekał chwilę, ale widząc, że dziadek nie może znaleźć odpowiedniego słowa, pospieszył mu w sukurs:

— Ironii?

— Nie, nie. Szukałem w myślach innego słowa, Amit. Miałem zamiar... A niech tam, niech będzie „ironii”. Naturalnie, to były inne czasy... hm... hm... Dzisiaj nie potrafiłbym już nawet naszkicować mapy Indii. Do czego to doszło! Nieprawdopodobne! Nawet prawo się zmienia z każdym dniem. Wiem, bo czytam sprawozdania Sądu Najwyższego. Za moich czasów wystarczyło zwykle podanie. Ale cóż, czasy się zmieniają. Świat idzie naprzód. Zestarzałem się i muszę ustąpić miejsca innym. Pannicom takim jak Ila. Młodzież — tu wskazał ręką na Latę — musi iść z duchem czasu.

— Pannicom! Coś takiego! — fuknęła na niego doktor Ila Ćattopadhjaj.
— Moja córka skończyła już dwadzieścia pięć lat.

— Dla mnie, droga Ilo, pozostaniesz na zawsze młodą dziewczyną — odparł stary Mr Ćatterdzi.

Doktor Ila Ćattopadhjaj zachnęła się zniecierpliwiona.

— Moi studenci nie traktują mnie jak podlotka. Któregoś dnia omawialiśmy z młodszym kolegą fragment pewnej mojej starej książki. I ten poważny młody człowiek powiedział mi tak: „Proszę pani, niech mi wolno będzie zauważyć, że chociaż młodszy wiekiem i stażem, potrafię jednak przeanalizować wartości utworu z perspektywy historycznej. A pani, w tym wieku, i tak ma już to wszystko za sobą...” Ujęła mnie za serce ta uwaga. Od razu odmłodniałam.

— A jaka to była książka? — spytała zaciekawiona Lata.

— O twórczości Donné'a — odparła doktor Ila Ćattopadhjaj. — *Przyczynowość metafizyczna*. Idiotyczna książka.

— O, więc wyklada pani literaturę angielską! — zdziwiła się Lata. — A ja myślałam, że jest pani lekarką... doktorem medycyny...

— Coś ty jej, u licha, naopowiadał?! — zbeształa Amita doktor Ila Ćattopadhjaj.

— Nie miałem właściwie okazji wtajemniczyć jej we wszystkie szczegóły. Nie śmiałem się nawet wtrącać, podczas kiedy tak gorąco przekonywałaś Dipankara, że powinien rzucić studia ekonomiczne.

— Powinien mnie posłuchać. Ale gdzie on się podział?

Amit przebiegł wzrokiem po pokoju i zobaczył Dipankara w towarzystwie Kakoli i jej rozaplanych przyjaciółeczek. Pomimo swego religijnego uduchowienia Dipankar lubił towarzystwo młodych, zwariowanych dziewcząt.

— Ściągnąć go tu z powrotem? — zapytał Amit.

— Nie, nie, co ty! — rzekła doktor Ila Ćattopadhjaj. — Klóćimy się, a to mnie wyprowadza z równowagi. Istna walka z wiatrakami. Ubrdał coś sobie o geniuszu Bengalczyków i korzeniach naszego narodu i obstaje uparcie przy swoim. Gdyby naprawdę czuł się Bengalczykiem, wróciłby do właściwej wersji nazwiska: Ćattopadhjaj... zamiast martwić się, że Brytyjczycy, którzy nie grzeszą, jak wiadomo, sprężystością umysłu, połamią sobie języki przy wymowie... Gdzie studiujesz?

Lata, onieśmielona władcym sposobem bycia doktor Ili Ćattopadhjaj, odpowiedziała krótko:

— W Brahmpurze.

— O, Brahmpur — rzekła doktor Ila Ćattopadhjaj. — Okropna dziura. Byłam tam raz... Nie, nie powiem już ani słowa więcej. Nie chcę się znęcać nad tobą psychicznie; taka miła z ciebie dziewczyna.

— Powiedz nam, powiedz, Ila kaki! — zawołał Amit. — Uwielbiam znęcać się nad bezbronnymi niewiniątkami. A zresztą Lata nie jest taka znowu nadwrażliwa.

— A, Brahmpur! — powiedziała doktor Ila Ćattopadhjaj, nie dając się dłużej prosić. — Brahmpur! Pojechałam tam służbowo, chyba z dziesięć lat temu, na jakąś jednodniową konferencję anglistów. A ponieważ słyszałam już przedtem o Barsat Mahal i w ogóle o Brahmpurze, postanowiłam zostać trochę dłużej. I czułam się przez te parę dni okropnie. Nie mogłam znieść tych służalczych: „Tak, huzur, nie, huzur”. Wszystko takie mdłe, bez cienia fantazji. Tylko: „No i jak tam?”, „A, jakoś się żyje”. Nie mogłam tego znieść. „Dobrze, wezmę dwie miarki ryżu i odrobinę dalu...” Ohyda! Ta uniżoność, czołobitność, te maniery, przytupy, gazele i kathaki. Kathaki! Kiedy zobaczyłam te tłuste babska kręcące się jak bąki, miałam ochotę zawołać za nimi: „Hej, przydałoby się wam trochę porządnej gimnastyki zamiast tych wygibasów”.

— Całe szczęście, że powstrzymałaś się od podobnych komentarzy, Ilaki. Rozerwałyby cię na strzępy.

— Przynajmniej skróciłoby to moje męki. Następnego dnia zaaplikowano mi nową dawkę brahmpurskiej kultury. Poszliśmy na koncert jednej z tych cikliwych szansonistek... Saily czy coś takiego... od stóp do głów obwieszona biżuterią, aż w oczy raziło od tego blasku... Makabra! A wszyscy ci bezmózgowcy... te samce obleczone w cudaczne, typowe dla Północy piżamy czy padzamy, jakby dopiero co wyskoczyli z łóżka, pokładali się w ekstazie czy może w agonii, wyjąc jękliwie: „*Wah!, Wah!!*” przy każdym najędzniejszym, przesłodzonym, łzawym wersecie... Przynajmniej tak mi się zdawało. Moi znajomi tłumaczyli mi słowa tych gazeli... Lubisz ten rodzaj muzyki?

— Lubię muzykę klasyczną — zaczęła Lata ostrożnie, przekonana, że straci przez to w oczach doktor Ili Ćattopadhjaj. — Ragi, takiej jak na przykład *Darbari* w wykonaniu ustada Madżida Chana... Amit przerwał jej w pół zdania, żeby bohatersko ściągnąć na siebie gniew doktor Ili Ćattopadhjaj.

— I ja też — powiedział. — I ja też. Bo to tak samo jak z pisaniem powieści — mówił dalej, improwizując z wielką brawurą. — Najpierw chwytasz jedną nutę i analizujesz jej możliwości; potem następną i tak dalej, aż do dominanty, gdzie zatrzymujesz się na chwilę. Stopniowo frazy zaczynają układać się w logiczną całość... Tabla podaje ci rytm... Snuje się motyw przewodni... Tworzy się swoista magia... Tak jak w tej powieści, którą mam zamiar napisać... Fabuła nabiera rozpędu, podniecenie wzrasta, wybucha w punkcie kulminacyjnymi...

Doktor Ha Ćattopadhjaj popatrzyła na niego z niesmakiem.

— Co ty bredzisz? — spytała chłodno. — Stajesz się równie niedorzeczny jak Dipankar. Nie zwracaj na niego uwagi, Lata — kontynuowała autorka *Przyczynowości metafizycznej*. — Przecież to tylko pisarz. Skąd może mieć jakiegokolwiek pojęcie o literaturze? Gdy słyszę takie głupoty, to zaraz zaczyna mnie skręcać z głodu w żołądku. Na szczęście w tym domu podają kolację o przyzwoitej godzinie. „Dwie miarki ryżu”, właśnie, właśnie! — I potrząsając gniewnie siwą głową, skierowała się do stołu z jedzeniem.

Amit zaproponował, że przyniesie dziadkowi trochę jedzenia na talerzu, na co tamten bardzo chętnie przystał. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, a Amit i Lata udali się do zastawionego jadłem stołu.

Tymczasem z rozchichotanej, rozpaplanej grupki koleżanek Kakoli wymknęła się atrakcyjna, młoda dziewczyna i podeszła do Amita.

— Nie poznajesz mnie? — zapytała. — Spotkaliśmy się na Sarkars.

Amit, starając się usilnie przypomnieć sobie, kiedy to było, zmarszczył brwi i uśmiechnął się jednocześnie. Dziewczyna popatrzyła na niego z wyrzutem.

— Długo ze sobą rozmawialiśmy — powiedziała.

— A...

— Na temat postawy Bankima babu wobec Brytyjczyków. I jak to wpłynęło nie tyle na treść, ile na formę jego pisarstwa.

Amit pomyślał: „O Boże!”, ale głośno powiedział tylko:

— Aha...

Lacie żal było ich obojga: i Amita, i dziewczyny, ale pomimo to nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Cieszyła się teraz, że przyszła na to przyjęcie.

Dziewczyna nalegała:

— Nie pamiętasz?

Amit nagle zmienił taktykę. Rozgadał się.

— Już taki jestem zapominalski — powiedział. A potem dodał szybko:

— Wszystko wylatuje mi z pamięci, a moja osoba nie może jakoś wryć się w pamięć innych. Czasami mam wątpliwości, czy tak naprawdę w ogóle istnieję. Jakbym nie miał wcale przeszłości.

Dziewczyna skinęła głową:

— Wiem dokładnie, co masz na myśli — powiedziała. Ale wkrótce odeszła nieco zasmucona.

Amit sposepniał. Było mu nieprzyjemnie, że sprawił przykrość dziewczynie. Lata, wyczuwając to, stwierdziła:

— Oto cena sławy.

— Co? — powiedział Amit, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

— A... Można by to i tak ująć, ostatecznie. Czestuj się, Lata. Proszę, weź swój talerz.

7.10

Chociaż Amit nie wysiłał się specjalnie, żeby pełnić jak należy obowiązki pana domu, dbał jednak, żeby Lata nie czuła się zagubiona tego wieczoru. Waran, który na pewno dotrzymywałby jej towarzystwa, nie przyszedł na przyjęcie; wybrał szamszu i kompanię swoich szemranych szmirusów. Minakszi, która lubiła Latę i normalnie — w wolnych chwilach — chętnie by jej asystowała, opowiadała rodzicom o dramatycznym przebiegu wczorajszych wydarzeń: o waśniach kucharzy i o scysji w pokoju gościnnym. Mając na uwadze karierę Aruna, zaprosiła Coksów na przyjęcie do Catterdżich.

— Ale to taka niepozorna szara myszka — mówiła Minakszi. — Wszystko wisi na niej jak na kołku. Zupełnie nijaka.

— Hm, nie wyglądała wcale nijako przy powitaniu — zauważył jej ojciec.

Minakszi rozejrzała się niedbale po pokoju i oniemiała ze zdziwienia. Patricia Cox miała na sobie śliczną atlasową suknię, której zieleń podkreślał sznur białych pereł. Jej krótko podcięte, złotobrazowe włosy połyskiwały w świetle żyrandola. Nie przypominała wcale wczorajszej nijakiej babiny, co nie zachwyciło bynajmniej Minakszi.

— Ale poza tym wszystko w porządku, Minakszi? — zapytała Mrs Catterdżi, przechodząc na chwilę na bengalski.

— Doskonale, Mago — odparła po angielsku Minakszi. — Jestem taka zakochana.

Na te słowa Mrs Catterdżi jakby posmutniała.

— Martwimy się o Kakoli — powiedziała. — I to bardzo.

— My? — zaoponował najpierw sędzia Catterdżi, ale po chwili dodał:

— No, tak, chyba tak jest rzeczywiście.

— Twój ojciec wszystko bagatelizuje — poskarżyła się Mrs Catterdżi.

— Najpierw był ten student z uniwersytetu, ten, no, wiesz... ten...

— Komuch — dokończył za nią życzliwie sędzia Catterdżi.

— Potem ten kaleka z odkształconą ręką i raczej dziwacznym poczuciem humoru... Jak mu tam było?

— Tapan.

— A, tak... Tapan... niestety... — Mrs Catterdzi zerknęła w stronę barku, gdzie jej własny Tapan był nadal na dyżurze. Biedne dziecko. Trzeba go wysłać do łóżka. Tylko czy miał czas, żeby coś przegryźć przed pójściem spać?

— No, a teraz? — zapytała Minakszi, spoglądając w stronę kąta, gdzie Kakoli trajlowała w grupie swoich trajkotek.

— Teraz — odparła jej matka — teraz znowu ma cudzoziemca. Zresztą, co tam, powiem ci. To ten Niemiec. O, tam.

— Hm... bardzo przystojny — powiedziała z uznaniem Minakszi, która zawsze zwracała uwagę na rzeczy najbardziej istotne. — Ale dlaczego Kakoli nic mi o tym nie powiedziała?

— Jest ostatnio strasznie skryta — zaliła się dalej Mrs Catterdzi. — Zawsze ma wokół siebie tylu absztyfikantów, że trudno zgadnąć, z którym kręci na poważnie. Jeśli w ogóle z którymkolwiek.

— No cóż, moja droga — powiedział sędzia Catterdzi do swojej żony — martwiłaś się komuchem i jakoś się to samo rozwiało; potem tym kaleką i też się rozpadło. Więc po co się przejmować? Spójrz tylko na matkę Aruna. Ta się zawsze uśmiecha, nigdy się niczym nie przejmuje.

— Tu akurat zupełnie się mylisz, Baba — powiedziała Minakszi.

— Nikt tak jak ona nie zadręcza się każdym najmniejszym głupstwem.

— Naprawdę? — W głosie ojca słyhać było szczere zainteresowanie.

— Ale zresztą — dorzuciła Minakszi — skąd wiecie, że jest coś między nimi?

— Bo ją ciągle zaprasza na wszystkie dyplomatyczne przyjęcia — powiedziała matka. — Jest podsekretarzem w konsulacie niemieckim. Udaje nawet, że lubi pieśni Tagore. Naprawdę za daleko się posuwa.

— Kochanie, gwoli sprawiedliwości dodać należy, że i Kakoli nagle zapalała wielką miłością do pieśni Schuberta — powiedział sędzia Catterdzi. — Bez przerwy bębni teraz na pianinie. Przy odrobinie szczęścia będziemy może nawet mieli okazję wysłuchać dzisiaj małego recitalu w jej wykonaniu.

— Twierdzi, że mdleje, kiedy słyszy jego porywający baryton. Zupełnie zaszarga sobie opinię — pożałowała się znowu Mrs Catterdzi.

— A jak on się nazywa? — spytała Minakszi.

— Hans — rzekła Mrs Catterdzi.

— A dalej?

— Hans coś-tam-coś-tam. To naprawdę poważna sprawa, Minakszi. Przecież jeśli wyjdzie za niego za mąż i wyjedzie z Indii, to nigdy jej już więcej nie zobaczymy.

— Hans Sieber — odpowiedział sędzia Catterdzi. — Nawiasem mówiąc, jeśli przedstawiś się jako Mrs Mehra zamiast Miss Catterdzi, na pewno pocałuje cię w rękę. Zdaje się, że jego rodzina pochodzi z Austrii, a tam mają fisia na punkcie kurtuazji.

— O! — wykrzyknęła Minakszi, szczerze zaintrygowana. — Naprawdę?!

— Naprawdę. Kompletnie zawojował Iłę. Ale twoja matka nie dała się złapać na przynętę. Uznała go za jakiegoś bladoliciego Rawanę, który zjawił się tylko po to, żeby uprowadzić jej dziecię w odległe dzikie krainy.

Nie była to może najzręczniejsza metafora, ale prywatnie sędzia Catterdzi nie zawsze trzymał się rygorystycznie zasad logiki, którym hołdował w trybunale.

— To mówisz, że mnie pocałuje w rękę?

— Gwarantuję. Ale twoja nie ucierpi przez to tyle, ile moja.

— A co się stało z twoją, Baba? — zapytała Minakszi, wlepiając w ojca swoje ogromne, piękne oczy.

— Została zgnieciona na miazgę. — Ojciec otworzył prawą dłoń i przyglądał się jej z wielkim smutkiem.

— Ale jak to? Dlaczego ci ją zgniótł na miazgę? — dopytywała się rozbawiona Minakszi, zanosząc się od śmiechu.

— Czy ja wiem? — spekulował. — Może chciał się wydać prostolinijny, godny zaufania. Aha, i twój mąż miał również okazję przekonać się o szczerości jego intencji w podobny sposób. Zauważyłem, że przy uścisku łąpał powietrze jak ryba, z otwartymi ustami.

— Biedaczysko — powiedziała Minakszi bez odrobiny współczucia.

Popatrzyła na Hansa, który przyglądał się z uwielbieniem Kakoli otoczonej kółkiem rozpaplanych dzierlatek. Potem, ku wielkiemu rozczarowaniu matki, powtórzyła:

— Bardzo przystojny. I wysoki. Fajny chłopak. Nie bądźmy tacy zacofani. Dlaczego nie mielibyśmy wydać Kuku za mąż za cudzoziemca? To by dopiero było coś!

— Właśnie — poparł ją ojciec. — Dlaczego nie? Kończyny ma przecież w dobrym stanie.

Mrs Catterdzi obstawała jednak przy swoim.

— Porozmawiaj z siostrą. Przekonaj ją, żeby nie działała pochopnie. Szkoda, że się uczyła tego barbarzyńskiego języka. Nie powinnam jej była posyłać na lekcje do tej całej... Jak jej było?... Tej Miss Hebel. I tak nigdy jej nie lubiłam.

— Ja jej nie przekonam — powiedziała Minakszi. — Tak samo jak Kuku nie udało się odwieść mnie parę lat temu od zamiaru wyjścia za mąż za Aruna.

— To zupełnie co innego — zaprotestowała Mrs Catterdzi. — A poza tym przyzwyczailiśmy się już wszyscy do Aruna — dodała bez przekonania — i jesteśmy teraz jedną wielką szczęśliwą rodziną.

Rozmowę przerwał im pękaty łysy jegomość, nauczyciel fizyki, Mr Kohli, który lubił zaglądać do kieliszka i właśnie usilnie starał się uniknąć spotkania z żoną, gdyż ta nie pochwałała oczywiście jego skłonności.

— No i jak tam, panie sędzio? — spytał. — Co pan myśli na temat werdyktu w sprawie Bandel Road?

— A, jak pan wie, nie wolno mi się na ten temat wypowiadać — odparł sędzia Catterdzi. — Sprawa może jeszcze trafić do nas z odwołania. A poza tym, prawdę mówiąc, nie interesowałem się tym zbytnio, chociaż wiem, że wszyscy o tym rozprawiają.

Mrs Catterdzi natomiast nie miała wcale podobnych skrupułów. W gazetach ukazywały się obszerne sprawozdania z tej słynnej rozprawy i wszyscy mieli na ten temat wyrobione zdanie.

— To woła o pomstę do nieba! Jak w ogóle taki zwykły sędzia w sądzie niższej instancji może sobie...

— Sędzia okręgowy, moja droga — poprawił żonę sędzia Catterdzi.

— No właśnie, nie rozumiem, jak on może obalić decyzję przysięgłych. I gdzie tu sprawiedliwość? Dwunastu sprawiedliwych, tak się mówi? Dwunastu ludzi godnych zaufania. Jak śmiał ich tak zlekceważyć, podważyć ich autorytet?

— Dziewięciu, kochanie. W Kalkucie jest tylko dziewięciu przysięgłych. A czy są tacy godni zaufania i sprawiedliwi...

— Właśnie. I jeszcze żeby oskarżać ich o perfidię... Jak on to powiedział? Że werdykt był...

— Perfidny, niesłuszny i bezsensowny. I że przysięgli zlekceważyli materiał dowodowy — podpowiedział łysol, delektując się przytoczonym cytatem niczym najwyborniejszą whisky. Oddychał jak karp, przez otwarte usta.

— Perfidny, niesłuszny i bezsensowny! Coś takiego! — oburzała się dalej Mrs Catterdzi. — Co za samowola! To wbrew zasadom demokracji. A czy chcemy, czy nie chcemy, żyjemy jednak w kraju demokratycznym. Zresztą, właśnie przez to ten cały galimatias. Dlatego wszędzie taki rozbój... a przysięgli wydają wyroki... Nie rozumiem, dlaczego trzymają się tego systemu w Kalkucie, skoro wszędzie indziej, w całym kraju, już się go pozbyli. Przecież łatwo można przysięgłych przekupić albo zastraszyć... To jak można się potem spodziewać sprawiedliwych wyroków? Na szczęście, są jeszcze odważni sędziowie, którzy nie boją się anulować takich głupich wyroków, bo inaczej byłby z nami koniec. Prawda, kochanie? — Mrs Catterdzi nie kryła swego oburzenia.

— Oczywiście, kochanie — zapewnił ją sędzia Catterdzi. — No i proszę, Mr Kohli: zna pan już teraz moje zdanie, ale kieliszek ma pan pusty.

Zdezorientowany Mr Kohli powiedział:

— Rzeczywiście. Pójdę go sobie napełnić. — I rozejrzał się trwożliwie po sali, żeby sprawdzić, czy droga wolna.

— Aha, przy okazji proszę powiedzieć Tapanowi, żeby kładł się natychmiast do łóżka — poprosiła Mrs Catterdzi. — Chyba że nic jeszcze nie jadł. Jeśli tak, to niech najpierw coś zje, a dopiero potem idzie do łóżka.

— Wyobraź sobie, Minaksi — zwrócił się do córki sędzia Catterdzi — że parę dni temu, w zeszłym tygodniu, prowadziliśmy z twoją matką zażartą

dyskusję na jakiś temat. I tak przekonywająco argumentowaliśmy nasze sprzeczne stanowiska, że w końcu przyznaliśmy rację drugiej stronie i zaczęliśmy się kłócić od nowa, tym razem popierając poglądy przeciwnika.

— A o co wam poszło? — chciała wiedzieć Minakszi. — Tęsknię za naszymi porannymi wieciami.

— Nie pamiętam — powiedział sędzia Catterdzi. — Co to było? Coś na temat Biswasa babu?

— Nie. Coś na temat Całuska — powiedziała Mrs Catterdzi.

— Naprawdę? Jesteś pewna? Jakoś mi to nie pasuje... A ja myślałem, że chodziło o... zresztą, nieważne... Minakszi, musisz przyjść kiedyś do nas na śniadanie. To przecież niedaleko. Można dojść na piechotę.

— Wiem — powiedziała z rezygnacją Minakszi. — Ale tak trudno mi się rano wyrwać z domu. Arun jest taki zasadniczy. Lubi, żeby wszystko było po jego myśli, a Aparna zamęcza mnie zawsze przed jedenastą. Mago, wasz kucharz, naprawdę uratował mi wczoraj życie. No, to teraz chyba pójdę się przywitać z Hansem. A kto to tak łypie groźnie okiem na Hansa i Kakoli? Nie ma nawet muszki.

Młody człowiek w negliżu (to jest w zwykłej, codziennej koszuli, białych spodniach i krawacie w prążki) był studentem wyższej uczelni.

— Nie mam pojęcia, kochanie — powiedziała Mrs Catterdzi.

— Chyba jeszcze jeden grzyb? — odezwała się Minakszi, nawiązując do powiedzonka ojca, którego zdaniem znajomi Kakoli wyrastali znikąd jak grzyby po deszczu.

— Na to wygląda — przyznał jej rację ojciec, skinąwszy głową. Na środku sali Minakszi wpadła na Amita i powtórzyła swoje pytanie.

— Przedstawił mi się jako Krysnan — powiedział Amit. — Podobno znają się z Kakoli doskonale.

— O, a czym się on zajmuje?

— Nie wiem. W każdym razie twierdzi, że należy do grona jej bliskich przyjaciół.

— Najbliższych przyjaciół?

— O, nie — zapewnił ją Amit. — To zupełnie niemożliwe. Kakoli pamięta imiona wszystkich swoich najbliższych przyjaciół.

— No, to idę poznać Niemiaszka Kuku — powiedziała stanowczo Minakszi. — A gdzie jest Luts? Była z tobą parę minut temu.

— Nie wiem. Tam gdzieś poszła. — Amit wskazał ręką w kierunku pianina, gdzie zgromadził się zbity tłumek młodych ludzi. — Aha, tylko uważaj na ręce, jak się będziesz z nim witała.

— Wiem — powiedziała Minakszi. — Tatuś mnie już uprzedził. Ale popatrz, akurat je. Trzeba to wykorzystać. Przecież chyba nie odstawi talerza, żeby mnie złapać za rękę?

— Nie wiadomo — odrzekł ponuro Amit.

— Nie, nie, nie odstawi takich pyszności — pocieszała się głośno Minakszi.

7.11

Tymczasem Latę, która znalazła się w tłumie obcych sobie ludzi, zalała fala różnojęzycznej mowy. Intrygował ją ten cały blichtr. To chwytająca oderwane znajome angielskie słówka, to znowu dobiegały ją niezrozumiałe dźwięki języka bengalskiego. Młóćąc frazesy i frykasy, goście niczym sroki, którym trudno rozróżnić kamień szlachetny od połyskliwego szkiełka, rajcowali niestrudzenie.

— O nie, nie, Dipankar... w ogóle nic nie rozumiesz... Podstawą hinduskiej filozofii jest Kwadra: cztery fazy życia i jego cztery główne cele: miłość, dobrobyt, obowiązek i ostateczne wyzwolenie... Weźmy choćby swastykę, ten odwieczny symbol naszej starożytnej cywilizacji, tak niestety ostatnio skompromitowany. Tak, Kwadra, wyłącznie Kwadra jest podstawą naszej duchowej kultury... Ale tylko stare babska, takie jak ja, potrafią to zrozumieć, więc musisz jeszcze trochę poczekać, zanim to sobie jasno uzmysłowisz.

— Ma dwóch kucharzy... tylko i wyłącznie dlatego. Naprawdę... ale musisz koniecznie spróbować luchis. Nie, nie, nabierz sobie wszystkiego po trochu, w odpowiedniej kolejności: to właśnie sekret bengalskiej kuchni...

— Wspaniały mówca. Wygłaszał odczyt parę dni temu w Misji Ramakryszny. Bardzo młody człowiek, ale jaki uduchowiony... „Czas wielkich przemian, a intelekt wyzwolony” ...O poszukiwaniu wewnętrznego spokoju i harmonii. Musisz się koniecznie wybrać w przyszłym tygodniu...

— Mówili, że jak pojedę do Sundarbans, to zobaczę stada tygrysów, a nie było tam nawet komara. Wszędzie tylko woda, woda, woda i nic poza tym. Jak to ludziska potrafią zmyślać...

— Powinni ich wyrzucić z uczelni. Co z tego, że egzaminy takie trudne? To już trzeba się uciekać do kradzieży pytań egzaminacyjnych? I to kto? Studenci Wydziału Ekonomii na Uniwersytecie Kalkuckim! Jaki to będzie porządek w naszej gospodarce przy takiej samowoli? Co by na to powiedział Sir Asutosh, gdyby żył dziś jeszcze? I to ma być wymarzona niepodległość?

— Montu wygląda czarująco. Ale widać, że się to odbiło na Poltu i Loltu. Choroba ich ojca, wiesz... to podobno wątroba. Wszyscy wiedzą, że to pijani-
ca.

— Ależ, Dipankar! Istotą (nie, zdecydowanie nie „podstawą”, tylko właśnie tak, jak mówię, „istotą”) naszej starożytnej cywilizacji jest oczywiście Trójca... Ma się rozumieć, nie chodzi mi tu o Trójcę w pojęciu chrześcijańskim, ale o proces i jego wyraz: stworzenie, przetrwanie i wreszcie rozkład... Tak, Trójca (i tylko Trójca) jest niezaprzeczalnie istotą naszej cywilizacji...

— Kompletnie powariowali! Więc, oczywiście, zwołałem przywódców związku i zagroziłem im zastosowaniem odpowiednich sankcji prawnych. Naruszali przepisy. Takie bunty są nielegalne... Chronią nas odpowiednie ustawy. Nie od razu się ugięli, ale posmarowaliśmy łapy (mówiąc między nami) paru najbardziej zaciekłym twardzielom. Teraz kontrolę nad tą sprawą przejął zresztą wydział personalny.

— Nie, to nie Je reviens, tylko Quelques fleurs. Zupełnie inny zapach. Mój mąż ich, oczywiście, nie rozróżnia. Nie poznaje nawet Chanel.

— Mówię do Robi babu: „Dla nas jesteś wzorem cnót; proszę, nadaj mojemu dziecku imię”, no i się zgodził. Dlatego nazywa się Hemangini... Prawdę powiedziawszy, nie byłam wcale zachwycona, ale co miałam zrobić?

— Jeśli mułowie chcą wojny, to bardzo proszę. Nasza wymiana gospodarcza ze wschodnim Pakistanem i tak jest szczytkowa. Na szczęście dzięki

temu ceny mango spadły! W Maldah drzewa obrodziły tego roku tak obficie, że ogrodnicy nie wiedzą, co robić z nadwyżką owoców. Oczywiście są problemy z transportem tak jak podczas klęski głodu w Bengalu.

— Nie, nie, Dipankar, nic jakoś do ciebie nie dociera. Podwaliną hinduskiej myśli jest Dualizm... tak, Dualizm... To wątek i osnowa naszych pradawnych szat, sari, rąbek tkaniny, kwintesencja hinduskiej kobiecości, a jednocześnie wątek i osnowa całego wszechświata... Walka pomiędzy Bytem i Niebytem... Tak, bez wątpienia, to Dualizm włada naszą prastarą ziemią.

— Oczy nabiegły mi łzami przy czytaniu tego wiersza. Muszą być z niego tacy dumni... Tacy dumni.

— Serwus, Arun. A gdzie Minakszi?

Lata odwróciła się i zobaczyła za sobą Aruna. Minę miał kwaśną: już po raz trzeci ktoś zagadnął go tylko po to, żeby dowiedzieć się, gdzie jest jego żona. Tym razem był to jego kolega, Billy Irani. Arun rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem jej pomarańczowego sari, i wypatrzył ją w kręgu przyjaciół Kakoli.

— O tam stoi, Billy, zobacz, obok gniazdka Kuku. Chodź, pójdę z tobą. Może uda mi się odciągnąć ją od tego towarzystwa — powiedział.

Lata zastanawiała się, co by na to wszystko powiedziała jej przyjaciółka Małati. Uczepiła się Aruna jak tratwy ratunkowej i po-żegłowała w stronę Kakoli. Dziwnym trafem Mrs Rupa Mehra i Marwari, starszy jegomość przyodziany w dhoti, również wkręcili się jakoś w szeregi młodzieży w pstrokatych fatalaszkach.

Nie bacząc na młodych, nonszalanckich chłopców i dziewczęta, starszy jegomość mówił do Hansa, skrzywiony:

— Od 1933 roku piję sok z gorzkiej tykwy. Wie pan, co to gorzka tykwa? To jedno z naszych słynnych hinduskich warzyw, zwane również karelą. Ma taki kształt... — pokazywał, gestykulując zamasyście — ...i jest zielona, ze skórką w podłużne żłobki.

Hans słuchał, zupełnie zdezorientowany, jego informator zaś mówił dalej:

— Raz na tydzień mój służący bierze seer gorzkiej tykwy i wyciska sok... tylko ze skórki, uważasz pan. — Przymrużył oczy, skupiając najwidoczniej myśli. — Co robi z resztą, pal go sześć. — Tu machnął lekceważąco ręką.

— Naprawdę? — zapytał grzecznie Hans. — Pasjonujące...

Kakoli zachichotała, ale Mrs Rupa Mehra była szczerze zainteresowana. Arun spotkał się wzrokiem z Minakszi i zmarszczył brwi. „Przeklęty Marwari”, myślał. „Idiotę z siebie robi przed cudzoziemcami”.

W swej rozbijającej prostocie nieświadom dezaprobaty Aruna, rzecznik tykwy kontynuował:

— Potem co rano na śniadanie wypijam mały kieliszek tego soku. Miarę jak do sherry albo do likieru. Codziennie, od 1933 roku. I poziom cukru we krwi mam idealny. Nie muszę odmawiać sobie słodczy. Obce mi są choroby skórne, a mój stolec jest całkowicie zadowolający.

Tu, jakby dla potwierdzenia swojego wyводу, wbił zęby w ociekający sokiem gulab-dżaman.

Zafascynowana Mrs Rupa Mehra spytała:

— Tylko ze skórki?

Jeśli to prawda, skończy się wreszcie tyrania cukrzycy, która pozbawiają rozkoszy podniebienia.

— Tak — powtórzył tamten, wydymając wargi. — Tylko ze skórki, tak jak mówiłem. Resztę można wyrzucić. Gorzka tykwa jak próżna piękność: tylko z wierzchu wartościowa.

7.12

— No i jak się bawisz? — spytał Jock Mackay Basila Coksa, kiedy znaleźli się na werandzie.

— Całkiem nieźle — odparł Basil Cox, stawiając swój chwiejny kieliszek whisky na białej, żelaznej balustradzie. W powietrzu unosił się zapach gardenii z ogrodu.

— Nigdy przedtem nie widziałem cię u Catterdżich. Patricia wygląda prześlicznie.

— Dziękuję... Rzeczywiście, prawda? Nigdy nie wiem, jak się będzie czuła w nowym towarzystwie. Opierała się, nie chciała ze mną wyjeżdżać z Anglii. Do tego stopnia, że nawet...

Pocierając delikatnie kciukiem dolną wargę, Basil przebiegł wzrokiem po ogrodzie, gdzie parę dużych, jaskrawych żarówek podświetlało wielkiego szczodrzeńca obsypanego żółtymi kwiatuszkami, które układały się w bujne kiście. Pod drzewem było coś w rodzaju altanki.

— Ale tobie się tutaj podoba, prawda?

— Hm... W zasadzie tak... Ale to dziwne miejsce... Z tym, że oczywiście jestem tu dopiero od roku, więc...

— Więc...?

— No, na przykład ten ptak, który śpiewał przed chwilą... piu-piu-piu... tak dźwięcznie, tak srebrzyście. To nie kukułka... Niestety... Jakie to dziwne. A poza tym nadal myślę mi się te wszystkie lakhi, krory... te anny i te pajsy. Muszę wszystko przeliczać w myślach. No, ale przypuszczam, że z czasem przyzwyczaję się do tego. — Po jego minie widać było, że sam w to nie wierzy. — W końcu to logiczne, że w szylingu jest dwanaście pensów, a w funcie dwadzieścia szylingów. Ale niby skąd cztery pajsy w annie i szesnaście ann w rupii?

— A jednak to kukułka. Indyjska kukułka jasnopiórka. Nie wiedziałeś o tym? Trudno uwierzyć, ale tak się przyzwyczaiłem do jej treli, że brakuje mi tego, kiedy jestem w domu na urlopie. Zresztą, mniejsza o głosy ptaków, ale nie mogę znieść hinduskich śpiewów... tego ich płacznego zawodzenia... Coś okropnego! Ale wiesz, co mnie intrygowało najbardziej, kiedy przyjechałem tutaj po raz pierwszy dwadzieścia lat temu i zobaczyłem te wszystkie piękne, eleganckie damy? — rzekł Jock Mackay wesoło, bez cienia skrepowania, skinąwszy głową w kierunku salonu. — Jak tu się pieprzyć z babą w sari?

Basil Cox drgnął raptownie i stracił z balustrady kieliszek, który wylądował na klombie kwiatów pod werandą. To wyraźnie rozbawiło Jocka Mackaya.

— No i co? — burknął niechętnie Basil Cox. — Dowiedziałeś się wreszcie?

— Ma się doświadczenia — odparł tamten wykrętnie. — Ale ogólnie rzecz biorąc, to zachwycający kraj — kontynuował wylewnie. — Pod koniec Radżu tak się między sobą zaczęli wyrzynać, że dzięki temu zapomnieli się dobrać nam do skóry. Szczęście mamy, chłopie — dodał, sącząc whisky.

— Chyba nie zachowali do nas głębokiej urazy... Nawet wręcz przeciwnie — powiedział Basil Cox po chwili milczenia, ze wzrokiem utkwionym w klombie. — Ale zastanawiam się, co sobie o nas myślą ludzie tacy jak Ćatterdżowie... W końcu nasza obecność tu, w Kalkucie, bije w oczy. Nadal się tu rządzą... No, przynajmniej handel nadal jest w naszych rękach.

— Nie przejmuj się tym — pocieszał go Jock Mackay. — Co za różnica, co kto sobie o kim myśli. Co innego konie. Ciekawe, co się tam dzieje w tych ich końskich łepetynach... Zawsze mnie to intrygowało.

— Parę dni temu byłem na kolacji u ich zięcia... właściwie wczoraj... u Aruna Mehry, który u nas pracuje... I nagle do mieszkania wtacza się jego brat, pijany jak bela, wyśpiewując na całe gardło... A zięje od niego straszną wódą, szimszam czy jakoś... Do głowy by mi nie przyszło, że Arun może mieć takiego brata... który nosi w dodatku pogniecioną piżamę!

— Tak, to rzeczywiście niesamowite — zgodził się Jock Mackay. — Znałem takiego jednego faceta z ICS, Hindusa. Zdawało się, że jest zupełnie pukka. A ten, kiedy przeszedł na emeryturę, rzucił wszystko, został sadhu i wszelki słuch o nim zaginął. A miał żonę i dwoje dorosłych dzieci.

— Niemożliwe!

— A jednak tak! Ale to uroczy ludzie. Wiesz, liżydupy, kanalie, szalbie-rze, bufony, szachraje, pacholki, obłudnicy, matacze... To jeszcze nie cała li-tania, ale reszty nie pamiętam.

— Aż tak nienawidzisz tego miejsca? — zdziwił się Basil Cox.

— Wprost przeciwnie! — odparł chwacko Jock Mackay. — Całkiem możliwe, że zainstaluję się tu na dobre na stare lata. Ale wracajmy do środka. Rozlałeś swojego drinka.

7.13

— Tylko nie daj się w nic zrobić przed trzydziestką — pouczał młodego Tapanu tłuścioch, Mr Kohli, któremu udało się wyrwać na parę minut spod żoninej kurateli. W rękę trzymał kieliszek i wyglądał jak duży, smutny, bardzo strapiony miś, który kołysze się niezdarnie z boku na bok. Jego olbrzymia czaszka — wspaniały okaz frenologiczny — świeciła się, kiedy pochylał się nad barkiem. Dowcipkując tak, mówił półgębkiem, ledwie otwierając usta, a ciężkie powieki opadały mu na oczy.

— Czas do łóżka, Baby sahib — zwrócił się do Tapanu głosem nie znoszącym sprzeciwu stary służący Bahadur. — Z polecenia memsahib.

Tapan parsknął śmiechem.

— Powiedz mamie, że poczekam do trzydziestki — powiedział, odprawiając Bahadura z kwitkiem.

— Młodym ludziom wydaje się, że czas się dla nich zatrzyma w siedemnaste urodziny — kontynuował swoje wywody Mr Kohli. — Że tak już zastygną w tej postaci, zawsze młodzi, zawsze szczęśliwi. Ale tobie to jeszcze nie grozi. Zostało ci sporo czasu. Ile masz lat?

— Trzyznaście... Prawie trzyznaście.

— Klawo. Ale postaraj się więcej nie dorastać — zasugerował Mr Kohli.

— Mówi pan na serio? — zapytał Tapan, zbity z tropu i wyraźnie zawiedziony. — To znaczy pana zdaniem nic się nie zmienia na lepsze?

— Nie bierz tego, co mówię, tak zupełnie na serio — pocieszył go Mr Kohli. Zamilkł na chwilę, żeby upić swojego drinka. — Z drugiej strony — dodał jednak zaraz — nie wierz we wszystko, co ci mówią starsi, ale nie lekceważ sobie moich słów.

— Marsz do łóżka, Tapan — powiedziała surowo, podchodząc do nich, Mrs Catterdzi. — Co to znowu za fanaberie? Jak ty się odzywasz do Bahadura? Jeśli się będziesz tak zachowywał, nie pozwolę ci wieczorami z nami siedzieć. Nalej panu Kohli drinka i spać!

7.14

— O, nie, nie, Dipankar — mówiła nieco pobłażliwie sędziwa matrona, czcigodna Krzewicielka Wiedzy, kręcąc energicznie, z prawa w lewo, siwą głową i nie spuszczać oka ze swego rozmówcy. I choć wzrok miała przytępiony, spojrzenie jej było jasne, butne. — Jaki tam znowu Dualizm! Ja tak powiedziałam?! Co ty opowiadasz, Dipankar! A skądże! Jedność to absolut, właściwa istota naszej hinduskiej filozofii. Tak... tak... Jedność Bytu, powszechne zrzeszenie wszystkiego, co przetacza się przez nasz rozległy półwysep. — Z macierzyńską czułością zakreśliła dłonią koło, ogarniając wszystkich zgromadzonych na wielkiej sali. — Ta Nierozdzielność wiezie prym, tu, na naszej prastarej ziemi.

Dipankar przytakiwał gorliwie, mrugając raz po raz. Wychylił duszkiem swojego scotcha, a Kakoli puściła do niego oko. Myślała z czułością o swoim bracie. Lubiła go za jego mistycyzm: jako jedyny spośród młodych Ćatterdżich podchodził poważnie do życia. A ponieważ miał miłą, uległą naturę, często padał ofiarą takiego czy innego oratora, głosiciela nowomodnej herezji albo przebrzmiałej doktryny (a niejeden już przestąpił progi tego ekscentrycznego domostwa). I każdy w rodzinie mógł się udać do niego po poradę w każdej sprawie, bez obawy, że narazi się na szyderstwa czy prześmiewki.

— Dipankar — powiedziała Kakoli — Hemangini chce z tobą koniecznie, ale to koniecznie porozmawiać, a musi wyjść za dziesięć minut. Mus to mus. Wygospodaruj dla niej chwileczkę.

— Dobrze, Kuku, dziękuję — powiedział stropiony Dipankar markotnie, mrugając jeszcze gwałtowniej. — Postaraj się ją zatrzymać jak najdłużej... Prowadzimy bardzo interesującą dyskusję na temat właściwej istoty ludzkiego żywota, którą jest Jedność, czyli Nierozdzielność. A co ty o tym sądzisz, Kuku? — dorzucił desperacko.

— Dipankar, Dipankar — powiedziała na to czcigodna myślicielka cierpliwie, chociaż z nie ukrywaną rezygnacją w głosie. — Nie żadna Jedność, tylko Zero! Nicość to sens naszego istnienia. Na pewno nie użyłam terminu „właściwa istota”, bo to by była tautologia. Istota, z natury rzeczy, musi być

właściwa. Indie są krajem Zera, ponieważ utworzyły je horyzonty i wschodzi ono niczym krągłe słońce, aby oświecić nas swoim blaskiem. — Przez jakiś czas studio- wała wzrokiem gulab-dżamana. — To Zero, którego symbolem jest mandala, okrąg, tarcza Czasu... to Zero, Dipankar, jest podstawą naszej cywilizacji. To na nim się ona, tak, tak, opiera. Wszystko to... — tu raz jeszcze zatoczyła pulchną dłońią koło, obejmując zamaszystym gestem regały, kwiaty w wielkich kryształowych wazonach, fortepian, niedopałki papierosów w popielniczkach, dwa talerze gulab-dżamanów, prześwietnych gości, a także samego Dipankara

— ...wszystko to Nicość... Nicość. Musisz przyswoić sobie tę ideę Nieistnienia, Dipankar, ponieważ w niej zawiera się sekret naszej egzystencji.

7.15

Poranny wiec Ćatterdżich (z udziałem Kakoli, którą normalnie trudno było ściągnąć z łóżka), odbył się nazajutrz przy śniadaniu.

Posprzątano już po przyjęciu, a Całuska spuszczone ze smyczy na wolność. Oszalały z radości, latał teraz po ogrodzie, przeszkadzając Dipankarowi w medytacji. Stratował przy tym parę roślin w warzywniku, który był oczkiem w głowie Dipankara. Mimo to Dipankar, który schował się w wybudowanej przez siebie altance, w jednym z ogrodowych zakamarków, przyjmował wszystko ze stoickim spokojem. Całusek pewnie coś tam sobie zakopał, a po koszmarach przeżyciach ostatniej nocy chciał się po prostu upewnić, że jego świat się nie zawalił.

Kakoli zażyczyła sobie, żeby zbudzić ją o siódmej rano. Musiała zadzwonić do Hansa po jego powrocie z porannej przejażdżki konnej. Że też mu się chciało zrywać o piątej, skoro świt, i forsować się bez potrzeby! Widocznie miał bardzo silną wolę. Tak jak Dipankar.

Kakoli wisiała godzinami na telefonie i nie bacząc na potrzeby innych domowników, przywłaszczała sobie bezwstydnie również samochód. Czasami jej ojciec nie był w stanie dodzwonić się do domu z pracy albo z Calcutta

Club. W całym mieście nie było nawet tysiąca telefonów, początkowo więc drugi telefon wydawał się bezsensowną, arogancką wręcz zachcianką. Odkąd jednak w jej pokoju zainstalowano przedłużacz, sędzia Catterdzi uznał, że w niedalekiej przyszłości może się to okazać całkiem sensownym rozwiązaniem.

Ponieważ wszyscy położyli się do łóżek dobrze po północy, staremu służącemu, który zazwyczaj budził Kuku (a była to trudna misja, bo spała jak zabita) i obłaskawiał ją szklanką mleka, pozwolono pospać troszeczkę dłużej. W zastępstwie Amit podjął się niełatwego zadania przebudzenia siostry.

Zapukał delikatnie do drzwi. Cisza. Wsunął się do pokoju. Przez okno wpadało już światło dzienne. Kuku spała na łóżku po przekątnej, zakrywając ręką oczy. Jej ładna, okrągła buzia nasmarowana była lakto-galmanem, którym, podobnie jak mięszem z melonowca, ujędniała skórę.

— Wstawaj, Kuku. Już siódma — powiedział Amit.

Kakoli spała jak suseł.

— Kuku, czas wstawać. Obudź się.

Kakoli poruszyła się nieznacznie, a potem zamruczała pod nosem żałośnie: „Niamnia”.

Amit przemawiał do niej przez parę minut, potrząsając ją lekko za ramiona, ale usłyszawszy w odpowiedzi jedynie niechętne „niam--nia”, ze złością rzucił ją w głowę poduszką.

Tym razem Kakoli zareagowała, prawie rozbudzona.

— Bierz przykład z Bahadura. Rób to delikatnie, jeśli już masz budzić ludzi — pouczyła go.

— Nie mam wprawy — odparował Amit. — Musiałbym stać nad twoim łóżkiem co najmniej przez dwadzieścia minut, powtarzając w kółko, do znużenia: „Czas wstawać, Kuku Baby. Baby memsahib, proszę otworzyć oczy”. I wysłuchiwać tych twoich nieartykułowanych „niam-nia”.

— Lee — rzekła Kakoli.

— Otwórz wreszcie oczy — powiedział Amit. — Inaczej przewrócisz się na drugi bok i znowu zaśniesz. — A po chwili dorzucił: — Kuku Baby.

— Lee — powtórzyła rozdrażniona Kakoli, otwierając jednak trochę powieki.

— Chcesz swojego misia? Telefon? Szklanke mleka? — zapytał usłużnie Amit.

— Mleka.

— Ile tego mleka?

— Jedną szklanke.

— Załatwione.

Amit poszedł po mleko dla Kakoli.

Po powrocie zastał ją oczywiście w łóżku ze słuchawką telefoniczną w dłoni i Całuskim wtulonym wygodnie pod pachę. Gruchała do niego pieszczotliwie, żargonem Catterdżich:

— Ty wstręciuchu. Ty ohydny, obrzydliwy wstręciuchu. — Pogładziła go po głowie słuchawką. — Wstrętne psisko. Paskudn psisko. Moje ty paskudne brzydactwo. — Nie zwracała na Amita najmniejszej uwagi.

— Zamknij się, Kuku, i pij to mleko — powiedział Amit rozsierdzony. — Nie mam czasu latać koło ciebie. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Ta uwaga niemile zaskoczyła Kakoli, która zawsze udawała bezradną istotkę, kiedy w pobliżu znajdował się ktoś chętny do pomocy.

— A może mam również wypić za ciebie mleko? — dorzucił na dokładkę Amit.

— Idź, bierz go, bierz — nakazała Całuskowi Kakołi. Całusek zignorował polecenie.

— Gdzie to postawić, jaśnie pani?

— Tutaj. — Kakoli postanowiła puścić sarkazm mimo uszu.

— Czy to już wszystko, jaśnie pani?

— Możesz odejść.

— Tylko tyle?

— I dziękuję.

— Miałem zamiar poprosić o całusa na dzień dobry, ale zmieniłem zdanie. Odstraszyła mnie ta wstrętna maska. Brrr! Co za ohyda!

Kakoli prześwidrowała Amita wzrokiem.

— Zejdź mi z oczu, okrutniku — rzuciła w jego stronę. — Nie rozumiem, dlaczego kobiety tak szaleeeeeeeeeją na punkcie twojej poezji. Głupie baby!

— Wszystko przez tę namiętność, która się w niej burzy — wyjaśnił Amit.

— Żal mi twojej przyszłej żony. Okrooownie mi jej żal. Serio.

— A mnie żal twojego przyszłego małżonka. Serio. Aha, właśnie, jak się zowie ten mój przyszły szwagier? Łamikolek?

— Co to znaczy „łamikolek”?

Amit wyciągnął prawą dłoń, udając, że wita się z niewidzialnym mężczyzną, otwierając przy tym coraz szerzej usta, z grymasem nieopisanego cierpienia na twarzy.

— Zjeżdżaj stąd. Do cna popsujesz mi humor — Kakoli ofuknęła Amita.

— Ja ci psuję humor, grymaśnico?! — odciął się Amit.

— Jak tylko wspomnę o kobietach, które coś dla ciebie znaczą, to zaraz podskakujesz.

— Niby o kim? O Jane Austen?

— Może zostawisz mnie wreszcie samą, żebym mogła zatelefonować w prywatnej sprawie? Bez podsłuchu?

— Znikam, Kuku Baby — powiedział Amit żartobliwie, rozładowując atmosferę. — Już mnie nie ma! Zobaczymy się przy śniadaniu.

7.16

Przy śniadaniu kochający się skądinąd członkowie rodziny Catterdżich prowadzili ze sobą wojnę. Wszyscy byli inteligentni, a przy tym uważali innych domowników za idiotów. Obcy często odczuwali niechęć do Catterdżich, ponieważ wydawało się, że najlepiej czują się we własnym towarzystwie, choć byli zawsze serdeczni i dla innych. Ale gdyby tak krytykanci przyłapali ich przy śniadaniu, nabrałoby do nich bez wątpienia większej sympatii.

Sędzia Catterdżi usiadł u szczytu stołu. Chociaż niewielki wzrostem, krótkowzroczny i raczej roztargniony, wzbudzał powszechny szacunek, tak w

pracy, jak i w domu, egzekwując posłuszeństwo od swoich ekscentrycznych dzieci. Oszczędny w słowach, zachowywał się z wielką godnością i umiarem.

— Trzeba nie mieć rozumu, żeby napychać się wieloowocowym dżemem — oznajmił ni stąd, ni zowąd Amit.

— Co to za przytyki? — warknęła urażona Kakoli.

— Żadne przytyki, Kuku. Mówię tak ogólnie. Podaj mi masło, jeśli łaska.

— Sam sobie weź — odburknęła niegrzecznie Kakoli.

— Kuku, Kuku — skarciła ją Mrs Catterdzi.

— Nie mogę — zaprotestował Amit. — Mam zmiażdżone dłonie.

Tapan parsknął śmiechem. Kakoli przeszyła go nienawistnym spojrzeniem, a potem naburmuszyła się i zaanonsowała ponuro:

— Potrzebny mi dzisiaj samochód, Baba. Mam coś bardzo ważnego do załatwienia na mieście. Zajmie mi to cały dzień.

— Baba! — zaprotestował Tapan. — Przecież miałem dzisiaj jechać na cały dzień do Pankadża.

— Muszę jechać z samego rana do Hamiltona po odbiór srebrnego kałammarza — uprzedziła męża Mrs Catterdzi.

Sędzia Catterdzi zmarszczył brwi.

— Amit? — zwrócił się do najstarszego syna.

— Pas — powiedział Amit.

Dipankar, który również zrezygnował z licytacji, zastanawiał się głośno, co dzisiaj ugryzło Kuku. Wyglądała na dziwnie zadumaną. Kuku wydeła pogardliwie wargi, natomiast Amit i Tapan zaintonowali zespołowo:

— Z tęsknoty serce usycha...

— ACH!

— Ten gorzki śmiech to śmiech przez łzy...

— CIACH!

— Tęskne melodie koją żal...

— TRACH! — ryknął entuzjastycznie Tapan, dla którego Amit był idolem.

— Nie przejmuj się, kochanie — powiedziała Mrs Catterdzi pojednawczo. — Wszystko się w końcu samo ułoży.

— I tak nie macie pojęcia, o czym myślałam — odcięła się Kakoli.

— To znaczy o kim — poprawił ją Tapan.

— Zamknij się, jadowna gadzino — wycedziła przez zaciśnięte zęby Kakoli.

— Kiedy to całkiem miły facet — zaryzykował Dipankar.

— Taki sobie typowy czaromata — wtrącił Amit.

— Co to znaczy „czaromata”? — zapytał zdumiony ojciec. — A może się przesłyszałem?

Mrs Catterdzi również chciała wiedzieć:

— No, właśnie, kochanie, co to takiego „czaromata”?

— Taki czaruś-dyplomata — wyjaśnił Amit. — Wyniosły, ale przy tym czarujący. Do takich kiedyś wzdychała nasza Minakszi. Nawiasem mówiąc, jeden jest ze mną dzisiaj umówiony na spotkanie. Chce mnie wypytać o naszą kulturę i literaturę.

— Amit! Naprawdę?! — zapytała Mrs Catterdzi z ożywieniem. — A kto to taki?

— Jakiś ambasador... chyba z Południowej Afryki... A może z Peru albo z Chile czy skądś tam jeszcze — powiedział Amit. — Podobno kultura to jego konik. Dostałem telefon z Delhi jakieś dwa tygodnie temu i umówiliśmy się na spotkanie... Zaraz, a może z Boliwii? Chciał się spotkać z jakimś pisarzem w czasie swojego pobytu w Kalkucie. Głowę dam, że wcale nie zna mojej twórczości. Mrs Catterdzi powiedziała podekscytowana:

— Wobec tego muszę dopilnować, żeby nie było jakiejś wpadki. A przecież przyrzekłeś, że dzisiaj zobaczysz się z Biswasem babu...

— Przyrzekłem i dotrzymam słowa.

— To nie jest wcale żaden czaromata — powiedziała nagle Kuku. — Widziałeś go raz w życiu i...

— Nie, nie, to chłopak w sam raz dla naszej Kuku — powiedział Tapan. — Bachdzo ściery.

Dla Biswasa babu nie było większego komplementu. Kakoli uważała, że powinno się Tapanowi natrzeć uszu.

— Podobał mi się — stanął w obronie Hansa Dipankar. — Tak grzecznie odnosił się do faceta, który kazał mu pić gorzką tykwę. Ma naprawdę dobre serce.

A Amit zamruczał:

Czy serce twe z kamienia, miły? Skąd chłód ten twój?

Nie opuszczaj mnie nigdy, podaj mi dłoń. Bądź mój.

— Tylko jej nie zgnieć w uścisku — zaśmiał się Tapan.

— Przestańcie! — krzyknęła Kuku. — Złośliwcy!

— Wnet zabrzmiały wam dzwony ślubne, Kuku — wsadził znowu szpilę Tapan, nie bacząc na siostrzany gniew.

— Dzwony ślubne czy żądze zgubne? — spytał niewinnie Amit, a Tapan wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

— Wystarczy, Amit — powiedział surowo sędzia Catterdzi, zanim zdążyła interweniować jego żona. — Przestańcie skakać sobie do gardła przy śniadaniu. Może zmienicie temat?

— Właśnie — poparła go Kuku. — Pomówmy na przykład o tym, jak Amit zalecał się wczoraj przez cały wieczór do Laty.

— Do Laty? — spytał Amit szczerze zdziwiony.

— Do Laty, do Laty — powtórzyła, przedrzeźniając go, Kuku.

— Naprawdę, Kuku, miłość pomieszała ci zmysły — odparował Amit.

— Zamieniłem z nią ledwie parę słów.

— No, pewnie. Tak ci się tylko wydaje. Wiadomo...

— To po prostu bardzo miła dziewczyna — odparł Amit. — A ja nie musiałbym wcale jej tyle asystować gdyby nie samolubstwo Aruna i Minakshi. Tamten ubijał interesy, a ta znowu cały wieczór plotkowała.

— Doskonale. Nie będziemy więc musieli ciągle jej do siebie zapraszać tylko dlatego, że akurat jest w Kalkucie — wymamrotała złośliwie Kuku.

Mrs Catterdzi nie powiedziała ani słowa, ale wyglądała na poruszoną.

— Kogo do siebie zapraszam, to moja sprawa. Nie będziesz mi rozkazywać — odpalił Amit. — Ty przywlokłaś wczoraj całą bandę jakichś swoich przydupców.

— Wszelkiej maści i autoramentu. — Tapan nie potrafił trzymać języka za zębami.

Kuku skarciła go szorstko:

— Nie wtrącaj się do rozmowy starszych, smarkaczu.

Tapan pokazał jej język z bezpiecznej odległości. Raz Kuku tak się na niego rozgniewała za te głupie miny, że pogoniła go wokół stołu, ale na ogół do południa była zbyt rozespana.

— Kupa luda nie z tej ziemi — powiedział Amit z marsem na czole. — Weźmy dla przykładu Krysznana. Skąd go wytrzasnąłeś? Musi być z Południa, bo taki czarny. Przeszywał twojego attache wzrokiem bazyliuszka.

— To tylko kolega — broniła się Kuku, rozsmarowując z namaszczeniem masło. — Może jest na mnie trochę zły. I co z tego?

Amit na poczekaniu ułożył kuplet, którego nie powstydziliby się sama Kakoli:

Krysznan? Żarty, przyjacielu!

Toż to tylko jeden z wielu!

A Tapan dorzucił następną zwrotkę:

Piwo żłopie, a w wyniku

Picia piwa pędzi siku.

— Tapan! — zgromiła go zgorszona matka.

Trójka starszego rodzeństwa wyraźnie miała na jej beniaminka zgubny wpływ.

Sędzia Catterdzi odłożył grzanekę.

— Za daleko się posuwasz, Tapan — powiedział surowo.

— Ale, Baba, przecież to tylko żarty — zaprotestował Tapan, rozżalony, że czepiano się go „za niewinność”. Taki genialny kuplet! Wszystko przez to, że jest najmłodszy!

— Żarty żartami, ale co za dużo, to niezdrowo — powiedział do niego ojciec. — A ty, Amit, nie wytykaj palcami innych, bo sam żyjesz manną niebieską.

— O, właśnie! — poparła go z zapalem Kuku, widząc, że szala zwycięstwa przechyla się na jej stronę. — Weź się wreszcie do jakiejś uczciwej pracy, ty nygusie. Staraj się być pożyteczny, zamiast krytykować innych.

— Ja piszę wiersze i powieści — bronił się Amit. — I co w tym złego? Czyżby to wtórny analfabetyzm, siostrzyczko? Wszystko, widać, na tle tej namiętności.

— Całkiem przyjemne hobby, nie powiem — powiedział sędzia Catterdzi. — Ale to żaden zawód. Mógłbyś zostać prawnikiem. Co w tym złego?

— Powrót do szkolnej ławy — rzekł lakonicznie Amit w ramach wyjaśnienia.

— A jakże to doszedłeś do tak zaskakujących wniosków, jeśli można wiedzieć — spytał jego ojciec bardzo oschle.

— No, na przykład, chodzi się dalej w mundurku, to znaczy w jakimś przyzwoitym ubraniu. Tylko zamiast „panie profesorze”, trzeba mówić „milordzie”. Istny koszmar!... Czeka się cały rok na wakacje i dostaje, tak jak Tapan, nagrody i nagany: to znaczy jedne sprawy się wygrywa, a drugie przegrywa. A potem, po latach mozolnej pracy, dochrapie się człowiek wreszcie stanowiska sędziego i wszyscy zaczynają mu się kłaniać w pas.

Sędziemu Catterdzemu nie podobała się wcale ta analogia.

— Twój dziadek i ja jakoś to jednak przeżyliśmy — podsumował kwaśno wypowiedź syna.

— Ale Amit ma niepospolity talent — wtrąciła Mrs Catterdzi. — Nie jesteś z niego dumny?

— To niech rozwija swoje niepospolite talenta w chwilach wolnych od pracy — odburknął jej mąż wyraźnie rozdrażniony.

— Czy tak byś radził Rabindranathowi Tagore?

— Istnieje pewna różnica między tobą a Tagore. Sam chyba przyznasz?

— Sędzia Catterdzi spojrział na syna pytająco.

— Owszem, Baba, nie zaprzeczam — powiedział pojednawczo Amit. — Ale jaki to ma związek z moimi poglądami na tę sprawę?

Niestety, Mrs Catterdzi, która czciła bałwochwalczo wieszczka, zwróciła się teraz przeciwko synowi.

— No, wiesz, Amit! — wykrzyknęła. — Jak tak możesz mówić?! O Gurudewie?!... To bluźnierstwo!

— Mago, przecież nie mówiłem, że... — zaczął Amit.

Ale Mrs Catterdzi w ogóle go nie słuchała.

— Robi babu to święty człowiek. My, Bengalczyki, wszystko mu zawdzięczamy. Pamiętam, jak raz powiedział do mnie w Santiniketanie...

Teraz Kakoli stanęła po stronie brata.

— Mago! Naprawdę... proszę... Słyszeliśmy już o tym Eldorado. Najpewniej powiesiłabym się z rozpaczy, gdybym tam musiała zamieszkać.

— Jego głos to głos wołającego na puszczy — ciągnęła matka, ignorując słowa córki.

— Nieprawda! — zaprotestował Amit. — Gloryfikujemy go bardziej niż Anglicy Szekspira.

— I słusznie — rzekła Mrs Catterdzi. — Jego pieśni cisną się nam na usta, jego wiersze przemawiają do naszych serc.

— *Abol Tabol* to, moim zdaniem, jedyna dobra książka w całej literaturze bengalskiej — oznajmiła wszem wobec Kakoli.

Griffonling śpiew i śmiech uważa za ciężki grzech.

Igraszki w pogardzie ma, a życie dla niego to pech.

— Aha, i lubię jeszcze *Przypowiadki puszczyka Hutoma*. A kiedyś usiądę i napiszę własne: *Przypowiadki pieska Caluska*.

— Kuku, jak ci nie wstyd! — wykrzyknęła rozgniewana Mrs Catterdzi. — Proszę, nie pozwól jej mówić takich rzeczy!

— Po prostu różnicie się w poglądach na ten temat, kochanie — powiedział sędzia Catterdzi. — Jak mogę zabronić jej mieć własne zdanie?

— Ale przecież tu chodzi o Gurudewę... Sama śpiewa jego pieśni... Chodzi o Robi babu...

Kakoli, która z mlekiem wyssała pieśni Rabindrasangeeta i miała tego po dziurki w nosie, zanuciła teraz na melodię *Shonkochero bihvalata nijere apoman*, w wersji skróconej:

Stary głęda, Robi babu! Stary głęda, babu-gadu!

Męczybuła, gadu-gadu!

Ga -du -pa-du-pa-du-ga-du!

Robi ga-du-pa-du-babu! Stary głęda,

Robi babu! Oj, tak, tak, tak, babu-ga-du!

— Przestań! Milcz! Przestań natychmiast! Kakoli! Słyszysz mnie? — wykrzyknęła Mrs Ćatterdzi w bezsilnej złości. — Przestań! Ty głupia, płytka, bezwstydna dziewczyno.

— Oj mamó, no, naprawdę — upierała się Kakoli. — Trudno go strawić. To takie flaki z olejem. Szkoda, że nie słyszałaś, co miała do powiedzenia na temat Gurudewy Ila Ćattopadhjaj! „Księżycowa poświęta i ukwiecone łoża...” Tak go podsumowała.

— Mamó, nie bierz sobie tego wszystkiego tak bardzo do serca — powiedział Dipankar. — Nie daj im się zranić. Dopasuj ich słowa do potrzeb własnej duszy. W ten sposób spłynie na ciebie błogie ukojenie.

Mrs Ćatterdzi była niepoczyszona, a błogie ukojenie nie chciało na nią jakoś wcale spłynąć.

— Czy mogę wstać od stołu? — zapytał Tapan. — Jestem już po śniadaniu.

— Oczywiście — odrzekł ojciec. — Zobaczymy, co się da zrobić z samochodem.

— Ila Ćattopadhjaj to durna dziewczyna — powiedziała ze złością Mrs Ćatterdzi. — A te jej książki... też mi coś! Wypociny! Widać, że im kto więcej pisze, tym mniej ma czasu na myślenie. A poza tym jak ona wczoraj wyglądała! W tej wygniecionej szmacie!

— No, z lat dziewczęcych, kochanie, to ona już dawno temu wyrosła — zauważył sędzia Ćatterdzi. — To już starszawa pani, dobrze po pięćdziesiątce.

Mrs Ćatterdzi popatrzyła na męża z irytacją. Pięćdziesiątka to w końcu jeszcze nie wiek podeszły!

— Ale trzeba się liczyć z jej opinią — wtrącił Amit. — Ma głowę na karku. Doradzała wczoraj Dipankarowi, żeby rzucił ekonomię, bo to dziedzi-
na bez przyszłości. I widać było, że wie, co mówi.

— A tam! — odparła lekceważąco Mrs Catterdzi. — Ona zawsze udaje, że wszystkie rozумы zjadła. Poza tym — dodała bez związku — jest z nami skoligacona przez waszego ojca. A jeśli nie docenia Gurudewy, musi mieć serce z kamienia.

— Trzeba ją zrozumieć — powiedział Amit. — Po tylu życiowych tragediach każdy by zhardział.

— Jakich znowu życiowych tragediach? — zdziwiła się Mrs Catterdzi.

— No, kiedy miała cztery latka, matka dała jej klapsa... Dostała na tym tle urazu... Życie jej nie głaaskało po głowie, oj nie... Jako dwunastolatka została wiceprymuską; tylko wice. Człowiek jednak hardziej po takich przeżyciach.

Mrs Catterdzi spojrziała na męża zde gustowana.

— Skąd masz takie kopnięte potomstwo? — spytała męża oskarżycielsko.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział.

— Gdybyś spędzał z nimi więcej czasu, zamiast przesiadywać codziennie w tym swoim klubie, nie wyrosliby na takich postrzeleńców — powiedziała Mrs Catterdzi z pretensją. Rzadko zdarzało się jej wysuwać podobne zarzuty, ale dzisiaj była przemęczona i podenerwowana.

Zadzwoił telefon.

— Założę się, że to do Kuku — powiedział Amit.

— Wcale nie.

— A co? Poznajesz po dzwonku?

— To do Kuku! — zawołał Tapan z za drzwi jadalni.

— O, a kto to? — spytała Kuku i pokazała Amitowi język.

— Twój Krysznan.

— Powiedz mu, że nie mogę podejść do telefonu. Zadzwoń później.

— Mam powiedzieć, że jesteś w wannie? Czy że śpisz? A może wybrałaś się na przejażdżkę samochodem? Albo wszystko naraz? — uśmiechnął się szelmowsko Tapan.

— Błagam, Tapan — powiedziała Kuku. — Bądź człowiekiem. Wy-myśl coś na poczekaniu. Najlepiej powiedz mu, że wyszłam.

Mrs Catterdzi była tak zaszokowana, że wykrzyknęła:

— Ależ, Kuku, toż to jawne kłamstwo!

— Wiem, Ma, ale to taki nuuuudziarz. Co na to poradzę?

— Właśnie, cóż można poradzić — mruknął ponuro Amit — kiedy się ma setki przyjaciół od serca?

— Zawiść cię toczy, bo ciebie nikt nie lubi! — wykrzyknęła zraniona do żywego Kuku.

— A nieprawda! Znam mnóstwo ludzi, którzy bardzo mnie lubią — rzekł Amit. — Na przykład Dipankar. Prawda, że mnie lubisz, Dipankar? — zwrócił się do brata.

— Oczywiście, Dada — odparł krótko a rzeczowo Dipankar.

— I przepadają za mną wszyscy wielbicielowie mojego talentu — dorzucił Amit.

— Tylko dlatego, że cię nie znają — warknęła w odpowiedzi Kakoli.

— Tu się z tobą zgadzam — rzekł Amit. — A skoro mowa o nie znanych wielbicielach, lepiej pójdę się przygotować na spotkanie z Jego Eksce-lencją. Przepraszam.

Amit wstał od stołu, a Dipankar poszedł w jego ślady. Sędzia Catterdzi natomiast zdecydował, kto i kiedy dostanie do dyspozycji auto, biorąc również pod uwagę prośbę Tapaną.

7.17

Mniej więcej kwadrans przed umówionym spotkaniem Amit został poinformowany telefonicznie, że ambasador „nieco się spóźni”. „Nie szkodzi”, pomyślał Amit. „Nic wielkiego”.

Jednak rozzłościł się nie na żarty, kiedy pół godziny później znowu dostał wiadomość o „dodatkowym opóźnieniu”. Gdyby nie musiał czekać, mógłby podgonić trochę z pisaniem.

— A czy ambasador dotarł już przynajmniej do Kalkuty? — zapytał mężczyznę przy telefonie.

— O tak — odparł głos w słuchawce. — Przyjechał wczoraj po południu. Po prostu trochę się spóźnia. Ale jest już w drodze do pańskiego domu. Wyjechał dziesięć minut temu. Powinien tam być za jakieś pięć minut.

Amit już na dobre zaczął tracić cierpliwość. Oczekiwał również tego rana Biswasa babu, a nie chciał kazać czekać na siebie staremu kanceliście ojca. Niemniej jednak opanował się, przełknął zniewagę i wybąkał nawet na pożegnanie jakąś grzecznościową formułkę.

Piętnaście minut później senior Bernardo Lopez zajechał pod dom wielką, czarną limuzyną. Towarzyszyła mu młoda, zwawa ko bieta, która miała na imię Anna-Maria. Przepraszał gorąco za spóźnienie, a jego energiczna, sprawna sekretarka wyjęła ze swojej torebki notes, gdy tylko usiedli.

Słowa nader kulturalnego dyplomaty były wyważone i przemyślane, ale wyrażał się raczej niezdarnie, a poza tym patrzył wszędzie, tylko nie na Amity: wybijając palcami jakiś rytm, przyglądał się filizance, własnej dłoni, sekretarce (do której kiwał głową, jakby dodając jej tym otuchy) i globusowi w kącie pokoju. Uśmiechał się od czasu do czasu. Wymawiał „bardzo” jak „war-dzo”.

Głaszcząc nerwowo, z namaszczeniem swoją łysiejącą czaszkę, świadom, że spóźnił się o całe trzy kwadranse, co było rzeczą nie do wybaczenia, starał się przejść z miejsca do rzeczy.

— Mr Catterdzi, Mr Amit Catterdzi, jeśli wolno mi być takim zuchwałym, często w trakcie moich oficjalnych obowiązków ambasadora, jak pan wie, którym jestem może od roku... Niestety, nie jest to stała, czy, powiedzmy sobie, nawet pewna posada; w tym zawodzie nigdy nie ma, niestety, powiedziałbym, bo chyba nie będzie to przesada, że się tak wyrażę (tak, to brzmi dużo lepiej, jeśli wolno mi popisać się takim zwrotem w obcym języku), nigdy nie ma gwarancji na jak długo... to znaczy, w przeciwieństwie do was, lite-

ratów, którzy... ale zresztą, chciałbym powiedzieć, że pragnę pana zapytać o to wprost, to jest, proszę o wybaczenie, bo jak pan wie, jestem spóźniony o czterdzieści pięć minut, a to znaczy, że zabieram panu cenny czas (drogocenny czas, bo tak tu mówią niektórzy, jak zauważyłem), częściowo dlatego, że wybrałem się z opóźnieniem (przyjechałem prosto od znajomego w tym nadzwyczajnym mieście, do którego, mam nadzieję, wybierze się pan, kiedy znajdzie pan chwilę czasu... czyli do Delhi, rzecz jasna... to znaczy, mam na myśli, żeby nie powtarzać, gdzie mieszkamy... chociaż proszę mi otwarcie powiedzieć, czy się nie narzucam oczywiście), ale poprosiłem mojego sekretarza, aby pana o tym powiadomił (mam nadzieję, że to zrobił, czy tak?), ale częściowo również dlatego, że nasz szofer zawiózł nas na Harza Road... eee... co pewnie zdarza się dosyć często, ten błąd, ponieważ ulice są niemal równoległe i leżą jedna przy drugiej, gdzie na szczęście spotkaliśmy dżentelmena, który był tak uprzejmy i skierował nas ku tej wspaniałej rezydencji... a znam się na tym jako biegły... bo nie chodzi tylko o architekturę, ale jak się państwu udało zakonserwować atmosferę... jakby tu powiedzieć, naturalną urodę czy raczej urok albo nawet jego dziewictwo... ale jak mówiłem (przechodząc do rzeczy), spóźniłem się rzeczywiście o całe czterdzieści pięć minut, więc muszę pana zapytać, tak jak pytam innych w ramach moich obowiązków, chociaż w tym przypadku nie jest to wcale obowiązek, ale cała przyjemność po mojej stronie (chociaż rzeczywiście muszę o coś pana prosić czy raczej zapytać), muszę pana zapytać, podobnie jak innych oficjałów, którzy muszą się trzymać harmonogramu zajęć, chociaż pan nie jest oficjałem, ale jednak, no, cóż, człowiekiem bardzo zajęтым: czy będzie pan mógł poświęcić... czy też może jest pan potem umówiony po tym naszym spotkaniu... No, więc? Czy wyrażam się jasno?

Amit przerażony, że będzie musiał znosić to jeszcze dłużej, powiedział prędko:

— Niestety, Wasza Ekscelencjo, proszę mi wybaczyć, ale za kwadrans mam bardzo ważne spotkanie ze starym przyjacielem mojego ojca. Oj, nie, przepraszam, teraz zostało już niestety zaledwie pięć minut.

— To może jutro? — zapytała Anna-Maria.

— Niestety, jutro wyjeżdżam do Palasznagar — powiedział Amit, podając nazwę nie istniejącego miasta, w którym rozgrywała się akcja jego powieści. „Nie jest to w końcu dalekie od prawdy”, usprawiedliwiał się w myślach.

— A, to wielka szkoda, wielka szkoda — rzekł Bernardo Lopez. — Ale skoro zostało nam jeszcze te pięć minutek, to proszę mi pozwolić postawić panu takie oto proste pytanie, bo dla mnie to prawdziwa zagadka: dlaczego znajdujemy w poezji hinduskiej te wszystkie „byty”, fale, trele, te rzeki życia nawet u wielkiego Tagore? Ale pozwolę tu sobie sprecyzować, że przez „my” rozumiem „my z Zachodu”, jeśli Południe można oczywiście zaliczyć do Zachodu. Kiedy zaś mówię „znajdujemy”, mam na myśli taki sam sposób, w jaki Kolumb znalazł, prawda, Amerykę, której, jak dobrze wiemy, nie potrzebował wcale znajdować, ponieważ już tam byli ci, dla których taki opis bardziej byłby obraźliwy niż zbyteczny, a przez poezję hinduską rozumiem oczywiście tylko tę poezję, do której mamy dostęp, to znaczy tę, która została przełożona w tłumaczeniu. Czy zechciałby pan oświecić mnie w tym świetle? Nas?

— Postaram się — powiedział Amit.

— Widzisz?! — powiedział Bernardo Lopez tryumfalnie do Anny-Marii, która odłożyła teraz swój notatnik. — W krajach wschodnich nic nie pozostaje bez odpowiedzi. Nawet to, na co nie ma odpowiedzi. *Felix qui potuit rerum cognoscere causas*. Ale kiedy odnosi się to do całego narodu, to dopiero godne podziwu! Doprawdy, kiedy przybyłem tutaj przed rokiem, przeczuwałem właśnie, że...

Ale teraz wszedł Bahadur i poinformował Amita, że Biswas babu czeka na niego w gabinecie ojca.

— Proszę mi wybaczyć, Wasza Ekscelencjo — powiedział Amit, podnosząc się miejsca. — Wygląda na to, że przyjaciel ojca już na mnie czeka. Ale zastanowię się głęboko nad tym, co mi pan powiedział. Bardzo miło było pana poznać. To dla mnie zaszczyt.

— No, a jeśli chodzi o mnie, młody człowieku, choć cóż to znaczy „młody”? Tylko, tyle, że Ziemia obróciła się wokół Słońca mniejszą liczbą razy od czasu pańskiego zaczęcia... eee... poczęcia niż od mojego (i co z tego, między nami mówiąc, i co z tego?), ja również rozmyślać będę nad rezultatem tej naszej pogawędki i przemyślę to wszystko ponownie „w chwilach ciszy i zadu-

my", jak to mawiał Poeta Jeziora. Ów dynamizm, apetyt, który wzrastał we mnie w trakcie tego naszego niedługiego wywiadu, dzięki czemu z otchłani niewiedzy mogłem zakosztować owoców wiedzy... Tylko czy to aby na pewno postęp? Któż to wie: może czas pokaże? Chociaż czas to kłamca; na to nie warto liczyć... No cóż, zachowam to we wdzięcznej pamięci.

— Tak, dziękujemy serdecznie — powiedziała Anna-Maria, biorąc do ręki swój notatnik. — Mamy wobec pana dług wdzięczności.

Wsiedli do wielkiej, czarnej limuzyny, a Amit pomachał im na pożegnanie z progu domu, nie zwróciwszy nawet uwagi na białego, puszystego kota Pie-rzynkę, którego służący dziadka wyprowadzał właśnie na smyczy na przechadzkę. Bolała go głowa i nie był w nastroju do dyskusji, ale Biswas babu przyszedł specjalnie po to, żeby się z nim zobaczyć i nawrócić go — jak się domyślał — na prostą drogę, to znaczy przekonać go, żeby nie zarzucał kariery prawniczej. Stary kancelista ojca, którego wszyscy poważali i traktowali niemal jak członka rodziny, nie mógł przecież czekać na niego w nieskończoność, wrastając stopami w ziemię czy raczej trzęsąc, swoim zwyczajem, kolanami. Na to Amit nie mógłby pozwolić za nic w świecie!

7.18

Było tylko jedno „ale”: odkąd Amit wrócił z Anglii „w laurze sławy” (wedle słów Biswasa babu), stary kancelista nalegał, żeby rozmawiali wyłącznie po angielsku, chociaż sam z trudem potrafił wysłowić się w tym języku, podczas gdy bengalski Amita był zupełnie płynny. Kosztowało to Biswasa babu wiele wysiłku, dlatego przywilej ten rezerwował dla nielicznych wybrańców losu, ale ponieważ Amit zawsze był jego pupilkiem, mógł teraz dostąpić owego zaszczytu.

Mimo ciepłej, letniej pogody Biswas babu ubrany był w płaszcz i dhoti. Miał z sobą parasol i czarną teczkę. Bahadur podał mu filiżankę herbaty, a ten zamieszał ją łyżeczką w zamyśleniu, rozglądając się jednocześnie po pokoju, w którym przepracował tak wiele lat: najpierw dla dziadka, a potem dla ojca

Amita. Na widok Amita wstał. Powitawszy z wielkim szacunkiem Biswasa babu, Amit zasiadł za olbrzymim, mahoniowym biurkiem ojca. Po zwykłej wymianie uprzejmości na temat zdrowia rodziny i wzajemnej gotowości do usług, rozmowa się urwała.

Biswas babu poczęstował się dla kurażu szczyptą tabaki, i wciągnął ją głęboko w nozdrza. Wyraźnie coś mu leżało na sercu, ale nie miał śmiałości podjąć tak od razu tego tematu.

— Domyślam się, co pana do mnie sprowadza, Biswas babu — przerwał wreszcie milczenie Amit.

— Oo?! — wybąkał Biswas babu głosem pełnym skruchy, wyraźnie zaskoczony deklaracją Amita.

— I od razu muszę zaznaczyć, że nawet pańskie wstawiennictwo nic tutaj nie pomoże — asekurował się dalej Amit.

— Nie pomoże? — powtórzył Biswas babu, pochylając się w przód i uderzając nerwowo kolaniem o kolano.

— Biswas babu, zdaję sobie sprawę z tego, że pana zdaniem nie spełniłem pokładanych we mnie nadziei rodziny.

— I...? — Biswas babu popatrzył na niego pytająco.

— Widzi pan, wiem, że u nas profesja ta przechodzi z ojca na syna. Musi się to panu wydawać bardzo dziwne. Niewątpliwie zawiodłem pańskie oczekiwania.

— Dziwne nie dziwne, tylko że czas ucieka, a pan się od napitku wymawia, a pości, chociaż przecie posuchy nie ma. Dlatego właśnie tu jestem.

— Posuchy nie ma? — powtórzył Amit kompletnie zdezorientowany.

— Minakshi pierwsza wystartowała, ale teraz pan musi przejąć od niej pałeczkę.

Nagle Amit parsknął niepohamowanym śmiechem. Wreszcie go olśniło: Biswas babu nie mówił wcale o praktyce adwokackiej, tylko o małżeństwie!

— Aha, do tego pan zmierza, Biswas babu! No, no! I po to tylko przyszedł pan się ze mną zobaczyć? — zapytał. — Ze mną? Nie z moim ojcem?

— Z pańskim ojcem przeprowadziłem już na ten temat poważną rozmowę przeszło rok temu. I gdzie są rezultaty?

Amit nie przestawał się uśmiechać, chociaż głowa pękała mu z bólu. Na szczęście Biswas babu nie czuł się wcale urażony. Powiedział do Amita:

— Bez połowicy, panie, to chłop albo święty, albo świnia. Teraz pan musi albo w tę, albo we w tę. No, chyba że takie myśli pana nigdy nie nadojdą...

Amit wyznał, że wręcz przeciwnie.

Biswas babu potwierdził, że niewielu takich się rodzi. No, może ludzie natchnieni, tacy jak Dipankar, potrafią się oprzeć chuciom. Ale tym bardziej, teraz już tylko w Amicie cała nadzieja. Inaczej linia rodowa wygaśnie...

— Niech pan temu nie daje wiary, Biswas babu — rzekł Amit. — Cicha woda brzegi rwie, tak to jest z naszym Dipankarem.

Ale Biswas babu nie pozwolił mu zboczyć z tematu.

— Właśnie tak myślałem o panu parę dni temu... Latka lecą — powiedział z naciskiem. — Dobija pan trzydziestki... Dobrze mówię? Ile ma pan tak zamiar jeszcze dryfować na wolnych wodach? Nie żal panu rodziców? Ma pan wobec nich dług wdzięczności. Nawet Mrs Biswas przyznaje mi w tym rację. Są tacy dumni z pana osiągnięć!

— Ale przecież mają już Aparnę, dar Minakszi.

Wyraźnie jednak w oczach Biswasa babu dziewczynka, nie nosząca nawet nazwiska Catterdżich, zupełnie się nie liczyła. Potrząsnął głową na znak sprzeciwu.

— Jestem głęboko przekonany... — zaczął, a potem przystanął na chwilę, żeby to Amit musiał go ubłagać o dalszy ciąg tej tyrady.

— Więc co powinienem zrobić pana zdaniem, Biswas babu? — zapytał Amit, czytając w jego myślach. — Przecież kiedy rodzice chcieli mnie koniecznie przedstawić tej dziewczynie, Sormiście, to pan się temu ostro sprzeciwił, jak mi mówił ojciec.

— Ale tamta to nic dobrego. — Siedzący przy rogu biurka Biswas babu machnął lekceważąco ręką, marszcząc przy tym brwi w zamyśleniu. Nie przypuszczał, że ta rozmowa będzie szła jak po grudzie. — Opinię miała zszarganą. Tylko by pan sobie biedy napytał i tyle. Nie mogłem na to pozwolić, musiałem się wywiedzieć.

— No i się pan wywiedział.

— Rozumie się, Amit babu. Może jeśli chodzi o karierę zawodową, to pan sam wie lepiej. Ale ja mam życiowe doświadczenia i wiem, co to szaleństwa młodości. Jeden głupi krok i człek pokutuje przez resztę żywota.

— Zgubiłem się. Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

Biswas babu nie odpowiedział od razu. Zażenowany, jak się zdawało, zaczerpnął powietrza, ale przełamał się wreszcie, przeświadczony o swojej powinności wobec tej jakże bliskiej mu rodziny. Występował tu przecież w roli doradcy: ta myśl dodawała mu odwagi.

— Rzecz to wielce niebezpieczna, wiadomo, a każda niewiasta, która współżyje z więcej niż jednym mężczyzną, zwiększa jeszcze ryzyko — dorzucił na zakończenie.

Amit nie miał pojęcia, co powiedzieć, ponieważ nadal nie rozumiał, do czego tamten zmierzał.

— W zasadzie niewiasta może pójść z każdym mężczyzną, bez ograniczeń — zauważył poważnie, wręcz ponuro Biswas babu, z nutką nagany w głosie pod adresem Amita. Zamilkł na chwilę, a potem dodał: — Chociaż nasze hinduskie społeczeństwo woli tego nie dostrzegać, to muszę powiedzieć, że w istocie niewiasta bardziej się na ogół rozgrzewa niż mężczyzna. Dlatego za duża różnica nie jest wcale wskazana. Niewiasta i mężczyzna powinni stygnąć równocześnie.

Wyraz twarzy Amita zdradzał kompletne osłupienie.

— Chodzi mi tu o różnicę wieku, oczywiście — sprecyzował swoje stanowisko Biswas babu. — W ten sposób zachowana zostaje równowaga. Inaczej dochodzi do tego, oczywiście, że starszy mężczyzna wypala się, kiedy jego żona jest akurat u szczytu swoich możliwości. A to prowadzi, panie, do przენiewierstwa.

— Przeniewierstwa — powtórzył za nim niczym echo Amit. Biswas babu nigdy przedtem o takich sprawach z nim nie rozmawiał.

— Oczywiście — ciągnął na głos swoje rozmyślania Biswas babu, przebiegając melancholijnym wzrokiem po rzędach ksiąg w gabinecie — nie musi to być regułą. Ale lepiej tego nie odwlekać. Głowa pana boli? — spytał troskliwie, zauważywszy, że Amit nie najlepiej się czuje.

— Tylko troszeczkę, nic wielkiego — skłamał Amit.

— Trzeba zaaranżować małżeństwo z odpowiednią, rezolutną dziewczyną: to najlepsze rozwiązanie. Pomyślę też przy okazji o Dipankarze.

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał wreszcie Amit:

— Dzisiaj uważa się raczej, że każdy sam powinien wybrać życiowego partnera, Biswas babu. W każdym razie na pewno głoszą to tacy jak ja: poeci.

— A tam, gadają tak ludziska niby, gadają, a swoje robią — odparł nie zrażony Biswas babu. — Na przykład moje małżeństwo z Mrs Biswas jest bardzo udane. Przetrwało już trzydzieści cztery lata, panie tego. I nikt mnie o nic nie pytał. Ojciec przyszedł któregoś dnia, powiedział, że wszystko załatwione, i tyle. I na dobre mi to wyszło.

— No, ale gdyby samemu udało mi się znaleźć kogoś... Biswas babu gotów był iść na ustępstwa.

— A no, niech tam. Ale trzeba się będzie wywiedzieć. Musi to być rezolutna dziewczyna, z...

— Z dobrego domu? — podpowiedział Amit.

— Z dobrego domu.

— Wykształcona?

— Wykształcona. Na dłuższą metę Saraswati daje lepsze gwarancje niż Lakszmi.

— Teraz, po wysłuchaniu pańskiej opinii, muszę dać sobie czas do zastanowienia.

— Byle nie za długo, Amit babu — rzekł Biswas babu z zatroskanym, prawie ojcowskim uśmiechem. — Wcześniej czy później będzie pan musiał przeciąć węzeł gordyjski.

— I związać się?

— Zawiazać się?

— Związać się węzłem małżeńskim — powiedział Amit.

— Rzecz jasna — zgodził się Biswas babu — wtedy już będzie pan musiał zawiązać się węzłem małżeńskim.

Kilka godzin później, w tym samym pokoju, sędzia Catterdzi, ubrany teraz swobodnie w kurtę-dhoti (w gronie rodzinnym nie musiał dusić się w czarnym krawacie tak jak na przyjęciu poprzedniego wieczoru), mówił do swoich dwóch dorosłych synów:

— A więc słuchajcie, Amit... Dipankar... wezwałem was tutaj, ponieważ mam wam coś ważnego do powiedzenia. Postanowiłem porozmawiać z wami na osobności, ponieważ wasza matka za bardzo bierze sobie wszystko do serca, czasem płacze o byle co, a mnie to deprymuje. Chodzi tu o nasz majątek rodzinny, finanse, inwestycje itp. Od ponad trzydziestu lat cały ciężar odpowiedzialności za te sprawy spoczywa właściwie wyłącznie na moich barkach, ale coraz trudniej mi pogodzić pracę zawodową z rolą zarządcy rodowego mienia. Najwyższy czas, żeby jeden z was zabrał się do prowadzenia interesów rodzinnych... Zaraz, zaraz — sędzia Catterdzi uniósł dłoń na znak, żeby mu nie przerywano — pozwólcie mi najpierw skończyć, a potem dopuszczę i was do głosu. Nie łudźcie się jednak, że zmienię zdanie: teraz na was kolej, żeby mnie odciążyć. W pracy przybyło mi ostatnio — podobnie jak wszystkim moim kolegom po fachu — mnóstwo obowiązków, a w końcu lat mi przecież nie ubywa. Początkowo miałem zamiar przekazać tobie, Amit, bez uprzednich konsultacji, zarządzanie rodzinnym majątkiem, bo jesteś najstarszy i to właściwie twój obowiązek. Ale mając na względzie twoje zainteresowania literackie, doszliśmy z matką do wniosku, że może jest inne wyjście. Ty studiowałeś prawo, chociaż się teraz tym zupełnie nie zajmujesz, a ty, Dipankar, jesteś kwalifikowanym ekonomistą. W sam raz na nasze potrzeby... Chwileczkę, nie wyrywaj się tak, Dipankar, nie skończyłem jeszcze... Obaj fachowcy i obaj wcale niegłupi. A oto co postanowiliśmy: o ile ty, Dipankar, zaczniesz wykorzystywać swoją wiedzę fachową dla dobra rodziny, zamiast... hm... pracować wyłącznie nad swoim wnętrzem, to doskonale. Jeśli nie, to, niestety, obowiązek kierowania sprawami majątkowymi rodziny spadnie, Amit, na ciebie.

— Ale, Baba — zaprotestował Dipankar, mrugając ze zdenerwowania — właśnie dlatego, że jestem z wykształcenia ekonomistą, nie nadaję się do

zarządzania. Nie ma drugiej tak mało konkretnej, bezużytecznej dziedziny wiedzy jak ekonomia.

— Dipankar — zwrócił się do niego ojciec raczej surowo — studiowałeś na wydziale ekonomii dobre parę lat. Chyba czegoś cię tam nauczyli?... Na pewno wiesz więcej niż ja na temat strategii gospodarczej i tak dalej. Ja nie miałem twojej wiedzy i twojego wykształcenia, a jakoś udało mi się prowadzić rodzinne interesy. Najpierw przy pomocy Biswasa babu, a ostatnio na własną rękę. Nawet jeśli, jak powiadasz, dyplom ekonomisty nic ci nie pomoże, to na pewno jednak nie zaszkodzi. Po raz pierwszy słyszę od ciebie, że to, co „mało konkretne”, jest z gruntu bezużyteczne.

Dipankar nie odpowiadał. Amit również milczał.

— Amit? — zwrócił się sędzia Catterdzi do najstarszego syna.

— Sam nie wiem, co powiedzieć, Baba — przyznał ponuro Amit. — Z jednej strony wiem, że nie powinienes się tak przemęczać. Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jakie to wszystko czasochłonne. Powinniśmy cię odciążyć. Ale, widzisz, moja praca literacka to nie jakieś tam zwykłe hobby, ale powołanie, pasja, prawie obsesja. Gdyby chodziło tylko o mnie, po prostu sprzedałbym swój udział w majątku rodzinnym, włożył pieniądze do banku i żył z procentów... A gdyby to nie wystarczyło, po prostu ogłosiłbym bankructwo i dalej pracował nad moimi książkami i poezją. Ale to niemożliwe, ponieważ w grę wchodzi przyszłość całej rodziny: Tapana, Kuku, mamy, no i do pewnego stopnia również Minakszi. Dobrze, że jeszcze nie wiadomo na pewno, który z nas będzie musiał się tym zająć... To znaczy jeśli Dipankar...

— Może powinniśmy zabrać się do tego wspólnie, Dada? — zaproponował Dipankar, zwracając się do Amita.

Ale ojciec pokręcił głową.

— Nie. Po co komplikować sprawy? Po co stwarzać niepotrzebne trudności? Albo jeden, albo drugi.

Obaj spuścili nosy na kwintę. Sędzia Catterdzi zwrócił się do Dipankara:

— Teraz już wiem, że nosisz się z zamiarem wyjazdu na Pul Mełę i, o ile wiem, dokonałeś już niejednej ablucji w Gangesie, nie powinienes więc mieć specjalnych trudności z podjęciem decyzji. Ja ze swej strony skłonny jestem dać wam jeszcze trochę czasu, no, powiedzmy, parę miesięcy, na przemyśle-

nie sprawy. Ale pod koniec roku chcę usłyszeć waszą ostateczną odpowiedź. Moim zdaniem, mógłbyś sobie znaleźć całkiem przyzwoitą posadę w jakiejś szanującej się instytucji... najlepiej w banku; wtedy prowadziłbyś rodzinne interesy w ramach swoich codziennych zajęć. Z drugiej strony wiem, że moja ocena sytuacji może być błędna, prawda, Amit?... A zresztą, nawet gdyby była najśluszniejsza, to też może być nie do przyjęcia. Jeśli się nie zgodzisz, to obowiązek ten spadnie na Amita. Ty, Amit, będziesz pisał swoją powieść jeszcze przez rok albo i dwa, a ja nie mogę tyle czekać. Potraktuj swoje piarstwo jako miłe hobby i pracuj nad tym na boku.

Bracia nie ośmielili się spojrzeć sobie w oczy.

— Czy uważacie, że dzieje się wam krzywda? — spytał sędzia Catterdzi po bengalsku i popatrzył na synów z uśmiechem.

— Ależ skąd, Baba. Jasne, że nie — odrzekł Amit z wymuszonym uśmiechem, który tym bardziej zdradzał jego poruszenie.

7.20

Arun Mehra zjawił się w swoim biurze na Dalhousie Square tuż po dziewiątej trzydzieści. Lało jak z cebra, a czarne chmurzyska zasnuwały całe niebo. Strumienie deszczu biczowały potężny fronton gmachu Domu Literata i pogłębiały błotniste rozlewisko w samym środku placu.

— Przeklęty monsun.

Arun zostawił teczkę w samochodzie i wygramolił się na zewnątrz, zasłaniając się od deszczu „Statesmanem”. Zła widoczność sprawiła, że goniec, który stał w przedsionku, zauważył niebieski samochód swojego pracodawcy dopiero, gdy ten podjechał pod sam budynek. Zerwał się natychmiast i podbiegł z rozpiętym parasolem, żeby ochronić sahiba od deszczu. Spóźnił się jednak o parę sekund.

— Idiota!

Drobny goniec starał się trzymać parasol prosto nad drogocenną głową Aruna Mehry, który był od niego wyższy o pół głowy, kroczącego teraz do-

stojnie do drzwi budynku. Wszedł do windy i skinął głową windziarzowi z miną dygnitarza, który całkowicie zaabsorbowany jest sprawami najwyższej wagi.

Goniec zaś pobiegł z powrotem do samochodu, żeby wyjąć stamtąd teczkę swojego rozkazodawcy, i wdrapał się po schodach na drugie piętro ogromnego gmachu.

Zarząd główny agencji handlowej Bentsen & Pryce, powszechnie znanej jako Bentsen Pryce, zajmował całe drugie piętro budynku.

Z tego to właśnie lokalu kierownictwo przedsiębiorstwa sterowało gospodarką Indii na swoim odcinku działania. Chociaż Kalkuta przestała być stolicą kraju, a co za tym idzie i siedzibą rządu już w 1912 roku, pozostawała — prawie czterdzieści lat później, cztery lata od momentu odzyskania niepodległości — bezkonkurencyjną stolicą handlu. Ponad połowę towarów eksportowych kraju przewożono mulistą rzeką Hugli do Zatoki Bengalskiej. Handel zagraniczny Indii był w zasadzie zdominowany przez agencje handlowe takie jak Bentsen & Pryce. Pod ich kontrolą znajdowała się również lwia część miejscowej produkcji przemysłowej i przetwórstwa oraz usługi takie jak ubezpieczenia, co zapewniało im sprawne funkcjonowanie na rynku wewnętrznym oraz międzynarodowym.

Agencje handlowe posiadały na ogół udziały w zakładach przemysłowych, wywierając — dyrektywami z kalkuckiej centrali — wpływ na produkcję. Prawie bez wyjątku agencje te — skupione na Dalhousie Square — były nadal w rękach Brytyjczyków i prawie bez wyjątku kierowali nimi biali Europejczycy. I chociaż teoretycznie podlegali oni władzy dyrektorów z londyńskich firm macierzystych oraz angielskich udziałowców, to w praktyce, tak długo jak pomnażali zyski, mieli pełną swobodę działania.

Zakres działalności agencji handlowych był bardzo szeroki, a praca w nich zarówno konkretna, wymierna, jak i interesująca. Agencja Bentsen Pryce tak oto reklamowała swoje wielobranżowe usługi:

Materiały szlifierskie, klimatyzacja, pasy transmisyjne, szczotki, budownictwo, cement, chemikalia i barwniki, węgiel, maszyny górnicze, miedź i mosiądz, paliwa, środki dezynfekujące, środki lecznicze, bębny i kontenery,

sprzęt techniczny, opakowania, materiały grzejne, ubezpieczenia, wyroby z juty, blacha ołowiana, nici lniane, folia, oleje, w tym olej lniany i przetwory, farby, papier, sznury, instalacje kolejek linowych, kolejki linowe, załadunek i transport morski, rozpylacze, herbata, drewno, pompy wirowe z wirnikiem łopatkowym, kable.

Zatrudnieni na długo- i krótkoterminowych umowach młodzi ludzie, w większości dwudziestokilkuletni, przyjeżdżający z Anglii po ukończeniu Cambridge lub Oksfordu, z łatwością wciągali się, w utarty zwyczajem rytm pracy agencji takich jak Bentsen & Pryce, Andrew Yule, Bird & Company czy też innych podobnych przedsiębiorstw, które uważały się za filary kalkuckiego, a zatem i ogólnokrajowego świata handlu; i tak też były postrzegane przez szerokie rzesze społeczeństwa. Jeszcze parę lat wcześniej Bentsen Pryce nie zatrudniała Hindusów w sekcji Europejskiej Wymiany Handlowej. Mogli oni najwyżej ubiegać się o mniej odpowiedzialne i gorzej płatne posady w sekcji trudniącej się handlem wewnętrznym.

W okresie wielkich przemian, tuż po odzyskaniu niepodległości, pod presją rządu awansowano — acz niechętnie — paru Hindusów, dopuszczając ich na klimatyzowane pańskie pokoje. W rezultacie, w roku 1951 wśród osiemdziesięciu kierowników oddziałów Bentsen Pryce było pięciu Hindusów, chociaż żaden nie dochrapał się jeszcze stanowiska naczelnika wydziału. Byli to, rzec by można, ciemnoskórzy, zeuropeizowani anglofile.

Wszyscy oni zdawali sobie doskonale sprawę ze swojej uprzywilejowanej, wyjątkowej pozycji, a żaden bardziej niż Arun Mehra. Zawsze otaczał kultem Anglię i Anglików, a teraz, proszę, jest z nimi za pan brat, akceptują go w swoim towarzystwie.

Brytyjczycy, według Aruna Mehry, ba!, ci dopiero mieli głowy do interesu! Nie stronili od roboty, ale i zabawić się umieli. Podobnie jak dla niego, rozkaz był dla nich rozkazem. Wychodzili z założenia, że zdolności przywódcze ujawniają się za młodu; trzeba się wykazać przed dwudziestym piątym rokiem życia, inaczej widać, że się delikwent na zwierzchnika nie nadaje. Pełno tych gołowąsów zjeżdżało stale do Indii. Ledwie taki przekroczył dwudziestkę, a już się rządził, wydawał polecenia. Ospalność to zaraza, która panoszy się w

tym kraju. Hindusi trzymają się kurczowo swoich stołków. Jedyne, co potrafią, to pracować na etacie.

Przekląte gryzpiórki, klął na nich w duszy w drodze do swego klimatyzowanego gabinetu, przechodząc obok spoconych urzędników, którzy dusili się w upale na wielkiej sali, gdzie nie regulowano temperatury.

Był w złym humorze, nie tylko ze względu na brzydką pogodę, ale i dlatego, że zdołał rozwiązać do tej pory tylko część krzyżówki ze „Statesmana”, mniej więcej jedną trzecią, a podejrzewał, że James Pettigrew (kumpel z innego przedsiębiorstwa, z którym prawie każdego rana telefonicznie wymieniał się hasłami), wypełnił już pewnie prawie wszystkie rubryki. Arun Mehra uwielbiał popisywać się przed ludźmi znajomością rzeczy, ale nie znosił, kiedy ktoś błyszczał w jego obecności intelektem. Chciał imponować wszechstronnością swojej wiedzy i udało mu się nawet uwierzyć w to, że jako erudyta nie ma sobie równych.

7.21

Poranną pocztę sortował zazwyczaj naczelnik wydziału Aruna, Basil Cox, z pomocą paru swoich oddanych sekretarzy. Tego ranka mniej więcej dziesięć listów zaadresowanych było do Aruna. Nadawcą jednego z nich było przedsiębiorstwo Herbaty Perskie Wyborowe i Arun przyglądał mu się ze szczególnym zainteresowaniem.

— Czy mogę pani podyktować list, Miss Christie? — zwrócił się do swojej sekretarki, wyjątkowo dyskretnej i wesołej Anglo-Hinduski, która z anielską cierpliwością znosiła jego humory. Początkowo Miss Christie czuła się urażona, że przydzielono ją do pracy z hinduskim, a nie brytyjskim zwierzchnikiem, ale Arun oczarował ją swoją galanterią, więc też szybko uznała jego autorytet.

— Oczywiście, Mr Mehra. Bardzo proszę.

— Nagłówek bez zmian. Szanowny Panie Poorzahedy, otrzymaliśmy Pański opis zawartości ładunku herbaty... Proszę znaleźć szczegóły w liście,

Miss Christie... spediowanej listem przewozowym do Teheranu... Przepraszam, proszę to zmienić na „Khurramshahru i Teheranu” ...którą chciałby Pan u nas ubezpieczyć od, momentu aukcji w Kalkucie do odbioru przez konsygnatariusza w Teheranie. Stawka za polisę zwykłą, łącznie z SR&CC jak również TRND, wynosi, podobnie jak uprzednio, pięć ann na sto rupii. Za ładunek wartości sześciu lakhów trzydziestu dziewięciu tysięcy siedemdziesięciu rupii pobieramy składkę ubezpieczeniową... Proszę to przeliczyć, Miss Christie, dobrze? Dziękuję... Z poważaniem, i tak dalej. Ale, ale, czy nie zgłaszali się do nas przypadkiem o odszkodowanie dopiero przed miesiącem?

— Chyba tak, Mr Mehra.

— Hm. — Arun podparł brodę na złożonych w trąbkę dłoniach i powiedział: — Chyba porozmawiam na ten temat z burrą babu.

Zamiast zawołać kierownika biura do swojego gabinetu, postanowił złożyć mu wizytę. Burra babu pracował w wydziale ubezpieczeń Bentsen Pryce od dwudziestu pięciu lat i znał ten urząd od podszewki. Był kimś w rodzaju starszego sierżanta pułku i wszystkie dokumenty — oprócz tych poufnych, najwyższej wagi — musiały przejść przez jego ręce. Europejscy kierownicy i naczelnicy załatwiali wszystko za jego pośrednictwem.

Burra babu przeglądał właśnie plik czeków i duplikatów, wydając jednocześnie swoim podwładnym polecenia, kiedy Arun zbliżył się do jego biurka.

— Zajmij się tym, Tribid — mówił do jednego. A do drugiego: — Sarat, wystaw na to fakturę.

Dzień był duszny, a kręcące się pod sufitem wiatraki rozwiewały porozkładane na biurkach urzędników papiery.

Na widok Aruna burra babu podniósł się ze swego krzesła.

— Sir — powiedział na powitanie.

— Usiądź, proszę — rzekł Arun od niechcienia. — Powiedz mi coś niecoś na temat Herbat Perskich Wyborowych. Jak często występują o odszkodowanie?

— Binoy, zawołaj mi tutaj zaraz urzędnika z sekcji odszkodowań. Niech przyjdzie z wykazem podań.

Arun, ubrany jak przystało na urzędnika wyższej rangi w garnitur, spędził nad rejestrem — zlany potem — dwadzieścia minut i powrócił do swego chłodnego sanktuarium z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Uznał swoje dochodzenie za pouczające, a Miss Christie poprosił, aby wstrzymała się z przepisywaniem na maszynie listu, który jej wcześniej podyktował.

— Dziś piątek — wyjaśnił. — Poczekamy z tym do poniedziałku. Przez najbliższy kwadrans nie będę odbierał telefonów. Aha, i nie będzie mnie w biurze dziś po południu. Idę na lunch do Calcutta Club, a potem jadę z Mr Coksem i Mr Swindonem na inspekcję tej przeklętej fabryki juty w Puttighurh.

Mr Swindon pracował w wydziale specjalizującym się w wyrobach z juty i tego dnia mieli odwiedzić fabrykę, którą inne przedsiębiorstwo chciało ubezpieczyć od pożaru. Arun uważał tę wizytę za bezcelową, ponieważ i tak istniała tylko jedna, niezmienna stawka dla wszystkich tego typu zakładów, zależna najwyżej od stosowanych w nich procesów produkcji. Ale Swindon przekonał Basila Coksa, że należy się rozejrzeć po fabryce, a Basil z kolei poprosił Aruna, żeby mu towarzyszył.

— Moim zdaniem to strata czasu — zawyrokował Arun.

Tradycyjnie kierownictwo Bentsen Pryce spotykało się w piątek po południu w klubie na towarzyski lunch i partyjkę golfa i wracało do biura — dla zachowania pozorów — tuż przed końcem pracy. Właściwie wszystkie sprawy załatwiano od poniedziałku do czwartku po południu. Ale po namyśle Arun doszedł do wniosku, że może to i dobrze. Skoro Basil Cox wciąga go w ubezpieczenia od pożaru, chociaż jego domeną jest fracht dalekomorski, to widocznie chce rozszerzyć zakres jego obowiązków i zaoferować mu bardziej odpowiedzialne stanowisko. Im głębiej się zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. W końcu już od pewnego czasu zlecano mu sprawy bardziej ogólne, ponadbranżowe. Widocznie dyrekcja doceniała zarówno jego zdolności, jak i wkład pracy. Pokrzepiony tą myślą zapukał do drzwi Basila Coksa.

— Wejdz, proszę. Słucham, Arun. — Basil Cox wskazał mu ręką krzesło i powrócił do przerwanej rozmowy telefonicznej: — To doskonale. Wobec tego lunch i... tak, będziemy oboje na pewno. Jasne, musimy cię zobaczyć na koniu. Cześć.

Odłożywszy słuchawkę, zwrócił się do Aruna:

— Przepraszam, drogi chłopcze, że ci zepsułem dzisiejsze popołudnie. Ale żeby ci to wynagrodzić, zapraszam cię jutro z Minakszi na wyścigi na Tolly. Ja funduję.

— Z przyjemnością skorzystamy — zapewnił go Arun.

— Rozmawiałem właśnie z Jockiem Mackayem. Okazuje się, że jedzie w którejś gonitwie. Będzie dobry ubaw. Oczywiście, jeśli pogoda się nie poprawi, konie potopią się w kałużach.

Arun pozwolił sobie na lekki śmiech.

— Wiedziałaś, że będzie jutro jechał? Bo ja nie — powiedział Basil Cox.

— Nie słyszałem nic o jutrze, ale wiem, że często jeździ — odparł Arun.

A w myślach odnotował, że Warun, zapalony kibic wyścigów, wiedział zapewne nie tylko o udziale Jocka Mackaya, ale znał wszystkie szczegóły: w której gonitwie będzie startował, na jakim koniu i jakie ma szanse wygranej. Jego kompani — amatorzy szamszu — kupowali już w środę (jak tylko pojawiał się w sprzedaży) wstępny program, zwany kutća, i od tej pory aż do soboty po południu nie rozmawiali o niczym innym.

— No, a co cię do mnie sprowadza? — przynaglił teraz Aruna Basil Cox.

— Chodzi o stawkę ubezpieczeniową dla przedsiębiorstwa Herbaty Perskie Wyborowe. Chcą, żebyśmy ubezpieczyli ich ładunek.

— Owszem, przekazałem ci pismo w tej sprawie. Myślałem, że to czysta formalność...

— Właśnie. Nie jestem tego taki pewny.

Basil Cox potarł kciukiem dolną wargę i czekał na wyjaśnienia.

— Podejrzewam, że nie możemy ich zaliczyć do dobrych klientów — powiedział Arun.

— Łatwo sprawdzić.

— Już to zrobiłem.

— Aha.

— W okresie trzech ubiegłych lat nasze świadczenia na ich rzecz przewyższyły półtora raza płacone przez nich składki ubezpieczeniowe. Kiepski interes.

— Rzeczywiście, kiepski interes — przyznał w zamyśleniu Basil Cox. — A co zazwyczaj podają jako powód straty? Drobne kradzieże, o ile sobie dobrze przypominam. A może zalanie? I chyba kiedyś utrzymywali, że zepsuł się im cały ładunek herbaty... z powodu skór w tej samej ładowni co herbata, czy coś takiego...

— Z zalaniem to był ktoś inny. A podanie motywowane zniszczeniem ładunku przez sąsiedztwo skór odrzuciliśmy po zapoznaniu się ze sprawozdaniem naszej filii w Lloyds. Ich inspektorzy uznali, że zniszczenie było minimalne, chociaż to prawda, że Persowie oceniają jakość herbaty po zapachu raczej niż po smaku. W większości jednak ponieśli — a właściwie to my ponieśliśmy — straty w wyniku drobnych kradzieży. Sprytne kradzieże w magazynach przygranicznych w Khurramshahr. To zły port. Jeśli się orientuję, mogą być w to zamieszani sami celnicy.

— A ile wynosi w tej chwili składka? Pięć ann?

— Tak.

— Więc się im podwyższy do ośmiu.

— Chyba się nie opłaci — rzekł Arun. — Mógłbym zaproponować to telefonicznie ich agentowi w Kalkucie, ale nie przyjąłby tego dobrze, jak go znam. Kiedyś wspomniał, że Commercial Union oferował mu bardziej atrakcyjną polisę. Możliwe, że przeszliby do konkurencji.

— Może masz jakiś inny pomysł? — Basil Cox uśmiechnął się pomimo widocznego znużenia. Z doświadczenia wiedział, że Arun ma w zanadrzu jakąś propozycję.

— Owszem, znalazłem rozwiązanie — przyznał Arun.

— No, proszę! — powiedział Basil Cox, udając zdziwienie.

— Moglibyśmy zapytać ich listownie, jakie kroki podjęli w kierunku zapobieżenia kradzieżom lub przynajmniej zmniejszenia ryzyka tychże w przygranicznych magazynach.

Basil Cox nie okazał swojego rozczarowania. Powiedział tylko:

— Aha, rozumiem. Dziękuję, Arun.

Ale Arun jeszcze nie skończył.

— I obniżyć im składki.

— Obniżyć, powiadasz? — Basil Cox uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

— Tak. Po prostu usunąć klauzulę „Utrata mienia w wyniku kradzieży, wandalizmu lub zagubienia towaru”. Mogą się ubezpieczyć od burzy, ognia, powodzi, piractwa, awarii i tak dalej, a do tego od strajków, zamieszek, wojny domowej, zalania czy każdego innego zniszczenia; jak sobie życzą. I to na bardzo korzystnych warunkach. Ale nie od kradzieży. Od tego mogą się ubezpieczyć w innej firmie. Najwidoczniej nie mają motywacji, żeby zabezpieczyć ładunek, bo dostają odszkodowanie za każdym razem, kiedy ktoś ma ochotę napić się ich herbaty.

Basil Cox uśmiechnął się.

— To jest myśl! Pozwól mi się nad tym zastanowić. Porozmawiamy o tym dziś po południu w samochodzie, w drodze do Puttighurh.

— Aha, i jeszcze jedna rzecz, Basil.

— A da się z tym poczekać do popołudnia?

— Tyle że za godzinę mam spotkanie z jednym z naszych dobrych znajomych z Radżastanu, a to właśnie o niego chodzi. Powinienem był wspomnieć o tym już wcześniej, ale sądziłem, że nie ma pośpiechu. Tymczasem on liczy na odpowiedź. Niezwłocznie.

Nie mógłby tego wyrazić bardziej eufemistycznie. Przedsiębiorcy marwaryjscy znani byli ze swej chciwości, sprytu, wyrachowania, obrotności, a przede wszystkim tupetu, który dla taktownych, przystępnych sahibów z agencji handlowych był wręcz odpychający. Agencja brytyjska mogła zapożyczać się u takiego czy innego lichwiarza Marwari, ale dyrektor za żadne skarby nie zaprosiłby go do klubu, nawet takiego, do którego mieli wstęp Hindusi.

Jednakże w tym przypadku sytuacja była odwrotna: to marwaryj-ski przedsiębiorca potrzebował pieniędzy. Krótko mówiąc, plan miał taki: chciał, żeby Bentsen Pryce go sfinansował. Jego przedsiębiorstwo poszerzało zakres produkcji, a on chciał, żeby Bentsen Pryce zainwestował w ten rozwój. W zamian ubezpieczyłby u nich wszystkie nowe przedsięwzięcia.

Arun, przemagając własny instynktowny wstręt do tej klasy ludzi i powtarzając sobie w duchu, że w interesach nie ma sentymentów, przedstawił sprawę Basilowi Coksowi w sposób możliwie jak najbardziej obiektywny. Powstrzymał się nawet od komentarza i nie wspomniał, że tak w końcu wspomagały się firmy brytyjskie. Wiedział, że jego szef był tego świadom.

Basil Cox nie zapytał Aruna o zdanie. Utkwił wzrok w martwym punkcie, nieco powyżej jego prawego ramienia, i długo się nie odzywał, co nie wróżyło nic dobrego. Wreszcie powiedział:

— Nie podoba mi się ten projekt... To jakaś sztuczka Marwari.

Tonem głosu dawał do zrozumienia, że węszy w tym jakieś krętactwo. Arun chciał coś jeszcze dodać, ale tamten nie dopuścił go do głosu.

— Nie, to stanowczo nie dla nas. W finansach też krzywo by na to patrzyli. Niech tak zostanie. Więc co? Zobaczymy się o drugiej trzydzieści?

— O drugiej trzydzieści — powtórzył Arun.

Po powrocie do swojego gabinetu zaczął łamać sobie głowę, jak tu wytłumaczyć swojemu gościowi odmowną odpowiedź na jego prośbę. Bez potrzeby. Mr Dżundżunwala nie prosił o wyjaśnienia. Skinął tylko głową, a potem, jakby na znak hinduskiej solidarności, powiedział do Aruna w ojczystym języku:

— Wie pan co, w Bentsen Pryce to angielska rączka myje angielską rączkę. I w tym cały ambaras.

7.22

Po wyjściu Mr Dżundżunwali Arun poinformował telefonicznie Minakszi, że wróci z pracy późno tego wieczoru, mimo to jednak powinna się szykować na koktajl do Finlayów, mniej więcej o siódmej trzydzieści. Potem odpowiedział na parę listów, a w końcu zabrał się do krzyżówek.

Ledwie jednak przebrnął przez dwa czy trzy hasła, zadzwieczał telefon. Był to James Pettigrew.

— Jak ci idzie, Arun?

— Jak po grudzie. Zresztą dopiero co otworzyłem gazetę.

Było to, oczywiście, wierutne kłamstwo. Arun wyteżał się nad krzyżówką w toalecie, głowił się nad nią przy śniadaniu i nawet w samochodzie, w drodze do pracy, wpisywał w rubryki możliwe rozwiązania. Ale ponieważ bażgrał niemiłosiernie, mało mu to na ogół przynosiło pożytku.

— Nie będę nawet pytał, czy masz „daje się we znaki w gardle”.

— Cieszę się, że nie masz mnie jednak za kompletnego przygłupa — warknął w odpowiedzi Arun.

— „Bez kolców, za to z rumbami”?

— Mam.

— No, a „Nóż, w który dżentelmen może się zaopatrzyć w Paryżu”?

— Nie, ale ponieważ płoniesz żądzą podzielenia się ze mną swoim sukcesem, no to wal. Inaczej padniesz i będę cię miał na sumieniu.

— Maczeta.

— Maczeta?

— Maczeta.

— Niestety, nic mi to nie mówi.

— Ajajaj, Arun, nieznajomość francuskiego się kłania! — powiedział James Pettigrew, co naturalnie doprowadziło Aruna do białej gorączki.

— No, a tobie ilu brakuje? — zapytał ze źle ukrywaną złością.

— Tylko paru haseł — - chełpił się ten bufon James.

— Ale nie rozwiązałeś jeszcze całej? — upewnił się Arun.

— No nie, całej jeszcze nie — przyznał James. — Mam kłopot z paroma hasłami.

— Na przykład?

— „Pod jednym dachem mieszczą się w nim ubaw i wola, noga i gol”.
Osiem liter, piąta A, ósma W.

— Bungalow — rzekł pospiesznie Arun.

— Rzeczywiście. A ja myślałem, że to coś ze sportu.

— No i co, teraz jak masz B, wiesz, co będzie pionowo?

— U-hu-hu, zaraz, chwileczkę. Tak, już mam! To musi być „belfer”.
Stokrotne dzięki.

— Nie ma za co — powiedział Arun wspaniałomyślnie. — Akurat w tym przypadku miałem przewagę językową.

— Jakim cudem? — spytał James.

— „Bungalow” to słowo hinduskie.

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym — przyznał James Pettigrew. — Ale i tak w tym tygodniu wygrałem turniej trzy do dwóch — ciągnął — wobec czego jesteś mi winien lunch. Dam się zaprosić po niedzieli.

Taką mieli umowę: pokonany stawia lunch zwycięzcy. Arun zazgrzytał ze złości zębami.

Tak to, zgoła nieświadom innej, równoczesnej rozmowy telefonicznej, która — gdyby o niej wiedział — jeszcze bardziej popsułaby mu nastrój, Arun Mehra ciskał się, roztrząsając językowe zawilości.

Minakszi: Halo!

Billy Irani: Halo?

Minakszi: Nie poznałam cię po głosie. Sam jesteś?

Billy: Sam. Ale wolałbym, żebyś nie wydzwaniała do mnie do biura.

Minakszi: Ale to jedyna okazja. W domu na ogół pełno ludzi, a dzisiaj akurat wszyscy wyszli. No i co u ciebie?

Billy: A nic. Jestem w dobrej... tego... formie.

Minakszi: W dobrej formie! Niczym jakiś ogier.

Billy: A może masz na myśli „bojer”?

Minakszi: Nie wygłupiaj się! Bojer to jakaś łajba. Chyba się ślizga po lodzie. Jakiś ślizgacz lodowy albo jacht ślizgowy czy coś takiego.

Billy: Ślizgowe mogą być łożyska. Jak się je dobrze nasmaruje. Ale wracając do koni, skoro już wpomniałaś o ogierach: będziesz jutro na wyścigach na Tolly?

Minakszi: I owszem. I to na zaproszenie Basila Coksa. Właśnie przed chwilą miałam w tej sprawie telefon od Aruna. No, to się tam spotkamy, prawda?

Billy: Jeszcze nie wiem. Ale przecież idziemy dziś wszyscy na koktajl do Finlayów... a potem do jakiejś knajpki na kolację i na dancing...

Minakszi: Tylko że i tak nie zamienię z tobą ani słowa... Śirin będzie cię strzec jak oczka w głowie, a poza tym będzie Arun i moja szwagierka.

Billy: Twoja szwagierka?

Minakszi: Całkiem miła dziewczyna, tylko nieobyta. Trzeba ją trochę doszlifować. Może spikniemy ją z twoim Bišem i zobaczymy, czy się sobie spodobają?

Billy: Nazwałaś mnie „oczkiem w głowie”?

Minakszi: Bo nim jesteś. Ano właśnie, do czego zmierzam... Widzisz. Po południu Arun jedzie do Puttigurh czy gdzieś tam i nie będzie go w domu do siódmej. A ty co porabiasz? Nie udawaj, że pracujesz, bo to piątek.

Billy: Umówiłem się na lunch, a potem chcę pograć w golfa.

Minakszi: Oszalałeś? Przy tej pogodzie? Roztopisz się. Spotkajmy się na herbatę... oraz to i owo.

Billy: Wątpię, czy to dobry pomysł.

Minakszi: Chodźmy nad rzekę. Leje jak z cebra, więc strażnicy moralności siedzą w domu. Może się trochę poślizgamy, co ty na to? Dowcipna jestem, prawda?

Billy: Ha, ha. Boki zrywać. No, niech będzie. Czwarta trzydzieści w hotelu Fairlawn. Na herbatę.

Minakszi: Na herbatę oraz to i owo.

Billy [niechętnie]: Oras to i owo. Skoro się dopraszasz.

Minakszi: Trzecia.

Billy: Czwarta.

Minakszi: Czwarta. Czwarta... Warta ta gra fatygi? Co? Jak myślisz?

Billy: Jeszcze nie wiem.

Minakszi: A kiedy się dowiesz?

Billy: Jak mi pokażesz.

Minakszi: Co ci mam pokazać, wariacie?

Billy: To i owo.

Minakszi: Świntuch.

Billy [z westchnieniem]: Sama jesteś świntucha, Minakszi. Pod tym względem nie dorastam ci do pięt.

Minakszi: To do czwartej. Wezmę taksówkę. Pa.

Billy: Cześć.

Minakszi: Nie kocham cię ani ociupinkę.

Billy: Chwała Bogu.

7.23

Minakszi wróciła z randki w szampańskim nastroju i tak miło odnosiła się do Mrs Rupy Mehry, że ta osłupiała ze zdziwienia. Zapytała nawet synową, czy nic jej nie dolega, ale Minakszi zapewniła, że czuje się doskonale.

Było już wpół do siódmej, a Lata dalej nie mogła się zdecydować, co na siebie włożyć. Wślizgnęła się do salonu z przewieszonym przez ramię jasnoróżowym płóciennym sari.

— Może to? — zwróciła się o pomoc do matki.

— Bardzo twarzowe, kochanie — przytaknęła jej Mrs Rupa Mehra, odganiając z czoła uśpionej Aparny natrętną muchę.

— No nie! To przecież koszmar! — parsknęła z dezaprobatą Minakszi.

— Żaden koszmar! — zaprotestowała Mrs Rupa Mehra. — Twój teść uwielbiał kolor różowy.

— Różowy?! — zaśmiała się ironicznie Minakszi. — Naprawdę lubił chodzić w różowym?

— Nie na sobie! Mnie lubił w tym kolorze! — warknęła na nią gniewnie Mrs Rupa Mehra. W jednej chwili Minakszi z powrotem stała się dla niej jadowitą żmiją. — Mną wycierasz kąty, ale nie waż się szydzić z mojego męża! Za daleko się posuwasz. Wałęsasz się po Nowym Targu, a Aparnę zostawiasz pod opieką służby.

— Ależ, Ma, tobie na pewno ślicznie było w różowym — powiedziała Minakszi pojednawczo. — Ale to nie dla Luts. Ona ma inną karnację. A poza tym nie można się tak ubrać na wieczór do towarzystwa. Nie wypada. Płótno wysiada! Chodź, Luts. Zrobimy przegląd twojej garderoby i zobaczymy, co się nadaje na dzisiejszą okazję. Tylko szybko, bo musimy być gotowe przed powrotem Aruna.

I tak oto Lata została uprowadzona przez Minakszi i wystrojona w jedno z jej szyfonowych sari; musiała je tylko podwinąć dość wysoko, ponieważ była niższa od swojej szwagierki o dobre parę cali. Po licznych protestach (nie przyzwyczajona do takiej ekstrawaganckiej biżuterii) dała sobie spiąć szafirowe sari błyszczącą broszką Minakszi mieniącą się odcieniami granatu, szmaragdu i błękitu. Trzeba przyznać, że kolorystycznie wszystko pasowało jak ulał do jej własnej, niebieskiej bluzki.

Następnie Minakszi kazała jej rozwiązać kok, w który Lata zwykle upinała włosy.

— Wyglądasz na za bardzo przylizaną, Luts — oznajmiła tonem wyroczeni. — Brzydko ci tak. Rozpuść włosy, o tutaj, przy twarzy.

— Nie, nie, nie! Za żadne skarby! — opierała się Lata. — Jak ja będę wyglądała? Mama padnie, jak mnie zobaczy w takim uczesaniu.

— To spójrz teraz na siebie! — zbesztła ją podniesionym głosem Minakszi. — Zostaw przynajmniej parę drobnych loczków na przodzie, żebyś nie wyglądała jak guwernantka.

Na zakończenie Minakszi zaciągnęła Latę do swojej sypialni i zrobiła jej lekki makijaż, pociągając odrobiną tuszu rzęsy.

— Będą wyglądały na trochę dłuższe — wyjaśniła. Lata zatrzepotała na próbę rzęsami.

— I co? Legną teraz trupem u moich stóp? — zwróciła się ze śmiechem do Minakszi.

— Jeszcze się pytasz! — powiedziała tamta z satysfakcją. — Tylko musisz się uśmiechać. Masz teraz zabójczo piękne oczy.

Popatrzwszy w lustro, Lata musiała jej przyznać rację.

— Teraz perfumy. Tylko jakie by tu pasowały do tego stroju? — zastanawiała się głośno Minakszi. — Chyba Worth będzie najlepszy.

Ale zanim zdołała podjąć w tej sprawie ostateczną decyzję, dzwonek u drzwi zaanonsował powrót Aruna z Puttigurh. Gdy tylko wszedł, znalazł się w centrum uwagi i przez parę minut wszyscy skakali wokół niego.

Później, kiedy sam był już gotów do wyjścia, zaczął się niecierpliwić, że Minakszi tak się guzdrze. Kiedy zaś ta wyłoniła się wreszcie z sypialni, wydekoltowana, w płomiennym, purpurowym coli bez rękawów i ciemnozielono-

nym sari z powiewnego szyfonu, oczy Mrs Rupy Mehry — wedle rodzinnego powiedzonka Mehrów — „wystąpiły z orbit” i zaczęły ciskać błyskawice.

— Nie możesz się przecież w tym pokazać ludziom! — wykrztusiła z siebie, przenosząc wzrok z wpółodkrytych piersi Minakszi na jej gołe ramiona i brzuch. — Nie pozwolę... Nie pozwolę. Jaki wstyd! Rozneglizowała się jeszcze bardziej niż wczoraj na przyjęciu u swoich rodziców.

— Nie możesz mi zabronić, najdroższa Malus. Nie bądź taka staroświecka.

— Gotowa wreszcie jesteś? — zrzędził Arun, patrząc wymownie na zegarek.

— Jeszcze sekundę, kochanie. Proszę, zapnij mi z tyłu tę kolicę, jeśli możesz, dobrze? — Tu Minakszi zmysłowym gestem powiodła dłonią po szyi, dotykając palcami ciężkiego, złotego naszyjnika.

Mrs Rupa Mehra wołała uniknąć jej zuchwałego spojrzenia.

— Dlaczego nie ukróćisz tych jej wyskoków? — zwróciła się z pretensjami do syna. — Czy nie może włożyć przyzwoitej bluzki, tak jak inne porządne hinduskie dziewczyny?

— Ma, przepraszam, ale naprawdę robi się już bardzo późno — uciał rozmowę Arun.

— Nie można tańczyć tanga w byle czym — powiedziała Minakszi. — Zbieraj się, Luts. Wychodzimy.

Lata pocałowała matkę na do widzenia.

— Nie martw się, Ma. Nic złego mi się nie stanie.

— Jakiego tanga? — zapytała podejrzliwie Mrs Rupa Mehra. — Co to takiego?

— Pa, mamó. Już nas nie ma — rzekła w odpowiedzi Minakszi, — To taki taniec. Idziemy do Golden Slipper. Nie ma powodów do obaw. Będzie kupa ludzi, tańce i muzyka. Znam faceta, który tam gra... — tu przekroczyła próg i dokończyła zza domkniętych drzwi — ...w sekstecie.

— Gra tam w seks... na etacie? — powtórzyła ze zgrozą Mrs Rupa Mehra, nie wierząc własnym uszom.

Ale zanim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, niebieski austin pomknął na spotkanie pierwszej przygody.

7.24

U Finlayów było gwarno, a rozmawiano na stojąco głównie o deszczach, które tego roku nadeszły wcześniej niż zazwyczaj. Jedni twierdzili, że były to już deszcze monsunowe, a inni, że przedmonsunowe. Nie można było nawet pograć w golfa przy takiej pogodzie, a jeśli jutro znowu będzie tak padało, to tor zamieni się w grzęzawisko i może odwołają wyścigi na Tollygunge — a to byłby ewenement, bo na ogół sezonowe deszcze nie zakłócały programu biegów w monsunowym sezonie wyścigowym (zwanym tak dla odróżnienia od sezonu zimowego). Dużo mówiono również o regionalnych rozgrywkach krykietowych w Anglii i Lata miała po same uszy peanów na cześć mistrzowskiego serwu Denisa Comptona z lewego ramienia i zachwyków, jak się świetnie spisywał w roli kapitana Middleseksu. Z grzeczności kiwała potakująco głową, ale myślami była przy innym krykiecieście.

Mniej więcej jedną trzecią tłumu stanowili Hindusi: głównie (tak jak Arun) kadra kierownicza z agencji handlowych, a także pracownicy administracji państwowej, prawnicy, lekarze oraz wojskowi. W przeciwieństwie do Brahmpuru, dokąd Lata właśnie przeniosła się myślami, w Kalkucie kobiety „z towarzystwa” zachowywały się i czuły swobodnie w obecności mężczyzn, a tu, w tym lokalu, było to jeszcze bardziej widoczne niż u Catterdżich. Gospodyni, Mrs Finlay, bardzo miła pani o orlim nosie, zobaczywszy, że Lata stoi sama, przedstawiła ją paru osobom, ale nie poprawiło to zbytnio samopoczucia nieśmiałej dziewiętnastolatki. Minakshi natomiast była w swoim żywiole i raz po raz wybuchała perlistym śmiechem, który wzbijał się ponad ogólny gwar.

Oboje z Arunem byli już pod dobrą datą, zanim jeszcze dojechali do Firpos z Alipore. Deszcz przestał padać parę godzin wcześniej. Wieczór był względnie chłodny, więc wiele rodzin wyległo na ulice wokół Pomnika Zwycięstwa, gdzie można było kupić lody i dżal-mari. Pomimo to na Cauringhi

nie było tłoku i nawet o zmierzchu ulica wyglądała imponująco. Z lewa, wzdłuż rzeki Majdan, sunęło parę nocnych tramwajów.

Przy wejściu do Firpos spotkali się z Biśwanathem Bhadurim: wysokim młodym człowiekiem, mniej więcej w wieku Aruna, z włosami zaczesanymi do tyłu, o ciemnej karnacji i kanciastych rysach. Witając się z Lata, przedstawił się jako Biś i powiedział, że mu bardzo miło.

Czekali parę minut na Billy'ego Iraniego i Śirin Framdži. Arun zaczął się już niecierpliwić.

— Co jest, u licha? Przecież mówiłem im, że wychodzimy.

Jakby na zawołanie pojawili się chwilę później i wreszcie, po oficjalnej prezentacji (u Finlayów nie było po temu okazji), weszli do lokalu i zasiedli do stołu, który został dla nich zarezerwowany.

Jedzenie w Firpos bardzo Lacie smakowało, ale Biśwanath Bhaduri zadreślał ją swoją gadaniną. Wspomniał, że — zaproszony przez Aruna — był na ślubie jej siostry, Sawity, w czasie swego krótkiego pobytu w Brahmपुरze.

— Prześliczna panna młoda. Sam by człowiek chętnie połączył z nią swój los. Ale, oczywiście, gdzie jej tam do młodszej siostry — dorzucił rycersko.

Lata, która nie znosiła naciąganych komplementów, obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, żalując, że nie może zatkać mu gęby bułką.

— No, to śehnai powinien być dla nas zadźwięczone marszem weselnym, jak się domyślam — odparła w odpowiedzi, patrząc mu prosto w oczy.

— Słucham? Ee... tego... tak? — powiedział Biś zakłopotany, a potem, spoglądając w stronę sąsiedniego stolika, dodał, że w Firpos zawsze można było spotkać „ludzi światowych z małżonkami” i to mu właśnie bardzo odpowiadało.

Lata pomyślała, że jej uwaga najwyraźniej spłynęła po nim jak woda po kaczce. I uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie to powiedzonko.

Biśwanath Bhaduri, ze swej strony, uznał Latę za zagadkową, ale pociągającą. Przynajmniej rozmawiając z nim, nie rozglądała się ostentacyjnie po sali za innymi mężczyznami, jak to robiły kalkuckie dziewczęta.

Arun z kolei uznał, że Biś jest doskonałym kandydatem na męża, i udowodniał Lacie, iż „świetnie się zapowiada”.

Teraz Biś opowiadał Lacie o swojej podróży czy raczej wyprawie do Anglii.

— Człowiek czuje się zagubiony i spogląda w głąb własnej duszy... W Adenie człowiek tęskni za ojczystym krajem, a w Port Saidzie kupuje widokówki... Człowiek wpada w rytm codziennych obowiązków, a po powrocie do Kalkuty wyobraża sobie czasami, że Ćauringhi to Piccadilly... Oczywiście, kiedy człowiek jest przez jakiś czas w podróży, niektóre kontakty rozluźniają się... Człowiek zatrzymuje się na stacjach kolejowych, które z każdym dniem stają mu się coraz bardziej obojętne, i spędza noc wśród nędzarzy rozłożonych na peronie. — Podniósł do oczu jadłospis. — Może powinienem zamówić sobie deser? Taki człek, widzi pani, łasy na słodczyce... Bengalska krew...

Lata żałowała, że nie zapowiedział jeszcze swojego odejścia. Biś opowiadał teraz o swoich sukcesach zawodowych.

— ...nie, żeby człowiek był żądny pochwał, ale skoro ta umowa została podpisana dzięki jego inicjatywie, to, naturalnie, zasługiwał na awans. Rzecz jasna — i tu uśmiechnął się do Laty tryumfalnie — wzbudziło to w ludziach zawiść. Nie mogli się pogodzić, że człowiek tak wypłynął.

— O? — rzekła Lata, dobierając się zawzięcie do swojej brzoskwińowej melby. — Naprawdę? Nie mogli się z tym pogodzić?

Biśwanath Bhaduri spojrział na nią spod oka, no, może nie z niechęcią, ale z niepokojem.

Śirin chciała iść na tańce do 300 Club, ale została przegłosowana i w końcu wszyscy przenieśli się do Golden Slipper na ulicy Free School, gdzie było weselej, chociaż nie aż tak ekskluzywnie, co naturalnie nie wszystkim odpowiadało.

Biś, czując chyba, że nie przypadł do gustu Lacie, urwał się wcześniej.

— Żegnam — powiedział na odchodnym.

Przez cały wieczór Billy Irani był jakiś przyciszony i nie chciał wcale tańczyć, ani fokstrota, ani nawet walca. Pomimo protestów Laty, Arun zmusił ją, żeby z nim zatańczyła walca, a na wymówkę, że nie potrafi, odpowiedział dobrotliwie:

— Nonsens. Umiesz, tylko brak ci pewności siebie.

I miał rację, bo jak spróbowała, poszło jej gładko i bawiła się doskonale.

Wreszcie Śirin wyciągnęła Billy'ego na parkiet siłą, a potem, kiedy orkiestra zagrała przytulankę, odbiła go jej Minakszi. Billy wrócił do stolika z wypiekami na twarzy, co Minakszi tak oto skomentowała z ogromną satysfakcją:

— Patrzcie, jak się płoni. Widocznie chciał się do mnie trochę pozalecać. Tak mnie tulił w tych swoich męskich, atletycznych ramionach, tak mnie do siebie przyciskał, że słyszałam, jak mu serce w piersiach wali: bum, bum, bum.

— Wcale nie — zarzekął się Billy z oburzeniem.

— Nie? — westchnęła ciężko Minakszi. — A to wielka szkoda Bo pałam do ciebie skrycie dziką żądzą, wiesz?

Śirin parsknęła śmiechem, ale Billy zgromił Minakszi niechętnym spojrzeniem i znowu zaczerwienił się po uszy.

— No, dosyć tych wygłupów — interweniował wreszcie Arun. — Mój przyjaciel się spieszył... I moja młodsza siostra.

— Nie, nie, Arun bhai — zapewniła go Lata. — Wcale mnie to nie peszy. — Chociaż prawdę powiedziawszy, zaskoczył ją ton tej rozmowy.

Ale najbardziej oszołomiło ją tango. Około pierwszej trzydzieści nad ranem, kiedy obie pary były już dobrze wstawione, Minakszi wysłała do lidera zespołu karteczkę i pięć minut później zagranej tango. Tańczące na parkiecie pary nie znały najwyraźniej kroków tanga, bo przystały skonsternowane. Minakszi natomiast podeszła prosto do mężczyzny w smokingu, który siedział przy jednym ze stolików z grupą przyjaciół, i wywabiła go do tańca. Nie znała go osobiście, ale widziała go wcześniej w akcji i oceniła jako doskonałego tancerza. Jego przyjaciele również dopingowali go do zabawy. Wszyscy się usunęli, a oni, bez najmniejszej tremy, zakołowali, to krocząc posuwicie, to przystając na chwilę z brawurą, aby podjąć taneczny chód na nowo. A poruszali się z taką swobodą, z taką zmysłową gracją, że wkrótce cała sala wiwatowała na ich cześć w uniesieniu. Serce Laty również zabiło mocniej. Fascynowała ją śmiałość Minakszi, oślepił blask złotej koliai. Tu Minakszi miała całkowitą rację: nie dałoby się tańczyć tanga w byle czym.

Wytoczyli się z nocnego lokalu o drugiej trzydzieści, a Arun wydzierał się na całe gardło:

— Chodźmy teraz do Falty! Pod fontannę... na piknik... zdycham z głodu... na kababy u Nizama!

— Późno już — protestował Billy. — Wystarczy na dzisiaj. Odwiozę tylko Śirin i...

—A tam, bredzisz! — nalegał agresywnie Arun. — Ja tu jestem mistrzem ceremonii! Zmieścimy się wszyscy w moim samochodzie. .. Nie... z tyłu... Ja siadam z przodu z tym uroczym dziewczęciem.. . Przecież jutro sobota... Ja prowadzę... Pojedziemy na śniadanie na lotnisko... całą grupą... na pikniczek na lotnisku... całą grupą na lotnisko... na śniadanko... Przeklęte pudło... nie chce ruszyć... Aha, nie ten klucz-

Billy wciśnięty został z tyłu pomiędzy Latę i Minakszi, Arun natomiast rozsiadł się obok Śirin, ujął w niepewne dłonie kierownicę i samochód pomknął ulicami miasta. Lata miała duszę na ramieniu, aż Billy, który to zauważył, poklepał ją dla kurażu po ręce. Później zauważyła, że w drugiej dłoni trzymał rękę Minakszi. Zdziwiło ją to, ale — po ognistym tangu — nie wzbudziło podejrzeń. Uznała, że widocznie w tym towarzystwie było to dopuszczalne na przejażdżce samochodem. Miała tylko nadzieję, że względu na wspólne bezpieczeństwo, że uczestnicy zabawy na przednim siedzeniu są trochę bardziej powściągliwi.

Wprawdzie nie było szerokiej, przelotowej arterii na lotnisko, ale wąziutkie uliczki Kalkuty Północ opustoszały o tej porze, więc nie było trudno manewrować samochodem. Samochód pędził z warkotem, a do tego Arun raz po raz naciskał klakson. Nagle, zza stojącego przy drodze wozu, wyskoczył jakiś dzieciak i Arun musiał skrócić gwałtownie, żeby nie wpadł mu prosto pod koła.

Na szczęście i dziecko, i samochód wyszły z tego cało jakimś cudem, a mały brzdąc rozplątał się w przestrzeni tak nagle, jak się pojawił.

Arun wyskoczył z auta jak opętany i zaczął sypać w ciemną noc piorunami. Ze słupa latarni zwisał kawałek tłącego się sznura, którym ludzie zapalali swoje biri, i Arun pociągnął zań, jakby to był dzwon alarmowy.

— Wstawać, wstawać, sukinsyny! — wrzeszczał na całą okolicę.

— Uspokój się, Arun... przestań — prosiła Minakszi.

— Kretyni! Łajdaki! Własnych dzieci nie potrafią upilnować... O trzeciej nad ranem... do stu katów!

Paru odzianych w łachmany nędzarzy, którzy spali na wąskim chodniku obok kupy śmieci, poruszyło się na swoich posłaniach.

— Zamknij się, Arun — upominał go Billy Irani. — Nie szukaj zaczepki.

— Ty! Ty mi tu nie podskakuj, łaskawco! Równy z ciebie chłop, Billy, tylko tu... — postukał się palcem w czoło — tu, w czerepie coś nietego. — Potem zaś zwrócił swój gniew przeciwko niewidzialnemu wrogowi: ciemnym, zacofanym, pieniącym się niczym chwasty masom. — Wstawać, sukin-syny! Słyszycie?! — A na zakończenie obrzucił ich potokiem najgorszych wyzwisk w hindi, ponieważ nie znał bengalskiego.

— Arun bhai — powiedziała Lata, nakazując sobie spokój. — Jestem już bardzo śpiąca i mama będzie się o nas niepokoić. Wracajmy do domu.

— Do domu? Świetna myśl! Wracajmy do domu! — Arun uśmiechnął się szeroko do swej genialnej siostry, wdzięczny za tę niespodziewaną, a jakże trafną sugestię.

Billy chciał zaproponować, że tym razem on siądzie za kierownicą, ale ugryzł się w język, żeby uniknąć dalszych scysji. Przez całą drogę siedział zamyślony i wcale się nie odzywał; dopiero przy pożegnaniu, wsiadając z Śirin do swojego samochodu, życzył wszystkim dobrej nocy.

Mrs Rupa Mehra nadal czuwała; a kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód, tak się przejęła, że po wejściu towarzystwa do domu głosu nie mogła z siebie wydobyć. Teraz dopiero odetchnęła z ulgą.

— Dlaczego jeszcze nie śpisz, Ma? — ziewając, zapytała Minakszi.

— Nie zmrużę dzisiaj przez was oka, egoiści — odpowiedziała Mrs Rupa Mehra. — Niedługo się rozwidni i trzeba będzie wstawać z łóżka.

— Ma, przecież wiesz, że zawsze wracamy późno z dancingów — rzekła Minakszi.

Arun poszedł prosto do sypialni, a Warun, którego roztrzęsiona matka wyrwała ze snu o drugiej w nocy, też wymknął się teraz z powrotem do łóżka.

— Jeśli chcecie się włóczyć po nocach jak jakie szumowiny, to wasza sprawa — prychnęła z niezadowoleniem Mrs Rupa Mehra. — Ale nie waż-

cie się wciągać w to mojej córki. Jak się czujesz, kochanie? — zwróciła się teraz do Laty.

— Doskonale. Naprawdę świetnie się bawiłam — zapewniła ją, ziewając Lata. Uśmiechnęła się na wspomnienie tanga.

Mrs Rupa Mehra popatrzyła na nią podejrzliwie.

— Musisz mi opowiedzieć o wszystkim ze szczegółami. Co jadłaś, co widziałaś, kogo poznałaś, co robiłaś?

— Dobrze, mammo. Ale jutro — rzekła, znowu ziewając Lata.

— Niech będzie — zgodziła się, acz niechętnie, Mrs Rupa Mehra.

7.25

Nazajutrz Lata obudziła się przed południem z bólem głowy. Musiała oczywiście natychmiast zdać sprawozdanie z przebiegu wydarzeń poprzedniego wieczoru, co bynajmniej nie poprawiło jej samopoczucia. Zarówno Mrs Rupa Mehra, jak i Aparna dopytywały się o tango. Ta ostatnia, niesłychanie nad wiek rozwinięta, dowiedziawszy się paru szczegółów na temat tanga, domagała się dalszych wyjaśnień.

— To mamusia tańczyła tango, a wszyscy klaskali?

— Tak, kochanie.

— I tatuś też?

— Oczywiście. Tatuś też klaskał.

— A nauczysz mnie, jak to się tańczy?

— Bardzo bym chciała — odparła Lata — ale sama nie umiem.

— A wujek Warun? Umiałby?

„Warun zapadłby się pod ziemię, gdyby Minakszi starała się go wyciągnąć od stołu na środek sali”, pomyślała Lata, ale głośno powiedziała:

— Wątpię. Ale właśnie. Gdzie on jest? — zwróciła się z pytaniem do matki.

— Wyszedł — ucięła Mrs Rupa Mehra. — Śadźid i Jason wyciągnęli go z domu.

Lata widziała tych amatorów szamszu tylko raz. Śadźid chodził z papierosem w ustach, który zwisał mu przy brodzie z lewej strony jak przyklejony. W jaki sposób się trzymał, trudno zgadnąć. Jason w rozmowie z nią udawał twardziela. Był Anglo-Hindusem i jeszcze parę miesięcy wcześniej pracował w kalkuckiej policji, ale wyrzuciono go za to, że sypiał z żoną kolegi, również podinspektora. Obaj ukończyli St. George's College i Aruna oblewały zimne poty na myśl, że jego własna Alma Mater wypuściła dwóch takich typków spod ciemnej gwiazdy.

— Myślałam, że Warun chce pracować w administracji państwowej. Ale jakoś nie widać, żeby przygotowywał się do egzaminów — zauważyła Lata.

Warun powiedział jej kiedyś, że za kilka miesięcy będzie zdawał do IAS*⁵.

— A jemu tam akurat w głowie nauka! — machnęła ręką Mrs Rupa Mehra. — I co mam zrobić? Czy on matki posłucha? Zawsze mi niby przytakuje, jak z nim rozmawiam, nigdy nie przerywa, ale potem i tak robi swoje. Zabiera się z koleżkami i znika z domu na całe dni.

— To może rzeczywiście nie nadaje się do takiej pracy — zasugerowała Lata.

Ale Mrs Rupa Mehra nie chciała o tym słyszeć.

— Nauka kształtuje charakter — powiedziała. — Trzeba się przyłożyć, wyrobić w sobie dyscyplinę. Twój ojciec zawsze powiadał, że nieważne, co się studiuje, bo każda wiedza doskonali umysł.

Zgodnie z powyższym kryterium świętej pamięci Raghbir Mehra powinien być dumy ze swojego młodszego syna, który stał właśnie w towarzystwie dwóch nieodłącznych koleżków na trybunie Tollygunge, w sektorze za dwie rupie, wśród — jakby to ujął Arun — „ostatniej hołoty”, studiując w wielkim skupieniu pukkę, czyli ostateczną listę jeźdźców w sześciu popołudnio-

⁵ * IAS, *Indian Administrative Service* (ang.) — administracja państwowa.

wych gonitwach. Wszyscy trzej chcieli w ten sposób podreperować nie tyle swoje umysły, ile raczej finanse.

Normalnie do głowy by im nie przyszło, żeby zainwestować całe sześć ann na zakup jednej gonitwy. Zamiast tego, z pomocą listy forów i informacji o wycofanych koniach, wpisaliby zmiany ołówkiem na listę tymczasową, którą kupili w środę. Niestety, Śadźid gdzieś ją zapodział.

Znowu siąpił ciepły deszcz, a przemoczeni widzowie przyglądali się prowadzonym po padoku koniom, które powłóczyły niechętnie nogami w grząskiej ziemi. W przeciwieństwie do Royal Calcutta Turf Club, tor na Tolly wyłożony był gymkhaną, nie darnią, i dlatego sezon monsunowy zaczynał się tu o miesiąc wcześniej, a w gonitwach startowali obok zawodowców amatorzy, głównie mężczyźni, ale i parę odważnych pań. Niektórzy dżokeje amatorzy byli dosyć ciężcy, dlatego handicapy przydzielano w wyższych kategoriach wagowych.

— Heart's Story ma na sobie duże obciążenie; handicap jedenastu kamieni*⁶ i sześciu funtów — mruknął Jason ponuro. — Postawiłbym na nią, ale...

— I co z tego? — zaproponował Śadźid. — Od dawna nosi Jocka Mackaya. Wszystkich może wyprzedzić na tym torze. Część z tej nadwagi mu spadnie, a poza tym przecież to ludzkie ciało, a nie wór ołowiu.

— A co to za różnica? — odparł Jason. — Ciężar to ciężar. — Ale teraz jego uwagę przykuła bardzo pełna Europejka, kobieta w średnim wieku, która rozmawiała po cichu z Jockiem Mackayem.

— O mój Boże! Przecież to Mrs DiPiero! — wyszeptał Warun głosem, który zdradzał podziw, a zarazem przerażenie. — Niebezpieczna sztuka! — dodał niemal bałwochwalczo.

Wesołej wdówce sprzyjało zwykle szczęście na wyścigach, może dlatego, że zawsze dostawała cynk z dobrze poinformowanych źródeł, przede wszystkim od Jocka Mackaya, który uchodził za jej kochanka. Czasami stawiała po parę tysięcy rupii na jedną gonitwę.

— Szybko! Za nią, chłopaki! — popędzał ich Jason, chociaż zorientowali się, o co mu chodzi, dopiero kiedy przestał pożerać ją wzrokiem i zwrócił

⁶ * Kamień — tu: miara ciężaru, równa ok. 6, 348 kg.

oczy w kierunku tablicy, gdzie bukmacherzy wpisywali kredą najnowsze notowania, ścierając nieustannie poprzednie, już nieaktualne. Mówiła tak ci chutko, że nie mogli jej dosłyszeć, ale domyślili się ze stawek na tablicach, kogo faworyzowała, i pozmieniali własne notowania. Szanse Hearfs Story wzrosły od razu z 7:1 do 6:1.

— Dobra — powiedział Śadźid z rozmarzeniem. — Stawiam na nią.

— Nie spiesz się — ściągał go na ziemię Jason. — Jasne, że facet popiera własnego konia.

— Może. Ale i z tą swoją też się musi liczyć. Widocznie mało kto zna możliwości jego klaczy.

— Hm... — wtrącił się Warun. — Jedno mnie niepokoi...

— Co takiego? — zapytali Śadźid i Jason jednocześnie. Warun znał się na rzeczy. Był nałogowcem, ale miał głowę na karku.

— Deszcz. Przy takim deszczu konie z dużym handicapem dostają największe ciężki. A ta klacz ma handicap jedenastu kamieni i sześciu funtów. Gorzej być nie może. Pewnie notowali ją tak nisko, bo trzy tygodnie temu jeździec ściągnął ją przy mecie.

Śadźid obstawał przy swoim. Papieros podrygiwał mu w ustach, kiedy mówił:

— To krótka gonitwa. Na takim krótkim dystansie handicap niewiele się liczy. Stawiam na nią tak czy tak, a wy róbcie sobie, co chcecie.

— To jak, Warun? — zapytał Jason niepewnie.

— A niech mu będzie.

Kupili bilety nie u bukmachera, tylko w kasie totalizatora, ponieważ stać ich było tylko na najtańsze, po dwie rupie, a poza tym szanse Heart's Story u bukmacherów wzrosły teraz do 5:1.

Wrócili na trybunę i dygocząc z podniecenia, wlepili wzrok w błotnisty tor.

Była to krótka gonitwa, na pięć ósmych mili. W deszczu i z takiej odległości nie widzieli, co się dzieje na starcie. Stali zresztą daleko od sektora dla uprzywilejowanych członków klubu. Ale i tak popadli w ekscytację, słysząc

tętent kopyt. Mglisty zarys końskich sylwetek w strugach deszczu zapierał im dech w piersiach. Warun wydierał się z pianą na ustach:

— Dawaj, Heart's Story! Dawaj! Dawaj!

W końcu tak zdarł sobie gardło, że tylko skrzeczał ochryple:

— Heart! Heart! Heart! Heart! — ściskając w tej gorączce Sadzida za ramię.

Konie wyłoniły się wreszcie zza zakrętu. Był to ostatni odcinek trasy. Teraz, kiedy można już było rozróżnić maść koni i kolory jeźdźców, stało się jasne, że gniada klacz Jocka Mackaya, który jechał w kolorach zielonym i czerwonym, wyszła na prostą, a zaraz za nią trzymał się Outrageous Fortune. Ostatkiem sił Anne Hodge spięła go ostrogami, ale wykończony galopem po rozmokłej ziemi skapitulował, kiedy już wydawało się, że zwycięży: zaledwie dwadzieścia jardów przed metą.

Heart's Story wygrała o półtorej długości.

Radosne okrzyki szczęściarzy przeplatały się z jękami tych, których spotkał zawód, a trzech przyjaciele oszaleli z podniecenia. Wygrana urosła w ich wyobraźni do niebotycznych rozmiarów. A gdyby się okazało, że wygrali po piętnaście rupii na łebka?! Butelka scotcha (na co komu jakieś tam szamszu!) kosztowała tylko czternaście rupii.

Ale gratka!

Teraz trzeba było tylko poczekać na oficjalne ogłoszenie wyników i zgarnąć forszę. Biała chorągiewka — w górę! Wciągnięto czerwoną obok białej. Rozpacz.

Ktoś wniósł sprzeciw.

— Siódemka kwestionuje zwycięstwo Dwójki — powiedział ktoś obok. — Zajechał jej drogę.

— Czego się czepiają? Nic nie widać w taki deszcz.

— Widać, widać.

— Nigdy by tego nie zrobił. To wszystko dżentelmeni.

— Akurat! Nie rób z Anne Hodge kłamczuchy.

— Ten cały Jock to lepszy krętacz. Pcha się do celu na chama, po trupach.

— Mogło mu się zdarzyć niechcący.

— Niechający! Tere-fere!

Agonia niepewności. Trzy nieskończenie długie minuty. Warun dyszał ciężko ze zdenerwowania, a papieros Śadżida drgał niespokojnie w wargach. Jason starał się trzymać fason, ale robił to bardzo nieudolnie. Kiedy czerwona chorągiewka opadła wreszcie, potwierdzając zwycięstwo Dwójki, padli sobie w objęcia jak bracia, których losy złączyły wreszcie po długoletnim rozstaniu.

— Cześć! Warun, prawda? — zabrzmiało to jak „Wajrun”.

Warun odwrócił się i zobaczył Patricię Cox w białej, powiewnej, elegancznej, bawełnianej sukience, pod białą parasolką, którą osłaniała się od słońca. Nie wyglądała wcale jak szara myszka; raczej jak drapieżna kotka. Ona też odebrała właśnie swoją wygraną.

Warun miał twarz rozpaloną, włosy rozczochrane, a koszulę przemoczoną do suchej nitki. W dłoni miętosił pognieciony program wyścigów. Był w towarzystwie Jasona i Śadżida, którzy zgarnęli właśnie, co im się należało, i skakali do góry z radości. Papieros wisiał jak zawsze w kąciku ust Śadżida jak przylepiony.

— He, he — zaśmiał się nerwowo Warun, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

— Co za przemiłe spotkanie — powiedziała Patricia Cox, nie ukrywając swego zadowolenia.

— He,he,he — zaryczał w odpowiedzi Warun. — Hm... tego... eee... — Jakie ona miała nazwisko? Coś jak Box...? Za nic nie mógł sobie przypomnieć. Wyleciało mu z pamięci.

— Patricia Cox — powiedziała usłużnie. — Poznaliśmy się niedawno u pana w domu po kolacji. Już pan zapomniał?

— Nie... tego... nie. He, he, he — zarechotał niepewnie Warun, szukając drogi odwrotu.

— A to pewnie pańscy koledzy, amatorzy szamszu — mówiła dalej z wyraźną aprobatą.

Jason i Śadżid, którzy od początku przysłuchiwali się tej rozmowie ze zdumieniem, wybałuszyli teraz na Patricię Cox oczy, a potem popatrzyli — niemal oskarżycielsko — na Waruna.

— He, he — wystękał Warun głupkowato.

— Na kogo postawić w następnej gonitwie? Co pan radzi? — spytała Patricia Cox. — Pana brat jest tutaj dzisiaj naszym gościem. A może by pan...

Warun odzyskał wreszcie głos i wybełkotał:

— Nie... nie... Czas już na mnie. — A potem odwrócił się na pięcie i uciekł z holu, zaniechawszy nawet dalszej gry.

Po powrocie do swojej łoży Patricia Cox powiedziała z ożywieniem do Aruna:

— Nie mówił mi pan, że pański brat też będzie tu dzisiaj. Nie mieliśmy pojęcia, że chodzi na wyścigi. Można by go było do nas zaprosić.

Arun osłupiał z przerażenia. Potem wyjąkał:

— Mój brat? A, tak, tak. Rzeczywiście... Czasami tu przychodzi... Czasami... Aha... No, właśnie. Przestaje padać.

— Niestety, najwyraźniej nie żywi do mnie wielkiej sympatii — powiedziała Patricia Cox ze smutkiem.

— Pewnie się pani boi — zauważyła bystro Minakshi.

— Mnie?! — zdziwiła się szczerze Patricia. Deszcz ustał.

Arun nie potrafił już skoncentrować się na gonitwie. Wokół niego kibice (wprawdzie bez ekscesów) zagrzewali konie do walki, ale jego oczy błądziły po trybunie. Po najniższych rzędach. Za ścieżką wiodącą od padoku na tor wyścigowy znajdował się ekskluzywny Tollygunge Club, gdzie wstęp mieli wyłącznie Europejczycy, których paru siedziało przy stolikach na trawniku, popijając leniwie herbatę i obserwując wyścig bez większych emocji. Tu, w sektorze Aruna, roiło się od tych, którym awans społeczny dawał pewne przywileje.

Natomiast tam, na dole, w połowie drogi między Tollygunge Club a łożą Coksów, w sektorze za dwie rupie, stał brat Aruna, wciśnięty pomiędzy swoich kompanów-huncwotów, tak podniecony, że zapomniał nawet o tym niedawnym spotkaniu, które tak wytrąciło go z równowagi. Skakał w górę i wymachiwał rękami, czerwony na twarzy, wykrzykując coś, czego nie sposób było zrozumieć z tej odległości, ale musiało to być imię konia, na którego postawił, jeśli nie u bukmachera, to przynajmniej w swoim sercu.

Wargi Aruna zadrżały lekko. Odwrócił wzrok. Przyrzekł sobie solennie, że go dopilnuje, bo inaczej bestia, raz wypuszczona z klatki, może przewrócić do góry nogami porządek wszechświata.

7.26

Tymczasem Mrs Rupa Mehra nadal rozmawiała z Latą, tym razem już nie o Warunie i IAS, ale o Sawicie i jej maleństwie. Jeszcze zanim przyszło na świat, Mrs Rupa Mehra była przeświadczona, że zostanie w przyszłości sędzią albo może profesorem. Naturalnie będzie to chłopiec.

— Już od tygodnia nie miałam żadnej wiadomości od mojej córki. Zła jestem na nią — powiedziała Mrs Rupa Mehra. W rozmowach z Latą mówiła o Sawicie „moja córka”, a w rozmowach z Sawitą o Lacie — „Lata”.

— Na pewno wszystko u nich w porządku. Inaczej by nas zawiadomili, że coś nie tak — powiedziała na pocieszenie Lata.

— Rozwiązanie tuż, tuż, akurat w te najgorsze upały! — zauważyła Mrs Rupa Mehra, sugerując w podtekście, że Sawita powinna była lepiej to sobie zaplanować. — Chociaż ty też się urodziłaś w porze monsunów. — Popatrzyła na Latę z rozczeniem. — A poród był ciężki.

Lata знаła już tę historię na pamięć. Czasami w kłótniach z Latą matka posługiwała się tym faktem jak orężem. W chwilach zaś czułości przypominała młodszej córce, jak wiele ona dla niej przez to znaczy. Lata słyszała również wiele razy o tym, jaki miała mocny uścisk jako dziecko.

— I ten nasz biedny Pran. Podobno nie padało jeszcze w Brahmपुरze — zamartwiała się Mrs Rupa Mehra.

— Padało trochę, Ma.

— Eee, co to za deszcz! Parę kropel i tyle. Wszędzie kurz i pył. Na pewno strasznie męczy go astma.

— Mamo, za bardzo gryziesz się tą jego astmą — powiedziała Lata. — Sawita i jego matka pilnują go jak oka w głowie.

Wiedziała jednak, że na nic zdadzą się te słowa otuchy. Mrs Rupa Mehra nie mogła żyć bez ciągłych utrapień, a — szczęśliwym zrządzeniem losu — małżeństwo Sawity dostarczało jej wciąż nowych niezliczonych powodów do zmartwień.

— Kiedy właśnie j ego matka sama niedomaga — oznajmiła Mrs Rupa Mehra tryumfalnie. — Aha, a skoro już jesteśmy przy tym temacie: powinniśmy porozmawiać z moim homeópata.

Arun, gdyby był obecny przy tej rozmowie, powiedziałby zaraz, że wszyscy homeopaci to szarlatani. Lata zapytała tylko:

— Ale czy te małe białe pastylki rzeczywiście coś ci pomagają, Ma? Może to tylko sugestia?

— A nawet jeśli, to co z tego? — odrzekła buntowniczo Mrs Rupa Mehra. — Twoje pokolenie to same niedowiarki. — (Lata nie zamierzała bronić swojego pokolenia). — Wyznają tylko tumiwizizm. Hołdują hulankom i swawolom — dorzuciła oskarżycielsko Mrs Rupa Mehra. Lata parsknęła śmiechem, zdumiona własną reakcją. — Co cię tak śmieszy? Dawno już nie słyszałam, żebyś się roześmiała.

— Nic takiego, mamó. Zaśmiałam się i tyle. To chyba nie przestępstwo? — Posmutniała jednak natychmiast na myśl o Kabirze.

Mrs Rupy Mehry nie zadowolily jednak ogólniki. Żądała konkretnych wyjaśnień.

— Ale coś cię musiało rozśmieszyć. Nie śmiałaś się bez powodu. Nie powinnaś mieć przed matką żadnych tajemnic.

— Mamó, nie jestem dzieckiem. Nie muszę ci się ze wszystkiego spowiadać.

— Dla mnie pozostaniesz na zawsze małą córeczką.

— Nawet kiedy będę po sześćdziesiątce?

Mrs Rupa Mehra spojrzała na córkę z niedowierzaniem. Bez trudności wyobrażała sobie nie narodzone jeszcze maleństwo Sawity jako sędziego, ale Lata jako kobiety sześćdziesięcioletniej wyobrazić sobie jakoś nie mogła. Spróbowała, ale okazało się to ponad jej siły. Na szczęście przyszła jej do głowy inna myśl.

— Do tego czasu dobry Bóg zawezwie mnie przed swoje oblicze — powiedziała z westchnieniem. — I dopiero po mojej śmierci, kiedy nie będzie mnie już wśród żywych, spojrzysz na to puste krzesło i pożałujesz swoich krnąbrnych wybryków. Wszystko przede mną ukrywasz. Nie dowierzasz mi.

Serce Lata ścisnęło się z bólu na myśl, że rzeczywiście matce nie dowierza. Przynajmniej jeśli chodzi o sprawy sercowe. Matka nigdy tego nie zrozumie. Pomyślała o liście od Kabira, który przełożyła z mitologii egipskiej do papeterii na dnie walizki. Jak zdobył jej kalkucki adres? Czy o niej myślał? I jak często? A przypomniawszy sobie żartobliwy, ba!, nonszalancki ton jego listu, znowu zawrzała gniewem.

A może to nie była wcale nonszalancja?, mówiła sobie. Jak miał jej to wszystko wytłumaczyć? Przecież, tak jak pisał, nie dała mu najmniejszej szansy. Na tym ostatnim spotkaniu (Kiedy to było? Wieki temu...) zachowywała się jak histeryczka. Ale przecież dla niej to była sprawa najwyższej życiowej wagi... A dla niego? Miła poranna wycieczka, nic poza tym. Nie spodziewał się takiego gwałtownego wybuchu. Ale zresztą, przyznawała w duchu, nie mógł tego przewidzieć w żaden sposób.

Jednak zranił jej serce. To z nim, a nie z bratem, tańczyła w myślach wczorajszego wieczoru. A ostatniej nocy śniło się jej, że deklamuje fragmenty jego listu na konkursie recytatorskim, w którym była jednocześnie jednym z jurorów.

— A więc dlaczego się śmiałaś? — powtórzyła pytanie Mrs Rupa Mehra.

Lata odrzekła wykrętnie:

— Bo przypominałam sobie głupie wstawki Biśwanatha Bhaduri w Firpos wczoraj wieczorem.

— No, ale to człowiek dobrze w życiu ustawiony.

— Głupstwa wygadywał. Że jestem ładniejsza niż Sawita i że mam włosy lśniące niczym źródłana woda.

— Bo jesteś całkiem ładna, jak o sobie zadbasz, kochanie — pocieszyła ją matka. — A jak miałaś wczoraj włosy upięte? W koczek?

Lata przytaknęła skinieniem głowy i ziewnęła szeroko. Było wczesne popołudnie i na ogół nie czuła się śpiąca o tej porze dnia, chyba że przygotowywa-

ła się akurat do egzaminów. Zwykle to Minakszi ziewała od świtu do nocy, zawsze w sposób wytworny i dystyngowany.

— A gdzie Warun? — zapytała Lata. — Mieliśmy przejrzeć razem kurendę: podają tam wszystkie niezbędne informacje na temat egzaminów do IAS. A może poszedł na wyścigi?

— I po co mi to mówisz? Przecież wiesz, że mnie to zdenerwuje! — krzyknęła na nią gniewnie Mrs Rupa Mehra. — Nie dosyć mam na głowie kłopotów? Wyścigi! Wszyscy tylko zajęci własnymi sprawami. Nikogo nie obchodzi moja udreka.

— Jaka udreka, Ma? — spytała Lata bez odrobiny współczucia.

— Wszyscy o ciebie dbają, wszyscy okazują ci przywiązanie.

Mrs Rupa Mehra zgromiła ją wzrokiem. Sawita nigdy nie robiła takich komentarzy. Nigdy nie wygłaszała tak bezczelnie swoich sądów. „Czasami”, pomyślała niechętnie, „zupełnie nie rozumiem tej dziewczyny”.

— Jaka udreka?! Jaka udreka?! Chyba nie jesteś ślepa? — odpaliła Mrs Rupa Mehra ze złością. — Minakszi zaniedbuje Aparnę. Serce mi się kroi, jak na to patrzę. A Warun? A jego studia? Co z nim będzie? Pali, pije, przepuszcza ostatni grosz na wyścigach. Robi się z niego nałogowy hazardzista. Z tobą też mi niełatwo: za mąż jeszcze nie wyszłaś, chociaż już najwyższy czas! Tym się też zadręczam. Sawita w ciąży, a Prana męczy astma. Na dodatek Brahmipur trzęsie się od plotek na temat jego brata. A siostra Minakszi też nie lepsza: ludzie strzepią sobie na niej języki. Może ma być mi miło z tego powodu, co? O, dopiero wczoraj słyszałam, co wygadywała o Kuku Purobi Ray. A ty mi jeszcze dogryzasz, chociaż wiesz, że niełatwo wdowie stawić czoło tym wszystkim zgryzotom. W dodatku mam cukrzycę — wytoczyła jeszcze argument ciężkiego kalibru, który (musiała przyznać Lata) był rzeczywiście nie do zbicia. — Z Aruna straszny nerwus; przez niego skacze mi ciśnienie. A Hanif wziął sobie dzisiaj wolny dzień, więc nawet herbatę muszę sobie parzyć sama.

— Ja ci przyniosę herbaty, Ma — zaproponowała Lata. — W tej chwili!

— Nie, nie, córuniu, ziewasz, idź, prześpij się trochę — odparła wielkodusznie Mrs Rupa Mehra. Szlachetna intencja liczyła się dla niej nie mniej niż dobry uczynek.

— Kiedy wcale mi się nie chce spać — powiedziała Lata.

— To dlaczego ziewasz, kochanie?

— Może właśnie dlatego, że za długo spałam. Wiesz co, Ma, zrobię ci jednak herbaty.

— Nie, nie! Nie fatyguj się.

Mimo to Lata poszła do kuchni. Matka zawsze wpajała w nią, że ma „nie sprawiać nikomu kłopotu, a przeciwnie, służyć innym pomocą”. Po śmierci ojca mieszkali przez kilka lat u znajomych, żyjąc właściwie na ich łasce (choć nigdy nie dano im tego odczuć), nic więc dziwnego, że Mrs Rupa Mehra starała się schodzić ludziom z drogi i wymagała tego samego od swoich dzieci. Tamte lata ukształtowały bez wątpienia ich osobowość. Ciągła niepewność jutra, dług wdzięczności wobec dobroczyńców (ludzi, jakkolwiek by było, całkiem obcych), wycisnęły na nich swoje piętno. Najmniej odbiło się to wszystko na Sawicie, ale u niej szlachetność serca była chyba wrodzona i żadne wpływy zewnętrzne nie zdołałyby tego zmienić.

— Czy Sawita zawsze była taka pogodna? Nawet jako dziecko? — zapytała matkę Lata parę minut później, kiedy wróciła z herbatą, pomimo iż doskonale знаła odpowiedź na swoje pytanie. W domu często mówiło się o tym, jaka pogodna była w dzieciństwie Sawita, o czym świadczyły również stare fotografie, jak choćby ta, na której mały berbecz zajada się, z błogim uśmiechem na ustach, jajkami na miękko, i ta z uśpionym słodko niemowlakiem. Swoim pytaniem Lata chciała po prostu rozweselić matkę.

— O, zawsze była bardzo pogodna — potwierdziła Mrs Rupa Mehra. — Ale nie przyniosłaś mi sacharyny, kochanie.

7.27

Trochę później Amit i Dipankar zajechali pod dom Aruna dużym białym humberem Catterdżich. Zarówno Lata, jak i jej matka wyraźnie zdziwione były tą nie zapowiedzianą wizytą.

— A gdzie Minakszi? — zapytał Dipankar, rozglądając się w zamyśleniu po mieszkaniu. — Śliczne te złotogłowy w ogrodzie.

— Poszła z Arunem na wyścigi — odparła Mrs Rupa Mehra. — Co im tam, że się mogą nabawić zapalenia płuc! Popijamy właśnie herbatę. Lata zaraz przyniesie drugi dzbanek.

— Nie, nie, naprawdę, dziękujemy — wymawiał się Amit.

— Dlaczego nie? — spytała Lata z uśmiechem. — Woda jeszcze gorąca.

— Oto cała Minakszi! — skomentował Amit rozdrażniony, a jednocześnie nieco rozbawiony sytuacją. — A powiedziała, żebyśmy wpadli dzisiaj po południu. No nic, to już sobie chyba pójdziemy. Dipankar ma coś do zrobienia w bibliotece Towarzystwa Kultury Azjatyckiej.

— Nie pozwolę wam wyjść, dopóki nie napijecie się z nami herbaty — powiedziała gościnnie Mrs Rupa Mehra.

— I nic pani nie mówiła, że możemy się zjawić z wizytą?

— Mnie w ogóle w tym domu nikt o niczym nie mówi — pożałowała się z przyzwyczajenia Mrs Rupa Mehra.

Na wyścigi dziewczę bieży

w deszcz- Parasol? W domu leży!

— wyrecytował Amit.

Mrs Rupa Mehra zmarszczyła czoło. Nie sposób było normalnie porozmawiać z młodszym pokoleniem Catterdżich.

Dipankar, znowu wodząc wzrokiem po mieszkaniu, zapytał:

— A gdzie Warun?

Lubił sobie z nim pogadać. Nieśmiały Warun zawsze wysłuchiwał w milczeniu jego filozoficznych wynurzeń, choćby nudził się jak mops, a Dipankar brał to za objaw zainteresowania. Z całą pewnością był dużo wdzięczniejszym słuchaczem niż członkowie jego własnej rodziny, którzy szybko tracili cierpliwość, kiedy prawił im o zawiłościach Nicości lub wyrzeczeniu się Pokusy. Kiedy starał się ich oświecić na ten temat przy śniadaniu, Kakoli zaczynała

wyliczać jego kolejne sympatie i twierdziła, że jak dotąd nie zauważyła, aby starał się choć opierać Pokusie, nie mówiąc już o jakichś wyrzeczeniach. Kuku nie potrafi rozumować w kategoriach ogólnych, mówił sobie Dipankar. Przyziemne dążenia pętają jej duszę.

— Waruna też nie ma. Wyszedł — powiedziała Lata, wracając z herbatą.
— Może przekażę mu, żeby zadzwonił do ciebie po powrocie?

— Spotkamy się, jeśli taka będzie losu wola — odparł filozoficznie Dipankar, a potem wyszedł do ogrodu, chociaż nadal mżyło i wiadomo było, że zabłoci sobie buty.

„Oto bracia Minakszi!”, westchnęła w duchu Mrs Rupa Mehra.

Ponieważ Amit się nie odzywał, a Mrs Rupa Mehra nie znosiła milczenia, zapytała go o Tapana.

— Dziękuję, czuje się znakomicie — odpowiedział. — Podwieźliśmy go właśnie z Całuskim do domu kolegi, którego rodzina ma całą sforę psów, a Całusek (o dziwo!) bardzo lubi ich towarzystwo.

„Rzeczywiście: »o dziwo!«”, pomyślała Mrs Rupa Mehra. Przy pierwszym spotkaniu Całusek wyskoczył do niej i usiłował wbić w nią swoje zębiska. Na szczęście przywiązany był do nogi pianina, tak że znajdowała się poza zasięgiem jego kłów. Natomiast Kakoli, nie odrywając się od swojego Szopena, powiedziała tylko: „Proszę mu tego nie brać za złe. Nie robi tego celowo”. „Zwariowana rodzina”, orzekła w myślach Mrs Rupa Mehra.

— A co tam u Kakoli? — zapytała głośno.

— Śpiewa dzisiaj z Hansem Schuberta. A właściwie to on śpiewa, a ona mu akompaniuje.

Mrs Rupa Mehra przybrała surową minę. To pewnie ten facet, o którym wspominała Purobi Roy, obgadując Kakoli. Co za rozwyrzenie.

— Śpiewają w domu, oczywiście...? — zagaiła.

— Nie, u Hansa. Przyjechał po nią, całe szczęście, bo inaczej zabrałaby nam samochód.

— Ale ktoś jest z nimi cały czas...? — naciskała dalej Mrs Rupa Mehra.

— Tylko duch Schuberta — odparł beztróska Amit.

— Dla dobra samej Kuku powinniście zachować ostrożność — przestrzegła go Mrs Rupa Mehra, zaszokowana bardziej tonem jego wypowiedzi niż jej treścią.

Jak oni mogli tak to lekce sobie ważyć? Czy nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie narażają własną siostrę?

— A nie mogliby tak śpiewać w Ballygunge?

— Zawsze a to pianino zagłusza fisharmonię, a to fisharmonia zagłusza pianino. Przy takiej kakofonii trudno się nad czymkolwiek skoncentrować.

— No, mój mąż pisał swoje sprawozdania z inspekcji kolejowych w otoczeniu czworga rozkrzyczanych pędraków — rzekła z dumą Mrs Rupa Mehra.

— To nie to samo, Ma — wtrąciła Lata. — Amit jest poetą. Tego się nie da porównać.

Amit popatrzył na nią z wdzięcznością, chociaż zastanawiał się, czy aby rzeczywiście sprawozdania z inspekcji kolejowych różniły się tak zasadniczo od powieści, którą właśnie pisał, czy nawet wierszy.

Dipankar wrócił z ogrodu przemoczony do suchej nitki. Przed wejściem do mieszkania wytarł jednak buty o wycieraczkę. Recytował właśnie śpiewnie fragment mistycznego poematu Śri Aurobinda *Savitri*.

*O, wy, rajskie nieba wieczystej światłości;
O, gwiazdne przestrzenie szmaragdowych cisz;
Bogu chwałę szemrzące głąbie rzek i mórz;
Sielankowe krainy szkarłatnych zórz*

Odwrócił się w ich stronę i zauważył:

— O! Herbata!

Po czym natychmiast zaczął się zastanawiać, ile cukru powinien sobie wsypać. Amit odwrócił się w stronę Laty:

— Wiesz, o co mu chodzi? — zapytał. Dipankar spojrzał na starszego brata pobłażliwie.

— Co za cynizm, Amit da! — powiedział do niego. A potem zwrócił się do Laty: — Dla mojego brata Życie równa się Materia. Ale przecież poza istnieniem fizycznym, namacalnym, są jeszcze inne byty, byty bezcielesne.

— O czym ty mówisz? — spytał Amit.

— Jak to? Więc nie wierzysz w Nadświadomość? — Dipankar zamrugał ze zdziwienia, jakby Amit podważał prawdziwość podstawowych praw natury, do czego zresztą, szczerze mówiąc, był zdolny.

— Sam nie wiem, czy w to wierzę, czy nie wierzę — odparł Amit — bo nie wiem, co to takiego. Ale już dobrze... Nie, nie, nie musisz mi tego wyłuszczać w szczegółach.

Dipankar wyjaśnił jednak z nie ukrywanym politowaniem:

— To płaszczyzna, gdzie ludzka dusza łączy się z siłą nadprzyrodzoną i gdzie jednostka przekształca się w „istotę gnostyczną”.

— Ciekawe, bardzo ciekawe — powiedziała z zainteresowaniem Mrs Rupa Mehra, która od czasu do czasu lubiła sobie na ten temat pomedytować. Poczula nawet do Dipankara pewną sympatię: jedyny z rodzeństwa Ćat-terdżich, który podchodził poważnie do życia. Wprawdzie mrugał bez przerwy, co było raczej denerwujące, ale Mrs Rupa Mehra gotowa była iść na ustępstwa.

— Ogromnie — przyznał Dipankar, mieszając trzecią łyżeczkę cukru w herbacie. — Jest łącznikiem pomiędzy Brahmą i satćidanandą a ludzkim wnętrzem.

— Nie za gorzka? — zapytała troskliwie Mrs Rupa Mehra.

— Chyba nie — odparł Dipankar z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Znalazłszy sobie wdzięcznego słuchacza, Dipankar zaczął rozwodzić się na inne tematy, również natury mistycznej, które go najbardziej intrygowały. Oprócz konceptualnej, „syntetycznej” filozofii, którą właśnie wykładał Mrs Rupa Mehrze, interesował się również tantrą i kultem Bogini-Matki. Wkrótce też zatopił się z Mrs Rupa Mehra w dyskusji na temat wielkich mędrców Ramakryshny i Wiwekanandy. Pół godziny później rozprawiał o Jedności, Dualizmie i Trójcy, z którymi to pojęciami zapoznał się niedawno w trybie przyspieszonym. Mrs Rupa Mehra starała się nadążyć za biegiem jego myśli.

— A wszystko to osiągnie punkt kulminacyjny w brahmpurskiej Pul Meli. Wtedy właśnie gwiazdne konfiguracje będą miały największą moc. W nocy, przy pełni księżyca, w miesiącu Jeth, przyciąganie księżyca będzie oddziaływało z największą siłą na nasze czakaramy. Nie wierzę w bajki, ale nauce nie da się zaprzeczyć. Wybieram się tam w tym roku. Możemy się razem zanurzyć w Gangesie.

Mrs Rupa Mehra nie wyglądała na przekonaną, ale powiedziała tylko:

— Bardzo dobry pomysł. Zobaczymy, jak się nam ułoży.

Przypomniała sobie właśnie z ulgą, że nie będzie jej w tym czasie w Brahmpurze.

7.28

Tymczasem Amit rozmawiał z Lata o Kakoli i jej aktualnym niemieckim wielbicielu o żelaznej dłoni, który na życzenie Kuku namalował jej nawet nad wanną Reichsadler (postępek zgoła niedyplomatyczny). Dzięki znajomym Kuku o zacięciu artystycznym sama wanna — łącznie z obudową — od dawna pokryta była malunkami ryb, raków, żółwi i innych mieszkańców wód. Kuku uwielbiała morze, szczególnie Sundarbans, w delcie Gangesu. A na widok raków i ryb, które przypominały jej o smakowitych bengalskich potrawach, śliska jej ciekła do ust. Kąpiel w takiej wannie — to dopiero prawdziwy luksus!

— I twoi rodzice wyrazili na to zgodę? — zdziwiła się Lata, którą oszłomiła okazałość rezydencji Catterdżich.

— Bez entuzjazmu — przyznał Amit. — Ale Kuku potrafi okręcić sobie ojca wokół małego palca. To jego pupilka. Chyba nawet mamę denerwuje, że jej tak we wszystkim pobłaża. Możliwe, że wkrótce będzie miała w pokoju własny telefon. Nie przedłużacz, tylko cały telefon! Parę dni temu była już na ten temat w domu rozmowa.

Lata uznała to za wielkopański kaprys. Chciała wiedzieć, dlaczego było to konieczne, a Amit wyjaśnił, że Kuku przyrosła po prostu do telefonu, i kpił

sobie, przedrzeźniając utarte zwroty, którymi witała się ze znajomymi kategorii A, B albo C.

— Magia tego aparatu tak na nią działa, że potrafi przerwać rozmowę z przyjacielem od serca kategorii A, który pofatygował się do niej z wizytą, żeby polecieć na telefoniczne pogaduszki ze znajomą kategorii C, która raczyła do niej zadzwonić.

— Jest bardzo towarzyska, prawda? — zauważyła Lata. — Zawsze w gronie przyjaciół, nigdy sama.

— Nie da się zaprzeczyć — przyznał Amit.

— Czy to celowo?

— Nie rozumiem...

— No, czy umyślnie stara się mieć zawsze kogoś obok siebie?

— Trudne pytanie — powiedział w zamyśleniu Amit.

— Ale zresztą, jest przecież ładna, żywa, sympatyczna — powiedziała Lata, przypomniawszy sobie rozpaplaną Kakoli otoczoną tłumem wielbicieli. — Nic dziwnego, że ludzie się do niej garną.

— Hm — odchrząknął Amit. — No, właśnie. Do nikogo nie dzwoni i nie odpowiada na telefony. Trudno więc powiedzieć, żeby sama czynnie, z własnej woli gonila za popularnością. Ale i tak ciągle wisi przy telefonie. Ci, co nie zastali jej w domu, próbują zawsze jeszcze raz.

— Wobec tego daje się czynnie zniewolić swemu otoczeniu — rzekła Lata, wsłuchując się ze zdziwieniem we własne słowa.

— W zasadzie tak... Daje się czynnie zniewolić. A nawet ochoczo — przyznał głośno Amit, zauważywszy w myślach, że dziwnie to jakoś brzmiało w odniesieniu do Kuku.

— Moja mama i twój brat znaleźli wspólny język — powiedziała Lata, spoglądając w ich stronę.

— Na to wygląda — przytaknął jej Amit.

— A jaką lubi muzykę? Mam na myśli Kuku — zapytała Lata.

Amit zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, a potem odparł krótko:

— Płaczliwą.

Lata czekała na dalsze wyjaśnienia, ale Amit najwidoczniej nie zamierzał wdawać się w szczegóły. Zamiast tego powiedział:

— A ty? Jaką lubisz muzykę?

— Ja? — rzekła Lata zaskoczona jego pytaniem.

— Tak, ty — powtórzył Amit.

— O... lubię różne rodzaje muzyki. Mówiłam ci już, że lubię klasyczną muzykę hinduską. A poza tym... tylko nie mów nic Iii kaki... podobają mi się również gazele. Chociaż muszę przyznać, że byłam na takim koncercie tylko raz. No, a ty?

— Ja też. Lubię różne rodzaje muzyki.

— A dlaczego Kuku lubi płaczącą muzykę? — indagowała dalej Lata. — Czy ma jakieś szczególne powody?

— No, wkopała się już w niejedną głupią miłośćkę — powiedział Amit brutalnie. — Ale gdyby nie te wszystkie sercowe zawody, nie spotkałaby się nigdy z Hansem.

Lata wyglądała na zdziwioną, a nawet zaszokowaną.

— Co z ciebie za poeta?! — skarciła go.

— Trudno w to uwierzyć, prawda? — zgodził się z nią Amit. — A czytałaś jakieś moje utwory?

— Nie — przyznała Lata. — Myślałam, że będą mieli w tym domu twoje książki, ale...

— A lubisz poezję?

— Uwielbiam!

Zamilkli na chwilę oboje, a potem Amit powiedział:

— Zwiedzałaś już Kalkutę?

— Co nieco. Byłam pod Pomnikiem Zwycięstwa i na moście Howrah.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle.

Teraz z kolei Amit miał zaszokowaną minę.

— Czy masz jakieś plany na dzisiaj?

— Nie. — Lata spojrzała na niego podejrzliwie, nie wiedząc, do czego zmierza.

— To się świetnie składa. Zabiorę cię w takie miejsca, które mogą być inspiracją dla poetów. Dobrze, że mamy samochód: inaczej byśmy przemokli, włócząc się po cmentarzu.

Chociaż to „tylko” Amit, wedle słów samej Lata, zabierał ją na zwiedzanie Kalkuty, Mrs Rupa Mehra uparła się, że ktoś musi im towarzyszyć. Wprawdzie Amit był „swój” (jako brat Minakszi), ale jednak, co młody człowiek, to młody człowiek: choćby dla zasady nie wolno było dopuścić, żeby ktoś ich widział razem samych. Z drugiej strony Mrs Rupa Mehra gotowa była nie wybredzać przy wyborze przyzwoitki. Ona sama nie miała najmniejszego zamiaru wędrować w deszczu gdzieś po cmentarzach. Co tam!, zgodziła się na Dipankara.

Ale Dipankar odmówił przysługi.

— Nie mam czasu, Dada. Muszę iść do biblioteki.

— Zadzwoń po Tapan. Jest u kolegi, ale może z nami pójdzie.

Tapan nie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem, że będzie im towarzyszył Całusek. Prowadzony na smyczy, oczywiście.

Ponieważ Całusek należał w zasadzie do Dipankara, potrzebna była również jego zgoda, której chętnie im udzielił.

I tak, w ciepłe, deszczowe popołudnie Amit, Lata, Dipankar (który podjechał z nimi pod samą siedzibę Towarzystwa Kultury Azjatyckiej), Tapan oraz Całusek wybrali się najpierw na przejażdżkę, a potem na przechadzkę, i to za zgodą samej Mrs Rupy Mehry. A ta odetchnęła z ulgą, że Lata zaczyna wreszcie wracać do siebie.

7.29

Po Brytyjczykach, którzy tłumnie opuścili Indie po wyzwoleniu, pozostała cała masa starych pianin, z których jedno — duże, czarne, „zaaklimatyzowane” w tropiku — stało w salonie Hansa Siebera w Queens Mansions. Kakoli siedziała właśnie przy pianinie, a Hans stał za jej plecami, czytając razem z nią z nut i śpiewając rzewne pieśni, choć tak naprawdę rozpieszczała go radość.

Śpiewali o miłości zgubnej i zdradzieckiej, o zaprzepaszczonej szczęściu i straconych złudzeniach. Były to fragmenty z mroźnego cyklu *Winterreise* Schuberta, którego Hans uwielbiał. Na zewnątrz letni rześisty deszcz zalewał kalkuckie ulice, spływał kaskadą do niszczących (i niezbyt licznych) kanałów, skąd wpadał do rzeki Hugli, a wreszcie, wraz z jej nurtem, do oceanu. W poprzednim wcieleniu mógł to być rzeczywiście puszysty śnieg, który wirował nad ziemią, kładąc się pod nogi bolejącego wędrowca, by zamarznąć wreszcie w lodowe bryły, gdzie ten wyrył później swoje — i swej niewiernej kochanki — inicjały. A może były to jego piekące łzy, zdolne stopić zimowe śniegi.

Początkowo Kakoli nie przepadała za Schubertem. Bardziej odpowiadał jej Szopen, którego utwory grała desperacko i zawzięcie na pianinie. Ale odkąd zaczęła akompaniować Hansowi, polubiła Schuberta i zainteresowanie to coraz bardziej się pogłębiało.

Podobnie było zresztą z jej uczuciami do Hansa, którego wyszukana kurtuazja początkowo ją tylko śmieszyła, potem irytowała, a ostatnio stała się balsamem dla jej duszy. Ze swej strony Hans, nie inaczej niż rzesze poprzednich adoratorów Kuku, był w niej zadurzony po uszy, ale wydawało mu się, że ona nie traktuje go poważnie, ponieważ tylko sporadycznie odpowiadała na jego telefony. Gdyby wiedział, że na telefony innych nie odpowiadała wcale, zrozumiałby, jak bardzo jej na nim zależy.

Zaczęli teraz przedostatnią z dwudziestu czterech pieśni, zatytułowaną *Die Nebensonnen*, Sztuczne słońca, każde z nich z własnym artystycznym credo. Hans śpiewał wartko i wesoło, Kuku natomiast grała wolno i z namaszczeniem. Kiedy pochylił się nad nią, żeby przewrócić nuty, Kakoli powiedziała:

— Nie, nie, Hans. To nie tak! Śpiewasz za szybko.

— Za szybko?! — zaprotestował Hans. — Miałem raczej wrażenie, że to akompaniament był zbyt niemrawy. Chcesz zwolnić tempo, tak? No, to spróbujmy: *Ach, meine Sonnen seid ihr nicht!* — przeciągnął nuty. — No i jak?

— Aha! Właśnie tak.

— Ale przecież to szalenie, Kakoli! Sama wiesz.

To obecność boskiej Kakoli sprawiała, że tryskał taką werwą.

— Jeszcze nie — poprawiła go Kuku. — Oszaleje dopiero w następnej pieśni. Wtedy możesz przyspieszać, ile chcesz.

— Kiedy właśnie tam trzeba przystopować — odrzekł Hans. — O, tak... — Tu, uderzając prawą ręką w klawisze o wysokich tonach, zademonstrował, jak w jego przekonaniu winna być wykonana ostatnia pieśń. Ich dłonie zetknęły się na chwilę pod koniec pierwszej zwrotki. — O, widzisz, bo tutaj on już godzi się ze swoim losem.

— Jak to? A jakim cudem znowu jest przy zdrowych zmysłach? — zapytała głośno Kakoli, a w duchu pomyślała: „Bzdura!”

— Niekoniecznie. A może oszalał, ale i zarazem pogodził się z losem.

Kuku spróbowała zagrać to w takim rytmie, ale w końcu pokręciła głową.

— Usnęłabym przy tym.

— Więc uważasz, że *Die Niebensonnen* grać trzeba tęsknie, natomiast *Der Leiermann* z życiem.

— Owszem, Kakoli. Tak właśnie uważam. — Kakoli lubiła, kiedy Hans zwracał się do niej po imieniu; kładł jednakowy nacisk na wszystkie trzy sylaby. Rzadko mówił do niej „Kuku”.

— A moim zdaniem *Der Leiermann* powinno się grać tęsknie, a *Die Niebensonnen* z życiem.

— Właśnie — sarknęła Kakoli. I zauważyła w myślach: „Nie pasujemy do siebie. Tyle nas dzieli”. Powinni być idealnie zgrani. Idealnie. Pod każdym względem... Nie znosiła kompromisów.

— Więc zgadzamy się co do tego, że jedną z pieśni należy grać z tęsknotą, a drugą z życiem! — oznajmił tryumfalnie Hans. Taki wniosek wydawał mu się jak najbardziej logiczny. Był to dowód niezbity, że są dla siebie stworzeni, tylko muszą się jeszcze trochę dotrzeć. Kuku podniosła wzrok. Twarz Hansa promieniała radością. — Widzisz — pospieszył z wyjaśnieniem. — Tak się jakoś przyjęło, iż należy obie grać w powolnym rytmie.

— Obie w powolnym...? — zdziwiła się szczerze Kuku. — Wykluczone.

— Masz rację, wykluczone! — poparł ją Hans. — Może zacznijmy znowu od miejsca, gdzie przerwaliśmy, tylko trochę wolniej, tak jak to sugerowałam.

— Dobrze — zgodziła się Kakoli. — Ale o co tu chodzi, u licha? W tej pieśni? O co tu właściwie chodzi?

— Z trzech słońc dwa zachodzą — tłumaczył jej Hans. — Zostaje jedno.

— Hans! — westchnęła ciężko Kakoli. — Jesteś cudowny i arytmetycznie obliczyłeś to prawidłowo. Ale dalej nic mi to nie mówi.

Hans zarumienił się.

— Moim zdaniem te dwa słońca to dziewczyna i jej matka. Trzecie to on sam.

Kakoli przeszła go wzrokiem. Kpił sobie z niej czy co? Żartowniś.

— Matka? — zapytała z niedowierzaniem.

— No, może nie — przyznał Hans, pokonany. — Ale wobec tego kto? Przecież postać matki pojawiała się w cyklu *Winterreise*, tylko dużo wcześniej.

— Strasznie to dziwaczne. Nic z tego nie rozumiem — powiedziała Kakoli. — Ale to nie może być matka.

„Źle się zapowiada”, myślała. Nie dość, że nie lubił bengalskiej kuchni, to jeszcze różnili się w tylu innych sprawach!

— Dlaczego? — spytał Hans. — A co w tym dziwnego?

— Nieważne — odparła Kuku od niechcienia. — Ładny masz głos. Jak zawodowy śpiewak. Świetnie wychodzą ci pieśni miłosne, te o złamanych sercach. Możemy sobie pośpiewać także w przyszłym tygodniu.

Hans znowu oblał się rumieńcem i zaproponował Kuku drinka. Nigdy jeszcze nie pocałował jej w rękę, chociaż zameżne panie cmokał zawsze z galanterią. Sądził, że Kakoli źle by to przyjęła. I tu się mylił.

7.30

Amit i Lata wysiedli z samochodu na Park Street, przy bramie cmentarnej z kutego żelaza. Dipankar i Tapan nie dołączyli do nich, ponieważ cała czwórka miała do swojej dyspozycji tylko dwa parasole, a spacer po cmentarzu nie miał trwać długo. Odstępy między grobami były tak wąziutkie, że cza-

sami trudno się było między nimi precyzyjnie przeliczyć. Alejki krzyżowały się, tworząc swoistą sieć. Tu i ówdzie rosły grupkami palmy, skąpane w deszczu, a odległe grzmoty i szum wody zagłuszało krakanie wron. To miejsce skłaniało do zadumy. Cmentarz ten założony został w 1767 roku, przez i dla Europejczyków. Dzieci i starcy (przeważnie ofiary zabójczego, upalnego klimatu) leżeli przytłoczeni kamiennymi płytami, pochowani w urnach i grobowcach. Ozdobne kolumnienki i pomniki murszały w kalkuc-kim skwarze i wilgoci. Wysokie, pojone deszczem zielska krzewiły się bujnie pomiędzy grobami. W porównaniu z Brahmpurem, Benaresem, Allahabadem, Agra, Lakhnau albo Delhi Kalkuta była miastem stosunkowo młodym, lecz niszczycielski klimat nadawał jej wygląd chylącej się do upadku ruiny.

Strugi deszczu lały się z nieba na ziemię.

— Po co mnie tu przyprowadziłeś? — zapytała Amita Lata.

— Słyszałaś o Landorze?

— O Landorze? A kto to taki?

— Walter Savage Landor. Nigdy nie spotkałaś się z tym nazwiskiem? —

W głosie Amita brzmiała nutka rozczarowania.

— Zaraz... Walter Savage Landor... Już wiem! „O Rózo! Płaczem cię nie wskrzeszą...”

— Łzami. No więc ona tu jest pochowana. A oprócz niej ojciec Thackeraya i jeden z synów Dickensa, prototyp Byronowskiego *Don Juana* — powiedział Amit z dumą typową dla kalkutczyka.

— Naprawdę?! Róża Aylmer?! — powiedziała zaskoczona Lata. — Tu? Na tym cmentarzu? W Kalkucie? — Nie zdziwiłaby się bardziej, usłyszawszy, że Hamlet był w przeszłości władcą Delhi. „Szlachetne lica, płęć subtelna...”

— „Ruchy królewskie, aksamitny głos...” — deklamował dalej Amit.

— „Cnotę i wdzięk, i duszę dzielną!...” — wykrzyknęła Lata z nagłym entuzjazmem.

— „Ileż to skarbów dał ci szczodry los!”

Grzmot przetoczył się do wtóru dwóm ostatnim wersom wiersza.

— „O Rózo! Płaczem cię nie wskrzeszą...” — recytowała dalej Lata.

— Łzami.

— Aha, przepraszam. Łzami. „O Rózo! Łzami cię nie wskrzeszą...”

— „Me oczy; rozpacz spędza z powiek sen...” — powiedział Amit, wymachując parasolem.

— „Ku Tobie myśli moje spieszą...”

— „W noc beznadziejną, w bezcelowy dzień”.

Amit zamilkł na moment, a potem, patrząc na Latę wzrokiem pełnym zachwytu, powiedział:

— Piękny wiersz. Naprawdę piękny wiersz. — Znowu zamilkł, a po chwili zauważył: — Właściwie to: „W noc bez nadziei, w bezcelowy dzień”.

— A jak ja powiedziałam? — zapytała Lata, myśląc o własnych bezsensownych nocach bez nadziei, które jeszcze niedawno spędzała na ponurych medytacjach.

— Powiedziałaś „beznadziejną”, zamiast „bez nadziei”.

— „Noc beznadziejną...” „noc bez nadziei...” Aha, no tak. Ale czy to taka znowu wielka różnica?

— Niby nie, ale jednak. Przymiotnik „beznadziejny” ma dwa znaczenia. Może się po prostu odnosić do jakiejś cechy ujemnej, podkreślając jej negatywny wydźwięk. Ale jego ukochana leży w grobie. Dla niego nie ma nadziei. To jest ta różnica.

Szli jedno za drugim, gdyż alejki za wąskie były na dwie osoby, a parasole utrudniały poruszanie się wśród stojących bardzo blisko siebie grobowców. Grób Róży Aylmer nie był daleko, tylko parę alejek dalej, ale Amit wybrał okreśną drogę. Na płycie pamiątkowej niewielkiego, stożkowatego pomnika ze spiralnym czubkiem, pod jej imieniem i nazwiskiem wygrawerowany był wiersz Landora, a obok niego banalny pięciowiersz:

Przedwcześnie szczęście Jej przerwała śmierć,

Nie dając się nacieszyć kwiatów wonią.

Nam, pozostałym tutaj przyszło nieść

Cieżary życia. Wiara naszą bronią.

Taki Jej widać był pisany los.

Lata wpatrywała się w skupieniu w pomnik, a potem przeniosła wzrok na Amita, który zdawał się pogrążony we własnych myślach. „Ma coś dobrego w twarzy”, powiedziała sobie po cichu.

— Więc umarła, mając lat dwadzieścia jeden? — zauważyła Lata.

— Mhm. Mniej więcej w twoim wieku. Poznali się w bibliotece. W Swansea Circulating Library. A potem rodzice zabrali ją do Indii. Biedny Landor. Taki zacny gość. Musiał pozwolić jej odejść.

— A co ją zabiło? Ból rozstania?

—Nie. Nadmiar ananasów.

Lata przystanęła zaskoczona.

— Widzę, że mi nie dowierzasz. A jednak to prawda. Tak, tak — powiedział Amit. — No, lepiej wracajmy — dorzucił. — Nie możemy pozwolić, żeby czekali na nas w nieskończoność. Przemokłaś do suchej nitki!

— I ty też!

— Ten pomnik — mówił dalej Amit — wygląda trochę jak krożek z wafla odwrócony do góry nogami.

Lata milczała. Była zła na Amita.

Wrócili do samochodu. Podrzućli Dipankara do Towarzystwa Kultury Azjatyckiej, a potem, na życzenie Amita, kierowca podwiózł ich do Caurin-ghi, do szpitala pod nazwą Presidency. Kiedy przejeżdżali obok Pomnika Zwycięstwa, Amit zapytał podchwytliwie:

— Więc byłaś już pod Pomnikiem Zwycięstwa i na moście Howrah. Nic więcej nie chcesz wiedzieć o Kalkucie?

— Chcę wiedzieć więcej. Tylko nie miałam dotąd okazji... No, byłam jeszcze w Firpos i w Golden Slipper. Aha, i na Nowym Targu.

Tapan podsumował to kupletem Kakoli:

Sir Stuart Hogg! Tak się pan zwiesz?

Całusku! Bierz go! Bierz!

To zbiło Latę z tropu, ponieważ nie wiedziała, do czego odnosiła się ta aluzja. Ale ponieważ ani Tapan, ani Amit nie kwapili się z wyjaśnieniem, mówiła dalej:

— Na szczęście Arun przyrzekł mi, że urządzimy sobie piknik w Ogrodzie Botanicznym.

— Pod rozłożystym figowcem — pokiwał głową Amit.

— To największy na świecie. — Tapan chełpił się atrakcjami Kalkuty nie mniej niż jego brat.

— Ale przecież teraz ciągle leje!

— Więc może wybierzemy się na Boże Narodzenie, jeżeli teraz się nam nie uda.

— Spędzisz Boże Narodzenie w Kalkucie? — upewnił się Amit, który ucieszył się tą wiadomością.

— Chyba tak — potwierdziła Lata.

— To wspaniale — powiedział Amit. — W zimie dużo jest różnych koncertów hinduskiej muzyki klasycznej. I przyjemnie jest wtedy w Kalkucie. Pójdziemy sobie pozwiedzać. Rozszerzę twoje horyzonty. Wyćwiczę twój umysł. Nauczę cię Bangli.

Lata roześmiała się rozbawiona.

— Już nie mogę się doczekać — powiedziała.

Całusek warknął groźnie.

— No, co tam? Czego ci trzeba, psino? — zwrócił się do niego Tapan. A potem poprosił Latę, podając jej smycz: — Potrzymaj go trochę, dobra?

Całusek zamilkł. Tapan pochylił się nad nim i zajrzał mu w ucho.

— Nie był jeszcze na spacerze — powiedział. — A ja chętnie bym się napił mrożonej kawy.

— Masz rację — rzekł Amit. — Deszcz trochę zelżał. Rzucimy okiem na jeszcze jeden zabytek bliski sercu poety, a potem pójdziemy na Maidan, żebyście się mogli obaj upaprać w błocie. Natomiast w drodze powrotnej zatrzymamy się w Keventers. — Potem zwrócił się do Laty:

— Chciałem ci pokazać rezydencję Rabindranatha Tagore w Kalkucie Północ, ale to daleko, a poza tym wszędzie mokro. Obejrzymy ją przy innej okazji. Aha, może jest coś, co ty byś chciała szczególnie zobaczyć?

— Może uniwersytet — odparła Lata. — Wiesz, College Street i okolicy. A tak poza tym... nie, właściwie nic więcej. Ale będziesz miał czas na takie zwiedzanie?

— Da się wykroić — rzekł Amit. — No, jesteśmy na miejscu. O, tam, w tym małym domku Sir Ronald Ross odkrył zarazki malarii. — Wskazał na przytwierdzoną do bramy pamiątkową tablicę. — A przypieczętował to wydarzenie wierszem.

Tym razem poszli wszyscy w czwórkę (wliczając Całuska), choć ani Tapan, ani jego podopieczny nie wykazali najmniejszego zainteresowania tablicą. Lata natomiast chłoneła każde słowo. Naukowcy zwykle posługiwali się niezrozumiałym żargonem, ciekawa więc była tego wiersza.

*Od Boga dziś dostałem
Cudowny, cenny dar.
Modlitwą mą przesłałem
Dziękczynień szczerych żar.*

*Tyrałem w pocie czoła
Dzień w dzień, bez tchu, noc w noc,
By stawić zmorze czoło,
Skruszyć, zmoru, twą moc.*

*Dar ten uzdrowi chlubnie
Legiony ludzkich dusz.
Tryumf nad siłą zgubną
Jest obok nas, tuż-tuż!*

Lata przeczytała wiersz po raz drugi.

— No i co o tym myślisz? — zapytał Amit.

— Nie podoba mi się — odparła Lata.

— Nie? A dlaczego?

— Sama nie wiem. Po prostu mi się nie podoba i już. Ten „cudowny, cenny dar” i te „legiony ludzkich dusz...” W obu przypadkach aliteracja jest strasznie naciągana. I ten rym „czoła — czoło...” Brzmi to niezdarnie. A tobie się podoba?

— Muszę przyznać, że tak — powiedział Amit. — Ale nie potrafię tego uzasadnić. Może po prostu wzrusza mnie, że chirurg wojskowy potrafił napisać z taką pasją i z takim nabożnym oddaniem o swoim osiągnięciu. Podoba mi się też ten chiasm; zręczny zwrot... o, proszę! niechący wyszedł mi daktyl! — powiedział, nie ukrywając swego zadowolenia — „dziękczynień szczerých żar”.

Lata wpatrywała się uważnie w tablicę, marszcząc brwi, najwyraźniej nadal nie przekonana.

— Potrafisz być bardzo ostra w swoich sądach — zauważył Amit z uśmiechem. — Ciekaw jestem, jak byś oceniła moje wiersze.

— Może mi kiedyś wpadną w ręce — rzekła Lata. — Zastanawiam się, jakim piszesz stylem, bo w rozmowie jesteś żartobliwy, ale i cyniczny.

— W poezji też jestem cyniczny.

— A recytujesz czasem swoje wiersze?

— Prawie nigdy.

— A ludzie cię o to nie proszą?

— Ciągle mnie nagabują — przyznał Amit. — Ale nie ma nic gorszego niż poeta czytający własne wiersze. Katastrofa!

Lata przeniosła się myślami do Brahmpuru. Uśmiechnęła się na wspomnienie spotkania w Towarzystwie Miłośników Poezji. Ale potem przypomniała sobie o Kabirze. Serce się jej ścisnęło. Posmutniała.

Amit zauważył tę nagłą zmianę. Chciał zapytać, co się stało, ale nie dała mu szansy, wykorzystując to, że przez chwilę się zawahał.

— A jak do tego doszedł? Może wiesz? — wskazała palcem na tablicę.

— Coś niecoś — odparł Amit. Kazał służącemu złapać parę komarów, a potem dać się im pogryźć... to jest pogryźć tego służącego, ma się rozumieć. No i w ten sposób zdobył zarazki malarii. Ross zorientował się, że przenoszą je komary. „Dar ten uzdrowi chlubnie legiony ludzkich dusz”.

— A zgładzi jedną, zanim uzdrowi te legiony.

— Wiem, co masz na myśli. Ale ludzie zawsze dziwnie traktowali swoich służących. Landor, ten od łez i bezsennych nocy, wypchnął kiedyś swojego kucharza przez okno.

— Chyba jednak nie przemawiają do mnie kalkucy poeci — stwierdziła ponuro Lata.

7.31

Wreszcie Dipankar dostał mrożonej kawy, a Amit w drodze powrotnej z Maidan zapytał Latę, czy nie mi ałaby ochoty na filiżankę herbaty w Ballygunge. Lata chętnie przyjęła zaproszenie. Lubiła swobodną atmosferę tego domu. Lubiła pianino, książki, werandę i duży ogród. Kiedy ze swego pokoju na górze Amit poprosił Bahadura o dwie herbaty, ten (roszcząc sobie prawo do ingerowania w prywatne sprawy syna swego pracodawcy) zapytał, czy ktoś jeszcze będzie z nim pił.

— Nie — odparł Amit uszczypliwie. — Sam wypiję obie filiżanki.

Później, kiedy Bahadur, stawiając tackę z herbatą na stole, zlustrował Latę niechętnym spojrzeniem, Amit powiedział:

— Nie przejmuj się. I wybacz to wścibstwo. Uważa, że każda kobieta, z którą piję herbatę, to potencjalna kandydatka na żonę. Ile łyżeczek?

— Dwie, dziękuję — odparła Lata, a potem dorzuciła figlarnie, wiedząc, że tu nie ma zagrożenia: — A to prawda?

— O, nie aż tak na serio — zapewnił ją Amit. — Ale on tak sądzi. Nasza służba ubrdała sobie, że powinniśmy żyć wedle ich zaleceń. Bahadur podpatrzył, że wzdycham do księżyca w różnych, najprzedziwniejszych porach dnia i nocy i uznał, że tylko ożenek może mnie z tego wyleczyć. Daje mi rok na wykonanie zadania. Dipankar chciałby otoczyć swoją altankę żywopłotem z bananów i papai, a mali robi mu wykłady o wyższości ziół nad owocującymi bylinami. Kucharz Mugh zaś omal nie wypowiedział służby, bo Tapan, po przyjeździe z internatu, zażerał się przez tydzień pieczenia z jagnięcia i lodami o smaku mango na śniadanie.

- No, a Kuku?
- O! Na widok Kuku kierowca dostaje kuku na muniu.
- Co za zwariowana rodzina! — pokręciła głową Lata.
- Wręcz przeciwnie — zaprotestował Amit. — Zdrowy rozsądek to my.

7.32

Kiedy Lata wróciła pod wieczór do domu, Mrs Rupa Mehra nie zapytała jej nawet, gdzie była ani co robiła. Była rozdygotana: Arun pokłócił się z Warunem i atmosfera w domu nadal była napięta.

Warun wrócił do domu z wygraną w kieszeni. Nie upił się jeszcze, ale nie-trudno było zgadnąć, gdzie utopi ten majątek. Arun wykrzyczał mu, że jest darmożjadem i że skoro już wygrał na wyścigach, to powinien dołożyć się do utrzymania rodziny i skończyć raz na zawsze z hazardem. Wałkoni się tylko, mitręży czas, a nie zhańbił się jak dotąd żadną pracą. Warun, który wiedział, że Arun też był na wyścigach, odparował, żeby ten lepiej sam przestrzegał zasad, które głosi. Arun, puipurowy z wściekłości, pokazał mu drzwi. Mrs Rupa Mehra dostała spazmów, jeszcze bardziej rozjątrzając zwaśnionych błagalnymi prośbami o spokój. Minakshi oznajmiła, że nie potrafi żyć w takim jazgocie, i zagroziła, że wróci do Ballygunge. Całe szczęście, powiedziała, że Hanif ma akurat tego dnia wychodne. Aparna uderzyła w płacz i nawet niania nie była w stanie jej uspokoić.

Płacz Aparny przygasił agresję adwersarzy. Może nawet zawstydził ich nieco. Minakshi i Arun wyszli już z domu, a Warun zamknął się w swojej klitce, mrużąc coś do siebie pod nosem.

— Szkoda, że nie ma tu Sawity — chlipnęła Mrs Rupa Mehra. — Ona jedna potrafi udobruchać Aruna, kiedy wpada w szał.

— Całe szczęście, że jej tutaj nie ma, Ma — odparła Lata. — Ale najbardziej martwię się o Waruna. Pójdę zobaczyć, czy się jakoś trzyma.

Uświadomiła sobie, że na nic się zdały jej rady, których udzielała mu w Brahmपुरze.

Zapukała do drzwi i weszła do jego pokoju. Leżał na łóżku, a przed nim rozpostarta była płachta „Gazette of India”.

— Postanowiłem się poprawić — rzekł Warun nerwowo, z rozbieganym wzrokiem. — Przeglądałem właśnie regulamin egzaminów IAS. Będą we wrześniu, a ja nawet nie zacząłem się do nich przygotowywać. Arun bhai uważa mnie za darmozjada i ma rację. Nicpoń ze mnie. Baki zbijam. Mitręzę czas. Tatuś wstydziłby się za mnie. Spójrz tylko na mnie, Luts... No, spójrz tylko na mnie. Co ja sobą reprezentuję? — zapalał się coraz bardziej. — Nic! Wielkie zero! — Powiedział to tonem Aruna, oskarżycielsko, a zarazem pogardliwie. — Wielkie zero — powtórzył z odrazą. — Nie uważasz? — Oczekiwał zaprzeczeń.

— Zrobić ci herbaty? — zapytała Lata, zastanawiając się, dlaczego, za przykładem Minakszi, nazywa ją Luts. Warunem można było kręcić na wszystkie strony.

Zasepiony Warun przebiegł wzrokiem po rubrykach ogłoszeń: „Zarobki”, „Wykaz zadań obowiązkowych i do wyboru”, „Wzorzec i program egzaminów”. Zerknął nawet na „Tabelę kandydatów według przynależności kastej”.

— Dobrze, skoro nalegasz — powiedział wreszcie z rezygnacją w głosie. Ale wpadł ponownie w popłoch, zanim jeszcze Lata zdążyła wrócić z kuchni z herbatą. Przeczytał właśnie paragraf na temat rozmowy kwalifikacyjnej.

Komisja kwalifikacyjna, mająca do wglądu *curriculum vitae* kandydatów, przeprowadzi z nimi rozmowę kwalifikacyjną. Pytania zadawane w trakcie tej rozmowy będą natury ogólnej. Celem rozmowy kwalifikacyjnej jest ustalenie przydatności kandydata do pracy w administracji państwowej. Oceniane będą zarówno zalety umysłu, jak i charakteru kandydatów, a także ich predyspozycje do sprawowania funkcji kierowniczych.

— Zobacz tylko! Przeczytaj to! — jęknął Warun. — No! Sama to sobie przeczytaj!

Lata podniosła z łóżka gazetę i zaczęła ją czytać z zainteresowaniem.

— Odpadam w przedbiegach — biadolił Warun. — Przecież każdy się zaraz zorientuje, że ma do czynienia z gamoniem. Komu ja zaimponuję?! A rozmowa kwalifikacyjna warta jest czterysta punktów. Nie, nie... ja i praca w administracji... Akurat! Czyste mrzonki... Gdzie mi tam... Tam idą tęgie głowy... Potrzeba im ludzi przedsiębiorczych, z inicjatywą... nie takich jełopów piątej kategorii jak ja...

— Proszę — powiedziała Lata, podając bratu herbatę. Warun wziął od niej kubek i powiedział, prawie pytająco, z oczami pełnymi łez:

— Ja się chyba nie nadaję do żadnej pracy? Nie mogę zostać ani nauczycielem, ani kupcem, ani urzędnikiem... Wszystkie hinduskie przedsiębiorstwa handlowe to biznesy rodzinne. Własnej firmy nie założę, bo nie mam środków finansowych... ani siły przebicia. Arun ciągle mi wymyśla... Czytam właśnie *Jak zdobyć przyjaciół oraz mir wśród ludzi* — zwierzył się Lacie. — W ramach samodoskonalenia.

— No i co? Są rezultaty?

— Nie wiem jeszcze — przyznał Warun. — Nie potrafię tego ocenić.

— Ale, Warun bhai, dlaczego nie posłuchałeś mojej rady? Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w zoo?

— Jak to nie posłuchałem?! Właśnie że posłuchałem! Wychodzę teraz bardzo często ze znajomymi. I sama widzisz, jak to się kończy... — powiedział Warun.

Zapadło milczenie. Bez słowa sączyli herbatę w maleńkiej klitce Waruna. Nagle Lata podniosła oczy znad gazety, którą przeglądała, i wykrzyknęła z oburzeniem:

— No nie! Posłuchaj tylko! Co oni tu wypisują! „Rząd Indii nie przyjmuje kobiet zamężnych do pracy w administracji państwowej ani w policji. Kobiety, które po podjęciu pracy w tych organach państwowych wstąpią w związki małżeńskie, mogą zostać zmuszone do złożenia rezygnacji”!

— O... — powiedział Warun z wahaniem, nie bardzo rozumiejąc, co w tym złego. Policjanci musieli być bezwzględni. Jason był kiedyś przecież policjantem. To nie jest praca dla kobiety, niezależnie od jej stanu cywilnego.

— Ale to jeszcze nie wszystko! — zżymała się dalej Lata. — Coraz lepiej! Zobacz! „O przyjęcie do służby dyplomatycznej ubiegać się mogą wy-

łącznie kobiety niezamężne lub wdowy bez rodzinnych zobowiązań. W przypadku (ponownego) zamążpójścia zatrudnionej grozi utrata zajmowanego stanowiska".

— Bez rodzinnych zobowiązań? — powtórzył pytająco Waran.

— Takie, które nie mają dzieci na utrzymaniu — wyjaśniła Lata.

— Chyba o to im chodzi. Innymi słowy, z góry zakłada się, że wdowiec obarczony dziećmi potrafi połączyć życie rodzinne z karierą zawodową, ale wdowa temu nie podoła... Przepraszam, sprzątnęłam ci sprzed nosa gazetę...

— Nie, nie! Czytaj sobie! Właśnie mi się przypomniało, że muszę wyjść. Obiecałem.

— Komu obiecałeś? — zapytała szorstko Lata. — Jasonowi i Śadźidowi?

— Nie... niezupełnie — odparł Warun wymijająco. — Ale jakkolwiek by było, obietnica jest obietnicą i godzi się jej dotrzymać. — Zachichotał niepewnie. Zacytował właśnie jedną z ulubionych maksym życiowych matki. — Ale powiem im, że na tym koniec. Przestaną się z nimi spotykać. Muszę się zacząć przygotowywać do egzaminów. Zagadasz trochę mamę?

— Żebyś się mógł wymknąć niepostrzeżenie? — rzekła Lata. — Jeszcze czego!

— Błagam, Luts! Zrób to dla mnie! Inaczej na pewno zaczniesz się wypytywać, gdzie się wybieram, i nie będę się umiał wykręcić.

— To jej powiedz prawdę. Że się idziesz upić tym ohydny szamszu.

— Żadnym szamszu! — rozpromienił się ni stąd, ni zowąd Warun. — Dzisiaj nie będzie szamszu. Zapewniam cię.

Po jego wyjściu Lata wróciła do swego pokoju, zabierając ze sobą „Gazette of India". Kabir mówił, że po skończeniu studiów chciałby się dostać do służby dyplomatycznej. Nie miała wątpliwości, że wypadłby doskonale podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Miał zdolności przywódcze, entuzjazm i inicjatywę. Komisja kwalifikacyjna byłaby nim olśniona. Lata mogła sobie z łatwością wyobrazić, jak błyskotliwie odpowiada na pytania, przyznając się, z rozbijającym uśmiechem, do takiej czy innej luki w wiadomościach.

Przejrzała wykaz przedmiotów nadobowiązkowych, zastanawiając się, który z nich wybrałby najprawdopodobniej na egzamin. Jeden nosił prosty tytuł „Historia powszechna 1789-1939”.

Zacząła ponownie rozmyślać nad tym, czy powinna jednak odpisać na jego list. Ale co by mu mogła powiedzieć? Przebiegła wzrokiem w dół listy przedmiotów pobocznych, aż natknęła się na urywek, który ją najpierw zaskoczył, później rozśmieszył, a wreszcie pomógł jej odzyskać duchową równowagę. Oto co tam wyczytała:

Filozofia. Przedmiot ten obejmuje wiedzę z zakresu etyki kultur wschodniej i zachodniej, w tym: normy moralne, ich kształtowanie i przestrzeganie; system wartości moralnych a postęp społeczny i polityczny; doktryny penitencjarne. W ramach niniejszego przedmiotu wykładana jest również historia filozofii Zachodu, ze szczególnym uwzględnieniem pojęć takich jak czas, przestrzeń, przyczynowość, ewolucja, ideologia oraz Bóg i Jego istota.

„Dziecinada”, zamruczała pod nosem Lata i postanowiła porozmawiać z matką, która siedziała samotnie w pokoju obok. Nagle zrobiło się jej jakoś lekko na sercu.

7.33

Zdrajco przebrzydły, ale najmilszy, śniłeś mi się całą noc. Zbudziłam się dwa razy, za każdym razem ze snu o Tobie. Nie wiem, dlaczego tak często wkradasz się w moje myśli. Co Cię do tego skłania? Nie wiem, dlaczego zamieszkałeś na stałe w moim sercu i wspomnieniach. Po naszym ostatnim spotkaniu postanowiłam wyrzucić Cię z pamięci, a Twój list nadal rani boleśnie moje uczucia. Jak możesz pisać w taki sposób? Skąd ten chłód? Czy nie wiesz, ile dla mnie znaczysz? A myślałam, że naprawdę Ci na mnie zależy!

W tym śnie byłam w jakimś pokoju. Początkowo był to mroczny pokój, bez drzwi i okien, ale po pewnym czasie pojawiło się okno, a wyjrzawszy

przez nie, zobaczyłam zegar słoneczny. Potem jakoś pokój rozświetlił się i znalazły się w nim meble... Właśnie, meble — takie same jak na Hastings Road 20. Pokój zaludnił się: pojawił się Mr Naurodzi, a z nim Śrimati Suprija Dżoszi i doktor Makhidżani, ale — o dziwo — nadal nie było nigdzie drzwi, więc uznałam, że musieli wejść przez okno. Ale skąd ja się tam wzięłam? Zanim udało mi się wyjaśnić tę zagadkę, pojawiły się drzwi, dokładnie tam, gdzie są w rzeczywistości, i ktoś zapukał, niegłośno, ale niecierpliwie. Od razu wiedziałam, że to Ty, chociaż nigdy przedtem nie słyszałam, jak to robisz. W końcu pod dachem spotkaliśmy się tylko raz, właśnie wtedy, w Towarzystwie Miłośników Literatury... aha, no i jeszcze na koncercie ustada Madżida Chana... a tak to zawsze widywaliśmy się na dworze. W każdym razie czułam jakoś, że to Ty... Serce waliło mi w piersiach jak młotem — tak bardzo pragnęłam się z Tobą zobaczyć. Ale potem okazało się, że to kto inny... i odetchnęłam z ulgą.

Kochany mój! Nie wyślę Ci tego listu, więc nie musisz się martwić, że Cię zamęcę tą moją namiętą miłością i pokrzyżuję Twoje plany. Wiem, że marzysz o pracy w służbie dyplomatycznej, o studiach w Cambridge i tak dalej. Może i masz rację, że pomysł wspólnej ucieczki był idiotyczny, ale co mi tam! Nigdy przedtem nie byłam zakochana. Owszem, miałam mętlik w głowie, bo głupio się w Tobie zadurzyłam. Nie chcę więcej takich bolesnych przeżyć! Nigdy więcej się nie zakocham: ani w Tobie, ani w nikim innym.

Czytałam Twój list w otoczeniu złotogłówów, ale przed oczami miałam cały czas kwiaty gulmoharu ścielące się u moich stóp, a w uszach dźwięczały mi Twoje słowa: że czas goi rany i że za pięć lat wszystkie obecne kłopoty przestaną być dla mnie ważne. Aha, i myślałam jeszcze o kwiatkach kamini we włosach i o łzach.

A teraz drugi sen. Mogę Ci go opowiedzieć, dlaczego nie? Przecież i tak nigdy się o tym nie dowiesz. Leżeliśmy obok siebie na łódce, z daleka od brzegu... Całowałeś mnie... Ach!... Pełnia szczęścia. Nagle wstałeś i oznajmiłeś: „Muszę przepłynąć cztery razy w poprzek rzeki, inaczej nasza drużyna przegra mecz. Idę spróbować”. I zostawiłeś mnie samą na łódce. Serce we mnie zamarło, ale Ty obstawałeś twardo przy swoim. Na szczęście łódka nie zatonała; przy wiosłowałam jakoś sama do brzegu. Może to oznacza, że ko-

niec między nami. Na zawsze. Mam taką nadzieję. Postanowiłam zostać starą panną bez rodzinnych zobowiązań i oddać się rozważaniom na temat czasu, przestrzeni, przyczynowości, ewolucji, ideologii oraz Boga i Jego istoty. Tak więc, wiatronogi Książę, moje Ty Bożyszcze, słodki Zdrajco! Mam nadzieję, że wypłyniesz gdzieś w okolicach dhobi-ghatu, cały i zdrow, chociaż przemoknięty. I niech Ci się w życiu szczęści!

Także zawsze Cię kochająca i oddana Ci

Lata

Lata włożyła list do koperty i napisała na niej dużymi literami: KABIR. Ale zamiast adresu zapisała całą kopertę jego imieniem. Potem, w prawym górnym rogu wyrysowała ramkę na znaczek („Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą”) i wpisała w nią: „Opłata nie uiszczona”. W końcu podarła kopertę wraz z listem i wybuchnęła płaczem. „No, tak”, pomyślała. „Jeśli nawet nic już w życiu nie osiągnę, to przynajmniej będę miała tę satysfakcję, że na całym świecie nie ma drugiej takiej neurotyczki”.

7.34

Amit zaprosił Latę na następny dzień do Catterdżich na lunch i na herbatę.

— Pomyślałem sobie, że zaproszę cię do nas do domu, żebyś mogła przyjrzeć się nam, braminom, w klanie rodzinnym. Przechodzimy wtedy samych siebie, mówię ci! — uprzedził ją. — Będzie Ila Cattanpadhraj, którą poznałaś kilka dni temu, a także jedna z ciotek i wujek ze strony matki, no i jeszcze paru powinowatych n-tego stopnia. Zresztą teraz, przez małżeństwo brata, i ty należysz do klanu.

I tak to, w dzień później, zasiedli w Ballygunge do posiłku, który składał się — w przeciwieństwie do kolacji na ostatnim wielkim przyjęciu — z tradycyjnych bengalskich potraw. Amit sądził, że Lata zna trochę kuchnię bengalską, ale widocznie się mylił, bo gdy podano jej mikroskopijną porcyjkę kareli z łyżeczką ryżu, wydawała się kompletnie zaskoczona. Zapewnił ją czym prędzej, że była to tylko przystawka.

„Dziwne”, myślał, „że się nie zorientowała”. Chociaż sam był wówczas w Anglii, wiedział, że Mehrowie zostali zaproszeni do domu Ćatterdźich przed ślubem Aruna i Minakszi... No, ale może na inny rodzaj posiłku.

Lunch zaczął się z opóźnieniem. Czekali najpierw na Ilę Ćatto-padhjaj, ale w końcu zasiedli bez niej do stołu ze względu na dzieci, które do tego czasu zgłodniały. Wujek Amita, Mr Ganguly, był człowiekiem niezwykle mało-mównym, ale za to żarłocznym. Pałaszował wszystko błyskawicznie, połykając każdy kęs w zastraszającym tempie. Ruszał przy tym energicznie szczękami, prawie bez przestanku, wlepiając w rozgadanych współbiesiadników łagodne, bawole oczy. Jego żona, tłusta i bardzo pobudliwa jejmość, często nosiła we włosach czerwone sindury, a na środku czoła wymalowane miała duże, również czerwone bindi. Była to nieprzeciętna plotkara, która po każdej wyłuskanej z poplamionych panem ust ości obrabiała wszystkich swoich znajomych i nieobecnych przy stole krewnych. Z jednych, bez niedomówień, robiła złodziei, chuliganów lub pijaków, przy innych kluczyła, insynuując kazirodztwo. Mrs Ćatterdźi, achując i ochując, dla podkreślenia jak bardzo jest podobnym zepsuciem wstrząśnięta, doskonale bawiła się w jej towarzystwie. Martwiło ją tylko, co Mrs Ganguly powie po wyjściu z przyjęcia o jej rodzinie.

Szczególnie że Kuku, ośmielana przez Amita i Tapanę, zachowywała się, jakby nie miała żadnych hamulców. Wkrótce zjawiła się doktor Ila Ćattopadhjaj („Co ze mnie za idiotka! Nigdy nie mogę się wybrać na czas. Spóźniłam się? Głupie pytanie! Dzień dobry, dzień dobry, witajcie. A! My się już znamy, prawda? Lalita? Nie... Lata? Nie mam głowy do imion”) i oczywiście zrobiło się jeszcze głośniejsze i weselej.

Bahadur poinformował Kuku, że jest do niej telefon.

— Powiedz temu komuś, że Kuku podejdzie do telefonu po obiedzie — powiedział sędzia Ćatterdźi.

— O! Baba! — Kuku zwróciła na ojca zamglone oczy.

— A kto dzwoni? — zapytał sędzia Ćatterdźi Bahadura.

— Niemiecki sahib.

Mrs Ganguly aż oczy (sprytne, świńskie oczka) wyszły na wierzch na tę wiadomość.

— Och, Baba! To przecież Haaans — jęknęła błagalnie. — Muszę z nim porozmawiać.

Sędzia Ćatterdzi skinął głową przyzwalająco, a Kuku poderwała się i pobięła do telefonu.

Kiedy Kakoli zasiadła z powrotem przy stole, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Tylko dzieci nie okazywały najmniejszego zainteresowania jej osobą, opychały się bowiem właśnie ostrym sosem pomidorowym, a ich matka, ciekawa tego, co powie Kuku, nie zwróciła im nawet uwagi.

Ale po miłosnych uniesieniach Kuku uległa teraz innej namiętności: łaskomstwu.

— O, gulab-dżamany — powiedziała, przedrzeźniając Biswasa babu — i ćumćumy. I miszti doi! O! Już na samo wspomnienie czieknje mi szlinka.

— Kuku — upomniał ją ostro sędzia Ćatterdzi, wcale nie rozbawiony.

— Przepraszam, Baba. Przepraszam, przepraszam. O czym plotkowaliście, gdy mnie nie było? Nie utrzymujcie mnie dłużej w niewiedzy!

— Weź sobie sandesz, Kuku — powiedziała jej matka.

— No i co, Dipankar? — zapytała doktor Ila Ćattopadhjaj. — Zmieniłeś już kierunek studiów?

— Nie mogę, Ila kaki — odparł Dipankar.

— Dlaczego nie? Im wcześniej się do tego weźmiesz, tym lepiej. Nie znam żadnego ekonomisty, który budziłby mój szacunek. Dlaczego nie możesz się przenieść na inny wydział?

— Ponieważ mam już dyplom.

— O! — Doktor Ila Ćattopadhjaj zdawała się chwilowo pokonana. — No i co masz zamiar teraz ze sobą zrobić?

— Nie wiem jeszcze. Będę musiał podjąć ostateczną decyzję za jakiś tydzień albo dwa. Zastanowię się nad tym podczas Pul Meli.

Ten wyjazd da mi okazję do introspekcji zarówno duchowej, jak i intelektualnej.

Łamiąc sandesza na pół, doktor Ila Ćattopadhjaj zwróciła się do Laty.

— Nie, naprawdę! Słyszałaś kiedyś, Lata, równie kiepski wykręt? Nie mam pojęcia, co to ma niby być ta „duchowa introspekcja”. Wszystkie samoanalizy to strata czasu, moim zdaniem. Wolę już słuchać plotek twojej ciotki

(twoja matka świetnie udaje zaszokowaną, nawiasem mówiąc), niż jechać na jakąś Pul Mełę. Rzeka musi tam być strasznie zanieczyszczona — mówiła dalej do Dipankara.

— Miliony pielgrzymów przewijają się tamtędy, tym piaszczystym wybrzeżem przy brahmpurskim forcie. Tam się... hm... załatwiają — skrzywiła się z niesmakiem.

— Nie wiem wiele na ten temat — przyznał Dipankar. — Nigdy tam jeszcze nie byłem. Ale podobno wszystko jest doskonale zorganizowane. Co sześć lat, na wielkie obchody Pul Meli, zjeżdża nawet sędzia rejonowy. A ten rok jest właśnie rokiem szóstym. Nie ma lepszej pory na ablucje.

— Ganges to jeden wielki ściek — zawyrokowała doktor Ila Ćattopadhjaj. — Nie masz chyba zamiaru zanurzyć się w tych brudach. Och, Dipankar, przestańże wreszcie tak mrugać! Wytrąca mnie to z równowagi.

— Ablucja zmyje nie tylko moje grzechy, ale i grzechy poprzednich pokoleń. Może nawet i twoje, Ila kiki — powiedział Dipankar.

— Niech Bóg broni! — odparła doktor Ila Ćattopadhjaj. Dipankar zwrócił się teraz do Lata:

— Ty też powinnaś się tam wybrać. Pochodzisz przecież z Brahmpuru.

— No, niezupełnie — powiedziała Lata, zerkając niepewnie na doktor Iłę Ćattopadhjaj.

— To skąd jesteś? — dopytywał się Dipankar.

— Teraz znikąd — rzekła Lata.

— Wszystko jedno — mówił dalej z przejęciem Dipankar. — Przekonałem chyba twoją matkę, że to dobry pomysł.

— Wątpię — rzekła Lata z uśmiechem. Rozbawiła ją myśl, że jej matka mogłaby przedzierać się przez tłumy Pul Meli ramię w ramię z Dipankarem, w najlepszej z nim komitywie. I że oboje mogliby się zagubić w labiryntach czasu i przyczynowości. Pospieszyła jednak z wyjaśnieniem: — Nie będzie jej wtedy w Brahmpurze. Ale masz się tam gdzie zatrzymać?

— Na plaży... znajdzie się dla mnie miejsce w czyimś szałasie — rzekł beztrąsko Dipankar, z typowym dla siebie optymizmem.

— Nie znasz nikogo w Brahmpurze?

— Nie, nikogo. No, oczywiście oprócz Sawity. Aha, i jeszcze starego Mr Maitry. To jakiś nasz pociotek. Poznałem go kiedyś, dawno, jeszcze jako dziecko.

— Więc musisz odwiedzić Sawitę i jej męża, gdy będziesz w Brahmpurze — powiedziała Lata. — Napiszę do nich. Powiem Pranowi, że przyjeżdżasz. Możesz się u nich zatrzymać, jeśli nic nie wyjdzie z plaży. A zresztą, zawsze dobrze jest mieć czyjś adres i numer telefonu w obcym mieście.

— Dzięki — powiedział Dipankar. — Aha, dziś wieczór jest w Misji Ramakryszny wykład na temat: „Wiara mas ludowych i jej filozoficzne podłoże”. Może byś poszła? Pewnie będą też mówić o Pul Meli.

— Oj, Dipankar, Dipankar — wtrąciła się do rozmowy doktor Ila Ćatto-padhjaj. — Nie spodziewałam się, że aż taki z ciebie idiota. Po co ja sobie tobą głowę zawracam. Ty też, dziecko, nie zawracaj sobie nim głowy — powiedziała do Laty. — Pójdę pogadać z Amitem. Gdzie on jest?

Amit był w ogrodzie. Dzieci wyciągnęły go, żeby pokazał im żabi skrzek w stawie wśród lilii wodnych.

7.35

Sala była wypełniona po brzegi. Musiało tam być jakieś dwieście osób, w tym najwyżej pięć kobiet. Wykład, w języku angielskim, zaczął się dokładnie o wyznaczonej porze, to jest o siódmej. Profesor

Dutta-Ray (którego męczył ciężki kaszel), przedstawił prelegenta, zapoznając pokrótce słuchaczy z jego dorobkiem twórczym i opatrując ten wstęp krótką notką biograficzną. Potem przez pięć minut deliberował głośno, o czym tamten zamierza mówić.

Młody prelegent wstał z krzesła. Nie wyglądał wcale na kogoś, kto spędził pięć lat jako sadhu — choć tak go zaprezentował profesor. Miał pyzată twarz i rozbiegane oczy. Ubrany był w wy-krochmaloną na sztywno kurtę i dhoti. W kieszeni kurty miał dwa wieczne pióra. Nie mówił wcale o wierze ludowych mas i jej filozoficznym podłożu, tylko sypał banalnymi frazesami, wystawiając cierpliwość słuchaczy na próbę. Raz tylko zrobił aluzję do Pul Meli, na-

pomykając o „rzeszach ludzi, którzy zbierają się na brzegach Gangesu, by dokonać ablucji przy świetle księżyca w pełni”. Ślizgał się po temacie, przekonany, że to, co mówi, ułoży się wreszcie w logiczną całość.

Co pewien czas zataczał dłońmi szeroki łuk, jakby chciał rozpostrzeć skrzydła do lotu.

Dipankar zdawał się zafascynowany, Amit znudzony, a Lata zagubiona.

Prelegent zapalał się coraz bardziej.

— Ludzkość musi zaistnieć w teraźniejszości. Trzeba ją do tego zmusić... zwichrzyć horyzonty myślenia... Polem walki jest nasze wnętrze... cud narodzin... jak ptak, który czuje kołysanie liścia ... Wiara może pogodzić ze sobą, do pewnego stopnia, myśl pospolitą i myśl wyzwoloną... Otwarty, bezbrzeżny umysł, który pozwoli życiu płynąć swobodnie, czuły na ptasie śpiewy i tchnienie czasoprzestrzeni.

Wreszcie, godzinę później, dotarł do palącej kwestii:

— Czyż ludzkość może przewidzieć, gdzie wytrysnie nowe źródło inspiracji? Czy potrafimy wniknąć w mroczne głębie własnych dusz, gdzie zakodowany jest, postrzegany przez nas, obraz świata? Moim zdaniem, nasze tradycje, nazwijmy je ludowymi, rozpraszają nieco tę ciemność. Inaczej umysłom grozi zagłada... śmierć... nie „śmierć pozorna”, czyli *punarmirityu*, która nieodłącznie wiąże się w naszych świętych pismach ze „wskrzeszeniem”, lecz śmierć ostateczna, śmierć niewiedzy. Pozwólcie mi więc, państwo, zaryzykować poniższe stwierdzenie — tu zatoczył dłońią łuk w stronę publiczności — że niezależnie od tego, co powiedzą na to krytycy, hołdując tylko naszym prastarym wierzeniom, postrzegany być może przez intelektualistów jako wynaturzone przesady, uda nam się zachować nasze tradycje i naszą tożsamość. Tylko to zagwarantuje nam prężność i przetrwanie. Usiadł.

— I pokorne posłuszeństwo — szepnął Amit do Laty. Słuchacze nagrodzili wystąpienie grzecznościowymi brawami. Teraz podniósł się z krzesła czcigodny profesor Dutta-Ray, który opatrzył prelekcję takim pochlebnym wstępem, i przesywszy swego przedmówcę nienawistnym spojrzeniem, zaczął rozprawiać się z tezami, które tamten jego zdaniem postawił. (Było całkiem jasne, że profesor uważał się za jednego ze wspomnianych w prelekcji „krytyków”). Ale czy rzeczywiście postawione zostały jakiegokolwiek tezy?

Odczyt miał zdecydowanie pewien specyficzny koloryt, ale z tym nie sposób polemizować. Niemniej jednak profesor postawił sobie za punkt honoru zmiżdżenie przeciwnika. Zaczął niby spokojnie, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby:

— Nie łudźmy się! Pewne twierdzenia, chociaż same w sobie nawet dość wiarygodne, są po prostu nie do udowodnienia: nie da się ich — tu ryknął wojowniczo, wpadając w coraz większy zapał — ani potwierdzić, ani odrzucić; można co najwyżej na ich temat teoretyzować; w praktyce trudno jest na dobrą sprawę powiedzieć, czy mieszczą się w obrębie kwestii zasadniczej, która może wprawdzie rzucić światło na ogólną tendencję, ale nie daje zadowalającej odpowiedzi na pytanie co do jej pochodnych nurtów; w tym kontekście, choć być może przekonywająca dla laika, teoria ta nie ma żadnego zastosowania przy analizie podstawowego problemu, choć nie czas to ni miejsce, by weń teraz wnikać; powiedzmy sobie wprost, jest to teoria całkowicie bezużyteczna, choć trudna do obalenia, ponieważ nie wyjaśnia zjawisk podstawowych; ale wysuwając taki postulat, odziera się całą koncepcję z jej fundamentalnej treści, a co za tym idzie, pozbawia się ją racji bytu.

Tu spojrział tryumfalnie, wzrokiem bazyliuszka, na swego przedmówcę i kontynuował wywód:

— Ogólnie rzecz biorąc, można by się pokusić o twierdzenie, że w normalnych warunkach nie należy uogólniać zjawisk poszczególnych, skoro równie istotne, a nawet bardziej brzemienne w skutki, jest wyszczególnianie zjawisk ogólnych.

Dipankar zdawał się zaszokowany, Amit znudzony, a Lata zdezorientowana.

Wielu słuchaczy miało pytania do dyskutantów, ale cierpliwość Amita wyczerpała się doszczętnie. Lata wyszła z sali bez przymusu, natomiast Dipankar pod przymusem. Miała lekkie zawroty głowy i to nie tylko ze względu na nawał abstrakcyjnych pojęć, którymi dopiero co została uraczona. Wewnątrz było duszno i gorąco.

Przez parę minut żadne z trójki nie przerywało milczenia. Pierwszy odezwał się Amit, który powiedział ze stoickim spokojem:

— Kiedy natrafiam na coś takiego, a nie mam akurat przy sobie nic do pisania, skupiam uwagę wybiórczo na kilku słowach, których używa mówca, takich jak „ptak”, „sukno”, „czołowy” albo „niebieski”, i wyobrażam je sobie w różnych odmianach. To doskonała zabawa.

Zaskoczył Latę tą wypowiedzią. Zauważyła, że był znudzony, i oczekiwała, że obsztorcuje Dipankara, który z kolei, jak sądziła, zasypie go wymówkami.

— Skupiasz uwagę nawet na takich słowach jak „czołowy”? — zapytała rozbawiona tym, co powiedział.

— Czemu nie? — odrzekł Amit. — Większość słów ma w sobie twórczy potencjał.

Wyciągnął z kieszeni annę i na straganie kupił Lacie pokrytą świeżutkimi, bielusińkimi kwiatuskami kiść budlei. Wręczył ją jej ze słowami:

— To dla ciebie.

Lata ucieszyła się.

— Dziękuję — powiedziała z radosnym uśmiechem, napawając się zapachem kwiatów, a potem z prostotą wpięła sobie ukwieconą gałązkę we włosy.

Był to taki miły, spontaniczny gest, że Amit przyłapał się na poniższych rozważaniach: „Jaka to sympatyczna dziewczyna. Dawno już nie spotkałem drugiej takiej. Inteligencją bije na głowę moje siostry, ale na szczęście jest bezpretensjonalna i nie zadziera, tak jak one, nosa”.

Lata natomiast myślała o tym, jaka miła jest rodzina Minakszych. Ona sama była w fatalnym nastroju, a dzięki nim otrząsnęła się z tego głupiego przygnębienia. W ich towarzystwie potrafiła bawić się całkiem nieźle nawet na takiej prelekcji jak ta, której dopiero co wysłuchała.

7.36

Sędzia Catterdzi siedział w swoim gabinecie. Przed nim leżała otwarta teka z nie dokończonym jeszcze orzeczeniem sądu. Na biurku stały dwie czarno-białe fotografie: na jednej byli jego rodzice, a na drugiej on sam z żoną i

pięciorciem dzieci. Obie fotografie wykonane zostały przed laty w modnym kalkuckim zakładzie fotograficznym. Kakoli uparła się, żeby pozować do zdjęcia z misiem; Tapan był wtedy jeszcze za mały, żeby stawiać jakiegokolwiek żądania.

Sprawa dotyczyła zatwierdzenia wyroku śmierci na sześciu bandytów. Takie sprawy były dla sędziego Catterdiego bardzo bolesne. Nie lubił procesów kryminalnych. Wolał rozpatrywać sprawy cywilne, które były zarówno ciekawsze, jak i mniej przygnębiające. Bezspornie tych sześciu uznano winnymi zgodnie z prawem; wyrok sądu pierwszej instancji nie był ani bezpodstawny, ani niedorzeczny. A wobec tego sędzia Catterdzi nie mógł go odrzucić. Może nie każdy z tych sześciu opryszków celowo przyczynił się do śmierci napadniętych ofiar, ale zgodnie z hinduskim kodeksem karnym w przypadku rozboju połączonego z zabójstwem każdy musiał ponieść za swój czyn surową karę.

To nie była sprawa dla Sądu Rejonowego. Sąd Najwyższy w Kalkucie był ostatnią instancją odwoławczą. Musi podpisać wyrok. Zrobi to również drugi sędzia. Wyrok będzie prawomocny. Dla tamtych sześciu to już koniec. Parę tygodni później powieszają ich w aliporskim więzieniu.

Przez parę minut sędzia Catterdzi przyglądał się rodzinnej fotografii, a potem rozejrzał się po pokoju. Trzy ściany zakrywały ustawione na półkach księgi prawnicze, z grzbietami w kolorach piaskowym lub granatowym. „Hinduski Biuletyn Prawniczy”, „Powszechny Biuletyn Narodowy”, „Biuletyn Podatkowy”, „Powszechny Angielski Biuletyn Prawniczy”, „Halsburskie Normy Prawne”, parę podręczników i książek dotyczących ogólnie prawodawstwa, nowa Konstytucja Indii (z zeszłego roku) oraz różnorakie kodeksy i statuty opatrzone przypisami. Chociaż już od pewnego czasu biblioteka sędziowska przy Sądzie Najwyższym dostarczała mu wszelkich niezbędnych materiałów, nadal prenumerował pisma, które czytywał od lat. Chciał mieć pełny komplet każdego tytułu, częściowo na własny użytek (czasami pisał uzasadnienia wyroków w domu), a częściowo dla Amita. Nadal żywił nadzieję, że Amit pójdzie w jego ślady, tak jak on poszedł w ślady swojego ojca i to do tego stopnia, że wybrał dla siebie, a potem dla syna, tę samą uczelnię, na której sędzia Catterdzi senior otrzymał dyplom.

Sędzia Catterdzi źle wywiązywał się tego dnia z obowiązków gospodarza. I to nie dlatego, że był jakoś wyjątkowo rozkojarzony. Przyczyną nie było również gadulstwo tłustej plotkary ani też hałaśliwe zabawy całkiem sympatycznych pędraków. Drażnił go mąż plotkary, Mr Ganguly, który najadłszy się w milczeniu do syta przy stole, przeniósł się na werandę, gdzie zaczął rozprawiać o swoim zmarłym przed sześciu laty ukochanym idolu, Hitlerze, którego otaczał bałwochwalczą czcią. Monotonnie, przeżuując każdą sylabę, zaczął udowadniać, że nawet Napoleon (drugi wielki bohater Bengalczyków) nie dorasta Hitlerowi do pięt. Że Hitler popierał Netadzi Subhasa Cándrę Bose w walce z brytyjskimi gnębicielami. Że Hindusi i Niemcy stworzeni byli po prostu do współpracy, a sojusz między nimi to sojusz bratni i naturalny. I jakie to okropne, że już w przeciągu miesiąca Niemcy i Brytyjczycy zakończą działania wojenne, które rozpoczęły się w 1939 roku. (Sędzia, który słyszał te wywody już nie po raz pierwszy, uważał, że im wcześniej dojdzie do porozumienia, tym lepiej, ale nie chciał się wdawać w polemikę, wiedząc, że i tak mówiłby jak do ściany).

A kiedy przy obiedzie została ujawniona przyjaźń Kakoli z „niemieckim sahibem”, ten typ zaczął rozpływać się z radości, że oto indo-niemieckie przymierze urzeczywistni się tu, na gruncie rodzinnym. Zdegustowany sędzia Catterdzi słuchał przez pewien czas z grzeczności tych wywodów, a potem znalazł w miarę wiarygodną wymówkę, zniknął i więcej się nie pokazał.

Sędzia Catterdzi nie miał nic przeciwko Hansowi. Lubił go nawet, chociaż trudno byłoby twierdzić, że zdążył go dobrze poznać. Hans był przystojny i zadbany. Prezentował się doskonale: nic dodać, nic ująć. Maniery miał również nienaganne, chociaż jego kurtuazja była raczej przygniatająca. Bardzo podobał się Kakoli — rzecz niebagatelna. Z czasem pewnie nauczyłby się nie miażdżyć ludziom dłoni. Ale obecność Hansa stwarzała pretekst do wynurzeń w rodzaju tych, którymi uraczył go dzisiaj powinowaty żony, Mr Ganguly. Bezkrytyczny kult hinduskiego patrioty Subhasa Bose, który poku-mał się z Niemcami i Japonią, a potem założył Hinduską Armię Narodową, żeby przegnać z Indii Brytyjczyków; gloryfikacja Hitlera, faszyzmu i przemocy; mieszanie z błotem „pseudobrytyjskiego liberalizmu” i w ogóle wszystkiego, co brytyjskie; niechęć, ba!, wręcz pogarda dla chytrego mięczaka Gandhiego,

który odebrał Subhasowi Bose zdobyte lata temu w wyborach przewodnictwo Partii Kongresowej: taki zlepek idei nie był wcale zjawiskiem rzadkim wśród Bengalczyków. Netadźi Subhas Candra Bose był Bengal-czykiem. Sędzia Ćatterdźi był równie dumny ze swego bengalskiego pochodzenia, jak ze swej hinduskiej narodowości. Pomimo to, podobnie jak jego ojciec, cieszył się, że takim ludziom jak Subhas Bose nie udało się zdobyć władzy w kraju. Jego ojciec nie znosił Subhasa Bose, natomiast szanował, a nawet podziwiał jego brata, Sarata, prawnika, mniej krzykliwego patriotę, którego znał dość dobrze osobiście.

„Gdyby to nie był powinowaty mojej żony, nie udałoby mu się zrujnować mi popołudnia. O nie! Nie pozwoliłbym na to!”, użalał się w myślach sędzia Ćatterdźi. W przeciwieństwie do znajomych, rodziny się nie wybiera. Zdarzają się różni dranie i nie można się od nich odczepić. Jak ten tam... Pozostaniemy skoligaceni, dopóki jeden z nas nie wyzionie ducha.

Dziwne, że to jego, a nie ojca, który dobiegał osiemdziesiątki, nawiedzały myśli na temat życia i śmierci, dumiał sobie sędzia Ćatterdźi. Starszy pan zdawał się całkiem kontent, pochłonięty lekturą takiej czy innej książki, w towarzystwie swojego kota. Mógł wreszcie czytać to, na co miał ochotę, i pochłaniał całe tomy klasyki pisanej sanskrytem (laickiej, nie religijnej). Zdawał się w ogóle nie myśleć o śmierci ani o przemijaniu. Jego żona zmarła po dziesięciu latach małżeństwa. Rzadko o niej mówił. Ale czy teraz częściej wracał do niej myślami?

— Lubię czytać te stare dramaty — powiedział parę dni temu do syna.
— Wszystkie przeżycia bohaterów: królów, księżniczek, pokojówek są nadal aktualne. Narodziny, przekonania, ambicje, nienawiść, śmierć... nic się nie zmienia. Nic się nie zmienia.

Raptem sędzia Ćatterdźi zorientował się, że on sam też rzadko kiedy myślał o swojej żonie. Spotkali się na jednym z tych... zaraz, jak to się nazywały te zjazdy młodzieży organizowane przez Brahma Samadź...? tam gdzie spotykały się nastolatki, młodzi ludzie...? Aha, Dźubok Dźuboti Dibosz. Podobała się jego ojcu, więc się pobrali. Dobrze ze sobą żyli. Zgodnie. Dom prowadziła sprawnie. Dzieci odchowali... trochę ekscentryczne, ale nie tak, żeby z gruntu złe. On do domu wracał przed wieczorem: późne popołudnia spędzał w klu-

bie. Ona rzadko się na to skarżyła. Podejrzewał nawet, że wolała mieć trochę czasu dla siebie i dzieci.

Od trzydziestu lat była częścią jego życia. Gdyby jej nagle zabrakło, odczułby to dotkliwie. Ale częściej myślał o dzieciach, szczególnie o Amicie i Kakoli, bo o tych dwoje martwił się najbardziej. Ona zresztą pewnie też myślała częściej o dzieciach. Dzieci były głównym tematem ich rozmów, włączając w to tę ostatnią, w rezultacie której postawił Amitowi i Dipankarowi ultimatum.

— Kuku bez przerwy wisi przy telefonie i nigdy mi nie mówi, z kim rozmawia. A ostatnio wychodzi z domu, kiedy jej się żywnie podoba, o różnych porach dnia i nocy, i w ogóle mi się nie opowiada.

LR

— Nie przejmuj się tym! Wie, co robi.

— Jak mam się nie przejmować? Wiesz dobrze, co się stało z tą dziewczyną z Lahiri.

I tak to się zawsze zaczynało. Jego żona działała w Komitecie na rzecz szkoły dla biedaków i, podobnie jak wiele innych kobiet z jej sfery, zajmowała się pracą społeczną, ale dzieci były dla niej najważniejsze. W nich lokowała swoje ambicje. Pragnęła gorąco, żeby się ustatkowały, ułożyły sobie życie z kimś na poziomie.

Początkowo była bardzo niezadowolona z małżeństwa Minakszi z Arunem Mehra, ale oczywiście zaraz po przyjściu na świat Aparny zmieniła zdanie. Natomiast jemu samemu, chociaż szlachetnie starał się zachować obiektywizm, coraz mniej podobał się ten związek. Trudno było wytrzymać z matką Aruna, kobietą nadmiernie pobudliwą i skłoną do egzaltacji. (Nie przypuszczał dawniej, że była takim czarnowidzem, ale Minakszi przedstawiła mu własną wersję wydarzeń ze stopionym medalem). No i Minakszi też nie była bez wad: często kierowała się takim zimnym, wyrachowanym egoizmem, że nawet jako ojciec nie mógł tego nie zauważać; tęsknił za nią, ale nie uszło jego uwagi, że ich poranne debaty stały się mniej jadowite, odkąd się wyprowadziła.

No i wreszcie sam Arun. Sędzia Catterdii widział, że jest inteligentny i ambitny. Szanował to. Ale, niestety, na tym kończyły się przymioty jego ducha. Był to typowy karierowicz. Snob, w dodatku agresywny bez powodu. Spotykali się od czasu do czasu w Calcutta Club, ale mało mieli sobie do powiedzenia. Każdy z nich wracał czym prędzej do własnego grona, do ludzi własnego pokroju, zarówno pod względem wiekowym, jak i zawodowym. Towarzystwo Aruna wydawało się sędziemu Catterdzemu zbyt rozhukane; wrzaskliwość tej grupy kłóciła się z wystrojem i atmosferą klubu.

Ale nikt nie przewidział tych wszystkich gwałtownych i gruntownych zmian. Jeszcze niecałe dziesięć lat temu, tuż po śmierci Tagore, Hitler panoszył się w Europie, Japonia zrzucała bomby na Pearl Harbor, Gandhi prowadził w więzieniu głodówkę, a Churchill niecierpliwił się, że jeszcze żyje.

Amit działał w studenckim antybrytyjskim ruchu politycznym i groziło mu więzienie. Tapan miał dopiero trzy latka i o mało nie umarł na zapalenie ne-

rek. Za to w Sądzie Najwyższym Mr Catterdzi miał pole do popisu. Pracował jako adwokat i musiał radzić sobie z ustawą o zyskach wojennych oraz z ustawą o wpływach ponadnormatywnych. Pasjonujące zajęcie. Wykazał się nieprzeciętną bystrością umysłu, a przeciwwagę dla jego roztargnienia stanowiła kartoteka prowadzona bez zarzutu przez Biswasa babu.

Wkrótce po wyzwoleniu zaproponowano mu stanowisko sędziego, co ucieszyło ojca i kancelistę bardziej niż jego samego. Dumny z sukcesów rodziny Catterdzich, szczęśliwy, że tradycja przechodzi z ojca na syna, Biswas babu rozkoszował się myślą, iż teraz za jego pracodawcą chodzić będzie asystent w turbanie i w czerwono-biało--złotej liberii, tak jak kiedyś chadzał za ojcem pracodawcy. Cieszył się tym, chociaż wiedział, że będzie musiał poszukać sobie innej pracy. Żałował tylko, że Amit babu nie poszedł w ślady ojca i nie przejął po nim praktyki, ale wierzył, że za parę lat to się zmieni.

7.37

Jednak gdyby dołączył do zespołu sędziowskiego choć parę lat wcześniej, pracowałby w zupełnie innej rzeczywistości. Wyszedł zza mahoniowego biurka i podszedł do półki, na której stały najnowsze numery „Powszechnego Biuletynu Narodowego”, zszyte w grube tomiska o piaskowych, czerwonych, czarnych i złotych okładkach. Wyjął dwa woluminy, *Kalkuta 1947 i Kalkuta 1948*, i przekartkował pierwsze strony jednego i drugiego dla porównania. Nagle pomyślał o losach tego kraju, który znał od dziecka, a także o losach swoich znajomych, przede wszystkim Anglików i mahometan, i ogarnął go wielki smutek.

Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie o jednym ze swych dawnych kolegów, wyjątkowo nietowarzyskim angielskim lekarzu, który podobnie jak on uciekał od zaproszonych do domu gości. Miał zawsze dobrą wymówkę: jakiś nagły wypadek, umierający pacjent. Przepraszał grzecznie i zniknął. A potem szedł prosto do Bengal Club, żeby się upić whisky. Żona lekarza, która często wydawała wielkie przyjęcia, była również kobietą raczej ekscentryczną. Na

rowerowe przejażdżki krajoznawcze wkładała kapelusz z bardzo szerokim rondem, z nadzieją, że nie zostanie rozpoznana. Podobno pewnego dnia przyszła na kolację do Fripos z zarzuconym na ramię czarnym stanikiem, który z roztargnienia wzięła za etolę.

Uśmiech pojawił się na jego wargach na to wspomnienie, ale szybko znikł, kiedy sędzia Catterdzi spojrział na dwa grube tomy, które otworzył dla porównania. Miał oto przed sobą tragiczną historię Indii w lokalnym wydaniu: upadek mocarstwa i powstanie dwóch osobnych państwowości. A z jakiej przyczyny? Bo jakaś banda ciemniaków uznała, że nie da się żyć w pokoju w państwie wielowy-znaniowym.

Czerwonym ołówkiem, którym zazwyczaj robił adnotacje w swoich księgach prawniczych, sędzia Catterdzi postawił w tomie z 1947 roku maleńkie krzyżyki przy nazwiskach, które już nie pojawiły się w rok później, w tomie z 1948 roku.

SĄD NAJWYŻSZY W KALKUCIE 1947

SĘDZIOWIE

Szanowny Sir Arthur Trevor Harries, Kt., Trybunał.

» » Rupendra Kumar Mitter, Kt., M.Sc., M.L. (Actg.).

» » Nurul Azim Khundkar, Kt., B.A. (Cantab.), LL.B., Trybunał.

» Sir Norman George Armstrong Edgley, Kt., M.A., I.C.S., Trybunał.

Dr Bidźan Kumar Mukherdźi, M.A., D.L.

Mr ĆaruĆandra Biswas, CLE., M.A., B.L.

» » Ronald Francis Lodge, B.A. (Cantab.), I.C.S.

» » Frederick William Gentle, Trybunał.

Amarendra Nath Sen, Trybunał.

x » » Thomas James Young Roxburgh, CLE., B.A..I.C.S.,
Trybunał.

x » » Abu Saleh Mohamed Akram, B.L.

» Abraham Lewis Blank, M.A., I.C.S., Trybunał.

» SudhiRanjanDas, B.A., LL.B.(Lond.), Trybunał.

x » » Ernest Charles Ormond, Trybunał.

» William McCornickSharpe, D.S.O., B.A..I.C.S.

» Phani Bhusan Ćakrawartti, M.A., B.L.

John Alfred Clough, Trybunał,

x » » Thomas Hobart Ellis, M.A. (Oxon.) I.C.S.

Diogendra Narajan Mazumdar, C.I.E., M.A..B.L., Trybunał,

x » » Amir-Ud-din Ahmad, M.B.E., M.A., B.L.

x » » Amin Ahmad, Trybunał.

Kamal Ćunder Ćunder, B.A. (Cantab.), ICS., Trybunał.

» Gopendra Nath Das, M.A., B.L.

Na liście z 1948 roku było jeszcze parę innych nazwisk, w tym jego własne. Ale nie było już połowy sędziów angielskich i żadnego muzułmanina. Żadnego. Ani jednego sędziego muzułmańskiego w całym Sądzie Najwyższym w 1948 roku!

Sędzia Ćatterdzi doceniał wagę religii, ale jednocześnie przy wyborze przyjaciół i wśród znajomych te sprawy nie miały dla niego najmniejszego znaczenia. I teraz, myśląc o tym, jak zmienił się zespół sędziowski w Sądzie Najwyższym w Kalkucie, posmutniał. Później zresztą Anglicy jeszcze bardziej się wykruszyli. Teraz został już tylko prezes Sądu Najwyższego, Trevor Harris, no i Roxburgh.

Dla Brytyjczyków urząd sędziego miał zawsze ogromne znaczenie, dlatego też organa sprawiedliwości działały sprawnie i rzetelnie.

(Z wyjątkiem paru skandali, takich jak ten w Sądzie Najwyższym w Lahaur, w latach czterdziestych. Niezaprzeczalnie istniało mnóstwo represyjnych ustaw, ale to już inna sprawa, choć oczywiście nie wolno o tym zapominać). Po wyszukaniu odpowiedniego kandydata prezes Sądu Najwyższego

przeprowadzał z nim rozmowę (osobiście lub za pośrednictwem zastępcy) i jeśli ten okazał zainteresowanie objęciem tej zaszczytnej funkcji, proponował jego kandydaturę rządowi.

Czasami rząd wysuwał obiekcje natury politycznej, ale na ogół antybrytyjski agitator nie byłby w ogóle brany pod uwagę. A gdyby był, to sam by odrzucił propozycję; inaczej skazałby się na milczenie, a to równałoby się politycznemu samobójstwu. Poza tym, gdyby znowu rozpętała się akcja „Precz!”, zmuszony byłby wydawać wyroki niezgodne z własnym sumieniem. Brytyjczycy nigdy by na przykład nie powierzyli funkcji sędziego Saratowi Bose ani też on sam nie ubiegałby się o to stanowisko.

Po wyzwoleniu niewiele się pod tym względem zmieniło, szczególnie w Kalkucie, gdzie prezesem Sądu Najwyższego był nadal Anglik. Sędzia Catterdzi uważał Sir Arthura Trevora Harrisa za porządnego człowieka i kompetentnego prezesa. Teraz przypominał sobie własną „rozmowę kwalifikacyjną”, która odbyła się w gabinecie prezesa. On sam był wtedy jednym z najbardziej wziętych kal-kuckich adwokatów.

Trevor Harris wskazał mu krzesło, a kiedy usiedli, powiedział:

— Pozwoli pan, Mr Catterdzi, że przystąpię z miejsca do rzeczy. Chciałbym zaproponować rządowi pańską kandydaturę na stanowisko sędziego. Jak by się pan na to zapatrywał?

— Panie prezesie, to dla mnie wielki zaszczyt, ale niestety, muszę odmówić.

Trevor Harris wydawał się zaskoczony. Zapytał wprost:

— Tak? A to dlaczego?

— Będę z panem szczery — powiedział Mr Catterdzi. — Proszę się nie obrazić, ale dwa lata temu mianowano na stanowisko sędziego człowieka, który nie miał do tego kwalifikacji. Nie mógł to być dowód uznania dla rzeczywistych zasług.

— Kto to był? Anglik?

— Tak, Anglik. Nie chcę tu analizować motywów tej decyzji. Trevor Harris skinął głową ze zrozumieniem.

— Chyba wiem, o kim pan mówi. Ale to nie ja wysunąłem jego kandydaturę, tylko poprzedni prezes. Nawiasem mówiąc, sądziłem, że to pański przyjaciel.

— Istotnie. Ale to nie ma nic do rzeczy. Chodzi o zasadę.

Po chwili milczenia Trevor Harris powiedział:

— Cóż, podobnie jak pan, nie zamierzam analizować motywów tej decyzji. Ale był to człowiek nieuleczalnie chory. Niewiele miał przed sobą życia.

— To niczego nie zmienia.

Trevor Harris uśmiechnął się.

— Pański ojciec był wybitnym sędzią, Mr Catterdzi. Nie dalej jak parę dni temu miałem okazję powołać się na jedno z jego orzeczeń, z 1933 roku, w kwestii sprzecznych zeznań.

— Powtórzę mu. Ucieszy się.

Na chwilę zapadło milczenie. Przerwał je prezes sądu, zatrzymując tym adwokata, który właśnie zamierzał się pożegnać. Z ledwie słyszalnym westchnieniem powiedział:

— Mr Catterdzi. Nie chcę być natrętny... Szanuję pańską wolę, ale przyznam, że czuję się zawiedziony. Straciliśmy ostatnio wielu doskonałych sędziów, którzy przenieśli się do Anglii albo do Pakistanu, i nie będę ukrywał, że trudno mi obsadzić w tak krótkim czasie tyle wakujących stanowisk. Przybywa nam obowiązków, a wkrótce dojdzie jeszcze do tego praca nad nową Konstytucją. Potrzeba nam ludzi o najwyższych kwalifikacjach. To z tego względu wysunąłem tę propozycję i z tego również względu proszę, aby zechciał ją pan rozważyć ponownie. Dam panu czas do namysłu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... Powiedzmy... do końca tego tygodnia. Jeśli nie zmieni pan zdania, to pozostając zawsze z szacunkiem, nie będę więcej nalegał.

Mr Catterdzi wrócił do domu z niewzruszonym postanowieniem, że nie da się przekabacić. Ale w rozmowie z ojcem powtórzył mu komplement prezesa Sądu Najwyższego.

— A po co prezes chciał się z tobą zobaczyć? — zapytał ojciec.

I tak się to wydało.

Ojciec przytoczył mu werset z sanskrytu na temat pokory, która zdobi czoło mędrca. Nie wspomniał ani słowem o powinności.

Mrs Catterdzi dowiedziała się o tym również przez przypadek. Z roztrągnięcia jej mąż zostawił wieczorem przy łóżku skrawek papieru z zapiskiem: „Prezes sądu, piątek, szesnasta czterdzieści pięć (?), kand. na sędziego”. Kiedy obudził się nazajutrz rano, zastał ją nadąsaną. Znowu się wydało. Żona powiedziała:

— Tak będzie lepiej. Zdrowie tracisz na tych wlokących się godzinami zebraniach z podwładnymi. Taka zmiana trybu życia wyjdzie ci tylko na dobre. Odetchniesz sobie. Wreszcie będziesz miał trochę spokoju.

— Nie mam kłopotów ze zdrowiem, chwala Bogu. Mam pierwszorzędną pracę, która wciąga mnie bezgranicznie. A Orr i Dignams czuwają nad tym, żeby mnie nie przeciążyć.

— Ale wyglądałbyś wspaniale w peruce i sędziowskiej szkarłatnej todze.

— Niestety, muszę cię rozczarować. Obecnie szkarłatną togę nakłada się jedynie podczas rozpraw w procesach kryminalnych. I nie nosi się peruki. Zaliste, szaty sędziowskie mniej są dzisiaj bogate niż za dawnych lat. Nie ten blask. Nie ten przepych.

— Ale posłuchaj tylko, jak to ładnie brzmi: sędzia Catterdzi.

— Przemienię się we własnego ojca.

— Znam gorsze nieszczęścia.

Jakimś cudem dowiedział się o tym Biswas babu. Jak? Zagadka nigdy się nie wyjaśniła. Dość, że się dowiedział. Pewnego wieczoru, w kancelarii, zapisując uwagi, które dyktował mu Mr Catterdzi, przejęzyczył się niechcący i zwrócił do niego per „milordzie”. Mr Catterdzi aż podskoczył na krześle ze zdziwienia, ale potem tak to sobie wytłumaczył: „Pewnie pomylił mnie z ojcem. Cofnął się pamięcią do lat młodości”. Jednakże Biswasa babu zdradziło zakłopotanie. Uderzając kolanem o kolano, wymamrotał niepewnie:

— Tak się cieszę, Sir, choć to jeszcze na wyrost. Z głębi serca winszu...

— Dziękuję, ale darmo mi gratulujesz — powiedział Mr Catterdzi lodowato po bengalsku.

Jego kancelista tak był tym wszystkim zbulwersowany, że zapomniał się i zapytał również po bengalsku:

— Ale dlaczego, Sir? Czy to nie piękna rzecz wymierzać sprawiedliwość? Mr Catterdzi, rozeźlony, wziął się jednak w garść i podyktował do końca swoje uwagi.

Jednak słowa Biswasa babu zapadły mu głęboko w pamięć. Może dlatego, że nie odwoływał się on do jego ambicji, tylko do sumienia.

Dla adwokata klient to pan, czy ma słuszność, czy też nie. Adwokat musi go bronić — to jego obowiązek. Wkłada w to cały swój talent i całe swoje doświadczenie. Natomiast sędzia, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, ma prawo decydować o racji skłóconych stron. To on, z urzędu, wymierza sprawiedliwość. Rzeczywiście, szczytne posłannictwo.

I tak to, pod koniec tygodnia Mr Catterdzi przyjął proponowane mu („zaszczytne”, jak podkreślił w rozmowie z prezesem) stanowisko. Przekazano jego kandydaturę do zatwierdzenia rządowi i parę miesięcy później został zaprzysiężony.

Lubił swoją pracę, chociaż nie utrzymywał bliskich stosunków z innymi sędziami. Miał własne grono przyjaciół, którym pozostał wierny (w przeciwieństwie do wielu innych ludzi na tak odpowiedzialnym stanowisku). Nie miał ambicji zostać prezesem Sądu Najwyższego w Kalkucie. Nie zabiegał również o przeniesienie do Sądu Najwyższego w Delhi. (Sąd Federalny przestał istnieć. Wycofano również apelacje do Rady Królewskiej).

Zresztą dobrze mu było w Kalkucie. Wrósł w to miasto i nie chciał się z nim rozstawać. Śmieszył go, a nawet do pewnego stopnia irytował asystent w liberii i turbanie. Różnił się pod tym względem od jednego ze swoich kolegów po fachu, który chodził z eskortą nawet po ryby na targ. Natomiast lubił, kiedy zwracano się do niego per „milordzie”, nawet jeśli w ustach niektórych adwokatów brzmiało to jak „milodzie”.

Ale najbardziej cieszyło go to, że może wymierzać sprawiedliwość w majestacie prawa. Chociaż Biswas babu sam był nieprzeciętnym imponistą, domyślił się, że ta misja będzie dla sędziego Catterdżego źródłem największej satysfakcji. Dwie sprawy, w których ostatnio orzekał, potwierdzały to. Jedna dotyczyła ustawy z 1950 roku „O areszcie ochronnym”. Na mocy tej ustawy zatrzymano, bez żadnego uzasadnienia, muzułmańskiego działacza robot-

niczego. Oskarżono go, między innymi, o szpiegostwo na rzecz Pakistanu, ale nie przedstawiono na to żadnych dowodów. Określano go jako burzyciela porządku publicznego — gołosłowny i nieprecyzyjny zarzut, który trudno jednak było odeprzeć. Ze względu na mglistość i problematyczną słuszość tych zarzutów, dwuosobowa komisja sędziowska, w skład której wchodził sędzia Catterdzi, oddaliła skargę na podstawie artykułu 22 paragrafu piątego Konstytucji.

W innej, również świeżej sprawie, sędzia Catterdzi wraz ze swoim kolegą z komisji wydali rozporządzenie specjalne, które spowodowało wielki ferment w kręgach prawniczych Kalkuty, ale zostało w końcu oficjalnie zatwierdzone. Chodziło mianowicie o to, że jeden z dwóch skazanych przez sąd niższej instancji za działalność wywrotową podsądnych złożył odwołanie od wyroku i wygrał, ale drugi, zbyt ubogi, nie próbował nawet apelować. Była to krzyżująca niesprawiedliwość, ale w tym przypadku udało się naprawić krzywdę. W rozporządzeniu specjalnym komisja sędziowska zażądała od prokuratury wyjaśnienia, na jakiej podstawie drugi z oskarżonych miałby nie zostać uwolniony.

I chociaż nie lubił zatwierdzać wyroków śmierci, miał niezachwiane przekonanie, że i tu czyni zadość sprawiedliwości. Przemyślał dogłębnie uzasadnienie wyroku. Jego argumentacja była rzeczowa i klarowna. Natomiast przeraził się tym, że w pierwszym szkicu uzasadnienia pominął jednego ze skazanych. Dawniej, za czasów adwokackich, przejrzysty rejestr prowadzony nie-nagannie przez Biś-wasa babu chronił go przed takimi katastrofalnymi wpadkami.

Zadumał się na chwilę, przypomniawszy sobie znowu starego kancelistę. Co u niego słyhać? Jak mu się żyje? Przez otwarte drzwi gabinetu dochodziły go dźwięki muzyki. To Kuku bębniła na pianinie. Przypomniał sobie, jak się wygłupiała przy obiedzie, przedrzeźniając Biswasa babu. Wtedy rozzłościła go ta jej „szlinka”, teraz — rozśmieszyła. Prawniczy angielski Biswasa babu był zwięzły i przejrzysty (z wyjątkiem paru niewłaściwie użytych rodzajników), natomiast w mowie potocznej dziadulek kaleczył ten język bezlitośnie. Każda jego wypowiedź była arcydziełem bełkotu. A Kuku po prostu po-

znała się na tym. Trudno żeby było inaczej. To przecież taka bystra dziewczyna.

7.38

Tymczasem Biswas babu siedział sobie właśnie ze swoim przyjacielem, burrą babu, księgowym z wydziału ubezpieczeń Bentsen Pryce. Przyjaźnili się już od ponad dwudziestu lat, a adda, czyli den Biswasa babu scementował jeszcze ten związek. (W wyniku małżeństwa Aruna i Minakszi zostali jakby spowinowaceni). Burra babu bywał u Biswasa babu prawie każdego wieczoru. Tu spotykali się starsi, żeby pogadać o polityce albo po prostu posiedzieć razem, napić się herbaty, poczytać gazety, wymienić poglądy. Dzisiaj niektórzy wybierali się do teatru.

— Słyszałem, że piorun łupnął w gmach Sądu Najwyższego — zagaił jeden z mężczyzn.

— Ale obyło się bez zniszczeń — odparł Biswas babu. — Kłopot tylko z uchodźcami ze wschodniego Bengalu, którzy obozują w korytarzach. — Słowo „Pakistan” nie przeszłoby żadnemu z nich przez gardło.

— Hindusów się tam zastrasza. Wygania się ich z własnej ziemi. W „Hindustan Standard” ciągle piszą o porwaniach hinduskich dziewcząt...

— Hej, Ma! — zawołał Biswas babu do swojej najmłodszej, sześciolatniej wnuczki. — Powiedz no matce, żeby przyniosła nam więcej herbaty.

— Jedno zbrojne starcie i Bengal znowu będzie zjednoczony.

Uznano ten komentarz za tak kretyński, że nikt nawet nie raczył zaproponować.

Przez chwilę panowała przyjemna cisza.

— A czytaliście, że podobno tylko sfingowali śmierć Netadźego w katastrofie lotniczej? Dwa dni temu ukazał się na ten temat artykuł...

— No, jeśli rzeczywiście żyje, to nie wysiła się, żeby tego dowieść.

— Może specjalnie się ukrywa.

— A po co? Przecież Brytyjczycy mu już nie zagrażają.

— Tak?! A mało to ma innych wrogów?

— No, jakich wrogów?

— Choćby Nehru... — Tu zwolennik Netadźego zająknął się, a potem dokończył ponuro: — A pełno ich tam...

— I Hitler też żyje, twoim zdaniem, co?

Zebrani zarechotali ironicznie.

— A kiedy wreszcie ożenisz tego twojego Amita babu? — zapytał ktoś Biswasa babu po chwili milczenia. — Cała Kalkuta na to czeka.

— A niech czeka — fuknął Biswas babu i z powrotem wsadził nos w gazetę.

— Twoja w tym głowa, żeby coś z tym zrobić. Albo go trzeba będzie zmusić, albo skusić, jak to mawiają Anglicy.

— Ja już swoje zrobiłem — odrzekł Biswas babu z teatralnym westchnieniem. — Dobry chłopak, ale marzyciel.

— Dobry chłopak, ale marzyciel! To mi dopiero! Ha, ha, ha! Zróbcie jeszcze ten numer z zięciem! — poprosił ktoś Biswasa babu i burrę babu.

— Nie, nie — bronili się obaj, ale wkrótce ulegli. Zgodzili się odegrać skecz, bo sami lubili pajacować, a dialog był tylko na parę linijek. Grali go już przedtem dobre parę razy, zawsze przed tą samą publicznością; nawet oschłemu addzie miło było czasem pozbytkować.

Burra babu przechadzał się teraz po pokoju, rriby to wybierając ryby na straganach. Nagle zobaczył swego dawnego kolegę.

— A! Biswas babu! — wykrzyknął radośnie.

— A, tak, tak. Sie masz, stary... kopę lat... — rzekł Biswas babu, wymachując parasolem.

— Słyszałem, że zaręczyłeś córkę. Gratulacje! Dobry to chłopak?

— A dobry, dobry. Bardzo porządny. Tyle tylko, że czasami wcina cebulę, ale tak to dobry.

Wyraźnie zaszokowany burra babu wykrzyknął:

— Wcina cebulę?! I tak codziennie?!

— O, nie, nie. Nie codziennie. Tylko jak sobie trochę łyknie.

— Jak to?! Pije?! Ale chyba nie nałogowo?!

— Skądże! — zapewnił go burra babu. — Od czasu do czasu, z wieczora, jak sobie pójdzie na panienki.

— Na panienki!? A często mu się to zdarza?

— A gdzie tam! — wykrzyknął Biswas babu. — Nie ma na to forsy! Ten stary alfons, jego ojciec, to gołodupiec, powiadam ci ja. Chłopakowi trudno coś z niego wycisnąć.

Rozbawiona publiczność nagrodziła występ burzą oklasków. Zaostrzyło to ich apetyt na sztukę, na którą wybierali się tego wieczoru do Star Theatre w Kalkucie Północ.

Wkrótce wniesiona została herbata i słodycze, między innymi przepyszne lobongolotiki domowej roboty (synowa Biswasa babu była pod tym względem mistrzynią). I przez parę minut, mlaskając i pomrukując z zadowolenia, delektowali się łakociami.

7.39

Z Całuskim na kolanach Dipankar zasiadł na małym dywaniku w swoim pokoju, gdzie udzielał duchowych porad rodzeństwu borykającemu się z najprzeróżniejszymi kłopotami.

Podczas gdy żadne z Catterdżich nie ośmieliłoby się przeszkadzać Amitowi, gdy pracował (lub istniała możliwość, że pracuje) nad swoimi wiekopomnymi dziełami, czy to poezją, czy też prozą, nikt nie liczył się z czasem ani kondycją fizyczną Dipankara, a atmosfera konsultacji zawsze była bardzo swobodna.

Przychodzili do niego po konkretną poradę albo po prostu, żeby się wygadać. Dipankar miał w sobie wiele ciepła i jakąś błazeńską powagę, a to działało jak balsam na rany.

Chociaż sam Dipankar był chwiejny w postanowieniach, a może zresztą, paradoksalnie, właśnie dlatego, innymi jakoś potrafił pokierować.

Minakshi wpadła pierwsza na pogawędkę. Chciała wiedzieć, czy można kochać więcej niż jedną osobę „beznadziejnie, bezgranicznie i z całej duszy”.

Omówili tę kwestię w bardzo ogólnych zarysach, nie wnikając w szczegóły, i Dipankar uznał, że można. Ideałem byłoby oczywiście kochać wszystkich w całym wszechświecie jednakowo, powiedział, co zupełnie nie przemawiało do Minakszi, ale mimo to rozmowa bardzo ją pokrzepiła.

Następnie zjawiała się Kuku, z bardzo konkretnym pytaniem: co mianowicie ma zrobić z Hansem? Nie znosi bengalskiej kuchni. Pod tym względem jest nawet gorszy od tego filistra Aruna, który za żadne skarby nie tknie rybiej głowy. Nawet gałek ocznych nie weźmie do ust, chociaż to przecież największy przysmak! Hansowi nie smakują smażone liście drzewa nim („Za gorzkie dla niego, wyobraź sobie!”, żaliła się Kuku), a ona nie jest pewna, czy uda się jej pokochać mężczyznę, który nie lubi liści tego drzewa. Poza tym — i to najbardziej ją dręczy — czy on ją aby rzeczywiście kocha? Być może trzeba będzie jednak dać kosza Hansowi, nie bacząc na *Schmerz* i Schuberta?

Dipankar zapewnił ją, że nic, ale to nic nie stoi na przeszkodzie ich miłości. Powiedział, że każdy ma inne podniebienie, ale to sprawa drugorzędna. Przypomniał jej, że Mrs Rupa Mehra też ją kiedyś uważała za dzikuskę, ponieważ Kuku kręciła nosem na owoce mango daśahri. Hansa trzeba po prostu trochę doszlifować i wkrótce zamiast kiszzonej kapusty będzie zajadał się, kwiatami banana, a strucle i pierniki zastąpią lobongolotiki i ladycanning; będzie się musiał przemóc, przestawić, przystosować, jeśli chce pozostać jej faworytem; i robi to, nie ma obawy, bo choć ludzkie dłonie mdleją w jego żelaznym uścisku, jego serce mdleje na jej widok.

— A gdzie będziemy mieszkać? — zapytała Kuku, pociągając nosem. — W tym spustoszonej kraju? I w tej zimnicy? — Rozejrzała się po pokoju Dipankara i powiedziała: — Wiesz, czego mi tu brakuje na ścianie? Obrazu Sundarbanów. Namaluję ci... Słyszałam, że tam, w Niemczech, ciągle pada, a ludzie trzęsą się cały czas z zimna. No a jak się pokłócimy z Hansem, to dokąd pójdę? Nie będę przecież mogła przyjść sobie spacerkiem do domu, tak jak to robi Minakszi. A psik! — kichnęła Kakoli.

Całusek szczechnął, a Dipankar zamrugał.

— Hm, Kuku... wiesz... na twoim miejscu...

— Nie powiedziałaś: „Pomyślności!” — skarciła go Kuku.

— Oj, przepraszam, Kuku. Pomyślności!

— Widzisz, Całusku, widzisz? Nikt nas nie kocha — pożałowała się Kakoli.
— Nikt... zupełnie nikt. Nawet Dipankar. Gdybyśmy umarli na zapalenie płuc, nikt by nawet tego nie zauważył. Nikt a nikt.

Do pokoju wszedł Bahadur.

— Telefon do Baby memsahib — powiedział.

— O! — rzekła Kuku. — Zmykam!

— Ale przecież mówiliśmy o tym, jak masz pokierować swoim losem — zaprotestował łagodnie Dipankar.

— Ale jest do mnie telefon! — Dalsze wyjaśnienia były dla Kuku zupełnie zbędne. Odwróciła się na pięcie i rzeczywiście, myk!, i już jej nie było.

Następnie przyszła matka Dipankara, ale nie żeby się radzić, tylko żeby udzielić rady synowi.

— *Ki korchho tumi, Dipankar?* — zapytała, a potem poczęła tłumaczyć mu cierpliwie: — Twój ojciec się zamartwia... Rodzinne interesy... W końcu nie będziemy żyć wiecznie... Odpowiedzialność... Ojciec się starzeje... Popatrz na swego brata, tylko poezja mu w głowie albo te jego powieści. Myśli, że z niego drugi Śaratćandra... Jesteś naszą jedyną nadzieją... Wtedy oboje z ojcem będziemy mogli spokojnie zamknąć oczy...

— Ależ, Mago, mamy jeszcze czas, żeby się nad tym wszystkim zastanowić — pocieszył ją Dipankar, który jak mógł, odwlekał każdą decyzję w nieskończoność.

Mrs Catterdzi nie wyglądała wcale na przekonaną. W dzieciństwie, pytany przez Bahadura, co by zjadł na śniadanie, Dipankar zadzierał głowę i kręcił szyją w lewo, w prawo, aż wreszcie Bahadur, nie czekając dłużej na instrukcje, przynosił mu omlet albo jajecznicę, albo jakiś inny przysmak, który Dipankar zjadał z zadowoleniem, nie kręcąc nigdy nosem. „Cóż za intuicja!”, zdumiewali się wszyscy w rodzinie. Ale teraz Mrs Catterdzi zaczynała podejrzewać, że nie było w tym żadnego duchowego porozumienia. Bahadur uosabiał po prostu los, któremu Dipankar biernie się poddawał.

— Nawet dziewczyny nie potrafisz sobie wybrać — powiedziała z wyrzutem Mrs Catterdzi. — Nic nie wyszło z Hemanginis ani z Cita. Wcale nie jesteś lepszy od Kuku — zakończyła żałośnie.

W oczach Mrs Catterdzi Amit był naprawdę przystojny: twarz miał owalną i piękne, duże oczy. Dipankara natomiast uważała za brzydkie kaczątko. No, oczywiście, niechby tylko kto śmiał skrytykować jego ostre, kanciaste rysy i kościste policzki, oho!, dopiero by miał z nią do czynienia! Ale co widziały w nim te wszystkie młode kobiety, takie jak Hemanginis albo Cíta? Nie mogła się nadziwić, że tak piałły z zachwytu nad jego urodą.

— Bo nie spotkałem jeszcze swojego Ideału, Mago — wyjaśnił Dipankar. — Dopiero szukam. Ideału i Zespoleń.

— A teraz jeszcze ci coś odbiło i jedziesz do Brahmpuru na tę Pul Mełę, żeby zanurzyć się w Gangesie i odprawiać modły. To nie przystoi braminowi.

— Mylisz się, Ma — powiedział Dipankar. — Nawet sam Keszab Cunder Sen namaścił się olejkami i zanurzył trzy razy w basenie na Dalhousie Square.

— Nieprawda! — zaprzeczyła energicznie Mrs Catterdzi, oburzona takim bluźnierstwem.

Braminowie, monoteiści, mają własną, piękną, symboliczną religię i tak na pewno się nie zachowują. A przynajmniej nie powinni.

— Ale tak było, Mago — upierał się Dipankar. — Właściwie nie jestem pewny, czy to było na Dalhousie Square. Ale za to zdaje mi się, że zanurzył się cztery razy. A przecież Ganges to święta rzeka.

Co tam przy nim taki basen! Zresztą, nawet Rabindranath Tagore powiedział, że Ganges to...

— O! Robi babu! — wykrzyknęła bałwochwalczo Mrs Catterdzi, wznosząc wzrok ku niebu.

Czwartą osobą, która odwiedziła poradnię Dipankara, był Tapan.

Całusek od razu zeskoczył z kolan Dipankara i usadowił się na kolanach Tapan.

Zawsze przed wyjazdem Tapan do internatu siadał markotnie na jego spakowanym kuferku, jakby nie chciał dopuścić do rozstania. A potem przez cały następny tydzień rozrabiał okrutnie, niepokieszony.

Tapan pogłaskał Całuska po łebku i przyjrzał się owłosionej mordce.

— Twoje oczy w ogóle nie mają białek, Całusku — stwierdził. — Nikt cię w tym domu palcem nie trąci, psinko. Przyrzekam ci to.

Całusek zamerdał ogonkiem na znak całkowitej aprobaty.

Widać było, że coś gnębi Tapaną; chciał się zwierzyć, ale nie mógł się na to zdobyć. Zamiast tego kluczył i robił uniki. Dipankar pozwolił mu pleść tak trzy po trzy przez jakiś czas. Wreszcie, na górnej półce w pokoju Dipankara, Tapan wypatrzył kronikę sławnych bitew i zapytał, czy może ją sobie pożyczyć. Dipankar spojrział na zakurzoną książkę ze zdumieniem, zdjął ją z półki i wręczył młodszemu bratu ze słowami:

— Możesz ją sobie zatrzymać.

Pochodziła z czasów, zanim jeszcze został oświecony.

— Na pewno, Dipankar da? — zawołał Tapan z wdzięcznością.

— Hmm — zamruczał Dipankar, którego opadły teraz wątpliwości. Czy aby posiadanie takiej książki wyjdzie Tapanowi na dobre? — No, niezupełnie. Jak przeczytasz, to przynieś ją z powrotem i wtedy zadecydujemy, co z tym fantem zrobić... Wtedy albo może jeszcze kiedy indziej...

W końcu, kiedy właśnie zamierzał rozpocząć medytację, przyplątał się jeszcze Amit. Pisał cały dzień i widać było po nim zmęczenie.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— Nic a nic, Dada — zapewnił go Dipankar.

— Na pewno?

— Tak, tak.

— Bo chcę z tobą o czymś porozmawiać. Nie mogę o tym powiedzieć ani Kuku, ani Minakszi.

— Ma się rozumieć, Dada. To bardzo miła dziewczyna.

— Dipankar!

— Bardzo miła. Bezpretensjonalna — oznajmił Dipankar z miną arbitra kobiecych walorów. — Inteligentna — mówił dalej jak zwycięski wódz. — Atrakcyjna — tu zamienił się w pokornego kapłana. — Pasuje do Ćat-terdżich — zawyrokował niczym święty mąż dyskutujący istotę życia i jego cztery cele główne. — I bezlitosna dla Biśa — dorzucił na koniec pogodnie.

— Bezlitosna dla Biśa? — zdumiał się Amit.

— Podobno. Słyszałem od Minakszi. O ile wiem, tak tym dopiekła Arunowi, że ten nie zamierza jej więcej przedstawiać żadnym swoim znajomym. Matka Aruna jest przez to w dzikiej rozpacz, Lata — w siódmym niebie, a

Minakshi bierze stronę Lata, choć uważa, że Biś jest całkiem do rzeczy... tylko wytrzymać z nim trudno. Aha, i jeszcze coś, Dada: Biswas babu, który już się o niej jakoś dowiedział, sądzi, że jest dla mnie stworzona. Rozmawiałeś z nim na ten temat? — zapytał niewinnie.

— Skądże! — zaprzeczył Amit, marszcząc brwi. — Może mu Kuku wypaplała. Ale i z ciebie niezły plotkarz, Dipankar. Nie masz nic lepszego do roboty? Powinieneś posłuchać ojcowskiej rady, znaleźć sobie godziwą pracę i zająć się wreszcie prowadzeniem rodzinnych interesów. Ja nie podołam. Musiałbym się pożegnać z pracą literacką. Zresztą ona wcale nie jest dla ciebie stworzona. Też mi coś! Idź i znajdź ten swój Ideał, tyle tylko ci powiem.

— Wedle życzenia — odparł słodko Dipankar, skłonił się głęboko i uczynił nad czołem Amita znak błogosławieństwa.

7.40

Pewnego dnia Mrs Rupa Mehra otrzymała z Brahmopuru przesyłkę. A były w niej owoce mango. Oczywiście Mrs Rupy Mehry rozjaśniły się na ich widok. Miała dość kalkuckich mango typu langra, które, choć niezłe w smaku, nie przywodziły wspomnień z dzieciństwa. Tęskniła do pysznych, pulchnych daśahri, ale myślała, że sezon na nie już się skończył. Parę dni wcześniej Sawita wysłała jej pocztą dwanaście sztuk, ale ktoś po drodze przywłaszczył sobie dziewięć, zastępując je kamieniami, a tylko na wierzchu zostawił trzy zgniecione owoce. Podłość tego czynu przygnębiła Mrs Rupa Mehre nie mniej niż brak ukochanych owoców. Straciła wszelką nadzieję, że podje sobie jeszcze daśahri w tym sezonie. „A następnego może wcale nie doczekam”, tragizowała w myślach. Przesadzała, oczywiście, bo daleko jej było jeszcze do pięćdziesiątki. A tu tymczasem nadeszła druga paczka z dwoma tuzinami dojrziałych, ale nie przejrzałych, a nawet jeszcze chłodnych daśahri!

— Kto je przyniósł? — zapytała Mrs Rupa Mehra Hanifa. — Listonosz?

— Nie, memsahib. Jakiś człowiek.

— Jak wyglądał? Co to za jeden?

— Po prostu jakiś człowiek, memsahib. Dał mi ten list dla pani. Mrs Rupa Mehra popatrzyła na Hanifa surowo.

— To dlaczego mi go od razu nie pokazałeś? No, dobrze. Przynieś mi talerz i ostry nóż. I umyj dwa owoce mango. — Mrs Rupa Mehra powąchała i pomacała kilka z nich, a potem zdecydowała: — O, te dwa.

— Tak jest, memsahib.

— I powiedz Lacie, żeby zaraz tu przyszła. Niech też skosztuje. Lata siedziała właśnie w ogrodzie. Było trochę wietrznie, ale nie padało. Kiedy weszła, Mrs Rupa Mehra przeczytała dołączony do paczki list od Sawity.

...ale powiedziałam, kochana Mamusiu, że na pewno czujesz się strasznie zawiedziona, a nam też było bardzo przykro, ponieważ wybieraliśmy troskliwie i z ogromnym oddaniem tylko te, które miały szansę dojrzeć w ciągu sześciu dni. Ale na szczęście jeden pan w Urzędzie Miejskim powiedział nam, jak to załatwić. Zna jakiegoś niższego urzędnika, który pracuje dla przedsiębiorstwa „J?rzesyłki” i jeździ klimatyzowaną ciężarówką na trasie Brahm-pur — Kalkuta. Zapłaciliśmy mu dziesięć rupii i mamy nadzieję, że tym razem wszystkie owoce mango dotarły do Was w komplecie, w dobrym stanie i na czas. Mamo, napisz, proszę, czyje otrzymaliście. Jeśli tak, to postaramy się wysłać jeszcze jedną partię przed końcem sezonu. Gdyby szły pocztą, musielibyśmy znowu wysłać niedojrzałe guguły, tak zaś nie powinno być żadnych trudności. Ale, Mamo, nie jedz za dużo naraz, ze względu na cukrzycę. Arun powinien przeczytać ten list i czuwać, żebyś nie przeholowała.

Oczy Mrs Rupy Mehry załśniły łzami, kiedy czytała ten list młodszej córce. Potem ze smakiem zjadła jedno mango, a drugie wmusiła Lacie.

— A następne zjemy sobie na pół — zdecydowała.

— Mamo! A twoja cukrzyca?!

— Taki kawałeczek nic mi nie zaszkodzi.

— Przeciwnie! Co za dużo, to niezdrowo. Sama zawsze to mówisz. A nie lepiej, żeby dochowały się do czasu, kiedy przyjdą następne?

Rozmowę przerwało nadejście Amita i Kakoli.

— A gdzie Minakszi? — zapytał Amit.

— Wyszła — powiedziała Mrs Rupa Mehra.

— Znowu?! — zdumiał się Amit. — A miałem nadzieję, że ją dzisiaj złapię. Była w Ballygunge, ale dopiero po jej wyjściu dowiedziałem się, że rozmawiała z Dipankarem. Czy może jej pani przekazać, że przyszedłem się z nią zobaczyć? A gdzie poszła?

— Do Shady Ladies — powiedziała Mrs Rupa Mehra z niechęcią.

— Szkoda — rzekł Amit. — Ale miło za to zobaczyć obie panie. — Zwrócił się w stronę Lata i powiedział: — Kuku wybiera się właśnie do Presidency College na spotkanie ze swoim starym znajomym, pomyślałem więc, że moglibyśmy dołączyć. Wspomniałaś kiedyś, że chciałabyś zwiedzić te okolice.

— Bardzo! — odparła Lata zadowolona, że Amit nie zapomniał. — Mamo? Czy jestem ci jeszcze potrzebna? Nie? To mogę iść?

— Dobrze — zgodziła się wspaniałomyślnie Mrs Rupa Mehra. — Ale zjedzcie najpierw kawałek mango — zapraszała gościnnie Kakoli i Amita. — Prosto z Brahmuru. Od Sawity. I od Prana... To człowiek, że do rany przyłożył. Sawita bardzo dobrze trafiła. A to dla was — wręczyła im jeszcze parę owoców w prezencie.

Po wyjściu trojga młodych Mrs Rupa Mehra postanowiła prze-kroić jeszcze jedno mango, a kiedy Aparna przebudziła się z popołudniowej drzemki i ona dostała kawałek. Po powrocie Minakszi z Shady Ladies (gdzie ta wygrała w madżonga) Mrs Rupa Mehra przeczytała jej list od Sawity i poczęstowała mango. Ale Minakszi odmówiła:

— Nie, mamo, naprawdę dziękuję. Muszę dbać o linię. A poza tym zjadłabym szminkę. Aparna, lalenko moja! A ty, jak się miewasz? Nie, nie! Nie całuj na razie mamusi. Buzię masz całą umorusaną!

To utwierdziło Mrs Rupa Mehre w przekonaniu, że Minakszi naprawdę jest nie z tej ziemi: trzeba chyba nie mieć zwykłej ludzkiej słabości ani na lekarstwo, żeby móc się oprzeć takim pysznym owocom mango.

— Amit i Kuku bardzo je sobie chwalili.

— O, jaka szkoda, że się z nimi minęłam. — W głosie Minakszi słychać było ulgę.

— Amit był tu już kilka razy, ale ciebie nigdy nie ma w domu. A przychodzi specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć.

— Wątpię.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zaperzyła się Mrs Rupa Mehra, która nie lubiła, kiedy się jej sprzeciwiano. A już szczególnie irytowało ją bezczelne nieposłuszeństwo synowej.

— Wątpię, czy przychodzi tu, żeby się ze mną zobaczyć. Rzadko u nas bywał, zanim przyjechałyście z Latą z Brahmuru. Żyje w swoim urojonym świecie postaci literackich i na ogół dobrze mu z tym.

Mrs Rupa Mehra popatrzyła na nią pytająco, ale nic nie powiedziała.

— Oj, Ma! Nie domyślasz się? — spytała Minakszi. — Przecież on jest wyraźnie zainteresowany Luts. Nigdy tak nie nadskakiwał żadnej innej dziewczynie. I zresztą, bardzo dobrze!

— I zresztą, bardzo dobrze — powtórzyła za matką Aparna, ćwicząc nowy zwrot.

— Milcz, Aparna! — zgromiła ją ostro babka.

Aparna zaniemówiła z wrażenia. Nie spodziewała się takiej reprimendy. W końcu kochająca babcia była zazwyczaj jej najwierniejszym sprzymierzeńcem. Tak się zdziwiła, że zapomniała się nawet obrazić i tylko dalej nadstawiała ucha.

— A tam! Co za brednie! — prychnęła Mrs Rupa Mehra. — Tylko nie waz się czasem podsuwać im takich myśli — pogroziła synowej palcem.

— A co mi do tego? To ich sprawa — odparła lodowato Minakszi.

— Ale z ciebie intrygantka, Minakszi — zachnęła się Mrs Rupa Mehra. — Zawsze coś knujesz. Aleja do tego nie dopuszczę! Za żadne skarby świata!

— Mamo, mamo! — odparła rozbawiona Minakszi. — Nie rwij sobie włosów z głowy. Po co? Nic nie knuję, to przecież nie mój wymysł. Na twoim miejscu pogodziłabym się z tym i już.

— Ani mi się śni — odpaliła Mrs Rupa Mehra. O, nie! Nie pozwoli, żeby Lata, tak jak Arun, wpadła w łapska Catterdżich! Wzdrygnęła się na samą myśl o podobnej ewentualności i aż poczerwieniała z gniewu. — Zabiorę ją

do Brahmuru. — Ale zaraz się poprawiła: — Nie, nie do Brahmuru. Może gdzieś indziej.

— I Luts da się tak zawlec, gdzie jej każą?

— Tak. To porządna, dobrze wychowana dziewczyna, nie jakaś samowolna, rozpasana latawica, której się w głowie przewróciło. Ona nie musi być nowomodna. Posłucha matki.

Minakshi przechyliła leniwie głowę w tył i rzucając okiem najpierw na swoje długie paznokcie, a potem na zegarek, oznajmiła:

— A! Czas na mnie. Muszę coś załatwić, spieszy mi się. Mamo, zajmiesz się Aparną?

Mrs Rupa Mehra skinęła głową w milczeniu, z miną męczennicy. Ale Minakshi dobrze wiedziała, że jej teściowa lubi zajmować się swoją jedyną wnuczką.

— Będę w domu przed pół do siódmej — rzekła na odchodnym Minakshi. — Arun powiedział, że zostanie dzisiaj trochę dłużej w biurze.

Ale Mrs Rupa Mehra nie raczyła nawet odpowiedzieć. Była zła. A oprócz złości wzbierało w niej paniczne przerażenie.

7.41

Tymczasem Amit i Lata przeglądali książki na straganach, od których roiło się na College Street. (Kuku poszła na spotkanie z Krysnanem w Coffee House. Uznała, że należy go „ugłaskać” i poczuła się niezwykle urażona, że Amit nie zapytał, co przez to rozumie).

— Ojej, ile tu książek! To się w głowie człowiekowi nie mieści! — powiedziała Lata zaskoczona, że władze miasta przeznaczyły taki ogromny teren na bazar książkowy. Rzeczywiście, książek było tu zatrzęsienie: w bibliotece i w Presidency College, ale przede wszystkim na stojących przy ulicy prowizorycznych regałach. Można tu było dostać wszystko: od używanych (z drugiej, trzeciej, dziesiątej ręki) technicznych monografii na temat galwanizacji po najnowsze wydania Agaty Christie.

— To mi się w głowie nie mieści.

— Nie, nie! Mnie się to w głowie nie mieści.

— Wiem. Właśnie dlatego cię poprawiłem. Nie „człowiekowi” tylko „mi”. Nie ma sensu mówić „człowiekowi”, kiedy ma się na myśli samego siebie. To nagminny błąd językowy. Nawet w Anglii też tak mówią, ale tutaj trudniej to będzie wyplenić niż tam.

Lata zaczerwieniła się, ale nie powiedziała ani słowa. Pomyślała o Biśu, który zawsze mówił o sobie „człowiek”.

— To tak samo, jakby ktoś powiedział: „palcyma”.

— Rozumiem — rzekła Lata.

— Wyobraź sobie, że ktoś ci powie: „Człowiek cię kocha”. Albo jeszcze gorzej: „Człowiek kocha człowieka”. Przyznasz, że brzmi to idiotycznie.

— Tak — przyznała Lata z marsem na czole. Wydawało się jej, że Amit przemawiał do niej „z góry”. A słowo „kocha” przypomniało jej o Kabirze.

— O to mi właśnie chodziło — rzekł Amit.

— Rozumiem — odparła Lata. — Czy raczej: „człowiek rozumie”.

— Widzę, że człowiek rozumie.

— A kiedy piszesz powieść, jak to jest? — zapytała Lata po chwili milczenia. — Dalej myślisz o tych wszystkich „ja, mi, mnie” i „człowiekach”?

— Nie jestem pewien — przyznał Amit. — To moja pierwsza powieść i dopiero eksperymentuję. Na razie rozrasta się jak banian.

— Aha — powiedziała Lata, udając, że pojmuje.

Ale Amit wyjaśnił mimo to:

— Wiesz, kielkuje, wypuszcza pędy, rozkrzewia się. Z bocznych gałęzi wyrastają korzenie, które z czasem zamieniają się w pnie drugiego rzędu albo też splatają z innymi konarami drzewa. Niektóre konary obumierają, a zdarza się, że zanika cały pień; ale dzięki korzeniom podporowym roślina nie ginie. Pójdziemy kiedyś do Ogrodu Botanicznego, zobaczysz wtedy sama, jak to wygląda. To drzewo żyje własnym życiem, tak samo zresztą jak wszystkie węże, ptaki, pszczoły, jaszczurki i termity, które żyją w nim, na nim oraz z niego. I podobnie jak Ganges w górnym, środkowym i dolnym biegu, włączając w to deltę, oczywiście.

— Oczywiście — powiedziała Lata.

— Oj, coś mi się wydaje, że się ze mnie naigrawasz — zauważył Amit.
— A ile masz już napisane? — zapytała Lata.
— Mniej więcej jedną trzecią.
— A tracisz na mnie tyle cennego czasu!
— Wcale nie.
— To o głodzie bengalskim, prawda?
— Tak.
— A ty sam pamiętasz tamte czasy?
— Doskonale. Minęło przecież dopiero osiem lat. — Zamilkł na chwilę.
— Jako student bawiłem się wtedy w politykę. Ale w domu mieliśmy psa, który zawsze był dobrze odkarmiony. — W głosie Amita brzmiała rozterka.
— Czy pisarz musi być głęboko zaangażowany uczuciowo w to, co pisze?
— zapytała Lata.
— Nie mam zielonego pojęcia — odparł Amit. — Czasami najlepiej pi-
sze mi się o rzeczach zupełnie obojętnych. Ale nie jest to żelazna reguła.
— To znaczy, lecisz na oślep, z nadzieją, że coś się z tego wykluje?
— No, niezupełnie.
Lata miała wrażenie, że Amit, który zdawał się tak otwarty, a nawet wy-
lewny jeszcze parę minut temu, nie ma już ochoty na zwierzenia.
Zarzuciła więc dalszą indagację.
— Dam ci kiedyś zbiorek moich wierszy — rzekł Amit. — Będiesz się
wtedy sama mogła przekonać, do jakiego stopnia angażuję się uczuciowo w
to, co piszę.
— Dlaczego dopiero „kiedyś”, a nie teraz? — chciała wiedzieć Lata.
— Bo muszę pomyśleć nad stosowną dedykacją — rzekł w odpowiedzi
Amit. — Aha! Nareszcie! Kuku do nas wraca.

7.42

„Ugłaskawszy” Krysznana, Kuku chciała jak najprędzej wracać do domu. Niestety, znowu się rozpadało, a deszcz siekł gęsto o dach samochodu. Po bo-

kach ulicy spływały strumienie mętnej wody. Później ulica zamieniła się w rodzaj płytkiego kanału, a jadące z przeciwka samochody bryzgały błotem w karoserię samochodu. Dziesięć minut później humber ugrzązł w rwącym potoku. Kierowca podjechał jeszcze kawałek dalej, starając się trzymać środka jezdnii, który był na wzniesieniu, ale wkrótce motor zamarł na dobre. Lata nie przejęła się tym zbyt, mając przy sobie Kuku i Amita, ale w samochodzie było potwornie gorąco i na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Amit opowiadał o swoich czasach studenckich i o tym, jak się wciągnął w pisanie poezji.

— To były strasznie głupie wierszydła i spaliłem wszystkie, co do jednego — powiedział.

— Jak tak mogłeś! — zawołała Lata zdumiona, że ktokolwiek mógłby zniszczyć to, w co włożył tyle serca. No, ale przynajmniej nie podał swoich pierwszych wierszy; to byłoby zbyt przyziemne. Ale jak mógł je spalić? Przecież w rezydencji Ballygunge nie było kominka? To nie ten klimat. — A gdzie je spaliłeś? — spytała.

Kuku odpowiedziała za Amita:

— W umywalce. Omal cały dom nie poszedł z dymem.

— To były naprawdę okropne wypociny — powiedział Amit na swoje usprawiedliwienie. — Żenująco głupie. Megalomańskie i nieuczciwe.

Niech w ogniu spłoną wierszydła,

Których obecność mi zbrzydła.

— powiedziała Kuku.

Niech popłyną do rynsztoka

Ból młodzieńczy i zgryzota.

— dorzucił Amit.

— Czy wszyscy w rodzinie Catterdźich układają takie nonszalanckie kuplety? — zapytała rozdrażniona Lata. Sama nie bardzo wiedziała, co ją ugryzło. Ale czy nie mogli wreszcie zachować trochę powagi? Ciągłe tylko podśmiewali się i to z najbardziej podniosłych rzeczy.

— Nie wszyscy — powiedziała Kuku. — Ma i Baba nigdy nie mówią do rymu. Ale to dlatego, że nigdy nie mieli Amita za starszego brata. No i Dipankar jest mniej od nas czworga uzdolniony. Nam to przychodzi w sposób naturalny. Inni podśpiewują sobie melodię dobrze znanej ragi, ale dziwią się naszym kupletom. A nas znowu dziwi, że Dipankar tego nie potrafi. No, najwyżej może raz w miesiącu, kiedy jest akurat w dobrej formie.

*Rym do rymu, prosto z głowy
I kuplecik w mig gotowy!*

— zachichotała Kuku, która sypała nimi najczęściej spośród rodzeństwa, tak że nawet mówiono o nich „kakoline kuplety”, chociaż zapoczątkował ten trend Amit.

Większość pojazdów mechanicznych utknęła w korku ulicznym. Poruszało się tylko parę rykszy. Rykszarze zanurzeni byli do pasa w wodzie, a obładowani pakunkami pasażerowie rozglądali się po błotnistym świecie z niepokojem, ale i z domieszką satysfakcji.

Po pewnym czasie woda wreszcie opadła. Kierowca wyskoczył z humbura, zajrzał do silnika, sprawdził przemoczony przewód zapłonowy i wytarł go suchą szmatką. Jednakże samochód nadal nie chciał ruszyć. Kierowca obejrzał gaźnik, pogrzebał tu i tam, zwrócił się o pomoc do swoich ulubionych boginek, mamrocząc sobie tylko znane zaklęcia, i samochód w końcu wystartował.

Było już ciemno, kiedy dotarli do Sunny Park.

— Widzę, że nie spieszyło ci się do domu — rzekła ostro Mrs Rupa Mehra do swojej córki, świdrując przy tym Amita nieprzyjaznym spojrzeniem.

Zarówno Latę, jak i Amita zaskoczyło to wrogie powitanie.

— Nawet Minakshi wróciła wcześniej od ciebie — mówiła dalej oskarżycielsko Mrs Rupa Mehra. Popatrzyła znowu na Amita i pomyślała: „Poeta, darmozjad! Nie zarobił w życiu jednej uczciwej rupii. Nie pozwolę, żeby wszystkie moje wnuki mówiły po bengalsku”. Nagle przypomniała sobie, że ostatnim razem, kiedy Amit odprowadził Latę do domu, ta miała we włosach kwiaty.

Patrząc na Latę, ale prawdopodobnie zwracając się do nich obojga, a może nawet do wszystkich trojga, nie wyłączając Kuku, powiedziała:

— Przez ciebie znowu podskoczyło mi ciśnienie. I poziom cukru.

— O, nie, mamó! — odparła Lata, patrząc na świeże obierki z mango na talerzu. — Poziom cukru podskoczył ci przez te wszystkie daśahri, których się najadłaś. Powinnaś się ograniczać do jednego dziennie, no, może najwyżej dwóch.

— Proszę! Jajko mądrzejsze od kury! — rzekła Mrs Rupa Mehra, patrząc gniewnie na Latę.

Amit uśmiechnął się przepaszająco.

— To moja wina, Ma — powiedział. — Ulice stały w wodzie i utknęliśmy w korku.

Mrs Rupa Mehra nie miała ochoty na przyjazne pogawędki. Jeszcze będzie tu taki zęby szczyrzył!

— Czy bardzo się pani podniósł poziom cukru we krwi? — spytała Kuku dla załagodzenia sytuacji.

— Bardzo — rzekła Mrs Rupa Mehra cierpiętniczo, dumna, że ma powód, aby się nad sobą poużalać.

— Musi się pani koniecznie skonsultować z moim homeopata — zawyrokowała Kakoli.

To odwróciło na chwilę uwagę Mrs Rupy Mehry od ataku. Powiedziała:

— Mam własnego homeopatę.

Ale Kakoli nie dała tak łatwo za wygraną. Jej homeopata musiał być oczywiście najlepszy.

— Doktor Nuruddin.

— Mahometanin? — spytała podejrzliwie Mrs Rupa Mehra.

— Tak. Byliśmy na wakacjach w Kaszmirze i...

— Nie wybieram się w tamte strony — odburknęła niechętnie Mrs Rupa Mehra.

— To nie szkodzi. Leczyłam się u niego tutaj, w jego kalkuckiej klinice. Na wszystko znajdzie lekarstwo: na cukrzycę, podagrę i chorobę skóry. Jeden z moich znajomych miał torbiel nad okiem. Rozpędził mu ją thudzą. To taki specjalny preparat.

— O, tak — wtrącił się Amit entuzjastycznie. — Za moją namową znajoma też poszła do homeopaty i zaraz zrosła się jej połamana noga, przepadł bez śladu złośliwy guz na mózgu i, chociaż była niepłodna, w trzy miesiące później powiła bliźnięta.

Kuku i Mrs Rupa Mehra zmierzyły go wrogimi spojrzeniami, w oczach Laty zaś aprobata mieszała się z dezaprobatą.

— Amit wyśmiewa wszystko, czego nie rozumie — powiedziała Kuku. — Dla niego homeopatia i astrologia to jedna wielka czarna magia. Ale nawet nasz lekarz rodzinny przyznaje ostatnio, że leczenie homeopatyczne daje świetne rezultaty. A ja od czasu mojej choroby w Kaszmirze wierzę niezbcie w skuteczność takiego leczenia. Wierzę w to, co mi pomaga.

— A co ci było? — zapytała z zainteresowaniem Mrs Rupa Mehra.

— Zaszkoziły mi lody w hotelu Gulmarg.

— Aha... — Mrs Rupa Mehra, która również nie potrafiła oprzeć się takim przysmakom, wczuła się natychmiast w sytuację.

— W hotelu mieli własne, firmowe lody. W chwili słabości zjadłam dwie duże porcje.

— No i co?!

— No i... O! To było straszne! — Tu Kuku zawiesiła głos, aby oddać powagę sytuacji. — Rozbolało mnie gardło. I to potwornie. Miejscowy lekarz przepisał mi jakiś lek alopacyjny. Przez jeden dzień czułam się trochę lepiej, ale potem znowu wróciły objawy choroby. Nie mogłam nic przełknąć. Nie mogłam ani jeść, ani śpiewać, ani mówić. Całe gardło miałam zawałone. A jak już chciałam coś powiedzieć, to musiałam przedtem pomyśleć.

Mrs Rupa Mehra zacmokała na znak współczucia.

— A zatoki miałam zupełnie zatkane. — Kuku umilkła na chwilę, a potem opowiadała dalej: — Dostałam jeszcze jedną dawkę lekarstwa i znowu to

samo: jeden dzień trochę lepiej, a na drugi znowu się rozłożyłam. Musiałam wrócić samolotem przez Delhi do Kalkuty. Po trzeciej dawce gardło miałam zaognione, a nos i zatoki zupełnie zatkane. Czułam się okropnie. Moja ciotka, Mrs Ganguly, poleciła mojej mamie doktora Nuruddina. „Zobacz, może coś pomoże”, powiedziała. „Spróbować nie zaszkodzi”.

Mrs Rupa Mehra czekała na finał opowieści w napięciu. Rozmowy o chorobach pasjonowały ją nie mniej niż romanse albo kryminały.

— Wypytywał mnie o przebyte wcześniej choroby i całą masę innych bardzo dziwnych rzeczy. Potem powiedział: „Proszę wziąć dwie dawki pulsetilli i przyjść na następną konsultację”. Zapytałam: „Tylko dwie? To wystarczy? Nie całą serię?” A on na to: „Inszallah. Dwie dawki powinny wystarczyć”. I rzeczywiście. Wyleczyłam się. Opuchlizna znikła, a zatoki się wysuszyły. I tyle. Wszystko przeszło jak ręką odjął. Kuracja alopacyjna wymagałaby punkcji. Trzeba by było operacyjnie wysuszyć zatoki. Inaczej choroba ciągle by się odzywała. Tak by się to skończyło, gdybym nie poszła do doktora Nuruddina. I z czego się śmiejesz, Amit?

Tymczasem Mrs Rupa Mehra dała się przekonać.

— Wybiorę się z tobą do niego — powiedziała.

— Tylko niech się pani do niego nie zrazi, bo on zadaje czasem bardzo dziwne pytania.

— Potrafię się znaleźć w każdej sytuacji — zapewniła ją Mrs Rupa Mehra.

Kiedy wyszli, Mrs Rupa Mehra powiedziała do Lata z udaną słodyczą:

— Wiesz co, córuniu, zmęczona już jestem tą Kalkutą. I źle to wpływa na moje zdrowie. Jedźmy do Delhi.

— Ale po co! — zaprotestowała Lata. — Kiedy właśnie zaczynam się tu dobrze bawić! I skąd ten pośpiech?

Mrs Rupa Mehra przyjrzała się córce z wielką uwagą.

— Mamy przecież jeszcze te wszystkie mango do zjedzenia — zaśmiała się Lata. — I powinniśmy przypilnować Waruna, żeby się uczył do egzaminów.

Mrs Rupa Mehra przybrała surową minę.

— Powiedz mi... — zaczęła dochodzenie, ale urwała w pół zdania. Nie, Lata nie mogła tak udawać! Miała niewinność wypisaną na twarzy. A skoro tak, to po co podsuwać jej takie pomysły?

— Tak, mamó. Słucham?

— Powiedz mi, jak spędziłaś dzień.

Lata odetchnęła z ulgą. No, to było przynajmniej podobne do matki, która zawsze chciała znać wszystkie szczegóły. Lata nie miała ochoty wyjeżdżać z Kalkuty. Chciała być blisko Catterdżich. Lubiła tę rodzinę, była im wdzięczna za to, że ją tak serdecznie przyjęli do swojego klanu. „Prawie jak trzecią siostrę”, myślała. Szczególnie Amit, chociaż niby taki cynik, okazał jej wiele serca, zajmował się nią tak troskliwie. Dzięki niemu otrząsnęła się z przygnębienia.

Tymczasem Mrs Rupa Mehra także rozmyślała o Catterdżich, tylko mniej pochlebnie. Przeraziły ją spostrzeżenia Minakszi.

„Pojadę do Delhi”, mówiła sobie w myślach, „nawet sama, jeśli będzie trzeba. Kalpana Gaur będzie musiała mi jakoś pomóc, i to szybko, w znalezieniu odpowiedniego chłopca. Wtedy każę przyjechać Lacie. Na Aruna nie ma co liczyć. Odkąd się ożenił, ma w nosie swoją rodzinę. Przedstawił Łatę Biśwanathowi, ale od tamtej pory palcem nie kiwnął. Siostra nic go nie obchodzi. Jestem na tym świecie samiuteńka jak palec. Nikt mnie nie kocha oprócz mojej Aparny”.

Minakszi spała, a Aparna była pod opieką Starego Klekota. Mrs Rupa Mehra odebrała niańce wnuczkę i wzięła ją w ramiona.

7.43

Arun również spóźnił się przez deszcz. Wrócił do domu zły. Burknął coś pod nosem na powitanie do matki, siostry i córki, a potem pomaszerował prosto do sypialni.

— Świnie — oznajmił już przy wejściu. — Bezczelne świnie. Wszyscy bez wyjątku, włączając w to kierowcę.

Minakszi przyglądała mu się bacznie z łóżka. Ziewnęła i powiedziała:

Z gniewu psuje się uroda

— *czekolada sił ci doda!*

— Oj, przestań wreszcie pleść tak trzy po trzy! — wrzasnął na nią Arun, odstawiając teczkę i kładąc swój przemoczony płaszcz na poręczy krzesła. — Jako moja żona mogłabyś okazać mi trochę współczucia. Przynajmniej dla pozorów.

— A co się stało, kochanie? — zapytała Minakszi, przybierając zatroskaną minę. — Coś ci nie poszło w biurze?

Arun usiadł na brzegu łóżka i przymknął oczy.

— No, powiedz mi — rzekła Minakszi, rozwiązując mu wolniutko krawat palcami o bardzo długich, eleganckich, polakierowanych na czerwono paznokciach.

Arun westchnął ciężko.

— Rykszarz zażądał ode mnie trzech rupii za podwiezienie mnie do samochodu z jednej strony ulicy na drugą! Trzy rupie za te parę jardów! Do czego to podobne?! — gderał oburzony, kręcąc głową, jakby nadal nie dowierzał własnym uszom.

Tym razem Minakszi wyglądała na szczerze zaszokowaną. Wypuściła z ręki krawat i wykrzyknęła:

— No, nie! Naprawdę?! Mam nadzieję, że nie dałeś się naciągnąć!

— A co miałem robić? — rzekł Arun, zrezygnowany. — Brnąć przez te kałuże, w wodzie po kolana? Musiałem się jakoś dostać do samochodu. Inaczej szofer musiałby po mnie przyjechać i samochód pewnie ugrzązłby w błocie. Ale ten drań, ten rykszarz, zaraz się zorientował i uśmiechał się złośliwie pod nosem. Chciał się odegrać na sahibie. Powiedział: „Jak pan chce. To pańska sprawa. Trzy rupie”. Normalnie zapłaciłbym najwyżej dwie anny. A właściwie jedna anna powinna wystarczyć w zupełności, bo to nie więcej niż dwadzieścia kroków. Ale widział, łotr, że jak okiem sięgnąć nie było żadnej innej rykszy, a ja ociekałem wodą. Przeklęty oszust! Świnia!

Nie ruszając się z łóżka, Minakszi popatrzyła w lustro i wpadła na jakiś czas w zadumę. Potem odezwała się:

— No, ale powiedz mi: kiedy na rynku światowym jest tymczasowy niedobór jakiegoś towaru, na przykład juty, to ceny też zaraz rosną, prawda? Każdy chce wycisnąć, ile się da. Tak robią chyba wszyscy, nie tylko Marwari? I złotnicy tak robią, o ile wiem, i sprzedawcy warzyw. Więc ten rykszarz też po prostu chciał wykorzystać sytuację. Co w tym dziwnego? Nie powinniśmy się wcale na niego tak oburzać.

Zapomniała, że oczekiwał od niej współczucia. Arun zgromił ją wzrokiem, ale nie mógł zaprzeczyć żelaznej logice jej wyводу.

— To może pójdziesz za mnie do pracy? — zapytał uszczypliwie.

— O, nie, kochanie — odparła Minakszi, ignorując zaczepny ton jego głosu. — Nie chciałabym chodzić w garniturze i krawacie. Ani dyktować listów uroczej Miss Christie. Nawet bym nie umiała... Aha, nawiasem mówiąc, przyszedł list od Sawity z Brahmपुरu i paczuszka, a w niej kilka mango.

— O.

— A Majak to Ma, opycha się nimi bez przerwy, nie zważając na swoją cukrzycę.

Arun potrząsnął głową z irytacją. Nie dość ma własnych kłopotów? Jeszcze się z matką trzeba użerać. Dzisiaj się napcha mango, a jutro będzie narzekać, że jest ciężko chora i trzeba ją będzie zabrać do lekarza. Wszystko na jego głowie: matka, siostra, córka, żona. Nagle poczuł się jak w potrzasku. Wstrętne baby! I ten darmozjad Warun na dokładkę.

— A gdzie Warun?

— Nie mam pojęcia — odparła Minakszi. — Wszedł gdzieś i jeszcze nie wrócił. Ani nie dzwonił, o ile wiem. Zdrzemnęłam się na chwilę.

Arun znowu westchnął ciężko.

— Śniłeś mi się — skłamała Minakszi.

— Naprawdę? — zapytał Arun rozczulony. — Chodź tutaj...

— Nie teraz, kochanie — rzekła chłodno Minakszi. — Przecież wyjdziemy dziś wieczorem.

— A nie moglibyśmy choć raz zostać w domu? — burknął Arun. — Ciągłe tylko gdzieś się włóczymy wieczorami.

Minakszi wzruszyła ramionami, jakby dając do zrozumienia, że to nie jej wina.

— Żal mi kawalerskich czasów — powiedział Arun, chociaż nie była to wcale prawda.

Oczy Minakszi zabłyśły gniewem.

— Jeśli tak uważasz, to... — zaczęła.

— Nie, nie, przepraszam. Nie miałem nic takiego na myśli. To wszystko przez te nerwy. I znowu mam bóle w krzyżu.

— Nie widzę, żeby kawalerskie życie tak znowu służyło Waranowi.

Tu Arun nie mógł się z nią nie zgodzić. Znowu potrząsnął głową i westchnął głęboko. Widać było, że jest przemęczony. „Biedny Arun”, pomyślała Minakszi.

— Przynieść ci drinka, kochanie? — zapytała. — A może herbaty?

— Herbaty — odparł Arun. — Filiżankę dobrej, mocnej herbaty. Na razie nie mam ochoty na drinka.

7.44

Waran nie wrócił jeszcze, ponieważ gościł u Śadźida na Park Lane — ulicy, której nazwa nie oddawała jej skandalicznej reputacji. Śadźid, Jason i Warun (z papierosem w zębach) siedzieli w pokoju na piętrze, na wielkim łożu Śadźida, w towarzystwie paru innych kumpli i rżnęli w pokera, stawiając na początek dwie anny na karty zakryte i dwie na odkryte. Dzisiaj — zresztą nie pierwszy raz — dołączyli do nich lokatorzy Śadźida z dołu — Paul i jego siostra Peta (którą Śadźid nazywał Picia). Picia siedziała na kolanach swojego chłopaka, marynarza, i grała w jego imieniu. Stawka podniosła się do czterech ann na karty zakryte i ośmiu na odkryte. Była to górna granica — nigdy sobie na więcej nie pozwalali. Wszyscy byli podminowani i nerwowo przekładali karty z ręki do ręki. W końcu na placu boju zostało tylko dwoje karciarzy: roztrzęsiony Warun i chłodna, opanowana Picia.

— No — powiedział z dwuznacznym uśmiechem Śadźid. — Wszyscy odpadli z wyjątkiem Pety i Warana. To się dopiero iskry posypią!

Warun zaczerwienił się po same uszy i omal nie pogubił. Wszyscy (oprócz chłopaka Pety, marynarza), wiedzieli, że Paul, który właśnie był bezrobotny, stręczył swojej siostrze klientów, kiedy marynarza nie było w mieście. Bóg jeden wie, skąd ich sprowadzał, ale czasem wracał do domu taksówką późnym wieczorem, w towarzystwie takiego czy innego biznesmena, i stał przy schodach, kurząc Rhodes Navy Cut, podczas gdy Peta zabawiała klienta.

— A to ci kolor! — rzekł Jason, pijąc do rumieńca na twarzy Waruna.

Drżąc z podniecenia, Warun rzucił raz jeszcze okiem (dla pewności) w swoje karty i wykrztusił półgłosem:

— Gram dalej.

Wrzucił do puli ośmioannową monetę. Było tam już prawie pięć rupii.

Picia natomiast, nie spojrzawszy nawet w swoje karty, beznamytnie wrzuciła do banku również osiem ann. Marynarz powiódł dłonią po jej szyi, a ona odchyliła głowę do tyłu.

Warun zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Z oczami świecącymi jak w gorące dorzucił jeszcze osiem ann. Popatrzył na nią wystraszony. Picia nie odwróciła wzroku. Spojrzała na niego wyzywająco i powiedziała niskim, ochrypłym głosem:

— A, ty chytrusie! Chcesz ze mnie skórę złupić, tak? No, to masz! Dostaniesz, o co się dopraszasz! — I wrzuciła do banku jeszcze osiem ann.

Warun nie mógł już dłużej znieść tego napięcia. Wyczerpany niepewnością, panikując, poprosił Picie, żeby odkryła karty. Miała króla, damę i waleta pik, a on asa, króla i damę karo. Omal nie zemdlał z nadmiaru emocji. Był tak wstrząśnięty, jakby przegrał. Zaklinał swoich kumpli, żeby go puścili do domu, ale na próżno.

— Jeszcze czego! — wykrzyknął Śadźid. — Napchał sobie kieszenie i w tył zwrot. O, nie, bratku! Nie ma tak dobrze! Muisz dać innym szansę się odegrać.

I w następnych rozgrywkach Warun przepuścił całą swoją wygraną (i jeszcze więcej). „Do czego się wezmę, wszystko się obraca przeciwko mnie”, żalił się w myślach przed sobą, wracając do domu tramwajem. „Nierób ze mnie... próżniak... zwykły obibok. Tylko wstyd rodzinie przynoszę”. Przypominał sobie świdrujące spojrzenie Pici i po plecach przeszły mu ciarki. Powi-

nien przestać się zadawać z tą pijacką kompanią. Inaczej źle, bardzo źle się to dla niego skończy.

7.45

Był to dzień, kiedy Mrs Rupa Mehra miała wyjechać do Delhi i cała rodzina Mehrów zebrała się rano przy stole. Arun, tak jak zwykle, rozwiązywał krzyżówkę. Potem pobieżnie przejrzał szpalty gazety.

— Mógłbyś zamienić ze mną parę słów — powiedziała Mrs Rupa Mehra.
— Wyjeżdżam dzisiaj, a ty wsadzasz nos w gazetę.

Arun spojrział na nią i powiedział:

— Posłuchaj tylko, Ma. To coś dla ciebie.

I z przesadnym patosem odczytał następujące ogłoszenie:

Cukrzyca przewlekła i zaawansowana: KURACJA SIEDMIODNIOWA. Leczenie najnowszą metodą naukową MAGIA WENUS. Nadmierne pragnienie, głód, cukier w moczu, swędzenie itp. to tylko niektóre objawy tej choroby. Następstwem zaniedbania mogą być pryszczki, czyraki, katarakta, a także inne zaburzenia. NIE DAJ SIĘ ŚMIERCI! Wyrwij się z jej szponów! Tysiącom już się to udało dzięki MAGII WENUS. Już w ciągu pierwszej doby opada poziom cukru i ustępują przykre dolegliwości, a dwa, trzy dni później zaczniesz powracać do zdrowia. ŻADNYCH PRZECIWWSKAZAŃ DIETETYCZNYCH! 6 rupii, 12 ann za butelkę (pięćdziesiąt tabletek), wraz z wysyłką. Do nabycia w Laboratorium Naukowym Wenus (N.H.), skrytka pocztowa 587, Kalkuta.

Łzy spłynęły po policzkach Mrs Rupy Mehry.

— Mam nadzieję, że nigdy nie dostaniesz cukrzycy — powiedziała do swego najstarszego syna. — Możesz sobie ze mnie żarty stroić, ale...

— Wiem, wiem, dopiero jak cię spalą na stosie pogrzebowym... spojrzę na puste krzesło, a ciebie nie będzie wśród żywych... Znam to, znam — prychnął brutalnie Arun.

Ból w krzyżu dał mu się we znaki poprzedniej nocy i nie sprawdził się w łóżku, co zirytowało Minakszi.

— Zamknij się, Arun bhai! — krzyknął nagle Warun, unosząc się gniewem. Krew odpłynęła mu z twarzy. Podszedł do matki i otoczył ją ramieniem.

— Nie waż się przemawiać do mnie takim tonem — ostrzegł go wściekle Arun, podnosząc się z krzesła, jakby chciał się na niego zamierzyć. Podszedł do Warana i wrzasnął: — Powiedziałeś do mnie: „Zamknij się”?! Ty pasożycie! Tfu! Wynocha! Won mi stąd! — Widać było, że wszystko się w nim gotuje. — Już cię nie ma!

— Proszę, Arun bhai... — zaprotestowała Lata oburzona.

Warun cofnął się o parę kroków. Stał po drugiej stronie stołu.

— Siadajcie obaj — powiedziała Minakszi. — Przestańcie się ciskać. Zjedzmy śniadanie w spokoju.

Usiedli. Arun sztyletował Warana wzrokiem, Warun zaś wpatrywał się w jajko na talerzu.

— Nie podrzuci mnie nawet samochodem na dworzec — użalała się dalej Mrs Rupa Mehra, sięgając do swojej czarnej torby po chusteczkę do nosa. — Muszę prosić obcych o łaskę.

— Mamo, nie przesadzajmy — powiedziała Lata, przytulając się do matki. — Amit to nie żaden obcy.

Mrs Rupa Mehra zeszywniała.

— I jeszcze ta mi tutaj będzie pyskować — powiedziała. Zwróciła się w stronę Laty i dorzuciła: — Jak ty mnie traktujesz! Jak śmiecia!

— Ma! — wykrzyknęła Lata, dotknięta do żywego.

— Tak, tak. Tylko czekasz na mój wyjazd, żeby tu sobie pohulać... Jedna Aparna będzie za mną tęsknić...

— Mamo, uspokój się. Razem z Warunem zaprowadzimy cię do homeopaty, a potem odwieziemy cię na dworzec. Amit będzie tutaj za parę minut. Chcesz, żeby zobaczył cię zapłakaną?

— A niech zobaczy. Nic mnie to nie obchodzi — burknęła Mrs Rupa Mehra kąśliwie.

Amit zjawił się punktualnie. Mrs Rupa Mehra przemyła wodą twarz, ale czubek nosa nadal miała zaczerwieniony ze zdenerwowania. Przy pożegnaniu z Aparną obie wybuchnęły płaczem. Na szczęście jednak Arun wyjechał już do pracy, więc nie mógł im dogryzać z tego powodu.

Doktor Nuruddin, homeopata, był człowiekiem w średnim wieku. Twarz miał podłużną i zdawał się cedzić każde słowo. Ale sposób bycia miał raczej jowialny.

Przywitał się z Mrs Rupą Mehra przyjaźnie, spisał jej dane personalne, historię choroby, sprawdził poziom cukru we krwi na wykresie, porozmawiał trochę o Kakoli Catterdzi, wstał, znowu usiadł, a potem zaczął wypytywać ją o rzeczy natury intymnej.

— Przeszła już pani klimakterium?

— Tak, ale dlaczego... ?

— Słucham? — Doktor Nuruddin skarcił ją wzrokiem jak krnąbrne dziecko.

— Nic, nic — rzekła Mrs Rupa Mehra potulnie.

— Łatwo się pani irytuje?

— Tak jak każdy.

Doktor Nuruddin uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, to dzisiaj powszechna bolączka — przyznał. — No a pani sama?

— Mam zszarpane nerwy. Dzisiaj na przykład przy śniadaniu...

— Często pani płacze?

— Bardzo często.

— Czy wpada pani czasem w czarną rozpacz? Czy przytłacza panią bezbrzeżny smutek? Czy ma pani napady straszliwej melancholii?

Mówił o tym, jakby to były objawy chorobowe takie jak swędzenie czy ból brzucha. Mrs Rupa Mehra popatrzyła na niego zdezorientowana.

— Jak to „straszliwej”? Do jakiego stopnia? — zapytała.

— Każda odpowiedź będzie dla mnie bardzo cenna. Mrs Rupa Mehra zamysliła się na chwilę.

— Tak, czasem napada mnie straszliwa melancholia... Kiedy myślę o moim nieboszczyku mężu...

— I w tej chwili też pani o nim myśli?

— Tak.

— I ogarnia panią czarna rozpacz?

— Nie, nie w tej chwili — przyznała Mrs Rupa Mehra.

— Wobec tego co pani czuje w tym momencie?

— Jakieś to wszystko niesamowite...

W tłumaczeniu brzmiałoby to: „Moim zdaniem brak panu piątej klepki. A ja też robię z siebie idiotkę, godząc się na takie dochodzenie”.

Doktor Nuruddin podrapał się po nosie końcem ołówka zakończonym gumką, a potem zapytał:

— Mrs Mehra, czy uważa pani, że bezczelnie zadaję jej bezsensowne pytania?

— Hm...

— Zapewniam panią, że ta wiedza potrzebna mi jest, by zalecić pani trafną kurację. W homeopatii interesuje nas cały organizm, nie tylko jedna, fizyczna dolegliwość. Proszę mi jeszcze powiedzieć: czy miewa pani zaniki pamięci?

— Nie. Mam dobrą pamięć do imion. Zawsze pamiętam o urodzinach krewnych i znajomych. Ważne rzeczy nie ulatują mi z głowy.

Doktor Nuruddin zapisał coś w swoim notatniku.

— Dobrze — powiedział. — A sny?

— Sny?

— Sny.

— To znaczy? — zapytała zaskoczona Mrs Rupa Mehra.

— Co się pani zazwyczaj śni, Mrs Mehra?

— Nie pamiętam.

— Nie pamięta pani? — W głosie doktora Nuruddina słychać było niedowierzanie.

— Nie — bąknęła Mrs Rupa Mehra, szcękając zębami.

— Czy szczeka pani zębami we śnie?

— Skąd mogę wiedzieć? Przecież wtedy śpię. I co to ma wszystko wspólnego z moją cukrzycą?

— Czy pali panią czasem w nocy pragnienie?

— Tak, nawet często. Trzymam dzbanek wody przy łóżku.

— Kiedy czuje się pani bardziej zmęczona: rano czy wieczorem?

— Chyba rano. Dopiero po odczytaniu *Gity* wstępują we mnie nowe siły.

— Lubi pani owoce mango?

Mrs Rupa Mehra przeszła go wzrokiem.

— Skąd pan wie?

— To było tylko pytanie, Mrs Mehra. Czy pani mocz pachnie fiołkami?

— Jak pan śmie! — wykrzyknęła gniewnie Mrs Rupa Mehra.

— Mrs Mehra, staram się pani pomóc. — Doktor Nuruddin odłożył pióro. — Czy odpowie pani na moje pytanie?

— Nie! Na takie pytania nie będę odpowiadać. A poza tym spieszy mi się. Za godzinę z dworca Howrah odchodzi mój pociąg. Muszę już iść.

Doktor Nuruddin sięgnął po egzemplarz *Materia Medica* i otworzył go na odpowiedniej stronie.

— Widzi pani, nie wyssałem sobie tych pytań z palca — powiedział. — Ale nawet pani gwałtowna reakcja na nie pomogła mi w postawieniu diagnozy. Mam jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie.

Mrs Rupa Mehra zdrętwiała.

— Słucham — powiedziała.

— Czy odczuwa pani swędzenie w opuszkach palców? Mrs Rupa Mehra odetchnęła z ulgą.

— Nie — odparła krótko.

Doktor Nuruddin przez jakiś czas w zamyśleniu uderzał palcami po nosie, a potem wypisał receptę i podał ją laborantowi. Ten utłukł jakieś składniki na biały proszek i rozsypał mieszankę do dwudziestu maleńkich papierowych torebeczek.

— Proszę nie jeść ani cebuli, ani imbiru, ani czosnku. Co najmniej na pół godziny przed każdym posiłkiem proszę przyjmować zawartość jednej takiej torebeczki z lekarstwem — rzekł doktor Nuruddin.

— I to mi pomoże na cukrzycę?

— Inszallah.

— Myślałam, że dostanę jakieś pigułki — powiedziała zawiedziona Mrs Rupa Mehra.

— Proszek działa o wiele skuteczniej — rzekł doktor Nuruddin. — Proszę przyjść za tydzień, a wtedy zobaczymy.

— Wyjeżdżam z Kalkuty na parę miesięcy.

Doktor Nuruddin zapytał szorstko:

— Dlaczego wcześniej mi pani o tym nie powiedziała?

— Nie pytał pan. Przepraszam, panie doktorze.

— No, dobrze. A dokąd się pani wybiera?

— Do Delhi. A potem do Brahmpuru. Moja córka, Sawita, spodziewa się dziecka — zwierzyła się Mrs Rupa Mehra.

— A kiedy będzie pani w Brahmpurze?

— Za tydzień albo dwa.

— Nie lubię wypisywać długoterminowych recept — rzekł cierpko doktor Nuruddin — ale wygląda na to, że nie ma innej rady.

— Zamienił parę słów z laborantem, a potem dorzucił: — Dam pani dwutygodniowy zapas, ale za pięć dni musi pani napisać do mnie na ten adres i donieść mi, jak się pani czuje. A w Brahmpurze proszę zwrócić się do doktora Baldewa Singha. Proszę, to jego adres. Skontaktuję się z nim później i powiem mu, że chce się pani z nim zobaczyć z mojego polecenia. Proszę zapłacić i odebrać lekarstwa przy wyjściu. Do widzenia, Mrs Mehra.

— Dziękuję, panie doktorze — powiedziała Mrs Rupa Mehra.

— Następny proszę! — zawołał doktor Nuruddin pogodnie.

7.46

W drodze na dworzec Mrs Rupa Mehra była dziwnie milcząca. Zapytana przez dzieci, jak wypadła wizyta u homeopaty, odparła lakonicznie:

— Nie mogłam się w tym wszystkim połapać. Możecie to powtórzyć Kuku.

— Ale zamierza pani stosować przepisane leki?

— Oczywiście. Nie będę przecież wyrzucać pieniędzy w błoto. Nie tak mnie wychowano...

Wyglądało na to, że denerwuje ją obecność Amita, a nawet własnych dzieci.

A kiedy utknęli w korku ulicznym na moście Howrah, w kolumnie autobusów, tramwajów, taksówek, samochodów, motocykli, furmanek, rykszy, rowerów i przechodniów, zdawała się nie zważać, że czas leci, a do odjazdu pociągu został jeszcze tylko niecały kwadrans. I chociaż humber posuwał się jak żółw, nie załamywała, swoim zwyczajem, rąk z rozpacz.

Dopiero kiedy jakimś cudem wydostali się z tłoku, a ona sama ulokowała się wreszcie z całym swoim bagażem w przedziale, przyjrząwszy się najpierw dokładnie współpasażerom, Mrs Rupa Mehra dała upust swej prawdziwej, pobudliwej naturze. Ze łzami w oczach ucałowała Latę na pożegnanie i kazała jej opiekować się Warunem. A całując ze łzami w oczach Waruna, kazała mu opiekować się Latą.

Amit stał trochę na uboczu. Nie lubił dworcowej atmosfery. Nie znosił dymu, zgiełku, ścisku, przepychanki, a nade wszystko zapachu nieświeżych ryb, który unosił się w powietrzu.

— Naprawdę, Amit, to bardzo ładnie z twojej strony, że podrzuciłeś nas tutaj samochodem — rzekła Mrs Rupa Mehra, siląc się na uprzejmość.

— Drobnostka, Ma. Akurat stał wolny. Dziwnym trafem Kuku nie przywłaszczyła go dzisiaj sobie.

— Ach, tak, Kuku... — rzekła kwaśno Mrs Rupa Mehra. Chociaż zazwyczaj sama zachęcała młodych ludzi, żeby zwracali się do niej per „Ma”, nie była wcale zachwycona poufałością Amita. Popatrzyła na Latę strapioną. Zdaje się, że dopiero wczoraj była nie większa od Aparny. I kiedy wyrosła na taką pannę? Jak ten czas leci! — Pozdrów ode mnie serdecznie całą swoją rodzinę — powiedziała nieszczercze do Amita.

Amit był zaskoczony tą źle zamaskowaną wrogością. A może tylko ubzdurał to sobie bezpodstawnie? „Czy to po wizycie u lekarza?“, zachodził w głowę. „Co tak mogło zirytować matkę Lata?“, A może była zła na niego?

Wszyscy zgodzili się, że Mrs Rupa Mehra była nie w humorze. W drodze powrotnej Amit powiedział:

— Chyba czymś się naraziłem waszej matce. Za późno odwoziłem cię wtedy do domu, Lata. I to był błąd.

— Nie ty się jej naraziłeś, tylko ja — zaprzeczyła Lata. — Chciała, żebym pojechała z nią do Delhi, a ja się postawiłam i powiedziałam: „Nie!“

Warun pokręcił głową.

— Nie, nie. To wszystko przeze mnie! Wiem na pewno! Martwi się o mnie. Serce się jej kroi, że tak się marnuję. Nie mogę jej więcej zawieść. Musisz mnie trzymać krótko, Luts. Nie pozwól mi się znowu stoczyć. W razie czego natrzyj mi porządnie uszu. Nie krępuj się. Zwymyślaj mnie od kretyków. Powiedz mi, że nie nadaję się na żadne kierownicze stanowisko. Żadne!

Lata przyrzekła, że nie omieszka...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO